

ROBERT LUDLUM

SPISEK AKWITANII

Przekład TOMASZ WYŻYŃSKI
AMBER

Tytuł oryginału: THE AQUITAINE PROGRESSION

Redaktorzy serii

MAŁGORZATA CEBO-FONIOK, ZBIGNIEW FONIOK.

Redakcja techniczna ANDRZEJ WITKOWSKI

Korekta

MARIA PAWSKA, ELŻBIETA STEGLIŃSKA

Ilustracja na okładce AGENCJA PIĘKNA

Opracowanie graficzne okładki STUDIO GRAFICZNE WYDAWNICTWA AMBER

Skład WYDAWNICTWO AMBER

Wydawnictwo Amber zaprasza na stronę Internetu

<http://www.amber.sm.pl>

Copyright (c) 1984 by Robert Ludlum. All rights reserved.

For the Polish translation Copyright (c) 1992, 1996, 2003 by Tomasz Wyżyński

For the Polish edition Copyright (c) 2003 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 83-241-0322-8

Jeffreyowi Michaelowi Ludlumowi Witaj, przyjacielu! Przeżyj wspaniałe życie...

Część 1

Rozdział 1

Genewa. Miasto słonecznych refleksów. Na jeziorze widać wydęte białe żagle, a dalej nieregularne rzędy solidnych gmachów, które odbijają się w pomarszczonej wodzie. Wokół szmaragdowozielonych fontann kwitną tysiące kwiatów, tworząc dwubarwną feerię kolorów. Nad gładkimi taflami sztucznych stawów wznoszą się łuki fantazyjnych mostków prowadzących na niewielkie wysepki, gdzie spotykają się kochankowie i przyjaciele oraz toczą się poufne negocjacje. Odbicia. Genewa, stara i młoda. Miasto średniowiecznych murów obronnych i lśniących wieżowców z dymnego szkła, katedr i instytucji i mających niewiele wspólnego z religią. Kafelki na chodnikach, poranki muzyczne nad jeziorem, ażurowe mola i krzykliwie pomalowane statki wycieczkowe pływające wzdłuż stromych brzegów. Przewodnicy wynoszą pod niebiosa zalety posiadłości nad jeziorem, które pochodzą z całkiem innej epoki, choć współcześni turyści interesują się ich astronomicznymi cenami.

Genewa. Miasto skupionego wysiłku i samozaparcia. Żarty toleruje się tu tylko wtedy, gdy mają związek z porządkiem dziennym obrad albo zawierana transakcją. Przytlumionemu śmiechowi towarzyszą spojrzenia wyrażające pochwałę umiaru lub milczące ostrzeżenie, by nie przekraczać wyznaczonych granic. Kanton położony nad jeziorem wie o sobie wszystko. Piękno współistnieje tu z przedsiębiorczością, a ich wzajemna równowaga jest zazdrośnie strzeżonym pewnikiem.

Genewa. To także miasto niespodzianek, przewidywalnych konfliktów przybierających nieprzewidywalny obrót, miasto gwałtu na ludzkiej psychice, który prowadzi do zadziwiających odkryć.

Rozlegają się grzmoty: niebo powleka się ciemnymi chmurami i zaczyna padać deszcz. Ulewa bije we wzburzoną toń jeziora, zamazuje kontury i zasilania Jet d'Eau, ogromna fontanna stanowiąca chlubę miasta i mająca olśniewać widzów. Kiedy nadchodzi nagły potop, Jet d'Eau zamiera. Zamierają także

SPISEK AKWITANII

Przekład TOMASZ WYŻYŃSKI

AMBER

Tytuł oryginału: THE AQUITAINE PROGRESSION

Redaktorzy serii

MAŁGORZATA CEBO-FONIOK, ZBIGNIEW FONIOK.

Korekta

MARIA RAWSKA, ELŻBIETA STEGLIŃSKA

Ilustracja na okładce AGENCJA PIĘKNA

Opracowanie graficzne okładki STUDIO GRAFICZNE WYDAWNICTWA AMBER

Skład WYDAWNICTWO AMBER

Wydawnictwo Amber zaprasza na stronę Internetu

<http://www.amber.sm.pl>

Copyright (c) 1984 by Robert Ludlum. All rights reserved.

For the Polish translation Copyright (c) 1992, 1996, 2003 by Tomasz Wyżyński For the Polish edition
Copyright (c) 2003 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 83-241-0322-8

Jeffreyowi Michaelowi Ludlumowi Witaj, przyjacielu! Przeżyj wspaniałe życie...

Część 1

Rozdział 1

Genewa. Miasto słonecznych refleksów. Na jeziorze widać wydęte białe żagle, a dalej nieregularne rzędy solidnych gmachów, które odbijają się w pomarszczonej wodzie. Wokół szmaragdowozielonych fontann kwitną tysiące kwiatów, tworząc dwubarwną feerię kolorów. Nad gładkimi taflami sztucznych stawów wznoszą się łuki fantazyjnych mostków prowadzących na niewielkie wysepki, gdzie spotykają się kochankowie i przyjaciele oraz toczą się poufne negocjacje. Odbicia.

Genewa, stara i młoda. Miasto średniowiecznych murów obronnych i lśniących wieżowców z dymnego szkła, katedr i instytucji i mających niewiele wspólnego z religią. Kafedki na chodnikach, poranki muzyczne nad jeziorem, ażurowe mola i krzykliwie pomalowane statki wycieczkowe

pływające wzdłuż stromych brzegów.

Przewodnicy wnoszą pod niebiosa zalety posiadłości nad jeziorem, które pochodzą z całkiem innej epoki, choć współcześni turyści interesują się ich astronomicznymi cenami.

Genewa. Miasto skupionego wysiłku i samozaparcia. Żarty toleruje się tu tylko wtedy, gdy mają związek z porządkiem dziennym obrad albo zawieraną transakcją.

Przytłumionemu śmiechowi towarzyszą spojrzenia wyrażające pochwałę umiaru lub milczące ostrzeżenie, by nie przekraczać wyznaczonych granic. Kanton położony nad jeziorem wie o sobie wszystko. Piękno współistnieje tu z przedsiębiorczością, a ich wzajemna równowaga jest zazdrośnie strzeżonym pewnikiem.

Genewa. To także miasto niespodzianek, przewidywalnych konfliktów przybierających nieprzewidywalny obrót, miasto gwałtu na ludzkiej psychice, który prowadzi do zadziwiających odkryć.

Rozlegają się grzmoty: niebo powleka się ciemnymi chmurami i zaczyna padać deszcz. Ulewa bije we wzburzoną toń jeziora, zamazuje kontury i zasłania Jetd'Eau, ogromną fontannę stanowiącą chlubę miasta i mającą olśniewać widzów.

Kiedy nadchodzi nagły potop, Jet d'Eau zamiera. Zamierają także 9

mniejsze fontanny i więdną kwiaty pozbawione słońca. Znikają świetliste refleksy, a umysł popada w odrętwienie. Genewa. Miasto zdradzieckie.

Mecenas Joel Converse wyszedł z hotelu Richemond i ruszył przez Jardin Brunswick. Rozejrzawszy się na boki, skręcił w lewo, przekładając teczkę do prawej ręki. Był świadom znaczenia niesionych dokumentów, choć myślał przede wszystkim o człowieku, z którym miał się spotkać w Le Chat Botte, niewielkiej ulicznej kafejce naprzeciwko jeziora. Ściśle mówiąc, spotkać się ponownie, pomyślał. Oczywiście jeśli go z kimś nie pomyłono.

Amerykanin Preston Halliday był głównym adwersarzem Joela w toczących się rokowaniach w sprawie fuzji przedsiębiorstw szwajcarskiego i amerykańskiego.

Obaj prawnicy przybyli do Genewy na rozmowy dotyczące ostatecznych szczegółów kontraktu. Pozostało bardzo niewiele pracy, w istocie same formalności, gdyż stwierdzono już, że umowa jest zgodna z prawem obydwu krajów i możliwa do przyjęcia dla Trybunału Międzynarodowego w Hadze. Obecność Hallidaya wydawała się w związku z tym nieco dziwna. Pierwotnie nie wchodził on w skład zespołu prawników amerykańskich wynajętych przez Szwajcarów do rokowań z firmą Joela.

Samo w sobie nie wykluczało to oczywiście jego udziału, gdyż świeże spojrzenie okazuje się często cenną zaletą, jednakże mianowanie go głównym negocjatorem było co najmniej niezwykle. A także

niepokojące.

Converse nie stykał się dotąd z Hallidayem, który miał opinię specjalisty od wykrywania błędów prawnych w zawieranych kontraktach. Pochodził z San Francisco i zdarzało mu się już doprowadzić do zerwania wielomiesięcznych rokowań, które pochłonęły setki tysięcy dolarów. Converse nie wiedział o Hallidayu nic więcej, choć on sam twierdził, że się znają.

-

Mówi Pres Halliday - odezwał się głos w słuchawce hotelowego telefonu. - Zastępuję Rosena jako główny negocjator z ramienia grupy Bern.

-

Co się stało? - spytał Joel, trzymając w ręku wibrującą maszynkę do golenia i usiłując przypomnieć sobie nazwisko rozmówcy. Udało mu się to, nim Halliday odpowiedział.

-

Dostał zawału, biedaczek, więc wspólnicy postanowili mnie ściągnąć. -

Prawnik umilkł. - Musiał pan być niezłym sknerą, mecenasie.

-

Prawie się nie targowaliśmy. Mój Boże, przykro mi, lubię Aarona. Jak się czuje?

-

Wyjdzie z tego. Położyli go do łóżka i karmią rosółkiem. Kazał panu powtórzyć, że zamierza wyszukać w kontrakcie wszystkie pańskie kruczki prawne.

-

To znaczy, że pan zamierza. Zresztą po prostu ich nie ma. To małżeń stwo z czystej chciwości, wie pan o tym równie dobrze jak ja, jeśli przejrzał

pan dokumentację.

10

-

Rabunek odpisów inwestycyjnych - zgodził się Halliday - a do tego spory procent rynku technologicznego. Żadnych kruczków. Ale ponieważ do piero co się do tego zabrałem, mam do pana

kilka pytań. Nie zjadłby pan ze mną śniadania?

-

Chętnie, właśnie miałem wezwać pokojówkę.

-

Taki ładny ranek, czemu nie odetchnąć świeżym powietrzem? Miesz kam w hotelu President, więc spotkajmy się w połowie drogi, co? Zna pan Le Chat Botte?

-

Tak, to kafejka na Quai du Mont Blanc.

-

Za dwadzieścia minut?

-

Lepiej pół godziny, dobrze?

-

W porządku. - Halliday znów zawiesił głos. - Miło cię znowu słyszeć, Joel.

-

Czyżbyśmy się znali?

-

Możesz mnie nie pamiętać. Tyle się zdarzyło od tamtego czasu... Zresz tą przeżyłeś chyba więcej ode mnie.

-

Nie bardzo rozumiem.

-

Cóż, Wietnam... Siedziałeś długo w niewoli.

-

Nie o to mi chodzi, to dawne dzieje. Gdzieśmy się poznali? Przy jakiej sprawie?

-

Przy żadnej. Nic związanego z interesami. Chodziliśmy razem do szkoły.

-

Do Duke'a? To bardzo duża szkoła prawnicza.

-

Jeszcze wcześniej. Może przypomnisz sobie, jak się zobaczymy. Jeśli nie, odświeżę ci pamięć.

-

Musisz uwielbiać gry... Dobrze, spotkajmy się za pół godziny w Le Chat Botte.

Idąc w stronę Quai du Mont Blanc, hałaśliwego bulwaru nad brzegiem jeziora, Converse usiłował przypomnieć sobie Hallidaya z czasów szkolnych. Wyobrażał

sobie twarze kolegów i starał się połączyć jedną z nich z zapomnianym imieniem.

Nie udawało się to jednak, choć Halliday nie było wcale nazwiskiem pospolitym, a zdrobnienie Pres stanowiło wręcz rzadkość. Nie wyobrażał sobie, by mógł

zapomnieć kogoś o nazwisku Pres Halliday. A mimo to tonacja głosu nieznajomego sugerowała bliskość, nieomal przyjaźń.

"Miło cię znowu słyszeć, Joel". Wypowiedział te słowa ciepłym tonem, podobnie jak niepotrzebną uwagę o pobycie Converse'a w niewoli. Lecz przecież zawsze napomykano o tym łagodnie, z ukrytym lub jawnym współczuciem. Joel domyślał się ponadto, dlaczego Halliday wspomniął przelotnie o Wietnamie. Niewtajemniczeni uważali, że psychika więźniów komunistycznych obozów jenieckich uległa bezpowrotnemu zaburzeniu, że straszliwe przeżycia odmieniły ich duchowo i otumaniły. Częściowo pokrywało się to z prawdą, lecz nie w odniesieniu do pamięci. Pamięć niezwykle się wyostrzała, gdyż penetrowano ją brutalnie, bezlitośnie. Minione lata, nawarstwione wspomnienia... Twarze, oczy, głosy, ciała ludzkie, obrazy przelatujące przez umysł, pejzaże, dźwięki, wyobrażenia, zapachy, dotyk, pragnienie dotyku - żaden element przeszłości 11

nie był na tyle błahy, aby zrezygnować z wydobycia go na światło dzienne.

Niektórym jeńcom pozostawała tylko pamięć, zwłaszcza nocą, gdy ciało sztywniało od przeszywającego chłodu, a nieskończenie zimniejszy lęk paraliżował myśli o terażniejszości. Pamięć stawała się wówczas wszystkim. Pomagała nie słyszeć odległych krzyków w ciemności, tłumiała trzask strzałów rewolwerowych, które tłumaczono rankiem (zupełnie niepotrzebnie!) jako niezbędne

egzekucje krnąbrnych więźniów. Pozwalała także zapomnieć o nieszczęśnikach zmuszanych przez żądnych rozrywki strażników do zabaw zbyt ohydnych, by je opisać.

Podobnie jak inni jeńcy, trzymani przez większą część niewoli w całkowitej izolacji, Converse przeżył na nowo całe swoje życie, próbując ułożyć poszczególne fazy w sensowną całość, coś zrozumiałego i dającego się lubić. Nie rozumiał ani nie przepadał za wieloma rzeczami, ale wspomnienia pozwalały żyć.

Pozwoliłyby także umrzeć w spokoju ducha. Bez nich strach stawał się nieznośny.

Ponieważ seanse autoanalizy powtarzały się noc po nocy i wymagały dyscypliny oraz dokładności, pamięć Converse'a niezmiernie się wyostrzyła. W jego mózgu działał rodzaj kursora biegającego po ekranie komputera; zatrzymywał się on przy dowolnie wybranej nazwie lub osobie, po czym natychmiast ukazywały się skrótowe dane na jej temat. Joel doszedł w tym do wielkiej wprawy i znalazł się teraz w kropce. Nie pamiętał żadnego Presa Hallidaya, chyba że chodziło o przelotną znajomość z wczesnego dzieciństwa.

"Miło cię znowu słyszeć, Joel". Czyżby słowa te były podstępem, fortelem prawnika?

Skręcił za róg, ku błyszczącym mosiężnym barierkom Le Chat Botte, w których odbijało się słońce. Bulwarem pędziły lśniące samochody i czyściutkie autobusy, a chodnikami wymytymi przez deszcz podążali spiesznie przechodnie, zachowując jednak porządek. Genewski ranek emanował łagodną energią. Goście ulicznych kafejek nie gnietli czytanych gazet, lecz przeglądali je strona po stronie ze starannością i precyzją. Pojazdy i ludzie nie prowadzili wojny; walkę zastąpiono spojrzeciami i ukłonami, przystawaniem i uściskami dłoni. Przekraczając otwartą mosiężną bramę Le Chat Botte, Joel zastanawiał się przez chwilę, czy Genewa nie mogłaby eksportować swoich poranków do Nowego Jorku. Doszedł jednak do wniosku, że zakazałaby tego rada miejska: nowojorczyccy nie znieśliby szwajcarskiej uprzejmości.

Po lewej stronie zaszeleściła złożona starannie gazeta (precyzja wydawała się tu czymś zaraźliwym) i ukazała się twarz znana Converse'owi. W przeciwieństwie do oblicza Joela była (jak to powiedzieć?) uporządkowana, że wszystkimi częściami pasującymi do siebie i znajdującymi się na właściwych miejscach. Proste ciemne włosy ze schludnym przedziałkiem, ostry nos i wydatne wargi. To twarz należąca do przeszłości, pomyślał Joel, choć nie kojarzyło się z nią żadne zapamiętane nazwisko.

Znajoma postać uniosła głowę; ich oczy się spotkały i Preston Halliday wstał.

Pod eleganckim garniturem można się było domyślić muskularnego, krępego ciała.

-

Witaj, Avery! - powiedział Converse. Wybałuszył oczy, przeszedł nie zgrabnie kilka kroków i przełożył teczkę do lewej ręki, by uścisnąć podaną mu dłoń. - Avery, prawda? Avery Fowler. Liceum Tafta, początek lat sześćdziesiątych. Oszczędłeś przed klasą maturalną, nie wiadomo dlaczego. Wszyscy to komentowaliśmy. Uprawiałeś zapasy.

-

Zdobyłem dwukrotnie mistrzostwo Nowej Anglii - odparł prawnik ze śmiechem, wskazując krzesło naprzeciwko. - Siadaj. Zaraz ci wszystko wytłumaczę. Pewnie się trochę dziwisz, co? Właśnie dlatego chciałem się z tobą zobaczyć przed dzisiejszą konferencją. Byłby niezły skandal, gdybyś na mój widok wstał nagle i krzyknął: "Oszust!"

-

Jeszcze nie wiem, czy cię tak nie nazwę, ale nie krzyknę. - Converse zajął miejsce przy stoliku, postawił teczkę na ziemi i spojrzał na przedstawiciela konkurencyjnej firmy. - Dlaczego posługujesz się nazwiskiem Halliday?

Czemu nie powiedziałeś nic przez telefon?

-

O, dajże spokój! Co właściwie miałem powiedzieć? Nawiasem mówiąc, stary, znałeś mnie jako Tinkerbella Jonesa. Gdybym się przedstawił jako Fowler, nie wiedziałabyś nawet, o kogo chodzi.

-

Prawdziwy Fowler siedzi w więzieniu?

-

Siedziałby, gdyby nie strzelił sobie w łeb - odparł Halliday poważnie.

12

-

Mówisz zagadkami. Jesteś jego bliźniakiem?

-Nie, mam na myśli swojego ojca.

Converse milczał przez chwilę.

-

Chyba powinienem cię przeprosić.

-Nie ma potrzeby, nie mogłeś o niczym wiedzieć. Właśnie dlatego odszedłem przed klasą maturalną, chociaż, do licha, naprawdę chciałem zdobyć ten puchar! Byłbym jedynym zapaśnikiem, który wywalczył mistrzostwo Nowej Anglii trzy razy z rzędu!

-

Przykro mi... Co się właściwie stało? A może to informacje zastrzeżone, mecenasie? Przyjmę to za dobrą monetę.

-

Nie mam przed tobą tajemnic. Pamiętasz, jak bryknęliśmy razem do New Haven i poderwaliśmy te dwie cipy na przystanku autobusowym?

-

Mówiliśmy, że studiujemy w Yale.

-

Dały się poderwać, nie dały zerznąć.

-

Za bardzo się staraliśmy.

-

Smarkacze z liceum - stwierdził Halliday. - Ktoś napisał o nas książkę.

Czy naprawdę jesteśmy takimi eunuchami?

-Trochę, ale jeszcze się odegramy. Jesteśmy ostatnią mniejszością narodową w Ameryce, więc w końcu zaczną nam współczuć... Co się właściwie stało, Avery?

Pojawił się kelner. Nastrój prysł. Jak nakazywała uświęcona tradycja, obaj mężczyźni zamówili kawę i rogaliki. Kelner zwinął dwie czerwone płócienne serwetki i postawił je na stoliku.

-

Co się stało? - powtórzył cicho Halliday po jego odejściu. - Coś fanta stycznego! Mój kurewski ojciec zdefraudował czterysta tysięcy dolarów z banku Chase Manhattan, gdzie był skarbnikiem, złapali go i palnął sobie w łeb. Kto by przypuszczał, że szanowany właściciel podmiejskiej willi w Greenwich, Connecticut, ma w mieście dwie kochanki, jedną w slumsach East Side, a drugą na Bank Street? Coś pięknego!

-

Był człowiekiem zapracowanym. Ale ciągle nie rozumiem, dlaczego nazywasz się Halliday.

-

Kiedy wszystko wyszło na jaw (po samobójstwie ojca sprawę zatuszowano), matka dostała szału. Czym prędzej przeprowadziła się z powrotem do San Francisco. Pochodziliśmy z Kalifornii, wiesz? Potem zwariowała jeszcze bardziej i poślubiła mojego ojczyma, Johna Hallidaya. Po kilku miesiącach nie zostało ani śladu po Fowlerze.

-

Zmieniłeś nawet imię?

-

Nie. W San Francisco zawsze nazywano mnie Pres. Kalifornijczycy lubią dziwaczne imiona: Tab, Troy, Crotch... Choroba Beverly Hills z lat pięćdziesiątych... U Tafta figurowałem w dzienniku jako Avery Preston Fowler, więc wołano mnie Avery albo Ave, czego zresztą nie znośłem. Przeniosłem się z innej szkoły, więc postanowiłem się nie sprzeciwiać. W Connecticut trzeba postępować jak Holden Caulfield.

-

Bardzo dobrze - powiedział Converse - ale co się dzieje, gdy spotykasz kogoś takiego jak ja? Musi się to zdarzać.

-

Zdziwiłbyś się, jak rzadko. W końcu minęło wiele lat, a w Kalifornii to nic nowego. Tamtejsze dzieciaki zmieniają nazwiska po każdym małżeństwie rodziców, aja byłem na Wschodnim Wybrzeżu tylko w czwartej i piątej klasie.

Nie znałem w Greenwich prawie nikogo i nie należałem do szkolnej paczki.

-

Miałeś kilku przyjaciół. Na przykład mnie.

-

Nielicznych. Spójrzmy prawdzie w oczy: stałem z boku, a ty nie byłeś wybredny. Niezbyt zwracałem na siebie uwagę.

-

Ale nie na macie.

Halliday roześmiał się.

-

Niewielu zapaśników kończy prawo, za często dostają w głowę... Cóż, skoro chcesz wiedzieć, przez ostatnie dziesięć lat zaledwie pięć czy sześć razy usłyszałem pytanie: "Ejże, czy nie nazywasz się Fowler, a nie Halliday?" Kie dy to się zdarza, mówię prawdę. Moja matka wyszła ponownie za mąż, jak miałem szesnaście lat. To wszystko.

Pojawiła się kawa i rogaliki. Joel przełamał swój na pół.

-

I myślałeś, że spytam cię o to w niestosownej chwili, na przykład pod czas konferencji?

-

Jestem tylko zawodowo uprzejmy. Nie chcę, żebyś się zajmował moim nazwiskiem, zamiast myśleć o swoim kliencie. W końcu pewnego wieczoru próbowaliśmy stracić razem cnotę w New Haven.

-

Mów tylko za siebie - uśmiechnął się Joel.

14

Halliday wyszczerzył zęby.

-

Schlaliśmy się obaj, nie pamiętasz? Nawiasem mówiąc, kiedy rzygali śmy do kubła, przysięgaliśmy sobie zachować wszystko w sekrecie.

-

Chciałem cię tylko sprawdzić. Pamiętam. Więc porzuciłeś szarą szkołę dla pomarańczowych koszulek i złotych medali?

-

Dokładnie. Najpierw studiowałem w Berkeley, a potem w Stanfordzie, po drugiej stronie ulicy.

-

Dobry uniwersytet... A skąd międzynarodowe prawo handlowe?

-

Lubiłem podróżować i doszedłem do wniosku, że to najtańszy sposób.

I tak to się zaczęło... A ty? Zdaje się, że spełniłeś wszystkie moje marzenia o podróżach.

-

W młodości chciałem pracować jako radca prawny w służbie zagranicznej. I tak to się zaczęło...

-

Po Wietnamie?

Converse spojrzał na Hallidaya bladobłękitnymi oczyma, świadom ich chłodnego wyrazu. Było to nieuniknione, choć jak zwykle niepotrzebne.

-

Owszem, po Wietnamie. Okłamywano nas i za późno się o tym dowiedzieliśmy. Byliśmy manipulowani. Nie powinno do tego dojść.

Halliday pochylił się do przodu z łokciami opartymi na stole i splecionymi dłońmi, patrząc Joelowi prosto w oczy.

-

Nie mogłem tego zrozumieć - odezwał się cicho. - Kiedy przeczytałem twoje nazwisko w gazecie i zobaczyłem cię w telewizji, miałem straszego kaca. Nie znałem cię dobrze, lecz przecież lubiłem.

-

To naturalna reakcja. Na twoim miejscu czułbym to samo.

-

Nie jestem tego taki pewien. Wiesz, byłem jednym z przywódców ruchu pacyfistycznego.

-

Spaliłeś swoją kartę powołania i udawałeś hipisa-rzekł miękko Converse, którego spojrzenie złagodniało. - Nie miałem w sobie tyle odwagi.

-

Ja też. Była to stara karta biblioteczna.

-

Sprawiasz mi zawód.

-

Sam też się na sobie zawiodłem. Ale stałem się znany. - Halliday odchylił się do tyłu i sięgnął po kawę. - Jak to się stało, że ty też stałeś się znany,

Joel? Nie wyglądałeś na kogoś takiego.

-

Nie miałem wyboru.

-

Zdaje się, że wspomniałeś coś o manipulacji.

-

To było później.

Converse uniósł filiżankę i wypił łyk czarnej kawy, zaniepokojony zmianą tematu rozmowy. Nie lubił wspominać wojny i zbyt często go do tego zmuszano. Uchodził

za kogoś innego niż w rzeczywistości.

-

Studiowałem w Amherst i uczyłem się dość kiepsko. Kiepsko jak diabli.

Ledwo przeszedłem na drugi rok i nie miałem szans na odroczenie służby wojskowej. Ale latałem od czternastego roku życia.

-

Nie wiedziałem o tym - przerwał Halliday.

-

Mój ojciec prowadził spokojne życie, lecz był pilotem w lotnictwie cywilnym, a później urzędnikiem Pan American. W rodzinie Converse'ów uczo no się pilotażu przed uzyskaniem prawa jazdy.

-

Bracia i siostry tak samo?

-

Mam młodszą siostrę. Odfrunęła przede mną i nigdy nie pozwoliła mi o tym zapomnieć.

-

Pamiętam. Robiono z nią wywiady w telewizji.

-

Tylko dwa-przerwał Joel z uśmiechem. - Była przeciwko wojnie i wcale się z tym nie kryła. Chłopcy z Białego Domu kazali trzymać się od niej z daleka. Nie pozwólcie szargać ideałów i przeglądajcie jej korespondencję.

-

Właśnie dlatego ją zapamiętałem - rzekł Halliday. - Więc kiepski student opuścił uniwersytet i marynarka zyskała pilota zapaleńca?

-Żadnego zapaleńca. Nie byliśmy zapaleńcami. Przeważnie po prostu się paliliśmy.

-

Musiałeś nienawidzić takich jak ja, siedzących w Stanach. Oczywiście z wyjątkiem swojej siostry.

-

Jej też nienawidziłem - poprawił Converse. - Nienawidziłem jej, czułem do niej odrazę, gardziłem nią, byłem wściekły... Ale tylko wtedy, gdy ktoś poległ albo zwariował w obozie. Nie z powodu waszych poglądów (wszyscy znaleźliśmy Sajgon), lecz dlatego, że nie mieliście pojęcia o prawdziwym strachu. Byliście bezpieczni i czuliśmy się przez was jak idioci. Tępi, przerażeni idioci.

-

Rozumiem cię.

-

To bardzo miło z twojej strony.

-

Przepraszam, chyba powiedziałem to niewłaściwym tonem.

-

Jakim tonem, mecenasie?

Halliday zmarszczył brwi.

-

Trochę protekcjonalnym.

-

Wcale nie trochę - odparł Joel. - Zupełnie.

-

Dalej jesteś wściekły,

-

Nie na ciebie, tylko na przeszłość. Nienawidzę jej i stale muszę do niej wracać.

-

Obwiniaj o to rzecznika prasowego Pentagonu. Byłeś przez pewien czas bohaterem dzienników telewizyjnych. Trzy ucieczki z obozu! Dwukrotnie schwyty i osadzony w karcerze, a wreszcie ostatnia, samotna próba uwieńczona powodzeniem. Nim dotarłeś do naszych linii, przebyłeś trzysta kilometrów dżungli opanowanej przez nieprzyjaciela.

-

Tylko sto kilometrów. Miałem piekielne szczęście. W trakcie dwóch pierwszych ucieczek przyczyniłem się do śmierci ośmiu ludzi. Nie jestem z tego szczególnie dumny. Czy moglibyśmy się wreszcie zająć Comtechem?

-

Proszę, daj mi jeszcze kilka minut - rzekł Halliday, odsuwając rogalik na bok. - Nie chodzi mi tylko o przeszłość. Mam coś szczególnego na myśli, oczywiście, jeśli uważasz mnie za zdolnego do myślenia.

-

Wiesz niesie, że Preston Halliday ma łeb na karku. O ile moi koledzy mówią prawdę, jesteś prawdziwym rekinem. Ale ja znałem kogoś o imieniu Avery, nie Pres.

-

Mogę występować jako Fowler, skoro czujesz się lepiej w jego towarzystwie.

-

O co ci właściwie chodzi?

-

Najpierw kilka pytań. Wiesz, wolę być dokładny, bo ty także masz pewną opinię wśród kolegów. Słyszałem, że jesteś jednym z najlepszych specjalistów od międzynarodowego prawa handlowego, ale moi rozmówcy nie są w stanie pojąć, dlaczego pracujesz w stosunkowo małej, choć uznanej firmie, skoro mógłbyś zrobić błyskotliwą karierę. A nawet założyć własną kancelarię.

-

Chcesz mnie zwerbować?

-Nie, nie wchodzę w spółki. Nauczyłem się tego dzięki mecenasowi Johnowi Hallidayowi z San Francisco.

Converse spojrzał na drugą połowę rogalika i postanowił z niej zrezygnować.

-

O co chciałbyś mnie spytać, mecenasie?

-

Dlaczego pracujesz tam, gdzie pracujesz?

-

Mam wysokie pobory i samodzielnie kieruję swoim wydziałem: nikt nie zagląda mi przez ramię. I wolę nie ryzykować. Muszę płacić żonie alimenty, a to kosztowna przyjemność.

-

Dzieciom też?

-

Nie, chwała Bogu!

-

Jak się potoczyło twoje życie po zwolnieniu ze służby w marynarce?

Jak się czułeś?

Halliday znów pochylił się do przodu, z łokciami na stoliku i brodą podpartą dłońmi. Sprawiał wrażenie dociekliwego studenta. Albo kogoś znacznie groźniejszego.

-

Z kim o mnie rozmawiałeś? - spytał Converse.

-

To na razie informacja poufna, mecenasie. Przyjmiesz to za dobrą mo netę? - Joel uśmiechnął się.

-Naprawdę jesteś rekinem... W porządku, oto moje dzieje. Kiedy wróciłem po wojnie do kraju, chciałem żyć na całego. Byłem nadal wściekły, ale postanowiłem się wybić. Kiepski student zmienił się w kujona. Skłamałbym, gdybym nie przyznał, że miałem pewne fory. Wróciłem do Amherst i przez trzy semestry i lato odwałem dwa i pół roku studiów. Później otrzymałem propozycję indywidualnego toku nauki u Duke'a. Pojechałem tam, a potem specjalizowałem się w Georgetown, odbywając jednocześnie aplikację.

-

Aplikowałeś w Waszyngtonie?

Converse skinął głową.

-Tak.

-

Gdzie?

-

W kancelarii Clifforda.

Halliday gwizdnął cicho, prostując się na krześle.

-

To przecież Ziemia Obiecana, paszport do rajy Blackstone'a i świata międzynarodowych koncernów!

-

Mówiłem ci, że miałem fory.

-

Czy to wtedy postanowiłeś wstąpić do dyplomacji? W Georgetown?

W Waszyngtonie?

Joel znów skinął głową zmrużył oczy, oślepiiony błyskiem słońca na masce samochodu parkującego na bulwarze nad jeziorem.

-

Tak - odparł cicho.

-

Mogło ci się udać - rzekł Halliday.

-

Brali mnie za kogoś innego. Kiedy się zorientowali, że wyznaję inną moralność, nie chcieli nawet ze mną rozmawiać.

-

A kancelaria Clifforda? Nawet im musiałeś imponować. - Kalifornijczyk uniósł dłonie nad stołem. -
Wiem, wiem. Brali cię za kogoś innego.

-

Było ich zbyt wielu - powiedział z naciskiem Converse. - Mają około czterdziestu sławnych
adwokatów i dwustu wyrobników na liście płac. Minę łąby dziesięć lat, nim znalazłbym męską
ubikację, i kolejne dziesięć, nim zdo byłbym klucz. Nie tego szukałem.

-

A czego?

-

Mniej więcej tego, co osiągnąłem. Mówiłem ci już: dobrze zarabiam i kieruję wydziałem zagranicznym. To drugie jest dla mnie równie ważne.

-

Nie mogłeś tego przewidzieć, zaczynając pracę - sprzeciwił się Halliday.

-

Wręcz przeciwnie. Obiecano mi to. Kiedy Talbot, Brooks i Simon za proponowali mi posadę, zawarliśmy dzentelmeńską umowę. Jeśli sprawdzę się w ciągu czterech czy pięciu lat, przejmę obowiązki Brooksa. Zajmował się sprawami zagranicznymi i męczyły go nieustanne zmiany czasu. - Converse znów zawiesił głos. - Wygląda na to, że się sprawdziłem.

-

A po drodze znalazłeś sobie żonę?

Joel wyprostował się na krześle.

-

Czy naprawdę musimy o tym mówić?

-

To nie ma związku ze sprawą, ale niesłuchanie mnie interesuje.

-

Dlaczego?

-

Zwykła ciekawość - odparł Halliday z uśmiechem w oczach. - Pewnie czułbyś to samo na moim miejscu, gdybym przeszedł to co ty.

-

Cholerny rekin! - wymamrotał Converse.

-

Naturalnie nie musi pan odpowiadać, mecenasie.

-

Wiem. Najdziwniejsze, że nie robi mi to żadnej różnicy. Padła ofiarą moich przeżyć wojennych. - Joel przełamał swój rogalik, ale nie podniósł go z talerza. - Komfort, wygoda i mała stabilizacja - dodał.

-

Słucham?

-

Powtarzam tylko jej słowa - ciągnął Joel. - Mówiła, że się z nią ożeni łem, żeby mieć dom, kucharkę, praczkę i nie marnować czasu na irytujące 18

poszukiwania partnerek do łóżka. "Mój Boże, czy musiałam to być ja!" To także jej własne słowa.

-

Mówiła prawdę?

-

Już ci powiedziałem, po powrocie do kraju chciałem żyć na całego.

Stała się jednym z elementów tego życia. Tak, mówiła prawdę. Kucharka, słu żąca, praczka, kochanka i ozdoba przyjęć towarzyskich. Twierdziła, że nie ma pojęcia, co jest najważniejsze.

-

Musiała być świetną dziewczyną.

-

Była nią. Jest.

-

Czy to znaczy, że moglibyście się pogodzić?

-

Wykluczone. - Converse pokręcił głową z uśmiechem na wargach, lecz z powagą w oczach. - Ona także była manipulowana. Nie powinniśmy się pobierać. Zresztą naprawdę lubię swój status rozwodnika. Nie wszyscy jeste śmy stworzeni do domowego ciepła, nawet jeśli o nim marzymy.

-

To wcale niezły sposób na życie.

-

Też w to wdepnąłeś? - spytał pośpiesznie Joel, by zmienić temat rozmowy.

-

Az do wizyt u ortodonta i psychologa. Mam pięcioro dzieci i jedną żonę.

Dobrze mi z tym.

-

Ale przecież dużo podróżujesz, prawda?

-

Za to powroty do domu są wspaniałe. - Halliday znów pochylił się do przodu, jakby wypytywał świadka. - Więc nie jesteś z nikim szczególnie związany, nie masz wobec nikogo zobowiązań?

-

Talbot, Brooks i Simon poczuli się urażeni, gdyby to usłyszeli. Po dobie jak mój ojciec. Od śmierci matki jemy razem obiad raz w tygodniu, chyba że podróżuje po całym świecie jako posiadacz kilku bezpłatnych bile tów lotniczych.

-

Jest ciągle aktywny?

-

Najpierw leci do Kopenhagi, a zaraz potem do Hongkongu. Dobrze się bawi: stale zmienia miejsce pobytu. Ma sześćdziesiąt osiem lat i jest zepsuty do szpiku kości.

-

Chybabym go lubił.

Converse wzruszył ramionami i znów się uśmiechnął. - Nie jestem pewien. Uważa wszystkich prawników za gówniarzy, że mną włącznie. To ostatni pilot starej daty.

-

Jestem pewien, że bym go lubił. Ale poza pracodawcami i ojcem nie masz nikogo?

-

Idzie ci o kobiety? Spotygam się z kilkoma i jesteśmy dobrymi przyjaciółmi, lecz wolałbym o tym nie rozmawiać.

-

Mam dla ciebie pewną ofertę.

-

Wobec tego do rzeczy, mecenasie. Przesłuchanie skończone.

Kalifornijczyk skinął głową.

-

W porządku, do rzeczy. Ludzie, z którymi rozmawiałem, chcą wiedzieć, czy możesz swobodnie podróżować.

19

-Nie mogę. Mam pracę i mnóstwo obowiązków. Dziś jest środa; sfinalizujemy transakcję do piątku. Później wezmę wolny weekend, a w poniedziałek... pojadę tam, gdzie mnie oczekują.

-

Przypuśćmy, że Talbot, Brooks i Simon wyraziliby zgodę?

-

Trudno to sobie wyobrazić.

-

A ty otrzymałbyś ofertę nie do odrzucenia?

-

Nie mieści mi się to w głowie.

-

Sam to rozstrzygnij - ciągnął Halliday. - Pół miliona dolarów niezależnie od wyniku, milion, jeśli ci się powiedzie.

-

Chyba zwariowałeś! - Converse'a oślepił kolejny błysk słońca, a pod powiekami wirowały mu przez chwilę czerwone kręgi. Uniósł lewą rękę do oczu i spojrzał na mężczyznę znanego ongiś jako Avery Fowler. - Wybrałeś dziwny moment, że już nie wspomnę o etyce, bo przecież nie możesz niczego zyskać podczas dzisiejszej konferencji. Nie lubię otrzymywać ofert od praw ników, z którymi mam się spotkać przy stole rokowań. Nawet jeśli są to propozycje wariackie.

-

To nic związanego z Comtechem. Racja, nie mam dziś nic do stracenia ani do wygrania. Załatwiliście sprawę z Aaronem, więc nie naruszam etyki zawodowej. Szwajcarzy płacą mi tylko minimalną stawkę za stracony czas, bo nie potrzeba tu żadnych specjalnych umiejętności. Dziś rano zaproponuję przyjęcie kontraktu w uzgodnionej formie, bez żadnych zmian. Gdzie tu konflikt sumienia?

-

A gdzie zdrowy rozsądek? - spytał Joel. - Nie wspominając już o zgo dzie Talbota, Brooksa i Simona. Proponujesz mi honorarium w wysokości dwuipółrocznej gaży wraz z premiami i każesz mi kiwnąć głową.

-

Zrób to - powiedział Halliday. - Potrzebujemy cię.

-

My? O, to coś nowego! Zdaje mi się, że poprzednio mówiłeś "oni".

"Oni", czyli ludzie, z którymi rozmawiałeś. Wy tłumacz mi wszystko, Pres.

Preston Halliday spojrzał Joelowi prosto w oczy.

-

Jestem jednym z nich i dzieje się coś złego. Chcemy, żebyś zniszczył pewną spółkę. To sprawa nieprzyjemna i niebezpieczna. Dostarczymy ci od powiednich materiałów.

-

Jaką spółkę?

-

Nazwa nic ci nie powie, to firma niezarejestrowana. Nazwijmy ją rzą dem na wygnaniu.

-

Czym?!

-

Grupą ludzi przejętych jedną ideą, którzy zebrali tak ogromne środki, że uzyskają wpływ na coś, na co nie powinni mieć wpływu, i zdobędą władzę tam, gdzie nie powinni jej posiadać.

-

To znaczy gdzie?

-

W takich miejscach, że ten biedny, głupi świat nie może sobie na to pozwolić. Zdołają tego dokonać, bo będą działać z zaskoczenia.

-

Mówisz samymi zagadkami.

20

-

Boję się. Znam ich.

-

Ale dysponujesz materiałami mogącymi ich powstrzymać - rzekł Converse. - Wobec tego mają na pewno słabe punkty.

Halliday skinął głową.

-

Tak nam się zdaje. Zdobyliśmy kilka poszlak, ale potrzeba jeszcze dużo nowych informacji, by zrekonstruować pełny obraz ich działalności. Istnieje uzasadnione podejrzenie, że prowadzą operacje handlowe zabronione przez swoje rządy.

Joel umilkł na chwilę, przyglądając się bacznie Kalifornijczykowi.

-

Rządy? - spytał. - W liczbie mnogiej?

-

Owszem. - Halliday zniżył głos. - Są różnych narodowości.

-

Ale tworzą jedną spółkę? - spytał Converse. - Jedną firmę?

-

W pewnym sensie tak.

-

Tylko w pewnym sensie?

-

To nie takie proste.

-

Wobec tego ja powiem ci coś prostego - przerwał Joel. - Macie poszła ki, więc polujcie na swój gang przestępców. Ja jestem w tej chwili zajęty pracą w firmie.

-

Nie, nie jesteś zajęty - odezwał się Halliday po chwili milczenia.

Znów zapadła cisza. Obydwaj mężczyźni mierzyli się wzrokiem.

-

Co powiedziałaś? - spytał Converse, patrząc lodowato na Hallidaya.

-

Twoja firma wyraziła zgodę. Możesz wziąć urlop.

-

Ty zarozumiała skurwysynu! Kto ci pozwolił się do nich zwracać?

-

Generał George Marcus Delavane - odparł Halliday ledwo słyszalnym szeptem.

Joel miał wrażenie, że z rozjarzonego słońcem niebem strzelił nagle piorun, paląc mu oczy i zmieniając lód w ogień. Później w jego głowie rozległy się grzmoty.

Piloci siedzieli wokół długiego prostokątnego stołu w mesie, popijając kawę i gapiąc się na brązowy płyn lub szare ściany. Nikt nie miał ochoty przerywać milczenia. Przed godziną bombardowali napalmem Pak Song, powstrzymując nacierające bataliony Vietcongu, by dać czas na przegrupowanie się oddziałom południowowietnamskim i amerykańskim, które miały niebawem stawić czoło brutalnemu atakowi. Piloci wykonali zadanie i wrócili, z wyjątkiem jednego, na pokład lotniskowca. Stracili dowódcę. Porucznika Gordona Ramseya zestrzeliła zabłąkana rakietą, która razmięła trajektorię nad wybrzeżem i trafiła w kadłub samolotu. Wybuch zdetonował zbiorniki paliwa: śmierć przy szybkości tysiąca kilometrów na godzinę trwała mgnienie oka. Eskadrę ścigał groźny front burzowy: w ciągu następnych kilku dni loty nie wchodziły w rachubę. Będzie dość czasu na myślenie, co nie stanowiło przyjemnej perspektywy.

21

-

Poruczniku Converse! - odezwał się marynarz stojący koło otwartych drzwi mesy.

-Tak?

-

Kapitan prosi pana łaskawie na mostek.

Co za Wersal, pomyślał Joel, wstając z krzesła, zauważywszy wcześniej ponure miny pilotów wokół stołu. Zaproszenie było oczekiwane, choć nieprzyjemne.

Chętnie zrezygnowałby z awansu. Nie był starszy wiekiem ani rangą od kolegów, spędził po prostu więcej godzin w powietrzu, co dawało mu doświadczenie niezbędne do dowodzenia eskadrą.

Wspinając się wąskimi schodami na mostek, spostrzegł na tle nieba sylwetkę ogromnego wojskowego helikoptera typu Cobra, który zbliżał się do lotniskowca.

Za pięć minut zawisnie nad statkiem, a później usiądzie na pokładzie. Marynarzom składał wizytę ktoś z lądu.

-

To wielka strata, Converse - rzekł dowódca, kręcąc z żalem głowę nad stołem nawigacyjnym. - Niedobrze mi się robi na myśl o pisaniu listu do domu. Bóg wie, że zawsze dużo mnie one kosztują, ale ten będzie gorszy od innych.

-

Wszyscy czujemy to samo, panie kapitanie.

-

Nie wątpię. - Dowódca skinął głową, - Nie wątpię także, że wie pan, dlaczego pana wezwałem.

-

Niespecjalnie, panie kapitanie.

-

Ramsey uważał pana za najlepszego i dlatego obejmie pan ko mende nad jedną z eskadr szturmowych na Morzu Południowochiń-

skim. - Rozległ się dzwonek telefonu. Kapitan umilkł i podniósł słu chawkę. - Tak?

Dalszy bieg wypadków zaskoczył Joela. Dowódca zmarszczył brwi, rysy jego twarzy stężały, a w oczach pojawił się niepokój i gniew.

-

Co takiego?! - krzyknął, podnosząc głowę. - Czy nikt nas nie uprzedzał? Nie nadeszła wiadomość przez radio?! - Zapadła cisza, po czym kapitan cisnął słuchawkę na widełki i zawołał: - Jezu Chryste!

-

Popatrzył na Converse'a. - Wygląda na to, że spotka nas wątpliwy za szczyt goszczenia naczelnego dowódcy. Pojawił się jak widmo, nie wia domo skąd!

-

Wrócę pod pokład, panie kapitanie - rzekł Joel, salutując.

-

Jeszcze nie, poruczniku - odparł kapitan spokojnym, lecz zdecydowanym tonem. - Przejmuje pan dowództwo eskadry, a ponieważ ma to związek z gotowością bojową lotniskowca, powinniśmy dopełnić for malności. Przynajmniej damy Zwariowanemu Marcusowi do zrozumie nia, że burzy normalny tok służby na okręcie.

Następne pół minuty zajął rytuał mianowania na wyższe stanowisko służbowe: dowódca nakładał na podwładnego nowe obowiązki. Raptem rozległo się głośne pukanie do drzwi i do kabiny wszedł gene-22

rał armii George Marcus Delavane. Jego barczysta postać tryskała siłą i pewnością siebie.

-

Witam pana, kapitanie - rzekł z kurtuazją, salutując jako pierwszy pomimo wyższej rangi. Jego nieco piskliwy głos brzmiał uprzejmie, lecz w świdrujących oczach natychmiast zabłysła wrogość.

-

Miło mi pana widzieć, generale - odrzekł dowódca statku, salutując wraz z Converse'em. - Czy przybywa pan na niezapowiedzianą inspekcję?

-

Przybywam jako głównodowodzący na pilną naradę z panem, swoim podwładnym.

-

Rozumiem - odparł kapitan z udawanym spokojem, przez który przebijał gniew. - W tej chwili wydaję pilne rozkazy jednemu ze swoich oficerów...

-

Ale moje rozkazy pan odwołał! - przerwał gwałtownie Delavane.

-

Przeżyliśmy smutny i męczący dzień, panie generale - stwierdził

dowódca. - Zaledwie godzinę temu straciliśmy jednego z naszych najlepszych pilotów...

-

Dał drapaka? - znów przerwał Delavane nosowym głosem, pod kreślającym jeszcze niesmaczny charakter uwagi. - Podwinął swój pieprzony ogon, aż mu go odstrzelili?!

-

Nie pozwolę tak o nim mówić! - krzyknął Converse, nie mogąc nad sobą zapanować. - Przejmuję po nim dowództwo i nie pozwolę tak o nim mówić, generale!

-

Pan?! A kim pan, u licha, jest?!

-

Spokojnie, poruczniku. Możecie odejść.

-

Bardzo proszę o pozwolenie udzielenia generałowi odpowiedzi!

- wypalił Joel, nadal wściekły.

-

CO TAKIEGO?! Ty szczeniaku!...

-Nazywam się...

-

Milczeć! Nie interesuje mnie twoje nazwisko! - Delavane obrócił gwałtownie głowę w kierunku kapitana. - Chcę wiedzieć, dlaczego nie wykonuje pan moich rozkazów, rozkazów naczelnego dowódcy! Za rządu bombardowanie na godzinę piętnastą zero zero! Odmówił

pan wykonania rozkazu!

-

Nadciągnął front burzowy. Powinien pan o tym wiedzieć równie dobrze jak ja.

-

Moi meteorologowie twierdzą, że pogoda nadaje się do latania!

-

Podejrzewam, że twierdziliby to samo podczas monsunu w Bir mie, gdyby zasięgnął pan ich opinii.

-

To ciężkie naruszenie dyscypliny!

-

To mój statek. Regulamin mówi wyraźnie, kto tu dowodzi.

-

Czy mam się połączyć z pańskimi radiowcami?! Zatelefonuję do Białego Domu i przekonamy się, jak długo będzie to pański statek!

-

Z pewnością nie zechce pan nadawać otwartym tekstem. Lepiej posłużyć się maszyną szyfrującą. Zaprowadzę pana generała do kabiny łączności.

-

Niech to lichy! W sektorze piątym atakuje cztery tysiące moich żołnierzy i tylko dwadzieścia procent z nich wachało dotąd proch! Po trzebujemy połączonego wsparcia lotniczego na niskiej wysokości, z ziem i morza. Wykona pan rozkaz albo w ciągu godziny weźmie pan dupę w troki i opuści ten okręt! Mogę to zrobić, kapitanie! Przybyliśmy do Wietnamu, żeby zwyciężać, zwyciężać i jeszcze raz zwyciężać! Nie po trzebujemy tu słodkich mięczaków, co się asekurują na wszystkie strony! Wojna to ryzyko, nie wie pan?! Kto nie ryzykuje, nie wygrywa, kapitanie!

-Jestem pragmatykiem, panie generale. Zdrowy rozsądek każe ograniczyć straty do minimum. Jeśli to zrobimy, wygramy następną bitwę.

-

Zamierzam wygrać właśnie tę, z tobą lub bez ciebie, ty wilku morski od siedmiu boleści!

-

Z całym szacunkiem, radzę panu generałowi wyrażać się mniej ordynarnie.

-

CO TAKIEGO?! - Twarz Delavane'a wykrzywiła się złością.

Miał oczy wściekłego zwierzęcia. - Radzisz mi?! Radzisz swojemu przełożonemu?! A rób sobie, co chcesz, ty stara babo! Zaczął się atak na dolinę Tho!

-

Tho? - przerwał Converse. - To pierwszy etap drogi do Pak Song.

Bombardowaliśmy ją cztery razy. Znam te tereny.

-

Znasz je?! - wrzasnął Delavane.

-

Tak, ale wykonuję rozkazy kapitana tego statku, panie generale.

-

Wykonujesz rozkazy prezydenta Stanów Zjednoczonych, bezczelny gówniarzu! To twój dowódca! A ja zdobędę te rozkazy!

Maniacko wykrzywiona twarz Delavane'a znalazła się tuż przy twarzy Joela, który trząsał się z gniewu, przejęty odrazą i nienawiścią.

-

Ja także radzę panu generałowi zwracać uwagę na język - odezwał się, prawie nie zdając sobie sprawy z własnych słów.

-

Dlaczego, gówniarzu?! Czyżbyście mieli tu podsłuch?

-

Spokojnie, poruczniku! Możecie odejść, powiedziałem!

-

Każesz mi uważać na język, waśniaku z jedną gwiazdką?! Nie, syneczku, lepiej sam uważaj na to, co mówię, i dobrze się zastanów!

Jeśli twoja eskadra nie znajdzie się w powietrzu o piętnastej zero zero, załoga tego lotniskowca będzie mieć opinię największych tchórzów w Azji Południowo-Wschodniej! Zrozumiałeś, mięczaku?!

Joel znów się odezwał, dziwiąc się w duchu własnej odwadze.

-

Nie znam pana, generale, ale mam szczerą nadzieję, że spotkamy się kiedyś w innych okolicznościach. Uważam pana za świnię.

-

Znieważasz przełożonego?! Zniszczę cię!

-

Możecie odejść, poruczniku!

-

Nie, kapitanie! - wrzasnął generał. - Mimo wszystko to on powi nien dowodzić atakiem! No, wybierajcie, marynarzyki: bombardowa nie, prezydent czy opinia tchórzy?

O piętnastej dwadzieścia Converse wystartował wraz z eskadrą pokładu lotniskowca. O piętnastej trzydziści bombowce weszły na niskiej wysokości w chmury burzowe. Nad wybrzeżem eskadra poniosła pierwsze straty: zestrzelono dwa skrajne samoloty, których piloci zginęli w ogniu przy szybkości tysiąca kilometrów na godzinę. O piętnastej czterdziści sześć eksplodował prawy silnik Joela; na tak niskim pułapie bezpośrednie trafienie nie przedstawiało żadnych trudności. W pół minuty później, nie będąc w stanie opanować maszyny, Converse katapultował się w chmury, a jego spadochronem zaczęły targać wiry powietrzne.

Kiedy spadał ku ziemi, kołysząc się gwałtownie na szelkach wpijających się w ciało przy każdym podmuchu wiatru, przed oczyma stanęła mu wykrzywiona twarz generała George'a Marcusa Delavane'a. To dzięki temu szaleńcowi miał spędzić nieokreślony czas w piekle. Jak się później dowiedział, na ziemi straty były nieskończenie większe.

Delavane! Rzeźnik spod DaNang i Pleiku. Sprawca bezsensownej śmierci tysięcy żołnierzy, ciskający w dżungle i między wzgórz batalion po batalionie bez dostatecznego wyszkolenia i siły ogniowej. Do obozów jenieckich prowadzono kolumny rannych, przerażonych, oszołomionych dzieci, które usiłując powstrzymać łzy, łkały spazmatycznie, zrozumiałwszy prawdę. Żołnierze opowiadali w kółko tę samą historię. Przyprawiała ona o mdłości. Niedoświadczone, niewypróbowane oddziały posyłano do walki w kilka dni po zejściu na ląd w nadziei, że niewidzialnego wroga pokona sama przewaga liczebna. Kiedy przewaga liczebna nie skutkowała, rzucono w ogień nowe jednostki. Sztab pozostawał przez trzy lata pod wpływem maniaka. Delavane! Władca Sajgonu, który fałszował listy poległych, zaprzeczał doniesieniom o krwawych masakrach, łgał i opiewał bezsensowną śmierć!

Człowiek, który okazał się zbyt groźny nawet dla jastrzębi z Pentagonu; jastrząb, który prześcignął swoich pobratymców. W końcu zbuntowali się przeciwko niemu, wezwali go do kraju, przenieśli w stan spoczynku i pozwolili pisać pamiętniki czytane przez fanatyków opętanych przez furie.

"Nie wolno pozwolić, żeby pojawili się znowu tacy ludzie, rozumiecie?! To on był

naszym śmiertelnym wrogiem!" Rozwścieczony Converse wykrzyknął owe słowa przed komisją wojskową. Jej członkowie spojrzeli po sobie, nie patrząc na Joela i unikając bezpośredniej odpowiedzi. Podziękowali mu zdawkowo, stwierdzili, że ojczyzna ma wobec niego i tysięcy jego kolegów ogromny dług wdzięczności, a co do ostatnich uwag, powinien zrozumieć, że sprawa 25

jest niesłychanie skomplikowana, gdyż złożony proces dowodzenia wygląda często na coś innego niż

w rzeczywistości. Tak czy owak, prezydent apelował do narodu o spokojne leczenie ran zadanych przez wojnę; czy ma sens rozpalać na nowo starych sporów? Później w ich słowach zabrzmiała groźba.

-

Sam wziął pan na swoje barki straszliwą odpowiedzialność związaną z dowództwem, poruczniku - odezwał się bladolicy prawnik wojskowy, pra wie nie patrząc na Joela i studiując zawartość teczek z aktami. - Zanim zdołał

pan w końcu uciec samotnie z obozu, poprowadził pan dwie wcześniejsze ucieczki, w których uczestniczyło w sumie siedemnastu jeńców. Szczęśliwie zdołał pan przeżyć, czego nie można powiedzieć o panu ośmiu kolegach. Z pewnością jako dowódca i strateg nie spodziewał się pan blisko pięćdziesięciopro -

centowych strat w ludziach. Dowodzenie to straszna rzecz, poruczniku. To znana prawda, lecz może nie powtarzana dość często.

Wolny przekład: Nie przyłączaj się do pacyfistów, żołnierzu. Przeżyłeś, ale zginęło ośmiu ludzi. Czyżby w grę wchodziły okoliczności, o których nic nam nie wiadomo? A może wybrałeś taktykę chroniącą jednych bardziej od innych, jednego bardziej od innych? Jak to się stało, że zdołałeś uciec samotnie, niezauważony przez strażników, którzy nocą strzelali bez ostrzeżenia do wszystkich jeńców poruszających się bez eskorty? Samo postawienie tego pytania napiętnuje cię na całe życie. Daj spokój, żołnierzu. Mamy na ciebie haczyk. Wystarczy zadać pytanie, o którym wszyscy wiemy, że nie powinno być zadane, ale zrobimy to, bo znaleźliśmy się pod ostrzałem. Musimy się bronić. Ciesz się, że przeżyłeś. A teraz wyjdź.

W owej chwili niewiele brakowało, by Converse świadomie zaprzepaścił całe swoje życie. Nigdy by nie przypuszczał, że może mu przyjść do głowy taka myśl.

Jednakże przyjrzał się uważnie twarzom wojskowych za stołem, dostrzegając kątem oka rzędy baretek i odznak bitewnych. Później zdarzyła się dziwna rzecz: ogarnął

go niesmak, odraza i... współczucie. Ludzie ci mieli w oczach lęk. Poświęcili swoje życie wojnom prowadzonym przez własny kraj i padli ofiarą manipulacji, podobnie jak on sam. Skoro obrona tego, co szlachetne, wymaga obrony tego, co łajdackie, czyż można odmówić im racji? Kto jest świętym? Kto grzesznikiem? Czy mogą istnieć święci i grzesznicy, skoro wszyscy są ofiarami?

W końcu zwyciężył niesmak. Joel Converse, porucznik rezerwy Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych, nie zdobył się na to, by po raz ostatni zaszalować swoim przełożonym. Odwrócił się w milczeniu bez cienia wojskowej sprężystości i wyszedł z sali, jakby splunął ostentacyjnie na podłogę.

Na bulwarze znów coś błysnęło - oślepiające odbicie słońca na Quai du Mont Blanc. Był w Genewie, nie w północnowietnamskim obozie jenieckim pełnym dzieciuchów, którzy wymiotowali, opowiadając o swoich przeżyciach, ani w San Diego, z dala od marynarki wojennej. Był w Genewie... a człowiek siedzący po przeciwnej stronie stolika znał wszystkie jego myśli i uczucia.

-

Dlaczego wybraliście właśnie mnie? - spytał Joel.

26

-

Dlaczego? - odezwał się Halliday. - Odpowiedź jest prosta. Masz właściwą motywację. To znana historia. Kapitan lotniskowca odmówił wysłania eskadry bombowców, by przeprowadziła nalot, którego żądał Delavane. Rozpętała się burza; kapitan twierdził, że to samobójstwo. Jednakże uległ presji Delavane'a, który zagroził, że zatelefonuje do Białego Domu i odbierze mu okręt. Dowodziłeś tym atakiem. To wszystko.

-

Żyję - odpowiedział lakonicznie Converse. - Tysiąc dwustu chłopców nie dożyło następnego ranka a prawie drugie tyle gorzko tego pożałowało.

-

Byłeś w kabinie dowódcy, gdy Zwariowany Marcus groził kapitanowi i wydał rozkaz ataku.

-

To prawda - potwierdził Joel bezbarwnym tonem. Później pokręcił ze zdziwieniem głową. - Wiedziałeś z góry wszystko, co ci mówiłem, prawda?

-

Czytałem o tym - poprawił adwokat z Kalifornii. - Podobnie jak ty (a uważam cię za jednego z najlepszych prawników poniżej pięćdziesiątki), niezbyt ufam słowu pisanemu. Muszę usłyszeć głos człowieka, zobaczyć jego twarz.

-

Nie udzieliłem odpowiedzi na twoją ofertę.

-

Nie musiałeś.

-

Najpierw odpowiedz mi na kilka pytań. A więc... nie przyjechałeś tutaj, by zajmować się fuzją Comtechu i grupy Bern?

-

Nie, to częściowo prawda - odparł Halliday. - Tyle że nie Szwajcarzy zwrócili się do mnie, aleja do nich. Obserwowałem cię, czekając na właściwy moment. Powinien być zupełnie naturalny, a także logiczny pod względem geograficznym.

-

Dlaczego? Co masz na myśli?

-

Ponieważ jestem śledzony. Rosen dostał zawału. Dowiedziałem się o tym, skontaktowałem się z grupą Bern i uzasadniłem przekonująco, że powinienem poprowadzić negocjacje.

-

Wystarczyłaby twoja opinia.

-

Okazała się pomocna, lecz potrzebowałem jeszcze lepszego alibi. Po wiedziałem, zresztą zgodnie z prawdą, że znamy się od niepamiętnych cza sów, że jesteś niesłychanie twardy w ostatniej fazie rokowań i że znam twoje metody. Zażądałem także horrendalnego honorarium.

-

Szwajcarzy musieli połknąć haczyk.

-

Cieszę się, że to aprobujesz.

-

Skądże znowu! - sprzeciwił się Joel. - Niczego nie aprobuję, a zwłaszcza cza twoich metod. Nadal nic nie wiem, uraczyłeś mnie tylko kilkoma tajemni czymi uwagami o bliżej nieokreślonej grupie ludzi, którzy sajakoby niebez pieczni, a następnie wypowiedziałeś nazwisko człowieka budzącego we mnie emocjonalne skojarzenia. Może mimo wszystko jesteś szurnięty i uprawiasz niegroźną zabawę w hipisa?

-

Słowo "szurnięty" wyraża pańskie osobiste uprzedzenia, mecenasie, i ja ko takie powinno zostać wykreślone z protokołu.

27

-

A jednak sędziowie przysięgli je zapamiętali - odpowiedział Converse z tłumionym gniewem. - Właśnie to ci zarzucam.

-Nie przeceniaj mojego bezpieczeństwa-odparował Halliday z równą otwartością. -

Nie jestem bezpieczny. Mam pewną skłonność do tchórzostwa, a ponadto czeka na mnie w San Francisco żona i pięcioro dzieci, które bardzo kocham.

-

Więc zwróciłeś się do mnie, bo nie mam żadnych zobowiązań osobi stych, tak?

-

Zwróciłem się do ciebie, bo nie rzucasz się w oczy, nie jesteś wplątany w całą tę aferę, jesteś świetnym prawnikiem i możesz odnieść sukces! Ja nie mam prawa zajmować się tą sprawą, a należy ją przeprowadzić zgodnie z prawem!

-

Dlaczego nie powiesz otwarcie, o co chodzi? - spytał ostro Converse. -

Jeśli dalej będziesz kręcił, idę sobie i zobaczymy się dopiero na konferencji.

-

Delavane to mój były klient - odpowiedział szybko Halliday. - Bóg mi świadkiem, że nie wiedziałem, co robię, i prawie nikt tego nie aprobował, ale posłużyłem się klasycznym argumentem, że ludzie niecieszący się popularno-

ścią także potrzebują pomocy prawnej.

-

Trudno temu zaprzeczyć.

-

Nie wiesz, o co chodzi. Ja tak. Odkryłem to.

-

Co takiego?

Halliday pochylił się do przodu.

-

Generałowie szykują się do powrotu - rzekł ledwo słyszalnym szeptem.

Joel przyjrzał się bacznie Kalifornijczykowi.

-

Wracają? Skąd? Nie wiedziałem, że gdzieś wyjeżdżali.

-

Z przeszłości - odparł Halliday. - Z dawnych lat.

Rozbawiony Converse odchylił się do tyłu.

-

Dobry Boże, myślałem, że tacy jak ty już wymarli! Czyżbyś miał na myśli "militarystycznie nastawione kręgi Pentagonu", Pres? Wołają cię Pres, prawda? Zdrobnienie rodem z San Francisco, a może z Haight Ashbury alt Beverly Hills? Spóźniłeś się trochę: twoi koledzy już szturmowali Bastylę.

-

Proszę, nie żartuj. Ja nie żartuję.

-

Oczywiście, że nie. Po prostu piszesz powieść pod tytułem Siedem dni w maju albo Pięć dni w sierpniu. Mamy akurat sierpień, więc powiedzmy Sierp niowe salwy w maju. Dobrze brzmi, prawda?

-

Przestań! - wyszeptał Halliday. - Nie ma w tym nic śmiesznego, a gdy by było, sam bym to zauważył.

-

Czy to złośliwy komentarz pod moim adresem? - spytał Joel.

-

Masz cholerną rację, bo nie przeszedłem przez to co ty! Nie walczyłem na wojnie, nie byłem manipulowany i mogę się śmiać z fanatyków, bo nigdy mnie nie zranili. Uważam to za najlepszą broń przeciwko nim. Ale nie teraz.

W tej chwili nie ma tu nic do śmiechu!

-

Pozwól mi jednak zachichotać - odezwał się Converse poważnie. - Na wet w swoich najbardziej paranoidalnych momentach nie wierzyłem w spiskową teorię, że Waszyngtonem rządzą wojskowi. To niemożliwe.

28

- Może rzuca się to w oczy mniej niż w innych krajach, ale zapewniam cię, że to prawda.

-

Co masz na myśli?

- Niewątpliwie widać to wyraźniej w Izraelu, z pewnością w Johannesburgu, może także we Francji, Niemczech i Wielkiej Brytanii. Pozory traktuje się tam mniej poważnie. Ale masz chyba trochę racji. Waszyngton będzie się stroił w demokratyczne szaty, póki się nie zedrą i nie opadną, odsłaniając woj-

-

skowy mundur.

Joel wpatrywał się w twarz mężczyzny po przeciwnej stronie stołu i usłyszał swój cichy, napięty głos:

-

Nie żartujesz, prawda? Jesteś zbyt inteligentny, by mnie nabierać.

-

Albo tobą manipulować - dokończył Halliday. - Nie po swoim pacyfi stycznym epizodzie, gdy widziałem cię występującego w piżamie w telewizji.

Nie jestem do tego zdolny.

-

Chyba ci wierzę... Wymieniłeś nazwy kilku krajów. Niektóre z nich nie kojarzą się z militaryzmem, inne trochę, a kilka budzi złe wspomnienia. Czy to dobór celowy?

-

Tak. - Kalifornijczyk skinął głową. - Nie ma zresztą żadnej różnicy, ponieważ ludzie, o których mówię, uważają, że je w końcu zjednoczą. I za czną rządzić nimi na swój sposób.

-

Generałowie?

-

A także admirałowie, brygadierzy, feldmarszałkowie... Weterani, którzy odnaleźli wreszcie sens życia. To najbardziej prawicowa grupa od czasów Reichstagu.

-

Dajże spokój, Avery! Kilku starych, zmęczonych żołnierzy...

-

Którzy werbują i indoktrynują młodych, zdolnych dowódców - prze rwał Halliday.

-

Raczej leczą reumatyzm i lumbago - dokończył Joel. - Masz na to do wody? - spytał powoli.

-

Niewystarczające... ale może by wystarczyły, gdyby trochę poszperać...

-

Do diabła, przestań wreszcie krążyć dokoła tematu!

-

Wśród ludzi, których mogli zwerbować, jest około dwudziestu pracowników Departamentu Stanu i Pentagonu - rzekł Halliday. - Decydują oni o przyznawaniu koncesji eksportowych i wydają setki

milionów dolarów, co naturalnie poszerza ich krąg przyjaciół.

-

I wpływy - stwierdził Converse. - A Londyn, Paryż, Bonn, Johannesburg i Tel Awiw?

-

Inne nazwiska.

-

Jesteś ich pewien?

-

Widziałem je na własne oczy. Zdarzyło się to przez przypadek. Nie wiem, ilu złożyło przysięgę, ale istnieją i ich dystynkcje pasują do całości.

-

Reichstag?

-

Potrzebują tylko Hitlera.

29

-

A Delavane? Na czym polega jego rola?

-

Może mianować przywódcę. Wyznaczyć Fuhrera.

-

To śmiechu warte. Kto wziąłby go poważnie?

-

Brano go już na serio. Widziałeś rezultaty na własne oczy.

-

To było kiedyś, a nie teraz. Nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Kto?

-

Ludzie przekonani, że ma rację. Nie łądź się, są ich tysiące. Co najdziw niejsze, jest także kilkudziesięciu milionerów, których stać na finansowanie rojeń Delavane'a i jego zwolenników. Nie uważają ich oczywiście za rojenia, lecz za jedynie słuszną drogę rozwoju współczesnego świata po całkowitej klęsce innych ideologii.

Joel zaczął mówić, lecz umilkł, gdyż przyszła mu do głowy pewna myśl.

-

Dlaczego nie zwróciłeś się do kogoś, kto mógłby ich powstrzymać?

Powstrzymać Delavane'a.

-

Do kogo?

-

Nie muszę ci tego mówić. Do kogoś ze sfer rządowych, pochodzącego z wyboru albo z nominacji, lub do któregoś z ministerstw. Na przykład do Departamentu Sprawiedliwości.

-

Stałbym się pośmiewiskiem Waszyngtonu - odparł Halliday. - Jak już wspomniałem, nie mamy żadnych dowodów, a poza tym nie zapominaj, że uchodziłem kiedyś za hipisa. Okrzyknięto by mnie nim znowu i kazano pako wać manatki.

-

Byłeś pełnomocnikiem Delavane'a.

-

To tylko komplikuje sprawę od strony prawnej, nie muszę ci tego mówić.

-

Tak, masz problem związany z etyką zawodową- dokończył Converse. -

Jesteś w bardzo dwuznacznej sytuacji, bo nie wolno ci wysunąć oskarżenia wo bec własnego klienta. Chyba że masz niezbite dowody, iż zamierza popełnić nowe przestępstwo i dopuścisz się współudziału, jeśli zachowasz milczenie.

-

Nie mam takich dowodów - przerwał Kalifornijczyk.

-

W takim razie nikt nie będzie cię słuchać - rzekł Joel. - Zwłaszcza ambitni prawnicy z Departamentu Sprawiedliwości, którzy nie chcą zamykać sobie możliwości kariery po odejściu ze służby państwowej. Jak sam powie działałeś, ludzie pokroju Delavane'a także mają swoich zwolenników.

-

Dokładnie tak - zgodził się Halliday. - Kiedy zacząłem zadawać pytania i próbowałem zobaczyć się z Delavane'em, nie chciał się ze mną widzieć.

Zamiast tego otrzymałem list, w którym cofnął mi pełnomocnictwo. Pisał, że nigdy by mnie nie zaangażował, gdyby wiedział, kim byłem. "Palić trawkę i wykrzykiwać haniebne hasła, gdy tymczasem dzielni młodzi ludzie wypeł-

niasz swój patriotyczny obowiązek!..."

Converse gwizdnął cicho.

- I mówisz, że nie byłeś manipulowany? Pracujesz dla firmy, którą Delavane posługuje się w majestacie prawa, a gdy coś zaczyna śmierdzieć, jesteś ostatnią osobą mogącą ostrzec innych. Delavane stroi się w mundur weterana i nazywa cię zwariowanym hipisem.

30

Halliday skinął głową.

-Napisał znacznie więcej. Nic groźnego, gdybym przestał się tym zajmować, ale niesłuchanie brutalnego.

-

Nie mam co do tego wątpliwości. - Converse wyjął paczkę papierosów i wyciągnął ją w stronę Hallidaya, który pokręcił głową. - W jakim charakterze go reprezentowałeś?

-

Założył spółkę, niewielką firmę konsultingową zarejestrowaną w Palo Alto i specjalizującą się w transakcjach importowo-eksportowych. Co wolno, czego nie wolno, jakie są kontyngenty, jak dotrzeć

legalnie do wpływowych urzędników w Waszyngtonie... Było to w istocie przedsiębiorstwo zajmujące się doradztwem handlowym i opierające się na nazwisku Delavane'a, jeśli ktoś je jeszcze pamiętał. Uznałem to wówczas za coś żalnego.

-

Wspomniałeś, że to firma niezarejestrowana - zauważył Converse, za palając papierosa.

-

To nie ta. Tutaj tracilibyśmy tylko czas.

-

Ale zdobyłeś w niej pierwsze informacje, prawda? Te swoje poszlaki?

-

Był to przypadek, który więcej się nie powtórzy. To zupełnie normalna spółka, nieskazitelna pod względem prawnym.

-

Lecz jest tylko parawanem - nalegał Joel. -Jeśli to, co mówisz, zawiera choć cząstkę prawdy, nie może być niczym innym.

-

Owszem. Ale nie ma niczego na piśmie. To pretekst do ciągłych podróży, pozwalający Delavane'owi i otaczającym go ludziom przenosić się z miej sca na miejsce pod pozorem prowadzenia uczciwych interesów. Znalazłszy się w danym rejonie, zajmują się swoimi sprawami.

-

Werbowaniem generałów i feldmarszałków? - spytał Converse.

-

Uważamy to za szczególny rodzaj działalności misyjnej. Prowadzonej w ścisłej tajemnicy i w bardzo aktywny sposób.

-

Jak się nazywa firma Delavane'a?

-

Pało Alto International.

Joel rozgniółł papierosa w popielniczce.

-

Kogo masz na myśli, mówiąc "my", Avery? Kto chce mi zapłacić taką bająńską sumę, skoro jest najwyraźniej na tyle bogaty, by dotrzeć do każdego polityka w Waszyngtonie?

-

Przyjmujesz moją ofertę?

-

Nie chcę pracować dla kogoś, kogo nie znam ani nie aprobuję. Nie, nie Przyjmuję twojej oferty.

-

Czy aprobujesz cele, które naszkicowałem?

-

Naturalnie, o ile mówisz prawdę. Zresztą nie podejrzewam cię o kłamstwo. Zdajesz sobie świetnie sprawę, że je aprobuję. Ale nadal mi nie odpowiesz.

- Przypuśćmy - ciągnął pośpiesznie Halliday - że otrzymałbyś ode mnie list uprawniający do podjęcia kwoty pięciuset tysięcy dolarów z anonimowego konta bankowego na wyspie Mikonos. List zawierałby wyjaśnienie, że 31

pieniądze stanowią własność mojego klienta, cieszącego się nieposzlakowaną opinią. Jego...

-

Jedną chwilę, Pres! - przerwał szorstko Converse.

-

Nie przerywaj mi, proszę! - Halliday wbił w Joela uporczywe spojrzenie. - W tej chwili nie ma innego sposobu. Gwarantuję wszystko swoim nazwiskiem i całą swoją karierą. Znana mi osoba, wybitny obywatel, który chce zachować anonimowość, wynajmuje cię do wykonania poufnego zlecenia.

Ręczę za niego i daję słowo honoru, że jego cele są zgodne z prawem i że twój sukces przyniesie społeczeństwu ogromne korzyści. Jesteś kryty, dostajesz pół

milion dolarów i, co najważniejsze, masz szansę powstrzymać grupę maniaków przed wcieleniem

w życie potwornego planu. W najlepszym razie dopro wadzą do fali krwawych konfliktów, które przysporzą straszliwych cierpień jednostkom i narodom. W najgorszym razie mogą zmienić bieg historii do tego stopnia, że historia przestanie istnieć.

Converse siedział sztywno wyprostowany na krześle, nie spuszczać oczu z Kalifornijczyka.

-

Bardzo piękna mowa. Długo ją ćwiczyłeś?

-

Nie, ty draniu! Nie potrzebowałem niczego ćwiczyć. Tak samo jak ty nie musiałeś ćwiczyć swojego wybuchu w San Diego przed dwunastu laty:

"Nie wolno pozwolić, żeby pojawili się znowu tacy ludzie, rozumiecie?! To on był naszym śmiertelnym wrogiem!" To twoje własne słowa, prawda?

-

O, widzę, że odrobił pan pracę domową, mecenasie - powiedział Joel, tłumiąc gniew. - Dlaczego twój klient chce zachować anonimowość? Dlaczego nie przeznaczy pieniędzy funduszu jakiejś partii i nie zwróci się do CIA, Agencji Bezpieczeństwa Narodowego albo Białego Domu? Mógłby to zrobić bez żadnych trudności. Pół miliona dolarów to nawet dzisiaj nie byle co.

-

Dlatego, że nie chce się w to oficjalnie wplątywać. - Halliday odetchnął

i zmarszczył brwi. - Wiem, brzmi to dziwacznie, ale to prawda. To wybitna postać i zwróciłem się do niej, bo sprawa mnie zaniepokoiła. Szczerze mówiąc, myślałem, że podniesie słuchawkę i zrobi to, co sugerowałeś. Mógłby zadzwonić do Białego Domu, ale wolał załatwić to na swój sposób.

-

Wolał mnie?

-

Przykro mi, nawet o tobie nie słyszał. Powiedział coś dziwnego. Kazał

mi znaleźć kogoś, kto zniszczy tych łotrów, nie wciągając w sprawę rządu, gdyż byłby to dla nich zbyt wielki zaszczyt. Z początku nie rozumiałem, o co chodzi, ale wreszcie się domyśliłem. Pasuje to do mojej teorii, że Delavane'ów tego świata najskuteczniej unieszkodliwia śmieszność.

-

I eliminuje także przykrą wizję męczeństwa - dodał Converse. - Jakie są motywy twojego... wybitnego obywatela? Dlaczego chce na to wydać tyle pieniędzy?

-

Gdybym ci powiedział, domyśliłbyś się jego tożsamości - odparł Kalifornijczyk. - Nie mogę tego zrobić. Zaaprobowałbyś go jako swojego mocodawcę, wierz mi na słowo.

32

-

Kolejne pytanie - ciągnął Joel z ostrą nutą w głosie. - Co, u licha, po wiedziałeś Talbotowi i Brooksowi, że zgodzili się dać mi urlop?

-

Nie mieli wyboru - odparł Halliday. - Skorzystałem z pomocy pewnej osoby. Czy znasz sędziego Lucasa Anstetta?

-

To sędzia Wyższego Trybunału Apelacyjnego. - Converse skinął gło wą. - Dawno temu powinien wejść do Sądu Najwyższego.

-

Taka panuje opinia. Jest także przyjacielem mojego klienta i spotkał się z Johnem Talbotem i Nathanem Simonem (Brooks wyjechał). Nie ujawniając nazwiska mego mocodawcy, powiedział im, że zaistniała sytuacja, która może się przerodzić w ogólnokrajowy kryzys polityczny, jeśli nie podejmie się na tychmiast pewnych kroków prawnych. W sprawę zaangażowanych jest kilka amerykańskich kancelarii adwokackich, ale rzecz dotyczy głównie Europy i wymaga współpracy doświadczonego specjalisty od prawa międzynarodowego.

Poprosił o udzielenie ci urlopu, abyś poprowadził sprawę w całkowitej tajemnicy, gdyby przyjęto twoją kandydaturę i gdybyś wyraził zgodę. Oczywiście bardzo się za tobą wstawiał.

-

I oczywiście przekonał Talbota i Simona - powiedział Joel. - Sędzia Anstett to ktoś, komu się nie odmawia. Jest zbyt wymowny, nie wspominając nawet o potędze jego trybunału.

-

Myślę, że nie posłużył się tym argumentem.

-

Ale miał go w zanadrzu.

Halliday sięgnął do kieszeni marynarki i wyciągnął podłużną kopertę z nadrukiem swojej kancelarii.

-

Oto list streszczający wszystko, co powiedziałem. Jest tam także instrukcja postępowania na wyspie Mikonos. Kiedy załatwisz formalności w banku (musisz określić sposób wypłaty pieniędzy lub podać konto, na które mają zostać przelane), otrzymasz nazwisko mieszkańca wyspy. To starszy pan na emeryturze. Zadzwoń do niego; poda ci czas i miejsce spotkania. Otrzymasz od niego wszelkie niezbędne informacje. Nazwiska, prawdopodobne powiązania, działalność sprzeczna z prawem kilku krajów. Chodzi o nielegalny eksport broni, sprzętu oraz tajemnic technologicznych. Przygotuj kilka oskarżeń, w których pojawia się nazwisko Delavane'a, choćby tylko marginesowo. To wystarczy. Ośmieszymy go. Wówczas przestanie być groźny.

-

To po prostu bezczelność! - powiedział gniewnie Converse. - Na nic się nie zgodziłem! Nikt nie podejmuje za mnie decyzji, ani ty, ani Talbot i Si-

mon, ani twój cholerny klient! Co wy sobie właściwie wyobrażacie! Najpierw oceniacie mnie jak kawał mięsa, a potem rozporządzacie mną za moimi plecami! Kim wy, u licha, jesteście?!

-

Zaniepokojonymi ludźmi, którzy uważają, że znaleźli właściwego człowieka do wykonania ważnego zadania - odparł Halliday, kładąc kopertę przed Joelem. - Tyle że zostało bardzo niewiele czasu. Przeżyłeś to, co chce nam zafundować Delavane, więc wiesz, o co chodzi. - Kalifornijczyk wstał nagle.

- Zastanów się nad tym. Pomówimy później. Ale, ale, Szwajcarzy wiedzą, 33

żeśmy się dziś spotkali. Gdyby pytano, o czym rozmawialiśmy, powiedz, że przyjąłem ostatnią propozycję podziału akcji serii A. Jest dla nas korzystny, choć wy sądzicie inaczej. Dzięki za kawę. Za godzinę spotkamy się na konferencji... Miło cię będzie znowu widzieć, Joel.

Kalifornijczyk ruszył szybko między stolikami, przeszedł przez mosiężną bramkę Le Chat Botte i zniknął na zalanej słońcem Quai du Mont Blanc.

Na krańcu długiego mahoniowego stołu konferencyjnego znajdował się wbudowany aparat telefoniczny. Jego przytłumiony sygnał pasował do eleganckiego pomieszczenia. Telefon odebrał szwajcarski arbiter, radca prawny reprezentujący kanton Genewy. Rozmawiał chwilę cichym głosem, skinął dwukrotnie głową i odłożył

słuchawkę na widelki. Następnie spojrzął na zebranych mężczyzn: siedmiu adwokatów zajęło miejsca w fotelach i rozmawiało półgłosem, a ósmy, Joel Converse, stał przy ogromnym oknie z zasłonami po bokach, które wychodziło na Quai Gustave Ador. W dole widać było gigantyczną Jet d'Eau z wodą zwiewaną na lewo przez pomocny wiatr. Niebo pokryły czarne chmury. Znad Alp nadciągała letnia burza.

-

Messieurs - odezwał się arbiter. Rozmowy ucichły i twarze obecnych zwróciły się w stronę Szwajcara. - Dzwonił monsieur Halliday. Zatrzymały go ważne obowiązki, lecz prosi panów o rozpoczęcie konferencji. Skontaktował

się ze swoim współpracownikiem, monsieur Rogeteau, i jak rozumiem, spotkał się dziś rano z monsieur Converse'em, by omówić ostatnie szczegóły. Czy to prawda, monsieur Converse?

Głowy obecnych zwróciły się w przeciwnym kierunku, ku postaci koło okna. Nie było odpowiedzi. Converse spoglądał nadal na jezioro.

-

Monsieur Converse!

-

Słucham?

Joel odwrócił się. Miał zmarszczone brwi i był myślami daleko od Genewy.

-

Czy to prawda, monsieur?

-

O co chodzi?

-

Czy widział się pan dziś rano z monsieur Hallidayem?

Converse milczał przez chwilę.

-

Owszem - odparł.

-I...?

-

Przyjął ostatnią propozycję podziału akcji serii A.

Amerykanie powitali jego słowa cichym, lecz słyszalnym westchnieniem ulgi, Szwajcarzy zaś milczeli z kamiennymi twarzami. Joel spostrzegł reakcje zebranych. W innych okolicznościach doszedłby zapewne do wniosku, że rzecz wymaga dalszego rozważenia. Halliday uznał podział za korzystny dla Szwajcarów, a ponadto zgodę uzyskano zbyt łatwo; Joel chętnie przesunąłby sprawę na późniejszy termin, by poświęcić jej godzinę studiów. W dziwny sposób nie miało to żadnego znaczenia. Niech go licha! - pomyślał.

34

- W takim razie rozpocznijmy konferencję, jak sugerował monsieur Halliday -

odezwał się arbiter, zerkając na zegarek.

Minęła pierwsza, druga, wreszcie trzecia godzina obrad. Prawnicy dyskutowali ściszymi głosami, przekazywali sobie kartki papieru, uściślali poszczególne punkty umowy, parafowali kolejne artykuły. Halliday nadal się nie pojawiał.

Zapalono lampy, gdyż niebo za ogromnymi oknami zasnuły czarne chmury. Wspominano o nadciągającej burzy.

Wreszcie, niczym grom z jasnego nieba, zza grubych dębowych drzwi sali konferencyjnej dobiegły przeciągłe krzyki, które narastały, aż zebranych ogarnęła zgroza. Niektórzy dali nura pod ogromny stół, inni zerwali się na równe nogi i stali bez ruchu jak sparaliżowani, a kilku, między innymi Converse, rzuciło się w stronę drzwi. Arbiter chwycił klamkę i szarpnął ją z taką siłą, że drzwi uderzyły w ścianę. Obraz, który ujrzeli, pozostał na zawsze w ich pamięci.

Joel rozepchnął ludzi stojących przed nim i wbiegł do sekretariatu.

Avery Fowler wypuścił z kredowobiałych palców prążkowaną marynarkę. Jego biała koszula była czerwona, a pierś pokryta setkami maciupeńkich krwawiących otworków. Runął na podłogę, czepiając się biurka sekretarki. Wywinięty kołnierzyk pękł, a na szyi ukazała się plama krwi. Joel znał aż nazbyt dobrze chrapliwy oddech; w obozie jenieckim trzymał w rękach głowy chłopców, którzy łkali z gniewu i przedśmiertnego lęku. Podtrzymał teraz głowę Avery'ego Fowlera, kładąc go na podłodze.

-

Boże, co się stało?! - zawołał, obejmując konającego mężczyznę.

Wrócili... - wychrypiał kolega szkolny sprzed lat. - Winda... Zamknęli mnie w windzie!... Mówili, że to w imieniu Akwitanii, Akwitanii, słyszysz?!...

O Boże!... Moje dzieci!...

Głowa Avery'ego Fowiera opadła ciężko na prawe ramię i z zakrwawionego gardła uszło ostatnie tchnienie. Preston Halliday nie żył.

Converse stał na deszczu w przemoczonym ubraniu, wpatrując się w niewidoczne miejsce na wodzie, gdzie zaledwie przed godziną tryskała fontanna stanowiąca symbol Genewy. Ze wzburzonego jeziora zniknęły wdzięczne białe żagle, zastąpione przez niekończące się rzędy krótkich, ostrych fal. Po słonecznych refleksach nie zostało ani śladu. Z północy, z Alp, dobiegały odległe grzmoty.

Joel popadł w odrętwienie.

35

Rozdział 2

Converse minął długą, marmurową recepcję hotelu Richemond i ruszył w stronę szerokich schodów po lewej. Uczynił to z przyzwyczajenia: jego apartament znajdował się na pierwszym piętrze, a staroświeckie mosiężne windy wyściełane czerwonym aksamitem odznaczały się urodą, lecz nie szybkością. Lubił także przechodzić koło rzeźbiście oświetlonych, horrendalnie drogich klejnotów leżących w gablotach wzdłuż ścian eleganckich schodów - iskrzących się brylantów, krwistoczerwonych rubinów, ażurowych koliai ze złotego filigranu. W dziwny sposób przypominały mu o niespodziewanej odmianie losu. Spodziewał się gwałtownej śmierci tysiące kilometrów od kraju, w jednej z kilkunastu niemal identycznych zaszczurzonych cel, wśród przytłumionych dźwięków wystrzałów i dalekich krzyków dzieci w ciemności. Brylanty, rubiny i złoto symbolizowały coś nieosiągalnego i fantastycznego, a oto miał je przed sobą, patrzył na nie, uśmiechał się do nich... one zaś wpatrywały się weń lśnącymi oczyma o niezmierzonej głębi, potwierdzając swoje i jego istnienie. Odmiana losu.

Jednakże tym razem ich nie zauważył, a one nie odwzajemniły jego spojrzeń.

Niczego nie widział ani nie czuł, jego umysł i ciało odrętwiały, zawieszony w pustce pozbawionej powietrza. Człowiek, którego znał w dzieciństwie, skonał

niedawno w jego ramionach, a słowa wypowiedziane przezeń w chwili śmierci były niezrozumiałe i paraliżujące. "Mówili, że to w imieniu Akwitanii..." Gdzie zdrowy rozsądek, gdzie sens? Co łączy Joela z nieuchwytnym znaczeniem owego zdania? Wplątał się w całą aferę za sprawą manipulacji,

której przyczynajest nazwisko, człowiek. George Marcus Delavane, władca Sajgonu.

-

Monsieur!

Stłumiony okrzyk dobiegł z dołu; Joel odwrócił się na schodach i ujrzał

elegancko ubranego dyrektora hotelu, który biegł w jego stronę przez hol. Miał na imię Henri i znał Converse'a od prawie pięciu lat. Ich znajomość nie ograniczała się do stosunków pracownika i gościa: często grywali razem w bakarata w Divonne we Francji, tuż nad granicą szwajcarską.

-Witaj, Henri!

-Mon Dieu, nic ci się nie stało, Joel?! Twoja kancelaria w Nowym Jorku bez przerwy do ciebie telefonuje! Słyszałem o wszystkim w radiu, mówi o tym cała Genewa! Narcotiques! Narkotyki, gangsterzy, pistolety maszynowe, zbrodnia!...

Zagrożona jest nawet reputacja naszego hotelu!

-

Tak mówią?

-

Pod koszulą twojego przyjaciela znaleziono paczuszki z kokainą! Sza nowany avocat International okazał się przemytnikiem!...

-

To kłamstwo - przerwał Converse.

-

Powtarzam tylko ich słowa. Wspomniano twoje nazwisko, podobno umarł

na twoich rękach... Oczywiście nie padło na ciebie żadne podejrzenie, znala-36

złeś się tam po prostu razem z innymi. Usłyszałem twoje nazwisko i bardzo się zaniepokoiłem! Gdzie się podziewałeś?

-

Byłem na policji. Odpowiadałem na dziesiątki pytań bez odpowiedzi.

Pytań, na które można odpowiedzieć, lecz nie na posterunku genewskiej policji. Avery Fowler vel Preston Halliday zasługuje na coś lepszego. Związała ich śmierć.

-

Boże, jesteś cały przemoczony! - zawołał Henri, patrząc na Joela zatro skanym wzrokiem. -
Chodziłeś po deszczu, prawda? Nie było taksówek?

-Nie szukałem. Wołałem iść pieszo.

-

Oczywiście, rozumiem, jesteś w szoku. Poślę ci na górę trochę dobrego armaniaku. A może kolację?
Przygotować ci stół w Gentilshommes?

-

Dzięki. Zamów mi rozmowę z Nowym Jorkiem za pół godziny, dobrze?

Sam zawsze wykręcam zły numer.

-

Joel?

-

Co takiego?

-

Czy mógłbym ci pomóc? Czy jest coś, co powinieneś mi powiedzieć?

Przeegraliśmy i wygraliśmy razem zbyt wiele butelek grand cru classe, żebym mógł zostawić cię
samego. Znam Genewę, przyjacielu.

Converse spojrzał na szeroko rozstawione brązowe oczy i zaniepokojoną, napiętą twarz.

-

Dlaczego mi to mówisz?

-

Bo tak szybko zaprzeczyłeś informacji o kokainie. Obserwowałem cię.

Nie powiedziałaś całej prawdy.

Joel mrugnął i zacisnął na chwilę powieki, czując ostry ból w środku czoła.

Wciągnął głęboko oddech.

-Jeśli chcesz wyświadczyć mi przysługę, Henri, nie snuj żadnych domysłów. Po prostu zamów mi połączenie z Nowym Jorkiem za pół godziny, dobrze?

-

Mais oui, monsieur - odparł Francuz, kiwając głową. - Le directeur du Richemond spełnia wszystkie życzenia swoich gości... Jeśli będziesz mnie potrzebował, przyjacielu, jestem w pobliżu.

-

Wiem o tym. Dam ci znać, kiedy wyciągnę złą kartę.

-

Daj mi znać, jeśli będziesz wyciągać karty na terenie Szwajcarii. Kolor zależy od gracza.

-

Będę o tym pamiętał. Zamówisz mi rozmowę za pół godziny?'

-

Certainement, monsieur.

Prysznic był tak gorący, że prawie nie do wytrzymania. Płuca Joela wypełniła para, tamując oddech w piersiach. Po chwili odkręcił kurek z zimną wodą i zaczął

wić się z bólu pod lodowatym strumieniem, szczekał zębami. Doszedł do wniosku, że kontrast między ciepłem a zimnem rozjaśni mu w głowie, a przynajmniej złagodzi poczucie odrętwienia. Musiał się zastanowić, Podjąć decyzję, wsłuchać się w siebie.

Wyszedł z łazienki w grubym szlafroku, który wchłonał resztki wody, i wsunął

stopy w pantofle stojące na podłodze koło łóżka. Wyjął z biurka papierosy 37

i zapalniczkę, po czym przeszedł do bawialni. Zatroškany Henri dotrzymał słowa -

na stoliku do kawy stała butelka drogiego armaniaku i dwa kieliszki, raczej dla ozdoby niż w określonym celu. Usiadł na miękkiej kanapie, nalał sobie i zapalił

papierosa. Na dworze lał rześisty sierpniowy deszcz, bębniąc ostro, bezlitośnie o szyby. Joel spojrzął na zegarek: było kilka minut po szóstej, więc w Nowym Jorku minęło właśnie południe. Zastanawiał się, czy Henri zdołał zamówić połączenie przez ocean. Ocknął się w nim prawnik; pragnął usłyszeć kogoś w Nowym Jorku, kto potwierdziłby rewelacje zabitego lub im zaprzeczył. Od chwili, gdy na schodach podszedł doń Henri, minęło dwadzieścia pięć minut; postanowił zaczekać jeszcze pięć i zatelefonować do recepcji. Donośne brzęczenie telefonu wytrąciło Joela z równowagi. Sięgnął po aparat, stojący na stoliku koło kanapy, i spostrzegł, że ma przyspieszony oddech i drżące ręce.

-

Tak, słucham?

-

Nowy Jork do pana, monsieur - odezwała się hotelowa recepcjonistka.

- Dzwoni pańska kancelaria. Czy mam odwołać rozmowę zamówioną na szó stą piętnaście?

-

Tak, proszę. Bardzo dziękuję.

-

Joel Converse?

Zatroskany, piskliwy głosik należał do sekretarki Lawrence'a Talbota.

-

Jak się masz, Jane?

-

Dobry Boże, próbujemy się do ciebie dodzwonić od dziesiątej rano!

Właśnie wtedy dotarły do nas pierwsze wiadomości. To okropne!

-

Nic mi nie jest, Jane. Miło, że się o mnie troszczycie.

-

Pan Talbot wychodzi z siebie. Mówi, że to nie do wiary!

-

Nie wierzcie w to, co mówią o Hallidayu. To nieprawda. Czy mógłbym porozmawiać z Larrym?

-

Gdyby wiedział, że jeszcze cię nie połączyłam, wylałby mnie z pracy.

-

Nie ma obawy. Kto pisałby mu listy?

Sekretarka zamilkła na chwilę.

-

O Boże, Joel, ty to masz nerwy! - powiedziała spokojniejszym tonem. -

Po tym wszystkim, co przeszedłeś, potrafisz jeszcze żartować!

-

Poprawia mi to humor, Jane. Połącz mnie z Bubką, dobrze?

-

To już przechodzi ludzkie pojęcie!

Lawrence Talbot, współwłaściciel firmy Talbot, Brooks i Simon, był prawnikiem dobrze znającym swój zawód, jednakże zawdzięczał karierę nie tylko zdolnościom, lecz także temu, że jako student uniwersytetu Yale wszedł w skład reprezentacji Stanów Zjednoczonych w futbolu amerykańskim. Był także przyzwoitym człowiekiem, bardziej ogólnym koordynatorem niż siłą napędową konserwatywnej, choć cenionej kancelarii adwokackiej. Odznaczał się także bezstronnością i uczciwością: zawsze dotrzymywał słowa. Była to jedna z przyczyn, która skłoniła Joela do rozpoczęcia pracy w firmie. Drugą stanowił Nathan Simon, wspaniały człowiek i adwokat.

Converse nauczył się od Nate'a

38

Simona więcej niż od jakiegokolwiek innego prawnika czy profesora. Uważał go za swojego najbliższego przyjaciela, choć trudno było się doń zbliżyć; ów nieślychanie zamknięty w sobie człowiek wywoływał zwykle w swoich znajomych mieszaninę sympatii i rezerwy.

-

Wielki Boże, coś strasznego! - rozległ się w słuchawce podenerwowany głos Lawrence'a Talbota. -

Czy możemy coś zrobić?!

-

Przede wszystkim zaprzeczcie tym idiotyzmom o Hallidayu. To taki sam przemytnik narkotyków jak Nate Simon.

-

Więc nie słyszałeś? Wszystko zdementowano. Obecna wersja to napad ra bunkowy z bronią w ręku. Halliday bronił się, a mordercy wsunęli mu pod koszulę paczuszki z kokainą. Z San Francisco musiał zatelefonować Jack Halliday i zagrozić, że obali szwajcarski rząd... Grał w drużynie Uniwersytetu Stanford, wiesz?

-

Jesteś starym złośliwcem, Bubba.

-Nigdy nie przypuszczałem, że się ucieszę, słysząc ten przydomek z twoich ust, młody człowieku.

-

Wcale nie taki młody, Larry... Czy mógłbym cię o coś spytać?

-

O co tylko chcesz.

-

Anstett, Lucas Anstett.

-

Rozmawiał ze mną i Nathanem. Był niesłychanie przekonujący. Rozu miemy wszystko.

-

Doprawdy?

-

Naturalnie nie zdradził nam żadnych szczegółów. Ale uważamy cię za jednego z najlepszych specjalistów w tej dziedzinie i łatwo zgodziliśmy się na jego prośbę. Zatrudniamy samych najlepszych fachowców, a skoro potwierdza to ktoś taki jak Anstett, możemy tylko sobie pogratulować, prawda?

-

Robicie to ze względu na jego wpływy?

-Chryste, nie! Powiedział nawet, że jeśli się zgodzimy, będzie traktował nasze apelacje surowiej. To prawdziwy potwór, jeśli czegoś chce. Uprzedza z góry, że nie wyjdzie to ofiarodawcy na dobre.

-

Wierzycie mu?

-

Cóż, Nathan wspomniał coś o tym, że kozioł zawsze pozostanie ko złem. Powinniśmy iść Anstettowi na rękę. Nathan często zaciemnia sprawy, ale, do diabła, Joel, zwykle trafia w dziesiątkę!

-

Jeśli ma się trzy godziny, by wysłuchać pięciominutowego uzasadnienia

- odparł Converse.

-

Nate nigdy nie przestaje myśleć, młody człowieku.

-

Wcale nie taki młody... Wszystko jest względne.

-

Dzwoniła twoja żona... przepraszam, była żona.

-

Ach tak?

-

Słyszała twoje nazwisko w radiu albo telewizji i pytała, co się stało.

- Co JeJ powiedzieliście?

-

Że próbujemy się z tobą skontaktować. Wiedzieliśmy tyle co ona. Robi ła wrażenie bardzo zdenerwowanej.

-

Zadzwońcie do niej i powiedzcie, że wszystko w porządku, dobrze?

Zostawiła wam swój telefon?

-

Ma go Jane.

-

No cóż, w takim razie biorę urlop.

-

Pełnopłatny - odparł Talbot.

-Nie ma potrzeby, Larry. Dostanę mnóstwo pieniędzy, więc nie zwracajcie sobie głowy rachunkami. Wrócę za trzy, cztery tygodnie.

-

Mógłbym to zrobić, ale nie zamierzam - odparł współwłaściciel firmy. -

Wiem, że jesteś znakomitym fachowcem, i chcę zatrzymać cię u siebie. Przelejemy ci pieniądze do banku. - Talbot umilkł, po czym odezwał się cichym, zatroskanym głosem: - Muszę cię o coś spytać, Joel. Czy to zabójstwo ma coś wspólnego z Anstettem?

Converse chwycił słuchawkę z taką siłą, że zaboląły go palce i nadgarstek.

-

Absolutnie żadnego, Larry - odpowiedział. - To dwie różne sprawy.

Mikonos, słoneczna biała wyspa w archipelagu Cyklad, w pobliżu sanktuariów Delos. Od czasów podboju przez cesarza Barbarossę gościła kolejnych rabusiów morskich, którzy żeglowali po wodach Morza Egejskiego: Turków, Rosjan, Cypryjczyków, wreszcie Greków. W ciągu stuleci zamieniali się oni miejscami, a skalista wyspa na przemian zyskiwała sławę lub popadała w niepamięć aż do pojawienia się wysmukłych jachtów i lśniących odrzutowców, symboli nowej epoki.

Koło białych wiatraków i alabastrowych kościołów zaczęły sunąć teraz wąskimi drogami bezszelestne porsche, maserati i jaguary. Obok małomównych, konserwatywnych Greków, którzy

parali się rybołówstwem i handlem, pojawili się ludzie innego pokroju. Beztroscy młodzieńcy w różnym wieku, odziani w rozchełstane koszulki lub obcisłe kostiumy, z opalenizną służącą za tło dla ciężkich złotych ozdób, znaleźli sobie nowe miejsce zabaw. Starożytna wyspa Mikonos, ongiś jeden z ważnych portów dumnych Fenicjan, stała się St Tropez Morza Egejskiego.

Converse wyleciał z Genewy do Aten samolotem szwajcarskich linii lotniczych, a następnie przybył na wyspę grecką awionetką. Chociaż stracił godzinę wskutek zmiany stref czasu, dotarł do eleganckiej, białej bramy banku o czwartej po południu, przyjechawszy z lotniska taksówką. Bank znajdował się w pobliżu portu, a tłumy turystek w kwiciastych koszulkach i sukienkach oraz motorówki płynące po łagodnych falach w stronę głównego mola stanowiły dowód, iż ogromnymi statkami wycieczkowymi stojącymi na redzie kierują ludzie znający życie. Mikonos olśniewała i kusiała; na białej wyspie pozostanie mnóstwo pieniędzy, a tawerny i sklepiki będą pełne ludzi od wschodu słońca do północy. Popłyną strumienie wina i z półek znikną czapki greckich rybaków, wkładane na głowy przez zażenowanych właścicieli podmiejskich willi w Grosse Pointe albo Short Hills. A kiedy zapadnie noc i przybysze wy-40

OWIEDZĄ łamaną greczyzną ostatnie epharisto i parakalo, zaczną się inne gry, zabawy dworzan i kurtyzan, pięknych, nieśmiertelnych, hedonistycznych dzieci Morza Egejskiego. Perlistemu śmiechowi będzie towarzyszyć liczenie i wydawanie drachm (zwłaszcza to drugie) - w ilościach, które zdumiałyby posiadaczy najelegantszych kabin na najwyższych pokładach najbardziej luksusowych statków.

Genewę cechowała pewna surowość, natomiast Mikonos wyróżniała się gościnnością, której mogliby pozazdrościć starożytni Turcy.

Converse zatelefonował z lotniska do banku. Nie znał godzin urzędowania, tylko nazwisko bankiera, z którym miał się skontaktować. Kostas Laskaris powitał go oględnie przez telefon i stwierdził, że zamierza sprawdzić autentyczność paszportu Joela za pomocą spektrografu, a ponadto potrzebuje oryginalnego listu Prestona Hallidaya opatrzonego jego podpisem, który zostanie poddany komputerowemu badaniu na zgodność z wzorem dostarczonym przez zmarłego.

-

Podobno zastrzelono go w Genewie. To bardzo przykre.

-

Przekazę jego żonie i dzieciom wyrazy pańskiego głębokiego żalu.

Converse zapłacił taksówkarzowi i wszedł po białych schodkach wiodących do wejścia. Niósł walizkę i teczkę, toteż odetchnął z ulgą, gdy drzwi otworzył

przed nim umundurowany odźwierny przywodzący na myśl zapomnianą fotografię sułtana szaleńca, który chłostał swoje żony na dziedzińcu haremu, gdy nie zdołały go podniecić.

Kostas Laskaris wyglądał zupełnie inaczej, niż wyobrażał go sobie Joel na podstawie krótkiej, niepokojącej rozmowy przez telefon. Okazał się łysawym, blisko sześćdziesięcioletnim mężczyzną o miłej aparycji i ciepłych ciemnych oczach. Mówił płynnie po angielsku, choć najwyraźniej nie czuł się pewnie w tym języku. Wstał zza biurka i wskazał Converse'owi fotel naprzeciwko, a jego pierwsze słowa zatarły złe wrażenie.

-

Proszę mi wybaczyć gruboskórność, z jaką mówiłem o panu Hallidayu.

Sprawa jest rzeczywiście bardzo przykra i trudno mi to inaczej wyrazić. Nieła two także czuć autentyczny żal po śmierci człowieka, którego się nigdy nie widziało.

-

Byłem nie w sosie. Proszę o tym zapomnieć.

-

Jest pan bardzo łaskaw, lecz obawiam się, że nie mogę zapomnieć o złe ceniach pana Hallidaya i jego przyjaciela na Mikonos. Czy ma pan niezbędne dokumenty?

-

Kto to? - spytał Joel, sięgając do kieszeni marynarki po portfel, w który rym znajdowały się paszport i list. - Mam na myśli przyjaciela pana Hallidaya.

-

Jako prawnik zdaje pan sobie z pewnością sprawę, że nie wolno mi udzielić panu tych informacji, dopóki... dopóki nie pokonamy pewnych prze szkód. Czy wyraziłem się poprawnie?

-

W zasadzie tak. Chciałem pana tylko wypróbować.

Joel wyjął z portfela paszport oraz list i wręczył je bankierowi. Laskaris podniósł słuchawkę telefonu i wcisnął guzik. Powiedział coś po grecku, najwyraźniej wzywając kogoś. Po kilku sekundach otworzyły się drzwi 41

i do gabinetu weszła opalona ciemnowłosa piękność. Zbliżyła się z gracją do biurka i zerknęła spod spuszczonej powiek na Joela, który czuł na sobie uważny wzrok bankiera. Wystarczyłoby, by spojrział znacząco w stronę Laskarisa, a ten natychmiast przedstawiłby go dziewczynie. Wtedy ona

uśmiechnęłyby się promiennie do Converse'a, spotkałoby się i w sejfie bankiera pojawiłaby się teczka z ciekawymi informacjami. Jednakże Joel nie dał spodziewanego znaku, gdyż nie życzył sobie istnienia takiej teczki. Pół miliona dolarów to poważna suma. Nie oznacza dodatkowych przyjemności, lecz coś wręcz przeciwnego.

Następne dziesięć minut wypełniła banalna rozmowa o rozkładzie lotów, przepisach celnych i niewygodach podróży, po czym zwrócono Joelowi paszport i list. Tym razem jednak nie zrobiła tego kruczowłosa piękność, lecz młodziutki blondynek, który podszedł do biurka, kołysząc się lekko w biodrach. Uprzejmy Grek nie zamierzał rezygnować i gotów był spełnić wszelkie zachcianki bogatego klienta.

Converse spojrział w ciepłe oczy bankiera i zaśmiał się cicho. Laskaris odwzajemnił uśmiech, wzruszył ramionami i odprawił plażowego adonisa.

-

Jestem tylko dyrektorem tutejszej filii i nie odpowiadam za całościową politykę wobec klientów - rzekł, gdy zamknęły się drzwi. - W końcu jesteśmy na Mikonos.

-

Przeływa tędy mnóstwo pieniędzy - dodał Joel. - Spodziewał się pan, że kogo wybiorę?

-

Nikogo - odparł Laskaris, kręcąc głową. - Spodziewałem się dokładnie tego, co pan zrobił. Inaczej byłby pan głupcem, a nie uważam pana za głupca.

Jestem nie tylko dyrektorem banku, lecz także znawcą ludzkich charakterów.

-

Czy dlatego wybrano pana na pośrednika?

-Nie, nie dlatego. Jestem przyjacielem znajomego pana Hallidaya. Mieszka na wyspie i nazywa się Beale, doktor Edward Beale... Jak pan widzi, dokumenty są w porządku.

-

Doktor? - spytał Converse, pochylając się do przodu i biorąc paszport oraz list. - Czyżby lekarz?

-

Nie, skądże znowu - zaprzeczył Laskaris. - To uczony, emerytowany profesor historii ze Stanów Zjednoczonych. Pobiera wysoką emeryturę i prze niósł się tu z Rodos kilka miesięcy temu. Wyjątkowo ciekawy człowiek, nie zmiernie wykształcony. Zajmuję się jego sprawami finansowymi, na których zna się trochę gorzej. Mimo to jest postacią interesującą.

Bankier znów się uśmiechnął i wzruszył ramionami.

-

Spodziewam się - odezwał się Joel. - Mam z nim wiele do omówienia.

-

To nie moja sprawa. Czy moglibyśmy się zająć kwestią pieniędzy? W jakiej formie chciałby pan je otrzymać?

-

Część w gotówce. Kupiłem w Genewie specjalny elektroniczny pas do transportu banknotów. Baterie mają roczną gwarancję. Jeśli ktoś go ze mnie zerwie, zacznie wycierać syrena, od której pękają bębny w uszach. Pro -

42

siłbym o wypłatę w dolarach amerykańskich, oczywiście z wyjątkiem paru tysięcy.

-

Pas z czujnikami ma swoje zalety, pod warunkiem że jego właściciel nie jest nieprzytomny lub nie znajdzie się na odludziu. Wypłata w czekach pod różnymi nazwami byłaby nieco bezpieczniejsza.

-

Ma pan zapewne rację, ale wolę gotówkę. Może się zdarzyć, że nie zechcę składać podpisu.

-

Jak pan sobie życzy. A nominały? - spytał Laskaris, biorąc do ręki ołówek i notatnik. - I gdzie chciałby pan przekazać pozostałą część kwoty?

-

Czy mógłbym otworzyć sobie kilka anonimowych rachunków bankowych i swobodnie z nich korzystać? - spytał powoli Converse.

-

Naturalnie. Szczerze mówiąc, to powszechnie stosowana praktyka na Mikonos, podobnie jak na Krecie, Rodos, w Atenach, Istambule i wielu krajach Europy. Należy dostarczyć do banku kilka słów napisanych pańskim charakterem pisma, jakieś nazwisko, liczby... Znałem kogoś, kto

posługiwał się dziecinną rymowanką. Chcąc podjąć pieniądze, pisze pan te same słowa i po równuje się je z oryginałem. Naturalnie należy skorzystać z usług instytucji nowoczesnej.

-Naturalnie. Czy mógłby pan wymienić kilka?

-

Gdzie?

-

W Londynie, Paryżu, Bonn, może Tel Awiwie - odpowiedział Joel, przy pominając sobie słowa Hallidaya.

-

Bonn nastęcza pewne trudności: Niemcy są tacy pedantyczni. Źle posta wiona kreska i natychmiast wzywają grafologów... W Tel Awiwie da się to zała twić bez problemu, tamtejsi bankierzy są równie gięty jak Kneset. W Londynie i Paryżu to codzienna praktyka, choć panuje tam niesłychana chciwość. Od każdej operacji pobiera się wysokie opłaty, gdyż z góry wiadomo, że nie chodzi o pieniądze z legalnego źródła. To rodzaj usankcjonowanego złodziejstwa.

-

Zna się pan na rzeczy, prawda?

-

Mam spore doświadczenie. Jak wobec tego chciałby pan otrzymać pieniądze?

-

Sto tysięcy gotówką w banknotach nie większych niż pięćset dolarów.

Resztę podzielimy na cztery części i ulokujemy na anonimowych rachunkach.

-

To niezbyt trudne zlecenie. Chce się pan posłużyć nazwiskami, liczbami czy dziecinnymi rymowankami?

-

Liczbami - odparł Converse. - Nazwiska i rymowanki należą do wy miaru, o którym wolę teraz nie myśleć.

-

Jak pan sobie życzy - odparł Grek, sięgając po notatnik. - Oto telefon doktora Beale'a. Kiedy załatwimy formalności, może pan do niego zadzwonić, Albo nie, jeśli tak pan postanowi. To nie moja sprawa.

Doktor Edward Beale, mieszkaniec wyspy Mikonos, mówił powoli i z namysłem, jak rasowy naukowiec. Nie śpieszył się, a każde słowo miało swój sens i cel.

43

- Około siedmiu kilometrów od portu znajduje się kamienista plaża, mało uczęszczana po zmroku. Proszę się tam udać. Niech pan idzie na zachód drogą wzdłuż brzegu, aż zobaczy pan na morzu światła kilku boi. Proszę zejść nad wodę i czekać. Znajdę pana.

Wysoko na nocnym niebie pędziły chmury niesione przez prądy powietrzne. Od czasu do czasu wyglądał zza nich księżyc, oświetlając pustą plażę, gdzie miało nastąpić spotkanie. W dali podskakiwały na wodzie cztery czerwone boje. Joel przeszedł przez skały i ruszył po miękkim piasku w stronę brzegu. Widział i słyszał niewielkie pluskające fale. Zapalił papierosa, by zwrócić na siebie uwagę. Udało mu się to: z mroku za plecami dobiegł po chwili czyjś głos, lecz Joel nie spodziewał się, że emerytowany uczonego zgotuje mu takie powitanie.

-

Proszę stać w miejscu i nie ruszać się - padła pierwsza komenda, wypo wiedziana ze spokojną stanowczością. - Niech pan włoży papierosa do ust i zaciągnie się, a później uniesie ręce prosto przed siebie... Dobrze. Teraz proszę znów się zaciągnąć. Chcę zobaczyć dym.

-

Chryste Panie, duszę się! - wykrzyknął Joel.

Szczypał go w oczy dym zwiewany przez morski wiatr. Raptem poczuł prędkie, ostre ruchy czyjejś ręki, która obmacała mu ubranie, przejechała po piersiach i wzdłuż nóg.

-

Co pan robi? - zawołał, wypluwając odruchowo papierosa.

-

Nie ma pan broni?

-

Oczywiście, że nie!

-

A ja tak. Może pan opuścić ręce i stanąć twarzą do mnie.

Converse, nadal wstrząsany kaszlem, odwrócił się gwałtownie i potarł łzawiące oczy.

-

Co to za idiotyzmy?!

-

Palenie to okropny nałóg. Na pana miejscu rzuciłbym papierosy. Nie dość, że szkodzą, to jeszcze można ich użyć przeciwko panu na inne sposoby.

Joel zamrugał powiekami i spojrzał przed siebie. Dobrych rad udzielał mu szczupły siwowłosy starzec średniego wzrostu, trzymający się prosto, jakby połknął kij. Był odziany w marynarkę i spodnie z białego płótna żaglowego, miał

twarz poraną zmarszczkami, a na wargach błąkał mu się lekki uśmiezek. W ręku trzymał pistolet wycelowany w głowę Converse'a.

-

Nazywa się pan Beale? - spytał Joel. - Doktor Edward Beale?

-

Owszem. Uspokoił się pan trochę?

-

Tak mi się zdaje, choć nie otrząsnąłem się jeszcze z wrażenia.

-

Dobrze. W takim razie schowam broń. - Uczony opuścił rękę i uklęknął na piasku koło płóciennego plecaka. Włożył pistolet do środka i znów wstał. -
Przykro mi, ale musiałem mieć pewność.

-

Jaką pewność? Że nie chodzę z dwoma pistoletami maszynowymi?

-

Halliday nie żyje. Czy zamiast pana nie mógłby przyjechać ktoś, kto rozprawiłby się ze starcem z Mikonos? Taki człowiek byłby na pewno uzbro-

jony.

- Dlaczego?

-

Bo nie wiedziałby, że jestem starcem. Mógłbym chodzić z dwoma pistoletami maszynowymi.

-

A gdybym miał przypadkiem pistolet? Czy wtedy naszpikowałby mnie pan ołowiem?!

-

Pistolet? Pan, szanowany adwokat, który odwiedza wyspę po raz pierwszy, przeszedłszy kontrolę na lotnisku w Genewie? Skąd by pan go wziął?

Przecież nikogo pan tu nie zna.

-

Można to jakoś załatwić - zaprotestował Converse bez przekonania, zdając sobie sprawę, że nie ma racji.

-

Kazałem pana śledzić od chwili przyjazdu. Pojechał pan prosto do banku, a później do hotelu Kouneni, gdzie przed udaniem się do swojego pokoju wypił pan drinka w ogrodzie. Nie rozmawiał pan z nikim oprócz taksówkarza, mojego przyjaciela Kostasa, recepcjonisty w hotelu i kelnerów. Jeśli był pan naprawdę Joelem Converse'em, nic mi nie groziło.

-

Rozumuje pan jak gangster z Detroit, a nie intelektualista zagrzebany w książkach.

-

Nie pracowałem na uniwersytecie przez całe życie. Ale to prawda, jestem ostrożny. Myślę, że wszyscy musimy być ostrożni. To jedyna rozsądna taktyka wobec George'a Marcusa Delavane'a.

-

Rozsądna taktyka?

-

Podejście, jeśli pan woli. - Beale sięgnął do wewnętrznej kieszeni ma rynarki i wyjął złożoną kartkę papieru. - Oto nazwiska - rzekł, wręczając ją Joelowi. - Pięć kluczowych postaci w organizacji Delavane'a. Po jednej z Francji, Niemiec, Izraela, Afryki Południowej i Wielkiej Brytanii. Zidentyfikowa liśmy pierwszą czwórkę, ale nie znamy jeszcze tożsamości Anglika.

-

Skąd pochodzą te informacje?

-

Z notatek znalezionych przez Hallidaya między papierami Delavane'a, gdy generał był jego klientem.

-

Czy to ten przypadek, o którym wspomniał? Twierdził, że dowiedział

się wszystkiego przez przypadek, który więcej się nie powtórzy.

-

Nie mam naturalnie pojęcia, co panu powiedział, ale z pewnością był to przypadek. Winne jest roztargnienie Delavane'a, przypadłość związana ze sta rością, o czym mogę pana osobiście zapewnić. Zapomniał po prostu, że ma się sPotkać z Hallidayem, a kiedy Preston przybył, sekretarka wpuściła go do gabi netu, aby przygotował dokumenty dla generała, którego spodziewano się za jakieś pół godziny. Preston zobaczył na biurku teczkę z aktami; znał ją i wiedział, że wolno mu czytać znajdujące się w niej dokumenty. Niewiele myśląc, usiadł i zabrał się do pracy. Natknął się na listę nazwisk, a ponieważ znał

trasę ostatnich Podróży Delavane'a po Europie i Afryce, wszystkie elementy łamigłówek 45

ułożyły się nagle w złowieszczą całość. W każdym człowieku znającym historię współczesną te cztery nazwiska wywołują dreszcz lęku i budzą przerażające wspomnienia.

-

Czy Delavane dowiedział się kiedykolwiek, że Halliday je widział?

-

Sądę, że nie miał nigdy całkowitej pewności. Preston zapisał nazwiska i wyszedł przed nadejściem generała. Jednakże to, co się stało w Genewie, świadczy o czymś przeciwnym, prawda?

-

Że Delavane wie - stwierdził ponuro Converse.

-

Albo że nie zamierza ryzykować, zwłaszcza jeśli ustalono ostateczny termin operacji, a jesteśmy o tym przekonani. Zbliża się rozstrzygnięcie.

-

To znaczy?

-

Schemat działalności Delavane'a, o ile zdołaliśmy ją odtworzyć, sugeruje, że zamierza on wywołać serię krwawych konfliktów, które wymkną się spod kontroli i doprowadzą do destabilizacji kilku krajów.

-

Ambitne zadanie. W jaki sposób?

-

To tylko domysły - odparł uczone, marszcząc czoło. - Prawdopodobnie chodzi o falę aktów przemocy, których dokonają organizacje terrorystyczne zaopatrywane w broń przez Delavane'a i jego współników. Kiedy zapanuje anarchia, uzyskają oni pretekst do wprowadzenia stanu wojennego i przejęcia władzy.

-

Takie rzeczy już się zdarzały - odezwał się Joel. - Należy uzbroić rze komego wroga, następnie wysłać prowokatorów...

-

Dysponujących ogromnymi sumami pieniędzy i znakomitym sprzętem

- wtrącił Beale.

-

A kiedy wybuchnie powstanie, zgnieść je i przejąć władzę - dokończył

Converse. - Obywatele szlochają z wdzięczności, nazywają żołnierzy swoimi zbawcami i zaczynają maszerować w takt werbli. Ale jak zamierza to rozegrać Delavane?

-

To podstawowe pytanie. Co lub kto będzie celem ataku? Gdzie się znaj duje? Nie mamy pojęcia. Gdybyśmy się czegokolwiek domyślali, moglibyśmy przeciwdziałać, ale nic nie wiemy i nie możemy tracić czasu na pogoń za wid mem. Musimy trzymać się czegoś uchwytne go.

- I znów powstaje problem czasu - przerwał Joel. - Dlaczego jest pan taki pewien, że zbliża się rozstrzygnięcie?

-

Wśród terrorystów zapanowała wzmożona aktywność, w wielu przy padkach wręcz gorączkowa. Magazyny Anglii, Irlandii, Francji i Niemiec opusz cza amerykańska broń, która trafia w ręce rebeliantów w ogniskach zapalnych globu. W Monachium, krajach basenu Morza Śródziemnego i państwach arab skich krążą najdziwniejsze pogłoski. Wspomina się o ostatecznych przygoto waniach, choć nikt nie wie dokładnie do czego. Organizacje terrorystyczne, takie jak grupa Baader-Meinhof, Czerwone Brygady, Organizacja Wyzwolenia Palestyny czy czerwone podziemie Paryża i Madrytu, szykują się do bliżej nieokreślonych działań, znając tylko termin rozpoczęcia akcji.

46

-Jaki?

-Nasze raporty podają różne daty, lecz wskazują ten sam przedział czasowy. To kwestia trzech do pięciu tygodni.

-

Mój Boże! - Joel poczuł nagły przypływ gniewu i strachu. Wtem coś sobie przypomniał. - Avery, to znaczy Halliday szepnął mi coś tuż przed śmiercią. Słowa wypowiedziane przez swoich zabójców. "Akwitania... Mówili, że to w imieniu Akwitanii". Co to znaczy, panie doktorze?

Stary historyk zamilkł, a jego oczy błyszczały w świetle księżyca. Odwrócił

powoli głowę i spojrział w zadumie na morze.

-

To szaleństwo - wyszeptał.

-

Nic mi to nie mówi.

-

Nie, skądże znowu - odparł przepaszająco Beale, zwracając się prędko w stronę Converse'a. - Po prostu jeszcze raz uświadomiłem sobie ogrom całego planu... To nie do wiary.

-

Nie bardzo rozumiem.

-

Akwitania, nazwana tak przez Juliusza Cezara, leży na południu Francji. W pierwszych wiekach naszej ery rozciągała się jakoby od Atlantyku do Morza Śródziemnego, od Pirenejów aż do ujścia Sekwany na zachód od Paryża...

-

Zdaję sobie z tego sprawę - wtrącił zniecierpliwiony Joel, który nie miał ochoty słuchać akademickiego wykładu.

-

Skoro tak, zasługuje pan na pochwałę. Większość ludzi zna tylko póź-

niejsze dzieje Akwitanii, powiedzmy od początków ósmego wieku, gdy podbił ją Karol Wielki i stworzył królestwo odziedziczone następnie przez jego syna Ludwika oraz Pepina Pierwszego i Drugiego. W istocie rzeczy rozpoczyna się wówczas najważniejszy okres, trwający około trzystu lat.

-

Co pan ma na myśli?

-

Legendę Akwitanii, panie Converse. Wzorem wielu ambitnych generałów Delavane uważa się za miłośnika historii, podobnie jak Cezar, Napoleon, Clausewitz, a nawet Patton. Ja, słusznie lub nie, uchodziłem ongiś za naukowca, ale Delavane jest tylko amatorem. Naukowcy nie mogą sobie pozwolić na interpretacje nieoparte na faktach, ale amatorzy mają do tego pełne prawo.

-

Do czego pan zmierza?

-

Delavane stworzył swoistą legendę Akwitanii, zastępując rzeczywistość abstrakcyjnymi założeniami. Widzi pan, dzieje tego kraju składają się z po wtwarzających się okresów gwałtownej ekspansji terytorialnej, która zawsze polegała nagłemu przerwaniu. Mówiąc prościej, obdarzony wyobraźnią miłośnik historii mógłby dojść do wniosku, że gdyby Karol Wielki, jego syn, obaj pepinowie, a później Ludwik Siódmy, król Francji, i Henryk Siódmy, król Anglii, nie popełnili licznych błędów politycznych, małżeńskich i wojskowych, królestwo Akwitanii zajmowałoby dziś większość, jeśli nie całość Europy. - Beale umilkł. - Czy zaczyna pan pojmować?

-

Tak - odparł Joel. - Wielki Boże, tak...!

47

-

To nie wszystko - ciągnął historyk. - Ponieważ Akwitanie uważano niegdyś za prawną własność korony angielskiej, mogłyby do niej należeć wszystkie kolonie Wielkiej Brytanii, łącznie ze Stanami Zjednoczonymi...

Oczywiście, błędy czy nie, nigdy nie mogło do tego dojść, gdyż przeczyłoby to jednemu z podstawowych praw cywilizacji zachodniej, funkcjonującemu od obalenia Romulusa Augustulusa i upadku cesarstwa rzymskiego. Nikt nie jest w stanie podbić ludów o różnej kulturze, zjednoczyć ich siłą, a następnie rządzić nimi przez dłuższy czas.

-

A obecnie ktoś próbuje tego dokonać - odezwał się Converse. - George Marcus Delavane.

-

Owszem. W jego umyśle zrodziła się wizja Akwitanii, która nigdy nie istniała ani nie mogła istnieć. To przerażające.

-

Dlaczego? Sam pan twierdzi, że Akwitania to urojenie.

-

Tylko z punktu widzenia dawnych praw, pozostających w mocy od upadku Rzymu. Ale niech pan pamięta, że żyjemy w zupełnie nowej epoce. Nigdy nie było takiej broni, takiego lęku. Delavane i jego wspólnicy dobrze o tym wiedzą i spróbują wykorzystać. To właśnie ci ludzie. - Starzec

wskazał arkusz trzymany przez Joela. - Niech pan zapali zapalniczkę i spojrzysz na ich nazwiska.

Converse rozłożył kartkę i sięgnął do kieszeni po zapalniczkę. Pstryknął nią i zaczął czytać przy chybotliwym płomyku.

-

Mój Boże! - powiedział, mrużąc oczy w świetle. - Pasują do Delavane'a. Sami zwariowani fanatycy, jeśli to rzeczywiście ludzie, o których myślę.

Zgasił zapalniczkę.

-

To oni - odparł Beale. - Pierwszy to generał Jacques Louis Bertholdier z Paryża, człowiek doprawdy niezwykły. Podczas wojny walczył w ruchu opo ru i przed ukończeniem dwudziestego roku życia otrzymał stopień majora.

Później stał się jednym z głównych przywódców OAS Salana. Stał za nieudaną zamachem na de Gaulle'a w sierpniu sześćdziesiątego drugiego roku, uważając się za prawdziwego wodza narodu. Prawie mu się udało. Sądził wów czas (zresztą podobnie jak teraz), że zbuntowani generałowie algierscy to zbawcy osłabionej Francji. Ocalał nie tylko dzięki swojej legendzie, lecz także dla tego, że nie był jedynym człowiekiem o takich poglądach, choć z pewnością odznaczał się szczególną siłą przekonywania. Ma duże wpływy w kręgach dowódców wywodzących się z elitarnej szkoły wojskowej St Cyr. Mówiąc po prostu, to faszysta, fanatyk noszący maskę szanowanego bojownika o wolność.

-

Drugi to generał Abrahms - odezwał się Converse. - Jastrząb izraelski, który paraduje w stroju safari i wysokich butach, prawda? Urządza wrzaski we demonstracje przed Knesetem i na stadionach sportowych, ostrzegając przed krwawą łaźnią w Judei i Samarii, jeśli potomkowie Abrahama nie otrzymają tego, co im się należy. Nie mogą go uciszyć nawet sami Żydzi.

-

Wielu się go boi. Stał się elektryzującym symbolem. Przy Chaimie Abrahmsie i jego zwolennikach rząd Begin wydaje się grupką cichych, skrom -

nych pacyfistów. To Sabra, tolerowany przez Żydów z Europy jako świetny żołnierz sprawdzony w dwóch wojnach. Od czasów młodości Goldy Meir cieszy się szacunkiem, jeśli nie sympatią, każdego izraelskiego ministra obrony. Nigdy nie wiadomo, kiedy okaże się potrzebny na polu bitwy.

-Następny to van Headmer z Afryki Południowej, prawda? - spytał Joel, znów pstrykając zapalniczką. - "Kat w mundurze" czy coś w tym rodzaju.

-Jan van Headmer, "rzeźnik z Soweto", jak nazywają go czarni. Zarządza egzekucje przestępców z niepokojącą częstotliwością i za przyzwoleniem rządu. Pochodzi ze starej afrykanerskiej rodziny, a wszyscy jego przodkowie to generałowie, poczynając od wojny burskiej. Nie widzi żadnego powodu, by RPA wkroczyła w wiek dwudziesty. Tak się składa, że jest bliskim przyjacielem Abrahamsa i często odwiedza Tel Awiw. Jest także jednym z najbardziej czytanych i czarujących generałów, jacy uczestniczyli kiedykolwiek w konferencjach dyplomatycznych. Jego maniery pozostają w zupełnej sprzeczności z jego morderczymi skłonnościami.

-

Ostatni to Leifhelm - dokończył Converse, znów gasząc zapalniczkę. -

Trochę tajemnicza postać, o ile się nie mylę. Jest jakoby znakomitym żołnierzem, który służył zbyt wielu reżimom, lecz mimo to cieszy się szacunkiem.

Wiem o nim stosunkowo niewiele.

-

To zrozumiałe - odparł Beale, kiwając głową świetle księżyca. - Jego dzieje są pod pewnym względem najdziwniejsze, a w sumie najbardziej wyna turzone, ponieważ nieustannie tuszowano prawdę, aby móc się nim posługiwać i oszczędzić mu wstydu. Feldmarszałek Erich Leifhelm to najmłodszy generał mianowany przez Adolfa Hitlera. Przewidział klęskę Niemiec i zmienił nagle front. Z brutalnego mordercy i fanatycznego nadczołowieka czystej krwi aryjskiej zmienił się w skruszonego zawodowego wojskowego, którego napelniały zgrozą zbrodnie nazistów, gdy się o nich rzekomo dowiadywał.

Oszukał wszystkich i oczyszczono go z winy. Nigdy nie trafił na salę sądową w Norymberdze. W okresie zimnej wojny Amerykanie korzystali często z jego usług, dopuszczając go do najściślej strzeżonych tajemnic, a kiedy stworzono nową armię niemiecką mającą wejść w skład NATO, Leifhelma mianowano głównodowodzącym.

-

Czy kilka lat temu nie pisano o nim w prasie? Miał jakieś konflikty z Helmutem Schmidtem, prawda?

-

Owszem - potwierdził emerytowany historyk. - Jednakże artykuły prasowe były cenzurowane i zawierały tylko połowę prawdy. Leifhelm twierdził

jakoby, że przyszłe pokolenia Niemców nie mogą być wiecznie obarczane winą przeszłości. Należy zwrócić się ku przyszłości. Duma narodowa znów po winna stać się częścią wspólnego dziedzictwa. Było także pobrzękiwanie szafką pod adresem Sowietów, ale to w zasadzie wszystko.

- A druga połowa prawdy? - spytał Converse.

-

Żądał całkowitego zniesienia restrykcji Bundestagu wobec sił zbrojnych, rozbudowy służb wywiadowczych opartych na wzorach Abwehry oraz 49

sądowej rehabilitacji ludzi skazanych za głoszenie poglądów nazistowskich.

Domagał się także usunięcia pewnych fragmentów z podręczników szkolnych używanych w niemieckim systemie oświatowym. "Musimy znów poczuć się dumni" -

powtarzał, okraszając wszystko gwałtowną antykomunistyczną retoryką.

-

Podobnie jak Hitler, gdy przejął władzę w Niemczech.

-

Ma pan całkowitą rację. Schmidt przejrzał go i zrozumiał, że realizacja owych postulatów doprowadzi do chaosu. Leifhelm był ponadto człowiekiem wpływowym. Bonn nie mogło sobie pozwolić na wskrzeszenie upiórów przeszłości. Schmidt zmusił Leifhelma do przejścia w stan spoczynku i pozbawił

wszelkiego wpływu na działanie rządu.

-

Mimo to nadal zabiera głos.

-Nie publicznie. Ale jest bogaty i ma wielu przyjaciół.

-

A wśród nich Delavane'a i jego współpracowników?

-

Obecnie zadaje się głównie z nimi.

Joel znów pstryknął zapalniczką, jakby coś sobie przypominał. Przyjrzał się dolnej części kartki. Znajdowały się tam dwie kolumny nazwisk, prawa zatytułowana "Departament Stanu", lewa "Pentagon". Wymieniono w sumie około dwudziestu pięciu ludzi.

-

Kto to? - spytał Joel, gasząc zapalniczkę i chowając ją do kieszeni. - Te nazwiska nic mi nie mówią.

-

Niektóre powinny, ale to nieważne - odparł wymijająco Beale. - Rzecz w tym, że są wśród nich zwolennicy Delavane'a. Wykonują jego rozkazy. Trudno powiedzieć, ilu ich jest, ale co najmniej kilku w każdej grupie. Widzi pan, podejmują oni decyzje (lub też nie sprzeciwiają się decyzjom), bez których Delavane i jego wspólnicy nie mogliby działać.

-

To znaczy?

-

Lewa kolumna zawiera nazwiska kluczowych postaci Biura Kontroli Zbrojeń Departamentu Stanu. Udzielają oni koncesji eksportowych: decydują, kto pod pozorem "interesu narodowego" otrzymuje broń i technologie niedostępne dla innych. Ci po prawej to wysocy rangą urzędnicy Pentagonu, wydający setki milionów dolarów na zakup sprzętu wojskowego. Kilka ich decyzji zakwestionowano w kręgach dyplomatycznych i wojskowych, niektóre otwarcie, inne po cichu. Dowiedzieliśmy się o tym.

-

Dlaczego? - przerwał Converse.

-

Pojawiły się pogłoski, iż udzielono niewłaściwych koncesji eksportowych na duże dostawy broni. Ponadto pewne nadwyżki sprzętu wojskowego zniknęły podczas transportu z tymczasowych magazynów i składów amunicji na odludziu. Takie nadwyżki łatwo rozplywają się w powietrzu, są czymś wstydliwym w epoce ogromnych deficytów budżetowych. Należy się ich czym prędzej pozbyć. Dlatego jeśli pojawi się Akwitańczyk, który chce je zakupić i ma dokumenty w porządku, traktuje się to jako szczęśliwe zrzędzenie losu. W niepowołane ręce trafiają całe magazyny wojskowe.

50

- Do Libii!

- Nie ma co do tego wątpliwości. Do wielu różnych miejsc.

- Wspominał o tym Halliday. Nielegalne transakcje, broń, wyposażenie i dane technologiczne

docierające do ludzi, którzy nie powinni ich posiadać. Na dany znak wkroczą oni do akcji i dojdzie do fali krwawych konfliktów i ataków terrorystycznych...

- Co da pretekst do użycia wojsk - wtrącił Beale. - To część planu Delavane'a.

Władzę przejmie armia, a bezradni cywile będą musieli słuchać rozkazów.

-

Ale przed chwilą wspomniał pan, że zaczęto coś kwestionować.

-

Dociekliwych powstrzymano frazesami w rodzaju "bezpieczeństwo narodowe" czy "dezinformacja przeciwnika".

-

To działalność sprzeczna z prawem. Czy nie można tego dowieść?

-

Kto mógłby dowieść? W jaki sposób?

-

Do diabła, przecież popełniono przestępstwo! Nielegalne koncesje eks portowe, zagubione transporty broni, ginący sprzęt...

-Czy mogą tego dowieść ludzie niedopuszczeni do tajemnic wojskowych, pozbawieni wiedzy o skomplikowanych mechanizmach handlu bronią?

-

To nie ma sensu! - nalegał Joel. - Sam pan powiedział, że sprawą zain teresowali się ludzie z kręgów dyplomatycznych i wojskowych, z pewnością dopuszczeni do tajemnic i mający wymaganą wiedzę.

-Nagle, jak za sprawą czarów, przestali się interesować. Wielu przekonano, że wykraczają poza zakres swoich kompetencji; inni bali się w to wplątywać; jeszcze innych uciszono zwykłymi groźbami. Zawsze stoją za tym konkretni ludzie i ich liczba stale się powiększa.

-

Boże, to przecież organizacja! - wyszeptał Converse.

Naukowiec spojrział nań twardo w świetle księżyca.

-

Owszem, panie Converse, organizacja. Słowem tym posłużył się pewien człowiek, który uważał mnie za jednego z nich. "Zajmie się tym organizacja", powiedział. Miał na myśli Delavane'a i jego ludzi.

-

Dlaczego uważał pana za jednego z nich?

Starzec zamilkł na chwilę. Popatrzył na lśniące Morze Egejskie, a później znów na Joela.

-

Wydawało mu się to logiczne. Przed trzydziestu laty porzuciłem mundur wojskowy, zamieniając go na wyświechtaną marynarkę i rozczochraną brodę profesora uniwersytetu. Wielu moich kolegów nie mogło tego pojąć, bo należałem do elity korpusu oficerskiego i byłem poniekąd amerykańskim odpowiednikiem Ericha Leifhelma. W wieku trzydziestu ośmiu lat mianowano mnie generałem brygady; w przyszłości wszedłbym zapewne do Kolegium Szefów Sztabów. Upadek Berlina i śmierć Hitlera nie zrobiły na Leifhelmie żadnego wrażenia, aleja ciężko przeżyłem ewakuację Korei i rozejm w Phanmudzom.

Zamiast szlachetnej sprawy widziałem tylko straty, zamiast rozsądku bezsens.

Widziałem śmierć, panie Converse, nie bohaterską śmierć w walce przeciwko 51

hordom bestialskich najeźdźców, nawet nie popołudniową śmierć w Hiszpanii przy akompaniamencie okrzyków "ole!", tylko zwykłą śmierć. Śmierć ohydłą, rozszarpującą ciało, i zrozumiałem, że nie mogę dalej pracować w instytucji, która się niąposługuje... Gdybym był człowiekiem wierzącym, zostałbym pewnie księdzem.

-

Ale pańscy koledzy, którzy nie mogli tego pojąć, myśleli, że chodzi o coś innego? - spytał Joel, zafascynowany słowami Beale'a, które tak wiele dla niego znaczyły.

-

Oczywiście. W raportach o ewakuacji chwalił mnie sam święty MacArthur. Nazywano mnie Rudym Lisem z Inczhon. Miałem wówczas rude włosy.

Byłem dobrym dowódcą, potrafiącym działać sprawnie i w sposób przemyślany. Aż pewnego dnia otrzymałem rozkaz zdobycia trzech sąsiadujących wzgórz na południe od Czunczon. Nie miały żadnego znaczenia strategicznego. Wyśłałem do sztabu iskrowkę, że są nikomu niepotrzebne i niewarte życia ani jednego naszego żołnierza. Poprosiłem o uzasadnienie rozkazu, co w języku

wojskowym oznacza: "Zwariowaliście?! Po co mam to robić?!" Za niespełna piętnaście minut nadeszła odpowiedź: "Bo te wzgórza tam są, generale". To wszystko. "Bo te wzgórza tam są". Symboliczne zwycięstwo, by ktoś mógł się nim pochwalić na konferencji prasowej w Seulu... Zdobyłem te wzgórza, tra cąc przy tym trzystu żołnierzy, i otrzymałem kolejny medal za odwagę.

-

Czy wtedy wystąpił pan z wojska?

-

Skądże znowu, nie! Miałem zbyt wielki mętlik w głowie, ale wszystko we mnie kipiało. Nadszedł koniec wojny, byłem w Phanmundzom, a później odesłano mnie do kraju. Wróżono mi wspaniałą karierę. Jednakże odmówiono mi drobnego awansu: nie pojechałem na ważną placówkę zagraniczną, gdyż nie znałem języka. W owym czasie miałem już dość wojska. Przeszedłem po cichu w stan spoczynku i zostałem naukowcem.

Tym razem to Joel milczał przez chwilę i przyglądał się starszemu człowiekowi w świetle księżyca.

-

Nigdy o panu nie słyszałem - rzekł w końcu. - Dlaczego?

-

Nie słyszał pan także o ludziach z dwóch list u dołu strony, prawda?

"Kto to?" - spytał pan. "Te nazwiska nic mi nie mówią". To pańskie słowa, panie Converse.

-

Nie byli nigdy młodymi generałami i bohaterami wojennymi.

-

Wręcz przeciwnie! - odparł prędko Beale. - To bohaterowie kilku wojen. Każdy z nich zabłysnął na chwilę jak meteor, a później popadł w zapo mnienie. Teraz nieustannie wspominają dni swojej chwały i przeżywają je na nowo.

-

Brzmi to tak, jakby ich pan usprawiedliwiał.

-Naturalnie! Myśli pan, że im nie współczuję? Że nie współczuję Cha-imowi Abrahmsowi, Bertholdierowi, nawet Leifhelmowi? Wzywamy ich, gdy wybucha wojna, chwalimy za czyny przekraczające nasze własne możliwości...

-

Ale nie pańskie możliwości. Był pan jednym z nich.

-

Ma pan rację. Właśnie dlatego ich rozumiem. Kiedy nastaje pokój, ska zajmemy ich na nudną wegetację w zapomnieniu. Co gorsza, zmuszamy do tego, by patrzyli na nieudolnych cywilów, których piramidalne brednie przygotowują nową wojnę. A kiedy wreszcie do niej dochodzi, wzywamy naszych bogate rów na pole walki.

-

Boże, po czyjej stronie pan właściwie stoi?!

Beale przymknął oczy, zaciskając powieki tak samo jak Joel, gdy nawiedzały go pewne wspomnienia.

-

Po twojej, głupcze! - odparł cicho historyk. - Ponieważ wiem, do czego są zdolni. Mówiłem poważnie. Jeszcze nigdy nie było epoki takiej jak ta. Nie kompetentni, przerażeni cywile, którzy ciągle o czymś gadają i czegoś szukają, są znacznie lepsi niż jeden z nas... Przepraszam, jeden z nich.

Od strony morza nadleciał podmuch wiatru i wokół stóp Beale'a i Converse'a zawirował piasek.

-

A człowiek, który powiedział, że zajmie się tym organizacja? - spytał

Joel. - O co mu chodziło?

-

Uważali, że mogą mnie wykorzystać. Walczyliśmy razem w Korei, był

wówczas bratnią duszą. Nie wiem, dlaczego przyjechał na wyspę. Może na wakacje, a może mnie szukał, kto wie? Spotkaliśmy się w porcie. Szykowałem się właśnie do wypłynięcia łodzią z zatoki Plati, gdy pojawił się nagle w po rannym słońcu, wysoki, wyprostowany i bardzo wojskowy. "Musimy porozmawiać..." - odezwał się tym samym rozkazującym tonem, jakim przemawiał

zawsze na polu bitwy. Zaprosiłem go do łodzi i wypłynęliśmy powoli z zatoki.

Kiedy znaleźliśmy się daleko od Plati, przedstawił mi plany Delavane'a.

- I co dalej?

Historyk umilkł dokładnie na dwie sekundy.

-

Zabiłem go - odparł po prostu. - Dźgnąłem go nożem do skrobania ryb i rzuciłem ciało na pożarcie rekinom na mieliźnie Stephanos.

Zdumiony Joel spojrział na starca w przyćmionym świetle, które podkreślało jeszcze makabryczny charakter wyznania.

-

Tak po prostu? - spytał półgłosem.

-

Mam w tym wprawę, panie Converse. Nazywano mnie Rudym Lisem z Inczhon. Kiedy należało posunąć się do przodu albo wyeliminować groźbę ze strony przeciwnika, nie wahałem się ani chwili.

-

Zabił go pan?!

-

Nie zrobiłem tego lekkomyślnie. Nie miałem wyboru. Był werbowani kiem i zobaczył w moich oczach milczącą nienawiść. Zobaczył, a ja zrozumiałem, że nie mogę żyć po tym, co usłyszałem. Jeden z nas musiał umrzeć. Zare agowałem po prostu szybciej od niego.

-

Rozumował pan bardzo chłodno.

-

Jako prawnik rozważa pan nieustannie różne możliwości. Czy miałem inne wyjście?

53

Joel potrząsnął ze zdziwieniem głową.

-

Jak poznał pan Hallidaya?

-

Znałem go tylko ze słyszenia. Nigdy go nie spotkałem ani z nim nie rozmawiałem, ale mieliśmy wspólnego przyjaciela.

-

W San Francisco?

-

Często tam przebywa.

-

Kto to?

-

Przykro mi, nie zamierzam o nim mówić.

-

Dlaczego? Skąd ta tajemniczość?

-

Prosił mnie o dyskrecję. W obecnych okolicznościach uważam to ży czenie za rozsądne.

-

Rozsądne?! Co w tym, u licha, rozsądnego?! Halliday zwraca się do człowieka z San Francisco, który przypadkiem zna pana, generała w stanie spoczynku, żyjącego tysiące kilometrów od kraju na wyspie greckiej. Z panem kontaktuje się z kolei jeden z ludzi Delavane'a. To nieprawdopodobny zbieg okoliczności, ale rozsądku nie ma w tym ani za grosz!

-

Niech pan się nad tym nie zastanawia. Proszę to przyjąć na wiarę.

-

Zrobiłby pan to na moim miejscu?

-

W obecnej sytuacji, owszem. Nie mamy już wyboru.

-

Ja mam. Mogę odejść bogatszy o pół miliona dolarów otrzymanych od anonimowego dobroczyńcy. Gdyby zechciał się o nie upomnieć, musiałby ujawnić swoją tożsamość.

-

Nie zrobi pan tego. Wybrano pana bardzo starannie.

-

Bo mam właściwą motywację? Tak to określił Halliday.

-

Szczerze mówiąc, tak.

-

Jesteście świnię, wszyscy!

-

Jeden z nas nie żyje. Jest pan ostatnim człowiekiem, który z nim rozmawiał.

Joel znów poczuł przypływ gniewu, widząc w wyobraźni oczy konającego człowieka.

-

Akwitania... - powiedział cicho. - Delavane... W porządku, wybrano mnie starannie. Co powinienem zrobić na początek?

-

A jak pan sądzi? Jest pan adwokatem, a wszystko należy przeprowadzić zgodnie z prawem.

-

Właśnie o to mi chodzi. Jestem adwokatem, a nie policjantem ani prywatnym detektywem.

-

Wszyscy policjanci krajów, w których żyją czterej ludzie, nie mogliby zrobić tego co pan, nawet gdyby chcieli. A na dodatek ostrzegliby Delavane'a.

-

W porządku, spróbuję - powiedział Converse, składając kartkę z na zwiskami i chowając do wewnętrznej kieszeni marynarki. - Zacznę od samej góry. Od Paryża. Od Bertholdiera.

-

Jacques'a Louisa Bertholdiera - dodał starzec, sięgając do płóciennego plecaka i wyjmując grubą szarą kopertę. - To ostatnia rzecz, jaką możemy 54

panu dać. Wszystko, czego zdołaliśmy się dowiedzieć o tych czterech osobach.

Może się to panu przydać. Ich adresy, samochody, wspólnicy, ulubione kawiarnie i restauracje, upodobania w sferze seksualnej, wszystko, co może dać jakiś punkt zaczepienia... Niech pan wykorzysta te informacje. Powinien pan zdobyć kompromitujące materiały na ich temat, dowody przestępstw, a przede wszystkim wykazać, że nie są solidnymi, godnymi szacunku obywatelami, za jakich uchodzą.

Coś wstydlivego, panie Converse, wstydlivego. To podstawa śmieszności, Preston Halliday miał w tej kwestii całkowitą rację. Przede wszystkim należy ich ośmieszyć.

Joel już zamierzał przytaknąć, lecz urwał nagle i spojrzał badawczo na Beale'a.

-Nie wspomniałem panu o tym, że Halliday mówił o śmieszności.

-

Doprawdy? - zaskoczony historyk zamrugał powiekami w przyćmionym świetle, tracąc na chwilę pewność siebie. - Omawialiśmy oczywiście...

-

Nigdy go pan nie spotkał, nigdy z nim nie rozmawiał - wpadł mu w słowo Joel.

-

Omawiałem różne taktyki działania z naszym wspólnym przyjacielem -

dokończył starzec, odzyskując spokój i patrząc na Joela. - Podstawowa sprawa to śmieszność. Oczywiście, że o tym dyskutowaliśmy.

-

Zawahał się pan na moment.

-

Zbił mnie pan z tropu zdaniem nie na temat. Moje reakcje są wolniejsze niż dawniej.

-

Nie były takie w łodzi koło Stephanos - odezwał się Joel.

-

To zupełnie inna sytuacja, panie Converse. Tylko jeden z nas mógł opuścić tę łódź. Tym razem obaj wrócimy do domu.

-

Dobrze, może trochę przesadzam. Na moim miejscu zachowywałby się pan tak samo. - Converse wyjął z kieszeni paczkę papierosów, podniósł ją nerwowo do ust i wyciągnął zapalniczkę. - Człowiek, którego znałem w dzie ciństwa pod innym nazwiskiem, zwraca się do mnie po latach z niezwykle ofertą. - Zapalił papierosa i zaciągnął się dymem. - Opowiada zwariowaną historyjkę, która jest akurat na tyle prawdopodobna, że nie mogę jej odrzucić.

Najbardziej wiarygodny aspekt całej sprawy to maniak o nazwisku Delavane.

Mój przyjaciel twierdzi, że mogę pomóc go unieszkodliwić i że jeśli wyrażę zgodę, otrzymam mnóstwo pieniędzy od anonimowego człowieka z San Fran cisco, które przekaże mi dymisjonowany generał z modnego kurortu na Morzu Egejskim. Później mój przyjaciel zostaje zamordowany w biały dzień w wino, przeszyty kilkunastoma kulami, i umiera na moich rękach, szepcząc słowo "Akwitania", a drugi mężczyzna, były wojskowy i profesor uniwersytetu, opowiada historyjkę o werbowniku Delavane'a i twierdzi, że zadźgał go nożem do skrobienia ryb, a później rzucił na pożarcie rekinom koło Stephanos czy czegoś w tym rodzaju.

-

Aghios Stephanos - powiedział starzec. - Piękna plaża, znacznie popu larniejsza od tej.

55

-

Do licha, może przesadzam, panie Beale! A może powinienem mówić profesorze albo generale?! To za wiele jak na dwa zwariowane dni! Nagle straciłem całą wiarę w siebie. Nic z tego wszystkiego nie rozumiem, czuję się przy tłoczony, zagubiony i, spójrzmy prawdzie w oczy, cholernie przestraszony!...

-

Niech pan nie komplikuje - powiedział Beale. - Powtarzałem to w kół

ko swoim studentom. Sugerowałem, aby nie patrzyli na całość zagadnienia, lecz raczej na poszczególne ogniwa łańcucha, podążając za nimi, dopóki nie zobaczą pełnego obrazu sprawy. Jeśli im się to nie udawało, winni byli nie oni, tylko ja. Należy działać krok po kroku, panie Converse.

-

Jest pan straszliwie wymagający. Pewnie przestałbym chodzić na pańskie zajęcia.

-Nie wyraziłem tego ładnie. Kiedyś robiłem to lepiej. W badaniach historycznych poszlaki są szalenie ważne.

-

Dla prawnika często stanowią istotę sprawy.

-

Wobec tego niech się pan skupi na poszlakach. Nie jestem prawnikiem, ale czy nie mógłby pan wejść w rolę adwokata, którego klientowi zagrażają siły mogące pogwałcić jego prawa, zburzyć dotychczasowy tryb życia, unie możliwić spokojną egzystencję, jednym słowem, zniszczyć go?

-

To nie takie proste - odparł Joel. - Mój klient nie chce ze mną rozmawiać, nie chce mnie widzieć, nie chce mi nawet powiedzieć, kim jest.

-

Nie jego mam na myśli.

-

W takim razie kogo? Pieniądze należą do niego.

-

To tylko reprezentant pańskiego prawdziwego klienta.

-

A któż to taki?

-

Może to, co pozostało jeszcze z cywilizowanego świata?

Joel przyjrzał się historykowi w srebrzystym świetle.

-

Wspomniał pan przed chwilą, że nie należy patrzeć na całość, tylko na poszczególne ogniwa łańcucha. Przeraza mnie pan.

Beale uśmiechnął się.

-

Mógłbym panu zarzucić błędną konkretyzację, ale tego nie zrobię.

-

To dość wyszukany zwrot. Jeśli uważa pan, że wyrywam wszystko z kontekstu, proszę to powiedzieć, a ja to zakwestionuję. Popadł pan w sprzeczność, panie profesorze.

-

Wielkie nieba, rzeczywiście starannie pana wybrano! Nie pozwala mi pan nawet poczęstować się akademickim środkiem uspokajającym...

Converse odwzajemnił uśmiech historyka.

-

Sympatyczny z pana jegomość, nie ma co mówić, panie doktorze! Gdy by był pan prawnikiem, wolałbym nie siedzieć naprzeciwko pana przy stole rokowań.

-

Z pewnością przecenia pan moje zdolności - odparł Edward Beale, prze stawszy się uśmiechać. -
Dopiero zaczyna pan pracę.

-

Ale wiem już, czego szukać. Muszę badać ogniwo po ogniwie, aż utwo rzą łańcuch i wyłoni się całość. Skoncentruję się na koncesjach eksportowych 56

i ludziach, którzy je wydają, a później powiązę kilka nazwisk z interesami Delavane'a w Pało Alto. Wówczas zniszczymy go zgodnie z prawem. Żadnych męczenników, szlachetnych spraw ani zdradzonych bohaterów wojennych, tylko zwykli nikczemni spekulanci, którzy udają wielkich patriotów, by nabijać sobie kieszenie w zupełnie niepatriotyczny sposób. Czyż mogą mieć inne motywy?

Ośmieszysz ich to, doktorze Beale, bo nie będą w stanie udzielić prawdziwej odpowiedzi.

Oszołomiony starzec zmarszczył czoło i pokiwał głową.

-

Cóż, profesor został z powrotem studentem - powiedział z wahaniem. -

Jak chce pan tego dokonać?

-

Tak jak dziesiątki razy w trakcie negocjacji handlowych... tyle że zamie rzam posunąć się krok dalej. Podczas rokowań postępuję jak każdy inny praw nik: próbuję odgadnąć, co chcą osiągnąć moi przeciwnicy po drugiej stronie stołu i dlaczego. Nie interesuje mnie, co chce osiągnąć moja strona, tylko moi adwersarze. O czym myślą? Widzi pan, panie doktorze, próbuję się w nich wczuć, stawiam się na ich miejscu, ani na sekundę nie pozwalając im o tym zapomnieć.

To niesłychanie denerwujące. Kiedy mój oponent coś mówi, robię notatki na marginesach, czy to coś ważnego, czy nie... Ale tym razem będę postępować inaczej. Nie zamierzam szukać przeciwników, tylko sojuszników. Zwolenników pewnej idei, idei Delavane'a. Zacznę od Paryża, później przeniosę się do Bonn albo Tel Awiwu, wreszcie zapewne do Johannesburga. A kiedy dotrę do Akwitańczyków, nie będę próbował się w nich wczuć. Stanę się jednym z nich.

-

Bardzo odważna taktyka. Gratuluję panu.

-

Jedyna możliwa, skoro zastanawiamy się nad tym, co mam robić. Posia dam ponadto mnóstwo pieniędzy, które mogę wydawać, nie rozrzutnie, ale efektywnie, jak życzyłby sobie mój anonimowy klient. Nieznany, stojący w cie niu, ale zawsze obecny. - Joel umilkł, gdyż uderzyła go pewna myśl. - Wie pan, doktorze? Cofam wszystko, co powiedziałem. Nie chcę znać tożsamości swojego klienta z San Francisco. Zamierzam wymyślić własnego mocodawcę, a znajomość prawdy mogłaby zniekształcić obraz, jaki noszę w głowie. Na wiasem mówiąc, proszę mu przekazać, że rozliczę się szczegółowo ze wszystkich wydatków i zwrócę resztę pieniędzy tą samą drogą, jaką je otrzymałem.

Przy pomocy pańskiego przyjaciela Laskarisa z banku na Mikonos.

-

Ale przecież przyjął pan pieniądze - zaprotestował Beale. - Nie ma powodu...

-

Chciałem się przekonać, czy są rzeczywiste. Czy rzeczywisty jest mój klient. Będę potrzebował

mnóstwa pieniędzy, bo zamierzam stać się kimś, kim nie jestem, a pieniądze to najbardziej wiarygodny sposób... Nie, panie dokto rze, nie wezmę niczego od pańskiego przyjaciela... Chcę dostać Delavane'a.

Chcę dostać władcę Sajgonu... Ale posłużę się tymi pieniędzmi, podobnie jak wizerunkiem swojego klienta. Wszystko po to, by przeniknąć do organizacji.

-

Skoro najpierw zamierza pan pojechać do Paryża i skontaktować się z Bertholdierem, powinien pan wiedzieć, że prawdopodobnie jest on bezpośrednio 57

związany ze zniknięciem pewnego transportu broni. Może warto od tego zacząć.

Jeśli się nie mylimy, ilustruje to w pomniejszonej skali wszystko, co zamierzają nam zgotować.

-

Czy są tu dane na ten temat? - spytał Converse, pukając palcem w grubą szarą kopertę zawierającą informacje o generałach.

-

Nie, sprawa wyszła na jaw dopiero dziś wczesnym rankiem. Pewnie nie słuchał pan dziennika, prawda?

-

Znam tylko angielski. Gdybym usłyszał dziennik, nawet bym się nie zorientował. Co się stało?

-

Płonie cała Irlandia Północna. Doszło do największych zamieszek od piętnastu lat. Leje się krew. Grupy zbrojnych ochotników, które opanowały Belfast, Ballyclare, Domorę i góry Mourne, włóczą się po ulicach i w terenie, strzelając do wszystkiego, co się rusza, i zabijając z wściekłości każdego, kto stanie im na drodze. Zapanowała kompletna anarchia. Rząd Ulsteru ogarnęła panika, parlament jest bezsilny i zdesperowany. Wszyscy gorączkowo szukają jakiegoś rozwiązania. Będzie ono polegać na masowym użyciu wojska.

-

Co to ma wspólnego z Bertholdierem?

-

Proszę posłuchać uważnie - rzekł historyk, robiąc krok do przodu. -

Osiem dni temu z Beloit w stanie Wisconsin wyeksponowano drogą powietrzną transport amunicji złożony z trzystu skrzyń bomb kulkowych i dwóch tysięcy kartonów materiałów wybuchowych. Miał on polecieć do Tel Awiwu przez Montreal, Paryż i Marsylię. Nigdy nie dotarł do miejsca przeznaczenia, a agenci Mosadu ustalili, że do Marsylii przesłano tylko faktury handlowe. Broń zniknęła w Montrealu albo Paryżu i jesteśmy przekonani, że przekazano ją organizacjom terrorystycznym w Irlandii Północnej, zarówno tymczasowemu skrzydłu IRA, jak i protestantom.

-

Dlaczego tak sądzicie?

-

Pierwsi zabici i ranni, przeszło trzystu mężczyzn, kobiet i dzieci, padli ofiarą bomb kulkowych. To niezbyt przyjemna śmierć, a zranienie jest jeszcze gorsze, gdyż rozrywają one ciało na strzępy. Doszło do ogólnej hysterii, która zaczyna się rozszerzać. Ulster wymknął się spod kontroli, rząd jest kompletnie sparaliżowany. A wszystko w ciągu jednego dnia, jednego jedyne go dnia, pa nie Converse!

-

Sprawdzają, czy są w stanie urzeczywistnić swój plan - rzekł cicho Joel ze ściśniętym gardłem.

-

Owszem - zgodził się Beale. - To sprawdzian, pomniejszona ilustracja horroru, do jakiego zamierzają doprowadzić.

Converse zmarszczył brwi.

-

Co łączy Bertholdiera ze zniknięciem transportu?

-

Kiedy samolot z ładunkiem znalazł się nad terytorium Francji, opiekę nad nim przejęło towarzystwo asekuracyjne, w którego radzie nadzorczej zasiada Bertholdier. Któż jest mniej podejrzany od firmy zmuszonej do pokrycia strat i mającej dostęp do ładunku? Firma ubezpieczeniowa wypłaciła przeszło 58

cztery miliony franków odszkodowania, nie na tyle dużo, by pisała o tym prasa, lecz wystarczająco wiele, by rozwiać wszelkie podejrzenia. A później przekazano broń terrorystom, co doprowadziło do

masowej rzezi.

-

Jak się nazywa to towarzystwo asekuracyjne?

-

Compagnie Solidaire. Solidaire to jedno z ważniejszych ogniw, podobnie jak Beloit oraz Belfast.

-

Miejmy nadzieję, że zdołam spytać o to Bertholdiera. Ale muszę to zrobić we właściwym momencie. Spróbuję złapać rano samolot z Aten do Paryża.

-Niechaj towarzyszą panu najlepsze życzenia starego człowieka, panie Converse.

Sprawa jest pilna. Pozostało nam trzy do pięciu tygodni. Później dojdzie do wybuchu. Cokolwiek się stanie, czeka nas powtórzenie scenariusza z Irlandii Północnej w dziesięć tysięcy razy większej skali. Groźba jest rzeczywista i mamy coraz mniej czasu.

Valerie Charpentier obudziła się nagle z rozszerzonymi oczyma i napiętą twarzą, wsłuchując się w dalekie dźwięki, które zagłuszyły cichy plusk fal. Spodziewała się, że lada chwila zawyją syreny alarmowe podłączone do wszystkich drzwi i okien willi.

Jednakże panowała cisza, choć przedtem rozległy się dźwięki na tyle głośne, że obudziły Valerie. Odrzuciła kołdrę, wstała z łóżka i podeszła niepewnie do szklanych drzwi na balkon, z którego rozciągał się widok na kamienistą plażę, molo i Ocean Atlantycki.

Był tam znowu. Kołyszące się, przyćmione latarnie oświetlały jacht zakotwiczony dokładnie tam, gdzie przedtem. Przez dwa dni pływał on tam i z powrotem wzdłuż brzegu, zawsze w zasięgu wzroku, najwyraźniej zainteresowany tylko tą częścią wybrzeża Massachusetts. Drugiego dnia o zmroku rzucił kotwicę zaledwie czterysta metrów od domu. Teraz wrócił. Wrócił po trzech dniach.

Trzy dni temu Valerie zatelefonowała na policję, która skontaktowała się z kolei z posterunkiem straży przybrzeżnej w Cape Ann, skąd nadeszło niejasne i mało przekonujące wyjaśnienie. Jacht, zarejestrowany w stanie Maryland, należał do oficera armii Stanów Zjednoczonych. Nie istniały żadne podstawy do wszczęcia oficjalnych działań, gdyż jacht nie zachowywał się podejrzanie ani prowokująco.

-Ajauważam go za cholernie prowokujący i podejrzany!-odparła ostro Val. - Obcy statek pływa dwa dni z rzędu wzdłuż tego samego kawałka plaży, a później kotwiczy tak blisko mojego domu, że można by się tam dostać w pław...!

-Nieruchomość, którą pani wynajmuje, sięga tylko siedemdziesiąt metrów w morze -

odpowiedział funkcjonariusz. - Przykro mi, nie możemy nic zrobić.

Następnego dnia o świcie Val poczuła, że musi jednak coś zrobić. Spojrzała na jacht przez lornetkę, po czym krzyknęła cicho i odsunęła się od szklanych 59

drzwi. Na pokładzie stało dwóch mężczyzn, którzy wpatrywali się w willę przez potężne lornety. Obserwowali sypialnię na piętrze i Valerie.

Sąsiadka mieszkająca nieco dalej zainstalowała niedawno w domu system alarmowy.

Była także rozwódką, lecz pokłóciła się z mężem i trojgiem dzieci, toteż uważała to za konieczność. Val zatelefonowała najpierw do sąsiadki, a później do firmy zajmującej się ochroną mienia. Tego samego dnia zainstalowano aparaturę tymczasową i zaczęto przygotowywać urządzenia mające działać na stałe.

Rozległ się przytłumiony dzwon o miłej tonacji. Dochodził z pokładu jachtu w ciemności. To właśnie jego dźwięki obudziły Valerie. Wsłuchiwała się w nie z ulgą, a zarazem z dziwnym niepokojem. Gdyby nieznajomi na morzu mieli złe zamiary, nie obwieszczaliby wszem wobec swojej obecności. Ale przecież wrócili i rzucili kotwicę zaledwie kilkaset metrów od brzegu. Przybyli po ciemku, gdyż księżyc zasłoniły gęste chmury. Zachowywali się tak, jakby chcieli poinformować Valerie, że ją obserwują. Czekali na coś.

Na co? O co tu właściwie chodzi? Przed tygodniem w słuchawce telefonu panowała przez siedem godzin martwa cisza. Kiedy Valerie zadzwoniła od przyjaciółki do centrali, pracownik biura napraw stwierdził, że nie ma żadnej awarii. Linia jest sprawna.

- Może dla pana, ale nie dla mnie, a pan nie płaci rachunków.

Wróciła do domu. Telefon był nadal głuchy. Znów zadzwoniła do centrali, tym razem stawiając sprawę ostrzej, i otrzymała tę samą odpowiedź. Żadnych usterek.

W dwie godziny później w słuchawce ni stąd, ni zowąd rozległ się sygnał: telefon zaczął działać. Valerie przypisała całą sprawę kiepskiemu wyposażeniu centrali na odludziu. Teraz nie wiedziała, co myśleć o widmowym jachcie kołyszącym się naprzeciwko domu.

Raptem ujrzała w przyćmionym świetle człowieka wychodzącego z kabiny na pokładzie. Przez chwilę krył się w mroku; później coś błysnęło. Zapalka. Ognik papierosa. Na jachcie stał nieruchomo człowiek palący papierosa. Był zwrócony twarzą w stronę domu, jakby go obserwował. Czekał na coś.

Val zadygotała, przesunęła ciężki fotel i postawiła go przed oszklonymi drzwiami, w pewnej odległości od szyby. Zdjęła z łóżka lekki koc, owinęła się nim, usiadła w fotelu i zaczęła patrzeć na jacht. Gdyby statek albo ktoś z załogi zbliżył się do brzegu, nacisnęłaby guzik systemu alarmowego. Syreny zamontowane wewnątrz i zewnątrz domu wydawały przeszywający dźwięk, a ich wycie zagłuszało szum morza i plusk fal, wypełniając całą plażę przerażającym, przytłaczającym rykiem.

Val zastanawiała się, czy uruchomi je tej nocy.

Nie czuła paniki. Nauczyła się tego od Joela, choć często miała ochotę wrzasnąć rozzwierająco na ciemnych ulicach Manhattanu. Co pewien czas zdarzało się nieuniknione. Zaczepiali ich narkomani albo drobni opryszkowie. Joel zachowywał

zawsze spokój, lodowaty spokój: stawał wraz z Valerie pod ścianą i podawał

napastnikowi tani, zapasowy portfel z kilkoma banknotami, który nosił na takie okazje w tylnej kieszeni. Boże, był zimny jak lód! Może 60

właśnie dlatego nigdy ich nie pobito, gdyż rabusie nie wiedzieli, co kryje się za chłodnym, ponurym wzrokiem.

-

Powinam krzyczeć! - zawołała raz Valerie.

-

Nie - odparł Joel. - Wtedy byś go przestraszyła. Wpadłby w panikę, a ci dranie stają się wówczas śmiertelnie niebezpieczni.

Czy ludzie na łodzi są niebezpieczni? A może to po prostu początkujący żeglarze, którzy trzymają się brzegu, ćwiczą zwroty przez sztag i dla bezpieczeństwa kotwiczą tuż przy plaży, czując niepokój, że może się temu sprzeciwić właściciel? Nie są zapewne na tyle zamożni, by zatrudnić kapitana, a kilka kilometrów stąd na północ i na południe znajdują się doki, gdzie można dokonać napraw, lecz nie zacamować.

Czy człowiek palący papierosa na pokładzie to wojskowy uczący się żeglarstwa i stojący spokojnie na kotwicy? To oczywiście możliwe, podobnie jak wszystko inne.

Letnie noce wywoływały specyficzny nastrój osamotnienia, prowadzący do dziwacznych rojeń. Valerie spacerowała po plaży i myślała zbyt wiele.

Joel wyśmiałby jej bujną wyobraźnię malarki, która nie kieruje się logiką ani ustalonym planem. I miałby niewątpliwie rację. Ludzie na łodzi denerwują się prawdopodobnie bardziej od niej. Są intruzami, którzy znaleźli spokojną przystań w zasięgu wzroku wrogich tubylców. Dowiedzieli się o telefonie do straży przybrzeżnej i wrócili na miejsce, z którego nikt ich nie wyganiał. Dobrze wiedziała, co zrobiłby Joel, gdyby przebywał z nią w domu. Zszedłby na brzeg i krzyknął do żeglarzy, by wpadli do nich na drinka.

Kochany Joelu, głupi Joelu, Joelu zimny jak sople lodu. Bywałeś miłutki. I zabawny, straszliwie

zabawny, nawet gdy nie zachowywałeś się miło. Tęsknię za tobą w pewien sposób, kochanie. Ale niedostatecznie mocno.

Tylko skąd się bierze ten ciągły, instynktowny niepokój? Niewielki jacht na morzu stanowił magnes przyciągający Valerie tam, gdzie nie miała ochoty się znaleźć.

Nonsens! Bujna wyobraźnia malarki!

Głupi Joelu, Joelu zimny jak lód!...

Przestań, na miłość boską! Zachowuj się rozsądnie!

Znów przeszedł ją dreszcz. Początkujący żeglarze nie pływają nocą koło nieznanymi brzegów.

Znajdowała się w polu przyciągania magnesu, dopóki nie zaczęły kleić jej się powieki i nie zapadła w ciężki sen.

Zbudziło ją oślepiające słońce wlewające się do sypialni przez oszklone drzwi.

Panowało miłe ciepło. Spojrzała na morze. Jacht odpłynął i zaczęła się zastanawiać, czy naprawdę kotwiczył wczoraj naprzeciwko jej domu.

Owszem, kotwiczył. Ale odpłynął.

61

Rozdział 3

Boeing 747 oderwał się od pasa na ateńskim lotnisku Helikon i wzbił się gwałtownie w niebo. W dole, wyraźnie widoczna, leżała baza powietrzna amerykańskiej marynarki wojennej, sąsiadująca z olbrzymim polem startowym.

Powstała pod auspicjami NATO, choć w ciągu ostatnich kilku lat znacznie zmniejszono załogę i liczbę stacjonujących samolotów. Mimo to dalekosiężne myśliwce wyposażone w elektroniczne oczy nadal krążyły nad Morzem Śródziemnym, Jońskim i Egejskim. Rząd grecki, aczkolwiek niechętny obecności wojsk amerykańskich, niepokoił się innymi elektronicznymi oczami na północy.

Wyglądając przez okno, Converse dostrzegł na ziemi sylwetki znajomych maszyn. Po przeciwnych stronach podwójnego pasa startowego stały rzędy fantomów F-4T i A-6E, ulepszonych wersji F-4G oraz A-6A, którymi latał podczas wojny.

Tak łatwo wrócić do przeszłości, pomyślał, obserwując trzy myśliwce, które zaczęły kołować w

dole. Podążały na koniec pasa startowego, za chwilę w niebo wzbije się kolejny patrol. Zaświerzbiały go dłonie i zaczął poruszać w wyobraźni grubą, wydrążoną manetką, naciskać przełączniki i spoglądać na zegary, sprawdzając, czy wszystko działa jak należy. Wreszcie rozlegał się ryk silnika, na jego plecy napierała potworna siła, a on sam czuł się jak w brzuchu wysmukłej, lśniącej bestii, pragnącej wyrwać się na wolność i wzbic się w niebo, stanowiące jej naturalny żywioł.

Ostateczna kontrola, wszystkie układy sprawne, jest pozwolenie na start. Wyz wól się, bestio! Wyzwól swoją siłę! Samolot toczy się po pasie! Szybko, coraz szybciej, ziemia rozmazuje się, pokład lotniskowca staje się smugą szarości, w dole błękitne morze, w górze błękitne niebo. Wyzwól się, bestio! Wyzwól mnie!

Zastanawiał się, czy potrafiłby jeszcze pilotować myśliwiec, czy nie poszły na marne setki godzin ćwiczeń. Po zwolnieniu ze służby w marynarce, kiedy studiował

w Massachusetts i Karolinie Północnej, jeździł często na niewielkie lotniska i latał małymi jednosilnikowymi maszynami, aby zapomnieć o

stresach i odnaleźć na kilka minut błękitną wolność. Nie miał jednak poczucia, że stawia czoło wyzwaniu lub okiełznuje wszechmocną bestię. Później skończyło się to... na długi, długi czas. Nie jeździł w weekendy na lotnisko, nie bawił się smukłymi samolocikami należącymi do firmy. Dał słowo honoru.

Żonę przerażało latanie. Valerie nie potrafiła wpasować godzin spędzonych przez Joela w powietrzu we własną wizję świata. Przynależał jej, że nigdy więcej nie wejdzie na skrzydło i do kabiny, co było jednym z nielicznych gestów zrozumienia w ich małżeństwie. Nie przejmował się tym do chwili, gdy się zorientował, gdy oboje się zorientowali, że coś się popsuło. Kiedy tylko nadszła okazja, zaczął jeździć na lotnisko Teterboro w stanie New Jersey i

latać, na czym tylko mógł, szukając błękitnego wyzwolenia. Mimo to nawet 62

wtedy (zwłaszcza wtedy) nie miał poczucia, że stawia czoło wyzwaniu albo bestii, chyba że sobie...

Ziemia w dole zniknęła, a boeing wyrównał kurs i jął się wspinać na zaplanowaną wysokość. Converse odwrócił się od okienka i usiadł wygodnie w fotelu. Znak PALENIE WZBRONIONE zgasł nagle, a Joel wyjął z kieszeni koszuli paczkę papierosów i chwycił jednego zębami. Pstryknął zapalniczką, a dym rozwiął się błyskawicznie w podmuchach powietrza z dysz nad siedzeniem. Spojrzał na zegarek: było wpół do pierwszej. Samolot miał wylądować na Orły o piętnastej trzydzieści czasu paryskiego. W ciągu trzygodzinnego lotu Joel zamierzał przestudiować dane na temat generała Jacques'a Louisa Bertholdiera, rezydenta Akwitania w Paryżu, jeśli Beale i zamordowany Halliday mówili prawdę.

Na lotnisku Helikon zrobił coś, co nie przychodziło mu przedtem do głowy i kojarzyło się raczej z gwiazdami filmowymi albo idolami rocka. Lęk, ostrożność i nadmiar pieniędzy skłoniły go do

kupienia dwóch miejsc pierwszej klasy sąsiadujących z własnym fotelem. Nie chciał, aby ktoś zerkał mu przez ramię podczas lektury. Zeszłej nocy na plaży stary Beale przedstawił sytuację przerażająco jasno. Gdyby pojawił się bodaj cień prawdopodobieństwa, że przewożone przezeń materiały wpadną w niepowołane ręce, powinien je zniszczyć za wszelką cenę. Były to poufne dane personalne o ludziach, którzy mogli zarządzić masowe egzekucje, podnosząc słuchawkę telefonu.

Joel sięgnął do teczki, której skórzana rączka była nadal przepocona po rannym pobycie na Mikonos. Pierwszy raz w życiu docenił wartość wynalazku, z którym stykał się jak dotąd tylko w filmach i powieściach. Gdyby mógł przykuć sobie rączkę teczki do nadgarstka, czułby się znacznie bezpieczniej.

Jacques Louis Bertholdier, pięćdziesiąt dziewięć lat, jedyny syn Alphon-se'a i Marie Therese Bertholdier, przyszedł na świat w szpitalu wojskowym w Dakarze.

Jego ojciec był zawodowym oficerem armii francuskiej odznaczającym się ponoć autokratyzmem i zamiłowaniem do surowej dyscypliny. O matce wiadomo niewiele, choć istotny jest może fakt, że sam Bertholdier nigdy o niej nie wspomina, jakby chciał o niej zapomnieć. Generał przeszedł przed czterema laty w stan spoczynku w wieku pięćdziesięciu pięciu lat i piastuje obecnie stanowisko dyrektora spółki Juneau et Cie, firmy maklerskiej przy Bourse des Valeurs, giełdzie paryskiej.

Bertholdier spędził dzieciństwo w sposób typowy dla rodziny wojskowej. Ojca przierzucano stale z garnizonu do garnizonu, a syn korzystał z przywilejów związanych z jego rangą i stanowiskiem. Otaczali go służący i ordynansi gotowi wykonać każdy rozkaz. Jedyna różnica tkwiła być może w charakterze samego chłopca. W wieku pięciu lat znał podobno całą musztrę, a w wieku dziesięciu recytował z pamięci regulaminy wojskowe.

W 1938 roku rodzina Bertholdierów znalazła się z powrotem w Paryżu, ojciec zaś rozpoczął pracę w sztabie generalnym. Była to niespokojna epoka, 63

gdyż zbliżała się wojna z Niemcami, a starszy Bertholdier był jednym z nielicznych wyższych oficerów, którzy mieli świadomość, że nie da się utrzymać Linii Maginota. Nie ukrywał swoich poglądów, toteż oburzeni koledzy spowodowali, że odkomenderowano go do służby liniowej jako dowódcę Czwartej Armii, rozmieszczonej wzdłuż północno-wschodniej granicy państwa Starszy Bertholdier poległ w piątym tygodniu wojny. Syn miał wówczas szesnaście lat i uczęszczał do szkoły w Paryżu.

Upadek Francji w czerwcu 1940 roku stanowi cenzurę dojrzałości naszego bohatera.

Wstąpił do Resistance jako łącznik, a następnie walczył przez cztery lata w ruchu oporu i awansował w końcu na dowódcę odcinka Paryz-Cala-is Często odwiedzał potajemnie Anglię, aby koordynować z Wolną Francją i wywiadem brytyjskim operacje szpiegowskie i sabotażowe. W lutym 1944 roku de Gaulle nadał

mu stopień majora czasu wojny. Bertholdier miał wówczas dwadzieścia lat.

Kilka dni przed wyzwoleniem Paryża przez wojska koalicji antyhitlerowskiej został ciężko ranny w potyczce z wycofującymi się oddziałami niemieckimi i do końca wojny przebywał w szpitalu. Po kapitulacji Rzeszy skierowano go do akademii wojskowej w St Cyr, gdyż de Gaulle uważał to za stosowną nagrodę dla młodego bohatera ruchu oporu. Po ukończeniu szkoły w dwudziestym czwartym roku życia mianowano go kapitanem w korpusie oficerów zawodowych. Pełnił służbę na stanowiskach dowódczych w Dra Hamada w Maroku, w Algierze, później po przeciwnej stronie globu w garnizonach Hajfon-gu, wreszcie we francuskich strefach okupacyjnych w Wiedniu i Berlinie Zachodnim. Pobyt w Berlinie łączy się z osobą feldmarszałka Encha Leifhelma. Zawarli wówczas przyjaźń, choć od chwili przejścia w stan spoczynku zaprzeczają, że się znają.

Converse wolał nie zajmować się na razie Leifhelmem i pomyślał o młodym Jacques'u Louisie Bertholdierze. Chociaż był cywilem z krwi i kości, w dziwny sposób potrafił się wczuć w wojskowego, którego biografię studiował. Nie był

bohaterem, lecz uznano go za jednego z nielicznych bohaterów wojny, w której miano to uzyskiwali najczęściej ci, co wpadli do niewoli. Rozgłos i wynikające z niego przywileje wywoływały niebezpieczne zapatrzenie w siebie. Na początku Joel czuł się zażenowany, później pogodził się ze swoją sytuacją, wreszcie uznał ją za coś oczywistego i należnego. Sława wnet uderzyła mu do głowy, a przywileje stawały się czymś normalnym. A kiedy rozgłos zaczął słabnąć, pojawiła się frustracja i pragnienie jego odzyskania.

Były to emocje kogoś, kto nie pożądał władzy. Joel marzył o sukcesie, lecz nie o władzy. Ale co w takim razie czuł człowiek ukształtowany przez jej pragnienie, uprzywilejowany od najwcześniejszego dzieciństwa, który zabłysnął jak meteor w niesłychanie młodym wieku? Jak ktoś tego pokroju reaguje na sławę i postępy swojej kariery? Takiemu człowiekowi niełatwo cokolwiek odebrać: jego frustracja może się zmienić we wściekłość. A mimo

64

to Bertholdier opuścił armię z własnej woli w wieku pięćdziesięciu pięciu lat, gdy był jeszcze stosunkowo młody jak na swoje stanowisko. Nie pasowało to do sylwetki współczesnego Aleksandra Wielkiego. Obraz nie był jeszcze pełny.

W błyskawicznej karierze Bertholdiera dużą rolę odegrała umiejętność wykorzystywania sprzyjających okoliczności. Po służbie w Dra Hamada i w Algierze odkomenderowano go do Indochin, gdzie francuskie siły kolonialne toczyły ciężkie walki z partyzantami. W Sajgonie i Paryżu zaczęło być głośno o

wyczynach bojowych Bertholdiera. Dowodzone przezeń oddziały odniosły kilka rzadkich, lecz bardzo potrzebnych zwycięstw, które nie mogły co prawda zmienić biegu wojny, lecz przekonały zatwardziały militarystów, że gdy by rząd w Paryżu wzmocnił armię w Wietnamie, odważne i wyćwiczone oddziały francuskie mogłyby pokonać słabsze wojska azjatyckie. Kapitulacja Dien Bien

Phu stanowiła gorzką pigułkę dla ludzi twierdzących, że Francja została upokorzona przez zdrajców z Quai d'Orsay. Pułkownik Bertholdier zakończył

wojnę jako jeden z jej nielicznych bohaterów, jednakże był na tyle mądry czy ostrożny, że nie przyłączył się do jastrzębi, przynajmniej otwarcie. Twierdzi się często, że czekał na sygnał, który nigdy nie nadszedł. Znowu wysłano go za granicę, tym razem na placówki w Wiedniu i Berlinie Zachodnim.

Jednakże w cztery lata później zrzucił maskę tworzoną z taką konsekwencją Jak sam stwierdził, był "rozgoryczony i zawiedziony" porozumieniem de Gaulle'a z Algierczykami dążącymi do niepodległości, wstąpił do OAS, kierowanej przez zbuntowanego generała Raoula Salana i gwałtownie zwalczającej rzekomą "politykę zdrady narodu". Podczas owego rewolucyjnego epizodu w swoim życiu uczestniczył w przygotowaniach do zamachu na de Gaulle'a. Kiedy w kwietniu 1962 roku Salana aresztowano, a buntownicy ponieśli klęskę, Bertholdierowi znowu udało się wyjść bez szwanku. Z niewiadomych przyczyn de Gaulle nakazał przewieźć go z więzienia na Quai d'Orsay. Nigdy nie ujawniono, o czym rozmawiali, jednakże Bertholdierowi przywrócono stopień wojskowy. De Gaulle skomentował to publicznie tylko na konferencji prasowej czwartego maja 1962 roku. Spytany o powody przywrócenia do łask zbuntowanego oficera, odparł (w dosłownym przekładzie) "Wielkiemu żołnierzowi i patriocie należy przebaczyć błędną decyzję. Rozmawialiśmy.

Jesteśmy usatysfakcjonowani". Nie powiedział na ten temat nic więcej.

Przez następne siedem lat Bertholdier, awansowany tymczasem na generała, pracował na różnych odpowiedzialnych placówkach zagranicznych, pełniąc obowiązki wojskowego charge d'affaires ambasad francuskich w ważnych państwach należących do NATO. Wzywano go często na Quai d'Orsay

towarzyszył de Gaulle'owi na konferencjach międzynarodowych, zawsze wi doczny na fotografiach w prasie, zwykle około metra od prezydenta. Chociaż wkład Bertholdiera w owe konferencje wydaje się znaczny, po ich zakończeniu odsyłano go zawsze na poprzednie stanowisko i podejmowano kluczowe 65

decyzje bez jego udziału. Odnosiło się wrażenie, że jest nieustannie przygotowywany do odegrania ważnej roli, lecz nigdy nie zostaje do niej powołany. Czyżby właśnie na taki sygnał czekał przed siedmiu laty w Dien Bien Phu? Pytanie to pozostaje jak dotąd bez odpowiedzi, lecz stanowi w naszym mniemaniu niezmiernie ważną kwestię.

Kariera Bertholdiera uległa zwichnięciu po dramatycznym ustąpieniu de Gaulle'a po klęsce w referendum w sprawie zasad reformy konstytucyjnej w 1969 roku. Do chwili przejścia w stan spoczynku zajmował stanowiska z dala od ośrodków władzy.

Rachunki bankowe, karty kredytowe oraz listy pasażerów wskazują, że w ciągu ostatniego półtora roku odwiedził następujące miasta: Londyn (trzykrotnie), Nowy Jork (dwukrotnie), San Francisco (dwukrotnie), Bonn (trzykrotnie), Johannesburg (raz) i Tel Awiw (raz, w drodze do Johannesburga). Sensowych podróży jest jasny.

Pokrywają się one ze sferami wzmożonej aktywności siatki generała Delavane'a.

Converse potarł oczy i zadzwonił po coś do picia. Czekając na szklaneczkę szkockiej, przejrzał kilka następnych paragrafów. Nie wydawały się szczególnie ważne, gdyż miał już dość informacji o Bertholdierze. Kilka ultrakonserwatywnych grup usiłowało wciągnąć generała do walki politycznej, lecz próby te zakończyły się niepowodzeniem. Jak widać, ostateczny sygnał nigdy nie nadszedł. W wieku pięćdziesięciu pięciu lat Bertholdier podał się do dymisji i objął stanowisko dyrektora dużej firmy maklerskiej przy giełdzie paryskiej, figuranta imponującego bogaczom i odstraszaającego socjalistów blaskiem swojej legendy.

Porusza się wszędzie samochodem służbowym (granatowym amerykańskim lincolnemcontinentalem o numerze rejestracyjnym 100-1). Jego podróże odbywają się zawsze wedle z góry określonego planu, którego ściśle przestrzega. Bywa w restauracjach Taillevent, Ritz, Julien i Lucas Carton. Trzy, cztery razy na tydzień jada lunch w Les Etalons Blancs, ekskluzywnym klubie, do którego należą wyłącznie najwyżsi wojskowi, niedobitki arystokracji oraz parweniusze, którzy obracają się w tym towarzystwie za ciężkie pieniądze.

Joel uśmiechnął się pod wąsem. Autor dossier nie był pozbawiony poczucia humoru.

Mimo to nadal czegoś brakowało. Prawniczy umysł Converse'a dostrzegał pewną lukę. Jakiego sygnału nie otrzymał Bertholdier w Dien Bien Phu? Co powiedzieli sobie władczy de Gaulle i zbuntowany pułkownik? Dlaczego wyznaczano go stale na odpowiedzialne stanowiska, lecz nie dopuszczono do władzy? Przygotowano go do odegrania ważnej roli, przebaczone mu, nadano

stopień generała, a później odtracono? W biografii Bertholdiera kryła się zagadka, której Joel nie potrafił

rozszyfrować.

Doszedł do ostatniego akapitu, który stanowił jedynie uzupełnienie portretu, lecz nie zawierał wielu istotnych informacji.

66

Życie prywatne generała nie jest przedmiotem naszych zainteresowań, jego małżeństwo ma charakter czysto konwencjonalny: jest korzystne dla obydwu stron pod względem towarzyskim, finansowym i zawodowym. To związek oparty wyłącznie na wspólnocie interesów. Bertholdierowie nie mają dzieci, a chociaż małżonka generała towarzyszy mu często podczas oficjalnych uroczystości, nie zaobserwowano, by rozmawiali kiedykolwiek na tematy osobiste. Bertholdier nigdy nie wspomina o żonie, podobnie jak o matce. Może świadczy to o głęboko zakorzenionej niechęci, lecz nie posiadamy żadnych danych na ten temat.

Zwłaszcza że generał to słynny kobieciarz, mający niekiedy aż trzy utrzymanki naraz, a ponadto wiele przelotnych romansów. Między przyjaciółmi znany jest jako Le Grand Jimon, a jeśli czytelnik potrzebuje przekładu, radzimy wypić drinka na Montpamasse.

Owa kusząca propozycja kończyła biografię Bertholdiera, pełnając dotąd znaków zapytania. Dokument opisywał przebieg kariery generała, lecz nie przyczyny takiego czy innego obrotu rzeczy. Pozostawały one w sferze domysłów, które mógł

snuć czytelnik obdarzony wyobraźnią. Jednakże życiorys zawierał dość konkretnych faktów, by zacząć działać. Joel zerknął na zegarek. Minęła godzina. W ciągu następnych dwóch zamierzał przestudiować biografię ponownie i zastanowić się nad jej treścią. Zdecydował już, z kim nawiązać kontakt w Paryżu.

René Mattilon był nie tylko świetnym prawnikiem angażowanym często przez kancelarię Talbota, Brooksa i Simona, gdy potrzebowali pełnomocnika występującego przed sądami francuskimi, lecz także przyjacielem. Był starszy od Joela o dziesięć lat, lecz korzenie ich przyjaźni tkwiły w podobnych przeżyciach w tej samej części świata, w doświadczeniu bezsensu wojny. Trzydzieści lat temu, gdy Mattilon był młodym dwudziestokilkuletnim aplikantem, wcielono go do armii i wysłano do Indochin w roli asesora sądu wojskowego. Był świadkiem nieuniknionej klęski i nie mógł zrozumieć, dlaczego jego dumny, nieokiełznany naród musiał

zapłacić taką cenę, by pojąć prawdę. Robił także sarkastyczne uwagi o późniejszym zaangażowaniu Ameryki w Wietnamie.

- Mon Dieu! Spodziewaliście się, że wasza broń dokona tego, czego nie mogły dokonać nasze

umysły?! Deraisonnable!

Kiedy Mattilon przylatywał do Nowego Jorku lub Joel do Paryża, znajdowali zawsze czas na kolację i drinka. Francuz był ponadto zdumiewająco tolerancyjny wobec ograniczeń językowych Converse'a, który nie potrafił nauczyć się jakiegokolwiek obcego języka. Żadnych rezultatów nie dała nawet anielska cierpliwość Valerie.

Była żona Joela, której ojciec był Francuzem, a matka Niemką, wbijała mu cztery lata do głowy kilka najprostszych zwrotów, lecz okazał się beznadziejnie tępy.

67

-

Jak, u licha, możesz się uważać za specjalistę od prawa międzynarodowego, skoro rozumieją cię tylko w Sandy Hook?! - pytała.

-

Wynajmuję tłumaczy wyszkolonych przez banki szwajcarskie i płacę im zależnie od rezultatów negocjacji - odpowiedział. - To najlepszy sposób.

Kiedy Joel przybywał do Paryża, zatrzymywał się zawsze w dwupokojowym apartamencie w ekskluzywnym hotelu Jerzy V. Talbot, Simon i Brooks wyrazili zgodę na ową piekielnie kosztowną rozpustę, gdyż imponowało to klientom.

Zgoda ta miała także drugą stronę medalu, jak wyjaśnił Nathan Simon.

-

Dysponujesz elegancką bawialnią- stwierdził grobowym tonem. - Przyj muj w niej klientów, a unikniesz owych horrendalnie drogich lunchów francuskich albo, broń Boże, kolacji.

-

A jeśli zechcą coś zjeść?

-

Mów, że jesteś umówiony. Mrugnij i powiedz, że to sprawa osobista.

W Paryżu nikt tego nie zakwestionuje.

Imponujący adres może się teraz przydać, pomyślał Converse w taksówce, która wymijała po wariacku inne samochody na Polach Elizejskich, pędząc ku alei Jerzego V. Gdyby udało się podejść

Bertholdiera i otaczających go ludzi, luksusowy hotel pasowałby jak ulał do obrazu bogatego klienta, który wysłał

prywatnego adwokata w tajnej misji. Oczywiście Joel nie miał zarezerwowanego miejsca i zamierzał wytłumaczyć się niedopatrzeniem sekretarki zastępującej Jane.

Powitał go ciepło wicedyrektor hotelu, zdziwiony i rozplątujący się w przeprosinach. Talbot, Brooks i Simon nie nadesłali teleksu z prośbą o rezerwację, ale stały klient może oczywiście liczyć na nocleg. Joel dostał jak zwykle dwupokojowy apartament na drugim piętrze. Zanim zdążył się rozpakować, kelner wstawił do barku butelkę jego ulubionej szkockiej. Joel zapomniał na chwilę, jak dokładne dane o stałych gościach gromadzą hotele tej klasy... Drugie piętro, właściwy gatunek whisky, a wieczorem niewątpliwie telefon z recepcji z zapytaniem, czy jak zawsze życzy sobie budzenia o siódmej rano. Zlecenie to pozostanie bez zmian.

Ale tymczasem zbliżała się już piąta po południu. Jeśli ma zamiar skontaktować się z Mattilonem, zanim prawnik opuści swoją kancelarię, powinien się śpieszyć.

Na początek mógłby zaprosić Renę na drinka. Musiał ustalić, czy przyjaciel może mu pomóc, i nie chciał tracić ani chwili. Sięgnął po paryską książkę telefoniczną leżącą na półeczce pod aparatem na stoliku koło łóżka, odnalazł

telefon kancelarii i wykręcił numer.

- Chryste Panie, Joel! - wykrzyknął Francuz. - Czytałem o tych okropnościach w Genewie! Pisała o tym poranna prasa i próbowałem dzwonić do cie-68

bie do hotelu Richemond, ale powiedzieli, że się wyprowadziłeś. Nic ci nie jest?

-

Wszystko w porządku. Po prostu tam byłem, to wszystko.

-

Znałeś tego Amerykanina?

-

Spotkałem go tylko przy stole rokowań. Ale, ale, nie wierz w te idioty zmy^o narkotykach. To bzdura. Zamknięto go w windzie, obrabowano, za strzelono i wetknięto mu kokainę, żeby wprowadzić w błąd policję.

-

A nadgorliwy prefet natychmiast wykorzystał sposobność, żeby chronić opinię miasta. Wiem, pisano o tym... Dzieją się straszne rzeczy... Wszędzie tylko zbrodnia, morderstwa, terroryzm. W Paryżu, dzięki Bogu, jest trochę lepiej...

-

Nie potrzebujecie opryszków, bo zastępują ich taksówkarze. Są tylko bardziej grubiańscy.

-Jesteś jak zwykle zupełnie niemożliwy, przyjacielu! Kiedy możemy się spotkać?

Converse milczał przez chwilę.

-

Miałem nadzieję, że dziś wieczorem, po twoim wyjściu z kancelarii.

-

Właśnie wychodzę, mon ami Szkoda, że nie zadzwoniłeś wcześniej.

-

Przyjechałem dopiero dziesięć minut temu.

-

Ale przecież wyleciałeś z Genewy...

-

Miałem interesy w Atenach - przerwał Joel.

-

Ach, prawda, z Grecji uciekają w tej chwili kapitały. Myślę, że zbyt pochopnie. To samo działo się we Francji.

-

Nie spotkalibyśmy się na drinka, Renę? To ważne.

Tym razem zamilkł Mattilon. Najwyraźniej usłyszał proszący ton Converse'a,

-

Naturalnie - odparł. - Zatrzymałeś się w Jerzym V, prawda?

-Tak.

-

Przyjadę jak najszybciej. Powiedzmy za trzy kwadranse.

-

Serdeczne dzięki. Zajmę dwa fotele w galerii.

-

Znajdę cię.

Stali bywalcy nazywali galerią monumentalny marmurowy przedsionek baru hotelowego, do którego prowadziły drzwi z kolorowego szkła. Nazwa wzięła się stąd, że w przeszklonym korytarzu po lewej znajdowała się prawdziwa galeria obrazów. Jednakże nazwa pasowała także do bogatego hallu. Wzdłuż marmurowych ścian stały głębokie aksamitne fotele klubowe, sofy oraz ciemne politurowane stoliki, nad którymi wisiały dzieła sztuki - gigantyczne gobeliny z zapomnianych chateauc oraz wielkie sceny batalistyczne pędzla starych i nowych mistrzów.

Lśniącą marmurową posadzkę pokrywały ogromne perskie dywany, a na wysokim stropie wisiały rzędy pająkowatych kandelabrow, rzucających miękkie światło przez ażurowe klosze ze złotego filigranu.

69

W mrocznych wyściełanych niszach pod punktowo oświetlonymi arrasami i malowidłami toczyli ze sobą ciche rozmowy ludzie bogaci i wpływowi. Często rozpoczynano tu negocjacje, które kończyły się później w salach konferencyjnych wypełnionych prezesami rad nadzorczych, dyrektorami generalnymi, prokurentami oraz śmietanką palestry. Potentaci przemysłowi lubili sondować partnerów w nieoficjalnej atmosferze panującej w bardzo oficjalnej sali. Majestatyczne otoczenie tworzyło ponadto nastrój zrytualizowanego niedowierzania; nierzadko wycofywano się z podjętych tu uzgodnień. Galeria miała także szczególną opinię: w bractwie ludzi, którzy odnieśli międzynarodowy sukces, krążył żart, że gdyby siedzieć w niej dostatecznie długo, można by spotkać wszystkich znajomych po kolei. Dlatego jeśli ktoś nie chciał pokazywać się publicznie, szedł gdzie indziej.

Sala powoli się wypełniała. Wśród gości zbierali zamówienia kelnerzy z baru, wiedzący, gdzie są prawdziwe pieniądze. Converse znalazł dwa fotele na samym końcu, gdzie panował półmrok. Spojrzał na zegarek i ledwo zdołał odczytać godzinę. Od telefonu do Renę minęło czterdzieści minut, wypełnionych przez prysznic, który zmył z Joela brud całodniowej podróży z Mikonos. Położył na stoliku papierosy i zapalniczkę, poprosił czujnego kelnera o drinka i wbił wzrok w marmurowy łuk wiodący do sali.

W dwanaście minut później zobaczył Mattilona. Renę wszedł sprężystym krokiem w miękki półmrok,

przechodząc z jasno oświetlonego foyer od ulicy. Zatrzymał się na chwilę, rozejrzał i skinął głową. Ruszył środkiem sali, spoglądając z daleka na Joela z szerokim, szczerym uśmiechem na twarzy. Renę Mattilon miał około pięćdziesięciu pięciu lat, jednakże wyglądał znacznie młodziej. Otaczała go specyficzna aura sukcesu odniesionego na sali sądowej. Rzucała się w oczy jego wiara we własne siły, stanowiąca kwintesencję powodzenia, lecz będąca efektem pracowitości, a nie tylko siły charakteru. Wydawał się aktorem czującym się dobrze w swojej roli, a godny zaufania wygląd podkreślały jeszcze szpakowate włosy i twarz o mocnych, męskich rysach. Pod wyglądem Mattilona kryło się jednak coś innego, pomyślał Joel, wstając z fotela. Renę to człowiek kryształowo uczciwy. Był to rozbijający wniosek. Bóg raczy wiedzieć, że mają obaj swoje wady, lecz są porządnyimi ludźmi -i może właśnie dlatego lubią swoje towarzystwo.

Wymienili silny uścisk dłoni i padli sobie w ramiona. Francuz usiadł naprzeciwko Converse'a, a Joel skinął na czujnego kelnera.

-

Złóż zamówienie po francusku - rzekł. - Ja skończę na lodach na gorąco.

-

Ten człowiek mówi po angielsku lepiej niż my. Proszę campari z lodem.

-

Merci, monsieur.

Kelner odszedł.

-

Jeszcze raz dzięki, że przyszedłeś - powiedział Converse. - Bardzo mi zależało na tym spotkaniu.

-

Z pewnością, z pewnością... Dobrze wyglądasz, Joel. Jak człowiek zmę czony, ale w dobrej formie. Te okropności z Genewy musiały śnić ci się po nocach.

70

-Niespecjalnie. Już ci mówiłem: wplątałem się w to przez przypadek.

-

A jednak też mogłeś zostać zamordowany. Prasa pisała, że umarł na twoich rękach.

-

Znalazłem się przy nim pierwszy.

-

To straszne...!

-

Widywałem już gorsze rzeczy, René - powiedział Converse cicho, bez namiętnym tonem.

-

No tak, prawda. Byłeś chyba lepiej przygotowany.

-

Nie wydaje się, że można być przygotowanym... Ale mamy to już za sobą. Co u ciebie? Jak sytuacja w kraju?

Mattilon pokręcił głową, a jego pobrużdżona, męska twarz przybrała nagle wyraz troski.

-

Oczywiście Francja zwariowała, ale jakoś z tego wybrniemy. Od mie sięcy pojawia się więcej planów niż w biurze projektowym, ale architekci marnują czas w poczekalniach ministrów. Wszędzie roi się od dworzan, inte resy kwitną.

-

Miło mi to słyszeć.

Kelner przyniósł campari, a obaj mężczyźni umilkli i skinęli lekko głowami.

-

Krąży tyle różnych historii... - podjął Joel.

-

To dlatego przyjechałeś do Paryża? - Francuz przyjrzał mu się bacznie.

-Z powodu naszych kłopotów? To naprawdę nie trzęsienie ziemi, takie rzeczy już się zdarzały. Nie dzieje się nic groźnego. Jeszcze nie. Większość prywatnego przemysłu francuskiego jest finansowana przez państwo, choć oczywiście nie zarządzają nim niedołęgi z rządu. Czy właśnie to niepokoi twoich klientów?

Converse wypił łyk trunku.

-

Nie, przyjechałem z innego powodu.

-

Jesteś zaniepokojony, widzę wyraźnie. Nie dam się nabrać na twoje gładkie maniery. Zbyt dobrze cię znam. Powiedz wreszcie, co cię sprowadza.

Wspomniałeś, że to coś ważnego.

-

Owszem, użyłem tego słowa. Może trochę przesadziłem. - Joel opróżnił kieliszek i sięgnął po papierosy.

-

Twoje oczy o tym nie świadczą, przyjacielu. Są chmurne jak deszczowy dzień.

-

Mylisz się. Jestem zmęczony, jak sam powiedziałaś. Spędziłem cały dzień w samolotach, a kilka razy musiałem długo czekać na lotnisku.

Joel podniósł zapalniczkę i pstryknął dwa razy, nim pojawił się płomień.

-

Nie kłóćmy się o słowa. O co chodzi? - spytał Mattilon Converse zapalił papierosa.

-

Czy znasz prywatny klub o nazwie Les Etalons Blancs?

-

Oczywiście. Kiedyś nie chcieli mnie tam wpuścić - odparł Francuz ze śmiechem. - Byłem wówczas młodym, nic nieznającym porucznikiem przydzielono mi dożugę-avocat. Miało to nadać naszym działaniom pozory praworządności, 71

ale tylko pozory. Morderstwo uważano za drobne naruszenie dyscypliny, a gwałt stanowił powód do gratulacji. Les Etalons Blancs to oaza les grands militaires i bogatych snobów lubiących słuchać ich tyrad.

-

Chciałbym spotkać się z kimś, kto jada tam lunch kilka razy na tydzień,

-

Nie możesz do niego zadzwonić?

-

Nie zna mnie i nie wie, że chcę się z nim spotkać. Musi to być przypadkowe,

-

Doprawdy? Przypadkowe spotkanie z przedstawicielem Talbota, Brooksa i Simona? To dość niezwykle.

-

Owszem. Może się okazać, że chodzi o kogoś, z kim wolimy nie mieć żadnych kontaktów.

-

Ach, praca misyjna... Kto to?

-

Czy zatrzymasz to dla siebie? To bardzo ważne.

-

Ani pary z gęby, oczywiście pod warunkiem, że nie kłóci się to z naszymi interesami. Gdyby tak było, powiem ci to i, szczerze mówiąc, nie będę w stanie ci pomóc.

-

Stawiasz sprawę uczciwie. Chodzi o Jacques'a Louisa Bertholdiera.

Mattilon zmarszczył brwi, udając zdumienie.

-

Król jest ubrany od stóp do głów - powiedział, śmiejąc się cicho. -

Niezależnie od tego, czy ktoś twierdzi coś przeciwnego. Zaczynasz od samej góry, jak mówią w Nowym Jorku. Nie ma konfliktu interesów, mon ami, Ber tholdier znajduje się poza sferą naszych zainteresowań.

-

Dlaczego?

-

Porusza się wśród świętych i wojowników. Wojowników pozujących na świętych, świętych pozujących na wojowników. Czy normalni ludzie mają czas na taką grę pozorów?

-

Czyżby nie brano go poważnie?

-

Nie, skądże znowu. Bardzo poważnie, zwłaszcza jeśli ma się czas i ochotę bujać w obłokach. Bertholdier przypomina niewzruszony marmurowy pomnik.

To de Gaulle w formie poronnej, i są tacy, co tego żałują.

-

Co masz na myśli?

Matillon zmarszczył brwi i wzruszył ramionami.

-

Sprawa jest bardzo mglista. Bóg wie, że Francja potrzebowała nowego przywódcy, a Bertholdier mógłby poprowadzić kraj lepszą drogą niż ta, którą wybraliśmy. Nastaly złe czasy. Pałac Elizejski zamienił się w dwór, a wszyscy czuli się zmęczeni cesarskimi edyktami i kazaniami. Cóż, dziś zastąpiły je nudne, szare banały socjalistów. Może szkoda, że Bertholdier nie został prezydentem, choć myślę, że ma jeszcze szansę. Zaczął wspinać się na Olimp w bar dzo młodym wieku.

-

Czy nie należał do OAS i nie popierał puczu Salana w Algierii? Bun townicy zostali skompromitowani, nazwano ich hańbą narodową.

-

Nawet intelektualiści przyznają dziś niechętnie, że sądy te należałoby poddać rewizji. Jeśli wziąć pod uwagę to, co dzieje się w północnej Afryce i na Bliskim Wschodzie, francuska Algieria mogłaby się okazać atutem. - Mat-72

tjlon umilkł, uniósł dłoń do podbródka i znów zmarszczył brwi. - Czemu, u licha, Talbot, Brooks i Simon wolą oficjalnie trzymać się z dala od Bertholdiera? Jest zapewne w głębi duszy monarchistą, lecz to przecież ucieleśnienie honoru.

Zachowuje się wyniośle, może nawet pompatycznie, ale to mimo wszystko bardzo dobry klient.

-

Dotarły do nas pewne pogłoski - rzekł cicho Converse, wzruszając ramionami, jakby chciał podkreślić ich niewiarygodność.

-

Mon Dieu, chyba nie o jego kochankach? - roześmiał się Mattilon. -

Daj spokój, to przecież zupełnie niepoważne!

-

Nie, nie o to chodzi.

-

W takim razie o co?

-

O niektórych jego współpracownikach, znajomych.

-

Mam nadzieję, że potrafisz odróżnić pewne sprawy, Joel. Człowiek po kroju Bertholdiera z pewnością starannie dobiera współpracowników, ale nie znajomych. Kiedy wchodzi do salonu, wszyscy chcą zostać jego przyjaciółmi albo wręcz się za nich podają.

-

Właśnie to nas interesuje. Zamierzam przypomnieć mu kilka nazwisk i sprawdzić, czy to współpracownicy, czy znajomi z dawnych czasów.

-

Bien. Zaczynasz mówić do rzeczy. Mogę ci pomóc i zrobię to. Jutro i pojutrze zjemy lunch w Les Etalons Blancs. Jest środek tygodnia i Bertholdier na pewno się pojawi. Jeśli nie, pójdziemy tam po raz trzeci.

-

Podobno kiedyś nie chcieli cię wpuścić?

-

Sam bym się tam nie dostał. Ale znam kogoś, kto może nas wprowadzić I

zrobi to z wielką chęcią, zapewniam cię.

-

Dlaczego?

-

Uwielbia ze mną rozmawiać. To straszliwy nudziarz i niestety prawie nie mówi po angielsku. Zna tylko wyrażenia w rodzaju "over", "pozwolenie na lądowanie", "pas startowy" i tym podobne.

-

Pilot?

-

Oblatywał pierwsze myśliwce Mirage, zresztą znakomicie, i nie pozwała nikomu o tym zapomnieć. Będę waszym tłumaczem, więc przynajmniej nie muszę sam prowadzić rozmowy. Czy znasz się na samolotach Mirage?

-

Myśliwiec to myśliwiec - odparł Joel. - Trzeba ciągnąć i zamiatać, to wszystko.

-

Tak, używał takich wyrażeń. Ciągnąć i zamiatać. Myślałem, że mówi o sprzątanu kuchni.

-

Dlaczego uwielbia z tobą rozmawiać? To członek klubu, prawda?

-

O tak. Jesteśmy jego pełnomocnikami w beznadziejnej sprawie prze ciwko fabryce samolotów. Miał własny odrzutowiec i stracił lewą stopę w cza sie przymusowego lądowania.

-

Doprawdy?

-

Zacięły się drzwi. Nie zdążył się katapultować, nim doszło do zderzenia z ziemią.

73

-

Nie nacisnął właściwych guzików.

-

Twierdzi, że to zrobił.

-

Nawet w waszych samolotach są przynajmniej dwa układy rezerwowe i podręczna instrukcja.

-

Wiemy o tym. Nie chodzi mu zresztą o pieniądze: jest fantastycznie bogaty. Urażono jego dumę. Przegrana oznacza zakwestionowanie jego umiejętności.

-

Na rozprawie padną jeszcze trudniejsze pytania. Chyba mu o tym po wiedzieliście?

-

Jak na razie owijamy wszystko w bawełnę. Czekamy na właściwy moment.

-

A tymczasem każecie sobie słono płacić za każdą konsultację?

-

Bronimy go przed samym sobą. Gdybyśmy postępowali szybko i brutalnie, cofnąłby nam pełnomocnictwo i zwrócił się do kogoś znacznie mniej uczciwego. Któż podjąłby się prowadzenia takiej sprawy? Fabrykę samolotów znacjonalizowano, a Bóg wie, że rząd nie zapłaci ani grosza.

-

Tak. Co powiesz mu o mnie? Jak zaprosisz mnie do klubu?

Matillon uśmiechnął się.

-

Powiem, że jako pilot i adwokat posiadasz wiedzę, która może się okazać pomocna. Zaproponuję spotkanie w Les Etalons Blancs, żeby ci zaimponować. Przedstawię cię jako Attylę przestworzy. Jak ci się to podoba?

-

Niespecjalnie.

-

Zgadzasz się? - spytał Francuz poważnym tonem. - To pewny sposób na poznanie Bertholdiera. Mój klient jest nie tylko jego znajomym, lecz także przyjacielem.

-

Dobrze, zgadzam się.

-

Pomoże nam to, że siedziałeś w niewoli. Jeśli zobaczysz wchodzącego generała i poprosisz, żeby cię przedstawił, niełatwo będzie odmówić byłemu mu jeńcowi wojennemu.

-

Wolałbym nie poruszać tego tematu - rzekł Converse.

-

Dlaczego?

-

Można by znaleźć kilka nieprzyjemnych rzeczy, gdyby trochę pogrzebać.

-

Ach tak? - Matillon znów zmarszczył ze zdziwieniem brwi. - Skoro mówisz "pogrzebać", sugeruje to coś więcej niż przypadkowe spotkanie, pod czas którego wymienia się kilka nazwisk.

-

Doprawdy? - Joel obrócił w dłoni kieliszek. Był zły na siebie i wiedział, że jeśli zaprzeczy, utwierdzi tylko przyjaciela w jego podejrzeniach. - Przykro mi, to reakcja instynktowna. Wiesz, że to dla mnie bardzo drażliwy temat.

-

Prawda, zapomniałem. To niedelikatność z mojej strony. Przepraszam.

-Zresztawałbym nie posługiwać się swoim nazwiskiem. Masz coś prze ciwko temu?

-

To ty jesteś misjonarzem, nie ja. Jak cię nazwiemy? - Francuz spoglądał

twardo na Converse'a.

74

- To bez znaczenia.

Mattilon zmrużył oczy.

-Co byś powiedział na nazwisko swojego pracodawcy, Simona? Bertholdierowi mogłoby się to spodobać. Le duc de St Simon to wielki kronikarz monarchii...

Henry Simon. W Stanach jest pewnie dziesięć tysięcy adwokatów o

nazwisku Henry Simon.

-Niech będzie.

-

Powiedziałeś mi już wszystko, przyjacielu? - spytał René, patrząc chłodno na Joela. - Wszystko, co chciałeś powiedzieć?

-

Owszem - odparł Converse, którego oczy przypominały błękitnobiały mur. - Wypijmy jeszcze jednego drinka,

-

Lepiej nie. Jest późno, a moja obecna żona cierpi na malaise, jeśli wy stygnie kolacja. Jest zresztą znakomitą kucharką.

-

Szczęściarz z ciebie.

-

To prawda. - Mattilon dopił campari, odstawił kieliszek na stolik i ode zwał się lekkim tonem: - Valerie też świetnie gotowała. Nigdy nie zapomnę tej fantastycznej kaczki a l'orange, którą przyrządziła dla nas w Nowym Jorku trzy czy cztery lata temu. Utrzymujesz z nią kontakt?

-

Czasami nawet się widujemy - odparł Converse. - W zeszłym miesiącu zjedliśmy razem lunch w Bostonie. Wręczyłem jej czek z alimentami, a ona zapłaciła rachunek. Nawiasem mówiąc, zaczęła sprzedawać swoje obrazy.

-

Nigdy nie miałem wątpliwości, że ma talent.

-

Ona tak.

-

Niepotrzebnie... Zawsze lubiłem Val. Jeśli znów się z nią zobaczysz, serdecznie ją ode mnie pozdrów.

-

Zrobię to.

Mattilon wstał z miękkiego fotela, a jego oczy utraciły chłodny wyraz.

-

Wybacz mi, ale często myślałem, że jesteście bardzo... dobraną parą (tak to się mówi, prawda?). Oczywiście namiętność wygasa, ale nie de suite, jeśli znasz to pojęcie.

-

Tak, znam. Dziękuję w imieniu nas obojga, choć to... błędna konkrety zacja.

-

Je ne comprends pas.

-

Nieważne, to dość wyszukane określenie, które nic nie znaczy. Przeka -

żę jej twoje najserdeczniejsze życzenia.

-

Merci. Zatelefonuję do ciebie rano.

Les Etalons Blancs mógłby nawiedzać pacyfistów w koszmarnych snach. Na wyłożonych ciemną drewnianą boazerią ścianach klubu wisiały fotografie, sztychy, dyplomy w ramkach i szklane gablotki z odznaczeniami wojskowymi na czarnym aksamicie: czerwonymi wstążkami i lśniącymi orderami ze srebra i

złota. Obok przyciągały wzrok obrazy stanowiące malarską kronikę wojen z

ostatnich dwustu lat. Proste rysunki ustępowały z czasem miejsca produk tom epoki filmu, a konie, lance i szable zastąpiono motocyklami, czołgami, 75

samolotami i karabinami maszynowymi. Mimo to same sceny nie różniły się zbyt od siebie, a ich tematyka była podobna. Sztychy i obrazy przedstawiały umundurowanych zwycięzców w chwilach chwały. Cierpienie było dziwnie nieobecne, a wzrok i postawa bohaterów wyrażały tylko niezłomną wolę. Ludzie ci nie przegrywali, nie pokazywano urwanych kończyn ani zmasakrowanych twarzy; była to uprzywilejowana kasta wojowników pełnych bezmiernej arogancji wobec reszty świata. Spoglądając na zastępy dowódców, Joel poczuł głęboki lęk. Nie byli to zwyczajni ludzie ani nie chcieli nimi być: pospolitość wydawała im się godna pogardy i stanowiła wyłącznie atrybut podwładnych. Na ich obliczach malowała się jedynie żelazna determinacja i siła charakteru. Co powiedział Beale, Rudy Lis z Inczhon, znający tych ludzi?

Wiem, do czego są zdolni, jeśli wydamy im rozkaz.

O ileż więcej mogliby dokonać, gdyby sami coś postanowili, gdyby nie przeszkadzali im dociekliwi, niezdecydowani cywile? - zastanawiał się Joel.

-

Przyszedł Luboau - rzekł cicho Martilon, zbliżywszy się od tyłu do Converse'a. - Słyszałem jego głos w holu. Pamiętaj, nie musisz przesadzać, [

i tak przetłumaczę to, co uznam za stosowne. Ale kiwaj z powagą głową, g dy zrobi którąś ze swoich gniewnych uwag. Poza tym śmieć się, gdy zaczniesz opowiadać dykteryjki. Są okropne, ale Luboau to lubi.

-

Zrobię, co tylko w mojej mocy.

-

Mam dobre wiadomości. Bertholdier zamówił na dziś lunch. W zwykłym miejscu, przy stoliku numer jedenaście, pod oknem.

-

A gdzie siedzimy my? - spytał Joel, zauważywszy wyraz tryumfu na zaciśniętych wargach Francuza.

-

Przy stoliku numer dwanaście.

-

Jeśli będę potrzebował adwokata, masz u mnie pracę.

-

Jesteśmy straszliwie drodzy. No, dalej, jak mówią w tych waszych wspólnych filmach. "Pańska kolej, monsieur Simon". Graj rolę Attyli, ale nie przesadzaj.

-

Wiesz, René, jak na kogoś mówiącego tak dobrze po angielsku, posłu gujesz się najbardziej ogranyimi zwrotami.

-Zwroty rodem z Ameryki mają niewiele wspólnego z językiem angielskim, czy są ograne, czy nie.

-

Cwaniaczek.

-

Czyż muszę mówić coś jeszcze...? Ach, monsieur Luboque, Serge, mon ami!

Mattilon spostrzegł kątem oka Serge'a Luboque'a wchodzącego do sali. Obrócił się na pięcie, gdy rozległo się postukiwanie protezy, które dodawało wiarygodności jego roszczeniom odszkodowawczym. Luboque, drobny i szczupły, przywodził na myśl zamierchłą epokę, gdy od pilotów wymagano niskiego wzrostu. Wydawał się istną karykaturą samego siebie. Miał krótki, zakrzywiony wąsik przyklejony do miniaturowej twarzyczki ściągniętej gniewnym grymasem. Jego złość kierowała się przeciwko wszystkiemu i niczemu. Waż-

na była forma, nie treść. Jakąkolwiek miał przeszłość, stał się jedynie pozerem, któremu wystarczała znajomość własnych pól. Za młodu dokonał być może wspaniałych czynów, lecz po owej olśniewającej i fascynującej epoce pozostały tylko wspomnienia i złość.

-

Et voici l'expert legal des campagnes aeriennes - rzekł, patrząc na Converse'a i wyciągając dłoń na powitanie.

-

Serge cieszy się z poznania ciebie i jest pewien, że nam pomożesz -
wyjaśnił Mattilon.

-

Zrobię co w mojej mocy - odrzekł Converse. - Przepróż go, że nie mówię po francusku.

Adwokat najwyraźniej spełnił polecenie, a Luboque wzruszył ramionami i błyskawicznie wyrzucił z siebie niezrozumiałe zdanie, w którym powtórzyło się kilkakrotnie słowo anglais.

-

On także przeprasza, że nie mówi po angielsku - rzekł Mattilon, zerka jąc psotnie na Joela, i dodał: - Jeśli kłamie, monsieur Simon, postawią nas pod ścianę i rozstrzelają.

-

To niemożliwe - odparł Joel z uśmiechem. - Salwa plutonu egzekucyj nego mogłaby zniszczyć medale i podziurawić obrazy. Wszyscy wiedzą, że Francuzi to kiepscy strzelcy.

-

Qu'est-ce que vous dites?

-

Monsieur Simon tienl a vous remercier de ce dejeuner - odezwał się Mattilon do swego klienta. - en est tresfler car U estime que l'offwierfrancais est le meilleur du monde.

-

Co powiedziałaś?

-

Że czujesz się zaszczycony zaproszeniem, gdyż uważasz francuski korpus oficerski za najlepszy na świecie - wyjaśnił prawnik.

-

Nie tylko kiepscy strzelcy, ale marni piloci - rzekł Joel z uśmiechem, kiwając poważnie głową.

-

Est-il vrai que avez pris part a de nombreuses missions dans l'Asie du Sud? - spytał Luboque, spoglądając na Converse'a.

-

Słucham?

-

Chce wiedzieć, czy naprawdę jesteś Attyłą przestworzy, który odbył wiele lotów bojowych.

-

Sporo - odparł Joel.

-

Beaucoup - przetłumaczył Mattilon.

Luboque błyskawicznie wyrzucił z siebie kolejne, jeszcze bardziej niezrozumiałe zdanie i pstryknął palcami na kelnera.

-

Co teraz?

-

Opowie ci o swoich wyczynach, rzecz jasna dla dobra sprawy.

-

Ma się rozumieć - odparł uśmiechnięty Converse. - Kiepscy strzelcy, marni piloci i zarozumiali nudziarze.

-

Ale nasza kuchnia, nasze kobiety, nasza nieporównana znajomość ży cia...!

77

-

W języku francuskim jest pewne bardzo dosadne słowo, jedno z nielicz -

nych, jakich nauczyła mnie moja była żona, ale chyba nie powinienem go przy- , taczać - odparł Joel z uśmiechem przyklejonym do warg.

!

-

Ach, prawda, zapomniałem - odezwał się Mattilon. - Rozmawiałem i z nią w la belle langue, co tak cię irytowało... Nie, nie wypowiadaj tego sło-wa. Pamiętaj, po co tu przyszedłeś.

-

Qu 'est-ce que vous dites encore? La belle langue? - spytał Luboque, gdy stanął koło niego kelner.

-

Notre ami, monsieur Simon, suivra un cours a l'ecole Berlitz etpourrat ainsi s 'entretenir directement avec vous.

-

Bien!

-

Co takiego?

-

Powiedziałem mu, że nauczysz się rozmówek francuskich Berlitz, żeby zjeść z nim kolację podczas następnej wizyty w Paryżu. Masz do niego zadzwonić. Kiwnij głową... cwaniaczku.

Converse skinął głową.

Dalszy ciąg konwersacji wyglądał podobnie. Punkt, kontra punkt, non se -
quitur. Serge Luboque wspominał swoje przeżycia, a Mattiion tłumaczył, za!
każdym razem informując Joela, jaki powinien przybrać wyraz twarzy, i dora -
dzając stosowną odpowiedź, której zresztą i tak udzielał.

Na koniec Luboque opisał skrzekliwym głosem katastrofę, w której stracił lewą stopę, i jął się
rozwódzić nad usterkami technicznymi samolotu, uprawniającymi go do odszkodowania. Converse
zrobił współczującą i oburzoną!

minę, po czym zaproponował, że napisze dla sądu opinię opartą na swoich!

doświadczeniach pilota myśliwca. Mattiion przetłumaczył, a rozpromieniony!

Luboque z prędkością karabinu maszynowego wyrzucił z siebie serię samo-głosek, które Joel wziął
za podziękowania.

-

Jest ci dozgonnie wdzięczny - rzekł René.

-

Zmieni zdanie, gdy przeczyta opinię - odparł Converse. - Zamknął się w kabinie i wyrzucił klucz.

-

Napisz to - odparował Mattiion z uśmiechem. - Już odwdzieczyłeś mi się za stracony czas. Użyjemy
twojej opinii jako pretekstu do wycofania się ze sprawy. Poza tym nie zaprosi cię nigdy na kolację,
gdy przyjedziesz do Paryża.

-

Co z lunchem? Zaczyna mi brakować wyrazów twarzy.

Po chwili Luboque zaprowadził dwóch adwokatów do jadalni, postukując protezą w ozdobny
dębowy parkiet. Śmieszna, trójstronna konwersacja trwa -

ła również przy winie (szyderczo uśmiechnięty pozer kazał kelnerowi odnieść jedną z butelek), a
Converse zerkał mimo woli w stronę drzwi.

Wreszcie nadszedł oczekiwany moment. Pojawił się Bertholdier. Zatrzymał się w łukowatym przejściu, przechylił głowę w lewo i słuchał mężczyzn) w jasnobrązowej marynarce mówiącego coś z kamiennym wyrazem twarzy. Skinął głową, a podwładny odszedł. Generał wkroczył do sali. Emanowała zeń spokojna żywotność, dostojęństwo płynące z poczucia własnej wartości 78

i niepotrzebujące fanfar. W stronę wchodzącego zwróciły się głowy obecnych, a Bertholdier odwzajemniał ich powitania niczym delfin mający zasiąść niebawem na tronie i przyjmujący uniżone hołdy ministrów słabowitego monarchy. Efekt był

niezwykły, gdyż nie istniały wszak żadne królestwa ani dobra ziemskie, które mogliby podzielić między siebie zwycięscy rycerze spod Crecy. Do licha! -

pomyślał Joel. Witają go jak przyszłego cesarza!

Jacques Louis Bertholdier był mężczyzną średniego wzrostu, jednakże wyprostowane plecy, szerokie ramiona i mocna długa szyja czyniły go pozornie znacznie wyższym. Wobec ludzi znających go gorzej mógłby prezentować się mniej imponująco, lecz znajdował się wśród swoich, w miejscu gdzie uchodził za lepszego od innych.

-

Powiedz coś tonem pełnym szacunku - odezwał się Mattilon, gdy Bertholdier się do nich zbliżał. - Spójrz na niego i zrób nabożnąminę. Ja zajmę się resztą.

Converse wykonał polecenie. Wyszeptał nazwisko generała na tyle głośno, by go usłyszano, pochylił się w stronę Mattilona i powiedział:

-

Oto człowiek, którego zawsze pragnąłem poznać...!

Renę i jego klient wymienili kilka słów po francusku, po czym Luboque skinął

głową z miną aroganta zadowolonego, że może wyświadczyć przysługę nowemu faworytowi.

Bertholdier doszedł do swojego krzesła przy którym stali maitre d'hotel i główny kelner. Kontredans ów odbył się zaledwie dwa kroki dalej.

-

Mon generał! - odezwał się Luboque, wstając.

-

Serge! - odparł Bertholdier, robiąc krok naprzód z wyciągniętą ręką i przybierając łaskawą minę dowódcy, który wita okaleczonego podwładnego.

- Comment ca va?

-

Bien, Jacques. Et vous?

Pozdrowienia trwały krótko, gdyż Luboque zmienił szybko temat rozmowy i wskazał

dłonią Converse'a. Joel stanął instynktownie na baczność i spojrzał

Bertholdierowi prosto w oczy przenikliwym wzrokiem żołnierza czekającego na wydanie rozkazu. Jego taktyka okazała się skuteczna, choć w nieco niespodziewany sposób. Jacques'a Louisa Bertholdiera zainteresowała wzmianka o wojnie w Wietnamie. Dlaczego nie? On także pamiętał dawne czasy. Skinął lekko głową Mattilonowi, nie zwracając nań większej uwagi, po czym wyciągnął rękę do Joela.

-

Bardzo mi miło, monsieur Simon - odezwał się. Jego angielszczyzna była poprawna, a uścisk dłoni mocny. Zachowywał się jak dowódca pozdrawiający starego towarzysza broni. Władczy urok zaczął natychmiast działać.

-

Na pewno słyszał pan to już tysiące razy, generale - rzekł Joel, nadal patrząc przenikliwie na Bertholdiera - ale nigdy nie przypuszczałem, że spo tka mnie zaszczyt poznania pana.

-

To ja czuję się zaszczycony - odparł Bertholdier. - Wy, bohaterowie Przystworzy, zrobiliście wszystko co możliwe, a znam nieco tamtejsze warunki - Tyle lotów! Wojska lądowe miały łatwiejsze zadanie!

79

Generał roześmiał się cicho z miną sławnego dowódcy uznającego wyczyny dzielnego towarzysza broni, który nie zdobył rozgłosu.

Bohaterowie przestworzy, ten człowiek żyje w chmurach! - pomyślał Joel. Ale udało mu się jednak nawiązać kontakt z generałem; czuł to, wiedział o tym.

Dokonał tego za pomocą słów i spojrzeń. Były to proste chwytły, prawnicze służące oswajaniu przeciwnika, w tym wypadku wroga. Wroga numer jeden.

-

Nie mogę się z tym zgodzić, panie generale. Wojna powietrzna miała znacznie czystszy charakter. Ale gdyby w Indochinach było więcej ludzi ta kich jak pan, nigdy nie doszłoby do Dien Bien Phu.

-

Pańska opinia mi pochlebia, lecz jestem pewien, że nie wytrzymałaby konfrontacji z rzeczywistością.

-

Jestem przeciwnego zdania - odparł Joel cichym, czystym głosem. -

Nie ulega to dla mnie kwestii.

-

Mon general, voulez vous joindre a nous? - przerwał Luboquet, który rozmawiał z Mattilonem.

-

Je m'excuse. Je suis occupe... mes ituites - odpowiedział Bertholdier i zwrócił się z powrotem do Converse'a: - Muszę niestety odrzucić zaprosze nie Serge'a. Spodziewam się gości. Podobno jest pan adwokatem, specjalistą w zakresie prawa lotniczego?

-

Owszem, choć nie tylko. Zajmujemy się transportem powietrznym, wod nym i lądowym... Interesuje nas szeroki wachlarz zagadnień. Zresztą jestem prawnikiem dopiero od niedawna.

-

Rozumiem - odparł general, najwyraźniej zdziwiony. - Czy przybył pan do Paryża w interesach?

O to chodziło, pomyślał Joel. Słowa, oczy i ton głosu wyrażały dyskretną aluzję.

Zwłaszcza oczy przekazujące niewypowiedziane treści.

-Nie, chcę tylko złapać oddech. Przyleciałem z San Francisco, przez Nowy Jork.

Jutro udaję się na kilka dni do Bonn, a później do Tel Awiwu.

-

Niezwykłe męcząca podróż - rzekł Bertholdier, patrząc Joelowi prosto w oczy.

-

To jeszcze nie najgorsze - odparł Converse z uśmiechem. - Po Tel Awiwie czeka mnie nocny lot do Johannesburga.

-

Bonn, Tel Awiw, Johannesburg... - Generał przemawiał cichym głosem, lecz jego oczy wyrażały znacznie więcej. - Dość niezwykła trasa.

-

Uważamy ją za owocną. Mamy przynajmniej taką nadzieję.

-My?

-

Mój klient, panie generale. Mój nowy klient.

-

Deraisonnable! - zawołał Mattilon, śmiejąc się z żartu Luboque'a i wyraźnie dając Joelowi do zrozumienia, że nie powinien zatrzymywać dłużej swojego rozmówcy.

Jednakże Bertholdier nie odrywał wzroku od Converse'a.

-

Gdzie się pan zatrzymał, mój młody przyjacielu? - spytał.

80

-

Wcale nie taki młody, panie generale.

-

Gdzie?

-

W Jerzym V. Apartament dwieście trzydzieści pięć.

-

Bardzo dobry hotel.

- To nawyk z dawnych lat. Kwaterowała mnie tam zawsze moja poprzednia firma.

-

Kwaterowała? Jak w koszarach? - spytał Bertholdier, uśmiechając się lekko.

-

Przepraszam, przejęczyłem się - odparł Joel. - Ale cóż, w końcu o to chodzi, prawda?

-

W samej rzeczy, w samej rzeczy... Ach, idą moi goście! - Generał wy-ciągnął rękę. - Miło mi było pana poznać, monsieur Simon.

!

Joel i Bertholdier wypowiedzieli szybko au revoir, uścisnęli sobie dłoń -

!

nie, po czym generał wrócił do swojego stolika, by powitać przybyłych. Joel podziękował Luboque'owi za przedstawienie generała, a jednonogi pilot wy -

ciągnął dłonie przed siebie, jakby chciał go pobłogosławić. Znow potoczyła się zwariowana trójstronna konwersacja, choć Joel prawie nie mógł się skupić. .

Poczynił znaczne postępy. Widział to w spojrzeniu Bertholdiera, które czuł na sobie w trakcie ożywionej rozmowy toczącej się przy obydwu stolikach. Generał siedział nieco na ukos po lewej stronie; leciutkie poruszenie głowy każdego z nich powodowało, że patrzyli prosto na siebie. Zdarzyło się to dwukrotnie. Za pierwszym razem Joel miał wrażenie, że pali mu skroń promień słońca przepuszczony przez szkło powiększające. Poruszył głowę, i spojrzał Bertholdierowi prosto w oczy. Wzrok generała był przeszywający, pytający, surowy. W pół godziny później to Converse zainicjował wymianę spojrzeń. Luboque omawiał z Mattilonem strategię prowadzenia sprawy, a Joel, jakby przyciągnięty przez magnes, obrócił głowę w lewo i obserwował

Bertholdiera, który przekonywał o czymś cicho jednego ze swoich gości. Raptem, słuchając odpowiedzi rozmówcy, odwrócił się gwałtownie w stronę Converse'a. Je go oczy nie były pytające, tylko lodowato zimne. Potem, równie nagle, przybrały ciepły wyraz. Sławny weteran skinął głową z uśmiechem na wargach.

Joel siedział w miękkim skórzanym fotelu koło okna. W bawialni, oświe tionej tylko przez lampę z abażurem stojącą na biurku, panował przytulny pół

mrok. Patrzył na przemian na telefon koło lampy i za okno, gdzie wiły się sznury samochodów z zapalonymi reflektorami i płonęły latarnie na bulwarze.

Jednakże nocny pejzaż Paryża nie przykuwał na długo jego uwagi. Znowu spo glądał na telefon, wyodrębniając go z otoczenia, jak robił to często, czekając na wiadomość od przeciwnika, po którym spodziewał się kapitulacji. Była to tylko kwestia czasu.

81

Tym razem nie spodziewał się jej i liczył jedynie na nawiązanie kontaktu. Nie miał pojęcia, jaką formę przybierze, lecz było to nieuniknione.

Zbliżała się siódma trzydzieści. Cztery godziny temu opuścił Les Etalons Blancs i wymienił ostatni, mocny uścisk dłoni z Jakiem Louisem Bertholdierem. Wyraz oczu starego żołnierza świadczył o tym, że połknął haczyk i zechce przynajmniej zaspokoić swoją ciekawość.

Joel zabezpieczył się przed zdemaskowaniem, wręczając wybranym pracownikom recepcji kilka stufrankówek. Posługiwanie się zmyślnym nazwiskiem nie było niczym nadzwyczajnym w epoce niepokojów politycznych, które objęły także rynki finansowe. Podróżujący biznesmeni posługiwali się często noms de commerce dla zachowania poufności toczonych rokowań lub utrzymania w tajemnicy przelotnych flirtów. To, że Converse przybrał nazwisko Simon, wydawało się logiczne, jeśli nie zupełnie naturalne. Skoro Talbot, Brooks i Simon woleli przysyłać wiadomości na nazwisko jednego ze współników, któż mógł kwestionować ich decyzję? Jednakże Joel poszedł krok dalej. Wyjaśnił, że zatelefonował do Nowego Jorku i otrzymał

polecenie, j żeby nie posługiwać się w ogóle własnym nazwiskiem; kancelaria wolała, by nie wiadano, że znajduje się w Paryżu. Spóźnione instrukcje tłumaczyły brak rezerwacji hotelowej. Nie należało obciążać rachunku firmy. Joel zapłaci gotówką. Ponieważ rzecz działa się we Francji, nikt przeciw temu nie protestował. Wszyscy woleli gotówkę, gdyż przelewy znalazły się na cenzurowanym.

Nie miało znaczenia, czy ktokolwiek bierze owe nonsensy za dobrą mo netę. Tłumaczenia Joela brzmiały logicznie, a jego stufrankówki miały dużą siłę przekonywania. Z rejestru hotelowego wycofano oryginalny blankiet mel dunkowy i sporządzono następny. J. Converse'a zastąpił H. Simon, którego adres w Chicago był tworem wyobraźni Joela. Osoby pytające o pana Converse'a

se'a (było to zresztą mało prawdopodobne) należało informować, że w hotelu Jerzy V nie mieszka gość o takim nazwisku. Joel zajął się nawet Renę Mattilo -

nem. Powiedział mu, że ponieważ nie ma już żadnych interesów w Paryżu, odlatuje o szóstej do Londynu, gdzie spędzi kilka dni z przyjaciółmi, po czym wróci do Nowego Jorku. Podziękował wylewnie Renę i oświadczył, że roz prosił niepokój swojej kancelarii. Podczas cichej rozmowy podał generałowi trzy kluczowe nazwiska, a Bertholdier spojrział pustym wzrokiem i przeprosił

za luki w swojej pamięci.

!

-

Mówił prawdę - dodał Joel.

-

Nie wyobrażam sobie, dlaczego miałby cię oszukiwać - odpowiedział

Mattilon.

A ja tak, pomyślał Converse. Z powodu Akwitanii.

Za otwartymi drzwiami do sypialni rozległ się metaliczny zgrzyt klucza przekręcanego w zamku. Joel wyprostował się gwałtownie, spojrział na zegarek, odetchnął głęboko i uspokoił się. O tej godzinie zwykle słała łóżko pokojówka, a nerwowe oczekiwanie na telefon wytrąciło go z równowagi. Usiadł

82

wygodnie w fotelu i znów spojrział na aparat. Kiedy zadzwoni? Czy zadzwoni?

Minuty mijały zbyt wolno, godziny zbyt szybko.

-

Pardon, monsieur - odezwał się kobiecy głos, któremu towarzyszyło lekkie pukanie we framugę otwartych drzwi. Joel nie widział mówiącej.

Oderwał z wysiłkiem wzrok od niemego telefonu.

-Tak?

Nie zobaczył jednak pokojówki w fartuszku, tylko widok zapierający dech w piersiach. W drzwiach pojawiła się kanciasta głowa Jacques'a Louisa Bertholdiera, sztywno wyprostowanego, że wzrokiem wyrażającym mieszaninę chłodnego namysłu, protekcjonalności i jeśli Joel się nie mylił, strachu.

Generał wkroczył do pokoju, stanął nieruchomo i odezwał się lodowatym tonem:

-

Szedłem na kolację na czwartym piętrze, monsieur Simon, i przypo mniałem sobie, że mieszka pan w tym hotelu. Podał mi pan numer swojego pokoju. Czy przychodzę nie w porę?

-

Skądże znowu, panie generale - odparł Joel, wstając.

-

Spodziewał się mnie pan?

-

Nie pańskich odwiedzin.

-

Ale spodziewał się mnie pan?

Joel milczał przez chwilę.

-Tak.

-

Sygnał, który wysłano i odebrano?

Joel znów milczał przez parę sekund.

-Tak.

-

Jest pan albo wyjątkowo chytrym prawnikiem, albo człowiekiem opętany dziwną obsesją. Która z tych wersji jest prawdziwa, monsieur Simon?

-

Jeśli to moja chytrość spowodowała, że złożył mi pan wizytę, chętnie przystanę na pierwsze określenie. Co do drugiego: słowo "obsesja" sugeruje przesadne zainteresowanie jakąś sprawą. Wiem bardzo dobrze, że moje zainteresowania nie są przesadne ani nieuzasadnione. Nie uważam się za maniaka, panie generale. Jestem zbyt dobrym adwokatem.

-

Pilot nie może oszukiwać samego siebie. Jeśli to robi, ginie w wypadku.

-

Zostałem zestrzelony. Nie popełniłem nigdy błędu prowadzącego do katastrofy.

Bertholdier powoli podszedł do kanapy obitej brokatem.

-

Bonn, Tel Awiw i Johannesburg - rzekł cicho, siadając i zakładając nogę na nogę. - Czy to pański sygnał?

-

Owszem.

-

Moja firma prowadzi tam interesy.

-

Mój klient także - odparł Converse.

-

A pan, monsieur Simon?

Joel spojrzał na Bertholdiera.

-Ja mam swoją misję, panie generale.

83

Bertholdier siedział nieruchomo, wpatrując się w milczeniu w Converse'a. - Nie poczęstowałby mnie pan brandy? - spytał wreszcie. - Mój strażnik zaczeka na korytarzu.

Rozdział 4

Joel podszedł do barku pod ścianą, czując na sobie spojrzenie generała i zastanawiając się, jaki obrót przybierze rozmowa. Był dziwnie spokojny, tak jak często przed rokowaniami w sprawie fuzji przedsiębiorstw lub rozprawą sądową, gdy czuł, że wie o rzeczach, o których nie mają pojęcia jego adwersarze, a które odkrył dzięki wielu godzinom ciężkiej pracy. Tym razem nie musiał ślęczyć nad aktami, lecz rezultaty były takie same. Wiedział dużo o legendarnej postaci siedzącej na kanapie. Krótko mówiąc, był dobrze przygotowany, a przez lata nauczył się ufać swoim zdolnościom panowania nad sytuacją, tak jak kiedyś ufał

sobie za sterami samolotu.

Sprawa łączyła się także z jego specjalizacją. Znał dobrze arkana transakcji eksportowo-importowych, stanowiące biurokratyczny labirynt, w którym zagubiłby się z pewnością ktoś niewtajemniczony. W ciągu następnych kilku minut miał

zamiar oszołomić owymi szczegółami siedzącego naprzeciwko ucznia George'a Marcusa Delavane'a, by strach malujący się w oczach generała bardziej się uwidocznił.

Istniały najróżniejsze typy pozwoleń na wywóz broni za granicę, poczynając od zwykłych licencji eksportowych z załączonymi fakturami, a na bardziej ogólnych koncesjach kończąc. Ponadto zdarzały się szczególnie cenne zezwolenia, które obejmowały szeroką gamę produktów podlegających kontroli rządach. Dokumenty te krążyły zwykle tam i z powrotem między wahającymi się urzędami, póki zbliżający się termin nie wymusił podjęcia decyzji -często opartej na słabszej lub silniejszej pozycji któregoś z biurokratów.

Na koniec istniał także najniebezpieczniejszy dokument, często zdobywany za pomocą łapówek i splamiony krwią. Nosił niewinną nazwę "świadectwa użytkownika końcowego" i pozwalał ekspediować za granicę najbardziej śmiertcionośną broń, która wymykała się w ten sposób spod kontroli powołanych do tego osób.

Śmiertcionośne ładunki przekazywano w teorii tylko zaprzyjaźnionym państwom, prowadzącym politykę zagraniczną zgodną z interesami Stanów Zjednoczonych. Ich

"zastosowanie" pozostawiano decyzji "odbiorcy", maskując owymi eufemizmami krwawe rezultaty transakcji. Jednakże broń często ginęła podczas transportu.

Ładunki kierowane do Hajfy wpływały dziwnym trafem do zatoki Syrta i wpadały w ręce libijskiego szaleńca albo mordercy imieniem Carlos, który ćwiczył grupy terrorystyczne gdzieś między Bejrutem

84

a Saharą. Dziwnie operatywni pracownicy fikcyjnych spółek, działający przy pomocy tajemniczych pośredników, ekspediowali broń z magazynów wzniesionych naprędce w odludnych miejscach Stanów. Można było zarobić miliony dolarów, śmierć stanowiła jedynie efekt uboczny. Istniało nawet specjalne określenie: terroryzm handlowy. Pasowało ono do Akwitanii, która musiała się nim posługiwać.

Nie było innego sposobu.

Myśli te przelatywały błyskawicznie przez głowę Converse'a, gdy nalewał brandy do kieliszków. Był przygotowany. Odwrócił się i podszedł do generała.

Czego pan szuka, monsieur Simon? - spytał Bertholdier, biorąc kieliszek do ręki.

-

Informacji, panie generale.

-

O czym?

Joel wrócił do fotela pod oknem i usiadł.

-

O światowych rynkach zbytu, które mógłby obsługiwać mój klient.

-

Jakiego rodzaju działalnością się zajmuje?

-

Jest pośrednikiem.

-

W jakiej dziedzinie?

-

Chodzi o szeroki wachlarz produktów. - Converse podniósł kieliszek do ust, wypił i dodał: - Zdaje mi się, że wspomniałem o tym ogólnie w klubie dziś po południu. Samoloty, pojazdy, statki, broń. Cała gama.

-

Owszem, wspomniał pan. Mimo to nie bardzo rozumiem.

-

Mój klient ma dostęp do pewnych fabryk i magazynów, a jego możliwości są wręcz nieograniczone.

-

Brzmi to bardzo obiecująco. Kto to?

-

Nie wolno mi powiedzieć.

-

Może go znam.

-

Może, ale niejako osobę, którą opisałem. W tej sferze trzyma się w cie niu.

- I nie poda mi pan jego nazwiska? - spytał Bertholdier.

-

To informacja zastrzeżona.

-

Twierdzi pan, że mnie odszukał, przesłał mi sygnał, na który odpowie działem, a teraz prosi mnie pan o informacje o rynkach zbytu na różne typy towarów. Sprawa dotyczy Bonn, Tel Awiwu i Johannesburga. Ale nie chce pan ujawnić nazwiska osoby potrzebującej owych danych, których zresztą praw dopodobnie nie mam. Na pewno nie mówi pan poważnie.

-

Maje pan, a ja mówię najzupełniej poważnie. Obawiam się jednak, że źle mnie pan zrozumiał.

-Nie mam w tej mierze żadnych obaw. Mówię płynnie po angielsku i dobrze pojmuję pańskie słowa. Przybył pan znikąd, nic o panu nie wiem, wspomniał pan o anonimowej wpływowej osobistości...

-

Spytał mnie pan, czego szukam, panie generale - przerwał twardo Joel, nie podnosząc głosu.

85

-

Informacji, czyż nie?

-

Owszem, ale nie od pana.

-

Słucham?

-

W obecnych okolicznościach nie udzieliłby mi ich pan z powodów, o które sam pan wspomniał. Dobrze o tym wiem.

-

Więc o co właściwie chodzi w tej... sprowokowanej rozmowie? Nie lubię, gdy trwoni się mój czas, monsieur.

-

To ostatnia rzecz na świecie, jaka przysłaby nam, to jest mi, do głowy.

-

Proszę mówić mniej ogólnikowo.

-

Mój klient liczy na zdobycie pańskiego zaufania. Ja także. Za kilka dni, najdalej za tydzień dowiodę panu, że na nie zasługujemy.

-

Udając się do Bonn, Tel Awiwu i Johannesburga?

-

Szczerze mówiąc, tak.

-

Jak chce pan zdobyć moje zaufanie?

-

Sam pan o tym wspomniał kilka minut temu. Mogę nadać sygnał.

Bertholdier stał się nagle ostrożny. Wzruszył niedbale ramionami.

-

Powiedziałem to, bo moja firma zainwestowała tam znaczne kapitały.

Sądziłem, że ma pan dla nas jakąś propozycję.

-

Zamierzam ją złożyć.

-

Proszę mówić mniej ogólnikowo - powtórzył generał, tłumiąc irytację.

-

Wie pan, że nie mogę tego zrobić - odparł Joel. - Jeszcze nie.

-

A kiedy?

-

Kiedy pan i pańscy koledzy nabierzecie absolutnej pewności, że mój klient i ja szczerze pragniemy przyłączyć się do panów i że ma to dla nas ogromne znaczenie.

-

Przyłączyć się do nas? Do Juneau et Cie?

-

Proszę mi wybaczyć, panie generale, nie odpowiem na to pytanie.

Bertholdier spojrzał na swoją brandy i znów podniósł oczy na Converse'a.

-

Przyleciał pan z San Francisco, prawda?

-

Byłem tam przejazdem - wtrącił Joel.

-

Ale przybył pan do Paryża z San Francisco? Co pan tam robił?

-

Odpowiem na to pytanie tylko dlatego, by udowodnić, że jesteśmy bar dzo skrupulatni... Przebadałem

historię pewnych koncesji eksportowych związanych z terenem północnej Kalifornii. Otrzymały je spółki założone ad hoc specjalnie w tym celu. W kilku miejscach wzniesiono tymczasowe magazyny, które następnie pośpiesznie rozebrano. W dokumentacji panuje kompletny chaos. Na koncesjach widnieją podpisy nieistniejących ludzi, a one same pochodzą ze źródeł niemożliwych do ustalenia. To istny biurokratyczny labirynt.

Pieczęcie, stemple i decyzje, których nigdy nie wydano. Nieświadomy niczego personel średniego szczebla otrzymujący polecenia przyśpieszenia sprawy wy... Właśnie to odkryłem w San Francisco. Bagno podejrzanych transakcji, których nielegalność zdemaskowałaby każda kontrola.

86

Bertholdier spoglądał na Joela nieruchomym wzrokiem, wyraźnie starając się przybrać kamienny wyraz twarzy.

-

Oczywiście nic mi o tym nie wiadomo - rzekł.

-

Oczywiście - zgodził się Converse. - Ale dzięki mnie dowiedział się o tym mój klient i żaden z nas nie ma najmniejszego zamiaru nadawać sprawie rozgłosu. Musi to panu coś mówić.

-

Szczerze mówiąc, nic.

-

Panie generale, jedna z podstawowych zasad wolnego rynku to zniszczyć konkurencję, zająć jej miejsce i wypełnić lukę.

Bertholdier wypił łyk brandy, ściskając mocno kieliszek.

-

Dlaczego zwrócił się pan do mnie? - spytał w końcu.

-

Bo brał pan w tym udział.

-

W czym?

-

Pańskie nazwisko widnieje na jednym ze wspomnianych dokumentów.

Generał pochylił się gwałtownie do przodu.

-Niemożliwe! Niestychane!

-

Wobec tego czemu pana odszukałem? Dlaczego przyszedł pan do mnie?

- Joel odstawił kieliszek na stolik koło fotela niczym człowiek, który ma jeszcze coś do powiedzenia. - Proszę mnie zrozumieć. Rekomendacje pomagają w zależności od tego, o które ministerstwo chodzi. Pańskie nazwisko byłoby zupełnie nieprzydatne dla kogoś zwracającego się do Departamentu Budownictwa i Gospodarki Miejskiej, ale jest na wagę złota w Biurze Kontroli Zbrojeń Departamentu Stanu albo w dziale zaopatrzenia Pentagonu.

-

Nigdy nie popierałem żadnych próśb.

-

Robili to inni. Ludzie, których rekomendacje miały wielką wagę, ale którzy mogli potrzebować dodatkowej podkładki.

-

Qu'est-ce que vous dites? Podkładki?

-

Czegoś, co przeważałoby szalę, na pozór bez niczyjego osobistego udziału. Chodzi w istocie o wsparcie danej sprawy przez osoby bezpośrednio w nią niezaangażowane. W dokumentach mogłoby się znaleźć następujące memo randum: "My (czyli wydział, a nie konkretne osoby) nie mamy w tej sprawie zdania, ale skoro popiera to ktoś taki jak generał Bertholdier, czy powinniśmy się sprzeciwić?"

-

Wykluczone. Nie mogło się to zdarzyć.

-

A jednak - odparł cicho Converse, zdając sobie sprawę, że nadeszła pora, by zilustrować faktami swoje abstrakcyjne rozważania. Za chwilę dowie się, czy Beale mówił prawdę i czy siedzący naprzeciwko legendarny bojownik o wyzwolenie Francji ponosi odpowiedzialność za krwawe rozruchy w Irlandii Północnej. - Jest pan w to wplątany. Pańska rola nie była pierwszoplanowa, lecz na tyle ważna, że zdołałem ją wyśledzić... Jest pan również wplątany w sprawę transportu broni, który wyekspediowano drogą powietrzną z Beloit w stanie Wisconsin do Tel Awiwu. Naturalnie nigdy tam nie dotarł, gdyż prze chwycili go ekstremiści z Belfastu, zarówno katolicy, jak i protestanci.

Ciekawe,

87

gdzie do tego doszło? W Montrealu? W Paryżu? W Marsylii? Z pewnością ma pan duże wpływy wśród separatystów z Quebecu, podobnie jak w Paryżu i Marsylii. Co najciekawsze, ubezpieczenie musiała pokryć spółka o nazwie "Solidaire". Ach, prawda, zasiada pan w jej radzie nadzorczej. Tak się szczęśliwie składa, że towarzystwa asekuracyjne mają dostęp do ładunków, które ubezpieczają.

Bertholdier siedział jak skamieniały na kanapie, patrząc na Joela szeroko otwartymi oczyma. Drgał mu mięsień na policzku. Chociaż starał się ukryć swoja winę, miał ją wypisaną na twarzy.

-

Nie wierzę w to, co pan mówi! To niesłychane!

-

Dlaczego tu jestem, powtarzam?

-

Tylko pan może udzielić odpowiedzi na to pytanie, monsieur - rzekł

Bertholdier, wstając nagle z miejsca z kieliszkiem w ręku. Pochylił się powoli z wojskowym wdziękiem i odstawił go na niski stolik. Jego gest wyrażał sta nowczość: rozmowa była zakończona. - Najwyraźniej popełniłem głupi błąd

- ciągnął, wyprostowawszy szerokie plecy. Na jego wargach błąkał się znużony, lecz dziwnie szczery uśmiech. - Jestem żołnierzem, a nie biznesmenem.

Interesami zająłem się w dość późnym wieku. Żołnierz próbuje zdobyć inicja tywę. Usiłowałem ją uzyskać, tyle że w tym przypadku moje wysiłki okazały się absurdalne. Proszę wybaczyć, ale błędnie zrozumiałem dziś po południu pański sygnał.

-Niczego błędnie pan nie zrozumiał, generale.

-

Ośmiela się pan przeczyć moim słowom?! Pan, podejrzany krętacz, który spotyka się ze mną pod fałszywym pretekstem, a następnie czyni skandaliczne uwagi na temat mojego postępowania?! - Bertholdier ruszył przez pokój w stronę drzwi. Joel wstał z fotela. - Proszę się nie trudzić, monsieur. Wyjdę sam.

Zadał pan już sobie zbyt wiele trudu, choć nie mam pojęcia, w jakim celu.

-

Wybieram się do Bonn - przerwał Converse. - Proszę uprzedzić swoich przyjaciół o moim przyjeździe. Zjawię się niebawem. I bardzo proszę, panie generale, niech nie osądzają mnie pochopnie. Bardzo mi na tym zależy.

-

Pański niejasny sposób mówienia jest niesłychanie irytujący... porucz niku. Był pan porucznikiem, prawda? Chyba że oszukał pan także biednego Luboque'a.

-

Fortel, jakiego użyłem, by się z panem spotkać, przysporzy mu jedynie korzyści. Obiecałem napisać opinię w jego sprawie. Nie będzie nią zachwycony, ale oszczędzi mu ona wielu kłopotów i pieniędzy. Nie oszukałem pana.

-

To zależy od punktu widzenia.

Bertholdier odwrócił się i położył rękę na wielkiej mosiężnej klamce.

-

Jadę do Bonn - nalegał Joel.

-

Już pan to mówił. Nie mam najmniejszego pojęcia...

-

Leifhelm - rzekł cicho Converse. - Erich Leifhelm.

Generał obrócił powoli głowę. Jego oczy przypominały żarzące się węgle, które buchną za chwilę

płomieniem w porywie wichury.

88

-

Znam tego człowieka tylko ze słyszenia.

-

Niech pan go uprzedzi o moim przybyciu.

-

Dobranoc, monsieur - rzekł Bertholdier z popielatą twarzą i oczyma płonącymi od nagłego podmuchu nieokiełznanego wichru.

Joel popędził do sypialni, chwycił walizkę leżącą pod ścianą cisnął ją na łóżko.

Musiał natychmiast wyjechać z Paryża. Za kilka godzin, może nawet minut, zaczęą go śledzić ludzie Bertholdiera, a na lotnisku paszport zdradzi jego tożsamość.

Nie chciał do tego dopuścić, przynajmniej na razie.

Wszystko było dziwne i niepokojące. Nigdy dotąd nie musiał wyprowadzać się z hotelu ukradkiem, bez uprzedzenia. Nie był pewien, czy potrafi to zrobić.

Instynktownie zdecydował się na podmienienie formularza ewidencyjnego w recepcji; negocjacje handlowe odbywały się często w ścisłej tajemnicy, zwłaszcza gdy mogły mieć wpływ na notowania giełdowe przedsiębiorstw. Jednakże tym razem sytuacja była inna, nienormalna. Joel oświadczył Beale'owi na Mikonos, że zamierza, stać się inną osobą. Łatwiej było to powiedzieć, niż zrobić.

Spakowawszy walizkę, włączył z roztargnieniem elektryczną maszynkę do golenia.

Przesuwał ją wokół podbródka, będąc myślami gdzie indziej. Po chwili podszedł do telefonu przy łóżku, wyłączył golarkę i wykręcił numer. Nie miał jeszcze pojęcia, co powie zastępcy dyrektora, lecz instynktownie wcielił się w rolę zaaferowanego biznesmena. Po kilku wzajemnych grzecznościach odnalazł wreszcie właściwe słowa:

-

Powstała niezmiernie delikatna sytuacja. Moja kancelaria życzy sobie, abym natychmiast udał się w tajemnicy do Londynu. Szczerze mówiąc, wolał

bym nie wyprowadzać się w sposób rzucający się w oczy,

-

Nasz hotel jest znany z dyskrecji, monsieur, a goście często się śpieszą.

Za dziesięć minut osobiście przyniosę panu rachunek do pokoju, dobrze?

-

Mam tylko jedną walizkę. Zajmę się nią sam, ale potrzebuję taksówki.

Nie przed głównym wejściem.

-

Naturalnie. Posłużymy się windą towarową, monsieur. Można się nią dostać do wyjścia dla personelu. Wydam odpowiednie instrukcje.

-

Wydałem odpowiednie instrukcje! - rzucił ostro Jacques Louis Bertholdier do słuchawki samochodowego radiotelefonu. Szklane przepierzenie od dzielające go od szofera było szczelnie zasunięte. - Jeden człowiek pilnuje wind w galerii, drugi pełni wartę koło wyjścia dla personelu. Jeśli zechce opuścić hotel w ciągu nocy, może spróbować wymknąć się od tyłu. Sam to nieraz robiłem.

-

Trudno to pojąć... - Zdumiony rozmówca Bertholdiera, posługujący się nienaganną angielszczyzną, oddychał głośno, jakby czegoś się przestraszył. -

Jesteś pewien? Czy nie chodzi o jakąś inną sprawę?

-

Idiota! Powtarzam: wiedział o transporcie broni z Beloit! Znał trasę, a nawet metodę kradzieży. Wiedział także, że zasiadam w radzie nadzorczej 89

Solidaire! Wymienił nazwisko naszego współnika z Bonn i dodał, że wybiera się do Tel Awiwu i Johannesburga! Czy to nie wystarczy?!

-

Może w grę wchodzi jakieś skomplikowane powiązania handlowe?

Międzynarodowe koncerty mają wiele rozgałęzień, filii. Nasz wspólnik w Bonn także zasiada w kilku radach nadzorczych. Do wymienionych przez ciebie miejsc płyną istne rzeki pieniędzy.

-

Boże drogi, Anglicy to naprawdę głupcy! W tej chwili nie mogę powiedzieć nic więcej, ale możesz przyjąć, że wszystko wyszło na jaw!

W Londynie panowała przez chwilę cisza.

-

Rozumiem - odpowiedział Anglik tonem skarconego podwładnego.

-

Mam nadzieję. Skontaktuj się z Nowym Jorkiem. Nazywa się Simon, Henry Simon.

-Jak?

-

Henry Simon! Adwokat z Chicago. Wydostałem adres z kartoteki hote lowej. - Bertholdier zmrużył oczy w świetle lampki i odczytał powoli dane na < temat mieszkańca pokoju numer dwieście trzydzieści pięć, uzyskane przez boya, którego przekupił jeden z ludzi generała. - Zanotowałeś?

-

Tak jest - odparł skwapliwie rozmówca niczym podwładny, który pra-

gnie naprawić swój błąd. - Czy rozsądne było zdobywanie adresu w taki sposób? Przyjaciel albo pracownik liczący na nagrodę może go poinformować, że ktoś się nim interesuje.

-

Doprawdy, różyczko Albionu? Niewinny boy hotelowy sprawdzający w kartotece adres roztargnionego gościa, któremu trzeba odesłać buty?

Przez chwilę znów panowała cisza.

-

Rozumiem. Wiesz, Jacques, pracujemy dla wielkiej idei (oczywiście mam na myśli nasze wspólne interesy), ważniejszej niż każdy z nas. Muszę stale sobie o tym przypominać, bo inaczej pożałowałbyś swoich wyzwisk.

-

I co byś mi zrobił, Anglais?

-

Obciałbym ci jaja na Trafalgar Square i wetknąłbym lwu do pyska. Nie potrzeba zresztą wiele miejsca, wystarczy szczelina między kamieniami...

Zadzwonię za jakąś godzinę.

Rozległo się pstryknięcie i w słuchawce zapadła cisza.

Bertholdier trzymał w ręku radiotelefon. Postawił go przed sobą, a na wargi wypełził mu z wolna uśmiech. Nikt nie był w stanie im dorównać. Stanowili jedyną nadzieję chorego świata.

Wreszcie uśmiech zniknął, twarz generała znów przybladła, a arogancja ustąpiła miejsca lękowi. Czego naprawdę chciał ten Henry Simon? Kim jest nieznany człowiek, mający dostęp do samolotów, pojazdów, broni?... Co, u licha, wiedzą? O

co im chodzi?

Winda bagażowa, przystosowana do transportu posiłków dla gości, jechała wolno w dół. Koło Joela stał z uprzejmą, obojętną miną zastępca dyrektora 90

hotelu. W lewym ręku trzymał skórzany woreczek z kopią rachunku Converse'a, otrzymaną odeń należnością oraz okazałą gratyfikacją za uprzejmość.

Zanim winda się zatrzymała, rozległo się ciche warczenie. Na tablicy rozdzielczej rozbłysła tabliczka z napisem SOUS-SOL i rozsunęły się ciężkie drzwi. Ukazał się szeroki korytarz, w którym uwijali się jak w ukropie kelnerzy w białych kurtkach, pokojówki, odźwierni i pracownicy techniczni. Zamawiali krzykiem potrawy i dźwigali stopy pościeli oraz luksusowych artykułów higienicznych. Słysząc było głośny gwar, wybuchy śmiechu i ryszotkowe przekleństwa. Po pojawieniu się dyrektora hałas nieco przycichł. Ruchy pracujących nabrały jeszcze szybszego tempa, a najbliżsi zaczęli witać ukłonami i przypochlebnymi uśmiechami człowieka, który mógł pozbawić ich pracy jednym pociągnięciem pióra.

-

Gdyby zechciał pan wskazać mi drogę, poszedłbym dalej sam - rzekł

Joel, by pozbyć się dyrektora i nie zwracać na siebie uwagi. - I tak zabrałem panu już zbyt wiele czasu.

-

Merci. Proszę iść prosto, aż dojdzie pan do wyjścia dla personelu -

odparł Francuz, wskazując korytarz po lewej za rzędem wind. - Siedzi tam przy biurku strażnik, którego uprzedzono o pana odjeździe. Później powinien pan skręcić w prawo i dojść do najbliższej przecznicy. Czeka tam taksówka.

-

Ja i moja firma jesteśmy panu bardzo wdzięczni za pomoc. Jak już wspo mniałem na górze, to żadna wielka tajemnica, sprawa jest jedynie delikatna.

Wicedyrektor zachował obojętny wyraz twarzy, choć jego spojrzenie nieco się wyostrzyło.

-

To nieistotne, monsieur. Wyjaśnienia nie są nam potrzebne. Nie proszę o nie i nie powinien pan czuć się do nich zobowiązany. Au'voii; monsieur Simon.

-

Tak, oczywiście - odparł spokojnie Converse, choć czuł się jak uczeń skarcony za odezwanie się nie w porę. - Do zobaczenia podczas mojego na stępnego pobytu w Paryżu.

-

Będziemy zaszczytzeni, monsieur. Bon soir.

Joel odwrócił się szybko i jął przepychać się przez tłum umundurowanej służby hotelowej, przepaszając, gdy potrafił kogoś walizką. Dostał przed chwilą lekcję, której mógł uniknąć. Wiedział, że w sądzie lub na sali obrad nie wolno nigdy wyjaśniać niczego niepotrzebnie. Ale nie znajdował się w sądzie ani na sali obrad. Raptem olśniła go myśl, że robi coś zupełnie nowego. Musiał uciekać.

Było to nieco przerażające, a z pewnością bardzo dziwne. A może wcale nie dziwne? Miał już takie doświadczenia. Przed laty uciekał trzykrotnie z obozu.

Dokoła czaiła się śmierć. Przestał myśleć o przeszłości i ruszył w stronę wielkich metalowych drzwi na końcu korytarza.

Zwolnił. Coś było nie tak. Ze strażnikiem siedzącym przy biurku rozmawiał

mężczyzna w jasnym płaszczu. Joel znał go z widzenia, lecz nie pamiętał, gdzie go spotkał. Nagle spostrzegł, jak przechodzi on na drugą stronę korytarza, by oprzeć się plecami o ścianę, i przypomniał sobie. W ten sam sposób 91

poruszał się mężczyzna, który zrobił kilka kroków do tyłu, odwrócił się i zniknął w łukowatym przejściu. Czy to on? Tak, na pewno! Odprowadzał wówczas Bertholdiera do jadalni w Les Etalons Blancs, Joel zaś miał wrażenie, że to podwładny towarzyszący zwierzchnikowi. Znalazł się tutaj z rozkazu swoje go dowódcy.

Mężczyzna spojrzął na Joela i natychmiast go poznał. Wyprostował się, odwrócił i włożył powoli rękę do wewnętrznej kieszeni płaszcza. Converse był oszołomiony.

Czyżby rzeczywiście chciał wyciągnąć pistolet? Tuż przy uzbrojonym strażniku?!

To czyste szaleństwo! Joel zatrzymał się i rozważał w duchu, czy nie zawrócić i wmieszać się w tłum koło wind, wiedział jednak, że to bezcelowe. Skoro Bertholdier wysłał jednego ze swoich ludzi do sutereny, inni czekają na górze, w korytarzach, w foyer. Joel nie mógł rzucić się do ucieczki, bo nie miał gdzie się schować. Toteż z zamętem w głowie i ściśniętym gardłem ruszył szybko w stronę mężczyzny w jasnobrązowym płaszczu.

-

Cieszę się, że pana widzę! - zawołał na cały głos, choć miał wrażenie, że słyszy cudze słowa. - Generał kazał mi pana odszukać!

Converse był zdumiony, jednakże mężczyzna wprost oniemiał z wrażenia.

-

Le general? - wyszeptał. - Po... powiedział panu...?

Mówił kiepsko po angielsku, co miało swoje zalety. Rozumiał Joela, ale niezbyt dobrze. Błyskawicznie wypowiedziane przekonujące zdanie mogło skłonić go do wyjścia za drzwi. Joel wbił teczkę w plecy niskiego mężczyzny i odwrócił się do strażnika.

-

Nazywam się Simon. Zdaje mi się, że dyrektor pana uprzedził?

Ogłupiałemu strażnikowi wystarczyła kombinacja nazwiska i tytułu. Zerknął na dokumenty Joela i skinął głową.

-

Oui, monsieur. Le directeur...

-

Chodźmy! - Converse trącił teczką mężczyznę w płaszczu, popychając go w stronę drzwi. - Na dworze czeka generał. Chodźmy! Prędko!

-

Le generał?... - Mężczyzna instynktownie odsunął zasuwę i po chwili znalazł się wraz z Joelem na ulicy. - Qu 'est-ce que ca? Ou est le generał?...

Gdzie...?

-

Tutaj! Kazał tu czekać! Ma pan tu na niego czekać! lei!

-

Arretez!

Nieznajomy przyszedł wreszcie do siebie. Zaczął się opierać. Lewą ręką popchnął

Converse'a na ścianę, a prawą znów sięgnął pod płaszcz.

-Nie!

Joel upuścił teczkę i chwycił mocno walizkę, szykując się do biegu. Nagle zamarł. Mężczyzna nie wyciągnął pistoletu: w jego rękę pojawiło się wąskie pudełeczko w czarnym skórzanym futerale. Nacisnął niewidoczny guzik i z wąskiego płaskiego wierzchołka wyrosła długa metaliczna igła. Antena... Krótkofalówka!

Converse przestał myśleć. Liczyły się tylko odruchy. Nie mógł pozwolić, by mężczyzna posłużył się radiem, by nacisnął kolejny guzik i wysłał sygnał, 92

który dotrze do krótkofalówek w innych częściach hotelu. Poczawszy nagły przypływ sił, rąbnął walizką w kolana mężczyzny i wyrwał mu lewą ręką radio.

Prawą objął go za szyję i przechylił gwałtownie w dół. Później, niewiele myśląc, rzucił się wraz z nim do przodu, aż głowa nieznajomego uderzyła z rozpędem w ścianę. Na czaszce Francuza pojawiła się krew, mocząc włosy i spływając na twarz czerwonymi strużkami. Joel nie mógł myśleć, nie mógł pozwolić sobie na myślenie.

Gdyby to zrobił, dostałby torsji. Prędko! Prędko! Mężczyzna zwiotczał. Converse chwycił go pod

pachy i w półmroku oparł

ścianę z dala od metalowych drzwi. Pochylił się, podniósł radio, schował

antenę i włożył aparat do kieszeni. Wyprostował się. Rozglądał się z przerażeniem dokoła, usiłując dojść do siebie. Wreszcie jego wzrok padł na walizkę i

teczkę. Rzucił się do przodu, chwycił je i popędził bez tchu zaułkiem, zauwa

zając krew, która zalała mu część twarzy. Przy krawężniku stała taksówka, a kierowca palił w mroku papierosa, nie zdając sobie sprawy z bójki, która zdarzyła się w odległości zaledwie trzydziestu metrów.

- Lotnisko de Gaulle'a! - krzyknął Joel, otwierając drzwi i rzucając bagaż na siedzenie. - Prędko! Spiesz się! Presse!

Wgramolił się do środka i usiadł z szyją wyciągniętą ponad oparciem, dusząc się i rozpaczliwie chwytając ustami powietrze.

Pędzące światła i cienie, które wypełniły wnętrze taksówki, uspokoiły trochę Joela. Jego rozszalałe tętno zwolniło, przestał się dusić, a pot, który pokrył

mu skronie i kark, wysechł powoli. Pochylił się do przodu. Miał ochotę na papierosa, lecz obawiał się, że wymiotuje, gdy poczuje w gardle dym. Zamknął

oczy, zaciskając powieki tak mocno, że w ciemności pojawiły się tysiące wirujących iskier. Czuł mdłości - że nie tylko ze strachu. Było to coś innego, równie paraliżującego jak strach. Ogarnął go zbrodniczy amok i napełniało go to przerażeniem. Zaatakował człowieka, chciał go ukarać, okaleczyć, a nawet zabić -

co zresztą mogło się zdarzyć. Był o włos od morderstwa! Przyczyny są nieważne!

Czy krótkofalówka usprawiedliwia rozbicie komuś głowy? Czy to działanie w obronie własnej? Do diabła, żyje przecież w świecie prawa, a nie krwi! Boże, tylko nie krew! To należy do przeszłości, dawno minionej i bolesnej.

Wspomnienia te należały do innej epoki, epoki barbarzyństwa, gdy ludzie zmieniali się w bestie, aby przeżyć. Converse nie chciał wracać do tamtych czasów. Przyrzekł to sobie, gdy okrucieństwo i strach sięgnęły szczytu. Wyraźnie pamiętał godziny poprzedzające ostatnią ucieczkę i spokojnego, wspaniałomyślnego człowieka, bez którego umarłby w sześciometrowym dole w ziemi, przeznaczonym dla krnąbrnych więźniów.

Jego zbawcą był pułkownik Sam Abbott z Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych.

Narażając się na tortury i śmierć, Sam wyczołgał się nocą z baraku i wrzucił do dołu toporny żelazny

klin. Tym prymitywnym narzędziem Joel Wyżłobił stopnie w ścianie dołu i wydostał się na wolność. Spędził z Abbottem dwa lata i trzy miesiące w tym samym obozie. Obaj starali się zachować resztki
93

rozsądku. Sam wiedział o ucieczce, lecz został w obozie i podczas ostatnich rozstrzygających godzin Joel dręczył się myślami, co może go spotkać.

-

Nie martw się o mnie, marynarzyku. Postaraj się pozbyć tego klina.

-

Uważaj na siebie, Sam.

-

To ty na siebie uważaj. Masz ostatnią szansę.

-

Wiem.

Joel przysunął się do drzwi taksówki i opuścił szybę o kilka centymetrów.

Podmuchy wiatru z autostrady nieco go orzeźwiły. Boże, przydałby mu się teraz chłodny rozsądek Sama Abbotta! Prawniczy umysł Joela kazał mu wziąć się w karby.

Mózg powinien produkować myśli i wyobrażenia, do jakich jest jeszcze zdolny.

Wszystko po kolei. Trzeba myśleć! Krótkofalówka: należy się jej pozbyć. Ale nie na lotnisku - ktoś mógłby ją znaleźć, jest to dowód rzeczowy, a co gorsza, ślad pobytu Converse'a. Opuścił szybę jeszcze o kilka centymetrów i wyrzucił radio przez okno, spoglądając w lusterko wsteczne nad przednią szybą. Kierowca zerknął

nań z zatroskaną miną, a Joel zrobił kilka głębokich wdechów niczym człowiek mający duszności, po czym podniósł szybę i zostawił tylko wąską szparę. Trzeba myśleć! Musiał się zastanowić. Bertholdier spodziewa się, że polecą z Paryża do Bonn, a po odnalezieniu podwładnego (co niewątpliwie już się stało) wszystkie loty do Bonn znajdą się pod obserwacją.

Postanowił nabyć bilet do innego miasta, skąd można się łatwo dostać do Kolonii i Bonn. Owiewany przez strumień powietrza, uspokoił się do tego stopnia, że wyjął chusteczkę z kieszeni na piersiach i wytarł lepka krew pokrywającą pra wy policzek i podbródek.

-

Skandynawskie Linie Lotnicze - odezwał się do kierowcy. - SAS. Czy...

czy pan... comprenez?

-

Naturalnie, monsieur - odparł czystą angielszczyzną taksówkarz w be recie. - Leci pan do Sztokholmu, Oslo czy Kopenhagi? Trzeba wjechać w od powiednią bramę.

-

Nie jestem pewien...

-

Mamy czas, monsieur. Przynajmniej kwadrans.

Zimny głos w słuchawce telefonu wyrażał bezosobową naganę, która miała niezwykle osobisty charakter, ponieważ rozmówcy dobrze się znali.

-

W Chicago nie ma adwokata o takim nazwisku, a adres, który mi poda łeś, jest kompletną fikcją. Czy masz mi jeszcze coś do powiedzenia, czy zło żyć to na karb twoich paranoidalnych fantazji, mon general?

-

Jesteś głupcem o mózdzku strachliwego królika, Anglais. Właśnie takie dane mi poda łeś.

-

Kto? Nieistniejący człowiek?

-

Nieistniejący człowiek, który zmasakrował mojego strażnika? Pęknięcie ci czaszki, duża utrata krwi i poważne uszkodzenie mózgu! Jeśli nawet ja-94

kimś cudem wyzdrowieje, pozostanie rośliną do końca życia. Nie mów mi o fantazjach, różyczko. To człowiek z krwi i kości.

-

Nie żartujesz?

-

Zadzwoń do szpitala! L'hôpital de St Jérôme. Spytaj lekarzy.

-

Dobra, dobra, uspokój się. Musimy się zastanowić.

-

Jestem zupełnie spokojny - odparł Bertholdier. Wstał od biurka w swo im gabinecie i podszedł do okna, trzymając w dłoni telefon i ciągnąc za sobą sznur. Wyjrzał na ulicę. Zaczęło padać, a zachlapane szyby rozpraszały światła latarni. - Poleciał do Bonn - dodał. - To jego następny przystanek - stwierdził

bez ogródek.

-

Schwytajcie go. Zadzwoń do Bonn, połącz się z Kolonią i podaj jego rysopis. Ilu samotnych Amerykanów może lecieć z Paryża do Bonn? Prze chwyćcie go na lotnisku.

Bertholdier westchnął głośno do słuchawki.

-

Nie mam zamiaru go przechwyty wać - odezwał się zdegustowanym tonem. - To bezcelowe i prawdopodobnie uniemożliwiłoby nam uzyskanie jakichkolwiek informacji. Chcę, żeby go śledzono, chcę wiedzieć, kogo odwiedza, gdzie telefonuje, z kim się spotyka. Musimy znać każdy jego krok.

-

Podobno wymienił nazwisko naszego współnika i zamierza się z nim skontaktować.

-

Nie chodzi o naszych ludzi, tylko o jego mocodawców.

-

Zadzwoń do Kolonii i Bonn, powtarzam - nalegał człowiek z Londynu.

- Trzeba go odnaleźć i wziąć pod obserwację, Jacques.

Tak, zrobię, jak powiedziałeś, ale może się to okazać trudniejsze, niż myślisz. Trzy godziny temu sądziłem inaczej, lecz wówczas nie miałem jeszcze pojęcia, do czego jest zdolny. Ktoś, kto potrafi roztrzaskać komuś głowę o

mur, to bestia, maniak albo fanatyk zdolny do wszystkiego. Osobiście podejrzewam to ostatnie. Powiedział, że ma swoją misję, a ja widziałem jego oczy.

będzie przebiegły. Udowodnił już, że to potrafi.

-

Trzy godziny temu, powiedziałaś?

-Tak.

-

W takim razie może już być w Bonn.

-

Wiem.

-

Dzwoniłeś do naszego wspólnika?

-

Owszem. Nie ma go w domu, a pokojówka nie wie, gdzie jest ani kiedy wróci.

-

Prawdopodobnie rano.

-

Bez wątplenia... Attendez! Dziś po południu w klubie był jeszcze jeden Człowiek. Towarzyszył Luboque'owi i temu rzekomemu Simonowi. Poznał

ich ze sobą. Dobranoc, Anglais. W razie czego dam ci znać.

René Mattilon otworzył oczy. Sufit pokoju pokrywały tysiące ruchomych świetlistych plamek, zamazując ornament złożony z prostych linii. Mattilon usłyszał plusk ulewy i zrozumiał. W szybach załamywało się światło lamp ulicznych, zniekształcając znajomy wzór. Doszedł do wniosku, że obudził go deszcz, a może również dłoń żony pomiędzy jego nogami. Żona poruszyła się lekko, a Mattilon uśmiechnął się, zastanawiając się, czyjej nie rozebrać. Wypełniła pustkę po śmierci jego pierwszej żony, choć sądził, że nic nie zdoła tego dokonać. Czuł do niej wdzięczność, z którą łączył

się podziw dla jej urody.

Ogarnęło go lekkie podniecenie. Położył się na boku i ściągnął kołdrę, obnażając bujne piersi w koronkach i jedwabiach. Półmrok i plusk deszczu o szyby wzmogły jego zmysłowość. Zaczął żonę rozbierać.

Nagle rozległ się inny dźwięk i Mattilon przypomniał sobie, że słyszał go przedtem we śnie. To on go obudził, zagłuszając monotony plusk ulewy. Był to dzwonek do drzwi mieszkania.

Mattilon wygramolił się ostrożnie z łóżka, sięgnął po szlafrok wiszący na pobliskim krześle i wsunął stopy w ranne pantofle. Wyszedł z sypialni, zamknął

cicho drzwi i wymacał kontakt zapalający światło w bawialni. Zerknął na ozdobny zegar na półeczce kominka; dochodziło wpół do trzeciej w nocy. Kto, u licha, odwiedza ich o tej porze? Zawiązał szlafrok i podszedł do drzwi.

-

Kto tam?

-

Surete, panie mecenasie. Inspektor Prudhomme, numer identyfikacyjny zero pięćdziesiąt siedem dwadzieścia. - Nieznajomy miał akcent gaskoński, nie paryski. Panowała opinia, że Gaskończycy to najlepsi policjanci. - Zaczęły kamy przed drzwiami, gdy zadzwoni pan na posterunek. Numer telefonu...

-

Nie ma potrzeby - przerwał zaniepokojony Mattilon i otworzył zasuwę.

Był pewien, że to prawdziwy funkcjonariusz Surete. Świadczyły o tym nie tylko podane informacje, lecz także tytułowanie go panem mecenasem. Surete odznaczało się skrupulatnością w zbieraniu informacji.

Przed drzwiami stało dwóch mężczyzn w płaszczach w wilgotnych od deszczu i przemoczonych kapeluszach. Trzymali w rękach otwarte legitymacje służbowe.

Mattilon machnął na nie ręką i zaprosił ich gestem do środka, dodając:

-

Dziwna pora jak na wizytę, panowie. Musicie mieć jakąś pilną sprawę.

-

Bardzo pilną, monsieur-odezwał się niższy funkcjonariusz, który wszedł

pierwszy i był najwyraźniej starszy rangą i wiekiem. To on rozmawiał z Matti -

lonem przez drzwi i przedstawił się jako Prudhomme. - Oczywiście przeproszamy za kłopot - dodał, zdejmując kapelusz. Jego młodszy kolega zrobił to samo.

-

Nic nie szkodzi. Nie rozbiorą się panowie?

-

To niepotrzebna strata czasu, monsieur. Jeśli zechce pan nam pomóc, zajmiemy tylko kilka minut.

-

Ciekaw jestem, jak mogę pomóc Surete w samym środku nocy?

-

Chodzi o identyfikację pewnej osoby. Monsieur Serge Antoine Luboque to podobno pański klient. Czy to prawda?

96

-

Mój Boże! Czyżby coś przytrafiło się Serge'owi?! Widziałem się z nim dziś po południu!

-

Monsieur Luboque cieszy się doskonałym zdrowiem. Zaledwie przed godziną opuściliśmy jego wiejską posiadłość. Ale pańskie wczorajsze spotkanie nie z nim stanowi przedmiot zainteresowań Surete.

-

Dlaczego?

-

Przy waszym stoliku siedziała trzecia osoba. Przedstawił ją pan mon sieur Luboque'owi jako amerykańskiego adwokata nazwiskiem Henry Simon.

- I jako pilota o dużym doświadczeniu w prawie lotniczym - dodał ostrożnie Mattilon. - Ufam, że wyjaśnił to panom monsieur Luboque. Właśnie dlatego się spotkaliśmy. Monsieur Luboque jest powodem w sprawie przeciwko fabryce samolotów. Oczywiście nie mogę powiedzieć na ten temat

nic więcej.

-

To nas nie interesuje.

-

W takim razie co?

-

W Chicago w stanie Illinois nie ma prawnika o nazwisku Henry Simon.

-

Trudno w to uwierzyć.

-

Nazwisko jest fałszywe, a przynajmniej nie należy do wspomnianej osoby.

Pański znajomy podał hotelowi zmyślony adres.

-

Podał hotelowi zmyślony adres?! - spytał zdumiony René. Joel nie mu siał podawać adresu. Jego oraz kancelarię Talbota, Brooksa i Simona znano w Jerzym V bardzo dobrze.

-

Napisał go własną ręką, monsieur - odezwał się sztywno młodszy funkcjonariusz.

-

Czy potwierdziła to dyrekcja hotelu?

-

Tak - odparł Prudhomme. - Zastępca dyrektora okazał się bardzo po mocny. Stwierdził, że odwiózł monsieur Simona windą towarową do piwnic.

-

Piwnic?!

-

Monsieur Simon pragnął opuścić hotel niepostrzeżenie. Zapłacił rachunek w swoim pokoju.

-

Jedną chwilę - rzekł oszołomiony Mattilon, unosząc ręce w geście sprzeciwu. Odwrócił się, obszedł bez celu fotel i zatrzymał się z dłońmi na oparciu. - Czego właściwie panowie ode mnie chcą?

-

Potrzebujemy pomocy - odpowiedział Prudhomme. - Uważamy, że zna pan jego tożsamość. Przedstawił go pan monsieur Luboque'owi.

-

Chodziło o poufną sprawę wymagającą opinii doświadczonego prawnika. Mój znajomy zgodził się nas wysłuchać, pod warunkiem że pozostanie anonimowy. To nic nadzwyczajnego, jeśli ma się do czynienia z kimś takim jak i wybuchowym jak monsieur Luboque. Rozmawiali z nim panowie: czyż muszę coś dodawać?

-

Monsieur Luboque nas nie interesuje - stwierdził starszy policjant, po zwałając sobie na uśmiezek. - Uważa wszystkich funkcjonariuszy państwa wych za agentów Moskwy. W holu jego domu otoczyła nas sfora warczących psów.

97

-

Więc rozumiecie panowie, dlaczego mój amerykański kolega woli za chować anonimowość. Dobrze go znam, to człowiek krystalicznie uczciwy.

-

Kto to? Wie pan, gdzie możemy go znaleźć?

-

Czego od niego chcecie?

-

Chcielibyśmy go przesłuchać w sprawie wydarzenia, które miało miej sce w hotelu.

-

Przykro mi. Luboque jest moim klientem, więc jest nim także Simon.

-

W obecnej sytuacji nie możemy przyjąć tego do wiadomości, monsieur.

-

Obawiam się, że to konieczne, przynajmniej na kilka godzin. Jutro rano zadzwonię do jego kancelarii w Stanach Zjednoczonych. Jestem pewien, że natychmiast się z panami skontaktuje.

-

Mamy co do tego poważne wątpliwości.

-

Dlaczego?

Prudhomme zerknął na swojego sztywnego towarzysza i wzruszył ramionami.

-

Jest podejrzany o dokonanie morderstwa - stwierdził rzeczowo.

Mattilon spojrział z niedowierzaniem na funkcjonariusza Surete.

-

Co takiego?

-

Prowadzimy śledztwo w sprawie wyjątkowo brutalnego napadu, monsieur. Pewnemu mężczyźnie roztrzaskano głowę o ścianę. Powstały rozległe uszkodzenia mózgu. Rokowanie jest niepomyślne. O północy ofiara znalazła się w stanie krytycznym i ma niewielkie szansę na wyzdrowienie. Może już nie żyje. Jeden z lekarzy określił to zresztą jako błogosławieństwo.

-

Nie, nie, myli się pan!... Na pewno! - Adwokat zacisnął dłonie na opar ciu fotela. - To jakaś okropna pomyłka!

-

Niestety nie. Monsieur Simon to ostatni człowiek widziany z ofiarą.

Wypchnął ją za drzwi, słyszano odgłosy szarpaniny, a w kilka minut później ofiarę znaleziono z pękniętą czaszką, zakrwawioną i bliską śmierci.

-Niemożliwe! Pan go nie zna! To nie mieści się w głowie! Nie mógł tego zrobić!

-

Czy twierdzi pan, że to kaleka niezdolny do przemocy?

-

Nie - odparł Mattilon, kręcąc przecząco głową. Nagle znieruchomiał. -

Owszem - dodał w zadumie, robiąc kilka kroków do przodu. - Jest niezdolny, ale nie fizycznie, tylko psychicznie. W tym sensie naprawdę jest kaleką. Nie mógł tego zrobić.

-

Cierpi na upośledzenie umysłowe?

-

Wielki Boże, nie! To jeden z najinteligentniejszych ludzi, jakich znam.

Proszę postarać się zrozumieć. Przeszedł długotrwałe cierpienia fizyczne i psychiczne. Dręczono go na różne sposoby. Nie doznał trwałych uszkodzeń, lecz pozostały niezatarte wspomnienia. Podobnie jak wielu ludzi o takich przeżyciach, unika wszelkich form przemocy fizycznej. Brzydzi się nią. Nie może nikogo dręczyć, bo sam był dręczony.

98

-

Twierdzi pan, że nie mógłby działać w obronie koniecznej? Że nadsta wiłby drugi policzek, gdyby zaatakowano jego samego, jego żonę albo dzieci?

-

Oczywiście, że nie, ale nie o to chodzi. Użył pan określenia "wyjątkowo brutalny atak", a to sugeruje coś zupełnie innego. Gdyby go napadnięto i działał w obronie własnej, prawie na pewno nie opuściłby miejsca bójki. Jest zbyt dobrym prawnikiem. - Mattilon umilkł. - Czy o to chodzi? To ma pan na myśli? Ranny jest notowany?

-

To szofer ekskluzywnej limuzyny - przerwał Prudhomme. - Bezbronny człowiek, który czekał na swojego pasażera.

-

W piwnicach?

-

Jest to zwykła praktyka, w której nie ma nic nadzwyczajnego. Firmy wynajmujące kierowców są znane z dyskrecji. Nim zainteresowano się losiem pierwszego szofera, wysłano drugiego. Klient o niczym się nie dowiedział.

-

Bardzo ekskluzywna firma, jestem pewien. Co mówią świadkowie?

-

Funkcjonariusz ochrony pracujący w hotelu od osiemnastu lat zeznał, że Simon podszedł do ofiary, odezwał się do niej głośno po angielsku (utrzy muje, że gniewnym tonem, choć nie zna tego języka), po czym wypchnął ją na dwór.

-

Myli się! To na pewno ktoś inny.

-

Simon przedstawił się, a zastępca dyrektora uprzedził strażnika o jego wyjściu. Opisy pokrywają się w najdrobniejszych szczegółach, chodzi o czło wieka posługującego się nazwiskiem Simon.

-

Ale dlaczego? Musi być jakiś motyw!

-

Chcielibyśmy go poznać, monsieur.

Renę pokręcił w osłupieniu głową. To wszystko nie miało sensu. Oczywiście można zatrzymać się w hotelu pod dowolnym pseudonimem, lecz są przecież rachunki, karty kredytowe, telefony od znajomych. Fałszywe nazwisko niczemu nie służy.

Zwłaszcza w hotelu, gdzie jest się osobą znaną. Ktoś znany i podróżujący incognito musiał zresztą

zostać zdemaskowany, jeśli Surete zwróciła się do recepcji.

-

Naprawdę sprawdził pan wszystko dokładnie w hotelu, monsieur? -

spytał znów Mattilon.

-

Nie osobiście - odparł Prudhomme, spoglądając na swego towarzysza.

- Przesłuchiwałem osoby znajdujące się w pobliżu miejsca napadu.

-

To ja wypytałem pracownika recepcji, monsieur - odezwał się młodszy i wyższy funkcjonariusz niczym zaprogramowany robot. - Naturalnie hotel nie chciałby nadawać sprawie rozgłosu, lecz dyrekcja udzieliła nam wszelkiej pomocy. Nocny portier, nowy pracownik zatrudniony poprzednio w hotelu Meu-r'ce, próbował zminimalizować cały incydent, lecz osobiście pokazał mi kartę rejestracyjną.

-

Rozumiem.

Mattilon wiedział już, dlaczego Surete nie ustaliła tożsamości Joela.

Zdenerwowany nocny portier wielkiego hotelu, w którym mieszkały setki gości, 99

usiłował chronić reputację firmy. Uznano go za wiarygodne źródło, lecz rano ludzie bardziej zorientowani dostarczą detektywom lepszych informacji. Jednakże Renę nie pojmował niczego więcej. Potrzebował chwili, by się zastanowić.

-

Uderza mnie pewna rzecz - odezwał się, szukając właściwych słów. -

Jest to w najgorszym razie poważny napad, lecz w końcu jedynie napad. Dla czego zajmuje się nim Surete, a nie policja?

-

Ja też zadałem to pytanie swoim zwierzchnikom, monsieur - odparł

beznamiętnie Prudhomme. - Wyjaśniono nam, że sprawa dotyczy bogatego cudzoziemca, a w

dzisiejszych czasach nigdy nie wiadomo, z czym się to łączy. Mamy pewne możliwości niedostępne zwykłej policji.

-

Rozumiem.

-

Doprawdy? - spytał funkcjonariusz Surete. - Chciałbym panu przypo mnieć, że jako adwokat ma pan obowiązek wspierać prawo. Wylegitymowa liśmy się przed panem, a ja sugerowałem, by zadzwonił pan na posterunek i sprawdził nasze pełnomocnictwa. Kim jest naprawdę Henry Simon, mon sieur?

-

Mam także inne obowiązki, panie inspektorze. W grę wchodzi mój honor, mój klient, stara przyjaźń...

-

Stawia je pan ponad prawem?

-

Ponieważ wiem, że panowie się mylą.

-

Więc czemu nie podać nam prawdziwego nazwiska Simona? Jeśli się mylimy, zatrzymamy go na lotnisku i wyjaśni nam całą sprawę. Ale jeśli się nie mylimy, możemy spotkać bardzo chorego człowieka, potrzebującego po mocy. Zanim skrzywdzi kogoś innego. Nie jestem lekarzem, monsieur, ale opisał

pan człowieka, który doznał wielu poważnych urazów psychicznych, w przeszłości.

Brutalna logika policjanta skonfundowała Mattilona. Czuł także coś innego, czego nie mógł określić. Czyżby zaniepokoił go chmurny wzrok przyjaciela i dziwna uwaga o grzebaniu w przeszłości? Znów spojrzął na zegar na kominku i przyszła mu do głowy pewna myśl. W Nowym Jorku była dopiero ósma czterdzieści dwie wieczorem.

-

Panie inspektorze, czy mógłby pan chwilę zaczekać? Przejdę do swoje go gabinetu i zatelefonuję z drugiego aparatu. Nawiasem mówiąc, nie jest on połączony z telefonem na stoliku.

-

Nie musiał pan tego mówić, monsieur.

-

W takim razie przepraszam.

Mattilon ruszył szybkim krokiem w stronę drzwi po przeciwnej stronie bawialni i wszedł do gabinetu. Usiadł przy biurku i otworzył czerwony skórzany kalendarzyk ze spisem telefonów. Dotarł do litery T i odnalazł pozycję "Tal-bot Lawrence".

Miał zarówno telefon służbowy, jak i prywatny; było to konieczne, ponieważ sądy paryskie zaczynały pracę, gdy na wschodnim wybrzeżu Stanów panowała jeszcze noc.

Gdyby Talbota nie było w domu, zamierzał dzwo—

100

nić do Nathana Simona, a potem do Brooksa. Okazało się to niepotrzebne.

Słuchawkę telefonu podniósł Lawrence Talbot.

-

Niech to licha! Jak się masz, Renę? Jesteś w Nowym Jorku?

-

Nie, w Paryżu.

-

Słyszę cię, jakbyś mówił z sąsiedniego domu.

-

Ja ciebie też. Zawsze mnie to zdumiewa.

-

O ile się nie mylę, w Paryżu jest chyba bardzo późno?

-

Jest bardzo późno, Larry. Mam pewien problem. Właśnie dlatego dzwonię.

-

Problem? Nawet nie wiedziałem, że prowadzimy obecnie jakąś wspólną sprawę. O co chodzi?

-

O waszą działalność misyjną.

-O co?

-

O Bertholdiera i jego przyjaciół.

-

Kogo?

-

Jacques'a Louisa Bertholdiera.

-

Kto to? Nazwisko obito mi się o uszy, ale nie bardzo wiem, o kogo chodzi.

-Nie wiesz... nie wiesz, o kogo chodzi?

-

Przykro mi.

-

Widziałem się z Joelem i zaaranżowałem spotkanie.

-

Z Joelem? Co u niego słychać? Jest w Paryżu?

-Nie wiesz o tym?

-

Ostatnio rozmawiałem z nim dwa dni temu, po tych okropnościach w Ge newie. Mówił, że wszystko w porządku, ale czułem, że to nieprawda. Był wstrząśnięty.

-

Czy dobrze cię rozumiem, Larry? Joel nie przyjechał do Paryża w sprawach waszej kancelarii?

Lawrence Talbot umilkł na chwilę.

-

Nie, nie prowadzi naszych spraw. Powiedział ci coś takiego?

-

Może tak mi się tylko zdawało.

Talbot znów zamilkł.

-

Podejrzewam, że jednak to zrobił. Uważam, że powinieneś go poprosić, żeby do mnie zadzwonił.

-

Na tym polega problem, Larry. Nie wiem, gdzie jest. Mówił, że leci o szóstej do Londynu, ale tego nie zrobił. Wyprowadził się z hotelu znacznie później i w bardzo dziwny sposób.

-

Co masz na myśli?

-

Zatrzymał się tam pod fałszywym nazwiskiem, zresztą zaproponowa nym przeze mnie, gdyż podczas lunchu nie chciał podawać swojego. Potem opuścił hotel podziemnym wejściem dostawczym.

-

Dziwne.

-

Obawiam się, że wcale nie najdziwniejsze. Podobno dokonał napadu.

Mógł zabić człowieka.

101

-Jezu Chryste!...

-

Oczywiście w to nie wierzę - dodał szybko Mattilon. - Nie mógł prze cież tego zrobić...

-

Mam nadzieję, że nie.

-

Nie myślisz chyba...

-

Nie wiem, co myśleć - przerwał Talbot. - Kiedy z nim rozmawiałem, gdy był w Genewie, spytałem go, czy śmierć Hallidaya ma jakiś związek z tym, czym się zajmuje. Zaprzeczył, ale jego głos nie brzmiał przekonująco.

-

A czym właściwie się zajmuje?

-

Nie mam pojęcia. Nie jestem nawet pewien, czy mogę się dowiedzieć, ale spróbuję. Wiesz, niepokoję się. Przytrafiło mu się coś złego. Mówił głosem jak z krypty grobowej. Wiesz, o co mi chodzi?

-

Wiem - odparł cicho Mattilon. - Widziałem go i słyszałem. Też się martwię.

-

Znajdź go, Ren. Zrób, co tylko możesz. Zawiadom mnie, a rzucę wszystko i przylecę do Paryża. Dzieje się z nim coś niedobrego.

-

Postaram się, Larry.

Mattilon wyszedł z gabinetu i stanął naprzeciwko dwóch funkcjonariuszy Surete.

-

Nazywa się Converse, Joel Converse... - zaczął.

-

Nazywa się Joel Converse - rzekł do słuchawki młodszy i wyższy funkcjonariusz Surete. W budkę

telefoniczną na bulwarze Raspail bębniły krople deszczu. - Pracuje w nowojorskiej kancelarii adwokackiej Talbota, Brooksa i Simona przy Piątej Alei. Nazwisko Simon, którym się posługuje, nie ma żadnego związku z firmą i służy tylko jako wygodny pseudonim.

-

Nie rozumiem.

-

Converse nie reprezentował w Paryżu swoich pracodawców. Mattilon skontaktował się z jednym ze wspólników w Nowym Jorku. Obydwaj są za niepokojeni i chcą być informowani na bieżąco. Jeśli Converse zostanie schwytany, Mattilon pragnie natychmiast się z nim zobaczyć jako jego adwokat. Może nie mówi wszystkiego, ale w moim przekonaniu jest szczerze zdumiony, a ściśle mówiąc, wstrząśnięty. Nie wie nic ważnego. Zorientowałbym się, gdyby tak było.

-

Mimo to nie mówi wszystkiego. Converse posłużył się nazwiskiem Simona, żeby ukryć przede mną swoją tożsamość. Mattilon wie o tym. Są przyjacielami i to on poznał go z Luboquem.

-

Padł ofiarą manipulacji, generale. Nie wymienił pana nazwiska.

-

Może to zrobić podczas następnych przesłuchań. Nie wolno dopuścić, by to się stało.

-

Oczywiście, że nie - rzekł cicho i dobitnie funkcjonariusz Surete.

-

Jak się nazywa pański przełożony przydzielony do sprawy?

102

-

Nadinspektor Prudhomme.

-

Jest z panem szczerzy?

-

Tak. Uważa mnie za swego rodzaju robota, byłego żołnierza o instynkt cie przewyższającym intelekt, lecz chętnego do pracy. Mówi mi wiele rzeczy.

-

Przez pewien czas będzie pan z nim pracował. Gdyby postanowił prze słuchać Mattilona raz jeszcze, proszę natychmiast dać mi znać. Paryżowi grozi utrata jednej z ozdób francuskiej palestry. Moje nazwisko nie może wyjść na jaw.

-

Zwróci się do niego po schwytaniu Converse'a. Jeśli Surete otrzyma jakiegokolwiek informacje o miejscu pobytu poszukiwanego, zaraz się z panem skontaktuję.

-

Prudhomme może przesłuchać Mattilona także z innego powodu. Szu kając, wbrew zakazowi, źródła braku postępów w śledztwie.

-

Zakazowi, panie generale?

-

Zostanie on wydany. W tej chwili interesuje nas wyłącznie Converse.

Potrzebowaliśmy tylko nazwiska. Wiemy, gdzie się uda. Znajdziemy go.

-

Nie rozumiem, panie generale.

-

Mam wiadomości ze szpitala. Stan naszego kierowcy się polepszył.

-

To bardzo dobra nowina.

-

Niestety, nie. Każdy dowódca niechętnie poświęca swoich żołnierzy, lecz nie wolno zapominać o

ogólnej strategii. Zgadza się pan?

-

Tak, naturalnie.

-

Kierowca nie może wyzdrowieć. To kwestia strategii, pułkownika.

-

Jeśli umrze, poszukiwania Converse'a przybiorą na sile. Racja, Prud homme przesłucha Mattilona ponownie.

-

Wydamy mu zakaz, ale niech go pan ma na oku.

-

Tak jest, panie generale.

-

Potrzebujemy pańskiego doświadczenia, pułkownika. Zdolności, które rozwinął pan wszechstronnie podczas służby w Legii Cudzoziemskiej, nim umożliwiliśmy panu powrót do bardziej cywilizowanego życia.

-

Jestem za to dozgonnie wdzięczny. Zrobię, co leży w mojej mocy.

-

Czy mógłby pan wejść do szpitala St Jérôme, nie zwracając na siebie uwagi?

-Zupełnie niepostrzeżenie, panie generale. Z każdej strony budynku znajdują się schody przeciwpożarowe. Jest ciemna, deszczowa noc. To dziecinnie łatwe.

-

Ale należy to wykonać.

-

Nie kwestionuję rozkazów.

-

Zgniecenie tchawicy, pułkownika.

-

Należy stopniowo uciskać szyję przez kawałek materiału. Lekarze uznają to za przypadkowe uduszenie się... Ale uważam za swój obowiązek powtó-

rzyć, że rozpoczną się wówczas szeroko zakrojone poszukiwania mordercy.

Zostaną rozesłane listy gończe. Bogaty Amerykanin to dobry cel dla Surete.

103

-

Nie będzie listów gończych. Na razie. Co najwyżej później, a wów czas policja znajdzie tylko czyjeś zwłoki... Niech pan działa, mój młody przyjacielu. Najpierw kierowca, pułkownika. Trzeba pamiętać o ogólnej stra -

tegi.

-

Już nie żyje - odparł mężczyzna w budce telefonicznej i odwiesił słuchawkę.

Rozdział 5

Erich Leifhelm urodził się piętnastego marca 1912 roku w Monachium jako syn doktora Heinricha Leifhelma i jego kochanki, Marty Stoessel. Pochodzenie z nieprawego łoża uniemożliwiło mu normalne wychowanie w wyższych warstwach pruderyjnej niemieckiej klasy średniej, lecz stanowi ono jeden z najważniejszych czynników w jego późniejszej karierze w ruchu narodowosocjalistycznym. Po przyjściu na świat nie został usynowiony przez ojca i aż do 1931 roku nosił nazwisko Erich Stoessel.

Joel siedział w kawiarni na kopenhaskim lotnisku Kastrup i usiłował się skupić.

Była to już druga próba w ciągu ostatnich dwudziestu minut. Zrezygnował z pierwszej, gdy zdał sobie sprawę, że nie rozumie ani słowa z czytanego tekstu i widzi tylko niekończące się rzędy czarnych

liter, które tworzą obco brzmiące słowa związane z ledwo pamiętaną postacią. Nie mógł się skoncentrować na Leifhelmie, rozpraszało go zbyt wiele rzeczy, prawdziwych i wyobrażonych. Nie był także w stanie czytać podczas dwugodzinnego lotu z Paryża, ponieważ kupił

tańszy bilet, chcąc się wtopić w tłum pasażerów. Udało mu się przynajmniej to.

Wąskie fotele i tłok spowodowały, że musiał trzymać łokcie w zupełnym bezruchu.

Brak miejsca i obawa, że ktoś zajrzy mu przez ramię, uniemożliwiły wyjęcie dossier.

Heinrich Leifhelm ulokował kochankę i syna w miasteczku Eichstatt, kilkadziesiąt kilometrów na północ od Monachium. Odwiedzał ich tam od czasu do czasu, zapewniając im godziwe, choć nie komfortowe warunki. Doktor Leifhelm przeżywał

zapewne konflikt wewnętrzny: z jednej strony udana praktyka lekarska i nieskazitelna opinia towarzyska, a z drugiej napiętnowana matka z nieślubnym dzieckiem. Bliscy znajomi Ericha Stoessela-Leifhelma twierdzą, że lata wczesnego dzieciństwa wywarły nań ogromny wpływ. Choć był zbyt młody, by pojąć znaczenie pierwszej wojny światowej (jej wspomnienia długo go później prześladowały), odczuł pogarszający się poziom życia rodziny, gdy ciężar podatków wojennych zmniejszył możliwości finansowe starego Leifhelma. Odwiedziny ojca podkreślały ponadto fakt, że nie może zo-

stać uznany za prawowitego syna i niedostępne są dlań przywileje, jakimi cieszy się przyrodnie rodzeństwo, dwóch braci i siostra, których nigdy nie znał i do których domu nie miał wstępu. Nie posiadał oficjalnej genealogii Doświadczonej przez obłudne metryki państwowe i kościelne, toteż czuł, że odebrano mu coś, co mu się słusznie należy. Napełniało go to złością przeciw całemu światu. Marzył o wybiciu się i głęboko nienawidził panujących stosunków społecznych. Jak sam przyznał, jego pierwsze świadome pragnienia skupiały się na zdobyciu sławy i pieniędzy dzięki własnym zdolnościom, aby zniweczyć panujące status quo, grożące mu nędzną wegetacją. Młodego Stoessela-Leifhelma zżerały nienawiść i ambicja.

Converse przerwał lekturę, spostrzegłszy nagle kobietę po przeciwnej stronie pustawej kawiarni. Siedziała sama przy stoliku i patrzyła na niego. Kiedy uniósł

oczy, odwróciła się, kładąc rękę na niskiej białej barierce. Spoglądała na halę dworca, po której snuli się nocą nieliczni podróżni, jakby na kogoś czekała.

Zaniepokojony Joel zaczął analizować wyraz jej oczu. Czyżby go znała? A może po prostu usiłowała go otaksować? Wyglądała na dobrze ubraną kurwę spacerującą po lotnisku w poszukiwaniu klienta, samotnego biznesmena daleko od domu. Dworce lotnicze służyły często jako miejsce zawierania przygodnych znajomości. Podróże i samotność budziły dziwne chętki, a pieniądze pozwalały wypełnić pustkę rozmową i seksem. Kobieta odwróciła powoli głowę i znów spojrzała na Joela, najwyraźniej zdziwiona, że ciągle na nią patrzy. Nagle zerknęła na zegarek, poprawiła kapelusz z szerokim rondem i otworzyła torebkę. Wyjęła banknot duński, położyła go na stoliku, wstała i ruszyła

szybko w stronę wyjścia. Znalazłszy się za otwartą bramką, przyśpieszyła kroku, kierując się w stronę łukowatego wejścia do punktu odbioru bagażu. Converse patrzył za nią, kręcąc głową, zirytowany tym, że się zaniepokoił; w przyćmionym neonowym świetle dworca zaczęły pojawiać się fantomy. Dyplomatką i dossier w skórkowej oprawie musiały nasunąć jej myśl, że jest pracownikiem lotniska. Czyż nadawał się wobec tego na klienta?

Widzę zbyt wiele cieni, pomyślał, śledząc wdzięczne ruchy kobiety idącej w stronę łukowatego wejścia. Zbyt wiele cieni, które okazywały się fałszywymi alarmami. W samolocie z Paryża kilka rzędów z przodu siedział pewien mężczyzna.

Dwukrotnie wstawał i szedł do toalety, a kiedy wracał na swoje miejsce, przyglądał się bacznie Joelowi. Spojrzenia te podniosły mu poziom adrenaliny we krwi. Czyżby zauważono go na lotnisku de Gaulle'a? Czy to Podwładny Jacques'a Louisa Bertholdiera, podobnie jak człowiek w zaułku na tyłach hotelu...? Nie wolno o tym myśleć! Wydając sobie pierwszy raz ów rozkaz, Joel strzepnął z koszuli owalną grudkę zakrzepłej krwi.

- Potrafię poznać jankesa na kilometr! Nigdy się nie mylę!

Pozdrowienie tego rodzaju brzmiało nieco staroświecko na lotnisku w KoPenhadze.

Obydwaj Amerykanie czekali na bagaż.

105

- Cóż, raz się pomyliłem. Chodziło o jakiegoś skurwysyna w samolocie z Genewy.

Siedział tuż koło mnie. Kolorowa świnia w garniturze z kamizelką! Mówił do stewardesy po angielsku, więc pomyślałem sobie, że to jeden z tych bogatych kubańskich drani z Florydy. Wie pan, co mam na myśli?

Emisariusz w ubraniu komiwojażera. Dyplomata od narkotyków.

Genewa. Wszystko zaczęło się w Genewie.

Zbyt wiele cieni. Żadnych niespodzianek, żadnych niebezpieczeństw. Kobieta przeszła przez łukowatą bramę i Joel oderwał od niej oczy, skupiając uwagę na biografii Ericha Leifhelma. Wtem dostrzegł kątem oka błyskawiczny ruch i znów popatrzył na kobietę. Z niewidocznej części dworca wyszedł mężczyzna, którego dłoń musnęła jej łokieć. Wymienili prędko kilka zdań i rozeszli się w przeciwne strony. Mężczyzna wszedł do hali dworcowej, a kobieta zniknęła. Czyżby spojrzał

na Joela? Converse uważnie go obserwował. Czy rzeczywiście patrzył w jego stronę? Trudno było powiedzieć, głowa nieznanego obracała się we wszystkich kierunkach. Najwyraźniej czegoś szukał. Wreszcie pośpieszył w stronę rzędu kas biletowych. Podeszedł do przedstawicielstwa japońskich linii lotniczych i zaczął

rozmawiać ze skośnookim urzędnikiem

Żadnych niespodzianek, żadnych niebezpieczeństw. To po prostu zmęczony pasażer pytający o drogę. Joela ponosiła wyobraźnia. Ale nawet teraz dawał o sobie znać logiczny umysł prawnika. To, co go rozpraszało, działało się mimo wszystko w rzeczywistości. O Boże, przestań! Skup się!

W siedemnastym roku życia Ench Stoessel-Leifhelm ukończył II Gimnazjum w Eichstatt. Przodował zarówno w nauce, jak i w sporcie, gdzie odznaczył się jako agresywny napastnik piłkarski. Po okresie wielkiej inflacji krach giełdowy w Ameryce w roku 1929 zadał morderczy cios kulejącej gospodarce Republiki Weimarskiej. Na uniwersytety wstępowali wyłącznie najbogatsi i najbardziej ustosunkowani. Stoessel-Leifhelm pojechał do Monachium i zarządał wsparcia od ojca, opisał później swój czyn jako akt młodzieńczego gniewu. Rezultaty podróży nie tylko nim wstrząsnęły, lecz stworzyły mu także niezwykle szansę życiową.

Nudna, ustabilizowana egzystencja doktora Leifhelma znalazła się w ruinie.

Upokarzające kłótnie małżeńskie doprowadziły go do alkoholizmu, aż wreszcie popełnił kilka nieuniknionych błędów w sztuce lekarskiej. Został napiętnowany przez społeczność medyczną Monachium (w jej skład wchodziło wówczas wielu Żydów), oskarżony o niekompetencję i zwolniony ze szpitala Karlstor. Utracił

praktykę, a żona wyrzuciła go z domu przy pomocy starego, lecz wciąż potężnego teścia, również lekarza, członka rady nadzorczej szpitala. Kiedy Stoessel-Leifhelm odnalazł ojca, wynajmował on tani pokój w ubogiej części miasta, zarabiając na życie skrobankami i wypisywaniem recept na środki odurzające.

Przyjaciele z owego okresu twierdzą, że doszło wówczas do wybuchu nagromadzonych emocji-stary Leifhelm uznał nieślubnego syna i opowiedział mu dzieje swojego nieszczęśliwego życia z żoną jędzą i teściami tyranami.

106

Był typowym przykładem ambitnego człowieka o miernych zdolnościach i znakomitych koneksjach. Mimo to utrzymywał, że nie porzucił nigdy kochanki ani jej syna.

Podczas długich pijackich zwierzeń ujawnił coś, o czym młody Leifhelm nie miał

dotąd pojęcia. Jego prawowita żona była Żydówką. Młodzieniec uznał tę wiadomość za dar niebios.

Wydziedziczony syn stał się opiekunem zrujnowanego lekarza.

Z głośników popłynęły zdania w języku duńskim. Joel spojrzął na zegarek Komunikat powtórzono po niemiecku. Joel wsłuchiwał się w ledwo rozróżnialne słowa, lecz wreszcie rozległy się nazwy: Hamburg, Kolonia i Bonn. Wzywano pasażerów ostatniego samolotu lecącego przez Hamburg do stolicy Niemiec Zachodnich. Lot trwał niespełna dwie godziny, a postój w Hamburgu pozwalał

podróżującym urzędnikom znaleźć się za biurkami na początku dnia pracy. Converse wysłał swój bagaż prosto do Bonn; doszedł do wniosku, że powinien zastąpić ciężką skórzaną walizkę torbą podręczną. Nie był znawcą takich zagadnień, ale zdrowy rozsądek podpowiadał, że długie oczekiwanie na bagaż na otwartej przestrzeni, gdzie każdy może go zobaczyć, nie sprzyja szybkim podróżom i wymykaniu się tropiącym. Schował do teczki dossier Ericha Leifhelma, zamknął

wieko i przekręcił mosiężne tarcze mechanizmu szyfrowego. Wstał od stolika, opuścił kawiarnię i ruszył środkiem dworca ku wyjściu dla pasażerów Lufthansy.

Na czoło wystąpił mu pot, serce zaś biło coraz szybciej, aż zaczęło przypominać oszalałe tam-tamy. Znał pasażera siedzącego obok, lecz nie miał pojęcia, gdzie i kiedy go spotkał. Pobrużdżona twarz, głębokie zmarszczki przecinające opaloną skórę, szarobłękitne oczy pod krzaczastymi brwiami, kasztanowe włosy przetykane siwizną- znał tego człowieka, choć nie przypominał sobie jego nazwiska ani nie wiedział, gdzie się z nim zetknął.

Converse czekał, by sąsiad pokazał po sobie, że go poznaje. Jednakże opalony mężczyzna nie reagował, toteż Joel mimo woli zerkał nań ukradkiem, czując coraz większe zażenowanie. Siedzący obok pasażer nie odwzajemniał owych spojrzeń. Cała jego uwaga skupiała się na grubym maszynopisie o czcionce większej niż stosowana zazwyczaj w dokumentach prawniczych, a nawet wezwaniach sądowych. Może jest prawie ślepy i nosi szkła kontaktowe, żeby to ukryć? - myślał Converse. Gdzie go, u licha, widziałem? Czyżby w Paryżu, tak jak mężczyznę w jasnym płaszczu w piwnicach hotelu? A może w Les Etalons Blancs? Czy należał do tłumu byłych wojskowych i nie rzucał się w oczy, kryjąc się gdzieś w kącie ekskluzywnego klubu? A może siedział tyłem do Converse'a przy stoliku Bertholdiera, tak że śledzony Amerykanin nie widział jego twarzy? Czy jestem rzeczywiście śledzony? -

zastanawiał się ConVerse, ściskając rączkę dyplomarki. Obrócił głowę o kilka centymetrów i przyglądał się sąsiadowi.

107

Nagle podniósł on wzrok znad opracowanego maszynopisu i spojrzał na Joela. Jego obojętne oczy nie wyrażały zdziwienia ani ciekawości.

-

Przepraszam - odezwał się niezręcznie Converse.

-

Nic nie szkodzi... Czemu nie? - padła dziwna, lakoniczna odpowiedź.

Mężczyzna mówił po angielsku z amerykańskim akcentem z Teksasu. Zabrał

się z powrotem do czytania.

-

Czy my się skądś znamy? - spytał Joel, nie mogąc się pohamować.

Sąsiad znów podniósł oczy.

-

Nie sędzę - odpowiedział rzeczowo i znów pogрузzył się w lekturze.

Converse spojrział przez okno na czarne niebo. Na końcu srebrzystego skrzydła błyskało czerwone światelko. Usiłował obliczyć kurs samolotu, lecz nie mógł się skupić. Znał siedzącego obok człowieka, a jego dziwne "czemu nie?"

jeszcze bardziej wytrąciło go z równowagi. Czy to sygnał, ostrzeżenie, podobnie jak słowa Joela do Jacques'a Louisa Bertholdiera, które sugerowały, że generał

powinien się z nim skontaktować?

-

Miło nam gościć pana na pokładzie, Herr Dowling - rozległ się głos stewardesy Lufthansy, przerywając tok jego myśli.

-

Dzięki, kochana - odparł sąsiad, a na jego pomarszczonej twarzy ukazał

się łagodny uśmiech. - Proszę mi przynieść trochę whisky z lodem, a mnie będzie równie miło.

-

Naturalnie. Na pewno słyszał pan to już tysiące razy i nudzą pana takie komplementy, ale pański serial cieszy się w Niemczech olbrzymią popularnością.

-

Jeszcze raz dzięki, słodziutka, ale to nie mój serial. Na ekranie biega mnóstwo młodych ładnych kózek.

Aktor, jakiś cholerny aktor, pomyślał Joel. Żadnych niespodzianek, żadnych niebezpieczeństw. To tylko bujna wyobraźnia.

-

Jest pan zbyt skromny, Herr Dowling. Są zbyt podobne do siebie, zbyt gładkie... Pan jest taki dobry, taki męski... taki pełen zrozumienia.

-

Zrozumienia? Coś pani powiem. W zeszłym tygodniu widziałem w Ko lonii jeden z odcinków i nie rozumiałem ani słowa.

Stewardesa roześmiała się.

-

Z lodem, czy tak?

-

Owszem, kochana.

Ruszyła środkiem samolotu w stronę kuchni. Converse nadal spoglądał na aktora.

-

Przepraszam. Oczywiście powinienem pana poznać.

Dowling odwrócił opaloną twarz, przyjrzał się bacznie Joelowi i wbił wzrok w ręcznie wytłaczaną skórę dyplomatki. Po chwili podniósł oczy, uśmiechając się szelmowsko.

-

Gdybym spytał, skąd pan mnie zna, wprowadziłbym pana w zażenowanie.

Nie wygląda pan na miłośnika Santa Fe.

-

Santa Fe... Ach, prawda, to tytuł serialu.

108

Converse przypomniał sobie. Był to jeden z fenomenów telewizyjnych, które dzięki swojej niesłychanej popularności i dochodowości trafiły na okładki Time'a" i

"Newsweeka". Nigdy go nie widział.

- Oczywiście - ciągnął aktor - nie zna pan obyczajów, krzywd i zmiennych kolei losu dumnego rodu Rachtów, właścicieli największego rancha na północ od Santa Fe oraz historycznego płaskowyżu Chimaya, ukradzionego biednym Indianom.

-Co... co takiego?

Na pomarszczonej twarzy Dowlinga znów pojawił się uśmiech.

-

Pa Racht, przyjaciel Indian, nie ma jeszcze o tym pojęcia, ale to jemu przypisują winę jego czerwonoskórzy bracia. Widzi pan, źli synowie Pa do wiedzieli się, że pod Chimaya znajdują się złoża nafty, i postanowili zdobyć płaskowyż...

Aktor wyraźnie się zmienił, pomyślał oszołomiony Joel. Czy to jego słowa? Nie, chodziło o głos. Zachodni akcent był wyraźnie słabszy.

-Nie bardzo wiem, co pan ma na myśli, ale nie mówi pan już jak Tekszańczyk.

-

Ma pan przed sobą byłego wykładowcę anglistyki i teatrologii, który kilkanaście lat temu rzucił w diabły dożywotnią synekurę na uniwersytecie i ruszył w pogoń za młodzieńczymi marzeniami. Imiałem się później wielu za bawnych i niezbyt szacownych zajęć, ale stara Tespia miewa swoje kaprysy.

Jeden z moich byłych studentów, zatrudniony jako kierownik produkcji czy coś w tym rodzaju, zauważył mnie w tłumie statystów. Zawstydził się jak dia bli! Dał mi parę drugoplanowych ról. Niektóre wypadły całkiem nieźle, a po kilku latach przydarzył się cud o nazwie Santa Fe. Zmieniono mi wówczas imię z Calvin na Caleb. "Bardziej pasuje do Dzikiego Zachodu" - orzekło kilku bogatych pięknoduchów, którzy widzieli konia tylko na wyścigach...

Zwariowana historia, prawda?

-

Zupełnie zwariowana - zgodził się Converse, patrząc na zbliżającą się stewardesę.

-

Zwariowana czy nie - dodał półgłosem Dowling - ten stary kowboj nie

• obraża niczyich uczuć. Chcą mieć Pa Racheta, więc go dostaną.

-

Proszę, oto pańska whisky - rzekła kobieta, podając aktorowi szkła neczkę.

-

Dzięki, kochanie! Jesteś miłsza niż te wszystkie kózki z serialu!

-

Jest pan bardzo uprzejmy, mein Herr!

-

Poproszę szkocką- odezwał się Joel.

-

Tak już lepiej, synu-rzekł z uśmiechem Dowling po odejściu stewardesy. - Zna pan już mój zawód. Jaki jest pański?

-

Jestem adwokatem.

-

Czyta pan przynajmniej coś interesującego. Ten scenariusz na pewno się nie odznacza.

109

Partia narodowosocjalistyczna, uważana przez większość szanowanych obywateli Monachium za zbieraninę psychopatów i kryminalistów, zdobywała coraz większą popularność w całych Niemczech. Radykalny i populistyczny ruch, podlegał masy wulgarną propagandą skierowaną przeciw wszystkiemu co cudzoziemskie. Winą za trudną sytuację kraju obarczono bolszewików, a zwłaszcza żydowskich bankierów: okrutnych krwiopijców, którzy wyzyskiwali Aryjczyków i paśli się nieuczciwie zdobytym bogactwem.

Kosmopolityczne Monachium i jego żydowska społeczność naśmiewały się tylko z coraz absurdalniejszych haseł. Reszta Niemiec słuchała z uwagą i traktowała je poważnie. Erich Stoessel-Leifhelm również stał się zwolennikiem nazizmu. Dało mu to przepustkę do sławy i kariery.

Po kilku tygodniach młody człowiek zmienił ojca nie do poznania. W późniejszych latach okraszał ową historię sporą dozą okrutnego humoru. Nie zwracając uwagi na histeryczne sprzeciwy zapijaczonego lekarza, usunął z domu cały tytoń i alkohol.

Nie spuszczał ojca z oczu, narzucił mu surową dietę i zmusił do ćwiczeń gimnastycznych. Z gorliwością purytańskiego miłośnika tężyzny fizycznej zaczął

uprawiać z nim na wsi Gewaltmarsche - forsowne marsze - stopniowo dochodząc do całodziennych wyczerpujących wycieczek po stromych górach Bawarii. Nieustannie popędzany starzec mógł odpoczywać i pić wodę tylko za zgodą syna.

Rehabilitacja zakończyła się pełnym sukcesem. Zniszczone, niemodne łąchy doktora zaczęły niebawem wisieć na nim jak na strachu na wróble. Potrzebował nowych ubrań, jednakże w owych czasach stać na nie było tylko bogatych monachijczyków, a Stoessel-Leifhelm chciał zaopatrzyć ojca we wszystko co najlepsze - nie z synowskiej miłości, lecz jak się niebawem okaże, z zupełnie innych powodów.

Należało zdobyć pieniądze, czyli ukraść. Syn wypytał ojca dokładnie o rozkład domu, z którego go wyrzucono, i uzyskał niezbędne informacje.

W kilka tygodni później o godzinie trzeciej nad ranem dokonał zuchwałego włamania do willi na Luisenstrasse i wyniósł wszystko, co przedstawiało jakąkolwiek wartość, w tym srebra, kryształy, obrazy, złote ozdoby oraz całą zawartość ściennego sejfu. W Monachium lat trzydziestych sprzedaż łupu paserom nie przedstawiała najmniejszych trudności. Ojciec i syn otrzymali równowartość blisko ośmiu tysięcy dolarów, prawdziwą fortunę jak na owe czasy.

Rehabilitacja trwała - krawcy z Maximilienstrasse uszyli eleganckie garnitury, a szewcy z Odeonsplatz sporządzili luksusowe trzewiki. W końcu zmieniono powierzchowność doktora. Ostrzyżono mu rozczochraną czuprynę, nadając jej nordycki jasny odcień, oraz zgolono długą niechlujną brodę i

pozostawiono tylko krótki, dobrze utrzymany wąsik. Przemiana została za kończona, należało jeszcze przedstawić doktora właściwym osobom.

Podczas długich tygodni rehabilitacji Stoessel-Leifhelm czytał ojcu co wieczór literaturę propagandową otrzymaną w siedzibie partii nazistowskiej.

110

Materiałów nie brakowało. Były to prymitywne podżegające broszurki, zawierające wulgarne teorie biologiczne o rzekomej wyższości rasowej Aryjczyków oraz długie fragmenty Mein Kampf Hitlera. Syn odczytywał je dopóty, dopóki doktor nie nauczył się ich na pamięć. Siedemnastolatek powtarzał ojcu przez cały czas, że jest to sposób na odzyskanie wszystkiego, co mu ukradziono, i na zemstę za lata upokorzeń i naigrawań. Niemcy również zostały upokorzone przez resztę świata, ale nadchodzi pora zemsty, gdy partia nazistowska wskrzesi prawdziwe narodowe wartości. W kraju zapanuje niebawem nowy ład, choć inteligencja jeszcze tego nie rozumie.

Przyszedł dzień, na który czekał Stoessel-Leifhelm, dzień gdy do Monachium przybyło dwóch wysokich funkcjonariuszy partyjnych, kulawy Joseph Goebbels oraz pseudoarystokrata Rudolf Hess. Syn zaprowadził ojca do kwatery głównej nazistów, gdzie dobrze ubrany, butny i najwyraźniej bogaty lekarz, czysty Aryjczyk, zażądał u nich audiencji w pilnej i poufnej sprawie. Uzyskał ją i wedle wczesnych archiwów partyjnych odezwał się do Hessa i Goebbelsa w te słowa:

- Panowie, jestem lekarzem o nieposzlakowanej opinii, dawnym ordynatorem oddziału

chirurgicznego szpitala Karlstor. Przez długie lata byłem jednym z najbardziej cenionych praktyków w Monachium. Epoka ta należy do przeszłości.

Zostałem zrujnowany przez Żydów, którzy ograbili mnie do cna. Wracam do świata i pragnę służyć Partii.

Samolot Lufthansy jął podchodzić do lądowania na lotnisku w Hamburgu. Joel schował do teczki wymiętą stronicę biografii Leifhelma, a siedzący obok Caleb Dowling wetknął niedbale scenariusz do otwartej torby podróźnej leżącej na podłodze.

-

Jest tylko jedna rzecz głupsza od tego filmu - powiedział - a mianowi cie gaża, jaką mi płacą.

-

Ma pan jutro zdjęcia? - spytał Converse.

-

Dzisiaj - poprawił Dowling, spoglądając na zegarek. - Zaczynamy bar dzo wcześnie. Muszę być na planie o piątej trzydzieści rano. Chodzi o wschód słońca nad Renem czy coś równie natchnionego. Znacznie lepiej, gdyby zmie nili to cholerstwo w film przyrodniczy.

-

Leci pan z Kopenhagi?

-

Owszem.

-

Będzie pan niewyspany.

-

Niestety.

-

No tak.

Aktor spojrzał na Joela z uśmiechem, od którego pogłębiły mu się kurze łapki wokół oczu.

-

W Kopenhadze przebywa moja żona, a ja miałem dwa dni wolnego. To Ostatni samolot, żeby zdążyć na czas.

111

-

Jest pan żonaty?

Converse natychmiast pożałował owego pytania. Zabrzmiało głupio, choć nie wiedział, dlaczego.

-

Od dwudziestu sześciu lat, młody człowieku. Czyż inaczej mógłbym ruszyć w pogoń za młodzieńczymi marzeniami? Jest genialną sekretarką. Jak prowadziłem zajęcia, zawsze okazywała się niezastąpiona dla jakiegoś dzie kana.

-

Mają państwo dzieci?

-

Nie. Nie można osiągnąć wszystkiego.

-

Dlaczego pańska żona została w Kopenhadze? Mogłaby przecież towa rzyszyć panu na planie.

Z opalonej twarzy Dowlinga zniknął uśmiech; jego zmarszczki stały się mniej widoczne, choć dziwnie głębsze.

-

Narzucające się pytanie, prawda? Od razu widać, że jest pan prawni kiem.

-

Oczywiście to nie mój interes. Proszę zapomnieć, że o to pytałem.

-

Nie, wszystko w porządku. Nie lubię o tym mówić i rzadko to robię, ale sympatyczni współpasażerowie z samolotu to przecież wymarzeni słuchacze.

Nigdy więcej ich nie spotykamy, więc dlaczego nie otworzyć serca i nie po czuć się lepiej? - Aktor

usiłował się uśmiechnąć, choć bez powodzenia. -

Moja żona nazywa się Milhlstein, po niemiecku "kamień młyński". Jest Ży dówką. Jej losy są podobne do milionów innych, ale dla niej... cóż, to jej własne losy. Jako czternastoletnia dziewczyna została rozłączona z rodzicami i trójką młodszych braci w Oświęcimiu. Odciągnięto ich na jej oczach, a ona darła się na całe gardło, niczego nie rozumiejąc. Miała szczęście, trafiła do baraków. Przez dwa lata szła mundury, potem wysłano ją do pracy na ze wewnątrz obozu. W kilka dni po przybyciu do Oświęcimia, słysząc różne po głoski, dostała histerii i zaczęła biegać po obozie, szukając swojej rodziny.

Dotarła do miejsca zwanego Abfall, czyli śmietnik, gdzie rzucono trupy wy ciągnięte z komór gazowych. Zobaczyła tam zwłoki rodziców i trójki braci.

Nigdy nie potrafiła zapomnieć ohydny smrodu tego miejsca. Nigdy go nie zapomni. Jej noga nie postanie w Niemczech, a ja nie zamierzam jej do tego namawiać.

Żadnych niebezpieczeństw, tylko niespodzianki... Jeszcze jeden Krzyż Żelazny dla Erichów Leifhelmów z przeszłości, nadany po upływie wielu lat.

-

Boże, przepraszam! - wymamrotał Converse. - Nie miałem zamiaru...

-

Nic się nie stało... Widzi pan, ona sama wie, że to nie ma sensu.

-

Nie ma sensu?! Zdaje pan sobie sprawę, co pan przed chwilą opisał?!

-Zdaję sobie sprawę, ale jeszcze nie skończyłem. Kiedy miała szesnaście lat, wpakowano ją do ciężarówki wraz z pięcioma innymi dziewczętami. Miały jechać do innej pracy poza obozem. Postanowiły skorzystać z ostatniej szansy i zatłukły na śmierć kaprała Wehrmachtu, który ich pilnował. Później sterrory zowały karabinem kierowcę i uciekły.

112

Dowling zamilkł, wpatrując się w Joela.

Converse odwzajemnił w milczeniu spojrzenie, nie wiedząc, co ono oznacza, lecz głęboko poruszony tym, co usłyszał.

- To niezwykła historia - rzekł. - Naprawdę.

-

Przez następne dwa lata ukrywały się u różnych rodzin niemieckich, które doskonale zdawały sobie sprawę, co robią i co im grozi - ciągnął aktor. -

Dziewcząt poszukiwano dość intensywnie, głównie dlatego, że za dużo wie działały. Nieustannie zmieniały kryjówki, aż wreszcie przeszmyglowano je ko lejno przez zieloną granicę do okupowanej Francji, gdzie sytuacja była nieco lepsza. Dokonało tego podziemie, niemieckie podziemie. - Dowling zamilkł

i dodał: - Pojmujesz, synu, jak powiedziałby Pa Ratchet?

-To chyba jasne.

-

Nosi w sobie mnóstwo bólu i nienawiści. Bóg jeden wie, że ją rozu miem. Ale powinna czuć także trochę wdzięczności. Kilku owych ludzi, prze cież Niemców, poddano okrutnemu śledztwu i rozstrzelano. Nie chcę jej zbyt natarczywie przekonywać, lecz mogłaby odczuwać trochę wdzięczności. Może patrzyłaby wówczas na wszystko z dalszej perspektywy.

Aktor zapiął pas bezpieczeństwa, a Joel zamknął dyplomatkę, zastanawiając się, czy powinien odpowiedzieć. Do niemieckiego podziemia należała matka Valerie.

Była żona Joela opowiadała zabawne anegdotki o surowym, pełnym rezerwy oficerze francuskiego wywiadu zmuszonym do współpracy z ideową, upartą dziewczyną niemiecką, działaczką Untergrundbewegung. Im bardziej się kłócili i oskarżali o typowe przywary narodowe, tym bardziej się sobą interesowali. Francuz był ojcem Val: szczyciła się nim, choć czuła jeszcze większą dumę z matki. Ona także miała w sobie dużo bólu i nienawiści. Istniały po temu niekwestionowane przyczyny, podobnie jak później w przypadku Joela Converse'a.

-

Nie mówię tego po raz pierwszy i jestem pewien, że się nie mylę - rzekł

wolno Joel, nie mając pewności, czy powinien się odzywać. - To oczywiście nie mój interes, ale na pana miejscu nigdy bym nie starał się jej przekonać.

-

Czyżby stary Pa rozmawiał z adwokatem? - spytał Dowling swoim tele wizyjnym dialektem, patrząc w przestrzeń z fałszywym uśmiechem. - Powi nieniem zapłacić za poradę?

-

Przepraszam, lepiej się zamknę. - Converse zapiął pas.

-Nie, to ja przepraszam, sam zacząłem zawracać panu głowę. Niech pan skończy.

-

Dobrze. Najpierw były potworne przeżycia, a nienawiść pojawiła się Później. W naszym języku nazywamy to prima facie: pierwsze wrażenie, rze czywistość, jeśli pan woli. Gdyby nie tamte wydarzenia, nie miałyby powo dów do wdzięczności. Dlatego wdzięczność jest równie bolesna, bo nie po winna być konieczna.

Aktor znów przyjrzał się bacznie Joelowi.

-

Sprytny z pana drań, co?

113

-

Jestem tylko prawnikiem. Ale znam ludzi, którzy przeżyli to co pańska żona. Na początku są zawsze potworne przeżycia.

Dowling popatrzył na lampkę na suficie.

-

Jak idziemy do kina, muszę najpierw sprawdzać treść filmu. Jeśli oglą.

damy telewizję, czytam przedtem program. Kiedy w dzienniku pojawiają się czasami zwariowani neonaziści, cały się spinam, zastanawiając się, co robi.

Nie może patrzeć na swastykę ani na maszerujących żołnierzy, nie może słu chać krzyków po niemiecku... Biegnie do łazienki i wymiotuje... Cała się trzęsie... Próbuję ją przytulić, a ona myśli, że jestem jednym z nich, i zaczyna krzyczeć. Po tylu latach... Chryste Panie!

-

Czy próbował pan skonsultować się ze specjalistą, z kimś, kto mógłby jej pomóc?

-

Cóż, bardzo szybko przychodzi do siebie - odparł niepewnie aktor.

Wydawało się, że znów zaczyna grać wyuczoną rolę. - Poza tym kilka lat temu nie było nas na to stać - dodał ponuro.

-

A teraz? Na pewno wszystko się zmieniło.

Dowling spuścił oczy i popatrzył na torbę podróżną u swoich stóp.

-

Gdybyśmy poznali się wcześniej... Ale pobraliśmy się grubo po czterdziestce. Dwoje dziwaków, którzy stale czegoś szukali. Już za późno.

-

Przykro mi.

-

Nigdy nie powinienem przyjmować roli w tym cholernym filmie, ni gdy.

-

Więc czemu pan to zrobił?

-

Powiedziała, że muszę. Żeby pokazać, że potrafię grać nie tylko skrety niałych kowbojów, nad którymi wszyscy się rozczulają. Mówiłem jej, że to bez znaczenia... Podczas wojny służyłem w piechocie morskiej. Widziałem na Pacyfiku różne rzeczy, ale nic równie potwornego. Boże, wyobraża pan sobie, jak to musiało wyglądać?!

-

Tak, wyobrażam sobie.

Aktor uniósł wzrok znad torby, a na jego pomarszczonej, opalonej twarzy ukazał się wąty uśmiech.

-

Pan, młodzieńcze? Chyba że był pan w Korei...

-

Nie, nie byłem.

-

Wobec tego zna pan to tylko z filmów, podobnie jak ja. Jest pan za młody, a ja miałem szczęście.

-No cóż, była jeszcze...

Converse umilkł. Nie miało to sensu. Spotykało go to tak często, że nawet nie musiał się zastanawiać. Ameryka zapomniała o wojnie w Wietnamie. Wiedział, że jeśli przypomni o tym człowiekowi pokroju Dowlinga, zacznie on się rozpląwać w absurdalnych przeprosinach. Przeżycia Joela nie mając wspólnego z panią Dowling z domu Mihlstein.

-

Już nie wolno palić - zmienił temat. - Za kilka minut będziemy w Ham burgu.

114

- W ciągu ostatnich dwóch miesięcy latałem tym samolotem wiele razy i ostrzegam pana, Hamburg to ohydna dziura - rzekł Caleb Dowling. - Nie chodzi o odprawę celną, to drobiazg, zwłaszcza o tej porze. Wbijają pieczętkę do paszportu i jazda. Ale potem zaczynają się kłopoty. Dwa albo trzy razy czekałem ponad godzinę na samolot do Bonn. Ale, ale, nie wypiłby pan ze mną drinka? - aktor znów zaczął mówić z teksaskim akcentem. - Tak między nami, witają Pa Racheta jak jakąś znakomitość. Wysyłają teleks i na lotnisku czeka gromada kowbojów, którzy zabierają go do miejscowego salonu.

-

No cóż...

Joel czuł się mile połączony. Polubił Dowlinga, sławnego aktora. Ostatnio spotkało go niewiele miłych rzeczy.

-

Muszę pana ostrzec - dodał aktor - że nawet o tej porze wszędzie roi się od fanów, a dział reklamy linii lotniczej sprasza gromady fotoreporterów. Na szczęście nie trwa to długo.

Converse wziął sobie to ostrzeżenie do serca.

-

Muszę zadzwonić - rzekł niedbale - ale jeśli rozmowa nie potrwa dłu go, chętnie się z panem napiję.

-

Zadzwonić? O tej porze?

-

Do Stanów. W Chicago nie jest jeszcze tak późno.

-Niech pan zatelefonuje z tutejszego salonu. Otwierają go dla mnie.

-

Może to trochę zwariowane - rzekł Joel, szukając właściwych słów -

ale wolałbym być sam. Muszę wytłumaczyć kilka skomplikowanych spraw.

Przejdę przez cło i znajdę budkę telefoniczną.

-Nic nie wydaje mi się zwariowane, synu. Pracuję w Hollywood. - Dowlinga opuściło nagle radosne podniecenie. - Stany... - powiedział cichym głosem, znów popadając w zamyślenie i patrząc w przestrzeń. - Pamięta pan te świństwa ze Skokie w stanie Illinois? Zrobili audycję telewizyjną na ten temat... Siedziałem w swoim gabinecie i uczyłem się roli, gdy nagle usłyszałem krzyk i trzaśnięcie drzwi. Wybiegłem z pokoju i zobaczyłem żonę pędzącą w stronę morza. Musiałem wyciągać ją z wody. Ma sześćdziesiąt siedem lat, a zachowuje się ciągle jak mała dziewczynka w tym cholernym obozie. Widzi rzędy więźniów z zapadniętymi oczyma, matkę, ojca i trzech braciszków. Kiedy człowiek się nad tym zastanawia, zaczyna rozumieć, dlaczego bez przerwy powtarzają "Nigdy więcej wojny". To nie może się powtórzyć. Chciałem sprzedać ten cholerny dom. Nigdy nie zostawię jej w nim samej.

-

Jest teraz sama?

-

Nie - odparł Dowling, znów się uśmiechając. - To dobra strona całej sprawy. Po tamtej nocy doszliśmy do wniosku, że nie może być sama. Znaleź

liśmy jej opiekunkę. Gadatliwa mała opowiadająca mnóstwo historyjek o zdradzanych mężach. Od czterdziestu lat obja się po wytwórniach i stwardniała Przez ten czas.

-

Aktorka?

-

Po prostu niezła statystka. Jest dobrą opiekunką dla żony.

-

Miło mi to słyszeć - rzekł Joel, gdy koła samochodu zetknęły się gwałtownie z pasem startowym i rozległo się wycie wstecznego ciągu silników.

Odrzutowiec toczył się naprzód, a później skręcił w lewo w stronę miejsca parkowania.

-

Kiedy skończy pan rozmowę, niech pan zapyta kogoś o salon dla ważnych osobistości. Proszę powiedzieć, że jest pan moim przyjacielem.

-

Spróbuję się tam dostać.

-

Jeśli się panu nie uda - odezwał się aktor w dialekcie z Santa Fe - zobaczymy się w żelaznej zagrodzie dla bydła.

-

Zagrodzie dla bydła?

-

Nienawidzę koni, nie wie pan?

Samolot się zatrzymał. Po niespełna pół minucie otworzyły się przednie drzwi, a przejście między siedzeniami zatarasowali podekscytowani pasażerowie. Szepty i spojrzenia świadczyły, że przyczyną podniecenia tłumu jest Caleb Dowling. Aktor odgrywał cierpliwie rolę Pa Racheta, uśmiechając się ciepło, mrugając i śmiejąc się zaraźliwie. Patrzący Joel poczuł przyływ litości dla starego człowieka, aktora i ryzykanta, który dzielił prywatne piekło z ukochaną kobietą.

Nigdy więcej. Nigdy więcej nie może się to powtórzyć... Słowa.

Converse spojrzał na swoją dyplomatkę, trzymaną obiema rękami na kolanach. W

środku znajdowała się inna historia, pełna odległych grzmotów, dalekich błyskawic jonizujących powietrze.

"Wracam do świata i pragnę służyć Partii".

Słowa z innej epoki zwiastującej nadchodzącą burzę, związane z powrotem pewnego człowieka. Trybu w maszynierii Akwitanii.

Za gwiazdą telewizyjną przepchnął się przez drzwi tłumek ciekawych pasażerów.

Joel został nieco z tyłu. Chciał, nie zwracając na siebie uwagi, przejść szybko przez komorę celną, zaszyć się gdzieś w kącie dworca i odczekać aż do chwili, gdy głośniki oznajmią start samolotu do Kolonii i Bonn Goebbels i Hess przyjęli z entuzjazmem ofertę doktora Heincha Leifhelma.

Goebbelsowi musiała cieknąć ślinka, gdy wyobrażał sobie jasnowłosego aryjskiego lekarza "o nieposzlakowanej opinii", płodzącego popularne broszurki potwierdzające pseudonaukowe teorie genetyki nazistowskiej i potępiające niższych rasowo Żydów, był to dar niebios. Natomiast Rudolf Hess, marzący o wprowadzeniu swoich młodych kochanków do salonów junkrów i bogatych kapitalistów, traktował Herr Doktora jako prawdziwego arystokratę i potencjalnego konkubina

Staranne przygotowania, dobre wyczucie sprzyjającego momentu i gra pozorów złożyły się na rezultat przekraczający oczekiwania młodego Stoessela-Leifhelma.

Z Berlina przybył Adolf Hitler, by wziąć udział w jednym z wieców na Manenplatzu, a dumnego lekarza i jego poważnego, dobrze ułożonego syna zaproszono na obiad u Fuhrera. Poglądy wygłaszane przez

. 116

gościa niezmiernie przypadły Hitlerowi do gustu i od owego dnia, aż do swojej śmierci w 1934 roku, Hemnch Leifhelm pełnił funkcje przybocznego lekarza wodza.

Syn mógł teraz zrealizować wszystkie swoje plany. I nie omieszkał tego zrobić. W

czerwcu 1931 roku w Heihgtum Hof, w siedzibie partii narodowosocjalistycznej odbyła się ceremonia, podczas której małżeństwo Hemncha Leifhelma z Żydówką uznano za nieważne. wskutek "ukrycia krwi żydowskiej" przez "oportunistyczną rodzinę hebrajską" Anulowano także wszelkie prawa potomków owego "plugawego związku". Leifhelm i Marta Stoessel zawarli ślub cywilny, a jedynym dziedzicem doktora został osiemnastoletni młodzieniec imieniem Ench.

Kiedy naziści umieścili owo absurdalne ogłoszenie w gazetach, żydowska społeczność Monachium nadal się śmiała, jednakże nie tak głośno jak dotychczas.

Sprawę uważano za nonsens, Leifhelm był człowiekiem skompromitowanym, nie istniało żadne dziedzictwo po ojcu, a ponadto wszystko miało charakter pozaprawny. Wkrótce okazało się, że wraz ze zmienianiem się Niemiec zmieniają się także prawa. Za dwa lata pozostało tylko jedno: wola nazistów.

Ench Leifhelm miał zapewnioną błyskawiczną karierę w partii. W wieku osiemnastu lat został Fuhrerem Hitlerjugend, a plakaty przedstawiające jego mocną twarz zachęcały dzieci do włączenia się do narodowej krucjaty. Kiedy funkcjonował jako symbol młodzieży niemieckiej, wysłano go na

Uniwersytet Monachijski, gdzie ukończył studia w trzy lata, uzyskując dyplom z wyróżnieniem. Tymczasem do władzy doszedł Adolf Hitler, zdobywając większość w Reichstagu, który udzielił mu dyktatorskich pełnomocnictw. Powstała Tysiącletnia Rzesza, a Encha Leifhelma wysłano do centrum szkolenia oficerów w Magdeburgu.

W 1935 roku, w rok po śmierci ojca, młody faworyt z otoczenia Hitlera, mianowany Oberstleutnantem w Vergeltungswaffen Korps, został jednym z najmłodszych dowódców Wehrmachtu i zaangażował się głęboko w ogromną ekspansję militarną Niemiec. W miarę zbliżania się wojny rozpoczęła się trzecia faza jego skomplikowanego życia, znalazł się wówczas w samym centrum władzy Trzeciej Rzeszy, choć w późniejszym okresie wyparł się przynależności do elity nazistowskiej. Okres ten, opisany na kilku następnych stronach, stanowi preludeum fazy czwartej, gdy stał się fanatycznym zwolennikiem George'a Marcusa Delavane'a

Ale zanim opuścimy młodego Encha Leifhelma z Eischstatt, Monachium i Magdeburga, należy wspomnieć o dwóch epizodach, które rzucają światło na jego psychopatyczną naturę. Wspomnieliśmy już o włamaniu na Luisenstrasse i zyskach z kradzieży; Leifhelm nie wypiera się przestępstwa i do dziś lubi opowiadać ową historię, roztaczając przed słuchaczami ponury obraz Pierwszej żony ojca i jej butnych rodziców. Nie wspomina tylko o oryginalnym raporcie policji monachijskiej, który usunięto z archiwów i najprawdopodobniej

117

zniszczono. w sierpniu 1934 roku, po śmierci Hmdenburga i zdobyciu przez Hitlera władzy absolutnej, gdy mianowano go kanclerzem i prezydentem, a tytuł Fuhrera uzyskał status oficjalny

Z akt wycofano wszystkie kopie raportu, lecz pamiętają go wyraźnie dwaj emerytowani funkcjonariusze policji monachijskiej mający blisko osiemdziesiąt lat. Nie widzieli się oni od dłuższego czasu i wypytywano ich osobno.

Owej nocy na Luisenstrasse popełniono nie tylko kradzież. O poważniejszym przestępstwie nie wspomniano nigdy wskutek interwencji rodziny. Piętnastoletnia córka Leifhelma została zgwałcona i ciężko pobita. Jej twarz i ciało były tak zmasakrowane, że po przyjęciu do szpitala Karlstor dawano jej niewielkie szansę wyzdrowienia. Mimo to przyszła do siebie pod względem fizycznym, choć przez resztę swojego krótkiego życia cierpiała na zaburzenia emocjonalne. Człowiek, który dopuścił się gwałtu, musiał znać dobrze rozkład domu - wiedział, gdzie znajdują się tylne schody wiodące do pokoju dziewczynki, która spała z dala od matki i dwóch braci, ulokowanych w części frontowej. Ench Leifhelm dokładnie wypytał ojca o plan willi, sam przyznał, że w niej był, i zdawał sobie sprawę z niepohamowanej dumy i surowości moralnej "tyrańskich teściów" Hemncha Leifhelma.

Nie ma żadnych wątpliwości-nienawidził ich tak głęboko, że pragnął zadać im najboleśniej szy możliwy cios, i zrobił to, wiedząc, że wpływowa rodzina postara się zatuszować sprawę.

Drugi wypadek zdarzył się w styczniu albo lutym 1939 roku. Szczegóły pozostają niejasne, ponieważ

przeżyło niewiele osób znających dobrze rodzinę Leifhelmów.

Ludzie, których wypytywano, ujawnili jednak pewne fakty. Rodzina żony Hemncha Leifhelma bezskutecznie ubiegała się od kilku lat o zgodę na emigrację.

Oficjalne czynniki partyjne głosiły, że patriarcha rodu zdobył swoje umiejętności medyczne na uniwersytetach niemieckich i zawdzięcza je państwu.

Istniały także nierozstrzygnięte kwestie prawne i majątkowe związane z unieważnieniem małżeństwa między zmarłym doktorem Hemnchem Leifhelmem a jednym z członków rodziny i dotyczące wybitnego oficera Wehrmachtu.

Ench Leifhelm nie zamierzał ryzykować. Była żona ojca i jej dzieci znalazły się w areszcie domowym. Willa na Luisenstrasse była nieustannie inwigilowana, a po złożeniu każdego kolejnego podania o wizę wyjazdową Leifhel-mowie musieli przez kilka tygodni meldować się codziennie na policji, aby nie podjęli ucieczki.

Informacje te podał emerytowany bankier, który przypomina sobie, że banki monachijskie otrzymały z Finanzmmistenum w Berlinie rozkaz natychmiastowego donoszenia o wszelkich poważniejszych wypłatach dokonywanych przez byłą Frau Leifhelm oraz jej krewnych.

Gdzieś w styczniu albo lutym 1936 roku (nie znamy dokładnej daty) Frau Leifhelm, jej dzieci i ojciec zniknęli.

Akta sądów monachijskich, skonfiskowane przez sojuszników dwudziestego trzeciego kwietnia 1945 roku, dają jasny, choć niekompletny obraz tego, 118

co się stało. Leifhelm chciał zalegalizować zagarnięcie majątku teściów ojca.

Złożył w sądzie pozew wyliczający rzekome krzywdy, jakich doznał doktor ueinrich Leifhelm z rąk spiskującej rodziny, która uciekła z Rzeszy poszukiwana przez policję. Zarzuty, poczynając od kradzieży olbrzymich, nieistniejących depozytów bankowych, a kończąc na publicznym szkalowaniu w celu przejęcia praktyki lekarskiej znakomitego lekarza, były oczywiście stekiem kłamstw. Do pozwu dołączono akt unieważnienia małżeństwa oraz kopię testamentu Heinncha Leifhelma.

Istniał tylko jeden legalny związek i jeden legalny syn, Oberstleutnant Ench Stoessel-Leifhelm, który dziedziczył cały majątek ojca.

Ponieważ znamy dość dokładne daty owych wydarzeń, odnaleźliśmy kilku świadków.

Twierdzą oni, że Frau Leifhelm, jej trójka dzieci oraz ojciec zginęli w obozie koncentracyjnym w Dachau.

Zniknęła żydowska gałąź rodu, a aryjski Leifhelm stał się jedynym dziedzicem dużego majątku, który w innych okolicznościach uległby konfiskacie. Zanim osiągnął wiek trzydziestu lat, oczyścił swoją przeszłość i pomścił krzywdy, jakie mu rzekomo wyrządzono. Narodził się morderca.

-

Musi pan prowadzić jakąś cholernie trudną sprawę - odezwał się Caleb Dowling, szczerząc zęby i trącając Joela łokciem. - Pański papieros całkiem się wypalił. Chciałem zamknąć popielniczkę, ale podniósł pan rękę, oganiając się ode mnie jak od muchy.

-

Przepraszam. To... to rzeczywiście skomplikowana sprawa. Boże, ni gdy bym się od pana nie oganiał, jest pan zbyt sławny. - Converse roześmiał się, gdyż wiedział, że tego po nim oczekiwano.

-

Cóż, mam jeszcze jedną wiadomość, młody człowieku. Od kilku minut nie wolno palić, a pan ciągle trzyma w ręku papierosa. Nie zapalił go pan co prawda, ale wszyscy patrzą na nas jak jacyś naziści.

-

Naziści...? - spytał mimo woli Joel, chowając niezapalonego papierosa do paczki. Nie miał pojęcia, że go wyjął.

-

To tylko kiepska metafora... - odparł aktor. - Będziemy w Kolonii, nim zdąży pan schować dokumenty. Podchodzimy do lądowania.

-

Jeszcze nie - odparł automatycznie Joel. - Na razie kołujemy, czekając na pozwolenie. To normalna praktyka. Mamy jeszcze przynajmniej trzy minuty.

-

Mówi pan jak ktoś znający się na rzeczy.

-

Mniej więcej - rzekł Converse, chowając dossier Leifhelma do dyploma matki. - Byłem kiedyś pilotem.

-

Nie żartuje pan? Prawdziwym pilotem?

-

Cóż, płacono mi za to.

-

Pracował pan w linii lotniczej?

- W jeszcze większej niż ta.

119

-

Do licha! To mi imponuje! Nie podejrzewałem pana o to. Prawnicy i piloci mają na pozór niewiele wspólnego.

-

Było to dawno temu. Joel zamknął teczkę.

Samolot toczył się po pasie startowym. Lądowanie było tak łagodne, że w tylnej części kabiny rozległy się oklaski.

-

Kiedy miałem szczególnie dobry wykład, studenci też bili mi brawo.

-

Teraz zbiera ich pan więcej.

-

Tyle że znacznie mniej się staram. Ale, ale, gdzie zamierza pan się za trzymać, mecenasie?

Joel nie był przygotowany na to pytanie.

-

Jeszcze nie wiem - odparł, znów powoli szukając właściwych słów. -

Decyzja o podróży zapadła w ostatniej chwili.

-

Może pan potrzebować pomocy. W Bonn panuje tłok. Coś panu po wiem. Mieszkam w hotelu Konigshof i mam tam pewne chody. Zobaczmy, co się da zrobić.

-

Bardzo dziękuję, ale to naprawdę niepotrzebne... - Converse zaczął

myśleć błyskawicznie. Nie chciał zwracać na siebie uwagi, przebywając w towarzystwie sławnego aktora. - Moja kancelaria wysłała po mnie kogoś, kto zarezerwował dla mnie miejsce w hotelu. Mam zresztą opuścić samolot jako jeden z ostatnich pasażerów, więc proszę nie szukać mnie w tłumie.

-

No cóż, gdyby miał pan ochotę spędzić trochę czasu ze zwariowanym aktorem, proszę zadzwonić do mnie do hotelu i zostawić numer telefonu.

-

Prawdopodobnie to zrobię. Do widzenia.

Joel czekał. Samolot opuszczali ostatni pasażerowie, którzy kiwali głowami stewardesom stojącym po obydwu stronach drzwi, ziewali lub borykali się z torbami na ramię, sprzętem fotograficznym i pokrowcami na garnitury. Przez wypukłe drzwi odrzutowca przecisnęła się w końcu ostatnia osoba, a Converse wstał i ruszył między siedzeniami z dyplomatką w rękę. Instynktownie, bez konkretnej przyczyny, zerknął przez ramię do tyłu.

Nagle zamarł i wstrzymał dech w piersiach. Na samym końcu długiej kabiny siedziała samotna kobieta. Converse dobrze pamiętał bladą twarz pod kapeluszem z szerokim rondem i przestraszone, zdziwione oczy, które natychmiast spojrzały w bok. Była to kobieta z kawiarni na lotnisku Kastrup w Kopenhadze! Ostatnim razem widział ją wchodzącą szybko do punktu odbioru bagażu, oddalającą się od rzędu kas biletowych. Zatrzymał ją śpieszący się mężczyzna, z którym wymieniła kilka słów. Joel wiedział już, że dotyczyły właśnie jego.

Kobieta wróciła do hali dworcowej i niepostrzeżenie weszła na pokład samolotu wraz z ostatnimi śpieszącymi się pasażerami. Śledziła go od samej Kopenhagi! Był

tego pewien!

Converse popędził między siedzeniami i wbiegł do rękawa wyłożonego miękką wykładziną. Piętnaście metrów dalej łączył się on z poczekalnią pełną plastikowych krzesełek, odgradzoną linkami. Wychodziło się z niej przez bramkę złożoną z dwóch słupków. Nie widział nikogo. Pozostałe bramki były zamknięte, a światelka zgaszone. Dalej wisały tablice informacyjne po niemiecku, francusku i angielsku, kierujące pasażerów do hali głównej i bagażowni. Joel nie miał czasu na odbiór walizki, musiał biec, opuścić jak najszybciej lotnisko, nie zwracając na siebie uwagi. Wtem poczuł mdłości, uderzony oczywistą myślą. Śledzący, kimkolwiek są, wiedzą, że przyleciał z Hamburga. Kiedy wejdzie do hali, zostanie natychmiast dostrzeżony i nie może temu przeciwdziałać. Wytropiono go w Kopenhadze, dokonała tego kobieta z kawiarni. Później kazano jej lecieć z nim samolotem, by nie wysiadł w Hamburgu ani nie zmienił trasy.

Jak to się stało?!

Joel postanowił odłożyć tę kwestię na później, oczywiście, jeśli nie zginie.

Przeszedł przez łukowatą bramkę wyposażoną w wykrywacze metalu i minął czarne pasy transmisyjne, gdzie prześwietlano bagaż podręczny. Z przodu, w odległości dwudziestu metrów, znajdowało się wejście do hali głównej. Co powinien zrobić?

Nur für hier Beschäftigte Manner

Joel zatrzymał się. Niemiecki napis na drzwiach wyglądał groźnie i odstręczająco. Widział już przedtem owe słowa. Gdzie? Prawda, w Zurychu! Pewnego dnia rozboleł go nagle brzuch w domu towarowym. Poprosił o pomoc współczującego urzędnika, który zaprowadził go do pobliskiej toalety. Czując dziwną mieszaninę wdzięczności i ulgi, Joel zauważył napis na drzwiach: Nur für hier Beschäftigte Manner.

Wiedział już, co to znaczy. Otworzył drzwi i wszedł do środka, choćby po to, by zebrać myśli. Na końcu pomieszczenia, przy umywalkach wiszących na ścianie, stał

mężczyzna w zielonym roboczym kombinezonie; czesał włosy, Przyglądając się wypryskowi na twarzy. Converse podszedł do rzędu pisuarów za umywalkami, udając funkcjonariusza linii lotniczej. Powiodło mu się: robotnik wymamrotał coś uprzejmym tonem i ulotnił się, zamykając za sobą drzwi. Joel został sam.

Odszedł od pisuarów i rozejrzał się po wyłożonej kafelkami łazience. Nagle Usłyszał za oknem czyjeś głosy. Za oknem?! Na wysokości głowy znajdował się rzeczywiście rząd okien o matowych szybach, których białe framugi zlewały się z kafelkami. Joel zdziwił się. Na dworcach lotniczych obowiązywały 121

ściśle wymogi bezpieczeństwa zapobiegające przemytowi broni i narkotyków, toteż nie miało sensu

pomieszczenie, z którego można wydostać się na zewnątrz po przejściu odprawy celnej. Później dotarł do niego pewien oczywisty fakt. Mogła to być droga ucieczki! Samolot z Hamburga latał na linii wewnątrz-niemieckiej, a Joel znalazł się w krajowej części dworca. Odprawy celnej nie było. W toalecie znajdowały się okna prowadzące na zewnątrz. Co to za różnica? Pasażerowie i tak przechodzili przez elektroniczne bramki, a policja chcąc kogoś zatrzymać czekała przy odpowiednim wyjściu.

Na Joela jednak nikt nie czekał. Opuścił samolot ostatni (przedostatni!) pasażer. W poczekalni nie było nikogo, gdyż osoba siedząca na plastikowym krzeselku lub stojąca za kontuarem zbytnio rzucałaby się w oczy. Ludzie śledzący Joela woleli nie zwracać na siebie uwagi. Kimkolwiek byli, czekali w hali głównej, obserwując wyjście z jakiegoś ukrytego punktu. Mogli pozwolić sobie na czekanie.

Joel podszedł do prawego skrajnego okna i postawił dyplomatkę na podłodze. Kiedy stał prosto, parapet znajdował się tylko kilkanaście centymetrów nad jego głową.

Chwycił dwa białe uchwyty i pchnął je w górę. Okno uniosło się o kilka centymetrów. Joel pomacał ręką na oślep - kraty nie było! Gdyby podniósł okno na pełną wysokość, zdołałby wyczołgać się na zewnątrz.

Z tyłu rozległ się brzęk i odgłosy drewna uderzającego o metal. Joel obrócił się gwałtownie. Otworzyły się drzwi i ukazał się w nich zgarbiony starzec w białym kombinezonie roboczym, niosący szczotkę i kubek. Powoli wyjął z kieszeni zegarek, spojrzął z namysłem na cyferblat, powiedział coś po niemiecku i zamilkł. Joel czuł, że powinien odpowiedzieć, i domyślił się, że poinformowano go, iż toaleta będzie zamknięta do rana. Musiał się zastanowić. Nie mógł wyjść, gdyż jedyna droga na zewnątrz wiodła przez halę główną. Nie znał innego wyjścia i nie miał prawa kręcić się po części dworca zamkniętej na noc. Jego problemy komplikowała jeszcze obecność patroli ochrony.

Spuścił oczy i spojrzął na metalowy kubek. Desperacja podpowiedziała mu jedyne możliwe rozwiązanie, choć nie miał pojęcia, czy potrafi je urzeczywistnić.

Jęknął nagle z grymasem bólu, chwycił się za pierś i opadł na kolana. Jęczał coraz głośniejszym głosem z wykrzywioną twarzą i położył się na podłodze.

-

Lekarza! Lekarza...! Lekarza!!! - krzyczał raz po raz zbolalym głosem.

Stary sprzątac postawił miotłę i kubek na posadzce, zrobił kilka ostrożnych kroków do przodu i wyrzucił z siebie potok gardłowych zdań po niemiecku.

Converse potoczył się w prawo pod ścianę. Dyszał spazmatycznie i spoglądał na Niemca rozszerzonymi, pustymi oczyma.

-

Lekarza...! - wychrypiał.

Starzec zadygotał i ruszył tyłem w stronę drzwi: odwrócił się, otworzył je i wybiegł na zewnątrz, słabym głosem wołając o pomoc.

Joel miał tylko kilka sekund! Po lewej stronie w odległości około sześćdziesięciu metrów znajdowała się bramka, a mniej więcej trzydzieści metrów po prawej wejście do hali głównej. Błyskawicznie wstał, podbiegł do kubła, 122

postawił go do góry nogami i przysunął do ściany. Wszedł na niego, chwycił dolną krawędź okna i pchnął do góry. Uniosło się na dziesięć centymetrów i zatrzymało się. Pchał dalej z całych sił, choć znajdował się w niewygodnej pozycji-Ani drgnęło. Przyjrzał mu się, dysząc ciężko, i spostrzegł z rozpaczą dwa stalowe uchwyty przyśrubowane do framug i nie pozwalające otworzyć okna na oścież.

Chociaż Kolonia-Bonn nie posiadało arsenału skomplikowanych zabezpieczeń wielkiego lotniska międzynarodowego, nie było ich jednak zupełnie pozbawione.

Za drzwiami rozległy się dalekie krzyki - stary sprzątacz prowadził pomoc. Twarz Converse'a pokryła się kropelkami potu. Zszedł z kubła i podniósł dyplomatkę.

Ruch zjednoczył się z decyzją, wszystkim kierował nieświadomy instynkt. Zrobił

krok naprzód, zamachnął się teczką i uderzył kilkakrotnie w okno, wybijając szybę i łamiąc dolną część drewnianej framugi. Wszedł z powrotem na kubeł i wyjrzał na zewnątrz. Za oknem widać było cementową ścieżkę z barierką, a dalej światła reflektorów. Nie zauważył nikogo. Wyrzucił dyplomatkę przez okno, wgramolił się na parapet i wybił kolanem resztki szkła i drewna. Skurczył się, wcisnął głowę w ramiona i wyskoczył przez okno. Lecąc w dół, usłyszał chór zdumionych i gniewnych okrzyków dobiegających z toalety, które przybrały stopniowo na sile. Popędził prosto przed siebie.

Po chwili za ostrym zakrętem cementowej ścieżki ujrzał zalane światłem wejście do hali głównej dworca i rząd taksówek, które czekały, aż pasażerowie lotu numer osiemset siedemnaście z Hamburga odbiorą bagaż i zdecydują się zapłacić słońną nocną taryfę za przejazd do Bonn lub Kolonii. Do bramy dworca prowadziło kilkanaście dróg dojazdowych, nad którymi wznosiły się kładki dla pieszych.

Dalej znajdował się olbrzymi parking z kilkoma oświetlonymi budkami, przy których zatrzymywali się posiadacze własnych samochodów. Converse przeszedł

przez barierkę i podbiegł po trawniku, kryjąc się w cieniu, gdy padł na niego pierwszy oślepiający reflektor. Musiał złapać taksówkę z kierowcą mówiącym po angielsku. Nie mógł iść pieszo, przed laty dostał się przez to do niewoli. Gdyby udało mu się zdobyć w dżungli nieprzyjacielskiego dżipa... Przestań! To nie Wietnam, tylko cholerne lotnisko złożone z kilku milionów ton betonu i asfaltu,

wylanych między kwiaty i trawę! Zatoczył w mroku półkole i znalazł się za narożnikiem budynku. Stał w ciemności tuż przed ostatnią taksówką w kolejce.

Podszedł do pierwszej z brzegu, czyli właśnie ostatniej.

-

Mówi pan po angielsku?

-

Englisch? Nein.

Drugi taksówkarz także odpowiedział przecząco, jednakże trzeci okazał się bardziej rozmowny.

-

Tylko idiota przyjeżdżałby taksówką na lotnisko, nie znając angielskiego. Dobrze mówię?

-

Dobrze - odparł Joel, otwierając drzwi.

- Nie! Nie może pan tego zrobić!

123

-

Czego?

-

Nie może pan wejść do taksówki.

-

Jak to?

-

Kolejka. Obowiązuje kolejka.

Converse sięgnął do kieszeni marynarki i wyciągnął zwitek stumarkówek.

-

Jestem człowiekiem hojnym, rozumie pan?

-

A, chyba że chodzi o nagłą chorobę! Niechże pan wsiada, mein Herr.

Taksówka opuściła kolejkę i ruszyła w stronę drogi wyjazdowej.

-

Bonn czy Kolonia? - spytał kierowca.

-

Bonn - odpowiedział Converse - ale jeszcze nie teraz. Chciałbym, żeby zatrzymał się pan naprzeciwko parkingu.

-Was...?

-

Po drugiej stronie. Chcę obserwować wyjście z dworca. Zdaje mi się, że samolotem z Hamburga przyleciał ktoś, kogo znam.

-

Wielu pasażerów już wyszło. Zostali tylko odbierający bagaż.

-

Ona jest ciągle w środku - nalegał Joel. - Bardzo proszę, niech pan jedzie!

-

Ona... Ach, ein Fraulein. Spełnię wszelkie życzenia pańskich stumar kówek, mein Herr.

Kierowca skręcił w drogę wiodącą na parking. Zatrzymał się w cieniu za drugą budką. Po lewej stronie, znajdowało się wyjście z hali głównej. Converse obserwował znużonych pasażerów opuszczających dworzec z ciężkimi walizkami i nieodłącznymi aparatami fotograficznymi. Większość unosiła ręce, przyzywając taksówki, a kilku poszło pieszo w stronę parkingu.

Minęło dwanaście minut, a kobieta z Kopenhagi nadal się nie pokazała. Nie miała bagażu, toteż zwlekała z własnej woli lub z czyjś polecenia. Kierowca taksówki nie interesował się tym, co się dzieje; zgasił reflektory, zwiesił

głowę i udawał, że drzemie. Cisza... Tłumek pasażerów z Hamburga przy wyjściu się przerzedził. Kilku młodych ludzi, niewątpliwie studentów, dwaj w fabrycznie poszarpanych dżinsach, odliczało

ze śmiechem banknoty. Ziewający biznesmen w eleganckim garniturze taszczył pękatą walizkę i ogromne kartonowe pudło opakowane w papier w kwiatki, a nieopodal sprzeczało się starsze małżeństwo, kręcąc siwymi głowami. Pięć innych osób stało przy krawężniku na końcu chodnika, czekając na umówiony transport. Ale gdzie była ta kobieta?...

Pojawiła się nagle, lecz nie sama. Towarzyszyło jej dwóch mężczyzn, a trzeci podążał tuż za nią. Przeszli niedbałym krokiem przez rozsuwane szklane drzwi i skręcili w lewo, przyśpieszając kroku, aż dotarli do najciemniejszego zakamarka podjazdu. Trzej mężczyźni zasłonili kobietę, tworząc przed nią ochronny mur.

Obracali głowy do tyłu, rozmawiając z nią przez ramię i obserwując tłum. Mówili z ożywieniem, lecz panowali nad sobą, trzymając gniew w ryzach. Mężczyzna po prawej stronie odłączył od grupki i podszedł do mrocznego narożnika dworca.

Wyjął z wewnętrznej kieszeni jakiś przed—

124

miot, a Joel domyślił się natychmiast jego przeznaczenia, gdyż nieznajomy podniósł go do ust. Rozmawiał przez krótkofalówkę z kimś na terenie lotniska lub w pobliżu.

Po kilku sekundach nad prawym ramieniem Converse rozbłysły potężne reflektory, oświetlając tylną część taksówki. Joel wcisnął się w siedzenie, odwrócił głowę i wyjrzał ostrożnie na zewnątrz. Nieco dalej, koło budki przy wyjeździe z parkingu, zatrzymała się ciemnoczerwona limuzyna, a kierowca wystawił za okno rękę z banknotem. Dozorca wziął pieniądze i odwrócił się, by wydać resztę, lecz pozostał w budce ze zdumioną miną, gdyż potężne auto śmignęło do przodu, wyminęło taksówkę i podjechało do wyjścia z głównej hali dworca. Zbieżność w czasie nie mogła być przypadkowa. Wezwano przez radio samochód.

-

Powiedziałem, że jestem hojnym człowiekiem - odezwał się Joel do taksówkarza, zdumiony własnymi słowami - ale jeśli spełni pan moją prośbę, mogę się okazać bardzo hojny.

-

Jestem uczciwym człowiekiem, mein Herr - odpowiedział niepewnie Niemiec, zerkając na Joela w lusterku.

-

Ja także - rzekł Converse. - Ale kieruje mną ciekawość, a to przecież nic złego. Widzi pan ciemnoczerwony samochód koło narożnika?

-Ja.

-

Czy mógłby pan go śledzić niezauważony? Powinien pan trzymać się daleko z tyłu, ale nie tracić go z oczu. Potrafi pan to zrobić?

-

To trochę dziwna prośba. Jak hojnym człowiekiem jest Amerykaner?

-

Dwieście marek ponad stan licznika.

-

To rzeczywiście hojna propozycja, mein Herr, a ja jestem doskonałym kierowcą.

Niemiec nie na próżno chwalił się swoimi umiejętnościami. Zręcznie wyjechał

przez bramę parkingu, skręcił gwałtownie w lewo w równoległą drogę wyjazdową i minął wejście do hali głównej.

-

Co pan robi? - spytał zdziwiony Joel. - Chcę, żeby pan jechał za...

-

To jedyny wyjazd z lotniska - przerwał kierowca, zerkając w lusterku na dworzec i utrzymując umiarkowaną prędkość. - Pozwolę mu się wyprzeżać. Jestem jeszcze jedną nieważną taksówką na Landstrasse.

Converse wcisnął się z powrotem w róg siedzenia, trzymając głowę z dala od szyb.

-

Dobry pomysł - powiedział.

-

Znakomity, mein Herr.

Taksówkarz znów wyrzwał przez okno, po czym skupił się na drodze i lusterku. Po chwili przyspieszył nieco, co nie rzucało się w oczy, gdyż nie wystrzelił gwałtownie do przodu, tylko dodał stopniowo gazu. Skręcił w lewo, by wyprzedzić mercedesa i volkswagena, po czym wrócił na prawy pas autostrady.

-

Mam nadzieję, że pan wie, co robi - wymamrotał Joel.

125

Odpowiedź okazała się niepotrzebna, gdyż po lewej stronie śmignęła do przodu ciemnoczerwona limuzyna.

-

Trochę dalej jest rozwidlenie - stwierdził kierowca. - Jedna droga prowadzi do Bonn, a druga do Kolonii. Chciał pan jechać do Bonn, mein Herr, ale co mam robić, jeśli pańscy przyjaciele skręcają do Kolonii?

-

Proszę podążać za nimi.

Limuzyna ruszyła do Bonn, a Converse zapalił papierosa i zaczął się zastanawiać nad skutkami zdemaskowania. Śledzący znali jego nazwisko, gdyż znajdowało się na liście pasażerów. Nie było na to rady, choć wolałby tego uniknąć; skoro jednak skontaktował się już z Bertholdierem, rzecz nie miała większego znaczenia. Jego przeszłość mogła nawet okazać się zaletą. Obecna sytuacja miała także strony pozytywne: Joel dowiedział się kilku rzeczy. Ludzie, którzy zgubili go na lotnisku, nie byli funkcjonariuszami policji niemieckiej, francuskiej ani Interpolu. Przedstawiciele władz zatrzymaliby go przy bramce lub po wyjściu z samolotu. Wynikał z tego pewien ważny fakt. Joel Converse nie był poszukiwany za napad ani, broń Boże, zabójstwo dokonane w Paryżu. Istniało wobec tego duże prawdopodobieństwo, że krwawa bójka w zaułku na tyłach hotelu została zatuszowana. Z powodu rannego współpracownika Jacques Louis Bertholdier nie zamierzał ryzykować powiązania swojego nazwiska z bogatym gościem hotelowym, który snuł nieprzyjemne insynuacje pod adresem szacownego generała. Przede wszystkim należało chronić Akwitanię.

Istniała także czwarta możliwość, tak prawdopodobna, że prawie pewna: Mężczyźni w ciemnoczerwonej limuzynie, którzy czekali na samolot z Hamburga, także należeli do Akwitanii i byli podwładnymi Ericha Leifhelma, niemieckiego trybu w maszynarii organizacji. W ciągu ostatnich pięciu godzin Bertholdier ustalił

tożsamość fikcyjnego Henry'ego Simona (prawdopodobnie przy pomocy dyrektora Jerzego V) i skontaktował się z Leifhelmem. Dwaj generałowie, zaniepokojeni tym, że Amerykanin nazwiskiem Converse nie znajduje się na liście pasażerów żadnego samolotu z Paryża do Bonn, sprawdzili inne linie lotnicze i ustalili, że poleciał do Kopenhagi. Musiało to ich zaalarmować. Dlaczego do Kopenhagi? Mówił, że wybiera się do Bonn. Czemu ów tajemniczy adwokat dysponujący niezwykle informacjami udał się do Kopenhagi? Z kim zamierza się skontaktować? Trzeba odnaleźć ludzi, z którymi się spotyka! Podczas następnej rozmowy telefonicznej przekazano rysopis Converse'a i w kawiarni na lotnisku w Kopenhadze pojawiła się agentka Akwitańczyków. Było to jasne jak słońce.

Lecąc do Bonn przez Danię, Joel osiągnął coś innego, niż zamierzał. Wytropiono go, ale śledzący zdradzili własny niepokój. Podniecony komitet powitalny, użycie krótkofalówki w celu wezwania samochodu zaparkowane go zaledwie kilkadziesiąt metrów dalej i pędząca limuzyna świadczyły o panice. Joel był zadowolony jako prawnik: przeciwnicy zostali wytrąceni z równowagi. Znajdowali się obecnie w odległości pół kilometra, pędząc w stronę Bonn

126

i nie mając pojęcia, że śledzi ich pasażer taksówki prowadzonej przez zręcznego kierowcę.

Joel rozgniół papierosa w popielniczkę, a szofer zwolnił, by przepuścić ciężarówkę. Na zakręcie autostrady widać było wyraźnie czerwoną limuzynę.

Niemiec postępował jak zawodowiec; wiedział, co robi, i Converse rozumiał go. W

limuzynie mógł jechać ktoś wpływowy, a dwieście marek nie usprawiedliwiałoby robienia sobie potężnych wrogów.

Prawdopodobieństwa... Wszystko sprowadzało się do analizy prawdopodobieństw.

Stanowiła ona fundament dobrej opinii Converse'a jako prawnika. Sposób podejścia do zagadnień był prostszy, niż sądziła większość kolegów, choć sama praca nigdy się tym nie odznaczała. Wymagała dyscypliny, koncentracji i wyobraźni, by układać poszczególne elementy w najrozmaitsze możliwe konfiguracje. Myślenie prawnicze sprowadzało się w istocie do rozważenia wszystkich pytań "Co by było, gdyby...?" Jest to także swoista pułapka, pomyślał Joel, przypominając sobie sytuację sprzed kilku lat i uśmiechając się z zażenowaniem. Val oznajmiła mu raz w przyływie złośliwości, że gdyby poświęcił ich małżeństwu drobny ułamek czasu spędzanego na studiowaniu "tych cholernych prawdopodobieństw", doszedłby zapewne do wniosku, że szansa przetrwania ich związku jest bliska zeru.

Zawsze wyrażała się zwięźle i nigdy nie poświęcała poczucia humoru na ołtarzu szczerości. Valerie Charpentier Converse była dziwną kobietą, odznaczającą się niezwykłą urodą. Joel uśmiechnął się mimo woli, słysząc owo emocjonalne wyznanie. Oboje roześmieli się cicho, a Val odwróciła się i wyszła z pokoju. W

tym, co powiedziała, było zbyt wiele smutnej prawdy.

Spokojny wiejski krajobraz stopniowo zastąpiły surowe geometryczne gmachy mieszkalne z dekoracyjnymi bordiurami, balkonami z kutego żelaza i dużymi prostokątnymi oknami, przywodzące namysł wiktoriańskie kamienice. Później pojawiły się atrakcyjne, lecz zupełnie zwyczajne wille, na jakie można się natknąć na przedmieściach każdego większego miasta amerykańskiego. W Scarsdale, Chevy Chase, Grosse Pointe albo Evanston. Wreszcie dojechali do centrum Bonn, gdzie wąskie zaułki oświetlone lampami gazowymi łączyły się z szerokimi alejami skąpanymi w świetle

nowoczesnych latarni, a dziwaczne puste place niemal sąsiadowały z rzędami modnych magazynów i butików. Był to architektoniczny anachronizm - staroświeckość współistniejąca z nowoczesnością, lecz pozbawiona elektryzującej atmosfery czegoś wielkiego. Bonn wydawało się po prostu dużym miastem, które szybko się rozrasta, a jego ojcowie nie mają żadnej strategii ekspansji. Miejsce narodzin Beethovena i brama do Doliny Renu stanowiło jedną z najdziwniejszych stolic świata. Była to tylko siedziba butnego Bundestagu i kolejnych przebiegłych, wyrafinowanych kanclerzy, którzy żyli w cieniu rosyjskiego niedźwiedzia po drugiej stronie granicy.

- Mein Herr - zawołał kierowca. - Skręcają w autostradę do Bad Godesberg-Das Diplomatenviertel.

127

-

Co to znaczy?

-

Ambasady. Mają Polizeistreifen. Możemy zostać... jak to się mówi...?

-

Zauważeni - dokończył Joel. - To nieważne. Proszę robić to, co do tej pory. Jest pan świetny. Niech pan jedzie albo parkuje zależnie od potrzeby.

Zarobił pan już trzysta marek ponad stan licznika. Chcę wiedzieć, gdzie się zatrzymają.

Nastąpiło to po sześciu minutach. Converse'a zatkało. Chociaż snuł najrozmaitsze domysły, nie był przygotowany na słowa taksówkarza.

-

To ambasada amerykańska, mein Herr.

Joel próbował zebrać myśli.

-

Niech pan mnie zawiezie do hotelu Konigshof - powiedział, gdyż nie przyszło mu do głowy nic innego.

-

Owszem, Herr Dowling zostawił dyspozycję w tej sprawie - stwierdził

portier, sięgając pod kontuar.

-

Doprawdy?

Converse był zdumiony. Posłużył się nazwiskiem aktora w nieśmiałej nadziei, że zostanie lepiej potraktowany. Nie spodziewał się niczego więcej.

-

Proszę. - Portier wyjął dwa arkusiki papieru. - Pan Converse, amerykański adwokat, prawda?

-Tak, to ja.

-

Herr Dowling wspomniał, że może pan mieć kłopoty ze znalezieniem apartamentu w Bonn. Prosił, byśmy udzielili panu gościny, gdyby przybył pan dziś wieczorem do Königshofu. Oczywiście zrobimy to, panie Converse. Herr Dowling cieszy się olbrzymią popularnością.

-

Zasługuje na to - odrzekł Joel.

-

Zostawił dla pana list.

Portier odwrócił się, wyjął zaklejoną kopertę z jednej z szufladek na korespondencję i wręczył ją Converse'owi.

Drogi Bracie Kowboju!

Jeśli nie weźmie Pan tego listu, odbiorę go rano. Proszę mi wybaczyć, ale zachowywał się Pan jak wielu moich bardziej pechowych kolegów, którzy mówią nie, gdy chcą powiedzieć tak. Czasami kieruje nimi fałszywa ambicja-bo podejrzewają mnie o robienie łaski, a czasami nie chcą się z kimś spotkać. Pańskie zachowanie każe mi wykluczyć to pierwsze i przyjąć to drugie-Nie chce się Pan natknąć na kogoś przebywającego w Bonn i nie musi Pan tego robić. Wynająłem dla Pana pokój, proszę się nie troszczyć o rachunek-Jestem Panu winny honorarium, mecenasie, a zawsze spłacam swoje długi, przynajmniej od ostatnich czterech lat.

128

Nawiasem mówiąc, byłby Pan kiepskim aktorem. Nie potrafi Pan przekonująco zawieszać głosu.

Pa Rachel

Joel schował list do koperty, walcząc z pokusą zatelefonowania do apartamentu Dowlinga. Aktor i tak nie wyśpi się dobrze przed zdjęciami, a podziękowania mogą poczekać do rana. Albo wieczoru.

-

Jestem najzupełniej zadowolony z dyspozycji pana Dowlinga - ode zwał się do portiera w recepcji. - To prawda, gdyby moi klienci dowiedzieli się, że przyjechałem do Bonn dzień wcześniej, nie miałbym okazji zwiedzenia waszego pięknego miasta.

-

Nikt nie będzie panu przeszkadzał. Herr Dowling to człowiek niesły chanie uczynny i szczodry. Pański bagaż jest w taksówce, prawda?

-

Nie. Właśnie dlatego się spóźniłem. Zawieruszył się gdzieś w Ham burgu i przyleci do Bonn rano. Tak przynajmniej powiedziano mi na lotni sku.

-

Ach, to niezwykle uciążliwe, lecz niestety dość częste. Czy ma pan ja kieś specjalne życzenia?

-

Nie, dziękuję - odparł Converse, unosząc nieco dyplomatkę. - Wiozę ze sobą wszystkie najpotrzebniejsze rzeczy. No cóż... Czy mógłbym dostać coś do picia?

-

Oczywiście.

Joel siedział w łóżku z dossier u boku i szklaneczką whisky w ręku. Potrzebował

chwili namysłu przed powrotem do świata feldmarszałka Ericha Leifhelma. Przy pomocy hotelowej telefonistki zadzwonił do bońskiego przedstawicielstwa Lufthansy i poprosił o oddanie walizki do przechowalni bagażu na lotnisku.

Powiedział, że podróżuje od dwóch dni i nie chciało mu się czekać na swoje rzeczy. Nie obchodziło go, co pomyśli sobie urzędniczka. Miał w głowie coś zupełnie innego.

Ambasada amerykańska! Przerazała go brutalna prawda słów Beale'a.

"Stojąza tym ludzie, którzy wywierają różnorodne naciski. Ich liczba nie ustannie się powiększa. Zbliża się kryzys i pozostało panu trzy do pięciu tygodni. Groźba jest z każdym dniem bardziej

rzeczywista".

Joel nie potrafił stawić czoła rzeczywistości. Pogodził się z istnieniem Delavane'a, Bertholdiera i Leifhelma, ale sparaliżowała go myśl, że rozkazów Akwitanii mogą słuchać pracownicy ambasady amerykańskiej. Jak daleko sięgają wpływy organizacji? Ilu ma zwolenników i gdzie są zatrudnieni? Czy dziś uzyskał

na te pytania przerażającą odpowiedź? Rano powinien się nad tym zastanowić. A teraz należało doczytać do końca życiorys człowieka, którego zamierzał odnaleźć w Bonn. Sięgając po dossier, przypomniał sobie nagłą 129

panikę w oczach Avery'ego Fowlera, czyli Prestona Hallidaya. Od jak dawna wiedział on o Akwitanii? Co wiedział...?

Nie ma sensu opisywać wyczynów Encha Leifhelma we wczesnym i środkowym okresie wojny, Wystarczy stwierdzić, że zdobywał coraz lepszą opinię i, co szczególnie ważne, stał się jednym z nielicznych wyższych oficerów zawdzięczających karierę partii nazistowskiej, których zaakceptowali starzy generałowie armii zawodowej.

Nie tylko zaakceptowali, lecz ubiegali się o przydzielenie go do swoich sztabów.

Ludzie tacy jak Rundstedt, von Falkenhau-sen, Rommel i von Treskow prosili w różnych okresach Berlin o przysłanie Leifhelma. Był bez wątpienia znakomitym strategiem i odważnym oficerem, ale miał jeszcze jeden atut: Generałowie ci byli arystokratami, członkami przedwojennej niemieckiej elity i z reguły nie znosili narodowych socjalistów, uważając ich za kryminalistów, psychopatów i dyletantów.

w dziedzinie wojskowości Nietrudno wyobrazić sobie Leifhelma siedzącego w towarzystwie owych ludzi i skromnie opowiadającego swój życiorys. Był synem wybitnego monachijskiego lekarza, doktora Heincha Leifhelma, po którym odziedziczył znaczny majątek. Usilnie starał się ich sobie zjednać. Aby to zilustrować, wystarczy przytoczyć fragment wywiadu z generałem Rolfem Winterem, Standortkom-mandant des Wehrbereitskommando w Saarze:

"Piliśmy kawę po obiedzie, prowadząc przygnębiające rozmowy. Wiedzieliśmy, że wojna jest przegrana. Idiotyczne rozkazy z Berlina (większości nie zamierzaliśmy w ogóle wykonać) doprowadziłyby do masowej rzezi żołnierzy i cywilów. Było to szaleństwo, Gotterdammerung. Młody Leifhelm odzywał się wówczas "Może ci głupcy zgodzą się mnie posłuchać? Od Monachium lat dwudziestych uważają mnie za jednego ze swoich?". Zastanawialiśmy się nad jego słowami. Może udałoby mu się uporządkować rozpadający się front? Był wybitnym oficerem o nieskazitelnej opinii, synem znanego lekarza, o czym nieustannie nam przypominał.

Prawdopodobnie wpadł nieopatrznie w sidła nazistów. Skandowanie Sieg Heil, sfanatyzowane tłumy, sztandary, werble i nocne marsze z pochodniami łatwo mogły zawrócić w głowie młodemu człowiekowi. Wszystko to było takie melodramatyczne, takie wagnerowskie. Leifhelm pochodził z

lepszego środowiska i nie należał do tej hołoty. był oczywiście patriotą, ale nie bandziorom Toteż wysłaliśmy za jego pośrednictwem listy do naszych najbliższych współpracowników w Berlinie.

Zostalibyśmy rozstrzelani, gdyby wpadły w niepowołane ręce. Leifhelm stwierdził, że bardzo się starał, ale nie zdołał przekonać ludzi żyjących w ciągłym strachu przed donosem i śmiercią. Mimo to zachował do końca zdrowy rozsądek i pozostał

niewzruszenie lojalny. Jeden z jego adiutantów poinformował nas, że Leifhelma zatrzymał śledzący go pułkownik SS, który zażądał wydania zawartości teczek.

Leifhelm odmówił, a gdy zagrożono mu natychmiastowym aresztowaniem, zastrzelił

esesmana, aby nas ocalić. Naraził się na wielkie niebezpieczeństwo. Uratował mu życie tylko nocny nalot".

130

Gra Leifhelma jest jasna. Nie ma wątpliwości, że nie istniał nigdy pułkownik SS

zastrzelony nocą podczas nalotu. Gdyby listy z Saary istotnie zawierały tak wybuchowe treści, jak twierdzi Winter, ktoś by je zapamiętał, jednakże tak się nie stało. Leifhelm znów wykorzystał życiową szansę. Wojna była przegrana, a naziści mieli stanąć niebawem przed sądem jako najwięksi zbrodniarze dwudziestego wieku. Jednakże elitarny niemiecki korpus generalski czekał inny los. Leifhelm znów zatarł za sobą ślady i przyłączył się do Prusaków. Powiodło mu się do tego stopnia, że uważano go za współuczestnika zamachu na Hitlera w Wolfsschanze w Kętrzynie, a później włączono do delegacji admirała Doenitza, która podpisała kapitulację.

W epoce zimnej wojny naczelne dowództwo państw sprzymierzonych ulokowało go w Bundespolizei wraz z innymi członkami korpusu oficerskiego Wehrmachtu jako dobrze opłacanego konsultanta do spraw wojskowych, posiadającego dostęp do wszelkich tajemnic. Morderca przeżył, a resztą zajęła się historia oraz Kreml.

W maju 1949 roku powstała Republika Federalna Niemiec, a we wrześniu dobiegła końca okupacja aliancka. Eskalacja zimnej wojny zbiegła się z odbudową gospodarczą Niemiec Zachodnich, państwa NATO zaczęły domagać się ludzkiego i materialnego wsparcia od byłych nieprzyjaciół. Sformowano nowe dywizje niemieckie, a ich dowództwo powierzono byłemu feldmarszałkowi Enchowi Leifhelmowi.

Nikt nie badał wątpliwych decyzji sądów monachijskich sprzed niespełna dwudziestu lat. Przeżył jedynie Leifhelm, którego usługi stały się potrzebne zwycięzcom. W okresie powojennej odbudowy Niemiec, gdy porządkowano sytuację prawną w kraju, zwrócono mu po cichu cały majątek, w tym niezmiernie cenne nieruchomości na terenie Monachium. W ten sposób kończy się trzecia faza życia generała. Czwarta, najbardziej interesująca, jest niestety najmniej znana.

Wiadomo tylko, że stał się jednym z najaktywniejszych członków organizacji generała Delavane'a.

Rozległo się pukanie do drzwi. Joel zerwał się z łóżka, a dossier Leifhelma spadło na podłogę. Bliski paniki spojrzął z lękiem na zegarek. Dochodziła czwarta. Kto chciał się z nim widzieć o tej porze?! Czyżby go wytropiono?!

Chryste Panie! Dossier! Teczka!

-

Joe? Joe, nie śpisz? - był to teatralny szept aktora. - To ja, Cal Dowling!

Converse podbiegł do drzwi i otworzył je, dysząc ciężko. Dowling, kompletnie ubrany, uniósł do góry obie ręce, nakazując milczenie, i rozejrzał się po korytarzu. Wreszcie odsunął Joela na bok, wszedł do pokoju i zamknął drzwi.

-

Przepraszam, Cal - odezwał się Converse. - Obudziło mnie pukanie i trochę się przestraszyłem.

-

Zawsze śpisz w spodniach przy zapalonym świetle? - spytał półgłosem aktor. - Mów ciszej. Sprawdziłem, czy korytarz jest pusty, ale nigdy nic nie wiadomo.

131

-

Co takiego?

-

To jedna z pierwszych rzeczy, jakich nauczyłem się w Kwajalein w 1944.

Jeśli wysłała się patrol, znaczy to tylko, że wróg czuje się lepiej od nas.

-

Chciałem zadzwonić i podziękować...

-

Daj spokój, człowieku - przerwał z poważną miną pomarszczony, opa lony Dowling. - Zajmę ci tylko dwie minuty, bo nie mam czasu. Na dole czeka samochód, który zawiezie mnie na plan godzinę drogi stąd. Nie chciałem wychodzić wcześniej z pokoju, bo ktoś mógł się kręcić po korytarzu, a wolałem nie telefonować, bo można założyć podsłuch albo przekupić telefonistkę, spytaj kogokolwiek w

Hollywood. Recepcja to nie problem, za bardzo mnie ko chają. - Aktor westchnął i pokręcił głową. - Kiedy znalazłem się w hotelu, marzyłem o odrobinie snu, a zamiast tego miałem gościa. Mieszkam na tym samym piętrze i modliłem się, żeby cię nie zobaczył.

-

Gościa?

-

Z ambasady amerykańskiej. Powiedz mi, Joe...

-

Joel - przerwał Converse. - To zresztą bez znaczenia.

-

Przepraszam, źle słyszę na lewe ucho, ale to także bez znaczenia...

Wypytywał mnie o ciebie prawie dwadzieścia pięć minut. Twierdził, że wi dziano nas rozmawiających w samolocie. Powiedz mi, mecenasie, jesteś czy sty czy moja intuicja kompletnie mnie zawiodła?

-

Nie, nie zawiodła - odpowiedział cicho Joel, patrząc Dowlingowi pro sto w oczy. - Czyżby człowiek z ambasady twierdził coś przeciwnego?

-

Niezupełnie. W istocie rzeczy prawie nic mi nie powiedział. Podobno chcą cię tylko spytać, dlaczego przyjechałeś do Bonn i gdzie się zatrzymałeś.

-

Ale wiedzą, że przyleciałem z Kopenhagi?

-

Tak, a przedtem z Paryża.

-

Wobec tego wiedzą, że byłem w samolocie.

-

Właśnie o to mi chodzi.

-

To dlaczego nie czekali na mnie na lotnisku i nie zwrócili się do mnie osobiście?

Twarz Dowlinga zmarszczyła się jeszcze bardziej, a jego oczy, otoczone kurzymi łapkami, zwęziły się.

-

Prawda, dlaczego? - spytał na głos.

-

Wytłumaczył to?

-

Nie, ale zbierał się już do odejścia, gdy zaczęliśmy mówić o Paryżu.

-

Co masz na myśli?

-

Chyba doszedł do wniosku, że coś ukrywam (nie omylił się zresztą), choć nie mógł być pewien. Jestem w końcu niezłym aktorem, Joe... przepraszam, Joel.

-

Wzięłeś na siebie pewne ryzyko - rzekł Converse, przypominając sobie, że mówi do ryzykanta.

-Nie, zabezpieczyłem się. Spytałem, czy są przeciwko tobie jakieś zarzuty.

Zaprzeczył.

132

-Mimo to...

-

Poza tym nie spodobał mi się. Wyglądał na wścibskiego biurokrate, powtarzał w kółko to samo, a kiedy niczego ode mnie nie wyciągnął, dodał:

"Wiemy, że przyleciał z Paryża", jakby chciał rzucić mi wyzwanie. Odparłem, że nic mi o tym nie wiadomo.

-

Mamy niewiele czasu, ale czy mógłbyś mi powiedzieć, o co jeszcze pytał?

-

Już ci mówiłem, interesowało go, o czym rozmawialiśmy. Odparłem, że nie mam w głowie magnetofonu, lecz wymienialiśmy głównie nic nieznaczące uwagi, jak to zwykle w samolocie. Serial, interesy. Ale nie chciał się tym zadowolić i usiłował mnie przycisnąć, co dało mi okazję zagrania mu na nerwach.

-

Jak to?

-

Stwierdziłem, że owszem, rozmawialiśmy o czymś jeszcze, lecz to sprawa prywatna i nie jego pieprzony interes. Wytrąciło go to z równowagi, a ja mogłem rozzłościć się jeszcze bardziej. Wymieniliśmy kilka nieprzyjemnych uwag, ale niezbyt ostrych, bo okazał się zbyt dobrze ułożony. Później spytał

mnie po raz dziesiąty, czy mówiłeś coś o Bonn, a zwłaszcza gdzie się zatrzy masz. A ja po raz dziesiąty powiedziałem prawdę, czyli powtórzyłem twoje słowa, że jesteś adwokatem, który przybył zobaczyć się z klientem i nie wie, gdzie się zatrzyma. Rzeczywiście nie miałem pojęcia, że przyjechałeś do hotelu.

-

Bardzo inteligentnie.

-

Doprawdy? Intuicja jest dobra na początku, ale później trzeba się zasta nowić. Zdenerwowany urzędnik podsuwający pod nos legitymację może wy trącić człowieka z równowagi w środku nocy, lecz mimo to reprezentuje De partament Stanu. Co się, u licha, dzieje?

Joel odwrócił się, podszedł do nóg łóżka i spojrzał na dossier Leifhelma leżące na podłodze. Popatrzył na aktora i odezwał się wyraźnym, choć zmęczonym głosem:

-

Coś, w co za nic w świecie nie chciałbym cię wplątywać, Cal. Mimo to instynkt cię nie zawiódł, jestem czysty.

-

Szczerze mówiąc - rzekł aktor z rozbawieniem w oczach - sam też jestem o tym przekonany. Powiedziałem temu skurwielowi, że rano zadzwonię ze skargą do Waltera.

-

Nie bardzo rozumiem.

-

To ambasador amerykański w Bonn. Wyobraź sobie, że ten bubek zna laż dość czasu, żeby urządzić przyjęcie na cześć jakiegoś szmatławego aktora! Nasz dobrze ułożony chłoptaś straszliwie się zdenerwował. Zupełnie nie spodziewał się czegoś takiego. Powtórzył trzy razy, że lepiej nie zawracać panu ambasadorowi głowy. To nic ważnego, i tak ma już mnóstwo innych zajęć, a w istocie rzeczy nie wie nawet, o co chodzi. A teraz posłuchaj: powiedział, że to śledztwo Departamentu Stanu, jakby sądził, że głupi aktor nie rozumie 133

biurokratycznego żargonu. Zdaje się, że to właśnie wtedy powiedziałem: "Gówno prawda!"

-

Dziękuję - rzekł Converse, nie potrafiąc znaleźć właściwych słów, choć dobrze wiedział, co go interesuje.

-

Właśnie wtedy doszedłem do wniosku, że intuicja mnie nie zawiodła. -

Dowling zerknął na zegarek, a później spojrzął przeszywająco na Converse'a.

- Służyłem w piechocie morskiej, ale nie jestem zwariowanym szowinistą, choć nie mógłbym żyć gdzie indziej niż w Stanach.

-

Ja także.

-

To nic sprzecznego z naszymi interesami?

-

Nie. To, co robię, jest w porządku. Mogę powiedzieć tylko tyle.

-

Czy prowadzisz w Bonn jakieś poszukiwania? Czy dlatego nie chciałeś się pokazywać w moim towarzystwie, unikając mnie w Hamburgu, a później w Bonn?

-Tak.

-

A ten skurwysyn prosił, żebym nie dzwonił do ambasadora...

-

To prawda. Nie może sobie na to pozwolić. Ja także o to proszę.

-

Czy jesteś?... O Boże, czy jesteś jednym z tych agentów, o jakich czyta się w książkach? Nagle spotkałem w samolocie faceta, który nie chce się po kazywać publicznie na lotnisku...

-

To nie takie melodramatyczne. Jestem prawnikiem i prowadzę śledztwo w sprawie pewnych nadużyć. Przyjmij to za dobrą monetę. Dziękuję ci za pomoc. Jestem poniekąd nowicjuszem w tej dziedzinie.

-

Masz stalowe nerwy, człowieku, naprawdę! - Dowling odwrócił się i pod szedł do drzwi. Zatrzymał się i spojrzał na Converse'a. - Może mam hyzia, ale w moim wieku to normalne - rzekł. - Wiesz, wydajesz mi się trochę nierówny, czasami zbyt przebojowy, czasami zbyt pasywny. Przyszło mi to do głowy, gdy rozmawialiśmy o mojej żonie. Jesteś żonaty?

-

Byłem.

-

Kto nie był? Przepraszam.

-

Nic się nie stało. Nie czuję się urażony.

-

Jeszcze raz przepraszam. Moja intuicja mnie nie zawiodła. Jesteś czy sty.

Dowling wyciągnął rękę w stronę klamki.

-Cał?

-Tak?

-

Muszę się czegoś dowiedzieć. To bardzo ważne. Jak się nazywał pracownik ambasady? Na pewno się przedstawił.

-

Zrobił to - odparł aktor. - Kiedy otworzyłem drzwi, podsunął mi pod nos legitymację, ale nie miałem okularów. Lecz kiedy wychodził, kazałem mu podać swoje nazwisko.

-

Jak się nazywał?

-

Przedstawił się jako Fowler, Avery Fowler.

134

Rozdział 7

Czekaj!...

- Co się dzieje?

-

Co powiedziałaś?

Usłyszawszy nazwisko Fowler, Converse zachwiał się na nogach i musiał się chwycić oparcia łóżka.

-

Co się z tobą dzieje, Joe? Źle się czujesz?!

-

Czy to jakiś kiepski żart?! Podstawiono cię?! Spotkaliśmy się przypadkiem?! Na pewno pracujesz dla nich!...

-

Jesteś albo pijany, albo niespełna rozumu. O czym ty gadasz?!

-

O tym pokoju, o twoim liście! O wszystkim! O Fowlerze! Kto przygotował scenariusz dzisiejszej nocy?!

-

Jest rano, młody człowieku, a jeśli pokój ci nie odpowiada, możesz się wyprowadzić, gdzie ci się żywnie podoba.

-

Gdzie mi się podoba?... - Joel usiłował wyrzucić spod powiek oślepiające błyski słońca na Quai du Mont Blanc i pozbyć się bolesnego skurczu w gardle. - Nie... Nie mogłeś wiedzieć, że będę w samolocie. W Kopenhadze kupiłem ostatni bilet pierwszej klasy, a fotel koło przejścia został już sprzedany.

-

Zawsze wybieram fotel koło przejścia.

-

O Boże!

-

Zaczynasz majaczyć. - Dowling zerknął na pustą szklaneczkę na stole koło łóżka, a później na biurko, gdzie stała srebrzysta taca z butelką szkodliwej, przysłaną do pokoju przez uczynnego recepcjonistę. - Ile wypijeś?

Converse pokręcił przecząco głową.

-Nie jestem pijany... Przepraszam, Chryste Panie, przepraszam!... Nie masz z tym nic wspólnego. Próbują cię wykorzystać, żeby mnie odnaleźć! Uratowałaś moją pracę, a ja zacząłem się czepiać. Wybacz mi. Bardzo mi pomogłeś.

-

Nie wyglądasz na kogoś, kto boi się stracić pracę - powiedział aktor, a jego zmarszczona twarz wyrażała raczej troskę niż gniew.

-

Nie chodzi o utratę pracy... tylko o sukces. - Joel wciągnął głęboko powietrze, biorąc się w karby i próbując nie myśleć o straszliwych implikacjach tego, co usłyszał. Avery Fowler! - Chcę odnieść sukces. Wygrać - dodał

bez przekonania, by zamaskować potknięcie, które zauważył Dowling. - Wszyscy prawnicy chcą wygrać.

-

Jasne.

-

Przepraszam, Cal.

- Nie ma o czym mówić - odparł obojętnie aktor, choć jego spojrzenie wcale nie było obojętne. - W Hollywood codziennie dochodzi do zgrzytów, tylko nikt o nich nie wspomina. Po prostu to zrobiłeś.

135

-

Poniosło mnie trochę, to wszystko. Już ci mówiłem, jestem nowicjuszem w tej dziedzinie. Nie chodzi o badanie nadużyć, tylko... Mam stargane nerwy.

-

Doprawdy?

-

Tak. Proszę, uwierz mi.

-

Dobrze, skoro tak sobie życzysz. - Dowling znów zerknął na zegarek. -

Muszę iść, ale jest jeszcze coś, co może ci pomóc... - aktor zawiesił głos -

...odnieść ten twój sukces...

-

Co takiego? - spytał z napięciem Converse, usiłując nie pokazywać po sobie podniecenia.

-

Kiedy Fowler zbierał się do wyjścia, przyszło mi coś do głowy. Przede wszystkim zachowałem się brutalnie wobec człowieka wykonującego swoje obowiązki. Druga refleksja była czysto egoistyczna. Odmówiłem współpracy z władzami, a to mogło się na mnie zemścić. Oczywiście gdybyś nie przyjechał do hotelu, zabrałbym rano swój list i na tym by się skończyło. Ale gdy byś się pojawił i okazał czarnym charakterem, mógłbym popaść w nieliczne tarapaty.

-

Powinieneś pomyśleć o tym na samym początku - odparł szczerze Joel.

-

Może, nie wiem. Tak czy inaczej powiedziałem mu, że w samolocie zaprosiłem cię na drinka na planie, gdybyś zechciał tam przyjechać. Trochę go to zdziwiło, ale zrozumiał, o co chodzi. Spytałem, czy mam zadzwonić do ambasady, gdybyś przyjął zaproszenie, a on poprosił, żebym tego nie robił.

-

Co takiego?!

-

Krótko mówiąc, dał mi jasno do zrozumienia, że popsułbym tylko jego śledztwo. Kazał mi czekać na telefon. Obiecał zadzwonić koło południa.

-

Przecież kręcisz film. Jesteś na planie.

-

To właśnie najzabawniejsze, ale to nie problem. Mamy radiotelefony.

Studia instaluje, żeby nie wydawać pieniędzy na posłańców.

-

Lecz przecież oficjalnie straciłeś mnie z oczu.

-

Więc nawiąż ze mną kontakt. Zatelefonuję do ciebie, gdy do mnie za dzwoni. Czy mam mu

powiedzieć, że się ze mną skontaktowałeś?

Zdumiony Converse spojrzał na starzejącego się ryzykanta.

-

Jesteś bystrzejszy ode mnie, prawda?

-

Obydwaj zachowujecie się w sposób dość przejrzysty. Fowler chce się z tobą skontaktować, ale pragnie zrobić to sam, z dala od ludzi, z którymi wolisz się nie spotykać. Widzisz, kiedy znalazł się przy drzwiach i żegnał się ze mną, coś mnie uderzyło. Nie potrafił odegrać swojej roli do końca, tak samo jak ty w samolocie, choć nie jestem tego zupełnie pewien. Schodząc ze sceny, prawie się załamał, a tego się nie robi, nawet jeśli trzeba powstrzymać nagły atak sraczki... Co mam mu powiedzieć, Joe?

-

Poproś go o numer telefonu.

-

Załatwione. A teraz powinieneś się trochę przespać. Wyglądasz jak za ćpana aktoreczka, która dowiedziała się, że dostała rolę Medei.

136

- Postaram się.

Dowling wyciągnął z kieszeni strzępek papieru.

-

To dla ciebie - rzekł, wręczając go Converse'owi. - Nie byłem pewien, czy ci to dam, ale wreszcie się zdecydowałem. To numer radiotelefonu, pod którym możesz mnie złapać. Zadzwoń po rozmowie z Fowlerem. Nie będę mógł się doczekać.

-

Masz moje słowo... Cał, co miałeś na myśli, gdy wspomniałeś o jakiejś najzabawniejszej rzeczy", a potem nie wyjaśniłeś, o co chodzi?

Aktor odrzucił głowę do tyłu.

Ten skurwysyn spytał mnie, czym się zajmuję. Ciao, baby, jak mówią w Polo Lounge.

Converse siedział sztywno na brzeżku łóżka, słuchając bicia własnego serca.

Avery Fowler! Boże! Avery Preston Fowler Halliday! Pres Fowler... Pres Halliday.

Sylaby nazwiska bombardowały Converse'a, wywołując ból w skroniach i odbijając się przerażającym echem w jego umyśle. Nie był w stanie się bronić i jął kołysać się do tyłu i do przodu w takt imion człowieka zmarłego na jego rękach w Genewie. Zapomnianego przyjaciela z dzieciństwa, który wprowadził go w świat George'a Marcusa Delavane'a i rozszerzającej się epidemii o nazwie Akwitania.

"Fowler chce się z tobą skontaktować, ale sam, z dala od ludzi, z którymi wolisz się nie spotykać..."
Opinia ryzykanta.

Converse przestał się kołysać, a jego wzrok padł na dossier Leifhelma na podłodze. Przyjął najgorszą wersję, bo niczego nie rozumiał, ale musiała istnieć inna możliwość, w obecnych okolicznościach nawet dość prawdopodobna. Był w tym wszystkim jakiś ukryty sens. Nie dostrzegając go, lecz istniał on na pewno! Tylko Joel znał w Bonn nazwisko Avery'ego Fowlera i łączył je z morderstwem w Genewie.

Czyżby Dowling miał rację? Bez przekonania poprosił aktora, by spytał

nieznajomego o telefon, gdyż nieustannie pamiętał o ambasadzie amerykańskiej i ciemnoczerwonej limuzynie wjeżdżającej przez bramę. Właśnie takie myśli podsunęło mu nazwisko Avery'ego Fowlera. Pracownik ambasady podszywający się pod Presa musiał być Akwitańczykiem, czyli zastawił na Converse'a pułapkę. Było to logiczne, a jednak w jakiś sposób mało przekonujące. Przypuśćmy, że chodzi o coś innego, że postęp arytmetyczny został zakłócony przez element pochodzący z innej płaszczyzny. Jeśli tak, nie było wiadomo, co to takiego.

Wstrząs mijał, a Joel wracał do równowagi. Podobnie jak tylekroć w sądzie lub podczas rokowań, pogodził się z nieoczekiwanym, wiedząc, że nie może nic zrobić, dopóki nie zdarzy się coś, na co nie ma żadnego wpływu. Najtrudniejsze było samo oczekiwanie na owo wydarzenie. Domysły stawały się rzeczą jałową, gdyż prawdopodobieństw nie dawało się obliczyć.

Sięgnął po dossier Leifhelma.

Lata spędzone w Bundespolizei stanowią szczególny okres w życiu generała i wymagają zapoznania czytelnika z istotą samej organizacji. W podbitym kraju potrzebna jest zawsze miejscowa siła policyjna, która zna język ludności oraz jej zwyczaje. Aby panował porządek, między wojskami okupacyjnymi a podbitym narodem musi istnieć swego rodzaju bufor. W grę wchodzi także pewna

kwestia uboczna, rzadko analizowana w podręcznikach historii, jednakże nie mniej ważna.

W skład pokonanych armii wchodzi ludzie utalentowani, a jeśli ich zdolności nie zostaną wykorzystane, upokorzenie wywołane klęską może się wyładować we wrogości niesprzyjającej stabilizacji politycznej, a w skrajnym przypadku doprowadzić do przemocy i rozlewu krwi na szkodę zwycięzców i tworzonych przez nich rządów.

Mówiąc bez ogródek, sztab generalny sił sprzymierzonych zdawał sobie sprawę, że ma przed sobą utalentowanego i popularnego wojskowego, który nie zniósłby anonimowości związanej z wcześniejszą emeryturą albo członkostwem rady nadzorczej jakiejś spółki. Podobnie jak wszystkie siły policyjne, Bundespolizei (w dosłownym przekładzie Policja Federalna) jest organizacją paramilitarną i stanowi logiczne miejsce pracy dla ludzi pokroju Encha Leifhelma. Są oni urodzonymi przywódcami, lepiej ich wykorzystać, niż narażać się na ataki z ich strony. W każdej grupie przywódców znajdują się zawsze osobowości dominujące. W

owych latach należał do nich Ench Leifhelm.

W początkowym okresie, w trakcie demobilizacji armii niemieckiej, pracował jako konsultant do spraw wojskowych i główny oficer łącznikowy między garnizonami policyjnymi a siłami okupacyjnymi sprzymierzonych. Po demobilizacji zajmował się ogniskami zapalnymi w Wiedniu i w Berlinie, ściśle współpracując z komendantami sektora amerykańskiego, brytyjskiego i francuskiego. Nieustannie manifestował

swoje antysowieckie poglądy, na co zwrócili niebawem uwagę jego przełożeni.

Zdobywał coraz większe zaufanie, aż w końcu został uznany za jednego ze swoich, podobnie jak kilka lat wcześniej, gdy przyłączył się do Prusaków.

W Berlinie poznał generała Jacques'a Louisa Bertholdiera. Zawarli bliską przyjaźń, choć wskutek wielowiekowej wzajemnej niechęci wojskowych Niemiec i Francji woleli się z nią nie afiszować. Udało nam się dotrzeć jedynie do trzech współpracowników Bertholdiera, którzy często widywali obydwu generałów w zacisznych restauracjach, zagłębionych w rozmowie i najwyraźniej czujących się dobrze w swoim towarzystwie. Jednakże kiedy Leifhelma wzywano do francuskiego naczelnego dowództwa w Berlinie, zachowywali się zawsze sztywno i oficjalnie, zwracając się do siebie po nazwisku. Jak już wspomnieliśmy, od kilku lat wypierają się przyjaźni, choć przyznają, że mogli się gdzieś zetknąć.

Poprzednio nie przyznawali się do znajomości wskutek tradycyjnych uprzedzeń, a ich obecne motywy są jeszcze bardziej zrozumiałe. Obydwaj są czołowymi postaciami organizacji Delavane'a. Ich nazwiska znalazły się na głównej 138

Ilście nie przez przypadek. Są wpływowymi ludźmi zasiadającymi w radach nadzorczych kilku

międzynarodowych koncernów, zajmujących się prawie wszystkim, od budowy zapór wodnych do konstrukcji reaktorów jądrowych. Koncerny te posiadają setki filii w Europie i Afryce, które mogą prowadzić spedycję broni.

Leifhelm i Bertholdier porozumiewają się za pośrednictwem kobiety nazwiskiem Ilse Fishbem z Bonn. Fishbein to nazwisko męża, a Frau Fishbein rozwiodła się wiele lat temu, gdy Jaków Fishbein, więzień obozu koncentracyjnego, wyemigrował

do Izraela. Kobieta ta, urodzona w 1942 roku, to najmłodsza nieślubna córka Hermanna Gönnga.

Converse odłożył dossier i sięgnął po notatnik leżący koło telefonu na stoliku.

Otworzył wieczne pióro marki Cartier, otrzymane przed laty od Val, i zapisał nazwisko Ilse Fishbein. Przyjrzał się pióru i nazwisku, snując dziwne refleksje.

Ekskluzywne pióro Cartiera przywodziło na myśl lepsze czasy. Nie, nie lepsze, zreflektował się. Po prostu pełniejsze. Za namową Joela Valerie odeszła z nowojorskiej agencji reklamowej, która wzywała ją w najdziwniejszych porach dnia i nocy, i zaczęła pracować na własny rachunek. Ostatniego dnia udała się do salonu Cartiera i wydała na prezent znaczną część ostatniej pensji. Kiedy zapytał, co oprócz jego błyskawicznej kariery w kancelarii Talbota, Brooksa i Simona usprawiedliwia taki niepraktyczny luksus, odparła:

- To, że namówiłeś mnie do czegoś, na co dawno powinnam się zdecydować. Z

drugiej strony, jeśli nie zdołam niczego zarobić, ukradnę ci pióro i wstawię do lombardu. Zresztą pewno i tak je zgubisz.

Praca na własny rachunek okazała się bardzo intratna, a Joel nie zgubił pióra.

Ilse Fishbein nasunęła Joelowi jeszcze inną refleksję. Spotkanie z nią nie wchodziło w rachubę, choć miał na to wielką ochotę. Erich Leifhelm został

uprzedzony przez Bertholdiera właśnie za pośrednictwem Frau Fishbein. Przekazano także szczegółowy życiorys Converse'a oraz ostrzeżenie: Amerykanin jest niebezpieczny. Ilse Fishbein, zaufana Akwitani, mogła niewątpliwie doprowadzić do innych członków organizacji w Niemczech, ale skontaktowanie się z nią oznaczało pewną... No cóż, cokolwiek zamierzano z nim zrobić, nie czuł się jeszcze gotów. Mimo to było to ważne nazwisko, strzęp informacji, Wiadomość, której nie powinien znać, a doświadczenie nauczyło go gromadzenia takich danych i posługiwania się nimi w stosownej chwili. Negocjacje prawne okazywały się często istnym labiryntem, a zwycięstwo przypadało w udziale cierpliwym.

Mimo to pokusa była piekielnie silna. Córka Hermanna Göringa biorąca udział w spisku generałów! I to w Niemczech! Pochodzenie Ilse Fishbein mogło narazić Akwitańczyków na kompromitację w oczach opinii publicznej. Joel trzymał w rękach maczugę, którą mógł się posłużyć w sprzyjającym momencie.

Leifhelm dowodził dywizjami zachodnioniemieckimi przez siedemnaście lat, po czym odkomenderowano go do europejskiej kwatery głównej NATO koło Brukseli jako rzecznika interesów Bonn.

Podczas służby w sztabie znów obnosił się ze swoim gwałtownym anty. sowietyzmem, często sprzecznym z pragmatyczną polityką własnego rządu chcącego ułożyć sobie w miarę dobre stosunki z Kremlem. W ciągu kilku ostatnich miesięcy pracy w kwaterze głównej pravicowi wojskowi angielscy i amerykańscy darzyli go większą sympatią niż przywódcy polityczni z Bonn.

Kiedy kanclerz federalny doszedł do wniosku, że amerykańska polityka zagraniczna wymknęła się spod kontroli zawodowych dyplomatów i stała się domeną wojowniczych demagogów, odwołał Leifhelma do kraju, stworzywszy dlań nieszkodliwą synekurę, gdzie mógł go mieć stale na oku.

Jednakże Leifhelm nie był nigdy łatwowiernym głupcem, toteż nie okazał się nim i teraz. Rozumiał, dlaczego stworzono jego stanowisko, i domyślił się, jaką siłą dysponuje. Narastało zainteresowanie przeszłością i szukano ludzi potrafiących mówić jasno i wyraźnie o problemach stojących przed Zachodem.

Zaczął wobec tego występować publicznie. Na początku przemawiał do członków związków weteranów i organizacji kombatanckich, których powiązania z wojskiem i sympatie polityczne gwarantowały mu dobre przyjęcie. Zachęcony wzbudzonym entuzjazmem, jał pojawiać się coraz częściej, przemawiając do coraz liczniejszych audytoriów i wygłaszając coraz bardziej prowokujące tyrady.

Jeden z jego słuchaczy wpadł w furję. Kanclerz federalny dowiedział się, że Leifhelm politykuje nawet na forum Bundestagu. Stwarzał wrażenie, że posiada licznych zwolenników, i dzięki sile swojej osobowości przeciągał na swoją stronę deputowanych, którzy nie powinni dać się przekonać. Domagał się rozbudowy armii ponad normy ustalone przez NATO, zorganizowania sieci szpiegowsko-wywiadowczej opartej na niedościgłych wzorach Abwehry, reformy podręczników szkolnych i usunięcia z nich fragmentów uwłaczających godności narodu oraz stworzenia obozów poprawczych dla elementów niepewnych politycznie i wywrotowych podających się za tak zwanych liberałów. Wszystko było jasne.

Kanclerz miał dość. Wezwał Leifhelma do swojego biura i w obecności trzech świadków zażądał jego natychmiastowej rezygnacji ze wszystkich stanowisk.

Ponadto zakazał mu przyjmowania zaproszeń do wygłaszania mów i prowadzenia jakiegokolwiek działalności politycznej. Miał usunąć się całkowicie z życia publicznego Niemiec. Dotarliśmy do jednego z owych świadków, którego nazwisko nie ma żadnego związku ze sprawą. Oto jego wspomnienia:

"Kancelarz był wściekły.

- Ma pan dwie możliwości, Herr General, a także, proszę mi wybaczyć ostateczne rozwiązanie - zwrócił się do Leifhelma - Po pierwsze, może pan 140

robić, co każe! W przeciwnym wypadku zostanie pan zdegradowany oraz pozbawiony prawa do emerytury i pewnych cennych nieruchomości na terenie Monachium, które powinien panu skonfiskować każdy bezstronny sąd. To druga możliwość.

powiadam panu, feldmarszałek mało nie dostał apopleksji! Zaczął wykrzykiwać coś na temat swoich praw, a kancelarz zawołał

-

Mieliście już swoje prawa, złe prawa!

Później Leifhelm spytał, na czym polega ostateczne rozwiązanie. Chociaż brzmi to szaleńczo, przysięgam, że to prawda kancelarz otworzył szufladę, wyjął pistolet i wycelował go w Leifhelma.

-

Osobiście pana zastrzelę - rzekł - Nie pozwolę, powtarzam, nie pozwolę panu wskrzesić upiorów przeszłości!

Przez chwilę myślałem, że stary żołnierz rzuci się do przodu i padnie przeszyty kulą, lecz tak się nie stało. Wpatrywał się z beznamiętną nienawiścią w kancelarza, który obrzucał go chłodnym, taksującym wzrokiem. Później Leifhelm zrobił coś głupiego: Wyciągnął przed siebie rękę i zawołał Heil Hitler! Wreszcie trzasnął

po wojskowemu obcasami, odwrócił się i wyszedł.

Milczeliśmy przez chwilę. Ciszę przerwał kancelarz.

-

Powinienem go zastrzelić - powiedział - Możemy jeszcze pożałować, że tego nie zrobiłem".

W pięć dni po owym starciu przybył do Bonn Jacques Louis Bertholdier, który udał się w pierwszą ze swoich dwóch podróży do Niemiec po przejściu w stan spoczynku.

Zatrzymał się wówczas w hotelu Schlosspark. Ponieważ archiwa hotelowe przechowywane są przez okres trzech lat, udało nam się zdobyć kopie jego rachunków telefonicznych. Dzwonił do licznych

firm prowadzących interesy z Juneau et Cie, lecz nie tylko, gdyż stale powtarzał się pewien numer, którego właścicielka nie wiąże się w żaden sposób ze spółką Bertholdiera. Chodzi o Ilse Fishbem. Po sprawdzeniu rachunków telefonicznych Encha Leifhelma okazało się, że on także dzwonił pod ten sam numer. Późniejsze śledztwo i krótkotrwała obserwacja dowiodły, że Frau Fishbem i Leifhelm znają się od kilku lat. Wniosek jest oczywisty: pełni ona w organizacji Delavane'a rolę łączniczki między Paryżem a Bonn.

Converse zapalił papierosa. Znow zaczęło go kusić nazwisko córki Gorin -

ga. Ilse Fishbein mogła się okazać drogą na skróty. Zagrożona zdemaskowa -

niem, mogła ujawnić wiele faktów. Nie tylko przyznać się do roli łączniczki między Leifhelmem a Bertholdierem, lecz także zdradzić przekazywane przez nich informacje. Nazwy przedsiębiorstw, odległych kooperantów, firm prowadzących interesy ze spółką Delavane'a w Pało Alto, a także nazwiska ludzi zamieszanych w nadużycia, które musiały się zdarzać w tego rodzaju działal-ności. Joel czuł, że Ilse Fishbein mogłaby mu bardzo pomóc.

141

Pośrednicy... Converse posługiwał się nimi i znał ich wartość. Było to stosunkowo proste. Wynajmowało się osobę trzecią która kontaktowała się z przeciwnikami i dawała do zrozumienia, że dysponuje informacjami szkodliwymi dla ich interesów. Jeśli fakty okazywały się wystarczająco wymowne, zwykle udawało się znaleźć rozsądny kompromis. Było to niezbyt czyste od strony moralnej, jednakże wbrew przyjętym poglądom etyka ma trzy wymiary, jeśli nie cztery. Cel nie uświęca środków, lecz nie należy pozbawiać się uświęconych środków pozwalających doprowadzić do uczciwego i słusznego finału.

Nic nie może być uczciwsze ani słusniejsze niż zniszczenie Akwitanii. Stary Beale powiedział prawdę na zalanej księżycowym światłem plaży na Mikonos.

Klientem Joela nie jest anonimowy mieszkaniec San Francisco, tylko znaczna część tak zwanego cywilizowanego świata. Akwitanię trzeba powstrzymać, zniszczyć w zarodku.

Pośrednik? Oto kolejne pytanie, które należy odłożyć do rana. Joel wziął do ręki dossier, choć kleiły mu się powieki.

Leifhelm utrzymuje nieliczne stałe kontakty towarzyskie, może dlatego, że wie, iż władze mają go na oku. Zasiada w radach nadzorczych kilku poważnych koncernów, które stwierdzają bez ogródek, że jego nazwisko warte jest wypłacanych mu pieniędzy...

Głowa opadła Joelowi na piersi. Uniósł ją gwałtownie, otworzył szeroko oczy i przejrzał pobieżnie ostatnie kartki, nie mogąc już się skoncentrować. Kilka restauracji o nic niemówiących nazwach, małżeństwo zawarte podczas wojny i zakończone zaginięciem żony w 1943 roku podczas bombardowania Berlina. Generał

nie ożenił się ponownie i prowadził spokojne, wręcz surowe życie. Lubił jednak niewielkie przyjęcia, lecz ich goście często się zmieniali i nie mieli żadnego związku ze sprawą. Adres willi na przedmieściach Bad Godesberg... Nagle Converse zeszywniał, a jego oczy na krótko się ożywiły.

Dom znajduje się na odludziu nad brzegiem Renu, daleko od centrów handlowych czy osiedli. Posiadłości, otoczonej wysokim murem, strzegą policyjne wilczury, które ujadają wściekle na wszystkie nadjeżdżające pojazdy oprócz ciemnoczerwonego mercedesa Leifhelma.

Ciemnoczerwonego mercedesa! A więc na lotnisko przybył sam Leifhelm! A później pojechał prosto do ambasady! Jak to możliwe?! Co to znaczy?!

Joel nie mógł już dłużej czytać. Pociemniało mu w oczach i poczuł, że jego mózg nie jest w stanie przyjmować nowych informacji ani normalnie funkcjonować.

Dossier spadło na bok, a Joel zamknął oczy i zasnął.

142

Leciał głową w dół przepaścistą studnią o czarnych skalistych ścianach, panowała zupełna ciemność. Poszarpane skały wrzeszczały na niego szaleńczo niczym rzędy potworów z ostrymi dziobami i szponami usiłującymi wbić mu się w ciało.

Histeryczny zgiełk był nie do wytrzymania. Gdzie się podziała cisza?! Czemu spadał w czarną nicość...?

Otworzył gwałtownie oczy. Był zlany potem i dyszał spazmatycznie. Tuż koło jego głowy dzwonił telefon, a jego urywane drażniące tony wyrażały panikę. Joel, nadal półprzytomny, próbował otrząsnąć się ze snu i lęku; sięgnął po dzwiczący aparat, zerkając na zegarek, gdy jego ręka uniosła się nad stolikiem koło łóżka.

Był kwadrans po dwunastej, a przez okno wpadały do pokoju promienie słońca.

-

Tak, słucham?

-

Joel? Joel?

-

Przy telefonie,

-

Mówi Cal Dowling. Dzwonił nasz przyjaciel.

-

Co takiego? Kto?

-

Fowler, Avery Fowler.

-

O Boże!

Joelowi stanęła przed oczyma przeszłość. Siedział przy stoliku w Le Chat Botte na Quai du Mont Blanc, koło roziskrzanej słońcem barierki oddzielającej kawiarnię od bulwaru nad jeziorem. Nie... nie był w Genewie. Znajdował się w pokoju hotelowym w Bonn i zaledwie kilka godzin temu dostał histerii na dźwięk nazwiska Fowlera.

-

Tak - wykrztusił, łapiąc oddech. - Zapisaleś numer telefonu?

-

Powiedział, że nie czas na takie gierki, a poza tym nie ma telefonu.

Masz się z nim natychmiast spotkać przy wschodniej ścianie Alter Zoil. Idź tam; powiedział, że cię znajdzie.

-

Nie zrobię tego! - zawołał Converse. - Nie po tym, co się zdarzyło w Paryżu i na lotnisku! Nie jestem taki głupi!

-

Nie odniosłem wrażenia, że uważa cię za głupca - odparł aktor. - Kazał mi przekazać ci coś, co powinno cię przekonać.

-

Co takiego?

Mam nadzieję, że dobrze zrozumiałem, choć nie mam wielkiej ochoty tego mówić. Kazał ci powtórzyć, że zeszłej nocy zamordowano w Nowym Jorku niejakiego sędziego Anstetta. Uważa, że tracisz sojuszników.

Rozdział 8

Alter Zoil, Stara Komora Celną, mieści się w samotnej baszcie na południowym brzegu Renu, stanowiącej niegdyś część wielkiej warowni zburzonej przed trzystu laty. Na zielonych trawnikach stoją i ówdzie archaiczne 143

działa, wspomnienia potęgi, którą zniszczyły właśnie cesarzy, królów, książąt i duchownych. Kolistą ścianą ozdobioną mozaiką czerwonych i szarych kamieni wznosi się nad szeroką rzeką, po której płyną z powagą statki i barki, pilnie trzymając się wyznaczonych tras i tworząc fale pieszczące delikatnie obydwie brzegi. Ren wygląda inaczej niż Jezioro Genewskie, a tym bardziej szmaragdowozielone wody zdradliwego Como.

Joel stał koło niskiego murku, usiłując podziwiać widok i uspokoić się, jednakże próba okazała się daremna. Nie odczuwał piękna pejzażu i nawet go nie zauważał.

Myślał o czymś innym. O Lucasie Anstettie, sędzi Wyższego Trybunału Apelacyjnego, wybitnym prawniku pośredniczącym między pracodawcami Converse'a a jego anonimowym klientem z San Francisco. Przedmiot działalności Joela znali jedynie Anstett i emerytowany historyk z Mikonos. Jak to możliwe, że sędziego odnaleziono w ciągu osiemnastu godzin? Odnaleziono i zamordowano!

Converse?

Joel zerknął do tyłu i odwrócił się sztywno. Pięć kroków dalej, na krańcu zwirowanej ścieżki, stał jasnowłosa trzydziestokilkuletni mężczyzna z chłopięcą twarzą, która sprawiała wrażenie znacznie młodszej niż w rzeczywistości. Był

niedługo niższy od Joela. Miał na sobie jasnoszare spodnie, prążkowaną aksamitną marynarkę i białą koszulę rozpiętą pod szyją.

Kim jesteś? - spytał szorstko Converse.

Rozdzieliło ich starsze małżeństwo idące ścieżką, a młodszy mężczyzna skinął

głową w lewo, zapraszając Converse'a na trawnik. Joel posłuchał i stanął obok nieznanego koło olbrzymiego koła armaty z brązu.

-

W porządku, kim jesteś? - powtórzył.

-

Moja siostra ma na imię Meagen - odparł jasnowłosy mężczyzna. -

Wiesz już, kim jestem? Powiedz mi to, żeby wiedział, że się nie pomyliłem.

-

Co u diabła...? - Converse urwał, przypomniawszy sobie słowa wyszeptane w Genewie przez konającego mężczyznę: "O Boże! Meg, dzieci..."

- Meg, dzieci... - odezwał się na głos. - Tak nazywała się żona Fowlera.

-

To zdrobnienie od Meagen. Była żoną Hallidaya, choć znałeś go jako Fowlera.

-

Jesteś szwagrem Avery'ego.

-

Szwagrem Presa - poprawił mężczyzna z poważną miną, wyciągając rękę na powitanie. - Nazywam się Connal Fitzpatrick - dodał.

-

Wobec tego stoimy po tej samej stronie.

-

Mam nadzieję.

-

Muszę ci zadać wiele pytań, Connal.

-

Ja tobie też, Converse.

-

Czy powinniśmy zaczynać od kłótni? - spytał Joel, zauważając ostry ton Fitzpatricka i puszczać jego dłoń.

Młodszy mężczyzna zamrugał i oblał się rumieńcem wstydu.

144

-

Przepraszam - odparł. - Jestem wściekły i niewyspany. Nadal żyję we dług czasu San Diego.

-

San Diego? Nie San Francisco?

-

Jestem prawnikiem w tamtejszej bazie marynarki wojennej.

-

No, no! - gwizdnął cicho Converse. - Świat jest jednak bardzo mały.

-

Znam geografę - zgodził się Fitzpatrick. - I ciebie także, poruczniku.

Jak sądzisz, kto dostarczał Presowi informacji? Oczywiście nie służyłem w San Diego podczas wojny w Wietnamie, ale byli tam moi przyjaciele.

-

Nie ma dla was nic świętego.

-

Mylisz się. Wręcz przeciwnie. Musiałem zjeść wór soli, nim zdobyłem te dane. Jakies pięć miesięcy temu Pres zgłosił się do mnie i zawarliśmy umowę.

-

Mógłbyś wyrażać się jaśniej?

Oficer marynarki wojennej położył prawą dłoń na lufie działa.

-

Pres Halliday był nie tylko moim szwagrem, lecz także najlepszym przyjaciele, bliższym niż rodzony brat.

-

Chociaż stoisz po stronie militarystów? - spytał Joel półzartem, mimo że nie było to bynajmniej pytanie retoryczne.

Fitzpatrick uśmiechnął się z chłopięcą nieśmiałością.

-

Właśnie dlatego zostaliśmy przyjaciółmi. Stał po mojej stronie, kiedy chciałem wstąpić do wojska. Armia też potrzebuje prawników, choć uniwersytety rzadko o tym wspominają, bo nie dostają stamtąd pieniędzy. Ja po prostu szanuję marynarkę, podoba mi się życie w wojsku i lubię dużo od siebie wymagać.

-

A kto się sprzeciwiał?

-

W naszych rodzinach największymi rekinami byli zawsze prawnicy. Nasi ojcowie wiedzieli, że przyjaźnię się z Presem, i zaczęli snuć wspaniałe plany.

Mieli już protestanta i katolika; gdyby jeszcze znaleźli Żyda, jasnego Murzy na, a może nawet niezbyt nachalnego pedała, mogliby zagarnąć połowę spraw sądowych w San Francisco.

-

A Chińczycy i Włosi?

-

Niektóre transakcje zawiera się w ekskluzywnych klubach golfowych, gdzie takie koneksje są niezbyt mile widziane.

- I nie chciałeś mieć z tym nic wspólnego?

-

Podobnie jak Pres. Właśnie dlatego zajął się międzynarodowym prawem handlowym. Stary Jack Halliday dostał szału, kiedy Pres zaczął zdobywać zagranicznych klientów, a później amerykańskich rekinów chcących działać za granicą. Ale stary Jack nie mógł się skarżyć, jego zwariowany pasierb świetnie zarabiał.

- A ty przywdziałeś z radością mundur wojskowy - rzekł Converse, patrząc Fitzpatrickowi w oczy. Jego szczerość zrobiła na nim wielkie wrażenie.

-

Owszem, po raz drugi, i byłem bardzo szczęśliwy. A wszystko z błogo sławieństwem Presa.

- Bardzo go lubiłeś, prawda?

145

Connal oderwał dłoń od lufy.

-

Kochałem go, Converse. Tak samo jak kocham swoją siostrę. Właśnie dlatego tu jestem. Na tym polegała nasza umowa.

-

Ale, ale, skoro już mówimy o twojej siostrze - odezwał się łagodnie Joel - bardzo łatwo ustaliłbym jej imię, gdybym był kimś innym.

-

Nie mam co do tego wątpliwości. Pisały o tym gazety.

-

Niezbyt trudny egzamin.

-

Pres nazwał ją Meagan tylko raz w życiu, gdy brali ślub. Często o niej mówił, lecz posługiwał się zawsze zdrobnieniem Meg. Zamierzałem spytać cię o to i zorientować się, czy mówisz prawdę. Jestem w tym bardzo dobry.

-

Nie wątpię. Jaką umowę zawarłeś z Presem?

-

Przejdźmy się - rzekł Fitzpatrick.

Ruszyli w stronę muru. W dole wiała się rzeka, a w dali widać było siedem wzgórz Westerwaldu.

-

Pres przyszedł do mnie i powiedział, że zajmuje się pewną trudną sprawą i że nie może z niej zrezygnować. Natrafił na poszlaki, że kilku znanych ludzi utworzyło organizację mogącą uczynić wiele złego. Zamierzał ich powstrzymać, ale nie mógł tego osiągnąć za pomocą zwykłych środków prawnych.

Zadałem mu normalne pytania, kto jest w to wmieszany, o co chodzi, ale nie chciał powiedzieć. Stwierdził tylko, że nie ma pewności, czy jest zupełnie bezpieczny. Oczywiście natychmiast doradziłem mu przekazać zdobyte informacje władzom.

-

Zrobiłem dokładnie to samo - przerwał Converse.

Fitzpatrick zatrzymał się i spojrzał na Joela.

-

Odparł, że sprawa jest bardziej skomplikowana.

-

Miał rację.

-

Trudno w to uwierzyć.

-

Pres nie żyje. Musisz mi wierzyć na słowo.

-

To żadna odpowiedź!

-

O nic mnie nie pytałeś - powiedział Converse. - Chodźmy. Mów dalej.

Na czym polegała wasza umowa?

-

To bardzo proste - ciągnął oszołomiony oficer marynarki. - Obiecał

informować mnie na bieżąco o podróżach i osobach, z którymi zamierza się spotkać w związku ze swoim "głównym zadaniem". Tak to właśnie określił.

A także o wszystkim, co mogło się przydać, gdyby... gdyby... no właśnie, to cholerne gdyby!...

-

Gdyby co?

Fitzpatrick znów się zatrzymał.

-

Gdyby coś mu się stało! - rzucił szorstko.

Converse milczał przez chwilę, pozwalając emocjom nieco opaść.

- I poinformowałem cię, że leci spotkać się ze mną w Genewie. Przed dwudziestu laty chodziłem z Averym Prestonem Fowlerem Hallidayem do szkoły i znałem go jako Avery'ego Fowlera.

146

-

Tak. Mówiliśmy o tym, gdy dostarczyłem mu twoje tajne akta personal ne Doszedł do wniosku, że pora i okoliczności są sprzyjające. Nawiasem mówiąc, uważał cię za świetnego prawnika. - Connal pozwolił sobie na krótki zażenowany uśmiezek. - Prawie tak dobrego jak on sam.

-

To nieprawda - odparł Joel, uśmiechając się lekko. - Nadal się zastana wiam, dlaczego przyjął propozycję podziału akcji serii A w czasie rokowań w sprawie fuzji.

- Co takiego?

-

Nic. Czy mówił coś o Lucasie Anstecie? Chciałbym się tego dowie dzieć.

-

Po pierwsze, Pres twierdził, że posługują się sędzią, żeby namówić cię do...

-

Oni? To znaczy kto?

-

Nie mam pojęcia. Nigdy mi nie powiedział.

-

Do diabła! Przepraszam, mów dalej.

-

Anstett porozumiał się z właścicielami twojej kancelarii, a oni zgodzili się, pod warunkiem że też wyrazisz zgodę. Po drugie, mam pewne hobby. Lu bię wiedzieć na bieżąco, co się dzieje, i jak większość oficerów amerykańskich słucham co godzinę RSZ.

-

Co takiego?

-

Radio Sił Zbrojnych. Nadają świetne serwisy informacyjne, zbierają wieści z wszystkich stacji. Zawsze biorę ze sobą w podróż małe radio tranzystorowe z kilkoma zakresami fal krótkich.

-

Też to robiłem - odezwał się Converse. - Słuchałem BBC, głównie dlatego, że nie znam francuskiego, ani zresztą żadnego innego języka.

-

Mają niezłe dzienniki, ale zbyt często zmieniają pasma nadawania. Tak czy inaczej słuchałem dziś rano RSZ i dowiedziałem się o śmierci Anstetta.

-

Co mówili?

-

Nie było zbyt wielu szczegółów. Około drugiej nad ranem dokonano włamania do jego apartamentu w Central Park South. Są oznaki walki. Sędzie go zabito strzałem w głowę.

-

To wszystko?

-

Niezupełnie. Gospodyni twierdzi, że niczego nie skradziono, toteż policja wyklucza motyw rabunkowy.

-

Boże! Zadzwoń do Larry'ego Talbota. Może będzie mieć więcej informacji. Nie mówiono nic jeszcze?

-

Podano tylko krótki życiorys błyskotliwego prawnika. Najważniejsze, że niczego nie skradziono.

-

Rozumiem - przerwał Joel. - Porozmawiam z Talbotem. - Ruszyli wzdłuż muru na południe. - Dlaczego powiedziałaś w nocy Dowlingowi, że jesteś z ambasady? - spytał Joel. - Na pewno byłeś na lotnisku.

-

Spędziłem tam siedem godzin, chodząc od kasy do kasy, pytając o listy Pasażerów i próbując się dowiedzieć, którym samolotem przylecisz.

147

-

Wiedziałaś, że przylecę do Bonn?

-

Tak sądził Beale.

-

Beale?! - spytał zdumiony Joel. - Z Mikonos?!

-

Pres dał mi jego nazwisko i telefon na wypadek, gdyby zdarzyło się najgorsze. - Fitzpatrick umilkł. - Cóż, zdarzyło się - dodał.

-

Co powiedział Beale?

-

Że pojechałeś do Paryża, a później do Bonn.

-

Co jeszcze?

-Nic. Stwierdził, że przyjmuje moje listy uwierzytelniające, jak się wyraził, ponieważ znam jego nazwisko i wiem, jak się z nim skontaktować. Infor-

macje te mogłem uzyskać tylko od Presa. Ale reszty muszę się dowiedzieć od'

ciebie, jeśli zechcesz mi coś ujawnić. Był cholernie chłodny.

,

-

Nie miał wyboru.

-

Mimo to stwierdził, że gdybym nie mógł cię odnaleźć, chciałby spotkać!

się ze mną na Mikonos, nim zacznę robić szum wokół "sprawy, którą zajmował się pan Halliday". Tak to określił. Miałem zamiar czekać tu na ciebie jesz-

cze dwa dni.

-

A później co? Mikonos?

-

Nie jestem pewien. Chciałem zadzwonić jeszcze raz do Beale'a, ale musiałby powiedzieć mi znacznie więcej, by mnie przekonać.

-

A gdyby tego nie zrobił albo nie mógł?

-

Wówczas poleciałbym prosto do Waszyngtonu i poszedłbym do pierwszej osoby wskazanej przez dział informacji marynarki wojennej. Jeżeli są dzisz, że pozwolę to wszystko zatuszować, mylisz się, podobnie jak Beale.

-

Gdybyś powiedział mi to prosto z mostu, na pewno coś by zaproponował. Poleciałbyś na Mikonos. - Converse sięgnął do kieszeni koszuli po pa pierosy; wyciągnął paczkę w stronę Fitzpatricka, który pokręcił przecząco głową. - Avery też nie palił - rzekł bez celu Joel, pstrykając zapalniczką. -

Przepraszam: Pres. - Zaciągnął się dymem.

-

Nie ma o czym mówić. To dzięki temu imieniu zgodziłeś się ze mną zobaczyć.

-

Wrócimy do tego za moment. W tym, co mówisz, jest drobna nieścisłość, mecenasie. Wyjaśnijmy to, żeby było jasne, że żaden z nas się nie pomylił.

-

Nie mam pojęcia, o co ci chodzi, ale proszę bardzo.

-

Zdaje się, że chciałeś czekać tu na mnie jeszcze dwa dni, prawda?

-

Tak, jeśli zdołałbym się trochę przespać.

-

A skąd wiedziałeś, że nie przyleciałem dwa dni przed tobą?

Fitzpatrick zerknął na Joela.

-

Służę w marynarce jako prawnik od ośmiu lat, zarówno jako obrońca, jak i prokurator, i nie biorę udziału tylko w sądach wojennych. Jeździłem do więk szości krajów, z którymi Waszyngton podpisał porozumienia dwustronne.

-

Brzmi to imponująco, aleja nie służę w marynarce.

148

-

Służyłeś, choć nie zamierzałem wykorzystywać tego bez szczególnej potrzeby. Poleciałem do Dusseldorfu, wylegitymowałem się przed urzędnikiem służby imigracyjnej i poprosiłem o pomoc. W Niemczech Zachodnich jest siedem międzynarodowych portów lotniczych. Po mniej więcej pięciu minutach ustalili śmy z pomocą komputera że w ciągu ostatnich trzech dni nie przyleciałeś na żaden z nich. W ten sposób dowiedziałem się wszystkiego, co mnie interesowało.

-

Ale później musiałeś polecieć do Kolonii-Bonn.

-

Znalazłem się tam po czterdziestu minutach i zadzwoniłem do urzędnika z Dusseldorfu. Nadal nie przyleciałeś, więc jeśli nie przybyłeś do Niemiec pod fałszywym nazwiskiem, musiałeś się wcześniej czy później pojawić.

-

Uparty z ciebie facet.

-

Znasz moje motywy.

-

A Dowling? Dlaczego przedstawiłeś się jako pracownik ambasady?

-

Dowiedziałem się w Lufthansie, że jesteś na liście pasażerów samolotu z Hamburga. Nawet nie wiesz, jaką ulgę poczułem. Kręciłem się koło kasy na wypadek, gdyby doszło do spóźnienia, gdy nagle pojawiło się trzech ludzi z ambasady i pokazało swoje legitymacje służbowe. Ich przywódca mówił kiepsko po niemiecku.

-

Zrozumiałeś go?

-

Znam niemiecki, a także francuski, włoski i hiszpański. Muszę się kontaktować z ludźmi różnych narodowości.

-

Rozumiem.

-

Pewnie właśnie dlatego jestem komandorem porucznikiem w wieku trzydziestu czterech lat. Stale przerzucają mnie z miejsca na miejsce.

-

Dobrze. Co mówili ludzie z ambasady?

-

Pytali o ciebie. Chcieli się upewnić, że przylecisz lotem osiemdziesiąt siedem z Hamburga. Urzędnik zerknął na mnie, ale pokręciłem lekko głowę, więc rozmawiał z nimi, nie zwracając na mnie uwagi. Widzisz, dałem mu trochę pieniędzy, ale to nie wszystko. Tutejsi Niemcy niezbyt kochają przedstawicieli władz amerykańskich.

-

Słyszałem o tym zeszłej nocy. Od Dowlinga. Co dalej?

-

Po wylądowaniu samolotu stanąłem w tylnej części hali odbioru bagażu, a chłopcy z ambasady zebrali się przy wejściu w odległości około piętnastu metrów. Czekaliśmy, aż została tylko jedna walizka. Należała do ciebie, ale się nie pokazała. W końcu pojawiła się kobieta. Otoczyli ją, podnieceni i zdenerwowani. Kilka razy padło twoje nazwisko, ale nie słyszałem nic więcej, bo postanowiłem wrócić i porozmawiać z urzędnikiem.

-

Żeby sprawdzić, czy rzeczywiście przyleciałem, czy może zgłosiłem się do odprawy?

-

Tak - potwierdził Fitzpatrick. - Niezły spryciarz. Czuję się, jakbym przekupywał sędziego przysięgłego. Wziął ode mnie trochę pieniędzy i poinformował mnie, że przed opuszczeniem dworca

podszedł do niego Caleb Dowling (chyba powinienem wiedzieć, o kogo chodzi)...

149

-

I zostawił instrukcje - przerwał cicho Joel.

-

Skąd wiesz?

-

W hotelu zrobił to samo.

-

Tak, chodziło o hotel. Dowling powiedział, że siedział w samolocie obok amerykańskiego adwokata nazwiskiem Converse i że martwi się, iż nie znajdzie on zakwaterowania w Bonn. Gdyby zwrócił się o pomoc do przedsta wicielstwa Lufthansy, urzędnik powinien skierować go do hotelu Konigshof.

-

I po krótkim namyśle postanowiłeś porozmawiać z Dowlingiem jako jeden z pracowników ambasady, którzy zgubili mnie na lotnisku? - spytał

z uśmiechem Converse. - Chciałeś wykorzystać niechętnego świadka?

-

Dokładnie. Pokazałem mu swoją legitymację oficera marynarki i przed stawilem się jako attache. Szczerze mówiąc, Dowling nie okazał się zbyt miły.

-

A ty nie odegrałeś przekonująco swojej roli, jak wynika z jego relacji. Ja także. Co najdziwniejsze, właśnie dlatego doprowadził do naszego spotkania.

- Joel przystanął, zgasił papierosa o mur i wyrzucił go na drugą stronę. - W po rządku, zdałeś egzamin, komandorze. Co teraz? Mówisz po niemiecku i masz oficjalne kontakty, których ja nie mam. Mógłbyś okazać się pomocny.

Oficer marynarki stał bez ruchu i spoglądał twardo na Joela, mrugając oczyma w słońcu, choć nie z braku koncentracji.

-

Zrobię co w mojej mocy - odezwał się powoli -jeśli uznam to za słuszne. Ale musimy dobrze się rozumieć, Converse. Mogę ci poświęcić dwa dni.

To wszystko, co mamy, jeśli się do ciebie przyłączę.

-

Skąd ten termin?

-

Bo podjąłem taką decyzję.

-

Nie mogę współpracować na takich zasadach.

-

Dlaczego?

-

Bo podjąłem taką decyzję.

Converse ruszył wzdłuż muru.

-

Przyjechałeś do Bonn - rzekł beznamiętnie Fitzpatrick, zrównując się z Joelem. - Najpierw udałeś się do Paryża, a później do Bonn. To znaczy, że dysponujesz nazwiskami, dowodami, poszlakami, podejrzeniami. Chcę je po znać.

-

Musisz mnie przekonać, komandorze.

-

Złożyłem obietnicę.

-

Komu?

-

Swojej siostrze. Myślisz, że o niczym nie wie? Wierciła Presowi dziurę w brzuchu przez cały cholerny rok! Bez przerwy wstawał w środku nocy, cho dził po domu i gadał do siebie, ale nie chciał niczego powiedzieć. Miał obse sję, a Meg nie zdołała niczego z niego wydobyć. Musiałbyś ich znać, żeby to docenić. Było im ze sobą dobrze. Wiem, że to dziś niemodne: para kochają cych się ludzi z gromadką dzieci, którzy nie mogą się doczekać, aż znów się zobaczą, ale tacy właśnie byli.

-

Jesteś żonaty? - spytał Joel, nie zmieniając tempa marszu.

150

-Nie - odpowiedział oficer marynarki, najwyraźniej zdziwiony pytaniem. - Ale zamierzam kiedyś się ożenić. Już ci powiedziałem, często zmieniam Miejsce pobytu.

- Tak samo jak Pres... Avery.

-

O co ci chodzi, mecenasie?

-

Pres zajmował się czymś ważnym. Znał niebezpieczeństwo i wiedział, Co może stracić. Życie.

-

Właśnie dlatego chcę się wszystkiego dowiedzieć! Wczoraj odesłano do Stanów jego ciało. Jutro odbędzie się pogrzeb, a ja nie wezmę w nim udziału, bo złożyłem Meagen obietnicę! Przrzekłem, że wrócę z informacjami, które pozwolą ujawnić tę cholerną aferę!

-

Tylko zmniejszysz szansę na jej ujawnienie, jeśli ktoś cię przedtem nie sprzątnie.

-

To twoja opinia.

-

Nie mam nic więcej.

-

Nie przyjmuję tego do wiadomości!

-

Jak chcesz. Wracaj i mów o podejrzeniach, o zabójstwie w Genewie uznanym oficjalnie za napad rabunkowy, o morderstwie w Nowym Jorku, które prawdopodobnie również pozostanie czymś, czym nie jest. A jeśli wspomnisz o człowieku z Mikonos, przypadnie on jak kamień w wodę, wierz mi.

A ty okażesz się tylko maniakiem, kumplem zwariowanego Presa Hallidaya, który spalił swoją kartę powołania w epoce trawki i hipisów.

-

To stek bzdur!

-

Są na to dowody, komandorze. Ilu żołnierzy oskarżałeś jako prokurator?

-

Co takiego?!

-

Ile spraw przegrałeś jako obrońca?

-

Wygrywałem i przegrywałem, ale szczerze mówiąc, głównie to pierwsze.

-

Głównie? Szczerze mówiąc? Wiesz, że niektórzy ludzie potrafią wziąć piętnaście liczb i udowodnić, co tylko chcą, za pomocą analizy statystycznej!

-

Co to ma wspólnego z całą sprawą, ze śmiercią Presa, z zabójstwem?

-

Zdziwiłbyś się, komandorze. Możesz się nagle okazać niebezpiecznym agentem, a nawet prowokatorem, który nie powinien nosić munduru oficera marynarki wojennej.

-

O czym ty, u licha, gadasz?! Mniejsza o to, nawet nie chcę wiedzieć. Nie muszę ciebie słuchać, ale ty musisz posłuchać mnie. Daję ci dwa dni, Con -

verse. Czy chcesz ze mną współpracować?

Joel zatrzymał się i przyjrzał się bacznie młodzieńczej twarzy stojącego obok mężczyzny, który wcale nie był już taki młody. Wokół gniewnych oczu widniały ślady zmarszczek.

-

Nie należymy do tej samej floty - powiedział ze znużeniem. - Stary Beale miał rację. Decyzja należy do mnie i postanowiłem ci nic nie mówić.

151

Nie chcę z tobą współpracować, marynarzyku. Jesteś gówniarzem z gorącą głową i nudzisz mnie.

Odwrócił się i odszedł.

-

W porządku, kamera stop! Znakomicie! Dobra robota, Cal, prawie uwie rzyłem w te bzdury.

Reżyser, Roger Blynn, zerknął na tabliczkę podsunętą mu pod oczy przez sekretarkę planu, wydał instrukcje kamerzystom i skierował się w stronę wozu montażowego.

Caleb Dowling, siedzący na wielkim głazie na stoku wzgórza nad Renem, poklepał

po głowie cuchnącego kozła, który przed chwilą nasrał mu na czubek buta.

-

Chętnie kopnąłbym cię w dupę, ale nie zgadzałoby się to z moim obrażeniem w oczach publiczności - powiedział cicho.

Wstał i przeciągnął się, czując na sobie wzrok gapiów stojących za linkami odgradzającymi plan. Trajkotali niczym turyści w zoo. Za kilka minut zamierzał

przejsć przez linkę przymocowaną do statywu reflektora i zmieszać się z tłumem wielbicieli. Nigdy go to nie nudziło, może dlatego, że zdobył popularność dopiero w starszym wieku i lubił ów symbol swojego statusu. Czasami zdarzały się przyjemne niespodzianki: podchodził doń jeden z byłych studentów, najwyraźniej zastanawiając się, czy przyjaźń rodem z sali wykładowej przetrwała przyływ międzynarodowej sławy. Cal miał dobrą pamięć do twarzy i niezłą do nazwisk, toteż kiedy spotykał jednego z dawnych podopiecznych, przyglądał mu się bacznie i pytał, czy odrobił wczorajszą pracę domową. Albo podchodził i odzywał się profesorskim tonem: "Który kronikarz miał większy wpływ na język Szekspira: Daniel, Hollinshed czy Frois-sart?" Jeśli padło ostatnie

nazwisko, Dowling klepał się rubasznie po udach i wykrzykiwał: "Do diabła, chłopie, ale ty masz łeb!" Następował wybuch śmiechu, a spotkanie kończyło się często wspominkami przy kieliszku whisky.

Życie Dowlinga było prawie zupełnie harmonijne. Gdyby jeszcze w mrocznych zakamarkach umysłu jego żony zaświtał promyk słońca... Gdyby tak się stało, siedziałyby teraz na stoku wzgórza w Bonn, gawędząc żywo z kobietami za ogrodzeniem i zwierając im się, że mąż jest taki sam jak wszyscy inni. Nigdy nie ceruje swoich skarpetek i bez przerwy tłucze naczynia w kuchni; ludzie lubili tego słuchać, nawet jeśli nie wierzyli. Jednakże do odległych, mrocznych zakamarków nie docierało światło. Frieda pozostała w Kopenhadze, spacerowała po plażach wyspy Sjaelland, piła herbatę w Ogrodzie Botanicznym i czekała na wiadomość od męża, że ma kilka dni wolnego i przyleci wreszcie ze znieawidzonych Niemiec. Dowling rozejrzał się po zawodowo entuzjastycznej ekipie filmowej i gapiach, którzy wybuchali od czasu do czasu śmiechem, choć ich zachowanie świadczyło także o szacunku. Nie wydawali się ludźmi godnymi nienawiści.

152

-

Cal? - rozległ się głos Blyna, reżysera, który szedł szybko stokiem wZgórza. - Masz gościa.

-

Mam nadzieję, że nie tylko jednego, bo inaczej ludzie uchodzący za moich pracodawców stanowczo mnie przepłacają.

-Nie za ten śmierzący kicz. - Zbliżywszy się do aktora, reżyser przestał się uśmiechać. - Masz jakieś kłopoty, Cal?

-

Nieustanne, choć prawie ich nie widać.

-

Pytam poważnie. Jest tu ktoś z policji niemieckiej z Bonn. Mówi, że chce z tobą porozmawiać w pilnej sprawie.

Dowling poczuł gwałtowny ból w żołądku, symptom strachu towarzyszącego mu przez całe życie.

-

O czym?

-

Nie chciał powiedzieć. Stwierdził tylko, że to bardzo ważne i że musi się z tobą zobaczyć w cztery oczy.

-

O Boże! - wyszeptał aktor. - Gdzie jest?

-

W twojej przyczepie.

-

W mojej...

-

Nie przejmuj się - przerwał Blynn. - Jest z nim Moose Rosenberg, kaskader. Gdyby przestawił popielniczkę, ten goryl wyrzuciłby go przez okno.

-

Dzięki, Roger.

-

Nalegał na spotkanie w cztery oczy!

Dowling już go nie słyszał. Biegł stokiem wzgórza w stronę niewielkiego samochodu, gdzie spędzał krótkie chwile odpoczynku. Modlił się w duchu o łaskę, przygotowując się na najgorsze.

Na szczęście jego złe przeczucia się nie sprawdziły. Nie chodziło o Friedę Dowling, tylko o amerykańskiego adwokata Joela Converse'a. Zagadka jeszcze bardziej się skomplikowała. Kaskader opuścił przyczepę, zostawiając Caleba i policjanta samych. Inspektor, ubrany po cywilnemu, mówił płynnie po angielsku i zachowywał się oficjalnie, lecz uprzejmie.

-

Przykro mi, że pana niepokoję, Herr Dowling - rzekł w odpowiedzi na nerwowe pytanie Dowlinga o żonę. - Nie mamy żadnych informacji o Frau Dowling. Czyżby była chora?

-

Nie czuła się ostatnio najlepiej. Jest w Kopenhadze.

-

Wiemy o tym. Często pan tam lata, prawda?

-

Jak tylko mogę.

-

Nie chce przyjechać do pana do Bonn?

-

Nazywa się Miuhlstein. Kiedy przebywała ostatnio w Niemczech, nie uważano jej za istotę ludzką. Ma bardzo żywe wspomnienia owego okresu.

Ciągle ją dręczą.

. - No cóż, będzie się tego wstydzic wiele pokoleń Niemców - rzekł policjant, przyglądając się spokojnie Calebowi.

-

Mam nadzieję - odparł aktor.

153

-Nie było mnie wtedy na świecie, Herr Dowling. Cieszę się, że przeżyła. Mówię szczerze.

-

Pomagali jej Niemcy - odezwał się Dowling, sam nie wiedząc, dlaczego go zniża głos, tak że słowa stały się prawie niedosłyszalne.

-

Cieszę się - odparł cicho Niemiec. - Jednakże przyszedłem do pana w innej sprawie. Chodzi o mężczyznę, który zeszłej nocy siedział obok pana w samolotach z Kopenhagi do Hamburga i z Hamburga do Bonn. Amerykańskiego adwokata nazwiskiem Joel Converse.

-

O co chodzi? Ale, ale, czy mógłbym zobaczyć pańską legitymację?

-

Naturalnie.

Policjant sięgnął do kieszeni, wyjął plastikową legitymację i wręczył ją aktorowi, który założył okulary.

-

Co oznacza nazwa Sonder Dezernattl - spytał Dowling, zerkając na niewielki nadruk na legitymacji.

-

Najlepszy przekład to Oddział Specjalny. Jesteśmy jednostką Bundespolizei, czyli Policji Federalnej. Zajmujemy się szczególnie niebezpiecznymi przestępstwami.

-

Niewiele mi to mówi i dobrze pan o tym wie - stwierdził aktor. - Takie frazesy nadają się do filmów, gdzie można uzupełniać je grą, ale pan nie jest Helmutem Dantine'em ani Martinem Kosleckiem, a ja Elisą Landi. Proszę powiedzieć jasno, o co chodzi.

-

Bardzo dobrze. To śledztwo prowadzone przy współpracy Interpolu.

W paryskim szpitalu zmarł tej nocy człowiek, którego zranił w głowę Amerykanin nazwiskiem Joel Converse. Początkowo wydawało się, że ofiara wyzdrowieje, lecz niestety poprawa okazała się tymczasowa. Jego zgon przypisywany jest niczym niesprowokowanemu atakowi ze strony Herr Converse'a.

Wiemy, że wylądował na lotnisku Kolonia-Bonn, a stewardesy Lufthansy twierdzą, że siedział pan obok niego trzy i pół godziny. Chcemy się dowiedzieć, gdzie się znajduje. Może potrafi pan nam pomóc?

Dowling zdjął okulary, spuścił głowę i przełknął ślinę.

-

Uważacie, że wiem, gdzie jest?

-

Nie, ale rozmawiał pan z nim. Mamy także nadzieję, że orientuje się pan, iż za zatajenie informacji o przestępcy poszukiwanym za morderstwo grożą surowe kary.

Aktor zaczął bawić się okularami, tocząc ze sobą walkę wewnętrzną. Podszedł do łóżka pod ścianą, usiadł i popatrzył na policjanta.

-

Nie ufam panu. Jak pan myśli, dlaczego?

-

Ponieważ pamięta pan o żonie i nie zaufa nigdy żadnemu Niemcowi.

Jestem przedstawicielem prawa i porządku, Herr Dowling. Otrzymany przez nas raport stwierdza wyraźnie, że Herr Converse może cierpieć na poważne zaburzenia psychiczne.

-

Nie robił wrażenia chorego. W istocie rzeczy wydawał się błyskotliwym człowiekiem z głową na karku. Mówił sporo ciekawych rzeczy.

154

- Sprawily one panu przyjemność?

-

Nie wszystkie.

- Ale prawie wszystkie?

- Do czego pan zmierza?

-

Szaleniec potrafi mówić przekonująco i obracać wszystko na swoją korzyść. Ślepa wiara w siebie to kwintesencja psychozy.

Dowling położył okulary na łóżku i odetchnął głęboko, znów czując w żołądku ból wywołany lękiem.

-

Szaleniec? - spytał bez przekonania. - Nie wierzę.

-

Wobec tego niech pan pozwoli nam zdobyć dowody, że to nieprawda.

Wie pan, gdzie się znajduje?

Aktor zerknął na policjanta.

-

Proszę zostawić mi wizytówkę albo zapisać telefon, pod którym mogę pana złapać. Może się ze mną skontaktuje.

-

Kto ponosi za to odpowiedzialność?!

Za dużym biurkiem, które oświetlała tylko mosiężna lampa rzucająca na blat twardy krąg blasku, siedział w półmroku mężczyzna w czerwonej aksamitnej marynarce. Wokół panowała ciemność, jednakże przyćmione światło pozwalało dostrzec kontury ogromnej mapy wiszącej na ścianie za jego plecami. Nie była to mapa fizyczna, lecz administracyjna. Przedstawiała niezwykle podział polityczny świata. Zarysy poszczególnych państw, wyraźnie widoczne, zostały dziwnie zniekształcone i pokolorowane, jakby z odrębnych regionów geograficznych usiłowano stworzyć całość. Europa, większość krajów basenu Morza Śródziemnego i wybrane części Afryki łączyły się z Kanadą oraz Stanami Zjednoczonymi, oddzielone tylko bladobłękitną smugą Atlantyku.

Mężczyzna spoglądał prosto przed siebie. Miał pomarszczoną pergaminową twarz z kwadratową szczęką, orlim nosem i wąskimi zaciśniętymi wargami. Głowę osadzoną na sztywnym torsie zwieńczały krótko ostrzyżone płowe włosy. Znów się odezwał: mówił nieco piskliwie, jak człowiek nawykły do wydawania rozkazów. Łatwo było sobie wyobrazić, jak gorączkowo podnosi głos niczym kot miauczący nad brzegiem zamrożonego jeziora. Jednakże tym razem przemawiał cicho i z naciskiem.

-

Kto ponosi za to odpowiedzialność? - powtórzył. - Jesteś tam, londyńczyku?

-

Tak - odparł rozmówca z Wielkiej Brytanii. - Tak, naturalnie. Próbuję zebrać myśli.

- To podziwu godne, jednakże należy podjąć konkretne decyzje. Prawdopodobnie brało w tym udział kilku ludzi. Musimy po prostu poznać kolejność Zdarzeń. -

Mężczyzna w czerwonej marynarce zamilkł; kiedy znów się odezwał, jego głos zupełnie się zmienił. Zaczął przypominać piskliwe miauczenie kota nad brzegiem zamrożonego jeziora. - Jak wciągnięto do sprawy Interpol?

-

O czwartej nad ranem czasu paryskiego znaleziono martwego adiutanta Bertholdiera. Miał wówczas zażyć lekarstwo. Pielęgniarka zawiadomiła Surete...

-

Surete?! - zawołał mężczyzna za biurkiem pod niezwykłą mapą. - Dlaczego Surete?! Czemu nie Bertholdiera?! To jego pracownik, a nie Surete!

-

Na tym polegało niedopatrzenie - odparł Brytyjczyk. - Nie zorientowali-

śmy się, że rejestracji szpitala wydano specjalne instrukcje. Zrobił to niejaki inspektor Prudhomme, którego obudzono i poinformowano o śmierci pacjenta.

-

I to on zawiadomił Interpol?

-

Tak, ale zbyt późno, by zdążyć zatrzymać Converse'a po przylocie do Niemiec.

-

Powinniśmy dziękować za to Bogu - odparł mężczyzna w czerwonej marynarce, zniżając głos.

-

Oczywiście gdyby zastosowano normalną procedurę, szpital skontaktowałby się rano z Bertholdierem. Pacjent był jego pracownikiem, nie członkiem rodziny. Później zawiadomiono by lokalny posterunek policji, a wreszcie Surete. Do tego czasu nasi ludzie zdołaliby przeszkodzić wciągnięciu Interpolu w sprawę. Nadal jesteśmy w stanie tego dokonać, ale może to zająć kilka dni. Przeniesienia pracowników, nowe dowody, uzupełnienie akt... po prostu potrzebujemy trochę czasu.

-

Więc nie marnujcie go.

-

Wszystko przez te cholerne instrukcje...

-

A nikt nie miał dość rozumu, żeby je przewidzieć - odezwał się mężczyzna koło mapy. - Prudhomme

ma dobrą intuicję. Zbyt wielu wpływowych i bo gatyh ludzi, zbyt dziwne okoliczności. Zaczął coś podejrzewać.

-

Za kilka dni odbierzemy mu sprawę - odezwał się Anglik. - Wiemy, że Converse jest w Bonn. Niebawem go zlokalizujemy.

-

Może to też zrobić Interpol albo niemiecka policja. Nie muszę ci mówić, jak tragiczne będą konsekwencje.

-Możemy się posłużyć ambasadą amerykańską. Poszukiwany jest w końcu Amerykaninem.

-

I posiada pewne informacje! - odezwał się głośniejszą męczyzna przy biurku, zaciskając pięść w świetle lampy. - Nie wiemy, jakie ani przez kogo dostarczone, ale musimy to ustalić!

-

A sędzia? Czy nic nie wyszło na jaw w Nowym Jorku?

-

Tylko to, co podejrzewał Bertholdier i co wiedziałem od samego początku. Po czterdziestu latach Anstett zaczął znów polować na moją głowę -

Był człowiekiem niebezpiecznym, lecz tylko pośrednikiem. Nienawidziliśmy się, a on stanowił parawan dla ludzi stojących za nim. Cóż, zniknął razem ze swoją nieskazitelną opinią. Najważniejsze, że Converse to ktoś inny, niż się podaje. Musicie go odnaleźć!

156

-

Jak już powiedziałem, wnet go zlokalizujemy. Mamy więcej źródeł i informatorów niż Interpol. Szukamy Amerykanina przebywającego w Bonn, który nie zna niemieckiego. Jest niewiele miejsc, gdzie może się ukryć. Odnajdziemy go

'I wydusimy z niego, kto go posłał. Oczywiście później natychmiast go zlikwidujemy.

-Nie! - pisnął gładki kocur nad zamarznąłą taflą jeziora. - Będziemy udawać, że mu wierzymy. Powitamy go jak sojusznika. W Paryżu wspomniał gonn, Tel Awiwie i Johannesburgu, więc musicie dać mu to, czego chce. Skontaktujcie go z Leifhelmem. Sprowadźcie Abrahmsa z Izraela, van Headmera z Afryki i Bertholdiera z Paryża. Najwyraźniej i tak wie, kim są. W końcu zażąda spotkania, żeby się do nas przyłączyć. Zgodzimy się i wysłuchamy jego kłamstw. Powiedzą nam one więcej niż prawda.

-

Doprawdy, nie rozumiem.

-

Converse to zwiadowca, tylko zwiadowca. Penetruje nasze pozycje, usi łąjąc poznać siły stojące przed nim. Gdyby było inaczej, działałby legalnie przez powołane do tego instytucje. Nie posługiwałby się pseudonimem ani fałszywymi informacjami, nie uciekałby, napadając na człowieka mającego go zatrzymać. To pieszy zwiadowca, który posiada pewne dane, ale nie wie, do kąd zmierza. Cóż, zwiadowcę można wciągnąć w zasadzkę wraz z nacierającą kompanią. O tak, musimy się z nim spotkać.

-

Ośmielam się zwrócić uwagę, że to niesłychanie niebezpieczne. Musi wiedzieć, kto go zwerbował, kto podał mu nazwiska i pozostałe szczegóły.

Możemy złamać go za pomocą przymusu fizycznego lub chemicznego i wy dobyć te informacje.

-

Prawdopodobnie ich nie ma - odparł cierpliwie mężczyzna koło mapy.

- Patrole nie znają strategii sztabów, bo inaczej mogłyby zdradzić. Musimy dowiedzieć się czegoś więcej o tym Conversie. Dziś przed szóstą wieczór otrzy mam wszystkie jego akta, każde słowo napisane kiedykolwiek na jego temat.

Kryje się w tym coś, o czym jeszcze nie wiemy.

-

Wiemy, że jest przedsiębiorczy - stwierdził Brytyjczyk. - Informacje zebrane przez nas w Paryżu wskazują, że jest wybitnym prawnikiem. Jeśli nas rozpracuje albo zdoła uciec, rezultaty mogą się okazać katastrofalne. Pozna naszych ludzi, będzie z nimi rozmawiać.

-

Więc zlokalizowawszy go, nie spuszczać go z oczu. Niebawem otrzy macie dalsze instrukcje.

-Tak?

-

Przekażę wam materiały zbierane w całym kraju. Aby zwerbować ConVerse'a, należało bardzo zręcznie nim manipulować i zaszczerpić w nim silną motywację. Musimy znaleźć ludzi, którzy nim kierują. Nawet nie podejrzewa my' kim są. Zadzwońię jutro.

George Marcus Delavane odłożył słuchawkę na widełki i powoli, niezręcznie przekręcił na siedzeniu górną część tułowia. Spoglądał na dziwną maPę na ścianie, gdy tymczasem na wschodzie pojawił się pierwszy brzask, 157

wypełniając okna czerwonawą łuną. Wreszcie chwycił dłońmi oparcie stalowego wózka i znów zmienił z wysiłkiem pozycję, skierowawszy wzrok na surowy krąg światła na blacie biurka. Trzęsącymi się rękoma rozpiął ostrożnie guziki ciemnoczerwonej aksamitnej marynarki, zmuszając się do spojrzenia w dół.

Popatrzył ze wstrętem na szeroki skórzany pas, którym przypięty był do siedzenia, i wydał swoim oczom rozkaz zejścia jeszcze niżej, by przypomnieć sobie potworną krzywdę, jaka go spotkała.

Zobaczył tylko krawędź grubego stalowego siedzenia i wypolerowany parkiet.

Długie, mocne nogi, które służyły jego wysportowanemu, muskularnemu ciału podczas bitew w śniegu i błocie, w trakcie tryumfalnych defilad w słońcu i dumnych uroczystości wojskowych, zostały mu odebrane. Lekarze stwierdzili, że są chore i że zabiją resztę jego ciała. Zacisnął pięści i oparł je na blacie biurka z gardłem wypełnionym niemym krzykiem.

Rozdział 9

Niech cię diabli, za kogo ty się uważasz, Converse?! - zawołał wściekły Connal Fitzpatrick, zrównawszy się z Joelem, idącym szybko między wysokimi drzewami otaczającymi Alter Zoil.

-

Za kogoś, kto znał Avery'ego Fowlera jako chłopca, a później widział

w Genewie konającego człowieka nazwiskiem Pres Halliday - odparł Converse, przyspieszając kroku i kierując się w stronę bramy, przed którą stały taksówki.

-

Nie wciskaj mi kitu! Znałem Presa znacznie lepiej i znacznie dłużej niż ty! Boże! Był przecież moim szwagrem! Przyjaźniliśmy się przez piętnaście lat!

-

Mówisz jak smarkacz, który uważa, że coś potrafi. Odczep się ode mnie.

Fitzpatrick podbiegł do przodu i zastąpił Joelowi drogę.

-

To prawda! Proszę cię! Mogę i chcę ci pomóc! Znam niemiecki, a ty nie! Mam tu kontakty, a ty nie!

-

Masz także swój termin, którego nie uznaję. Zejdź mi z drogi, maryna ryzyku.

-

Daj spokój! - odezwał się błagalnie Fitzpatrick. - Popełniłem błąd. Nie odpędzaj mnie.

-

Słucham?

Fitzpatrick przestąpił niezręcznie z nogi na nogę.

-

Uważasz, że nigdy się nie mylisz?

-Nie.

-

Zdarza się, że błędy otwierają nam oczy.

-

Wolę nie uczyć się w ten sposób.

-

Moja pomyłka polegała na tym, że cię nie znałem; wykluczały to oko liczności. Z kim innym mogłoby mi się udać.

-

Zaczynasz mówić o taktyce, choć wyznaczyłeś już dwudniowy termin.

- Masz rację, do cholery! - przytaknął Connal, kiwając głową. - Bo chcę wszystko ujawnić! Chcę, żeby winni ponieśli karę! Jestem wściekły, Converse, wściekły jak diabli! Nie chcę, żeby ciągnęło się to miesiącami i poszło wreszcie w zapomnienie! Im dłużej nic się nie robi, tym mniej to kogokolwiek obchodzi.

Wiesz o tym równie dobrze jak ja, a może lepiej. Próbowalesz kiedyś wznowić starą sprawę? Zajmowałem się kilkoma sądami wojennymi sprzed lat, których wyroki wydawały mi się podejrzane. Cóż, nauczyłem się, że system tego nie lubi! Wiesz dlaczego?

-

Tak - odparł Joel. - Na wokandzie jest zbyt wiele nowych spraw, na których można zrobić karierę.

-

Brawo, mecenasie. Pres zasługuje na coś lepszego, Meagen też.

-

Tak, to prawda. Jest jednak pewien szkopuł, z którego Pres świetnie zdawał sobie sprawę. Może zabrzmiało to okrutnie, ale jego życie nie miało większego znaczenia w porównaniu z istotą sprawy.

-

Owszem, to cholernie okrutne - zgodził się oficer.

- I cholernie ściśle - odparował Converse. - Twój szwagier byłby wściekły, że próbujesz się tym zajmować. Daj spokój, komandorze. Jedź na pogrzeb.

-

Nie, chcę się do ciebie przyłączyć. Rezygnuję z terminu.

-

To bardzo miło z twojej strony.

-

Chryste Panie, dobrze wiesz, o co mi chodzi!

-Nie, nie wiem.

-

To ty będziesz się tym zajmować - rzekł Fitzpatrick, znów kiwając głową i oddychając głęboko. -
Zrobię, co każesz.

-

Dlaczego? - spytał Joel, patrząc mu prosto w oczy. Connal nie odwrócił
wzroku.

-

Pres ci ufał - stwierdził po prostu. - Uważał cię za najlepszego.

-

Nie licząc siebie - dokończył Converse, uśmiechając się leciutko. -

Dobrze, wierzę ci. ale są jeszcze pewne warunki. Albo je przyjmiesz, albo nie chcę mieć z tobą nic
wspólnego.

-

Chętnie posłucham. Będę się krzywił w duchu, żebyś tego nie widział.

-

Tak - zgodził się Joel. - Będziesz się krzywił. Przede wszystkim zamierzam mówić ci tylko to, co
uważam za stosowne. Reszty musisz domyślić się sam. To trochę ryzykowne, ale na pewno nie
zdradzisz dowodów, jakie zebra liśmy.

-

Twardy warunek.

-

Nic na to nie poradzę. Podam ci od czasu do czasu jakieś nazwisko, ale będzie to zawsze informacja
z drugiej albo trzeciej ręki. Jesteś inteligentny, niemożliwe do zidentyfikowania źródło, żeby się
zabezpieczyć.

-

Mam w tym wprawę.

- Doprawdy? Jesteś dobrym aktorem?

- Co takiego?

159

-

Nic, zdaje się, że już mi odpowiedziałeś. Nie robiłeś tego w galowym mundurze komandora porucznika.

-Do diabła, nie!

-

Myślę, że sobie poradzisz.

-

Ale musisz mi wreszcie coś powiedzieć.

-

Naświetlę ci sytuację w sposób ogólny, podając kilka konkretnych fak -

tów. W miarę postępów (jeśli oczywiście będą) uzyskasz więcej informacji.

Jeśli dojdiesz do wniosku, że wszystkiego się domyśliłeś, powiedz mi o tym.

Nie możemy ryzykować nadawania rozgłosu jakimś idiotyzmom.

-

My, to znaczy kto?

-

Sam chciałbym wiedzieć.

-

Pocieszająca wiadomość.

-

Owszem.

-

Dlaczego nie powiesz mi wszystkiego od razu? - spytał Fitzpatrick.

-

Bo Meagen Halliday straciła męża. Nie chcę, żeby straciła brata.

-

Przyjmuję to do wiadomości.

-

Ale, ale, ile mamy czasu? Jesteś przecież w służbie czynnej.

-

Wziąłem trzydziestodniowy urlop, który mogę przedłużyć. Moja siostra została sama z pięciorgiem dzieci, a jej mąż padł ofiarą morderstwa. Mogę spokojnie wypisać następny wniosek.

-

Pozostańmy przy trzydziestu dniach, komandorze. I tak nie mamy na wet tyle czasu.

-

Powiedz mi coś wreszcie, Converse!

-

Przejdźmy się - odezwał się Joel, kierując się z powrotem w stronę muru Alter Zoil na wysokim wzgórzu nad Renem.

Converse opisał sytuację w następujący sposób: grupa wpływowych ludzi z różnych krajów utworzyła międzynarodowy kartel przekazujący nielegalnie broń oraz technologie wrogim rządóm i organizacjom.

-

Po co? - spytał Fitzpatrick.

-

Mógłbym powiedzieć, że dla zysku, ale byś mi nie uwierzył.

-

Nie, nie wierzę, że to jedyny motyw - odparł w zamyśleniu Fitzpatrick. -

Ludzie wpływowi (jeśli dobrze rozumiem to słowo) działaliby pojedynczo lub w niewielkich grupkach na terenie swoich krajów. Gdyby ich głównym celem był zysk, nie tworzyliby międzynarodowego kartelu. To niepotrzebne. Na rynku warunki dyktują sprzedawcy, a takie porozumienia zmniejszają tylko zyski.

-

Brawo, mecenasie.

-

A zatem?

Fitzpatrick spojrział na Joela, krocząc obok niego ku wyrwie w murze, gdzie stała armata z brązu.

-

Destabilizacja-odparł Converse. - Masowa destabilizacja. Nagłe rozruchy w ogniskach zapalnych globu, których nie zdołają opanować istniejące władze.

160

-

Znow muszę spytać: po co?

- Bystry z siebie facet, więc sam na to odpowiedz - stwierdził Joel. - Co się dzieje, gdy istniejąca struktura polityczna zostaje sparaliżowana, gdy nie może dalej funkcjonować, a sytuacja wymyka się spod kontroli?

Zatrzymali się koło działa, a Fitzpatrick spojrział na długą, groźną lufę.

-

Zostaje zreformowana lub zastąpiona przez inną- odrzekł, patrząc na Converse'a.

-

Brawo - odparł cicho Joel. - Tak wygląda sytuacja ogólna.

-

To nie ma sensu - odezwał się Fitzpatrick, mrużąc oczy w blasku słońca. - Czy pozwolisz mi głośno myśleć?

-Zaczynaj.

-

Wyrażenie "wpływowi ludzie" oznacza na pewno dość wysoko postawione osoby. Skoro nie chodzi o zwykłych kryminalistów (a wskazuje na to brak czystego motywu handlowego), mamy do czynienia z szanowanymi obywatelami. Czy jest jakaś inna definicja słowa "wpływowi"?

-

Jeśli jest, ja jej nie znam.

-

Wobec tego dlaczego chcą destabilizować struktury polityczne, które gwarantują ich wpływy? To nie ma sensu.

-

Słyszałeś kiedyś powiedzenie: "Wszystko jest względne"?

-

Aż do znudzenia. I co z tego?

-

Pomyśl.

-

O czym?

-

O wpływach. - Joel wyciągnął papierosy, podniósł jednego do ust i za palił. Connal obserwował odległe wzgórza Westerwaldu.

-

Chcą powiększyć swoją władzę - odezwał się powoli, zwracając się w stronę Converse'a.

-

Chcą mieć wszystko - stwierdził Joel. - I mogą to osiągnąć tylko dowodząc, że posiadają monopol

na prawdę, że nikt inny nie jest w stanie sobie poradzić z nagłymi wybuchami anarchii.

Fitzpatrick przetrwał słowa Joela, wpatrując się nieruchomo w przestrzeń.

-

Wielkie nieba!... - wyszeptał, choć zdawało się, że krzyczy. - Między narodowy plebiscyt, czy stworzyć wszechpotężne państwo z woli narodów...

Faszyzm. Faszyzm na skalę międzynarodową.

-

Znudziło mi się już powtarzanie słowa "brawo", więc powiem: w po rządku, mecenasie. Ująłeś to lepiej od nas.

- Nas?! Ciągłe mówisz w liczbie mnogiej, lecz nawet nie wiesz, o kogo chodzi! -

rzucił Fitzpatrick z gniewnie zmarszczonym czołem.

- Pogódź się z tym - odparł Joel. - Ja już to zrobiłem.

- Dlaczego?

- Pamiętasz Avery'ego Fowlera?

-O Boże...!

- A starca z wyspy Mikonos? To wszystko, co mamy. Ale powiedzieli Prawdę. Groźba jest realna. Widziałem dowody na własne oczy i nie potrzeba 161

mi niczego więcej. Avery mówił w Genewie, że zostało nam niewiele czasu. Później potwierdził to Beale. Wszystko rozpocznie się przed zakończeniem twojego urlopu, najwcześniej za dwa tygodnie i cztery dni. Właśnie to miałem na myśli.

-

O mój Boże! - wyszeptał Fitzpatrick. - Co jeszcze możesz mi powie dzieć?

-

Bardzo niewiele.

-

Ambasada - przerwał Connal. - Byłem tam dwa lata temu i współpracowałem z attache wojskowym.

Nie muszę się nikomu przedstawiać. Mogą nam pomóc.

-

Albo nas zamordować.

-Co?!

-

Ambasada nie jest czysta. Ludzie z ambasady, których widziałeś na lot nisku...

-

Co z nimi?

-

Są po przeciwnej stronie.

-

Nie wierzę!

-

Dlaczego byli na lotnisku, jak sądzisz?

-

Żeby z tobą porozmawiać. Mogło być wiele różnych powodów. Może nie zdajesz sobie z tego sprawy, ale uchodzisz za jednego z czołowych prawni ków międzynarodowych. Służba dyplomatyczna często chce nawiązać kon takt z takimi facetami.

-

Już to komuś tłumaczyłem - rzekł zirytowany Converse.

-

Słucham?

-

Skoro chcieli się ze mną spotkać, dlaczego nie czekali przy bramce?

-

Bo sądzili, że wejdiesz do hali głównej razem z resztą pasażerów.

-

A kiedy tego nie zrobiłem, byli zdenerwowani i źli. Sam to powiedzia łem.

-

To prawda.

-

Tym bardziej powinni czekać przy bramce.

Fitzpatrick zmarszczył brwi.

-

To jednak tylko domysły...

-

Pamiętasz kobietę?

-

Oczywiście.

-

Zauważyła mnie w Kopenhadze. Śledziła mnie... To nie wszystko. Póź

niej, na podjeździe, cała czwórka wsiadła do samochodu człowieka należące go do spisku. Pojechali do ambasady. Musisz mi wierzyć. Widziałem ich na własne oczy.

Connal spoglądał na Joela i myślał o tym, co usłyszał.

-

O Jezu! - rzekł ze zdumieniem. - W porządku, ambasada odpada. A Bruk sela, kwatera główna NATO w Europie? Jest tam jednostka wywiadu marynarki wojennej, współpracowałem z nią.

-

Jeszcze nie. Może w ogóle nie.

- Myślałem, że chcesz wykorzystać moje kontakty wojskowe!

- Może. Dobrze wiedzieć, że jest taka możliwość.

- Wobec tego co mam robić? Muszę coś zrobić.

-

Naprawdę mówisz płynnie po niemiecku?

-

Hochdentsch, schwabisch, bayerisch i kilka innych dialektów. Już ci powiedziałem, znam pięć języków...

-

Przypominasz mi o tym aż do znudzenia-przerwał Converse. - W Bonn mieszka kobieta o nazwisku Fishbein. Jest wplątana w sprawę, nie wiemy jeszcze, do jakiego stopnia, ale podejrzewamy, że pełni rolę skrzynki kontaktowej.

Chcę, żebyś się z nią spotkał i wybadał ją. Musimy wymyślić jakiś przekonujący pretekst. Ma około czterdziestu lat i jest najmłodszą córką Hermanna Göringa. Z oczywistych powodów poślubiła Żyda, który przeżył wojnę; wyje chał dawno temu. Masz jakiś pomysł?

-

Jasne - odparł bez wahania Fitzpatrick. - Spadek. Każdego roku armia zajmuje się kilkoma tysiącami takich testamentów. Różni wariaci zapisują swój majątek Aryjczykom czystej krwi. Przekazujemy te sprawy sądom cywilnym, które nie wiedzą, co z nimi począć, aż wreszcie zawieszają postępowanie i przekazują pieniądze do Departamentu Stanu.

-

Nie bujasz?

-

Ein, zwei, drei. Ci ludzie nie żartują, wierz mi.

-

Możesz się tym posłużyć?

-

Co byś powiedział na milionowy spadek po właścicielu niewielkiego browaru lagera na Środkowym Zachodzie?

-

Nadajesz się - rzekł Joel. - Pracujemy razem.

Converse nie wspomniał ani słowa o Akwitanii, George'u Marcusie Delavane, Jacques'u Louisie Bertholdierze, Erichu Leifhelimie ani przeszło dwudziestu pracownikach Departamentu Stanu i Pentagonu. Nie omawiał także szczegółowo działalności kartelu wedle relacji doktora Edwarda Beale'a z Mikonos oraz posiadanych przez siebie dossier. Connal Fitzpatrick dowiedział się wyłącznie najbardziej podstawowych rzeczy. Rozumowanie Converse'a było znacznie okrutniejsze, niż sugerował. Gdyby Connala schwytano przesłuchano (choćby najbardziej brutalnie), nie mógł ujawnić zbyt wielu informacji.

-

Nie powiedziałeś mi wiele - poskarżył się Fitzpatrick.

-

Wystarczająco dużo, żebyś miał nad czym główkować, choć nie posługuję się zwykle tym wyrażeniem.

-

Ani ja.

-

Więc uważaj mnie za sympatycznego gościa - rzekł Converse i obaj ruszyli w stronę bramy Alter Zoil.

-

Z drugiej strony - ciągnął szwagier Hallidaya - przeżyłeś znacznie wię-

CeJ ode mnie. Czytałem twoje tajne akta; właściwie nie twoje, bo łączyły się aktami innych więźniów. Byłeś inny niż oni. Większość twierdziła że dopóki nie umieszczono cię w izolatce, stanowiłeś siłę spajającą obóz.

-

To nieprawda, marynarzyku. Trząsałem się ze strachu i zerznąłbym chińską kaczkę, żeby się uratować.

-

Z dokumentów wynika coś innego. Podobno...

-

Nie interesuje mnie to, komandorze - uciął Joel, gdy przechodzili przez ozdobną bramę. -Ale mam pewien problem, który mógłbyś pomóc mi rozwiązać.

-

O co chodzi?

-

Dałem słowo, że zadzwonię do Dowlinga. Nie wiem, jak połączyć się z jego radiotelefonem.

-

Tam jest budka - rzekł Connal, wskazując biały plastikowy daszek przy mocowany do betonowego filara wspierającego autostradę. - Masz numer?

-

Gdzieś tu jest - odparł Converse, szperając po kieszeniach. - O, proszę

- powiedział, odnalazłszy między kilkoma rachunkami skrawek papieru.

-

Yermittlung, bitte. - Connal mówił płynnie do słuchawki. - Fraulein, geben Sie mir bitte siebe, drei, vier, zwei, zwei. - Fitzpatrick wrzucił kilka monet do metalowej puszki i zwrócił się w stronę Joela. - Zaraz będzie połączenie.

-Zostań przy aparacie. Poproś go do telefonu. Dzwoni jego adwokat mieszkający w hotelu.

-

Guten Tag, Fraulein. Ist Herr... Nie, po angielsku. Pani też? Nie, nie dzwonię z Kalifornii, ale to bardzo ważna sprawa... Muszę się skontaktować z...

-

Calebem Dowlingiem... - wtrącił szybko Joel.

-

Z Calebem Dowlingiem. - Connal zakrył słuchawkę. - Co to za nazwi sko?

-

Ma coś wspólnego z torami wyścigów konnych.

-

Słucham?... Ouija, tak, dziękuję. Zaraz podejdzie do telefonu. Proszę.

Fitzpatrick wręczył Converse'owi słuchawkę.

-Joe?

-

To ja, Cal. Obiecałem, że zadzwonię do ciebie po rozmowie z Fowlerem. Wszystko w porządku.

-

Nie, nie wszystko, mecenasie - odparł cicho aktor. - Powinniśmy po ważne porozmawiać, i to w obecności osiłka nazwiskiem Rosenberg.

-

Nie rozumiem.

-

W Paryżu zmarł pewien człowiek. Dotarło?

-

O Boże!... - Converse poczuł, że blednie. - Miałeś gości? - wyszeptał

ze ściśniętym gardłem.

-

Przeszło godzinę temu odwiedził mnie niemiecki policjant. Tym razem nie miałem żadnych wątpliwości, że to autentyk.

-Nie wiem, co powiedzieć... - wymamrotał Joel.

-

Zrobiłeś to?

-

Tak... chyba tak. - Converse wpatrywał się w tarczę aparatu, widząc zakrwawioną twarz mężczyzny w zaułku i czując na palcach lepłą krew.

164

-

Chyba? Nie jesteś pewien?

- Tak, zrobiłem!

-

Miałeś jakiś powód?

-

Tak sądzę.

-

Chciałbym go poznać, ale nie teraz. Powiem ci, gdzie się spotkamy.

-

Nie! - wykrzyknął oszołomiony Joel. - Nie mogę cię w to wplątywać.

To niemożliwe!

-

Zostawił mi swoją wizytówkę, żebym zadzwonił, gdybyś się ze mną skontaktował. Stwierdził bez ogródek, że zatajenie informacji o poszukiwanym to ciężkie przestępstwo.

-

Miał rację, absolutną rację! Powiedz mu wszystko, na miły Bóg, Cal.

Całą prawdę. Wynająłeś mi pokój, bo obawiałeś się, że nie mam rezerwacji i spędziliśmy kilka miłych godzin w samolocie. Wziąłeś pokój na swoje na zwisko, ponieważ nie chciałeś, żebym płacił rachunek. Nie ukrywaj niczego!

Nawet tej rozmowy.

-

A dlaczego przedtem niczego mu nie powiedziałem?

-

Nic nie szkodzi, mówisz teraz. Przeżyłeś wstrząs, jestem Amerykaninem tak samo jak ty i znajdujesz się za granicą. Musiałeś się zastanowić. Mój telefon wyrwał cię z szoku i przywrócił zdolność logicznego myślenia. Po wiedz mu, że oskarżyłeś mnie o morderstwo, a ja nie zaprzeczyłem. Bądź z nim szczery, Cal.

-

Jak dalece? Czy powinienem wspomnieć o rozmowie z Fowlerem?

-

Możesz to zrobić, choć nie ma takiej potrzeby. Fowler to pseudonim osoby niemającej nic wspólnego z Paryżem. Jeśli wymienisz jego nazwisko, skomplikujesz tylko niepotrzebnie sprawę.

-

Powiedzieć mu, że jesteś w Alter Zoil?

-

Właśnie stąd do ciebie dzwonię.

-

Nie zdołasz dotrzeć z powrotem do Kónigshofu.

-

To bez znaczenia - stwierdził prędko Joel, chcąc skończyć rozmowę i przemyśleć sytuację. - Mój bagaż jest na lotnisku i też nie mogę tam pojechać.

-

Miałaś dyplomatkę.

-

Zająłem się tym. Zostawiłem ją w bezpiecznym miejscu.

Aktor milczał chwilę.

-

Więc radzisz mi skontaktować się z policją i powiedzieć całą prawdę? -

spytał powoli.

-

Nie zeznając niczego, co nie byłoby związane ze sprawą. Tak, radzę ci to zrobić, Cal. W ten sposób pozostaniesz czysty.

-

Twoje rady brzmią rozsądnie, Joe (przepraszam: Joel) i chętnie bym z

nich skorzystał, lecz obawiam się, że to niestety niemożliwe.

-

Dlaczego?!

-

Bo mordercy nie udzielają takich rad. Nie było tego w żadnym czytany przeze mnie scenariuszu.

165

-

Nonsens! Na miłość boską, zrób, o co cię proszę!

-

Przykro mi, to niezgodne z zasadami dramaturgii. To ty powinienesz spełnić moją prośbę. Na terenie uniwersytetu znajduje się przepięknie odrestaurowany pałac ze wspaniałym parkiem od południa. W głównej alei stoją ławki. W lecie jest tam bardzo miło, zwłaszcza wieczorem, gdy nie ma wielu ludzi. Przyjdź

tam o dziesiątej.

-

Nie chcę cię w to wplątywać, Cal!

-

Już jestem wplątany! Zataiłem informacje przed policją i pomogłem po -
szukiwanemu. - Dowling znów umilkł. - Chcę, żebyś się z kimś spotkał - dodał

-

Nie.

Rozległo się pstryknięcie i w słuchawce zapadła cisza.

Rozdział 10

Converse odwiesił słuchawkę i oparł się o plastikową ścianę budki, usiłując zebrać myśli. Zabił człowieka, nie na wojnie, nie walcząc o życie w dżunglach Azji Południowo-Wschodniej, tylko w paryskim zaułku, powodowany nagłym impulsem.

Czy postąpił słusznie, czy nie, dokonał tego i nie mógł dłużej o tym myśleć.

Poszukiwała go policja niemiecka, co oznaczało, że w sprawę zaangażował się Interpol, który przekazał z Paryża informacje dostarczone przez Jacques'a Louisa Bertholdiera, pozostającego w cieniu, poza zainteresowaniem tropicieli. Joelowi przypomniały się słowa wypowiedziane zaledwie kilka minut temu. Skoro życie Presa Hallidaya nie miało większego znaczenia, niewiele znaczyła także śmierć podwładnego Bertholdiera, ucznia Delavane'a, przedstawiciela Akwitanii we Francji. Nie mam żadnego wyboru, pomyślał Converse. Muszę uciekać i nie dać się złapać.

-

Co się stało? - spytał zaniepokojony Fitzpatrick. - Wyglądasz, jakby kopnął cię muł.

-

To prawda - zgodził się Converse.

-

Co się dzieje z Dowlingiem? Ma jakieś kłopoty?

-

Będzie miał! - wybuchnął Joel. - Ten idiota myśli, że to jakiś cholerny film!

-

Do niedawna miałeś o nim całkiem niezłą opinię.

-

Za pierwszym razem wszystko dobrze się skończyło. Tym razem będzie inaczej. - Converse odsunął się od ściany i spojrzał na Fitzpatricka, rozpaczliwie usiłując skoncentrować się na najbliższej przyszłości. - Może ci o tym opowiem - rzekł, rozglądając się za taksówką. - Chodź, wykorzystajmy twoje niesłychane talenty językowe. Potrzebujemy schronienia, drogiego, lecz nie -
rzucającego się w oczy i nienastawionego na turystów. Najlepszy byłby dobry hotel przeznaczony dla Niemców. Słyszałeś o czymś takim?

166

Fitzpatrick skinął głową.

-

Potrzebujemy niewielkiego ekskluzywnego zajazdu, gdzie zatrzymują się przedstawiciele wielkiego biznesu niemieckiego. Takie miejsca są tu w każdym większym mieście, ale śniadanie kosztuje tam moją miesięczną pensję.

-Nic nie szkodzi. Mam pieniądze. Mogę zacząć je wydawać.

-

Zdumiewasz mnie - rzekł Connal. - Naprawdę.

-

Myślisz, że uda ci się znaleźć taki hotel?

-

Mogę porozmawiać z kierowcą, prawdopodobnie zna coś takiego. Bonn to małe miasteczko, zupełnie inne niż Nowy Jork, Londyn albo Paryż... Patrz, ktoś wysiada z taksówki. - Pośpieszyli do krawężnika, na który wyszła czwórka pasażerów obwieszonych aparatami fotograficznymi, niosących wielkie torby reklamowe Louisa Vuittona.

-

Czego zamierzasz szukać? - spytał Converse, gdy pozdrowili skinie niem głowy turystów, dwie pary małżeńskie. Mężczyźni, niosący nikony, sprzeczali się z kobietami, trzymającymi torby Vuittona.

-

Połączenie tego, o czym mówiliśmy - odparł Fitzpatrick. - Cichego, miłego hoteliku z dala od Auslanderlarm.

-

Co takiego?

-

Z dala od zgiełku turystów i czegoś jeszcze gorszego. Powiem, że przy bywamy na spotkanie z kilkoma bardzo ważnymi biznesmenami niemieckimi, powiedzmy bankierami, i że potrzebujemy miejsca, gdzie czuliby się dobrze podczas poufnych rokowań. Będzie wiedział, o co mi chodzi.

-

Zobaczy, że nie mamy bagażu - sprzeciwił się Joel.

-

Najpierw zobaczy twoje pieniądze - odparł Connal, otwierając drzwi przed Converse'em.

Komandor porucznik Connal Fitzpatrick z Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych wywarł duże wrażenie na Conversie, uznanym specjalście od międzynarodowego prawa handlowego. Znalazł bez żadnego wysiłku dwupokojowy apartament w pensjonacie Das Rektorat nad brzegiem Renu. Była to przerobiona przedwojenna posiadłość. Większość gości wydawała znać się z widzenia, a służący rzadko patrzyli im prosto w oczy, jakby manifestowali swoją uniżoność albo dawali do zrozumienia, że nigdy by ich sobie nie przypomnieli, gdyby ich zapytano.

Fitzpatrick pochylił się do przodu i półgłosem rozmawiał z taksówkarzem. Szybka wymiana zdań stawała się coraz bardziej poufała, a taksówka pędziła w stronę centrum. Skręciła gwałtownie, przejechała tory kolejowe przecinające stolicę i podążyła gładką drogą biegnącą na północ równoległe do rzeki. Joel chciał już spytać, co się dzieje, lecz prawnik wojskowy uniósł rękę, nakazując milczenie.

, Kiedy zatrzymali się przed wejściem do pensjonatu, do którego prowadził

nieślychane długi podjazd, Fitzpatrick wysiadł z samochodu.

-

Zostań tutaj - powiedział do Joela. - Zobaczę, czy dostaniemy pokoje. Nie odzywaj się.

Connal wrócił po dwunastu minutach. Minę miał surową, lecz rozradowane oczy.

-

Proszę za mną, panie prezesie. Idziemy prosto na górę.

Zapłacił sownie taksówkarzowi i znów otworzył drzwi przed Converse'em. Tym razem z nieco większym szacunkiem, pomyślał Joel.

Hol pensjonatu miał typowy niemiecki wystrój z dziwaczną domieszką bardziej subtelnych ozdób z epoki wiktoriańskiej: ciężkie drewniane meble i potężne skórzane fotele sąsiadowały z ażurowymi ozdobami z mosiądzu nad łukowatymi drzwiami, dużymi lustrami w eleganckich ramach oraz zupełnie niepotrzebnymi adamaszkowymi lambrekinami wieńczącymi obszerne okna wykuszowe. W środku panowała spokojna atmosfera ekskluzywnego dziewiętnastowiecznego kurortu, a uroczyste nastroje rozpraszały tylko odbicia światła w metalu, politurze i szkle.

Był to dziwny zestaw starych i bardzo starych antyków, powstały nakładem olbrzymich kosztów.

Fitzpatrick zaprowadził Converse'a do windy w zakamarku korytarza wyłożonego boazerią. Windziarza nie było. Malutka klatka ze ścianami z barwionego szkła pomieściłaby zaledwie czterech pasażerów. Wjechali na drugie piętro.

-

Spodziewam się, że nasza kwatery ci się spodoba - odezwał się Connal.

- Sprawdziłem wszystko i dlatego zajęło mi to tak dużo czasu.

-

Jesteśmy z powrotem w dziewiętnastym wieku - stwierdził Joel. - Mam nadzieję, że są tu telefony, a nie tylko posłańcy.

-

Wszystkie najnowocześniejsze środki łączności. To też sprawdziłem. -

Drzwi rozsunęły się. - Tędy, proszę - rzekł Fitzpatrick, wskazując w prawo. -

Apartament jest na końcu korytarza.

-

Apartament?

-

Powiedziałeś, że masz pieniądze.

Weszli do gustownie umeblowanej bawialni z niewielkim balkonem wychodzącym na Ren. Po bokach znajdowały się słoneczne, przestronne sypialnie, których ściany były znów dość dziwnie ozdobione: wisiały na nich reprodukcje płócien impresjonistów oraz ryciny przedstawiające sławne niemieckie konie wyścigowe.

-

W porządku, magiku - powiedział Converse, wyglądając przez otwarte dwuskrzydłowe drzwi na balkon i zwracając się w stronę Fitzpatricka, który stał na środku pokoju z kluczem w ręku. - Jak tego dokonałeś?

-

To nic trudnego - odparł z uśmiechem Connal. - Zdziwiłbyś się, jakie wrażenie robią na Niemcach amerykańskie dokumenty wojskowe. Starsi lu dzie sztywnieją i wyglądają prawie jak szczenięta czujące woń pieczeni, a nie ma tu wielu ludzi poniżej sześćdziesiątki.

-

Niewiele mi to mówi, chyba że przedstawiłeś nas jako wojskowych.

-

Przedstawiłem się jako asystent przydzielony przez amerykańską marynarkę wojenną finansistcie, który ma toczyć poufne rokowania ze swoimi nie-168

mieckimi kolegami. Oczywiście nasz ekscentryczny finansista pragnie przebywać w Bonn incognito. Wynająłem pokój na swoje nazwisko.

- A jak wytłumaczyłeś brak rezerwacji?

- Powiedziałem dyrektorowi, że zdyskwalifikowałeś wybrany dla nas hotel, gdyż obawiałeś się spotkać tam znajomych. Dałem także do zrozumienia, że też niemieccy partnerzy będą mu wdzięczni za pomoc. Przyznał mi rację,

-

Jak się dowiedziałeś o pensjonacie? - spytał Joel nadal pełen podejrzeń.

-

To proste. Zapamiętałem go z rozmów podczas Międzynarodowej Konferencji Przemysłowców w Diisseldorfie.

-

Byłeś tam?

-

Nawet o niej nie słyszałem - odparł Fitzpatrick, kierując się w stronę drzwi po lewej. - Wezmę tę sypialnię, dobrze? Jest trochę mniejsza, a tak właśnie powinno być, ponieważ jestem tylko asystentem. Bóg jeden wie, że to prawda.

-

Poczekaj - odezwał się Converse, robiąc krok do przodu. - A nasz ba gaż? Czy jego brak nie wydał się naszemu przyjacielowi na dole nieco dziwny, skoro jesteśmy takimi ważnymi osobistościami?

-

Bynajmniej - odparł Connal. - Bagaż jest ciągle w hotelu, który z taką emfazą zdyskwalifikowałeś po dwudziestu minutach. Ale tylko ja mogę go odebrać.

-

Dlaczego?

Fitzpatrick uniósł palec do ust.

-

Bo uwielbiasz tajemnice. Pamiętaj, jesteś dziwakiem.

-

Dyrektor uwierzył w te bzdury?!

-

Zwraca się do mnie per Her Kommandant.

-

Jesteś niezłym oszustem.

-

Przypominam, że w mojej rodzinnej Irlandii umiejętność przekonywania uchodzi za wielką zaletę. Chociaż brakuje ci pewnych kwalifikacji, Pres twierdził, że też ją masz, zwłaszcza podczas rokowań.
- Connal spoważniał. -

Oczywiście mówił to jako komplement.

Kiedy prawnik wojskowy odwrócił się i wyszedł do swojej sypialni, Joel poczuł

coś dziwnego, czego nie potrafił określić. Wydawało mu się, że jest w jakiś sposób podobny do Fitzpatricka. Młody człowiek miał w sobie brawurę nowicjusza, który nie czuje lęku, bo doświadczenie nie nauczyło go przewidywania konsekwencji swoich czynów. Odważnie zapuszczał się na nieznane wody. Jeszcze nigdy nie tonął.

Converse zrozumiał nagle, co tak go poruszyło. Connal Fitzpatrick przypominał

jego samego sprzed wojny w Wietnamie. Zanim poznał strach, nagi, straszliwy strach. A potem samotność.

Uzgodniono, że Connal pojedzie na lotnisko Kolonia-Bonn po swój bagaż schowany w skrytce na dworcu, a następnie uda się do centrum Bonn, 169

gdzie zakupi elegancką walizkę, kilka koszul, bieliznę, skarpetki, a ponadto trzy pary spodni, dwie lub trzy marynarki i płaszcz od deszczu. Obaj doszli do wniosku, że najstosowniejsze będą ubrania codzienne. Ekscentryczny finansista ma prawo do takich wykroczeń przeciwko zasadom krawieckiego smaku a ponadto łatwiej będzie zdobyć autentyczną zagraniczną odzież tego rodzaju! Przed powrotem do Das Rektorat Fitzpatrick powinien udać się na dworzec kolejowy, wyjąć ze schowka dyplomatkę pozostawioną tam przez Converse'a, a później wrócić prosto do wiejskiego pensjonatu.

-

Chciałbym cię o coś spytać - odezwał się Fitzpatrick tuż przed wyj.

ściem. - W Alter Zoil wspomniałeś, że jacyś tajemniczy "oni" skorzystają fak tu, że nie potrafisz się z nikim dogadać. Rozumiem, że odnosiło się to do twojej nieznajomości niemieckiego?

-

Zgadza się. Nie znam żadnego języka oprócz angielskiego. Próbowałem się uczyć, ale nic z tego nie wyszło. Ożeniłem się z dziewczyną, która mówiła płynnie po francusku i niemiecku, i nawet ona dała wreszcie spokój.

Po prostu nie mam ucha.

-

Kogo miałeś na myśli, mówiąc "oni"? - spytał Connal, prawie nie słuchając wyjaśnień Converse'a. - Ludzi z ambasady?

Joel zawahał się.

-

Obawiam się, że nie tylko - odparł, starannie dobierając słowa. - Po wiem ci, ale jeszcze nie teraz. Później.

-

Dlaczego? Czemu nie teraz?

-

Bo nie wyszłoby ci to na dobre i w niesprzyjających okolicznościach mogłoby wywołać komplikacje, którym sam byś sobie nie życzył.

-

Mówisz samymi zagadkami.

-

Nie przeczę.

-

To wszystko? Nie powiesz mi nic więcej?

-Nie, jest jeszcze coś. Potrzebuję swojej teczki.

Fitzpatrick zapewnił Joela, że recepcjoniści pensjonatu znają angielski (a także przynajmniej sześć innych języków z arabskim włącznie), więc nie powinien mieć żadnych trudności z dodzwonieniem się do Lawrence'a Talbota w Nowym Jorku.

-

Chryste Panie, gdzie jesteś, Joel?! - krzyknął do słuchawki Talbot.

-

W Amsterdamie - odparł Converse, który wolał nie wspominać o Bonn i zachował dość przytomności umysłu, by uzyskać połączenie automatyczne.

- Chcę się dowiedzieć, co się stało z sędzią Anstettem, Larry. Możesz mi udzielić jakichś informacji?

-

Najpierw ty mi powiedz, co się z tobą dzieje?! Zeszłego wieczoru dzwonił Rene...

-

Mattilon?

-

Powiedziałeś mu, że lecisz do Londynu.

170

- Zmieniłem plany.

-

Co się, u licha, stało?! Przyszła do niego policja, a on nie miał wyboru i musiał im podać swoją tożsamość. - Talbot umilkł nagle, po czym odezwał

się spokojniejszym, nieszczerym tonem: -Nic ci nie jest, Joel? Czy chciałbyś

• cOś powiedzieć? Może coś cię dręczy?

-

Dręczy?

-

Posłuchaj, Joel. Wiemy, przez co przeszedłeś, podziwiamy cię i szanujemy-Jesteś naszym najlepszym specjalistą od prawa międzynarodowego...

-

Waszym jedynym specjalistą od prawa międzynarodowego - przerwał

Converse, usiłując się skupić i zyskać na czasie. - Co powiedział Rene? Dla czego do ciebie dzwonił?

-

Jesteś taki sam jak zawsze.

-

Owszem, Larry. Dlaczego Rene telefonował? Czego chciała od niego policja?

Joel czuł, że mówi fałszywym tonem; znalazł się w innym wymiarze i zdawał sobie z tego sprawę. Posługiwał się kłamstwem, bo zależało mu na czasie i swobodzie ruchów. Musiał pozostać na wolności. Miał zbyt wiele do zrobienia i zbyt mało czasu.

-

Zadzwoił do mnie ponownie, gdy został sam. Nawiasem mówiąc, od wiedziła go Surete. Przed tylnym wejściem do Jerzego V pobito kierowcę li muzyny...

-

Kierowcę limuzyny...?! - przerwał mimo woli Joel. - Twierdzili, że to szofer?

-

Pracownik jednej z owych piekielnie drogich firm, które wożą klientów przez całą dobę na okrągło. Bardzo ekskluzywnej i dbałej o zachowanie ta jemnicy. Kierowcę solidnie poturbowano i policja oskarżyła o to ciebie. Po dobio ktoś cię zidentyfikował, a ofiara może nie przeżyć.

-

To jakiś absurd, Larry! - zawołał Joel, udając oburzenie. - Owszem, byłem w tej okolicy, ale nie mam z tym nic wspólnego! Dwóch mężczyzn wszczęło bójkę, a ponieważ nie mogłem ich powstrzymać, wolałem się nie wtrącać! Odszedłem, a przedtem wrzasnąłem do portiera, żeby sprowadził

pomoc. Widziałem tylko, jak dmucha w gwizdek i biegnie w stronę zaułka.

-

Więc w ogóle nie uczestniczyłeś w bójce - powiedział z ulgą Talbot.

-Oczywiście! Dlaczego miałbym uczestniczyć?

-

Nie potrafiliśmy tego zrozumieć. Nie miało to żadnego sensu.

-

Naturalnie. Zadzwońię do Renę i polecę z powrotem do Paryża, jak będzie trzeba.

-

Tak, zrób to - stwierdził Talbot, lekko się zacinając. - Musisz wiedzieć, że być może pogorszyłem sytuację.

-Ty? W jaki sposób?

-

Powiedziałem Mattilonowi, że byłeś... byłeś trochę dziwny. Kiedy telefonowałeś do mnie z Genewy, mówiłeś strasznym głosem, po prostu strasznym.

171

-

Dobry Boże, myślisz, że jak się czułem?! Człowiek, z którym prowadzi łem rokowania, umarł na moich rękach, trafiony kilkoma kulami. Jak ty byś się czuł?!

-

Rozumiem - odparł prawnik z Nowego Jorku - ale Renę także zauwa żył w tobie coś, co go zaniepokoiło.

-

Daj spokój! Czy musicie to bez końca wałkować? - Converse'owi prze.

latywały przez głowę najrozmaitsze myśli. Każde następne słowo powinno brzmieć zupełnie wiarygodnie. - Mattilon widział mnie po czternastu godzi nach podróży samolotami. Byłem piekielnie zmęczony!

-

Joel? - Talbot najwyraźniej nie miał jeszcze zamiaru dawać spokoju. -

Czemu powiedziałeś Renę, że prowadzisz w Paryżu interesy naszej firmy?

Converse umilkł, by wywołać większe wrażenie, choć miał przygotowaną odpowiedź.

Wymyślił ją jeszcze przed pierwszym spotkaniem z Mattilonem.

-

Niewinne kłamstewko, Larry, nieprzynoszące nikomu żadnej szkody.

Chciałem uzyskać pewne informacje i wydawało mi się to dobrym pretekstem.

-

Informacje o Bertholdierze. To jakiś generał, prawda?

-

Okazał się kiepskim informatorem. Powiedziałem o tym René, który zgodził się ze mną. - Joel zaczął mówić lżejszym tonem. - Oprócz tego mogłoby się wydać dziwne, gdybym stwierdził, że pracuję w Paryżu dla kogoś innego, prawda? W naszym małym światku plotki szybko się rozchodzą, sam mi to kiedyś mówiłeś.

-

Tak, to prawda. Postąpiłeś słusznie... Ale, do licha, Joel, dlaczego opuściłeś hotel w taki dziwny sposób? Podobno wyszedłeś przez piwnice?

Należało teraz wypowiedzieć przekonującym tonem drobną nieprawdę. Gdyby Joelowi to się nie udało, musiałby posłużyć się znacznie poważniejszym kłamstwem. Connal Fitzpatrick zrobiłby to lepiej, pomyślał Converse. Prawnik wojskowy nie obawiał

się drobnostek, bo nie wiedział, że mogą zaprowadzić człowieka do bambusowej klatki w nurcie Mekongu.

-

Posłuchaj, Bubba, przyjacielu - odezwał się z kurtuazją, na jaką potrafił

się zdobyć. - Wiele ci zawdzięczam, ale nie muszę chyba się spowiadać ze swoich spraw osobistych.

-

Słucham?

-

Jestem prawie w średnim wieku i nie mam żadnych zobowiązań małych

żeńskich, które wymagałyby ode mnie wierności.

-

Wymknąłeś się jakiejś kobiecie?!

-

Na szczęście nie mężczyźnie, bo wystawiałoby to na szwank dobre imię kancelarii.

-

Boże! Jestem już na tyle stary, by nie myśleć o takich rzeczach. Przepraszam, młody człowieku.

-

Wcale nie taki młody, Larry.

-

Wszyscy się pomyliliśmy. Lepiej zadzwoń natychmiast do Renę i wyjaśnij całą sprawę. Nawet nie wiesz, jaką ulgę poczułem.

-

Powiedz mi o Anstecie. Właśnie dlatego dzwonię.

172

-

Naturalnie. - Talbot zniżył głos. - Straszna rzecz, tragedia. Co pisały gazety w Europie?

Converse'a ogarnęła panika. Nie przewidział tego pytania.

-

Bardzo niewiele - odparł, próbując przypomnieć sobie relację Fitzpatricka. - Po prostu, że został zastrzelony i że z mieszkania nic nie zginęło.

-

Zgadza się. Oczywiście Nathan i ja pomyśleliśmy przede wszystkim o twoim obecnym zajęciu, ale to zupełnie inna sprawa. Zemsta mafii i tyle.

Wiesz, jak surowo traktował ich apelacje. Natychmiast je odrzucał, informując przy tym adwokatów, że szargają dobre imię palestry.

-

Na pewno dokonała tego mafia?

-

Są na to dowody. Otrzymałem tę wiadomość prosto od inspektora O'Ne-illa. Wiedzą, kto jest sprawcą. To zawodowy morderca rodziny Delvecchio, a w zeszłym miesiącu Anstett odrzucił apelację najstarszego syna Delvecchia.

Czeka go dwanaście lat więzienia i nie ma szans na rewizję w Sądzie Najwyższym.

-

Znają sprawcę?

-

Trzeba go tylko ująć.

-

Jak to się stało, że wszystko wyszło na jaw? - spytał oszołomiony Joel.

-

Tak jak zwykle - odparł Talbot. - Dzięki informatorowi potrzebujące mu przysługi. A ponieważ wszystko zdarzyło się tak szybko i cicho, policja spodziewa się, że potwierdzi to analiza balistyczna.

-

Tak szybko? Cicho?

-

Informator zgłosił się na policję dziś z samego rana. Wysłano specjalną grupę pościgową i tylko ona zna tożsamość sprawcy. Spodziewają się, że na dal ma przy sobie broń. Aresztują go lada chwila, mieszka w Syosset.

Coś tu nie pasuje, pomyślał Converse. Była w tym wszystkim jakaś sprzeczność, choć nie potrafił jej wskazać.

-

Skoro wszystko odbyło się tak cicho, skąd o tym wiesz, Larry?

-

Bałem się, że o to spytasz - odparł nieswojo Talbot. - Zresztą mogę ci powiedzieć, i tak wcześniej czy później napiszą o tym w gazetach. Informuje ronię na bieżąco O'Neill. To uprzejmość z jego strony, a poza tym jest zdenerwowany.

-

Dlaczego?

-

Byłem ostatnim człowiekiem, który widział Anstetta żywego, oczywiście z wyjątkiem mordercy.

-Ty?!

-

Tak. Po drugim telefonie Renę postanowiłem zadzwonić do Anstetta, Oczywiście po konsultacji z Nathanem. Kiedy udało mi się z nim połączyć, zażądałem natychmiastowego spotkania. Nie miał na nie ochoty, ale okazałem się

•? nieugięty. Wyjaśniłem, że ma to związek z tobą. Wpadłeś w straszliwe tarapaty j trzeba koniecznie coś zrobić. Pojechałem do jego mieszkania w Central Park South, przytoczyłem rozmowę z Mattilonem i stwierdziłem, że bardzo Się o ciebie lękam, dając do zrozumienia, że uważam go za odpowiedzialnego za 173

powstałą sytuację. Nie powiedział wiele, ale mam wrażenie, że też się wystraszył. Obiecał skontaktować się ze mną rano. Wyszedłem, a sekcja zwłok ustaliła, że zabito go mniej więcej trzy godziny później.

Joel dyszał ciężko, pękała mu głowa, lecz słuchał w najwyższym skupieniu.

-

Wyjaśnijmy pewne rzeczy, Larry. Pojechałeś do mieszkania Anstetta po drugim telefonie Renę, gdy podał Surete moją tożsamość.

-

Zgadza się.

-

Ile czasu minęło?

-

Między czym a czym?

-

Między rozmową z Mattilonem a wizytą u Anstetta.

-

Pozwól mi pomyśleć. Naturalnie, chciałem najpierw porozmawiać z Nathanem, ale był na obiedzie, więc musiałem trochę poczekać. Zgodził się i chciał

nawet mi towarzyszyć...

-

Ile czasu minęło, Larry?

-

Półtorej, najwyżej dwie godziny.

Dwie godziny plus trzy to razem pięć godzin. Wystarczająco dużo, by wydać rozkazy. Converse nie miał wątpliwości, jakie były motywy zbrodni. W Paryżu powstało nagle zamieszanie, a w Nowym Jorku podniecony Lawrence Talbot pojechał

do mieszkania w Central Park South. Śledzono go, ktoś rozpoznał nazwisko sędziego i domyślił się jego roli w operacji skierowanej przeciwko Akwitanii.

Gdyby było inaczej, zamordowano by Talbota, a nie Lucasa Anstetta. Reszta to tylko zasłona dymna, zza której manipulują kukielkami podwładni George'a Marcusa Delavane'a.

-

Kraj i sądownictwo poniosły taką stratę...

Converse nie był w stanie dłużej słuchać Talbota.

-

Muszę kończyć, Larry - rzekł i odłożył słuchawkę.

Zbrodnia wstrząsnęła Joelem, lecz najbardziej przeraził go fakt, że dokonano jej tak szybko i sprawnie, a później tak doskonale zamaskowano.

Joseph Albanese (Milutki Joey), jadący swoim pontakiem cichą, zadrzewioną uliczką w Syosset na Long Island, pomachał ręką małżeństwu stojącemu w ogrodzie.

Mąż przycinał żywopłot według wskazówek żony. Przerwali pracę, uśmiechnęli się i również pomachali rękoma. Uważali go za bardzo sympatycznego faceta, bo pozwalał

ich dzieciom korzystać ze swego basenu, podawał znakomite trunki, gdy wpadali na pogawędkę, a podczas cotygodniowych przyjęć na wolnym powietrzu serwował

olbrzymie steki, zapraszając Po kolei wszystkich sąsiadów, by nikt nie czuł się pominięty.

Jestem naprawdę sympatyczny, pomyślał Joey. Był zawsze miły, nigdy nie podnosił

głosu, chętnie udzielał pomocy, mówił komplementy i uśmiechał się wesoło, niezależnie od tego, jak okropnie się czuł. To podstawa, myślał. Nieważne, jak jesteś zdenerwowany, nigdy nie pokazuj tego po sobie! Przez 174

wisko Milutki pasowało do Joeya. Czasami przychodziło mu do głowy, że jest nieomal święty - niechaj Bóg wybaczy mu takie myśli! Pozdrowił radośnie sąsiadów, choć tak naprawdę miał ochotę przebić pięścią szybę i wepchnąć im odłamki do gardła.

Winni są nie oni, tylko zeszła noc! Zwariowana noc, zwariowany trup, zwariowane życie! A najgorszy ze wszystkiego ten rzeźnik z zachodniego obrzeża nazywany majorem! Sadystycznie katował tego starca i zadawał zwariowane pytania, cały czas wrzeszcząc. Tutto pazzo!

joey grał w karty w Bronxie i nagle zadzwonił telefon. Jedź na Manhattan infretta e furial Trzeba załatwić kogoś subitolo Więc jedźcie i co zastajecie?

Cholernie upartego sędziego, który wsadził za kratki młodego Delvecchia! Co za wariactwo! Na pewno dojdą po śladach do ojca. Słyszał już o takich afflizioni i będzie mieć szczęście, jeśli zostanie na starość właścicielem niewielkiego burdelu w Palermo - pod warunkiem, że wróci kiedykolwiek na Sycylię.

A może... może to przewrót w organizacji? - pomyślał wówczas. Stary Delvecchio traci powoli kontrolę i komuś może zależeć na afflizione... A może sprawdzano samego Joeya? Może wydawał się zbyt miły, zbyt gładki, żeby wykończyć starego sędziego, który sprawił wszystkim tyle kłopotów? Cóż, nie okazał się miły.

Żadnego mazgajstwa, uprzejmość kończy się na pistolecie. To jego zawód, fach.

Pan Jezus decyduje, kto ma żyć, a kto umrzeć, i przemawia przez śmiertelników mówiących ludziom takim jak Joey, kogo zabić. Milutki Joey nie przeżywał

dylematów moralnych. Ale rozkazy powinien wydawać człowiek szanowany; było to konieczne.

Zeszłego wieczoru tak się właśnie stało. Rozkazy wydał człowiek cieszący się ogromnym szacunkiem. Chociaż Joey nie znał go osobiście, od wielu lat słyszał o potężnym padrone z Waszyngtonu. Jego nazwiska nigdy nie wymawiano na głos, tylko szeptem.

Joey zwolnił nieco i skręcił w podjazd. Jego żona, Angie, będzie wściekła i może nawet zacznie krzyczeć, bo nie wrócił na noc do domu. Po tej całej zwariowanej sprawie czeka go jeszcze kłótnia, ale co, u licha, ma jej powiedzieć?

Przepraszam, Angie, pracowałem, wpakowałem sześć kul w starca wyraźnie nieprzepadającego za makaroniarzami. Widzisz, Angie, musiałem zostać w New Jersey z jednym zpaesani, szefem miejscowej policji, który grał ze mną w karty i przysięgnie, że nie spuszczał mnie z oka całą noc.

Lecz oczywiście Joey nie rozmawiał z żoną o takich rzeczach. Była to Jego kolejna zasada. Nawet jeśli czuł się pod psem, nigdy nie wspominał w domu o sprawach zawodowych. Gdyby inni mężowie postępowali tak samo, życie rodzinne w Syosset układałoby się znacznie szczęśliwiej.

O kurwa! Jeden z tych pieprzonych szczeniaków zostawił rower pod drzwiami garażu. Joey nie mógł otworzyć automatycznych drzwi i wjechać do środka. Musiał wysiąść z samochodu. Kurwa! Kolejna przykrość. Nie mógł

naWet zaparkować przed bramąMillerów po przeciwnej stronie ulicy, bo stało tam Już auto jakiegoś durnia, nie buick Millerów. Kurwa mać!

175

Zatrzymał pontiaca w połowie stromego podjazdu i wysiadł. Podszedł do roweru.

Cholerny gówniarz nawet nie ustawił go na podpórce, a niewyspany Joey nie miał ochoty go podnosić.

- Joseph Albanese!

Milutki Joey obrócił się gwałtownie, przykucnął i sięgnął pod marynarkę. Tego tonu używała tylko policja! Wyciągnął pistolet kaliber 38 i rzucił się w stronę samochodu.

Zagrzmiały strzały, których echo potoczyło się po okolicy. Z drzew zerwały się stada ptaków, a na zalanym słońcem przedmieściu rozległy się histeryczne krzyki.

Joseph Albanese leżał koło maski swojego pontiaca; po lśniącej chromie spływały powoli strużki krwi. Milutki Joey, przeszyty kilkoma kulami, ścisnął w dłoni pistolet, którym posłużył się tak skutecznie zeszłej nocy. Dowiedzie tego analiza balistyczna. Zabójca Lucasa Anstetta nie żył. Sędzia padł ofiarą zemsty mafii, a jego śmierć nie miała żadnego związku z wypadkami toczącymi się w Bonn, w Niemczech.

Converse stał na niewielkim balkonie z dłońmi na balustradzie i spoglądał w dół

na majestatyczny Ren o brzegach porośniętych lasem. Minęła siódma: za górami zachodziło słońce, którego pomarańczowe promienie tworzyły ruchome cienie dryfujące na wodzie. Gra barw hipnotyzowała, wiatr orzeźwiał, lecz nic nie mogło uspokoić walącego serca Converse'a. Gdzie Fitzpatrick? Gdzie dyplomatka? Co z dokumentami? Usiłował przestać myśleć, nie wyobrażać sobie przerażających możliwości...

Rozległ się zgrzyt, lecz nie w piersi Joela, ale w pokoju. Odwrócił się szybko i ujrzał Connaia Fitzpatricka stojącego w otwartych drzwiach i wyjmującego klucz z zamka. Oficer odsunął się na bok, przepuszczając umundurowanego portiera z dwiema walizkami, kazał postawić je na podłodze i sięgnął do kieszeni po napiwek. Portier wyszedł, a prawnik wojskowy popatrzył na Joela. Nie miał w ręku dyplomatki.

-

Gdzie teczka? - spytał Converse, bojąc się odetchnąć i poruszyć.

-

Nie odebrałem jej.

-

Dlaczego?! - zawołał Joel.

-Nie miałem pewności... Może to tylko przeczucie, nie wiem.

-

O czym ty mówisz?!

-

Wczoraj przez siedem godzin dopytywałem się o ciebie na lotnisku -

odparł cicho Connal. - Dziś po południu przechodziłem koło przedstawicielstwa Lufthansy i siedział tam ten sam urzędnik. Kiedy go pozdrowiłem, udał, że mnie nie widzi. Wyglądał na zdenerwowanego. Nie mogłem tego pojąć.-

Przypomniałem sobie, jak patrzył na mnie zeszłej nocy. Przysięgłbym, że zerkał na mnie, gdy spacerowałem po dworcu, ale nie ręcę za to, bo panował

łok.

-

Uważasz, że cię śledzono?

176

-

Tak, choć nie jestem pewien. Kiedy robiłem zakupy w Bonn, chodziłem od sklepu do sklepu i od czasu do czasu zerkałem za siebie. Dwa razy wydało mi się, że widzę ponownie tę samą osobę, ale znów nie miałem pewności z powodu tłoku. Ciągle jednak myślałem o urzędniku Lufthansy. Coś mi się w tym wszystkim nie podobało.

- A w taksówce? Czy... Czy...

-

Oczywiście wyglądałem przez tylną szybę, nawet tuż koło pensjonatu.

Kilka samochodów skręcało za nami, ale kazałem kierowcy zwolnić i wyprze dziły nas.

-

Patrzyłeś, dokąd jadą, gdy was minęły?

-

Po co?

-

Jest pewien powód - odparł Joel, przypominając sobie przebiegłego taksówkarza, który śledził czerwonego mercedesa.

-

Wiem tylko, że niepokoisz się o swoją dyplomatkę. Nie znam jej zawar tości, ale zdaje mi się, że nie chcesz, by wpadła w niepowołane ręce.

-

Brawo, mecenasie.

Rozległo się stukanie do drzwi. Chociaż było ciche, Joel i Connal odnieśli wrażenie, że nieopodal uderzył piorun. Zamarli w bezruchu ze wzrokiem wbitym w drzwi.

-

Spytaj, kto tam - szepnął Converse.

-

Wer ist da, bitte? - spytał Fitzpatrick na tyle donośnie, by go usłyszano.

Ktoś odpowiedział krótko po niemiecku i Connal odetchnął z ulgą. - W po rządku. To wiadomość od dyrektora pensjonatu. Prawdopodobnie chcą nam wynająć salę konferencyjną.

Oficer podszedł do drzwi i otworzył je.

Jednakże na progu nie stał dyrektor, boy ani posłaniec z wiadomością od dyrektora. Zamiast tego ujrzeli szczupłego starszego mężczyznę w ciemnym garniturze, wyprostowanego i bardzo szerokiego w ramionach. Spojrzał on najpierw na Fitzpatricka, a później na Converse'a.

-

Przepraszam, komandorze - odezwał się uprzejmie, wkroczył do pokoju i podszedł do Joela z wyciągniętą ręką. - Herr Converse, pozwoli pan, że się przedstawię. Nazywam się Leifhelm, Erich Leifhelm.

Rozdział 11

Joel uścisnął Niemcowi rękę, zbyt oszołomiony, by uczynić cokolwiek innego.

"Pan feldmarszałek?..." - odezwał się i natychmiast tego pożałował. Mógł

przynajmniej zachować dość przytomności umysłu, by nazwać Leifhelma generałem.

Winne było dossier, niewiarygodna historia niewiarygodnie stędkiego potwora.

Converse'owi przelatowały przed oczyma kolejne strony 177

raportu, a jednocześnie przyglądał się powierzchowności gościa - proste, nadal jasne włosy, lodowate bladobłękitne oczy i różowawa woskowa skóra, pomarszczona i zakonserwowana jak u mumii.

-

To stary tytuł i na szczęście nie słyszałem go już od wielu lat. Ale po chlebia mi pan. Zadał pan sobie trochę trudu i dowiedział się czegoś o mojej przeszłości.

-

Niezbyt wiele.

-

Podejrzewam, że dostatecznie dużo. - Leifhelm odwrócił się w stronę Fitzpatricka. - Przepraszam za swój mały fortel, komandorze. Uważałem to za najlepsze rozwiązanie.

Zdumiony Fitzpatrick wzruszył ramionami.

-

Mam wrażenie, że panowie się znają.

-

Tylko ze słyszenia. Pan Converse przybył do Bonn, żeby się ze mną spotkać. Domyślałam się, że poinformował pana o tym.

-

Nie, nie zrobiłem tego - rzekł Joel.

Leifhelm odwrócił się w stronę Converse'a i spojrzał mu w oczy.

-

Rozumiem. Może powinniśmy porozmawiać na osobności?

-

Tak mi się zdaje. - Joel spojrzał na Fitzpatricka. - Zająłem już zbyt wiele pańskiego czasu, komandorze. Czy nie zszedłby pan na dół na obiad?

Niebawem do pana dołączę.

-

Tak jest - odparł Connal, przyjmując natychmiast rolę adiutanta. Skinął głową i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

-

Sliczny pokój - stwierdził Leifhelm, robiąc kilka kroków w stronę otwartego okna na balkon. - A także bardzo piękny widok.

-

Jak mnie pan znalazł? - spytał Converse.

-

Dzięki pańskiemu znajomemu - odparł były feldmarszałek, spoglądając na Joela. - Ein Offizier, jak twierdzi recepcjonista. Kto to?

-

Słucham? - spytał Converse.

-

Zeszłej nocy spędził na lotnisku kilka godzin, dopytując się o pana.

Wielu ludzi go zapamiętało. Wyglądał na pańskiego przyjaciela.

-

Spodziewał się pan, że wróci po swój bagaż?

-

Szczerze mówiąc, nie. Myśleliśmy, że przyjedzie po pański, bo pan nie mógł tego zrobić. A teraz proszę mi powiedzieć, kto to jest.

Joel rozumiał, że powinien zachowywać się arogancko, podobnie jak podczas rozmowy z Bertholdierem w Paryżu. Był to jedyny sposób postępowania z takimi ludźmi; jeśli mieli kogoś zaakceptować, musieli dostrzec w nim coś z samych siebie.

-

To bez znaczenia. Nie ma o niczym pojęcia. Służy jako prawnik w małej rymarce wojennej, pracował poprzednio w Bonn i przyjechał tu w sprawach osobistych. Zdaje się, że wspomniał o jakiejś kandydatce na narzeczoną. Poznałem go w zeszłym tygodniu. Ucieliśmy sobie pogawędkę; powiedziałem'

że lecę do Niemiec, a on koniecznie postanowił się ze mną spotkać. Płaszczy się przede mną i narzuca mi się. Na pewno żywi złudzenia, iż mógłby rozpo-

cząć praktykę cywilną. Oczywiście w obecnej sytuacji posłużyłem się nim.

podobnie jak pan.

-

Oczywiście. - Leifhelm uśmiechnął się, był rzeczywiście gładki. - Nie podał mu pan godziny przylotu?

-

Wizyta w Paryżu zmusiła mnie do zmiany planów.

-

O tak, Paryż. Musimy pomówić o Paryżu.

-

Rozmawiałem z przyjacielem, który zajmuje się Surete. Człowiek z ho telu nie żyje.

-

Takie rzeczy często się zdarzają.

-

Był podobno kierowcą, szoferem. To nieprawda.

-

Czy rozsądniej byłoby przedstawić go jako zaufanego współpracownika generała Jacques'a Louisa Bertholdiera?

-

Oczywiście, że nie. Policja twierdzi, że go zabiłem.

-

Zrobił pan to. Uważamy to za przykrą pomyłkę, za którą niewątpliwie ponosi winę sama ofiara.

-

Poszukuje mnie Interpol.

-

My także mamy przyjaciół. Sytuacja ulegnie zmianie. Nie musi się pan niczego obawiać dopóty, dopóki my nie musimy się niczego obawiać. - Nie mieć umilkł i rozejrzał się po pokoju. - Czy mógłbym usiąść?

-

Naturalnie. Zadzwoń po coś do picia?

-

Pijam tylko lekkie wino, a i to w bardzo niewielkich ilościach. To niepożądane, chyba że pan ma ochotę.

-

Wobec tego nie zwracajmy tym sobie głowy - odparł Converse, a Leifhelm zajął miejsce w fotelu tuż koło drzwi na balkon. Joel zamierzał usiąść dopiero w stosownym momencie.

-

Podjął pan nadzwyczajne środki, by wymknąć się nam na lotnisku -
ciągnął najmłodszy feldmarszałek mianowany przez Adolfa Hitlera.

-

Śledzono mnie od Kopenhagi.

-

Jest pan niezwykle spostrzegawczy. Naturalnie nie mieliśmy złych zamiarów.

-Nie znałem motywów tropicieli. Po prostu nie podobało mi się to. Nie wiedziałem, jak pan zareaguje na wypadki w Paryżu.

-

Jak zareaguję? - spytał retorycznie Leifhelm. - W Paryżu pojawił się adwokat występujący pod pseudonimem i powiedział kilka bardzo niepokojących rzeczy powszechnie szanowanemu obywatelowi uznawanemu niekiedy za wybitnego męża stanu. Adwokat ów, posługujący się nazwiskiem Simon, oświadczył, że odlatuje do Bonn, by się ze mną zobaczyć. Po drodze zabił człowieka (jestem pewien, że sprowokowany), co dowodzi, że jest bezwzględny i zdolny do wszystkiego. Ale nie mamy o nim żadnych innych informacji, a chcielibyśmy wiedzieć znacznie więcej. Gdzie bywa, z kim się spotyka. Czy na naszym miejscu postąpiłby pan inaczej?

Przyszła pora, by usiąść.

-

Sam rozegrałbym to lepiej.

-

Może gdybyśmy znali pańską krewkość, działalibyśmy w sposób mniej oczywisty. Nawiasem mówiąc, co właściwie wydarzyło się w Paryżu? Jak spro wokował pana ten człowiek?

-

Chciał mnie zatrzymać.

-

Nie wydano mu takich rozkazów.

-

Widać źle je zrozumiał. Na dowód mogę panu pokazać kilka siniaków na piersi i szyi. Nie mam zwyczaju wdawać się w bójki i na pewno nie chcia łem go zabić. Nawet nie wiedziałem, że to się stało. Był to wypadek, a ja działałem w obronie własnej.

-Naturalnie. Komu zależałoby na takim komplikowaniu sytuacji?

-

Zgadza się - odparł szorstko Converse. - Jak tylko zdołam znaleźć prze konujące alibi, które pozwoli mi nie wspominać o spotkaniu z generałem Ber -

tholdierem, wrócę do Paryża i wyjaśnię wszystko policji.

-

Łatwiej to powiedzieć, niż zrobić, jak głosi popularna maksyma. Wi dziano was rozmawiających w Les Etalons Blancs. Później niewątpliwie za uważono go w hotelu; to sławna osobistość. Nie, uważam, że postąpi pan mą drzej, pozwalając nam zająć się całą sprawą. Jak pan wie, mamy takie możliwości.

Joel popatrzył na Niemca chłodnym, pytającym wzrokiem.

-

Przyznaję, mój plan działania jest nieco ryzykowny. Nie jestem jego entuzjastą, podobnie jak mój klient. Z drugiej strony nie mogę pozwolić, by ścigała mnie policja.

-

Sledztwo zostanie umorzone. Musi pan pozostać w ukryciu przez na stępne kilka dni, aż z Paryża nadejdą nowe instrukcje. Pańskie nazwisko znik nie z wykazów ludzi poszukiwanych przez Interpol.

-

Potrzebuję gwarancji.

-

Czyż nie wystarczy panu moje słowo? Doskonale pan się orientuje, że mamy do stracenia więcej niż pan.

Zdumiony Converse zapanował nad swoimi emocjami. Leifhelm powiedział mu przed chwilą bardzo dużo, czy zdawał sobie z tego sprawę, czy nie. Niemiec w istocie przyznał, że należy do tajnej organizacji, która nie chce ryzykować zdemaskowania. Joel uzyskał pierwsze konkretne dowody. Było to jakby zbyt proste. A może przywódcy Akwitanii to po prostu lękliwi starsi panowie?

-

Zgoda - odezwał się Converse, zakładając nogę na nogę. - Cóż, panie generale, odszukał mnie pan, ale jak to uzgodniliśmy, mam ograniczone możliwości poruszania się. Co teraz?

-

Dokładnie to, o co panu chodziło, panie Converse. Podczas wizyty w Pa ryżu wspomniał pan o Bonn, Tel Awiwie i Johannesburgu. Wiedział pan, do kogo się zwrócić w Paryżu i Bonn. Zrobiło to na nas wielkie wrażenie i musi my przyjąć, że posiada pan jeszcze więcej informacji.

-

Spędziłem kilka miesięcy na szczegółowych studiach, oczywiście w imie niu swojego klienta.

180

- Ale kim pan jest? Skąd pan przybywa?

Joel poczuł ostry ból w piersi, podobnie jak wiele razy w przeszłości; była to jego osobista reakcja na niebezpieczeństwo i strach.

-

Jestem tym, za kogo pragnę uchodzić, panie generale. Na pewno pan to rozumie.

-

Owszem - odparł Niemiec, przyglądając mu się bacznie. - Człowiekiem na pozór ulegającym wichrom, ale posiadającym wewnętrzną siłę, która doprowadzi go do wyznaczonego celu.

-

To trochę niejasna metafora, lecz chyba zgodna z prawdą. Jeśli zaś idzie o to, skąd przybywam, jestem pewien, że już pan wie.

Pięć godzin. Wystarczająco dużo, by wydać rozkazy. Zabójstwo w Nowym Jorku, o którym należy wspomnieć.

-

Znam tylko fragmenty łamigłówek, panie Converse. A nawet gdybyśmy wiedzieli więcej, skąd moglibyśmy mieć pewność, że to prawda? Może pan być kimś innym, niż się wydaje.

-

A pan, panie generale?

-Ausgezeichnet! - zawołał ze śmiechem Leifhelm, uderzając dłońmi w kolano. Jego śmiech był szczery, a na woskowej twarzy pojawiły się zmarszczki rozbawienia. -

Jest pan znakomitym prawnikiem, mein Herr. Odpowiada pan na pytanie innym pytaniem, które jest zarazem odpowiedzią i oskarżeniem.

-

W obecnej sytuacji to po prostu prawda.

-

Jest pan bardzo skromny. To godne pochwały i sympatyczne.

Joel wyprostował nogi i skrzyżował je ponownie.

-

Nie przepadam za komplementami, panie generale. W obecnej sytuacji nie budzą mojego zaufania. Wspomniał pan przed chwilą o celach mojej podróży: o Bonn, Tel Awiwie i Johannesburgu. Co miał pan na myśli?

-

Tylko to, że spełniliśmy pańskie życzenia - odparł Leifhelm, rozkładając ręce. - Zamiast narażać pana na męczące podróże, poprosiliśmy naszych przedstawicieli w Tel Awiwie i Johannesburgu, by przylecieli do Bonn na spotkanie z panem. Oczywiście zaprosiliśmy także Bertholdiera.

Udało się! - pomyślał Joel. Przestraszyli się, a może nawet wpadli w panikę.

Pomimo ostrego bólu w piersi i bicia serca odezwał się cicho i spokojnie:

-

Doceniam panów troskę, ale szczerze mówiąc, mój klient nie jest jeszcze gotów do spotkania. Zanim obejmie okiem całość, chce poznać szczegóły.

Łańcuch składa się z ogniw, panie generale. Mam zbadać, czy są mocne.

-

Prawda, pański klient. Kto to taki, panie Converse?

-

Generał Bertholdier powiedział panu z pewnością, że nie wolno mi tego ujawnić.

-

Był pan w San Francisco w Kalifornii...

-

Prowadziłem tam studia - przerwał Joel. - Mój klient rezyduje gdzie indziej. Mimo to przyznaję, że w Pało Alto koło San Francisco mieszka czło nek, którego bardzo chciałbym reprezentować.

181

-

Tak, tak, pojmuję. - Leifhelm złączył koniuszki palców i ciągnął: - Czy mam przez to rozumieć, że nie zgadza się pan na spotkanie w Bonn?

Joel zadawał takie pytania tysiące razy, prowadząc negocjacje z prawnikami konkurencyjnych firm. Obie strony dążyły do tego samego: należało po prostu rozłożyć odpowiedzialność, by nikt nie czuł się petentem.

-

Cóż, zadali sobie panowie wiele trudu - odezwał się Joel. - Nic się chyba nie stanie, jeśli porozmawiam z kilkoma osobami. - Pozwolił sobie na powściągliwy uśmiech, podobnie jak tysiące razy. - Naturalnie w interesie swojego klienta.

-

Naturalnie - odparł Niemiec. - A więc jutro, powiedzmy o czwartej po południu. Przyślę po pana samochód. Potrawy będą znakomite, zapewniam pana.

-

Potrawy?

-

Mam na myśli kolację po spotkaniu. - Leifhelm wstał z fotela. - Skoro przybył pan do Bonn, nie może pan odrzucić zaproszenia. Moje kolacje są sławne, panie Converse. Oczywiście może pan przedsięwziąć dowolne środki ostrożności. Nawet przybyć w towarzystwie plutonu goryli. Będzie pan najzupełniej bezpieczny. Mein Hans ist dein Haus.

-

Nie znam niemieckiego.

-

Stare hiszpańskie przysłowie głosi: Mi casa, su casa. Mój dom to twój dom. Postaram się, by czuł się pan jak najlepiej.

-

Dziękuję - odparł Joel wstając. - Nawet nie przyszło mi do głowy, że ktoś mógłby mi towarzyszyć albo mnie śledzić. Ma się rozumieć, poinformuję swojego klienta, gdzie jestem, i uprzedzę go, kiedy powinien się spodziewać telefonu. Będzie czekać na niego z niecierpliwością.

-

Ja również tak uważam. - Leifhelm i Converse podeszli do drzwi; Niemiec odwrócił się raz jeszcze i wyciągnął dłoń do Joela. - A więc do jutra. I jeszcze raz

proszę zachować ostrożność, przynajmniej przez najbliższe kilka dni.

-

Rozumiem.

Rozkazy wydane w Nowym Jorku. Zabójstwo, o którym należy wspomnieć, pierwsza z dwóch przeszkód, dwa ostre ukłucia w piersi.

-

Ale, ale - rzekł Joel, puszczając dłoń feldmarszałka. - Dziś rano usłyszałem w BBC ciekawą wiadomość, tak ciekawą, że zatelefonowałem do swojego współnika. W Nowym Jorku

zamordowano pewnego człowieka, sędzie go. Podobno chodziło o zemstę mafii. Wie pan coś na ten temat?

-

Ja?! - spytał Leifhelm ze zdumieniem, uniósłszy brwi i rozchyliwszy woskowe wargi. - Zdaje się, że w Nowym Jorku giną codziennie dziesiątki ludzi, między innymi sędziowie. Dlaczego miałbym coś o tym wiedzieć? Na turalnie nie mam o niczym pojęcia.

-

Po prostu się zastanawiałem. Dziękuję.

-

Przecież... przecież musi pan mieć...

-

Słucham, panie generale?

-

Dlaczego interesuje się pan owym sędzią? Czemu pan uważa, że powi nieniem o nim słyszeć?

182

Converse uśmiechnął się bez śladu rozbawienia.

-

Jak pan wie, był naszym wspólnym przeciwnikiem. Wrogiem, jeśli pan woli.

-

Wrogiem...? Doprawdy, proszę to wytłumaczyć!

-

Jak już wspomniałem, jestem tym, za kogo pragnę uchodzić. Sędzia znał prawdę. Otrzymałem urlop w swojej kancelarii i pracuję w ścisłej tajemnicy dla prywatnego klienta. Sędzia usiłował mnie powstrzymać, przekonując współwłaściciela firmy, by cofnął mi urlop i wezwał do Nowego Jorku.

-

Podał mu fakty?!

-Nie, napomknął tylko o korupcji i łamaniu prawa. Nie mógł posunąć się dalej, gdyż jako sędzia sam stałby się podejrzanym. Mój pracodawca o niczym nie wie.

Jest wściekły i niczego nie rozumie, ale zdołałem go uspokoić. Sprawa jest zakończona i im mniej się nią zajmujemy, tym lepiej. - Joel otworzył drzwi przed Leifhelmem. - Do jutra... - Zamilkł na chwilę, czując odrazę do stojącego przed nim Niemca, lecz spoglądając na niego z szacunkiem. - Do jutra, panie feldmarszałku! - dodał.

-

Gute Nacht! - odparł Erich Leifhelm, pozdrawiając Joela energicznym wojskowym skinieniem głowy.

Converse przekonał recepcjonistę, aby posłał kogoś do jadalni po komandora Fitzpatricka. Nie okazało się to łatwe, gdyż oficera nie było w jadalni ani w barze. Zamiast tego siedział na Spanische Terrasse przed pensjonatem i podziwiał

zachód słońca nad Renem, pijąc whisky z przyjaciółmi.

-

Co za cholernymi przyjaciółmi?! - zawołał Joel do słuchawki telefonu.

-

Po prostu nowo poznanym małżeństwem. Miły facet wyglądający na dyrektora, najwyraźniej dobrze po siedemdziesiątce.

-

A żona? - spytał Converse, uderzony dziwnym tonem Connala.

-

Ze trzydzieści, czterdzieści lat młodsza - odparł z szelmowskim uśmiechem Fitzpatrick.

-

Jazda na górę, marynarzu!

Oficer siedział pochylony na kanapie, trzymając łokcie na kolanach. Spoglądał z niepokojem i zdumieniem na Joela, który palił papierosa przed otwartymi drzwiami na balkon.

-

Pozwól mi powtórzyć - rzekł ostrożnie Connal. - Chcesz, żebym unie umożliwił komuś zapoznanie się z twoimi aktami wojskowymi?

-

Nie całymi, tylko ich częścią.

-

Za kogo ty mnie, u licha, uważasz?!

-

Zrobiłeś to dla Avery'ego, to znaczy Presa. Możesz to zrobić i dla mnie.

Musisz to zrobić!

- To coś innego. Udostępniłem mu twoje akta, a nie ukrywałem.

183

-Tak czy inaczej, są w twojej gestii. Masz do nich dostęp, klucz.

-

Jestem w Bonn, a nie w San Diego. Nie mogę wyciąć czegoś nożyczka mi na odległość, bo tak mi się podoba. Bądź rozsądny!

-

Ktoś może i musi to zrobić! To tylko niewielki fragment i jest na pewno na samym końcu. Ostatnia rozmowa.

-

Rozmowa?! - spytał zdumiony Connal, wstając z miejsca. - W aktach wojskowych?! Masz na myśli jakiś raport operacyjny? Jeśli tak, nie mam żad nych...

-

Nie, nie raport - odparł Converse, kręcąc głową. - Rozmowę przed zwolnieniem ze służby. Przytoczył ją Pres Halliday.

-

Czekaj, czekaj! - Fitzpatrick uniósł dłonie do góry. - Masz na myśli swoje zeznania przed komisją

zwalniająca z wojska?

-Tak.

-

No to możesz się nie niepokoić. Nie ma ich w twoich aktach ani niczy ich innych.

-

Halliday je znał! Już ci powiedziałem, przytoczył dokładnie moje sło wa! - Joel podszedł do popielniczki na stole i rozgniółł papierosa. - Skąd je wziął, skoro nie ma ich w aktach? Jak je dla niego zdobyłeś?

-

To zupełnie inna sprawa - odezwał się Connal, najwyraźniej zaczynając coś sobie przypominać. - Byłeś jeńcem wojennym, a wiele takich zeznań utaj niono. Wspominano o rzeczach, których do dziś lepiej nie wyciągać na światło dzienne, i to dla dobra ogółu, a nie tylko wojska.

-

Ale jakoś je zdobyłeś! Zacytował moje słowa, do cholery!

-

Owszem, zdobyłem - przyznał bez entuzjazmu prawnik wojskowy. -

Zdobyłem stenogram, a jeśli ktoś by się o tym dowiedział, zdegradowaliby mnie na szeregowca. Pres przysięgał, że potrzebuje tych materiałów, że po trzebuje wszystkiego. Nie mógł pozwolić sobie na błąd.

-

Jak to zrobiłeś? Przecież nie służyłeś w San Diego, gdy mnie zwalniano.

-Zatelefonowałem do archiwum i poprosiłem o kserokopię, podając swój prawniczy numer ewidencyjny. Powiedziałem, że to alarm klasy cztery-zero i że biorę pełną odpowiedzialność. Nazajutrz rano, kiedy przysłano dokumenty do podpisu, podsunąłem je dowódcy wydziału prawnego bazy wraz z wieloma innymi świstkami. Później wszystko utonęło w papierach.

-

Ale jak się dowiedziałeś o istnieniu zeznań?

-

Niektórzy jeńcy wojenni mają flagi na swoich teczkach.

-

Co to znaczy?

-

To co powiedziałem, flagi. Niewielkie błękitne pieczęcie, które oznaczają dodatkowe informacje wciąż stanowiące tajemnicę wojskową. Jeśli nie ma flagi, sprawa jest czysta, a jeśli jest, coś się za tym kryje. Powiedziałem o tym Presowi, a ponieważ chciałem mieć wszystkie materiały, zdobyłem je.

-

To znaczy, że każdy może je zdobyć.

-

Nie, nie każdy. Tylko oficer z prawniczym numerem ewidencyjnym, a nie ma nas tak wielu. Oprócz tego trzeba także czekać minimum czterdzieści 184

osiem godzin na kontrolę materiałów. Prawie zawsze dotyczą one uzbrojenia i ciągle tajnych danych technicznych.

-

Czterdzieści osiem...? - Converse przełykał ślinę, usiłując liczyć go dziny od ujawnienia swego nazwiska w chwili wyjazdu z Paryża. - Jest jeszcze czas! - zawołał w napięciu. - Jeśli możesz mi pomóc, mamy jeszcze czas!

Gdyby ci się udało, powiem ci wszystko co do joty, bo będziesz na to zasługiwał!

-

O co ci właściwie chodzi?

Joel obrócił się bez celu, kręcąc głową.

-

To zabawne. To samo powiedziałem Avery'emu: "O co ci właściwie chodzi, Avery?" Przepraszam, miał na imię Pres. - Converse spojrział z powrotem na oficera posiadającego tajemniczy przywilej,

zwany prawniczym numerem ewidencyjnym. - Posłuchaj mnie uważnie. Kilka minut temu zdarzyło się nagle coś, do czego chcieli nie dopuścić zabójcy twojego szwagra. Jutro o czwartej po południu spotkam się z ludźmi zamierzającymi rozpuścić przez moc na niespotykaną skalę, obalić rządy kilku krajów i zająć ich miejsce, po czym władać światem wedle własnej woli. Chcą utworzyć coś w rodzaju najwyższej rady złożonej z fanatyków o szczególnej hierarchii wartości, gotowi bez mrugnięcia okiem posłać innych na śmierć. Spotkam się z nimi twarzą w twarz! Będę z nimi rozmawiał, słuchał ich słów! Przyznaję, czuję się jak nowicjusz wśród tych sędziów, które chętnie rozszarpałyby człowieka na strzępy, ale mam pewien atut: jestem cholernie dobrym prawnikiem i dowiem się od nich wielu rzeczy, a oni nawet się nie zorientują. Może wystarczy, aby zbudować kilka oskarżeń, które ich zniszczą. Odrzuciłem twój termin i nadal go odrzucam, ale nie wydaje się już taki zwariowany. Na pewno nie dwa dni, ale może mniej niż dziesięć! Widzisz, myślałem, że będę musiał polecieć do Tel Awiwu i Johannesburga. Chciałem ich zaniepokoić, przestraszyć. Teraz nie muszę tego robić! Przyjeżdżają do mnie, bo już się przestraszyli! Nie wiedzą, co myśleć, a to znaczy, że wpadli w panikę. - Spocony Converse umilkł i dodał: - Sam wiesz najlepiej, ile dowodów potrafi wyciągnąć dobry adwokat od przestraszonego świadka.

-

Przyjmuję pańskie argumenty, mecenasie - odparł Fitzpatrick nie bez podziwu. - Przekonałeś mnie. A teraz powiedz mi, jak mogę ci pomóc.

-

Chcę uchodzić za jednego z nich! Mogę się wytłumaczyć z całej swojej biografii (nie wszystko jest tam świetlane, bo poszedłem na wiele kompromisów), ale nie ze stenogramu tej rozmowy!... Nie rozumiesz?! To właśnie pojął

Pres! Pojmuję to teraz. Znał mnie prawie dwadzieścia pięć lat temu i jak sobie przypominam, byliśmy cholernie dobrymi przyjaciółmi. Liczył na to, że nie pienień się w głębi duszy, cokolwiek się później zdarzyło. Gimnazjaliści są już dość dobrze ukształtowani. Prawdziwe zmiany przychodzą później, znacznie później, gdy godzimy się z rzeczywistością lub buntujemy się przeciw niej, Myślimy o stanie swoich portfeli, płacimy za swoje przekonania, rozwijamy zdolności, bronimy sukcesu albo tłumaczymy się z klęski. Stenogram potwierdził

185

podejrzenia Hallidaya, przynajmniej na tyle, że postanowił się ze mną spotkać, porozmawiać, a w końcu namówić do współpracy. Tyle że w końcu osiągnął to, umierając na moich rękach. Później nie mogłem się już wycofać.

Connal Fitzpatrick wyszedł w milczeniu na balkon. Pochylił się i chwycił dłońmi balustradę. Converse obserwował go. Oficer wyprostował się wreszcie i spojrzał

na zegarek. Odwrócił się w stronę Joela.

-

W San Diego jest teraz kwadrans po dwunastej. Nikt z biura prawnego nie idzie na lunch przed pierwszą, a bar Coronado jest o tej porze prawie pusty.

-

Możesz to załatwić?

-

Spróbuję - odparł oficer marynarki, wchodząc do pokoju i idąc w stronę telefonu. - Do licha, nie, mogę nie tylko spróbować, mogę wydać rozkaz. Po to są w końcu stopnie wojskowe.

Pierwsze pięć minut okazało się dla Joela piekielną torturą. Zamawianie rozmów międzynarodowych zajmuje zawsze trochę czasu, ale wielojęzyczny Fitzpatrick zdołał w końcu uzyskać połączenie, mówiąc po niemiecku i powtarzając często i z naciskiem zwrot dringende Not.

-

Z porucznikiem Davidem Remingtonem, Biuro Prawne SAND PAC. To sprawa alarmowa, kapralu. Dzwoni komandor Fitzpatrick. Gdyby linia była zajęta, proszę przerwać połączenie. - Connal zakrył słuchawkę i zwrócił się do Converse'a: - Jeśli otworzysz moją walizkę, znajdziesz w środku butelkę whisky.

-

Otworzę pańską walizkę, panie komandorze.

-

Remington?... Cześć, David, mówi Connal... Tak, bardzo dziękuję, powiem Meagen... Nie, nie jestem w San Francisco, nie dzwoń tam do mnie.

Ale musisz coś załatwić, bo sam nie zdążyłem tego zrobić. Na początek, to alarm klasy cztery-zero. Powiem ci wszystko, jak wrócę, ale najpierw to załatw. Masz ołówek?... W naszym archiwum są akta byłego jeńca wojennego, porucznika Joela Converse'a. Siły powietrzne marynarki, pilot przydzielony do lotniskowca, wojna w Wietnamie. Zwolniono go ze służby w latach sześćdziesiątych... - Fitzpatrick spojrział na Converse'a, który uniósł prawą rękę i wyprostował trzy palce lewej. - Dokładnie w 1968... - Joel zrobił krok do przodu, nadal trzymając uniesione palce prawej ręki i wystawiając tylko palec wskazujący lewej. - W czerwcu 1968 - dodał oficer, kiwając głową. - Zwolniono go ze służby w naszym rodzinnym mieście, San Diego. Zanotowałeś?

Przeczytaj mi wszystko, Davidzie.

Connal słuchał, kiwając od czasu do czasu głową.

-

C-O-N-V-E-R-S-E, zgadza się... Czerwiec sześćdziesiątego ósmego.

pilot marynarki wojennej, Wietnam, sekcja jeńców wojennych, zwolnienie w San Diego. W porządku. Teraz powiem ci, o co chodzi. Akta Converse a mają flagę odnoszącą się do jego zeznań przed komisją zwalniającą ze służby-Nie ma to związku z uzbrojeniem ani danymi technicznymi... Posłuchaj uważ nie, Davidzie. Spodziewam się, że wpłynął wniosek opatrzony prawniczym numerem ewidencyjnym, prosba o udostępnienie stenogramu jego zeznań przed 186

komisją. W żadnych okolicznościach nie wolno do tego dopuścić. Flaga pozostaje i bez mojego pozwolenia nikt nie ma prawa jej usuwać. Jeśli złożono taki wniosek, prawdopodobnie nie minął jeszcze czterdziestoosmiodzinny okres karencji. Nie wypuszczaj tego stenogramu z rąk, rozumiesz?

Fitzpatrick znów zaczął słuchać, lecz tym razem pokręcił przecząco głową.

- Nie, w żadnym wypadku. Sekretarz stanu, obrony i marynarki mogą złożyć wspólny wniosek na papierze urzędowym Białego Domu, nic mnie to nie obchodzi. Odpowiedź

brzmi: nie. Gdyby ktokolwiek to kwestionował, powiedz, że skorzystałem ze swoich uprawnień jako szef Biura Prawnego SAND PAC. W regulaminie jest jakiś cholerny paragraf mówiący, że szef biura ma prawo utajnienia materiałów związanych z bezpieczeństwem odcinka. Nie pamiętam terminu, siedemdziesiąt dwie godziny, pięć dni czy coś w tym rodzaju, ale znajdź ten paragraf. Możesz go potrzebować.

Connal znów zaczął słuchać, zmarszczył brwi i spojrzał niepewnie na Jo -

ela.

-

Gdzie możesz mnie znaleźć? - odezwał się powoli, a Converse poczuł

kolejne ukłucie w piersi. Oficer uspokoił się nagle. - Cofam to, co powiedziałem. Zadzwoń do Meagen w San Francisco. Jeśli mnie nie zastaniesz, będzie wiedziała, gdzie mnie szukać... Jeszcze raz dziękuję, Davidzie. Rzuć wszystko i załatw tę sprawę, dobrze? Dzięki... Powtórzę Meg. - Fitzpatrick odłożył

słuchawkę i westchnął z ulgą. - Załatwione - rzekł, wyciągając się na fotelu i przesuując ręką po zmierzwionej jasnorudej czuprynie. - Zatelefonuję do Meagen, podam jej numer pensjonatu i każę powiedzieć Remingtonowi, że wybrałem się na wycieczkę w góry Sonoma, jeśli do niej zadzwoni. Pres miał

tam rancho.

-

Podaj jej telefon, ale nie mów nic więcej - rzekł Joel.

-

Nie martw się, i tak ma już za dużo na swojej głowie. - Oficer zmarszczył brwi i spojrzał na Converse'a. - Jeśli dobrze policzyłeś godziny, zyskaliśmy trochę czasu.

-

Policzyłem dobrze. A porucznik Remington? Czy jest w porządku? Czy nie pozwoli nikomu odwołać twojego rozkazu?

-

Nie sugeruj się moim urzędowym tonem - odparł Connal. - David nie daje sobą pomiatać. Ma opinię uparciucha i skrupulanta. Właśnie dlatego wy brałem jego, a nie któregoś z czterech pozostałych prawników bazy. Znajdzie ten paragraf i podetknie go pod nos każdemu generałowi, który spróbuje odwołać mój rozkaz... Lubię Remingtona, jest bardzo użyteczny. Ludzie strasz -

nie się go boją.

- Wszyscy dobieramy sobie takich współpracowników. Nazywa się to sposobem na złego psa.

- David nadaje się do tego. Ma dobrego nosa. - Fitzpatrick wyprostował się nagle po wojskowemu. - Sądziłem, że przygotujecie whisky, poruczniku?

- Tak jest, panie komandorze! - wypalił Converse i ruszył w stronę walizki.

187

-

Jeśli dobrze pamiętam, kiedy napełnicie kieliszki, opowiecie mi histo-

rie, którą bardzo chciałbym usłyszeć?

-

Ta-jest! - zawołał Joel, podnosząc walizkę z podłogi i stawiając ją na krześle. - Jeśli pozwoli mi pan coś zasugerować, panie komandorze - ciągnął

- wydaje mi się, że pora na kolację. Jestem pewien, że pan komandor potrze -

buje pokrzepienia po ciężkim dniu za kołem.

-

Świetny pomysł, poruczniku. Zatelefonuję do Empfangu.

-

Czy wolno mi przypomnieć, że najpierw powinien pan zadzwonić do swojej siostry?

-

O Boże, zapomniałem!...

Chaim Abrahms szedł mrocznymi ulicami Tel Awiwu. Postawny i muskularny, miał na sobie swój zwykły strój safari, wysokie buty i beret na prawie łysej czaszce.

Beret stanowił jedyne ustępstwo na rzecz zachowania tajemnicy, gdyż Abrahms lubił, gdy go poznawano, i przyjmował pełne uwielbienia okrzyki z udawaną pokorą. W ciągu dnia, gdy chodził z gołągłową, gdy wszyscy wpatrywali się w jego słynny strój safari i słuchali ciężkiego tupotu jego buciorów, odpowiadał

pozdrawiającym skinieniem głowy, świdrując ich oczyma z wyrazem wdzięczności na twarzy.

Czy znajdował się w Tel Awiwie, Jerozolimie, Paryżu czy Nowym Jorku, pozdrawiano go zawsze sloganem: "Przede wszystkim jestem Żydem!"

Powstał on wiele lat temu, gdy Abrahms, młody terrorysta z organizacji Irgun, został zaocznie skazany na śmierć przez władze brytyjskie za wymordowanie wioski palestyńskiej i wystawienie zwłok mieszkańców na pokaz w imię Nakama! Stworzył

wówczas hasło, które stało się znane na całym świecie.

- Przede wszystkim jestem Żydem, synem Abrahama! Reszta to tylko dalszy ciąg i popłyną rzeki krwi, jeśli dzieci Abrahama nie odzyskają swojego dziedzictwa!

W 1949 roku Brytyjczycy, nie chcąc stworzyć kolejnego męczennika, ułaskawili go, a Abrahms wstąpił do kibucu. Jednakże wojowniczy Sabra nie zdołał wytrzymać w niewielkim osiedlu wiejskim. Trzy kolejne wojny odzwyczaiły go od gospodarowania na roli i zmieniły w krwiożerczą bestię. Rozwinęły także jego talent dowódczy, który kształtował się w okresie wojny partyzanckiej, gdy stosowano taktykę nagłych ataków z zaskoczenia, godząc się z przewagą liczebną i ogniową nieprzyjaciela, lecz wierząc w ostateczne zwycięstwo. Abrahms zastosował później strategię i filozofię owego wczesnego okresu. w trakcie ciągłej rozbudowy armii, floty i sił powietrznych potężnego państwa Izrael. Chaim Abrahms stał się czcicielem Marsa i poza prorokami Starego Testamentu istniał dlań tylko bóg wojny, stanowiący sens jego życia. Od Ramat Aviv do Har

Hazeytim, od Metullah do Masady na pustyni rozbrzmiewał okrzyk Nakama! - zemsta na wrogach dzieci Abrahama!

188

Gdyby tylko do Izraela nie napływały dziesiątki tysięcy Polaków, Czechów,

, Węgrów, Rumunów, dumnych Niemców i zwariowanych Rosjan. Przybyli jednak, co stwarzało problemy. Frakcje ścierały się z frakcjami, kultury z kulturami, każdy krzyczał głośniejsz od poprzednich, a wszyscy usiłowali dowieść, że mają większe niż inni prawo do nazwy Żyd. Czysty nonsens! Przyjechali do Izraela, bo musieli: ulegli wrogom Abrahama, pozwolili (tak, pozwolili!) na wymordowanie milionów Żydów, zamiast powstać i sami wymordować miliony wrogów. Cóż, przekonali się na własnej skórze, co dała im ich kultura i studia zawziętości Talmudu. Dlatego przybyli do Ziemi Obiecanej - swojej Ziemi Obiecanej, jak to wszem wobec głosili. Ale nie należała ona do nich. Gdzie byli, gdy wydzierano ją górom i pustyniom mocnymi rękoma zbrojnymi w prymitywne narzędzia, narzędzia biblijne?

Gdzie byli, gdy znieawidzeni Arabowie i pogardzani Anglicy pierwszy raz odczuli na własnej skórze gniew urodzonego tutaj Żyda? Tkwili wówczas w stolicach Europy, w swoich bankach i eleganckich salonach, robiąc pieniądze i popijając drogie wina z kryształowych kieliszków. Nie, przyjechali do Izraela, bo musieli: znaleźli się w Ziemi Obiecanej plemienia Sabra.

Przywieźli ze sobą pieniądze, zniechęcałość, zawzięte dysputy, władzę i wszystkie grzechy świata. Ale to plemię Sabra nauczyło ich walczyć! I właśnie członek plemienia Sabra miał wprowadzić Izrael w orbitę nowego potężnego sojuszu.

Abrahms doszedł do skrzyżowania ulic Ibn Guirol i Arlosoroff. W powietrzu unosiła się mgła, a latarnie uliczne otaczała srebrzysta poświata. Tym lepiej, nie powinien zostać zauważony. Miał do przejścia jeszcze jedną przecznicę.

Zmierzał do skromnego bloku na Jabotinsky, gdzie znajdowało się niczym niewyróżniające się mieszkanie wynajmowane przez człowieka, który wydawał się zaledwie drobnym urzędnikiem. Tylko nieliczni zdawali sobie sprawę, że to wybitny specjalista posługujący się skomplikowanym sprzętem komputerowym połączonym z większością krajów i kierujący działalnością operacyjną Mosadu, wywiadu izraelskiego uważanego często za najlepszy na świecie. On także pochodził z plemienia Sabra. Był jednym ze spiskowców.

Abrahms wypowiedział cicho swoje nazwisko do domofonu nad skrzynką na listy w holu, usłyszał brzęczenie zamka ciężkich drzwi i wszedł do środka, wdrapał się po schodach na drugie piętro, gdzie znajdowało się mieszkanie.

-

Wina, Chaim?

-

Whisky - padła lakoniczna odpowiedź.

-

Zawsze to samo pytanie i zawsze ta sama odpowiedź - odezwał się szef Zwiadu. - Pytam: "Wina, Chaim?", a ty odpowiadasz: "Whisky". Piłbyś whisky nawet w seder, gdyby mogło ci to ująć płazem.

-

Mogę to robić i robię.

. Abrahms usiadł na wytartym skórzanym fotelu i rozejrzał się po prostym, porządnym pokoju wypełnionym po brzegi książkami, jak zwykle zastanawiał się, dlaczego człowiek tak wpływowy żyje w takich skromnych warunkach.

189

Krążyły plotki, że oficer Mosadu nie lubi gości, do których przyjmowania mógłby być zmuszony w większym, bardziej atrakcyjnym apartamencie.

-

Twoje chrząknięcia i pokasywania podczas rozmowy przez telefon su gerowały, że masz to, czego mi potrzeba.

-

Owszem, mam - odparł szef wywiadu, wręczając gościowi szklaneczkę pierwszorzędnej szkockiej. - Zdobyłem te informacje, ale sądzę, że nie przy-

padną ci do smaku.

-

Dlaczego?- spytał Abrahms. Popijał whisky, wpatrując się bacznie w go-

spodarza, który zajął miejsce naprzeciwko.

-

Głównie dlatego, że sprawa jest złożona i subtelna. Ty, Chaimie Abraham -

nie, nie jesteś człowiekiem subtelnym, choć musisz mi wybaczyć ową mało subtelną diagnozę. Utrzymujesz, że Converse to wróg, potencjalna wtyczka, a ja nie zdobyłem żadnych materiałów potwierdzających twoje wnioski. Ama tor angażujący się w tego rodzaju operację musi mieć głęboki motyw osobisty i odczuwać gwałtowne pragnienie zniszczenia kogoś lub czegoś... Cóż, od kryłem taki motyw. Jest wróg, którego Converse gwałtownie nienawidzi, ale nie pasuje on do twoich podejrzeń. Nawiasem mówiąc, moje informacje są zupełnie wiarygodne. Pochodzą z Quanq Dinh...

-

Co to za cholerstwo? - przerwał generał.

-

Wyspecjalizowany oddział pierwotnie północnowietnamskiego, a obec nie wietnamskiego wywiadu.

-

Macie tam źródła?!

-

Od lat dostarczamy im różnych materiałów, nic szczególnie ważnego, ale wystarczająco dużo, by zdobyć kilku informatorów. Musieliśmy się dowie dzieć pewnych rzeczy i poznać niektóre rodzaje broni, bo mogły być użyte przeciwko nam.

-

Converse był w Wietnamie Północnym?

-

Przez kilka lat jako jeniec wojenny. Mają tam grubą teczkę na jego te mat. Na początku chciano go wykorzystać do celów propagandowych, by wy stępował w radiu i telewizji, apelując do swojego brutalnego rządu o wycofa nie się z Wietnamu i zaprzestanie bombardowań; normalne idiotyzmy. Miał

poprawną dykcję, dobrze się prezentował i wyglądał na rodowitego Ameryka nina. Na początku sfilmowano go jako pilota mordercę ocalonego przed roz wścieczonym tłumem przez szlachetnych żołnierzy; później robiono mu zdję cia w trakcie posiłków i ćwiczeń fizycznych; jak widzisz, przygotowywano go do gwałtownej zmiany w sposobie traktowania. Wietnamczycy uznali go za miękkiego, uprzywilejowanego maminsynka, którego można łatwo złamać i zmusić do wykonywania rozkazów w zamian za poprawę warunków po okresie brutalnych tortur. Jednakże okazało się, że pod miękką otoczką tkwi rdzeń z twardego metalu, a co najdziwniejsze, wraz z upływem miesięcy stawał się on coraz twardszy, aż strażnicy zdali sobie sprawę, że stworzyli ("stworzył"

to ich własne słowo) wściekłego psa wykutego ze stali.

-

Wściekłego psa? Czy to także ich określenie?

190

-Nie, nazwali go krnąbrnym więźniem, co ma w sobie nawet pewien niezamierzony komizm. Najważniejsze, że zdali sobie sprawę, iż sami go stworzyli, im ostrzej go traktowano, tym niebezpieczniejszy i odporniejszy się stawał.

- Dlaczego nie? - spytał ostro Abrahms. - Wściekł się na nich. Pustynny wąż atakuje, jak się go uderzy.

-

Zapewniam cię, Chaimie, nie jest to normalna ludzka reakcja w takich okolicznościach. Więzień może zwariować i zaatakować z wściekłości, może zamknąć się w sobie i dojść prawie do stanu katatonii, może się załamać wśród płaczu, godząc się na wszystko w zamian za najdrobniejszą ulgę. Converse reagował w sposób przemyślany i przebiegły, walcząc o przetrwanie i czerpiąc siły ze swoich zasobów wewnętrznych. Poprowadził dwie ucieczki. Pierwsza trwała trzy dni, druga pięć. Obie grupy zostały schwytane. Jako przywódcę umieszczono go w bambusowej klatce w nurcie Mekongu, gdzie wynalazł sposób zabijania szczerów wodnych, chwytając je od dołu niczym rekin. Później wrzucono go do sześciometrowego dołu w ziemi z drutem kolczastym rozpiętym na górze. Wydostał się stamtąd nocą podczas gwałtownej burzy, odgiął

druty i uciekł. Ruszył na południe i przeszedł ponad sto kilometrów dżun gli, aż dotarł w końcu do linii amerykańskich. Nie było to łatwe zadanie, zapewniam cię. Wietnamczycy stworzyli wściekłego maniaka, który wygrał swoją prywatną wojnę.

-

Dlaczego go po prostu nie zabili?

-

Sam się nad tym zastanawiałem - odpowiedział szef wywiadu - i zatelefonowałem nawet do swojego informatora w Hanoi. Powiedział coś dziwnego, lecz głębokiego. Stwierdził, że oczywiście go tam nie było, ale podejrzewa, że oszczędzono go z szacunku.

-

Szacunku? Do krnąbrnego więźnia?!

-

W obozach jenieckich zdarzają się dziwne rzeczy, Chaimie. Na przebieg gry pomiędzy więźniami i strażnikami wpływa wiele czynników. Agresja, upór, odwaga, lęk, a w końcu ciekawość, zwłaszcza gdy uczestnicy pochodzą z tak różnych kultur jak Zachód i Wschód. Niekiedy powstają niemożliwe więzy, często stanowiące rezultat znudzenia samą grą. Nie osłabia to niechęci do innej rasy, ale pojawia się subtelna świadomość, że obie strony nie prowa-

dzą gry z własnej woli. Głębsza analiza dowodzi, że ową banalną prawdę pierwsi dostrzegają strażnicy. Więźniowie mają obsesję na punkcie wolności i przeżycia, gdy tymczasem ci ostatni zaczynają kwestionować swoją władzę nad życiem i śmiercią innych. Zaczynają się zastanawiać, jak by się czuli na ich miejscu. Wszystko to stanowi część tak zwanego syndromu sztokholmskiego, znanego w psychiatrii.

- Co, na Boga, chcesz właściwie powiedzieć? Mówisz jak jeden z tych nudziarzy z Knesetu, którzy czytają jakieś idiotyczne sprawozdania. Trochę tego, trochę tamtego, i mnóstwo wody!

- Naprawdę nie jesteś subtelny, Chaimie. Usiłuję ci tylko wytłumaczyć, że gdy Converse hodował swoje nienawiści i obsesje, jego strażnicy znudzili 191

się grą i, jak sugeruje nasz informator z Hanoi, oszczędzili go z powodu szacunku, aż w końcu udało mu się zbiec.

Ku zdumieniu Abrahamsa szef wywiadu najwyraźniej nie miał nic więcej do powiedzenia.

-

No i...? - spytał Sabra.

-

Cóż, to wszystko. Oto jego motywacja i wrogowie, ale to także twoi wrogowie, choć oczywiście obaj doszliście do tego różnymi drogami. W ostatnim rachunku chciałbyś zniszczyć w zarodku wszelkie formy buntu i powstrzymać rewolucje w krajach Trzeciego Świata, zwłaszcza rewolucję islamską, gdyż wiesz, że podlegają do nich marksiści, czyli Sowieci, i że stanowią one bezpośrednią groźbę dla Izraela. W końcu stworzyliście swoją organizację właśnie po to, by przeciwdziałać owej światowej groźbie, moim zdaniem słusznie. Nadeszła pora kompleksu wojskowo-przemysłowego. Musi on objąć rządy nad wolnym światem, bo inaczej zapanuje chaos.

Szef wywiadu znów zamilkł, a Chaim Abrahams zerknął na niego, usiłując powstrzymać się od krzyku. -No i...?

-

Nie pojmujesz? Converse to jeden z was. Wszystko to potwierdza. Po siada silną motywację i zna wroga od najgorszej strony. To ceniony adwokat zarabiający mnóstwo pieniędzy w swojej konserwatywnej kancelarii, a jego klientami są najbogatsze spółki i koncerny. Może tylko skorzystać

na waszej działalności. Problem stanowią jego niekonwencjonalne metody, a ja nie potrafię ich wyjaśnić, choć zapewne nie są wcale takie niekonwencjonalne w jego sferze działania. Plotki mogą doprowadzić do krachu giełdowego, a tajemnica i podstęp to uznane metody w świecie biznesu. Tak czy inaczej, nie chce was zniszczyć, tylko się do was przyłączyć.

Sabra postawił szklaneczkę na podłodze, wstał z fotela i zaczął chodzić w milczeniu po pokoju ze spuszczoną głową i rękoma założonymi do tyłu. Wreszcie zatrzymał się i spojrzał na szefa wywiadu.

-

Przypuśćmy, po prostu przypuśćmy, że wszechpotężny Mosad się po mylił, że jest coś, co przeoczyliście.

-

Trudno w to uwierzyć.

-

Ale to możliwe!

-

Nie w świetle zebranych przez nas informacji. Co masz na myśli?

-

Swojego nosa, ot, co!

Funkcjonariusz Mosadu patrzył uważnie na Abrahamsa, jakby oglądał jego twarz z innego punktu widzenia.

-

Jest jeszcze tylko jedna możliwość, Chaimie. Gdyby wbrew wszystkim zebranych przez nas materiałom Converse okazał się kimś innym, niż powie działem, jest wówczas agentem swojego rządu.

-

Właśnie to podpowiada mi mój nos - rzekł cicho Sabra.

Tym razem długo milczał szef wywiadu. Odetchnął głęboko i odezwał się: 192

- Szanuję twój nos, stary przyjacielu. Nie wszystkie twoje postęпки, ale na pewno twój nos. Co myślą inni?

- Że kłamie i stanowi parawan dla bliżej nieokreślonych ludzi, którzy posługują się nim jako zwiadowcą, pieszym patrolem, jak to określono w Pało Alto.

Szef Mosadu wpatrywał się w Abrahmsa niewidzącym wzrokiem, jakby oglądał

abstrakcyjne, skomplikowane wzory, poplątane układy zrozumiałe tylko dla wybrańców. Podpowiadało mu je doświadczenie całego życia spędzonego na analizowaniu tego, co widzialne i niewidzialne, zwalczaniu prawdziwych i rzekomych wrogów, parowaniu ciosów sztyletu w najgłębszym mroku.

-

To możliwe - wyszeptał, jakby odpowiadając na niezadane pytanie, słyszane tylko przez siebie samego. - Niewyobrażalne, lecz możliwe.

-

Co takiego? Że stoi za nim Waszyngton?

-Tak.

-

Dlaczego? Sam to przed chwilą wykluczyłeś.

-

Osobiście w to nie wierzę, lecz jest to jedyna inna możliwość obdarzona pewnym szczątkowym prawdopodobieństwem. Krótko mówiąc, Converse po siada zbyt wiele informacji.

- I co z tego?

-

Nie Waszyngton w zwykłym znaczeniu, tylko jakaś część administracji amerykańskiej, grupa, do której dotarły pewne plotki, ale nic konkretnego.

Słyszeli o istnieniu waszej organizacji i postanowili do niej przeniknąć, żeby ją zdemaskować. Aby tego dokonać, wybrali człowieka o właściwym życiorysie, a nawet zawodzie. Może nawet wierzyć we wszystko, co mówi.

Sabra słuchał z uwagą, choć na jego twarzy malowało się zniecierpliwienie.

-

To dla mnie zbyt skomplikowane - uciął szorstko.

-

Najpierw wypróbujcie moje podejście. Przyjmijcie go z otwartymi ramionami. Może się okazać autentykiem. Niech ofiaruje wam coś konkretnego, wymuście to na nim. Ale jeśli nie będzie w stanie tego zrobić...

-

Co wtedy?

-

Wtedy masz rację. Odizolujcie go od jego mocodawców, aż stanie się pariasem, człowiekiem ściganym za tak potworne zbrodnie, że wszyscy uzna ją go za wariata.

-

Czemu go po prostu nie zabić?

-

Naturalnie, ale dopiero wówczas, gdy zyska opinię takiego szaleńca, że nikt nie wystąpi w jego obronie. Zdobędziecie w ten sposób potrzebny czas.

Kiedy zaczyna się ostatnia faza Akwitanii? Za trzy, cztery tygodnie?

-Tak.

Szef wywiadu wstał z fotela i stał zamyślony naprzeciwko generała.

-

Powtarzam, najpierw przyjmijcie go z otwartymi ramionami i przekońcie się, czy prawdą jest to, co mówiłem. Ale jeśli twój nos nadal będzie ci Podpowiadał, że to prowokator nasłany przez Waszyngton, wtedy zmontujcie 193

coś przeciwko niemu i rzućcie go wilkom. Stwórzcie pariasa, jak Wietnamczycy stworzyli wściekłego psa. W końcu zabijcie go szybko, nim zdoła doń dotrzeć ktoś inny.

-

Czy to rada Sabry z Mosadu?

-

Najlepsza, jakiej potrafię udzielić.

Z sąsiadujących ze sobą szklanych drzwi w gmachu Pentagonu wyszedł młody kapitan wojsk lądowych i nieco starszy cywil. Obrzucili się przelotnym spojrzeniem bez wyrazu, zeszli osobno po schodach i ruszyli w lewo betonową ścieżką prowadzącą do olbrzymiego parkingu. Wojskowy wyprzedzał cywila trzy kroki. Doszedłszy do ogromnego asfaltowego pola, skręcili w stronę swoich aut. Gdyby w ciągu ostatnich pięćdziesięciu sekund poddawano ich obserwacji, nic nie wskazywałoby na to, że się znają.

Zielony buick skręcił w prawo, do tunelu wiodącego do podziemnego parkingu hotelowego. Na końcu tunelu kierowca pokazał swój klucz portierowi, który podniósł żółty szlaban i machnął ręką. W trzecim rzędzie aut znajdowało się wolne miejsce. Kapitan zaparkował tam buicka i wysiadł.

Przeszedł przez obrotowe drzwi i ruszył w stronę rzędu wind w dolnym foyer.

Rozsunęły się drzwi drugiej. W środku stały dwie pary, które zjechały przez pomyłkę do podziemi. Śmiały się, a jeden z mężczyzn naciskał raz po raz guzik z napisem "parter". Z kolei oficer nacisnął guzik z numerem czternaście. W minutę później wyszedł na korytarz i podążył w stronę schodów. Musiał zejść na jedenaste piętro.

Tunelem zjechała błękitna toyota combi. Kierowca wyciągnął rękę z kluczem z widocznym numerem pokoju. Znalazł wolne miejsce w szóstym rzędzie samochodów i ostrożnie zaparkował swój niewielki wóz.

Cywil wysiadł i spojrzął na zegarek. Z zadowoloną miną ruszył w stronę obrotowych drzwi i wind. Druga okazała się pusta. Ogarnęła go pokusa naciśnięcia guzika z numerem jedenaście. Był zmęczony i nie miał ochoty na dodatkowy spacer.

Jednakże podczas jazdy na górę mogli przybyć nowi pasażerowie, toteż zgodnie z instrukcją nacisnął guzik z numerem dziewięć.

Cywil stanął przed drzwiami pokoju, zapukał, odczekał kilkanaście sekund i zastukał jeszcze dwa razy. Niebawem drzwi uchyliły się i ukazał się kapitan wojsk lądowych. Widać było za nim trzeciego mężczyznę, również noszącego mundur, którego kolor i dystynkcje wskazywały na podporucznika marynarki wojennej. Stał

przy biurku koło telefonu.

194

- Cieszę się, że się nie spóźniłeś - odezwał się kapitan. - Trudno dziś przejechać przez miasto. Za kilka minut spodziewamy się telefonu. Cywil wszedł

do pokoju i skinął głową oficerowi marynarki.

-

Czego się dowiedzieliście o Fitzpatricku? - spytał.

-

Jest tam, gdzie nie powinien - odparł porucznik.

-

Możecie ściągnąć go z powrotem?

-

Pracuję nad tym, ale nie wiem, od czego zacząć. Czuję się trochę jak karzełek wspinający się na olbrzymią górę.

-

Czy nie można tego powiedzieć o nas wszystkich? - spytał kapitan.

-

Kto by pomyślał, że Halliday zwróci się do Fitzpatricka? - odezwał się z bezsilną złością oficer marynarki. - Skoro zamierzał go w to wciągnąć, dla czego nie zrobił tego na samym początku? Czemu nie wspomniał mu o nas?

-

Potrafię odpowiedzieć na dwa ostatnie pytania - odparł kapitan. - Nie chciał go narażać na nieprzyjemności ze strony Pentagonu. Gdybyśmy prze grali, szwagier pozostałby czysty.

-

A ja mogę odpowiedzieć na pierwsze - odezwał się cywil. - Halliday zwrócił się do Fitzpatricka, bo nam nie ufał. Genewa dowodzi, że miał rację.

-

Dlaczego? - zdziwił się kapitan. - Przecież nie mogliśmy niczemu za pobic.

-

Owszem - przytaknął cywil. - Ani niczemu zapobiec, ani w żaden spo sób zareagować. A taka reakcja to część naszej niepisanej umowy zawartej z Hallidayem. Nie stać nas na jej wypełnienie.

Zadzwonił telefon. Słuchawkę podniósł porucznik.

-

To Mikonos - powiedział.

Część 2

Rozdział 12

Connal Fitzpatrick siedział naprzeciwko Joela przy stole w jadalni, dopijając kawę. Kolacja i opowieść były skończone, a Converse odpowiedział na wszystkie pytania, bo dał słowo i potrzebował niezawodnego sojusznika.

-

Poznałem życiorysy kilku ludzi, ale tak naprawdę wiem niewiele więcej niż przedtem - stwierdził Connal. - Może zmieni się to, gdy zobaczę nazwiska pracowników Pentagonu. Twierdzisz, że nie masz pojęcia, kto je dostarczył?

-

Nie. Po prostu je dostałem. Beale utrzymywał, że część tych ludzi jest prawdopodobnie czysta, ale niektórzy są związani z Delavane'em.

-

Mimo to ktoś musiał ich wskazać. Nie umieszczono ich na liście bez powodu.

-

Beale nazwał ich "osobami podejmującymi decyzje w sferze zbrojeń".

-

Muszę zobaczyć te nazwiska. Pracowałem z tymi ludźmi.

-Ty?!

-

Tak. Niezbyt często, ale wystarczająco dużo, by wiedzieć, kto jest kto.

-

Dlaczego właśnie ty?

-

Tłumaczyłem na angielski różne skomplikowane teksty prawnicze. Chyba ci wspomniałem, że znam...

-

Wspomniałeś - przerwał Joel.

-

O cholera! - zaklął Fitzpatrick, mnąc serwetkę.

-

Co się stało?

-

Pres wiedział, że współpracuję z ludźmi od techniki i uzbrojenia! Na wet mnie o nich pytał. Kogo spotykam, kogo lubię, komu ufam... Boże!

Dlaczego nie zwrócił się do mnie?! Byłem najlogiczniejszym wyborem spośród wszystkich jego znajomych! To moja specjalność i byliśmy najbliższy -

mi Przyjaciółmi.

- Właśnie dlatego się do ciebie nie zwrócił.

199

-

Ty cholerny idioto! - Connal uniósł oczy do góry. - Mam nadzieję, że mnie słyszysz, Pres. Może jeszcze uda ci się zobaczyć, jak Connal wygrywa wielkie regaty!

-

Zdaje się, iż naprawdę wierzysz, że cię słyszy.

Fitzpatrick spojrzał nad stołem na Joela.

-

Owszem, wierzę, mecenasie. Doskonale wiem, dlaczego powinienem nie wierzyć (raz przy kieliszku przekonywał mnie o tym sam Pres), a mimo to wierzę. Kiedyś odpowiedziałem mu zdaniem jednego z jego zapomnianych protestanckich przodków.

-

Jakim?

-

Kto szczerze wątpi, ten ma w sobie więcej wiary niż wszystkie archa nioły Boga.

-

Bardzo ładnie. Nigdy tego nie słyszałem.

-

Może trochę zniekształciłem cytat... Muszę zobaczyć te nazwiska!

-

A ja muszę odzyskać aktówkę, ale nie mogę po nią pojechać.

-

Wobec tego ja to zrobię - rzekł Connal. - Sądysz, że Leifhelm napraw dę potrafi powstrzymać Interpol?

-

Żywię nieco mieszane uczucia na ten temat. Mam nadzieję, że tak, bo odzyskam wówczas swobodę ruchów, ale jeśli tego dokona, śmiertelnie mnie przerazi.

-

Myślę to samo - zgodził się Connal, wstając z krzesła. - Zadzwońię do recepcji i zamówię taksówkę. Daj mi klucz do skrytki.

Converse sięgnął do kieszeni i wyciągnął niewielki zaokrąglony klucz z wytłoczonym numerem.

-

Leifhelm cię widział. Może cię śledzić jak poprzednio.

-

Będę znacznie ostrożniejszy. Jeśli zobaczę dwa razy ten sam samochód, pojedę do Bierkeller. Znam tu parę takich miejsc.

Joel spojrzął na zegarek.

-

Jest za dwadzieścia dziesiąta. Nie mógłbyś zajrzeć najpierw na uniwersytet?

-

Dowling?

-

Chciał, żebym się z kimś spotkał. Przejdź po prostu koło niego (albo nich) i powiedz, że wszystko w porządku. Jestem mu to winien.

-

A jeśli spróbuje mnie zatrzymać?

-

Wyciągnij swoje dokumenty i powiedz, że to alarm czwartego stopnia, ściśle tajne albo coś w tym rodzaju. Możesz użyć dowolnego kretyńskiego zwrotu wojskowego, jaki ci przyjdzie do twojej pełnej pomysłów głowy.

-

Czyżbym wyczuwał w tobie zawodową zazdrość?

-

Nie, po prostu znajomość rzeczy. Wiem, jaki jesteś. Sam taki byłem.

Fitzpatrick kroczył powoli szeroką aleją na południe od ogromnego gmachu uniwersytetu, ongiś wielkiego pałacu potężnych arcybiskupów Kolonii. Park zalewało światło księżyca, odbijając się w niezliczonych rzędach okien 200

powlekając jasnością kamienne ściany majestatycznej budowli. Sierpniowa noc nadawała ozdobnemu parkowi fantasmagoryczną elegancję - drzemiące kolisty klomby wydawały się zupełnie nieświadome swojego piękna. Spokojna uroda nocnego pejzażu tak rozmarzyła Connala, że prawie

zapomniał o swoim zadaniu.

Ocknął się gwałtownie ze snów na jawie, ujrawszy wysokiego, smukłego mężczyznę siedzącego samotnie na ławce z wyciągniętymi przed siebie nogami skrzyżowanymi w kostkach. Spod miękkiego kapelusza wystawały jasne siwawe włosy okalające skronie i spływające na kark. Więc ten Dowling to aktor, pomyślał oficer marynarki, rozbawiony udawanym zgorszeniem Dowlinga na wieść, że o nim nie słyszał. Ale nie słyszał o nim także Converse; najwyraźniej stanowili mniejszość w świecie narkomanów telewizji. Profesor uniwersytetu realizujący marzenia młodości, ryzykant, któremu udało się zwyciężyć przy astronomicznie małych szansach, stanowił wdzięczny temat rozmyślań pomimo smutnych losów ukochanej żony, prześladowanej przez wspomnienia. Ponadto nie należało lekceważyć żołnierza piechoty morskiej, który walczył w krwawym piekle Kwajalein.

Fitzpatrick podszedł do ławki i usiadł. Aktor zerknął na niego i odezwał się jakby nigdy nic:

-

To pan?

-

Przepraszam za wczorajszą noc - rzekł Connal. - Zdaje się, że nie mó wiłem zbyt przekonująco.

-

Brakowało panu pewnego szlif, młody człowieku. Gdzie, u licha, Converse?

-

Jeszcze raz przepraszam. Nie mógł przyjść, ale proszę się nie martwić.

Wszystko w porządku. Sytuacja jest opanowana.

-

Co jest w porządku i co jest opanowane? - spytał zirytowany aktor. -

Chciałem się spotkać z Joelem, a nie z jakimś harcerzykiem.

-

Proszę tak do mnie nie mówić. Jestem komandorem porucznikiem Ma rynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych i szefem biura prawnego dużej bazy morskiej. Pan Converse zgodził się dla nas pracować, co wiąże się dla niego z pewnym ryzykiem osobistym. Sprawa ma charakter ściśle tajny. Proszę się do tego nie wtrącać, panie Dowling. Doceniamy pańską wspaniałomyślność (mówię to w imieniu pana Converse'a i swoim), ale powinien się pan wycofać.

Nawiasem mówiąc, we własnym interesie.

- Co z Interpolem? Joel zabił człowieka.

-

Który usiłował go zamordować - wtrącił prędko Fitzpatrick tonem prawa replikującego świadkowi obciążającemu jego klienta. - Sprawa zostanie Wyjaśniona, a postępowanie umorzone.

- Nieżle dziś to panu wychodzi, komandorze - stwierdził Dowling, promując plecy.

- Znacznie lepiej niż zeszłej nocy, a właściwie dziś rano.

-

Byłem zdenerwowany. Straciłem pana Converse'a z oczu, a musiałem mu Przekazać ważne informacje.

201

Aktor założył nogę na nogę i odchylił się do tyłu, przewieszając ramię przez żebrowane oparcie ławki.

-

Więc Converse i pan bierzecie udział w jakiejś ściśle tajnej operacji?

-

Owszem.

-

Skoro obaj jesteście prawnikami, zapewne dotyczy ona przestępstw mających związek z wojskiem?

-

W najogólniejszym sensie, tak. Obawiam się jednak, że nie wolno mi powiedzieć nic bardziej konkretnego. Pan Converse wspomniał, że chciał go pan z kimś skontaktować.

-

Zgadza się. Zrobiłem kilka przykrych uwag na temat tej osoby, ale mu sę je wycofać. To porządny gość. Nie miał zielonego pojęcia, kim jestem, podobnie jak pan i Converse. Dowiedział się od żony. To człowiek inteligentny, twardy, ale uczciwy.

-

Mam nadzieję, że zdaje pan sobie sprawę, iż w obecnej sytuacji pan Converse nie może spełnić pańskiej prośby.

-

Spełni ją- odparł spokojnie Dowling, wyjmując rękę zza oparcia.

Connal poczuł przypływ paniki. W cieniu za jego plecami coś się poruszyło.

Obrócił gwałtownie głowę i spojrzał do tyłu. Z mrocznego portalu uniwersytetu wynurzyła się postać mężczyzny, który ruszył powoli przez ciemnozielony trawnik... Ramię przerzucone niedbale przez oparcie i równie niedbale podniesione! Obydwa gesty były sygnałami! Pierwszy znaczył "To on", drugi zaś

"Chodź!"

-

Co pan, u licha, zamierza? - spytał szorstko Fitzpatrick.

-

Oblać was obu kubłem zimnej wody - odparł Dowling. - Jeśli moja sławna intuicja mnie nie zawiodła, postąpiłem słusznie. Jeśli zawiodła, rówież postąpiłem słusznie.

-

Co takiego?!

Mężczyzna idący przez trawnik wszedł w światło księżyca. Tęgi, ubrany w ciemny garnitur wizytowy, z twarzą ściągniętą grymasem gniewu i z prostymi siwymi włosami, wyglądał na zamożnego starszego biznesmena, którego coś rozzłościło.

Dowling wstał z ławki.

-

Komandorze, niechaj wolno mi będzie przedstawić pana Waltera Peregrine'a, ambasadora Stanów Zjednoczonych w Republice Federalnej Niemiec Porucznik David Remington przetarł silikonową bibułą okulary w metalowej oprawce, wyrzucił papieraek do kosza i wstał zza biurka. Założył okulary z powrotem, podszedł do lustra przymocowanego do tylnej strony drzwi gabinetu i dokonał oględzin swojej powierzchowności. Przygładził włosy, poprawił krawat i spojrzał na pognieciony kant spodni. Wziąwszy pod uwagę to, że była siedemnasta trzydzieści, że pracował przy biurku od ósmej rano i że spadł mu jeszcze na głowę zwariowany alarm klasy cztery-zero zarządzony przez Fitzpatricka, prezentował się całkiem dobrze. Kontradmirał Hickman nie wy-202

magął zresztą od pracowników biurowych nienagannej schludności. Doskonale zdawał

sobie sprawę, że gdyby traktować zbyt serio przepisy mundurowe to inne mniej ważne punkty regulaminu, większość pracowników uciekłaby czym prędzej z wojska, by objąć lepiej płatne zajęcia w cywilu. Cóż, David Remington nie zamierzał tego robić. W jakiej innej pracy można podróżować do woli po całym świecie, zapewnić żonie i dzieciom przepiękny, komfortowy dom, nie płacić za lekarzy i dentystów, a na dodatek nie przeżywać straszliwych stresów związanych ze wspinaniem się po szczeblach kariery, czy to prowadząc prywatną praktykę, czy to w jakiejś spółce?

Ojciec Remingtona pracował jako radca prawny w jednej z największych firm ubezpieczeniowych w Hartford w stanie Connecticut; w czterdziestym trzecim roku życia nabawił się wrzodu żołądka w czterdziestym ósmym przeżył załamanie nerwowe, w pięćdziesiątym pierwszym miał pierwszy wylew, a w pięćdziesiątym szóstym zmarł na ciężki zawał. Twierdzono wówczas, że był tak znakomitym fachowcem, iż mógłby w końcu objąć funkcję prezesa zarządu swojego towarzystwa.

Ale takie rzeczy mówiono zawsze po śmierci któregoś z pracowników firmy, co zdarzało się stanowczo zbyt często.

David Remington nie zamierzał tak skończyć. O nie! Chciał po prostu zostać jednym z najlepszych prawników w amerykańskiej marynarce wojennej, odsłużyć przepisowe trzydzieści lat, przejść w pięćdziesiątym piątym roku życia w stan spoczynku z wysoką emeryturą, a w rok później zostać dobrze opłacanym konsultantem prawnym. W pięćdziesiątym szóstym roku życia (w takim wieku umarł

jego ojciec) zacznie prowadzić bardzo miłe życie. Należało po prostu wyrobić sobie opinię człowieka, który wie więcej o wojennym i cywilnym prawie morskim niż jakikolwiek inny prawnik w marynarce. Jeśli depcze się przy tym ludziom po odciskach, tym lepiej - może to tylko podbudować jego reputację. David nie troszczył się o popularność, zależało mu tylko na tym, by mieć rację. Nie podejmował nigdy decyzji, dopóki nie był pewien, że jest całkowicie słuszna w świetle prawa. W cywilu konsultantów o takim podejściu wrywano sobie z rąk.

Remington zastanawiał się, dlaczego chce się z nim zobaczyć sam admirał Hickman, zwłaszcza o tej porze, gdy większość urzędników zakończyła już pracę. Zbliżał

się termin sądu wojennego, który mógł się okazać dość kłopotliwy. Na niszczycielu stacjonującym na Filipinach schwytano czarnego oficera, absolwenta Annapolis, który sprzedawał kokainę. Prawdopodobnie chodzi właśnie o to.

Remington przygotował sprawę dla prokuratora, który w głębi serca nie miał

ochoty występować z oskarżeniem; narkotyku było niewiele, inni handlowali na pewno znacznie większymi ilościami i prawdopodobnie byli biali. Nie w tym rzecz, nalegał Remington. Nikogo

innego nie schwytano i nie znaleziono żadnych innych dowodów. Prawo nie interesuje się kolorem skóry.

To samo zamierzał powiedzieć Hickmanowi. Potwierdzi to tylko prawdziwość szyderczego przydomka "uparty kutas", jakim nazywano Remingtona za plecami. Cóż, w wieku pięćdziesięciu sześciu lat "uparty kutas" zostanie 203

członkiem ekskluzywnego klubu, nie płacąc ceny kariery w świecie biznesu w przeciwieństwie do ojca, którego zabiła polityka firmy. Porucznik Remington otworzył drzwi i poszedł szarym korytarzem w stronę windy, by pojechać na piętro, gdzie znajdował się gabinet najwyższego rangą oficera bazy morskiej w San Diego.

-

Siadajcie, Remington - rzekł kontradmirał Brian Hickman, uścisknąw.

szy dłoń wyprężonego porucznika i wskazawszy mu krzesło naprzeciwko biurka. -Nie wiem jak pan, ale ja miałem zupełnie popieprzony dzień, jak to określałem w pana wieku. Czasami myślę, że lepiej by było, gdyby Kongres nie przyznawał marynarce tak cholernie dużo pieniędzy. Wszyscy wpadają w taką euforię, jakby wypalili całą trawkę w Tijuanie. Zapominają, że zanim zaczną się przekupywać firmy budowlane, trzeba jeszcze mieć architektów.

-

Tak jest, panie admirale. Rozumiem, co pan ma na myśli - odparł z szacunkiem Remington, zajmując miejsce na krześle. Hickman stał o kilka kroków na lewo od niego. Wzmianka o Tijuanie i trawce potwierdziła podejrzenia Remingtona: admirał zamierzał go przekonać, że skoro wszyscy i tak zażywa ją kokainę, nie ma co wywoływać kontrowersji rasowych związanych z wypadkiem na Filipinach. Cóż, Remington był przygotowany. Wojskowe prawo karne nie rozróżnia kolorów skóry.

-

Zasłużyłem na drinka, poruczniku - rzekł Hickman, kierując się w stronę mosiężnego barku pod ścianą. - Nalać wam czegoś?

-

Nie, dziękuję, panie admirale.

-

Posłuchajcie, Remington, doceniam to, że zostaliście dłużej, by się ze mną spotkać, i nie wymagam od was wojskowej służbistości. Szczerze mówiąc, będę się czuł głupio; pijąc sam, a temat naszej rozmowy nie jest aż taki szczególnie ważny. Chcę zadać wam po prostu kilka pytań.

-

Służbistości, panie admirale?! Napiłbym się trochę białego wina, jeśli to możliwe.

-

Owszem, możliwe - odparł z rezygnacją dowódca. - Trzymam je dla oficerów mających się rozwieść.

-

Jestem zadowolony ze swojego małżeństwa, panie admirale.

-

Miło mi to słyszeć. Sam mam już trzecią żonę, choć powinienem zostać z pierwszą.

Napełniwszy kieliszki, admirał usiadł przy biurku i założył na nie nogi Miał rozluźniony krawat i mówił niedbałym tonem, lecz nie zdołał rozkrochmalić Davida Remingtona.

-

Kim, u licha, jest Joel Converse?- spytał.

-

Słucham, panie admirale?

Dowódca westchnął, co znaczyło, że zamierza zacząć od początku.

-

Dziś o godzinie dwunastej dwadzieścia jeden utajnił pan w imieniu szefa biura prawnego bazy flagę na aktach wojskowych porucznika Joela Converse'a, pilota z okresu wojny w Wietnamie.

-

Tak jest, panie admirale - potwierdził Remington.

- A dwie minuty po trzeciej - ciągnął Hickman, zerkając do notatek leżących na biurku - otrzymałem teleks z Piątego Okręgu Marynarki Wojennej z rozkazem natychmiastowego przekazania materiałów objętych flagą. I jak zawsze, wniosek uzasadniono wymogami bezpieczeństwa państwa. - Admirał umilkł i pociągnął łyk trunku: nie spieszył się, był po prostu zmęczony. - Poleciałem adiutantowi wezwać pana, żeby spytać, czemu utajnił pan te dokumenty.

- Wyjaśniłem mu całą sprawę, panie admirale - odrzekł Remington. - Zrobiłem to na rozkaz szefa Biura Prawnego SAND PAC. Z jednego z punktów regulaminu wynika jasno, że szef biura ma prawo utajnić akta, jeśli interwencja osób trzecich może udaremnić prowadzone przezeń dochodzenie. To normalne w praktyce cywilnej, panie admirale. Federalne Biuro Śledcze rzadko przekazuje policji zebrane przez siebie dane, gdyż ewentualny przeciek lub przekupstwo mogłyby narazić śledztwo na szwank.

-

Szef naszego biura prawnego, komandor porucznik Fitzpatrick, prowa dzi dochodzenie w sprawie oficera zwolnionego ze służby osiemnaście lat temu?!

-

Nie wiem, panie admirale - odparł beznamiętnie Remington. - Wiem tylko, że wydał mi takie polecenie. Obowiązuje ono siedemdziesiąt dwie go dziny. Po upływie tego terminu pan admirał może oczywiście podpisać rozkaz wydania akt. Ma się rozumieć, w sytuacji wyższej konieczności związanej z bez pieczeństwem państwa może to w każdej chwili uczynić także prezydent.

-

Wydawało mi się, że termin wynosi czterdzieści osiem godzin - ode zwał się Hickman.

-

Nie, panie admirale. Termin czterdziestoosmiodzinny dotyczy udo stępnienia wszelkich akt objętych flagą, niezależnie od tego, kto o nie prosi, oczywiście z wyjątkiem prezydenta. Jest to tak zwany kontrolny okres karen cji. Wywiad marynarki porozumiewa się z CIA, Narodową Agencją Bezpie czeństwa oraz kontrwywiadem, by upewnić się, czy materiały nie są w dal szym ciągu poufne. Procedura ta nie ma nic wspólnego z prerogatywami szefa biura prawnego bazy.

-

Zna się pan na regulaminie, prawda?

-

Równie dobrze jak każdy prawnik Marynarki Wojennej Stanów Zjedno czonych, panie admirale.

-

Rozumiem. - Dowódca odchylił się do tyłu w skórzanym obrotowym fotelu i położył nogi na rogu biurka. -Komandor Fitzpatrick znajduje się obecnie Poza bazą, prawda?

-

Tak jest, panie admirale. Przebywa w San Francisco wraz z rodziną Swojej siostry, której męża zamordowano podczas napadu rabunkowego w Genewie. Jutro odbędzie się pogrzeb, jak mi się zdaje.

-

Tak, czytałem o tym. Paskudna sprawa... Ale wie pan, jak się z nim kontaktować?

- Mam numer telefonu, panie admirale. Czy życzy pan sobie, żebym do niego zadzwonił i poinformował go o wniosku Piątego Okręgu Marynarki?

205

-

Nie, nie - odparł Hickman, kręcąc przecząco głową. - Nie w tej chwili.

Chłopcy z Piątego mogą poczekać przynajmniej do jutra po południu. Muszę przyjąć, że także znają regulaminy. Jeśli bezpieczeństwo państwa jest tak cho lernie zagrożone, wiedzą, gdzie jest Pentagon, a ostatnie plotki z ArlingtOn głoszą, że wreszcie usłyszeli także o istnieniu Białego Domu. - Admirał umilkł, zmarszczył brwi i spojrzał na porucznika. - Przypuśćmy, że nie wiedziałby pan, jak się skontaktować z Fitzpatrickiem.

-

Ale wiem, panie admirale.

-

Tak, ale przypuśćmy, że nie wiedziałby pan i otrzymałby drogą służbo -
wą jakiś cholernie pilny wniosek, choć nie od samego prezydenta. Czy wów.
czas mógłby pan ujawnić te akta?

-

Teoretycznie tak, jako zastępca szefa biura. Jeśli wziąłbym na siebie prawną odpowiedzialność za

swoją decyzję.

-

Słucham?

-

Jeśli uznałbym wniosek za dostatecznie pilny, by anulować rozkaz szefa biura dający mu siedemdziesiąt dwie godziny na wszelkie działania uważane przezeń za konieczne. Komandor Fitzpatrick postawił sprawę jasno, panie admirale. Szczerze mówiąc, mam prawny obowiązek podtrzymać jego rozkaz, chyba że w grę wchodziłaby interwencja prezydenta.

-

Zdaje mi się, że także moralny - zgodził się Hickman.

-

Sprawa nie ma nic wspólnego z moralnością, panie admirale. To czysty problem prawniczy. Czy powinienem zadzwonić do komandora, panie admirale?

-

Nie, do diabła z tym. - Hickman zdjął nogi z blatu biurka. - Byłem po prostu ciekaw i szczerze mówiąc, przekonał mnie pan. Fitz nie wydałby takie go rozkazu bez powodu. Piąty może poczekać trzy dni, chyba że wolą zatelefonować do Waszyngtonu.

-

Czy wolno mi spytać, kto złożył wniosek, panie admirale?

Dowódca spojrzał bacznie na Remingtona.

-

Powiem panu za trzy dni. Jak pan widzi, ja też mam zobowiązania wobec kolegów. Zresztą i tak pan się dowie, bo pod nieobecność Fitzpatricka to pan będzie musiał podpisać wniosek.

Hickman dopił whisky. Porucznik zrozumiał, że rozmowa jest skończona. Wstał, odniósłszy napełniony do połowy kieliszek do barku, stanął na baczność i spytał:

-

To wszystko, panie admirale?

-

Tak, to wszystko - odparł dowódca, spoglądając na bezbrzeżny ocean za oknem.

Porucznik zasalutował służbiście, a Hickman uniósł niedbale dłoń do skroni.

Młody człowiek zrobił w tył zwrot i ruszył w stronę drzwi.

-

Remington?

-

Słucham, panie admirale?

-

Kim, u licha, jest ten cały Converse?

206

- Nie wiem, panie admirale. Ale komandor Fitzpatrick powiedział, że to sprawa alarmowa klasy cztery-zero.

-O Boże!...

Hickman podniósł słuchawkę, nacisnął kilka guzików i połączył się z kolegą z Piątego Okręgu Marynarki.

-

Obawiam się, że musicie poczekać trzy dni, Scanlon.

-

Dlaczego? - spytał admirał Scanlon.

-

Flagę Converse'a utajnił szef Biura Prawnego SAND PAC. Jeśli chce ci się zwrócić do Waszyngtonu, bardzo proszę. Podporządkujemy się.

-

Mówiłem ci, Brian, że nie chcemy załatwiać sprawy w ten sposób. By wały już takie wypadki. Powoduje to reperkusje, a wolelibyśmy tego uniknąć.

-

Więc dlaczego mi nie powiesz, o co chodzi? Kim jest ten Converse?

-

Zrobiłbym to, gdybym mógł, wiesz o tym. Szczerze mówiąc, sam nie zbyt dobrze się orientuję, a resztę przyrzekłem utrzymać w tajemnicy.

-

Wobec tego zwróć się do Waszyngtonu. Ja popieram swojego szefa biu ra, który jest zresztą poza bazą.

-

Poza bazą? Ale przecież z nim rozmawiałeś?

-

Z jego zastępcą, porucznikiem Remingtonem. Otrzymał bezpośredni rozkaz szefa. Remington się nie ugnie, wierz mi. Dałem mu szansę, ale zasło nił się regulaminem. Nazywają go tu "upartym kutasem".

-

Powiedział, czemu utajniono te akta?

-

Nie miał pojęcia. Dlaczego sam do niego nie zadzwonisz? Prawdopo dobnie jest jeszcze na dole i mógłbyś...

-

Nie podałeś mi mego nazwiska, prawda? - przerwał podenerwowany Scanlon.

-

Nie. Prosiłeś mnie, żebym tego nie robił, ale i tak dowie się wszystkiego za trzy dni. Będzie podpisywał wniosek, a ja muszę mu powiedzieć, kto go złożył. -

Hickman umilkł i wybuchnął nagle: - Co się właściwie dzieje, admirale?! Wszy scy zaczęli się nagle interesować jakimś pilotem zwolnionym z wojska osiemna ście lat temu! Najpierw dostaję pilną depeszę z Piątego, później dzwonicz do mnie

osobiście i zaczynasz wspominać dawne czasy w Annapolis, lecz nie chcesz nic Powiedzieć, aż wreszcie dowiaduję się, że mój własny szef biura utajnił flagę Converse'a i nadal jej status alarmowy cztery-zero! Ma kłopoty rodzinne i do Jutra nie zamierzam zawracać mu głowy. Rozumiem, że obiecałeś dotrzymać taJemnicy, ale, do cholery, ktoś powinien mi wreszcie coś wytłumaczyć!

Rozmówca Hickmana nie odpowiedział, lecz w słuchawce słychać było oddech.

- Scanlon!

- Co mówisz?! - rozległ się głos admirała z odległości sześciu tysięcy Kilometrów.

- I tak zamierzam się dowiedzieć...

207

-

Jaki jest status tej flagi?!

Głos Scanlona był prawie niedosłyszalny.

-

Alarmowy klasy cztery-zero, właśnie to mówię!

Rozmowa skończyła się nagle. Rozległo się donośne pstryknięcie, admirał Scanlon odłożył słuchawkę.

Walter Peregrine, ambasador Stanów Zjednoczonych w Republice Federalnej Niemiec, był wściekły.

-

Jak brzmi wasze nazwisko, komandorze?

-

Fowler, Wasza Ekscelencjo - odparł Fitzpatrick, obrzucając Dowlinga twardym wzrokiem. - Komandor porucznik Avery Fowler z Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych.

Connal znów spojrzał na aktora, który wpatrywał się weń w świetle księżyca.

-

Rozumiem, że są co do tego pewne wątpliwości! - odezwał się Peregrine, patrząc na Fitzpatricka

równie nieprzychylnie jak Dowling. - Czy mógł

bym rzucić okiem na pańskie dokumenty?

-

Nie mam ich przy sobie, Wasza Ekscelencjo. Wymaga tego natura mojego zadania - odparł szybko i dobitnie Fitzpatrick, stojąc na baczność.

-

Chcę sprawdzić prawdziwość waszego nazwiska i stopnia!

-

Otrzymałem rozkaz posługiwania się tym nazwiskiem na użytek osób niezaangażowanych w sprawę.

-

Czyj rozkaz? - warknął dyplomata.

-

Moich przełożonych, Wasza Ekscelencjo.

-

Czyli naprawdę nie nazywa się pan Fowler?

-

Z całym szacunkiem, Wasza Ekscelencjo, nazywam się Fowler, mam stopień komandora porucznika i służę w Marynarce Wojennej Stanów Zjednoczonych.

-

Co wy sobie, do cholery, myślicie?! Że jesteście za linią frontu i dostaliście się do niewoli?! Nazwisko, stopień i numer identyfikacyjny podajcie zgodnie z konwencją genewską!

-

Tylko to wolno mi powiedzieć, Wasza Ekscelencjo.

-

Jeszcze was zdemaskujemy, komandorze, oczywiście jeśli naprawdę jesteście komandorem. Podobnie jak tego kłamcę Converse'a, który raz wydał się wcieleniem cnoty, a za chwilę uciekał jak wariat.

-

Proszę postarać się zrozumieć. Nasze zadanie jest ściśle tajne. Nie ma ono żadnego związku z dyplomacją ani nie zaszkodzi interesom naszego rządu, który reprezentuje pan w Niemczech, lecz mimo to jest ściśle tajne. Zameł duję o naszej rozmowie swoim przełożonym i oni niewątpliwie zwrócą się do pana. A teraz proszę pozwolić mi odejść, jeśli to możliwe.

-

Przykro mi, komandorze lub kimkolwiek pan jest, ale nie pozwalam.

Jeśli wypełnia pan rzeczywiście ważną misję, nie stało się nic złego. Nie jest tem żadnym cholernym głupcem. Personel ambasady o niczym się nie dowie.

208

Prosił mnie o to Pan Dowling, a ja przystałem na jego warunek. Zamkniemy się we dwóch w pokoju łączności i zatelefonuje pan do Waszyngtonu. Nie przyjąłem tej posady, tracąc przy tym siedemset pięćdziesiąt tysięcy dolarów rocznie, żeby ktoś mnie kontrolował bez mojej wiedzy. Jeśli będę potrzebował

kontrolerów, sam ich zaproszę.

- Chciałbym móc się na to zgodzić, Wasza Ekscelencjo. Brzmi to rozsądnie.

Obawiam się jednak, że nie mogę tego zrobić.

-

A ja się obawiam, że pan zrobi!

-

Przykro mi.

-Niech się pan zgodzi, komandorze - wtrącił Dowling. - Jak pan słyszał, nikt o niczym nie wie ani nie będzie wiedział. Converse potrzebuje ochrony. Jest ściganym cudzoziemcem i nawet nie mówi po niemiecku. Proszę przyjąć ofertę pana ambasadora. Dotrzyma słowa.

-

Z całym szacunkiem, muszę niestety udzielić odpowiedzi odmownej -

rzekł Connal, odwrócił się i ruszył szeroką aleją.

-

Majorze! - wrzasnął wściekle ambasador. - Proszę go zatrzymać!

Fitzpatrick spojrzął za siebie i zobaczył coś, czego z niewytłumaczalnych przyczyn nie spodziewał się ujrzeć, choć zdał sobie natychmiast sprawę, że powinien się spodziewać. Z cienia rzucanego przez olbrzymi majestatyczny gmach wybiegł mężczyzna, najwyraźniej doradca wojskowy ambasadora, jeden z pracowników ambasady! Connal zamarł i przypomniały mu się słowa Joela: Ludzie, których widziałeś na lotnisku, ci z ambasady... są po przeciwnej stronie.

W innej sytuacji Fitzpatrick pozostałby na miejscu i stawiał czoło wyzwaniu. Nie zrobił nic złego, nie złamał prawa, a nikt nie mógł zmusić go do omawiania swoich spraw osobistych, skoro nie popełnił przestępstwa. Nagle zdał sobie sprawę ze swojej pomyłki. Generałowie George'a Marcusa Delavane'a mogli go do tego zmusić! Odwrócił się gwałtownie i puścił biegiem.

Wtem rozległy się strzały. Nad głową Connala gwizdnęły dwa pociski. Padł na ziemię i potoczył się ku mrocznym krzewom, słysząc głos, który rozproszył ciszę parku pogrążonego w nocnym śnie.

-

Ty cholerny skurwysynu! Co robisz?!

Rozległy się dalsze krzyki i przekleństwa, a spokojny park uniwersytecki wypełniły odgłosy szamotaniny.

-

Chcesz zabić człowieka?!... Przecież w pobliżu mogą być inni ludzie, Ty draniu! Proszę się nie odzywać, panie ambasadorze!

Connal przeczołgał się przez zwirowaną ścieżkę i rozchylił dłońmi listowie, w czystym świetle księżyca widać było Caleba Dowlinga, żołnierza piechoty morskiej spod Kwajalein, stojącego koło ławki nad majorem, który wyległ z cienia uniwersytetu. Aktor postawił nogę na szyi leżącego mężczyzny i trzymał go za wyciągniętą rękę, wyszarpnąwszy mu pistolet.

- Jest pan tępym skurwysynem, majorze, a może czymś jeszcze gorszym!...

Fitzpatrick ukląkł, wstał i pobiegł skulony ku mrocznemu wyjściu z parku.

Nie miałem wyboru! - rzekł Connal, położywszy dyplomatkę na kanapie i usiadłszy na sąsiednim fotelu. Pochylił się do przodu, wciąż napięty i drżący.

-

Uspokój się, spróbuj się odprężyć. - Converse podszedł do eleganckiego antycznego stoliczka pod ścianą, na którym stała duża srebrna taca z whisky, lodem i szklaneczkami. W Anglii nauczył się korzystać z usług służby hotelowej. - Powinieneś się czegoś napić - rzekł, nalewając Fitzpatrickowi.

-

Jeszcze jak! Nigdy dotąd do mnie nie strzelano! Ty przez to przesze dłeś! Boże, czy to naprawdę takie niesamowite uczucie?!

-

Naprawdę. Trudno w to uwierzyć. To tylko nierealne dźwięki, które pozornie nie mają z tobą nic wspólnego, aż przekonujesz się o tym na własne oczy. Pociski okazują się rzeczywiste, przeznaczone dla ciebie, i ogarniają cię mdłości. Żadnych tryumfalnych fanfar, po prostu rzygowiny.

Converse przyniósł Fitzpatrickowi whisky.

-

Opuściłeś coś - rzekł Connal, biorąc szklaneczkę.

-

Nie, nie opuściłem. Pomyślmy o dzisiejszej nocy. Jeśli dobrze zrozu miałeś Dowlinga, Peregrine obiecał nie wspominać o niczym personelowi ambasady...

-

Już sobie przypominam - przerwał Fitzpatrick, pijąc łąpczywie whisky i nie odrywając oczu od Joela. - Czytałem to w innym stenogramie z flagą.

Podczas twojej drugiej ucieczki zabito człowieka. Był akurat zachód słońca.

Podobno znajdowałeś się niedaleko i dostałeś szau na kilka minut. Według zeznającego (zdaje się, sierżanta) zatoczyłeś koło w dżungli, zarżnąłeś Wiet namczyka jego własnym nożem i zdobyłeś karabin. Później zastrzeliłeś trzech innych żółtków w tym rejonie.

Joel stał z gniewnym wyrazem twarzy.

-

Nienawidzę takich opisów - odpowiedział cicho. - Przypominają mi wszystko, co budzi we mnie wstręt... Powiem ci, jak to było. Dzieciak, zaledwie dziewiętnastolatek, musiał zrobić kupę, a chociaż trzymaliśmy się razem, zachował jednak dość godności, by odejść metr na bok. Podcieraliśmy się liśćmi, bo oczywiście nie było papieru toaletowego. Tamten maniak (nie chcę używać słowa "żołnierz") odczekał właśnie na ten moment i strzelił mu prosto w głowę. Kiedy doszedłem do chłopaka i połowa jego twarzy została mi na rękach, usłyszałem chichot, sprośny śmiech sprośnej bestii, która uosabia dla mnie wszystko, co wydaje mi się godne pogardy w Wietnamczykach i Amerykanach. Skoro chcesz znać prawdę, zabiłem go z zemsty za jednych i drugich, bo są jednakowo winni i zmienili nas w zwierzęta, ze mną włącznie. Pozostali trzej, zwykłe roboty w mundurach mające zapewne żony i dzieci gdzieś w wioskach na północy, nie zorientowali się nawet, że zaszedłem ich od tyłu. Strze-210

liłem im w plecy, mecenasie. Co by na to powiedział Johnny Ringo albo John Wayne?

Connal milczał, a Joel podszedł do zabytkowego stolika i nalał sobie whisky.

-

Parę godzin temu powiedziałaś, że mnie znasz, bo sam byłeś taki jak ja

- stwierdził Fitzpatrick. - Cóż, nie znam cię dobrze, ale zaczynam rozumieć, co przeżyłeś. Rzeczywiście gardzisz wszystkim, co reprezentuje Akwitania, prawda? Zwłaszcza jej przywódcami.

Converse odwrócił się.

-

Całym sercem - rzekł. - Właśnie dlatego musimy porozmawiać o dziśszej nocy.

-

Już ci mówiłem, nie miałem wyboru. Twierdziłaś, że ludzie z ambasady, których widziałem na lotnisku, pracują dla Delavane'a. Wolałem nie ryzykować.

-

Wiem. Teraz obydwaj uciekamy, ścigani przez swoich i chronieni przez ludzi, których chcemy zniszczyć. Musimy się zastanowić, komandorze.

Rozległ się ostry, przejmujący dzwonek telefonu. Wstrząśnięty Fitzpatrick zerwał

się z fotela. Joel spojrzał na niego, próbując uspokoić go wzrokiem.

-

Przepraszam - rzekł Connal. - Jestem ciągle podenerwowany. Ja odbiorę, już wszystko w porządku.
- Podeszedł do telefonu i podniósł słuchawkę. -

Ja? - Słuchał przez kilka sekund, zakrył mikrofon i spojrzał na Converse'a. -

To centrala międzynarodowa. San Francisco. Dzwoni Meagen.

-

Czyli chodzi o Remingtona - odezwał się Joel, któremu zaschło nagle w gardle i zaczęło walić serce.

-

Meagen? Tak, to ja. Co się stało? - Fitzpatrick słuchał siostry, patrząc prosto przed siebie i kiwając głową. Drgał mu mięsień na policzku. - O Boże!...

Nie, wszystko w porządku. Nie, naprawdę, nic się nie stało. Masz numer? -

Connal spojrzał na mały stolik telefoniczny, gdzie leżał notes, lecz brakowało ołówka. Zerknął na Joela, który ruszył w stronę biurka i przyniósł pióro hotelowe. Wyciągnął rękę, wziął pióro i zapisał ciąg liczb. Converse odstał na bok, wstrzymując oddech i ściskając palcami szklaneczkę. - Dzięki, Meagen. Wiem, co przeżywasz, ale jeśli będziesz musiała zadzwonić znowu, użyj połączenia automatycznego, dobrze...? Obiecuję, Meg. Daję ci słowo. Do widzenia.

Odłożył słuchawkę, pozostawiając na niej przez chwilę dłoń.

-

Dzwonił Remington, prawda? - spytał Joel.

-Tak.

-

Co się stało?

-

Ktoś zażądał wydania twoich akt - odparł Fitzpatrick. - Wszystko w porządku. Remington dał sobie radę.

-

Kto złożył wniosek?

-

Nie wiem, muszę się porozumieć z Davidem. Meagen nie ma pojęcia, co to flaga, i nigdy o tobie nie słyszała. David kazał jej po prostu powtórzyć, że
zażądano zdjęcia flagi, ale zdołał temu zapobiec.

211

-

Wobec tego wszystko w porządku.

-

To nie takie proste.

-

Mów jaśniej, do cholery!

-

Moje rozkazy obowiązują tylko przez ściśle określony czas, dobę albo dwie po upływie okresu karencji.

-

Który trwa czterdzieści osiem godzin - wtrącił Joel.

-

Tak, jestem pewien, że mogę zablokować wniosek na jakiś czas po upły.

wie pierwszych czterdziestu ośmiu godzin. Widzisz, ty spodziewałeś się takie go obrotu sprawy, ale ja, szczerze mówiąc, w to nie wierzyłem. Ktokolwiek żąda wydania twoich akt, jest na pewno kimś ważnym. Twoi nowi wspólnicy dostaną ten stenogram niedługo po jutrzejszym spotkaniu i przekonają się, że nienawidzisz Delavane'a.

-

Zadzwoń do Remingtona.

Converse podszedł do drzwi na balkon, otworzył je i wyszedł. Księżyc zasłaniały ławice płynących obłoków, a daleko na wschodzie widać było letnie błyskawice, które przypominały Converse'owi niedosłyszalny ogień artylerii, dostrzegany przez niego i innych uciekających więźniów w górach Wietnamu i stanowiący dla nich nieosiągalny symbol bezpieczeństwa. Z pokoju dobiegał głos

Fitzpatricka, starającego się uzyskać połączenie z San Diego. Joel sięgnął do kieszeni po papierosy i zapalił. Płomyk zapalniczki oświetlił czyjś ruch i Joel spojrzął w bok. Dwa balkony dalej, około dziesięciu metrów na prawo, widać było w półmroku sylwetkę patrzącego nań mężczyzny. Nieznajomy skinął głową i zniknął w swoim pokoju. Czy to po prostu gość, który wyszedł przypadkiem na balkon, by zaczerpnąć świeżego powietrza, czy strażnik ulokowany w pensjonacie przez Akwitanię? Converse słyszał rozmawiającego Fitzpatricka; odwrócił się i wszedł z powrotem do pokoju.

Connal siedział na krześle po przeciwnej stronie stołu. Lewą ręką trzymał przy uchu słuchawkę, w prawej miał pióro. Zapisał coś w notatniku i odezwał się:

-

Poczekaj. Twierdzisz, że Hickman prosił o odblokowanie flagi, ale nie chciał powiedzieć, kto złożył wniosek?... Rozumiem. W porządku, Davidzie, bardzo dziękuję. Wybierasz się gdzieś dziś wieczorem?... Więc w razie po trzeby mogę cię złapać pod tym numerem?... Tak, wiem, to te cholerne telefony w górach Sonoma. Wystarczy jedna większa ulewa, a trzeba mieć diabelne szczęście, żeby uzyskać połączenie. Jeszcze raz dzięki, Davidzie. Do usłyszenia.

Odłożywszy słuchawkę, Fitzpatrick popatrzył dziwnie na Joela, jakby miał nieczyste sumienie. Nie odezwał się. Pokręcił głową, westchnął i zmarszczył brwi.

-

Co takiego? Co się stało?

-

Lepiej wydobądź z nich jutro wszystko, czego ci potrzeba. A może to już dzisiaj?

-

Dzisiaj. Minęła północ. Dlaczego?

212

- Bo za dwadzieścia cztery godziny stenogram zostanie przekazany Piątemu Okręgowi Marynarki w Norfolk. To bardzo potężna instytucja. Wszystkie twoje tajemnice wyjdą na jaw. Okazało się, że termin wynosi siedemdziesiąt dwie godziny.

-

Przedłuż go!

Connal wstał z bezradnym wyrazem twarzy. -Najakiej podstawie?

-

Bezpieczeństwo państwa, to jasne.

-

Muszę podać konkretne powody, wiesz o tym.

-

Nie wiem. Terminy można przedłużać z wielu różnych przyczyn. Po trzeba ci więcej czasu, żeby się przygotować. Nastąpiła zwłoka, bo świadek uległ wypadkowi albo zachorował. Albo powołaj się na sprawy osobiste. Po grzeb twojego szwagra i rozpacz siostry musiały opóźnić śledztwo!

-

Daj spokój, Joel. Gdybym to zrobił, skojarzyliby cię z Presem i koniec.

Przecież go zamordowali!

-

Nie - odparł twardo Converse. - Odwrotnie. W ten sposób tylko byś nas rozdzielił.

-

O czym ty mówisz?

-

Myślałem o tym, próbowałem wczuć się w Avery'ego. Wiedział, że śle dzą każdy jego krok i prawdopodobnie podsłuchują rozmowy przez telefon.

Mówił, że wszystko powinno brzmieć logicznie: fuzja Comtechu, śniadanie, sama Genewa. Dokładnie zaplanował nasze spotkanie. Pod koniec powiedział, że porozmawiamy później, jeśli nie mam nic przeciwko temu.

- I co z tego wynika?

-

Zdawał sobie sprawę, że widziano nas razem (było to nieuniknione), i podejrzewam, że chciał mi

jeszcze doradzić, co powiedzieć, gdyby spytał

mnie o niego jakiś Akwitańczyk. Zamierzał odwrócić kota ogonem i dostarczyć mi dodatkowego argumentu potrzebnego, by dotrzeć do tych ludzi.

-

O czym ty, u licha, mówisz?

-

Avery chciał przypiąć mi etykietkę, którą powinienem nosić, by przeniknąć do siatki Delavane'a. Nigdy się tego nie dowiemy, ale myślę, że miałem mówić, że on, Preston Halliday, podejrzewa mnie o przynależność do Akwitani, że celowo zaangażował się w fuzję Comtechu, aby zagrozić mi zdemaskowaniem, powstrzymać mnie.

-

Poczekaj. - Connal pokręcił głową. - Pres nie wiedział, co zamierzasz zrobić.

-Jest tylko jedna metoda, wiedział o tym! Rozumiał też, że dojdę do tego samego wniosku, gdy poznam szczegóły. Jedyna droga, by powstrzymać Delavane'a i jego feldmarszałków, to przeniknąć do Akwitani. Dlaczego dosta-

łem tyle pieniędzy, jak myślisz? Nie potrzebuję ich, a Pres wiedział, że jestem nie do kupienia. Ale zdawał sobie sprawę, że można i trzeba je wykorzystać, by zacząć zbierać dowody... Zadzwoń jeszcze raz do Remingtona. Poproś go o Przedłużenie blokady.

213

-

Tym razem to nie Remington, tylko dowódca SAND PAC, admirał

Hickman. David stwierdził, że jutro mogę się spodziewać jego telefonu. Muszę uprzedzić o tym Meagen. Hickman jest dociekliwy. Chce wiedzieć, kim jesteś i skąd to całe zainteresowanie.

-

Jak dobrze znasz tego Hickmana?

-

Nie najgorzej. Służyłem z nim w New London i Galveston. Poprosił

żebym został szefem jego biura prawnego w San Diego, i właśnie jemu za.!

wdzięczę awans.

Converse popatrzył na Fitzpatricka, a później bez widocznej przyczyny odwrócił

się i podszedł w milczeniu do otwartych drzwi na balkon. Connal nie przerywał -

niewątpliwie rozumiał. Widywał wielu adwokatów olśnionych nagłą myślą wymagającą zdefiniowania, pomysłem na sposób prowadzenia sprawy (przytrafiało się to zresztą także jemu samemu). Joel odwrócił się powoli z nieobecnym wyrazem twarzy, nadal rozważając abstrakcyjne możliwości.

-

Zrób to - podjął. - Zrób to, co zrobiłby twój szwagier. Powiedz to, co sam by powiedział, choć nie miał do tego okazji. Przyjmij, że spotkałem Presa po konferencji w sprawie fuzji. Dostarcz mi potrzebnego argumentu.

-

Niech pan wyraża się jaśniej, mecenasie.

-

Przedstaw Hickmanowi scenariusz, jaki stworzyłby Preston Halliday.

Powiedz mu, że flaga musi pozostać na miejscu, bo masz uzasadnione podejrzenie, że jestem wplątany w morderstwo twojego szwagra. Wyjaśnij, że spotkał się z tobą, nim poleciał do Genewy, i powiedział, że ma zobaczyć się ze mną, adwokatem podejrzanym o udział w nielegalnym handlu bronią i o działaniu jako parawan dla spekulantów. Powiedz, że zamierzał wszystko mi wygarnąć. Preston Halliday był z natury idealistą.

-

Nie przez ostatnie dziesięć czy dwanaście lat - sprostował Fitzpatrick. -

Zajął się robieniem kariery i miał zdrowy szacunek dla dolara.

-

Najważniejsza jest młodość. Wiedział o tym i właśnie dlatego zwrócił

się do mnie. Powiedz Hickmanowi, że jesteś przekonany, iż Pres wygarnął mi wszystko prosto z mostu, a ponieważ w grę wchodziły milionowe interesy, kazałem się go skutecznie pozbyć, zapewniając sobie alibi dzięki obecności na sali obrad... Mam opinię człowieka działającego dość skutecznie.

Connal spuścił głowę, przesunął ręką po włosach i podszedł do antycznego stolika. Zatrzymał się, spojrzął na jeden ze sztychów z podobiznami koni wyścigowych i odwrócił się z powrotem do Converse'a.

-

Wiesz, o co mnie prosisz?

-

Tak. O dostarczenie argumentu, który pozwoli mi wejść pomiędzy tych potencjalnych Czyngischanów. Aby to zrobić, musisz poprosić Hickmana o coś jeszcze. Jesteś osobiście zaangażowany i cholernie wściekły, a on powini en wyjaśnić twoje stanowisko osobom, które zażądały wydania moich akt. To sprawa niezwiązana z wojskiem, więc postanowiłeś zawiadomić władze cywilne.

214

- Rozumiem - odezwał się Fitzpatrick. - Powiem to, co uważałem za prawdę, gdy przyleciałem szukać cię w Niemczech, tylko zmienię interpretację twojej osoby. Z

sojusznika staniesz się wrogiem.

- Zgadza się, mecenasie. A ja spotkam komitet powitalny w posiadłości Leifhelma.

-

Zdaje mi się, że nie rozumiesz wszystkiego.

- Czego?

- Chcesz, żebym oficjalnie oskarżył cię o morderstwo z premedytacją. Staniesz się podejrzany o zabójstwo. Później nie będę już mógł wycofać swoich słów.

-

Wiem o tym. Zrób to.

George Marcus Delavane przekreślił tułów na wózku inwalidzkim za biurkiem koło dziwacznej mapy politycznej świata na ścianie. Nie był to ruch celowy, lecz wyrażający zniecierpliwienie. Delavane nie znosił przeszkód, a jedną z nich przedstawiał mu właśnie admirał z Piątego Okręgu Marynarki.

-

Flaga ma status alarmowy klasy cztery-zero - mówił Scanlon. - Aby uzyskać stenogram, musielibyśmy spełnić wymagania proceduralne Pentagonu. Nie muszę tłumaczyć panu generałowi, co to znaczy. Potrzeba dwóch starszych oficerów, jednego pracownika wywiadu marynarki wojennej, a ponadto podpisu funkcjonariusza Narodowej Agencji Bezpieczeństwa. Wszystkie nazwiska pojawią się na formularzu wnioskowym, który uzyska rangę sektora. Możemy to załatwić, panie generale, ale ryzykujemy...

-

Znam ryzyko - przerwał Delavane. - Każdy podpis i nazwisko to pewne ryzyko. Skąd status cztery-zero? Kto wydał taki rozkaz i dlaczego?

-

Szef Biura Prawnego SAND PAC. Sprawdziłem go. To komandor porucznik Fitzpatrick, a jego akta nie zawierają żadnej wskazówki, dlaczego to zrobił.

-

Powiem panu dlaczego - odparł władca Sajgonu. - Bo coś ukrywa.

Chroni tego Converse'a.

-

Dlaczego szef biura prawnego bazy marynarki wojennej miałby chronić jakiegoś cywila? Czemu nadawałby fladze status cztery-zero? To tylko zwraca uwagę.

-

A także utrudnia dostęp do dokumentów. - Delavane umilkł, lecz odezwał się, nim admirał zdążył coś powiedzieć: - Sprawdził pan Fitzpatricka na liście głównej?

-

Nie należy do nas.

-

Brano go kiedykolwiek pod uwagę? Zwracano się do niego?

-

Nie zdążyłem tego ustalić. - W gabinecie admirała rozległ się brzęczyk.

słychać było. jak Scanlon naciska guzik i odzywa się czystym, urzędowym głosem:

- Słucham? - Zapadła cisza, a po kilku sekundach admirał znów po nowił rozmowę z Pało Alto: - To znowu Hickman.

215

-

Może ma coś dla nas. Niech pan później do mnie zadzwoni.

-

Hickman niczego by nam nie powiedział, gdyby zdawał sobie sprawę z naszego istnienia - stwierdził Scanlon. - Za kilka tygodni będzie musiał

odejść

jako jeden z pierwszych. Gdyby zależało to ode mnie, kazałbym go rozstrze-

lać.

-

Proszę do mnie zadzwonić - rzekł George Marcus Delavane, spoglądając na mapę Akwitanii na ścianie.

Chaim Abrahms siedział przy kuchennym stole w swojej niewielkiej kamiennej willi w Tzahala pod Tel Awiwem, gdzie lubili rezydować emerytowani wojskowi, bogacze i wyżsi urzędnicy państwowi. Okna były otwarte i przytłaczającą duchotę letniej nocy rozpraszał lekki wietrzyk z ogrodu. W dwu pokojach działała klimatyzacja, a w trzech pozostałych kręciły się wiatraki pod sufitem, lecz Chaim lubił siedzieć w kuchni. W dawnych czasach planował w prymitywnych kuchniach ataki partyzanckie. Na pustyni Negew często rozdawał żołnierzom amunicję, gdy tymczasem na kuchni opalanej drewnem gotowały się kurczaki. Kuchnia to dusza domu. Dostarcza ciepła i pokarmu dla ciała oraz pozwala zastanowić się nad taktyką, kiedy kobiety skończą wreszcie pracę w gospodarstwie i nie przeszkadzają mężczyznom nieustannymi drobiazgami. Żona spała na górze; tym lepiej. Miał jej niewiele do powiedzenia, podobnie jak ona jemu. Nie mogła mu w niczym pomóc. A nawet gdyby mogła, nie zechciałaby. Straciła w Libanie syna, uczonego, nie żołnierza, nie zabójcę z wyboru. Po obu stronach zginęło zbyt wielu synów, mawiała. Polegli za starców, którzy zarażają młodych nienawiścią i wykorzystują legendy biblijne, by usprawiedliwić śmierć w imię spornych terytoriów. "Śmierć!"- krzyczała. "Najpierw zabijacie, potem rozmawiacie!"

Zapomniała o dawnych czasach, podobnie jak tylu innych. Chaim Abrahms nigdy nie zapomniał ani nie zapomni.

A teraz coś mu w tym wszystkim śmierdziało. Converse i te jego gadki! Było to zbyt intelektualne; Abrahams wietrzył w tym chłodne, analityczne umysły, a nie żar wiary. Szef Mosadu był najlepszym znawcą takich spraw, lecz nawet Mosad popełnia pomyłki. Pracownik wywiadu szukał motywów, jakby można przeprowadzić sekcję ludzkiego umysłu i powiedzieć, że ta akcja wywołała taką reakcję, że cierpienie zrodziło żądzę zemsty. To zbyt wyrozumowane! Człowiekiem wierzącym kierują jego przekonania! Stanowią jedyny motyw i nie mają nic wspólnego z przebiegłą manipulacją.

Chaim był człowiekiem bezpośrednim i nieowijającym spraw w bawełnę, lecz nie dlatego, że brakowało mu inteligencji albo wrażliwości. Jego wyczyny na polu bitwy dowodziły czegoś przeciwnego. Był bezpośredni, bo wiedział, czego chce, a intelektualizowanie stanowiłoby stratę czasu. Przez wszystkie lata, gdy wyznawał

swoje przekonania, nie spotkał nigdy współwyznawcy który pozwoliłby sobie na stratę czasu.

216

Converse wiedział wystarczająco dużo, by dotrzeć do Bertholdiera w Pa-ryżu, Udowodnił, że wie znacznie więcej, gdy wspomniał o Leifhelmie w Bonn

•wymienił Tel Awiw oraz Johannesburg. Czego jeszcze powinien dowieść?

po co cokolwiek udowadniać, skoro wyznaje te same ideały? Dlaczego mar -

nował czas, nie stawiając jasno sprawy w rozmowie z Bertholdierem? Nie, Converse jest bardzo podejrzany. Szef Mosadu twierdził, że chce się do nich przyłączyć. Mylił się. Converse nie ma w sobie żaru. Wszystko sprowadza się do intelektu i słów.

Szef Mosadu nie lekceważył nosa Chaima. I słusznie, bo obaj walczyli razem od lat, często także z Europejczykami i ich łagodnymi metodami, z imigrantami, którzy traktowali Stary Testament, jakby sami go napisali, i uważali Sabrów, rdzennych Żydów z Izraela za niewykształconych prostaków. Pracownik Mosadu szanował swojego brata z plemienia Sabra, malowało się to najego twarzy. Nikt nie może lekceważyć instynktu Chaima Abrahamsa, syna Abrahama, archanioła ciemności dla wrogów dzieci Abrahama. Bogu dzięki, że żona śpi.

Pora zatelefonować do Pało Alto.

-

Witaj, generale, mój przyjacielu.

-

Szalom, Chaim - odrzekł władca Sajgonu. - Czy wybierasz się do Bonn?

-

Wyjeżdżam jutro rano. Van Headmer jest już w drodze. O ósmej trzydzieści przybędzie na Ben Gurion, a o dziesiątej polecimy razem do Frankfurtu, gdzie czekać będzie cessa Leifhelma wraz z pilotem.

-

Dobrze. Będziecie mieć czas na rozmowę.

-

Muszę ci coś powiedzieć - rzekł Izraelczyk. - Czego dowiedziałeś się o tym Converse?

-

Staje się coraz większą zagadką, Chaim.

-

Podejrzewam oszustwo.

-

Ja także, ale chyba inne, niż się spodziewałem. Znasz moją opinię.

Uważałem go za zwiadowcę wykorzystywanego przez kogoś wiedzącego znacznie więcej (na przykład Lucasa Anstetta), żeby zdobyć nowe informacje lub potwierdzić pewne pogłoski. Nie odrzucam możliwości drobnych przecieków, należy je przewidywać i radzić sobie z nimi, wyśmiewając je jako objawy pa rano.

-

Mów do rzeczy, Marcus - rzekł niecierpliwie Abrahms, który zwracał

się zawsze do Delavane'a drugim imieniem. Uważał je za hebrajskie, chociaż ojciec Delavane'a nadał je swojemu pierworodnemu na cześć Marka Aureliusza, rzymskiego filozofa na tronie, piewcy umiarkowania.

-

Dzisiaj wydarzyły się trzy rzeczy - ciągnął były generał w Paño Alto. -

Pierwsza z nich rozwścieczyła mnie i zaniepokoiła, bo zapowiada głębokie Przerwanie frontu na odcinku, który uważałem za bezpieczny.

-

O co chodzi? - przerwał Izraelczyk.

- Zakazano ujawniania części akt wojskowych Converse'a.

- Właśnie! - zawołał Abrahms z nutką tryumfu w głosie.

217

-

Co takiego?

-

Mów dalej, Marcus! Powiem ci, jak skończysz. Na czym polegało dru.

gie nieszczęście?

-

Żadne nieszczęście, Chaim. Wyjaśnienie złożone w tak bezczelny sposób, że nie można przejść nad tym do porządku. Zadzwoił do mnie Leifhelm i powiedział, że Converse wspomniał z ulgą o śmierci Anstetta, którego na zwał swoim wrogiem. Właśnie tego słowa użył: wrogiem.

-

Co za przebiegłość! - głos Abrahmsa odbił się echem po kuchni. - A trze cía sprawa, generale?

-

Najdziwniejsza, a zarazem dająca najwięcej do myślenia. Proszę cię Chaim, nie wrzeszcz do telefonu. Nie występujesz na mityngu na stadionie ani podczas demonstracji przed Knesetem.

-

Jestem na polu bitwy. Mów dalej, przyjacielu.

-

Oficer marynarki, który wydał zakaz ujawniania akt wojskowych Converse'a, to szwagier Prestona Hailidaya.

-

Genewa! Tak!

-

Ucisz się wreszcie!

-

Przepraszam, drogi przyjacielu! Wszystko idealnie pasuje!

-

Twoim podejrzaniom przeczą powody wydania zakazu - rzekł Delavane. - Oficer marynarki uważa Converse'a za sprawcę śmierci Hailidaya.

-

Oczywiście! Doskonale!

-

Czy mógłbyś nie podnosić głosu?! - rozległ się pisk kota nad zamar zniętym jeziorem.

-

Przyjmij moje głębokie i szczere przeprosiny, generale. Czy to wszystko, co powiedział oficer marynarki?

-

Nie, wyjaśnił dowódcy swojej bazy w San Diego, że Halliday przyszedł

do niego i powiedział, iż zamierza spotkać się w Genewie z człowiekiem, którego podejrzewa o udział w nielegalnych transakcjach bronią, prawnikiem międzynarodowym nazwiskiem Converse. Zamierzał wszystko mu wygarnąć i zagrozić zdemaskowaniem. Co o tym sądzisz?

-

To oszust!

-

Ale po której stronie stoi, Sabro? Zaczęłeś mówić nieco ciszej.

-

Możesz być pewien, że mam rację. Converse to jadowity skorpion!

-

Co to znaczy?

-

Nie rozumiesz? Mosad to rozumie!

-

Mosad?

-

Tak! Rozmawiałem z jego szefem, który wyczuwa to samo co ja, a przy'

najmniej dopuszcza taką możliwość! Wierz mi, generale, informacje posiada ne przez Mosad sugerują, że Converse działa w dobrej wierze, ale kiedy powiedziałem, iż czuję zepsute mięso, szef Mosadu stwierdził, że jest jeszcze inna, mało prawdopodobna możliwość. Converse, manipulowany czy nie, może być agentem swojego rządu!

-

Prowokatorem?!

218

- Kto wie, Marcus?! Ale to wszystko brzmi zbyt ładnie. Najpierw zabrania się dostępu do jego akt wojskowych. Coś nam to sugeruje, wiemy o tym. Później Converse wspomina o śmierci naszego wroga i twierdzi, że to także jego wróg. To zbyt proste, zbyt kuszące. Wreszcie pojawia się sugestia, że to Converse dokonał

zabójstwa w Genewie, co znów działa na jego korzyść. Mamy doczynienia z analitycznymi umysłami, które śledzą każdy ruch na szachownicy i odpowiadają na każdy ruch.

- A jednak wszystko może oznaczać coś innego. Converse może być...

- Nie może! - wykrzyknął Abrahms.

-

Dlaczego, Chaim?! Powiedz mi!

-

Bo nie ma w nim żaru, ognia! Nie zachowuje się jak człowiek, który wierzy! My nie jesteśmy

inteligentni, tylko niezłomni!

George Marcus Delavane milczał kilkanaście sekund, a Izraelczyk miał dość rozsądku, by też się nie odzywać. Wreszcie w słuchawce znów rozległ się cichy, lodowaty głos:

-

Spotkajcie się z nim jutro, generale. Wysłuchajcie go uprzejmię, przyjmując jego reguły gry. Ale nie powinien opuścić domu, dopóki na to nie pozwolę. Może go nigdy nie opuścić.

-

Szalom, przyjacielu.

-Szalom, Chaim.

Rozdział 14

Valerie podeszła do oszklonych drzwi swojej pracowni - takich samych jak na górze - i spojrzała na spokojne, słoneczne wody Cape Ann. Pomyślała przelotnie o niepokojącym jachcie, który kilka dni temu rzucił kotwicę naprzeciwko domu. Nie pokazał się więcej. Pozostały tylko pytania bez odpowiedzi. Zamknąwszy oczy, Valerie wciąż widziała mężczyznę wychodzącego z oświetlonej sterówki oraz płomyk papierosa i wciąż zastanawiała się, co robił i myślał. Później przypomniawszy sobie dwóch mężczyzn w polu widzenia jej lornetki, którzy obserwowali ją o świcie przez o wiele potężniejsze przyrządy optyczne. Pytania bez odpowiedzi.

Czy widziała początkujących żeglarzy szukających bezpiecznego kotwicowiska?

Nowicjuszy pływających nocą tuż koło brzegu? Pytania bez odpowiedzi.

Cóż, wszystko należy już do przeszłości. Krótki, niepokojący epizod, któ-

ry zrodził mroczne wyobrażenia - upiory złażnione logiki, jak określiłby to Joel.

Odrzuciła na bok długie ciemne włosy i wróciła do sztalug. Wzięła pędzel i nałożyła ostatnie drobinki palonej umbry pod ocienionymi piaszczystymi wydmami porośniętymi dziką trawą. Odeszła kilka kroków, przyjrzała 219

się swojemu dziełu i po raz piąty dała sobie słowo, że obraz jest gotowy. Był to kolejny pejzaż morski; nigdy się nimi nie nudziła, a na szczęście udało jej się zdobyć sporą część rynku. Niektórzy

malarze na linii Boston-Boothbay twierdzili oczywiście, że cały rynek, ale były to zwykłe bzdury. Co prawda ceny obrazów Val rosły w zadowalający sposób wskutek pochlebnych recenzji po dwóch wystawach w galeriach Copley, ale szczerze mówiąc, nie stać by jej było na życie na takiej stopie, gdyby nie czeki otrzymywane co miesiąc od Joela.

Mimo to niewielu artystów dysponuje domem nad brzegiem oceanu połączonym z pracownią o wymiarach sześć na sześć metrów ze szklanymi drzwiami i sufitem.

Reszta willi, położonej na północnym skraju Cape Ann, była dziwaczna, nieforemna i mało funkcjonalna. Wzniesiono ją z ciężkiego pobielonego drewna w oryginalnym kolonialnym stylu wschodniego wybrzeża, z mnóstwem ozdóbek, balkonem otoczonym balustradą i dużymi oknami wykuszowymi w pokoju od frontu. Wyglądały pięknie z zewnątrz i rozciągał się z nich wspaniały widok, lecz zimą, gdy na oceanie szalały sztormy, straszliwie przeciekały. Nie zdołała tego powstrzymać żadna ilość kitu. Natura domagała się zapłaty za podziwianie swojego piękna.

Lecz nadal był to wymarzony dom Valerie, która obiecała sobie przed laty, że pewnego dnia stać ją będzie na coś takiego. Wróciła z Ecole des Beaux Arts w Paryżu gotowa do szturmowania światu artystyczny Nowego Jorku na terenie Greenwich Village i Woodstock, lecz brutalna rzeczywistość zmusiła ją do zmiany planów.

Dobra sytuacja materialna rodziny pozwalała jej żyć wygodnie, choć nie luksusowo, w ciągu trzech lat w college'u i dwóch w Paryżu. Ojciec Valerie był

dość dobrym malarzem amatorem, który przez całe życie żałował, że nie poświęcił

się całkowicie sztuce, zamiast architekturze. W rezultacie wspierał moralnie i finansowo swoją jedyną córkę, dosłownie żyjąc wraz z nią postępami jej kariery.

A matka, nieco zwariowana, zawsze kochająca i dodająca otuchy, robiła straszliwe fotografie najgorszych obrazów Valerie i wysyłała swojej siostrze i kuzynkom w Niemczech wraz z bezwstydnymi kłamstwami na temat muzeów, galerii oraz komisji kwalifikacyjnych.

- Zwariowana Berlinerin - mówił łagodnie ojciec swoim ciężkim francuskim akcentem. - Powinnaś widzieć ją podczas wojny. Śmiertelnie się jej baliśmy!

Spodziewaliśmy się, że pewnej nocy wróci do sztabu, prowadząc na sznurku pijanego Goebbelsa albo odurzonego Göringa i spyta, czy nie potrzebujemy jeszcze Hitlera!

Ojciec Valerie był oficerem łącznikowym między Wolną Francją a podziemiem niemieckim w Berlinie. Dość sztywnego paryżanina o tendencjach autokratycznych, który przypadkiem mówił po niemiecku, przydzielono do komórki w Charlottenburgu, koordynującej całą działalność podziemną Berlina. Mawiał często, że miał więcej kłopotów ze zwariowaną Fraulein o brawurowych pomysłach niż z ukrywaniem się przed nazistami. Mimo to pobrali się dwa miesiące po zakończeniu wojny. W

Berlinie. Ich rodziny nie rozmawiały

ze sobą. "Mieliśmy dwie małe orkiestry, które grały coś zupełnie innego" -

Stwierdziła matka.

Nie wiadomo, czy wiązały się z tym animozje rodzinne, lecz paryżanin i Niemka wyemigrowali do St. Louis w stanie Missouri, gdzie matka Valerie miała dalekich krewnych.

Brutalna rzeczywistość. Przerażony, zapłakany ojciec przyleciał do Nowego Jorku i wyznał Val straszliwą prawdę. Jego ukochana, zwariowana żona była od wielu lat chora na raka. W rozpacz, chcąc powstrzymać chorobę wydał na leczenie prawie wszystkie posiadane przez siebie pieniądze, zaciągając nawet długi na niespłaconej hipotece nieforemnego domu w Bellefontaine. Skorzystały na tym prywatne kliniki w Meksyku; nie chciał powiedzieć nic więcej. Płakał tylko, choć nie nad swoimi stratami finansowymi. A Valerie mogła jedynie objąć ojca i spytać, czemu jej przedtem nie powiedział.

- To nie twoja bitwa, ma chérie, tylko nasza. Od czasów Berlina stanowimy jedność. Walczymy razem tak jak wtedy.

Matka Val umarła w sześć dni później, a po kolejnych sześciu miesiącach ojciec zapalił gauloise'a na osłoniętym ganku, zasnął i nigdy się nie obudził. Valerie nie potrafiła płakać. Był to wstrząs, lecz nie tragedia. Ojciec wolał odejść, niż zostać sam.

A Valerie Charpentier znalazła dobrze płatną pracę i przestała być nieznaną malarką, usiłującą bez powodzenia sprzedawać swoje obrazy. Najbardziej zdumiało ją to, że tak łatwo znalazła zajęcie, lecz że miało ono tak niewiele wspólnego z grubą teczką szkiców i rysunków, jaką przedstawiła. Agencja reklamowa, do której się zgłosiła, wydawała się bardziej zainteresowana tym, że Val mówi płynnie po niemiecku i francusku. Była to epoka przejmowania przedsiębiorstw, międzynarodowych sojuszy, które prowadziły do zwiększonych zysków po obydwu stronach Atlantyku. Valerie Charpentier, w duszy wrażliwa artystka żyjąca w wieży z kości słoniowej, stała się chałturnikiem w świecie biznesu. Kimś, kto potrafi błyskawicznie rysować i szkicować, dokonywać prezentacji i porozumiewać się w kilku językach. Nie znosiła tego. Mimo to zarabiała bardzo dobrze jak na kobietę, która przewidywała, że upłynie wiele lat, nim jej nazwisko zacznie coś znaczyć w świecie sztuki.

Później w jej życiu pojawił się człowiek, dzięki któremu zapomniała o wszystkich dotychczasowych romansach. Mężczyzna miły i uczciwy, a na -

Wet podniecający, który miał własne problemy i nie chciał o nich mówić, co Powinno dać jej jakąś wskazówkę. Joel, jej Joel, raz wylewny, raz zamknięty w sobie, zawsze ukryty pod maską cierpkiej ironii. Przez pewien czas byli dla siebie dobrzy. Ich ambicja miała zupełnie inne źródła - ona marzyła o niezależności, jaka wiązała się ze sławą, on zaś pragnął nadrobić stracone lata.

Wspierali się nawzajem, gdy spotkało ich rozczarowanie lub coś stanęło im na drodze. Ale wszystko zaczęło się rozpadać. W odróżnieniu od Joela Valerie uważała przyczyny z bolesną jasnością. Zaczęła go hipnotyzować własna 221

kariera i własna determinacja, aż zapomniał o wszystkim, z nią włącznie. gdy nie podnosił głosu ani niczego nie żądał, lecz w jego lodowatym głosie zawsze czaiło się żądanie. Jeśli istniał jakiś moment krytyczny, gdy zdała sobie sprawę, że coś zaczyna się psuć, był to piątkowy wieczór w listopadzie. Agencja chciała wysłać ją do Berlina Zachodniego: doszło do kontrowersji z przedstawicielami Telefunkena i Valerie miała uspokoić wzburzone wody. Pakowała się właśnie, gdy Joel wrócił z pracy. Wszedł do sypialni i spytał, co robi i gdzie się wybiera.

Powiedziała mu, a on stwierdził:

-

Nie możesz wyjechać. Jutro wieczorem jesteście zaproszeni do domu Brooksa w Larchmont. Będą tam Talbot i Simon, i na pewno zaproponują mi dział międzynarodowy. Musisz iść ze mną.

Spojrzała na niego i dostrzegła w jego oczach nieme błaganie. Nie pojechała do Niemiec. Był to punkt zwrotny, po którym wszystko zaczęło się psuć. Po kilku miesiącach Val zdała sobie sprawę, że to nieodwołalne. Opuściła agencję i zajęła się wyłącznie malarstwem w nadziei, że coś się zmieni, jeśli poświęci Joelowi więcej czasu. Próba nie powiodła się, mąż nie znosił żadnych ofiar z jej strony, jakkolwiek starała się je ukryć. Coraz częściej zamykał się w sobie i nie interesował się nią, a ona współczuła mu w pewien sposób. Dręczyły go własne furie; nie lubił siebie, lecz nie potrafił się zmienić. Powoli wypalał się wewnątrz, a Val nie mogła mu w niczym pomóc.

Gdyby w grę wchodziła inna kobieta, Val mogłaby walczyć, wściekle z nią współzawodniczyć, ale był tylko Joel i jego milcząca determinacja. W końcu nie potrafiła już przebić jego skorupy. Przestał cokolwiek odczuwać. Powiedziała mu to prosto w oczy. "Jesteś wypalony emocjonalnie!" - krzyknęła. Zgodził się z nią swoim cichym, łagodnym głosem, a nazajutrz odszedł.

Zaczęła go wykorzystywać. Zażądała, by płacił jej alimenty przez cztery lata, dokładnie tyle, ile czasu jej zabrał. Owe cztery lata wspaniałomyślności miały niebawem się skończyć, pomyślała Val, czyszcząc pędzelki i skrobiąc paletę.

Termin upłynął w styczniu, a ostatniego przelewu dokonano jak zwykle przed piętnastym. Pięć tygodni temu podczas lunchu u Ritza w Bostonie Joel zaproponował, że będzie płacił nadal. Twierdził, że przyzwyczał się do alimentów, a wraz z premiami zarabia więcej, niż jest w stanie rozsądnie wydać.

Pieniądze przychodziły mu bez większego wysiłku, dawały pozycję wśród kolegów i stanowiły cudowne antidotum na długotrwałe związki. Val odrzuciła ofertę, posiłkując się dawną wymówką ojca, a także matki: stwierdziła, że jej sytuacja finansowa przedstawia się znakomicie. Na twarzy Joela pojawił się jak zwykle nieco smutny, choć zaraźliwy uśmiech.

Jeśli coś się zmieni, zawsze ci pomogę - rzekł.

Niech go lichy!

Biedny Joel, smutny Joel. Był dobrym człowiekiem targanym przez konflikty wewnętrzne. A Val posunęła się najdalej, jak tylko mogła: gdyby zrobił coś jeszcze, zaprzeczyłaby własnej tożsamości. Nie zdecydowała się na to, bo nie chciała.

222

położyła pędzelki na tacce, podeszła do oszklonych drzwi i popatrzyła na wody oceanu. Był gdzieś daleko, w Europie. Valerie zastanawiała się, czy myślał o niej tego dnia. Mijała kolejną rocznicę ich małżeństwa.

podsumowując psychika Chaima Abrahmsa uformowała się w chaotyczny bezład w epoce walki o przetrwanie. Były to lata niekończących się potyczek i wyprowadzania w pole nieprzyjaciół, pragnących wymordować plemię Sabra oraz zniszczyć aspiracje Żydów do ojczyzny, wolności politycznej i religijnej. Nietrudno zrozumieć, co ukształtowało Abrahmsa, lecz można wpaść w przerażenie na myśl, dokąd zmierza.

To niezrównoważony fanatyk niezdolny do kompromisu, gdy wchodzi w grę inne narody o identycznych aspiracjach Wrogiem jest każdy, kto ma choć trochę inne poglądy, czy należy do tego samego plemienia, czy nie Lepiej posługiwać się wojskiem niż dyplomacją, a zdrajcami są nawet ci Izraelczycy, którzy głoszą bardziej umiarkowane poglądy, domagając się tylko bezpiecznych granic. Abrahms to żydowski imperialista, który widzi w wyobraźni ciągłą ekspansję Izraela, aż zapanuje on nad całym Bliskim Wschodem. Najwłaściwszym zakończeniem biografii Abrahmsa wydaje się jego komentarz wygłoszony po słynnym stwierdzeniu premiera podczas inwazji na Liban: "Nie pożądamy ani piędzi libańskiej ziemi". Abrahms oświadczył wówczas swoim żołnierzom, znajdując w nich niewątpliwie chętnych słuchaczy

"Naturalnie, że ani piędzi! Chcemy całego tego cholernego Libanu! Później Gazy, wzgórz Golan i Zachodniego Brzegu! Czemu nie Jordanu, Syrii i Iraku? Mamy na to środki i mamy wolę! Jesteśmy potężnymi dziećmi Abrahama!"

Abrahms to klucz Delavane'a do Bliskiego Wschodu.

Zbliżało się południe, a skwarne słońce zalewało niewielki balkon za oszklonymi drzwiami. Służba hotelowa uprzątnęła resztki późnego śniadania i na antycznym stoliku pozostał tylko srebrny imbryk. Joel i Connal czytali od wielu godzin, odkąd o wpół do siódmej rano przyniesiono do apartamentu

Poranną kawę. Converse odłożył dossier i sięgnął po papierosy leżące na stole koło fotela. Nietrudno zrozumieć, co ukształtowało Abrahamsa, lecz można wpaść w przerażenie na myśl, dokąd zmierza. Spojrzał na Connala Fitzpatricka, który siedział pochylony na kanapie przy stoliku do kawy. Czytał jedną ze stron, robiąc jednocześnie notatki na bloku koło telefonu; po jego lewej ręce leżały schludne stosiki kartek, stanowiące dossier Bertholdiera i Leifhelma. Connal powiedział właściwie to samo, pomyślał Converse, zapalając papierosa - Zaczynam rozumieć, co cię ukształtowało... a Joel sam się zastanawiał, dokąd zmierza. Byłby szczęśliwy, gdyby wiedział. Czy jest tylko niewydarzonym gladiatorem wchodzącym na arenę rzymskiego cyrku, by stawić czoło silniejszemu, lepiej uzbrojonemu i zręczniejszemu przeciwnikowi? to upiory własnej przeszłości prowadzą go ku samozniszczeniu, na

223

rozgrzany piasek areny, gdzie czekają olbrzymie, wściekłe, wygłodzone lwy gotowe skoczyć i rozedrzeć go na strzępy? Tak wiele pytań, tak wiele nierozwikłanych zagadek. Wiedział tylko, że nie może się wycofać. Fitzpatrick uniósł oczy znad dokumentów.

-

Co się stało? - spytał, najwyraźniej spostrzegłszy, że Converse patrzy w jego stronę. - Martwisz się o admirała?

-

Którego?

-

Hickmana z San Diego.

-

Między innymi. Czy w jasnym świetle dnia ciągle jesteś pewien, że przedłuży termin?

-

Nie ma żadnej gwarancji, ale już ci mówiłem, że obiecał do mnie za dzwonić, gdyby interweniował ktoś wysoko postawiony. Jestem przekonana, że nie zrobi niczego bez konsultacji ze mną. Jeśli spróbuje się ze mną skontaktować, Meagen wie, co robić. Zamierzam go przycisnąć. Powołam się na przywilej osobisty i zażadam spotkania z anonimowymi przedstawicielami Piątego Okręgu Marynarki. Mogę posunąć się nawet do sugestii, że mają coś wspólnego z Genewą. Zatoczmy pełny krąg. Wszystko zapewne skończy się patem, ujawnienie twoich akt wymagać będzie gruntownego dochodzenia.

Ironia i pat.

-

Nie dojdzie do pata, jeśli Hickman stoi po przeciwnej stronie. Wówczas po prostu anuluje twoje rozkazy.

-

Gdyby stał po przeciwnej stronie, nie uprzedziłby Remingtona, że do mnie zadzwoni. Nie powiedziałby niczego: odczekałby jeszcze jeden dzień, i wydałby stenogram. Dobrze go znam. Jest nie tylko zakłopotany, ale wściekły. Broni swoich podwładnych i nie znosi nacisków zewnętrznych, zwłaszcza ze strony dowództwa marynarki. Popiera nas, a dopóki to się nie zmieni, flaga pozostanie nienaruszona. Powiedziałem ci, znacznie bardziej wścieka się na Norfolk niż na mnie. Nawet nie chcęmu podać powodu wniosku. Podobno nie mogą.

Converse skinął głową.

-

W porządku - odezwał się. - Jestem trochę zdenerwowany. Skończyłem przed chwilą dossier Abrahamsa. Ten maniak potrafiłby sam wysadzić w powietrze cały Bliski Wschód i jeszcze pociągnąć nas za sobą... Co sądzisz o Leifhelme i Bertholdierze?

-

Zgadza się wszystko, co powiedziałeś. Są nie tylko wpływowymi generałami w stanie spoczynku z mnóstwem pieniędzy, lecz także potężnymi symbolami dla wielu ludzi o ultrakonserwatywnych poglądach. To jeśli idzie o treść dossier, ale mnie najbardziej interesuje pochodzenie tych informacji.

-

Po prostu je mamy.

-

Tak, tylko skąd się wzięły? Twierdzisz, że dał ci je Beale, ale kogo miał

na myśli Pres, posługując się stale pierwszą osobą liczby mnogiej: "chcemy ich zniszczyć", "dostarczymy ci narzędzi", "podejrzewane przez nas powiązania"?

224

-

Już o tym dyskutowaliśmy - odparł niecierpliwie Joel. - Chodzi o człowieka z San Francisco, który

przekazał Presowi pół miliona dolarów i kazał

zebrać dowody przeciwko Akwitańczykom, żeby wytoczyć im legalny proces i przedstawić ich jako zwykłych spekulantów. W ten sposób nasi wspólni patrioci zostaną ośmieszeni. Pres miał na myśli siebie i jego.

-

Anonimowego klienta z San Francisco?

-Tak.

- I podniósł on słuchawkę telefonu, i wynajął kogoś, kto zebrał te materiały?

Fitzpatrick skinął w stronę dwóch dossier.

-

Czemu nie? Żyjemy w wieku komputerów. Nikt nie mieszka na bezludnej wyspie ani w jaskini.

-

Te akta to nie wydruki komputerowe - stwierdził Connal. - To gruntowne, szczegółowe raporty uwzględniające niuanse polityczne i osobiste upodobania.

-

Trafnie to określiłeś, komandorze. Tak jest w istocie. Człowiek będący w stanie przelać pół miliona dolarów do wybranego banku na wyspie na Morzu Egejskim może wynająć, kogo zechce.

-

Ale nie zdobędzie takich materiałów.

-

Co to znaczy?

-

Pozwól mi się cofnąć - rzekł Fitzpatrick, wstając z miejsca i sięgając po ostatnio czytany stronicę. - Nie chcę mówić o swojej przyjaźni z Presem, bo to dla mnie trochę bolesne. - Zamilkł, dostrzegając w oczach Converse'a dezaprobatę dla sentymentalizmu. - Nie zrozum mnie źle - ciągnął. - Nie chodzi o

jego śmierć ani pogrzeb, lecz o coś innego. To nie wygląda na Presa Hallidaya, którego znałem. Przypuszczam, że nas okłamał.

-

Wobec tego wiesz coś, o czym nie mam pojęcia - odparł cicho Converse.

-

W San Francisco nie ma człowieka, który pasowałby do opisu, jaki ci podał. Przeżyłem tam całe swoje życie, studiowałem w Berkeley i Stanfordzie, podobnie jak Pres. Znałem wszystkich jego przyjaciół, zwłaszcza bogatych i

ekscentrycznych: obracaliśmy się w tym samym towarzystwie. Pracowałem w zupełnie innej dziedzinie, a Pres zawsze poznawał mnie ze swoimi nowymi klientami. Bawiło go to.

-

To mało przekonujący argument. Na pewno nie przedstawił ci wszystkich.

-

Takiego kogoś by mi przedstawił na pewno.

-Cóż, nie jestem...

-

A teraz pozwól mi zrobić krok do przodu - przerwał Joelowi Fitzpatrick. - Nie czytałem przedtem tych dossier, ale znam setki takich dokumentów i widziałem parę tysięcy w trakcie opracowywania.

Joel wyprostował się na fotelu.

-

Niech pan to wytłumaczy, panie komandorze.

225

-

Trafiliście w sedno, poruczniku. Robiłem to służbowo.

-Co?

-

Te dossier to przerobione raporty wywiadowcze. Powstały w wyniku współpracy wielu agencji rządowych, z których każda dodawała pewne ele -

menty: dane biograficzne, meldunki z obserwacji, oceny psychiatryczne Wszystko zostało w końcu spisane przez zespoły specjalistów. Raporty te wy -

do było z archiwów, wprowadzono do nich bieżące dane i upozorowano jako materiały ze źródeł pozarządowych. Ale to nieprawda. Wszędzie widać nadruki "Ścisłe tajne", "Poufne" i temu podobne.

Converse pochylił się do przodu.

-

Może to twój subiektywny osąd oparty na ograniczonym doświadczeniu? Widziałem bardzo szczegółowe biografie przygotowane przez ekskluzywne firmy specjalizujące się w tego rodzaju działalności.

-

Opisujące wypadki podczas wojny? Wymieniające naloty bombowe, nazwy pułków i stosowane strategie? Posługujące się wywiadami, by naświetlić konflikty wewnętrzne wyższych oficerów wrogich armii i przyczyny przenoszenia wojskowych na stanowiska cywilne po zakończeniu walk? Do takich materiałów nie miałyby dostępu żadna prywatna firma.

-

Można je jakoś zdobyć - rzekł Joel, który stracił nagle pewność siebie.

-

Cóż, tych nazwisk nie można zdobyć - przerwał Connal, podnosząc jedną ze stronic i kładąc kciuk na dwóch kolumnach z nazwiskami czołowych postaci Pentagonu i Departamentu Stanu. - Może pięć czy sześć, co najwyżej trzy z każdej listy, ale nie pozostałe. To zwierzchnicy ludzi, z którymi miałem do czynienia, wykonujący swoje zadania pod różnymi szyldami, aby nie można było do nich dotrzeć, przekupić, szantażować, grozić.

Kiedy wspomniałeś, że znasz pewne nazwiska, sądziłem, że słyszałem więcej z nich, a przynajmniej połowę. Okazało się, że jest inaczej. Znam tylko urzędników ministerialnych, wyższy personel, który najwyraźniej wykonuje polecenia tych ludzi. Pres nie mógł zdobyć ich nazwisk sam albo przy pomocy kogoś niezwiązanego z administracją. Nie wiedziałby, kogo szukać, podobnie jak ja.

Converse wstał.

-

Jesteś pewien, że się nie mylisz?

-

Tak. Te nazwiska, a także informacje zawarte w dossier, pochodzą od wysoko postawionych urzędników z Waszyngtonu.

-

Wiesz, co mówisz?

Connal skinął głową.

-

Niełatwo mi to powiedzieć - rzekł ponuro. - Pres okłamał nas. Tobie podał fałszywe informacje, a przede mną wszystko przemilczał. Jesteś kukieł

ką, której sznurki pociąga ktoś z rządu. A ja nie powinienem się o tym dowie'

dzieć.

-

Wydano rozkazy - wyszeptał ledwo słyszalnie Joel, idąc bez celu w stronę drzwi na balkon, przez które wpadało jaskrawe słońce.

226

-

Co takiego? - spytał Fitzpatrick.

-

Nic, po prostu przypomniały mi się słowa, które mnie prześladowały, gdy dowiedziałem się o Anstecie. - Converse odwrócił się. - Ale dlaczego to zatajono? Czemu Avery to zrobił? W jakim celu?

Komandor Fitzpatrick stał bez ruchu z twarzą pozbawioną wyrazu.

-

Chyba nie muszę odpowiadać na to pytanie. Wczoraj, gdy mówiliśmy o mnie, sam to zrobiłeś. Nie oszukuj się, poruczniku, doskonale wszystko pa miętam: "Podam ci kilka nazwisk. Może coś ci one powiedzą... ale to wszystko". To twoje własne słowa. W wolnym przekładzie: marynarzyk, z którym zacząłeś współpracować, może wpaść na jakiś trop, ale gdyby schwytali go niewłaściwi ludzie, nie

wydobyliby zeń czegoś, czego nie wie.

Joel przyjął pokornie reprimendę nie tylko dlatego, że była słuszna, lecz także dlatego, że uświadomiła mu ważną prawdę, z której nie zdawał sobie sprawy na Mikonos. Beale twierdził, że wojskowi interesujący się sprawą w Waszyngtonie z różnych powodów odstąpili od śledztwa i zachowywali milczenie. Milczeli oficjalnie, lecz może nie prywatnie. Mówili przyciszonymi głosami, aż dołączył

do nich inny cichy głos z San Francisco, który wiedział, do kogo dotrzeć dzięki bliskiemu przyjacielowi i jego szwagrowi z San Diego. Naradzili się i stworzyli sekretny plan. Potrzebowali prowokatora o silnej motywacji, który mógłby zostać posłany w głąb labiryntu.

Myśl okazała się szokująca, lecz Joel nie potrafił dostrzec błędu w swoim rozumowaniu. Pojmował nawet ciszę, jaka nastąpiła po śmierci Prestona Hallidaya

- głośne oskarżenia odebrałyby jej wszelki sens. Anonimowi mocodawcy woleli zachować milczenie, wiedząc, że ich kukielka posiada narzędzia pozwalające przebrnąć przez gąszcz nadużyć i wykonać zadanie, które leżało poza sferą ich możliwości. Joel dobrze to pojmował. Ale nie mógł się pogodzić z jednym: ze swoim statusem nic nieznaczącej kukielki. Zniósłby to, że nikt go nie chroni, na warunkach, jakie przedstawił Avery Fowler. Ale nie na takich. Skoro kierowano nim jak kukielką, chciał, by manipulatorzy wiedzieli, że zdaje sobie z tego sprawę. Potrzebował także nazwiska osoby, do której mógłby zadzwonić w Bonn, człowieka współpracującego z jego mocodawcami. Pojawił się nowy wymiar.

Poprzednie reguły przestały pasować do sytuacji.

Za cztery godziny przejedzie przez żelazną bramę posiadłości Ericha Leifhelma.

Potrzebował kogoś z zewnątrz, kogo kazałby zawiadomić Fitzpatrickowi, gdyby nie wrócił do północy. Nadal gnały go stare furie. Nadal nie mógł się wycofać. Był

tak blisko pochwycenia w pułapkę starego władcy Sajgonu, tak blisko nadrobienia wszystkiego, co zniekształciło jego życie w sposób, którego nikt nigdy nie zrozumie... Nie, nie nikt. Udało się to pewnej kobiecie, która stwierdziła, że nie jest w stanie mu pomóc. Szukanie jej pomocy nie byłoby zresztą uczciwe.

-

Co postanowiłeś? - spytał Connal.

-

Postanowiłem? - odezwał się Joel, nagle wytrącony z zamyślenia.

-

Nie musisz jechać dziś po południu. Zrezygnuj z tej sprawy! Powinno się nią zająć FBI przy współpracy CIA. Przeraza mnie myśl, że ci ludzie nie poszli tą drogą.

Converse zaczął już odpowiadać, lecz umilkł w pół słowa. Musiało to być klarowne nie tylko dla Fitzpatricka, ale i dla niego samego. Wydawało mu się że rozumie.

Widział głęboką trwogę w oczach Avery'ego Fowlera (a raczej Prestona Hallidaya) i słyszał jego krzyk. Kłamstwa wynikały ze strategii, lecz oczy i głos wyrażały najgłębsze uczucia.

-

Czy nie przyszło ci do głowy, że nie mogli pójść tą drogą? Może obawiali się zawiadomić o wszystkim władze? Gdyby to zrobili, mogłyby spaść ich głowy, nawet dosłownie: oficjalna reprymenda i kula w łeb. Pozwól mi dodać, że podobnie jak nie uważam, iż wybrali najlepszego człowieka, nie sądzę także, że boją się o własne życie. Nie mogli załatwić sprawy na drodze oficjalnej, bo nie wiedzieli, komu ufać.

-

Boże, ale bezwzględny z ciebie sukinsyn!

-

Spokojnie, komandorze. Mamy do czynienia z paranoidalną fantazją o nazwie Akwitania, którą kierują ludzie sprawdzeni w walce, fanatyczni, inteligentni i przebiegli. Jeśli zrealizują swoje plany, staną się jedynymi rozsądnymi wśród wariatów. Zdobędą władzę nad światem, naszym światem, bo zmieni się w symbole stabilizacji. Stabilizacji, komandorze, w odróżnieniu od destabilizacji i anarchii. Kogo byś wybrał, gdybyś był zwykłym szarym czło wiekiem z żoną i trojgiem dzieci, i wracając wieczorem z pracy, nie byłbyś nigdy pewien, czy nie włamano ci się do domu, nie zgwałcono żony i nie uduszono dzieci? Wybrałbyś czołgi na ulicach.

-

I nie bez racji - odparł cicho Fitzpatrick, a jego słowa rozplynęły się w powietrzu.

-

Niewątpliwie, marynarzu. Właśnie na to liczą i zamierzają to przepro wadzić na skalę międzynarodową. Cokolwiek ma się stać, zacznie się za kilka dni albo tygodni. Gdybyśmy tylko dysponowali jakimiś poszlakami...

Converse odwrócił się i ruszył w stronę drzwi sypialni.

-

Dokąd idziesz? - spytał Connal.

-

Po telefon Beale'a na Mikonos. Mam go w teczce. To mój jedyny kontakt i zamierzam z nim porozmawiać. Chcę, by wiedział, że kukielka zdobyła trochę wolności.

Po trzech minutach Joel stał koło stołu ze słuchawką przy uchu i czekał, by grecka telefonistka z Aten połączyła go z Mikonos. Fitzpatrick siedział na kanapie z oczyma wbitymi w Converse'a, mając przed sobą na stoliku dossier Chaima Abrahmsa.

-

Połączą cię? - spytał prawnik wojskowy.

-

Telefon już dzwoni.

Nierówne, ostre dźwięki powtórzyły się czwarty, piąty, szósty raz. Za siódmym na wyspie egejskiej podniesiono słuchawkę.

-

Kherete?

228

-

poproszę doktora Beale'a, Edwarda Beale'a.

- Tee thelate?

-

Beale. Właściciel domu. Muszę z nim porozmawiać! - Joel odwrócił się do Fitzpatricka. - Znasz grecki?

- Nie, choć chciałem się go nauczyć.

-

Zrób to. - Converse zaczął wsłuchiwać się w męski głos na Mikonos.

W słuchawce rozlegały się kompletnie niezrozumiałe zdania po grecku. - Dziękuję! Do widzenia! -

Nacisnął kilkakrotnie widełki w nadziei, że połączenie międzynarodowe nie uległo przerwaniu i że porozumie się z grecką telefonistką znającą angielski. - Halo, centrala! Czy to centrala w Atenach? Świetnie!

Chciałbym połączyć się z innym numerem na Mikonos. - Converse podniósł

Ze stołu instrukcję wręczoną mu w Genewie przez Prestona Hallidaya. - Cho dzi o Bank Rodyjski. Numer telefonu...

Po kilkudziesięciu sekundach w słuchawce rozległ się głos bankiera Kostasa Laskarisa:

-

Kherete.

-

Mówi Joel Converse. Pamięta mnie pan, panie Laskaris?

-Naturalnie... Pan Converse?

Głos dobiegający z wielkiej odległości, brzmiał nieco dziwnie, jakby bankier trzymał się na baczności.

-

Próbowałem dodzwonić się do doktora Beale'a pod podany przez pana numer, ale słuchawkę odebrał człowiek nieznający angielskiego. Nie wie pan, gdzie przebywa doktor Beale?

Laskaris sapnął.

-

To ciekawe - rzekł cicho. - Zapewne rozmawiał pan z policjantem, panie Converse. Sam go tam posłałem. Doktor Beale miał wiele cennych przedmiotów.

-

Co się stało?!

-

Dziś rano, tuż po wschodzie słońca, wypłynął łodzią w morze w towa rzystwie jakiegoś mężczyzny. Widziało ich kilku rybaków. Dwie godziny temu łódź doktora Beale'a odnaleziono roztrzaskaną na skałach koło Stephanos. Na pokładzie nie było nikogo.

...Zabiłem go nożem do skrobania ryb i rzuciłem na pożarcie rekinom koło mielizny Stephanos.

Joel odłożył słuchawkę. Halliday, Anstett i Beale nie żyli. Utracił wszystkie kontakty. Poprzerywane sznurki kukielki ginęły gdzieś w mroku.

229

Rozdział 15

Woskowa skóra Ericha Leifhelma zbiałała jeszcze bardziej, a wyschnięte blade wargi rozchyliły się. Później napłynęła mu do twarzy krew i wyprostował się w fotelu przy biurku w swojej bibliotece.

-

Mógłbyś powtórzyć jego nazwisko? - rzekł do słuchawki.

-

Admirał Hickman. Jest dowódcą...

-

Nie - przerwał ostro Niemiec. - Mam na myśli tego drugiego. Oficera, który utajnił akta.

-

Fitzpatrick - odparł rozmówca z Londynu. - To nazwisko irlandzkie.

Jest szefem biura prawnego bazy morskiej w San Diego.

-

Komandor porucznik Fitzpatrick?

-

Tak, skąd wiesz?

-

Unglaublich! Diese Stämper!

-

Wieso? - spytał Anglik. - W jakim sensie?

-

Może służy w San Diego, Anglii, ale nie ma go tam w tej chwili!

Jest w Bonn!

-

Zwariowałeś? Nie, oczywiście, że nie. Jesteś pewien?

-

Jest z Converse'em! Sam z nim rozmawiałem. Zameldowali się w Das Rektorat pod nazwiskiem Fitzpatricka! Dzięki niemu znaleźliśmy Converse'a!

-

Nie próbował ukryć swego nazwiska?

-

Wręcz przeciwnie, wylegitymował się, żeby wynająć pokój!

-

Co za amatorszczyzna - odparł zdumiony londyńczyk. - A może jest po prostu bardzo pewny siebie? - dodał zmienionym tonem. - Czy to jakiś znak?

Chce pokazać, że nikt nie ośmieli się go tknąć?

-

Unsinn! Nie o to chodzi!

-

Dlaczego?

-

Rozmawiał z ambasadorem Peregrine'em. Był tam nasz człowiek. Peregrine chciał go zatrzymać i ściągnąć siłą do ambasady. Pojawiły się komplikacje, udało mu się uciec.

-

Nasz człowiek nie okazał się zbyt dobry.

-

Wyłoniły się przeszkody. Jakiś Schauspieler, aktor. Peregrine nie chce rozmawiać o tym incydencie. Trzyma język za zębami.

-

Co oznacza, że nikt nie tknie tego oficera z Kalifornii - zawyrokował

Brytyjczyk. - Zresztą nie bez powodu.

-

Co masz na myśli?

-

To szwagier Prestona Hallidaya.

-

Genewa! Mein Gott, atakują nas!

-

Tak, ale mają niewiele informacji. Zgadza się z Pało Alto, które z kolei zgadza się z naszym człowiekiem w Mosadzie i z Abrahmsem.

-

Z Żydem? Co mówi Żyd?

-

Twierdzi, że Converse to agent wysłany na ślepo przez Waszyngton.

230

- Potrzeba ci czegoś jeszcze?

- Nie wolno mu opuścić twojego domu.

Zdumiony podsekretarz stanu Brewster Tolland odłożył słuchawkę i zapadł się na moment w fotelu. Wreszcie pochylił się do przodu i nacisnął ręką właściwą kombinację guzików na konsolce.

-

Chesapeake - odezwał się kobiecy głos. - Poproszę o numer identyfikacji cyfrowej-

-

Sześć tysięcy - odparł Tolland. - Z wydziałem konsularnym, biuro numer osiem.

-

Aby uzyskać połączenie z biurem numer osiem, musi pan podać...

-

Plantagenet - przerwał podsekretarz.

-

Łączę.

-

Co się stało, sześć tysięcy?

-

Skończ z tymi bzdurami, Harry, mówi Brew. Czy zajmujecie się w Bonn czymś, o czym nie wiemy?

-Niczym, daję słowo.

-

Na pewno?

-

Tak. Informujemy was o wszystkim na bieżąco. Wczoraj rano dokonaliśmy przeglądu Republiki Federalnej Niemiec i nie wspomniano o niczym, o czym byście nie wiedzieli.

-

Gdyby było coś takiego, powiedziałbyś mi dokładnie to samo.

-

To prawda. Co się stało?

-

Odebrałem przed chwilą gniewny telefon pewnego ambasadora, który groził, że zadzwoni do starego przyjaciela pod numerem tysiąc sześćset.

-

Od Peregrine'a? O co chodziło?

-

Jeśli to nie wy, ktoś podszywa się pod wydział konsularny. Podobno prowadzona jest tajna kontrola jego ambasady związana w jakiś sposób z Departamentem Marynarki.

-

Marynarki?! Czyste wariactwo! Czy Bonn to port?!

-

Niestety tak.

-Nie wiedziałem, że po Renie pływał "Bismarck" albo "Graf Spee". To niemożliwe, Brew. Nie prowadzimy czegoś takiego ani nie zamierzamy. Podał ci jakieś nazwisko?

-

Tak, jedno - odparł Tolland, spoglądając na nabazgrane pośpiesznie notatki. - Adwokat Joel Converse. Kto to, Harry?

-Na miłość boską, nigdy o nim nie słyszałem! Ale skąd w tym wszystkim marynarka wojenna?

-

Jest jeszcze oficer w stopniu komandora porucznika, podający się za Szefa biura prawnego dużej bazy morskiej.

-

Podający się?

-

Cóż, przedtem podawał się za attache wojskowego ambasady.

-

Chyba uciekł ze szpitala psychiatrycznego.

-

Nie ma w tym nic śmiesznego, Harry. Peregrine to nie głupiec. Może objął to stanowisko przez próżność, ale jest cholernie sprawny i inteligentny. Twierdzi, że to nasi ludzie, którzy wiedzą więcej od niego.

-

Na czym to opiera?

-

Po pierwsze, na opinii człowieka, który rozmawiał z tym Converse'em...

-

Czyli kogo? - przerwał Harry z biura numer osiem.

-

Nie chciał powiedzieć. Twierdzi tylko, że mu ufa. Owa anonimowa osoba uważa Converse'a za wysokiej klasy specjalistę, który czymś się niepokoi, ale nie jest trefny.

-

Jaki?

-

Tak to określił Peregrine. Miał na myśli to, że Converse jest w porządku.

-

Co jeszcze?

-

Wspomniał o dość dziwnym zachowaniu części swojego personelu. Nie chciał podać szczegółów. Mówi, że jeśli nie wyjaśnię sprawy, porozmawia z sekretarzem albo tysiąc sześćset. Żąda szybkiej odpowiedzi, a my nie chcemy szumu wokół tej sprawy.

-

Postaram się pomóc - odpowiedział Harry. - Może to te skurwysyny z Langley albo Arlingtonu. W

ciągu godziny sprawdzę szefów biur prawnych baz marynarki wojennej, a Amerykańskie Stowarzyszenie Adwokatów poda mi jakieś informacje o tym Converse, jeśli oczywiście jest jego członkiem.

Przynajmniej czegoś się dowiemy.

-

Zadzwoń do mnie. Mam niewiele czasu. Nie chcemy wciągać w to Bia łego Domu.

-

Byle tylko nie to - zgodził się dyrektor wydziału konsularnego, odpo wiedzialnego w Departamencie Stanu za tajne operacje za granicą.

-Niech pan mi powie, czy to zgodne z prawem! - wykrzyknął spod okna kontradmirał

Hickman, zwracając się do wyprężonego i pobladłego Remingtona. - I proszę przedstawić mi swoje zdanie bez zbędnych komplikacji!

-

Trudno mi w to uwierzyć, panie admirale. Rozmawiałem z nim wczoraj w południe i wieczorem. Był w górach Sonoma!

-

Ja też z nim rozmawiałem, poruczniku. A kiedy coś buczało na linii, co mówił? Że linie telefoniczne zamokły na deszczu!

-

Mnie też to powiedział, panie admirale.

-

Dwa dni temu przybył do Niemiec, przekraczając granicę w Dusseldorfie! Jest obecnie w Bonn w towarzystwie człowieka, który, jak mi przysięgać ma coś wspólnego ze śmiercią jego szwagra! I chroni go, utajniając jego akta wojskowe!

-

Nie wiem, co o tym sądzić, panie admirale.

-

Cóż, Departament Stanu i ja dobrze wiemy! Żądają skrócenia karencji czy jak to się tam nazywa w tym waszym żargonie.

232

- Kontrolny okres karencji, panie admirale. Oznacza to po prostu...

- Nie chcę tego słuchać, poruczniku - przerwał Hickman, zmierzając stroną biurka. - Wie pan, ile tacy dranie wyłudziła ode mnie podczas moich dwóch rozwodów? - mruknął.

- Słucham, panie admirale?

- Nieważne. Żądam odblokowania tej flagi. To ja ściągnąłem tu Fitza. Awansowałem go, a ten skurwysyn mnie okłamał! Nie dość, że okłamał, jeszcze poleciał do Niemiec, choć wiedział, że nie powinien tego robić bez mojego zezwolenia! Dobrze wiedział! Macie jakieś obiekcje, poruczniku? Jeśli tak, zawrzyjcie je w jednym zdaniu, żebym nie musiał sprowadzać trzech innych prawników, by mi przetłumaczyli!

Porucznik Remington, jeden z najlepszych prawników Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych, wiedział, kiedy należy się wycofać. Wprowadzając admirała w błąd, Fitzpatrick naruszył zasady etyki zawodowej. Dalszy ciąg był jasny. Należało wycofać się pełną parą - a może pełną mocą reaktorów, choć Remington nie był

pewien, czy można tak to określić.

-Osobiście dopilnuję skrócenia kontrolnego okresu karencji, panie admirale. Jako oficer odpowiedzialny za biuro prawne natychmiast anuluję poprzedni rozkaz. Z

tego rodzaju prerogatyw nie wolno korzystać w niejasnych okolicznościach. Z

prawnego punktu widzenia...

-

To wszystko, poruczniku - przerwał admirał, zajmując miejsce za biurkiem.

-

Tak jest, panie admirale.

-

Nie, nie wszystko! - zawołał Hickman, pochylając się gwałtownie do przodu. - Kiedy otrzyma pan stenogram?

-

Po interwencji Departamentu Stanu to kwestia zaledwie kilku godzin.

Spodziewam się otrzymać dokumenty koło południa. Przekażę je wnioskodawcy szyfrowaną depeszą. Jednakże SAND PAC tylko utajnił akta Converse'a, lecz ich nie żądał...

-

To niech ich pan zażąda, poruczniku. Proszę mi je natychmiast dostarczyć i nie opuszczać wcześniej bazy.

-

Tak jest, panie admirale!

Ciemnoczerwony mercedes pokonał zakręt i przejechał przez potężną bramę posiadłości Ericha Leifhelma. Wśród wysokich drzew, rosnących nie tylko Wzdłuż drogi, lecz także na terenie całego majątku, świeciło niskie popołudniowe słońce. Pomarańczowe promienie przeświecające przez bujne zielone 'stowie mogłyby uczynić jazdę miłą, gdyby nie coś, co nadawało scenerii groteskowe piętno. Obok limuzyny biegł w zupełnej ciszy co najmniej tuzin olbrzymich dobermanów. Ich niemy, szaleńczy bieg miał w sobie coś fantastycznego. Koło szyb auta błyskały czarne ślepie, rozwierały się zębate paszcze słychać było szybkie chrapliwe oddechy, lecz z gardeł psów nie wydobywał

233

się żaden dźwięk. Converse czuł, że gdyby opuścił samochód, a doberman nie otrzymały odpowiednich rozkazów, rozszarpałyby go na strzępy.

Była to prawda. Limuzyna objechała duży kolisty gazon i zatrzymała się przed szerokimi schodami z brązowego marmuru, które prowadziły do łukowatych drzwi zwieńczonych płaskorzeźbą pochodzącą najwyraźniej z jakiejś splądrowanej katedry. Pośrodku najniższego stopnia stał mężczyzna ze srebrnym gwizdkiem podniesionym do ust. Znów nie rozległ się żaden dźwięk, lecz zwierzęta rzuciły się ku niemu i przysiadły przed nim na zadach z otwartymi paszczami, drżąc w gotowości do ataku.

-

Proszę łaskawie poczekać - rzekł szofer po angielsku z niemieckim akcentem, wysiadł z auta, podbiegł do drzwi Joela i otworzył je. - Proszę łaskawie wysiąść i odejść dwa kroki od samochodu. Tylko dwa kroki, bardzo proszę.

W ręku kierowcy pojawił się czarny metalowy przedmiot z wystającą zaokrągloną tubą z przodu.

-

Co to takiego? - spytał ostro Joel.

-

Proszę się nie niepokoić. Chodzi wyłącznie o pańskie bezpieczeństwo. Psy są wytresowane w wyczuwaniu metalu.

Niemiec sprawdził elektronicznym czujnikiem ubranie stojącego nieruchomo Joela, nie wyłączając butów, nóg i pleców.

-

Naprawdę myśleliście, że przyjadę z pistoletem?

-

Ja nie myślę, proszę pana. Wykonuję tylko rozkazy.

-

Co za oryginalność - wymamrotał Converse, patrząc na człowieka na marmurowych schodach, który znów podniósł gwizdek do ust. Falanga dober manów rzuciła się nagle do przodu. Joel, ogarnięty paniką, chwycił Niemca i zasłonił się nim. Nie napotkał oporu. Szofer odwrócił głowę i uśmiechnął się szeroko, psy zaś skręciły w prawo, obiegły kolisty gazon i popędziły drogą przez las.

-

Proszę nie przepraszać, mein Herr - rzekł kierowca. - Często się to zdarza.

-

Nie zamierzam pana przepraszać - odparł beznamiętnie Converse, pusz czając Niemca. - Chciałem skręcić panu kark.

Szofer odszedł, a Joel stał bez ruchu, zdumiony własnymi słowami. Nie mówił

takich rzeczy od przeszło piętnastu lat. Przedtem mu się to zdarzało, lecz nie wspominał tamtych czasów.

-

Proszę łaskawie tędy - rzekł mężczyzna na schodach dziwnym, typowo brytyjskim akcentem.

Z wielkiej sieni rezydencji, gdzie z wysokiej galeryjki zwieszał się rząd średniowiecznych proporców, przechodziło się do olbrzymiej bawialni, też urządzonej na modłę średniowieczną.

Wszędzie stały wygodne skórzane fote' le, lampy z wesołymi abażurami oraz ażurowe lśniące stoliki ze srebrnymi tacami.

Wyższe partie ścian szpeciły niezliczone trofea łowieckie: łby lisów, słoni i dzików patrzyły w dół gniewnymi oczyma. Oto jak wygląda siedziba feldmarszałka.

234

Uwagi Joela nie przykuł jednak wygląd rezydencji, lecz czterej mężczyź -
ni stojący rzędem koło czterech foteli.

° Przyglądał im się kilka sekund, myśląc tak gorączkowo, że miał wrażenie, iż upłynęły całe minuty. Znał dwóch: Bertholdiera i Leifhelma, stojących koło siebie po prawej stronie. Jego uwaga skupiła się na pozostałych dwóch. po lewej-Tęgi mężczyzna średniego wzrostu z wianuszkim krótkich włosów na łysiejącej głowie, odziany w pogniecioną koszulę safari, wysokie buty i spodnie koloru khaki. był niewątpliwie Chaimem Abrahmsem. Jego nalana, gniewna twarz z malutkimi wściekłymi oczkami rzeczywiście kojarzyła się z obliczem mściciela.

Bardzo wysoki mężczyzna o kościstych, orlich rysach i prostych siwych włosach był zapewne generałem Janem van Headmerem, "rzeźnikiem z Soweto". Joel zdążył

przeczytać jego dossier. Okazało się na szczęście najkrótsze, a wszystko streszczało podsumowanie:

Van Headmer to afrykanerski arystokrata z Kapsztadu, który nie zaakceptował

nigdy Brytyjczyków, a cóż dopiero Murzynów. Wyznawane przezeń ideały są niewzruszone. Jego przodkowie wydarli naturze dziki kraj i zapłacili za to ogromną cenę, mordowani brutalnie przez czarnych dzikusów. Poglądy van Headmera wywodzą się z przełomu dziewiętnastego i dwudziestego wieku. Nie jest w stanie zaakceptować społecznej ani politycznej emancypacji wykształconych przedstawicieli plemion Bantu, gdyż uważa ich za barbarzyńców z buszu. Kiedy nakazuje represje lub masowe egzekucje, uważa, że ma do czynienia ze zwierzętami, które powierzchownie poznały mowę ludzką. W okresie drugiej wojny światowej poglądy te zaprowadziły go do więzienia wraz z Verwoerdem i Vorstere m, późniejszymi premierami RPA. Całym sercem popierał nazistowską ideologię wyższości rasowej. Od nazistów odróżnia van Headmera jedynie bliska współpraca z Chaimem Abrahmsem, lecz nie widzi on w tym sprzeczności. Plemię Sabra również wydarło swój kraj naturze w prymitywnej Palestynie; łączy je z Afrykanerami podobna historia oraz poczucie własnej dumy i siły. Warto wspomnieć, iż van Headmer potrafi być niesłychanie czarujący; w życiu towarzyskim Jest kulturalny, niezwykle uprzejmy i zawsze gotów wysłuchać cudzego zdania. W głębi serca to bezduszny morderca, klucz Delavane'a do Afryki Południowej wraz z jej ogromnymi bogactwami naturalnymi.

- Mein Haus ist dein Haus - odezwał się Leifhelm, idąc w stronę Joela z wyciągniętą ręką.

. Converse zrobił krok do przodu, by odwzajemnić powitanie. Ich dłonie się spotkały.

- Nieco dziwne przyjęcie, jakie spotkało mnie przed domem, niezbyt pasuje do tej wspaniałej maksymy - rzekł, puszczając rękę Leifhelma. Minął obcesowo byłego feldmarszałka i zbliżył się do Bertholdiera. - Miło mi pana znowu widzieć, generale. Proszę przyjąć wyrazy ubolewania z powodu niefortunnego 235

incydentu w Paryżu. Nie chciałbym wyrażać się lekceważąco o ludzkim życiu, lecz odniosłem wrażenie, iż pański podwładny niezbyt troszczył się o moje.

Śmiałość Joela wywarła pożądany efekt. Bertholdier wpatrywał się w niego przez chwilę, zapomniawszy języka w gębie. Converse czuł, że pozostali trzej mężczyźni również bacznie mu się przyglądają, bez wątpienia uderzeni jego odważnym zachowaniem.

-

Przykro mi, monsieur - odparł spokojnie Francuz. - Jak pan wie, nie wykonał wydanych mu rozkazów.

-

Doprawdy? Podobno źle je zrozumiał.

-Ależ to to samo!

Ostry, głęboki głos z silnym cudzoziemskim akcentem dobiegł z tyłu. Joel odwrócił się.

-

Doprawdy? - spytał chłodno.

-

W czasie walki, owszem - odparł Chaim Abrahms. - Jedno i drugie to błąd, a za błędy płaci się życiem. Właśnie to spotkało człowieka z Paryża.

-

Proszę pozwolić mi przedstawić generała Abrahmsa - wtrącił Leifhelm, biorąc Converse'a pod łokieć i prowadząc przez pokój. Wymieniono uścisk dłoni.

-

Poznanie pana to wielki zaszczyt, generale - rzekł z przejęciem Joel. -

Podobnie jak wszyscy tu obecni, żywię dla pana ogromny podziw, choć pańskie popisy retoryczne

przekraczały niekiedy granicę dobrego smaku.

Izraelczyk poczerwieniał, a w wielkim pokoju zabrzmiał cichy, gardłowy śmiech.

Nagle wystąpił do przodu van Headmer. Converse spojrział na mocną twarz generała, który zmarszczył brwi i zacisnął zęby.

-

Mówi pan do jednego z moich najbliższych współpracowników - ode zwał się Afrykaner tonem reprimendy. Zamilkł na chwilę, a na jego kościstej twarzy ukazał się uśmiech. - Sam nie umiałbym wyrazić tego lepiej. Miło mi pana poznać, młody człowieku.

Afrykaner wyciągnął rękę w stronę Joela, który uścisnął ją przy akompaniamencie coraz donośniejszego śmiechu.

-

Czuję się urażony! - zawołał Abrahms, unosząc krzaczaste brwi i kiwając głową w udawanym gniewie. - Czy to ja gadam za dużo?! Ci wszyscy gawędziarze zgadzają się z panem, panie Converse, bo żaden z nich nie spał

z kobietą od dwudziestu pięciu lat! Mogą twierdzić coś przeciwnego i powoływać się na świadków, ale proszę mi wierzyć, wynajmują kurwy, żeby grały z nimi w karty albo czytały im bajeczki do łóżka! Wszystko po to, żeby oszukać przyjaciół! - Śmiech przybrał na sile, a Żyd, ośmielony aplauzem słucha czy, pochylił się do przodu i szepnął teatralnie do ucha Joela: - Wynajmuję te same kurwy, które opowiadają mi o tym, gdy je pieprzę! Ci gawędziarze kładą się spać o dziewiątej wieczór, prosząc przedtem o szklankę ciepłego mleka.

Z geriavitem, jeśli to możliwe!

-

Mój drogi Sabro - rzekł roześmiany Leifhelm - wczytywałeś się pilnie w brukowe romanse!

236

-No i sam pan widzi! - zawołał Abrahms, rozkładając ręce i wzruszając dużymi ramionami. - Słyszysz pan? Pilnie! Właśnie dlatego Niemcy przegrały wojnę! Zamiast realizować Blitzkrieg i Angñffe, pilnie gładzili, co robić!

-

Powinni dać ci dowództwo, Chaimie - stwierdził rozbawiony Bertholdier. - Zmieniłbyś nazwisko, nazwałbyś Rommla oraz von Rundstedta Żyda-mi i miałbyś pod komendą dwie armie!

-

Niemieckie naczelne dowództwo popełniało większe błędy - zgodził się Izraelczyk.

-

Ciekawe, czybyś na tym poprzestał? - ciągnął Francuz. - Hitler był znakomitym mówcą, podobnie jak ty. Może jego też nazwałbyś Żydem i zajął byś fotel kanclerski?

-

O, wiem z bardzo dobrego źródła, że był Żydem, ale z bardzo złej rodziny. Nawet moje mamy, oczywiście pochodzą z Europy.

Śmiech znów przybrał na sile, po czym przycichł nagle. Joel zrozumiał aluzję.

-

Bywam niekiedy nazbyt szczery, panie generale - zwrócił się do Izraelczyka. - Powinienem się tego oduczyć, lecz proszę mi wierzyć, nie miałem zamiaru pana urazić. Czuję wyłącznie podziw dla pańskich ideałów oraz polityki.

-

Właśnie o tym powinniśmy porozmawiać - rzekł Leifhelm, skupiając na sobie uwagę. - O ideałach, polityce, filozofii działania, jeśli pan woli. Naturalnie nie będziemy mówić o szczegółach, choć kilka niewątpliwie się pojawi. Najważniejsze jest podejście do zagadnień szerszych. Proszę łaskawie usiąść, panie Converse. Ufam, że nasze pierwsze spotkanie doprowadzi do wielu następnych.

Konradmirał Hickman położył z namysłem stenogram na biurku koło swoich stóp i spojrzał bez celu za okno na ocean pod ołowianym niebem. Skrzyżował ramiona, spuścił głowę i zmarszczył czoło, pogrążony w myślach. Był równie zdumiony jak wtedy, gdy przeczytał stenogram pierwszy raz; nie miał wątpliwości, że Remington się pomylił. Prawnik był zbyt młody, by wiedzieć cokolwiek o Wietnamie; nie mógł

tego zrozumieć nikt, kto tego nie przeżył. Ale zbyt wielu orientowało się, o co chodzi, i dlatego utajniono akta Converse'a, jednakże rozumowanie to nie miało sensu po osiemnastu latach. Przypominało to ekshumację zwłok człowieka zmarłego na malarię, choć on sam nadal żył. Musiało chodzić o coś innego.

Hickman spojrział na zegarek, rozprostował ramiona i zdjął stopy z krawędzi biurka. W Norfolk było akurat dziesięć po trzeciej. Sięgnął po telefon.

- Witaj, Brian - odezwał się kontradmirał Scanlon z Piątego Okręgu Marynarki. -

Chcę, żebyś wiedział, jak bardzo doceniamy pomoc SAND PAC.

- SAND PAC? - spytał Hickman uderzony tym, że Scanlon nie wspomniał o Departamencie Stanu.

237

-

Dobrze, twoją pomoc. Mam u ciebie dług wdzięczności, Hicky.

-

Zacznij go spłacać, nie posługując się tym zdrobnieniem.

-

O, daj spokój, nie pamiętasz meczów hokejowych? Wypadałeś na lód a wszyscy kadeci wrzeszczeli: "Jedzie Hicky! Jedzie Hicky!"

-

Czy mogę już zacząć cię słuchać?

-

Usiłuję po prostu ci podziękować, stary.

-

Świetnie, tylko nie bardzo wiem za co. Czytałeś stenogram?

-

Oczywiście.

- I jest w nim coś ważnego?

-

Cóż - odparł wymijająco Scanlon - przejrzałem go dość pobieżnie.

Miałem straszliwy dzień i szczerze mówiąc, tylko go przeleciałem. Co o tym sądzisz? Chętnie poznałbym twoją opinię, bo, między nami mówiąc, jeszcze się w tym nie orientuję.

-

Zupełnie nic tam nie ma. Oczywiście, w tamtych latach na rozkaz Białego Domu utajnialiśmy wszystkie oficjalne dokumenty zawierające krytykę dowództwa. Zresztą też mieliśmy go po dziurki w nosie. Ale ten stenogram nie zawiera absolutnie niczego nowego. Co najwyżej za sto lat zainteresuje się nim jakiś historyk wojskowości, by opracować jakiś mały przypis.

-

No cóż... - powtórzył jeszcze bardziej wymijająco Scanlon. - Converse mówił dość ostro o głównodowodzącym Sajgonu.

-

O Zwariowanym Marcusie? Boże, sam mówiłem gorsze rzeczy, a mój dowódca klął dziesięć razy bardziej. Kazaliśmy tym dzieciakom atakować wzdłuż całego wybrzeża, choć nadawali się najwyżej do opalania się na plaży... Nic z tego wszystkiego nie rozumiem. Ty i mój prawnik uważacie to samo, ale to przecież jakieś stare dzieje bez znaczenia. Zwariowany Marcus to dziś archeologia.

-

Twój prawnik?

-

Zastępca szefa mojego biura prawnego, Remington, już ci o nim mówiłem.

-

Ach tak, uparty kutas.

-

On też zauważył wzmiankę o Sajgonie. "To na pewno to" - powiedział.

"Chodzi o Delavane'a". Jest za młody, by pamiętać, że na George'u Marcusie Delavane używały sobie wszystkie organizacje antywojenne w kraju. Do licha, przecież to wojsko nazwało go Zwariowanym Marcusem! Nie, to na pewno nie Delavane, to coś innego. Może coś związanego z ucieczkami, zwłaszcza ostatnią? Może kryją się za tym jakieś sprawy wywiadowcze?

-

Cóż - powtórzył po raz trzeci admirał z Norfolk znacznie mniej wymi jającym tonem. - Coś w tym może być, ale nas to nie interesuje. Wiesz, będę z tobą szczery. Nie chciałem o tym mówić, żebyś nie myślał, że zadałeś sobie na próżno tyle trudu, ale doszły mnie słuchy, że ta cała sprawa to kompletne pudło.

-

Doprawdy? - spytał Hickman, który zaczął słuchać bardzo uważnie. -

Jak to?

238

-

To nie ta osoba. Zdaje się, że jakiś nadgorliwy młodszy oficer prowadził

studia nad wypadkami dziejącymi się w tym samym czasie i w podobnych okolicznościach. Zauważył flagę i wyciągnął kilka błędnych wniosków. Mam nadzieję, że karna musztra o piątej rano dobrze mu zrobi.

- I to wszystko? - spytał admirał z SAND PAC, ukrywając zdumienie.

-

Tak nas poinformowano. Sprawa, którą zajmował się szef twojego biura prawnego, nie ma z tym nic wspólnego.

Hickman nie wierzył własnym uszom. Było to oczywiste: Scanlon nie wspomniał o interwencji Departamentu Stanu, bo nie miał o niej pojęcia! Czym prędzej dystansował się od Converse'a i kłamał, ponieważ o niczym nie wiedział.

Departament Stanu działał po cichu, prawdopodobnie za pośrednictwem wydziału konsularnego, a Scanlon nie przypuszczał, że "stary Hicky" słyszał coś o Bonn, Converse czy Connalu Fitzpatricku. Albo o człowieku nazwiskiem Preston Halliday, którego zamordowano w Genewie. Co się, u licha, dzieje? Hickman nie mógł wydobyć od Scanlona niczego więcej. Nie zamierzał nawet próbować.

-

Więc do diabła z tym. Za trzy czy cztery dni wróci szef mojego biura prawnego i może czegoś się wtedy dowiem.

-

To i tak bez znaczenia, admirale. Moi ludzie się pomylili.

-

Twoi ludzie nie potrafiliby sterować kajakiem.

-

To nie twoja wina, Hicky.

Hickman odłożył słuchawkę, oparł starym zwyczajem nogi na biurku i zamyślił się, patrząc przez okno na ocean. Przez grube chmury usiłowało przebić się słońce, bez większego powodzenia.

Nie przepadał za Scanlonem z przyczyn tak trywialnych, że nie warto było się nad nimi zastanawiać. Z wyjątkiem jednej: wiedział, że to łgarz. Nie podejrzewał

jednak, że kłamie tak głupio.

Porucznik David Remington czuł się mile połączony. Zaprosił go na lunch powszechnie znany kapitan marynarki, który rozmawiał z nim przez telefon w bardzo uprzejmy sposób i dodał, że doskonale rozumie, jeśli porucznik ma akurat inne pilne zajęcia. Oświadczył Remingtonowi, że sprawa ma charakter osobisty, nie jest związana ze służbą. Chociaż mieszkał stale w willi w La Jolla, zszedł

na ląd tylko na kilka dni i potrzebował porady prawnej. Słyszał, że porucznik Remington to jeden z najlepszych prawników w Marynarce Wojennej Stanów Zjednoczonych. Czy porucznik byłby tak łaskaw...?

Oczywiście Remington postawił sprawę jasno: może udzielać porad jedynie na zasadzie amicus-curiae. Nie wchodzi w grę żadne honorarium, gdyż stanowiłoby to naruszenie paragrafu numer...

- Czy wolno mi postawić panu lunch, poruczniku, czy też musimy zażądać osobnych rachunków? - spytał niecierpliwie kapitan.

Restauracja znajdowała się wysoko w górach nad La Jolla. Był to przydrożny zajazd na uboczu, gdzie stołowali się okoliczni mieszkańcy oraz przybysze z

San Diego i University City, którzy nie chcieli pokazywać się razem publicznie. Remington był niepokieszony. Wolałby iść z kapitanem do Coronado, niż jechać piętnaście kilometrów na północ, by nie pokazywać się w La Jolla. Jednakże kapitan nalegał z uprzejmą stanowczością: nie chciał się spotkać nigdzie indziej. David zasięgnął o nim języka. Kapitan, kawaler wielu orderów, nie tylko czekał na awans, lecz uchodził także za kandydata do Kolegium Szefów Sztabów. Remington pojechałby rowerem po linie, by nie spóźnić się na spotkanie.

Czuł się zresztą bardzo podobnie, gdy wspinał się wąskimi serpentynami, kręcąc kierownicą

samochodu w prawo i w lewo. Najważniejsze, że porada osobista ma jednak charakter zawodowy, myślał. A wobec braku honorarium zmienia się w dług wdzięczności, który może kiedyś zostać spłacony. A jeśli kapitan wejdzie do Kolegium Szeferów Sztabów... Remington nie mógł się powstrzymać. Poczucie własnej ważności spowodowało, że wspomniał koledze prawnikowi z bazy (autorowi przezwiska "uparty kutas"), iż wybiera się do La Jolla na lunch z wysoko notowanym kapitanem i może spóźnić się do biura. Podkreślił jeszcze wszystko, pytając o drogę.

Boże, co to?! Boże...!

Zza najbliższego zakrętu wynurzyła się olbrzymia, czarna, przegubowa ciężarówka.

Jechała zygzakiem wąską, stromą drogą, nabierając z każdą chwilą prędkości. Czarny potwór pędził do przodu niczym oszalałe zwierzę!

Remington gwałtownie zakręcił kierownicą, by uniknąć czołowego zderzenia. Wzdłuż drogi rosły tylko młode kwitnące drzewka; niżej rozciągała się przepaść i pola pokryte zielenią. Były to ostatnie obrazy, jakie ujrzał, gdyż samochód przewrócił się na bok i runął w dół.

Znacznie wyżej, na szczycie innego wzgórza, klęczał mężczyzna z lornetką uniesioną do oczu. Kiedy usłyszał echo eksplozji w dole, jego oblicze nie wyrażało smutku ani radości. Jedynie skonstatował fakt. Zadanie zostało wykonane. Kolejny mało znaczący epizod toczącej się wojny.

A porucznik David Remington, prowadzący życie spokojne i uporządkowane, wiedzący dokładnie, do czego dąży, i pewny, że uniknie losu ojca zmarłego dla kariery, został skazany na śmierć przez firmę, o której nigdy nie słyszał. Nosiła ona nazwę Akwitania. Remington natknął się na nazwisko Delavane'a.

"Uważają to za jedynie słuszną drogę rozwoju współczesnego świata po całkowitej klęsce innych ideologii..."

Słuchając czterech Akwitańczyków, Joel przypominał sobie nieustannie słowa wypowiedziane przez Prestona Hallidaya w Genewie. Przerazało to, że tak niezachwianie wierzą w swoje poglądy, oparte na doświadczeniach wielu dekad, że wysuwają przekonujące argumenty, że bezbłędnie wskazują przeszłe błędy, za które świat zapłacił straszliwymi cierpieniami i absurdalną śmierć dla milionów ludzi.

240

Celem ich sojuszu, zawartego przez dawnych sprzymierzeńców i wrogów, było po prostu położenie kresu anarchii i stworzenie systemu dobrotliwego ładu, który pozwoliłby kwitnąć państwom wysoko uprzemysłowionym oraz umożliwiłby swobodny rozwój gospodarczy dla dobra całej ludzkości i dzielenie się korzyściami z biednym, wstrząsanym konfliktami Trzecim Światem, by przeciągnąć go na swoją stronę. Tylko w ten sposób, tylko jednocząc glob, można powstrzymać szerzenie się

komunizmu i zniszczyć go dzięki potędze militarnej finansowej.

Ażeby tego dokonać, trzeba zmienić system wartości i ustalić nowe priorytety.

Należy koordynować globalną politykę gospodarczą, by wzmocnić kraje wolnego świata. Państwa, międzynarodowe korporacje i gigantyczne koncerny muszą opierać się na wzajemnie współzależnych ciałach doradczych, słuchać ich rozkazów, wypełniać ich decyzje - które staną się z kolei decyzjami poszczególnych rządów, informujących się na bieżąco o sytuacji. Jak powinny wyglądać owe ciała doradcze? Kto miałby w nich zasiadać, by przemawiać w imieniu wolnego świata i kierować jego polityką?

W całej historii ludzkości tylko jeden gatunek ludzi cechowała zawsze wielkość.

Kiedy wzywano ich w okresach konfliktów, dokonywali nadludzkich czynów, nawet ponosząc klęski. Ogromny wpływ, jaki wywierali na historię w epokach wojen, i niestety nieco mniejszy w czasach pokoju, dawał się łatwo zrozumieć: byli bezinteresowni. Należeli do kasty, którą nauczono służyć bez nadziei na nagrodę.

Jedyną nagrodę stanowi dla nich własna wielkość. Nie obchodzi ich bogactwo, albowiem zaspokajają swoje potrzeby i zdobywają przywileje wyłącznie poprzez doskonałe wypełnianie obowiązków. W odróżnieniu od elity świata biznesu są odporni na przekupstwo, które nie ma do nich przystępu. Jeśli otrzymują nadmierne darowizny, spotyka się to z natychmiastowym potępieniem, prowadząc do sądów wojennych. Przywódcy owej kasty społecznej odznaczają się nie tylko całkowitą nieprzekupnością, lecz są także ostatecznymi zbawcami ludzkości.

To wojskowi, wojskowi całego świata, choćby pozostawali akurat wrogami. Razem, nawet jako przeciwnicy, najlepiej rozumieją katastrofalne rezultaty słabości.

Oczywiście społeczeństwo należy z konieczności pozbawić pewnych niezbyt istotnych praw, lecz jest to niewielka ofiara na rzecz przetrwania. Czyż można temu zaprzeczyć?

Żaden z czterech rzeczników Akwitanii nie podnosił głosu. Wydawali się łagodnymi prorokami rozsądku, każdy z własną historią, własną tożsamością...

sPrzymierzeńcami i wrogami zjednoczonymi w oszalałym świecie.

Converse zgadzał się ze wszystkim, co mówiono - było to niezbyt trudne. Poruszał

abstrakcyjne kwestie filozoficzne, jak się tego po nim spodziewano. Poważną minę przybrał nawet nadworny błazen, Chaim Abrahams, który rzekł cichym głosem:

- Uważa pan, przyjacielu, że tylko Żydzi żyją w diasporze? Myli się pan.

wszystkie narody są rozrzucone po świecie, walczą ze sobą i nie wiedzą, dokąd 241

ić. Niektórzy rabini twierdzą, że my, Żydzi, osiągniemy zbawienie dopiero po nadejściu Mesjasza, który wskaże nam drogę do Ziemi Obiecanej. Jednakże Bóg się spóźniał i nie mogliśmy dłużej czekać. Stworzyliśmy Izrael. Rozumie pan o co chodzi? To my, tu obecni, jesteśmy wysłannikami Boga na ziemi. Chociaż cenię sobie sławę związaną z wieloma swoimi przeszłymi czynami, chętnie oddam życie za nasze zwycięstwo, nawet jeśli nikt się o tym nie dowie.

Jacques Louis Bertholdier:

-

Drogi panie Converse, chyba najcelniej sformułował to Rousseau. Kwin tesencją jego poglądów jest teza, że człowiek osiąga najwyższą wolność, gdy rozumie swoje ograniczenia. Zamierzamy jedynie wprowadzić owe ograni czenia. Czyż to nie logiczne?

Erich Leifhelm:

-

Goethe określił to jeszcze trafniej, pisząc: "Romantyzm polityki służy łagodzeniu lęków ignorantów". Na kartach Aus Meinem Lieben stwierdza wyraźnie, że podstawową cechą elity rządzącej powinna być dyscyplina. Któż odznacza się większym umiłowaniem dyscypliny?

Jan van Headmer:

-

Moja ojczyzna to żywe ucieleśnienie owej prawdy. Ucywilizowaliśmy dzikusów i stworzyliśmy wielki, twórczy naród. Barbarzyńcy powracają, a kraj popada w chaos.

Ciągnęło się to przez kilka godzin. Zamyśleni Akwitańczycy wygłaszali cichymi głosami refleksyjne uwagi, a szczerłość ich poglądów przejawiała się jedynie w widocznej tu i ówdzie namiętności. Dwukrotnie proszono Joela, by ujawnił

nazwisko swojego klienta, on zaś dwukrotnie odmawiał, powołując się na zobowiązanie do zachowania tajemnicy, które zostanie anulowane za kilka dni, może nawet wcześniej.

-

Muszę przedstawić swojemu klientowi coś konkretnego. Podejście, stra tegię, które zagwarantuje mu natychmiastowy udział i zwiąże go ze sprawą.

-

Czy jest to w tej chwili konieczne? - spytał Bertholdier. - Poznał pan nasze argumenty. Niewątpliwie widać w nich pewną strategię.

-

Zgoda, strategię ogólną. Chodzi mi wobec tego o taktykę. Nie interesuje mnie pytanie "dlaczego", tylko „jak”

-

Ciekawią pana nasze plany? - spytał Abrahms. - Czemu?

-

Ponieważ w grę wchodzi inwestycja przekraczająca wszystko, co sobie wyobrażamy.

-

To niezwykle stwierdzenie - wtrącił van Headmer.

-

Mój klient posiada niezwykle możliwości - odparował Converse.

-

Doskonale - odezwał się Leifhelm i zerknął po kolei na swoich towarzyszy. Joel zrozumiał: zasięgał przedtem ich opinii i prosił teraz o zgodę.

Otrzy

mał ją. - Co pan sądzi o kompromitacji kilku bardzo wpływowych urzędników państwowych?

-

Za pomocą szantażu? - spytał Joel. - Gróźb? To się nie uda. Istnieje zbyt wiele mechanizmów regulacyjnych. Zarzuty wychodzą w końcu na jaw 242

i ofiara PodaJe się do dymisji. Następuje oczyszczenie, a w miejsce słabości pojawia się siła.

-

To bardzo wąska interpretacja - oświadczył Bertholdier.

- Nie bierze pan pod uwagę czynnika czasu! - zawołał wyzywająco Abrahms, pierwszy raz podnosząc głos. - Kumulacja, Converse! Nagłe przyspieszenie!

Joel zdał sobie nagle sprawę, że trzech mężczyzn patrzy ostrzegawczo na Izraelczyka. Abrahms wzruszył ramionami.

-

To po prostu przenośnia - stwierdził.

-

Zrozumiałem ją - odparł bez emfazy Converse.

-

Nie jestem nawet pewien, czy pasuje - odezwał się Żyd, dostrzegając swój błąd.

-

Cóż, mam wrażenie, że pora na kolację - oświadczył Leifhelm, zdejmując dłoń z oparcia fotela. - Tak się chwaliłem swoimi przyjęciami, że czuję się nieco zaniepokojony. Mam nadzieję, że szef kuchni obroni mój honor. -Jakby w odpowiedzi na sygnał (Joel wiedział zresztą, że jest tak w istocie) w łukowa tych drzwiach na krańcu sali pojawił się brytyjski służący. -Jestem doprawdy jasnowidzem! - Leifhelm wstał z fotela. - Za mną, przyjaciele! Comber ja gnięcy cicatrise, danie stworzone przez bogów na własny użytek i skradzione przez potwornego złodzieja władającego moją kuchnią...!

Kolacja okazała się rzeczywiście wyśmienita. Każdemu z dań poświęcono mnóstwo uwagi i starań, zarówno pod względem smaku, jak i sposobu podania. Converse był

bardziej żarłokiem niż smakoszem, a jego wiadomości kulinarne pochodziły z drogich restauracji, gdzie prawie nie zwracał uwagi na jedzenie -jednakże wiedział, że potrawy są najlepsze w swoim rodzaju. Nic nie było w drugim gatunku, łącznie z samym stołem, olbrzymią masą mahoniu wspartą na dwóch delikatnie rzeźbionych trójnogach. Parkiet pokrywały zawile desenie, a na ścianach wyłożonych czerwonym welurem wisały olejne obrazy ze scenami myśliwskimi. Na stole stały niskie świeczniki ze srebrnymi zwierciadłami, jednakże płomyki świec nie zasłaniały twarzy pozostałych gości. Wyczynu tego mogłaby Leifhelmowi pozazdrościć większość gospodyń w Nowym Jorku, Londynie i Genewie.

Przestano poruszać poważne tematy, o których debatowano w bawialni. Wydawało się, że zarządzono przerwę w obradach, aby odciążyć zebranych od brzemienia wielkiej polityki i pozwolić odpocząć myślom. Jeśli kolacja miała taki cel, został on w całości zrealizowany. Prym wiodł Afrykaner, van Headmer. Na swój łagodny, czarujący sposób (dossier mówiło prawdę, "bezduszny Morderca" okazał

się rzeczywiście czarujący) opowiadał o safari, na które zabrał Chaima Abrahmsa.

-

Czy zdajecie sobie sprawę, panowie, że to ja, w sklepie w Johannesburgu, kupiłem temu biednemu Izraelicie jego pierwszy strój safari? Nigdy tego nie żałowałem. Stał się wszak wizytówką naszego wielkiego generała! Oczywiście wiadomo, dlaczego tak go lubi. Wsiąka w niego pot i nie wymaga częste go 243

prania, wystarczy po prostu dużo dezodorantu. Ale to nie ten sam kostium prawda, generale?

-

Każę go bielić swojej żonie, żeby zniknął smród bezbożnych handlarzy niewolników! - odparł z szerokim uśmiechem nadworny błazen z plemienia Sabra.

-

Skoro mówimy o niewolnikach, posłuchajcie pewnej historii - rzekł

Afrykaner, wypijając kieliszek wina, które zmieniało się po każdym daniu.

Dzieje pierwszego i ostatniego safari Chaima Abrahmsa mogłyby posłużyć za kanwę wodewilu. Izraelczyk tropił lwa samotnika wraz z nosicielem broni, Murzynem, któremu straszliwie wymyślał, nie zdając sobie sprawy, że czarny zna angielski równie dobrze jak on sam. Abrahms przestrzelał przed polowaniem wszystkie swoje cztery sztucery, ale ilekroć udawało mu się wziąć lwa na muszkę, pudłował. On, rzekomo świetny strzelec, sławny generał obdarzony sokolim wzrokiem, nie zdołał

trafić olbrzymiego lwa z odległości stu metrów! Pod wieczór wyczerpany Chaim Abrahms przekupił

nosiciela broni: posługując się łamaną angielszczyzną i gestykulacją, zabronił mu wspominać reszcie myśliwych o niecelnych strzałach.

Kiedy wrócili do obozu, Chaim Abrahms przeklinał nieistniejące lwy i głupich tragarzy, a czarny poszedł do namiotu van Headmera i powiedział (Afrykaner potrafił doskonale naśladować murzyński angielski):

-

Moja woleć lew od Żyd, baas. Ja przekreślić mu celownik, ale chyba nic złego się nie stać. On dawać mi różne rzeczy, a nawet proponować bar miewa.

Gruchnął śmiech. Najgłośniejszym śmiał się sam Abrahms, co przynosiło mu zaszczyt.

Najwyraźniej znał już ową historię i uwielbiał jej słuchać. Joel pomyślał, że z takich opowiadań na swój temat mogą śmiać się szczerze tylko ludzie niesłuchanie pewni siebie. Izraelczyk wierzył niezachwianie w swoje poglądy i nie przeszkadzały mu żarty na własny temat. To także było przerażające.

Pojawił się brytyjski służący, który podszedł w milczeniu do Leifhelma i szepnął

mu coś na ucho.

-

Wybaczenie, przyjaciele - rzekł Niemiec, wstając. - Muszę odebrać tele fon. Dzwoni nerwowy makler z Monachium, który zbiera wszystkie plotki z Rijadu. Szejk idzie do toalety, a on słyszy grzmoty od wschodu.

Żywa rozmowa toczyła się nadal, a trzech Akwitańczycy pozowali na starych przyjaciół, którzy chcą ugościć nowo poznanego kompana. Owa poza była także przerażająca. Gdzie się podzieli fanatycy zamierzający obalać rządy, bezwzględnie przejąć władzę, odebrać wolność milionom ludzi, narzucenie społeczeństwu swoją wizję państwa opartego na wojskowym rygorze? Joel miał przed sobą intelektualistów. Cytowali Rousseau i Goethego, współczuli cierpiącym i ubolewali nad bezsensowną śmiercią. Odznaczali się poczuciem humoru, potrafili śmiać się z samych siebie i mówili cicho o złożeniu w ofierze własnego życia dla dobra oszalałego świata. Joel rozumiał. Usiłowali go przekonać, strojąc się w togi mężów stanu. Co powiedział Leifhelm

244

przycaczając Goethego? "Romantyzm polityki służy łagodzeniu lęków ignorantów".

Przerażające.

Leifhelm powrócił, a w ślad za nim podążał brytyjski służący z dwiema odkorkowanymi butelkami

wina. Jeśli z Monachium nadeszły złe wiadomości, Niemiec nie pokazał tego po sobie. Był nadal w doskonałym humorze, uśmiechał się woskowymi wargami i zachwalał kolejne dania z niesłabnącym entuzjazmem.

-

A teraz, przyjaciele, pora na jagnię cicatrise, istną rozkosz bogów. Oka zało się, całkiem niezłe. Na cześć naszego gościa czeka nas dziś coś specjalne go. Mój dzielny angielski przyjaciel i towarzysz natknął się w Siegburgu na kilka butelek Östreicher Lenchen Beerenauslese. Rocznic 1971. Czyż można wyobrazić sobie lepsze ukoronowanie wieczoru?

Akwitańczycy spojrzeli po sobie.

-

Rzeczywiście udane znalezisko, Erich - odezwał się w końcu Bertholdier. - To jedno z nielicznych win niemieckich, które nadają się do picia.

-

Johannesburski Klausberg Riesling rocznik 1982 zapowiada się na naj lepszy od wielu lat - stwierdził van Headmer.

-

Wątpię, czy dorówna Richon Zioń Carmel - dodał Izraelczyk.

-

Jesteście doprawdy niemożliwi!

Kuchmistrz w białym nakryciu głowy wtoczył srebrny wózek do potraw, odsłonił

jagnię i zaczął je kroić oraz nakładać na talerze, obserwowany z uznaniem przez biesiadników. Anglik podał przystawki i nalał wino.

Leifhelm uniósł kieliszek, a migotliwe światło świec odbijało się w rżniętym kryształach i srebrnych zwierciadłach.

-

Zdrowie naszego gościa i jego anonimowego klienta, który, mam nadzieję, również znajdzie się niebawem wśród nas!

Converse skinął głową i wypił.

Odjął kieliszek od ust i zdał sobie nagle sprawę, że czterej Akwitańczycy patrzą na niego. Ich

kieliszki stały nietknięte na stole. Żaden nie spełnił toastu.

Znów odezwał się Leifhelm. Jego głos był nosowy, zimny, pełen wściekłości trzymanej w ryzach przez intelekt:

-

"Nie wolno pozwolić, żeby pojawili się znowu tacy ludzie, rozumie cie?! To Delavane był naszym śmiertelnym wrogiem!" To pańskie słowa, praw da, panie Converse?

-

Co takiego?!

Joel nie był pewien, czy własny głos należy do niego. Płomienie świec wybuchły nagle, oczy wypełnił mu ogień, a palenie w gardle zmieniło się w nieznośny ból.

Chwycił się za szyję, usiłując powstać z krzesła, przewrócił je, usłyszał łomot przypominający zwielokrotnione echo. Runął na ziemię, mając Przed oczyma wirującą czerń pełną błyskawic. Ból przeniósł się do żołądka, był nie do zniesienia. Joel chwycił się za podbrzusze, usiłując wypchnąć go z ciała. Nagle poczuł własne ruchy na twardej powierzchni i w jakiś sposób 245

zrozumiał, że wije się szaleńczo po podłodze, trzymany w kleszczach przez mocne ramiona.

- Daj pistolet. Odsuń się. Podnieś go. - Głos także przypominał zwielokrotnione echo. Słysząc było przeraźliwie donośne słowa wypowiedane z brytyjskim akcentem.

- Teraz. Ognia!

Wszechświat eksplodował. Resztę pokryła cisza.

Rozdział 16

Dzwonek telefonu wyrwał Connala Fitzpatricka z głębokiego snu. Leżał na kanapie z dossier van Headmera w ręku i nogami na podłodze. Potrząsnął głową, zamrugał i otworzył szeroko oczy, usiłując się zorientować, co się dzieje. Gdzie jest?

Która godzina? Telefon zajazgotał znowu, a jego długotrwałe ostre dźwięki przyprawiły Fitzpatricka o ból głowy. Zerwał się z kanapy, dysząc ciężko i zachwiał się na nogach, zbyt zmęczony, by otrząsnąć się ze snu w ciągu kilku sekund. Nie spał od wyjazdu z Kalifornii, jego ciało i umysł ledwo

funkcjonowały. Chwycił słuchawkę, tracąc na chwilę równowagę i omal nie zrzucając aparatu na podłogę.

-

Tak, słucham?

-

Poproszę komandora Fitzpatricka - odezwał się mężczyzna, połykając sylaby w typowo brytyjski sposób.

-

Przy telefonie.

-

Mówi Philip Dunstone, komandorze. Dzwonię z polecenia pana Converse'a. Prosił panu przekazać, że konferencja przebiega nadzwyczaj pomyślnie, znacznie lepiej, niż się spodziewał.

-

Kto mówi?

-

Dunstone, major Philip Dunstone. Jestem adiutantem generała Berkeleya-Greene'a.

-

Berkeleya-Greene'a...?

-

Tak, panie komandorze. Pan Converse prosił panu powtórzyć, że wraz z pozostałymi gośćmi postanowił przyjąć zaproszenie generała Leifhelma i zo stać w posiadłości na noc. Skontaktuje się z panem z samego rana.

-

Proszę poprosić go do telefonu.

-

Obawiam się, że to niestety niemożliwe. Goście wybrali się motorówką na przejażdżkę po rzece. Są bardzo tajemniczy, prawda? Mnie również, po dobnie jak panu, nie wolno uczestniczyć w ich debatach.

-

Nie przyjmuję tego do wiadomości!

-

Ależ panie komandorze, spełniam po prostu prośbę pana Converse'a...

Ach, prawda, kazał mi jeszcze powtórzyć, że gdyby telefonował admirał, proszę mu podziękować i przekazać pozdrowienia.

246

Fitzpatrick wbił wzrok w ścianę. Converse nie wspomniałby o Hickmanie, gdyby nie chciał przesłać jakiegoś znaku. Prośba nie miała absolutnie żadnego sensu.

Wszystko było w porządku. Zapewne Joel wolał uniknąć bezpośredniej rozmowy przez telefon. Z pewnością obawiał się podsłuchu, pomyślał z niezadowoleniem Connal.

-

W porządku, majorze... Przepraszam, nie dosłyszałem pańskiego na zwiska. Major Dunstone, prawda?

-

Tak, zgadza się. Philip Dunstone, adiutant generała Berkeleya-Greene'a.

-

Proszę powtórzyć panu Converse'owi, że czekam na jego telefon przed ósmą.

-

Czy to nie okrucieństwo, komandorze? Dochodzi druga. Śniadanie po daje się tutaj o dziewiątej trzydzieści.

-

Wobec tego przed dziewiątą- odparł twardo Fitzpatrick.

-

Przekażę mu to osobiście, komandorze. Ach, jeszcze jedno. Pan Converse przeprasza, że nie skontaktował się z panem przed północą. Twierdzi, że przeżywał istne męki.

A więc to tak, pomyślał Connal. Wszystko w porządku. Joel nie powiedziałby czegoś takiego w innej sytuacji.

-

Dziękuję, majorze, i przepraszam za niegrzeczny ton. Zbudził mnie pan i zbyt szybko zerwałem się z łóżka.

-

Szczęśliwiec z pana. Pana czeka ciepła pościel, a mnie warta. Następ nym razem zajmie pan moje miejsce.

-

Chętnie, jeśli jedzenie jest dobre.

-

Szczerze mówiąc, nie najlepsze. Takie tam frykasy dla pedałów. Dobra noc, komandorze.

Fitzpatrick odłożył z ulgą słuchawkę. Spojrzał na kanapę, zastanawiając się przez chwilę, czy nie wrócić do dossier, lecz natychmiast się rozmyślił. Czuł

się pusty; miał puste nogi, pustą pierś i pusty ból w głowie. Rozpaczliwie potrzebował snu.

Zebrał dokumenty, zaniósł do pokoju Converse'a, schował do aktówki • zamknął ją, przekręcając wskaźniki zamka szyfrowego. Później wrócił do bawialni, sprawdził

drzwi, zgasił światło i skierował się do swojej sypialni. Cisnął teczkę na łóżko, zdjął buty i spodnie, lecz na tym poprzestał. Wreszcie padł na posłanie, przykrywając się częściowo kapą. Pochłonęła go błoga ciemność.

-

To już lekka przesada! - rzekł Leifhelm do Anglika, który odłożył słu chawkę. - Nie nazwałbym swojej kuchni "frykasami dla pedałów"!

-

Niewątpliwie tak by ją określił Fitzpatrick - odparł mężczyzna, który Przedstawił się jako Philip Dunstone. - Sprawdźmy, jak czuje się pacjent.

Leifhelm i Dunstone opuścili bibliotekę i przeszli do sypialni. Zastali tam trzech Akwitańczyków wraz z czwartym mężczyzną, którego czarna skórzana 247

torba oraz zestaw strzykawek wskazywały na lekarza. Na łóżku leżał Joel Converse z rozszerzonymi, szklistymi oczyma. Z kąćców ust ciekła mu ślina, poruszał

głową w obie strony jak w transie, a z jego gardła wydobywały się nieartykułowane dźwięki. Lekarz popatrzył na obecnych.

-

Nie może powiedzieć nic więcej, bo nic więcej nie wie - rzekł. - Narkotyki nie kłamią. To po prostu agent wysłany na ślepo przez Waszyngton, nie zna ludzi, którzy nim kierują. Nie domyślał się nawet ich istnienia, dopóki nie przekonał go Fitzpatrick. Znał tylko Anstetta i Beale'a.

-

Obydwaj nie żyją- wtrącił van Headmer. - Anstett na pewno, a za Beale'a ręczę osobiście. Na Mikonos poleciał mój podwładny z Santorini i po twierdził wykonanie zadania. Nawiasem mówiąc, nie pozostał żaden ślad. Grek sprzedaje sznurowadła na plaży i rozwodnioną whisky w swojej tawernie.

-

Przygotujcie go do jego odysei - odezwał się Chaim Abrahms, patrząc na Converse'a. - Jak stwierdził nasz człowiek w Mosadzie, kluczową sprawą jest w tej chwili odległość. Należy oddzielić go od ludzi, którzy go wysłali.

Fitzpatrick poruszył się. Półmrok pokoju rozświetlały jasne promienie rannego słońca, które zmusiły go do otwarcia oczu. Przeciągnął się, zawadzając ramieniem o twarde kant dyplomatki. Wokół nóg płątała mu się kapa. Odrzucił ją i przewiesił ramiona przez brzegi łóżka, wdychając głęboko powietrze. Uniósł lewą rękę, przekręcił nadgarstek i spojrzał na zegarek. Było dwadzieścia po dziewiątej. Spał siedem i pół godziny, choć miał wrażenie, że dłużej. Wstał i przeszedł kilka kroków. Potrafił już utrzymać równowagę i rozjaśniło mu się w głowie. Znowu popatrzył na zegarek i przypomniał sobie: wedle majora Dunstone'a w posiadłości Leifhelma śniadanie podawano o dziewiątej trzydzięci, a skoro goście przesiedli się do motorówki około drugiej, Converse prawdopodobnie nie zadzwoni przed dziesiątą.

Connal wszedł do łazienki. Na ścianie koło toalety wisiał telefon, toteż mógł w każdej chwili podnieść słuchawkę. Postanowił się ogolić i wziąć prysznic, by dojść do siebie.

W osiemnaście minut później wrócił do sypialni z ręcznikiem owiniętym wokół bioder i skórą nadal szczypiącą od ostrych strumieni gorącej i zimnej wody.

Podszedł do otwartej walizki na półce koło szafy, gdzie powiesił ubranie. Wyjął

radio tranzystorowe, postawił na biurku i wysłuchał końca niemieckiego dziennika, rezygnując z rozgłośni amerykańskich sił zbrojnych. W przemysłowych rejonach na południu Niemiec groziły jak zwykle strajki, toczyła się gorąca debata w Bundestagu, lecz nie działo się nic szczególnego. Wybrał wygodne ubranie: luźne spodnie, błękitną koszulę i sztruksową marynarkę. Ubrawszy się, przeszedł do bawialni i skierował się w stronę telefonu, by zamówić lekkie śniadanie z mnóstwem kawy.

Przystanął. Coś było nie tak. Co się stało? Widać było pogniecione poduszki na kanapie, nie dopita szklaneczkę whisky na niskim stole, a obok niej 248

ołówki i notatnik. Zamknięte drzwi na balkon miały zaciągnięte zasłony, a na antycznym stoliku po przeciwnej stronie pokoju stał na srebrnej tacy kubełek z lodem. Od zeszłego wieczoru nic się na pozór nie zmieniło, a jednak... Drzwi!

Drzwi do pokoju Converse'a były zamknięte! Czy zamknął je sam? Nie, na pewno nie!

Podszedł do nich prędko, nacisnął klamkę i otworzył. Zajrzał do środka, wstrzymując oddech w piersiach. Pokój był całkowicie posprzątany i uporządkowany, jakby nikt w nim nie mieszkał. Walizka zniknęła, podobnie jak kilka przedmiotów położonych przez Converse'a na biurku. Podbiegł do szafy i otworzył ją na oścież. Była pusta. Wszedł do łazienki. Panowała w niej nieskazitelna czystość, widać było świeże mydełko i ręczniki. Wrócił zdumiony do pokoju. Wydawało się, że od dawien dawna bywają w nim tylko pokojówki.

Popędził do telefonu w bawialni. Po kilku sekundach połączył się z recepcjonistą, z którym rozmawiał wczoraj.

-

Rzeczywiście, pan prezes okazał się jeszcze bardziej ekscentryczny, niż pan to opisał, komandorze. Wyprowadził się dziś w nocy o trzeciej trzydzieści, regulując rachunek.

-

Był tutaj?!

-

Naturalnie.

-

Widział go pan?!

-

Nie osobiście. Zaczynam pracę o ósmej. Rozmawiał z nocnym portierem i zapłacił za pokój, nim udał się na górę, by spakować swoje rzeczy.

-

Skąd portier mógł wiedzieć, że to on? Nigdy przedtem go nie widział!

-

Doprawdy, panie komandorze, pan Converse przedstawił się i zapłacił.

Miał także klucz do pokoju; zostawił go w recepcji.

Zdumiony Fitzpatrick umilkł.

-

Czy jego sypialnię także posprzątało o wpół do czwartej?! - spytał ostro.

-

Nie, mein Herr, o siódmej. Zrobiła to pierwsza zmiana.

-

I zostawiła nieposprzątaną bawialnię?

-

Hałas mógł pana przebudzić. Szczerze mówiąc, apartament jest zarezerwowany od wczesnego popołudnia. Jestem pewien, że personel doszedł do wniosku, że sprzątnięcie sypialni nie będzie panu przeszkadzać. Najwyraźniej tak się stało.

-

Od wczesnego popołudnia?! Przecież tu mieszkam!

-

Może pan pozostać w pokoju do dwunastej. Pan prezes uregulował rachunek i wyprowadził się, a apartament wynajęto innej osobie.

-

I nie macie innego?

-

Niestety nie, panie komandorze.

Connal rzucił słuchawkę na widełki. "Doprawdy, panie komandorze..." - słyszał te słowa przez telefon o drugiej nad ranem. W wiklinowych przegrodach koło stołu leżały trzy książki telefoniczne; wyciągnął bońską i odnalazł numer.

249

-

Guten Morgen. Hier bei General Leifhelm.

-

Herm Major Dunstone, bitte.

-

Wen?

-

Dunstone - powtórzył Fitzpatrick i ciągnął po niemiecku: - Jeden z gości Philip Dunstone. Jest adiutantem... adiutantem generała Berkeleya-Greene'a!

To Anglicy.

-

Anglicy? Nie ma tu żadnych Anglików, proszę pana. Nie przyjmujemy w tej chwili gości.

-

Dunstone był u was wczoraj wieczorem. Obaj tam byli! Rozmawiałem z nim!

-

Pan generał zjadł kolację w towarzystwie kilku przyjaciół, ale nie było wśród nich Anglików.

-

Proszę posłuchać. Usiłuję się skontaktować z panem Converse'em...

-

Ach tak, z panem Converse'em. Był tutaj.

-Był?

-

Zdaje mi się, że odjechał...

-

Gdzie jest Leifhelm?! - wykrzyknął Connal.

Niemiec umilkł na chwilę.

-

Jak mam pana przedstawić? - spytał chłodno.

-

Fitzpatrick. Komandor porucznik Fitzpatrick!

-

Pan generał znajduje się w bawialni. Proszę chwileczkę poczekać.

W słuchawce zapanowała martwa, denerwująca cisza. W końcu rozległo się pstryknięcie i odezwał się Leifhelm:

-

Dzień dobry, panie komandorze. Piękny dziś dzień, prawda? Siedem wzgórz widać wyraźnie jak na pocztówce. Mam wrażenie, że może je pan zobaczyć...

-

Gdzie jest Converse? - przerwał oficer.

-

Wydaje mi się, że w Das Rektorat.

-

Podobno przenocował u pana.

-Nic podobnego. Ani mnie o to nie prosił, ani ja tego nie proponowałem. Odjechał

dość późno. Odwiózł go mój kierowca.

-

Powiedziano mi coś innego! Około drugiej nad ranem zatelefonował do mnie niejaki major Dunstone...

-

Zdaje mi się, że pan Converse opuścił posiadłość krótko przedtem...

Kto taki? Kto do pana dzwonił?

-

Dunstone. Major Dunstone, Anglik. Przedstawił się jako adiutant generała Berkeleya-Greene'a.

-Nie znam żadnego majora Dunstone'a. Nie było tu nikogo takiego. Poza tym znam chyba wszystkich generałów armii brytyjskiej i nie słyszałem nigdy nazwiska Berkeley-Greene.

-

Skończ z tą ciuciubabką, Leifhelm!

-

Słucham?

-

Rozmawiałem z Dunstone'em! Stwierdził, że Converse przenocuje w pańskiej posiadłości wraz z resztą gości!

250

-

Szkoda, że nie rozmawiał pan bezpośrednio z panem Converse'em. Ze-szłego wieczoru nie było u mnie żadnego majora Dunstone'a ani generała Berkeleya-Greene'a. Najlepiej niech się pan skontaktuje z ambasadą brytyjską, tam na pewno wiedzą o pobycie tych osób w Bonn. A może źle go pan zrozumiał i spotkał się z Converse'em w kawiarni?

-Nie mogłem rozmawiać z Converse'em! Dunstone powiedział, że wypłynęliście motorówką na rzekę. - Fitzpatrick dyszał ciężko.

-

To śmieszne, panie komandorze. Prawda, trzymam dla gości niewielką motorówkę, lecz powszechnie wiadomo, że nie znoszę wody. - Generał za wiesił głos i dodał z krótkim śmiechem: - Wielki feldmarszałek dostaje cho roby morskiej dwa metry od brzegu!

-

Kłamie pan!

-

Skądże, mówię szczerą prawdę, zwłaszcza na temat wody. Nigdy nie obawiałem się frontu wschodniego, tylko Morza Czarnego. Gdybyśmy wylądowali w Anglii, na pewno przeleciałbym kanał La Manche samolotem.

Niemiec bawił się Fitzpatrickiem jak kot myszą.

-

Doskonale pan wie, o co chodzi! - znów krzyknął Connal. - Converse rzekomo wyprowadził się z pensjonatu o wpół do czwartej rano! Twierdzę, że nie wrócił od pana!

-

Uważam tę rozmowę za bezsensowną stratę czasu. Jeśli rzeczywiście się pan niepokoi, proszę do mnie zadzwonić, gdy nabierze pan lepszych ma nier. Mam kilku przyjaciół w Staatspolizei.

Znów rozległo się pstryknięcie - Niemiec odłożył słuchawkę. Fitzpatrick zrobił

to samo, gdy wtem zaniepokoiła go pewna myśl. Przeszedł szybko do sypialni i spojrzał na aktówkę. Wystawała do połowy spod poduszki. Boże, spał przecież tak mocno! Podszedł do łóżka, wyciągnął teczkę i obejrzał ją. Odetchnął z ulgą, widząc, że to ta sama aktówka, że zamki szyfrowe są nietknięte, że nawet gdyby ktoś nacisnął małe mosiężne guziczki, nie zdołałby otworzyć zapadek. Podniósł

teczkę i potrząsnął nią. Waga i dźwięk świadczyły, że dokumenty są wciąż w środku, co dowodziło, że Converse nie wrócił do pensjonatu i nie wyprowadził

się. W żadnym wypadku nie pozostawiłby Fitzpatrickowi dossier i listy nazwisk.

Connal zaniósł teczkę z powrotem do bawialni, usiłując zebrać myśli, by zapanował wśród nich jaki taki porządek. Należało przyjąć, że odtajniono akta wojskowe Joela lub zdobyto w inny sposób kompromitujące go informacje, toteż był

obecnie prawdopodobnie przetrzymywany przez Leifhelma oraz generałów przybyłych z Paryża, Tel Awiwu i Johannesburga. Nie zabiją go, dopóki nie wydobędą z niego wszystkiego, co wie (czyli znacznie mniej, niż sobie wyobrażają), co może zająć kilka dni. Posiadłość Leifhelma to wedle

dossier istna forteca, więc nie ma żadnych szans na wyprowadzenie stamtąd Converse'a siłą. Fitzpatrick wiedział, że nie może liczyć na pomoc ambasady amerykańskiej. Peregrine osadzi go prawdopodobnie w areszcie domowym, a wykonawcy jego rozkazów mogą wpakować mu przy okazji kulę w głowę.

251

Jeden już próbował. Connal nie mógł zwrócić się do Hickmana w San Djeo, co stanowiłoby logiczny tryb postępowania w innej sytuacji. Cała sylwetka admirała wykluczała związek z Akwitanią; był oficerem o niezależnych poglądach, który podkreślał zawsze swój sceptycyzm wobec polityki Pentagonu i mentalności jego pracowników. Jednakże jeśli oficjalnie wydano akta Converse'a, czy za zgodą Hickmana, czy pomimo jego sprzeciwu, admirał nie miał wyboru; musiał wezwać Fitzpatricka z powrotem do bazy, by przeprowadzić skrupulatne dochodzenie.

Skontaktowanie się z nim oznaczałoby natychmiastowe cofnięcie urlopu, lecz trudno wydać taki rozkaz, jeśli Fitzpatrick jest nieosiągalny.

Connal usiadł na kanapie, postawił teczkę koło nóg i wziął do ręki ołówek.

Napisał na bloku trzy słowa: "Zadzwoń do Meagen". Powinien powiedzieć siostrze, że po pogrzebie Presa wyjechał bez uprzedzenia w nieznanym kierunku.

Pasowało to do wersji przedstawionej Hickmanowi, a mianowicie, że zamierza poinformować władze cywilne o okolicznościach śmierci Prestona Hallidaya.

Mógł się zwrócić do bońskiej policji i powiedzieć prawdę. Miał wszelkie podstawy do przypuszczeń, że jego amerykański kolega jest przetrzymywany wbrew swojej woli w posiadłości generała Ericha Leifhelma. Naturalnie pojawi się wówczas nieuniknione pytanie: Dlaczego pan komandor nie zwrócił się do ambasady amerykańskiej? Towarzyszyć temu będzie milczący podtekst: Niezależnie od czyjejkolwiek opinii, generał Leifhelm to ważna osobistość, toteż poważne oskarżenie przeciw niemu winno mieć wsparcie dyplomatyczne. Znowu ambasada.

Wykluczone. Leifhelm twierdził, że ma przyjaciół w Staatspolizei: na jego usługach pozostawali prawdopodobnie szefowie bońskiej policji. Gdyby go zaalarmowano, Converse'a przewieziono by gdzie indziej lub zabito. To szaleństwo, pomyślał Fitzpatrick, przypominając sobie powoli pewien zwrot, który nabrał znienacka realnej treści. Handel wymienny. Codzienna praktyka w negocjacjach poprzedzających rozprawę, zarówno przed sądami cywilnymi, jak i wojskowymi. "Zrezygnujemy z pierwszego warunku, jeśli przyjmiecie drugi. Nie poruszamy tego tematu, jeśli wy nie poruszycie tamtego". Standardowa praktyka.

Handel wymienny. Czy można brać go pod uwagę? Byłby to krok szaleńczy i desperacki, lecz nic nie miało przecież ani krzty sensu. Skoro Converse'a nie da się odbić, może go wymienić? Za Leifhelma.

Porucznika za generała.

Connal nie ośmielił się analizować swojego pomysłu na chłodno, zbyt wiele przemawiało przeciwko niemu. Z braku czegoś lepszego musiał się opierać na intuicji. Każda inna droga prowadziła w ślepią uliczkę lub prosto do grobu. Wstał

z kanapy, podszedł do telefonu na stoliku, usiadł w fotelu i sięgnął po książkę telefoniczną leżącą na biurku. Wpadł na wariacki pomysł, lecz wolał o tym nie myśleć. Odnalazł numer Ilse Fishbein, nieślubnej córki Hermanna Goringa.

252

Ustalono miejsce spotkania: stolik pod ścianą w kawiarni Hansa-Keller Kaiserplatzu, zarezerwowany na nazwisko Parnell. Na szczęście Fitzpatrick zabrał

z Kalifornii tradycyjny garnitur wizytowy. Nosił go teraz jako adwokat amerykański nazwiskiem Parnell, mówiący płynnie po niemiecku i wysłany przez swoją kancelarię w Milwaukee w stanie Wisconsin, by skontaktować się z panią Ilse Fishbein w Bonn, w Niemczech Zachodnich. Wynajął także jednoosobowy pokój w hotelu Schlosspark na Venusbergweg i umieścił teczkę Converse'a na dłuższy czas w bezpiecznym miejscu, by pozostawić ślad na wypadek, gdyby mu się nie powiodło.

Converse powinien odtworzyć tok jego rozumowania.

Connal przybył dziesięć minut przed czasem nie tylko po to, by zająć stolik, lecz także oswoić się z otoczeniem i przygotować w ciszy do odegrania swojej roli. Robił to już wiele razy, lustrując przed rozpoczęciem rozpraw sale posiedzeń sądów wojskowych, sprawdzając krzesła, wysokość stołów, widok, jaki mają przed sobą sędziowie. Wszystko to okazywało się pomocne.

Rozpoznał natychmiast Ilse Fishbein, która weszła do kawiarni i zwróciła się do maitredhotel siedzącego przy pulpicie. Była wysoka i dobrze zbudowana, nie otyła, lecz bujna, w pewien sposób posągowa, świadoma swojej dojrzałej zmysłowości, lecz dostatecznie inteligentna, by się z nią nie obnosić. Miała na sobie jasnoszary letni kostium z szerokim białym wykładanym kołnierzykiem zapiętym szczelnie pod szyją. Jej twarz, choć pełna, nie była jednak nalana, a wysokie kości policzkowe sugerowały silny charakter, którego inaczej nie można by tam dostrzec. Ciemne włosy Frau Fishbein, przetykane wczesną siwizną, sięgały do ramion. Podeszła do stolika, eskortowana przez głównego kelnera. Fitzpatrick wstał na jej widok.

-

Guten Tag, Frau Fishbein - rzekł, wyciągając rękę na powitanie. - Bitte, setzen Sie sich.

-

Nie musi pan mówić po niemiecku, Herr Parnell - odparła, puszczając jego dłoń i zajmując miejsce wskazane przez kelnera, który skłonił się i odszedł. - Jestem z zawodu tłumaczką.

-

Chętnie dostosuję się do pani życzeń - stwierdził Connal.

-

W tej chwili wolę raczej mówić po angielsku, gdyby był pan tak uprzejmy. Niech pan stara się mówić cicho. Co to za nieprawdopodobna historia, o której wspomniał pan przez telefon?

-

Po prostu spadek, Frau Fishbein - odparł Fitzpatrick, patrząc rozmówcy prosto w oczy. - Jeśli uda się pokonać kilka formalności (w co zresztą nie wątpię), otrzyma pani znaczną sumę jako prawowita spadkobierczyni.

-

Od obywatela amerykańskiego, o którym nawet nie słyszałam?

-

Znał on pani ojca.

-

Nigdy w życiu nie widziałam ojca - odparła prędko Ilse Fishbein, rozglądając się po sąsiednich stolikach. - Co to za osoba?

-

Członek sztabu Luftwaffe w okresie wojny - rzekł Connal, jeszcze bardziej zniżając głos. - Przy pomocy Goringa (chodziło o jakieś kontakty 253

w Holandii) opuścił Niemcy przed procesem w Norymberdze wraz ze znaczną sumą pieniędzy. Przybył przez Londyn do Stanów Zjednoczonych z nienaruszonym kapitałem i zaczął prowadzić interesy na Środkowym Zachodzie. Odniósł wielki sukces. Niedawno zmarł, pozostawiając w naszej kancelarii zapieczętowane instrukcje na wypadek swojej śmierci. Prowadziliśmy jego sprawy.

-

Ale dlaczego ja?

-

Dług wdzięczności. Bez wpływów i pomocy pani ojca nasz klient spę.

dziłby prawdopodobnie długie lata w więzieniu, zamiast prosperować w Ameryce. Oficjalnie uchodził za holenderskiego imigranta, którego fabryka uległa zniszczeniu podczas wojny i który przybył szukać szczęścia w Stanach. Posiadał liczne nieruchomości i pakownię wędlin, którą próbujemy obecnie sprzedać. Pani spadek wynosi przeszło dwa miliony dolarów amerykańskich. Czy ma pani ochotę na aperitif, pani Fishbein?

Niemka nie była w stanie odpowiedzieć. Opadła jej szczęka. Patrzyła na Fitzpatricka jak zahipnotyzowana.

-

Chętnie, panie Parnell - odparła cicho, odzyskując głos. - Poproszę dużą whisky.

Fitzpatrick skinął na kelnera, zamówił whisky i usiłował prowadzić banalną rozmowę, chwaliąc piękną pogodę i pytając, co powinien zobaczyć podczas pobytu w Bonn. Nie miało to żadnego sensu. Ilse Fishbein wydawała się bliska katatonii.

Chwyciła się w milczeniu mocnymi palcami za nadgarstek, rozchyliła wargi, a jej puste oczy przywodziły na myśl dwa agaty. Nie puściła nadgarstka, nawet gdy kelner podał jej whisky. Zamiast tego wypila łyk trunku, podnosząc niezgrabnie szklaneczkę lewą ręką.

-

Jakie formalności należy załatwić, mein Herr? Spełnię absolutnie wszystkie żądania. Czy ma pan gdzie mieszkać? Bonn jest bardzo zatłoczone.

-

To niezmiernie miło z pani strony, ale wynająłem pokój w hotelu. Proszę zrozumieć, Frau Fishbein, dla mojej kancelarii sprawa jest niesłychanie delikatna. Domyśla się pani, że prawnicy amerykańscy nie zajmują się chętnie takimi spadkami. Szczerze mówiąc, gdyby nasz klient nie zastrzegł, iż spełnienie tego punktu testamentu stanowi niezbędny warunek ważności innych postanowień...

-

Na czym polegają formalności?

Fitzpatrick umilkł na chwilę niczym sumienny adwokat zbierający myśli.

-

Sprawa zostanie załatwiona w tajemnicy, a sąd zbierze się in camera...

-

Będzie filmowany?!

-

Za zamkniętymi drzwiami, Frau Fishbein. W grę wchodzi pewne podatki stanowe i lokalne, które przypadłyby w razie konfiskaty. Widzi pani, sądy wyższej instancji mogłyby zakwestionować spadek.

-

A na czym polegają formalności?

-

To doprawdy drobnostka. Powinna pani złożyć pisemne oświadczenie uwierzytelnione przeze mnie, iż jest pani córką swojego ojca. Wymagany jest 254

także dowód w postaci zeznania świadka. Potrzebujemy tylko jednego, ale musi to być wyższy oficer niemieckich sił zbrojnych, najlepiej o znanym nazwisku, który pojawia się w dziełach historycznych lub wspomnieniach wojennych jako współpracownik pani ojca. Oczywiście najlepsza byłaby osoba znana wojskowym amerykańskim, na wypadek gdyby sędzia postanowił zadzwonić do Pentagonu i spytać, kto to taki.

-

Znam takiego człowieka! - wyszeptała Ilse Fishbein. - Byłego feldmarszałka, wybitnego generała!

-

Kto to? - spytał Connal i wzruszył natychmiast ramionami, jakby nie przywiązywał do tego większej wagi. - Mniejsza o to. Proszę mi tylko powiecie, dlaczego uważa go pani za właściwą osobę.

-

Cieszy się wielkim szacunkiem, choć nie wszyscy się z nim zgadzają.

Był wybitnym młodym dowódcą, a ojciec osobiście odznaczył go Krzyżem Żelaznym!

-

Ale czy jest znany wojskowym amerykańskim?

-Mein Gott, po wojnie pracował dla sprzymierzonych w Berlinie i Wiedniu!

-

Doprawdy?

- I w kwaterze głównej NATO w Brukseli!

Tak, myślimy o tej samej osobie, rzekł w duchu Connal.

-

Doskonale - stwierdził poważnym tonem. - Nie musi mi pani podawać jego nazwiska. Prawdopodobnie i tak o nim nie słyszałem. Czy może się z nim pani szybko skontaktować?

-

W ciągu kilku minut! Przebywa w Bonn.

-

Świetnie. Chciałbym złapać samolot do Milwaukee jutro przed południem.

-

Pojedzie pan do jego domu, a on podyktuje sekretarzowi, co trzeba.

-

Przykro mi, to niestety niemożliwe. Oświadczenie musi zostać uwierzytelnione przez notariusza. Zdaje się, że przepisy niemieckie są takie same jak amerykańskie, zresztą nic w tym dziwnego, w końcu wymyślili je sami Niemcy. W hotelu Schlosspark jest zarówno maszynistka, jak i notariusz. Więc może dziś wieczorem albo jutro rano? Z przyjemnością wyślę taksówkę po pani przyjaciela. Nie chcę narażać go na stratę choćby feniga. Moja kancelaria chętnie pokryje wszelkie wydatki.

Ilse Fishbein zachichotała histerycznie.

-

Nie zna pan mojego przyjaciela, mein Herr.

- Na pewno go polubię. Miałaby pani ochotę na lunch?

-

Muszę iść do toalety - odezwała się Niemka, której oczy znów zaczęły przypominać dwa agaty. Kiedy wstała, Connal usłyszał jej szept: -Mein Gott!

zweiMillionenDollar...!

- Nie interesuje go nawet twoje nazwisko! - zawołała Ilse Fishbein do słuchawki.

- Przyleciał z Milwaukee w stanie Wisconsin i proponuje mi dwa miliony dolarów amerykańskich!

-

Nie chciał się dowiedzieć, kim jestem?

-

Twierdził, że to nieważne! Zresztą prawdopodobnie i tak o tobie nie słyszał. Chciał wysłać po ciebie taksówkę, wyobrażasz sobie! Powiedział, że nie powinieneś wydawać ani feniga!

-

Rzeczywiście, w ciągu ostatnich kilku tygodni Góring odznaczał się przesadną hojnością- stwierdził z zadumą Leifhelm. - Naturalnie najczęściej był odurzony, a ludzie dostarczający mu trudno dostępnych narkotyków otrzy.

mywali w zamian bezcenne dzieła sztuki. Człowiek, który przesmuglował

mu później do więzienia zatrute czopki, żyje do dziś w Luksemburgu niczym cesarz rzymski.

-

Widzisz, to prawda. Góring robił takie rzeczy!

-

Choć rzadko wiedział, co robi! - zgodził się z ociąganiem generał. - To niezwykła sprawa, Ilse. Czy ten Amerykanin pokazał ci przynajmniej jakiś dokument na dowód, że jest tym, za kogo się podaje?

-Naturalnie! - skłamała Niemka, bliska paniki, przypominając sobie kilka zapamiętanych zwrotów. - Pokazał mi całą stronę zapisaną urzędowymi formułkami i oświadczenie! Rozprawa odbędzie się za zamkniętymi drzwiami! Chodzi o jakieś podatki, które przepadłyby, gdyby majątek skonfiskowano...

-

Znam te sprawy, Ilse - przerwał ze znużeniem Leifhelm. - Fundusze należące do przestępców wojennych i uchodźców mają nieuregulowany status prawny. Ci hipokryci dławią się swoimi obłudnymi przepisami, gdy tylko mogą zarobić parę dolarów.

-

Byłeś zawsze taki dalekowzroczny, generale, a ja taka lojalna. Nigdy ci nie odmówiłam, czy chodziło o sprawy zawodowe, czy znacznie bardziej in tymne. Proszę cię! Dwa miliony dolarów! Zabierze ci to najwyżej kwadrans!

-

Nie przeczę, Ilse, byłaś zawsze dobrą siostrzenicą. I nikt inny nie wie o twoim pochodzeniu...
Dobrze, wobec tego dziś wieczorem. O dziewiątej wybieram się na kolację do hotelu Steigenberger.
Przyjadę do Schlossparku około ósmej piętnaście. Możesz mi kupić jakiś podarek za swoją fortunę z
nie prawego łóża!

-

Będę czekała w holu.

-

Przyjadę z szoferem.

-

Przyprowadź choćby dwudziestu goryli!

-

Mój szofer jest wart dwudziestu pięciu goryli - odparł Leifhelm.

Fitzpatrick siedział na krześle w niewielkiej sali konferencyjnej na pierwszym piętrze hotelu i
oglądał pistolet, trzymając na kolanach instrukcję obsługi.

Porównał słowa sprzedawcy z wykresami oraz objaśnieniami i doszedł wreszcie do wniosku, że wie
wystarczająco dużo. Istniały liczne podobieństwa do standardowego colta kalibru .45 używanego w
marynarce, jedyne pistoletu, z jakim się zetknął, a nie interesowały go szczegółowe dane tech-256

niczne. Kupił dwudziestozrzałowy pistolet automatyczny PGS systemu Hecklera i Kocha, o długości
około piętnastu centymetrów i kalibrze 9 mm. Instrukcja zwracała uwagę na "gwintowanie
wielokątne" oraz "przesuwany zamek obrotowy", lecz Fitzpatrick upuścił ją na podłogę i jął ćwiczyć
wyjmowanie oraz wkładanie magazynka do kolby. Potrafił naładować broń, wycelować i dać ognia,
choć miał

nadzieję, że to ostatnie okaże się niepotrzebne.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła ósma. Wsunął pistolet za pasek od spodni, podniósł instrukcję,
wstał i rozejrzał się po sali, wyobrażając sobie swoje przyszłe ruchy. Jak należało się spodziewać,
Frau Fishbein uprzedziła, iż Leifhelm przybędzie w towarzystwie szofera, pełniącego zapewne także
inne funkcje, jeśli tak, nie ma on szans na wykonanie swojego zadania.

Sala, jedna z dwudziestu kilku sal konferencyjnych w hotelu, wynajęta przez Fitzpatricka w imieniu
fikcyjnej spółki, była niezbyt wielka, lecz miała cechy dające się wykorzystać. W środku stał zwykły

prostokątny stół z trzema krzesłami z każdej strony i dwoma u szczytu. Koło jednego z siedzeń znajdował się telefon.

Pod ścianami stały dodatkowe krzesła dla sekretarek i obserwatorów. Nie było w tym wszystkim niczego nadzwyczajnego. Jednakże w lewej ścianie znajdowały się drzwi wiodące do niewielkiego pomieszczenia, gdzie w razie potrzeby można było odbyć rozmowę na osobności. W środku umieszczono drugi telefon; gdy podnosiło się słuchawkę, na pierwszym aparacie zapalało się światelko. Jak widać, poufność miała w Bonn swoje granice. Do sali głównej wiódł krótki korytarz, który nie pozwalał wchodzącym widzieć całego pomieszczenia.

Connal złożył instrukcję obsługi Hecklera i Kocha, schował ją do kieszeni marynarki i podszedł do stołu, by jeszcze raz sprawdzić dekoracje. Odwiedził

sklep z artykułami biurowymi i zakupił niezbędne przedmioty. U szczytu stołu, koło telefonu ustawionego równoległe do krawędzi, tak że widać było wyraźnie klawiaturę, znajdowało się kilka teczek na dokumenty oraz otwarta aktówka (ciemne tworzywo sztuczne wyglądało z daleka jak kosztowna skóra). Wokół leżały papiery, ołówki i żółty blok prawniczy z kilkoma zrolowanymi stronicami. Był to widok znany dobrze każdemu, kto konferował kiedykolwiek z adwokatem, który rzucił przedtem na papier swoje głębokie przemyślenia.

Fitzpatrick wrócił do krzesła, przesunął je trochę do przodu i podszedł do drzwi bocznego pokoiku. Zapalił światło - dwie lampy po obu stronach krótkiej kanapy -

i zgasił tę bliżej telefonu. Następnie podszedł do otwartych drzwi, stanął

między nimi a ścianą i wyjrzał przez wąską pionową szparę koło zawiasów. Widział

wyraźnie wejście do korytarza; zamierzał wyjść z pokoiku, gdy twójka gości znajdzie się w sali konferencyjnej.

Rozległo się pukanie do drzwi wejściowych; prędko, niecierpliwy stukot dziedziczki, która nie jest w stanie nad sobą zapanować. Connal podszedł do telefonu na stoliku, podniósł słuchawkę i położył ją na boku. Następnie wrócił do drzwi i zerknął przez szparę, kryjąc się w cieniu. Wyjął pistolet zza pasa, 257

uniósł go i siląc się na uprzejmy ton, zawołał na tyle głośno, by usłyszano go w korytarzu.

-

Bitte, kommen Sie herein! Die Tur ist offen! Ich telefoniere gerade!

Rozległ się skrzyp otwieranych drzwi i do sali wkroczyła prędko Ilse Fishbein ze wzrokiem skierowanym na stół konferencyjny. Podążał za nią Erich Leifhelm, który rozejrzał się wokół,

odwrócił się i skinął lekko głową. W polu widzenia pojawił się mężczyzna w mundurze szofera, trzymający rękę w kieszeni czarnej kurtki. Connal usłyszał odgłos zamykanych drzwi.

Szarpnął za klamkę i wyszedł szybko z ukrycia, mierząc z pistoletu prosto w szofera.

-

Wyjmij rękę z kieszeni! Powoli! - zawołał po niemiecku. Kobieta wciąż nęła głęboko oddech i zamierzała krzyknąć. - Milczeć! - krzyknął ostro Fitzpatrick. - Nie mam nic do stracenia, co może potwierdzić pani przyjaciel. Mogę was zastrzelić i opuścić Niemcy w ciągu godziny, gdy tymczasem policja będzie szukać nieistniejącego Parnella.

Szofer, któremu nerwowo drgały mięśnie na twarzy, wyjął z kieszeni rękę ze sztywno wyprostowanymi palcami. Leifhelm patrzył z gniewem i lękiem na pistolet Connala. Jego twarz utraciła ziemisty kolor i zrobiła się purpurowa.

-

Masz czelność...?!

-

A mam, panie feldmarszałku - odparł Fitzpatrick. - Tak samo jak pan czterdzieści lat temu miał czelność zgwałcić dziewczynkę i dopilnować, by cała jej rodzina zginęła w obozie! Mam czelność, ty cholerny skurwysynu, i na twoim miejscu starałbym się mnie nie drażnić! Hej, ty! - zawołał do Niemki. -

W teczce na stole jest osiem kawałków linki. Zaczynij od szofera. Zwiąż mu ręce i nogi według moich wskazówek. No już! Szybko!

W cztery minuty później szofer i Leifhelm siedzieli na krzesłach ze związanymi rękoma i nogami. Fitzpatrick wyjął pistolet z kieszeni kierowcy i sprawdził

pęta. Wszystko było w porządku szarpanie powodowało ścieśnianie więzów. Nakazał

przerażonej Frau Fishbein zająć miejsce na trzecim krześle i przywiązał ją do niego za nadgarstki i kostki.

Wstał, wziął pistolet ze stołu i zbliżył się do Leifhelma siedzącego najbliżej telefonu z zapaloną żaróweczką.

-

Jak tylko odłożę słuchawkę w sąsiednim pokoju, zadzwonisz z tego aparatu - odezwał się do Niemca, celując mu w głowę.

Przeszedł prędko do niewielkiego gabinetu, odłożył słuchawkę i wrócił do sali konferencyjnej.

Usiadł koło związanego Leifhelma i wyjął z otwartej teczki skrawek papieru. Znajdował się na nim telefon rezydencji generała nad Renem koło Bad Godesberg.

-

Co chcesz osiągnąć? - spytał Leifhelm.

-

Handel wymienny - odparł Fitzpatrick. - Converse za ciebie.

-

Mein Gott! - wyszeptała skamieniała Ilse Fishbein, a szofer zaczął mocować się z więzami, które wrzynały mu się głęboko w nadgarstki.

258

- Wierzysz, że ktoś zechce cię słuchać, a tym bardziej wykona twoje rozkazy?

-

Tak, jeśli chcą zobaczyć cię żywego. Sam pan wie, że mam rację, panie feldmarszałku. Ten pistolet nie jest zbyt głośny, sprawdziłem to. Mogę włączyć radio, zastrzelić was i odlecieć z Niemiec, nim was znajdą. Zarezerwowałem salę na całą noc i kazałem nie przeszkadzać nam pod żadnym pozorem. Connal przełożył

pistolet do lewej ręki, podniósł słuchawkę i wykręcił numer zapisany na skrawku papieru.

-

Guten Tag. Hier bei General Leijhelm.

-

Poproś do telefonu kogoś ważnego - rzekł nienaganną niemczyzną. -

Trzymam pistolet przy głowie generała Leifhelma i zabiję go, jeśli tego nie zrobisz.

Słuchawkę przykryto dłonią i rozległy się przytłumione okrzyki. Po kilku sekundach odezwał się mężczyzna mówiący powoli z wyraźnym brytyjskim akcentem:

-

Kto mówi? Czego pan chce?

-No proszę, stary znajomy! Major Philip Dunstone, prawda? Mówi pan mniej uprzejmie niż zeszłej nocy.

-

Niech pan nie robi niczego pochopnie, komandorze. Pożałuje pan tego.

-

A pan niech nie robi głupstw, bo inaczej wcześniej pożałuje tego Leifhelm, choć wkrótce nie będzie już w stanie niczego żałować. Ma pan godzinę na przewiezienie Converse'ana lotnisko do przedstawicielstwa Lufthansy. Ku piłem mu bilet na samolot odlatujący o dziesiątej do Waszyngtonu przez Frankfurt. Wszystko przygotowane. Zadzwoń do Lufthansy i poproszę go do telefonu. Później odjadę stąd, zatelefonuję do pana z innego aparatu i powiem, gdzie się znajduje pański pracodawca. Proszę po prostu dostarczyć Converse'a do Lufthansy. Ma pan godzinę, majorze.

Fitzpatrick podsunął słuchawkę Leifhelmowi pod nos i znów przycisnął lufę pistoletu do skroni Niemca.

-

Zrób, co powiedział - wykrztusił generał.

Mijały minuty, aż upłynęło pół godziny. Milczenie przerwał dopiero Leifhelm.

-

Więc dowiedzieliście się o niej - rzekł, wskazując głową Ilse Fishbein, która dygotała ze strachu, oplakując swoje monstrualne straty. Po jej pełnych policzkach ciekły łzy.

-

Tak samo jak o Monachium przed czterdziestu laty i wielu innych rzeczach. Niebawem pana i pańskich kolegów czeka zwycięstwo, więc proszę się nie obawiać, że nie dotrzymam umowy zawartej z pańskim angielskim major-domusem. Nie zrezygnuję tak łatwo z przyjemności ujrzenia was wszystkich Przed sądem, gdy ludzie zobaczą, jacy naprawdę jesteście. Właśnie tacy jak Pan psują opinię wojskowym na całym świecie.

Na korytarzu za drzwiami wszczęło się zamieszanie. Connal uniósł głowę i wymierzył pistolet prosto w skroń Leifhelma.

-

Was ist? - wzruszył ramionami Niemiec.

-

Keine Bewegung!

Za drzwiami rozległ się chór męskich głosów śpiewających fałszywie jakąś piosenkę. Dobiegła końca konferencja w innej sali, choć raczej wskutek nadmiernego spożycia alkoholu niż pomyślnego sfinalizowania rokowań handlowych.

Refren przerywały ochryple śmiechy, gdy śpiewającym nie udawało się zachować harmonii. Fitzpatrick odprężył się i opuścił pistolet; położenia pokoju nie znał

żaden z przyjaciół Leifhelma.

-

Twierdzi pan, że tacy jak ja psują opinię wojskowych? - spytał generał.

-

Czy nie przychodzi panu do głowy, komandorze, że to my nadamy swojej profesji niezbędną wielkość w świecie, który bardzo nas potrzebuje?

-

Potrzebuje nas? - odparował Connal. - Przecież to my go potrzebuje my. Zresztą pan i ja wyobrażamy go sobie inaczej. Pańscy koledzy już raz o

mało go nie zniszczyli, nie pamięta pan?

-

Wówczas chodziło o jeden naród pod wodzą szaleńca usiłującego na rzucić światu swoją wizję. Tym razem mamy do czynienia z bezinteresownymi mi wojskowymi z wielu krajów, którzy zawarli sojusz dla dobra ogółu.

-

To pańska definicja, generale? Zabawny z pana jegomość. Jakoś nie wierzę w pańską dobroduszość.

-

Nieuczciwe metody ubogiego młodzieńca, któremu odebrano nazwisko i

należne przywileje, nie powinny wpływać na ocenę człowieka po upływie półwiecza.

-

Ubogiego? A może zdeprawowanego? Zdaje mi się, że szybko i bez względnie nadrobił pan stracony czas. Nie podoba mi się pańska recepta na powszechną szczęśliwość.

-

Brakuje panu wyobraźni.

-

Dziękuję Bogu, że jest inna niż pańska. - Śpiew w korytarzu przycichł na moment i znów przybrał na sile. Pijacy darli się coraz głośniejszym i fałszywiejszym śpiewem.

-

Może to pańscy koledzy z Dachau wybrali się na piwo?

Leifhelm wzruszył ramionami.

Nagle drzwi wejściowe otworzyły się z trzaskiem i grzmotnęły o ścianę. Do sali wbiegło trzech mężczyzn, którzy strzelali z pistoletów z tłumikami. Powietrze wypełniły smugi dymu i latające odłamki drewna z blatu stołu. Fitzpatrick poczuł

gwałtowny ból w ramieniu i wypuścił z dłoni pistolet. Spojrzał w dół i zobaczył

powiększającą się plamę krwi na prawym rękawie marynarki - Zachnął się i skierował

wzrok w lewo. Ilse Fishbein nie żyła. Z jej czaszki, rozłupanej przez kule, spływały strużki krwi. Szofer uśmiechał się obleśnie.

Zamknięto jakby nigdy nic drzwi, a strzelanina poszła natychmiast w zapomnienie.

-

Stimper - odezwał się Leifhelm, gdy jeden z napastników przecinał mu więzy na nadgarstkach. - Użyłem wczoraj tego słowa, komandorze, choć nie podejrzewałem nawet, że mam tyle racji. Sądzi pan, że nie można ustalić, skąd prowadzona jest rozmowa telefoniczna...? Była w tym wszystkim jakaś pO -

dejrzana symetria. Schwytaliśmy Converse'a, a ta biedna kurwa dostała nagle ogromny spadek, i to z Ameryki. Przyznaję, takie rzeczy często się zdarzają, bo różne kapuściane łby nie zdają sobie sprawy z czynionych przez siebie szkód, jednakże zbieżność czasowa zbyt rzucała się w oczy, była zbyt... amatorska.

-

Skurwysyn z pana.

Connal, nie będący w stanie poruszać palcami, zamknął na chwilę oczy, by zapomnieć o bólu.

-

Cóż to, komandorze, czyżbym wyczuwał w pańskich słowach przed śmiertną brawurę? - spytał generał, wstając z krzesła. - Sądzi pan, że każę pana zabić?

-

Tak.

-

Myli się pan. Przebywa pan obecnie na urlopie i może nam wyświadczyć drobny, choć niezwykle cenną przysługę. Będzie pan naszym gościem, komandorze, lecz nie na terenie Niemiec. Czeka pana podróż.

Rozdział 17

Converse otworzył oczy. Powieki miał ciężkie jak ołów, czuł mdłości i widział

tylko rozmazaną ciemność. Straszliwie bolało go spuchnięte ramię. Usiłował

dotknąć po omacku zranionego miejsca, lecz cofnął natychmiast rękę, jęcząc z bólu. Zauważył gdzieś w górze migotliwe światło, które wpadało do środka, rozpraszając mrok. Zaczął powoli rozróżniać przedmioty: metalową ramę polowego łóżka tuż koło swojej twarzy, drewniane krzesła przy małym stoliku, zamknięte drzwi oraz drugie drzwi, otwarte, prowadzące do niewielkiej umywalni z białą miednicą i dwoma szarymi kurkami. Światło? Nadal się poruszało, tańcząc i mrugając. Skąd pochodziło?

Zorientował się wreszcie. Po obydwu stronach zamkniętych drzwi znajdowały się wysoko w ścianie prostokątne okienka, w których falowały na wietrze krótkie zasłony. Okna były otwarte, a jednak dziwnie rozmazane. Uniósł głowę, wsparł się na łokciu i zmrużył oczy, by lepiej widzieć. Wpatrywał

się w przerwę między wydymającymi się frankami i dostrzegł cienkie pręty łączące framugi. Były to kraty. Znajdował się w celi.

Opadł z powrotem na łóżko i zaczął przelikać ślinę, by złagodzić palenie w gardle. Poruszał ramieniem, by zapomnieć o bolesnej ranie. Ranie? Tak, ranie postrzałowej! Wspomnienie wytrąciło go z równowagi. Wystawna kolacja zamieniła się w histeryczną walkę. Oślepiającym światłem i nagłym ukłuciom bólu towarzyszyły ciche, ostre głosy bombardujące go pytaniami, których echo nieustannie wypełniało mu uszy. gdy starał się przed nimi bronić.

i zapanował spokój, a we mgle rozległ się monotony męski głos.

261

Converse zamknął oczy i zacisnął z całych sił powieki, zdając sobie sprawę ze wstrząsającego faktu. W wirującej mgle dźwięczał jego własny głos. Nafaszerowano go narkotykami i wydobywano zeń tajemnice.

Zdarzyło mu się to kilka razy w obozach wietnamskich i podobnie jak wówczas czuł

oszołomienie i gniew. Obnażono i zgwałcono jego umysł, zmuszając go do nierządu wbrew resztkom woli.

I znów, tak jak poprzednio, towarzyszyła temu pustka w żołądku i straszliwe osłabienie. Czuł się wygłodzony. Narkotyki powodowały wymioty, a jelita domagały się pokarmu, którego nie było. To dziwne, pomyślał, otwierając oczy i patrząc na promienie słońca, lecz dawne wspomnienia rodziły te same instynkty obronne, które pomogły wiele lat temu. Nie powinien tracić energii, musiał zachować resztkę sił i przyjść do siebie. Inaczej pozostanie tylko oszołomienie i gniew, a ciało i umysł na nic się nie zdobędą.

W pokoju rozległy się dźwięki. Szczęk metalu, zgrzyt klucza i odgłos naciskanej klamki świadczyły, iż odsunięto zasuwę i otwarto drzwi w dalekiej ścianie. Celę wypełnił blask słońca. Converse zasłonił oczy, patrząc między palcami. W

drzwiach pojawiła się zamazana sylwetka mężczyzny niosącego w lewej ręce płaski przedmiot. Mężczyzna wszedł do środka, a Joel poznał w nim szofera, który obszukał go przed rezydencją wykrywaczem metalu.

Umundurowany kierowca podszedł do stołu i zręcznie postawił na nim płaski przedmiot, tacę przykrytą obrusem. Converse spojrział ponownie na zalane słońcem drzwi. Na dworze biegła w kółko sfora dobermanów z obnażonymi groźnie kłami.

Psy powarkiwaly bez przerwy, zerkając na drzwi lśnącymi czarnymi ślepiami.

-

Guten Morgen, mein Herr - odezwał się szofer Leifhelma i przeszedł

natychmiast na angielski: - Piękny dziś dzień, prawda?

-

Rzeczywiście, na dworze jest jasno, jeśli o to panu chodzi - odparł Joel, nadal zasłaniając oczy. - Zeszłej nocy nie spodziewałem się, że zobaczę zno wu słońce.

-

Zeszłej nocy? - Niemiec umilkł i dodał cicho: - To było dwa dni temu, Amerykaner, Przebywa pan w posiadłości od trzydziestu trzech godzin.

-

Trzydziestu trzech...?

Converse podniósł się i spuścił nogi na podłogę, lecz znieruchomiał, gdyż zawroty głowy okazały się zbyt silne. Stracił wiele sił. O Boże, pamiętam wszystko tak wyraźnie! Nie marnuj energii. Zaczną od nowa, dranie! "Dranie" -

szepnął do siebie. Nagle zdał sobie sprawę, że jest bez koszuli i że ma zabandażowaną rękę nad lewym łokciem.

-

Ktoś nie trafił mnie w głowę? - spytał.

-

Podobno sam się pan zranił. Usiłował pan zastrzelić generała Leifhelma , gdy odebrano panu broń.

-

Zastrzelić? Przecież nie miałem pistoletu. Dokładnie mnie pan obszu kał.

262

-

Przechytrzył mnie pan, mein Herr.

-

Co teraz?

-

Teraz? Teraz proszę jeść. Otrzymałem instrukcje od lekarza. Zacznie pan od Hafergrutze... Jak to się mówi? Owsianki?

-

Tak, owsianki albo kaszy na mleku. Później poda mi pan jaja na miękko, a jeśli nie zwymiotuję, trochę mielonego mięsa. Wreszcie dostanę kilka łyżek tartej rzepy, kartofle albo dynię. To co uda się panu zdobyć.

-

Skąd pan to wszystko wie? - spytał umundurowany szofer, szczerze zdziwiony.

-

To standardowa dieta - odparł cynicznie Converse. - Różnice zależą tylko od kraju i stanu zaopatrzenia. Jadałem już takie posiłki... Chcecie zno wu się do mnie zabrać.

Niemiec wzruszył ramionami.

-

Wykonuję tylko rozkazy. Przynoszę jedzenie. A teraz pomogę panu wstać.

Joel spojrział na mężczyznę zbliżającego się do łóżka.

-

W innej sytuacji plunąłbym w pańską cholerną gębę, ale gdybym to zrobił, straciłbym cię szansy, że splunę na nią jeszcze raz. Może mi pan po moc. Proszę uważać na moje ramię.

-

Bardzo dziwny z pana człowiek, mein Herr.

-

A wy jesteście najzupełniej normalnymi obywatelami, którzy jadą wcze śniej do Larchmont, żeby napić się razem martini przed wywiadówką.

-

Wywiadówką? Nie interesuję się szpiegostwem.

- I dobrze pan robi. Na pana miejscu też bym się tego wystrzegał.

-

Słucham?

-

Niech pan będzie dobrym Aryjczykiem i pomoże mi po prostu podejść do stołu.

-

Aha, żartuje panja?

-

Chyba nie - odparł Converse, zajmując miejsce na drewnianym krześle.

- Żarty to straszliwy nałóg, z którym nie mogę zerwać. - Spojrzał na oszoło mionego Niemca. - Ale ciągle próbuję, jak pan widzi - stwierdził bez cienia ironii.

Minęły trzy następne dni. Converse'a odwiedzał jedynie szofer otoczony sforą ponurych, warczących dobermanów. Joelowi zwrócono dokładnie przeszukaną walizkę, z której wyjęto nożyczki i pilniczek do paznokci znajdujące się w etui z przyborami kosmetycznymi, lecz pozostawiono elektryczną maszynkę do golenia.

Akwitańczycy dali mu w ten sposób do zrozumienia, iż z Bonn usunięto wszelkie ślady jego obecności, i kazali snuć bolesne domysły na temat losu Connala Fitzpatricka. Jednakże istniała pewna luka dająca podstawy do nadziei. Pominięto milczeniem dyplomatkę Joela. Generałowie byli na tyle pyszni, że gdyby wpadła w ich ręce, na pewno by się tym pochwalili,

263

pokazując mu jedną ze stronic dossier albo informując go za pośrednictwem szofera.

Rozmowy z kierowcą ograniczały się do ciągłych pytań Joela i uprzejmych wykrętów Niemca, który nie udzielał żadnych sensownych odpowiedzi.

Jak długo to potrwa? Kiedy zobaczę kogoś innego niż pan?

W posiadłości przebywa jedynie personel. Generał Leifhelm wyjechał, zdaje się, do Essen. Kazano nam dobrze pana odżywiać, żeby wrócił pan do zdrowia.

Pozbawiono go kontaktu ze światem. Przebywał w izolatce.

Jednakże zwykłych więźniów nie karmiono takimi przysmakami. Pieczenie wołowe i jagnięce, kotlety, drób, świeże ryby, jarzyny prosto od ogrodnika, a wreszcie wino, na które nie miał początkowo ochoty, lecz kiedy go już spróbował, poznał

się na przedniej marce.

Drugiego dnia, podobnie jak przed wielu laty, zaczął uprawiać lekkie ćwiczenia fizyczne, głównie po to, by się czymś zająć. Trzeciego dnia, biegnąc w miejscu, spocił się jak mysz -jego ciało uwolniło się już od narkotyków. Rana na ramieniu jeszcze się nie zagoiła, ale myślał o niej coraz rzadziej. Co najdziwniejsze, okazała się niegroźna.

Czwartego dnia nie wystarczyły już rozmyślania. Uwięzienie i doprowadzająca do szaleństwa niepewność jutra zmusiły go do zajęcia się sprawami praktycznymi, do skupienia się na swoim najważniejszym zadaniu. Na ucieczce. Musiał podjąć jej próbę niezależnie od rezultatu. Cokolwiek zamierzali z nim zrobić Akwitańczycy, najwyraźniej chcieli, by nie pozostawał pod wpływem narkotyków, zwłaszcza w chwili śmierci. Inaczej zabiliby go natychmiast, pozbywając się jego ciała w dowolny sposób. Joel już raz uciekł. Czy mógłby to zrobić ponownie?

Nie gnił w zaszczurzonej celi, a w mroku nie rozlegały się przerażające strzały, lecz powodzenie ucieczki było teraz znacznie ważniejsze niż osiemnaście lat temu. Kryła się w tym wszystkim niezwykła ironia. Osiemnaście lat temu pragnął

wyrwać się na wolność, by opowiedzieć światu o szaleńcu z Sajgonu, który skazywał niezliczone dzieci na śmierć lub na jeszcze gorszy los, na załamanie i pustkę uczuciową mające im towarzyszyć do końca życia. Teraz chciał opowiedzieć światu o tym samym szaleńcu.

Musiał się wydostać. Musiał ujawnić prawdę. Musiał uciec!

Stał na drewnianym krześle i wyglądał przez kraty, odsunąwszy krótką firankę.

Więziono go w niewielkim domku na malutkiej polanie w środku lasu, jakby spuszczonej z góry przez helikopter. Z każdej strony widać było mur wysokich drzew i gęstych krzewów, a pod oknem biegła w prawo wąska ścieżka. Odległość między domkiem a ścianą zielonych liści wynosiła nie więcej niż sześć metrów; Joel podejrzewał, że z tyłu jest tak samo, gdyż z okna po lewej rozciągał się podobny widok, choć zamiast ścieżki znajdował się tam 264

jedynie splacheć krótko przyciętej pożółkłej trawy. Wyglądał na zewnątrz tylko z okien od frontu; w pozostałych ścianach więzienia nie było żadnych otworów, z wyjątkiem niewielkiego świetlika w suficie łazienki.

Szofer, psy i gorące posiłki dowodziły, iż nadal znajduje się na terenie posiadłości Leifhelma, toteż gdzieś niedaleko musiał płynąć Ren. Joel nie widział rzeki, lecz jej bliskość dodawała mu otuchy, a nawet więcej - rodziła chorobliwe uniesienie, które pamiętał z przeszłości. Rzeka była dlań już kiedyś sprzymierzeńcem i przewodnikiem pozwalającym pokonać najgorszą partię drogi. Na

południe od Duc Tho płynął nocą pod mostami dopływem Huong Khe, mijając patrole i umocnione obozy trzech batalionów. Ren, podobnie jak wartkie nurty Huong Khe, dawał nadzieję na wyrwanie się na wolność.

Rozległ się tupot zwierzęcych łap i pod oknem śmignęła sfora ciemnych dobermanów, które zatrzymały się gniewnie pod drzwiami. Zbliżał się szofer ze śniadaniem, na jakie nie mógł liczyć żaden prawdziwy więzień. Joel zszedł z krzesła, zaniósł je prędko do stołu i ruszył w stronę łóżka. Usiadł, zdjął buty i położył się, wyciągając nogi na pogniecionym kocu.

Odsunięto zasuwę, przekręcono klucz i naciśnięto ciężką klamkę. Podobnie jak za każdym razem, Niemiec pchnął drzwi prawą ręką, trzymając w lewej tacę. Jednakże tego ranka niósł w prawej ręce coś pękatego, czego nie dawało się rozpoznać z powodu oślepiającego słońca. Wszedł do celi i jeszcze niezgrabniej niż zwykle postawił tacę na stole.

-

Mam dla pana przyjemną niespodziankę, mein Herr. Wczoraj wieczorem rozmawiałem przez telefon z panem generałem, który pytał o pana. Po wiedziałem, że odzyskuje pan szybko siły i że zmieniłem panu opatrunek. Pan generał przypomniał sobie nagle, że nie ma pan niczego do czytania i bardzo się tym przejął. Toteż przed godziną pojechałem do Bonn i kupiłem "International Herald Tribune" z ostatnich trzech dni.

Położył koło tacy gruby rulon gazet.

Jednakże Joel nie wpatrywał się w "Heralda". Jego uwagę przykuła szyja Niemca, okręcona cienkim srebrnym łańcuszkiem biegnącym do kieszeni na piersi, skąd wystawał koniec okrągłego gwizdka, wyraźnie widoczny na tle ciemnego materiału.

Converse spojrział na drzwi. Olbrzymie dobermany siedziały na zadach, dysząc ciężko. Ślina kapiała im z pysków, lecz zachowywały się dość spokojnie.

Przypomniał sobie dziwnego Anglika wydającego psom Polecenia za pomocą srebrnego gwizdka, gdy przybył do monumentalnej siedziby Leifhelma.

-

Proszę powtórzyć panu generałowi, że dziękuję za prasę, ale byłbym jeszcze bardziej wdzięczny, gdybym mógł wyjść na kilka minut.

-Ja, z biletem lotniczym na Złote Wybrzeże, min?

-

Na miłość boską, żeby rozprostować nogi! Cóż to, pan i te bestie nie Potraficie sobie poradzić z nieuzbrojonym człowiekiem, który chce odetchnąć świeżym powietrzem?! - Joel umilkł i dodał, parodiując niemiecki akcent: -

Ja ropie, co mi kazać.

265

Uśmiech szofera przybladł.

-

Któregoś dnia stwierdził pan, że złamie mi kark, zamiast przeproszać Pański żart bardzo mnie rozśmieszył, mein Herr.

-

Niech pan da spokój - odezwał się pojednawczo Converse, spuszczać nogi na ziemię. - Jest pan dziesięć lat młodszy i dwadzieścia razy silniejszy Czułem się urażony i zareagowałem głupio, ale jeśli pan myśli, że podniosę na pana rękę, jest pan niespełna rozumu. Przepraszam. Dobrze mnie pan traktuje, a ja postępuję jak idiota.

-

Owszem, jak idiota - odparł bez urazy Niemiec. - Ale nie myli się pan.

Robię, co mi każą. Dlaczego nie? To zaszczyt słuchać rozkazów generała Leifhelma. Był dla mnie dobry.

-

Długo pan u niego pracuje?

-

Od Brukseli. Byłem sierżantem w niemieckiej straży granicznej. Zainteresował się moimi kłopotami. Odkomenderowano mnie do Brabancji i zostałem jego szoferem.

-

A na czym polegały pańskie kłopoty? Jestem prawnikiem, jak pan wie.

-

Oskarżono mnie o złamanie komuś karku.

-

Zrobił pan to?

-

Ja. Chciał mi wbić nóż w brzuch albo jeszcze niżej. Oskarżył mnie o zgwałcenie swojej córki. Nie zgwałciłem jej: nie było potrzeby. Była kurwą.

Widać to było po jej ubraniu, po sposobie chodzenia es ist klarl Jej ojciec był
świnia.

Joel spojrział na szofera, w którego oczach zapłonęła przymglona złość.

-

Rozumiem współczucie generała Leifhelma - rzekł.

-

Teraz pan wie, dlaczego robię, co mi każą.

-

Bardzo dobrze.

-

Pan generał telefonuje w południe. Spytał go o spacer. Rozumie pan, że wystarczyłoby jedno moje
słowo, by rozszarpały pana dobermany?

-

Milutkie pieski - odezwał się Converse, zwracając się do sfory przed domem.

Nadeszło południe i Joel otrzymał przywilej spaceru. Miał on odbywać się po lunchu, gdy szofer
zabierał tacę. W końcu pojawił się i po kilku surowych ostrzeżeniach wypuścił Joela na dwór.
Otoczyły go natychmiast dobermany z rozdętymi czarnymi chrapami, lśniącego białymi zębami,
sinoczerwonymi jęzorami wystającymi z pysków. Converse rozejrzał się i zobaczył, że niewielki
domek wzniesiono z ciężkich, solidnych głazów. Niezwykła grupka ruszyła ścieżką, rozpoczynając
spacer dla zdrowia. Joel nabrał odwagi, gdyż psy, upominane ostro przez Niemca, zaczęły się nim
mniej interesować. Biegły do przodu i zawracały, szczekając na siebie, lecz stale spoglądając do tyłu
na swojego pana lub więźnia. Converse przyspieszył kroku.

-

W Ameryce uprawiałem często jogging - skłamał.

-

Jogging? Was ist?

-

Bieganie dla zdrowia.

266

-

Jeśli zacznie pan biegać, mein Herr, pańskie zdrowie znajdzie się w niebezpieczeństwie. Rozszarpia pana dobermany.

-

Owszem, słyszałem o ludziach, którzy dostali zawału podczas jogingu. - Joel zwolnił, lecz nadal rozglądał się błyskawicznie na wszystkie strony.

Słońce stało w zenicie i nie można było rozpoznać stron świata.

Ścieżka przypominała wąską linię w skomplikowanej sieci ukrytych tropów. Po bokach rosły gęste krzewy, a w górze wisiały nisko konary drzew, lecz tu i ówdzie pojawiały się wąskie przesieki porośnięte dziką trawą, prowadzące do innych ścieżek lub donikąd. Dotarli do rozwidlenia. Prawa odnoga skręcała ostro w tunel zieleni. Psy wbiegły do niego instynktownie, lecz stanęły na dźwięk ostrej komendy po niemiecku, zawróciły gwałtownie, potrącając się, po czym wróciły do skrzyżowania i popędziły szerszą ścieżką w lewo. Wiodła ona s tromo na szczyt wzgórza. Drzewa stały się niższe i cieńsze, a jeżyny dziksze i bardziej poplątane. Wiatr, pomyślał Converse. Wiatr wiejący w dolinie, którego unikają piloci awionetek przy najmniejszych oznakach złej pogody, wiatr powstały w wąskim wgłębieniu w ziemi. Rzeka.

Rzeczywiście, po lewej pojawił się Ren. Czyli szli na wschód. Rzeka leżała w dole, półtora kilometra za linią wysokich drzew. Joel zobaczył już wystarczająco dużo. Zaczął oddychać głośnie. Ogarnęło go głębokie uniesienie: mógłby przemaszerować wiele kilometrów. Znalazł się z powrotem nad Hu-ong The, nad brzegiem ciemnej rzeki, która miała uratować go przed kłatkami, celami i narkotykami Mekongu. Już raz uciekł i zamierzał zrobić to ponownie!

-

W porządku, panie feldmarszałku - odezwał się do szofera Leifhelma, spoglądając na srebrny gwizdek w kieszeni Niemca. - Nie jestem w takiej dobrej formie, jak myślałem. To prawdziwa góra! Nie macie tu jakichś płaskich łąk albo pastwisk?

-

Robię, co mi każą, mein Herr - odparł kierowca, szczerząc zęby w uśmiechu. - Łąki są bliżej dworu. Ma pan spacerować w tej okolicy.

-

O nie, bardzo dziękuję. Proszę mnie zabrać z powrotem do mojej małej chatki, a ja ślicznie panu podziękuję.

-

Wie bitte?

-

Zmachałem się i nie skończyłem gazet. Naprawdę chcę panu podziękować. Musiałem odetchnąć świeżym powietrzem.

-

Sehr gut. Miły z pana człowiek.

-

Nawet pan nie wie, jak bardzo, Aryjczyku.

-

I bardzo dowcipny. Der Jude ist in Israel, nicht wahr? To lepiej niż w Niemczech, mein Herr.

-

Nate Simon polubiłby pana. Wziąłby pańską sprawę za darmo, po prostu żeby pana wsadzić... Nie, nie zrobiłby tego. Prawdopodobnie wygłosiłby najlepszą mowę obrończą na świecie.

267

Converse stał na drewnianym krześle pod oknem po lewej stronie. Czekał na dźwięk lub widok zbliżających się psów; później miał około dwudziestu trzydziestu sekund. Odkręcił kurki w łazience i uchylił drzwi. Musiał przebiec przez pokój, spuścić wodę w toalecie, zamknąć drzwi, wrócić do krzesła i chwycić je poziomo w ręce. Słońce wisiało nisko nad horyzontem; za godzinę zapadnie zmrok. Przed laty noc była także sprzymierzeńcem, podobnie jak rzeka. Musiała, musiała stać się nim znowu!

Rozległ się tupot łap i dyszenie zwierząt, a po chwili ukazały się lśniące ciemne dobermany biegnące w kółko przed więzieniem. Joel popędził do łazienki.

Kiedy rozległ się dźwięk odsuwanej zasuw, spuścił wodę, odwrócił się na pięcie w ciasnym pomieszczeniu, zamknął drzwi i popędził z powrotem do krzesła. Uniósł

je i zastygł w miejscu. Drzwi się uchylły - miał tylko parę sekund - i Niemiec pchnął je prawą ręką.

- Herr Converse? Wu ist?... Ach, die Toilette.

Wszedł z tacą do środka, Joel zaś uderzył go z całej siły krzesłem w głowę.

Niemiec zachwiał się i wypuścił z rąk tacę z kolacją. Był oszołomiony i to wszystko. Converse zamknął kopniakiem drzwi i walnął go jeszcze kilka razy, aż szofer zwiotczał, a jego oczy i twarz zalały potoki krwi i śliny.

Falanga psów rzuciła się nagle na zamknięte drzwi, ujadając z wściekłości, drapiąc drewno pazurami niczym oszalałe bestie.

Joel chwycił srebrny łańcuszek, zdjął go z szyi nieprzytomnego Niemca i wyjął mu z kieszeni gwizdek. Znajdowały się w nim cztery otwory; każdy musiał coś znaczyć. Converse przysunął drugie krzesło do prawego okna, wszedł na nie i włożył gwizdek do ust. Zakrył pierwszą dziurkę i dmuchnął. Nie rozległ się żaden dźwięk, lecz nie miało to żadnego znaczenia.

Dobermany oszalały! Zaczęły taranować samobójczo drzwi! Zdjął palec z pierwszego otworu, zakrył drugi i znów zadął.

Psy nie wiedziały, co robić. Biegały w kółko, warcząc i szczekając, lecz ich uwaga skupiała się nadal na drzwiach. Joel zatkał trzeci otwór i dmuchnął co sił

w płucach.

Dobermany znieruchomiały nagle, strzygąc przyciętymi uszami i czekając na następny sygnał. Converse gwizdnął ponownie z całych sił. Właśnie tego oczekiwały, gdyż w jednej chwili popędziły pod oknem w prawo ku nieznanemu miejscu przeznaczenia.

Converse zeskoczył z krzesła i ukląkł koło nieprzytomnego Niemca. Przeszukał mu prędko kieszenie i zabrał portfel wraz ze wszystkimi pieniędzmi, zegarek oraz pistolet. Spoglądał przez chwilę na broń, przejęty odrazą do wspomnień, jakie budziła. Wreszcie wsunął pistolet za pasek i ruszył w stronę drzwi.

Znalazłszy się na dworze, starannie zamknął ciężkie wierzeje, zasuwając zasuwę.

Popędził ścieżką, usiłując ocenić odległość do rozwidlenia, którego prawa odnoga była verboten, lewa zaś wiodła do stromego wzgórza i RenU płynącego w dole.

Znajdowało się ono w istocie zaledwie dwieście metrów dalej, lecz droga wydawała się dłuższa

jeżyn po bokach. Jeśli dobrze pamiętał - a wracając ze spaceru, czuł się jak nilot bez kompasu, opierając się tylko na obserwacji - przed skrzyżowaniem rozciągała się płaska polana długości około dwudziestu pięciu metrów.

Dotarł do niej wreszcie i zobaczył rozwidlające się ścieżki. Przyśpieszył

biegu.

Głosy! Gniewne, pytające? Były niedaleko i zbliżały się! Dał nurka w krzaki po prawej, tocząc się przez kolczaste jeżyny, aż zasłoniło go gęste listowie. W

polu widzenia pojawili się dwaj idący szybko mężczyźni, którzy głośno rozmawiali, jakby sprzeciali się o coś, lecz nie pomiędzy sobą.

-

Was haben die Hunde?

-

Die sollten bel Heinrch sein!

Joel nie miał pojęcia, co mówią; wiedział tylko, że zmierzają do kamiennego domku na uboczu. Zdawał sobie sprawę, że nie stracą wiele czasu, dobijając się do drzwi, lecz sięgną po bardziej skuteczne metody. A kiedy znajdą się w środku, w fortecy Leifhelma ogłoszony zostanie alarm. Miał tylko kilka minut i musiał

przebyć znaczną odległość. Wyczołgał się ostrożnie z krzaków. Niemcy zniknęli za zakrętem. Wstał i popędził ku rozwidleniu i wysokiemu wzgórzu po lewej stronie.

Trzej strażnicy przy olbrzymiej żelaznej bramie posiadłości Leifhelma byli zdziwieni. Po trawie biegała niecierpliwie w kółko sfora dobermanów, najwyraźniej nie wiedząc, co robić.

-

Was haben die Hunde denn? - spytał jeden z mężczyzn.

-

Ich verstehe das nicht - odparł drugi.

-

Heinrich hat sich losgelassen, aber warum? - rzeł trzeci.

-

Das werden wir schon noch hören - mruknął pierwszy strażnik, wzru szając ramionami. - Sonst rufen wir in ein paar Minuten an.

-

Mir gefällt das nicht! - zawołał drugi. - Ich rufe jetzt an!

Pierwszy strażnik wszedł do stróżówki i podniósł słuchawkę telefonu.

Converse wbiegł na strome wzgórze. Dyszał ciężko, miał spierzchnięte wargi, słyszał walenie serca we własnej piersi. Nareszcie! Widział wyraźnie rzekę. Kurs okazał się prawidłowy! Nie potrzebował wieży kontrolnej, by ruszyć ku olbrzymiemu wodnemu pasowi startowemu. Pobieł w dół, nabierając szybkości.

Wiatr owiewający mu twarz wywoływał szaleńczą radość. Wrócił! Pędził przez polany w dżungli, nie musząc się martwić o współwięźniów, a bodźca dodawał mu jedynie gniew, który kazał wydostać się na wolność i w jakiś sposób wziąć odwet na tych, którzy obnażyli go, zgwałcili i zmienili w zwierzę! Normalna istota ludzka pozbawiona złości przeobraziła się w bestię utraconą przez piekielną nienawiść, której nie sposób wytrzymać. Musiał ich zniszczyć! Byli wrogami, potworami!

269

Zbieł odsłoniętym zboczem wzgórza, porośniętym zdziczałymi krzewami, i znów zastąpiła mu drogę ściana zieleni. Jednakże orientował się w terenie; nawet w najgęstszym lesie powinien mieć cały czas po lewej ostatnie promienie słońca.

Zmierzając prosto na północ, musiał wreszcie dotrzeć do rzeki Odwrócił się gwałtownie na dźwięk kilku szybko następujących po sobie eksplozji.

W dali rozległo się pięć strzałów z pistoletu. Łatwo było sobie wyobrazić cel: drewniany krąg wokół cylindrycznego zamka w drzwiach samotnego domku na leśnej polanie. Włamywano się do jego więzienia. Miał coraz mniej czasu.

Po chwili ciszę wieczoru zmały dwa zupełnie różne dźwięki, które zmieszały się, tworząc dziką kakofonię. Rozległo się wysokie wycie syreny i histeryczne ujadanie pędzących psów. Wszczęto alarm. Doberman wachały brudną bielizną i pościel, by pobic tropem Joela. Nie mógł liczyć na łaskę; gdyby go doścignęły, rozszarpałyby go na strzępy.

Converse pognął co sił przez las, omijając drzewa, klucząc, pochylając się, rozsuwając rękoma krzaki blokujące drogę. Chłostały go po twarzy gałęzie, a stopy więzły w wykrotach i między obnażonymi korzeniami. Przestał już liczyć potknięcia, gdy w ciszy usłyszał szczekanie psów gdzieś na stoku wzgórza.

Zbliżały się! Wpadły do lasu, wypełniając go swoim wściekłym wyciem, gdy kilka zaplątało się w gęstym poszyciu i usiłowało się uwolnić, by popędzić tropem znienawidzonego człowieka.

Woda! Między drzewami ukazała się rzeka! Z twarzy Joela spływał pot, zalewając oczy i powodując pieczenie zadrapań na szyi i brodzie. Miał mokrą koszulę, a cierniste krzewy i ostra kora podrapały mu ręce do krwi.

Noga zapadła mu się w norę jakiegoś nadrzecznego zwierzęcia i wykręcił sobie boleśnie kostkę.

Wstał, uwolnił stopę i pokuśtykał niezgrabnie do przodu. Dobermany zbliżały się, ich ostre szczekanie stawało się coraz głośniejsze. Zapach świeżego potu doprowadzał je do szaleństwa i budził mordercze instynkty.

Brzeg rzeki! Zobaczył niewielką mulistą zatoczkę, gdzie pływały w kółko odpadki czekające na silniejszy prąd, który zabierze je dalej. Chwycił kolbę pistoletu szofera, by wsunąć go głębiej za pasek, i pobiegł kulejąc w dół, wybierając najkrótszą drogę do wody.

Nagle usłyszał nieopodal straszliwy ryk i z mroku skoczyło nań ogromne zwierzę.

Potworny pysk psa z płonącymi ślepiami i rozdziawioną zębatą paszczą wyrażał

krańcową wściekłość. Converse upadł na kolana, a doberman przeleciał mu tuż koło prawego ramienia, rozrywając górnymi kłami koszulę. Bestia upadła na grzbiet w błoto i doprowadzona do szaleństwa chwilowym niepowodzeniem przewróciła się na brzuch, warcząc, wspięła się na tylne łapy i skoczyła ku Joelowi.

Converse trzymał w ręku pistolet. Strzał rozłupał górną część czaszki atakującego psa, ochlapując ziemię mózgiem zmieszonym z krwią. Zwiotczała olbrzymia paszcza trąciła Joela w podbrzusze.

270

Ku rzece pędziła reszta sfory, oznajmiając swoje przybycie ogłuszającym ujadaniem. Joel skoczył do wody i czym prędzej odpłynął; jego ruchy krępował

pistolet, lecz wiedział, że nie może wypuścić go z rąk.

Lata temu, wieki temu rozpaczliwie potrzebował broni, gdyż wiedział, iż może ona decydować o życiu lub śmierci, i nie zdobył jej przez pięć dni. Aż wreszcie udało mu się to na brzegu Huong Khe.

Przepłynął pod wodą koło patrolu wroga, a po dziesięciu minutach zauważył samotnego zwiadowcę. Szedł on trochę z byt daleko od głównego oddziału. Może przyśpieszył kroku, bo czymś się rozgniewał, a może po prostu nudził się i chciał być przez chwilę sam. Zresztą nie zmieniło to jego losu. Converse zabił go kamieniem z dna rzeki i zabrał mu karabin. Strzelił z niego dwukrotnie, ratując swoje życie, zanim dotarł do wysuniętego posterunku na południe od Phu Loc.

Zmagając się z przybrzeżnymi prądami Renu, Joel zdał sobie nagle sprawę z pewnego faktu. Minał piąty dzień uwięzienia w posiadłości Leifhelma. Nie trzymano go co prawda w dole w dżungli, lecz mimo wszystko był jeńcem. Udało mu się uciec! I akurat piątego dnia zdobył broń! Uznał to za szczęśliwy omen, choć normalnie nie wierzył w takie rzeczy.

Rzekę spowiół już mrok, gdyż okoliczne góry zasłaniały zachodzące słońce. Joel obrócił się w miejscu. Na brzegu, w zatoczce, gdzie skoczył do wody, krążyła warcząc i szczekając sfora psów, a kilka obwąchiwało swojego martwego przywódcę i sikało na niego na znak pogardy. Między drzewami błysnęły nagle światła potężnych latarek. Joel odpłynął dalej; unikał już reflektorów w dolinie Mekongu. Nie obawiał się ich teraz, gdyż wiedział, że wygrał.

Prąd rzeki niósł go powoli na wschód. Wcześniej czy później pojawią się inne światła, które pozwolą mu znaleźć kryjówkę i telefon. Musiał szybko zdemaskować Akwitańczyków i mógł to zrobić. Jednakże intuicja podpowiadała, że człowiek z zabandażowaną raną postrzałową odziany w przemoczoną odzież i mówiący obcym językiem nie jest równym partnerem dla podwładnych George'a Marcusa Delavane'a.

Zdołają go odnaleźć. Toteż powinien posłużyć się podstępem. Musiał dotrzeć do telefonu i zadzwonić za ocean. Potrafił, musiał to zrobić! Huong Khe przybladła, jego sprzymierzeńcem stał się Ren.

Płynąc żabką, nadal ściskając w dłoni pistolet, z ramieniem piekącym od wody, ujrzał w dali światła wioski.

Rozdział 18

Valerie zmarszczyła brwi, słuchając telefonu w swojej pracowni. Spiralny sznur aparatu napiął się, gdy pochyliła się i położyła pędzel na sztalugach.

Spoglądała na zalane słońcem wydmy za oszklonymi drzwiami, wyławiając aluzje niewypowiedziane na głos.

-

Co się z tobą dzieje, Larry?! - przerwała w końcu, nie mogąc dłużej nad sobą zapanować. - Joel to nie pracownik albo wspólnik, tylko przyjaciel! mó wiesz, jakbyś zbierał dowody przeciwko niemu! Jak to nazwałeś? Prawda, po szlaki! Widziano go tu, później tam, ktoś powiedział jedno, ktoś inny drugie!

-

Usiłuję coś z tego zrozumieć, Val - zaprotestował Talbot w swoim gabinecie w Nowym Jorku. - Ty też powinnaś spróbować. Nie mogę powiedzieć wiele, bo ludzie, których muszę szanować ze względu na ich stanowiska, prosił mnie o nieujawnianie pewnych faktów. Naginam swoje zasady, bo Joel to mój przyjaciel i chcę mu pomóc.

-

Dobrze, zacznijmy od początku - odezwała się Valerie. - Do czego właściwie zmierzasz?

-

Wiem, że to nie mój cholerny interes i nie pytałbym o to, gdybym nie uważał tego za konieczne...

-

Rozumiem - wtrąciła Val. - O co chodzi?

-

Cóż, wiem, że ty i Joel mieliście problemy - ciągnął współwłaściciel kancelarii Talbota, Brooksa i Simona, jakby mówił o nieistotnej sprzeczce między dziećmi - ale kłopoty mogą mieć różny charakter.

-

Owszem, mieliśmy kłopoty, Larry - przerwała znów Val. - Rozwiedliśmy się, a to znaczy, że nasze kłopoty były poważne.

-

Czy Joel znęcał się nad tobą? - spytał prędko Talbot zażenowanym tonem.

Valerie była zdumiona. Nie spodziewała się tego pytania.

-

Co takiego?!

-

Wiesz, o co mi chodzi. Czy bił cię w przystępach wściekłości? Czy maltretował cię fizycznie?

-Nie wygłaszasz mowy przed sądem. Oczywiście, że mnie nie bił. Choć szczerze mówiąc, wolałabym, żeby się na mnie gniewał.

-

Słucham?

-

To nic ważnego - odparła Valerie, otrząsnąwszy się ze zdumienia. -Nie wiem, co cię skłoniło do zadania tego pytania, ale to zupełny nonsens. Joel dysponował znacznie skuteczniejszymi sposobami poniżania mnie niż bicie.

Jednym z nich, drogi Larry, było samozaparcie, z jakim robił karierę u Talbota, Brooksa i Simona.

-

Zdaję sobie z tego sprawę, kochanie, i przykro mi. Takie skargi powta rzają się w kółko podczas spraw rozwodowych i nic na to nie poradzimy ani teraz, ani za tysiąc lat. Mam na myśli coś innego. Chodzi mi o jego okresy depresji. Oboje wiemy, że się zdarzały.

-

A znasz jakąkolwiek normalną osobę, której się nie zdarzają? - spytała była pani Converse. - Nie żyjemy w końcu w najlepszym z możliwych światów, prawda?

-

Nie, nie żyjemy. Ale Joel przeszedł przez piekło, którego nawet nie jesteśmy w stanie sobie wyobrazić. Nie wierzę, że nie pozostawiło to kilku bliźn.

272

Valerie umilkła, wzruszona bezpośredniością starszego pana; była pewna, że on szczerze martwi się o Joela.

-

Jesteś cudowny, Larry, i na pewno masz trochę racji. Ale najpierw mu siesz mi powiedzieć coś więcej. Określenie "maltretować fizycznie" jest nie sprawiedliwe, bo zawiera negatywne konotacje emocjonalne. Bądźmy sprawiedliwi, Larry. Nie jest już moim mężem, ale nie rozstaliśmy się, bo

latał za dziewczynami albo tłukł mnie po głowie. Nie chcę być jego żoną, lecz go szanuję. Każde z nas ma swoje kłopoty, lecz ty sugerujesz, że jego są znacznie poważniejsze. Co się stało?

Talbot milczał przez chwilę.

-

Podobno napadł na kogoś w Paryżu, choć go nie sprowokowano. Ofiara nie żyje.

-Nie, to niemożliwe! Nie zrobił tego, nie byłby w stanie!

-

Właśnie to mi powiedział, ale kłamał. Twierdził, że wróci do Paryża, by wyjaśnić całą sprawę, lecz tego nie zrobił. Pojechał do Niemiec i nadal tam przebywa. Interpol ma nakaz jego aresztowania. Wszędzie go szukają. Dora dzono mu zgłosić się do ambasady amerykańskiej, ale odmówił. Przepadł jak kamień w wodę.

-

Boże, mylicie się! - wybuchnęła Valerie. - Nie znacie go! Jeśli to praw da, zaatakowano go i musiał się bronić, bo nie miał wyboru!

-

Bezstronny świadek, który nie znał żadnego z uczestników bójki, twierdzi coś przeciwnego.

-

Więc nie jest bezstronny, tylko kłamie...! Posłuchaj mnie. Żyłam z Joelem cztery lata i z wyjątkiem kilku podróży spędziliśmy cały ten czas w Nowym Jorku. Widziałam, jak zaczepiali go pijacy i męty społeczne, punki, którzy mogli z łatwością odepchnąć i przewrócić na ziemię, lecz ani razu nie zrobił nawet kroku do przodu. Po prostu unosił do góry dłonie i odchodził.

Jacyś kretyni obrzucali go wyzwiskami, a on stał i patrzył na nich. Wiesz, Larry, od jego wzroku robiło się zimno. Ale to wszystko, w ogóle nie reago wał.

-

Chcę ci wierzyć, Val. Chcę wierzyć, że zrobił to w obronie własnej, lecz uciekł, zniknął. Ambasada mogłaby mu pomóc, ale nie chce się do niej zgł o sić.

-

To znaczy, że czegoś się boi. Trwało to zawsze tylko kilka minut, zwykle w nocy, gdy się obudził. Siadał nagle z powiekami zaciśniętymi tak mocno, że cała twarz była pomarszczona. Nie trwało to długo, a Joel twierdził, że to normalne i że nie ma się czym przejmować. Sam chyba też się tym nie

niepokoił, bo chciał zapomnieć o przeszłości i nigdy jej nie wspominał.

-

Może powinien - odezwał się miękko Talbot.

-

Touche, Larry - odparła równie miękko Valerie. - Nie myśl, że nie zastanawiałam się nad tym w ciągu ostatnich dwu lat naszego małżeństwa. Cokolwiek się stało, Joel zachowuje się w ten sposób tylko dlatego, że się boi, a mógł przecież zostać ranny. Albo, mój Boże...

273

-

Sprawdzono wszystkie szpitale i gabinety lekarskie - przerwał Talbot.

-

Musi być jakaś przyczyna, do cholery! Dobrze wiesz, że to nie w stylu Joela!

-

Dokładnie o to mi chodzi, Val. Czuję się tak, jakbym go nie znał.

Była pani Converse zeszywniała.

-

Czy mógłbyś wyrażać się jaśniej, by użyć jednego z ulubionych powie dzonek Joela? - spytała zalęknionym tonem.

-

Czemu nie? - odparł Talbot na poły do siebie. - Jeśli ty nie potrafisz rzucić na to trochę światła, nikt inny tego nie zrobi.

-

A człowiek zabity w Paryżu?

-

Nic ciekawego. To zdaje się szofer zatrudniony w firmie wynajmującej limuzyny. Wedle świadka, strażnika z podziemi hotelu, Joel zbliżył się do niego, wrzasnął coś i wypchnął go za drzwi. Rozległy

się odgłosy bójki i kilka minut później kierowcę znaleziono w zaułku z rozbitą głową.

-

To śmiechu warte! Co na to Joel?

-

Że wyszedł przez drzwi, zobaczył dwóch walczących mężczyzn i pobiegł do taksówki, chcąc po drodze zawiadomić portiera.

-

Właśnie tak by postąpił - rzekła z przekonaniem Val.

-

Recepcjonista Jerzego V twierdzi, że nic takiego nie miało miejsca. Po licja utrzymuje, że w łazience Joela znaleziono takie same cebulki włosowe jak na ubraniu zabitego.

-

Zupełnie w to nie wierzę!

-

Powiedzmy, że Joela sprowokowano, choć nie wiemy, w jaki sposób - poprawił się szybko Talbot. - Nie tłumaczy to późniejszych wypadków, ale zanim ci o nich opowiem, chciałbym cię spytać o coś innego. Zrozumiesz, o co mi chodzi.

-

Nic nie rozumiem! O co chcesz spytać?

-

Czy kiedy Joel wpadał w depresję, snuł jakieś fantazje? Czy wyobrażał sobie, że jest kimś innym?

-

Czy wcielał się w inne osobowości, tak?

-

Właśnie to mam na myśli.

-

Absolutnie nie.

-No cóż...

-

Co takiego? Wykrztuś to wreszcie, Larry.

-

Skoro mówimy o rzeczach wiarygodnych i niewiarygodnych, czeka cię niespodzianka, moja droga. Wedle ludzi, którzy woleliby, żebym trzymał ję zyk za zębami, po przylocie do Niemiec Joel podawał się za tajnego agenta prowadzącego kontrolę ambasady.

-

Może to prawda! Wziął urlop, żeby się czymś zająć!

-

Wiemy, że pracuje dla prywatnej firmy, która nie ma nic wspólnego z administracją. Zresztą żaden organ rządowy nie prowadzi obecnie kontroli ambasady w Bonn, jawnej ani tajnej. Szczerze mówiąc, kontaktowali się ze mną funkcjonariusze Departamentu Stanu.

274

- O Boże... - Valerie umilkła, lecz nim prawnik zdążył się odezwać, wydeptała: -

Genewa! Ten horror w Genewie!

-

Jeśli istnieje jakiś związek, a Nathan i ja od razu o tym pomyśleliśmy, jest tak głęboko ukryty, że nie można go wytropić.

-

Musi być. Wszystko tam się zaczęło.

-

Przyjmując, że twój mąż postępuje racjonalnie.

-Nie jest już moim mężem, ale postępuje racjonalnie!

-

Blizny, Val. Musiały pozostać blizny. Przyznałaś mi rację.

-

Nie takie, jakie masz na myśli. Joel nie zabijałby, nie kłamał i nie uciekał! To nie Joel! To nie mój mąż!

-

Umysł to instrument niezmiernie skomplikowany i delikatny. Urazy z przeszłości mogą się ujawnić dopiero po wielu latach...

-

Daj spokój, Larry! - zawołała Valerie. -Zostaw te nonsensy dla przysięg łych, ale nie wmawiaj ich Converse'owi!

-

Jesteś wytrącona z równowagi.

-

Tak, do cholery! Bo szukasz wyjaśnień nie pasujących do Joela, tylko do tego, co powiedzieli ci ludzie, których musisz szanować.

-

Jedynie w tym sensie, że są dobrze poinformowani. Mają dostęp do danych, którymi my nie dysponujemy. Co najważniejsze, nie mieli zielonego pojęcia, kim jest Joel Converse, dopóki Stowarzyszenie Prawników Amerykańskich nie podało im telefonu Talbota, Brooksa i Simona.

-

I ty im wierzysz?! Przyjęłaś ich słowa za dobrą monetę pomimo całej swojej wiedzy o Waszyngtonie? Ileż to razy Joel wracał z podróży do Waszyngtonu i powtarzał mi: "Larry twierdzi, że kłamie. Nie wiedzą, co robić, więc kłamie!"

-

Tu nie chodzi po prostu o jakąś koncesję, Valerie - odparł surowo prawnik. - Poza tym po tylu latach potrafię odróżnić krętacza od człowieka autentycznie wściekłego i przerażonego. Skontaktowałem się ze mną podsekretarz stanu Brewster Tolland (sprawdziłem to, oddzwaniając pod wskazany numer) i

wiem, że nie grał komedii. Był naprawdę zły i bardzo zaniepokojony.

-

Co mu powiedziałeś?

-

Prawdę, ma się rozumieć. Nie tylko dlatego, że powinienem; gdybym zrobił coś innego, Joelowi w niczym by to nie pomogło. Jeśli jest chory, potrzebuje pomocy, a nie współników.

-

A ty co tydzień załatwiasz w Waszyngtonie różne interesy?

-

Kilka razy na tydzień. Oczywiście to także miało pewne znaczenie.

-

Przepraszam, Larry, jestem niesprawiedliwa.

-

Ale pragmatyczna, a ja mówię poważnie. Kłamiąc, nie pomógłbym Joelowi. Widzisz, naprawdę wierzę, że coś się stało. Nie jest przy zdrowych zmysłach.

-

Zaczekaj! - zawołała Valerie, uderzona oczywistą myślą. - A może to nie Joel?

-

Niestety tak - odparł prosto Talbot.

-

Skąd wiesz? Bo tak twierdzą nieznanymi ci osobiście ludźmi z Waszyngtonu?

275

-

Nie, Val - odpowiedział prawnik. - Nim na scenie pojawił się Waszyng.

ton, rozmawiałem z Renę.

-

Z Matillonem?!

-

Joel pojechał do Paryża i poprosił Renę o pomoc. Okłamał go, podobnie jak mnie, ale nie chodzi o kłamstwa. Matillon przyznaje mi rację. Zobaczył

coś dziwnego w jego oczach, a ja usłyszałem to samo w jego głosie. Szaleń stwo, rozpacz. Renę dostrzegł to, a ja usłyszałem. Joel starał się to ukryć, ale nie potrafił... Kiedy rozmawiałem z nim po raz ostatni, odłożył nagle słu chawkę w środku zdania, a jego głos brzmiał jak zza grobu.

Valerie wpatrywała się w jaskrawe, migotliwe refleksy słońca na wodach Cape Ann.

-

Renę przyznał ci rację? - spytała szeptem.

-

Powiedziałem mu to samo, co tobie.

-

Boję się, Larry.

Chaim Abrahms wkroczył do pokoju, tupiąc ciężkimi buciorami.

-

Udało mu się! - wykrzyknął. - Mosad miał rację, to wściekły pies!

Erich Leifhelm siedział za biurkiem, samotny wśród książek wypełniają cych gabinet.

-

Patrole, systemy alarmowe, psy! - zawołał, uderzając kruchą dłonią w czerwony bibularz. - Jak tego dokonał?!

-

Powtarzam, to wściekły pies. Tak nazwał go nasz szef wywiadu. Im większy nacisk, tym groźniejszy się staje. Nauczył się tego w Wietnamie. Więc nasz agent provocateur rozpoczyna swoją odyseję przed czasem. Kontakto wałeś się z resztą?

-

Telefonowałem do Londynu - odparł Leifhelm, oddychając głęboko. -

Brytyjczyk zawiadomi Bertholdiera, który wysłał do Brukseli i Bonn jednostki z Marsylii. Nie wolno stracić ani godziny.

-

Już go szukasz, ma się rozumieć?

-Natiirlich! Sprawdzamy brzeg wiele kilometrów w obydwu kierunkach. Wszystkie drogi i ścieżki wiodące z miasta nad rzekę.

-

Potrafi wam się wymknąć. Już to udowodnił.

-

Dokąd może iść, Sabro? Do ambasady? Zginie. Do Bundespolizei albo bońskiej policji? Wsadzą go do opancerzonego auta i przywiozą do mnie. Nie ma dokąd iść.

-

Słyszałem to już, gdy opuścił Paryż i przyleciał do Bonn. Popelnione tam błędy kosztowały nas mnóstwo godzin. Mówię ci: niepokoję się w tej chwili bardziej niż podczas trzech wojen, w których uczestniczyłem, nie licząc tysięcy cy potyczek.

-

Bądź rozsądny, Chaimie. Postaraj się zachować spokój. Jego ubranie jest przemoczone i powalane błotem, nie ma dokumentów, paszportu, pieniędzy. Nie zna języka...

276

-

Ma pieniądze! - wrzasnął Abrahms, nagle coś sobie przypominając. -

Kiedy go przesłuchiwaliśmy, wspomniał o poważnej sumie otrzymanej od Hallidaya w Genewie i

przelanej na Mikonos.

-

I gdzie są te pieniądze? - spytał Leifhelm. - W moim biurku. Prawie siedemdziesiąt tysięcy dolarów. Nie ma ani marki, nawet zegarka albo obrączki.

Człowiek w brudnym, przemoczonym ubraniu, bez dokumentów, pieniędzy, nie -

znający języka i opowiadający zwariowaną historię o uwięzieniu w posiadłości generała Leifhelma trafi niewątpliwie do więzienia jako włóczęga albo szale niec. Natychmiast się o tym dowiemy, a nasi ludzie odstawiągo tutaj. I pamiętaj, Sabro, jutro o dziesiątej rano nie będzie to mieć żadnego znaczenia. Dzięki tobie

i pomysłowości Mosadu. Posiadamy po prostu odpowiednie możliwości...

Abrahms, odziany w strój safari, stał przed olbrzymim biurkiem, podpierając się pod boki.

-

A wszystkim kierują żydowski generał i niemiecki feldmarszałek...

Zabawne, prawda, ty stary nazisto?

-

Mniej niż myślisz, uberlegener Jude. Czystość rasowa (podobnie jak piękno) zależy od punktu widzenia. Nie jesteś moim wrogiem i nigdy nim nie byłeś. Gdybyśmy mieli waszą determinację i odwagę, nigdy nie przegralibyśmy wojny.

-

Zdaję sobie z tego sprawę - odparł Sabra. - Obserwowałem was, gdy do szliście do kanału La Manche. Właśnie wtedy przegraliście. Okazaliście się słabi.

-

To nie my! To ten przerażony Debutant z Berlina!

-

Więc odbierzcie władzę takim jak on, gdy stworzymy prawdziwy nowy ład. Nie możemy sobie pozwolić na słabość.

-

Przekonasz się, Chaimie.

Nie wątpię.

Szofer czuł na twarzy bandaże i bolała go opuchlizna wokół oczu i warg. Leżał w swoim pokoju po wyjściu lekarza, który zostawił włączony telewizor - chyba po to, by go obrazić, bo przecież pacjent prawie nic nie widział.

Skompromitował się. Więzień zdołał uciec pomimo umiejętności swojego opiekuna oraz sfory dobermanów, której rzekomo nie można było się wymknąć. Amerykanin posłużył się srebrnym gwizdkiem; szofer wstydził się, że zdjęto mu go z szyi.

Nie zamierzał jeszcze bardziej się kompromitować. Chociaż widział tylko rozmazaną plamę, przeszukał swoje kieszenie - podnieceni pościgiem strażacy nie pomyśleli o tym - i spostrzegł, że ukradziono mu portfel, kosztowny szwajcarski zegarek i pieniądze. Postanowił nikomu o tym nie wspominać. I tak najadł się już dość wstydu, a gdyby przyznał się jeszcze do tego, mógłby zostać odprawiony, a nawet skreślony.

277

Joel płynął co tchu w stronę brzegu, zanurzając głowę pod wodę, gdy zbliżał się snop światła z reflektora. Po rzece krążyła duża motorówka, której niskie basowe tony świadczyły o potężnym silniku, a raptowne skręty o ogromnej zwrotności.

Podpływała do zarośniętych brzegów i wracała nagle na środek rzeki, gdy pojawiały się tam dryfujące kłody lub gałęzie.

Converse poczuł pod stopami miękki muł i poczłapał ku drzewom z pistoletem szofera wsuniętym głęboko za pasek. Motorówka podpłynęła bliżej, a jej potężny reflektor macał każdą poruszającą się gałąź, każdą kępę wodorostów. Joel wciągnął głęboko powietrze i zanurzył się powoli z twarzą skierowaną w stronę powierzchni i otwartymi oczyma. Widział tylko błotnistą ciemną plamę. Światło przybrało na sile i unosiło się nad nim przez całą wieczność; zrobił krok w lewo i reflektor odpłynął w bok. Joel, któremu pękały płuca, jął się wolniutko wynurzać, lecz zdał sobie nagle sprawę, że nie może wydać żadnego dźwięku i wciągnąć głośno powietrza. Tuż nad nim, w odległości niespełna półtora metra, kołysała się na wodzie szeroka rufa motorówki. Na pokładzie stał mężczyzna, który lustrował brzeg przez wielką lornetę.

Converse zdziwił się: było zbyt ciemno, by dostrzec cokolwiek nawet w znacznym powiększeniu. Nagle coś sobie przypomniał i zrozumiał, dlaczego lorneta jest taka wielka. Mężczyzna obserwował brzeg przez noktowizor, którymi posługiwały się patrole w Wietnamie i które decydowały często o życiu i śmierci, pozwalając dostrzec w mroku nieprzyjaciela.

Motorówka ruszyła wolniutko do przodu. Joel znów się zdziwił. Dlaczego psy gończe Leifhelma

przyplłynęły właśnie tutaj? Z tyłu i z przodu widać było w dali inne łodzie, lecz krążyły w miejscu, omiatając reflektorami wodę. Dlaczego ogromna motorówka zainteresowała się tym odcinkiem brzegu? Czyżby załoga dostrzegła Joela przez noktowizor? Jeśli tak, zachowywała się bardzo dziwnie.

Wietnamczycy byli szybsi, agresywniejsi i skuteczniejsi.

Converse dał cicho nurka i odpłynął nieco od brzegu. Po chwili wystawił głowę nad wodę i zrozumiał niepojęte manewry łodzi patrolowej Leifhelma. Za ciemną kępą drzew, gdzie się ukrył, błyskały światła, które widział kilka minut temu, nim skupił się na motorówce i reflektorze. Sądził, iż są to latarnie niewielkiej wioski, lecz zupełnie się pomylił. Były to światła palące się w kolonii czterech czy pięciu domków letniskowych ze wspólną przystanią, należących do szczęśliwców posiadających działki nad brzegiem Renu.

Skoro znajdowały się tu domy i przystań, musiała być też droga do Bonn i okolicznych miast. Ludzie Leifhelma przeczesywali każdy centymetr brzegu, po cichu, z reflektorami skierowanymi w dół, by nie niepokoić mieszkańców i nie dać znaku uciekinierowi, który mógł dotrzeć już do kolonii domków i zmierzać ku niewidocznej drodze. Załoga motorówki porozumiewała się przez radio z samochodami krążącymi po okolicy, przygotowując pułapkę. Joel czuł się jak na Huong Khe; przeszkody były znacznie mniej prymitywne, lecz równie zabójcze. I podobnie jak wówczas, należało odczekać w mrocznej ciszy, by tropiacy zrobili pierwszy krok.

278

Wykonali go szybko. Motorówka dobiła do przystani, burząc wodę potężnymi podwójnymi śrubami pracującymi na wstecznym biegu, po czym z dziobu zeskoczył

mężczyzna, który okręcił ciężką cumę wokół pachołków. Na pomost zeszli za nim trzej inni mężczyźni i natychmiast pobiegli pod górę trawiastym zboczem. Jeden skręcił w prawo, dwaj zaś skierowali się w stronę najbliższego domu. Ich zam iary były oczywiste: pierwszy miał stanąć na czatach wśród drzew okalających spadzisty podjazd, a jego towarzysze zamierzali rozejrzeć się po kolonii, szukając śladów zbiega-nerwowych spojrzeń mieszkańców, przerażonych oczu, plam błota na podłodze.

Converse czuł, że jego nogi i ramiona stają się ciężkie jak ołów. Prawie nie mógł już nimi poruszać, lecz nie miał wyboru. Snop światła z reflektora przesuwiał się tam i z powrotem wzdłuż brzegu, rozjaśniając wszystko w okolicy.

Wynurzenie głowy z wody w niewłaściwym momencie oznaczało śmierć.

Huong Khe. Pływaj w miejscu wśród trzciny! Nie poddawaj się! Nie umieraj!

Wiedział, że oczekiwanie trwało nie dłużej niż pół godziny, lecz miał wrażenie, iż spędził na pływającym łożu tortur trzydzieści godzin albo nawet dni. Ręce i nogi chwytaly mu nieznośne, bolesne skurcze, z którymi walczył, wstrzymując oddech, pływając w pozycji płodowej i wbijając

kciuk w skamieniałe mięśnie.

Dwukrotnie zakrztusił się wodą, łapiąc oddech, i wykasływał ją później pod powierzchnią, zatkawszy sobie nos. Chwilami przez głowę przelatowała mu myśl, że tak łatwo byłoby odpłynąć.

Huong Khe. Nie poddawaj się! Nie umieraj!

W końcu zobaczył, że mężczyźni wracają. Jeden, drugi... Trzeci...? Zbiegli na pomost, do mężczyzny z cumą. Nie, to właśnie on pobiegł do przodu! Joelowi dwoiło się w oczach! Na przystań wróciło tylko dwóch mężczyzn, a ten, który został w łodzi, podszedł do nich i pytał o coś. Po chwili odwiązał cumę, gdy tymczasem jego towarzysze wskoczyli do motorówki. Wreszcie on także wszedł na pokład i stanął na dziobie łodzi. Wszystko było jasne. Jeden z tropicieli pozostał na brzegu jako samotny strażnik gdzieś między Renem a drogą.

Huong Khe. Zwiadowca, który odłączył się od patrolu.

Motorówka odbiła od przystani i przepłynęła metr od Joela, zatapiając go wzburzoną przez siebie falą. Skręciła ponownie w stronę brzegu i ruszyła powoli na zachód, ku posiadłości Leifhelma, macając reflektorem gęste listowie.

Converse wystawił głowę z wody, łapiąc ustami powietrze, i ruszył bardzo powoli w stronę błotnistej mielizny. Przeczłogał się przez mokre trzciny i gałęzie, aż znalazł się na suchej ziemi. Huong Khe. Wpełzł między krzaki i przykrył twarz liśćmi. Postanowił odpocząć, aż w ciele znów zacznie krążyć krew, a mięśnie karku się rozluźnią (kark był zawsze najgorszy i stanowił sygnał ostrzegawczy), a później zająć się mężczyzną na ciemnym wzgórzu.

Zdrzemnął się, aż obudził go plusk fal. Odgarnął z twarzy gałęzie i liście, Po czym uniósł nadgarstek i spojrzał na słabo fosforyzujący cyferblat zegarka szofera. Przespał prawie godzinę, oczywiście z przerwami, gdyż budziły go 279

najlżejsze dźwięki. Mimo to odpoczął. Pokręcił głową, a później poruszył rękoma i nogami. Wszystko nadal go bolało, lecz piekielne skurcze minęły. Teraz czekała go konfrontacja z człowiekiem na wzgórzu. Spróbował się skupić. Czuł oczywiście lęk, lecz wiedział, że potrafi nad nim zapanować, podobnie jak przed wielu laty.

Przede wszystkim powinien znaleźć kryjówkę, gdzie mógłby zebrać myśli i odbyć najważniejszą rozmowę telefoniczną w swoim życiu. Postanowił zadzwonić do Larry'ego Talbota i Nathana Simona w Nowym Jorku. Jeśli tego nie zrobi, zginie, podobnie jak Connal Fitzpatrick. Boże! Co z nim zrobili?! Czysty młody człowiek, pragnący czystej zemsty, pochwycony w lepłą sieć Akwitanii! Świat jest jednak niesprawiedliwy... Nie mógł dłużej o tym myśleć, gdyż najważniejszy był w tej chwili człowiek na wzgórzu.

Ruszył na czworakach, czołgając się powoli przez las okalający krętą piaszczystą drogę, która biegła

od brzegu rzeki. Kiedy rozlegał się trzask łamanej gałązki lub zgrzyt poruszonego kamyczka, zamierał w bezruchu i czekał, aż dźwięki roztopią się w odgłosach lasu. Powtarzał sobie w duchu, że ma przewagę: nie spodziewano się go. Łagodziło to lęk przed mrokiem i perspektywą walki. Człowiek na wzgórzu miał rzeczy potrzebne Joelowi, podobnie jak zwiadowca nad Huong Khe przed wielu laty. Walka była nieunikniona, więc najlepiej o niej nie myśleć, lecz skupić się na mechanicznym działaniu. Należy wygrać, a żeby to osiągnąć, nie wolno się wahać, czuć wyrzutów sumienia ani dopuścić, by rozległy się strzały.

Zauważył wreszcie strażnika, którego sylwetka rysowała się wyraźnie w świetle samotnej latarni na skraju drogi. Stał oparty o pień drzewa, obserwując stok wzgórza. Joel czołgał się centymetr po centymetrze, zatrzymując się coraz częściej, gdyż cisza nabrała teraz kluczowego znaczenia. Zatoczywszy powoli krąg wokół drzewa i strażnika, jął pełznąć w dół niczym tygrys skradający się ku zdobyczy, mechanicznie, bez myśli i uczuć, kierowany jedynie instynktem przetrwania. Podobnie jak przed wielu laty, zmienił się w drapieżcę myślącego tylko o polowaniu.

Znalazł się dwa metry od strażnika i słyszał jego oddech. Joelowi trzasnęło coś pod brzuchem. Gałązka! Zwiadowca odwrócił się, a jego oczy błysnęły w świetle latarni. Converse rzucił się do przodu, ściskając w dłoni lufę pistoletu.

Grzmotnął stalową kolbą w skroń Niemca, cofnął rękę i uderzył go w szyję -

Strażnik upadł na wznak, oszołomiony, lecz przytomny; zamierzał krzyknąć. Joel doskoczył i chwycił go za kark rozczapierzonymi palcami lewej ręki. Dobrze wymierzony cios kolbą trafił Niemca w sam środek czoła, aż wokół bryzgnęła krew i czerwona tkanka.

Cisza. Bezruch. Zlikwidowano kolejnego zwiadowcę, który odłączył się od patrolu.

Tak samo jak przed laty, Converse nie pozwolił sobie na żadne uczucia. Wykonał główną część zadania i powinien zająć się resztą.

Suche ubranie Niemca pasowało dość dobrze, łącznie z ciemną skórzaną marynarką.

Podobnie jak większość wojskowych niskiego lub średniego wzro-280

stu, Leifhelm otaczał się ludźmi wysokimi, nie tylko dla bezpieczeństwa, lecz również by zaznaczyć swoją przewagę nad ludźmi potężniejszymi od siebie. Był

także drugi pistolet; Joel wyszarpnął z wysiłkiem magazynek i cisnął go wraz z bronią do lasu. Najprzyjemniejszą niespodziankę sprawił mu portfel Niemca -

zawierał znaczną sumę pieniędzy oraz postrzępiony, gęsto ostemplowany paszport.

Zaufany podwładny Leifhelma musiał często podróżować w sprawach Akwitanii, zawsze dyspozycyjny, choć zapewne nic nie wiedział i jego śmierć nie miała żadnego znaczenia. Buty

Niemca nie pasowały; okazały się za małe. W końcu Converse wytarł własne swoim przemoczonym ubraniem, a suche skarpetki zdjęte z nóg ofiary wchłonęły część wody, jaką nasiąkła skóra. Przykrył Niemca gałęziami i wspiął się do drogi.

Chował się między drzewami, gdy mijalo go pięć samochodów osobowych, należących prawdopodobnie do Ericha Leifhelma. Wreszcie ujrzał jasnożółtego volkswagena, który jechał trochę nierówno. Wszedł na drogę i uniósł do góry ręce gestem człowieka proszącego o pomoc.

Niewielki samochód zatrzymał się. Obok kierowcy, mającego nie więcej niż osiemnaście czy dwadzieścia lat, siedziała młoda blondynka, a z tyłu widać było jeszcze jednego młodego człowieka, również blondyna, wyglądającego na brata dziewczyny.

-

Was ist los, Opa? - spytał kierowca.

-Niestety nie mówię po niemiecku. Znacie angielski?

-

Ja mówię po angielski - odezwał się chłopak z tyłu, mamrocząc po pijacku. - Lepiej niż ci dwoje! Oni chcą tylko dojechać do domu i iść do łóżka.

No i co, umiem mówić po angielski?

-

Oczywiście, i to całkiem nieźle. Czy mógłby pan tłumaczyć? Pokłóciłem się z żoną na przyjęciu w domkach letniskowych nad rzeką i chciałbym wrócić do Bonn. Naturalnie zapłacę wam.

-

Ein Streit mit seiner Frau Er will nach Bonn gehen. Er wird uns bezahlen.

- Warum nicht? Sie hat mich heute sowieso schon zu viel gekostet - odparł kierowca.

-

Nicht für was du kriegst, du Drecksack! - zawołała ze śmiechem dziewczyna.

-

Niech pan wsiada! Będziemy pańskimi szoferami. Proszę się tylko mo dlić, żeby nie zjechał do rowu. W którym hotelu pan mieszka?

-

Widzi pan, wolałbym do niego nie wracać. Jestem naprawdę wściekły.

Chcę dać żonie nauczkę i zostawić ją samą na noc. Czy moglibyście znaleźć mi jakiś pokój? Oczywiście zapłacę wam jeszcze więcej. Trochę dziś wypiję.

-

Ein betrunkenener Tourist. Er will ein Hotel. Fahren wir ihn ins Rosen -
café?

-

Dort sind mehr Nutten als der alte Knacker schafft.

-

Będziemy pańskimi przewodnikami, Amerikaner - rzekł młody człowiek siedzący obok Converse'a. -
Studiujemy na uniwersytecie i znajdziemy 281

panu pokój, żeby mógł pan się zemścić na żonie i mieć trochę przyjemności. Jest tam także kawiarnia.
Kupi pan nam sześć lagerów, ya!

-

Ile tylko chcecie. Ale muszę zadzwonić do Stanów w interesach. Będę mógł to zrobić?

-

Prawie każdy w Bonn mówi po angielsku, mein Herr. Jeśli nie zdoła się pan dogadać, sam się tym
zajmę. Ale niech pan pamięta o sześciu lagerach!

-

Nawet dwunastu, jeśli chcecie.

-

Da wird es im Pissoir eine Überschwemmung geben!

Joel znał kurs wymiany i znalazłszy się w hałaśliwej kawiarni, która okazała się obskurnym barem
studenckim, przeliczył pieniądze zabrane dwóm Niemcom. Miał

mniej więcej pięćset dolarów, z czego trzysta strażnika na wzgórzu. Obszarpany portier z recepcji
wyjaśnił łamaną angielszczyzną, że owszem, można zamówić rozmowę ze Stanami Zjednoczonymi,
lecz potrwa to kilka minut. Joel zostawił

swoim niemieckim dobroczyńcom pięćdziesiąt dolarów w markach, przeprosił i udał się do swojego pokoju. Uzyskał połączenie po godzinie.

-

Larry?

-

Joel?

-

Dzięki Bogu, że cię zastałem! - zawołał z ulgą Converse. - Nie masz pojęcia, jak zależało mi na tym, żebyś był w Nowym Jorku! Piekielnie trudno się stąd dodzwonić.

-

Jestem w Nowym Jorku - odezwał się Talbot, którego głos stał się nagle spokojny i opanowany. - A ty, Joel? - spytał cicho.

-

W jakimś nędznym hoteliku w Bonn. Dopiero co przyjechałem i nie znam nazwy.

-

Mieszkaś w hotelu w Bonn, ale nie wiesz, w którym?

-

To nieważne, Larry! Połącz nas z Simonem. Chcę porozmawiać z wami obojwoma.

-

Nathan jest w sądzie. Powinien wrócić przed czwartą naszego czasu.

Mniej więcej za godzinę.

-

Cholera!

-

Uspokój się, Joel. Nie denerwuj się.

-

Nie denerwuj się?! Na litość boską, siedziałem pięć dni w kamiennej celi z kratami w oknach! Uciekłem dwie godziny temu, goniony przez sforę psów i wariatów z pistoletami! Pływałem w Renie i mało nie utonąłem, nim dotarłem na suchy ląd! Niewiele brakowało, bym dostał kulę w łeb! A później musiałem, musiałem...

-

Co musiałeś? - spytał Talbot dziwnie znużonym tonem. - Co musiałeś zrobić?

-

Do cholery, Larry, chyba zabiłem człowieka, żeby się stamtąd wydostać!

282

-

Musiałeś kogoś zabić, Joel? Dlaczego?

-

Czekał na mnie! Szukali mnie! Na brzegu, w lesie wzdłuż rzeki! Był

zwiadowcą, który odłączył się od patrolu. Zwiadowcy, patrole! Musiałem się wydostać, uciec! A ty mi mówisz, żebym się nie denerwował...!

-

Uspokój się Joel, spróbuj wziąć się w garść... Już kiedyś uciekałeś, prawda? Dawno temu...

-

Co to ma do rzeczy? - przerwał Converse.

-

Wtedy też musiałeś zabijać, prawda? Na pewno cię to prześladowuje.

-Nonsens, Larry! Posłuchaj mnie i zanotuj wszystko, co powiem, wszystkie nazwiska, fakty! Zapisz je dokładnie.

-

Może poprosić Janet, żeby się włączyła? Potrafi świetnie stenografo wać.

-Nie, chcę rozmawiać tylko z tobą, z nikim więcej! Oni potrafią wytropić każdego, kto coś wie. To niezbyt skomplikowane. Jesteś gotów?

-

Naturalnie.

Joel usiadł na wąskim łóżku i nabrał powietrza w płuca. -Najlepiej wyrazić to w ten sposób, że oni powrócili. Tak mi to przedstawiono, choć nie musisz tego zapisywać, tylko zrozumieć.

-

Powrócili? Kogo masz na myśli?

-

Generałów, feldmarszałków, admirałów, pułkowników... sprzymierzeńców i wrogów, którzy dowodzili niegdyś armiami i flotami. Utworzyli organizację, żeby obalać rządy, zmieniać prawa i politykę zagraniczną, a później przekazać całą władzę wojskowym. Wiem, brzmi to wariacko, ale potrafią tego dokonać.

Staniemy się ofiarami ich snów na jawie, bo zdobędą władzę w przekonaniu, że są mądrzy, bezinteresowni i pełni poświęcenia. Zawsze w to wierzyli.

-

Kim są ci ludzie, Joel?

-

Tak, zapisz to. Ich organizacja nazywa się Akwitania. Opiera się na teorii historycznej, że Akwitania leżąca we Francji mogła podbić całą Europę i skolonizować kontynent północnoamerykański.

-

Czyja to teoria?

-

Nieważne, to po prostu teoria. Twórcą organizacji jest generał George Delavane (w Wietnamie nosił przydomek Zwariowany Marcus), a ja byłem świadkiem części szkód, jakie wyrządził! Ten skurwysyn ściąga zewsząd wojaków, którzy werbują podobnych do siebie fanatyków. Wierzą, że tylko oni mają rację, i od jakiegoś roku wysyłają nielegalnie broń organizacjom terrorystycznym, żeby destabilizować różne kraje. Mają nadzieję, że zostaną wezwani, by przywrócić porządek, a później przejmą władzę. Pięć dni temu spotka-

łem kluczowe postacie organizacji Delavane'a z Francji, Niemiec, Izraela

Afryki Południowej, a może także z Anglii.

-

Widziałeś się z tymi ludźmi, Joel? Zaprosili cię na spotkanie?

-

Uważali, że jestem jednym z nich i wierzę w to samo co oni. Widzisz, Larry, nie zdawali sobie sprawy, jak bardzo ich nienawidzę. Nie byli tam gdzie Ja. nie mają moich doświadczeń sprzed wielu lat, tak jak powiedziałeś.

283

-

Kiedy musiałeś uciekać i zabijać - dodał współczująco Talbot. - Chyba nigdy tego nie zapomnisz. To musiało być straszne.

-

Tak, straszne, potworne! Przepraszam, nie zbaczajmy z tematu. Jestem taki zmęczony i roztrzęsiony...

-

Odpreź się, Joel.

-

Spróbuję. Na czym to ja skończyłem? - Converse potarł oczy. - Praw da, przypominam sobie. Udało im się uzyskać moje akta wojskowe z opisem pobytu w niewoli. Zdobyli stenogram ze słowami, które powiedziały im, jak bardzo nienawidzę Delavane'a i ich wszystkich. Nafaszerowali mnie narkoty kami, przesłuchiwali i zamknęli w kamiennej celi w środku lasu nad Renem.

Kiedy byłem naszprycowany, prawdopodobnie wszystko im wygadałem..

-

Naszprycowany? - spytał Talbot, najwyraźniej słysząc to słowo pierw szy raz w życiu.

-

Tak, amatolem, pentotalem, skopolaminą... Już raz przez to przesze dłem, Larry.

-

Przeszedłeś? Gdzie?

-

W obozach. To nieważne.

-

Nie jestem tego taki pewien.

-

Wierz mi. Najważniejsze, że wyciągnęli ze mnie wszystko, co wiem. To znaczy, że przyśpieszą termin.

-

Termin?

-

Wszystko wkrótce się zacznie! Za dwa, trzy, najwyżej cztery tygodnie!

Nikt nie wie, co to będzie, ale gdzieś dojdzie do masowych aktów przemocy, co da im pretekst do wkroczenia do akcji i przejęcia władzy. Kumulacja, przy śpieszeniu! To ich własne słowa! W Irlandii Północnej już teraz panuje kom pletny chaos i ściągane są całe dywizje pancerne! To ich robota, Larry! Test, próba generalna! A teraz podyktuję ci nazwiska... - Converse był zirytowany tym, że lista członków Akwitanii nie zrobiła na Talbocie żadnego wrażenia. -

Zapisałeś?

-

Tak, zapisałem.

-

To najważniejsze fakty i nazwiska, za które mogę ręczyć. Jest jeszcze wielu funkcjonariuszy Departamentu Stanu i Pentagonu, ale wykaz znajduje się w mojej teczce, którą skradziono lub gdzieś ukryto. Teraz postaram się trochę odpocząć i zacznę spisywać to, co wiem. Zadzwoń do ciebie rano.

Muszę się stąd wydostać. Będę potrzebować pomocy.

-

To prawda. Czy mógłbym cię o coś spytać? - odezwał się prawnik z Nowego Jorku dziwnie

bezbarwnym tonem. - Przede wszystkim, gdzie jesteś, Joel? Sprawdź numer telefonu na aparacie. A może są tam firmowe popielniczki? Albo zerknij na biurko, powinien być papier listowy.

-

Nie ma żadnego biurka, a wszystkie popielniczki są wyszczerbione.♦♦

Poczekaj, dostałem w barze kartonik zapalek, gdy kupiłem papierosy. - Converse sięgnął do kieszeni skórzanej marynarki i wyjął płaską reklamówkę- '

Już mam. Riesendrinks.

284

-

Popatrz trochę niżej. Mój niemiecki nie jest najlepszy, ale to chyba zna czy "koktajle", czy coś takiego.

-

Naprawdę? W takim razie to pewnie Rosencafe.

-

Na to wygląda. Mógłbyś przeliterować?

Joel spełnił prośbę, trapiiony trudnym do nazwania uczuciem.

-

Zapisałeś? - spytał. - Jest jeszcze numer telefonu. - Podyktował Talbotowi liczby wydrukowane na wierzchu reklamówki.

-

Doskonale - odezwał się prawnik. - Wiem, jak bardzo potrzebujesz snu, ale zanim odłożę słuchawkę, muszę ci zadać kilka pytań.

-

Nic dziwnego!

-

Kiedy rozmawialiśmy po wypadku w Paryżu, po bójce w zaułku, której byłeś świadkiem,

znajdowałeś się podobno w Amsterdamie. Podobno miałeś polecieć z powrotem do Paryża, zobaczyć się z Renę i wszystko wyjaśnić.

Czemu tego nie zrobiłeś, Joel?

-

Na miłość boską, Larry, wiesz, przez co przeszedłem! Musiałem na tychmiast rozpracować tych ludzi, tę cholerną Akwitanię, i był tylko jeden sposób. Musiałem wkroczyć się między nich, nie tracąc ani chwili!

-

Ofiara zmarła. Czy miałeś coś wspólnego ze śmiercią tego człowieka?

-

Boże, tak, to ja go zabiłem! Chciał mnie zatrzymać, wszyscy chcieli mnie zatrzymać! Odnaleźli mnie w Kopenhadze i śledzili! Czekali na mnie na lotnisku w Bonn! Zastawili pułapkę!

-

Żebyś nie mógł dotrzeć do tych generałów i feldmarszałków?

-

Tak!

-

Ale przecież powiedziałaś mi przed chwilą, że sami zaprosili cię na spotkanie.

-

Wy tłumaczę ci to rano - odparł ze znużeniem Converse. Dawało o so bie znać napięcie ostatnich godzin (a właściwie dni). Był śmiertelnie wyczerpany i straszliwie bolała go głowa. - Spiszę wszystko, choć niewykluczone, że będziesz musiał przylecieć do Bonn, by mnie stąd wydostać. Najważniejsze, że nawiązaliśmy kontakt. Znasz nazwiska i ogólny zarys sytuacji, a poza tym wiesz, gdzie jestem. Porozmawiaj z Nathanem, przemyśl to, co powiedziałem, a później zastanowimy się we trójkę, co robić. Mamy kontakty w Waszyngtonie, lecz powinniśmy być ostrożni. Nie wiemy, kto jest kto. Ale jest też pewien plus. Część posiadanych przeze mnie materiałów pochodzi od ludzi z Waszyngtonu. Możliwe, że to oni mnie wysłali i śledzą każdy mój krok, bo robię to, czego oni sami nie mogliby zrobić.

-

I to zupełnie sam - zgodził się Talbot. - Bez ich pomocy.

-

To prawda. Nie mogą się ujawnić; muszą pozostawać w cieniu, dopóki nie zdobędę czegoś konkretnego... Tak to zaplanowali. Kiedy będziesz rozmawiać z Nathanem, dzwoń do mnie, gdyby pojawiły się jakieś pytania. I tak nie prześpię się dłużej niż godzinę.

-

Chciałbym to zrobić w tej chwili, gdybyś nie miał nic przeciwko temu.

Wiesz, że Interpol wysłał za tobą międzynarodowy list gończy?

285

-Tak.

- I że szuka cię ambasada amerykańska?

-

To też wiem.

-

Dowiedziałem się, że sugerowano ci zgłoszenie się do ambasady...

-

Dowiedziałeś się?!

-

Czemu tego nie zrobiłeś, Joel?

-

Boże, to niemożliwe! Myślisz, że tego bym nie zrobił, gdybym tylko mógł?! Pełno tam ludzi Delavane'a! Cóż, może trochę przesadzam, ale jest co najmniej trzech. Widziałem ich na własne oczy.

-

Słyszałem, że kontaktował się z tobą sam ambasador Peregrine, który gwarantował ci bezpieczeństwo i zachowanie tajemnicy. Czy to nie dosyć?

-

Słyszałeś...? Nie, to nie dosyć! Peregrine nie ma pojęcia, co się dzieje w jego ambasadzie! A może ma? Widziałem samochód Leifhelma przejeżdżający przez bramę, jakby robił to od wieków. O trzeciej nad ranem! Leifhelm to nazista, Larry, zawsze nim był! I kim jest wobec tego Peregrine?

-

Daj spokój, Joel. Oskarżasz człowieka, który na to nie zasługuje. Walter Peregrine to jeden z bohaterów Bastogne. Jego wyczyny w bitwie pod Bulge przeszły do legendy. Był oficerem rezerwy, a nie żołnierzem zawodowym. Nie wierzę, że zadaje się z nazistami.

-

Jego wyczyny? Jeszcze jeden wojskowy?! Nie zdziwiłbym się, gdyby świetnie się orientował, co się dzieje w jego ambasadzie!

-

Jesteś niesprawiedliwy. W trakcie swojej powojennej kariery wiele razy publicznie krytykował Pentagon. Nazywał wojskowych megalomanami, którzy szastają pieniędzmi podatników, by zaspokoić własną pychę. Nie, jesteś niesprawiedliwy, Joel. Uważam, że powinieneś posłuchać jego rady. Zadzwoń do niego, porozmawiaj z nim.

-

Niesprawiedliwy? - spytał cicho Converse, a trudne do nazwania uczu cie przybrało realniejszy kształt podejrzania. - "Dowiedziałem się", "słyszałem"? Do jakiejś to wyroczni się zwracałeś? Któż to raczej cię perlami mądrości na mój temat? Kto jest źródłem twoich informacji?

-

Dobrze, już dobrze. Uspokój się, Joel. Owszem, rozmawiałem z kilkoma ludźmi, którzy chcą ci pomóc. W Paryżu zabito człowieka, a teraz to samo zdarzyło się w Bonn. Mówisz o zwiadowcach, patrolach, jakimś okropnym szprycowaniu, twierdzisz, że biegłeś przez las i pływałeś w rzece. Nic nie rozumiesz, synu? Nikt cię nie wini ani nawet obarcza odpowiedzialnością. Coś się wydarzyło i przeżywasz wszystko na nowo

-

Mój Boże! - przerwał zdumiony Converse. - Nie wierzysz w ani jedno moje słowo!

-

Najważniejsze, że ty wierzysz. Przeżyłem swoje w Afryce Północnej i we Włoszech, ale to nic w porównaniu z twoimi doświadczeniami. Żywisz głęboką, zrozumiałą nienawiść do wojny i wojska. Byłoby nieludzkie, gdybyś reagował inaczej po tylu straszliwych cierpieniach, jakie cię spotkały.

-

Powiedziałem ci prawdę, Larry!

286

-

Dobrze, znakomicie. Wobec tego skontaktuj się z Peregrine'em, idź do ambasady i wszystko mu opowiedz. Wysłucha cię.

-

Czy jesteś głupszy, niż mi się zdaje?! - wrzasnął Joel. - Tłumaczyłem ci przed chwilą, że nie mogę! Nigdy nie zobaczę Peregrine'a! Najpierw wpakują mi kulę w łeb!

-

Rozmawiałem z twoją żoną, przepraszam, była żoną. Powiedziała, że nocami zdarzało ci się...

-

Rozmawiałeś z Val?! Wciągnąłeś ją w to?! Boże, jesteś niespełna rozu mu! Nie wiesz, że wszystkich śledzą?! Sam byłeś tego świadkiem! Lucas An -

stett! Trzymaj się od niej z dala! Trzymaj się z dala, bo inaczej... inaczej...

-

Co takiego, synu? - spytał cicho Talbot. - Też mnie zabijesz, co?

-O Boże!...

-

Posłuchaj mojej rady, Joel. Zadzwoń do Peregrine'a. Wszystko będzie dobrze.

Converse usłyszał nagle na linii dziwny dźwięk, dziwny w tej chwili, bo słyszał

go wcześniej setki razy. Był to krótki brzęczyk, którym Lawrence Talbot wzywał

do gabinetu sekretarce, by zabrała poprawiony list albo kasetę z dyktafonu. Joel wiedział, o co tym razem chodzi. O adres obscurnego hoteliku w Bonn.

-

W porządku, Larry - rzekł, udając wyczerpanie, które czuł niestety na prawdę. - Jestem taki cholernie zmęczony... Położę się na chwilę, a później zastanowię się, czy nie zadzwonić do ambasady. Może

rzeczywiście lepiej skon taktować się z Peregrine'em? To takie skomplikowane...

-

Właśnie tak powinieneś postąpić, synu. Wszystko będzie dobrze. Nie martw się.

-

Do widzenia Larry.

-

Do widzenia, Joel. Zobaczymy się za kilka dni.

Converse odłożył słuchawkę i rozejrzał się po słabo oświetlonym pokoiku. Co chciał sprawdzić? Przybył bez niczego i odejdzie bez niczego, w skradzionym ubraniu. Powinien czym prędzej zniknąć. Za kilka minut wyruszą z ambasady samochody pełne ludzi, z których przynajmniej jeden będzie uzbrojony w pistolet z kulą przeznaczoną dla niego!

Co mu się, u licha, przytrafiło?! Prawda okazywała się kłamliwą fantazją, a kłamstwo jedynym sposobem ocalenia! Szaleństwo!

Rozdział 19

Minął windę i zbiegł schodami na dół, przeskakując dwa, trzy stopnie naraz i trzymając się żelaznej barierki, gdy zakręcał na podestach. Dotarł do drzwi holu cztery piętra niżej, szarpnął je, po czym chwycił mocno 287

krawędź i otworzył je powoli, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Niepokoił się niepotrzebnie. W przegrzanej sali z kamienną posadzką i ławkami koło ścian widać było tylko grupkę starszych ludzi z sąsiedztwa, którzy przyszli się rozerwać; przez neonowe drzwi hałaśliwej kawiarni wchodzili i wychodzili pijacy. Boże!

Myśli Joela pędziły w szaleńczym tempie. Mógłby spacerować w mroku, kryjąc się w ciemnych uliczkach, lecz samotnego człowieka krążącego nieznanymi ulicami zbyt łatwo zauważyłyby psy gończe Leifhelma lub policjanci. Musiał gdzieś się ukryć, zniknąć z pola widzenia.

Kawiarnia! Młodzi Niemcy! Podniósł kołnierz skórzanej marynarki i opuścił

spodnie, by sięgały do kostek. Zbliżył się ostrożnie do drzwi i otworzył je, chwiejąc się lekko.

Powitały go chmury dymu - z pewnością nie tylko tytoniowego.

Starał się przyzwyczaić piekące oczy do jaskrawego migotu światła, usiłując nie słyszeć straszliwego jazgotu - gardłowych ryków i dyskotekowej muzyki dobiegającej z wielkich kolumn. Miłosierni samarytanie zniknęli. Joel rozglądał

się za blondynką, lecz jej nie zauważył. Przy stoliku zajęтым poprzednio przez Niemców siedziała czwórka młodych ludzi; trzech byli nowi i przysiedli się do jasnowłosego studenta mówiącego po angielsku, który tłumaczył w samochodzie słowa Joela. Oni także wyglądali na studentów. Joel podążył w ich stronę i nieznacznie przysunął do ich stolika wolne krzesło. Usiadł i uśmiechnął się do blondyna.

-

Zastanawiałem się, czy zostawiłem dość pieniędzy na obiecane dwanaście piw - rzekł ciepło.

-

Ach, właśnie o panu mówiliśmy, mein Herr Amerikaner! To moi przyjaciele, koszmarni studenci tak samo jak ja!

Odbyła się krótka prezentacja nowo przybyłych, których nazwiska zginęły w muzyce i dymie. Wszyscy skinęli głowami. Amerykanin był mile widziany.

-

Pańscy przyjaciele odjechali?

-

Już panu mówiłem, marzyli tylko o dostaniu się do domu i pójściu do łóżka! - zawołał jasnowłosy młodzieniec, przekrzykując zgiełk. - To ich jedyne zajęcie! Nasi rodzice pojechali do Bayreuth na festiwal muzyczny, ale oni zorganizują na jej łóżku własny festiwal muzyczny, nim wrócę do domu!

-

Ciekawa aranżacja - odezwał się Converse, zastanawiając się pośpiesznie, jak poruszyć właściwy temat. Miał bardzo niewiele czasu.

-

Znakomicie! - zawołał ciemnowłosy student po prawej stronie. - Hans tego nie rozumie, bo mówi po angielsku gorzej ode mnie. Studiowałem dwa lata w Massachusetts. "Aranżacja" to termin muzyczny. Połączył pan dwie rzeczy. Znakomicie!

-

Staram się, jak mogę - odparł machinalnie Joel, spoglądając na studenta. - Naprawdę mówi pan po angielsku? - spytał poważnie.

-

Całkiem nieźle, mein Herr. Zależy od tego moje stypendium. Moi przyjaciele to dobrzy kumple, ale są bogaci i przychodzą tu dla rozrywki. Ja wychowałem się dwie ulice stąd. Czemu nie mieliby pomóc miejscowym? Niech się zabawią. Nikomu to nie szkodzi, a pieniądze równiej się rozkładają.

288

-

Jest pan trzeźwy - stwierdził Converse lekko pytającym tonem.

Młody człowiek roześmiał się i skinął głową.

-

Dziś tak. Jutro po południu zdaję trudny egzamin i muszę mieć jasny umysł- Najgorsze są egzaminy w sesji letniej. Profesorowie woleliby być na wakacjach.

-

Chciałem z nim porozmawiać - rzekł Joel, wskazując głową jasnowłosego studenta, który sprzeczał się głośno z dwoma kolegami, gestykulując w kłębach dymu. - Ale to nie ma sensu. Wolę pana.

-

W jakim sensie, jeśli nie przeszkadza panu gra słów?

-

Gra słów? Co pan studiuje?

-

Prawo, kurs wstępny.

-Okropność...

-

Czy to trudne?

-Nie dla mnie... Niech pan posłucha: mam niewiele czasu i jestem w kropce. Muszę stąd odjechać, ale nie wiem, dokąd. Potrzebuję pokoju na jedną noc. Proszę mi wierzyć, nie zrobiłem nic sprzecznego z prawem, choć moje ubranie lub wygląd mogą sugerować coś przeciwnego. To sprawa czysto osobista. Mógłby mi pan pomóc?

Ciemnowłosy młody Niemiec milczał przez chwilę, jakby wahał się, czy odpowiedzieć, jednakże w końcu zrobił to, pochylając się do przodu, by go usłyszano.

-

Skoro poruszył pan ten temat, mein Herr, z pewnością pan rozumie, że studentowi prawa nie wypada pomagać komukolwiek w podejrzanym oko licznosciach.

-

Właśnie dlatego to powiedziałem - odparł prędko Converse, szepcząc Niemcowi prosto do ucha. - Jestem adwokatem, dość szanowanym adwokatem pomimo mojego obecnego ubioru. Pracowałem po prostu w Niemczech dla nieodpowiedniego amerykańskiego klienta i muszę poczekać do rana na samolot.

Młody człowiek słuchał, obserwując Joela, i skinął głową.

-

Nie jest to hotel, gdzie normalnie by się pan zatrzymał?

-

Unikałbym go jak diabeł święconej wody. Po prostu nie chciałem rzucać się dziś wieczorem w oczy.

-

W Bonn jest bardzo niewiele takich miejsc, mein Herr.

-

Przynosi to Bonn zaszczyt. - Converse przyjrzał się gościom wypełniającej kawiarnię i przyszła mu do głowy pewna myśl. - Jest przecież lato! -

zawołał w zgiełku do studenta. - Nie ma tu jakichś schronisk młodzieżowych?

-

Wszystkie schroniska w pobliżu Bonn i Kolonii są zajęte, głównie przez Amerykanów i Holendrów. Wolne miejsca mogłyby się znaleźć tylko dość daleko na północy, w stronę Hanoweru. Ale jest jeszcze inne rozwiązanie.

-

Jakie?

-

Są wakacje. Akademiki uniwersyteckie są w lecie prawie puste. Tam, gdzie mieszkam, są dwa wolne pokoje na drugim piętrze.

289

-

Zdawało mi się, że pochodzi pan z tej okolicy?

-

To było dawno temu. Rodzice przeszli na emeryturę i zamieszkali u mojej siostry w Mannheim.

-

Bardzo się śpieszę. Czy moglibyśmy już iść? Zapłacę panu trochę dziś wieczorem, a jeszcze więcej jutro rano.

-

Zdawało mi się, że rano odlatuje pan do Stanów.

-

Muszę najpierw załatwić dwie sprawy. Może pan pojechać ze mną, po-może mi pan.

Młody człowiek i Joel przeprosili obecnych i wstali od stolika, wiedząc, że ich odejście pozostanie niezauważone. Student ruszył ku foyer, lecz Converse chwycił go za łokieć i skierował w stronę wyjścia na ulicę.

-

Pański bagaż, mein Herr! - zawołał Niemiec wśród zgiełku i błyskają cych świateł.

-

Pożycz mi pan rano maszynkę do golenia! - wrzasnął w odpowiedzi Converse, popychając młodego człowieka przez ciżbę w stronę drzwi. Kilka stolików przed wejściem stało wolne krzesło, na którym

leżała pognieciona płócienna czapka. Joel podniósł ją po drodze i wyszedł na ulicę. Student podążał za nim.

-

Dokąd teraz? - spytał Joel, wkładając czapkę.

-

Tędy, mein Herr - odparł młody Niemiec, wskazując obszarpany dach nad pobliskim wejściem do hotelu.

-

Chodźmy - rzekł Joel, robiąc krok do przodu.

Przystanął nagle, chwycił studenta za łokieć i wciągnął go z powrotem do budynku. Ulica nadjechała szybko czarny samochód i zatrzymał się przed dachem.

Tylnymi drzwiami wysiedli dwaj mężczyźni, którzy ruszyli w stronę wejścia. Drugi obiegnął auto, by dotrzymać kroku pierwszemu. Joel pochylił głowę, obserwowany przez młodego Niemca. Poznał tych dwóch, byli Amerykanami. Osiem dni temu czekali na niego na lotnisku w Bonn, chcąc pochwycić go w pułapkę, podobnie jak teraz. Czarny samochód ruszył do przodu, by opuścić jasno oświetlone miejsce i zaparkować w cieniu. Zatrzymał się przy krawężniku i wyglądał jak karawan czekający na trumnę.

-

Was ist los! - spytał młody Niemiec, nie mogąc ukryć lęku.

-

Nic takiego. - Joel puścił łokieć studenta i dwukrotnie klepnął go przy jaźnie po ramieniu. - Proszę to traktować jako lekcję pogładową. Trzeba znać swojego klienta, nim z chciwości przyjmie się zbyt wysokie honorarium.

-

Ja - odparł młody Niemiec, usiłując się uśmiechnąć i wpatrując się w czarny samochód.

Przeszli szybko koło zaparkowanego auta. Na przednim siedzeniu widać było w mroku światełko żarzące się papierosa. Znalazłszy się z dala od swoich rodaków, Joel naciągnął na oczy czapkę i znów przekrzywił głowę.

Prawda okazywała się kłamliwą fantazją... Musiał uciekać i ukrywać się. aby przeżyć. Szaleństwo!

Wczesny ranek okazał się na szczęście ubogi w wydarzenia, choć myśli Joela nadal pędziły w szaleńczym tempie. Student, noszący imię Johann, załatwił mu pokój w akademiku, Converse zaś uszczęśliwił właścicielkę stumarkowym napiwkim. Pokryło to z nawiązką koszt bandaża, plastra i środka dezynfekcyjnego, który otrzymał od niej, by zmienić sobie opatrunek na rękę. Spał zdrowo, choć z przerwami, budzony przez przeraźliwe koszmary. Wstał o siódmej rano.

Czekało go pilne zadanie; zdawał sobie sprawę z ryzyka, lecz pieniądze były niezbędne, i to nawet bardziej niż poprzednio. Doświadczony, choć podejrzanie gładki bankier z Mikonos przelał po sto tysięcy dolarów do banków w Paryżu, Londynie, Bonn i Nowym Jorku, a Joel mógł podejmować pieniądze, podpisując się czterema seriami różnych liczb. Laskaris doradził mu także, by nie nosić szyfrów przy sobie ani nie uczyć się ich na pamięć. Obiecał zadeszować do amerykańskich biur podróży w czterech wymienionych miastach i poprosić je, aby przechowywały przez trzy miesiące wiadomość dla... "Chyba jednak nie dla pana Converse'a. Proszę wybrać jakieś nazwisko ważne wyłącznie dla pana. Będzie ono hasłem. Nie musi się pan legitymować, podobnie jak w przypadku telefonicznych usług bankowych w pańskiej ojczyźnie... Zgoda, niech będzie Carpentier. J.

Carpentier".

Joel zdawał sobie sprawę, że mógł ujawnić hasło pod działaniem narkotyków. Z

drugiej strony mógł też tego nie zrobić; nie myślał wówczas o pieniądzach. W

jego pamięci tkwiło mnóstwo faktów, a środki chemiczne wydobywały tylko najważniejsze. Dowiedział się tego wiele lat temu w obozach, dwukrotnie zdumiony, że przemilczał taktykę stosowaną podczas ucieczek. Miał ponadto pomocnika, młodego Niemca Johanna, który wystąpił jako pośrednik, choć nie jest to zbyt etyczne. Ryzyka nie można uniknąć, tylko zminimalizować; tego także dowiedział się przed laty. Gdyby studenta schwytano, Joel czułby wyrzuty sumienia, ale co złego mogło go w końcu spotkać? Nie było sensu o tym myśleć.

-

Niech pan wejdzie do środka i spyta o wiadomość dla J. Carpentiera -

rzekł do studenta. Siedzieli w taksówce naprzeciwko amerykańskiego biura podróży. - Jeśli ją mają, proszę wypowiedzieć następujące słowa: "W takim razie to chyba depesza z Mikonos".

-

Czy to konieczne, mein Herr? - spytał ciemnowłosy student, marszcząc czoło.

-

Tak. Jeśli nie wspomni pan o depeszy z Mikonos, nie otrzyma pan wia domości. To hasło potwierdzające pańską tożsamość. Nie musi pan także ni czego podpisywać.

-

To bardzo dziwne, mein Herr.

-

Skoro chce pan zostać prawnikiem, powinien się pan przyzwyczaić do dziwnych form porozumiewania się. To nic nielegalnego, po prostu sposób na zachowanie anonimowości klienta i firmy.

-

Rzeczywiście muszę się wiele nauczyć.

291

-

Nie robi pan nic złego - ciągnął cicho Joel, patrząc Johannowi prosto w oczy. - Wręcz przeciwnie, postępuje pan słusznie, a ja bardzo dobrze panu zapłacę.

-

Sehr gut - stwierdził młody człowiek.

Converse czekał w taksówce, obserwując ulicę, zaparkowane samochody, przechodniów idących zbyt wolno lub stojących w miejscu, ludzi choćby przypadkiem spoglądających na wejście do amerykańskiego biura podróży. Johann wszedł do środka, a Joel przełknął kilkakrotnie ślinę ze ściśniętym gardłem.

Czekanie było okropne, tym gorsze, że wiedział, iż naraża studenta na niebezpieczeństwo. Pomyślał przelotnie o Averym Fowlerze-Hallidayu i Connalu Fitzpatricku. Obaj przegrali, lecz młody Niemiec miał nieskończenie większą szansę dożycia późnej starości.

Mijały minuty; czoło Converse'a zrosił pot, który spływał mu po szyi. Czas stanął. Pozostał tylko lęk. W końcu Johann wyszedł na ulicę, mrużąc oczy w świetle słońca niczym wcielenie niewinności. Przekroczył jezdnię i wgramolił się do taksówki.

-

Co panu powiedzieli? - spytał Joel, siląc się na niedbały ton, lecz nadal obserwując ulicę.

-

Pytali, czy długo czekałem na wiadomość. Odrzekłem, że spodziewam się depeszy z Mikonos. Nie

miałem pojęcia, co powiedzieć.

-

Właśnie tak powinien pan postąpić.

Joel rozerwał kopertę i rozłożył telegram. Zawierał on ciąg około dwudziestu liczb. Znów przypomniał sobie wskazówki Laskarisa: "Proszę wybrać co trzecią liczbę, pomijając pierwszą i ostatnią. Niech pan myśli tylko w kategoriach liczby trzy. To bardzo proste (zresztą jak zwykle w takich wypadkach), a w razie czego nikt się za pana nie podpisze. To normalny środek ostrożności".

-

Wszystko w porządku? - spytał Johann.

-

Posunęliśmy się krok do przodu, a pan znalazł się bliżej nagrody.

-

Zbliża się także mój egzamin.

-

Kiedy go pan zdaje?

-

O trzeciej trzydzieści.

-

To dobry znak. Niech pan myśli w kategoriach liczby trzy.

-

Słucham?

-

Nic ważnego. Znajdźmy budkę telefoniczną. Zostało panu ostatnie za danie, a później może pan zaprosić kolegów na najlepszą kolację w Bonn.

Taksówka czekała na rogu ulicy, gdy tymczasem Converse stał wraz z młodym Niemcem przed budką. Johann spisał z książki telefonicznej numer banku. Student nie chciał posunąć się dalej;

niezwykłe prośby, które musiał spełniać, przekroczyły już granicę jego cierpliwości.

- Niech pan powie prawdę! - nalegał Joel. - Tylko prawdę! Spotkał pan amerykańskiego adwokata. Nie zna on niemieckiego i poprosił pana o zatele-292

fonowanie. Musi wycofać z anonimowego rachunku pieniądze swojego klienta i chce się dowiedzieć, do kogo się zwrócić. To wszystko. Nikt nie zapyta pana o nazwisko, zresztą mnie także.

-

Czy to już ostatnia prośba, mein Herr? Chyba tak. Podaje się pan...

-Nie mogę popełnić błędu! Muszę zrozumieć każde słowo. Nie poproszę pana o nic więcej. Później poczeka pan na mnie przed bankiem. Po wyjściu dam panu dwa tysiące marek i jeśli chodzi o mnie, nigdy się nie spotkaliśmy.

-

Tyle pieniędzy za tak niewielką przysługę... Rozumie pan moje obawy.

-

Ja boję się sto razy bardziej od pana - odparł Converse cichym, proszącym tonem. - Niech pan to zrobi. Potrzebuję pańskiej pomocy.

Podobnie jak zeszłej nocy w kawiarni, wśród hałasu, dymu i migających świateł, młody Niemiec spojrział twardo na Joela, jakby usiłował dostrzec coś, czego istnienia nie był pewien.

-

Sehr gut - odparł i wszedł do budki z kilkoma monetami w rękę.

Converse obserwował przez szybę młodego Niemca wykręcającego numer i rozmawiającego krótko z kilkoma różnymi ludźmi, nim połączono go wreszcie z właściwą osobą. Joel miał wrażenie, że dialog ciągnie się w nieskończoność, trwał zbyt długo jak na zwykłą prośbę o podanie nazwiska szefa działu rachunków anonimowych. W pewnej chwili, pisząc coś na skrawku papieru z telefonem banku, Johann zdawał się czemuś sprzeciwiać, a Converse ledwo powstrzymał się przed wtargnięciem do budki i przerwaniem rozmowy. Młody Niemiec odwiesił w końcu słuchawkę i wyszedł z kwaśną miną do Joela.

-

Co się stało? Były jakieś problemy?

-

Sprzeczaliśmy się o godziny otwarcia i politykę banku.

-

Co to znaczy?

-

Rachunki anonimowe obsługiwane są od dwunastej w południe. Powie działałem, że ma pan wcześniej samolot, ale Herr Direktor oświadczył, że nie zmieni polityki banku. - Johann wręczył Converse'owi skrawek papieru. -

Powinien pan zgłosić się do pana Lachmanna na pierwszym piętrze.

-

Polecę późniejszym samolotem.

Joel spojrział na zegarek szofera. Była dziesiąta trzydzieści pięć. Półtorej godziny czekania.

-

Chciałem wstąpić przed południem do biblioteki uniwersyteckiej.

-

Może pan tam iść - rzekł szczerze Converse. - Zatrzymamy się, kupimy kopertę ze znaczkiem, a pan ją zaadresuje. Wyślę panu pieniądze pocztą.

Johann wbił wzrok w chodnik, wahając się.

-

Zresztą egzamin nie jest wcale taki trudny... Jestem dość dobry z tego Przedmiotu.

-

Oczywiście - zgodził się Joel. - Nie ma najmniejszego powodu, by mi Pan ufał.

-

Myli się pan, mein Herr. Wierzę, że wysłałby mi pan pieniądze. Nie jestem pewien, czy powinienem otrzymywać pańskie listy.

Converse uśmiechnął się. Zrozumiał.

-

Odciski palców? - spytał łagodnie. - Dowody rzeczowe?

-Z tego przedmiotu też jestem niezły.

-

W porządku. Jesteśmy na siebie skazani przez dwie godziny. Zostało mi około siedmiuset marek. Czy zna pan jakiś sklep z ubraniami z dala od centrum, gdzie mógłbym kupić spodnie i marynarkę?

-

Tak. Poza tym, jeśli wolno mi coś zasugerować: skoro podejmuje pan z banku dość pieniędzy, by dać mi dwa tysiące marek, nie zawadziłaby panu czysta koszula i krawat.

-Należy zawsze dbać o wygląd klienta. Może pan daleko zajść, mecenasie.

Rytuał, jaki odbył się w gmachu Bonner Sparkasse, stanowił wyraz nieubłaganej niemieckiej dokładności i skuteczności. Joela wprowadzono do gabinetu Herr Lachmanna na pierwszym piętrze. Obyło się bez uścisków dłoni i uprzejmych banałów; natychmiast przystąpiono do interesów.

-

Czy zechciałby pan podać źródło przelewu? - spytał obcesowo tęgi dy rektor.

-

Bank Rodyjski, oddział Mikonos. Nadawcą jest pan Laskaris, choć nie pamiętam, niestety, jego imienia.

-

Nie interesuje nas nawet jego nazwisko - odezwał się Niemiec, jakby wzdragał się przed jego usłyszeniem. Wydawało się, że transakcja budzi w nim wstręt.

-

Przepraszam, chciałem tylko okazać się pomocny. Jak pan wie, śpieszę się na samolot.

-

Wszystko odbędzie się zgodnie z przepisami, mein Herr.

-

Oczywiście.

-

Proszę podpisać się pięciokrotnie cyframi w pięciu poziomych rzędach, a ja tymczasem odczytam panu przepisy Bonner Sparkasse oparte na prawie Republiki Federalnej Niemiec. Musi pan także podpisać cyframi oświadczenie, iż rozumie pan i akceptuje owe zakazy.

-

Zdawało mi się, że powiedział pan "przepisy"?

-

To jedno i to samo, mein Herr.

Converse wyjął telegram z wewnętrznej kieszeni nowo nabytej sportowej marynarki i położył koło czystego arkusza papieru. Podkreślił właściwe liczby i zaczął pisać.

"Ja, podpisany cyframi anonimowy klient możliwy do zidentyfikowania poprzez źródło przelewu - czytał monotonicznie gruby Lachmann, odchyliwszy się do tyłu z pojedynczą kartką w rękę - stwierdzam, iż fundusze podjęte przeze mnie na hasło z rachunku bankowego w Bonner Sparkasse zostały opodatkowane zgodnie z prawem.

Nie podlegające wymianie na różne waluty w celu uniknięcia poboru podatków, dokonywania nielegalnych płatności na rzecz

294

osób, spółek lub organizacji prowadzących zabronioną działalność handlową...

-

Niech pan da spokój - przerwał Joel. - Znam dalszy ciąg tego dokumentu i podpiszę go.

"...albo działania zakazane przez ustawodawstwo Republiki Federalnej Niemiec bądź prawa kraju, którego niżej podpisany jest obywatelem".

-

Słyszał pan kiedyś o bezpieczeństwaowcach albo cudzoziemcach posiadających prawo stałego pobytu? -

spytał Converse, zaczynając pisać ostatni rząd liczb. - Znam studenta prawa, który nie zostawiłby na tym oświadczeniu su chej nitki.

-

To jeszcze nie wszystko. Podpisze je pan?

-

Na pewno jest znacznie więcej. Oczywiście, że podpiszę. - Joel po pchnął w stronę bankiera arkusz z wypisanymi cyframi. - Proszę. Chciałbym jak najszybciej otrzymać pieniądze. Sto tysięcy dolarów amerykańskich minus prowizja. Dwie trzecie w dolarach, jedna trzecia w markach, wszystko gotówką w banknotach o nominałach nie wyższych niż pięćset dolarów i tysiąc ma rek.

-

To spory pakunek, mein Herr.

-

Poradzę sobie. Bardzo proszę się pośpieszyć.

-

Czy to całe konto? Oczywiście, dowiem się tego dopiero po komputerowej weryfikacji autentyczności pańskiego podpisu.

-

Tak, całe.

-

Likwidacja może potrwać kilka godzin, natiirlich.

-

Co takiego?!

Grubas rozłożył ręce w błagalnym geście.

-

Przepisy, polityka banku, mein Herr.

-

Spieszę się!

-

Co mam zrobić?

-

Co zrobić? Tysiąc dolarów dla pana.

-

Godzina, mein Herr.

-

Pięć tysięcy?

-

Pięć minut, drogi przyjacielu!

Converse wyszedł z windy. Nowy szorstki pas na pieniądze okazał się znacznie mniej wygodny od zakupionego w Genewie. Jednakże nie było sensu odmawiać.

Lachmann, do którego kieszeni trafiło prawie dwanaście tysięcy marek, wręczył go Joelowi jako upominek od banku. "Pięć minut" okazało się poetycką przenośnią, pomyślał Joel, zerkając na zegar na ścianie. Był prawie kwadrans po dwunastej.

Rytuał zajął przeszło pół godziny; najpierw należało złożyć oświadczenie, a później dokonać weryfikacji podpisu przez komputer zdolny wykryć Najdrobniejsze

"fundamentalne różnice" w charakterze pisma. Wydawało się, że personel banków niemieckich nie chce popełnić najmniejszego błędu, gdy 295

w grę wchodzi podejrzane transakcje. Przepisów przestrzegano aż do granic niezgodności z prawem, a wszyscy zabezpieczali się kruczkami prawnymi składającymi brzemień odpowiedzialności na barki klientów.

Ruszywszy w stronę obramowanych brązem drzwi wejściowych, Converse zauważył

studenta Johanna, który siedział na marmurowej ławie, trochę nie pasując do otoczenia, lecz najwyraźniej czując się całkiem nieźle. Młody człowiek czytał

broszurkę wydaną przez bank, a właściwie udawał, że czyta, bo rozglądał się nieustannie po foyer,

śledząc tłumy krążące po marmurowej posadzce. Converse skinął głową, a student wstał z ławy i przyłączył się doń koło drzwi.

Coś się wydarzyło. Przechodnie na ulicy zaczęli pędzić w obydwu kierunkach, lecz głównie w prawo. Słychać było podniesione głosy, wykrzykiwane pytania, gniewne odpowiedzi wyrażające ignorancję.

-

Co się, u licha, dzieje? - spytał Converse.

-

Nie mam pojęcia - odparł Johann. - Chyba coś złego. Wszyscy biegną do kiosku na rogu. Coś jest w gazetach.

-

Kupmy jedną - rzekł Joel, ujął młodego człowieka za ramię i ruszył wraz z nim w stronę gęstniejącego tłumy przy najbliższej przecznicy.

-

Attentat! Mord! Amerikanischer Botschafter ermordet!

Właściciele kiosków krzyczeli na całe gardło, rozdawali gazety i chwyтали monety i banknoty, nie próbując nawet wydawać reszty. Czuło się wzbierającą panikę, która towarzyszy nagłym wydarzeniom zwiastującym katastrofę. Wszędzie dokoła szleściły rozkładane płachty, a ludzie wbijali wzrok w krzyczące nagłówki.

-

Mein Gott! - zawołał Johann, zerkając na złożony dziennik. - Zamordowano ambasadora amerykańskiego!

-

Boże! Niech pan weźmie gazetę! - Converse cisnął kioskarzowi garść monet, a młody Niemiec wyrwał gazetę z wyciągniętej ręki. - Chodźmy stąd!

- wrzasnął, chwytając studenta za ramię.

Jednakże Johann nie poruszył się. Stał wśród rozkrzychanego tłumy, wpatrując się w gazetę szeroko otwartymi oczyma. Drżały mu wargi. Converse pociągnął młodego człowieka, odpychając barkami dwóch mężczyzn. Otaczali ich zaniepokojeni, rozgorączkowani Niemcy pragnący za wszelką cenę kupić gazetę.

-

To pan! - wrzasnął Johann z panicznym lękiem w głosie.

Joel wyrwał dziennik z rąk studenta. W lewym górnym rogu pierwszej strony znajdowały się fotografie dwóch mężczyzn. Po lewej widniała podobizna zamordowanego Waltera Peregrine'a, ambasadora amerykańskiego w Republice Federalnej Niemiec, po prawej zaś twarz amerykańskiego Rechtsan-walt. Było to jedno z nielicznych słów niemieckich znanych Converse'owi: oznaczało adwokata.

Fotografia przedstawiała jego samego.

296

Rozdział 20

Nie! - ryknął Joel, mnąc gazetę lewą ręką, prawą zaś chwytając studenta za ramię. - To stek łgarstw! Nie mam z tym nic wspólnego! Nie widzisz, że mnie wrabiają?! Chodź ze mną!

-

Nein! - wrzasnął młody Niemiec, rozglądając się gorączkowo na wszystkie strony i zdając sobie sprawę, że jego słowa utonęły w zgiełku.

-

A ja mówię, że tak! - Converse wepchnął gazetę pod marynarkę i objął

niemca ramieniem za szyję, przyginając go do siebie. - Możesz myśleć, co ci się podoba, ale najpierw pójdziesz ze mną i przeczytasz mi wszystko co do joty!

-

Da ist es! Der Attentdter! - wrzasnął piskliwie Johann, wyciągając rękę i łapiąc za spodnie jednego z mężczyzn, który zaklął i zamachnął się, by strzepnąć trzymającą go dłoń.

Joel wykręcił w lewo szyję studenta, odciągając go i krzyżąc mu prosto do ucha, zdumiony własnymi słowami nie mniej niż młody człowiek.

-

Jeśli chcesz rozmawiać w ten sposób, zgoda! Mam w kieszeni pistolet i użyję go, jeśli będę musiał!

Zamordowano już dwóch uczciwych ludzi, a te raz zginął jeszcze jeden, więc dlaczego ty miałbyś być wyjątkiem?! Bo jesteś młody?! To żaden powód! Skoro już o tym mowa, za kogo właściwie umiera my, do cholery?!

Ciągnął studenta przez tłum, szarpiąc go w obydwie strony. Znalazłszy się na otwartej przestrzeni, zdjął mu ramię z szyi i chwycił go ręką za kark. Popychał

młodzieńca do przodu, omiatając wzrokiem ulicę i usiłując wypatrzeć spokojne miejsce, gdzie Johann mógłby przeczytać stek łgarstw spreparowanych przez Akwitańczyków. Gazeta zsunęła się w dół; sięgnął pod marynarkę i wyjął ją. Nie mógł iść chodnikiem, popychając przed sobą broniącego się studenta. Zerkali na nich przechodnie. Boże! Fotografia! Wszyscy znali jego twarz! Każdy mógł go rozpoznać, a on zwracał na siebie uwagę, szarpiąc się z chłopakiem.

Z przodu po prawej stronie znajdowała się kawiarnia ze stolikami stojącymi pod parasolami na chodniku; z tyłu widać było wolne miejsca. Joel wolałby Pusty zaułek lub brukowaną uliczkę zbyt wąską dla samochodów, ale musiał natychmiast na coś się zdecydować.

-

Tędy! Do stolika na końcu! Usiądziesz twarzą w stronę ulicy! I pamiętaj, pistolet to nie żart, będę trzymał rękę w kieszeni.

-

Proszę, niech pan mnie puści! I tak narobił mi pan już kłopotów! Moi Przyjaciele widzieli nas wychodzących razem wczoraj wieczorem, a później Ułatwiłem panu pokój w akademiku! Będę przesłuchiwany przez policję!

-

Idź przodem! - rzekł Converse, popychając Johanna między krzesłami w stronę stolika z dala od ulicy. Usiedli. Młody Niemiec nie dygotał już, lecz rozglądał się gorączkowo we wszystkich kierunkach.

- Nawet o tym nie myśl!

297

- ciągnął Joel. - Jak przyjdzie kelnerka, mów po angielsku. Tylko po angielsku!

-

To kawiarnia samoobsługowa. Klienci wchodzą do środka i przynoszą sobie kawę i bułeczki.

-

Obejdziemy się bez tego. Zamówisz coś sobie później. Jestem ci winien honorarium, a mam zwyczaj płacić swoje długi.

"Zawsze płacę swoje długi. Przynajmniej od ostatnich czterech lat". Słowa ryzykanta, aktora, Caleba Dowlinga.

-Nie chcę pańskich pieniędzy - odparł z lękiem Johann gardłowym tonem.

-

Myślisz, że są brudne i że możesz zostać oskarżony o współudział, prawda?

-

To pan jest prawnikiem, ja tylko studentem.

-

Wobec tego posłuchaj. Nie są brudne, bo nie zrobiłem tego, co mi się zarzuca, a nie można nikogo oskarżyć o współudział w niewinności.

-

To pan jest prawnikiem.

Converse pchnął gazetę w stronę Niemca i sięgnął do prawej kieszeni, gdzie schował dziesięć tysięcy marek w banknotach o rosnących nominałach, by mieć je pod ręką na bieżące wydatki. Odliczył siedem tysięcy, pochylił się i położył je przed Johannem.

-

Schowaj te pieniądze, nim wepchnę ci je do gardła.

-Nie wezmę ich!

-

Weźmiesz. Później możesz powiedzieć policji, że ci je dałem. W końcu będą musieli ci je zwrócić.

-

Was ist?

-

Prawda, mecenasie. Przekonasz się jeszcze, że to najlepsza obrona. A te raz przeczytaj gazetę!

-

Ambasadora zamordowano zeszłego wieczoru -jąkając się, podjął student, wsunawszy niezgrabnie pieniądze do kieszeni. - Dokładny czas zgonu zostanie ustalony po zakończeniu badań laboratoryjnych - ciągnął, zacinając się i nieporadnie szukając właściwych odpowiedników. - Zgon spowodował... Schadel... rana głowy... Ciało znajdowało się dłużej w wodzie i zostało dziś rano wyrzucone na brzeg w Plittersdorfie... Wojskowy charge d'affaires twierdzi, że jako ostatni widział się z ambasadorem Amerykanin Joel Converse. Kiedy jego nazwisko wyszło na jaw, doszło do... - Młody Niemiec zerknął na Joela, potrząsając nerwowo głową. - Jak to się mówi?

-

Nie wiem - odparł Joel chłodnym, beznamiętnym tonem. - Nie ja to pisałem.

-... gwałtownej, gorączkowej wymiany informacji między rządami Szwajcarii, Francji i Republiki Federalnej, koordynowanej przez Międzynarodową Policję Kryminalną, czyli Interpol, po czym fragmenty fatalnej... RdtseL...

łamigłówek... utworzyły sensowną całość. Converse, nie znany osobiście ambasadorowi Peregrine'owi, był... Suche... poszukiwany przez Interpol w związku z morderstwami w Genewie i Paryżu, a także kilkoma usiłowaniami zabójstwa wymagającymi jeszcze wyjaśnienia.

298

Johann spojrzał na Converse'a i przełknął kilkakrotnie ślinę.

-

Czytaj dalej - rozkazał Joel. - Nawet nie wiesz, jakie to ciekawe.

- Wedle przedstawicieli ambasady Converse zażądał poufnego spotkania, twierdząc, iż posiada informacje istotne dla interesów amerykańskich. Okazało się to później nieprawdą. Wczoraj wieczorem między siódmą trzydzieści a ósmą Converse i Peregrine mieli się stawić u wejścia na most Adenauera. Charge d'affaires, który towarzyszył ambasadorowi, zeznał, iż spotkanie rozpoczęło się o siódmej pięćdziesiąt jeden. Obaj mężczyźni ruszyli przez most kładką dla pieszych.

Ambasadora widziano wówczas żywego po raz ostatni. -Johann przełknął ślinę.

Dłonie mu drżały, na czole miał krople potu. Kilkakrotnie odetchnął głęboko i czytał dalej, przebiegając oczami stronicę. - Poniżej znajdują się dokładniejsze... eingehendere... szczegóły. Interpol opisuje podejrzanego Joela Converse'a jako pozornie normalnego człowieka, który jest w rzeczywistości...

wandernde... - młody Niemiec zniżył głos do szeptu - ...chodzącą bombą zegarową, szaleńcem cierpiącym na poważne zaburzenia psychiczne. Kilku psychiatrów amerykańskich uważa jego objawy

za rezultat blisko czteroletniego pobytu w obozie jenieckim podczas wojny w Wietnamie...

Johann czytał dalej, zacinając się i jękając, przerażony, wyrzucając z siebie raz po raz wymowne epitety i insynuacje wsparte opiniami anonimowych urzędników państwowych oraz bliżej nieokreślonych "ekspertów", poproszonych czym prędzej o komentarz. Stworzono portret chorego psychicznie, przeżywającego z powrotem przeszłość pod wpływem jakiegoś gwałtownego wydarzenia, które nie naruszyło zdolności intelektualnych, lecz doprowadziło do utraty wszelkich hamulców.

Wspomniano w zawołany sposób o poszukiwaniach prowadzonych przez Interpol, sugerując, że trwają w tajemnicy wiele dni, jeśli nie tygodni.

-

.. jego zbrodnicze skłonności są specyficznym ukierunkowane - ciągnął

student, bliski paniki, cytując kolejnego anonimowego eksperta. - Zionie patologiczną nienawiścią do wysokich rangą wojskowych, zwłaszcza jeśli osiągnęli wybitną pozycję w życiu publicznym... Ambasador Peregrine wstąpił się jako dowódca batalionu podczas bitwy pod Bastogne w czasie drugiej wojny światowej, gdzie poległo wielu Amerykanów... Źródła w Waszyngtonie uważają, że Converse, który po kilku tragicznych próbach zdołał w końcu uciec z wietnamskiego obozu jenieckiego o zastrzyżonym reżymie i przebył przeszło sto pięćdziesiąt kilometrów... Dschungel... dżungli pod kontrolą nieprzyjaciela, nim dotarł wreszcie do pozycji amerykańskich, przeżywa na powrót dawne Wydarzenia... Wedle jednego z psychiatrów wojskowych Converse uważa, iż ma do spełnienia misję polegającą na zabijaniu wyższych oficerów, którzy do wodziłi niegdyś na polu bitwy, a także cywilów ponoszących w jego mniemaniu odpowiedzialność za cierpienia innych. Mimo to wydaje się na pozór normalny, Tak, jak tyłu jemu podobnych... Wzmocniono ochronę w Waszyngtonie, Londy -

nie. Brukseli i Bonn... Jako adwokat specjalizujący się w międzynarodowym 299

prawie handlowym może mieć kontakty w środowiskach przestępczych i posługiwać się fałszywymi paszportami...

Było to arcydzieło fałszu, wsparte prawdami, półprawdami, przekręconymi faktami i wierutnymi łgarstwami. Uwzględniono nawet czas wydarzeń zeszłego wieczoru.

Charge d'affaires stwierdził jednoznacznie, że widział Joela na moście Adenauera o siódmej pięćdziesiąt jeden, około dwudziestu pięciu minut po ucieczce z kamiennego więzienia w posiadłości Leifhelma i niespełna dziesięć minut po skoku do Renu. Uwzględniono każdy moment. Umieszczenie Joela na moście o siódmej pięćdziesiąt jeden odbierało historii o uwięzieniu i ucieczce wszelkie pozory prawdopodobieństwa.

Krwawe wypadki w Genewie - zabójstwo Prestona Hallidaya - interpretowano jako gwałtowny

początek choroby psychicznej Joela. "...Ustalono, iż zastrzelony adwokat był w latach sześćdziesiątych znanym przywódcą amerykańskiego ruchu pacyfistycznego..." insynuowano, że to Converse wynajął jego morderców. Nawet śmierć człowieka z Paryża otrzymała zupełnie nowy, znacznie ważniejszy sens - co najdziwniejsze oparty na faktach. "...Tożsamość ofiary ukrywano początkowo przed opinią publiczną w nadziei, iż ułatwi to śledztwo, gdy zeznania adwokata francuskiego, znającego Converse'a od wielu lat, naprowadziły Surete na właściwy trop. Prawnik, który poprzedniego dnia zjadł z Converse'em lunch, sugerował, iż jego amerykański przyjaciel "ma poważne problemy wewnętrzne i potrzebuje pomocy lekarskiej"..." Człowiek zabity w Paryżu okazał się znanym pułkownikiem armii francuskiej, byłym adiutantem kilku wybitnych generałów".

Na koniec, jakby chcąc przekonać ewentualnych niedowiarków o słuszności wyroku skazującego wydanego zaocznie na Joela, wspomniano także o jego uwagach przed komisją wojskową, zwalniającą go ze służby przeszło piętnaście lat temu. Ujawnił

je Piąty Okręg Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych, który zalecał ongiś, by porucznika Converse'a poddano dobrowolnej obserwacji psychiatrycznej, na co jednak wymieniony się nie zgodził. Converse zachował się obraźliwie wobec komisji, chcąc jej pomóc, a jego uwagi sprowadzały się do pogroźek wobec licznych wyższych oficerów, z którymi jako pilot stacjonujący na lotniskowcu nie mógł mieć osobiście do czynienia.

Tak wyglądał portret stworzony przez artystów Akwitanii. Johann doczytał

artykuł, ściskając w dłoniach gazetę, a w jego rozszerzonych oczach malował się lęk.

-

To... to wszystko, proszę pana.

-

Szlag by mnie trafił, gdyby było jeszcze więcej - rzekł Joel. - Wierzysz w to?

-Nie wiem. Jestem zbyt przerażony, żeby myśleć.

-

To uczciwa odpowiedź. Przede wszystkim masz świadomość, że mogę cię zabić, i nie jesteś w stanie znieść tej myśli. Właśnie to chcesz powiedzieć-

Boisz się, że się obrażę o byle spojrzenie lub słowo i nacisnę spust.

-

Błagam, nie nadaję się do tego!

- Ja też się nie nadawałem.

-

Proszę pozwolić mi odejść.

-

Popatrz, Johannie, trzymam ręce na stole. Trzymani je na stole od czasu, gdy usiedliśmy.

-

Was...? - Młody Niemiec zamrugał i spojrzał na przedramiona Converse'a, który położył je przed sobą, splótłszy dłonie na białym metalowym blacie. - Nie ma pan pistoletu?

-

Mam. Zabrałem go człowiekowi, który zabiłby mnie, gdyby miał bodaj cień szansy. - Joel sięgnął do kieszeni, a Johann zeszywniał. - Papierosy -

wyjaśnił Converse, wyjmując paczkę i kartonik zapalek. - Okropny nałóg.

Postaraj się mu nie ulec.

-

To bardzo kosztowne.

-

Między innymi... Od zeszłego wieczoru rozmawialiśmy ze sobą kilka razy. - Joel potarł zapałkę o kartonik i zapalił papierosa, nie spuszczając oczu ze studenta. - Czy wyglądam albo mówię jak człowiek opisany w tym artyku le, nie licząc kilku chwil w tym tłumie, gdy mogłem zostać zlinczowany?

-

Nie jestem ani prawnikiem, ani lekarzem.

-

Punkt dla ciebie. To ja powinienem dowieść, że jestem normalny. Poza tym piszą, że nie wyglądam na chorego.

-

Podobno bardzo pan cierpiał.

-

Wieki temu, nie więcej niż tysiące innych ludzi, a znacznie mniej niż około pięćdziesięciu ośmiu tysięcy żołnierzy, którzy nie wrócili. Wydaje mi się, że szaleniec nie mógłby wygłosić w tych okolicznościach takiej racjonalnej uwagi, prawda?

-

Nie wiem, o czym pan mówi.

-

Usiłuję ci wytłumaczyć, że wszystko, co przed chwilą przeczytałeś, to przykład kształtowania negatywnej opinii. Z góry osądzono mnie i skazano na podstawie prawdy zmieszanej z półprawdami, wypaczonymi faktami i mało wiarygodnymi insynuacjami. Żaden cywilizowany sąd nie dopuściłby takich dowodów ani nie pozwolił przysięgłym ich słuchać.

-

Zabito kilku ludzi - wyszeptał Johann. - Zamordowano ambasadora.

-

Ja tego nie zrobiłem. Wczoraj o ósmej wieczorem nie było mnie w pobliżu mostu Adenauera. Nawet nie wiem, gdzie to jest.

-

A gdzie pan był?

-

Tam gdzie nikt mnie nie widział. A ci, co wiedzą, że nie mogłem być na moście, na pewno tego nie potwierdzą.

-

Muszą być jakieś dowody na to, gdzie pan był. - Młody Niemiec skinął

głową w stronę papierosa w ręku Converse'a. - Może coś takiego? Może zo stawił pan niedopałek?

-

Odciski palców lub stóp? Nitkę z ubrania? Takie dowody mogą się znaleźć, ale nie pozwolą ustalić

czasu.

-

Są pewne metody - poprawił Johann. - Technika... Forschung... technika śledcza błyskawicznie się rozwija.

301

-

Pozwól mi skończyć. Nie jestem specjalistą od prawa kryminalnego, ale wiem, co masz na myśli. Teoretycznie rzecz biorąc, głębokość moich śladów porównana z próbkami ziemi z moich butów mogłaby pozwolić określić miej.

sce mojego pobytu z dokładnością co do godziny, tak?

-Ja!

-

Nie. Zanim pierwsza próbka dotarłaby do laboratorium, byłbym mar twy.

-

Dlaczego?

-

Nie mogę ci powiedzieć. Bóg wie, że chciałbym, ale nie mogę.

-

Znów muszę spytać, dlaczego?

W przerażonych oczach młodego człowieka pojawił się wyraz zawodu, jakby odmowa wyjaśnienia pozbawiła Joela resztek wiarygodności.

-

Bo nie chcę. Kilka minut temu powiedziałeś, że przysporzyłem ci już kłopotów. To prawda, choć nie miałem takiego zamiaru. Lecz nie wciągnę cię w tę sprawę. Nie chcę powodować twojej śmierci. Przykro mi, Johannie, nie mogę wyrażać się jaśniej.

-

Rozumiem.

-

Nic nie rozumiesz, ale chciałbym cię przekonać, że muszę skontaktować się z pewnymi ludźmi. Ludźmi, którzy mogą coś zrobić. Są daleko, poza Bonn, ale dotrę do nich, jeśli zdołam uciec.

Młody Niemiec znów zeszywniał z rozlatanymi dłońmi.

-

Chce pan, żebym zrobił coś jeszcze?!

-

Nie, niczego już od ciebie nie chcę. Chcę, żebyś niczego nie robił, przy najmniej przez pewien czas. Niczego. Pozwól mi odejść i skontaktować się z ludźmi, którzy mogą mi pomóc. Pomóc nam wszystkim.

-

Nam wszystkim?

-

Mówię poważnie, ale nic więcej nie powiem.

-

To nie pracownicy pańskiej ambasady, Amerykaner?

Converse popatrzył twardo na Johanna, usiłując nie zwracać uwagi na szelest gazet przy sąsiednich stolikach.

-

To właśnie pracownik lub pracownicy ambasady zamordowali ambasadora Peregrine'a. Szukali mnie wczoraj wieczorem w hotelu.

Johann odetchnął głęboko, odrywając wzrok od Joela i wbijając go w stół.

-

Przy kiosku, w tłumie, kiedy mi pan groził, powiedział pan, że zabito już trzech uczciwych ludzi.

-

Przepraszam. Wpadłem w panikę.

-

Chodzi mi głównie o to, co powiedział pan zaraz później. Dlaczego miałbym być wyjątkiem? Bo jestem młody? To żaden powód, zawołał pani dodał coś bardzo dziwnego: "Skoro już o tym mowa, za kogo właściwie umie -

ramy?" Mam wrażenie, że nie było to tylko pytanie.

-

Nie zamierzam roztrząsać znaczenia tej uwagi. I nie mogę ci niczego doradzić. Powiem jedynie to, co powtarzałem przez lata dziesiątkom klientów.

Kiedy za podjęciem decyzji i przeciwko niej przemawiają równie silne 302

argumenty, należy o nich zapomnieć i zdać się na instynkt. Postępujemy wówczas w zgodzie ze sobą. - Converse umilkł i odsunął krzesło. - Teraz zamierzam wstać i odejść. Jeśli zaczniesz krzyczeć, rzucę się do ucieczki i postaram się znaleźć bezpieczną kryjówkę, nim ktoś zdąży mnie rozpoznać. Później zrobię co w mojej mocy. Jeśli nie podniesiesz alarmu, mam większe szansę i uważam, że tak byłoby lepiej... dla nas wszystkich. Możesz iść do biblioteki uniwersyteckiej, wyjść za jakąś godzinę, kupić gazetę i zgłosić się na policję. Wolałbym, żebyś postąpił w ten sposób. To moje zdanie. Nie znam twojego, do widzenia, Johannie.

Joel wstał od stołu i natychmiast uniósł do twarzy rękę z rozsuniętymi palcami.

Odwrócił się, ruszył między stolikami, wyszedł na chodnik, skręcił w prawo i skierował się w stronę najbliższej przecznicy. Wstrzymywał dech w piersiach, choć zaczynał się już dusić, ale chciał za wszelką cenę słyszeć jak najlepiej.

Szedł z walącym sercem, natężając słuch do tego stopnia, że ogłuszyłby go najłżejszy nowy dźwięk.

Wokół rozlegały się tylko podniecone głosy ludzi i klaksony taksówek, lecz nie były to dźwięki, na które czekał: krzyki młodego człowieka wszczynającego alarm.

Nie zabrzmiały, a Joel przyśpieszył kroku, włączając się w potok przechodniów zdążających spokojnie przez plac. Dotarł prędko do przeciwległego krawężnika i zwolnił; szybko idący człowiek zwraca na siebie uwagę. Mimo to im bardziej oddalał się od kawiarenki na skraju chodnika, tym trudniej było mu powstrzymać się od biegu. Jego uszy nie zarejestrowały podnoszonego alarmu i z każdą chwilą narastała w nim pokusa rzucenia się pędem w pierwszą lepszą pustą przecnicę.

Cisza. Podnieconego gwaru placu nie zmącił żaden histeryczny krzyk, lecz zaszła jakaś dostrzegalna zmiana. Zgiełk przycichł nieco, zastąpiony wzruszeniami ramion oraz gestami wyrażającymi niewiedzę i wyraźną ulgę. Wszędzie słyhać było powtarzane słowa Amerikaner, Amerikaner.

Panika minęła. Amerykanin zabił

Amerykanina. Mordercą nie okazał się Niemiec, komunista, a nawet członek organizacji terrorystycznej, który wymknął się niemieckiej policji. Życie może toczyć się dalej: Niemcy nie ponoszą odpowiedzialności za śmierć amerykańskiego ambasadora. Mieszkańcom Bonn wyrwało się z piersi westchnienie ulgi.

Converse okrążył ceglany gmach i zerknął zza rogu na uliczną kawiarnię. Student Johann siedział w dalszym ciągu na swoim krześle, czytając gazetę z głową wspartą na rękach. Wreszcie wstał i wszedł do lokalu.

Czy jest tam telefon? Czy student z kimś się skontaktuje?

Jak długo mogę czekać? - pomyślał Converse, gotów do ucieczki, choć instynkt kazał mu pozostać na miejscu.

Johann wyszedł z kawiarni, niosąc tacę z kawą i bułeczkami. Usiadł, starannie rozstawił na stole talerzyki i znów popatrzył na leżącą gazetę. Później wbił

wzrok w przestrzeń i skinął wyraźnie głową, jakby wiedział, że śledzą go niewidzialne oczy.

303

Kolejny ryzykant, pomyślał Joel, po czym odwrócił się i ruszył nieznaną boczną uliczką, obserwując nowe widoki i wsłuchując się w nowe dźwięki. Otrzymał w podarunku kilka godzin. Szkoda tylko, że nie miał pojęcia, jak je wykorzystać.

Valerie podbiegła do telefonu. Jeśli to kolejny reporter, powie mu to samo co dotychczasowym pięciu: "Nie wierzę w ani jedno słowo i nie mam nic więcej do dodania! A jeśli to znów ktoś z Waszyngtonu - z FBI, CIA, VA lub jakiegokolwiek innej kombinacji liter - dostanie histerii! Tego ranka przesłuchiowano ją trzy godziny, aż w końcu dosłownie wyrzuciła funkcjonariuszy z domu. Byli łgarzami usiłującymi wymusić na niej potwierdzenie swoich kłamstw. Znacznie łatwiej byłoby wyłączyć aparat, lecz nie mogła tego zrobić. Dwukrotnie dzwoniła do Lawrence'a Talbota w Nowym Jorku, prosząc sekretarkę, by go odszukała, gdziekolwiek się znajduje, i błagając o natychmiastowy telefon. To jakieś wariactwo! Szaleństwo, jak mawiał cicho Joel z takim napięciem, że miała wrażenie, iż wydaje z siebie dziki krzyk buntu.

-

Halo, słucham?

-

Valley? Tu Roger.

-

Tata!

Tym imieniem zwracał się do niej tylko jej były teść. To, że rozwiodła się z jego synem, nie wpłynęło na ich wzajemne stosunki. Val uwielbiała starego pilota, zresztą z wzajemnością.

-

Gdzie jesteś? Ginny strasznie się o ciebie niepokoi. Zapomniałeś włączyć automatyczną sekretarkę.

-

Nie zapomniałem, Valley. Musiałbym oddzwonić do zbyt wielu ludzi.

Dopiero co przyleciałem z Hongkongu, a kiedy zszedłem z pokładu samolotu, zaczęło mnie napastować pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu reporterów z tyłoma fleszami, że oślepiłi mnie na parę dni.

-

Jakiś chciwy urzędnik linii lotniczych dał im cynk, że znajdujesz się na pokładzie. Dostał niezłą gratyfikację. Gdzie jesteś?

-

Ciągle na lotnisku, w biurze szefa kontroli lotów. Wyciągnęli mnie z tego, muszę im to przyznać... Valley, czytałem gazety. Dostarczyli mi ostatnie numery. Co się, u licha, dzieje?

-

Nie wiem, tato, ale to stek kłamstw.

-

Joel to najnormalniejszy chłopak, jakiego w życiu widziałem! Przekręcają wszystko, żeby wyglądał na szaleńca. Jest za bardzo bezpośredni!

-

To nie wariat, Roger. Przepuszczają go po prostu przez wyżymaczkę.

-

Po co?!

-

Nie mam pojęcia, ale zdaje mi się, że Larry Talbot może coś wiedzieć, przynajmniej więcej, niż mi powiedział.

-

Co powiedział?

-

Nie teraz, tato, później.

304

-

Dlaczego?

- Nie jestem pewna... Mam po prostu przeczucie.

-

To jakiś nonsens, Valley.

-

Przepraszam.

-

Co mówi Ginny? Oczywiście zaraz do niej zadzwonię.

-

Dostała histerii.

-Takjak zawsze.

-

Nie, to coś innego. Uważa się za winną. Myśli, że ludzie mszczą się na bracie za jej działalność w latach sześćdziesiątych. Usiłowałam ją przekonać, że to absurd, ale chyba tylko pogorszyłam sytuację. Spytała mnie najzupełniej poważnie, czy wierzę w to, co piszą o Joelu. Oczywiście, odparłam, że nie.

-

Stara paranoja. Trójka dzieci, mąż księgowy, a wszystko ciągle odbija się jak czkawka. Nigdy nie mogłem sobie z nią poradzić. Ale okazała się cho lernie dobrym pilotem. Zaczęła latać samodzielnie wcześniej od Joela, choć jest od niej dwa lata starszy. Zadzwonię do niej.

-

Możesz mieć z tym trudności.

-

Jak to?

-

Zmieniła numer telefonu, a ty powinieneś chyba zrobić to samo. Ja cze kam tylko na telefon Larry'ego.

-

Valley... - Roger Converse zamilkł na chwilę. -Nie zmieniaj numeru.

-

Czemu? Zdajesz sobie sprawę, co się tu dzieje?!

-

Widzisz, nigdy nie pytałem, co zaszło między tobą a Joelem, ale jak jestem w Nowym Jorku, jadam zwykle raz w tygodniu kolację z tym kauzyper -

dą. Uważa to za synowski obowiązek, lecz natychmiast bym z tym skończył, gdybym go nie lubił. Fajny z niego facet, czasami trochę śmieszny.

-

Wiem o tym, Roger. O co ci chodzi?

-

Podobno przepadł jak kamień w wodę i nie wiadomo, gdzie jest.

-No i...?

-

Może do ciebie zadzwonić. Nie wyobrażam sobie innego, do kogo mógłby zatelefonować.

Valerie zamknęła oczy; oślepiało ją południowe słońce wpadające przez oszklony sufit.

-

Mówisz na podstawie waszych cotygodniowych rozmów przy kolacji?

-

Nie opieram się na intuicji. Robiłem to tylko w powietrzu... Nie, to chyba jednak instynkt. Nigdy nie powiedział tego otwarcie, ale zawsze się to wyczuwało.

-

Jesteś niemożliwy, tato.

-

Zwykły błąd w pilotażu. Czasami można sobie na to pozwolić... Nie zmieniaj swojego numeru, Val.

-

Nie zrobię tego.

-

A co ze mną?

-

Mąż Ginny wpadł na dobry pomysł. Odsyłają wszystkich do swojego adwokata. Może powinieneś zrobić to samo? Masz jakiegoś?

305

-

Naturalnie - odparł Roger Converse. - Trzech. Talbota, Brooksa i Si.

mona. Najlepszy jest Nate. Wiesz, że ten cholernik zaczął latać w sześćdziesiątym siódmym roku życia?! Niedawno zdobył licencję na maszyny wielosilnikowe, wyobrażasz sobie?!

-

Tato, jesteś na lotnisku?! - przerwała nagle Valerie.

-

Tak jak powiedziałem. Na lotnisku Kennedy'ego.

-

Nie jedź do domu. Nie jedź do swojego mieszkania. Leć pierwszym samolotem do Bostonu. Posłuż się zmyślonym nazwiskiem. Zadzwoń do mnie za chwilę i podaj mi numer swojego lotu. Wyjadę po ciebie.

-

Dlaczego?

-

Proszę, zrób to, Roger!

-

Po co?

-

Zostajesz. Ja wyjeżdżam.

Rozdział 21

Converse opuścił spiesznie magazyn odzieżowy na zatłoczonej Bornheimer Strasse i przyjrzał się swojemu odbiciu w szybie wystawowej. Sprawdzał ogólny rezultat zakupów; nie tak jak przed dużym lustrem w środku, gdy przymierzał ubrania, lecz jako jeden z przechodniów na chodniku. Był zadowolony, nic w jego stroju nie rzucało się w oczy. Fotografia w prasie -jedyna z ostatnich piętnastu lat, jaka mogła znajdować się w kartotekach agencji prasowych lub gazet - pochodziła sprzed roku, gdy wraz z kilkoma innymi prawnikami udzielił Reuterowi wywiadu w trakcie rokowań na temat fuzji przedsiębiorstw. Zdjęcie przedstawiało popiersie Joela, który jak zwykle miał na sobie ciemny garnitur, kamizelkę, białą koszulę oraz krawat w prążki -i wyglądał na obiecującego prawnika handlowego. Właśnie tak wyobrażali go sobie czytelnicy gazet, a ponieważ obraz ów nie mógł się zmienić, tylko zataczać coraz szersze kręgi, musiał zmienić się sam Joel.

Nie mógł także nosić odzieży, w której udał się do banku. Przerażony Lachmann niewątpliwie opisze

ją dokładnie policji, a nawet jeśli oniemieje z trwogi, marynarka jest ciemna, koszula biała, krawat zaś prążkowany. Świadomie czy nie, Joel szukał ubrań budzących szacunek. Może zachowywali się tak wszyscy zbiegowie walczący o życie, którym odebrano naturalną godność? Tak czy owak, ubrany w ten sposób upodabiał się do mężczyzny na fotografii.

Przypomniał sobie wykładowcę historii z college'u, którego wszystkie części garderoby jakoś do siebie pasowały. Nosił on zawsze stonowane tweedowe marynarki z łatami na łokciach, jasnoszare flanelowe spodnie i granatowe koszule. Nad grubymi rogowymi okularami widniał miękki pilśniowy kape-306

lusz z rondem spuszczone z przodu i z tyłu. Gdziekolwiek by się znalazł - na ulicy w Bostonie, w Piątej Alei w Nowym Jorku czy na Rodeo Drive w Beverly Hills (Joel przysięgłby zresztą, że nigdy tam nie był), każdy rozpoznałby w nim bez wahania profesora uniwersytetu z Nowej Anglii.

Converse zdołał odtworzyć zapamiętany wygląd historyka, choć rogowe okulary musiał zastąpić na pewien czas ciemnymi szklami przeciwsłonecznymi. Minął

przedtem duży sklep wielobranżowy, podobny do spotykanych w Nowym Jorku, i wiedział, że znajdzie w nim stoisko z okularami różnych kształtów i rozmiarów, niekiedy z soczewkami do czytania, lecz w większości ze zwykłymi szklami.

Z przyczyn, które zaczynał pojmować dopiero teraz, okulary wydawały mu się w tej chwili najważniejsze. Wreszcie zrozumiał. Poświęcał tyle uwagi zmianie własnego wyglądu, by odsunąć od siebie myśl, że w istocie nie wie, co robić.

Przyjrzał się sobie w owalnym lustrze sklepu wielobranżowego, znów usatysfakcjonowany tym, co zobaczył. Grube oprawki z imitacji szylkretu nadawały mu sowy wygląd naukowca. Przestał być człowiekiem z fotografii w gazetce i, co równie ważne, uwaga poświęcona własnej powierzchowności uspokoiła go nieco.

Odzyskał jasność umysłu. Mógł usiąść gdzieś i rozważyć sytuację. Czuł także głód i pragnienie.

Witrażowe okna zatłoczonej i zadymionej kawiarni zmieniały jasne promienie letniego słońca w snopy błękitu i czerwieni. Joel, zaprowadzony do stolika pod ścianą, zajął miejsce na kanapie obitej czarną skórą, a maitre d'hotel zapewnił

go, że może otrzymać menu po angielsku z ponumerowanymi daniami. Wydawało się, że w Europie znana jest tylko szkocka whisky; Converse zamówił podwójną, po czym wyjął notes i długopis, kupione w sklepie wielobranżowym. Podano mu whisky i zabrał się do pisania.

Connal Fitzpatrick?

Dyplomatką?

Przeszło dziewięćdziesiąt trzy tysiące dolarów.

Ambasada - wykluczona.

Larry Talbot - wykluczony.

Beale - wykluczony.

Lucas Anstett - zamordowany.

Klient z San Francisco - wykluczony.

Ludzie z Waszyngtonu. Kim są?

Caleb Dowling? Nie.

Hickman, baza w San Diego? Możliwe.

Mattilon?...

Renę! Dlaczego wcześniej o nim nie pomyślał?! Rozumiał, dlaczego Francuz wypowiedział uwagi zacytowane w prasie bez podania źródła. Renę starał

307

się go chronić. Jeśli obrona nie istniała lub była nie do utrzymania, najlogicznym wyjaśnieniem wydawało się chwilowe szaleństwo. Joel obwiódł

kółkiem nazwisko Mattilona i napisał obok po lewej liczbę jeden, również w kółku. Zamierzał znaleźć pocztę dysponującą kabinami telefonicznymi i zadzwonić do Renę do Paryża. Wypił dwa łyki whisky, odprężył się, czując ciepło rozplywające się w ciele, po czym wrócił do listy, zaczynając od samej góry.

Connal...? Jego śmierć była bardzo prawdopodobna, lecz nie pewna. Jeśli żyje, został uwięziony przez ludzi, którzy zamierzają wydobyć z niego wszelkie użyteczne informacje. Jako szef biura prawnego największej bazy morskiej na zachodnim wybrzeżu i człowiek pozostający w częstych kontaktach z Biurem Kontroli Zbrojeń Departamentu Stanu oraz jego odpowiednikiem w Pentagonie, mógł

okazać się cenny dla Akwitańczyków. Gdyby jednak Joel zwrócił nań czyjąkolwiek uwagę, natychmiast by go zabito, nawet jeśli dotychczas tego nie zrobiono. Jeśli Connal pozostawał przy życiu, należało odszukać go w najgłębszej tajemnicy. Była to jedyna szansa jego ocalenia. Fitzpatrick musiał zostać uratowany potajemnie.

Joel ujrzał nagle mężczyznę w mundurze armii amerykańskiej rozmawiającego przy barze z dwoma cywilami. Nie znał go. Jego uwagę przykuł mundur. Przypomni

sobie wojskowego charge d'affaires ambasady, oficera tak spostrzegawczego i dokładnego, że potrafił określić co do minuty, kiedy widział na moście człowieka, którego tam nie było. Zdradził się, kłamiąc w imię Akwitanii. Nawet jeśli nie znał miejsca uwięzienia Fitzpatricka, można go zmusić, by się tego dowiedział. Może jest mimo wszystko jakiś sposób? Converse nakreślił po prawej stronie listy linię łączącą Connala Fitzpatricka z admirałem Hickmanem z San Diego. Nie napisał numeru. Musiał rozważyć zbyt wiele innych problemów.

Dyplomatką? Wierzył nadal, że nie wpadła w ręce ludzi Leifhelma. Generałowie pochwaliliby się przed nim, gdyby ją zdobyli: ukrywanie takiej zdobyczy nie leżało w ich naturze, zwłaszcza że nie uważali Joela za godnego siebie przeciwnika. Nie, powiedzieliby mu o tym w ten czy inny sposób, choćby po to, by dać mu do zrozumienia, jak zupełną klęskę poniósł. Jeśli rozumował słusznie, Connal gdzieś ją ukrył. W pensjonacie Das Rektorat? Warto to sprawdzić. Obwiodł

kółkiem słowo "dyplomatką" i napisał obok liczbę dwa.

-

Speisekarte, mein Herr? - spytał kelner, który podszedł niepostrzeżenie do stolika.

-

Poproszę po angielsku.

-

Służę uprzejmie. - Plik kart dań przypominał olbrzymią talię. Kelner przetasowała ją, wybrała jedną i wręczył Joelowi. - Dzisiejsze Spezialitdtto Wie-nerschnitzel. Po angielsku brzmi to tak samo.

-

Znakomicie. Proszę zabrać kartę. Wezmę go.

-

Danke.

Kelner ulotnił się, nim Joel zdążył zamówić kolejnego drinka. Nic nie szkodzi, pomyślał.

Przeszło dziewięćdziesiąt trzy tysiące dolarów. Nie było nic więcej do dodania: stale pamiętał o szorstkiej wypukłości wokół talii. Miał pieniądze i powinien je wykorzystać.

Ambasada - wykluczona... Larry Talbot - wykluczony... Beale - wykluczony. • •

Anstett - zamordowany... Klient z San Francisco - wykluczony...

W trakcie całego posiłku rozważał kolejne punkty listy, zastanawiając się, jak doszło do obecnej sytuacji. Tak starannie planował każdy krok, uczył się na pamięć życiorysów, zachowywał niezbędne

środki ostrożności. Jednakże popsuły mu szyki komplikacje daleko wykraczające poza proste fakty podane przez Prestona Hallidaya w Genewie.

"Przygotuj kilka oskarżeń, w których pojawia się nazwisko Delavane'a, choćby tylko marginesowo. To wystarczy".

W świetle informacji uzyskanych na Mikonos, a później w Paryżu, Kopenhadze i Bonn, prostota owej uwagi miała w sobie coś nieomal kryminalnego. Halliday byłby przerażony, gdyby wiedział, jak daleko sięgają wpływy podkomendnych Delavane'a na najwyższych szczeblach sił zbrojnych, policji, Interpolu oraz organizacji sprawujących kontrolę nad przepływem wiadomości z tak zwanych dobrze poinformowanych źródeł rządowych. Było to przerażające.

Converse powstrzymał pędzące myśli. Zrozumiał, że wyobraża sobie Hallidaya jako człowieka, który dostrzega nocą w dżungli tylko parę błyszczących ślepi, nie zdając sobie sprawy z rozmiarów i wściekłości niewidzialnej bestii. Mylił się.

Halliday znał informacje przekazane Joelowi przez Beale'a na wyspie egejskiej, znał powiązania między Paryżem, Bonn, Tel Awiwem i Johannesburgiem. Wiedział o funkcjonariuszach Departamentu Stanu i Pentagonu: wiedział o wszystkim!

Zaaranżował wszystko z anonimowymi ludźmi z Waszyngtonu! Okłamał Converse'a w Genewie. Avery Fowler, z którym Joel zaprzyjaźnił się przed laty w szkole, manipulował nim kłamliwie jako Preston Halliday.

Kim są anonimowi ludzie z Waszyngtonu, którzy ośmielili się zebrać pół miliona dolarów, by oddać się szaleńczemu hazardowi, lecz boją się wystąpić z otwartą przyłbicą? Co sobie myślą? Ich zwiadowcę zamordowano, a kukiełkę oskarżono o to, że jest psychopatycznym mordercą. Jak długo mogą czekać? Jakie zajmują stanowiska?

Pytania te rozwścieczały Converse'a do tego stopnia, że przestał o nich myśleć, by się nie denerwować. Pozbawiały go jasności umysłu i ochrony dawanej przez zdolność logicznego rozumowania. Nie mógł ryzykować działania na ślepo. Powinien znaleźć pocztę i zatelefonować do Mattilona w Paryżu. Renę uwierzy i pomoże.

Stary przyjaciel nie mógł zawieść. Było to nie do Pomyślenia.

Cywil podszedł w milczeniu do okna hotelowego, zdając sobie sprawę, że obecni w pokoju nie spodziewają się po nim rozwiązania, tylko recepty na 309

cud, a w aż nazbyt dobrze znanym mu fachu takie rzeczy się nie zdarzały Peter Stone był w istocie reliktem przeszłości, czarną owcą, która widziała tak wiele, że załamała się psychicznie. Autentyczną

odwagę zastąpił alkohol, aż Stone stał

się swego rodzaju mutantem, częściowo nadal dumnym z przeszłych osiągnięć zawodowych, częściowo wstrząsanym mdłościami na myśl o stratach, niepotrzebnych ofiarach, zmarnowanych pomysłach - człowiekiem, którego moralność ciśnięto na gigantyczne śmietnisko zbiorowej bezduszności.

Mimo to był ongiś jednym z najlepszych specjalistów w swoim zawodzie i nie mógł

o tym zapomnieć. Ale wreszcie stanął w obliczu faktu, że zabija się nadmiarem whisky i żalu nad samym sobą. Wycofał się. Przedtem jednak zadarł ze swoimi byłymi pracodawcami z Centralnej Agencji Wywiadowczej, mówiąc im prywatnie, co o nich myśli. Kiedy wytrzeźwiał, dowiedział się na szczęście, że mają oni w Waszyngtonie wrogów niewplątanych w międzynarodowe afery szpiegowskie, lecz po prostu służących państwu i chcących znać fakty ukrywane przez ludzi z Langley.

Stone zdołał utrzymać się na powierzchni. Rozmyślał o tym, wiedząc, że dwaj pozostali mężczyźni w pokoju sądzą, iż zastanawia się nad dręczącym ich wszystkich problemem.

Problemu nie było. Sprawę zamknięto, oznaczając teczkę czarnym krzyżykiem.

Są zbyt młodzi (Boże, tacy cholernie młodzi!), by przyjąć to bez oporu. Stone przypominał sobie jak przez mgłę czasy, gdy też uważał to za przerażające. Ale było to prawie czterdzieści lat temu; zbliżał się już do sześćdziesiątki i wysłuchał tylu takich konkluzji, że nie przejmował się nimi. Owszem, czuł żal i smutek, lecz upływ czasu i powtarzające się doświadczenia stępiły jego wrażliwość. Najważniejsza była jasna ocena sytuacji. Odwrócił się od okna.

-

Nie możemy nic zrobić - zawyrokował cicho. Kapitan wojsk lądowych i porucznik marynarki przybrali wyraźnie zatroskane miny. - Pracowałem w wywiadzie dwadzieścia trzy lata, w tym dziesięć razem z Angletonem, i nie mam co do tego wątpliwości. Musimy zostawić go samego.

-

Bo nie stać nas na to?! - spytał szyderczo oficer marynarki. - Właśnie to powiedział pan po zamordowaniu Hallidaya w Genewie. Nie stać nas na to!

-

Nie stać. Wyprowadzono nas w pole.

-

Sami go wysłaliśmy... - nalegał porucznik.

-

Wpadł w pułapkę - przerwał spokojnie cywil z oczami pełnymi smutnej mądrości. - Właściwie jest już martwy. Musimy się zająć czymś innym.

-

Dlaczego? - spytał kapitan wojsk lądowych. - Dlaczego jest już mar twy?

-Zbyt dobrze panują nad sytuacją, teraz to widzimy. Nawet jeśli nie trzymają go w jakiejś piwnicy, orientują się mniej więcej, gdzie jest. Każdy może go zabić.

Policja dostanie podziurawione kulami ciało chorego psychicznie zabójcy i nastąpi zbiorowe westchnienie ulgi. Oto ich scenariusz.

-

Jeszcze nie słyszałem, żeby ktoś mówił tak chłodno o morderstwie! To przecież zbrodnia!

310

-

Proszę posłuchać, poruczniku - odezwał się Stone, odchodząc od okna.

-poprosiliście mnie, przekonaliście, żebym się do was przyłączył, bo potrzeba wam kogoś doświadczonego. Doświadczenie polega na tym, że widzimy swoje porażki i potrafimy się z nimi pogodzić. Ponieśliśmy porażkę. Walka jeszcze się nie skończyła, ale zostaliśmy wyeliminowani na jedną rundę i do myślam się, że to nie koniec.

-

Może... - odezwał się niepewnie kapitan - może powinniśmy iść do Agencji, opisać całą sprawę i to, co zrobiliśmy. Wtedy Converse mógłby wyjść z tego żywy.

-

Przykro mi - odparł były pracownik CIA. - Chcą jego głowy i dostaną ją. Nie zadaliby sobie tyle trudu, gdyby nie byli pewni, że go zabiją. Tak to, niestety, wygląda.

-

W jakim świecie pan żyje? - spytał cicho oficer marynarki, kręcąc głową.

-

W ogóle nie żyję, poruczniku, i dobrze pan o tym wie. Myślę, że właśnie dlatego zwróciliście się do

mnie. Robiłem kiedyś to, co wy i ktokolwiek za wami stoi, tyle że byłem pijany od dwóch lat, a od dziesięciu miałem wszysk kiego po dziurki w nosie. Mówicie, że pójdziecie do firmy? W porządku, zgo da, ale beze mnie. W Langley traktują mnie jak zapowietrzonego.

-

Nie możemy się zwrócić do G-2 ani wywiadu marynarki - stwierdził

oficer wojsk lądowych. - Zgadzaemy się co do tego. Są tam ludzie Delavane'a, wystrzelają nas jak kaczki.

-

Kiedyś nie był pan tego taki pewien, kapitanie.

-

Teraz już jestem -odparł porucznik, kiwając głową w stronę Stone'a. -

Otrzymaliśmy z San Diego raport, że ich prawnik, Remington, zginął w wy padku samochodowym w La Jolla. Rozmawiał z Fitzpatrickiem jako jeden z ostatnich, a przed opuszczeniem bazy pytał innego prawnika o drogę do re stauracji w górach. Nigdy jej nie odwiedzał i nie uważam tego za wypadek.

-

Ani ja - zgodził się cywil. - Ale właśnie na tym powinniśmy się skupić.

-

Co pan ma na myśli? - spytał kapitan.

-

Chodzi mi o Fitzpatricka. SAND PAC nie może go znaleźć, prawda?

-

Jest na urlopie - przerwał oficer marynarki. - Zostało mu jeszcze około dwudziestu dni. Nie musiał podawać trasy podróży.

-

Mimo to szukano go, choć bezskutecznie.

-

Ciągle nie rozumiem - wtrącił kapitan.

-

Poszukajmy go - rzekł Stone. - Poprzez San Diego, nie Waszyngton.

Znajdźmy powód, by naprawdę musiał wrócić do bazy. Jakiś tajny alarm w SAND PAC, który nie powinien nikogo obchodzić.

-

Nienawidzę się powtarzać, ale od czego zaczniemy? - spytał kapitan. -

Od kogo?

-

Od jednego z pańskich kolegów, kapitanie. Jest teraz bardzo ważną osobistością. To charge d'affaires w Mehlemer.

-

W czym?

311

- W ambasadzie amerykańskiej w Bonn. To jeden z nich. Skłamał, gdy było to im potrzebne - rzekł Stone. - Nazywa się Washburn. Major Norman Anthony Washburn.

Poczta znajdowała się w holu wielkiego gmachu biurowego. Było to duże kwadratowe pomieszczenie z pięcioma szklanymi kabinami telefonicznymi przylegającymi do ścian oraz wysokim kontuarem w środku, za którym siedziały cztery telefonistki najwyraźniej znające po kilka języków. Po obydwu stronach wejścia stały półki z książkami telefonicznymi większych miast europejskich, a na pulpitych u góry znajdowały się notesy i długopisy dla wygody klientów chcących zapisać numer.

Procedura była typowa: dzwoniący podawał telefonistce numer i formę zapłaty -

gotówką, kartą kredytową lub na koszt rozmówcy - po czym wyznaczano mu kabinę.

Kolejek nie było i większość kabin stała pusta. Joel znalazł w paryskiej książce telefonicznej numer kancelarii Mattilona. Zapisał go, zaniósł telefonistce i stwierdził, że zapłaci gotówką. Kazano mu iść do kabiny numer siedem i czekać na telefon. Wszedł do niej prędko, nasuwając na oczy miękkie płócienne rondo kapelusza. Każde pomieszczenie, nawet kabina w toalecie czy szklana budka telefoniczna, wydawało się lepsze niż otwarta przestrzeń. Joel słyszał bicie swojego serca; gdy zabrzmiał dzwonek telefonu, miał wrażenie, że wyrwie mu się z piersi.

-

Saint Pierre, Nelli et Mattilon - odezwał się w Paryżu kobiecy głos.

-

Monsieur Mattilon, s 'ii vous plait.

-

Votre...?- Kobieta umilkła, niewątpliwie domyśliwszy się po koszmar nym akcencie, że to Amerykanin usiłujący mówić po francusku. - Kogo mam zaanonsować?

-

Przyjaciela z Nowego Jorku. Domyśli się. Jestem jego klientem.

Renę domyślił się. Po kilku pstryknięciach w słuchawce rozległ się jego zatroskany głos.

-

Joel?- wyszeptał. -Nie wierzę...!

-

Nie wierz - odparł Converse. - Wszystko, co piszą o Genewie i Bonn, to nieprawda. Nawet ty nie powiedziałaś prawdy. Nie miałem nic wspólnego z tymi zabójstwami, a w Paryżu zdarzył się wypadek. Miałem podstawy do przypuszczeń, że ten człowiek sięga po broń.

-

Dlaczego stamtąd odszedłeś, przyjacielu?

-

Bo chcieli mnie zatrzymać. Nie mogłem tego tolerować. Pozwól sobie wytłumaczyć... W Jerzym V zadawałeś mi pytania, a ja udzielałem wykręt nych odpowiedzi. Zdaje mi się, że mnie przejrzałeś, lecz łaskawie nie dałeś niczego po sobie poznać. Postąpiłeś słusznie, daję ci słowo, słowo normalnego człowieka. Wieczorem odwiedził mnie w hotelu Bertholdier. Zaczęliśmy rozmawiać i wpadł w panikę. Sześć dni temu widziałem się z nim w Bonn, tym razem w zupełnie innych okolicznościach. Kazano mu spotkać się ze mną wraz z trzema innymi wpływowymi ludźmi, dwoma generałami i jednym byłym feld -

marszałkiem. To spisak, Renę, międzynarodowy spisak, który może się udać! Bo pozostaje w tajemnicy i błyskawicznie się rozszerza. Werbują wyższych oficerów we wszystkich

kręgach wojskowych w całej Europie, krajach basenu Morza Śródziemnego, Kanadzie i Stanach. Nie sposób ustalić, kto się do nich przyłączył, a nie mamy czasu, by pozwolić sobie na błąd. Dysponują milionami dolarów i magazynami pełnymi broni, którą wyślą swoim ludziom w stosownej chwili.

- Chwili? - przerwał Mattilon. - Jakiej chwili?

-

Proszę, pozwól mi skończyć! - ciągnął prędko Joel. - Dostarczają broń i materiały wybuchowe maniakom we wszystkich regionach świata, terrorystom, szaleńcom, w jednym jedynym celu: żeby doprowadzić do krwawych rozruchów i destabilizacji. Da im to pretekst do użycia siły. Parę dni temu wywołali zamieszki w Irlandii Północnej...

-

To szaleństwo w Ulsterze...? - znów przerwał Francuz. - Te potworno ści...

-

To ich robota! Próba generalna. Przemycili ze Stanów do Irlandii wielki transport broni, żeby sprawdzić swoją teorię! Ale Irlandia to tylko manewry na małą skalę! Za kilka dni, co najwyżej tygodni, dojdzie do wielkiego wybuchu.

Muszę dotrzeć do ludzi, którzy potrafią ich powstrzymać, a nie zrobię tego, jeśli mnie zabiją! - Converse umilkł, by nabrać tchu, lecz nie pozwolił Mattilonowi zabrać głosu. - Właśnie tych generałów tropiłem, Renę, tropiłem zgodnie z prawem, by przygotować przeciwko nim kilka oskarżeń, zdemaskować ich przed sądem, nim staną się naprawdę silni. Wreszcie zorientowałem się, że już są silni. Spóźniłem się.

-

Ale dlaczego właśnie ty?

-

Zaczął się w Genewie od Hallidaya, człowieka, którego zastrzelono.

Zabili go ich ludzie, lecz zdążył mnie przedtem zwerbować. Pytałeś o Gene węgę, a ja cię okłamałem, ale teraz mówię prawdę... Albo mi pomożesz, albo nie... Nie ze względu na mnie, ja się nie liczę, ale dla dobra całego świata.

Wplątano mnie w to, teraz o tym wiem. Widziałem ich, rozmawiałem z nimi, są tacy cholernie logiczni, tacy kurewsko przekonujący. Narzucają Europie fałszywym. Stworzą wojskową federację państw pod auspicjami Ameryki. Bo wszystko zaczęło się w Stanach, w San Francisco, od człowieka

nazwiskiem Delavane.

-

Od głównodowodzącego Sajgonu? Zwariowanego Marcusa?!

-

Żyje i dobrze się miewa. Mieszka w Pało Alto, kierując z daleka całą operacją. Działa na nich niczym magnes. Zlatują się do niego jak muchy do gówna.

-

Czy... czy dobrze się czujesz, Joel?

-

Postawmy sprawę w ten sposób, Renę. Zdjąłem nędzny zegarek z ręki Paranoika, który mnie pilnował, choć był dla mnie miły. Jest w nim sekundnik.

DaJę ci trzydzieści sekund na przemyślenie tego, co powiedziałem, a później odłożę słuchawkę. Masz jeszcze dwadzieścia dziewięć sekund, przyjacielu.

Mattilon odezwał się po upływie dziesięciu.

313

-

Szaleniec nie wyraża się tak precyzyjnie. Nie posługuje się określenia, mi takimi jak "wojskowa federacja państw", bo nie ma ich w jego słowniku.

Cóż, dobrze, może ja też jestem szalony, ale to, co mówisz... Bóg wie, czasy są sprzyjające, cóż jeszcze mogę powiedzieć? To czyste wariactwo!

-

Muszę wrócić żywy do Stanów, do Waszyngtonu. Znam tam kilku ludzi. Wysłuchają mnie, jeśli zdołam do nich dotrzeć. Pomożesz mi?

-

Mam kontakty na Quai d'Orsay. Pozwól mi z nich skorzystać.

-

Nie! - zaprotestował gwałtownie Converse. - Wiedzą, że jesteśmy przy.

jaciółmi. Jeśli powiesz słowo niewłaściwej osobie, zginiesz. Nie gniewaj się na mnie, ale, co gorsza, możesz ich ostrzec. Nie możemy sobie na to pozwolić.

-

Bardzo dobrze - odparł Mattilon. - W Amsterdamie mieszka pewien człowiek (nie pytaj, skąd go znam), który potrafi coś takiego załatwić. Domy.

ślam się, że nie masz paszportu?

-

Mam, ale nie swój, tylko niemiecki. Zabrałem go strażnikowi, który chciał mi wpakować kulę w łeb.

-

Wobec tego na pewno nie poskarży się policji.

-Nie.

-

Rzeczywiście wróciłeś w przeszłość, prawda przyjacielu?

-

Nie mówmy o tym, dobrze?

-

Bien. Nie zmieniłeś się. Zatrzymaj paszport, przyda ci się.

-

Jak mam się dostać do Amsterdamu?

-

Jesteś w Bonn?

-Tak.

-

Złap pociąg do Emmerich na granicy holenderskiej. W Emmerich prze siądź się do tramwaju albo autobusu. Kontrola paszportowa jest bardzo po bieżna, zwłaszcza w godzinach szczytu, gdy przez granicę przechodzą tam i z powrotem tłumy robotników. Nikt nie sprawdza paszportów, więc po prostu pokaż swój, może częściowo zakrywając fotografię. Dobrze, że jest nie miecki. Nie powinieneś mieć kłopotów.

-

A jeśli będę je miał?

-

Wtedy nie będę mógł ci pomóc, przyjacielu. Jestem z tobą szczery. Później pójdę na Quay d'Orsay.

-

W porządku, przeszedłem przez granicę. Co dalej?

-

Dotrzesz do Arnhem. Stamtąd pojedziesz pociągiem do Amsterdamu.

-

A później?

-

Odszukasz mojego znajomego. Muszę wyjąć jego adres z dolnej szuflady. Masz coś do pisania?

-

Mów dalej - rzekł Converse, sięgając po notes i długopis leżące na pulpicie pod aparatem.

-

Już mam. Thorbecke. Cort Thorbecke. Mieszka w bloku na południowo-zachodnim rogu Utrechtse i Kerk Straats. Telefon zero dwadzieścia, czte rysta jedenaście, trzydzieści. Kiedy zadzwonisz, żeby umówić się na spotka nie, przedstaw się jako krewny Tatiany. Zapisaleś? Tatiany.

-

Rene... - odezwał się Joel pisząc. - Nigdy bym się tego po tobie nie spodziewał. Skąd znasz kogoś takiego?

-

Prosiłem cię, żebyś nie pytał, ale z drugiej strony może chcieć cię wyba dać, więc powinieneś mieć o tym jakieś mętne pojęcie. Wszystko było zawsze mętne. Tatiana to jedna z córek cara, rozstrzelana rzekomo w Jekaterynburgu w 1918 roku. Mówię "rzekomo", bo istnieje również wersja, że Tatianę oraz jej siostrę Anastazję wykradła niania, która przemyciła klejnoty wartę fortunę.

Niania wolała Tatianę i dała jej później wszystko, pozbawiając Anastazję dzie dzictwa. Podobno Tatiana żyła gdzieś anonimowo w wielkim przepychu, a może nawet ciągle żyje, choć nikt nie wie gdzie.

-

To właśnie muszę wiedzieć? - spytał Converse.

-

Nie, to po prostu geneza hasła. Dziś jest to symbol zaufania ze strony najbardziej podejrzliwych ludzi na świecie, którzy nie mogą sobie pozwolić na popełnienie błędu.

-

Kogo, na Boga?!

-

Rosjan, potężnych komisarzy sowieckich, którzy mają słabość na punk cie zachodnich banków i inwestują za granicą moskiewskie pieniądze. Rozu miesz już, dlaczego krąg jest tak mały i należą do niego tylko wybrańcy? Thorbecke współpracuje z nimi, zajmuje się paszportami. Skontaktuję się z nim i

uprzedzę, że może się spodziewać twojego telefonu. Żadnych nazwisk, tylko Tatiana, pamiętaj. Wyekspediuję cię błyskawicznie do Waszyngtonu na pokła dzie samolotu KLM. Będziesz jednak potrzebował pieniędzy, więc musimy się zastanowić, jak mógłbym...

-

Tego na szczęście nie potrzebuję - przerwał Converse. - Marzę tylko o paszporcie i dotarciu na lotnisko Dullesa.

-

Jedź do Amsterdamu. Thorbecke ci pomoże.

-

Dziękuję, Renę. Liczyłem na ciebie i nie zawiodłem się. Wiele to dla mnie znaczy. Ratujesz mi życie.

-

Jeszcze nie jesteś w Waszyngtonie, przyjacielu. Ale zadzwoń do mnie, gdy się tam znajdziesz, niezależnie od pory.

-

Zrobię to. Jeszcze raz dzięki.

Joel odwiesił słuchawkę, schował notes i długopis do kieszeni, wyszedł

kabiny i stanął przy okienku. Poprosił o rachunek, a kiedy anglojęzyczna telefonistka obliczała należność, przypomniał sobie drugą pozycję swojej li sty-Dyplomatkę z zestawem dossier oraz listą wyższych urzędników Pentagonu i Departamentu Stanu. Das Rektorat. Czy wskutek niezwykłego przeoczenia ze strony Leifhelma Connal zdołał gdzieś ją ukryć? Czy znalazła ją Pokojówka z pensjonatu?

-

Na przedmieściach Bonn znajduje się hotelik o nazwie Das Rektorat -

odezwał się do telefonistki. - Nie znam adresu, ale chciałbym zadzwonić do dyrektora. Podobno mówi po angielsku.

-

Tak, proszę pana. Das Rektorat to znakomity pensjonat, jeśli oczywiście mają wolne miejsca.

315

-

Nie chodzi mi o rezerwację. W zeszłym tygodniu zatrzymał się tam mój przyjaciel i mógł zostawić w swoim pokoju cenny przedmiot. Dzwonił do mnie i prosił, żebym spytał o to dyrektora. Czy nie zatelefonowałyby pani w moim imieniu i poprosiła go do aparatu, gdy znajdę numer? Nie mówię niestety po niemiecku i pewnie połączyłbym się z szefem kuchni.

-

Oczywiście, proszę pana - odparła kobieta z uśmiechem. - Najprościej będzie, jeśli ja odszukam numer. Proszę wrócić do kabiny numer siedem i cze kać na brzeczyk. Później ureguluje pan należność za obydwie rozmowy.

Znalazłszy się w szklanej kabinie, Joel zapalił papierosa, zastanawiając się, co powiedzieć. Ledwo zdążył sformułować swoje myśli, gdy rozległ się dzwonek telefonu.

-

Połączyłam pana z dyrektorem pensjonatu Das Rektorat - odezwała się telefonistka. - Rzeczywiście zna angielski.

-

Dziękuję pani. - Telefonistka wyłączyła się. - Halo?

-

Tak, słucham. Czym mogę służyć?

-

Dzień dobry. Jestem Amerykaninem, przyjacielem komandora Connala Fitzpatricka, szefa biura prawnego bazy marynarki wojennej w San Diego w Kalifornii. Rozumiem, że zatrzymał się w zeszłym tygodniu w pańskim pensjonacie?

-

Owszem, proszę pana. Było nam niezmiernie przykro, że nie możemy gościć go dłużej, ale mieliśmy wcześniejszą rezerwację.

-

Doprawdy? Wyprowadził się niespodziewanie?

-

Tak bym tego nie ujął. Rozmawiałem z nim z samego rana i wydawał się pojmować naszą sytuację. Osobiście zamówiłem mu taksówkę.

-

Odjechał sam?

-

Tak, proszę pana.

-

Rozumiem. Wobec tego gdyby zechciał mi pan powiedzieć, do którego hotelu się przeniósł, mógłbym też w nim sprawdzić.

-

Sprawdzić, proszę pana?

-

Komandor zgubił teczkę, skórzaną dyplomatkę z zamkami szyfrowymi.

Zawartość nie przedstawia większej wartości, ale bardzo chciałby odnaleźć samą teczkę. To, zdaje się, prezent od żony. Czy natknęli się państwo na nią?

-

Niestety nie, mein Herr.

-

Jest pan pewien? Komandor ma zwyczaj chowania swoich dokumen tów prawniczych w dziwnych miejscach, na przykład pod łóżkiem albo z tyłu szafy.

-

Niczego u nas nie zostawił, proszę pana. Nasz personel dokładnie prze szukał i posprzątał pokój.

-

Może miał gościa, który zabrał teczkę przez pomyłkę?

Converse zdawał sobie sprawę, że zaczyna nalegać, ale nie widział powo -du, by tego nie robić.

-

Nikt go nie odwiedzał... - Niemiec umilkł. - Chwileczkę, zaczynam coś sobie przypominać.

316

-Tak?

-

Mówi pan, że to dyplomatka?

-

Tak!

-

Miał ją przy sobie. Niósł ją w ręku, gdy się wyprowadzał.

-

Ach, tak... - Joel starał się czym prędzej przyjść do siebie. - Wobec tego czy mógłby podać mi pan adres hotelu, do którego się przeprowadził?

-

Przykro mi, proszę pana, nie zostawił go.

-

Ktoś musiał zarezerwować mu pokój! W Bonn trudno o kwatery!

-

Sam mu to proponowałem, mein Herr, ale odrzucił moją ofertę, zresztą nieco niegrzecznie.

-

Przepraszam. - Joel był zły, że stracił panowanie nad sobą. - Miał przy sobie ważne dokumenty prawnicze. Więc nie wie pan, dokąd się udał?

-Ależ wiem, jeśli ktoś lubi żarty. Spytałem o to. Powiedział, że jedzie na dworzec kolejowy, Bahnhof. Gdyby ktoś o niego pytał, śpi w skrytce na bagaż.

Obawiam się, że to także miało zabrzmieć nieuprzejmie.

Dworzec kolejowy?! Skrytka na bagaż?! Była to wiadomość! Fitzpatrick informował

Joela, gdzie szukać! Converse odłożył bez słowa słuchawkę, wyszedł z kabiny i skierował się do okienka. Zapłacił za obydwie rozmowy i podziękował

telefonistce; chętnie wręczyłby jej napiwek, lecz wiedział, że zwróciłby tylko na siebie uwagę.

-

Była pani bardzo uprzejma. Czy mógłbym prosić o ostatnią przysługę?

-Tak?

-

Gdzie jest dworzec kolejowy?

-

Na pewno go pan nie przeoczy. Proszę wyjść na ulicę, skręcić w lewo, przejść cztery przecznice, znów skręcić w lewo i przejść jeszcze dwie. To je den z mniej szykownych gmachów Bonn.

-

Serdecznie pani dziękuję.

Joel pośpieszył chodnikiem, nieustannie upominając się w duchu, by nie iść za prędko. Wszystko, wszystko zależało w tej chwili od opanowania! Każdy krok powinien być normalny, nawet niedbały,

by nikt nie zwrócił na niego uwagi. To kolejny szczęśliwy znak! Zaczynał w nie wierzyć! Mattilon kazał mu złapać pociąg, a Fitzpatrick skierował go na dworzec kolejowy. Skrytka na bagaż!

Przeszedł przez wielkie otwarte drzwi wejściowe i skręcił w lewo ku rzędom skrytek, gdzie zostawił dyplomatkę, nim udał się do Alter Zoil na spotkanie z rzekomym Averym Fowlerem. Dotarł do skrytki. Była pusta, a w zamku tkwił klucz.

Rozejrzał się po skrytkach wokół niej, nie wiedząc dokładnie, czego szuka.

Znalazł! Dwa rzędy u góry po lewej stronie! Inicjały były niewielkie, lecz wyraźne, wydrapane w metalu mocną, pewną ręką. C.F. - Connal Fitzpatrick!

Komandor Fitzpatrick zdołał ukryć niebezpieczne dokumenty w miejscu, które znali tylko oni obaj! Converse poczuł nagle mdłości. Jak dostać się do środka?

Rozejrzał się po stacji, wpatrując się w tłumy podróżnych. Olbrzymi 317

zegar wskazywał drugą trzydzieści. Za dwie i pół godziny zakończy się dzień pracy, a tłumy przeredzą się. Mattilon kazał mu dotrzeć do Emmerich w godzinie szczytu, kiedy granicę przekraczają w obydwie strony robotnicy; jazda do Emmerich trwała prawie dwie godziny. Miał niespełna trzydzieści minut na dostanie się do skrytki.

Na krańcu olbrzymiej hali dworcowej znajdowała się informacja. Joel ruszył w jej stronę, gorączkowo układając w myśli zdania, które mogły pozwolić zdobyć klucz.

Dodawał mu otuchy szorstki i ciężki pas na pieniądze wokół talii.

-

Bardzo pana przepraszam - odezwał się do urzędnika. Rogowe okulary wisiały mu na czubku nosa, a płócienny kapelusz zsunął się na czoło. Trafił do mówiącego po angielsku pracownika działu informacji, mężczyzny w średnim wieku z wychudłą twarzą i znudzoną, zirytowaną miną. - Zgubiłem klucz do skrytki, gdzie trzymam bagaż, i śpieszę się na pociąg do Emmerich. Nawiasem mówiąc, kiedy odchodzi następny?

-

Ach, zawsze to samo - odparł urzędnik o szurzej twarzy, wertując rozkład jazdy. - Same kłopoty z tymi turystami. Ciągłe tylko coś gubią i każą sobie pomagać! Ostatni pociąg do Emmerich odszedł dwadzieścia siedem minut temu. Następny będzie za dziewiętnaście minut, a później jest godzinna przerwa.

-

Dziękuję panu. Muszę koniecznie go złapać. A co ze skrytką? - Joel wyjął pod kontuarem banknot stumarkowy i uniósł go powoli nad krawędź. -

Czy mógłbym uścisnąć panu dłoń na znak wdzięczności za udzielenie mi po mocy?

-

Naturalnie! - zawołał cicho urzędnik, rozejrzał się ukradkiem w obie strony i chwycił rękę Converse'a, biorąc pieniądze. Podniósł słuchawkę tele fonu stojącego z boku, wykręcił numer i zawołał ostro: - Schnell! Wir miissen ein Schliessfach óffhen. Standort zehn Auskunft! - Rzucił słuchawkę na wideł

ki i spojrzał na Joela z uśmiechem zastygłym na wąskich wargach. - Zaraz przyjdzie człowiek, który panu pomoże, mein Herr. Zawsze chętnie służymy pomocą klientom, zwłaszcza roztargnionym gościom z Ameryki!

Nadszedł gruby kolejarz w mundurze, o mętnych oczach i niezbyt urzędowym wyglądzie.

-

Was ist los?

Urzędnik wyjaśnił sprawę po niemiecku i znów popatrzył na Converse'a.

-

Mówi trochę po angielsku, oczywiście nie najlepiej, lecz wystarczająco'

Pomoże panu.

-

Złatwimy wszystko zgodnie z przepisami - rzekł funkcjonariusz nad zorujący klucze do skrytek. - Chodźmy, niech pan mi pokaże.

-

Najlepsze życzenia urodzinowe! - odezwał się Joel do pracownika działu informacji.

-

Nie mam dziś urodzin, mein Herr.

-

Skąd pan może wiedzieć? - spytał z uśmiechem Converse, ujmując gru'

begu kolejarza za ramię.

- Załatwimy wszystko zgodnie z procedurą - oznajmił miłośnik przepisów, otwierając skrytkę kluczem matką. - Pójdziemy do biura i spisujemy protokół.

Teczka była w środku! Leżała na boku, najwyraźniej nietknięta. Joel sięgnął do kieszeni po pieniądze.

-

Bardzo się śpieszę - rzekł, wyciągając pierwszą stumarkówkę, a póź

niej, Po chwili wahania, drugą. - Za parę minut mam pociąg. - Uścisnął rękę Niemca, wsuwając mu pieniądze, i spytał cicho, choć z nadzieją w oczach: -

Nie mógłby pan powiedzieć, że to pomyłka?

-

Oczywiście, że pomyłka! - odparł entuzjastycznie kolejarz. - Musi pan złapać pociąg!

-

Dziękuję. Miły z pana człowiek. Najlepsze życzenia z okazji urodzin!

-

Was?

-

Nieważne. Jeszcze raz dziękuję.

Joel rozejrzał się ukradkiem dokoła, łudząc się, że nikt go nie obserwuje, po czym podszedł do wolnej drewnianej ławki pod ścianą, usiadł i otworzył

dyplomatkę. Niczego nie brakowało. Jednakże nie mógł nosić teczki przy sobie.

Znów rozejrzał się po stacji, wiedząc, czego szuka; wreszcie znalazł. Zauważył

sklepek samoobsługowy sprzedający prasę i inne artykuły. Powinny tam być koperty. Zamknął teczkę, wstał i skierował się w stronę kiosku w nadziei, że porozumie się ze sprzedawcą.

-

Prawie wszyscy mówimy po angielsku - stwierdziła matrona stojąca za kontuarem. - To konieczne, zwłaszcza w lecie. Czym mogę panu służyć?

Converse kupił dużą, grubą kopertę i rolkę taśmy klejącej.

-

Muszę wysłać do Stanów sprawozdanie handlowe - powiedział - ale mój pociąg odchodzi za parę minut i nie mam czasu na szukanie poczty.

-

Na dworcu jest kilka skrzynek pocztowych, mein Herr.

-

Potrzebuję znaczków. Nie wiem, za ile - rzekł bezradnie Joel.

-

Jeśli włoży pan list do koperty, zaklei ją i zaadresuje, zważę ją i podam panu cenę znaczków. Sprzedajemy je tutaj, choć są droższe niż na poczcie.

-

To nieważne. Chciałbym go nadać pocztą lotniczą, raczej drożej niż taniej.

Po pięciu minutach Converse wręczył uprzejmej sprzedawczyni solidnie oklejony pakunek, by go zważyła. Wcześniej napisał kilka słów na wierzchu Pierwszego dossier i zaadresował wyraźnie kopertę. Kobieta przyniosła potrzebne znaczki.

Joel zapłacił i położył kopertę na ladzie.

- Dziękuję - powiedział, spojrzawszy na zegarek, po czym zaczął szaleńczo liżać znaczki i przylepiać je.

- Nie wie pani przypadkiem, gdzie mógłbym kupić bilet do Emmerich albo Arnhem?

- Emmerich to deutsch, Arnhem hollandisch. W każdej kasie, proszę pana.

- Chyba nie zdążę - rzekł Joel, przylepiając ostatnie trzy znaczki. - Czy mogę kupić bilet w pociągu?

- Nie zatrzymają go, jeśli będzie pan mieć pieniądze.

-

Nareszcie! - Joel skończył. - Gdzie jest najbliższa skrzynka pocztowa?

-

Po drugiej stronie dworca, mein Herr.

Joel znów spojrzał na zegarek i wybiegł z walącym sercem do hali dworcowej, po czym natychmiast wziął się w karby, szukając w tłumie ludzi, którzy mogli go śledzić. Miał niespełna osiem minut, by wrzucić kopertę do skrzynki, kupić bilet i znaleźć pociąg. W ostateczności mógł zrezygnować z kupienia biletu. Ale gdyby zrobił to w pociągu, musiałby nawiązać rozmowę z konduktorem, a może nawet szukać tłumacza, co mogło mieć przerażające konsekwencje.

Kiedy rozglądał się gorączkowo za skrzynką, powtarzał w duchu słowa nagryzmołone na okładce pierwszego dossier: "Nie mów nikomu (powtarzani' NIKOMU), że to dostałaś. Jeśli nie skontaktuję się z tobą w ciągu pięciu dni, prześlij to Nathanowi S. Zadzwoń do niego, jeśli będę mógł. Twój kochający były mąż".

Spojrzał na nazwisko i adres wypisane na kopercie i poczuł mdlący niepokój.

Valerie Charpentier

R.F.D. 16

Dunes Ridge

Cape Ann, Massachusetts

USA

W trzy minuty później znalazł skrzynkę, wrzucił do niej kopertę i poruszył

kilkakrotnie klapką, by się upewnić, że list wpadł do środka. Rozejrzał się po hali, szukając znaków informacyjnych, przerażony niemieckimi napisami i zniechęcony kolejkami przed kasami. Czuł się bezradny. Chętnie spytałby o drogę, lecz bał się to zrobić, by nie przyjrzano się jego twarzy.

Daleko po przeciwnej stronie hali znajdowało się okienko. Kolejkę opuściły dwie pary; czworo ludzi, którzy zmienili nagle plany. Została tylko jedna osoba.

Converse pośpieszył przez tłum, znów usiłując nie rzucać się w oczy, ograniczyć do minimum swoje ruchy, wręcz ślizgać się po posadzce.

-

Proszę bilet do Emmerich - odezwał się do kasjera, gdy samotny klient odszedł wreszcie od okienka.

Urzędnik odwrócił się na moment i spojrzał na zegar na ścianie. Odezwał się szybko i chrapliwie po niemiecku.

-

Verstehen Sie? - spytał.

-

Nein! - Converse położył na ladzie trzy banknoty stumarkowe, kręcąc głową i wzruszając ramionami.
- Proszę o bilet! Wiem, że zostaje tylko kilka minut!

Kasjer wziął dwa banknoty i odsunął trzeci. Odliczył resztę, nacisnął kil'ka klawiszy i wręczył Joelowi bilet, który wyleciał z drukarki.

-

Danke! Zwei Minuten!

-

Peron, który peron? Gdzie, rozumie pan?

320

-Wo?

-

Tak, tak! Gdzie?

-Acht.

- Słucham?

Converse uniósł prawą dłoń, wystawiając po kolei palce, jakby liczył, a kasjer pokazał pięć palców prawej ręki i trzy lewej.

-Acht-powtórzył, wskazując przeciwległy kraniec dworca po lewej stronie Joela.

-Osiem! Dziękuję!

Converse chwycił dyplomatkę i pośpieszył w tym kierunku, znów starając się nie biec. Ujrzał przez tłum wyjście na peron. Konduktor coś ogłosił, spoglądając na zegarek, i zniknął w łukowatym przejściu.

Z Joelem zderzyła się kobieta z kilkoma torbami, uderzając go w lewe ramię, aż pakunki wyleciały jej z rąk i upadły na ziemię. Joel usiłował przeproszać, lecz kobieta obrzuciła go głośnymi wyzwiskami, aż zaczęli się zatrzymywać podróżni.

Podniósł kilka siatek, a szczekliwy głos kobiety osiągnął apogeum.

-

Nie, to nie, paniusiu - wymamrotał, upuszczając pakunki. Odwrócił się na pięcie i popędził ku zamykanej właśnie bramce. Konduktor zauważył go i uchylił ją ponownie.

Zajął miejsce w pociągu, z miękkim kapeluszem nasuniętym na oczy, dysząc ciężko i starając się nie pokazywać tego po sobie. Czuł ostry ból w lewym ramieniu i przyszło mu do głowy, że rozkrwawił sobie ranę podczas zderzenia z kobietą.

Pomacał pod marynarką ramię koło kolby pistoletu zabranego szoferowi Leifhelma.

Nie wyczuł krwi i na chwilę zamknął z ulgą oczy.

Nie zauważył wpatrującego się weń człowieka po drugiej stronie wagonu.

Paryż. Sekretarka siedziała przy biurku, trzymając przy uchu słuchawkę telefonu.

Mówiła półgłosem, a na dodatek zasłaniała dłonią mikrofon.

-

To wszystko - rzekła cicho. - Zapisaleś?

-

Tak - odparł męski głos w słuchawce. - To nadzwyczajne.

-

Dlaczego? Pracuję tu, bo spodziewaliśmy się czegoś w tym rodzaju.

-Naturalnie! To raczej ty jesteś nadzwyczajna.

-

Nie przeczę. Czekam na twoje instrukcje.

-

Obawiam się, że trzeba zakończyć sprawę.

-

Tak myślałam. Nie masz wyboru.

-A ty?

-

Załatwione. Spotkamy się u Tailleventa. O ósmej?

-

Włóż czarną koszulkę. Uwielbiam to.

-

Wielki ogier już się szykuje.

-

Tak jak zawsze, kochanie. O ósmej.

321

Sekretarka odłożyła słuchawkę, wstała z krzesła i poprawiła sukienkę. Wysunęła szufladę, wyjęła torbę na długim pasku i zarzuciła ją sobie na ramię, otwierając zamek. Podeszła do zamkniętych drzwi gabinetu swojego pracodawcy i zapukała.

-

Kto tam? - spytał zza drzwi Mattilon.

-

To ja, Suzanne, monsieur.

-

Proszę, proszę wejść! - odparł René, odchylając się do tyłu i spoglądając na wchodzącą sekretarkę.
- Mój ostatni list to istna czarna magia, prawda?

-

Bynajmniej, monsieur. Po prostu... cóż, nie jestem pewna, czy mi wy pada...

-

Nie wypada? Nawet jeśli, w moim wieku uznam to za tak wielki komplement, że prawdopodobnie opowiem wszystko żonie.

-

Doprawdy, monsieur.

-

Jak długo pani tu pracuje, tydzień, dziesięć dni, Suzanne? Mam wrażenie, że kilka miesięcy.
Wypełnia pani obowiązki nienagannie i świetnie pisze na maszynie.

-

Pańska stała sekretarka to moja bliska przyjaciółka, monsieur. Nie mogę pracować gorzej od niej.

-

Cóż, jestem pani głęboko wdzięczny. Miejmy nadzieję, że z tego wyjdzie. Młodzi ludzie jeżdżą dziś tak szybko i niebezpiecznie... Przepraszam.

O co chodzi, Suzanne?

-Nie jadłam lunchu, proszę pana. Zastanawiam się...

-

Boże, zapomniałem na śmierć! Tak to jest, gdy ma się dwóch wspólników, którzy traktują lato poważnie i jadą w sierpniu na urlop! Proszę iść na tychmiast na lunch i koniecznie przynieść rachunek, bym go pokrył.

-

To niepotrzebne, ale dziękuję za propozycję.

-

To nie propozycja, Suzanne, tylko polecenie służbowe. Proszę uraczyć się winem, a potem narobimy razem bałaganu w sprawach moich wspólników.

Niech pani już idzie.

-

Dziękuję, monsieur.

Suzanne odwróciła się w stronę drzwi, uchyliła je nieco i zastygła w bezruchu.

Zerknęła przez ramię na Mattilona, pogrążonego w lekturze. Zamknęła cicho drzwi, włożyła rękę do torby i wyjęła duży pistolet z dziurkowanym tłumikiem przykręconym do lufy. Odwróciła się powoli i ruszyła w stronę biurka.

Adwokat uniósł wzrok.

-Co pani?!...

Suzanne strzeliła prędko cztery razy. René Mattilon opadł na fotel trafiony między prawym okiem a lewą skronią. Po twarzy ciekła mu krew, kapiąc na białą koszulę.

322

Rozdział 22

Gdzie, na Boga, byłeś?! - zawołała Valerie do telefonu. - Próbuję się do ciebie dodzwonić od samego rana!

-

Z samego rana, gdy przyszła wiadomość, musiałem złapać pierwszy samolot do Waszyngtonu - odparł Lawrence Talbot.

-

Nie wierzysz w to wszystko, prawda? To niemożliwe!

-

Wierzę i co gorsza, czuję się odpowiedzialny. Mam wrażenie, jakbym niechcący nacisnął spust, i w pewnym sensie to prawda.

-

Do diabła, Larry, wytłumacz, o co ci chodzi!

-

Joel zadzwonił do mnie z hotelu w Bonn, choć nie wiedział, z którego.

Bredził, Val. W jednej chwili mówił spokojnie, później zaczynał krzyczeć, a wreszcie przyznał, że jest oszołomiony i przerażony. Opowiadał bez ładu i składu

jakieś niewiarygodne historie. Podobno uwięziono go w kamiennym domu w lesie, później uciekł, płynął rzeką, wymknął się strażnikom i zabił człowieka, którego nazwał zwiadowcą. Krzyczał, że musi uciekać, że szukają go w lesie, wzdłuż rzeki... Przestał być sobą. Przeżywa z powrotem okres niewoli. Wszystko, co mówi, co opisuje, to wariacje na temat tamtych przeżyć: rozpaczliwej ucieczki przez dżunglę i z biegiem rzeki, by uratować własne życie. Jest chory, moja droga. A dzisiejszego ranka dowiedział tego w straszliwy sposób.

Valerie poczuła ściskanie w gardle, nagłą, okropną pustkę w krtani. Nie była w stanie myśleć, mogła tylko reagować na słowa.

-

Dlaczego czujesz się odpowiedzialny, jakbyś sam nacisnął spust?

-

Kazałem mu iść do Peregrine'a. Przekonywałem go, że ambasador go wysłucha, że jest inny, niż Joel sobie wyobraża.

-

Niż sobie wyobraża? Co właściwie mówił?

-Nic sensownego. Bredził o jakichś generałach i feldmarszałkach, a później wygłosił mętłą teorię historyczną, że wojskowi różnych armii stworzyli organizację, by przejąć władzę nad światem. Mówił od rzeczy. Udawał rozsądnego, a kiedy kwestionowałem jakieś jego twierdzenie, krzyczał, że to nieważne, że nie słucham albo że jestem za tępy, by go zrozumieć. W końcu jednak przyznał, że jest

oszołomiony, przerażony i straszliwie potrzebuje snu. Właśnie wówczas usiłowałem go namówić do pójścia do Peregrine'a, ale mu nie ufał. Czuł do niego wrogość, bo rzekomo widział samochód byłego niemieckiego generała przejeżdżający przez bramę ambasady, a jak może słyszałaś, Peregrine był wybitnym dowódcą w czasie drugiej wojny światowej. Wyjaśniłem mu cierpliwie, że ambasador nie jest jednym z "nich", że nie sympatyzuje z wojskiem... Chyba go nie przekonałem.

Skontaktowałem się z Peregrine'em, umówił się na spotkanie i zabił go. Nie miałem pojęcia, że jest kompletnie szalony.

-

Larry - odezwała się powoli Valerie słabym głosem. - Słucham twoich słów, ale nie wyczuwam w nich prawdy. Nie chodzi o to, że ci nie wierzę (Joel 323

nazwał cię raz człowiekiem żenująco uczciwym), lecz czegoś tu brakuje. Converse, którego znam, z którym żyłam przez cztery lata, nigdy nie nagiął faktów do wyznawanych przez siebie teorii. Nie robił tego nawet w złości. Powtarzałam mu, że byłby nędznym malarzem, bo nie potrafi dostosowywać formy do idei. To nie w jego stylu i nawet mi to wyjaśnił. Mawiał, że jeśli przy prędkości ośmiuset kilometrów na godzinę wsiądą instrumenty pokładowe, nie można sobie pozwolić na wzięcie cienia na oceanie za lotniskowiec.

-

Twierdzisz, że nigdy nie kłamie?

-

Na pewno mu się to zdarza, ale nie w sprawach ważnych. To nie w jego stylu.

-

Tak było przed chorobą, gwałtowną chorobą... Przyznał, że zabił czło wieka w Paryżu.

Valerie wstrzymała oddech. -Nie!

-

Niestety, tak. Podobnie jak zabił Waltera Peregrine'a.

-Z powodu jakiejś mętnej teorii historycznej? Coś tu się nie zgadza, Larry!

-

Wyjaśniło to dwóch psychiatrów z Departamentu Stanu, ale chyba coś bym przekręcił, gdybym próbował powtarzać ich słowa. Zdaje się, że wspominali o regresji.

-

Nonsens!

-

Ale możesz mieć rację co do jednego: Genewy. Powiedziałaś, że ma to coś wspólnego z Genewą, pamiętasz?

-

Tak. I co z Genewą?

-

Właśnie tam się zaczęło, potwierdzają to wszyscy eksperci z Waszyng tonu. Nie wiem, czy czytałaś gazety...

-

Tylko „The Globe”, mam prenumeratę. Wolałam nie odchodzić od tele fonu.

-

Chodziło o syna, a raczej pasierba Jacka Hallidaya. Właśnie jego za strzelono w Genewie. Zdaje się, że w latach sześćdziesiątych był znanym przy wódcą ruchu pacyfistycznego. Podczas rokowań w sprawie fuzji reprezentował przeciwną stronę. Ustalono, że przed konferencją zjadł z Converse' em śniadanie. Istnieje przypuszczenie, że usiłował wytrącić Joela z równowagi, i można przyjąć, że postępował brutalnie, bo był znany ze stosowania takich metod.

-

Czemu miałyby to robić? - spytała roztrzęsiona Val, znów natężając uwagę.

-

Aby odebrać Joelowi jasność umysłu. Pamiętaj, w grę wchodziły miliony dolarów, a prawnik, który osiągnąłby sukces, miałby z tego spore korzyści, bo na Wall Street ustawiłaby się do niego długa kolejka klientów. Są nawet dwie poszlaki, że Hallidayowi się powiodło.

-

Jakie poszlaki?

-

Pierwsza ma charakter tak techniczny, że nie będę jej wyjaśniać, powiem tylko, że uzgodniony

walnym zgromadzeniu mógłby w pewnych szczególnych okolicznościach dać klientom Hallidaya większy wpływ na zarządzanie, niż pierwotnie zakładano, Joel zgodził

się na ów transfer; myślę, że normalnie by tego nie zrobił.

-

Normalnie? A druga poszlaka?

-

Samo zachowanie Joela podczas konferencji. Wedle świadków (a prze słuchano wszystkich obecnych na sali) zachowywał się dziwnie, był roztarg niony, nieobecny duchem, niektórzy twierdzą, że podniecony. Kilku prawni ków reprezentujących obie firmy podkreślało, że trzymał się z boku, stał przez większość czasu pod oknem i wyglądał przez nie, jakby na coś czekał. Jego dekoncentracja powodowała, że musiano powtarzać skierowane doń pytania, których najczęściej nie rozumiał. Był nieobecny, zaprzątnięty własnymi my śłami.

-

Co sugerujesz, Larry?! - zawołała Valerie. - Chcesz powiedzieć, że Joel miał coś wspólnego ze śmiercią Hallidaya?!

-

Nie można tego wykluczyć - odparł smutno Talbot. - Ani z psycholo gicznego punktu widzenia, ani w świetle tego, co wydarzyło się w przedsi on ku, gdzie zmarł Halliday.

-

Co się wydarzyło? - wyszeptała Valerie. - Gazety pisały, że skonał Joelowi na rękach.

-

To, niestety, nie wszystko, moja droga. Czytałem zeznania świadków.

Wedle sekretarki i dwóch innych prawników tuż przed śmiercią Hallidaya do szło między nimi do gwałtownej wymiany zdań. Nie wiadomo, co powiedzia no, ale wszyscy zgadzają się, że widać było wzajemną wrogość. Halliday chywy cił Joela za klapy marynarki, jakby go o coś oskarżał. Joel, przesłuchiwany później przez policję genewską, stwierdził, że nie było żadnej rozmowy, tylko histeryczne krzyki konającego człowieka. Raport policyjny dodaje, że udzie lał zeznań bardzo niechętnie.

-

Boże, przecież musiał być w szoku! Wiesz, przez co przeszedł. Na pewno doznał wstrząsu na widok konającego człowieka!

-

Przyznaję, to interpretacje dopasowane do późniejszych wydarzeń, ale należy wziąć pod uwagę wszystko, zwłaszcza zachowanie Joela.

-

Co sądzą w tej chwili ci twoi eksperci? Jak brzmi aktualna teoria? Że Joel wyszedł na ulicę, upatrzył sobie kogoś i wynajął go do zabicia człowieka?! Doprawdy, Larry, to przecież śmiechu warte!

-

Jest więcej pytań niż odpowiedzi, lecz to, co się zdarzyło, nie jest na pewno śmiechu warte. To tragedia.

-

Dobrze już, dobrze - odparła pośpiesznie Valerie. - Ale dlaczego miałby to zrobić? Dlaczego miałby chcieć śmierci Hallidaya? Dlaczego?!

-

Myślę, że to oczywiste. Musiał głęboko gardzić Hallidayem, który się dział bezpiecznie w kraju, potępiając i wyśmiewając ludzi takich jak on. Pacyfiści nazywali ich bandytami, mordercami i sługusami, uznając ich ofiary za niepotrzebne. Oprócz wyższych dowódców wojskowych Joel najbardziej na świecie nienawidził właśnie ludzi pokroju Hallidaya. Pierwsi wysłali go na 325

wojnę, gdzie żołnierzom groziły kalectwo, śmierć, niewola i tortury, drudzy zaś kpili z ich cierpień. W głowie Joela musiało coś pęknąć, gdy usłyszał słowa wypowiedziane przez Hallidaya przy śniadaniu.

-

I myślisz, że dlatego chciał jego śmierci? - spytała cicho Valerie ze ściśniętym gardłem.

-

Spóźniona zemsta. To teoria wysuwana najczęściej przez fachowców ich zgodna opinia, jeśli wolisz.

-

Nieprawda. To po prostu niemożliwe.

-

To wybitni specjaliści, Val, psychiatrzy i psychologowie. Przeanalizowali zeznania i uważają, że to typowy przypadek. Schizofrenia o ostrym początku, wywołana przeżyciem traumatycznym.

-

Brzmi imponująco. Powinni wyhaftować to sobie na koszulkach do gry w baseball. To najwłaściwsze miejsce.

-

Uważam, że nie masz prawa kwestionować...

-

Mam prawo, do cholery! - przerwała była pani Converse. - Tylko że nikomu nie chciało się ruszyć tyłka, żeby zwrócić się do mnie, ojca Joela, jego siostry, która, nawiasem mówiąc, również protestowała przeciwko wojnie!

Halliday nie mógł sprowokować Joela, jak to opisujesz. To wykluczone.

-

Nie możesz wygłaszać takich twierdzeń, moja droga. Po prostu tego nie wiesz.

-

Wiem, Larry. Joel uważał, że "ludzie pokroju Hallidaya", jak to określiłeś, mają rację. Nie przepadał za ich metodami, ale przyznawał im słuszość!

-

Nie wierzę. Nie po tym, co przeżył.

-

Wobec tego znajdź inne źródła, jak to nazywasz. Zajrzyj do materiałów archiwalnych, które woleli pominąć twoi guru od psychiatrii. Kiedy Joel wrócił z Wietnamu, powitano go uroczysto w bazie lotniczej Travis. Mało brakowało, a otrzymałby klucze do mieszkań wszystkich gwiazd filmowych w Los Angeles. Mam rację?

-

Pamiętam, witano go uroczyście jako wojskowego, który uciekł z nie woli w niezwykłych okolicznościach. W samolocie uściskał mu rękę sam se kretarz stanu.

-

To prawda, Larry. I co dalej? Czy występował później publicznie?

-

Nie wiem, o co ci chodzi.

-

Sprawdź w archiwach. Nigdzie się nie pokazał. Nie chciał. Ile zaproszeń dostał? Od ilu miast, spółek, stowarzyszeń i organizacji popieranych przez Biały Dom? Sto, pięćset, pięć tysięcy? Może nawet więcej, Larry. A wiesz, ile przyjął? Powiedz mi, wiesz? Co wspominali o tym twoi guru?

-

Nie poruszano tego tematu.

-

Oczywiście, że nie. Kłóciło się to z przyjętymi założeniami, nie pasowa ło do nich. Joel Converse nie nagiął faktów do teorii. Uważał, że każdy kolejny dzień wojny to przedłużanie piekła. Nie chciał firmować jej swoim nazwiskiem.

-

Co chcesz powiedzieć? - spytał surowo Talbot.

326

-

Tworzysz portret Hallidaya jako wroga Joela. Portret zupełnie fałszywy, namalowany złymi farbami.

-

Nie rozumiem twoich malarskich metafor, Val. O co ci właściwie chodzi?

-

Że coś tu śmierdzi, Larry. Prawie duszę się od zgnilizny, ale jej źródłem nie jest mój były mąż. To ty

i twoi znajomi.

-

Czuję się obrażony. Chciałem tylko pomóc i myślałem, że o tym wiesz.

-

Wiem, możesz mi wierzyć. To nie twoja wina. Do widzenia, Larry.

-

Zadzwoń do ciebie, jak tylko czegoś się dowiem.

-

Zrób to. Do widzenia.

Valerie odłożyła słuchawkę i spojrzała na zegarek. Musiała pojechać po Rogera Converse'a na lotnisko Logana w Bostonie.

-

In Koln urn zehn nach drei! - zawołał głośnik.

Converse siedział przy oknie z twarzą tuż koło szyby, a pociąg mijał miasta na trasie do Kolonii: Bornheim, Wesel, Bruhl. Wagon był wypełniony w około trzech czwartych, czyli na każdej podwójnej ławce siedział przynajmniej jeden pasażer, a często dwóch. Na dworcu w Bonn miejsce naprzeciwko Joela zajęła kobieta, modnie ubrana mieszkanka podmiejskich osiedli willowych. Sposzrzęła ją przyjaciółka siedząca kilka rzędów z tyłu. Sąsiadka Joela odezwała się do niego.

Zdenerwowało go, że nie jest w stanie odpowiedzieć i że zwraca na siebie uwagę.

Wzruszył ramionami i pokręcił głową, a kobieta syknęła z irytacją, wstała i przesiadła się do przyjaciółki.

Zostawiła na siedzeniu gazetę z fotografią Joela na pierwszej stronie. Wpatrywał

się w nią, aż zdał sobie sprawę, co robi, po czym przeniósł się natychmiast na inne miejsce, przewróciwszy gazetę na drugą stronę, by zasłonić zdjęcie.

Rozejrzał się ostrożnie z dłonią trzymaną niedbale przy twarzy, usiłując wyglądać na człowieka pogrążonego w myślach, który nie zwraca uwagi na otoczenie. Mimo to dostrzegł parę bacznie obserwujących go oczu, ich właściciel prowadził ożywioną rozmowę ze starszą panią siedzącą naprzeciwko niego. Tęgi mężczyzna odwrócił wzrok, Converse zaś przyglądał mu się przez ułamek

sekundy i znów wyjrzał przez okno. Znał tego człowieka ' rozmawiał z nim, choć nie pamiętał czasu ani miejsca. Świadomość tego faktu dręczyła go i przerażała.

Gdzie, kiedy to było? Czy mężczyzna go zna, zna jego nazwisko?

Nawet jeśli tak, nie dał nic po sobie poznać. W dalszym ciągu prowadził żywą konwersację z kobietą. Joel starał się wyobrazić sobie jego sylwetkę w nadziei, że łatwiej go sobie przypomni. Był potężny, lecz raczej gruby niż wysoki, i miał

w sobie coś nieprzyjemnego. Kiedy go widział? Gdzie? Od Pierwszej wymiany spojrzeń minęło około dziesięciu minut, a Joel nadal niczego sobie nie przypominał. Był zaniepokojony i zbity z tropu.

-

Wir kommen in zwei Minuten in Koln an. Bitte achten Sie auf Ihr Gepäck!

327

Kilkunastu pasażerów wstało z ławek, poprawiło odzież i sięgnęło po bagaże.

Kiedy pociąg zwolnił, Converse dosłownie przywarł do szyby, której tafla chłodziła mu prawą skroń. Odprężył się i pozwolił myślom odpłynąć. Może kilka następnych minut przyniesie odpowiedź na pytanie, co robić.

Mijał czas. Niepewność trwała. Joel czuł pustkę w głowie, a tymczasem obok przechodzili wysiadający i wsiadający pasażerowie, wielu z dyplomatkami bardzo podobnymi do tej, którą wyrzucił w Bonn do kubła na śmieci. Chciał ją zatrzymać, lecz nie mógł. Podobnie jak złote wieczne pióro, dostał ją od Valerie, która kazała wyryć na obu prezentach jego inicjały. Dawne dobre czasy... Czy lepsze?

Nie, po prostu inne. Takie porównania są absurdalne: nie można porównywać związków uczuciowych. Są albo trwałe, albo nie. Ich okazał się nietrwały.

Wobec tego czemu przesłałem Val zawartość teczki? - zastanawiał się, gdy pociąg stanął na dworcu w Kolonii. Odpowiedź wydaje się logiczna. W przeciwieństwie do innych, Val będzie wiedzieć, co robić. Talbot, Brooks i Simon są wykluczeni. Tym bardziej siostra Joela, Virginia. Ojciec? Lotnik, którego poczucie odpowiedzialności ogranicza się do prawidłowego wykonania beczki? Nie, on także nie wchodzi w rachubę. Joel kochał starego Rogera, może nawet bardziej niż ojciec jego, ale pilot nie umiał ułożyć sobie życia na ziemi. Ziemia oznaczała związki uczuciowe, a staruszek Roger nie potrafił sobie z nimi radzić, nawet gdy w grę wchodziła żona, którą rzekomo bardzo kochał. Lekarze twierdzili, że zmarła na chorobę wieńcową, lecz syn podejrzewał zaniedbanie. Rogera nie było w kraju, wyjechał przed kilkoma tygodniami. Pozostawała tylko Valerie... dawna żona, której przyrzekł kiedyś dożgonną miłość.

-

Entschuldigen Sie. Ist der Platz frei? - rozległ się głos mężczyzny z dyplomatką w ręku, na oko rówieśnika Joela.

Joel skinął głową, przyjmując, że pytanie odnosi się do wolnego miejsca obok niego.

-

Danke - odparł nieznajomy i usiadł, stawiając dyplomatkę na podłodze koło swoich nóg. Wyjął gazetę spod lewego ramienia i rozłożył ją szelustem.

Converse zamarł na widok własnej twarzy spoglądającej poważnie z fotografa. Znow odwrócił się do okna, naciągnawszy głębiej na oczy rondo miękkie go kapelusza i spuściwszy głowę. Chciał wyglądać jak zmęczony podróżny usiłujący skraść chwilę snu. Kilka minut później, gdy pociąg ruszył, miał wrażenie, że mu się udało.

-

Yerriickt, nicht wahr? - spytał nieznajomy z dyplomatką, czytający gazetę.

Joel wzdrygnął się i zamrugał pod rondem kapelusza.

- Uram?

-

Traurig - dodał mężczyzna, czyniąc prawą ręką przepaszający gest.

Converse przywarł znow skronią do szyby, której chłód dodawał mu w dziwny sposób otuchy. Zamknął oczy. Jeszcze nigdy mrok nie wydawał mu

• tak upragniony... Nie, nie, to nieprawda: pamiętał taki czas. W obozach zdarzały się chwile, gdy nie był pewien, czy potrafi dalej nosić maskę nieZłomnego buntownika, kiedy czuł, że chce się poddać, usłyszeć choćby kilka miłych słów, zobaczyć czyjś uśmiech. Płakał wówczas w mroku, po policzkach ciekły mu łzy. A gdy się uspokajał, w niewytłumaczalny sposób odradzał się yv nim gniew. Płacz miał w sobie coś oczyszczającego, uwalniał od wątpliwości i lęku, przywracając równowagę, budząc z powrotem gniew. Mrok okazywał się lekarstwem.

-

Wir kommen in fiinf Minuten in Diisseldorf an!

Joel poleciał do przodu. Bolesnie zeszywniały kark i ramiona świadczyły, że drzemał przez dłuższy czas. Mężczyzna siedzący obok poprawiał jakieś sprawozdanie handlowe, położywszy sobie

dyplomatkę na kolanach. Między nim a Converse'em leżała schludnie zwinięta gazeta z fotografią na samym wierzchu, tak że twarz Joela, wyraźnie widoczna, wpatrywała się w dach wagonu. Nieznajomy otworzył teczkę, schował sprawozdanie i zamknął wieko. Zwrócił się w stronę Converse'a.

-

Der Zng ist piinktlich - rzekł, kiwając głową.

Joel również skinął głową, spostrzegając nagle, że pasażer po drugiej stronie wagonu wstał, uściśnął dłoń starszej pani i wymienił z nią kilka słów. Jednakże nie patrzył na nią, tylko na Converse'a. Joel oparł się z powrotem o okno, udając znużonego pasażera. Miękkie rondo kapelusza znajdowało się tuż nad oprawką okularów. Kto to? Skoro się znają, dlaczego nie wszczyna alarmu?

Dlaczego zerka na Joela i niedbale wraca do rozmowy z kobietą? Powinien zdradzić choćby cień lęku, a przynajmniej okazać podniecenie świadczące o

tym, że go poznał.

Pociąg zwolnił; coraz głośniejsze piszczały stalowe hamulce trące o ogromne koła.

Niebawem rozlegną się gwizdki oznajmiające przyjazd do Dilsseldorfu. Converse zastanawiał się, czy Niemiec siedzący obok niego wysiadzie. Zamknął dyplomatkę, lecz nic nie wskazywało na to, że zamierza wstać i ustawić się w kolejce tworzącej się przed drzwiami z przodu wagonu. Zamiast tego jął czytać gazetę, na szczęście gdzieś w środku.

Pociąg zatrzymał się, niektórzy pasażerowie wysiedli, a inni wsiedli. Było wśród nich sporo kobiet z koszami na zakupy i plastikowymi reklamówkami drogich butików oraz ekskluzywnych domów mody. Pociąg do Emmerich okazał się

"transportem nerek", jak Val określała popołudniowe pociągi z Nowego Jorku do ekskluzywnych podmiejskich dzielnic willowych w Westchester i

Connecticut. Joel zauważył, że pasażer z przeciwnej strony wagonu odpro wadził starszą panią do końca kolejki, znów przypoehlebnie uściśnął jej dłoń i Wrócił na swoją ławkę. Converse oparł się z powrotem o szybę, spuścił głowę i zamknął oczy.

-

Bitte, können wir die Pldtze tauschen? Dieser Herr ist ein Bekannter.

ch sitze in der ndchsten Reihe.

- Sicher, aber er schldftja doch nur.

-

Ich wecke ihn - odparł ze śmiechem Niemiec siedzący koło Converse'a i wstał z ławki. Mężczyzna z przeciwnej strony zamienił się z nim miejscem Siedział teraz koło Joela.

Converse przeciągnął się i ziewnął, zakrywając usta lewą ręką, prawą zaś sięgnął

pod marynarkę ku kolbie pistoletu zabranego szoferowi Leifhelma. W razie potrzeby zamierzał pokazać go nowemu, dziwnie znajomemu towarzyszowi podróży.

Pociąg ruszył z miejsca, a stukot kół przybrał na sile. Nadszedł właściwy moment. Joel odwrócił się ku tęgiemu mężczyźnie, patrząc nań wzrokiem bez wyrazu.

-

Zdawało mi się, że pana poznałem - rzekł pasażer, najwyraźniej Amerykanin, uśmiechając się szeroko, lecz niezbyt miło.

Rzeczywiście miał w sobie coś nieprzyjemnego. Converse słyszał już ten szorstki głos, ale nie mógł sobie przypomnieć gdzie.

-

Jest pan pewien? - spytał.

-

Oczywiście. Założę się, że pan mnie nie pamięta, prawda?

-

Szczerze mówiąc, niespecjalnie.

-

Dam panu pewną wskazówkę. Zawsze rozpoznam jankesa! Tyle że przez te wszystkie lata, gdy tłukę się po świecie, handlując imitacjami, popełniłem już kilka błędów.

-

Kopenhaga - rzekł Converse z niesmakiem, przypominając sobie, że czekali razem na bagaż. - Jeden z pańskich błędów miał miejsce w Rzymie, gdy wziął pan Włocha za Latynosa z Florydy.

-

Trafił pan! Oszukałem się na tym kolorowym skurwysynie, wziąłem go za nadzianego gangstera,

prawdopodobnie chłopca od białego proszku, no, wie pan... Opanowali cały rynek od Keys do...
Przepraszam, jak się pan nazywa?

-

Rogers - odparł Joel tylko dlatego, że myślał niedawno o ojcu. - Mówił
pan po niemiecku - dodał, stwierdzając fakt.

-

Pewnie. Niemcy Zachodnie to nasz największy rynek. Mój stary był
Szwabem, nawet nie znał angielskiego.

-

Czym pan handluje?

-Najlepszymi imitacjami na Siódmej Alei, ale proszę mnie dobrze zrozumieć, nie jestem Żydkiem.
Słyszał pan o Balenciadze, co? Zmieniamy kilka guzików, dodajemy nową fałdę, a później wysyłamy
towar do Bronxu, Jersey, Miami i Pensylwanii, gdzie naszywajaplakietkę "Valenciana". Wreszcie
sprzedajemy to hurtem po jednej trzeciej ceny oryginału i wszyscy są zadowoleni, oczywiście oprócz
brudnego Latynosa. Ale może nam co najwyżej naskoczyć, bo nie opłaca mu się włączyć nas po
sądach, a zresztą prawie wszystko jest zgodnie z prawem.

-

Nie jestem tego taki pewny.

-

Cóż, trzeba by zjeść wór soli, żeby udowodnić, że coś tu nie gra.

-

To niestety prawda.

-

Ejże, proszę mnie źle nie zrozumieć! Dostarczamy towarów tysiącom porządnym ludzi, których nie
stać na te francuskie gówna. A ja zarabiam na 330

hurcie. Widział pan tę pomarszczoną pudernicę, z którą rozmawiałem? Ma kilka butików w Kolonii i

Dusseldorfie, a teraz zamierza otworzyć coś w Bonn. Zrobię ją w konia, mówię panu...

Za oknami przelatywały miasta i miasteczka. Leverkusen... Lagenfeld... Hilden, a akwizytor nie przestawał głądzić, opowiadając szorstkim, monotonnym głosem kolejne niesmaczne anegdoty.

- Wir kommen in fünf Minuten in Essen an!

Zdarzyło się to w Essen.

Narastający z wolna gwar przywodził na myśl olbrzymią falę morską zbliżającą się do brzegu i rozbijającą się z hukiem o skały. Wysiadający pasażerowie toczyli ze sobą ożywione rozmowy. Słysząc było podniecone głosy, ludzie odwracali głowy i wyciągali szyje, by usłyszeć słowa nieznanym. Kilku trzymało przy uchu lub w wyciągniętych rękach niewielkie radia tranzystorowe; stojący w pobliżu prosili o nastawienie głośniej. Zgiełk, potęgowany przez ostre, metaliczne tony tranzystorów, narastał w miarę zwiększania się liczby pasażerów w pociągu.

Naprzeciwko Joela i akwizytora siedziała chuda dziewczyna w mundurku prywatnego gimnazjum, trzymająca w ręku skrzeczające radyjko. Wokół tłoczyli się rozgorączkowane pasażerowie, najwyraźniej też chcąc usłyszeć wiadomości.

-

Co się stało? - spytał Converse grubasa.

-

Proszę chwilę poczekać! - odparł akwizytor, unosząc się z trudem na siedzeniu. - Muszę posłuchać.

Gwar wyraźnie przycichł, lecz tylko wokół uczennicy z radiem. Nagle rozległa się seria trzasków i Converse usłyszał głosy dwóch ludzi, z którymi rozmawiał spiker dziennika. Wydawało się, że przeprowadza wywiad z kimś poza studium. Po chwili zabrzmiały zdania po angielsku, lecz były prawie niezrozumiałe, gdyż przekładano je jednocześnie na niemiecki.

-

Dokładne śledztwo... Eine griindliche Untersuchung... z udziałem wszystkich sił bezpieczeństwa... die alle Sicherheitsbelagschaften...

erfordert...

zarządzono... wurde veranlasst.

Converse chwycił akwizytora za rękaw.

-

O co chodzi?! - zawołał. - Proszę powiedzieć, co się stało!

-

Ten wariat znów kogoś zabił...! Niech pan poczeka, jeszcze coś gadają.

Muszę posłuchać.

Znów rozległy się trzaski i odezwał się podniecony głos spikera. Joel czuł w całym ciele paraliżującą trwogę, gdy tymczasem z małego radyjka płynął

niekończący się potok zdyszanych zdań po niemiecku. Szczekliwy monolog skończył

się wreszcie, a pochyleni pasażerowie wyprostowali plecy. Niektórzy wstali z miejsc, mówiąc jeden przez drugiego, i wokół znów zapanował podniecony gwar.

Akwizytor usiadł na swoim miejscu, dysząc ciężko, choć nie z powodu Otrząsających wiadomości, tylko zwykłego wysiłku fizycznego.

- Czy mógłby mi pan powiedzieć, co się właściwie stało? - spytał ConVerse, maskując lęk.

331

-

Tak, oczywiście - odparł tęgi mężczyzna, wyjmując chusteczkę z kieszeni

koszulki na piersi i ocierając czoło. - Pełno wariatów na tym świecie, prawda!?

Do licha, właściwie nigdy nie wiadomo, z kim się rozmawia. Gdyby to ode mnie zależało, każdy dzieciak urodzony z zezem albo niepotrafiący znaleźć cycka szedłby na śmietnik. Niedobrze mi się robi od tych wszystkich świrów rozumie pan?

-

To bardzo ciekawe, ale co się stało?

-

Dobrze już, dobrze. - Akwizytor schował chusteczkę do kieszeni, po puścił pasa i rozpiął guzik nad rozporkiem. - Najważniejszy generał ze sztabu w Brukseli...

-

Głównodowodzący NATO - uściślił Joel, którego trwoga sięgnęła zenitu

-

Tak, ten. Zastrzelono go, trafiono prosto w głowę na ulicy, gdy wycho dził z małej restauracyjki na Starym Mieście. Był po cywilnemu.

-

Kiedy?

-

Parę godzin temu.

-

Kto to zrobił?

-

Ten sam wariat, co rozwalił ambasadora w Bonn. Ale świr!

-

Skąd o tym wiadomo?

-Mają pistolet.

-Co?

-

Pistolet. Właśnie dlatego przez pewien czas trzymali wszystko w tajemnicy. Sprawdzali w Waszyngtonie odciski palców. Należą do wariata i policja ma nadzieję, że analiza balistyczna wykaże, że to ten sam pistolet, z którego zabito tego, no, jak mu tam...

-

Peregrine'a - dokończył cicho Converse, zdając sobie sprawę, że jego twoga nie sięgnęła jeszcze zenitu. Najgorsze dopiero się zbliżało. - Skąd wzięli

pistolet?

-

Napiętnowali tego skurwysyna. Generał miał przy sobie goryla, który strzelił do wariata i trafił go, zdaje się w lewe ramię. Kiedy chwycił się za rękę,

wypuścił broń. Ostrzeżono szpitale i lekarzy, a każdy gość z amerykańskim paszportem musi

podwijać rękaw na przejściach granicznych.

-

Starają się - rzekł Converse, byle tylko coś powiedzieć, czując ból pro mieniujący z rany.

-

Jedno trzeba mu przyznać - ciągnął z rozszerzonymi oczyma akwizytor, kiwając głową na znak prymitywnego szacunku. - Wywołał alarm od Morza Północnego do Śródziemnego. Podobno widziano go na lotniskach w Antwerpii, Rotterdamie i Diisseldorfie. Z Diisseldorfu można się dostać do Brukseli w trzy kwadransy, wie pan. Mam przyjaciela w Monachium, który dwa razy na tydzień lata na lunch do Wenecji. Europa to małe miasteczko. Czasami o tym zapominamy, prawda?

-

Tak. Krótkie loty... Słyszał pan coś jeszcze?

-

Mówią, że wybiera się do Paryża, Londynu, a może nawet Moskwy-Widzi pan, może być komuchem. Sprawdzają także prywatne lotniska, bo po-332

dejrzewają, że pomagają mu przyjaciele. Nieźli kumple, co? Banda świrów...

Porównują go nawet z tym słynnym Carlosem o pseudonimie Szakal, co pan na to?

Mówią, że jeśli naprawdę pojedzie do Paryża, mogą zawrzeć sojusz i zakatrupić jeszcze paru facetów. Ten Converse jest już znany z tego, że rozwala, kogo się da. Ale harcerzyk, no nie?

Joel zeszywniał, czując ostry, pusty ból w okolicach mostka. Pierwszy raz usłyszał swoje nazwisko wypowiedziane niedbale przez kogoś nieznanego, kto uważał go za psychopatę i zbrodniarza, mordercę tropionego przez policję i służby bezpieczeństwa wielu krajów. Trwały wielkie łowy. Generałowie Akwitanii zadbali o wszystko, nawet o to, by na pistolecie pojawiły się odciski palców, a na ramieniu ściganego rana postrzałowa. Ale jak śmieli podać dokładny czas zabójstwa? Skąd wiedzieli, że nie zgłosił się do jakiejś ambasady, prosząc o tymczasowy azyl, aż zdoła dowieść swojej niewinności? Jak mogli podjąć takie ryzyko?

Wreszcie zrozumiał i musiał wbić sobie paznokcie w nadgarstek, by zapanować nad sobą i nie ulec panice. Telefon do Mattilona! Surete albo Interpol z łatwością założyły mu podsłuch, a informatorzy Akwitanii szybciotko przekazali wiadomość swoim szefom! Chryste Panie! Żaden z nich o tym nie pomyślał! Akwitańczycy dobrze znali miejsce pobytu Joela. Był w pułapce! Europa to małe miasteczko, jak to określił obleśny akwizytor. Z Monachium można polecieć do Wenecji na lunch i wrócić do biura na spotkanie o wpół do czwartej. Można dokonać zabójstwa w Brukseli i za trzy kwadransy wsiąść do pociągu w Diisseldorfie. Od godziny zero w Brukseli upłynęło "parę godzin",

toteż Joel mógł przekroczyć już wiele granic.

Czy myśliwi znajdowali się już w pociągu? Było to możliwe, lecz nie wiedzieli przecież, który pociąg wybierze. Najprościej i najwygodniej będzie zaczekać w Emmerich. Musiał się zastanowić, wykonać jakieś posunięcie.

-

Przepraszam, pójde do toalety - odezwał się wstając.

-

Szczęściarz z pana. - Akwizytor podkulił grube nogi i przytrzymał

spodnie, by przepuścić Joela. - Ja ledwo się mieszczę w tych klitkach. Zawsze odlewam się przed...

Joel ruszył między ławkami, lecz przystanął nagle, przełykając ślinę i zastanawiając się, czy iść dalej, czy zawrócić. Zostawił na siedzeniu gazetę z własną fotografią, którą łatwo było odsłonić, przewracając pierwszą stronę.

Musiał iść naprzód. Jakikolwiek nietypowy ruch, choćby najdrobniejszy, mógł

zwrócić czyjąś uwagę. Jego celem nie była toaleta, lecz przejście między wagonami; musiał je obejrzeć. Przez wagon przeszło w trakcie jazdy kilku ludzi, wyraźnie szukając kogoś w pociągu. Joel zamierzał spojrzeć na zamek w drzwiach toalety i iść dalej.

Staął w rozkołysanym, wibrującym przejściu, przyglądając się metalowym drzwiom.

Składały się jak zwykle z dwóch części: najpierw otwierało się po czym można było odciągnąć dolną połowę, odsłaniając schodki. To mu wystarczyło.

333

Wrócił na swoje miejsce i z ulgą ujrzał akwizytora rozwalonego na ławce śpiącego z zamkniętymi oczyma i rozchylonymi grubymi wargami. Z jego gardła dobiegało głośnie poświstywanie. Converse przeszedł ostrożnie przez nogi grubasa i usadowił

się na siedzeniu. Gazeta była nietknięta. Kolejne westchnienie ulgi.

Naprzeciwko Joela, na pewnej wysokości, wisiał na łukowatej ścianie niewielki pojemnik z plikiem postrzępionych rozkładów jazdy. Pożółkłe, pomięte arkusze nie wzbudzały niczyjego zainteresowania, bo pasażerowie pociągów podmiejskich dobrze znali trasę. Converse wyprostował się, wyciągnął rękę i wziął jeden egzemplarz, kiwając przepaszająco głową w stronę uczennicy, która Zachichotała.

Oberhausen... Dinslaken... Yoerde... Wesel... Emmerich.

Wesel! Ostatnia stacja przed Emmerich. Joel nie wiedział, ile kilometrów dzieli Wesel od Emmerich, lecz nie miał wyboru. Musiał wysiąść w Wesel, nie z resztą pasażerów, ale samotnie. W Wesel powinien zniknąć.

Poczuł, że pociąg zwalnia nieco, a instynkt pilota podpowiedział mu, że zaczyna się podejście do lądowania i zbliża się pas startowy. Wstał i przeszedł

ostrożnie przez nogi grubasa, robiąc w ostatniej chwili piruet, gdy akwizytor zachrapał i przekręcił się na siedzeniu. Joel rozejrzał się ukradkiem spod runda kapelusza, jakby nie mógł się zdecydować, dokąd iść. Kręcił powoli głową, uważnie obserwując wagon, lecz nikt nie zwracał na niego najmniejszej uwagi.

Ruszył ociężale między ławkami niczym zmęczony pasażer wędrujący do toalety.

Dotarł do jej drzwi, które powitały go ironicznym napisem Bezetzt widocznym w białym otworze pod klamką. Pierwszy manewr Joela miał racjonalne uzasadnienie.

Ubikacja była zajęta. Zwrócił się ku ciężkim drzwiom prowadzącym na zewnątrz, rozsunął je i przeszedł wąski, rozkołysany korytarzyk wiodący do przeciwległych drzwi. Otworzył je, lecz zamiast wejść do wagonu, pochylił się, obrócił i cofnął

w mrok panujący w przejściu. Przywarł plecami do ściany i jął posuwać się powoli ku krawędzi grubej szklanej tafli. Z przodu znajdowało się wnętrze tylnej części wagonu, po przeciwnej stronie zaś widać było wyraźnie przednią. Joel czekał, zerkając w obydwie strony, spodziewając się, że lada chwila ktoś opuści gazetę, przerwie rozmowę i zainteresuje się jego pustym miejscem.

Nikt tego nie zrobił. Podniecenie wywołane wieścią o zabójstwie w Brukseli przygasło, tak jak poprzednio w Bonn, gdy ulicę ogarnęła panika po śmierci ambasadora. Kilku ludzi najwyraźniej dalej rozmawiało o obydwu wypadkach, kiwając głowami i roztrząsając przyszłe konsekwencje, lecz mówili cichymi głosami. Minał początkowy wstrząs. W końcu sprawa nie dotyczyła Niemców. To Amerykanie zabijali się nawzajem. Czuło się nawet złośliwą satysfakcją: pojedynki kowbojów w serialu nabrały nowego znaczenia. Jankesi to rzeczywiście krwawy naród.

- Wir kommen in...

334

Prędki stukot kół, odbijający się echem w metalowym przejściu, zagłuszył

komunikat w dalekim głośniku. Zostało tylko kilka minut, pomyślał Converse, odwracając się i patrząc na drzwi wyjściowe. Zamierzał zacząć działać, gdy pociąg dostatecznie zwolni i po obydwu stronach utworzą się kolejki wysiadających.

-

Wir kommen in drei Minuten in Wesel an!

Kilkunastu pasażerów w obu wagonach wstało z miejsc, wzięło teczki oraz torby na zakupy i ruszyło między ławkami. Pisk olbrzymich kół zapowiadał podchodzenie do lądowania. Teraz!

Joel zwrócił się ku drzwiom wyjściowym i otworzył ich górną część; rozległ się ogłuszający świst powietrza. Zauważył dolną dźwignię i ujął ją, gotów szarpnąć, gdy tylko pociąg zwolni. Powinno to nastąpić za parę sekund. Pisk hamulców stawał się coraz głośniejszy, a popołudniowe słońce oświetlało sylwetkę pędzącego pociągu. W hałasie rozległ się nagle ostry, pogardliwy głos. Joel zamarł.

-

Bardzo dobrze pomyślane, Herr Converse! Jedni wygrywają, drudzy przegrywają. Pan przegrał.

Joel odwrócił się gwałtownie. W przejściu między wagonami stał pasażer, który wsiadł w Kolonii i siedział koło Joela, dopóki nie zamienił się z nim miejscami gruby akwizytor. W lewej ręce trzymał pistolet, w prawej szacowną dyplomatkę.

-

Sprawił mi pan niespodziankę - rzekł Converse.

-

Mam nadzieję. Ledwo zdążyłem na pociąg w Kolonii. Przebiegłem trzy wagony jak szalenciec, ale pan nie jest szalencem, ja?

-

Co teraz? Strzeli pan i ocali świat przed wariatem?

-

To nie takie proste, kolego.

-

Kolego?

-

Nie wymienię swojego nazwiska, ale jestem pułkownikiem zachodnio-niemieckiej Luftwaffe. Piloci zabijają się tylko w powietrzu. Na ziemi to żenujące.

-

Miły z pana człowiek.

-

Trochę przesadzam. Jeden niepokojący ruch z pana strony i stanę się bohaterem Vaterlandu jako człowiek, który osaczył psychopatycznego mor dercę i zabił go w obronie własnej.

-

Vaterlandu! Ciągłe używa pan tej nazwy?

-

Natürlich. Tak jak większość z nas. Vater to źródło siły, a kobieta jest tylko naczyniem.

-

Powinien pan prowadzić wykłady z biologii.

-

Sili się pan na dowcipy?

-

Nie, chcę tylko pana zdenerwować, choć to nic poważnego. - Joel przesunął się kilkanaście centymetrów, aż przywarł plecami do ściany. Przestał

myśleć. Działał jak automat. Mógł jedynie umrzeć, teraz lub za kilka godzin.

- Przypuszczam, że zabierze mnie pan w podróż? - zagadał, wysuwając do przodu ramię w pytającym geście.

335

- Owszem, panie pilocie. Wsiądziemy w Wesel, a ja porozmawiam przez telefon, trzymając pana na muszce. Niebawem przyjedzie samochód i zabierze pana do...

Converse uderzył niewidocznym prawym łokciem w ścianę wagonu, nadal wysuwając do przodu lewe ramię. Niemiec zerknął na drzwi do przedniego wagonu. Teraz!

Joel rzucił się w stronę pistoletu. Sięgnął oburącz ku czarnej lufie i z całej siły kopnął mężczyznę prawym kolaniem w podbrzusze. Kiedy Niemiec poleciał do tyłu, Converse chwycił go za włosy i uderzył jego głową w wystające zawiasy przeciwległych drzwi.

Było po wszystkim. Niemiec miał szkliste, szeroko otwarte oczy, w których malowało się przerażenie. Zginął kolejny zwiadowca, ale nie był to tępy poborowy wcielony do wojska przez anonimowy rząd, tylko fanatyczny żołdak Akwitanii .

W oknie ukazały się szeroko otwarte usta tęgiej kobiety, która krzyczała histerycznie.

-Dies ist Wesel...!

Pociąg zwolnił. W oknie pojawiły się inne podniecone twarze. Oszalały tłum zablokował drzwi.

Converse rzucił się ku wyjściu po rozkołysanym metalowym trapie. Chwycił

dźwignię i otworzył z rozmachem drzwi, uderzając nimi o ścianę. W dole widać było stopnie wagonu, dalej żwir i asfalt. Zaczerpnął głęboko powietrza i wyskoczył, kuląc się, by złagodzić uderzenie o ziemię. Upadł i potoczył się w dół.

Rozdział 23

Odbił się od kamienia i wylądował w kępie krzaków. Otoczyły go kolczaste gałęzie, które podrapały mu twarz i ręce. Ciało miał pokryte siniakami i nieznośnie bolała go jątrząca się rana na lewym ramieniu, lecz nie było czasu o niej myśleć. Musiał uciekać. Za kilka minut cała okolica zaroi się od ludzi tropiących zabójcę oficera sił powietrznych Republiki Federalnej. Łatwo było wyobrazić sobie dalszy ciąg. Policja przesłucha pasażerów, łącznie z akwi-zytorem, w którymś ręku pojawi się nagle gazeta z fotografią i Joel zostanie rozpoznany. Chory psychicznie morderca widziany ostatnio w zaułkach Bruk' seli nie podążał do Paryża, Londynu ani Moskwy. Odjechał pociągiem z Bonn, minął

Kolonię, Essen i Diisseldorf, po czym dokonał ponownego zabójstwa w mieście nazwie Wesel.

Joel usłyszał nagle piskliwe wycie syreny. Spojrzał na tory na nasypie kolejowym. W odległości około kilometra nabierał szybkości pociąg, który 336

odjeżdżał ze stacji na południe. Kapelusz! Leżał do góry nogami w połowie stoku.

Joel wyczołgał się ze splątanych krzaków, powstał z wysiłkiem i pobiegł po niego, nie zważając na to, że prawie nie może chodzić. Chwycił kapelusz i skręcił w prawo. Pociąg odjechał na południe, a Joel wspiął się szybko na nasyp, przebiegł tory i skierował się w stronę starego magazynu kolejowego, najwyraźniej opuszczonego. Większość okien miała wybite szyby. Mógł odpocząć tam kilka minut, ale nie dłużej. Była to zbyt oczywista kryjówka. Za dziesięć czy piętnaście minut otoczą

ją mężczyźni mierzący z pistoletów do wszystkich okien i drzwi.

Rozpaczliwie usiłował przypomnieć sobie przeszłość. Jak postępował kiedyś? Jak wymykał się patrolom w dżungli na północ od Phu Loc...? Punkty widokowe! Należy poszukać miejsca, skąd można obserwować nieprzyjaciół, samemu pozostając niewidocznym. Ale w dżungli rosły wysokie drzewa, a Joel, młodszy i silniejszy, łatwo potrafił się na nie wdrapać, kryjąc się za zasłoną zieleni wśród grubych konarów. Koło magazynu kolejowego nie było niczego takiego... a może jednak? Po prawej stronie budynku znajdowało się wysypisko śmieci złożone z kilku wysokich pryzm odpadków zmieszanych z ziemią. Joel nie miał wyboru.

Z bolącymi rękoma i nogami, z piekącą raną pobiegł ku ostatniej pryzmie. Okrzyknął

ją i zaczął się wspinać od tyłu, ślizgając się na miękkiej ziemi, drewnie, kartonie i odpadkach. Mdlący odór dziwnie rozpraszał jego uwagę i pozwalał

zapomnieć o bólu. Joel czołgał się uparcie pod górę. W razie potrzeby mógł

zagrzebać się w cuchnących śmieciach po samą szyję. W walce o życie nie ma żadnych reguł - jeśli zakopanie się w śmierdzącej masie odpadków miało go ocalić przed gradem kul, niechaj tak będzie.

Dotarł do szczytu i położył się na brzuchu wśród sterczących kartonów. Z twarzy spływał mu pot, powodując pieczenie zadrapań, a bolące ręce i nogi wydawały się ciężkie jak ołów. Oddychał nierówno, przeszywały go dreszcze spowodowane strachem i niewytrenowaniem mięśni. Popatrzył w dół na magazyn kolejowy, a później na dworzec. Pociąg zatrzymał się, a na peronie tłoczyli się oszołomieni pasażerowie. Kilku umundurowanych ludzi wykrzykiwało rozkazy, najwyraźniej usiłując wyłowić świadków, którzy znajdowali się w wagonach przyległych do miejsca zbrodni lub cokolwiek wiedzieli. Na parkingu przed gmachem dworca stał

błękitnobiały wóz policyjny z czerwonym światłem alarmowym wirującym na dachu.

W dali rozległo się wycie syreny i za chwilę na parking wjechał długi biały ambulans, który zakręcił ostro i cofnął się w stronę peronu. Otworzyły się tylne drzwiczki i wyskoczyło dwu sanitariuszy z noszami; policjant stojący na schodkach krzyknął coś do nich, machając ręką. Wbiegli metalowymi schodkami i podążyli za nim.

Na parking wjechał drugi wóz patrolowy, zatrzymując się z piskiem koło ambulansu. Opuściło go dwóch policjantów, którzy weszli schodkami na górę; podszedł do nich poprzedni policjant i para cywilów, mężczyzna i kobieta, grupa ludzi wymieniła kilka słów i dwóch policjantów wróciło do swojego 337

samochodu. Kierowca cofnął się, skręcił w lewo i popędził ku południowej stronie parkingu, prosto w stronę Converse'a. Policjanci znów zatrzymali się i wysiedli, tym razem z wyciągniętymi pistoletami; przebiegli przez tory i zeszli z nasypu pokrytego tłuczniem i asfaltem. Przyjdą tu za kilka minut - pomyślał Joel, z roztargnieniem miętoląc obszarpany karton koło swego ramienia. Zatrzymają

się, przeszukają opuszczony budynek, może wezwą pomoc przez radio, ale wcześniej czy później zainteresują się także ogromnymi pryzmami śmieci.

Spojrzał do tyłu i zobaczył piaszczystą drogę z koleinami wyłobionymi przez ciężarówki, prowadzącą do wysokiej siatki z bramą zabezpieczoną grubym łańcuchem. Gdyby pobiegł drogą i przeszedł przez płot, zostałby dostrzeżony.

Musiał pozostać na miejscu, ukryty w cuchnących odpadkach.

Jego myśli przerwał nowy dźwięk, podobny do rozlegającego się wcześniej na parkingu. Nadjechał pędem trzeci samochód policyjny z włączoną syreną, lecz zamiast skierować się ku ambulansowi i pierwszemu wozowi patrolowemu koło peronu, skręcił w lewo, podążając do auta na południowym skraju parkingu. Dwaj policjanci naprawdę wezwali pomoc przez radio i Joel poczuł paraliżującą rozpacz.

Spoglądał na swoich katów... A raczej kata. W nowo przybyłym wozie widać było jedynie kierowcę. Na pewno? Czyżby policjant odwrócił głowę i odezwał się? Nie, prawdopodobnie odpinał pas bezpieczeństwa.

Z samochodu wysiadł siwy mężczyzna w mundurze, rozejrzał się i ruszył prędko ku torom. Przeszedł przez nie, stanął na szczycie nasypu i krzyknął coś do policjantów myszkujących wśród brunatnej, wypalanej słońcem trawy w dole.

Converse nie miał pojęcia, co mówi, lecz scena sprawiała dość dziwne wrażenie.

W polu widzenia pojawili się znów policjanci, biegnący z pistoletami w kaburach.

Nastąpiła krótka wymiana zdań. Starszy mężczyzna wskazał odległy obszar na południe od wysypiska; wydawało się, że mówi rozkazującym tonem. Joel znowu spojrzał na jego wóz. Na przednich drzwiczkach widniał emblemat, którego nie było na drugim samochodzie. Ten człowiek był starszy rangą i wydawał dyspozycje podwładnym.

Młodszy policjanci pobiegli przez tory do swojego pojazdu. Podążył za nimi dowódca, który szedł normalnym krokiem. Otworzyli gwałtownie drzwiczki, wskoczyli do wozu, skręcili w prawo i odjechali pędem z parkingu. Starszy mężczyzna dotarł do swojego samochodu, lecz nie wsiadł do niego. Zamiast tego odezwał się - a przynajmniej poruszył wargami - i w pięć sekund później otworzyły się tylne drzwiczki i pojawiło się dwóch mężczyzn. Converse znał

dobrze jednego z nich. Miał w kieszeni jego pistolet. Był to szofer Leifhelma z opatrunkiem na czole i nasadzie nosa. Wyciągnął pistolet i wściekłym głosem rannego fanatyka wydał rozkaz swojemu towarzyszowi.

peter Stone wyszedł z hotelu w Waszyngtonie. Powiedział młodemu porucznikowi marynarki i nieco starszemu kapitanowi wojsk lądowych, że skontaktuje się z nimi rano. Dzieciuchy! - pomyślał. Najgorsi są właśnie idealistyczni amatorzy, prawi i bujający w obłokach. Brzydzą się dwulicowością i oszustwem, nie biorąc pod uwagę faktu, że walka z psychopatami i skurwysynami często wymaga większej podstępności i okrucieństwa, niż można to sobie wyobrazić.

Stone wszedł do taksówki, pozostawiwszy swój samochód na podziemnym parkingu, i podał kierowcy adres bloku na Nebraska Avenue. Śliczny apartament nie należał

niestety do niego; oficjalnie wynajmował go dyplomata albański, wybitny naukowiec pracujący w Organizacji Narodów Zjednoczonych i mieszkający stale w Nowym Jorku. Jednakże były agent wywiadu zwerbował go przed kilku laty nie za pomocą apeli do sumienia, lecz dzięki fotografiom przedstawiającym go w łóżku z bardzo dziwnymi kobietami. Były siedemdziesięcioletnimi nędzarkami prosto z ulicy, które gwałcił, a później bił. Uchodził za szacownego uczonego i dyplomatę. Psychiatra z Langley głądził coś na temat podświadomych skłonności do matkobójstwa i kazirodztwa. Stone'a nie interesowały owe brednie: zdobył zdjęcia kurewskiego sadysty. Jednakże teraz myślał o dzieciuchach, nie o występkach głupca, dzięki któremu uzyskał dostęp do luksusowego apartamentu, na jaki nie mógłby sobie pozwolić za honoraria otrzymywane za konsultacje.

Dzieciuchy. Boże! Byli tacy prawi, tacy szlachetni, ale nie rozumieli, że skoro wypowiedzieli wojnę George'om Marcusom Delavane'om tego świata, czeka ich brutalna walka, gdyż tak właśnie walczą ci ludzie. W razie potrzeby należy umieć się czołgać w rynsztoku; nie wolno liczyć na litość ani okazywać litości.

Nadszedł schyłek dwudziestego wieku i generałowie postanowili wreszcie zdobyć władzę, nie mogąc już wytrzymać dręczącego ich wstrętu i frustracji.

Stone spodziewał się tego od wielu lat. Chwilami mało brakowało, by przyznał im słusność, uniósł ręce na znak kapitulacji i sprzedał resztki własnej duszy.

Biurokratyczne ograniczenia i prawa, oparte na konstytucji opracowanej przed pojawieniem się Moskwy, prowadziły do tego, że marnowano Pomysły i skazywano ludzi na śmierć. Zwariowani Marcusowie tej części globu mieli sporo racji. Przed wielu laty w wywiadzie pracowali ludzie tego pokroju, którzy nie kryli się ze swoimi poglądami. Mówili: Zbombardujmy zakłady wzbogacania uranu w Taszkencie i Stalingradzie! Rozwalmy Czeng-du i Szejnjang! Nie dajmy im szansy! Jesteśmy ludźmi odpowiedzialnymi, a oni nie!

Kto wie? Może świat byłby lepszy?

Peter budził się rano i ta część jego duszy, która nie była na sprzedaż, mówi mu: Nie, nie wolno tego robić. Musi istnieć inny sposób, nie oparty na frontacji i masowej rzezi. Nadal wierzył w taką możliwość, choć nie potrafił

zapomnieć o Delavane'ach, czekających na sprzyjającą chwilę niczym megatonowe głowice nuklearne w jakimś magazynie. Dokąd zmierzają?

Sam wiedział, dokąd zmierza, zmierza od wielu lat. Właśnie dlatego przyłączył się do dzieciuchów. Ich prawość była szlachetna, a oburzenie uzasadnione.

Widział już wielu takich ludzi, zawsze wśród ekstremistów politycznych.

Delavane'owie tego świata zmieniają wszystkich w roboty. Nawet śmierć wydaje się lepsza.

Otworzył drzwi apartamentu, zamknął je, zdjął marynarkę i nalał jedynego drinka, na jaki zamierzał pozwolić sobie tego wieczoru. Podszedł do skórzanego fotela koło telefonu, usiadł, wypił kilka łyków i odstawił szklaneczkę na stolik pod wysoką lampą stojącą. Podniósł słuchawkę i wystukał na klawiaturze siedem liczb, później trzy, wreszcie jeszcze jedną. Pierwotny sygnał ustąpił miejsca cichutkiemu buczeniu i Stone znów zaczął naciskać klawisze. Wszystko było w porządku. Telefonował szyfrowaną linią dyplomatyczną KGB biegnącą przez wyspę w Cieśninie Cabota na południowy zachód od Nowej Fundlandii. Zdziwił się tym tylko funkcjonariusze na Łubiance. Po pięciu dzwonek w Bernie, w Szwajcarii, rozległ się męski głos.

-Alb?

-

Mówi twój stary przyjaciel z Bahrajnu, sprzedawca z Lizbony i kupiec z Dardaneli. Mam zaśpiewać hymn Południa?

-

O rany, to ty? - odparł mężczyzna z Berna, przechodząc na angielski i przeciągając słowa niczym mieszkaniec stanu Georgia. - Dawne czasy, praw da?

-

Tak jest, szefie.

-

Słyszałem, że robisz teraz za skurwysyna.

-

Nie lubią mnie, nie ufają, ale cenią- odrzekł Stone. - To bardziej ściśle.

Firma uważa mnie za zapowietrzonego, ale ma na mieście kilku wrogów, kto rzy regularnie podrzucają mi konsultacje. Nie byłem taki cwany jak ty. Nie mam anonimowych kont w bankach szwajcarskich.

-

Podobno miałeś kłopoty z forszą?

-

Okropne, ale to już przeszłość.

-Nigdy nie prowadzi się po pijanemu rokowań ze swoimi wrogami. Trzeba ich przerażać, a nie rozśmieszać.

-

Przekonałem się o tym na własnej skórze. Podobno ty również udzie lasz konsultacji?

-

W ograniczonym zakresie i tylko klientom, którzy zdadzą egzamin. Trzy mam się tego. Inaczej przyleciałby do mnie jakiś wielki drab ze spluwą i po szedłbym do piachu.

-

Gdzie nic by ci nie groziło - dokończył cywil.

-

Taką mam politykę. To nasza mała detente.

-

Czy zdałbym u ciebie egzamin? Pracuję dla porządnych gości, daję sło wo. Są młodzi, prowadzą pewną trudną sprawę i są niewinni jak panienki, co nie jest zbyt dobrą rekomendacją w obecnych okolicznościach. Ale nie mogę ci powiedzieć niczego konkretnego. Ze względu na ciebie, na mnie i na nich.

Pasuje ci to?

340

-

Wiesz, że tak, jeśli konsultacja nie odbędzie się w kosmosie. Uratowa łem Johnny'ego Reba trzy razy,

tylko że odwróciłeś kolejność. Na Dardanelach j w Lizbonie wyciągnąłeś mnie, nim zdążyli mnie rozwalić, a w Bahrajnie na pisałeś na nowo raport na temat brakujących funduszy operacyjnych, przez które spędziłbym pewnie pięć słodkich lat za murami Leavenworth.

-

Byłeś zbyt cenny, by tracić cię z powodu drobnego wykroczenia. Zresz tą nie byłeś jedyny, tylko dałeś się złapać, w każdym razie prawie.

-

Mimo to Johnny Reb ma wobec ciebie dług wdzięczności. O co chodzi?

Stone sięgnął po szklaneczkę i wypił łyk trunku. Odezwał się, starannie ważąc słowa:

-Zaginął jeden z naszych wojskowych, komandor marynarki. Służy w bazie SAND PAC, ale moi ludzie nie chcą nikogo w to wplątywać. Żadnego udziału Waszyngtonu.

-

I oczywiście nie możesz mi tego wyjaśnić - dodał południowiec. -

W porządku. SAND PAC to San Diego, czyli chodzi o zachodnie wybrzeże, tak?

-

Owszem, ale to nieważne. Jest szefem biura prawnego bazy, a może był.

Jeśli żyje, jest bliżej ciebie niż mnie. Poza tym jak wsiadam do samolotu, od mojego paszportu zaczynają iskrzyć komputery.

- I nie możesz mi nic powiedzieć o jego miejscu pobytu?

-

Zgadza się.

-

A co możesz powiedzieć?

-

Znasz ambasadę w Bonn?

-

Wiem, że mają kłopoty. Podobnie jak bezpieczniacy z Brukseli. Ten świr idzie na całego. Co z Bonn?

-

To powiązane sprawy. Naszego komandora widziano tam po raz ostatni.

-

To ma coś wspólnego z tym Converse'em?!

Stone umilkł na chwilę.

-

Prawdopodobnie jesteś w stanie domyślić się więcej, niżbyśmy chcieli, ale scenariusz przedstawia się mniej więcej następująco: Nasz komandor był

bardzo wytrącony z równowagi. W Genewie zamordowano jego szwagra i, na wiasem mówiąc, najlepszego przyjaciela.

-

Niedaleko stąd - wtrącił mieszkaniec Berna. - Masz na myśli amerykańskiego adwokata, którego śmierć zaaranżował ten Converse. Czytałem o tym w prasie.

-

Tak sądził komandor. W niewiadomy sposób dowiedział się, że Converse wybiera się do Bonn. Wziął urlop i ruszył za nim.

-

Godne pochwały, ale głupie - stwierdził południowiec. - Jednoosobo wa wendeta?

-

Nie. Możemy przyjąć, że poszedł do ambasady, a przynajmniej spotkał

się z którymś z pracowników, by wyjaśnić, po co przyjechał, a może ich ostrzec, Kto wie? Reszta mówi sama za siebie. Converse zaatakował, a nasz komandor Przepadł jak kamień w wodę. Chcielibyśmy się dowiedzieć, czy żyje.

341

Tym razem zamilkł południowiec, choć na linii słyhać było wyraźnie jego oddech.

-

Musisz mi powiedzieć coś jeszcze, króliczku - rzekł w końcu.

-

Właśnie zamierzam to zrobić, Johnny.

-

Będę ci niezmiernie wdzięczny, Jankesie.

-

Wszystko jest powiązane. Gdybyś był komandorem porucznikiem ma.

rynarki Stanów Zjednoczonych, do którego z pracowników ambasady w Bonn byś się zwrócił, żeby wysłuchał cię z uwagą, na jaką zasługuje twój stopień wojskowy?

-

Do wojskowego charge d'affaires, ma się rozumieć.

-

Właśnie o niego chodzi, Wujaszku Remusie. Nawiasem mówiąc, to łgarz, ale nie mogę ci tego wyjaśnić. Uważamy, że komandor rozmawiał z nim, a charge spławił go jako nieważnego interesanta. Pewnie nie załatwił mu na wet audiencji u ambasadora Peregrine'a. A kiedy poląła się krew, cóż, ludzie robią dziwniejsze rzeczy, żeby ocalić swoją dupę i karierę...

-

Twoje sugestie są bardzo dziwne.

-

Nie cofam swoich słów - stwierdził cywil.

-

W porządku, jak się nazywa?

-

Washburn. Jest...

-

Norman Washburn?! Major Norman Anthony Washburn?!

-

Ten sam.

-

Nie musisz cofać swoich słów. Za wcześnie odszedłeś. Washburn był

w Bejrucie, Atenach, a w końcu w Madrycie. Podlizywał się firmie, jak tylko mógł! Przybiłby własną mamusię gwoździami do ściany za dobrą ocenę przy datności do służby. Ma nadzieję, że przed czterdziestym piątym rokiem życia zostanie szefem Kolegium Szefów Sztabów, i zamierza to osiągnąć.

-

Przed czterdziestym piątym?

-

Przez ostatnie dwa lata nie trzymałem ręki na pulsie, ale ma co najwyżej trzydzieści sześć, siedem lat. Słyszałem, że chcą go mianować od razu całym pułkownikiem, a zaraz potem brygadierem. To ich ulubieniec, Jankesie!

-

To łgarz - oznajmił cywil w słabo oświetlonym apartamencie na Nebraska Avenue.

-

Jasne - zgodził się mieszkaniec Berna - ale nie podejrzewałem go ni gdy o takie rzeczy. Musiał mieć niezłego pietra, żeby się do tego posunąć.

-

Mimo to nadal nie cofam swoich słów - odparł cywil, popijając whisky.

-

Czyli wiesz.

-

Zgadza się.

- I nie wolno ci o tym mówić. Było to stwierdzenie, nie pytanie.

-

Zgadza się.

-

Na pewno?

-Na sto procent. Jeśli komandor żyje, Washburn wie, gdzie jest.

-

Boże, w co wyście wdepnęli, Jankesi?!

-

Zajmiesz się tym jutro?

342

-

Z przyjemnością. Jak to załatwić?

- Po cichutku. Tylko zeznania po zastrzyku, to ważne. Musi obudzić się rano, myśląc, że zatrzał się nieświeżym kotлетem. I Cizie?

- Nie wiem. Chyba lepiej się w tym orientujesz. Zaryzykowałby swoją opinię?

-

Mam w Bonn kilka takich Fraulein, dla których nawet jezuita wyrzekłby się tiary papieskiej. Jak nazywa się komandor?

-

Fitzpatrick, komandor porucznik Connal Fitzpatrick... I jeszcze jedno.

Mie powtarzaj nikomu tego, co ci powie po zastrzyku. Nikomu oprócz mnie.

Nikomu.

- I tego też nie możesz mi wytłumaczyć, prawda?

-

Zgadza się.

-

Zakładam sobie klapki na oczy. Jedno zadanie i jeden cel. Żadnych sko ków w bok, żadnej niepotrzebnej ciekawości, po prostu magnetofon w mojej głowie albo ręku.

Stone znów umilkł na chwilę.

-

Magnetofon?... - szepnął. - Niezły pomysł - dodał. - Oczywiście mi kro.

-

Jasne. To draństwo jest takie małe, że można je schować w najbardziej wstydlwym miejscu. Jak się z tobą kontaktować? Nadstawiam ucha.

-

W porządku, obszar ma numer kierunkowy osiemset cztery. - Były funkcjonariusz CIA podał mieszkańcowi Berna numer telefonu w Charlotte w Karolinie Północnej. - Słuchawkę podniesie kobieta. Powiedz jej, że jesteś krewnym Tatiany, i zostaw numer.

Po krótkiej wymianie pożegnań Peter odłożył słuchawkę, wstał z fotela i podszedł

ze szklaneczką do okna. Była gorąca, bezwietrzna noc. Czuło się nadchodzącą letnią burzę. Jeśli zacznie się ulewa, zmyje z ulic Waszyngtonu przynajmniej część brudu.

Były agent wywiadu marzył o tym, by istniał na ziemi lub w niebiosach jakiś balsam mogący zmyć brud z jego rąk i oczyścić tę cząstkę duszy, której nie wystawił na sprzedaż i nie utopił na przerażająco długi czas w whisky. Może to, co zrobił, było kolejnym gwoździem do trumny Converse'a; może on także przylepił

adwokatowi fałszywą etykietkę. Zdawał sobie sprawę, że zamiast podawać w wątpliwość wersję oficjalną, wspiera ją, potwierdza, iż Converse to psychopatyczny morderca opisany w międzynarodowych źródłach Przekazu. Co gorsza, przypisał owo twierdzenie odpowiedzialnemu człowiekowi, oficerowi marynarki, który zaginął i prawdopodobnie już nie żyje. Kłamstwo Stone'a opierało się na mało realistycznym założeniu, lecz w tej chwili nie można było zrobić niczego sensowniejszego. Zaginiony komandor prawdopodobnie nie żył, ale stanowił dobry pretekst, by poprosić o rewanż za dawną przysługę i zacząć tropić charge d'affaires nazwiskiem Washburn, bez wciągania do tego George'a Marcusa Delavane'a. Nawet gdyby schwytano Johnny'ego

Reba (a każdy uczestnik afer wywiadowczych musiał brać to pod uwagę), nie wyszłaby na jaw sprawa międzynarodowego spisku generałów... Major Norman Washburn mógł znać los Connala Fitzpatricka albo nie, ale jego zeznania pod wpływem narkotyków muszą mieć jakąś wartość.

Najbardziej dziwiło cywila milczenie Converse'a na wieść o kłamstwie attache wojskowego. Skoro Converse uciekał i znajdował się na wolności musiał wiedzieć, że major fałszywie oskarżył go o morderstwo. Jeśli tak, czemu nic w tej sprawie nie zrobił? Kłamstwo Washburna stanowiło najslabsze ogniwo łańcucha: można je było przerwać z minimalnym wysiłkiem, podając jakiegokolwiek wiarygodne alibi.

Stone wypił łyżeczek whisky; wiedział, że spekuluje na próżno, bo znał odpowiedź.

Właśnie dlatego czuł, że nie stracił jeszcze resztek sumienia. Converse nie mógł

niczego zrobić. Wpadł w pułapkę lub został schwytany i generałowie wystawią go niebawem na widok publiczny jako martwego kozła ofiarnego. Nikt nie mógł nic dla niego zrobić. Był trupem, ofiarą w najściślejszym znaczeniu tego słowa, człowiekiem, którego wyrzekli się nawet sami.

Peter usiadł z powrotem w fotelu, rozluźnił krawat i zdjął buty. Przed wielu laty nauczył się minimalizować straty na polu walki. Jeśli oznaczało to wyrzeczenie się pionków, wtyczek lub figurantów, stosował podejście statystyczne i nie sprzeciwiał się egzekucjom. Straty stawały się dzięki temu mniejsze. Ale najważniejsze to posuwać się do przodu pomimo strat. Stone próbował to teraz osiągnąć, a elementami jego gry były śmierć Converse'a, Johnny Reb w Bernie i łągarz nazwiskiem Washburn.

Boże! Znowu bawił się w Boga i przedstawiał wartość ludzi na wykresach i diagramach! Mimo to nigdy w życiu nie robił niczego ważniejszego. Należało powstrzymać Delavane'a i jego hordy, a było to niemożliwe w Waszyngtonie.

Znajdowało się tu zbyt wiele baczących oczu, zbyt wiele uszu, zbyt wielu ludzi zaszytych w dziwnych zakamarkach i wierzących w mity, bo nic innego im nie pozostało. Dzieciuchy miały rację. Na podłodze nie będą się walać puste butelki whisky i nie pojawią się mętne wspomnienia dawnych nocy czy dawno wypowiedzianych słów. Stone był gotów do akcji, pomimo zaawansowanego wieku. To dziwne, pomyślał. Od lat nie posługiwał się rodziną Tatiany.

Joel obserwował z przymy szofera Leifhelma i jego towarzysza, zbliżających się do opuszczonego magazynu. Obaj byli doświadczeni, posuwali się do przodu, kryjąc się na przemian za głazami lub koksownikami, gdzie rankiem palono ogień. Prawie jednocześnie dotarli do dwóch różnych drzwi, wyrwanych z zawiasów i leżących na ziemi. Szofer machnął pistoletem i obaj mężczyźni zniknęli w środku.

Converse znów obejrzał się za siebie. Ogrodzenie znajdowało się w odległości około dwustu

popędzić do siatki i przejść przez płot, nim jego kaci wyjdą ze zrujnowanego budynku? Czemu nie? Mógł spróbować! Stanął na czworakach z rękami zapadającymi się w odpadki, odwrócił się i dał nurka w dół.

Rozległ się odległy trzask i krzyk. Joel odwrócił się gwałtownie i wgramolił pod górę około trzech metrów, które zdążył przebyć. Z magazynu wybiegł szofer, skręcił za róg i ruszył do drzwi, gdzie zniknął jego towarzysz. Trzymał w ręku pistolet gotowy do strzału. Wszedł ostrożnie do środka, a później krzyknął coś z wyraźnym niesmakiem. Po kilku sekundach wyszedł na dwór, podtrzymując drugiego mężczyznę. Najwyraźniej złamała się deska na schodach lub w podłodze. Jego towarzysz kulał.

Ze stacji kolejowej dobiegły dwa przeszywające gwizdy. Peron opustoszał, a tłum pasażerów znalazł się znów w wagonach. Panika minęła i maszynista postanowił

nadrobić opóźnienie z prawdziwie niemiecką determinacją. Zniknął ambulans i ostatni wóz policyjny.

Rozwścieczony szofer wymierzył swojemu towarzyszowi kilka policzków, przewracając go na ziemię. Podwładny wstał, błagając gestami o litość, a kierowca złagodniał i kazał mu stanąć na czatach pomiędzy budynkiem, wysyp iskiem śmieci a ogrodzeniem, po czym wszedł do opuszczonego magazynu.

Minęło pół godziny. Zniżające się słońce skryło się częściowo za niskimi obłokami na zachodzie, rzucając długie cienie. W końcu pojawił się szofer, który wyszedł z budynku przez niewidoczne drzwi po drugiej stronie. Przystanął na chwilę i spojrzał na zachód, za tory, gdzie rozciągały się łąki i bagniska.

Wreszcie odwrócił się, zlustrował wzrokiem przyzmy ziemi i podjął decyzję.

- Rechts tiber Ihnen! - zawołał do towarzysza, wskazując drugą przyzmy. - Hinter Ihnen! Er schiept!

Joel poczołgał się w dół po śmieciach niczym przerażony krab. W połowie drogi jego ręka uwięzła w odpadkach; szarpnął za trzymającą go pętlę, wyrwał ją z ziemi i już miał wyrzucić, gdy zobaczył, że trzyma w ręku kawałek przewodu elektrycznego. Owinął go sobie wokół dłoni i poczołgał się w dół ogarnięty paniką. Znalazłszy się dwa metry nad ziemią, zaczął szaleńczo grzebać rękoma w luźnych śmieciach. Podskoczył kilkakrotnie i w końcu utonął po szyję w masie odpadków. Zakrył sobie nimi głowę. Smród stał się wręcz nie do wytrzymania. Joel czuł, jak pod ubranie wpełzają mu owady i łażą po skórze. Ale był niewidoczny, mógł być tego pewien. Zaczął układać w sensowną całość fragmentaryczne myśli przelatujące mu przez głowę. Znalazł się z powrotem w dżungli i urządził

zasadzkę na zwiadowcę.

Mijały minuty. Cienie stawały się coraz dłuższe, aż wreszcie słońce skryło

się za pryzmą śmieci i zapadł zmrok. Converse trwał w bezruchu; napinał

Mięśnie i zgrzytał zębami, by nie machać rękoma i drapać się po całym ciele w obronie przed gryzącymi owadami. Wiedział jednak, że nie może się poru-

czyć. Lada moment miało się zacząć.

Zbliżał się finał. W polu widzenia pojawił się kulejący mężczyzna z pistoletem gotowym do strzału. Mrużąc oczy w ostatnich promieniach zachodzącego

słońca, popatrzył na szczyt pryzmy. Szedł powoli i ostrożnie, lękając się tego co kryje się w mroku. Minął Joela, a jego wyciągnięta ręka z pistoletem znalazła się zaledwie metr od twarzy Converse'a. Kolejny krok i byli na jednej linii.

Teraz! Joel rzucił się do przodu, chwycił lufę pistoletu i wykręcił ją gwałtownie w dół, zgodnie z kierunkiem ruchu wskazówek zegara. Kiedy Niemiec padał, Converse kopnął go kolaniem w nasadę nosa i ogłuszył, nim ofiara zdążyła krzyknąć. Pistolet poleciał łukiem w śmieci. Mężczyzna usiłował wstać i krzyknąć, lecz Joel skoczył nań ponownie, trzymając w obu rękach napięty kabel.

Zarzucił go Niemcowi na szyję i zacisnął wokół gardła. Zwiadowca musiał umrzeć, bo chciał go zabić! To takie proste! Nie, nie proste. Miał przed sobą żołdaka Akwitanii, śmiecia Akwitanii, który zabijał na rozkaz, słuchał rozkazów! Już nigdy nikogo nie zabije.

Mężczyzna zwiotczał, a Converse pochylił się nad nim, by odciągnąć go między odpadki, lecz zatrzymał się nagle. Musiał istnieć inny sposób, podobnie jak wiele lat temu, gdy Joel napadł w dżungli na wietnamskiego zwiadowcę. Rozejrzał

się. Około trzydziestu kilku metrów w prawo znajdował się nieregularny stos podkładów kolejowych, częściowo połamanych i tworzących niską ścianę. Mur.

Było to dość ryzykowne. Gdyby zakończywszy oględziny pierwszej pryzmy, szofer Leifhelma ruszył ku drugiej z niewłaściwej strony, ujrzałby wszystko jak na dłoni. Wysłano go do Wesel z dwóch powodów. Po pierwsze, znał Joela z widzenia, a po drugie, znalazł się przez niego w niełasce i mógł odkupić swoją winę, tylko zabijając go. W odróżnieniu od Converse'ato specjalista od walki... Czy takie myśli mają jakikolwiek sens?! Po Genewie wszystko jest przecież hazardową grą ze śmiercią.

Joel chwycił martwego Niemca pod pachy i dysząc ciężko (z jakiejś przyczyny policzył głupkowato do trzech), pociągnął zwłoki przez niebezpieczny teren.

Dotarł do stosu podkładów kolejowych i przerzucił przez niego trupa, którego pięty zatoczyły łuk i uderzyły w ziemię. Umieścił Niemca pod ścianą. Później, niewiele myśląc, działając pod wpływem

instynktu, zrobił to, o czym marzył przez ostatnią godzinę. Ukryty za podkładami, zdjął marynarkę oraz koszulę i zaczął tarzać się na ziemi, strząsając z siebie owady niczym zapchłony pies, otrzepując je z włosów i twarzy. Nie mógł na razie zrobić nic więcej - Wreszcie wczołgał się w puste miejsce między dwoma podkładami.

- Werner! Wo sind Sie?

Po chwili ukazał się szofer Leifhelma. Pojawił się na krańcu drugiego kopca, krocząc wolno z uniesionym pistoletem, stawiając ostrożnie stopy, roZglądając się na wszystkie strony niczym doświadczony zwiadowca. Converse zaczął żałować, że nie jest strzelcem wyborowym. Podczas kursu szkoleniOwego dla pilotów przeszedł obowiązkowy kurs strzelania z broni krótkiej i rzadko trafiał w cel z odległości ośmiu metrów. Drugiego żołdaka Akwitanii należało zwabić znacznie bliżej.

346

- Werner! Antworten Sie doch! - Cisza.

Szofer zaniepokoił się. Zaczął się cofać, kuląc się i obserwując górę odpadków, odgarniając nogą śmieci na swojej drodze i zerkając na boki. Joel wiedział, co musi zrobić; miał w tym doświadczenie. Należało odwrócić uwagę zabójcy, skłonić go do podejścia, a samemu się oddalić.

-

Auuuu! -jęknął przeciągle i dodał wyraźnie po angielsku: - O Boże! -

Natychmiast poczołgał się wzdłuż podkładów kolejowych i wyjrzał zza rogu z głową ukrytą w cieniu.

-

Werner! Wo sind...?!

Niemiec stał wyprostowany, szukając oczami źródła dźwięku. Nagle popędził do przodu z uniesioną bronią niczym człowiek chcący dopaść znieawidzonego wroga.

Przeczołgał się błyskawicznie przez podkłady kolejowe; trzymał pistolet w pogotowiu. Strzelił kilkakrotnie do trupa leżącego w mroku, wydając z siebie tryumfalny okrzyk zemsty.

Joel ukląkł, wycelował pistolet i nacisnął spust. Niemiec, na którego piersi wykwitła krwawa plama, spadł z podkładów na ziemię.

-

Jedni wygrywają... - szepnął Converse, przypominając sobie mężczy znę z pociągu do Emmerich, i wstał.

Znajdował się na bagnach, niósł ubranie w ręku. Przeszedł przez tory i dotarł do dzikich łąk i grzęzawisk. Otaczała go woda i nie musiał wiedzieć niczego więcej.

Woda działała oczyszczająco, czy stanowiła drogę ucieczki, czy pozwalała obmyć poranione ciało: nauczył się tego przed wielu laty. Siedział nagi na spadzistym brzegu bagniska, zdjawszy szorstki pas na pieniądze. Zastanawiał się, czy banknoty nie przemokły, lecz nie chciało mu się tego sprawdzać.

Przeszukał jednak dokładnie kieszenie ubrań zdjętych ze swoich niedoszłych katów. Nie był pewien, co przedstawia jakąś wartość. Pieniądze nie miały znaczenia, oprócz niskich nominałów, a na prawach jazdy znajdowały się fotografie zatopione w plastiku; posługiwanie się nimi było zbyt ryzykowne -

Znalazł też groźnie wyglądający nóż sprężynowy z ostrzem wysuwającym. Przez naciśnięcie guziczka na rękojeści; zatrzymał go. Ponadto tanią zapalniczkę gazową, grzebień i dwa dezodoranty do ust w sprayu. Resztę stanowiły rzeczy osobiste: klucze, talizman z czterolistną koniczyną, fotografie w portfelach -

lecz nie chciał ich oglądać. Śmierć to śmierć, a wróg nie różni się w niej od przyjaciela. Najbardziej interesowała go odzież. Wykorzystywał ją JUŻ przed laty w dżungli. Wcisnął się w obszarpany mundur zwiadowcy i dwukrotnie nad wąską rzeką nie zastrzelili go nieprzyjacielscy żołnierze, którzy zauważyli go na drugim brzegu. Pomachali mu rękami.

Wybrał najbardziej pasujące części ubrań i włożył je; resztę wrzucił do bagna.

Na pewno nie wyglądał już na roztargnionego profesora uniwersytetu, 347

którym usiłował stać się w Bonn. Teraz zapewne wzięto by go za pracującego na Renie, topornego marynarza lub bosmana z barki. Włożył płaszcz szofera, jego ciemną zgrzebną marynarkę oraz błękitną dzjnsową koszulę z dwiema przestrelami i namiami, z których sprął krew. Brązowe sztruksowe spodnie bez kantów, nieco rozszerzane u dołu i na szczęście zakrywające kostki, należały do podwładnego kierowcy. Żaden z mężczyzn nie nosił kapelusza, a Joel zgubił swój na śmietniku. Zamierzał znaleźć, kupić lub ukraść inny. Musiał to zrobić, bez kapelusza lub czapki zakrywającej część twarzy czuł się nagi i bezbronny.

Kiedy słońce skryło się za niewidzialnym horyzontem, leżał na wznak na suchej dzikiej trawie i spoglądał w niebo.

Rozdział 24

Bodajby to!... - zawołał czcigodny starszy pan z bujną szopą siwych włosów, unosząc ze zdumieniem

mlecznobiałe brwi. - Toż to syn Molly Washburn!

-

Słucham? - odezwał się oficer wojsk lądowych przy sąsiednim stoliku pod ścianą w restauracji Am Tulpenfeld w Bonn. - Czyżbyśmy się znali?

-

Chyba mnie pan nie pamięta, panie majorze... Proszę wybaczyć, że przerywam. - Południowiec skierował swoje przeprosiny do towarzysza ma jora po drugiej stronie stołu, łysiejącego mężczyzny w średnim wieku, który mówił po angielsku z wyraźnym niemieckim akcentem. - Molly nigdy nie wybaczyłaby swojemu staremu znajomemu z Georgii, gdyby nie przywitał się z jej synem i nie zafundował mu drinka.

-

Przykro mi, ale jakoś sobie pana nie przypominam - rzekł uprzejmie, choć bez entuzjazmu Washburn.

-

Na pana miejscu też bym sobie nie przypominał, młodzieńcze. Wiem, że brzmi to trochę protekcyjnie, ale poznaliśmy się, gdy był pan jeszcze szkrabem. Kiedy widziałem pana po raz ostatni, miał pan na sobie niebieski dres i wściekał się z powodu przegranego meczu piłkarskiego. Zdaje się, że obarczał pan winą lewe skrzydło, zresztą słusznie, bo wszystkiemu zawsze winna jest lewica.

Major i jego towarzysz roześmieli się z uznaniem.

-

Wielki Boże, to stare dzieje! Chodziłem wtedy do szkoły w Dalton.

- I był pan kapitanem drużyny, jak sobie przypominam.

-

Jak pan mnie, u licha, poznał?

-

Któregoś dnia odwiedziłem pańską mamę w domu w Southampton. JeSt z pana dumna i ma w bawialni kilka pańskich fotografii. Są bardzo ładne.

-

No tak, stoją na pianinie.

- W srebrnych ramkach na honorowym miejscu.
- Nie pamiętam, niestety, pańskiego nazwiska.
- Thayer, Thomas Thayer albo po prostu stary T.T., jak mnie nazywa pańska matka. , .

Dwaj mężczyźni wymienili uścisk dłoni.

- Cieszę się, że znów pana spotkałem - odezwał się Washburn i wskazał swego towarzysza. - Poznajcie się, panowie. To Herr Schnidler. Pośredniczy między naszą ambasadą a niemieckimi środkami masowego przekazu.

-

Miło mi pana poznać, Herr Schnidler.

-

Cała przyjemność po mojej stronie, Herr Thayer.

-

Skoro już mówimy o ambasadzie, obiecałem Molly zadzwonić do pana po przylocie do Bonn. Słowo daję, zrobiłbym to jutro, bo dziś walczę ze skutkami zmiany czasu. Co za fantastyczny przypadek, prawda? Znaleźliśmy się w tej samej restauracji przy sąsiednich stolikach!

-

Herr Major, dwóch ludzi znających się od tak dawna musi mieć wiele do wspominania - przerwał uprzejmie Niemiec. - A ponieważ właściwie za kończyliśmy nasze sprawy, chyba już sobie pójdę.

-

Ależ proszę zostać, panie Schnidler! - sprzeciwił się Thayer. - Po prostu nie mogę na to pozwolić!

-

Nie, naprawdę czas już na mnie. - Niemiec uśmiechnął się. - Widzi pan, major Washburn czuł się zobowiązany zaprosić mnie na kolację po tych wszystkich okropnościach, którymi zajmujemy się

przez kilka ostatnich dni, ale szczerze mówiąc, czuję się już trochę zmęczony. Jestem znacznie starszy od niego i nie mam takiej odporności. Pora spać, Herr Thayer. Proszę mi wie rzyć.

-

Mam pewien pomysł, panie Schnidler. Jest pan zmęczony, a ja po pod róży czuję się pod psem, więc może byśmy zostawili tu tego młodzieniaszka i obaj poszli grzecznie do łóżek?

-

Tym razem to ja nie mogę na to pozwolić. - Niemiec wstał od stołu i wyciągnął rękę do Thayera. Wymienili uściski dłoni, po czym Schnidler zwrócił się do Washburna i również uściśnął mu rękę. - Zatelefonuję do ciebie rano, Normanie.

-

W porządku, Gerhart... Dlaczego od razu nie wspomniałeś, że jesteś zmęczony?

-

Żeby urazić jednego ze swoich najlepszych klientów? Bądź rozsądny, Normanie. Dobranoc, panowie.

Niemiec znów się uśmiechnął i odszedł.

- Zdaje mi się, że jesteśmy na siebie skazani, młody człowieku - odezwał się południowiec. - Nie przesiadłby się pan do mojego stolika, żeby zaoszczędzić ambasadzie parę dolarów?

- Zgoda - odparł Washburn; wstał z kieliszkiem w rękę i przecisnął się między stołami do krzesła naprzeciwko Thayera. Usiadł. - Jak się czuje matka?

Nie dzwoniłem do niej od dwu tygodni.

349

- Molly nigdy się nie zmienia, mój chłopcze. Zawsze daje sobie radę, nie muszę panu tego mówić. Wygląda tak samo jak przed dwudziestu laty. Słowo daję, nie wiem, jak ona to robi!

- I na pewno panu nie powie!

Obaj mężczyźni roześmieli się, a południowiec uniósł kieliszek, proponując toast. Szkło stuknęło o siebie z łagodnym brzękiem. Taki był początek.

Converse czekał w ciemnym wejściu do sklepu na obskurnej uliczce w Emmerich. Po drugiej stronie

jezdni paliły się mdłe światła taniego hoteliku z mało zachęcającymi, brudnymi drzwiami. Mimo to, jeśli będzie mieć szczęście za kilka minut wynajmie tutaj pokój. Pokój z miednicą w rogu, a może nawet z gorącą wodą do przemycia rany przed zmianą opatrunku. Dwie ostatnie noce dowiodły, że może przebywać tylko w takich miejscach. Nie zadawano tam żadnych pytań i wręcz spodziewano się fałszywego nazwiska na karcie meldunkowej. Jednakże nawet najbardziej małomówny portier stanowił groźbę. Kiedy Joel otwierał usta, każdy natychmiast się orientował, że jest Amerykaninem i nie zna niemieckiego.

Krążąc po labiryncie ulic pełnych ludzi, czuł się jak głuchoniemy. Był taki bezradny, taki cholernie bezradny! Zabójstwa w Bonn, Brukseli i Wesel uczyniły podejrzanym każdego Amerykanina po trzydziestce. Atmosferę powszechnego niepokoju potęgowały sensacyjne domysły, że psychopacie pomagają, a może i nim kierują organizacje terrorystyczne: grupa Baader-Meinhof, OWP, Libijczycy, a nawet grupy destabilizacyjne KGB, które przerzuciła na Zachód budząca groźbę Wojennaja. W całej Europie trwały wielkie łowy, a wczorajszy "International Herald Tribune" powtarzał pogłoskę, że Joel zmierza do Paryża-co znaczyło, że generałowie Akwitania chcą, by poszukiwania koncentrowały się na Paryżu, a nie w rzeczywistym miejscu pobytu Converse'a, gdzie ich podwładni mogli go osaczyć, pojmać i zabić.

Aby zatrzeć za sobą ślady, musiał zadawać się z mętami społecznymi, więc obskurny hotelik pociągał go znacznie bardziej niż Waldorf-Astoria. Musiał

zniknąć. Wszędzie roiło się od pułapek. Pierwszej nocy w Wesel przypomniał sobie studenta Johanna i szukał sposobu, by stworzyć podobną sytuację. Młodzi ludzie nie byli tak podejrzliwi, a ich wątpliwości zagłuszała pustka w kieszeni i obietnica natychmiastowej nagrody.

Co dziwne, pierwsza noc w Wesel okazała się zarówno najtrudniejsza, jak i najłatwiejsza. Trudna, bo Joel nie miał pojęcia, czego szukać, łatwa zaś, gdyż wszystko przebiegło tak szybko i logicznie. Wstąpił do apteki, by kupić bandaż, plaster, środek dezynfekujący i tanią czapkę z daszkiem. Później poszedł do męskiej toalety w kawiarni, gdzie umył twarz i zmienił opatrunek na ramie' niu, obwiązując je ciasno bandażem. Kończył właśnie, gdy nagle usłyszał znajomą piosenkę śpiewaną z emfazą przez młodzieńcze ochryple głosy:

- "Wisconsin... Wisconsin... do zwycięstwa... naprzód marsz!

350

Grupa amerykańskich studentów z Towarzystwa Przyjaciół Niemiec pedałowala rowerami po północnej Nadrenii. Converse podszedł bezceremonialnie do młodego człowieka kupującego w barze kilka kufli piwa i przedstawivszy się jako zmęczony i zawstydzony Amerykanin, opowiedział wstrząsającą historię o tym, jak skorzystał z usług kurwy i został obrabowany przez alfonsa, który ukradł mu paszport, lecz nie zauważył pasa na pieniądze. Joel jest szanowanym biznesmenem, który musi odespać przygodę, zebrać myśli i wrócić do swojej firmy w Nowym Jorku. Jednakże nie zna

niemieckiego. Czy student nie znalazłby mu pokoju za sto dolarów?

Młody człowiek chętnie się zgodził. Przecznicę dalej znajdował się obskurny hotelik, gdzie nie zadawano żadnych pytań. Cyklista wynajął pokój, a później oddał rachunek i klucz Converse'owi, który czekał na ulicy.

Cały poprzedni dzień Joel wędrował drogami wzdłuż torów kolejowych, aż dotarł do miasteczka Halden. Było mniejsze od Wesel, ale na wschód od torów znajdowała się obskurna dzielnica przemysłowa. Jedynym "hotelem", jaki zdołał znaleźć, okazał

się duży, odrapany dom na rogu. W dwóch oknach na parterze znajdowały się wywieszki z napisem: Zimmer, 20 Mark, to samo głosił szyld nad drzwiami. Nieco dalej, w świetle latarni ulicznej, starsza kobieta toczyła gorący spór z młodym mężczyzną. W oknach na górze widać było kilku sąsiadów z łokciami na parapetach, przysłuchujących się kłótni. Po chwili Joel usłyszał słowa wykrzykiwane po angielsku z chropawym niemieckim akcentem:

-

Nienawidzę Ameryki! Das habe ich ihm gesagt! Nie chcę mieszkać w Ameryce, Onkel! Wróć do Niemiec! Może wstąpię do Baader-Meinhof?

Das habe ich ihm gesagt!

-

Narr! - wrzasnęła kobieta, odwróciła się i weszła po schodkach. - Schwe-inehund! - ryknęła i zniknęła w domu, trzaskając drzwiami.

Młody człowiek spojrział na widownię w oknach i wzruszył ramionami. Kilku sąsiadów zaczęło bić brawo, więc złożył im karykaturalny dworski ukłon. Cóż szkodzi spróbować? - pomyślał Converse i podszedł do niego.

-

Mówi pan bardzo dobrze po angielsku - rzekł.

-

Nic dziwnego - odparł Niemiec. - Od pięciu lat zaopatruję korepetytora w mięso w zamian za lekcje. Każą mi zostać u jej brata w Ameryce. Ja mówię

"e!", a oni ja. Nienawidzę Ameryki!

-

Przykro mi to słyszeć. Jestem Amerykaninem i lubię Niemców. Gdzie Pan mieszka?

-

W Yorktown.

-

W Wirginii?

-

Nein! W Nowym Jorku.

-

Ach, w tym Yorktown!

- Ja, mój wuj ma dwa sklepy rzeźnicze w Yorktown w Nowym Jorku. Jak mówią w Ameryce!

- Przykro mi. Dlaczego?

351

-

Die Schwarzen und die Juden! Jak się mówi z niemieckim akcentem, tną człowieka nożami, a Żydzi oszukują przy wydawaniu reszty. Nazywają mnie Heinie albo nazistą. Powiedziałem raz Żydowi, że mnie oszukał (byłem miły i zachowywałem się bardzo grzecznie), a on kazał mi się wynosić, bo inaczej zawoła gliny! Nazwał mnie shit! Jak się nosi dobry niemiecki garnitur i wydaje dobre niemieckie pieniądze, nie słyszy się takich rzeczy. Ale biedny masarz, c o chce się

czegoś nauczyć, dostaje zawsze kopa w dupę! Co ja wiem o nazistach?! Mój Oj.

ciec był za młody, by być kimś więcej niż czternastoletnim poborowym. Shit!

-

Przykro mi, powtarzam. Mówię szczerze. Nigdy nie obwiniamy dzieci o grzechy rodziców, to nie leży w naszej naturze.

-

Shit!

-

Czy mógłbym zrewanżować się panu za przykrości doznane w Ameryce? Mam kłopoty, bo

postąpiłem jak głupiec. Ale zapłacę panu sto dolarów...

Młody Niemiec chętnie wynajął Converse'owi pokój w pensjonacie, niewiele lepszy od tego w Wesel, choć woda była bardziej gorąca, a toaleta znajdowała się bliżej drzwi.

Dzisiejsza noc będzie inna, pomyślał Joel, patrząc przez ulicę na obskurny hotelik w Emmerich, który nie zapisał się niczym w historii miasta. Dzisiejszej nocy przedostanie się do Holandii. Do Corta Thorbecke'a i samolotu do Waszyngtonu.

Kolejny człowiek, którego udało mu się nakłonić do współpracy, był nieco starszy od poprzednich. Służył na frachtowcu w Bremerhaven i przyjechał do Emmerich w obowiązkowe odwiedziny do rodziców, z którymi stosunki układały mu się nie najlepiej. Złożył wymaganą wizytę, wysłuchał ostrej reprymendy matki i ojca po czym wrócił tam, gdzie czuł się jak u siebie w domu, czyli do baru nad rzeką.

I znów, podobnie jak w Wesel, Joela zainteresowała piosenka śpiewana przez młodego marynarza stojącego przy szynkwasiu z gitarą w ręku. Nie był to tym razem szkolny hymn piłkarski, tylko ballada po angielsku, dziwna, wpadająca w ucho mieszanina rocka i smutnego madrygału.

"Kiedy spadłeś nareszcie... kiedy dotknąłeś ziemi, czy wiedziałeś, gdzie jesteś? .. Kiedy stałeś się prawdą, czy umiałeś jej dotknąć, czy poznałeś jej sens.. •?"

Piosenka skupiła uwagę mężczyzn siedzących w barze. Gdy marynarz skończył, rozległy się pełne szacunku oklaski, po czym znów zapanował gwar, przerywany brzękiem szybko opróżnianych kufli piwa. Converse stanął po chwili koło morskiego trubadura, który przewiesił gitarę przez ramię niczym karabin. Joel zastanawiał się, czy marynarz potrafi mówić po angielsku, czy zna jedynie teksty piosenek. Za chwilę miał się o tym przekonać. Młody człowiek roześmiał się z żartu swojego towarzysza.

-

Chciałbym postawić panu drinka - odezwał się Joel, kiedy śmiech ucichł.

- Przypomniał mi pan o kraju rodzinnym. To ładna ballada.

Marynarz spojrzał pytająco na Joela, który zawahał się, myśląc, że Niemiec nie rozumie. Wreszcie, ku uldze Converse'a, odpowiedział: 352

-

Danke. To dobra piosenka. Smutna, ale dobra, podobna do niemieckich, jest pan Amerykaninem?

- Tak. A pan mówi po angielsku.

-

Mówię. Czytam źle, ale umiem mówić. Pływam na frachtowcu. Zawija-my do Bostonu, Nowego Jorku, Baltimore, czasami do portów na Florydzie.

-

Czego się pan napije?

-

Ein Bier - odparł marynarz, wzruszając ramionami.

-

Czemu nie whisky?

-Ja?

-

Proszę się nie krępować.

-Ja.

Niebawem usiedli przy stoliku. Joel opowiedział historyjkę o nieistniejącej prostytutce i fikcyjnym sutenerze. Mówił powoli, nie ze względu na trudności językowe słuchacza, ale dlatego, że przyszedł mu do głowy pewien pomysł.

Marynarz z gitarą był młody, lecz wyglądał na otrząskanego z morzem, co sugerowało, że zna doki, porty i różne podejrzane interesy kwitujące w owym niezwykłym świecie.

-

Powinien pan pójść na Polizei - rzekł młody człowiek, gdy Converse skończył. - Znają miejscowe kurwy i nie podadzą prasie pańskiego nazwiska.

- Uśmiechnął się. - Chcemy, żeby znów przyjechał pan do Niemiec i wydał więcej pieniędzy.

-

Wolę nie ryzykować. Pomimo swojego wyglądu mam do czynienia z wieloma ważnymi ludźmi, tu i w Ameryce.

-

Czyli sam pan jest ważny, ja?

- I bardzo głupi. Ale wszystko dałoby się załatwić, gdybym tylko się przedostał do Holandii.

-

Die Niederlande? Co za problem?

-

Mówiłem panu, ukradli mi paszport. A na dodatek mam pecha. Na granicy sprawdzają dokładnie wszystkich Amerykanów, wie pan, przez tego świ ra, co zabił ambasadora w Bonn i dowódcę NATO.

- I kogoś w Wesel przed paroma dniami - dokończył Niemiec. - Podobno wybiera się do Paryża.

-Niewiele mi to pomoże... Proszę posłuchać, zna pan ludzi pracujących na rzece, a każdego dnia odpływają jakieś barki. Obiecałem panu sto dolarów za znalezienie mi hotelu...

-Zgodziłem się, mein Herr. Hojny z pana człowiek.

-

Zapłacę panu znacznie więcej, jeśli przesmugluje mnie pan jakoś do Holandii. Widzi pan, moja firma ma biuro w Amsterdamie. Mogą mi pomóc.

Co pan na to?

Niemiec skrzywił się i spojrział na zegarek.

-

Za późno na takie sprawy, a jutro rano mam pociąg do Bremerhaven.

Mój statek odpływa o piętnastej.

-

Proponuję tysiąc pięćset.

-

Deutsche Mark?

-

Dolarów.

-

Jest pan większym wariatem niż pański Landsmann, co zabija wojskowych. Gdyby znał pan niemiecki, kosztowałoby to najwyżej pięćdziesiąt.

-

Nie znam niemieckiego. Jeśli potrafi pan mi pomóc, dostanie pan ode mnie tysiąc pięćset dolarów.

Młody człowiek spojrzał twardo na Converse'a, po czym odsunął krzesło i wstał.

-

Niech pan zaczeka. Muszę zatelefonować.

-

Wracając, proszę przynieść jeszcze trochę whisky.

Oczekiwanie nie było ani przyjemne, ani nieprzyjemne: pustka wypełniona niespokojnymi myślami. Joel popatrzył na odrapaną gitarę leżącą w poprzek na dostawionym krześle. Jak brzmiały słowa? "Kiedy spadłeś nareszcie, kiedy dotknąłeś ziemi, czy wiedziałeś, gdzie jesteś? Kiedy stałeś się prawdą, czy umiałeś jej dotknąć, czy poznałeś jej sens...?"

-

Wpadnę po pana o piątej rano - stwierdził młody marynarz, siadając naprzeciwko z dwiema szklaneczkami whisky. - Kapitan chce dwieście dola rów, ale pod warunkiem że nie szmugluje pan narkotyków. Jeśli tak, nie ma pan wstępu na pokład.

-

Nie wiozę narkotyków - rzekł z uśmiechem Converse, usiłując ukryć radość. - Załatwione, zarobił pan swoje pieniądze. Zapłacę panu w porcie albo na nabrzeżu.

-

Natiirlich.

Wszystko zdarzyło się zaledwie godzinę temu, pomyślał Joel, obserwując wejście do hotelu po

przeciwnej stronie ulicy. Dzisiejsza noc jest inna. O piątej rano będę w drodze do Holandii, Amsterdamu, gdzie mieszka Cort Thorbecke, handlarz fałszywymi paszportami polecony przez Mattilona. Akwitańczycy będą sprawdzać listy pasażerów wszystkich samolotów lecących do Stanów, lecz przed wielu laty Joel nauczył się wymykać tropiącym. Uciekł z głębokiego, mokrego dołu w ziemi i przeszedł w mroku ogrodzenie z drutu kolczastego. Wymknie się i tym razem.

Pod słabo oświetlonym daszkiem hotelu pojawiła się postać mężczyzny. Młody marynarz uśmiechnął się szeroko i skinął na Converse'a, by podążył za nim.

-

Boże drogi, Norman, co się z panem dzieje?! - zawołał Thayer, gdy Washburn zaczął wić się nagle z bólu, chwytając drżącymi wargami powietrze.

-Nie... nie wiem...

Major miał wytrzeszczone, nieprzytomne oczy.

-

Może to Heimlich! - zawołał południowiec, wstał i podszedł szybko do Washburna. - Do licha, nie! Niczego pan przecież nie jadł!

Pary przy sąsiednich stolikach jeły okazywać zaniepokojenie, mówiąc głośno po niemiecku. Thayer odwrócił się do gościa, który wypowiedział jakąś uwagę.

354

-

Das glaube ich nicht - rzekł. - Mein Wagen steht draussen. Ich kenne einen Arzt.

Madbiegł maitre d'hotel, który zobaczył, że zamieszanie wywołali Amerykanie, i spytał z niepokojem po angielsku:

-

Czy pan major zachorował, mein Herr! Może spytać, czy na sali jest...

-

Żadnych lekarzy, których nie znam! - przerwał Johnny Reb, pochylony nad charge d'affaires, który oddychał głęboko z zamkniętymi oczyma, kołysząc głową. - To syn Molly Washburn i osobiście

załatwię mu najlepszego medyka w Bonn! Przed restauracją stoi moja limuzyna. Gdyby dwóch pańskich kelne rów pomogło mi zanieść pana majora do auta, zawiózłbym go do swojego znajomego. To świetny specjalista. W moim wieku muszę mieć ich zawsze pod ręką.

-

Bestimmt. Ma się rozumieć!

Maitre d'hotel strzelił palcami i natychmiast pojawiło się trzech kelnerów.

-

Ambasada... ambasada...! - wykrztusił błagalnie Washburn, gdy trzech mężczyzn nieśli go do drzwi restauracji.

-

Nie martw się, Normanie! - odpowiedział południowiec, idący z tyłu razem z maitre d'hotel. - Zatelefonuję do nich z samochodu i każę przyjechać do willi Rudiego. - Thayer zwrócił się do Niemca. - Wie pan, co myślę? Ten wspaniały żołnierz po prostu zamęczył się na śmierć. Pracuje bez przerwy od świtu do zmroku. Wyobraża pan sobie, ile miał ostatnio roboty?! Ten wściekły pies jeździ po całej Europie i zabija ludzi, najpierw ambasadora, a później tego ważniaka z Brukseli! Syn Molly jest tu charge d'affaires, wie pan?

-

Tak, często mamy zaszczyt gościć pana majora.

-

Ba, nawet najbardziej szanowani ludzie mogą czasami powiedzieć: "Do licha, muszę trochę odsapnąć!"

-

Nie bardzo rozumiem, mein Herr.

-Znam tego wspaniałego chłopaka, odkąd nosił koszulę w zębach, i wiem, że nigdy nie potrafił panować nad sobą, gdy chodziło o whisky.

-

Doprawdy? - Maitre d'hotel spojrział na Johnny'ego Reba niczym nałowiony plotkarz słyszący nową, ciekawą tajemnicę.

-

Między nami mówiąc, wypił kapkę za wiele, to wszystko.

-

Jest chyba nieprzytomny...

-

Zaczął odbijać korki już wczesnym popołudniem. - Dotarli do wyjścia, a trzech kelnerzy ostrożnie wynieśli Washburna na ulicę. - Ale czyż nie zasłużył

sobie na to, jak pan sądzi?

Thayer wyciągnął portfel.

-

Ja, ma pan rację.

-

Proszę - rzekł południowiec, wyjmując kilka banknotów. - Nie zdąży łem wymienić pieniędzy, więc daję panu sto dolarów. Powinno to wystarczyć na pokrycie rachunku i na napiwki dla kelnerów... A to drugie sto dla pana, żeby trzymał pan język za zębami, verstehen?

-

Naturalnie, mein Herr. - Niemiec schował oba banknoty do kieszeni, uśmiechając się służalczo i kiwając głową. - Nie powiem nikomu ani słowa!

355

-

Może to zresztą przesada? W końcu nic by się chyba nie stało, gdyby nasz chłoptaś się zorientował, że kilku ludzi wie, iż trochę sobie gołnął. Roz luźniłby się tylko i wcale by mu to nie zaszkodziło. Niech pan mrugnie do niego, jak przyjdzie następnym razem.

-

Mru... mruknie?!

-

Uśmiechnie się przyjaźnie, dając do zrozumienia, że nic się nie stało. Verstehen Sie?

-Ja, ma pan rację! Przecież zasłużył na to!

Znalazłszy się na ulicy, Johnny Reb kazał kelnerom umieścić majora Normana Anthony'ego Washburna na tylnym siedzeniu limuzyny. Charge d'affaires leżał

nieprzytomny z twarzą zwróconą w stronę aksamitnego sufitu. Południowiec nagroził każdego z kelnerów dwudziestodolarowym napiwkami i odprawił ich.

Wreszcie odezwał się do dwóch mężczyzn na przednim siedzeniu, nacisnąwszy guzik, by usłyszeli go za szklaną szybą.

-

Rozłożyłem składane siedzenia - rzekł, zasłaniając okna aksamitnymi firankami. - Jest nieprzytomny. Proszę przejść do tyłu, doktorku. A ty, Klaus, zabierz nas na długą piękną przejażdżkę.

Po kilku minutach limuzyna wjechała w boczną wiejską drogę. Zapalono górne światło, a lekarz, ciemnoskóry Palestyńczyk, rozpiął Washburnowi pasek od spodni, spuścił je i przewrócił charge d'affaires na brzuch. Odnalazł właściwe miejsce u podstawy kręgosłupa i uniósł strzykawkę z igłą.

-

Gotowe, stary? - spytał, ściągając majorowi majtki.

-

Tak, Pookie - odparł Johnny Reb, kładąc na siedzeniu niewielki magne tofon. - Schowałem tę zabawkę w miejscu, gdzie nikt nie znajdzie jej przez tydzień, jeśli w ogóle znajdzie. Twoja kolej, Arabie. Chcę, żeby zaczął fruwać.

Lekarz wbił w skórę długą igłą i powoli nacisnął kciukiem tłoczek.

-

To nie potrwa długo - stwierdził. - Dostał dużą dawkę. Widywałem już pacjentów, którzy zaczęli gadać, nim śledczy był gotów.

-

Jestem gotów.

-

Naprowadź go natychmiast na właściwy temat. Zadawaj bezpośrednie pytania, postaraj się skupić jego uwagę.

-

Zrobię to, obiecuję. To zły człowiek, Pookie. Brzydki chłopczyk, który opowiada bajeczki o dużym rekinie, co zerwał się z haka. - Południowiec chwycił nieprzytomnego Washburna za lewy bark i pociągnął, sadzając na przeciwko siebie. - W porządku, musimy pogadać, syneczku. Jak śmiałeś po rywać komandora amerykańskiej marynarki wojennej?! Gdzie jest Fitzpatrick?

Connal Fitzpatrick, chłopcze! Fitzpatrick, Fitzpatrick, Fitzpatrick! No, syneczku,

powiedz tatusiowi, bo nie masz nikogo innego! Twoi kumple cię opuścili! Za łatwili cię na amen, syneczku! Kazali ci skłamać publicznie, więc cały świat wie, że skłamałeś! Ale tatuś potrafi to naprawić! Tatuś wszystko załatwi i dojdiesz na samą górę! Kolegium Szefów Sztabów! Będziesz najważniejszy.

Tatuś to twój cycuszek, syneczku! Ssij go albo koniec z tobą! Gdzie ukryliście Fitzpatricka? Gdzie jest Fitzpatrick! Fitzpatrick!

356

Washburn wił się na siedzeniu, rzucając głową w obie strony, z kącików ust ciekły mu strużki śliny.

- Scharhorn, wyspa Scharhörn... Zatoka Helgolandska... - wykrztusił.

Caleb Dowling był nie tylko wściekły; miał mętlik w głowie. Pomimo tysięcy wątpliwości nie mógł zapomnieć o całej sprawie. Zbyt wiele rzeczy nie miało sensu, a zaliczał się do nich także fakt, że od trzech dni stara się na próżno o widzenie z tymczasowym ambasadorem. Attache odpowiedzialny za rozkład dnia twierdził, że zamieszanie panujące po zabójstwie Peregrine'a uniemożliwia w tej chwili audiencję. Może za tydzień... Bez owijania w bawełnę: "Odczep się, aktorzyno, bo mamy sprawy ważniejsze od ciebie!" Usiłowano go powstrzymać, odsunąć w cień, posługując się frazesami, jakie należą się osobie sławnej, lecz pozbawionej znaczenia. Arogancy, zabiegani dyplomaci niewątpliwie kwestionowali inteligencję i motywy Dowlinga. A może robił to ktoś inny?

Właśnie dlatego siedział teraz w ciemnym barze w hotelu Konigshof. Dowiedział

się nazwiska sekretarki Peregrine'a, niejkiej Enid Heathley, i wysłał do ambasady kaskadera Moose'a Rosenberga z zapieczętowanym listem od rzekomego bliskiego przyjaciela panny Heathley w Stanach. Moose otrzymał polecenie oddać list do rąk własnych, a jego olbrzymi wzrost spowodował, że nikt w recepcji wolał się z nim nie sprzeczać. Panna Heathley zjechała na dół osobiście.

Wiadomość była krótka i rzeczowa:

Droga Panno Heathley!

Musimy jak najszybciej się spotkać w bardzo ważnej sprawie. Dziś wieczorem o siódmej trzydzieści

przyjdę do baru hotelu Konigshof. Zapraszam Panią na drinka (o ile Pani się zgodzi), ale proszę nikomu o tym nie wspominać. Nikomu, błagami Łączę wyrazy szacunku C. Dowling

Była siódma trzydzieści osiem i Caleb zaczął się niepokoić. W ciągu kilku ostatnich lat przyzwyczał się, że nikt nie spóźnia się na spotkania ani wywiady; była to kolejna drobna korzyść ze sławy jako Pa Racht. Jednakże sekretarka mogła nie chcieć się z nim widzieć z kilku powodów. Wiedziała, że przyjaźnił się z Peregrine'em, lecz aktorzy potrafili szukać rozgłosu poprzez udział w wydarzeniach, którymi nie powinni się interesować, pozując do zdjęć z Politykami i mężami stanu, choć nie potrafiliby przekonująco uzasadnić, dlaczego zniesiono niewolnictwo. Do licha, miejmy nadzieję...

Pojawiła się. Próg przekroczyła kobieta w średnim wieku i zaczęła się rozglądać po słabo oświetlonym barze. Zbliżył się do niej maitred 'hotel, który Zaprowadził ją do stolika Dowlinga.

357

-

Dziękuję, że pani przyszła - rzekł Caleb, wstając z krzesła. - Nie zapraszam pani, gdybym nie uważał tego za konieczne.

-

Domyśliłam się tego po tonie pańskiego listu - odparła sekretarka, kobieta o miłej powierzchowności, lekko siwiejących włosach i inteligentnym spojrzeniu.

Dowling zamówił dla niej drinka i zaczął zabawiać ją rozmową.

-

Na pewno nie jest pani łatwo - odezwał się.

-

Owszem - zgodziła się panna Heathley. - Byłam sekretarką pana ambasadora od prawie dwudziestu lat. Mówił, że tworzymy zgrany zespół, a poza tym jestem bliską przyjaciółką Jane, to znaczy pani Peregrine. Powinnam być teraz z nią, ale powiedziałam, że muszę załatwić coś nagłego w biurze.

-

Jak się czuje?

-

Oczywiście jest w szoku, ale przyjdzie do siebie. Jest silna. Walter lubił

się otaczać silnymi kobietami. Uważał, że nie powinien ukrywać swojej wartości.

-

Podoba mi się to, panno Heathley.

Kelner przyniósł drinka i oddalił się, a sekretarka spojrzała pytająco na Caleba.

-

Proszę mi wybaczyć, panie Dowling, nie jestem niestety wierną wielbi cielką pana serialu, choć oczywiście widziałam kilka odcinków. Kiedy idzie się na przyjęcie i zbliża się magiczna godzina, życie wręcz zamiera.

-

Uważam, że nie świadczy to dobrze o smaku gospodarzy.

Kobieta uśmiechnęła się.

-

Jest pan zbyt skromny, ale nie o to mi chodzi. Mówi pan inaczej niż postać z ekranu.

-

Bo nią nie jestem, panno Heathley - odparł były profesor uniwersytetu z poważnym wyrazem twarzy, uważnie patrząc kobiecie w oczy. - Mam pewne cechy Pa Racheta, gdyż wyrażam ową fikcję, lecz na tym podobieństwo się kończy.

-

Rozumiem. Celnie pan to ujął.

-

Mam w tym praktykę. Ale nie zaprosiłem pani, by teoretyzować na temat sztuki aktorskiej. To temat interesujący wąski krąg ludzi.

-

Więc czemu mnie pan zaprosił?

-

Bo nie wiedziałem, do kogo się zwrócić. A właściwie wiedziałem, tylko nie mogłem się do niego

dostać.

-

Kto to?

-

Tymczasowy ambasador, który przyleciał z Waszyngtonu.

-

Ma mnóstwo...

-

Trzeba go poinformować - przerwał Caleb. - Ostrzec.

-

Ostrzec?! - Kobieta zrobiła wielkie oczy. - Przed spiskiem na jego życie?! Nowym zabójstwem?! Tym maniakiem, Converse'em?!

-

Panno Heathley - rzekł cicho aktor, prostując się na krześle. - To, co powiem, może panią zaszokować, a nawet urazić, ale jak już wspomniałem, jest pani jedynym pracownikiem ambasady, do którego mogę się zwrócić. Wiem jednak, że są tam ludzie, z którymi wolałbym nie rozmawiać.

- O czym pan mówi?

- Nie uważam Converse'a za maniaka i nie wierzę, że zamordował Waltera Peregrine'a.

-

Co takiego?! Chyba nie mówi pan poważnie! Zna pan opinie psychia trów o jego niezrównoważeniu, prawda? Był ostatnim człowiekiem, który wi dział Peregrine'a żywego. Potwierdził to major Washburn!

-

Major Washburn to właśnie jeden z ludzi, z którymi wolałbym nie mieć do czynienia.

-

Uchodzi za jednego z najlepszych oficerów armii Stanów Zjednoczo nych - zaproponowała sekretarka.

-

Jak na oficera ma dość dziwny stosunek do rozkazów swoich przełożonych. W zeszłym tygodniu zaprowadziłem Peregrine'a na spotkanie z pewnym człowiekiem. Człowiek ten rzucił się do ucieczki, a Walter kazał majorowi go zatrzymać. Zamiast tego Washburn próbował go zabić.

-

Ach, nareszcie rozumiem! - stwierdziła nieprzyjemnym tonem Enid Heathley. - Tamtej nocy zaaranżował pan spotkanie z Converse'em. To pan, przypominam sobie! Wspomniał mi o tym ambasador Peregrine. O co panu właściwie chodzi, panie Dowling? Usiłuje się pan zabezpieczyć? Boi się pan odpowiedzialności i tego, że pańska popularność spadnie na łeb, na szyję?

Czy tak się to mówi? Mierzi mnie ta rozmowa.

Odsunęła krzesło, szykując się do wstania.

-

Walter Peregrine był człowiekiem słownym, panno Heathley - rzekł

Caleb, nie ruszając się z miejsca. - Zgodzi się pani ze mną, prawda?

- I cóż z tego?

-

Obiecał mi coś. Przyrzekł, że jeśli Converse skontaktuje się z nim i po prosi o spotkanie, zabierze mnie ze sobą. Mnie, panno Heathley, a nie majora Washburna, którego zachowanie tamtej nocy koło uniwersytetu zdumiało nas obu równie mocno.

Sekretarka nie ruszyła się z miejsca. W jej zmrużonych oczach pojawiła się troska.

-

Rzeczywiście, był nazajutrz trochę zdenerwowany - rzekła cicho.

-

Lepiej powiedzieć: wściekły jak licho. Uciekał nie Converse, tylko ktoś inny, również zdrowy na umyśle, kto mówił poważnie, tonem człowieka przy wykładzie do wydawania rozkazów. Prowadzone było, albo jest, jakieś tajne śledztwo dotyczące ambasady. Peregrine nie miał pojęcia, o co chodzi, ale chciał

się dowiedzieć. Wspomniał, że zamierza zadzwonić do Waszyngtonu z telefo -

nu szyfrowego. Nie znam się na technice, lecz sądzę, że mógł posłużyć się szyfrowaną linią telefoniczną w obawie przed podsłuchem.

-

Rzeczywiście dzwonił z telefonu szyfrowego. Powiedział panu o tym?

- Tak. Jest jeszcze jedno, panno Heathley. Jak pani stwierdziła zgodnie Prawdą, to ja ponoszę odpowiedzialność za to, że Walter Peregrine dowiedział

359

się o istnieniu Converse'a, i nie czuję się z tego powodu zbyt dobrze. Ale czy to nie dziwne, że choć to żadna tajemnica (wie o tym pani oraz Washburn), Po śmierci Waltera nikt mnie nie przesłuchał?

-

Nikt?! - spytała sekretarka z niedowierzaniem. - Przecież wymieniłam pańskie nazwisko w raporcie...

-

Komu go pani dała?

-

Cóż, wszystkim zajmował się Norman... - Enid Heathley umilkła.

-

Washburn?

-Tak.

- I nie rozmawiała pani z nikim innym? Nie przesłuchiowano pani?

-

Tak, naturalnie. Przyszedł do mnie inspektor bońskiej policji i podałam mu pańskie nazwisko. Jestem tego najzupełniej pewna.

-

Czy w pokoju był ktoś jeszcze?

-

Owszem - odparła sekretarka zamordowanego ambasadora. - Norman

- wyszeptała.

-

Dość dziwne zachowanie jak na policję, prawda? - Caleb pochylił się do przodu. - Proszę pozwolić mi zrekapitulować to, co pani przed chwilą powiedziała, panno Heathley. Spytała pani, czy jestem aktorem z Hollywood usiłującym bronić swojej popularności. To logiczne pytanie, a gdyby widziała pani kiedykolwiek 1 wiek kolejki bezrobotnych aktorów przed agencjami teatralnymi w Los Angeles, zrozumiałaby pani, jak bardzo logiczne. Nie sądzi pani, że inni myślą to samo?

Nie przesłuchano mnie, bo pewni ludzie w Bonn uważają, że trzęsę portkami jako Pa Rachet i będę trzymał język za zębami, by chronić swój obraz w oczach pu bliczności. Paradoksalnie, ich rozumowanie to dla mnie najlepsze zabezpieczenie. Nie zabija się Pa Racheta, chyba że chce się mieć do czynienia z milionami rozwścieczonych widzów, którzy histerycznie czepialiby się najdrobniejszych poszlak, wałkując sprawę w nieskończoność. Prasa w całym kraju i tak dalej...

-

Nie trzyma pan jednak języka za zębami - rzekła Enid Heathley.

-

Ale i nie podnoszę głosu - ciągnął aktor. - Lecz nie z powodów, o których wspomniałem. Mam dług wdzięczności wobec Waltera Peregrine'a. I nie spłacę go, jeśli za jego śmierć powieszają człowieka, którego uważam za niewinnego.

Ale mam także mętlik w głowie. Nie jestem niczego pewien. Mogę się mylić -

Sekretarka spojrzała Dowlingowi prosto w oczy i zmarszczyła brwi.

-

Proszę tu na mnie chwilę poczekać, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

Wyjdę i zadzwonię do człowieka, z którym powinien się pan spotkać. Zrozuć mi pan dlaczego. Skontaktuje się z panem osobiście. Proszę go słuchać i P ojechać pod wskazany adres.

-

Mogę mu zaufać?

-

Ambasador Peregrine mu ufał - odparła Enid Heathley, kiwając głową. - I nie lubił go.

-

To kwintesencja zaufania - stwierdził aktor.

360

Zadzwieczył telefon i Caleb zapisał adres. Portier z hotelu Königshof zamówił

taksówkę i po ośmiu minutach aktor wysiadł przed bogato zdobioną Wiktoriańską willą na przedmieściach Bonn. Podszedł do drzwi i zadzwonił. W dwie minuty później wprowadzono go do dużego pokoju - ongiś zapewne biblioteki - z zasłoniętymi regałami na książki. Wisały na nich szczegółowe mapy Niemiec Wschodnich i Zachodnich. Zza biurka wstał mężczyzna w okularach.

-

Pan Dowling? - spytał, kiwając niedbale głową.

-Tak.

-

Dziękuję panu za przybycie. Moje nazwisko jest nieistotne; czy mógłby zwracać się pan do mnie per George?

-

W porządku, George.

-

Jestem szefem ekspozytury Centralnej Agencji Wywiadowczej w Bonn, jednakże proszę traktować to jako informację poufną. Powtarzam: ściśle poufną.

-

W porządku, George.

-

Czym pan się zajmuje, panie Dowling? Jaki jest pański zawód?

-

Ciao, baby! - westchnął aktor, kręcąc głową.

Na wschodzie pojawił się pierwszy niepewny brzask, oświetlając rząd barek kołyszących się wzdłuż nabrzeża portowego przy akompaniamencie niesamowitego skrzypu napinanych cum i dudnienia burt uderzających o burty. Joel, idąc obok młodego marynarza, zgiął w łokciu prawą rękę, lewą zaś uniósł odruchowo do twarzy, pokrytej świeżym, miękkim zarostem. Nie golił się od czterech dni, od wyjazdu z Bonn, i miał już krótką, schludną brodę, jeszcze nie normalną, lecz nie przypominała początkowej niechlujnej szczeciny. Jutro może zacząć ją przycinać, by przestać być podobnym do fotografii w prasie.

Jutro także powinien się zdecydować, czy zadzwonić do Val w Cape Ann. w istocie rzeczy już zdecydował - nie. Udzielił jej wystarczająco dokładnych wskazówek, a prawdopodobieństwo podsłuchu na linii było zbyt wielkie. Mimo to straszliwie pragnął usłyszeć jej głos, bo wiedział, że dodałaby mu otuchy. Niemożliwe.

Wplątałby ją tylko. Niemożliwe!

- To ostatnia barka po prawej - odezwał się marynarz, zwalniasz krok. - Dałem słowo i muszę spytać pana jeszcze raz: nie wie pan narkotyków?

-Nie.

- Szyper może chcieć pana przeszukać.

- Nie pozwolę na to - przerwał Converse, myśląc o pasie na pieniądze. I mógłby uznać pas za pojemnik do transportu heroiny, a prawie każdy 'znad rzeki zabiłby człowieka dla wielokrotnie mniejszej sumy.

361

-

Może pytać dlaczego. Za narkotyki grożą surowe kary.

-

Wyjaśnię mu to na osobności - odparł Joel, znów się zastanawiając.

Zamierzał zrobić to z pistoletem w jednym ręku i pięćsetdolarówką w drugim

- Nie mam narkotyków, daję słowo.

-

To nie moja barka.

-

Ale to pan wszystko załatwił i wie pan o mnie wystarczająco dużo, żeby mnie ścigać, jeśli ktoś się do pana przyczepi.

-

Tak, pamiętam, Connecticut. Odwiedzałem raz kumpli w Bridgeport Firma maklerska, wiceprezes. Znajdę pana, jak będzie trzeba.

-

Wolałbym tego uniknąć. Miły z pana człowiek i jestem panu wdzięczny za pomoc. Nie wpakuję pana w kabałę.

-Ja-odparł młody Niemiec, kiwając głową. - Wierzę panu. Uwierzyłem panu zeszłej nocy. Mówi pan bardzo dobrze, z klasą, ale popełnił pan głupstwo. Popełnił pan głupstwo i wstydzi się pan. Wstyd kosztuje więcej, niż gotów jest pan zapłacić, więc płaci pan jeszcze więcej, żeby się nie wstydzić.

-

Podobają mi się pańskie refleksje.

-

Was ist?

-

Nic. Ma pan rację. To bajeczka o pewnym dyrektorze. Proszę. - Joel wyjął z lewej kieszeni zwitek banknotów i podał go marynarzowi. - Obieca łem panu tysiąc pięćset dolarów. Może pan przeliczyć.

-

Po co? Jeśli coś się nie zgadza, zostanie pan w porcie, a za bardzo się pan boi, żeby to ryzykować.

-

Jest pan urodzonym prawnikiem.

-

Chodźmy, zaprowadzę pana do szypra. Dla pana jest tylko szyprem.

Wysadzi pana, gdzie zechce... I ostatnie ostrzeżenie, mein Herr. Niech pan uważa na marynarzy z barki. Będą podejrzewać, że ma pan pieniądze.

-

Właśnie dlatego nie chcę, by mnie rewidowano - przyznał Converse.

-

Wiem. Postaram się panu pomóc.

Pomoc młodego człowieka nie na wiele się zdała. Szyper brudnej barki, niski, niedźwiedziowaty mężczyzna z ohydnie popsutymi zębami, zaprowadził Joela do sterówki, gdzie łamaną, lecz zrozumiałą angielszczyzną nakazał mu zdjąć marynarkę.

-

Wy tłumaczyłem w porcie swojemu przyjacielowi, że to niemożliwe.

-

Dwieście dolarów - rzucił szyper.

Joel miał pieniądze w prawej kieszeni. Sięgnął po nie, zerkając krótko przez prawe okno, gdzie ukazało się dwóch mężczyzn schodzących pod pokład w mdłym świetle. Nie podnieśli oczu; nie zauważyli Joela w mrocznej sterówce-Cios przyszedł nagle, bez ostrzeżenia, i był tak silny, że Joel zgiął się wpół, tracąc oddech i chwytając się za brzuch. Potężnie zbudowany, krępy kapitan potrząsał przed nim prawą ręką z grymasem bólu na twarzy. Pięść Niemca trafiła w pistolet za pasem Converse'a. Joel cofnął się niepewnie i usiadł na podłodze, opierając się plecami o ścianę. Wyciągnął pistolet i wycelował go prosto w potężną pierś szypra.

362

- popełniłeś wielki błąd - wystękał, łapiąc oddech i wciąż trzymając się za brzuch. - Zdejmuj marynarkę, skurwysynu!

- słyszałeś! Zdejmij marynarkę, odwróć do góry nogami i wytrząśnij wszystko z kieszeni!

Niemiec zdjął z ociąganiem marynarkę, zerkając dwukrotnie w lewo, ku drzwiom sterówki.

- Szukałem tylko narkotyków.

-Nie mam ich, a gdybym nawet je wiózł, ci, co mnie wysłali, znaleźliby coś lepszego od twojej barki, by przerzucić mnie do Holandii. Odwróć marynarkę do góry nogami! Wytrząśnij kieszenie!

Szyper spełnił rozkaz. O pokład stuknął brzydki krótki rewolwer, a później rozległ się cichszy odgłos upadku długiego noża z płaską rogową rękojeścią rozszerzającą się na końcu. W chwili uderzenia wysunęło się z niej ostrze.

-

To rzeka - rzekł z prostotą szyper.

- I chcę po prostu przepłynąć ją bez kłopotów, a jestem tak zdenerwowany, że uznam za kłopot każdego człowieka przechodzącego przez te drzwi. - Converse skinął głową stronę wejścia po lewej. - W swoim obecnym stanie strzelę z pistoletu. Prawdopodobnie zabiję pana i każdego, kto tu wejdzie. Nie jestem taki silny jak pan, kapitanie, ale boję się, a to czyni mnie bardziej niebezpiecznym, rozumie pan?

-

Ja. Nie zrobię panu krzywdy. Szukałem tylko narkotyków.

-

Już zrobił mi pan krzywdę - sprostował Joel. - Właśnie to mnie prze raża.

-Nein, bitte... Proszę.

-

Kiedy pan odpływa?

-

Kiedy zechcę.

-

Ilu członków liczy załoga?

-

Jednego, to wszystko.

-

Kłamie pan! - syknął Converse, wysuwając pistolet do przodu.

-

Zwei. Dziś mam dwóch marynarzy. Ładujemy ciężkie skrzynie w Elten.

Normalnie jest tylko jeden, daję słowo. Nie stać mnie na dwóch.

-

Proszę uruchomić silnik - rozkazał Converse. - Albo silniki. Znam się tylko na bertramach, choć brzmi to cholernie głupio.

-

Was?

-Niech pan odpływa!

-Die Mannschaft. Załoga... Muszę wydać Befehle.

- Proszę zaczekać!

Converse przeczołgał się koło drzwi sterówki do okna pilota, nadal mierząc z pistoletu prosto w pierś Niemca. Znow oparł się o ścianę i wyrżał ostrożnie na pokład. Widział wyraźnie dziób i rufę, gdzie znajdowały się grube drewniane pachołki z zapętlonymi cumami. Na luku ładowni siedziało dwóch Członków załogi.

Palili papierosy, a jeden popijał piwo z puszki.

363

-

W porządku - odezwał się Joel, zabezpieczając pistolet, z którego ?

pewnie spudłowałyby z odległości trzech metrów. - Niech pan otworzy drzwi i wyda rozkazy. Ale jeśli pańscy ludzie zrobią coś jeszcze oprócz rzucenia cum, zabiję pana, rozumiano?

-

Rozumiem... rozumiem każde pańskie słowo, ale pan mnie nie rozu mie. Szukałem narkotyków. Nie jest pan grosse Mann, Polizei nie ściga takich ludzi, zostawiają ich w spokoju. Oni szukają die Kleine, płotek, co pływają barkami na rzece. Chwalać ich za to. Nie zamierzałem zrobić panu krzywdy mein Herr. Próbowałem tylko się zabezpieczyć. Chcę wierzyć w to, co powie dział mój Neffe, bratanek, ale muszę mieć pewność.

-

Pański bratanek?!

-

Marynarz z Bremerhaven. Kto mu załatwił tę pracę, jak pan myśli?i Mein Bruder sprzedaje kwiaty! To kwiaciarnia jego Frau! Kiedyś pływał ra zem ze mną po oceanach. Teraz to Blumenhandler!

-

Przysięgam na Boga, że nic z tego nie rozumiem - stwierdził Joel, opusz czając nieco pistolet.

-

A gdybym panu powiedział, że bratanek zaproponował mi połowę ty siąca pięciuset dolarów, które mu pan zapłacił?

-

Dalej nic nie rozumiem. Syndykat złodziei.

-Nein, nie wziąłem. Kazałem mu kupić nową Gitarre.

Converse westchnął.

-

Nie mam narkotyków. Wierzy mi pan?

-

Ja, jest pan tylko głupi, jak mi powiedział. Bogaci głupcy płacą więcej.

Nie stać ich na przyznanie się do głupoty. Biedakom na tym nie zależy.

-

Cała pańska rodzina składa się z filozofów?

-

Was?

-Nieważne. Niech pan wyda rozkazy. Odpływajmy.

-Ja. Proszę patrzeć przez okno. Nie chcę, żeby się pan bał. Ma pan rację.

Człowiek, który się boi, jest znacznie bardziej niebezpieczny.

Joel oparł się z powrotem o ścianę, a szyper zaczął wykrzykiwać rozkazy.

Zaturkotały silniki i odwiązano cumy. Wszystko jest takie inne niż zwykle, pomyślał. Jego wrogami nie są portowe zabijaki atakujące w gniewie, tylko mili, pozornie przyjaźni starsi panowie. Znalazł się w świecie, o którym nie miał

zielonego pojęcia, i przebył daleką drogę od sal sądowych i konferencyjnych, gdzie uprzejmość mogła mieć różne twarze. Wiele lat temu w obozach w dżungli nie istniały takie wątpliwości. Wiedziało się, kto jest wrogiem, dawało się to ściśle zdefiniować. Jednakże w ciągu ostatnich czterech dni rzeczywistość utraciła wyraziste kontury. Joel błąkał się w labiryncie, natykając się na coraz bardziej groteskowe postacie, których nie rozumiał. Patrzył przez okno na wznoszącą się spiralnie mgłę oświetloną pierwszymi promieniami jutrzeńki. Miał pustkę w głowie. Przestał na chwilę myśleć...

-

Jeszcze pięć, sześć minut, mein Herr - odezwał się szyper, kręcąc Kołem w lewo.

364

joel zamrugął; przez bliżej nieokreślony czas znajdował się w spokojnej, bezdennej pustce.

- Jak wygląda procedura? - spytał, zauważając pomarańczowe słońce bijające się przez resztki porannej mgły. - Co mam robić?

- Prawie nic - odparł Niemiec. - Niech pan się zachowuje, jakby bywał nabrzeżu co rano, i wyjdzie na ulicę przez stocznię remontową. Znajdzie pan w południowej części miasta Gendringen. To już Die Niederlande i nigdy się nie widzieliśmy.

-

Rozumiem, ale jak to zrobić?

- Widzi pan Bootshafen? - spytał szyper, wskazując kompleks ciężkich dźwigów wznoszących się nad wodą.

-

To port.

-Ja, port. Kończy mi się paliwo w jednym ze zbiorników. Stracę szybkość trzysta metrów od brzegu i podpłynę do pomostu. Pokłócę się z Holendrem o cenę, ale zapłacę, bo nie kupi od niemieckiego złodzieja tak daleko w dół rzeki. Zejdzie pan na ląd z jednym z członków mojej załogi, zapali papierosa, zacznie się śmiać ze swojego głupiego szypra i odejdzie.

-

Tak po prostu?

-Ja.

-

To niezbyt trudne.

-Ja. Nikt nie twierdził, że to trudne. Musi pan tylko uważać.

-

Na policję?

-

Nein - odparł kapitan, wzruszając ramionami. - Jeśli pojawi się policja, zostanie pan na barce.

-

Więc na kogo mam uważać?

-Na ludzi, którzy mogą pana obserwować i zobaczyć, że pan odchodzi.

-

Jakich ludzi?

-

Gesindel Gauner, po waszemu motłoch. Przychodzą co rano do portu w poszukiwaniu pracy, w większości ciągle pijani. Niech pan na nich uważa.

Będą myśleli, że ma pan narkotyki albo pieniądze. Zabiją pana i okradną.

-

Pański bratanek kazał mi uważać na marynarzy z pańskiej barki.

-

Tylko na nowego. To Gauner. Chleje piwo, żeby rozjaśnić sobie w głowie. Myśli, że mnie oszuka, ale mu się nie uda. Trzymam go na barce, każę skrobać reling albo coś w tym rodzaju. Drugi nie sprawi panu kłopotów. To tylko idiota z silnym grzbietem. Jest wobec mnie lojalny. Inni szypowie

nie zatrudniają go, ale ja tak, verstehen Sie?

-

Tak mi się zdaje. Niezwykły z pana człowiek, kapitanie.

-

Pływałem kiedyś po oceanach, nie po śmierdzącej rzece. Piętnaście lat temu zamustrowałem razem z mein Bruder. W dwudziestym trzecim roku życia zostałem Obermat, bosmanmatem. Dużo pieniędzy, dobre życie. Byłem bardzo szczęśliwy. - Niemiec zniżył głos, zmniejszając obroty silników i kręcąc kołem w prawo. Barka ślizgała się po wodzie. - Po co o tym gadać? Skocentruj się

- dodał gniewnie.

365

-

Co się stało?

-

Nic panu do tego, Amerikaner.

Szyper zmniejszył prędkość, a silniki zaczęły kaszleć.

-

Ciekawi mnie to.

-

Warum? Dlaczego?

-

Nie wiem. Może zapominam o własnych kłopotach - odparł szczerze Converse.

Niemiec zerknął na niego.

-

Pyta mnie pan? W porządku. Nigdy się nie zobaczymy... Ukradłem pieniądze, dużo pieniędzy. Po dziewięciu miesiącach odnalazł mnie skarbnik kompanii. Było to przed wielu laty. Oceany się skończyły, została tylko rzeka.

-

Ale podobno dobrze pan zarabiał? Czemu ukradł pan te pieniądze?

-

A czemu większość ludzi kradnie, mein Herr?

-

Potrzebują pieniędzy, bo chcą mieć coś, na co ich nie stać, albo są po prostu z natury nieuczciwi, choć nie uważam pana za kogoś takiego.

-

Jeszcze wcześniej. Adam ukradł jabłko, Amerykaner.

-

To trochę nieścisle. Ma pan na myśli kobietę?

-

Wiele lat temu, mein Herr. Była przy nadziei i nie chciała mieć męża na morzu. Pragnęła czegoś więcej. - Szyper uśmiechnął się lekko z błyskiem w oczach. - Pragnęła prowadzić kwiaciarnię.

Joel zapomniał na chwilę o bólu i roześmiał się serdecznie.

-

Niezwykły z pana człowiek, kapitanie!...

-

Nigdy się nie zobaczymy...

-

Wobec tego pański bratanek...

-

Nigdy się nie zobaczymy! - przerwał Niemiec, który roześmiał się na cały głos, nie odrywając wzroku od toru wodnego prowadzącego do portu w Holandii.

Converse opierał się o słup, paląc papierosa. Nasunął daszek na oczy i rozglądał

się po porcie i stoczni remontowej. Robotnicy krążący między olbrzymimi dźwigami zajmowali się

machinalnie swoją pracą, a przy kadłubach łodzi stała grupka ludzi, którzy kręcili z namaszczeniem głowami, jakby wyrażali całkowity brak nadziei na naprawę. Szyper kłócił się ze sprzedawcą paliwa, czyniąc wulgarne gesty i wskazując pędzące cyferki w szklanym okienku dystrybutora, a kilka kroków dalej szczerzył zęby przyglądając marynarz. Na barce opierał się o reling Gauner z dużą drucianą szczotką w rękę; od czasu do czasu zabierał się gwałtownie do skrobania, gdy zerkał nań pracodawca.

Nadszedł właściwy moment, pomyślał Joel, oddalając się od pala. nie zwracał nań najmniejszej uwagi; zniechęcone obowiązki i poranny humor tłumiły zainteresowanie tym, co nieznane.

Ruszył wzdłuż pomostu niedbałym, wręcz niechlujnym krokiem, bacznie rozglądając się na wszystkie strony. Zmierzał ku stoczni remontowej i kadłubów łodzi 366

stojącym rzędem w suchym doku. Za ostatnią łodzią, nie więcej niż trzysta metrów dalej, znajdowało się bardzo wysokie ogrodzenie z drucianej siatki oraz otwarta brama. Po lewej stronie siedział na krześle umundurowany strażnik, pi-jąc kawę i czytając gazetę, wciśnięty w kąt ogrodzenia. Joel przystanął na jego widok, wstrzymując oddech, zaniepokojony, choć bez powodu. Przez bramę przechodzili ludzie w obie strony, lecz strażnik prawie nie podnosił na nich wzroku.

Converse odwrócił się, by spojrzeć ostatni raz na rzekę. Nagle zauważył szypra.

Niemiec podbiegł do wylotu pomostu i gestykulował dziko, machając rękoma.

Usiłował ostrzec swojego nielegalnego pasażera. Wreszcie krzyknął coś na całe gardło, a dokerzy spojrzeli na niego i odwrócili się, nie chcąc się mieszać.

Wczesnym rankiem nad rzeką ciosy bosaków zbyt często zastępowały słowa.

-Lauf. Biegnij! Uciekaj!

Joel był w kropce. Rozejrzał się. Wreszcie ich zobaczył. Pomostem biegło dwóch -

nie, trzech! - barczystych mężczyzn wpatrujących się weń szklonym wzrokiem.

Pierwszy minął szypra po lewej stronie, a Niemiec chwycił go za ramię i zatrzymał, lecz tylko na moment, gdyż na jego kark i kręgosłup spadły pięści dwóch pozostałych. Były to zwierzęta - Gauner - podniecone świeżym tropem tłustej zdobyczy, która wpadła w pułapkę i mogła zapewnić im żarcie i alkohol na wiele dni.

Converse dał nurka pod rząd wiszących łodzi. Gramolił się w stronę światła po drugiej stronie, zawadzając głową o kadłuby. Widział nogi pędzących mężczyzn i słyszał ich tupot. Doganiali go - biegli, a on się czołgał. Dotarł do końca suchego doku, wstał i rzucił się ku bramie. Wyciągnął koszulę ze spodni, oddał

dolną część i przyłożył do ran na głowie, po czym minął prędko strażnika w bramie. Rozejrzał się.

Trzej rozwścieczeni bandyci kłócili się po pijacku między sobą, a dwóch kucnęło, zaglądając pod łodzie. Stojący zauważył nagle Joela.

Zawołał coś do swoich kompanów, którzy zerwali się na równe nogi i puścili się znowu w pogoń. Joel biegł, aż stracił ich z oczu. Bestie zrezygnowały. Był w Holandii. Powitanie nie okazało się zbyt miłe, lecz mimo to znalazł się o krok bliżej Amsterdamu. Z drugiej strony nie miał pojęcia, gdzie właściwie jest; wiedział tylko, że miasto nazywa się Lobith. Musiał złapać oddech i pomyśleć.

Stanął w pustym wejściu do sklepu i przejrzał się w witrynie. Jedno spojrzenie wystarczyło: wyglądał okropnie. Myśl! Na miłość boską, myśl! Pamiętał, że Mattilon kazał mu złapać pociąg z Arnhem do Amsterdamu, szyper zaś radził

pojechać z Lobith do Arnhem "omnibusem", gdyż w Lobith nie kursowały pociągi.

Przede wszystkim należało dotrzeć na dworzec kolejowy w Arnhem i doprowadzić do porządku swój wygląd; później powinien przyjrzeć się tłumom i osądzić, czy można zaryzykować wmieszenie się w nie. Przypomniawszy sobie o niebezpieczeństwie, zaczął myśleć o kilku rzeczach naraz, okulary zgubił już dawno, niewątpliwie podczas walki w Wesel; zamierzał zastąpić je ciemnymi. Nie mógł usunąć z twarzy zadrapań, lecz z pewnością przestaną wyglądać tak groźnie, jeśli przemyje je wodą z mydłem; w okolicy można

367

też chyba naprawić podarte ubranie. Poza tym potrzebował mapy! Do licha, jest przecież pilotem! Powinien dotrzeć z punktu A do punktu B - i to szybko.

znalazłszy się w Amsterdamie, musi skontaktować się jakoś z Cortem Thorbecke, zadzwonić do Nathaniela Simona w Nowym Jorku. Ma tyle do zrobienia!

Wyszedł na chodnik, uświadamiając sobie nagle, co się z nim dzieje. Zdażało się to już wcześniej - wiele lat temu w dżungli - kiedy mijał strach przed strzałami w ciemności i wstawał świt, a Joel orientował się w stronach świata. planował

trasę marszu, sposoby ucieczki. Myślał; jego mózg znów zaczynał funkcjonować.

Wziąwszy pod uwagę wszystkie okoliczności, wiele stracił ale mógł jeszcze wiele odzyskać. Z każdym dniem zbliżały się krwawe rozruchy planowane przez generałów Akwitanii. Zamienił się z nimi rolami, teraz to oni polowali na niego.

Podopieczni Delavane'a wmówili całemu światu, że jest psychopatycznym mordercą, więc musieli go wytropić, pojmać, zabić i wystawić na widok publiczny jako przykład szerszącego się szaleństwa, które można powstrzymać jedynie ich metodami. Należało zdemaskować i zniszczyć Akwitanię, nim będzie za późno.

Nadchodził moment próby, a generałowie powoli, nieubłaganie zajmowali upatrzone pozycje,

konsolidując swoje siły. Pośpiesz się! - zawołał do siebie w duchu, ruszając szybko chodnikiem.

Siedział w ostatnim wagonie pociągu, nadal nieufny, lecz zadowolony z tego, czego dokonał. Postępował bardzo ostrożnie, nie czyniąc niepotrzebnych gestów, absolutnie skoncentrowany, świadom niebezpieczeństw - patrzących nań oczu, człowieka widzianego dwukrotnie w zbyt krótkim odstępie czasu, przesadnie uprzejmego urzędnika, który zwlekał pomimo tłumów kłębiących się o tej porze na dworcu. Owe oznaki niebezpieczeństwa były wskaźnikami Joela, jego zegarami pokładowymi; bez nich zrezygnowałby z ruchu do przodu, odwołał start, katapultował się i szukał bezpieczeństwa na ulicy. Zmienił się w samolot i nigdy w życiu nie latał z taką precyzją.

"Tu się mówi po angielsku" - głosił szyldzik na dachu narożnego sklepiku z gazetami w Lobith. Kupując mapę oraz gazetę, Joel spytał o "omnibus" do Arnhem.

Właściciel, zajęty klientami, nie spostrzegł jego obszarpanego wyglądu i zaczął

wykrzykiwać instrukcje, pokazując palcem we właściwą stronę. Cztery przecznice dalej Joel odnalazł przystanek autobusowy. Siedział w zatłoczonym wehikule, zatopiwszy twarz w gazecie, której nie rozumiał, a po czterdziestu kilku minutach wysiadł na stacji kolejowej w Arnhem.

Przede wszystkim udał się do najbliższej umywalki w męskiej toalecie i doprowadził się trochę do porządku. Oczyszczył ubranie i spojrzął w lustro. Nadal wyglądał okropnie, lecz nie sprawiał już wrażenia człowieka pobitego, tylko poranionego; była to istotna różnica. Kolej na następne niezbędne czynności.

Na dworcu wymienił marki oraz dolary na floreny i guldeny. W sklepie samoobsługowym nieopodal kantoru nabył parę ciemnych okularów w grubej oprawce.

Kiedy stanął w kolejce do kasy, zakrywając niedbale ręką siniak na 368

twarzy, zauważył stoisko z kosmetykami po przeciwnej stronie sklepu. Coś zaświtało. Opuścił kolejkę i podszedł między stoiskami do półek z kremami, wodami kolońskimi, szamponami i lakierami do paznokci.

Przypomniał sobie. Krótco po ślubie zdarzył się jeden z owych zwariowanych wypadków, jakie zdarzają się tylko w najbardziej niesprzyjającej chwili. Valerie poślizgnęła się na dywaniku i uderzyła głową w róg antycznego stolika przedpokoju. O siódmej wieczorem na jej twarzy pojawił się straszliwy fioletowy siniec sięgający od nasady nosa do lewej skroni, a nazajutrz o dziesiątej rano miała prowadzić dwujęzyczną prezentację dla klientów agencji ze Stuttgartu.

Wysłała Joela do sklepu po niewielką buteleczkę fluidu i bardzo ładnie zamaskowała siniak, choć wciąż widać go było z bliska.

-

Nie chcę, żeby ludzie myśleli, że mój nowy mąż zbił mnie na kwaśne jabłko, bo nie chciałam

spełniać jego zwariowanych zachcianek erotycznych.

-

Jakich?

Joel zauważył podobny flakonik, wybrał ciemny odcień i wrócił do kolejki.

Ponowna wizyta w toalecie pochłonęła dziesięć minut, lecz rezultat wart był

zachodu. Joel zamalował fluidem zadrapania i sińce, które przybladły. Z większej odległości nie wydawał się już pokiereszowanym awanturnikiem, tylko człowiekiem potłuczonym przy upadku. Stał w dworcowej ubikacji, gratulując sobie w duchu. W

innych okolicznościach byłby bardzo zadowolony, gdyby udało mu się tak ładnie spreparować świadka przed sprawą. Należało kontynuować plan.

Później znalazł miejsce w ostatnim wagonie pociągu osobowego z Arnhem do Amsterdamu. Kupił bilet na tani pociąg podmiejski, zatrzymujący się na niezliczonych przystankach, i wyszedł na peron, gotów uciec na najdrobniejszą oznakę niebezpieczeństwa, na widok pierwszych obserwujących go oczu. Zamiast tego ujrzał grupkę kobiet i mężczyzn, zaprzyjaźnionych par małżeńskich mniej więcej w jego wieku, rozmawiających i śmiejących się razem, najprawdopodobniej jadących na krótki letni urlop nad morze lub rzekę. Mężczyźni mieli zniszczone, powygniatane walizki, w większości obwiązane sznurkami, a kilka kobiet trzymało duże wiklinowe kosze. Bagaż i ubrania pasażerów wskazywały, że mężczyźni pracują w fabrykach, kobiety zaś zajmują się domem i dziećmi oraz lżejszymi pracami w biurach. Ich pochodzenie społeczne pasowało do wyglądu Joela. Ruszył za nimi, wtórując cicho ich śmiechom, wszedł do pociągu niczym jeden z członków grupy i usiadł koło przejścia między ławkami naprzeciwko barczystego mężczyzny ze szczupłą kobietą o dumnie sterczących olbrzymich piersiach. Nie mógł unikać ich wzroku, a mężczyzna uśmiechnął się do niego przyjaźnie, unosząc do ust butelkę piwa. Converse słyszał gdzieś lub czytał, że w Holandii ludzie jadący na wakacje letnie lub urlop zajmują najczęściej ostatnie wagony pociągów. Był to zwyczaj symbolizujący ich status, tworzący swobodną atmosferę pikników rolniczych. Joel śledził ową niezbyt subtelną przemianę. Mężczyźni i kobiety stawali z ławek i spacerowali środkiem wagonu, z puszkami i butelkami 369

w rękach, rozmawiając bez różnicy ze znajomymi lub nieznanymi. W tylnej części wagonu zaczęto śpiewać popularną piosenkę ludową; słowa i melodię podjęli wszyscy, lecz zagłuszyła ich grupka otaczająca Converse'a, która zaintonowała coś zupełnie innego, aż wszystko utonęło w śmiechu. W ostatnim wagonie pociągu do Amsterdamu zapanowała powszechna wesołość. pojawiały się kolejne stacje, a na każdej wysiadało po kilku pasażerów, lecz jeszcze więcej wsiadało, niosąc walizki, koszyki i uśmiechając się szeroko. Nowo przybyłych witano radosnymi okrzykami. Kilku mężczyzn miało na sobie koszulki z nazwami miast i drużyn piłkarskich. Kibice rywalizujących zespołów pozdrawiali ich przyjaznymi szyderstwami. Wydawało się, że Holendrzy siedzący w pociągu zmienili się nagle w hałaśliwą grupkę dzieci jadących na letni obóz. Panował coraz większy zgiełk.

Ogłaszano nazwy kolejnych miejscowości. Podczas krótkich przystanków Joel siedział bez ruchu na swojej ławce, starając nie rzucać się w oczy, zerkając na grupkę, do której się przyłączył, uśmiechając się lub śmiejąc z cicha, gdy wydawało się to stosowne. Wyglądał jak mało inteligentne dziecko ślęczące nad mapą, zdumione i oszołomione. Mijało się to z prawdą- poznawał ulice i kanały Amsterdamu. Na południowo-zachodnim rogu Utrechtstraat i Kerkstraat mieszkał

mężczyzna, z którym należało się skontaktować, nie zwracając niczyjej uwagi.

Joel przedostanie się dzięki niemu do Waszyngtonu jako "krewny Tatiany". Mus i wywabić Corta Thorbecke z mieszkania, nie alarmując myśliwych Akwitanii.

Zamierzał wynająć mówiącego po angielsku pośrednika, on zatelefonuje do Holendra i powie coś na tyle przekonującego, by skłonić fałszerza do umówienia się gdzieś na mieście, nie wspominając o Tatianie ani rekomendacjach z Paryża. Należało koniecznie wymyślić jakiś dobry pretekst. Joel zastanawiał się już nad tym, co zrobi w Waszyngtonie, od którego dzieliło go mniej niż siedem godzin drogi.

Postanowił udać się do Nathana Simona, pokazać mu niezwykłą teczkę i przekonać przy jego pomocy wpływowe osobistości, by ukryły go gdzieś do chwili zdemaskowania Akwitanii. Nie pokrywało się to z wizją człowieka, którego Joel znał niegdyś w Connecticut jako Avery'ego Fowlera, nie zgadzało się i ze strategią ośmieszania doradzaną przez Prestona Hallidaya w Genewie, lecz nie było już na to czasu. Nikt nie zdążył' by rozplatać pajęczyny przepisów prawnych.

Pociąg zwolnił, szarpiąc gwałtownie. Wydawało się, że maszynista w dalekiej lokomotywie chce przesłać jakiś znak hałaśliwym pasażerom w ostatnim wagonie, którzy najbardziej odczuli wstrząs. Jeśli miał taki zamysł, spalił on na panewce. Szarpnięcie spowodowało tylko nowe śmiechy i głośne wyzwiska pod adresem niewidzialnego niedołęgi.

- Amstel! - zawołał konduktor, rozsunąwszy przednie drzwi między wagonami. -

Amsterdam! Amst... - Biedak nie dokończył, zamykając czym Prędeż drzwi, gdyż poleciało w jego kierunku kilkanaście zwiniętych gazet.

370

Kolonie letnie w Holandii.

pociąg zatrzymał się na stacji i do wagonu wkroczyła nowa grupa męż-

czyn j kobiet w koszulkach, którzy zaczęli krzyczeć radośnie na widok znajo -

mych. Pięciu czy sześciu członków grupy Joela wstało, by powitać przyjaciół.

Znów pojawiły się puszki i butelki, a w ciasnej przestrzeni rozległy się wybuchy śmiechu, prawie zagłuszając gwizdki obwieszczające odjazd. Mężczyźni przewracali się w tłoku, wymieniali uściski,

figlarnie poklepywali kobiety po bujnych piersiach.

Za nowo przybyłymi pojawiło się nielogiczne, a zarazem logiczne ukoronowanie dziecinnych figłów odbywających się na oczach Converse'a. Między ławkami szła, zataczając się, gruba, stara kobieta, najwyraźniej pijana. Jej luźne łachmany pasowały do postrzępionego płóciennego worka, który ściskała w lewej ręce; prawą opierała się na krawędziach ławek, gdy pociąg przyśpieszał- Przyjęła z uśmiechem butelkę piwa, a pasażerowie wrzucili jej do worka drugą i kilka kanapek zawiniętych w papier pakowy. Znow rozległy się okrzyki powitalne, a dwaj mężczyźni skłonili się przed nią w pas, jak przed królową. Trzeci klepnął ją w tyłek i gwizdnął. Przez kilka minut trwał dziwny spektakl, nowa zabawa wymyślona przez dzieci z kolonii letniej. Napiwszy się piwa, stara kobieta zaczęła tańczyć, czyniąc sugestywne gesty zarówno pod adresem kobiet, jak i mężczyzn, wysuwając sprośnie język i przewracając wybałuszonymi oczyma. Jej postrzępiona chusta wirowała niczym całun jakiejś makabrycznej Szeherezady. Rozbawiwszy pasażerów swoimi pijackimi żartami, zaczęła zbierać do worka datki, również monety. Holendrzy jadący na wakacje to dobrzy ludzie, pomyślał Joel. Troszczą się o kogoś bardziej pechowego niż oni sami, kogo nie wpuszczono by w ogóle do wagonu w lepszym pociągu. Starucha zbliżyła się do niego, trzymając przed sobą płócienny worek, by przyjmować jałmużnę z obydwu stron. Converse wyjął z kieszeni kilka guldenów i wrzucił do worka.

-

Goedemorgen - rzekła starucha, kołysząc się. - Dank Uwel, beste man, erg, vriendelijk van U!

Joel kiwnął głową i wbił wzrok w mapę, lecz starucha nie odeszła.

-

Uw hoofd! Ach, hebje enn ongeluk gehad, jongen?

Converse skinął powtórnie głową, włożył rękę do kieszeni i dał pijanej wiedźmie jeszcze trochę pieniędzy. Wskazał mapę, nakazując kobiecie gestem, by sobie poszła, a tymczasem w przedniej części wagonu zaczęto śpiewać ochryple kolejną piosenkę, której słowa podchwycili natychmiast z ogromnym entuzjazmem pasażerowie otaczający Converse'a.

- Spreekt U Engels? - zawołała starucha, pochylając się niepewnie nad Joelem, który wzruszył ramionami i wbił wzrok w mapę, garbiąc się na ławce.

-

Myślę, że zna pan angielski. - Stara kobieta mówiła szorstko, wyraźnie, trzeźwo, nie opierając się już prawą ręką o ławkę, lecz trzymając ją w worku.

- Proszę się nie ruszać! Mam pistolet z tłumikiem. W tym zgiełku nikt nie usłyszy wystrzału, łącznie z mężczyzną siedzącym obok pana, który marzy 371

tylko, by przyłączyć się do zabawy ze swoją piersiastą żoną. Chyba mu na to pozwolimy. Musimy,

Meneer Converse!

o

Nie były to mimo wszystko kolonie letnie, tylko śmierć kilka minut od Amsterdamu.

Rozdział 26

Mag ik u even lasting vallen? - zawołała starucha do sąsiada Converse'a chwiejąc się na nogach. Mężczyzna oderwał wzrok od pary tańczącej między ławkami i zerknął na wiedźmę. Znow krzyknęła, nadal trzymając prawą rękę w worku, i kiwnęła głową w prawo, ku przedniej części wagonu, aż zafalowały jej siwe rozczochrane włosy.

-

Zou ik op uw plaats mogen zitten?

-

Mij best! - Szeroko uśmiechnięty Holender wstał, a Joel podkulił odru chowo nogi, by go przepuścić. - Dank U we I - dodał mężczyzna, kierując się w stronę jedyne wolnego miejsca koło tańczącej pary.

-

Proszę się posunąć - zakomenderowała ostro kobieta, kołysząc się w rytm ruchu pociągu.

Jeśli ma to się stać, stanie się teraz, pomyślał Converse. Uniósł się na ławce, patrząc prosto przed siebie, z prawym łokciem kilkanaście centymetrów od pękatego worka. Nagle wysunął rękę do przodu i wsadził ją do środka, chwytając tłustą dłoń trzymającą niewidzialny pistolet. Z całej siły przygiął nadgarstek staruchy w dół i szarpnął gwałtownie w lewo, ciągnąc kobietę przez wąską przestrzeń, wciskając pod okno. Rozległ się suchy trzask strzału, który przedziurawił grube płótno; pojawił się dym, a kula utkwiała gdzieś w podłodze.

Wiedźma okazała się piekielnie silna, czego Joel zupełnie się nie spodziewał.

Walczyła wściekle, usiłując drapać go pazurami po twarzy, póki nie wykręcił jej ramienia za plecami. Przez cały czas mocowali się w worku. Nie chciała puścić pistoletu, a Joel nie potrafił go wyszarpnąć i mógł tylko kierować lufę w dół.

Wykrzywiona twarz staruchy mówiła mu, że się nie podda.

Poranna hulanka w wagonie kolejowym osiągnęła apogeum, coraz głośniejsza kakofonia śpiewanych jednocześnie piosenek zagłuszyła nawet wybuchy śmiechu.

Nikt nie zwracał najmniejszej uwagi na śmiertelne zmagania toczące się na wąskiej ławce. Joel, ogarnięty gorączką walki, trwający w bezruchu, zdał sobie nagle sprawę, że pociąg niedostrzegalnie zwalnia. Jego 'n' stynkt pilota podpowiedział znowu, że zbliża się lądowanie. Uderzył łokciem w prawą pierś kobiety, usiłując jąodepchnąć i wyrwać pistolet. Nadal nie puszczała, zaparta na ławce, z unieruchomionym ramieniem, z podkulonymi grubymi nogami wczepionymi w przednie siedzenie, ze skrzyconym tłustym Cielskiem, z łokciem przyciśniętym do boku, by Joel nie wyszarpnął jej broni.

372

-

Puść! - szepnął chrapliwie. - Nie zrobię ci krzywdy, nie zabiję cię! Nie wiem, ile ci Płacą, ale dam więcej!

- Niee! Znaleźliby mnie na dnie kanału! Nie ucieknie pan, Mein heer. Cze -

kają na pana w Amsterdamie, czekają na ten pociąg!...

Kobieta wykrzywiła się i wierzgnęła, uwalniając na krótko lewą rękę. Zamachnęła się, usiłując wczepić się paznokciami w twarz Joela, lecz zdołał chwycić ją za nadgarstek i unieruchomić jej rękę ponownie, wykręcając ją zgodnie z kierunkiem ruchu wskazówek zegara. Nic to nie zmieniło. Trzymała pistolet z siłą starej lwicy broniącej swojego honoru.

-

Kłamiesz! - zawołał Converse. - Nikt nie wie, że jestem w pociągu!

Sama wsiadłaś dwadzieścia minut temu!

-

Myli się pan, Amerikaani Wsiadłam w Arnhem i szłam wagonami do tyłu. Znalazłam pana w Utrechcie i zatelefonowałam.

-

Kłamiesz!

-

Jeszcze się pan przekona.

-

Kto cię wynajął?

-

Pewni ludzie.

-Kto?

-

Przekona się pan.

-

Do cholery, przecież nie należysz do nich! To niemożliwe!

-

Płacą. Płacą na wszystkich dworcach kolejowych, w portach, na lotniskach. Mówią, że zna pan tylko angielski.

-

Co jeszcze mówią?

-

Po co to panu? Jest pan w pułapce. To pan powinien mnie puścić. Może oszczędzi to panu wielu cierpień?

-

Dlaczego? Szybka śmierć od kuli w głowę zamiast sali tortur w Hanoi?

-

Cokolwiek pana czeka, kula może okazać się lepsza. Jest pan za młody, żeby to wiedzieć, Mijnheer. Nie byliście nigdy pod okupacją.

-

A ty jesteś za stara, żeby mieć tyle siły, przyznaję.

-

Ja, umiem być silna.

-

Puść!

Pociąg hamował, a obficie raczący się alkoholem tłum w wagonie powitał to rykiem aprobaty. Mężczyźni zdejmowali walizki z półek. Pasażer siedzący koło Joela zerwał się spiesznie z ławki, trącając Converse'a brzuchem w bark. Joel zaczął

udawać, że prowadzi ożywioną rozmowę z wykrzywioną staruchą, a mężczyzna śmiejąc się, odszedł z walizką w rękę.

Starucha pochyliła się gwałtownie do przodu i zatopiła zęby w ramieniu Converse'a tuż obok rany. Gryzła z całych sił, a jej żółte kły przebiły koszulę, trysnęła krew, która zaczęła ściekać po podbródku kobiety.

•Joel szarpnął się z bólu. Starucha wyrwała mu rękę w worku: pistolet należał do niej! Wystrzeliła; rozległ się przytłumiony trzask, a kula trafiła w podłogę między ławkami, blisko stopy Joela. Chwycił niewidoczną lufę i wykręcił ją z całej siły, usiłując skierować w bok. Kobieta znów nacisnęła spust.

373

Wygięła się w łuk z szeroko otwartymi oczyma i oparła się o

okno. Na cienkim materiale sukienki w górnej części brzucha wykwitła roz -

szerzająca się szybko plama krwi. Starucha nie żyła, a Joel poczuł tak silne mdłości, że musiał zaczerpnąć głęboko powietrza, by nie zwymiotować. Drżąc na całym ciele, zadawał sobie przez chwilę pytanie, kim była - przez co prze szła, by stać się tym, czym się stała.

"Jest pan za młody, żeby wiedzieć... Nie byliście nigdy pod okupacją". Nie miał

czasu! Próbowwała go zabić, a na dworcu, kilka minut drogi dalej czekają na niego mężczyźni. Nie potrzebował wiedzieć niczego więcej. Musiał myśleć, działać!

Wyrwał pistolet z zeszywniałych palców w płóciennym worku, wyjął go szybko i wsunął sobie za pasek, czując w kieszeni ciężar własnej broni. Po -

chylił się nad kobietą, pofałdował jej sukienkę, przykrył szalem plamę krwi i

zasłonił szeroko otwarte, martwe oczy masą siwych włosów. Doświadczenie zdobyte w obozach nauczyło go, by nie próbować zamykać oczu. Zbyt często było to niemożliwe. Mógł tylko zwrócić na siebie uwagę. Ostatnią rzeczą, jaką zrobił, było wyjęcie z worka puszki piwa, otwarcie jej i

położenie na kolanach staruchy; zawartość wyciekła natychmiast na sukienkę.

-Amsterdam! De volgende halte is Amsterdam-Centraal Tłum urlopowiczów wydał radosny okrzyk i jął gromadzić się przed drzwiami wagonu. Boże! - pomyślał Joel. Jak to się stało?! Starucha zatelefonowała, lecz na pewno nie sama. Wydawało się to logiczne: nie zdążyłaby tego zrobić.

Niewątpliwie wynajęła w tym celu podobną sobie kloszardkę, która zebrała w pociągach w Utrechcie. Podała zatem bardzo niewiele informacji, po prostu z braku czasu. Akwitańczycy wynajęli ją, wygrzebali spod ziemi sobie tylko znanymi sposobami. Była silna, potrafiła posługiwać się bronią, nie zawahałaby się przed zabiciem człowieka i trzymałaby język za zębami. Podała wynajętej osobie numer telefonu i kazała przekazać godzinę przyjazdu pociągu. Dlatego Joel miał ciągle szansę. Twarz każdego wysiadającego pasażera zostanie porównana z fotografią w gazecie, lecz przestał już być podobny do człowieka na zdjęciu. I nie znał

żadnego języka oprócz angielskiego, co podkreślała starucha.

Myśl!

- Ze is dronken! - wykrzyknął barczysty mężczyzna z piersiastą żoną, wskazując martwą kobietę. Oboje wybuchnęli śmiechem, Joel zaś nie potrzebował tłumacza, by rozumieć. Myśleli, że starucha zapadła w pijacki sen. Skinął głową i wzruszył

ramionami, uśmiechając się szeroko. Znalazł sposób wydostania się z dworca w Amsterdamie.

Zdawał sobie sprawę, że gdy natężenie hałasu wzrasta do tego stopnia, że niczego nie można zrozumieć, pojawia się pewien uniwersalny język. Stosuje się go także podczas nudnych przyjęć, oglądając w telewizji mecz piłkarski w towarzystwie błaznów przekonanych, że znają się na piłce lepiej niż trenerzy i zawodnicy, albo w trakcie kolacji z udziałem nowojorskich pięknoduchów, 374

którzy w większości nie są ani piękni, ani obdarzeni duchem, i nie zaj -

mują się żadną sensowną działalnością. W takich sytuacjach kiwa się głową, uśmiecha, niekiedy przyjaźnie klepie kogoś po ramieniu. Nie potrzeba mówić ani słowa, gdyż język zastępują gesty i mimika.

Wysiadłszy z pociągu z barczystym mężczyzną i jego piersiastą żoną, zaczął się zachowywać właśnie w taki sposób. Odgrywał swoją rolę wręcz po maniacku, jakby wiedział, że różnica między życiem a śmiercią sprowadza się tylko do specyficznego kontrolowanego szaleństwa. Prawnik zajmował się kontrolą, pilot obserwował warunki meteorologiczne, wiedząc, że samolot reaguje na wiejący wiatr, bo jest sprawny, dziecko zaś cieszyło się zwariowaną błazenadą sprowokowaną przez przelotne trudności.

Zdjął ciemne okulary, zsunął czapkę na tył głowy i położył rękę na ramieniu barczystego mężczyzny. Szli peronem, Holender mówił coś i wybuchał śmiechem, a Joel kiwał głową, klepiąc towarzysza po łopatkę i śmiejąc się głośno, gdy tylko monolog cichł na chwilę. Ponieważ małżeństwo było podpite,

nie zwracało uwagi na niezrozumiałe odpowiedzi Joela; wydawał im się miłym facetem, a w obecnym stanie nic więcej ich nie interesowało.

Converse, nieustannie zerkając na wszystkie strony, zwrócił uwagę na mężczyznę stojącego w tłumie witających za łukiem na końcu rampy. Joel spostrzegł go, bo w odróżnieniu od otaczających go ludzi, na których twarzach malowało się mniej lub bardziej radosne oczekiwanie, miał poważną, wręcz namaszczonej minę. Obserwował

peron, śledził kolumnę przybyłych pasażerów, lecz nie zamierzał nikogo witać.

Converse zdał sobie nagle sprawę, że człowiek ten przyciągnął jego uwagę jeszcze z innej przyczyny. Poznał go i natychmiast przypomniał sobie, gdzie widział jego twarz. To właśnie on szedł szybko leśną ścieżką w towarzystwie innego strażnika, patrolując fortecę Ericha Leifhelma nad Renem.

Kiedy zbliżyli się do łuku, Joel roześmiał się nieco głośniejszym i poklepał

barczystego Holendra po ramieniu. Czapkę miał nadal nasuniętą na oczy, a ruchy jego głowy były płynne i precyzyjne. Kiwnął nią kilkakrotnie, wzruszył

ramionami, wesoło czemuś zaprzeczył, potrząsnął głową i zmarszczył brwi, poruszając bez przerwy wargami jak człowiek pochłonięty rozmową. Kątem oka dostrzegł, że goryl Leifhelma spogląda na niego i odwraca wzrok. Przeszli przez tok, gdy wtem Joel zauważył obracającą się gwałtownie głowę i kogoś przepychającego się przez tłum na skraju maszerującej kolumny pasażerów. Zerknął

do tyłu nad barkiem Holendra. Stało się. Napotkał wzrok goryla Leifhelma.

Niemiec natychmiast go poznał i wpadł na moment w panikę. Obejrzał się na peron i

zamierzał krzyknąć, lecz umilkł. Sięgnął pod marynarkę i ruszył do przodu.

Joel oderwał się od małżeństwa i pobiegł w stronę ciągu łukowatych wyjść z

ozdobnej hali dworcowej, przez które wpadały promienie słońca. Mijał

kolejne fale ludzkich ciał. Zerknął dwukrotnie do tyłu i za drugim razem zauważył wreszcie podwładnego Leifhelma, który stanął na palcach, by lepiej widzieć, i wykrzykiwał rozkazy do kogoś po przeciwnej stronie, wskazując drzwi 375

wyjściowe w dali. Converse przyśpieszył kroku, przepychając się przez tłum w stronę schodów wiodących do ogromnych bram. Wdrapał się po nich błyskawicznie, nie wyprzedzając jednak innych pasażerów, trzymając się środka potoku ludzi, starając się zwracać na siebie jak najmniejszą uwagę.

Wybiegł na zalaną słońcem przestrzeń i stanął jak wryty, nie wiedząc, Co począć.

W dole widać było wodę, nabrzeża, lśniące od szkła stateczki tańczące na falach i tłumy pędzących przechodniów. Na pokład niektórych łodzi wchodzili ludzie, wpuszczani przez marynarzy w biało-niebieskich mundurach. Ledwo wysiadł z pociągu, już znalazł się w porcie. Nagle przypomniał sobie: główny dworzec kolejowy Amsterdamu znajdował się na wyspie naprzeciwko centrum miasta. Jednakże wyspę łączyły z resztą stolicy dwa - nie, trzy! - mosty. Nie ma ani chwili do stracenia! Znalazł się na otwartej przestrzeni, a mosty widoczne w dali stanowiły jedyne drogi ucieczki, wąwozy prowadzące do niedostępnej bagnistej dżungli, gdzie ukryje się przed wrogami! Popędził szerokim bulwarem oblany z obydwu stron wodą i dotarł do jeszcze szerszej alei pełnej samochodów i autobusów szykujących się do odjazdu. Zauważył kolejkę ludzi wchodzących do tramwaju elektrycznego i pobiegł w ich stronę. We wnętrzu zniknęło dwóch ostatnich pasażerów; pognął naprzód i zatrzymał się gwałtownie, nim drzwi zdążyły się zasunąć. Udało mu się dostać do środka.

Poszedł prędko do tyłu, zauważywszy wolne miejsce w ostatnim rzędzie, i usiadł, dysząc rozpaczliwie. Czoło i skronie pokrywał mu kroplisty pot, a koszula pod marynarką była zupełnie mokra. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak jest wyczerpany: serce waliło mu jak młotem, a przed oczyma wirowały czerwone kręgi.

Nie był w stanie myśleć. Strach i ból doprowadziły go wręcz do hysterii.

Dodawalo mu sil pragnienie ocalenia zycia i nienawisc do Akwitanii. Bol? Zdal

sobie nagle sprawe z bolu w ramieniu nad rana, z ostatniego aktu zemsty staruchy. Zemsty za co? Po co? Dla wrogow? Dla pieniedzy? Ani chwili czasu!

Tramwaj ruszyl i Joel obroutil sie na siedzeniu, by wyjrzec przez tylne okno.

Zobaczyl to, co chcial. Przez skrzyzowanie przeszedl goryl Leifhelma i spotkal

sie z drugim męzczyzna, który nadbiegl z nabrzeza. Zaczeli krzyczec do siebie, bliscy paniki. Obok nich wyrosl nagle jak spod ziemi trzeci. Nastapila ozywiona wymiana zdań. Goryl Leifhelma wygladal na przywodce; machnal raka w kilku kierunkach, wydajac rozkazy. Jeden z męzczyzn pobiegl ulica, zszedl z kraweznika i zaczal zagladac do taksowek, które utknely w korku ulicznym; drugi przeszedl

powoli między stolikami ulicznej kafejki i zniknal w srodku lokalu. Goryl Leifhelma przebiegl z powrotem przez jezdnie, wymijajac samochody, po czym dotarl do chodnika i dal znac. Ze sklepu na rogu wyszla kobieta i stanela obok niego.

Nikt nie pomyslal o tramwaju. Byla to pierwsza kryjowka Joela. Usiad prosto i staral sie zebrać myśli, wiedzac, ze niełatwo przyjdzie stawic im czoło-Akwitańczycy rozpelzna sie po całym Amsterdamie, przeszukaja dom po domu, wypytaja wszystkich mieszkancow, póki go nie znajdą. Czy istnieje jakis sposob porozumienia sie z Cortem Thorbecke? A moze oszukuje sam siebie, 376

gdy odnosil sukcesy dzieki nazbyt częstym przypadkom i arogancji straznikow? Nie, musi na chwile przestac myslec, polozyc sie w jakiejś krymce i odpoczac, a moze nawet zasnac w nadziei, ze nie przyznia mu sie koszary-Wyjrzal

przez okno i zauwazyl tablice z napisem Damrak.

Jezdzil tramwajem ponad godzine. Barwne ulice, przepiekne zabytkowe kamieniczki i niekonczace sie kanały uspokoily go. Pogryzione ramie nadal bolalo, jednak niezbyt dotkliwie i przestal myslec o obmyciu rany. Starucha byla prawdopodobnie czystsza niz wiekszosc nowojorskich prawnikow, którzy mieli co prawda bielsze zęby, lecz nie dorownywali jej pod wzgledem sily. Nie umial oplakiwac starej kobiety, choc zalowal, ze nie zna jej historii, podobnie jak w wypadku niektorych dziwnych swiadkow skladajacych zeznania przed sadem.

Hotele byly wykluczone. Przeszukajace zoldacy Akwitanii, obiecujac sowite nagrody za jakiegokolwiek informacje o Amerykanach podobnych do Joela, ktorego obecny wyglad znaja. Thorbecke bedzie nieustannie sledzony, a jego rozmowy telefoniczne podslychiwane. Nawet w ambasadzie albo konsulacie znajdzie sie kolejny charge d'affaires czekajacy na sygnal, ze rzekomy zabojca chce sie oddac w rece wladz i oczyścić z podejrzen. Jesli Joel trafnie ocenia sytuacje, pozostala mu tylko jedna szansa uciezki. Nathan Simon.

Joel przezwał go niegdyś "Natanem Talmudystą" i usłyszał w odpowiedzi, że goj obdarzony jego inteligencją powinien wymyślić coś oryginalniejszego. Później, po szczególnie długiej konferencji w biurze, gdy Lawrence Talbot zapadł w drzemkę, a Nate rozwodził się w nieskończoność, dlatego nie powinni prowadzić spraw niejakiego Liebowitza (wedle opinii Simona doprowadziłoby to do poważnego konfliktu między sumieniem a zasadami tajemnicy zawodowej), Converse zasugerował, iż właściwszy byłby przydomek "talmudystyczny nudziarz". Nate ryknął śmiechem, budząc Talbota, i zawołał:

-

Znakomite! Muszę powtórzyć to Sylvii!

Joel nauczył się od Nathana Simona więcej niż od kogokolwiek innego, lecz zachowywali zawsze pewien dystans. Wydawało się, że Nate nie życzy sobie autentycznego zbliżenia z Converse'em pomimo wyraźnej sympatii do młodego człowieka. Joel miał wrażenie, że rozumie: w grę wchodziła lojalność. Simon miał

dwóch synów, którzy, jak to ostrożnie określał, "prowadzili własne interesy w Kalifornii i na Florydzie". Jeden pracował jako pośrednik ubezpieczeniowy w Santa Barbara, drugi zaś prowadził bar w Key West. Nie łatwo było dorównać Nate'owi Simonowi, a Joel przekonał się o tym pewnego wieczoru, gdy Simon zaprosił go na drinka do kawiarni po wyczerpującej konwencji na Piątej Alei.

-

Lubię twojego ojca, Converse. Lubię Rogera. Oczywiście, prawie nie potrzebuje pomocy prawnej, ale to dobry człowiek.

-

Wcale nie potrzebuje pomocy prawnej i usiłowałem wyperswadować mu Przychodzenie do nas.

377

-

Nie udało ci się to. Musiał zrobić taki gest. Chciał powiększyć obrost kancelarii, gdzie pracuje syn. To wzruszające.

-

Pisząc niepotrzebny testament, za który zbyt wspaniałomyślnie policzyłeś mi tylko dwieście dolarów, i ofiarowując swoje medale wojenne aż trzem różnym muzeom, za co w ogóle nie chciałeś przyjąć pieniędzy z przyczyn patriotycznych.

-

Walczyliśmy na tym samym froncie.

-

Gdzie?

-

W Europie.

-

Daj spokój, Nate. To mój ojciec i kocham go, ale wiem, że to wariat. Zna się tylko na samolotach, a poza tym nie ma pojęcia o życiu. Kiedy zaczął

pracować w administracji Pan Am, okazał się przydatny tylko dlatego, że miał

w małym palcu wszystkie międzynarodowe konwencje lotnicze.

Nathan Simon ścisnął palcami kieliszek i odezwał się gniewnym tonem człowieka przeżywającego dramat wewnętrzny:

-

Powinieneś szanować ojca, słyszysz, Joel?! Roger zdobył się na gest, na jaki było go stać. Nie potrafił sobie wyobrazić niczego innego. Mnie stać było na więcej, ale nie umiałem się zdobyć na gesty. Wydawałem tylko rozkazy...

Powiedział, że mogę to jeszcze zmienić. Zamierzam skończyć kurs pilotażu.

Simon pomoże Joelowi, pod warunkiem że uzna jego oskarżenia za uzasadnione.

Jednakże wycofa się lub odmówi pomocy, jeśli dojdzie do wniosku, że jest manipulowany pod pretekstem starej przyjaźni. Oczywiście, gdyby Joela oskarżono o morderstwo, z radością podjąłby się jego obrony. Było to zgodne z etyką zawodową. Valerie przesłała mu już kopertę z dossier o przerażających implikacjach. Simon potrzebował właśnie takiego potwierdzenia. Znając Val, wysłała dokumenty pocztą kurierską, gdyż państwowe instytucje amerykańskie miały tuziny konkurentów współzawodniczących o dolary podatników. Joel podjął decyzję.

Ponieważ różnica czasu wynosi pięć godzin, zaczeka do wieczora i zatelefonuje do Nathana Simona. Zaczynał przychodzić do siebie.

Tramwaj zatrzymał się na pętli. Joel był ostatnim pasażerem; ruszył między ławkami, wysiadł i

zobaczył inny tramwaj. Wsiadł do niego. Kryjówka.

Minąwszy setkę ulic i kilkanaście krzyżujących się kanałów, wyrzał przez okno i spodobał mu się podejrzany charakter dzielnicy, w której się znalazł, pozornie czystej, lecz niewątpliwie zgniłej od spodu. Widać było rzędy sex shopów z towarami ustawionymi dumnie na wystawach. W otwartych oknach prezentowały swoje wdzięki krzykliwie umalowane dziewczęta, powoli zdejmujące i wkładające biustonosze. Kręciły ze znudzoną miną pupami, które poruszały się jakby same z siebie, nie odzwierciedlając uczuć właścicieli.

Ulicą krążyły tłumy podekscytowanych przechodniów, zaciekawionych, za-szokowanych i mających ochotę na zawarcie transakcji. Czuło się atmosferę karnawału, w którym łatwo można się zgubić. Converse wstał z siedzenia i poszedł do drzwi.

Zaczął się włóczyć ulicami, szczerze zdumiony, wręcz zażenowany, jak zawsze, gdy stykał się z seksem w miejscach publicznych. Przelotne kontakty 378

erotyczne sprawiały mu przyjemność i nigdy mu ich nie brakowało, lecz poczucie spełnienia pojawiało się tylko wówczas, gdy miały charakter prywatny.

Po przestąpieniu progu jednych z owych neonowych drzwi wiodących do rajów były dlań równie trudne jak wypróżnienie na środku ulicy.

po drugiej stronie jezdnii, nad kanałem, znajdował się taras ulicznej kawiarenki - W lokalu panowała ciemność. Przekroczył zatłoczoną ulicę, kluczył

między stolikami i wszedł do środka. Sen nie wchodził w rachubę, lecz Joel miał wilczy głód. Nie jadł niczego treściwego od przeszło trzech dni. Znalazł

wolny stolik z tyłu sali, zirytowany jazgotem telewizora wiszącego wysoko na ścianie po prawej i ryczącego swoje popołudniowe nonsensy. Przynajmniej po holendersku, choć niewiele to zmieniało.

Nierozcieńczona whisky także niewiele zmieniła. Powrócił niepokój tropionego zwierzęcia. Joel zwracał nieustannie głowę ku drzwiom, lada chwila spodziewając się ujrzeć żołdaka Akwitania wchodzącego z zalanej słońcem ulicy, by go pojmać.

Poszedł do męskiej ubikacji na tyłach kawiarni, zdjął marynarkę, schował

pistolet z tłumikiem do wewnętrznej kieszeni i oddał lewy rękaw koszuli.

Napełnił zimną wodą jedną z dwóch umywalk i zanurzył w niej twarz, lejąc wodę na włosy i szyję. Wtem rozległ się jakiś dźwięk! Pozdrowił go skinieniem głowy tęgi mężczyzna w średnim wieku, który poszedł do pisuaru. Joel zerknął prędko na ślady zębów na ramieniu; przypominały ugryzienie psa. Opróżnił umywalkę, puścił strumień ciepłej wody i ścisnął papierowym ręcznikiem bolesne miejsce, aż spod poszarpanej skóry wypłynęła krew. Nie mógł zrobić nic więcej. Przed wieloma laty postępował tak samo, gdy atakujące go szczury przepływały między prętami bambusowej klatki.

Później, ogarnięty paniką, przekonał się, że szczury można przestraszyć i zabić. Tęgi mężczyzna odszedł od pisuaru i opuścił toaletę, zerkając z zażenowaniem na Converse'a.

Joel opatrzył ślady zębów kilkakrotnie złożonym papierowym ręcznikiem, włożył marynarkę i przyczesał włosy. Otworzył drzwi i wrócił do stolika, znów zirytowany rykiem telewizora na ścianie.

Czterojęzyczne menu zawierało także azjatyckie hieroglify, pewnie ja-pońskie. Joel czuł pokusę zamówienia ogromnej porcji smażonego befsztyka, lecz powstrzymał go instynkt pilota. Od wielu dni nie dosypiał; co dziwne, od ucieczki z fortecy Leifhelma, gdzie dobrze spał głównie dzięki ogromnym ilo-

ściom wyśmienitego jedzenia, które miało przyspieszyć gojenie się rany mani-Pulowanej kukiełki... Obfity posiłek przyprowadziłby go o senność, a w takim stanie nie lata się odrzutowcem z prędkością tysiąca kilometrów na godzinę.

Zbliżał się akurat do szybkości dźwięku. Wreszcie zdecydował się na smażoną potrawę z ryżem; w końcu zawsze mógł ponowić zamówienie. Poprosił także jeszcze jedną whisky.

Ten głos! Boże! Ten głos! To halucynacja! Oszalał! Słyszał głos, echo głosu, którego nie miał prawa słyszeć!

- To niestety nasza największa wada narodowa, ale podobnie jak wielu moich rodaków, znam tylko angielski.

379

-Frau Converse...

-

Fraulein... To chyba dobrze po niemiecku...? Proszę nazywać panną Charpentier.

-

Dames en heren... - wtrącił cicho i stanowczo mężczyzna mówiący po holendersku.

Converse wstrzymał dech w piersiach, wbijając paznokcie w nadgarstek. Zaciśnął powieki tak mocno, że rozboleły go mięśnie twarzy, i wykręcił szyję by nie słyszeć przerażających majaków.

,

-

Przyjechałam do Berlina w interesach. Pracuję jako konsultantka dla nowojorskiej agencji...

-

Mevrouw Converse, of Juffrouw Charpentier, zoals we...

Joel poczuł, że jego szaleństwo sięga szczytu. Zwariował, postradał zmysły!

Głos nie chciał zniknąć! Odwrócił głowę i spojrzał do góry! Telewizor! To ona!

Valerie! Widział ją na ekranie!

-

Zapewniam panią, że każde pani słowo zostanie wiernie przetłumaczone, Fraulein Charpentier.

Trzeci głos mówiący po holendersku:

-

Zoals Juffrouw Charpentier zojuist zei...

-

Nie widziałam swojego byłego męża od trzech czy czterech lat. W istocie rzeczy nie mamy ze sobą nic wspólnego. Jestem równie wstrząśnięta jak cały mój kraj...

-Juffrouw Charpentier, de vroegere Mevrouw Converse...

-

...cierpiał na ciężką nerwicę i popadał w głębokie stany depresyjne, ale nie spodziewałam się nigdy czegoś takiego...

-

Hij moet mentaal gestoord zijn...

-

Jesteśmy sobie obcy i dziwi mnie, że dowiedzieli się państwo o moim przylocie do Berlina. Ale cieszę się, że mam okazję wystąpić publicznie i jak to się mówi, oczyścić atmosferę.

-

Mevrouw Converse gelooft...

-

Pomimo straszliwych wydarzeń, z którymi nie mam oczywiście nic wspólnego, cieszę się z wizyty w waszym wspaniałym mieście. A raczej połowie miasta, choć wasza jest niewątpliwie piękniejsza. Bristol-Kempinski to istne monstrum... Strasznie mi przykro, nie powinnam chyba tego mówić.

-

To jedna z najsztywniejszych budowli Berlina, Fraulein Charpentier. Ta kie uwagi nie są tu verboten. Czy czuje się pani zagrożona?

-

Mevrouw Converse, voelt u zich bedreigd?

-

Nie, niespecjalnie. Od tak dawna nic nas nie łączy...

Boże, Val przyleciała do Europy, by go odnaleźć! Przesłała mu wiadomość, kilka wiadomości! Przecież mówiła po niemiecku równie dobrze jak autor wywiadu!

Spotykała się z Joelem co miesiąc; sześć tygodni temu jedli razem lunch w Bostonie! Jej kłamstwa stanowiły szyfr, ich prywatny szyfr: Skontaktuj się ze mną!

Część 3

Rozdział 27

Wstrząśnięty Joel usiłował analizować sens poszczególnych słów i zwrotów. Niosły one pewne informacje. Wiedział, że Bristol-Kempinski to hotel w Berlinie Zachodnim. Nie, chodziło o coś innego, co kojarzyło się niejasno z dawno minionymi czasami. Co to takiego?

"Nie widziałam swojego męża od trzech czy czterech lat..." Nie, to tylko zwykłe kłamstwo. "Cierpiał na ciężką nerwicę..." Było to bliższe prawdy, lecz nie to przecież chciała powiedzieć. "Jesteśmy sobie obcy... Nic nas nie łączy..."

Kolejne kłamstwo stanowiące w istocie fałszywą interpretację rzeczywistości.

Skup się! Co to takiego?! Wcześniej, na początku... "Pracuję jako konsultantka..." O to chodzi!

- Czy mógłbym rozmawiać z panną Charpentier? Nazywam się Whistletoe, Bruce Whistletoe. Prowadzę poufne konsultacje w sprawie dezodorantów, których znaki graficzne projektuje wasza agencja. Sprawa jest pilna, bardzo pilna!

Sekretarka Val uwielbiała plotkować na temat pracowników firmy, toteż gdy Joel i Valerie chcieli wyrwać się razem na godzinny lunch albo nawet na cały dzień, Joel telefonował do agencji i mówił coś w tym rodzaju. Sposób okazał się niezawodny. Jeśli wymagający wicedyrektor (były ich całe tuziny) chciał się dowiedzieć, gdzie się podziewa Valerie, podniecona sekretarka opowiadała mu o pilnym telefonie jednego z bardzo poważnych klientów. Wystarczało to każdemu zabieganemu urzędnikowi o skłonnościach do nadkwasoty, a resztą zajmowała się Valerie z właściwym sobie profesjonalizmem. Twierdziła, że sytuacja jest pod kontrolą, a uspokojony kierownik rzadko decydował się wgłębiać w sprawy, które mogły przyprawić go o atak wrzodu żołądka.

Valerie sugerowała Joelowi, by posłużył się ową taktyką na wypadek, gdyby podsłuchiwano jej rozmowy telefoniczne. I tak by to zrobił; przypominała mu o tym po prostu, ostrzegła go.

383

Wywiad skończył się. Ostatnie kilka minut poświęcono na podsumowanie w języku holenderskim, a na ekranie widać było w tym czasie stop klatkę z twarzą Valerie.

Stop klatkę! Wywiad szedł z taśmy, a nie na żywo! Kiedy przyleciała do Berlina?

Do licha, czemu mówiła tylko po angielsku?! Stwierdzając kłamliwie, że nie zna niemieckiego, Val nazwała to największą amerykańską wadą narodową. Miała rację, ale mogła dodać coś jeszcze: wynika ona z arogancji. Joel rozejrzał się po kawiarni w poszukiwaniu telefonu; aparat wisiał na tylnej ścianie, blisko wejścia do męskiej toalety, a Joel nie miał zielonego go pojęcia, jak się nim posłużyć! Czuł coraz większą frustrację, która przeradzała się w panikę. To dopiero początek. Nagle usłyszał własne nazwisko.

- De Ameñkanse moodenaar Converse is advocaat en was piloot en d Vietnam -orloog.

Een andere advocaat Franz, een vriend van Converse..

Oszołomiony Joel spojrział na ekran. Wstrzymał oddech i zamarł. Wyświetlano fragment filmu; operator kamery wszedł do gabinetu i zrobił zbliżenie zwłok mężczyzny przy biurku. Z jego głowy spływały strużki krwi przypominające ohydne węzowisko na lśniącym drewnianym blacie. Boże! To przecież René...!

W lewym górnym rogu ekranu pojawiła się fotografia Mattilona, po prawej zaś druga, z podpisem Ameñkanse moodenaar, Joel Converse. Nie potrzebował przekładu, by rozumieć. Oskarżono go o

zamordowanie Renę. Poznał odpowiedź na pytanie, dlaczego Akwitańczycy sugerowali, że zmierza do Paryża.

Stał się aniołem śmierci dla nowych i starych przyjaciół. Renę Mattilona, Edwarda Beale'a, Avery'ego Fowlera... Podobnie jak dla wrogów, których nie znał

i nie potrafił ocenić zarówno jako wrogów, jak i ludzi: dla mężczyzny w brązowym płaszczu w piwnicy w Paryżu, dla strażnika na wzgórzu nad Renem, dla lotnika w pociągu, dla pamiętnej, choć mało wyrazistej postaci u stóp przymy śmieci, dla szofera, z którym prawie się zaprzyjaźnił w kamiennym domku z kratami w oknach, dla staruchy, która z taką maestrią odegrała swoją rolę w hałaśliwym wagonie kolejowym. Niósł im śmierć. Znalazł się z powrotem w obozie w dżungli, do którego poprzysiął nie wracać. Mógł tylko uciekać w nadziei, że morderców zdemaskuje ktoś mądrzejszy od niego. Jednakże w tym momencie jego najwierniejszym sojusznikiem i najbardziej nieprzejednanym wrogiem była śmierć.

Nie czuł się na siłach wziąć na siebie takiej odpowiedzialności; nie był na to przygotowany. Pragnął utonąć w pustce, niech ktoś inny przejmie sprawę, którą powierzono mu w tajemnicy w Genewie.

Chryste Panie, taśma! Skoro wywiad nakręcono przed kilkunastoma godzinami, Valerie mogła nie otrzymać przesyłki wysłanej z Bonn! Nie, napewno jej nie dostała! Inaczej nie poleciałaby do Europy!

Boże! - pomyślał Joel, dopijając whisky i pocierając ręką czoło z kompletnym zamętem w głowie. Skoro koperta nie dotarła do Nathana Simon. Absurdem było prosić go o pomoc. Zatelefonowawszy doń, Joel usłyszy kategoryczne żądanie, by oddał się w ręce władz, a policja zacznie szukać aparatu, z którego 384

dzwonił. Nathan nie złamie prawa. Będzie walczyć jak lew o klienta, ale dopiero wówczas, gdy klient zacznie postępować zgodnie z prawem. Była to jego religia, znacznie ważniejsza niż oficjalne praktyki w synagodze. Prawo !i puszczało błędy, gdyż było czymś ludzkim, a nie ezoterycznym i metafizycznym.

Converse'owi zaczęły drżeć ręce. Musiał się dowiedzieć, czy Val otrzymała przesyłkę!

- Pańska smażona flądra, Mijnheer.

- Co takiego?!

- Flądra, proszę pana - powtórzył kelner.

- Zna pan angielski?

-

Ależ oczywiście - odparł kościsty, łysy mężczyzna tonem uprzejmym, lecz pełnym rezerwy. -

Rozmawialiśmy już, ale był pan bardzo podniecony.

Chyba ta dzielnica tak działa na mężczyzn.

-

Proszę... proszę posłuchać. - Joel uniósł dłoń. - Zapłacę panu dużo pieniędzy, jeśli zamówi pan dla mnie rozmowę telefoniczną. Nie mówię po holendersku, francusku ani niemiecku. Znam tylko angielski, rozumie pan?

-

Rozumiem, Mijnheer.

-

Do Berlina Zachodniego.

-

To bardzo łatwe, proszę pana.

-

Zrobi pan to dla mnie?

-Ależ oczywiście, Mijnheer. Ma pan telefoniczną kartę kredytową? -Tak... Nie.

Nie chcę jej używać.

-

Naturalnie.

-

Widzi pan... nie chciałbym, by rozmowa była gdziekolwiek zanotowana. Mam pieniądze.

-

Rozumiem. Za kilka minut kończę pracę. Przyjdę po pana. Zamówię rozmowę i spytam telefonistkę o cenę. Będzie pan musiał zapłacić.

-

Oczywiście.

-"Dużo pieniędzy" to właściwie ile? Pięćdziesiąt guldenów, tak?

-

Tak, zgadł pan.

W dwadzieścia minut później Converse siedział za malutkim biurkiem w malutkim gabinecie. Kelner podał mu słuchawkę.

-

Znają angielski, Mijnheer.

-

Chciałbym rozmawiać z panną Charpentier - odezwał się Joel zduszonym głosem, wręcz sparaliżowany. Nie był pewien, czy zdoła nad sobą zapanować, kiedy usłyszy jej głos. Przemknęło mu przez głowę, że mógłby rzucić słuchawkę na widełki. Nie miał prawa Valerie wplątywać!

- Tak, słucham?

głos Valerie. Joel czuł się tak, jakby coś w nim umarło, a coś zmartwychwstało.

Przed oczyma przeleciały mu tysiące obrazów, wspomnienia szczęścia, gniewu, miłości i nienawiści. Nie mógł wykrztusić słowa, choć słyszał jej głos!

- Halo, kto mówi?

385

-

O, to ty. Przepraszam, prawie nic nie słyszę. Mówi Jack Talbot... Z

Boston Graphics. Jak się masz, Val?

-

Świetnie... Jack. Co u ciebie? Nie widzieliśmy się chyba ze dwa miesiące. Od lunchu w Four Seasons, jeśli dobrze pamiętam.

-

Zgadza się. Kiedy przyleciałaś?

-

Zeszłego wieczoru.

-

Długo zostajesz?

-

Tylko jeden dzień. Miałam dziś dwie konferencje, pierwszą rano, drugą po południu. Jeśli nie będę bardzo zmęczona, spróbuję złapać wieczorem samolot do Stanów. Kiedy przyjechałeś do Berlina?

-

Nie jestem w Berlinie. Widziałem cię w telewizji belgijskiej. Jestem w Antwerpii, ale dziś po południu wybieram się do Amsterdamu. Boże, przy-

kro mi z powodu tych wszystkich idiotyzmów, które musisz znosić. Kto by się spodziewał, że Joel zrobi coś takiego!

-

Ja powinnam się tego domyślić, Jack. To okropne. Jest taki chory. Mam nadzieję, że szybko go złapią dla dobra nas wszystkich. Potrzebuje pomocy.

-

Nie gniewaj się, ale uważam, że zasłużył na pluton egzekucyjny.

-

Wolę o tym nie rozmawiać.

-

Czy dotarły do ciebie szkice, które wysłałem, gdy Gillette zerwało kontrakt? Myślałem, że wyleją cię z pracy.

-

Szkice...? Nie, Jack, nie dostałam żadnych szkiców. Ale dzięki, że o mnie pamiętałeś, choć mnie przecież nie wylali.

Boże!

-

Doprawdy? Myślałem, że przeglądasz pocztę.

-

Przeglądałam do przedwczoraj. To nieważne. Wybierasz się do Amster damu?

-

Na tydzień. Zastanawiałem się, czy nie skontaktujesz się z tamtejszymi klientami przed powrotem do Nowego Jorku.

-

Powinam, ale chyba nie zdążę. Nie mam czasu. Jeśli się zdecyduję, zatrzymam się w hotelu Amstel. Gdyby mnie nie było, zobaczymy się w No wym Jorku. Możesz mnie zaprosić na lunch do Lutece i zdradzić mi kilka tajemnic zawodowych.

-

Znasz ich więcej ode mnie. Uważaj na siebie, dzieciно.

-I ty też... Jack.

Była wspaniała! I nie otrzymała przesyłki z Bonn.

Joel wędrował ulicami, bojąc się iść zbyt szybko lub stać zbyt długo w Jednym miejscu, wiedząc tylko, że musi pozostawać w ruchu, obserwować przechodniów i kryć się w cieniu. Valerie znajdzie się wieczorem w Amsterdamie! był tego pewien, usłyszał to w jej głosie. Kazała mu skontaktować się ze sobą w hotelu Amstel. Dlaczego? Czemu przyleciała do Europy? Co właściwie zamierzała? Joel przypomniał sobie nagle twarz Renę Mattilona. Stanęła mu 386

wyraźnie przed oczyma, otoczoną świetlistą poświatą, przypominająca maskę, -

śmiertelną maskę. Akwitańczycy zabili Renę, bo wysłał Joela do Amsterdamu. Nie oszczędzą również Valerie, jeśli dojdą do wniosku, że przyleciała do Europy, by go odnaleźć i udzielić mu pomocy.

Nie wolno się z nią kontaktować! To wykluczone! Podpisuje kolejny wyrok śmierci!

Wyrok śmierci na Val. Otrzymał od niej tak wiele, dając w zamian tak mało.

Ostatni dar nie może być pocałunkiem śmierci. A mimo to... mimo, iż w grę wchodzi Akwitania, a Joel mówił poważnie, gdy informował Larry'ego Talbota przez telefon, że życie Joela Converse'a nie ma najmniejszego znaczenia wobec międzynarodowego spisku generałów. Podobnie jak życie Prestona Hallidaya, Edwarda Beale'a i Connala Fitzpatricka. Jeśli Val może pomóc zdemaskować Akwitańczyków, Joel nie ma prawa jej powstrzymywać z pobudek osobistych. Czuł to jako prawnik i człowiek. A Val może pomóc, może zrobić coś, czego nie jest w stanie zrobić Joel. Polecieć z

powrotem do Ameryki, przekazać dossier Nathanowi Simonowi, powiedzieć mu, że widziała się z Joelem, rozmawiała z nim i wierzy mu.

Było wpół do czwartej po południu, a zmrok zapadał około ósmej. Joel musiał przeczekać w ukryciu mniej więcej pięć godzin. I powinien zdobyć samochód.

Zatrzymał się na chodniku i spojrzał na krzykliwie umalowaną, piekielnie znudzoną prostytutkę w oknie na pierwszym piętrze kamieniczki z czerwonej cegły.

Ich oczy spotkały się, a dziewczyna uśmiechnęła się leniwie do Joela, czyniąc prawą ręką niedwuznaczny gest.

Czemu nie? - pomyślał Converse. Świat wydawał się bardzo niepewny, lecz przynajmniej nie ulegało wątpliwości, że w pokoju na górze znajduje się łóżko.

Portierem okazał się podstarzały cherubinek z różową twarzą, który wyjaśnił

Joelowi płynną angielszczyzną, że musi zapłacić z góry za dwa dwudziestominutowe seanse, lecz otrzyma z powrotem pieniądze za drugi, jeśli zejdzie na dół w ciągu ostatnich pięciu minut pierwszego. Istne marzenie miłośnika oszczędności, pomyślał Converse, patrząc na liczne zegary stojące na ponumerowanych polach na kontuarze. Wtem na schodach pojawił się starszy mężczyzna. Portier chwycił

spiesznie jeden z zegarów i posunął dłuższą wskazówkę do przodu.

Joel jął przeliczać w pamięci guldeny na dolary i okazało się, że jedna sesja kosztuje mniej więcej trzydzieści. Wręczył zdumionemu odźwiernemu równowartość dwustu siedemdziesięciu pięciu dolarów, wziął numerek i ruszył ku schodom.

- To pańska przyjaciółka, łaskawy panie? - spytał zdumiony stróż przybytku rozkoszy, gdy Converse wszedł na pierwszy stopień. - Może stara miłość?

- To moja holenderska kuzynka, której nie widziałem od wielu lat - odparł smutno Joel. - Muszę z nią dłużej porozmawiać. - Wspiął się zgarbiony po schodach.

Slapen?! - zawołała kobieta z ciemnymi włosami posypanymi broką i policzkami pokrytymi grubą warstwą różu. Była nie mniej zdumiona niż portier. - Chce pan slapen?

-

W istocie rzeczy właśnie o to mi chodzi - stwierdził Converse, zdejmując okulary oraz czapkę i siadając na łóżku. - Jestem piekielnie zmęczony i chętnie bym się przespał, ale chyba po prostu odpocznę. Poczytaj sobie cza!

sopismo; nie będę ci przeszkadzał.

-

Co się stało? Nie podobam się panu? Jestem brudna? Sam pan też nie.

zbyt pięknie wygląda, Mijneer! Rany na twarzy, siniaki, oczy czerwone z nie.

wyspania. To pan jest brudny!

-

Przewróciłem się. Daj spokój, jesteś bardzo ładna i podoba mi się twój fioletowy cień do powiek, ale naprawdę chciałbym odpocząć.

-

Dlaczego tutaj?!

-

Nie chcę wracać do hotelu. Żona ma u siebie kochanka. To mój szef.

-

Amerikaans!

Joel zdjął buty i wyciągnął się na łóżku.

-

Mówisz bardzo dobrze po angielsku.

-

Ach, śpiam ze studentami z Ameryki. Nic tylko gadają; większość za bardzo się boi, żeby stać ich było na coś jeszcze. A jak idą do łóżka, to psss...

wylatuje z nich powietrze! A potem znowu gadają, aż chce się rzygać. Wasi żołnierze, marynarze i biznesmeni. Najczęściej są pijani i zachowują się jak rozkoszne bobasy. Wszyscy Amerykanie gadają. Już dwanaście lat. Nauczyłam się angielskiego.

-Nie pisz pamiętników. Niektórzy są już pewnie senatorami, kongresmenami i biskupami.

Converse położył ręce pod głowę i zapatrzył się w sufit. Zagwizdał cicho melodyjkę, a po chwili znalazł właściwe słowa: "Yankee Doodle w Amsterdamie nie miał z czego strzelać..."

-

Jest pan dowcipny, Mijnheer! - zawołała prostytutka, wybuchając ochry pływ śmiechem i zdejmując z krzesła cienki koc. - Nie mówi pan prawdy, ale jest pan dowcipny.

-

Skąd wiesz, że nie mówię prawdy?

-

Gdyby pańska żona miała kochanka, zabiłby go pan.

-

Wcale nie.

-

Wobec tego to nie pańska żona. Widziałam w życiu wielu mężczyzn, Mijnheer. Ma pan to wypisane na twarzy. Może jest pan dobry, ale potrafiłby pan zabić człowieka.

-

Muszę się nad tym zastanowić - odrzekł niepewnie Joel.

-

Niech pan śpi, skoro pan chce. Zapłacił pan. Ja sobie poczytam.

Podeszła do krzesła pod ścianą i usiadła z tygodnikiem w ręku.

-

Jak się nazywasz? - spytał Converse.

-

Emma - odpowiedziała prostytutka.

-

Miła z ciebie dziewczyna, Emmo.

388

- Mijnheer, wcale nie miła.

Joela zbudziło nagle czyjeś dotknięcie, aż usiadł gwałtownie na łóżku, instynktownie sięgając ręką do talii, by sprawdzić, czy ma na sobie pas z pieniędzmi. Spał tak głęboko, że przez chwilę nie wiedział, gdzie jest. Wreszcie ujrzał nad sobą krzykliwie umalowaną kobietę trzymającą dłoń na jego ramieniu.

-

Ukrywa się pan, Mijnheer?

-

Słucham?

-

Po całej Leidseplein kręcą się mężczyźni i pytają o ukrywającego się Amerykanina.

-

Co takiego?! - Converse zerwał z siebie koc i spuścił nogi na podłogę.

- Jacy mężczyźni?! Gdzie?!

-

Het Leidseplein, w tej dzielnicy. Chodzą po domach. Szukają Amerykanina Joel przesunął prawą dłoń z pasa na kolbę pistoletu.

-

Ale dlaczego właśnie tutaj?!

-

W Leidseplein często ukrywają się różni ludzie.

Czemu nie? - pomyślał Converse. Skoro sam na to wpadł, mogli to zrobić i wrogowie.

-

Podają rysopis?

-

To pan - odparła szczerze prostytutka.

Joel spojrzął jej prosto w oczy.

-

No więc?

-

Niczego się nie dowiedzieli.

-

Nasz przyjaciel na dole na pewno nie był wobec mnie taki wspaniało myślny. Musieli obiecać pieniądze.

-

Dali trochę - sprostowała prostytutka. - Przyrzekli więcej za dodatko we informacje. W kawiarni na ulicy czeka przy telefonie mężczyzna. Trzeba do niego zadzwonić, a przyprowadzi innych. Nasz... nasz przyjaciel na dole pomyślał sobie, że zechce pan przebić ofertę.

-

Ach, licytacja. Nóżki na stół.

-

Nie rozumiem.

-O jakiej właściwie sumie mówimy? Ile?

-

Tysiąc guldenów. Znacznie więcej, jeśli pana schwytają.

-Nasz przyjaciel nadal wydaje mi się podejrzenie wspaniałomyślny. Dlatego nie przyjął oferty i nie zamknął interesu?

-

To właściciel kamienicy. Podobno przyszedł do niego Niemiec, który mówił jak żołnierz wydający rozkazy.

-Nie myli się. To żołnierz, ale nie należy do żadnej armii, o której słyszał

w Bonn.

- Zo?

-

Nic. Dowiedz się, czy nasz przyjaciel przyjmie dolary amerykańskie.

-

Oczywiście.

389

-

Sprawdzam i podwajam stawkę.

Prostytutka zawahała się.

-

Teraz moja kolej, Mijnheer.

-

Słucham?

-

Co ze mną?

-

Ach, z tobą?

-Ja.

-

Mam dla ciebie specjalną propozycję. Umiesz prowadzić wóz albo znasz kogoś, kto potrafi?

-

Jasne, że umiem, natuurlijk. Odwożę dzieci do szkoły, jak jest brzydka pogoda.

-

O Boże... To znaczy, bardzo fajnie.

-

Oczywiście nie noszę wtedy makijażu.

Rany boskie, te wszystkie historie! - pomyślał Converse.

-

Chcę, żebyś wynajęła mi samochód, podjechała pod drzwi frontowe i wysiadła, zostawiając kluczyki w stacyjce. Możesz to zrobić?

-

Ja, ale coś za coś.

-

Trzysta dolarów, czyli osiemset guldenów.

-

Pięćset, czyli tysiąc czterysta - odparowała. - I pieniądze na wynajęcie samochodu.

Joel skinął głową, rozpiął marynarkę i wyciągnął koszulę ze spodni. Za szerokim płóciennym pasem widać było wyraźnie kolbę pistoletu z krótką lufą i długim tłumikiem. Kobieta zauważyła broń i wydała cichy okrzyk.

-

To nie mój pistolet - rzekł szybko Converse. - Zabrałem go komuś, kto próbował mnie zabić, choć nie obchodzi mnie, czy mi wierzysz.

Prostytutka popatrzyła na niego z lękiem i ciekawością.

-

Ten żołnierz z nieznanej armii i ci mężczyźni pytający o pana na ulicy, oni chcą pana zabić, prawda?

-

Tak.

Joel rozsunął zamek błyskawiczny i odliczył kciukiem banknoty. Wyjął je i zasunął zamek.

-

Zrobił im pan wiele złego?

-

Jeszcze nie, ale mam nadzieję zrobić. - Podał dziewczynie pieniądze. -

To wystarczy dla naszego przyjaciela z dołu i dla ciebie. Po prostu wynajmij samochód i przywieź turystyczną mapę Amsterdamu z zaznaczonymi najważniejszymi domami towarowymi i hotelami.

-

Mogłabym panu powiedzieć, gdzie jest miejsce, którego pan szuka.

-

Nie, dziękuję.

-Ja. - prostytutka kiwnęła ze zrozumieniem głową i wzięła pieniądze - To źli ludzie, prawda? - spytała, licząc.

-

Najgorsze sukinsyny, panienko.

-

To oni poranili panu twarz?

-

Tak, głównie oni.

390

- Miech pan idzie na politie.

- Ma policję? To nie ma sensu. Nie zrozumieliby mnie.

- Też pana szukają- domyśliła się kobieta.

- Za coś, czego nie zrobiłem.

prostytutka wzruszyła ramionami.

- To nie moja sprawa - rzekła, kierując się w stronę drzwi. - Powiem, że kradziono mi auto. Kilka ulic stąd jest garaż wynajmujący samochody; znają mnie tam. Idę do nich, jak zepsuje się mój peugeot i muszę wrócić do domu. Ach, kinderen! Lekcje deklamacji, tańca! Wrócę za dwadzieścia minut.

'- Deklamacji?

-Niech pan tak na mnie nie patrzy, Mijnheer. Nazywam swoją pracę po imieniu.

Większość ludzi robi to samo co ja i nazywa to inaczej. Za dwadzieścia minut.

Kobieta z włosami posypanymi brokatem wyszła przez drzwi i zamknęła je za sobą.

Joel podszedł bez entuzjazmu do umywalki na ścianie i zobaczył, że jest nieskazitelnie czysta. Na podłodze stała puszka proszku do szorowania, butelka bielinki oraz opakowanie papierowych ręczników. No tak. Lekcje deklamacji i tańca stanowią normalną część życia prostytutki, podobnie jak często psujący się samochód. Nie różni się przecież od innych uczciwych obywateli. Converse spojrział w lustro. Kobieta miała rację, wyglądał niezbyt pięknie. Ochlapał twarz wodą, wytarł ją, założył ciemne okulary i doprowadził się do jakiegoś takiego wyglądu.

Stało się. Val przyleciała do Europy, by go odszukać, a chociaż spotkanie groziło straszliwym niebezpieczeństwem, Joel miał ochotę śpiewać lub krzyczeć cicho we mgle własnych wyobrażeń. Tak bardzo pragnął na nią spojrzeć, dotknąć jej, usłyszeć jej głos - i zdawał sobie sprawę, że kierują nim dwuznaczne pobudki. Chciał się z nią zobaczyć, bo stał się zaszczytnym zwierzęciem, poranionym i nieszczęśliwym, co nie zdarzyło się nigdy w czasie ich małżeństwa.

Nie było to zbyt piękne. Zgodził się odegrać rolę głodnego psa na zimnym deszczu; nie pasowało to do ich wspólnej przeszłości, do de suite, jak to określił René Mattilon... René. Telefon Joela okazał się dlań wyrokiem śmierci.

Akwitania. Boże, jak śmiałem nawiązać kontakt z Val?! - pomyślał, czując piekielny skurcz w gardle. Odpowiedź brzmiała tak samo: z powodu Akwitanii. Poza tym uważał, że ma pełną kontrolę nad sytuacją. Każdy krok na ulicy, w Pociągach, w kawiarniach był równie starannie przemyślany jak kiedyś w dżungli, gdy wykorzystywał rzeki i strumienie, by obejść pozycje nieprzyjaciela. W

Amsterdamie zamierzał posłużyć się samochodem i mapą miasta.

Spojrzął na zegarek; dochodziła piąta trzydzieści. Pozostało mu dwie i

Pół godziny, by odnaleźć hotel Amstel, objechać go kilkakrotnie i dokład -

nie poznać otaczający teren, każdy zaułek i kanał. A później zapoznać się z

trasądo ambasady albo konsulatu amerykańskiego. Stanowiło to część jego Planu, jedyne

zabezpieczenie, jakie może ofiarować Val, jeśli wypełni jego instrukcje. Powinien także zapoznać się z rozkładem lotów.

391

Minęło dwanaście minut i Joel już zamierzał zejść na dół, gdy na wyznaczonej ulicy przed domem zatrzymał się samochód Emmy, ucziwej dziewczyny dojeżdżającej codziennie do pracy. Jeśli nie znajdzie się miejsca przy krawężniku, Joel wejdzie na jezdnię, każe dziewczynie wysiąść z auta i zastąpi ją szybko za kierownicą, by nie tamować ruchu. Opuścił niewielki pokój i jął schodzić po schodach, słysząc udawane jęki rozkoszy dobiegające z kilku zamkniętych drzwi.

Zastanawiał się przez moment, czy dziewczęta korzystają z magnetofonów kasetowych; mogły puszczać taśmy i czytać maga zyny. Dotarł do najniższego podestu; widział wyraźnie pulchną twarzyczkę właściciela siedzącego za kontuarem i rozmawiającego przez telefon. Joel schodził nadal po schodach, trzymając w ręku banknot studolarowy, który postanowił mu wręczyć jako premię za ocalenie życia.

Znalazłszy się w holu, doszedł nagle do wniosku, że najchętniej zamknąłby portiera w bambusowej klatce w wodach Mekongu. Starzejący się cherubin spojrzał

na Converse'a szeroko otwartymi oczyma, a z jego różowiutkich policzków odpłynęła krew. Odłożył drżącą dłonią słuchawkę i usiłował się uśmiechnąć.

-

Nic tylko kłopoty, Mijnheer! - odezwał się piskliwie. - Rezerwacja jest tak skomplikowana, że powinienem kupić komputer!

Zrobił to, skurwysyn! Zadzwoił do mężczyzny w kawiarni!

-

Trzymaj ręce na ladzie! - wrzasnął Joel.

Polecenie okazało się spóźnione: Holender wyciągał już rewolwer. Converse skoczył do przodu; obrócił się doń lewym bokiem, sięgając pod marynarkę i wyciągając broń zza pasa. Portier strzelił na oślep, a Joel staranował barkiem wątlą ladę i złamał ją, aż ukazała się wyciągnięta ręka z rewolwerem. Uderzył

lufą własnego pistoletu w nadgarstek Holendra, wytrącając mu broń. która potoczyła się po podłodze.

-

Ty świnió! - zawołał Joel, chwytając portiera za koszulę i podnosząc z miejsca. - Zapłaciłem ci!

-

Niech pan mnie nie zabija, błagam! Jestem biedny i tkwię po uszy w dłu gach! Mówili, że chcą tylko z panem porozmawiać! Co w tym złego? Proszę, niech pan tego nie robi!

-

Nie jesteś tego wart, skurwysynu!

Converse walnął Holendra kolbą w głowę i pobiegł do drzwi. Auta na ulicy utknęły w korku ulicznym, lecz nagle zrobiło się luźniej i samochody, autobusy oraz otwarte mikrobusy turystyczne ruszyły do przodu. Gdzie jest Emma, dziewczyna praktyczna?

-

Theodoor! Deze kerel is onmogelijk! Hij wil!...

Histeryczny głos należał do kobiety z obnażonymi piersiami, która zbiegła po schodach w niewielkim trójkątku materiału zakrywającym podstawowe narzędzie swego fachu. Zatrzymała się na przedostatnim stopniu i wrzasnęła na widok nieprzytomnego Theodora. Joel podbiegł do niej, zatkał J usta lewą ręką, prawą zaś popchnął w stronę barierki.

392

., Cisza! - Miał zamiar szepnąć, lecz krzyknął na cały głos. - Zamknij się!

Usiłował objąć prostytutkę za szyję, ale ręka ześlizgnęła mu się, a broń lała się tuż przed twarzą dziewczyny. Znów wrzasnęła, usiłując kopnąć Joela w podbrzusze, próbowała także drapać go paznokciami i odpychać. Nie miał wyboru, uderzył ją w szczękę pięścią, ściskając kolbę pistoletu. Rozchyliła ukarminowane wargi i zwiotczała.

Na pierwszym piętrze, nad schodami, zaczęły trzaskać otwierane drzwi, rozległy się gniewne, przerażone, pytające okrzyki. Joel nie rozumiał ich treści, lecz wyczuwał narastającą panikę. Na ulicy, przed otwartymi drzwiami, rozległ się nagle głośny klakson samochodu. Joel podbiegł do framugi i wyrzwał na dwór, chowając pistolet za plecami.

Emma zatrzymała auto na środku jezdni, nie mogąc podjechać do krawężnika. Joel wsunął pistolet za pasek od spodni i wypadł na zewnątrz. prostytutka zrozumiała jego gesty i wysiadła, a Joel okrążył samochód i minął ją w biegu.

-

Dziękuję! - zawołał.

Wóz jest kradziony! - odparła, wruszając ramionami. - Powodzenia, Mijnheer. Chyba się panu przyda, choć to nie mój interes.

Joel wskoczył za kierownicę i obrzucił wzrokiem deskę rozdzielczą, jakby zbliżał

się do prędkości dźwięku i musiał odczytać wskazania przyrządów pokładowych.

Były na szczęście prymitywne; przesunął sprzęgło na pozycję D i włączył się w potok aut.

Wtem do okna po prawej stronie przywarł potężnie zbudowany mężczyzna. Joel przyśpieszył, wciskając guzik blokujący drzwi, wykorzystując kolejną lukę między samochodami, śmigając do przodu. Mężczyzna przy oknie miał w ręku pistolet.

Converse grzotnął maską w bok auta zaparkowanego przy krawężniku, lecz tamten człowiek nadal trzymał się nie wiadomo czego, uniósł broń i wycelował. Joel uchylił się, uderzając głową we framugę okna, a wystrzał zdruzgotał boczną szybę, aż Converse'owi poraniły czoło odłamki szkła. Zdołał jednak wyciągnąć pistolet; wycelował go w postać przyczepioną do okna i dwukrotnie nacisnął

spust.

W ciemnym aucie rozległy się dwa przytłumione trzaski i w nierozbitej części szyby pojawiły się dwa otworki. Tamten człowiek krzyknął i odpadł, chwytając się rękoma za gardło. Wylądował w rynsztoku między dwiema ciężarówkami. Converse skręcił w szeroką, pustą ulicę po prawej. W kawiarni czeka mężczyzna...

Przyprowadzi innych. Jestem znowu wolny na jakiś czas, Pomyślał. Martwy Akwitańczyk nie mógł podać opisu samochodu. Converse Zaparkował w cieniu i zapalił papierosa, usiłując opanować drżenie dłoni trzymającej zapalniczkę.

Zaciągnął się głęboko dymem, dotknął czoła i jął ostrożnie usuwać spod skóry odłamki szkła.

Jeździł po mieście niczym automat obdarzony instynktem dzikiego zwierza rozglądając się, węsząc, wiedząc tylko, że musi przeżyć w dżungli pełnej 393

wrogów. Przemierzył czterokrotnie trasę z hotelu Amstel na Tulpplein do konsulatu amerykańskiego na placu o nazwie Museumplein. Poznał inne boczne uliczki, którymi mógł dotrzeć bez przeszkód do celu. W końcu skręcił na wschód, przejechał most Schellingwouder i ruszył drogą nad brzegiem morza aż znalazł

kilka pustych pól nad wodą. Nadawały się, leżały na uboczu. Skręcił i skierował

się z powrotem do Amsterdamu.

Była ósma trzydzieści i zapadł już zmrok. Joel był gotów. Przestudiował

dokładnie mapę turystyczną, która zawierała paragraf poświęcony korzystaniu z automatów telefonicznych. Jako były lotnik Joel miał wprawę w czytaniu instrukcji obsługi. Ich przestrzeganie decydowało o tym, czy samolot rozbija się, czy wylądaje bezpiecznie na pokładzie lotniskowca. Zatrzymał auto na przeciwko hotelu Amstel i wszedł do budki telefonicznej.

-

Chciałbym mówić z panną Charpentier.

-

Dank U - odrzekła telefonistka i przeszła natychmiast na angielski. -

Chwileczkę... Tak, zgadza się. Mejnffrouw Charpentier wprowadziła się zale dwie godziny temu. Łączę pana.

-

Dziękuję.

-

Tak, słucham?

Boże, czy zdoła coś wykrztusić?! Czy wydobędzie z siebie głos?! Akwitania.

-

Cześć, Val, mówi Jack Talbot. Pomyślałem sobie, że może jednak przy leciałaś. Cieszę się, że jesteś. Jak się masz, dziecino?

-

Jestem skonana, ty potworze! Rozmawiałam dziś po południu z No wym Jorkiem i wspomniałam o naszych klientach w Amsterdamie, za radą Jacka Talbota. Kazali mi polecieć do Miasta Tysiąca Kanałów i spędzić ju trzejszy ranek na ściskaniu rąk.

-

Dlaczego nie pościskasz moich?

-

Są za zimne. Ale możesz mnie zaprosić na kolację.

-

Z radością, lecz najpierw mam do ciebie prośbę. Czy nie mogłabyś zła pać taksówki i zabrać mnie z konsulatu na Museumplein?

-

Co takiego?!... - Nastąpiła chwila przerażonej ciszy. - Dlaczego, Jack?

- Pytanie zadane było szeptem.

Converse zniżył głos.

-

Siedzę tu od dwóch godzin, słuchając różnych bredni, i zdaje mi się, że straciłem wreszcie cierpliwość.

-Co... co się stało?

-

Postąpiłem jak idiota. Upłynął dziś termin ważności mojego paszportu i potrzebowałem tymczasowego przedłużenia. Zamiast tego wysłuchałem tu kilku kazań i kazano mi przyjść z powrotem jutro rano. Zacząłem się zachowywać

dość hałaśliwie i niezbyt przyjemnie.

- I głupio ci ich prosić o zamówienie taksówki, co? , .

-

Zgadza się. Gdybym znał tę część miasta, spróbowałbym sam coś złapać, ale jestem tu pierwszy raz.

394

- Doprowadzę się do porządku i przyjadę po ciebie. Za dwadzieścia minut, dobrze?

- Dzięki. Będę czekał przed konsulatem. Gdyby mnie nie było, zostań w taksówce.

przyjdę za kilka minut. Zasłużysz na znakomitą kolację, dziecinko. - Joel odwiesił słuchawkę, wyszedł z budki i wrócił do wynajętego auta. Zaczęło się czekanie, a niebawem przyjdzie pora na obserwację.

Po dziesięciu minutach zobaczył Valerie i poczuł prędkie bicie serca w piersi.

Widział jak przez mgłę. Przeszła przez szklane drzwi hotelu, niosąc dużą torbę ciemnego płótna, wyprostowana, stawiając długie, pełne gracji kroki zdradzające niedoszlą tancerkę. Zachowywała się zupełnie bezpretensjonalnie, była wyłącznie sobą, nie musiała nikogo udawać. Joel kochał ją niegdyś właśnie taką, ale nie kochał dostatecznie mocno; odeszła od niego, bo mu na niej nie zależało. Nie miał w sobie dość miłości. "Jesteś wypalony emocjonalnie!" - krzyczała.

Nie mógł nic na to odpowiedzieć, nie było sensu się sprzeczać. Tak wściekle, z taką determinacją starał się odnieść sukces, a jednocześnie nie chciał pamiętać, czemu pragnie go odnieść. Maskował swoje uczucia żartobliwą nonszalancją graniczącą wręcz z pogardą, choć pozostało mu w duszy bardzo niewiele miejsca na pogardę. Pozostało także niewiele miejsca dla ludzi, dla Val. Małżeństwo pociągało za sobą obowiązki, a wraz z upływem miesięcy i lat Joel coraz głębiej rozumiał, że nie jest w stanie im sprostać. Gardził sobą z tego powodu, ale nie chciał oszukiwać siebie ani jej. Nie mógł jej niczego ofiarować; mógł tylko brać. Lepiej było z tym skończyć.

Czekanie skończyło się; zaczęła się obserwacja. Portier hotelu sprowadził

taksówkę, a Val wsiadła do niej i pochyliła się do przodu, podając kierowcy adres. Joel obserwował przez dwadzieścia sekund ulicę i chodniki, po czym zapalił silnik i reflektory. Za taksówką nie ruszył żaden samochód parkujący w pobliżu; mimo to Joel musiał mieć pewność. Pojechał uliczką, którą prowadziła najkrótsza droga do konsulatu. Po minucie zobaczył, że taksówka Val skręca w prawo i jedzie przez most nad kanałem. Podążały za nią dwa auta; starał się zapamiętać ich kształty i kolory, lecz zamiast śledzić Val, dodał gazu 'Pojechał

prosto przed siebie inną trasą na wypadek, gdyby wytropili go myśliwi Akwitanii.

W trzy minuty później, po dwóch skrętach w prawo i jednym w lewo, znalazł się na Museumplein. Z przeciwnej strony nadjeżdżała taksówka, a dwa auta zniknęły z oczu. Udało się! Istniała realna groźba, że telefon Jej jest na podsłuchu -

właśnie dlatego zginął René - toteż Joel postanowił dobrze się zabezpieczyć.

Gdyby Akwitańczycy dowiedzieli się, że Valerie Charpentier pojechała po znajomego do konsulatu amerykańskiego, nie podejrzewaliby, że spotka się z niejakim Joelem Converse'em. Konsulat nie nadawał się na kryjówkę dla poszukiwanego mordercy. Unikałby go jak diabeł święconej wody. Zabijał rzekomo Amerykanów.

Taksówka zaparkowała przy krawężniku przed kamienicą oznaczoną numerem dziewiętnaście, gdzie mieścił się konsulat. Converse przystanął

kilkadziesiąt

metrów z tyłu, znów czekając i obserwując. Minęło go kilka samochodów, 395

lecz żaden nie zatrzymał się ani nawet nie zwolnił. Pojawił się samotny starszy człowiek na rowerze, ale zahamował, zawrócił i odjechał w przeciwnym kierunku.

Naprawdę się udało. Val siedziała sama w taksówce w odległości sześćdziesięciu metrów i nikt jej nie śledził. Joel mógł wreszcie podejść do nich z ręką pod marynarką, ściskając kolbę pistoletu z dziurkowanym tłumikiem przykręconym do lufy.

Wysiadł z auta i ruszył powoli trotuarem niczym człowiek, który wybrał się wieczorem na przechadzkę. Minęło go kilka par idących w obydwu kierunkach.

Przyglądał im się bacznie z napiętą uwagą kota przypatrującego się świeżym kretowiskom na polu, ale żaden z przechodniów nie okazał najmniejszego go zainteresowania stojącą taksówką. Podszedł do tylnych drzwi i puknął w okno.

Valerie opuściła je.

Spoglądali na siebie przez chwilę, a Val uniosła dłoń do ust, powstrzymując okrzyk.

-

O mój Boże! - szepnęła.

-

Zapłać i przejdź do szarego auta około sześćdziesięciu metrów za nami.

Ostatnie trzy cyfry numeru rejestracyjnego to jeden, trzy i sześć.

Joel dotknął daszka, jakby odpowiedział na pytanie zabląkanego turysty, i ruszył

ulicą. Koło przecznicy skręcił i przeszedł przez Museumplein. Kroczył przez jezdnię z głową zwróconą w lewo, niczym pieszy obserwujący nadjeżdżające auta, lecz w rzeczywistości spoglądał z lękiem na samotną kobietę idącą chodnikiem w stronę wynajętego samochodu. Wszedł szybko do ciemnej bramy i oddychając nierówno, zaczął się wpatrywać w mroczne zakamarki murów po drugiej stronie ulicy. Nic. Nikogo. Wszedł z bramy, zduślił w sobie niepowstrzymaną chęć puszczenia się pędem i podążył leniwie chodnikiem, aż znalazł się naprzeciwko wozu. Znów przystanął, tym razem zapalając papierosa, osłaniając dłonią płomyk, czekając, obserwując... Wciąż nikogo. Cisnął papieros do rynsztoka i nie mogąc już wytrzymać, przebiegł przez jezdnię, otworzył drzwiczki i usiadł za kierownicą.

Valerie znajdowała się tuż obok niego. Jej prześliczną twarz, pełną niepokoju i napięcia okalały długie ciemne włosy. Wpatrywała się przenikliwie w Joela.

-

Dlaczego to zrobiłaś, Val?! - spytał prawie krzyżąc.

-

Nie miałam wyboru - padła cicha, enigmatyczna odpowiedź. - Jedźmy stąd, proszę.

Rozdział 28

Kilka minut panowało milczenie. Nie odzywali się do siebie. Joel skupił się na prowadzeniu auta, przypominając sobie miejsca, gdzie Powinien skrócić. Miał

ochotę krzyknąć. Niewiele brakowało, a zatrzymałby się, chwycił

396

Val w ramiona i spytał, dlaczego przyleciała do Europy. Cokolwiek by odpowiedziała wrzasnąłby, że jest cholerną idiotką! Dlaczego wróciła do jego życia! Stał się aniołem śmierci...! A przede wszystkim pragnął wziąć ją w ramiona przytulić twarz do jej twarzy, podziękować i przeprosić za tyle rzeczy...

- wiesz, dokąd jedziesz? - spytała, przerywając milczenie.

- Zdobyłem samochód o szóstej. Znalazłem w nim plan miasta i jeździłem trzy godziny w kółko, ucząc się potrzebnych rzeczy.

- Tak, to do ciebie podobne. Zawsze byłeś metodyczny.

-

Musiałem to zrobić - odparł urażonym tonem. - Śledziłem cię od hote lu bo mogłaś mieć opiekunów. Poza tym w samochodzie czuję się bezpieczniej niż na ulicy.

- Nie chciałam cię urazić.

Converse zerknął na nią. Przyglądała mu się uważnie w migającym świetle latarni.

-

Przepraszam, ale jestem ostatnio trochę przewrażliwiony. Nie mam pojęcia dlaczego.

-

Ani ja. Po prostu poszukują cię w ośmiu krajach na dwóch kontynentach. Porównują cię z niejakim Carlosem. Macie podobno taki sam talent do zabijania.

-

Czyż muszę mówić, że to kłamstwo? Monstrualne kłamstwo o przejrzy stych motywach, a ściśle biorąc celach.

-

Nie, nie musisz mówić, bo wiem o tym - odparła z prostotą Valerie. -

Ale powinienesz mi wszystko wytłumaczyć. Wszystko.

Spojrzał na nią znowu, szukając jej oczu w migotliwym świetle, usiłując je zgłębić, zedrzyć kilka warstw matowego szkliwa, które przysłaniało jej myśli.

Niegdyś, czując miłość i gniew, potrafił to zrobić. Teraz nie był w stanie.

Pobudki Valerie były zbyt głęboko ukryte, lecz na pewno nie kierowała nią miłość. Chodziło o coś innego i prawniczy instynkt Joela nakazywał mu ostrożność.

-

Dlaczego sądziłaś, że zobaczę cię w telewizji? Widziałem cię tylko przez Przypadek.

-Nie myślałam o telewizji, liczyłam na prasę. Wiedziałam, że moja fotografia ukaże się na pierwszych stronach gazet w całej Europie. Przyjęłam, że nie masz jeszcze sklerozy i pamiętasz, jak wyglądam, a dziennikarze zawsze Podają adresy i nazwy hoteli. Dodaje to wiarygodności.

- Przecież znam tylko angielski.

- Masz jednak sklerozę. Byliśmy razem w Europie, dwa razy w Genewie raz w Paryżu. Nie chciałeś pić rano kawy, jeśli na stole nie leżał "International Herald Tribune". Nawet jak pojechaliśmy z Genewy na narty do Chamond zrobiłeś kelnerowi piekielną awanturę, że nie przyniósł "Heralda".

-

Pisał o tobie "Herald"?

- Specjalizują się w takich historiach. Wydrukowali wywiad ze mną ze wszelkimi szczegółami. Myślałam, że na niego natrafisz i zorientujesz się, o co chodzi.

-

I dlatego powiedziałaś, że jesteśmy sobie obcy, że nie widzieliśmy od kilku lat i że nie znasz niemieckiego ani francuskiego? '?

-

Tak. A to ostatnie mogłam przekonująco wytłumaczyć przyjaciółmi, którzy wiedzą, że skłamałam. Ukrywanie znajomości języków to powszechna praktyka, którą stosuje wielu ludzi, by się zabezpieczyć. Skraca to rozmowę, a przynajmniej ogranicza ją do prostych stwierdzeń i zawsze można powiedzieć, że przekład jest zniekształcony.

-

Zapomniałem, to przecież poniekąd twój zawód.

-

To nie mój pomysł. Podsunał mi go Roger.

-

Ojciec?!

-

Tak. Parę dni temu wrócił z Hongkongu i jakiś pazerny urzędnik uprzedził prasę, że jest na pokładzie samolotu. Kiedy przyleciał na lotnisko Kennedy'ego, natychmiast dopadli go reporterzy. Od ostatnich dwu dni nie czytał

gazet, nie słuchał radia ani nie oglądał telewizji. Wpadł w panikę i zatelefonował do mnie. Po prostu zadbałam, żeby o moim przylocie dowiedziały się agencje prasowe w Berlinie Zachodnim.

-

Jak się miewa ojciec? Nie poradzi sobie z tym.

-

Jakoś mu się udaje. Podobnie jak twojej siostrze, wprawdzie gorzej niż ojcu, ale jej mąż stanął na wysokości zadania i wziął wszystko w swoje ręce.

Jest lepszy, niż myślisz, Converse.

-

Co się z nimi dzieje? Jak to przyjęli?

-

Są wściekli i mają zamęt w głowie. Pozmieniali sobie numery telefonów. Wypowiadają się tylko za pośrednictwem adwokatów, broniąc cię, na wiasem mówiąc. Może nie zdajesz sobie sprawy, ale bardzo cię kochają, nie wiadomo właściwie dlaczego.

-

Chyba jesteśmy bliżej domu - rzekł cicho Joel, gdy zbliżyli się do Schellingwouder Brug. - Naszego dawnego domu.

Wjechali na ciemny most. W górze widać było mdłe światła latarni, a w dole pomarszczoną wodę. Valerie nie odpowiedziała, choć pomijanie zaczepek milczeniem nie było w jej stylu. Joel nie mógł już dłużej wytrzymać.

-

Dlaczego, Val?! - zawołał. - Pytałem cię już przedtem! Muszę wie dzieć! Dlaczego przyleciałaś do Europy?!

-

Przepraszam, zamyśliłam się - odparła, odwracając wzrok i spoglądając prosto przed siebie przez przednią szybę. - Chyba lepiej, żebym powiedziała to teraz, gdy siedzisz za kierownicą i nie muszę na ciebie patrzeć. Wyglądasz strasznie, cały podrapany, a twoja twarz świadczy o tym, przez co przeszedłeś.

Wolę na ciebie nie patrzeć. ,, .

-

Czuję się urażony - odparł miękko Converse, usiłując złagodzić wrażenie wywołane swoim wyglądem. - Dzwoniła do mnie Helen Gur .

Brown i chce zamieścić moje zdjęcie na okładce "Cosmopolitana". .

-

Przestań! To wcale nie jest śmieszne i dobrze o tym wiesz, tym bardziej, że nie masz ochoty tego mówić!

-

No proszę, a kiedyś zupełnie mnie nie rozumiałaś...

, Zawsze cię rozumiałam, Joel! - Valerie nie poruszyła głową, wpatrywała się w jezdnię i snopy reflektorów. - Skończ już z tym błaznowaniem! Nie mamy na to czasu, nie mamy czasu na twoje beczelne uwagi. Było mi zawsze trochę smutno, gdy patrzyłam, jak odsuwasz od siebie ludzi, którzy naprawdę się chcieli z tobą porozumieć, ale to już skończone.

- Miło mi to słyszeć. Wobec tego mów! Czemu, do licha, się w to mieszasz?

Spojrzeli sobie poważnie w oczy, nagle wspominając dawną miłość. Valerie odwróciła głowę, a Converse zjechał z mostu w prawo i ruszył szosą wijącą się wzdłuż brzegu morza.

- W porządku - odezwała się z wahaniem, lecz całkowicie nad sobą panując -

Wy tłumaczę ci wszystko najlepiej, jak potrafię, choć nie jestem niczego zupełnie pewna. To zbyt skomplikowane... Byłeś może złym mężem i zupełnie nie obchodziły cię uczucia innych ludzi, ale nie jesteś psychopatycznym mordercą. Nikogo nie zabiłeś.

-

Wiem o tym, podobnie jak ty. Dlaczego tu przyjechałaś?

-

Bo musiałam - odrzekła zdecydowanie Val, spoglądając prosto przed siebie. - Kiedy usłyszałam o tobie w telewizji (każdy kanał pokazywał twoje zdjęcia, tak różne od tych sprzed lat), wybrałam się wieczorem na spacer po plaży i myślałam o tobie. Nie były to przyjemne myśli, ale przynajmniej uczci we... Przeszłam przez ciebie piekło, Joel. Dodawały ci bodźca straszliwe przeżycia z przeszłości, a ja usiłowałam cię rozumieć, bo wiedziałam, ile wycier piałeś. Ale ty nigdy nie próbowałeś mnie zrozumieć. Ja także chciałam coś osiągnąć, tylko to się nie liczyło... W porządku, myślałam sobie. Kiedyś koszmary miną, Joel się uspokoi, popatrzy na mnie i powie: "Hej, to przecież ty!"

Cóż, koszmary minęły i nic się nie zmieniło.

-

Zgadzam się z twoją argumentacją - odparł z bólem Converse - lecz ciągle niczego nie pojmuję.

-

Potrzebowałam cię, ale nie potrafiłeś się ze mną porozumieć. Byłeś cho lernie zabawny, nawet kiedy wiedziałeś, że nie mam na to ochoty; byłeś zna komitym kochankiem, lecz tak naprawdę interesowałeś się sobą, tylko sobą.

-Znów zgadzam się ze swoim uczonym przedmówcą. I co dalej?

-

Pamiętam, że kiedy wyszedłeś tamtego wieczoru z mieszkania, przyrzekłam sobie, że jeśli ktokolwiek z moich bliskich będzie mnie potrzebował tak bardzo jak wtedy ja ciebie, nie opuszczę go. To jedyne takie zobowiązanie, jakie uczyniłam w całym swoim życiu. Ironia polega na tym, że to ty okazałeś się tą osobą. Nie jesteś szaleńcem ani mordercą, choć ktoś chce to wszystkim wmówić.

Ktokolwiek to jest, prawie mu się udało. W to, co o tobie piszą, wierzą nawet twoi przyjaciele, którzy znają cię od lat. Ja nie wierzę i nie mogę cię opuścić.

-O Boże, Val...

- Żadnych sentymentów, Converse. Żadnych czułych słówek ani figlów. To wykluczone. Przyjechałam ci pomóc, a nie pocieszać. Więc jestem.

399

Moje korzenie sięgają kilka pokoleń wstecz. Może więdną pod ziemią. Wywodzą się właśnie z podziemia, które chce ci pomóc. Przynajmniej raz w życiu to ty mnie potrzebujesz. To chyba zmiana ról, prawda, przyjacielu?

-

Owszem, całkowita - przytaknął Joel, rozumiejąc ostatnie stwierdzenie Val, lecz niewiele więcej, i pędząc wzdłuż wybrzeża ku pustym polom. - jeszcze tylko kilka minut - dodał. - Nie mogę pokazywać się w mieście i ty też nie, zwłaszcza w moim towarzystwie.

-

Nie ma się czym przejmować. Śledzą nas przyjaciele.

-

Co... co takiego?! Jacy przyjaciele?!

-

Patrz przed siebie. Przed hotelem Amstel stało kilku ludzi, pamiętasz?

-

Chyba tak. Ale żaden nie wsiadł do samochodu i nie pojechał za tobą.

-

Po co? Inni stali na ulicach i nad kanałami wzdłuż drogi do konsulatu

-

O czym ty, u licha, mówisz?!

-

A staruszek na rowerze na Museumplein?

-

Pamiętam go. Czy...

-

Później - przerwała Valerie, przesuając dużą płócienną torbę leżącą u jej stóp i wyciągając swoje długie nogi. - Mogą nas śledzić nawet teraz.

pozostając niewidzialni.

-

Kim ty właściwie jesteś?

-

Siostrzenicą Hermione Geyner. Naturalnie, nie widziałeś nigdy mojego ojca, ale gdybyś go znał, opowiedziałby ci mnóstwo anegdotek o matce pod czas wojny, choć zakrzusiłby się na wzmiankę o cioci Hermione. Nawet Fran cuzi uważali, że posuwa się za daleko. Holenderski i niemiecki ruch oporu współpracowały ze sobą. Opowiem ci o tym później.

-

Opowiesz mi później?! A oni będą nas śledzić?!

-

Jesteś nowicjuszem. Nie zauważysz ich.

-

Kurwa!

-

Mocno powiedziane.

-

Dobrze już, dobrze... Co u ojca?

-

Trzyma się. Mieszka w mojej willi.

-

W Cape Ann?

-Tak.

-

Wysłałem tam list! "Szkice", o których wspomniałem przez telefon. Jest tam wszystko! Wyjaśnienie tego, co się stało! Nazwiska, motywy! Wszystko.

-

Wyjechałam trzy dni temu. Niczego nie dostałam. Ale jest tam Roger. -

Valerie pobladła. - O Boże!

-

Co się stało?

-

Usiłowałam się do niego dodzwonić! Dwa dni temu, wczoraj i dziś.

-

Jasna cholera! - W dali pojawiły się światła kawiarni nad brzegiem zatoki. Joel wyrzucił z siebie rozkaz, którego nie można było kwestionować:

- Nie interesuje mnie, jak to załatwisz, ale masz zadzwonić do Cape Ann' wróć cisz tu i powiesz mi, że z ojcem wszystko w porządku, rozumiano?!

-

Tak, bo sama również chcę to usłyszeć.

Converse z piskiem opon zatrzymał się przed kawiarnią. Wiedział, że nie powinien tego robić, lecz zupełnie go to nie obchodziło. Valerie wysiadła pospiesznie z auta, otworzyła torebkę i wyjęła telefoniczną kartę kredytową. Joel zapalił

papierosa; gryzący dym drażnił mu gardło i nie przyniósł ulgi. Wpatrywał się w ciemną wodę i lampy na przęsłach mostu w dali, usiłując nie myśleć. Nie miało to sensu. Po co wysyłał list?! Ojciec zna jego charakter pisma i otworzy kopertę.

Będzie szukał usprawiedliwienia dla syna i znajdzie je. Niewątpliwie zadzwoni natychmiast do Nathana Simona, a to grozi straszliwymi konsekwencjami. Val zorientowałaby się, że nie wolno rozmawiać przez telefon, ale nie ojciec. Roger wyrzuci z siebie wszystko w przystępie wściekłości. A jeśli telefon jest na podsłuchu... Gdzie jest Val?! Za długo jej nie ma!

Converse nie mógł się powstrzymać. Szarpnął drzwiczki, wyskoczył z auta i obiegł

je. Popędził w stronę wejścia do kawiarni i stanął jak wryty na żwirowej ścieżce. W drzwiach ukazała się Valerie i machnęła ręką, by odszedł. Po jej policzkach toczyły się łzy.

-

Wsiądź do samochodu - rzekła, podszedłszy bliżej.

-Nie. Powiedz mi natychmiast, co się stało!

-

Proszę cię, wsiądźmy do samochodu. Kiedy rozmawiałam przez telefon, obserwowało mnie dwóch mężczyzn. Mówiłam po niemiecku, ale wie dzieli, że dzwonię do Stanów, i zauważyli, że jestem zdenerwowana. Chyba mnie rozpoznali. Musimy stąd odjechać.

-

Powiedz, co się stało!

-

W samochodzie.

Valerie kręciła głową, odrzucając z oczu długie ciemne włosy. Otarła łzy, minęła Converse'a i poszła do auta. Otworzyła drzwiczki, weszła do środka i usiadła nieruchomo.

-Niech cię diabli!

Trzęsąc się cały, Converse pobiegł do samochodu, wskoczył do środka, zapalił

silnik i zmienił bieg, zatrzasnął drzwi. Wykręcił i wyjechał na szosę, wyrzucając oponami żwir z pobocza. Naciskał pedał gazu, aż za oknami widać było tylko smugę mroku.

-

Zwolnij - odezwała się spokojnie Valerie. - Zwracasz tylko na nas uwagę.

Roztrzęsiony Joel prawie jej nie słyszał, ale dotarło doń znaczenie polecenia.

Zdjął stopę z gazu.

-Nie żyje, prawda?

-Tak.

-

Boże! Co się stało?! Co ci powiedzieli?! Z kim rozmawiałaś?

- Z sąsiadką, jej nazwisko jest bez znaczenia. Wymieniłyśmy klucze do naszych domów. Postanowiła odbierać pocztę i pilnować willi do czasu, gdy skontaktuje się ze mną policja. Zastałam ją przypadkiem. Spytałam, czy z Niemiec nadeszła duża koperta. Powiedziała, że nie.

- Policja?! Co się stało?!

401

-

Wiesz, że dom stoi nad brzegiem morza. Obok znajduje się stary i kamienny falochron sięgający około stu metrów w wodę. Nie jest duży ani długi.

to po prostu taka ostroga...

-

Mów wreszcie! - krzyknął Joel, ściskając kierownicę.

-

Policja uważa, że ojciec wybrał się zeszłej nocy na przechadzkę, wszedł

na falochron i poślizgnął się na mokrych kamieniach. Miał wielkiego guza na głowie. Dziś rano wyrzuciło go morze.

-

Kłamstwo, kłamstwo! Telefon był na podsłuchu! Zamordowali go!

-

Telefon? Myślałam o tym w samolocie do Europy.

-

To nie twoja wina! Zabiłem go! Jasna cholera, to ja go zabiłem!

-

Jestem równie winna - stwierdziła była pani Converse, kładąc rękę na ramieniu Joela i dostrzegając z przerażeniem łzy w jego oczach. - Bardzo kochałam Rogera. Rozwiodłam się z tobą, ale on pozostał moim bliskim przy-

jacielem, może najbliższym.

-

Nazywał cię Valley - wykrztusił Joel, usiłując zapomnieć o bólu. - Skur wysyny! A to skurwysyny!...

-

Chcesz, żebym usiadła za kierownicą?

-Nie!

-

A podsłuch? Muszę cię o to spytać. Policja albo FBI mogły dostać na kaz sądowy?

-

Oczywiście! Właśnie dlatego wiedziałem, że nie wolno do ciebie dzwo nić! Zamierzałem zatelefonować do Nate'a Simona.

-

Ale nie masz przecież na myśli policji ani FBI, tylko kogoś innego.

-

Tak. Nikt nie wie, kim są ani gdzie się kryją. Ale istnieją. I mogą zrobić wszystko, co zechcą. Boże! Zabili nawet tatę! To potworne!

-

I to o nich zamierzasz mi opowiedzieć? - spytała Valerie, nadal ściska jąc ramię Joela.

-

Tak. Kilka minut temu chciałem jeszcze trzymać język za zębami i nie mówić ci, żebyś skłoniła Nate'a, by przyleciał do Europy na spotkanie ze mną i przekonał się na własne oczy, że nie zwariowałem. Ale nie teraz. Nie mamy czasu, odbierają nam każdą możliwość. Zdobyli kopertę, jedyne kon krety, jakie posiadałem...! Przepraszam cię, Val, teraz powiem ci wszystko co do joty. Wolałbym nie musieć tego robić ze względu na twoje bezpieczeństwo, ale nie mam już wyboru, podobnie jak ty.

-

Nie przyleciałam, żeby stwarzać ci możliwość wyboru.

Joel skręcił w pole porośnięte wysoką trawą i zatrzymał samochód nad brzegiem morza. Nad zatoką świecił sierp księżyca, a w dali lśniła luna Amsterdamu.

Wysiedli z auta i Joel zaprowadził Val w najciemniejsze miejsce trzymając ją za rękę i zdając sobie nagle sprawę, że robi to po raz pierwszy od wielu lat.

Dotknięcie było takie przyjemne, tak silnie związane z przeszłością... Joel odsunął od siebie ową myśl. Stał się aniołem śmierci.

402

- Zatrzymajmy się tutaj - rzekł, puszcżając jej rękę.

- Zgoda. - Usiadła z taneczną gracją na miękkiej trawie, rozsuwając wystające łodygi. - Jak się czujesz? - spytała.

- Okropnie - odparł Joel, spoglądając na ciemne niebo. - Naprawdę go zabiłem, mówię poważnie. Zabiłem go po tylu latach prób z jego i mojej strony.

Gdybym tylko zostawił go samego, pozwolił mu być sobą, a nie kimś, kim chciałem go widzieć, prawdopodobnie piłby teraz w jakimś barze, opowiadając swoje zwariowane historyjki i rozśmieszając słuchaczy. Ale wczoraj był w twoim domu w Cape Ann.

- Nie zmuszałeś go do powrotu z Hongkongu, Joel.

- Cholera, rzeczywiście o nic go nie prosiłem ani niczego mu nie kazałem jeśli o to ci chodzi. Ale

mimo to istniał pewien przymus. Po śmierci matki zawarliśmy niepisaną umowę: "Dorośnij, ojczulku. Podróżuj po świecie, ale nie znikaj na zbyt długo, bo się o ciebie martwimy. Bądź odpowiedzialny". Boże, byłem jeszcze bardziej świątobliwy od ciebie! Aż w końcu go zabiłem!

-Nie zabiłeś go! Zrobili to inni! Opowiedz mi o nich!

Converse przełknął ślinę i otarł łzy.

-

Tak, masz rację, nie mamy czasu, nawet dla staruszka Rogera.

-

Znajdziemy czas później.

-

Jeśli przeżyjemy - stwierdził Joel, oddychając głęboko i odzyskując panowanie nad sobą. - Słyszałaś o Renę, prawda?

-Tak. Wczoraj pisała o nim prasa. Dostałam torsji... Larry Talbot powiedział mi, że spotkałeś się z Mattilonem w Paryżu. Podobno nawet Renę uważał, że jesteś roztrzęsiony, zresztą tak samo jak Larry, gdy z nim mówiłeś. Renę zginął

dlatego, że się z tobą spotkał. Larry musi dygotać ze strachu.

-

Renę zginął z innego powodu. Porozmawiajmy o Larrym. Kiedy skon taktowałem się z nim pierwszy raz, potrzebowałem informacji, lecz nie chciałem pytać wprost. Manipulowano nim z mojego powodu, śledzono go, a on nie miał o tym pojęcia. Gdybym mu o tym powiedział, obudziłby się w nim kow boj i zginąłby od kuli rewolwerowej. Ale gdy rozmawiałem z nim po raz ostatni, niczego nie ukrywałem. Uciekłem ludziom, którzy mnie więzili, byłem wyczerpany, przerażony i powiedziałem mu całą prawdę.

-

Wspomniał mi o tym - przerwała Val. - Twierdził, że znowu przeży wasz Wietnam. Przytaczał terminy psychiatryczne.

Converse pokręcił głową i wybuchnął krótkim, szyderczym śmiechem.

-

Zawsze się jakieś znajdują! Rzeczywiście istnieją pewne podobieństwa i chyba o nich wspomniałem, ale na tym się kończy... Larry w ogóle mnie nie słuchał, usiłował tylko wyłapać fakty potwierdzające

opinie innych na mój temat, bo w nie uwierzył. Udawał przyjaciela, ale wiedziałem, że już nim nie jest. Był adwokatem usiłującym przekonać klienta, że jest chory, że powinien się oddać w ręce władz dla dobra ogółu. Kiedy to zrozumiałem, zorientowa -

łem się, że poda policji miejsce mojego pobytu, bo uważa to za słuszne. Chcia-

łem Po prostu odejść stamtąd, więc przyznałem mu rację, odłożyłem słuchawkę 403

i uciekłem... Miałem szczęście. W dwadzieścia minut później przed hotelem zatrzymał się samochód z moimi niedoszłymi katami.

-

Jesteś pewien?

Joel skinął głową.

-

Nazajutrz jeden z nich oświadczył publicznie, że widział mnie na moście Adenauera w towarzystwie Waltera Peregrine'a. Nie przebywałem koło mostu; przynajmniej tak sądzę, bo nawet nie wiem, gdzie się znajduje. °

-

Czytałam o tym w "Timesie". Masz na myśli niejakiego majora Washburna, dyplomatę z ambasady.

-

Zgadza się. - Converse zerwał długie źdźbło trawy i jął międlić je w palcach, dzieląc na pasemka. - Potrafią znakomicie manipulować prasą, radiem, telewizją. Wspierają wszystko informacjami ze źródeł oficjalnych. Zabijają ludzi niczym pionki na szachownicy. Nie troszczą się nawet o swoich, chcą tylko wygrać. A prowadzą największą grę w historii współczesności. Najbardziej przerażające jest to, że mogą wygrać.

-

Wiesz, co mówisz, Joel? Ambasador amerykański, głównodowodzący NATO, twój ojciec, ty... Mordercy w ambasadzie, manipulowana prasa, kłamstwa Waszyngtonu, Paryża, Bonn, wszystko za przyzwoleniem władz. Opisu jesz coś w rodzaju Anschlussu, jakiegoś demonicznego zamachu stanu!

Converse spojrzał na Val w świetle księżyca. Wysokimi źdźbłami trawy kołysał

wiatr od morza.

-

Właśnie o to chodzi, to zamach stanu obmyślony przez jednego czło wieka i realizowany przez innych. Wierzą głęboko w swoją słuszność; są za wodowymi wojskowymi. Ale rzecz w tym, że to fanatycy, mordercy działający w imię czegoś, co uważają za świętą sprawę. Werbuja na całym świecie po dobnym sobie sfrustrowanych wojskowych, którzy nie wiedzą, co ze sobą począć. Wierzą święcie w mityczną wartość skuteczności, dyscypliny i po święcenia, ponieważ wiedzą, że zdobędą dzięki nim władzę. Władzę, która zastąpi nieskuteczne, niezdyscyplinowane, skorumpowane rządy. Są ślepi, za patrzeni w fikcyjną wizję samych siebie... Może brzmi to trochę jak mowa oskarżycielska... Niewiele spałem, ale przemyślałem wszystko dokładnie.

-

Ława przysięgłych czeka - odparła Valerie, patrząc bystro na Joela. -

Nie chce słuchać mów oskarżycielskich, tylko poznać prawdę. Myślę, że po winieneś zacząć od samego początku. Jak się w to wplątałeś?

-

Dobrze. Zaczęło się w Genewie...

-

Domyślałam się tego - przerwała szeptem Val.

-

Słucham?

-Nic. Mów dalej.

-

Spotkałem człowieka, którego widziałem ostatnio dwadzieścia dwa lata temu. Znałem go wówczas pod innym nazwiskiem. Wytłumaczył mi, dlaczego je zmienił, to bez znaczenia. A jednak czułem się trochę niesamowicie. Nie mam pojęcia, na ile niesamowicie, nie wiem, co przede mną ukrył, jakimi kłamstwami mnie poczęstował, żeby mną manipulować. Najgorsze jest to, że jego pobudki

404

były absolutnie czyste. Potrzebowali właśnie mnie. Ciągle nie wiem, kim są, tylko że istnieją... Do końca życia (nieważne, ile mi go jeszcze zostało) nie zapomnę słów, jakich użył, gdy doszedł do sedna sprawy. "Wrócili" - mówił -

"Generałowie wrócili".

Joel opowiedział Valerie wszystko, pozwalając swoim myślom błądzić, uwzględniając każdy szczegół, jaki przyszedł mu do głowy. Zbliży się finał.

- kilka dni, w najlepszym razie tygodni, w wielu krajach dojdzie do krwawych rozruchów podobnych do tych, jakie mają obecnie miejsce w Irlandii Północnej.

"Kumulacja", "nagle przyśpieszenie", to ich własne słowa. Ale nikt nie wie co stanie się celem ataku. Wymyślił to wszystko George Marcus Delavane, szaleniec, któremu wierzą inni wpływowi szaleńcy, słuchający jego rozkazów i zajmujący pozycje wyjściowe do natarcia mającego przynieść im władzę. Nad całym światem.

Joel skończył pełen lęku, że jeśli Val wpadnie w ręce żołdaków Akwitanii, ujawni wszystko pod wpływem narkotyków i wyda na siebie wyrok śmierci. Powiedział jej o tym, rozpaczliwie pragnąc zmniejszyć dzielący ich dystans, wziąć ją w ramiona i wyznać, że nienawidzi siebie za to, iż spełnia swój obowiązek. Nie poruszył się jednak; zabroniły mu tego jej oczy. Oceniała jego opowieść, zastanawiała się nad sytuacją.

-

Czasami wspominałeś o tym Delavane, kiedy śniła ci się wojna albo wy piłeś za dużo - rzekła cicho Val. - Drżałeś ze strachu, zamykałeś oczy i krzyczałeś. Wszystko z nienawiści do niego. Poza tym śmiertelnie się go bałeś.

-

Spowodował śmierć, niepotrzebną śmierć wielu ludzi. Dzieci... chłopów w za obszernych mundurach, którzy nie mieli pojęcia, że wojna to jatka.

-

A może to po prostu projekcja twoich emocji? Tak to nazywają psycho logowie, prawda?

-

Jeśli w to wierzysz, odwożę cię do hotelu, a rano polecisz do domu i wrócisz do swoich sztalug. Nie zwariowałem, Val. To wszystko prawda.

-

W porządku, musiałam cię o to spytać. Ty nie pamiętasz tych nocy, ale ja tak. Albo waliłeś się nieprzytomny do łóżka, albo byłeś tak pijany, że nie wiedziałeś, gdzie jesteś.

-

Nie zdarzało się to zbyt często.

-

Przyznaję, ale nie mogłam tego wytrzymać, podobnie jak ty.

-

Właśnie dlatego zwerbowano mnie w Genewie.

-

A ten Fowler albo Halliday posłużył się najwłaściwszymi słowami.

twoimi własnymi.

- Podał mu je Fitzpatrick. On także uważał, że postępuje słusznie.

- Wiem, wspomniałeś o tym. Jak myślisz, co się stało z Fitzpatrickiem?

- Od kilku dni zastanawiam się, czy mogli go oszczędzić, i nie widzę żadnego powodu. Jest dla nich niebezpieczniejszy ode mnie. Obraca się wśród wojskowych, kontaktował się z działem uzbrojenia Pentagonu, miał do czynienia z koncesjami eksportowymi, więc mógłby ich przyszpilić za pomocą 405

Owych dowodów, jakich potrzebowałbym ja. Zabili go.

-

Lubiłeś go, prawda?

-

Owszem, lubiłem, a na dodatek prawie przerażała mnie jego inteligencja.

Był niesłychanie bystry i miał ogromną wyobraźnię, którą nie bał się posługiwać.

-

Przypomina mi to charakterystykę mojego byłego męża - rzekła dumnie Val.

Converse wpatrywał się w nią przez chwilę, po czym spojrzał na wodę

-

Jeśli wyjdę z tego żywy (w co zresztą nie wierzę), wybiorę się na polo wanie. Zamierzam się dowiedzieć, kto to zrobił, kto nacisnął spust. Nie będzie żadnego sądu, żadnych świadków oskarżenia ani obrony, żadnych okoliczności obciążających ani łagodzących. Tylko ja i pistolet.

-

Przykro mi to słyszeć, Joel. Zawsze podziwiałam twoje zasady, twój nie wzruszony szacunek dla prawa. Wiem, że nie kierowała tobą wyłącznie ambicja i pragnienie kariery. Prawo dawało ci jedynie rzeczywiste oparcie. Mogłeś się z nim spierać jak syn z ojcem, wiedząc, że ojciec to rodzaj absolutu... Roger nigdy nie był dla ciebie kimś takim, jak sam przyznawał, nawiasem mówiąc.

-

Nie jest to uwaga w dobrym guście.

-

Przepraszam. Raz mi o tym wspomniał. Naprawdę przepraszam.

-

Nic się nie stało. Rozmawiamy. Ostatnio rzadko to robimy, co?

-

Myślałam, że nie chcesz.

-

Przypadłaś mnie. Zapomnijmy o tym. Są pilniejsze sprawy.

-

Możesz przecież wszystkiemu zaprzeczyć! Oskarżenia przeciwko tobie opierają się wyłącznie na słowach! To samo powiedziałam Larry'emu: twierdzą że był tu albo tam, że zrobił to albo tamto, ale to stek kłamstw! Jesteś przecież

prawnikiem, Converse. Ujawnij się i zacznij się bronić, na litość boską!

-

Nigdy nie dotrę na salę sądową, nie rozumiesz? Gdziekolwiek się pojawię, natknę się na kogoś, kto mnie zabije, nawet za cenę swojego życia, co będzie zresztą niewielką ofiarą, biorąc pod uwagę konsekwencje. Zamierza łem się posłużyć przesłanymi ci materiałami. Mogły one pochodzić tylko ze źródeł rządowych, a to znaczy, że współpracowałem z kimś w Waszyngtonie.

Mając w ręku taki argument, dotarłbym do ludzi, których zna moja kancelaria, i przekonałbym ich przy pomocy Nathana, że powinni mnie wysłuchać, bo nie jestem szaleńcem. Powiedziałbym im, co widziałem, co słyszałem, czego się dowiedziałem. Ale bez koperty nie może mi pomóc nawet Nate. Poza tym nalegałby, żebym postąpił zgodnie z prawem i oddał się w ręce władz; gwarantowałby mi całkowite bezpieczeństwo. Nikt nie może mi go zagwarantować, a ja już na pewno nie urzędnicy z

Waszyngtonu. Akwitańczy cy są wszędzie, w ambasadach, w bazach morskich, w jednostkach wojskowych, w Pentagonie, w policji, w Interpolu, w Departamencie Stanu. Mają na swoje usługi żebraczki w pociągach i dobrze ubranych mężczyzn z aktówkami. Nie wiadomo, kto dla nich pracuje, ale jest ich mnóstwo. I nie mogą sobie pozwolić na to, żebym pozostał przy życiu. Słyszałem na własne uszy ich wyznanie wiary.

-

Szach i mat - stwierdziła cicho Val.

-

Zgadza się - przytaknął Converse.

406

- Wobec tego musimy znaleźć kogoś innego.

- Co przez to rozumiesz?

- Kogoś, kogo wysłuchaliby urzędnicy, do których chciałeś dotrzeć, kto zmusiłby ludzi, którzy zwerbowali cię w Genewie, do ujawnienia się.

- Kogo masz na myśli? Jezusa Chrystusa?

- Nie. Sama, Sama Abbotta.

- Sama?! Mój Boże, myślałem o nim wtedy w Paryżu! Jak na to...

- Miałam dużo czasu na myślenie, podobnie jak ty. W Nowym Jorku, samolocie, zeszłej nocy w Berlinie po spotkaniu z ciotką.

- Ciotką?

- Wróć do tego... Wiedziałam, że jeśli żyjesz, ukrywasz się z jakiegoś konkretnego powodu i właśnie dlatego nie zaprzeczyłeś publicznie tym wszystkim kłamstwom. Gdyby cię zabito lub schwytano, pisałaby o tym na pierwszych stronach cała prasa. Ponieważ nie było takich artykułów, przyjął, że żyjesz. Ale dlaczego uciekasz, ukrywasz się? Wreszcie pomyślałam: Boże, kto mu uwierzy, jeśli nie wierzy nawet Larry Talbot?! A skoro Larry wyparł się ciebie, znaczy to, że wszystkim ludziom z jego otoczenia, wszystkim twoim przyjaciółom i znajomym wmówiono, że jesteś maniakiem, o którym mówi cała Europa. Nikt nie może stanąć w twojej obronie, a potrzebujesz kogoś takiego. Bóg jeden wie, że nie mnie. Jestem twoją byłą żoną, osobą niewiele znaczącą, a tu trzeba kogoś wpływowego... Wobec tego zaczęłam przypominać sobie wszystkich ludzi, o których mi kiedykolwiek opowiadałeś, wszystkich naszych znajomych. Ciągłe przychodziło mi do głowy jedno nazwisko, Sam Abbott. Pół roku temu czytałam w prasie, że mianowano go generałem brygady.

-

"Wielki Sam" - rzekł Joel, kiwając z aprobatą głową. - Zestrzelono go trzy dni po mnie i przerzucano nas razem z obozu do obozu. Siedzieliśmy kiedyś w sąsiednich celach i nawiązaliśmy kontakt, pukając w ścianę alfabe tem Morse'a, aż mnie przeniesiono. Został w lotnictwie dlatego, że wiedział, iż jest w tym najlepszy.

-

Miał o tobie bardzo dobrą opinię - stwierdziła Val z nadzieją w głosie. -

Mówił, że nikt nie podtrzymywał morale w obozach tak jak ty, że twoja ostatnia ucieczka przywróciła wszystkim nadzieję.

-

To lipa. Byłem krnąbrnym więźniem (tak to nazywano), który mógł po zwolić sobie na ryzyko. Najtrudniejsze zadanie miał właśnie Sam. Mógłby Zrobić to, co ja, ale był najstarszy stopniem. Wiedział, że próba ucieczki z jego

strony pociągnie za sobą represje. To on podtrzymywał morale.

-

Twierdził coś przeciwnego. Zdaje się, że to właśnie dlatego masz taką kiepską opinię o swoim szwagrze. Pamiętasz, jak Sam przyleciał do Nowego Yorku, a ty usiłowałeś go swatać ze swoją siostrą? Poszliśmy razem na kolację do restauracji, na którą nie było nas stać.

- Przeraził się Ginny. Mówił mi później, że gdyby wcielono ją do wojska i mianowano naczelnym dowódcą, nigdy nie ewakuwalibyśmy Sajgonu. Nie miał Ochoty przeżywać Wietnamu do końca życia.

407

- A ty straciłeś świetnego kandydata na szwagra. - Valerie uśmiechnęła się; po chwili spoważniała i pochyliła się do przodu. - Mogę się z nim skontaktować, Joel. Odnajdę go i porozmawiam z nim, powtórzę wszystko, co powiedziałaś. A przede wszystkim powiem, że jesteś takim samym szaleńcem jak ja czy on, że manipulowali tobą bliżej nieznanymi ludźmi, którzy nakłonili cię podstępnie do współpracy, bo sami nie mogli albo bali się angażować.

-

To niesprawiedliwe - rzekł Converse. - Gdyby zaczęli węszyć koło Departamentu Stanu i Pentagonu, mogłoby dojść do kilku tragicznych wypadków samochodowych... Nie, postąpili słusznie. Wszystko

musiało się poto czyć w taki właśnie sposób. To jedyna droga.

-

Jeśli umiesz to powiedzieć po tym, co cię spotkało, jesteś najzdrowszym człowiekiem na świecie. Abbott nie będzie mieć co do tego wątpliwości. po-może nam.

-

Mógłby to zrobić - rzekł w zadumie Joel, łamiąc kolejne źdźbło trawy

- Musiałby być ostrożny, nie korzystać z normalnych kanałów, ale byłby w stanie to zrobić. Trzy czy cztery lata temu, po naszym rozwodzie, dowiedział się, że przyleciałem na parę dni do Waszyngtonu i wpadł do mnie do hotelu. Zjedli śmy kolację, a później zaczęliśmy pić. Skończyło się na tym, że spędziliśmy noc na sofie w moim pokoju. Obaj gadaliśmy za dużo. Ja o sobie i tobie, a Sam o swoich kłopotach.

-

Wobec tego nadal się przyjaźnicie. Nie minęło tak dużo czasu.

-

Nie o to mi chodzi. Mam na myśli jego kłopoty. Piekielnie zależało mu na przeniesieniu do NASA, ale stale odrzucano jego kandydaturę. Był podobno niezastąpiony na swoim stanowisku. Nie ma lepszego specjalisty od techniki pilotażu. Wymyślił dziesiątki nowych figur. Wystarczyło, że spojrzął na samolot, a potrafił powiedzieć, do czego jest zdolny.

-Nie bardzo rozumiem, o co ci chodzi.

-

Przepraszam. Odkomenderowano go do Waszyngtonu z jego poprzedniej jednostki jako konsultanta Narodowej Agencji Bezpieczeństwa, współ

pracującej z CIA. Jego zadanie polegało na ocenie możliwości najnowszego sprzętu sowieckiego i chińskiego.

-

Jakiego sprzętu?

-

Samolotów, Val. Pracował w Langley i w kilkunastu konspiracyjnych ośrodkach w stanach Maryland i Wirginia, studiując fotografie dostarczone przez agentów, przesłuchując azylantów, zwłaszcza pilotów, mechaników i in-

żynierów. Zna ludzi, do których powinienem dotrzeć, pracował razem z nimi.

-

Masz na myśli kontrwywiad albo służby wywiadowcze, tak?

-

Nie tylko służby - sprostował Joel. - Ludzi pozostających w cieniu, wyszkolonych, by niszczyć skurwysynów pokroju Delavane'a za pomocą sposobów, na których się nie znam: narkotyków, prostytutek i małych chłopców.

Zamiast werbować mnie w Genewie, należało ich w to włączyć na samym początku. Potrafią posługiwać się zabójstwem i usprawiedliwiać je interesem narodowym. Boże, jako cnotliwy miłośnik prawa uważałem kiedyś, że należy 408

pociągnąć do odpowiedzialności! Cóż, byłem naiwny, ale zmieniłem zdanie, gdy zobaczyłem nieprzyjaciół na własne oczy i przekonałem się, że nie są takimi samymi ludźmi jak my. Jeśli raka można wyleczyć za pomocą garoty...

- Joel, Zdawało mi się, że czujesz odrazę do fanatyków.

-Czuję, czuję...

- jutro polecę do Stanów i odnajdę Sama - stwierdziła Valerie.

- Nie - zaproponował Converse. - Chcę, żebyś poleciała dziś w nocy. Zawsze nosiłaś paszport w torebce; mam nadzieję, że nic się nie zmieniło?

-Oczywiście. Ale...

-Nie chcę, żebyś wracała do hotelu. Musisz opuścić Amsterdam. O jedenastej czterdzieści pięć odlatuje do Stanów samolot KLM.

-Ale moje rzeczy...

-Nie są tego warte. Zadzwoń do hotelu później. Prześlij im telegraficznie pieniądze i powiedz, że to nagły wypadek.

-

Mówisz poważnie, prawda?

-

Śmiertelnie poważnie. Myślę, że powinnaś znać prawdę o Renę. Nie został zabity z powodu spotkania w Paryżu; nic się wówczas nie stało. Cztery dni temu zadzwoniłem do niego z Bonn. Rozmawialiśmy. Uwierzył mi. Za strzelono go, bo polecił mnie człowiekowi z Amsterdamu mogącemu mi załatwić przelot do Stanów. Nie udało się. To zresztą nieważne. Teraz najważniejszą jest ty. Przyjechałaś tu i odnalazłaś mnie, a ludzie szukający mnie po całym mieście szybko się o tym dowiedzą, jeśli już się to nie stało.

-

Nikt nie wie, że pojechałam do Amsterdamu - przerwała Valerie. - Spe cjalnie zostawiłam w Kempinskim wiadomość, że wracam prosto do Ameryki; gdyby ktoś do mnie dzwonił, jestem w Nowym Jorku.

-

Miałaś rezerwację na samolot?

-

Naturalnie. Po prostu nie zgłosiłam się do odprawy.

-

Dobrze, ale to nie wystarczy. Ludzie Delavane'a działają skutecznie, leifhelm ma kontakty na każdym lotnisku i w każdym urzędzie imigracyjnym w Niemczech. Dowiedzą się, że nie poleciałaś do Stanów. Możemy wyprowadzić ich w pole raz, ale nie dwa razy. Podejrzewam, że w tej chwili czeka na ciebie w Amstel jakiś Niemiec, prawdopodobnie w twoim pokoju. Chcę, żeby myślał, iż ciągle jesteś w Amsterdamie.

-

Jeśli ktoś wejdzie do mojego pokoju, spotka go przykra niespodzianka.

-

Co masz na myśli?

. - Ktoś tam jest. Stary człowiek obdarzony dobrą pamięcią. Wolałabym nie Powtarzać rozkazów, jakie otrzymał.

- To sprawa twojej ciotki?

- Świat jest dla niej albo czarny, albo biały, nie ma żadnych odcieni. Ist -

nieJątylko wrogowie i przyjaciele. A wrogiem jest na pewno każdy, kto chciałby skrzywdzić jej siostrzenicę. Nie znasz tych ludzi, Joel. Żyją przeszłością i nigdy nie wybaczą. Są już starzy i nie tacy sprawni jak za młodu, ale dokładnie 409

pamiętają wojnę i motywy wstąpienia do ruchu oporu. Wszystko było wtedy proste, istniało tylko dobro i zło. Żyją wyłącznie wspomnieniami; szczerze mówiąc, to trochę niesamowite, przerażające. Później nic nie było dla nich równie ważne. Podejrzewam, że woleliby żyć z powrotem w przeszłości, choć potwornej.

-

A twoja ciotka? Pomogła ci po tym wszystkim, co piszą w gazetach i mówią w telewizji? Nie zadawała żadnych pytań? Wystarczyło, że jesteś jej siostrzenicą?

-

Skądże, zadała jedno konkretne pytanie, na które odpowiedziałam. Za dowoliła się tym. Jest dziwna, bardzo dziwna, ale najważniejsze, że może nam pomóc.

-

W porządku... Wracasz dziś wieczorem do Stanów?

-

Zgoda. - Val kiwnęła potakująco głową. - Twoje argumenty brzmią rozsądnie, a w Nowym Jorku zrobię rano więcej niż tutaj. Z tego, co mówisz wynika, że liczy się każda godzina.

-

Tak, dzięki... Możesz mieć trudności z dotarciem do Sama. Nie mam pojęcia, gdzie służy, a wojsko nie lubi pomagać kobietom poszukującym ofi cerów, zwłaszcza generałów. To zbyt niebezpieczne, może chodzić o romans za granicą, o sprawę sądową, o ustalenie ojcostwa. Są w takich przypadkach bardzo oględni.

-

Wobec tego nie spytam, gdzie służy, tylko podam się za krewną, z którą próbował się skontaktować. Powiem, że jestem przejazdem i że w ciągu naj bliższej doby może do mnie zatelefonować do hotelu. Na pewno przekażą taką wiadomość generałowi.

-

Na pewno - zgodził się Joel. - Ale jeśli podasz swoje nazwisko, będzie to zbyt ryzykowne. Dla ciebie i dla Sama.

-

Posłużę się pseudonimem, który rozpozna. - Valerie wbiła na chwilę wzrok w ziemię. - Powiem, że

nazywam się Parquette. Parkiet, drewno, coś, co kojarzy się z cieślą, po francusku charpentier. I przedstawię się jako Virginia: Sam przy

pomni sobie ciebie i Ginny. Virginia Parquette; mam nadzieję, że się domyśli.

-

Prawdopodobnie. Inni też mogą się domyślić. Kiedy nie wrócisz na noc do hotelu, Leifhelm sprawdzi lotniska. Mogą czekać na ciebie na lotnisku Kennedy'ego.

-

Wobec tego zgubię ich na LaGuardii. Pojadę do motelu, gdzie się zatrzymuję, jak lecę do Bostonu. Wprowadzę się i wyprowadzę, nim mnie odnajdą.

-

Jesteś bardzo pomysłowa.

-

Już ci mówiłam: moje korzenie... Słyszałam wiele opowieści.-• A ty?

Co zamierzasz zrobić?

-

Ukryję się gdzieś. Nabieram w tym wprawy i mam sporo pieniędzy.

-

To nie wystarczy, Converse, cytuję twoje własne słowa. Im więcej wydajesz, tym łatwiej cię wytropić. Znajdą cię. Też powinieneś opuścić Amsterdham.

-

Cóż, mógłbym się przemknąć przez granicę, pojechać do Paryża i wprawdzie się do swojego dawnego apartamentu w Jerzym V. Oczywiście było by to 410

trochę przejrzyste, ale gdybym rozdawał odpowiednio wysokie napiwki... To przecież francuski hotel, prawda?

- Nie wygłupiaj się.

- Nie jest mi wcale do śmiechu. Chętnie poszedłbym do toalety i wziął bym prysznic albo kąpiel. Sypiam w miejscach, których nie można znaleźć w pożądanym przewodniku turystycznym.

-

Rzeczywiście nie kąpałeś się od bardzo dawna, czuję to na odległość nawet na świeżym powietrzu.

-

Strzeżcie się żon, którym śmierdzą mężowie. To niebezpieczny znak.

-

Daj spokój, Joel, nie jestem już twoją żoną... Muszę wiedzieć, jak się z tobą skontaktować.

- Pozwól mi się zastanowić. Ja także staję się bardzo pomysłowy. Zaraz na coś wpadnę. Mógłbym..

-

Wszystko już obmyśliłyśmy - przerwała zdecydowanie Val. - Zanim przyleciałam do Europy, rozmawiałam ze swoją ciotką.

-

Ze swojego domu?

-

Z hotelu w centrum Nowego Jorku, gdzie zameldowałam się pod fałszywym nazwiskiem.

-

Naprawdę obawiałaś się podsłuchu.

-Nie z tej strony... Podałam ciotce swoją wersję wydarzeń i powiedziałam, co zamierzam. Wczoraj wieczorem przyleciała do Berlina, zrobiła mi piekielną awanturę, ale wszystko sprowadziło się do tego, że obiecała pomóc. Ukryje cię.

Ona i inni.

-

W Niemczech?!

-

Tak. Mieszka na wsi, na przedmieściach OsnabrUck. Będziesz tam zupełnie niebezpieczny. Akwitańczykom nigdy nie przyjdzie do głowy cię tam szukać.

-

W jaki sposób mam wrócić do Niemiec?! Ledwo się stamtąd wydostałem! Polują na mnie ludzie Delavane'a, a poza tym zaalarmowano wszystkie przejścia graniczne! Wszędzie wiszą listy gończe z moją fotografią!

-

Rozmawiałam z Hermione dziś po południu, po twoim telefonie. Za dzwoniłam do niej z budki. Natychmiast zajęła się wszystkim i kiedy kilka godzin temu przyleciałam do Amsterdamu, powitał mnie na lotnisku starszy mężczyzna. Przenocujesz dziś u niego. Nie znasz go, ale go widziałeś, to ro-
Werzysta z Museumplein. Zabrał mnie do domu na Lindengracht, skąd mogłam zadzwonić do ciotki. Tamtejszy telefon jest unoangeroerd, czysty.

- Boże, oni naprawdę żyją ciągle jak podczas wojny.

-

Niewiele się zmieniło, prawda?

-

Nie, chyba nie. Co powiedziała ciotka?

- Przekazała mi tylko instrukcje dla ciebie. Jutro późnym popołudniem, podczas godziny szczytu, masz iść na główny dworzec kolejowy w Amsterdamie. Masz kręcić się koło informacji. Podejdzie do ciebie kobieta, przywita cię i powie, że spotkaliście się w Los Angeles. Nawiąż z nią rozmowę, a ona wręczy kopertę. W

środku będzie paszport, list i bilet na pociąg.

411

-

Paszport?! Jak to możliwe?

-

Brakowało im tylko fotografii. Wiedziałam o tym, gdy wyjeżdżałam zCapeAnn.

-

Wiedziałaś?!

-

Już ci mówiłam, całe życie słuchałam opowieści o tym, jak szmuglowała no z Niemiec do krajów neutralnych Żydów, Cyganów i zestrzelonych lotników. Fałszowanie dokumentów i fotografii stało się formą sztuki.

- I przywiozłaś zdjęcie?

-

Wydawało mi się to logiczne. Roger też tak uważał. Brał udział w tamtej wojnie, prawda?

-

Tak. A skąd wzięłaś fotografię?

-

Znalazłam ją w albumie. Pamiętasz naszą wycieczkę na Wyspy Dziewicze, kiedy pierwszego dnia opalałeś się za długo i dostałeś poparzenia słońca?

-

Jasne. Kazałaś mi włożyć krawat podczas kolacji i straszliwie piekła mnie szyja.

-

Chciałam ci dać nauczkę. Zrobiłam ci zbliżenie, żeby mieć twoją bolesną opaleniznę w całej okazałości.

-

To twarz człowieka poszukiwanego przez policję, Val.

-

Fotografia pochodzi sprzed ośmiu lat, a opalenizna zmieniła twoje rysy.

Nikt cię nie rozpozna.

-

Czy powinienem coś wiedzieć o właścicielu paszportu?

-

Jeśli ktoś zacznie cię o niego wypytywać, prawdopodobnie zostaniesz zatrzymany. Moja ciotka uważa, że to ci nie grozi.

-

Skąd ta pewność?

-

Z powodu listu wyjaśniającego, czym się zajmujesz.

-

To znaczy?

-

Odbywałeś pielgrzymkę do Bergen-Belsen, a później do Oświęcimia w Polsce. List jest napisany po niemiecku i masz pokazywać go każdemu, kto się do ciebie odezwie, bo znasz tylko angielski.

-Ale dlaczego...

-

Jesteś duchownym - przerwała Valerie. - Pielgrzymkę sfinansowała organizacja z Los Angeles o nazwie Chrześcijańsko-Żydowska Koalicja na Rzecz Pokoju i Pokuty. Przyczepi się do ciebie tylko bardzo pewny siebie Niemiec Mam w torbie czarny garnitur, czarny kapelusz, buty i koloratkę. Wraz z biletem otrzymasz instrukcje. Masz pojechać ekspresem do Hanoweru, gdzie rzekomo przesiądziesz się do pociągu do Celle, skąd udasz się rano do Bergen-Be -

sen. Oczywiście tego nie zrobisz. Wsiądziesz w Osnabruck, gdzie ma czekać na ciebie moja ciotka. Ja będę już wówczas w Nowym Jorku i spróbuję skontaktować się z Samem.

Converse pokręcił głową.

-

Val, brzmi to imponująco, ale nie słuchałaś tego, co mówiłem. Ludzie Leifhelma widzieli mnie na dworcu kolejowym. Wiedzą, jak wyglądam.

412

- Widzieli bladego mężczyznę z brodą i posiniaczoną twarzą. Ogól się.

- A później iść na operację plastyczną?

- Nie, zastosuj dużą ilość samoopalacza. Przyniosłam ci jedno opakowanie.

a twarz stanie się ciemniejsza i bardziej podobna do fotografii w paszporcie.

Sińce także staną się mniej widoczne. Resztę załatwi czarny kapelusz i koloratka

-

Szczęśliwe znaki... - rzekł Joel, dotykając zadrapań na twarzy i spostrzegając, że stały się mniej bolesne. - Pamiętasz, jak podbiłaś sobie oko, kiedy poślizgnęłaś się na podłodze i uderzyłaś o stolik?

- Wpadłam w panikę, miałam nazajutrz prezentację. Wyszedłeś z domu i kupiłeś mi fluid.

-

Dziś rano kupiłem to samo. Przydało się.

-

Bardzo się cieszę.

Popatrzyli na siebie w świetle księżyca. Byli bardzo blisko siebie.

-

Przepraszam cię za wszystko, Val. Nie chciałem cię w to wplątywać.

Nie zrobiłbym tego, gdyby istniał inny sposób, wiesz o tym.

-

Wiem, ale to i tak bez znaczenia. Przyjechałam tutaj, bo coś sobie przy rzekłam. Nie ze względu na ciebie. Między nami wszystko skończone, Joel, naprawdę.

-

Przyrzekłaś to sobie z mojego powodu. Jestem wobec tego winien.

-

To prawdopodobnie błędna interpretacja - stwierdziła Val, odwracając wzrok. - Są ważniejsze sprawy. Przeraza mnie to, co mi powiedziałaś, choć nie dlatego, że to spisek: jestem malarką i nie znam się na takich rzeczach. Ale straszliwie się boję, bo potrafię wyobrazić sobie pewne fakty. Czuję, że Akwitania może zwyciężyć, przejąć władzę i zmienić nas w stado potulnych baranów. Wielki Boże, Joel, chętnie się im podporządkujemy!

-Nie rozumiem.

-

Wobec tego jesteś ślepy. Nie mam na myśli samotnych kobiet takich jak ja, tylko większość przeciętnych zjadaczy chleba usiłujących zarobić na życie, myślących o czynszu, spłacie hipoteki albo raty za samochód, usiłujących jakoś sobie radzić. Mamy dość tego wszystkiego! Mówi się nam, że jeśli nie będziemy płacić podatków na coraz większe bomby, możemy zginąć podczas wojny Jądrowej; słyszymy, że nasza woda jest zatruta, że nie wolno kupować tego czy tamtego, bo może zawierać szkodliwe substancje. Znikają dzieci, ludzie giną, wchodząc do sklepu, by kupić ćwierć litra mleka, narkomani i bandyci tną Przechodniów nożami na ulicach. Mieszkam w małym miasteczku i za żadne skarby nie wyszłabym z domu po zmroku, a w mieście, jakimkolwiek mieście, w biały dzień oglądam się za siebie i nigdy w życiu nie wsiadłabym sama do PusteJ windy... Nie stać mnie na to, ale założyłam system alarmowy w domu, który do mnie nie należy, bo pewnej nocy w pobliżu zakotwiczył czyjś jacht.

Wyobrażałam już sobie mężczyzn czołgających się po plaży ku moim oknom. I Wszyscy widzimy takie rzeczy, na wodzie, na ulicach miast albo na poboczach takich jak to. Jesteśmy przerażeni, mamy dość przemocy. Chciałabym, 413

żeby ktoś z tym skończył, i nie wiem, czy interesowałoby mnie, kto to •

A jeśli ci twoi Akwitańczycy jeszcze pogorszą sytuację... Wierz mi, wiem, co robią. Przejmą władzę i ludzie okrzykną ich zbawcami; nie będzie potem żadnych wyborów... Tyle że właśnie to jest najbardziej potworne...

musisz mnie odwieźć na lotnisko.

-

Czemu pozwoliłem ci odejść?- wyszeptał Joel bardziej do siebie niż do Valerie.

-

Daj spokój, Converse. Między nami skończone.

Joel zaparkował auto w najciemniejszym zakamarku parkingu na lotnisku Schiphol w Amsterdamie i spoglądał na samolot, który pędził po pasie startowym i wzbił się w ciemne niebo. Wysadził Val na zatłoczonym podjeździe i wziął od niej skrawek papieru z adresem mieszkania, gdzie mógł spędzić bezpiecznie noc. Umówili się, że jeśli uda jej się kupić bilet na samolot, wyjdzie przez szklane drzwi, spojrzy na zegarek i wróci do środka. Jeśli wszystkie miejsca okażą się zajęte, Val pójdzie na niewielki parking sto metrów dalej, a Joel zabierze ją do samochodu. Wyszła na dwór, zerknęła na zegarek i wróciła do hali dworcowej. Joel poczuł ulgę i dziwną, cichą pustkę.

Obserwował blednące światła ogromnego srebrzystego odrzutowca który skręcił w lewo i zniknął w dali na nocnym niebie.

Stał nagi przed lustrem w malutkiej łazience w domu na Lindengracht. Zaparkował

samochód kilkanaście ulic dalej i wrócił ostrożnie na piechotę. Staruszek, do którego należało mieszkanie, okazał się miły i mówił dobrze, choć powoli, po angielsku, jednakże miał nieobecny wzrok i trudno było nawiązać z nim kontakt.

Żył w innym czasie i innym miejscu.

Joel ogolił się starannie, siedział pod prysznicem znacznie dłużej, niż wypadało, po czym nasmarował twarz, szyję i ręce ciemnoczerwonym kremem. Jego skóra stała się natychmiast brązowa. Rezultat okazał się znacznie bardziej wiarygodny, niż się spodziewał, gdyż pamiętał inne kosmetyki tego rodzaju, które pokrywały twarz nienaturalną ciemnobrązową powłoką. Fałszywa opalenizna maskowała siniaki na twarzy, tak że wyglądał prawie normalnie. Zamierzał się pozbyć ciemnych okularów, zwracały tylko uwagę, zwłaszcza jeśli ktoś znał Joel a lub jego rysopis. Umył ręce, szorując je dokładnie, by usunąć brud wżarty w opuszki palców.

Wtem zachnął się i zeszywniał. Gdzieś w głębi mieszkania rozległ się dzwonek.

Joel zakręcił szybko wodę i słuchał, wstrzymawszy oddech, wpatrując się w pistolet leżący na wąskim parapecie okna. Dzwonek zadzwieczał znowu i nagle ucichł. Joel usłyszał głos starca rozmawiającego przez telefon. Wylał ręce i włożył krótki bawełniany szlafrok, który znalazł na łóżku w swoim malutkim, nieskazitelnie czystym pokoiku. Schował pistolet do kieszeni, podszedł do drzwi i ruszył ciemnym, wąskim korytarzem prowadzącym 414

do gabinetu starego człowieka, pokoju służącego również jako sypialnia i pełnego starych czasopism, książek oraz ilustrowanych tygodników walających się po stołach i krzesłach. Najkrwawsze relacje oraz zdjęcia obwiedziono czerwoną kredką. Na ścianach wisiały ryciny i fotografie przedstawiające dawne wydarzenia wojenne, między innymi trupy w najrozmaitszych pozach. Mieszkanie kojarzyło się Joelowi w dziwny sposób z Les Etalons Blancs w Paryżu, choć nie eksponowano tu chwały wojennej, tylko brzydotę śmierci. To przynajmniej uczciwsze, pomyślał.

- Ach, Mijnheer - rzekł starzec, pochylając się do przodu w olbrzymim skórzanym fotelu, który prawie pochłaniał jego kruche ciało. Telefon stał na stoliku obok. - Jest pan bezpieczny, zupełnie bezpieczny! Dzwonił Kabel. To pseudonim, natUrlijk. Opuścił hotel i przekazał raport. - Kruchy Holender, przeszło siedemdziesięcioletni, wstał z wysiłkiem z fotela i wyprostował się, przyjmując postawę zasadniczą, niczym żołnierz składający dowódcy meldunek. -

Operacja "Osnabriick" przebiega zgodnie z planem! - rzekł. - Zgodnie z doniesieniami kontrwywiadu nieprzyjaciel usiłował przeniknąć na nasz teren, lecz dokonano jego kompromitacji.

-

Słucham?

-

Egzekucji, Mijnheer. Drut zarzucony z tyłu na szyję. Po zapętleniu nie pozostają żadne ślady walki,

toteż można usunąć nieprzyjaciela z miejsca kompromitacji.

-

Co pan mówi?

-

Kabel jest silny jak na swój wiek - oświadczył starzec z szerokim uśmiechem. Twarz pokryła mu się tysiącem zmarszczek. - Zabrał zwłoki z pokoju, zniósł na dół schodami przeciwpożarowymi i wyszedł na zewnątrz. Znalazł

wejście do piwnic i zostawił trupa w kotłowni. Jest lato i może upłynąć kilka dni, nim go znajdą, chyba że smród stanie się zbyt silny.

Converse słuchał kolejnych słów, lecz myślał tylko o jednym. Kompromitacja. W dziwnym żargonie z innej epoki oznaczało ono egzekucję... zabójstwo... zamach!

Co pan sądzi o kompromitacji kilku bardzo wpływowych osobistości...? Słowa Leifhelma.

To się nie uda. Odpowiedź Joela.

Nie bierze pan pod uwagę czynnika czasu! Kumulacja, Converse! Nagłe Pośpieszenie! Chaim Abrahms.

Boże! - pomyślał Joel. Czyżby właśnie to mieli na myśli generałowie akwitanii?!

Czyżby to tu kryła się przyczyna ostrzegawczych spojrzeń skierowanych na Izraelczyka i jego pośpieszne wycofanie się, a później zbagatelizowanie całej sprawy?!

To po prostu przenośnia... Nie jestem nawet pewien, czy pasuje, stwierdzenie kumulacja, nagłe przyspieszenie. Seria zamachów na przywódców państwowych na całym świecie. Prezydentów, premierów, ministrów, wiceprezydentów, wpływowych działaczy politycznych. Po ich gwałtownej śmierci 415

zapanuje powszechna anarchia. Wszystko rozegra się w ciągu kilku tygodni, a na ulicach dojdzie do krwawych zamieszek podsycanych przez histerię.

Zatrze się różnica między ofiarami a winowajcami, aż wreszcie porządek przywróci wojsko, które przejmie władzę. Zapanował pożądaný klimat, zbliża się wyznaczony dzień. Zamachy!

Joel musiał wrócić do Niemiec. Musiał się dostać do Osnabriick i czekać na telefon Val. Należało poinformować Sama Abbotta.

Connal Fitzpatrick, zakuty w kajdany, z prawym przedramieniem owiniętym brudnym bandażem, ścisnął dłońmi parapet małego okna i spoglądał przez kraty na dziwaczny morderczy spektakl toczący się na olbrzymim betonowym placu musztry.

To, że jest to plac musztry, stało się jasne już drugiego ranka, gdy wraz z innymi więźniami wyprowadzono Connala na godzinny spacer przed betonowymi koszarami, które, jak się domyślał, stanowiły ongiś część bazy paliwowej łodzi podwodnych. Doki oraz dźwigi były zbyt małe i zbyt prymitywne dla współczesnych gigantów napędzanych energią jądrową, a na nabrzeżach z betonu i stali nie zmieściłaby się żadna rakietą typu Trident, jednakże ongiś, jak sądził

Fitzpatrick, baza dobrze służyła niemieckim U-Bootom.

Teraz jednak wykorzystywano ją na szkodę Republiki Federalnej Niemiec i innych państw wolnego świata. Był to obóz szkoleniowy Akwitanii, gdzie doskonalono strategię, szlifowano umiejętności i czyniono ostateczne przygotowania do zmasowanego ataku, który pozwoli generałom Delavane'a zająć miejsce sparaliżowanych władz cywilnych. Wszystko sprowadzało się do zabijania, błyskawicznego, brutalnego i prowadzącego do masowej hysterii, stanowiącej niezbędną cechę fali przemocy.

Za oknem biegały po kolei grupki złożone z czterech lub pięciu mężczyzn-które odłączały się od mniej więcej stuosobowego tłumu i ćwiczyły się do znudzenia w jednym zadaniu. Na końcu placu musztry znajdowała się betonowa platforma wysokości dwóch i szerokości dziesięciu metrów, na której umieszczono rząd manekinów wpatrujących się szklanymi oczyma w przestrzeń. Część stała prosto, część zaś siedziała w fotelach. Figury stanowiły tarcze strzeleckie. W środku piersi każdego manekina znajdowało się kółko z kuloodpornej siatki, za którą błyskała pomarańczowa żarówka, wyraźnie widoczna w popołudniowym słońcu. Zapalał

ją instruktor na znak, że dany manekin stanowi cel dla poszczególnych grup.

Nad każdą postacią umieszczono na murze kolorowe lampki wskazujące skuteczność strzałów. Zapalenie czerwonej oznaczało trafienie śmiertelne, niebieskiej zaś jedynie ranę. Czerwona żaróweczka oznaczała sukces, niebieska porażkę.

Polecenia wyrzaskiwane dzień w dzień przez głośniki różniły się tylko tym, że Wygłaszano je w dziewięciu językach, z których Connal rozumiał cztery. Treść była taka sama:

- Trzydzieści dni do godziny zero! Najważniejsza jest celność! Ucieczkę gwarantuje tylko panika po

zabiciu ofiary! Inaczej czeka was śmierć!

- jedenaście dni do godziny zero! Najważniejsza jest celność...!

- Osiem dni do godziny zero! Najważniejsza jest...

Członkowie grup zamachowców strzelali do swoich celów osobno lub salwami, rozłupując głowy i dziurawiąc piersi oraz brzuchy. Każde śmiertelne trafienie witano pochwalnymi okrzykami, gdy członkowie grupy pędzili przez tłum i roztapiali się w nim po wykonaniu zadania. Spośród widzów formowała się natychmiast inna grupka, po czym następował kolejny błyskawiczny pozorowany atak. Ciągnęło się to cały dzień, godzina za godziną. Tłum witał celne strzały okrzykami aprobaty, a tymczasem ładowano ponownie broń, by znów otworzyć ogień do nieruchomych manekinów. Co dwadzieścia minut, gdy martwe postacie na platformie ulegały kompletnemu zniszczeniu, zastępowano je nowymi. Brakowało tylko rzek krwi i masowej histerii.

Connal szarpał w bezsilnej wściekłości zardzewiałe kajdanki. Usiłował rozerwać stalowy łańcuch, raniąc sobie głęboko nadgarstki. Nie mógł nic zrobić, nie mógł

się uwolnić! Poznał tajemnicę Akwitanii! Miał przed oczyma sekret ostatecznej strategii! Zabójstwa! Fala zamachów na osobistości życia politycznego w dziewięciu różnych krajach, za osiem dni! Za osiem dni miało się wydarzyć coś na tyle ważnego i prowokującego, by wybitni mężowie stanu musieli wystąpić publicznie. Connal nie wiedział, co to takiego, lecz powinni wiedzieć to inni -

gdyby tylko zdołał do nich dotrzeć! Dręczyła go prosta prawda: nie mógł zrobić nic, absolutnie nic!

Odwrócił się od okna, czując ból w przedramieniu i pieczenie nadgarstków, po czym rozejrzał się po koszarach, gdzie więziono czterdziestu trzech mężczyzn, którzy błyskawicznie tracili siły. Wielu leżało apatycznie na pryczach, inni wyglądali smutno przez nieliczne okienka, kilkunastu zbiło się w grupki i rozmawiało szeptem pod ślepyimi ścianami. Wszystkich zakuto w kajdany tak jak Fitzpatricka, który zaczynał już wyglądać równie żałośnie jak oni; głodowe racje żywnościowe i stale przedłużana musztra miały za zadanie złamać ich duchowo i fizycznie. Jeśli znali jakiś wspólny język, porozumiewali się szeptem; doszli nawet do kilku wspólnych wniosków, lecz w żaden sposób nie potrafili pojąć, dlaczego ich uwięziono. Stanowili część niepojętego planu 1

tylko Connal wiedział, kto jest jego autorem. Usiłował tłumaczyć to współ-

więźniom w ciemnych kątach, lecz spoglądali na niego pustym wzrokiem z Oszołomieniem na twarzach.

Kilka rzeczy dawało się ustalić ponad wszelką wątpliwość. Po pierwsze, wszyscy więźniowie okazali się oficerami sił zbrojnych plasującymi się w średnich i wyższych rejonach hierarchii służbowej. Po drugie, wszyscy byli kawalerami lub rozwodnikami, a żaden nie miał dzieci ani przyjaciółek, z którymi 417

pozostawałby w stałym kontakcie. Wszyscy przebywali na trzydziesto-i, czterdziestopięciodniowych

urlopach, ale tylko jeden oprócz Connala wziął

urlop okolicznościowy z ważnych przyczyn rodzinnych; reszta spędzała po prostu normalne wakacje letnie. Był w tym wszystkim pewien sens, lecz jaki?

Istniało jakieś rozwiązanie, lecz nie dawało się go odkryć. Co drugi dzień więźniom przynoszono pocztówki z najrozmaitszych kurortów w Europie i Ameryce Północnej, po czym dyktowano im wiadomości do konkretnych osób: oficerów jednostek lub baz, w których służyli. Ich treść była zawsze taka sama - "Świetnie się bawię...", "Szkoda, że was tu nie ma...", "Teraz wybieram się do..." Odmowa napisania pocztówki prowadziła do utraty nędznej racji żywnościowej i karnych ćwiczeń na placu musztry, gdzie więźniów zmuszano do biegania w kółko pod lufami karabinów, póki nie opadli kompletnie z sił.

Więźniowie zgadzali się między sobą, że głodowe racje mają ściśle określony cel.

Byli wyszkolonymi oficerami zawodowymi i gdyby trzymano ich w przyzwoitych warunkach, mogliby podejmować próby ucieczki, a przynajmniej stwarzać poważne kłopoty. Jednakże nie rozumieli niczego więcej. Wszyscy z wyjątkiem Connala przebywali w obozie nie krócej niż dwadzieścia dwa i nie dłużej niż trzydzieści cztery dni. Ostry reżim, ciągłe kary oraz głód wyrządziły już dotkliwe szkody fizyczne i psychiczne. Znaleźli się w tajemniczym obozie koncentracyjnym nad morzem; nie wiedzieli, gdzie sąani o co się ich oskarża.

-

Que pasa? - spytał Enrique pochodzący z Madrytu.

-

Afuera en el campo de maniobras es lo mismo - odparł Fitzpatrick, kiwając głową w stronę okna, i ciągnął po hiszpańsku: - Strzelają do wypchanych manekinów i myślą, że każde trafienie czyni ich bohaterami albo mę czennikami, a może jednym i drugim naraz.

-

To szaleństwo! - zawołał Hiszpan. - Postradali rozum! O co tu chodzi?!

Po co to wszystko?!

-

Za osiem dni zabiją wiele ważnych osobistości. Chcą to zrobić publicznie, podczas jakiegoś święta czy czegoś w tym rodzaju. Co, u licha, zdarzy się za osiem dni, nie wie pan?

-

Jestem tylko majorem w garnizonie w Saragossie. Składam meldunki o terrorystach baskijskich i czytam kryminały. Nie znam się na takich sprawach. Na pewno nie zdarzy się to w Saragossie. To

barbarzyński kraj, ale chętnie pozwoliłbym się zdegradować na kaprała, żeby tam wrócić.

-

Vite! Contre le mur!

-

Schnell! Gegen die Mauer!

-

Jazda! Pod ścianę!

-

Fa presto! Contro U muro!

Do koszar wpadło czterech strażników, za którymi podążali następni, wykrzykując komendę w różnych językach. Przeprowadzali inspekcję kajda' nek; zdarzały się one stale, nie rzadziej niż co godzina w dzień i często cztery razy w ciągu nocy. Jeśli odkryto, że więzień próbował się uwolnić, trąc 418

kajdanki o beton lub uderzając nimi w kamień, następowała natychmiastowa musztra, a była ona zawsze taka sama. Więzień biegał nago - najlepiej na deszczu dopóki nie zemdlał, po czym leżał bez jedzenia i picia trzydzieści sześć godzin w miejscu, gdzie upadł. Spośród czterdziestu trzech oficerów spotkało to aż dwudziestu dziewięciu najsilniejszych, kilku dwu-i trzykrotnie, aż opadli zupełnie z sił. Connala ukarano tylko raz, zdaje się dzięki dwujęzycznemu Zdraźnikowi, Włochowi, który docenił fakt, że Americano nauczył się italiano.

Genuńczyk, były spadochroniarz, zgorzkniały i cyniczny, trafił prawdopodobnie za coś za kratki i przedstawił się jako rifiut zamierzający się odkuć, wyrzutek mający zostać niebawem nagrodzony. Jednakże, podobnie jak większość Włochów, reagował instynktownie na pochwały cudzoziemca pod adresem bella Italia, bellissima Roma. Ich krótkie, ciche, prędkie rozmowy stanowiły jedyne źródło informacji posiadanych przez Fitzpatricka, który wszedł odruchowo w rolę adwokata rozmawiającego z rozgoryczonym żołnierzem. Wielokrotnie stosował w przeszłości takie sztuczki.

-Co na tym zyskasz? Wiedzą, że jesteś nikim!

-

Przyrzekli. Dobrze płacą, żebym ich uczył. Nie uda im się bez takich jak ja, ajest nas wielu.

-

Co im się nie uda?

-

To ich sprawa. Ja tylko dla nich pracuję.

-

Uczysz ich zabijać?

-

A także biegać i kryć się. Wielu z nas nie zna się na niczym więcej.

-

Możecie stracić wszystko.

-

Większość z nas nie ma nic. Wykorzystano nas i dano nam kopniaka.

-

Oni postąpią z wami tak samo.

-

Wtedy znów zaczniemy zabijać. Mamy doświadczenie, signore.

-Przypuśćmy, że ich wrogowie odkryją ten obóz?

-

Nie odkryją. To niemożliwe.

-

Dlaczego?

-

To wyspa o której wszyscy zapomnieli.

-

Ich wrogowie o niej pamiętają.

-Niemożliwe! Nie latają tu żadne samoloty, nie przepływają statki.

Wiedzielibyśmy, gdyby było inaczej.

-

A nie przychodzi ci do głowy, czemu służyła niegdyś ta baza?

-

Che cos a volete dire?

-Łodziom podwodnym. Mogą otoczyć waszą wyspę.

-

Gdyby tak się stało, Americano, to wtedy custode wyspy... Custode, jak się mówi?

-

Strażnik.

419

-

Wysadziłby wszystko w powietrze. Obóz zniknąłby z powierzchni zie mi. Nie zostałby kamień na kamieniu. To część naszego contratto. Zgodzili-

śmy się na to.

-

Custode, strażnik, to ten wysoki Niemiec z krótkimi siwymi prawda?

-

Dość gadania. Napij się wody.

-

Muszę ci coś zdradzić - wyszeptał Connal, gdy Włoch sprawdzał mu kajdanki. - Dostaniesz dzięki temu wielką nagrodę i może ocalisz moje życie

-

Co chce mi pan powiedzieć?

-Nie tutaj, nie teraz. Nie mamy czasu. Przyjdź dziś wieczorem; więźniowie są tacy zmordowani, że zasypiają, nim położą się na pryczach. Będę czuwał. Przyjdź

i zabierz mnie stąd, ale sam. Nie możemy mówić przy świadkach

-

Czy mam głowę pełną trocin lub piasku!? Każe mi pan wejść samotnie do ko szar pełnych ludzi skazanych na śmierć?!

-

Czy jestem w stanie zrobić ci coś złego? Będę czekać koło drzwi, otwo rzysz je, a ja wyjdę na zewnątrz. Możesz trzymać mnie na muszce. Nie chcę umrzeć, właśnie dlatego się do ciebie zwracam!

-

Umrzesz. Niechaj Bóg ma cię w swojej opiece.

-

Jesteś głupcem, buffone! Mógłbyś zdobyć fortunę, a nie skończyć z kulą w głowie!

Włoch zerknął podejrzliwie na Fitzpatricka i rozejrzał się po sali. Inspekcja dobiegała końca.

-

Żeby to zrobić, muszę wiedzieć coś więcej.

-

Dwaj strażnicy to zdrajcy - szepnął Fitzpatrick.

-

Che cosa?

-

Reszty dowiesz się w nocy.

Fitzpatrick leżał w mroku z twarzą pokrytą kroplistym potem, czekając, nasłuchując z niepokojem odgłosu kroków. Dokoła jęczeli przez sen głodni, udręczeni więźniowie. Connal usiłował zapomnieć o własnym bólu: musiał myśleć o czymś innym. Gdyby dotarł do wody, kajdany spowolniłyby jego

ruchy, lecz nie zdołałyby go zatrzymać: mógł płynąć prawie w nieskończoność, a gdzieś na brzegu wyspy, z dala od obozu, znajdowała się na pewno plaża lub port, gdzie mógłby wyczołgać się na ląd. Nie pozostało mu nic innego; musiał spróbować. Powinien także zadbać o to, by włoski strażnik nie wszczął alarmu.

Rozległo się ciche szcęknięcie zasuw w drzwiach. Connal, zajęty wła' snymi myślami, nie usłyszał kroków strażnika. Wstał po cichutku i ruszył na palcach między pryzcami, gimnastykując ręce i napinając łańcuch. Nie mógł uczynić najlżejszego hałasu, gdyż obudziłby więźniów, których dręczyły koszmarne 420

sny. Znalazłszy się przy drzwiach, domyślił się, że powinien sam je otworzyć; strażnik na pewno cofnął się o parę kroków, zamierzając trzymać informatora na muszce.

Tak się też stało. Włoch skinął pistoletem, by Connal wyszedł, po czym okrążył

go szerokim łukiem i zamknął drzwi na zasuwę. Później uniósł lufę, każąc Fitzpatrickowi iść przodem. Po chwili zatrzymali się w mroku przed koszarami. W

dali widać było starą bazę paliwową i fale uderzające o nabrzeże.

- Porozmawiajmy, signore - odezwał się strażnik. - Kim są zdrajcy i dlaczego mam panu wierzyć?

- Najpierw daj mi słowo, że zameldujesz swoim zwierzchnikom, iż to ja ich zadenuncjowałem. Nic nie powiem, dopóki nie dasz mi słowa!

- Słowo, Americano? - spytał Włoch, śmiejąc się z cicha. - Dobrze, amico, masz moje słowo!

Cichy, cyniczny śmiech strażnika trwał kilka sekund. Connal zamachnął się nagle, chwycił prawą ręką lufę pistoletu i wyszarpnął go Włochowi, aż broń upadła na trawę. Uniósł łańcuch, kopnął strażnika w podbrzusze i uderzył go ciężkimi kajdankami w głowę. Włoch wybałuszył oczy i stracił przytomność. Fitzpatrick przykucnął i rozejrzał się.

Na wprost znajdował się stary dok dla łodzi podwodnych, który sięgał daleko w morze. Connal wstał i puścił się biegiem, upojony świeżym powietrzem. Dodawała mu skrzydeł morska bryza. Szybciej, szybciej! Jeszcze kilka sekund i będzie wolny!

Skoczył do wody, czując, że znajdzie siły, by zrobić cokolwiek, popłynąć gdziekolwiek. Był wolny!

Wtem ze wszystkich stron zabłyśły oślepiające światła reflektorów i rozległy się serie karabinów maszynowych. Kule rozpryskiwały wodę i gwizdały nad głową Fitzpatricka, lecz nie trafiały w niego. Nocną ciszę zmały słowa wykrzykiwane przez megafon.

- Więzień numer czterdzieści trzy! Masz szczęście, że możemy jeszcze potrzebować twojego charakteru pisma lub głosu w słuchawce telefonicznej! Inaczej poszedłbyś na żer dla ryb z Morza Północnego!...

Joel opuścił ulicę Amsterdamu, zalane jasnym popołudniowym słońcem, i znalazł

się w mrocznej czeluści głównego dworca kolejowego. Czarny garnitur i kapelusz okazały się wygodne, a choć koloratka i czarne buty cisnęły nieco, były jednak do zniesienia. Przeszkadzała mu trochę niewielka Walizeczka, lecz mógł pozbyć się jej w każdej chwili, była tylko rekwizytem. Miał w niej dziwaczny zestaw za małej i za dużej odzieży. Joel, ogarnięty

421

głębokim poczuciem déjà vu, stąpał ostrożnie, zwracając uwagę na każdy nagły ruch, obserwując twarze mijających go ludzi. Spodziewał się, że lada chwila rzucą się ku niemu ludzie zamierzający go zabić.

Nikt się jednak nie pojawił, a nawet jeśli czatowali gdzieś na dworcu znakomicie odegrał swoją rolę. Sporządził tego dnia najdokładniejsze memorandum w całej swojej karierze prawniczej. Kaligrafował je mozolnie przez kilka godzin, porządkując materiał i zestawiając fakty, by uzasadniały je sądy i domysły.

Przytaczał najważniejsze punkty każdego dossier, by uwiarygodnić swoje wnioski.

Przypominając sobie swoje straszliwe przeżycia, wazył starannie każde stwierdzenie i odrzucał te, które mogły się wydawać zbyt emocjonalne, nadając tekstowi inny kształt, odzwierciedlający chłodny obiektywizm wyszkolonego, zdrowego na umyśle prawnika. Nocą leżał bezsenne przez kilka godzin, zastanawiając się nad układem memorandum, a wczesnym rankiem zabrał się do pisania, kończąc prywatnym listem, który rozwiewał fałszywe podejrzenia, że jest szaleńcem. Był jedynie pionkiem manipulowanym przez przerażonych, anonimowych ludzi, którzy dostarczyli mu materiałów i świetnie zdawali sobie sprawę, co robią. Niezależnie od tego, co się stało, rozumiał, że prawdopodobnie nie mieli innej drogi. Skończył pisać godzinę temu i włożył memorandum do dużej koperty dostarczonej przez starego człowieka, który obiecał nadać ją w Damrak po wyjeździe Converse'a. Joel zaadresował ją do Nathana Simona.

-

Książd Wilcrist, prawda?

Converse odwrócił się gwałtownie, czując dotyk czyjejś dłoni. Piskliwy głos należał do kościstej, przygarbionej staruszki. Na jej pomarszczonej twarzy płonęły przenikliwe oczy. Była ubrana w biały czepiec zakonny i czarny habit.

-

Owszem, poznaję siostrę - odparł z niepokojem, rozglądając się prędko dokoła. -Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

-

Ksiądz na pewno mnie nie pamięta! - zawołała kobieta po angielsku z wyraźnym cudzoziemskim akcentem. - Nie, proszę nie udawać, nie ma ksiądz pojęcia, kim jestem!

-

Może bym sobie przypomniał, gdybyśmy nie mówili tak głośno. - Joel pochylił się i usiłował się uśmiechnąć. - Zwracamy na siebie uwagę.

-

Duchowni zawsze się tak witają- odparła konfidencyjnie staruszka, wpatrując się w Joela przenikliwym spojrzeniem. - Chcą być podobni do zwy kłych ludzi.

-

Czy moglibyśmy się przejść i spokojnie porozmawiać? - Converse ują zakonnicę za ramię i poprowadził ją ku zatłoczonemu wyjściu na perony. -

Ma siostra coś dla mnie?

-

Skąd ksiądz przyjechał?

-

Jak to skąd? O co siostrze chodzi?

-

Zna ksiądz reguły. Muszę być pewna.

-

Czego?

- Że rozmawiam z właściwą osobą. Może mi kogoś podstawiono? Nie jesteśmy głupi, Mijnheer. Skąd ksiądz przyjechał? Szybko! Kto się waha, ten...

- Chwileczkę! Kazano siostrze spotkać się ze mną i podano rysopis. Czego jeszcze trzeba?

- Muszę wiedzieć, skąd ksiądz przyjechał.

- Boże, ilu opalonych duchownych spodziewała się siostra spotkać koło informacji?!

-

Opaleni księża to nic szczególnego. Słyszałam, że niektórzy uprawiają pływanie. Inni grają w tenisa. Sam papież jeździł kiedyś na nartach! Widzi ksiądz, jestem dobrą katoliczką, znam się na religii!

-

Podano siostrze rysopis! Czy się zgadzał?

-

Wszyscy księża są tacy sami. Ten, u którego spowiadałam się w ze szłym tygodniu, okazał się niedobrym człowiekiem. Powiedział, że mam zbyt wiele grzechów na sumieniu jak na swój wiek i że czekają inni penitenci. Był

niecierpliwy.

-

Ja też jestem niecierpliwy.

-

Wszyscy tacy sami...

-

Proszę posłuchać - rzekł Joel, spoglądając na cienką, wąską kopertę w rękach kobiety i zdając sobie sprawę, że zaczęłyby wrzeszczeć, gdyby usiło wał ją wyrwać. - Muszę się dostać do Osnabriick, wie siostra o tym!

Przebrana zakonnica pochyliła się jeszcze bardziej do przodu, przyciskając kopertę do piersi niczym cenną relikwię.

-

Przyjechał ksiądz z Osnabriick?

-

Nie, nie z Osnabriick! - Converse usiłował przypomnieć sobie słowa Val. Pielgrzymował do Oświęcimia i Bergen-Belsen, a pochodził z... z... -

Z Los Angeles! - wyszeptał chrapliwie.

-Ja, goed. W jakim kraju?

-

Chryste Panie!

-

Wat?

-

W Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej.

-

Goed! Proszę, Mijnheer. - Staruszka wręczyła Joelowi kopertę, uśmiechając się słodziutko. - Wszyscy powinni dobrze wykonywać swoje obowiązki, prawda? Niechaj Bóg ma cię w swojej opiece, ojciec duchowny... Bardzo mi się podoba to przebranie. Byłam kiedyś aktorką, wie ksiądz? Wszyscy się do mnie uśmiechają, a jeden elegancki pan, który wyszedł z domu rozpuszty, dał mi pięćdziesiąt guldenów!

Stara kobieta odeszła. W pewnej chwili odwróciła się do Joela i mrugnęła, pokazując dyskretnie butelkę whisky schowaną pod habitem.

Joel nie wiedział, czy znajduje się na tym samym peronie co po przyjeździe do Amsterdamu przed dwudziestoma czterema godzinami, lecz odczuwał

423

równie silny lęk. Przybył do miasta jako pospolicie wyglądający, brodaty robotnik z bladą, posiniaczoną twarzą. Opuszczał je jako wyprostowany, oraz wygolony, opalony, przyzwoicie ubrany ksiądz odbywający pielgrzymkę pokuty i solidarności. Zniknął wstrząśnięty adwokat z Genewy, manipulowany pionek z Paryża, uwięziony głupiec z Bonn. Jednakże wciąż był ściganą zwierzyną i aby przeżyć, musiał wytropić myśliwych, nim oni go wytropią, zauważyć ich, nim o ni go zauważą. Nauczył się tego przed osiemnastu laty, gdy miał bystrzejszy wzrok i wytrzymałsze ciało. Aby zrekompensować swoje braki, musiał się posługiwać innymi zdolnościami, jakie rozwinął; wszyskosprowadzało się do nieustannej koncentracji, która nie rzucała się w oczy. I właśnie dlatego zauważył owego mężczyznę.

Stał on w półmroku koło betonowego słupa na początku peronu, czytając rozpostarty rozkład jazdy. Converse spojrział nań przelotnie, podobnie jak na prawie wszystkich pasażerów w polu widzenia, lecz po kilku sekundach zainteresował się nim bliżej. Mężczyzna zachowywał się dość dziwnie. To, że czytał rozkład w słabym świetle, choć obok znajdował się jasno oświetlony wagon, mogło mieć kilka powodów - czekał na kogoś lub chciał wypalić ostatniego papierosa na świeżym powietrzu - ale przecież trzymał go bardzo daleko od twarzy i wcale nie wyęczał wzroku. Lektura mikroskopijnego druku w tych warunkach przypominała próbę czytania książki telefonicznej w aucie, które utknęło w korku w tunelu Lincolna: wymagała wyraźnego wysiłku. Mężczyzna go nie okazywał.

Converse szedł peronem, zbliżając się do pary otwartych drzwi w dwóch sąsiednich wagonach. Celowo pozwolił walizce zawadzić o wystający stopień, po czym odwrócił

się, by przeprosić małżeństwo idące za nim. Kurtuazyjnie przepuścił je przodem, a kobieta i mężczyzna uśmiechnęli się uprzejmie na widok koloratki i skinęli głowami. Zwróciwszy twarz w ich stronę, Converse zerknął ukradkiem na człowieka po lewej stronie słupa. Ścisnął on w dłoni rozkład jazdy, kolejny niepotrzebny rekwizyt, i wpatrywał się w Joela. To wystarczyło.

Converse wszedł bez pośpiechu do drugiego wagonu, lecz gdy tylko stracił z oczu mężczyznę przy słupie, popędził naprzód, potknął się i upadł na podłogę koło pierwszej ławki, płacząc się we własnym bagażu. Przeprosił idących z tyłu ludzi i wyjrzał przez okno, obok dwóch pasażerów na ławce, którzy zwracali większą uwagę na koloratkę niż na jego twarz.

Mężczyzna stojący obok słupa cisnął rozkład na ziemię i machał gwałtownie prawą ręką, wzywając kogoś do siebie. Po kilku sekundach dołączył doń drugi mężczyzna; błyskawicznie zamienili kilka zdań, po czym się rozdzielili. Pierwszy ruszył ku drzwiom na przedzie wagonu, drugi zaś skierował się do wejścia, którym wszedł

Joel.

Odnaleźli go. Był w pułapce.

424

Valerie zapłaciła taksówkarzowi, wysiadła i podziękowała portierowi za otwarcie drzwi. Przyjechała do drugiego hotelu, w którym zarezerwowała miejsce W ciągu ostatnich dwóch godzin, myśląc trop na wypadek, gdyby ją śledzono. Wylądowawszy na lotnisku Kennedy'ego, udała się taksówką na LaGuardia, gdzie kupiła bilet na poranny samolot do Bostonu i zameldowała się

w hotelu dworcowym, jedno i drugie pod nazwiskiem Charpentier. Po półgodzinie opuściła motel bocznym wyjściem. Przedtem zapłaciła taksówkarzowi, by po nią podjechał, i zadzwoniła do hotelu na Manhattanie, by sprawdzić, czy o tej Porze są Jeszcze wolne miejsca. Były. Hotel St Regis chętnie gościł

, • panią DePinna, która przyleciała z Tulsy w stanie Oklahoma w nagłej sprawie rodzinnej.

W nocnym sklepie dla podróżnych na lotnisku Schiphol w Amsterdamie Val kupiła torbę na ramię, a następnie wypełniła ją artykułami toaletowymi oraz w miarę stonowanymi ubraniami, jakie znalazła wśród stosów krzykliwych bluzek i sukienek. Była ciągle pełnia lata i trochę odzieży mogło się przydać. Należało także pokazać coś celnikom.

Val wpisała do księgi hotelowej adres na Cherrywood Lane, który pamiętała z dzieciństwa w St Louis. Nazwisko DePinna również pochodziło z tamtych czasów.

Była to sąsiadka z tej samej ulicy, której twarz stała się mglistą plamą, i pozostało tylko wspomnienie ponurej jędry o ciętym języku, która nienawidziła wszystkiego co cudzoziemskie, w tym rodziców Val. "Pani R. DePinna"; Val nie miała pojęcia, skąd przyszła jej do głowy litera R - może oznaczała Rogera, dla równowagi?

Znalazłszy się w pokoju, wysłuchiwała radiowego serwisu informacyjnego, (był to zwyczaj wywodzący się z okresu małżeństwa), po czym rozpakowała ubrania i przybory toaletowe. Rozebrała się, wzięła prysznic, przeparała bieliznę i włożyła zbyt obszerną koszulkę z krótkimi rękawami. To ostatnie było kolejnym przyzwyczajeniem: bawełniane worki, jak je nazywała, zastąpiły koszule nocne i piżamy na werandzie w Cape Ann, choć żadna nie miała na Piersi wschodzącego słońca z napisem: Tot Ziem - Amsterdam!

Oparła się pokusie zatelefonowania do recepcji i zamówienia herbaty; uspokoiłoby ją to, lecz o trzeciej nad ranem zwróciłaby tylko na siebie niepotrzebnie uwagę.

Usiadła na fotelu, patrząc z roztargnieniem przez okno i żałując, że rzuciła palenie. Papierosy pozwoliłyby jej zająć czymś ręce podczas rozmyślań, a musiała się zastanowić. Powinna także odpocząć, ale dopiero po Przemyśleniu całej sytuacji. Rozejrzała się po pokoju i jej oczy spoczęły na Portmonetce, którą położyła na stoliku koło łóżka. Była przynajmniej bogata. Joel nalegał, by zaryzykowała przekroczenie granicy z większą ilością gotówki, niż dozwolone pięć tysięcy dolarów, toteż wsunęła sobie za stanik dodatkowy Zwitek dwudziestu pięćsetdolarówek. Miał rację, nie mogła posługiwać się kartami kredytowymi ani niczym, co nosiło jej nazwisko.

Przeniosła wzrok na dwie książki telefoniczne na półce pod stolikiem, wstała z fotela i podeszła do łóżka. Usiadła na brzegu i wzięła do ręki oba 425

tomy. Jeden nosił tytuł Nowy Jork, biznes, drugi zaś Manhattan, a w jego górnym rogu miał ukośny niebieski pas z napisem "Instytucje państwowe -

niebieskie strony". Od tego należało zacząć. Val odłożyła na półkę spis telefonów firm i zaniósła na biurko książkę poświęconą Manhattanowi. Usiadła, otworzyła ją na niebieskich stronicach i zabrała się do szukania. Departament Lotnictwa... Był to numer kierunkowy osiemset, z adresem przy ville Street w Denver w Kolorado. Nawet jeśli nie jest to właściwy numer, Val zdoła go tam uzyskać. Zapisała go na papierze listowym hotelu St Regis.

Nagle rozległ się komunikat radiowy.

...A teraz najświeższe doniesienia na temat adwokata amerykańskiego Joela Converse'a, bohatera jednej z najtragiczniejszych afer ostatniej dekady. Były pilot marynarki wojennej odznaczony za niezwykłą odwagę podczas wojny w Wietnamie, człowiek, którego dramatyczna ucieczka zyskała ogólnokrajowy rozgłos i którego późniejsze wstrząsające meldunki skłoniły jakoby władze wojskowe w Waszyngtonie do zmiany strategii w Azji Południowo-Wschodniej, wciąż znajduje się na wolności, poszukiwany za serie mordów dokonanych pod wpływem choroby psychicznej. Przypuszcza się, iż Converse przebywa w Paryżu. Nieoficjalne źródła związane z Surete potwierdzają wcześniejsze informacje, iż w biurze, gdzie zamordowano francuskiego adwokata Renę Mattilona, odnaleziono odciski palców Converse'a, co potwierdza domysły władz, że Amerykanin zabił swojego francuskiego przyjaciela z zemsty za współpracę z Interpolem oraz Surete.

W

Paryżu trwają poszukiwania zakrojone na szeroką skalę i wkrótce podamy państwu...

Valerie zerwała się z fotela, nacisnęła wściekle kilka guzików i radio zamilkło.

Stała przez chwilę w bezruchu, drżąc z gniewu i lęku. Czuła także coś, czego nie umiała ani nie chciała zdefiniować. Była rozdarta wewnątrz, a musiała pozostać spokojna.

Położyła się na łóżku i zapatrzyła w sufit, obserwując grę odbitych światła z ulicy w dole, słuchając odgłosów miasta. Żaden z nich nie działał kojąco -

tworzyły szorstką kakofonię, która trzymała w napięciu, uniemożliwiając zaśnięcie. W samolocie nie spała, choć zapadała od czasu do czasu w drzemkę-

przerywaną stale przez mgliste koszmary. Na domiar złego nad północnym Atlantykiem samolot przelatywał przez silną turbulencję. Valerie potrzebowała snu... potrzebowała Joela. Pierwsze było możliwe, drugie nie.

Rozległ się gwałtowny hałas, któremu towarzyszył oślepiający błysk słońca.

Valerie zerwała się z łóżka, odrzucając kołdrę i spuszczając nogi na ziemię.

Dzwonił telefon. Telefon?! Spojrzała na zegarek. Była siódma dwadzieścia pięć, a przez okno świeciło słońce. Znów zadzwieczał dzwonek telefonu, Przebijając mgłę snu, lecz jej nie rozpraszaając. Telefon? Jak to możliwe? D'a 426

Val podniosła słuchawkę, ściskając ją z całych sił, usiłując przyjść do siebie przed odezwaniem się.

- Tak, słucham?

- Pani DePinna? - spytał męski głos.

- Owszem.

-

Mamy nadzieję, że wszystko w porządku?

-

Zawsze budzicie gości o siódmej rano, żeby pytać, czy wszystko w porządku?

-

Bardzo mi przykro, ale niepokoił się o panią. Pani DePinna z Tulsy w Oklahomie, prawda? - Tak.

-

Szukaliśmy pani przez całą noc... od wylądowania samolotu z Amsterdamu o pierwszej trzydziści.

-

Kim pan jest? - spytała skamieniała Val, ściskając słuchawkę.

-

Kimś, kto chce pani pomóc, pani Converse - odparł mężczyzna, nagle odprężony i przyjazny. - Przysporzyła nam pani mnóstwo roboty. Obudziliśmy sto pięćdziesiąt kobiet, które zatrzymały się w hotelach po drugiej w nocy. Pyta liśmy wszystkie o samolot z Amsterdamu, ale tylko pani to nie zdziwiło. Chce my pani pomóc, pani Converse, proszę mi wierzyć. Dążymy do tego samego,

-Kim pan jest?!

-

Można mnie chyba nazwać pracownikiem administracji. Proszę nie opuszczać pokoju. Przyjadę za kwadrans.

Ładny pracownik administracji! - pomyślała z dreszczem Val, odkładając słuchawkę. Urzędnicy państwowi przedstawiali się w prostszy sposób... Musiała uciekać! Co miał na myśli nieznajomy, mówiąc o kwadransie? Czy to pułapka? Czy na dole czekają ludzie chcący sprawdzić, czy Val rzuci się do ucieczki?! Nie miała wyboru!

Popędziła do łazienki, chwyciła torbę leżącą na fotelu i wrzuciła do niej swoje rzeczy. Ubrała się w ciągu kilku sekund, wcisnęła do torby resztę ubrań, porwała z biurka klucz do pokoju i pobiegła do drzwi. Wtem stanęła jak wryta. Boże, papier listowy z numerem Sił Powietrznych! Wróciła pędem do biurka, wzięła arkusz leżący koło otwartej książki telefonicznej i wepchnęła do torebki -

Rozejrzała się dziko po pokoju. Czy coś jeszcze?! Nie! Wyszła z pokoju i Uszyła spieszenie korytarzem w stronę wind.

Winda poruszała się z dręczącą powolnością, zatrzymując się prawie na każdym piętrze. Wsiadali do niej mężczyźni z podkrążonymi oczyma oraz przy -

gaszone, niewyspane kobiety. Kilku pasażerów najwyraźniej się znało, inni Pozdrawiali się roztargnionymi skinieniami głowy, spoglądając na znaczki na klapach marynarek i bluzek. Valerie zorientowała się wreszcie, o co chodzi większość pasażerów miała przypięte do ubrań plastikowe plakietki z nazwiskami, gdyż byli uczestnikami jakiejś konferencji.

Rozsunęły się drzwi i ukazał się zatłoczony korytarz z rzędem wind. Ozdobne foyer po prawej roilo się od ludzi. Słysząc było głośnie powitania, pytania 427

i polecenia. Val zbliżyła się ostrożnie do połączanego łuku wiodącego do przed sionka, by sprawdzić, czy nikt jej nie obserwuje. Na ścianie wisiała duża tablica w złotych ramach z literami z czarnego filcu, która tłumaczyła zamieszanie.

WITAMY AKWIZYTORÓW MICMACU! Poniżej znajdował się program dnia: 7.30-8.30 Śniadanie

8.45-10.00 Konferencje regionalne

10.15-11.00 Sympozjum na temat reklamy

Przerwa poranna. Prosimy rezerwować miejsca na wycieczki po mieście

-

Hej, ślicznotko! - zawołał tęgi mężczyzna z podkrążonymi oczyma sto jący koło Val. - Tak nie można!

-

Słucham?

-

Wszyscy wiedzą, kto jest kto, księżniczko!

Valerie wstrzymała oddech w piersiach. Gapiła się na mężczyznę, gotowa uderzyć go torbą w twarz i popędzić ku szklanym drzwiom.

-

Nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

-

O twoim imieniu, księżniczko! Gdzie twój duch Micmacu? Jak mogę cię zaprosić na śniadanie, skoro nie znam twojego imienia?!

-

Ach... plakietka z nazwiskiem. Przepraszam.

-

Z którego regionu jesteś, ślicznotko?

-

Regionu? - Valerie uśmiechnęła się nagle. - Właściwie to jestem nowa, zatrudniłam się wczoraj. Moja instrukcja jest podobno w recepcji, ale w tym tłoku nigdy się tam nie dopcham. Oczywiście, gdybym miała pańskie bary, mogłabym to zrobić, zanim mnie wyleją.

-

Trzymaj się, księżniczko! Grałem kiedyś w zawodowej drużynie futbolowej! - Potężnie zbudowany akwizytor odznaczał się wielką przebojowością.

Dopchnął się do recepcji i zrobił minę lwa puszącego się przed samicą. -

panie! Ta pani usiłuje zwrócić pańską uwagę! Czy muszę mówić coś jeszcze.

- Uśmiechnął się szeroko do Val, wciągając brzuch.

-

Nie, proszę pana. Czym mogę pani służyć? - spytał zdumiony recepcjonista, który nie był wcale zajęty, gdyż tłok panował jedynie w środku foyer.

Valerie pochyliła się do przodu, jakby chciała być lepiej słyszana. Położyła klucz na kontuarze, otworzyła torebkę i wyjęła trzy banknoty pięćdziesiąt ciodolarowe.

-

To powinno pokryć rachunek za pokój. Spędziłam u was tylko jedną noc i niczego nie zamawiałam. Resztę proszę zatrzymać dla siebie.

-

Dziękuję pani.

-

Mam do pana pewną prośbę.

428

- Zawsze do usług, proszę pani!

- Nazywam się DePinna, ale oczywiście zorientował się pan już po numerze?

- Tak, proszę pani.

- przyjechałam w odwiedziny do przyjaciółki, która przeszła ciężką operację. Czy mógłby mi pan powiedzieć, gdzie jest... Szpital Libański? i - Libański...?

Chyba w Bronksie. Gdzieś przy Grand Concourse. Wie to każdy taksówkarz.

- Nazywam się DePinna.

-

Tak, proszę pani. Dziękuję.

Valerie odwróciła się do tęgiego akwizytora z podkrążonymi oczami i znów się uśmiechnęła.

-

Przykro mi. Zdaje się, że zatrzymałam się w złym hotelu i pracuję dla innego koncernu, wyobraża pan sobie?! A tak chętnie zjadłabym z panem śnia danie... Dziękuję za pomoc.

Odwróciła się i czym prędzej precyzyjnie przycisnęła się przez tłum w stronę obrotowych drzwi.

Ulica budziła się dopiero do życia. Valerie ruszyła szybko chodnikiem i prawie natychmiast zatrzymała się przed niewielką, elegancką księgarnią. Postanowiła zaczekać w drzwiach. Opowieści, których słuchała przez całe życie, mówiły nie tylko o tym, że należy zacierać za sobą ślady, lecz także podkreślały konieczność poznania przeciwnika. Miało to często decydujące znaczenie.

Przed hotelem St Regis zatrzymała się taksówka, której tylne drzwi otworzyły się jeszcze w biegu. Valerie widziała wyraźnie pasażera. Wyciągnął rękę nad przednim siedzeniem i zapłacił za przejazd, nie troszcząc się o resztę. Wyskoczył szybko z auta i pobiegł w stronę szklanych drzwi. Był bez nakrycia głowy i miał

rozczochrane, jasne włosy, wzorzystą marynarkę oraz jasnoniebieskie letnie dzinsy. Valerie wiedziała, że to wróg, i przyjmowała to do wiadomości, lecz zdziwiła ją jego młodość. Wyglądał na dwadzieścia kilka lat i był nieledwie wyrostkiem. Ale na jego zaciętej twarzy malował się gniew, a w chłodnych oczach migały stalowe błyski. Wie ein Hitlerjunge, pomyślała, wychodząc z drzwi księgarni.

Przemknął koło niej samochód, który pędził w stronę hotelu. Po chwili rozległ się pisk opon, a Valerie obejrzała się za siebie niczym zaniepokojony Przechodzień, spodziewając się usłyszeć trzask zderzenia. Nagle ogarnęła ją histeria. Piętnaście metrów dalej zatrzymało się zielone auto, na którego drzwiach i bagażniku znajdowały się wyraźne czarne napisy US Army. Wysiadł z niego prędko oficer w mundurze. Wpatrywał się w Val. Rzuciła się do ucieczki.

Converse siedział tuż koło przejścia między ławkami w środku wagonu. PrzeWraciał spoconymi rękoma stronice niewielkiego czarnego modlitewnika 429

włożonego do koperty wraz z paszportem, listem opisującym pielgrzymkę oraz instrukcjami wystukanymi na maszynie, które zawierały także podstawowe dane biograficzne na temat ojca Williama Wilcrista. Na dole strony znajdowało się ostatnie polecenie: "Nauczyć się na pamięć, podrzeć i wyrzucić do toale ty przed odprawą paszportową w Oldenzaal".

Instrukcje okazały się niepotrzebne, wręcz mylące. Joel musiał po prostu wysiąść w Osnabruck, a przedtem, dwadzieścia minut po odjeździe ze stacji o nazwie Rheine, wstać z ławki i przejść przez pociąg, pozostawiając walizkę na półce, jakby zamierzał wrócić na swoje miejsce. Szczegóły rzekomej przesiadki w Hanowerze do pociągu do Celle i porannej podróży do Bergen-Bel sen można było zawrzeć w jednym zdaniu, lecz tekst poświęcał im kilka skomplikowanych paragrafów omawiających motywy i dawne sukcesy. Nie miały one żadnego znaczenia.

Jednakże związane dane o ojcu Williamie Wilcristie okazały się ważne i Joel nauczył się ich na pamięć, czytając instrukcję po raz drugi.

Trzydziestoosmioletni Wilcrist, absolwent Uniwersytetu Fordham, ukończył studia teologiczne na Uniwersytecie Katolickim w Waszyngtonie i przyjął święcenia w kościele Świętego Ignacego w Nowym Jorku. Należał do "księży aktywistów" i pracował obecnie w kościele Świętego Sakramentu w Los Angeles. Valerie miała rację - gdyby Joela pytano o coś więcej, oznaczałoby to zapewne, że został

schwyty.

Praktycznie rzecz biorąc, już zostałem schwyty, pomyślał Joel, spoglądając na kark mężczyzny w przedniej części wagonu. To właśnie on dołączył do swojego towarzysza koło betonowego słupa na peronie w Amsterdamie. Nie ulega wątpliwości, że ten pierwszy gapi się z kolei na moją szyję,

dumał Converse, przewracając następną stronę modlitewnika. Nie miał na pozór żadnych szans, lecz liczył na pewne ukryte atuty, które posiadał. Wiedział, kim są jego kaci, a oni nie zdawali sobie sprawy, że o tym wie. Innym atutem było to, że znalazł się w rozpaczliwej sytuacji. Czerpał już z tego siły w przeszłości.

Pociąg podążał na północ, a potem skręcił na wschód. Do Oldenzaal zostały zaledwie dwie stacje; później pociąg miał przejechać Ren i znaleźć się w Niemczech Zachodnich. Zatrzymał się w Deventer. Ostatni przystanek przed granicą nosił nazwę Hengelo. Obwieszczono to przez głośniki, a Joel wstał

z ławki przed pasażerami wysiadającymi w Hengelo. Zawrócił i podążył ku tylnej części wagonu. Mijając mężczyznę, który na peronie czytał rozkład jazdy, zauważył, że Akwitańczyk patrzy prosto przed siebie z takim napięciem, że prawie nie porusza się w rytm drgań pociągu. Converse często widywał takie reakcje podczas rozpraw sądowych albo rokowań; zachowywali się tak nie pewni świadkowie lub negocjatorzy. Ten człowiek mógł obawiać się ludzi, którzy wysłali go do Amsterdamu, a może lękał się, że nie wykona zadania?

Tak czy inaczej okazywał strach i Joel miał szansę to wykorzystać.

Wyczołgiwał się z głębokiego dołu w ziemi. Czepiał się stopni wrytych przez kilka nocy w śliskiej glinie. W dali widać było ogrodzenie z drutu 430

kolczastego. Lał deszcz, a strażnicy byli zaniepokojeni - bali się każdego dźwięku, którego nie potrafili natychmiast rozpoznać. Joelowi zależało tylko na jednym: Na dotarciu do ogrodzenia. Teraz Musiał dotrzeć do Osnabruck... sam.

Ubikacja była wolna; otworzył drzwi, wszedł do środka i wyjął kartkę z instrukcją. Złożył ją, podarł na drobne kawałki i wrzucił do miski klozetowej naciskając pedał spłuczki. Papiery zniknęły w strumieniu wody, a Joel zwrócił

się w stronę drzwi i czekał.

Ma zewnątrz odezwały się ponownie głośniki, a pociąg zaczął zwalniać. Na korytarzu rozległy się kroki podróżnych szykujących się do wyjścia. Pociąg zatrzymał się, a Joel słyszał głosy wysiadających, którzy wracali z pracy do domu, marząc o kolacji, prysznicu oraz jakimś holenderskim odpowiednikiem martini.

Tupot ucichł i zapanował spokój. Converse uchylił drzwi o centymetr.

Zesztywniały Akwitańczyk zniknął ze swego miejsca. Teraz!

Joel wyslizgnął się z toalety i przeszedł do sąsiedniego wagonu, przeciskając się przez grupkę ostatnich wysiadających pasażerów. Ruszył prędko między ławkami; kiedy dotarł do ostatnich

rzędów, zauważył wolne miejsce zwrócone w stronę peronu i usiadł koło okna, zasłaniając twarz ręką i zerkając spomiędzy palców.

Zdenerwowany Akwitańczyk biegał tam i z powrotem po peronie; posunął się nawet do tego, że zatrzymał trzech podróżnych odwróconych doń plecami. Przeprosił ich szybko i wszedł z powrotem do pociągu. Grymas na jego twarzy świadczył o głębokim niepokojem.

Potrzebuję czegoś jeszcze, pomyślał Converse. Chcę, żebyście się rozdzielili, podobnie jak wasi poprzednicy, aż straciecie się z oczu!

Pociąg zatrzymał się w Oldenzaal, ruszył w dalszą drogę i przejechał z turkotem most na Renie. Akwitańczyk rozsunął gwałtownie przednie drzwi, rozejrzał się w panice po wagonie i wrócił do swojego towarzysza, a może do walizki pozostawionej przez Joela. Converse schował tymczasem głowę za oparciem ławki.

Po kilku minutach rozległ się ciężki tupot butów patrolu Son-derpolizei, który maszerował po pociągu i sprawdzał dokumenty. Oczywiście Policjanci zachowywali się uprzejmie, lecz mimo to budzili niezbyt przyjemne skojarzenia. Converse pokazał paszport i list napisany po niemiecku, by poruszyć sumienia Niemców.

Policjant zrobił smutną minę, skinął głową i podszedł do następnego pasażera.

Funkcjonariusze opuścili wreszcie wagon, a minuty stały się kwadransami. Joel widział przez drzwi dwóch Akwitańczyków, którzy spotkali się kilka ławek za miejscem, gdzie poprzednio siedział. Znowu się rozdzielili, jeden poszedł do przodu, drugi do tyłu. Teraz! . Wstał z ławki i stanął w przejściu, sprawdzając rozkład jazdy i wyglądając Przez okno. Były to ruchy bezcelowe, lecz zamierzał

je wykonywać tak długo, dopóki nie spostrzeże go jeden z Akwitańczyków. Zajęło to niespełna piętnaście sekund. Kiedy Converse poruszył głowę, rzekomo spoglądając na znak koleJoWy przelatujący za oknem, zauważył kątem oka czyjaś postać w górnej

431

części drzwi. Wyprostował się. Mężczyzna za drzwiami zniknął czym prędzej z pola widzenia. Joel tylko na to czekał. Mógł już działać.

Odwrócił się, podążył do tyłu, rozsunął drzwi i przeszedł przez mroczny rozdygotany korytarzyk do sąsiedniego wagonu. Ruszył prędko między ławkami i cofnął się do następnego wagonu. W kolejnym ciemnym przejściu obejrzał się przez ramię i zobaczył to, co spodziewał się zobaczyć, co chciał zobaczyć. Akwitańczyk kroczył za nim. Strażnik schodził z posterunku. Jeszcze kilka sekund i Joel doczołga się do ogrodzenia z drutu kolczastego

Popędził przez trzeci wagon, zdając sobie sprawę, że zwraca uwagę Pasażerów, zdziwionych

widokiem biegnącego księdza. Większość obejrzała się za siebie, by sprawdzić, czy coś się wydarzyło, i zorientowawszy się, że nic się nie dzieje, zaczęła kręcić w zdumieniu głowami. Joel dotarł do drzwi, rozsunął je, wszedł do mrocznego korytarzyka i nagle stanął jak wryty. Na wprost niego, zamiast wejścia do kolejnego wagonu, znajdowały się solidne drewniane drzwi z napisem FRACHT nad dużą stalową klamką. Po chwili znów odezwały się głośniki:

-

Bad Bentheim! Nachste Station, Bdd Bentheim!

Pociąg zwalniał. Zbliżała się pierwsza z dwóch ostatnich stacji przed Osnabriick. Joel posunął się do przodu, stanął w najciemniejszym kącie korytarza i zerknął przez szybę za plecami, pewien, że nie zauważy go mężczyzna mający przed sobą gładką taflę odbijającą światło. To, co zobaczył, wstrząsnęło nim -

nie dlatego, że w wagonie coś się działo, lecz dlatego, że nic się nie działo.

Akwitańczyk nie podszedł do drzwi, usiadł spokojnie na ławce niczym człowiek, który znalazł wygodniejsze miejsce. Pociąg zatrzymał się na stacji, a wysiadający pasażerowie jęli zbierać się przy wyjściu po przeciwnej stronie wagonu.

Nad ostatnimi drzwiami znajdowała się tablica informacyjna, ale Joel nie potrafił jej odczytać i przeszedł nieopatrznie przez próg. Spojrzał na drzwi wyjściowe - były pozbawione klamek. Niezrozumiały napis głosił niewątpliwie, że nie ma tędy wyjścia. Joel znalazł się wcześniej w pułapce, lecz teraz tkwił w stalowej klatce, która znów zaczęła się poruszać, gdy pociąg przyśpieszał biegu. W pędzącym więzieniu, z którego nie ma ucieczki. Sięgnął do kieszeni koszuli i wyjął papierosy. Dotarł tak blisko drutu kolczastego; musiał się zastanowić Zgrzytnięcie! Klucz? Nie, zasuw! Ciężkie drewniane drzwi z napisem FRACHT

uchyliły się i ukazał się tęgi mężczyzna poprzedzany przez brzuch-

-

Eine Zigarette für Sie, während ich zum Pinkeln gehe! - rzekł ze śmiechem konduktor i ruszył krótkim, ciemnym korytarzykiem ku drzwiom wagonu. - Dann ein Whisky, ja?

Niemiec szedł się czegoś napić i chociaż usiłował zatrzasnąć drzwi swojego królestwa, nie zamknął ich całkowicie. Nic go nie niepokoiło, nie przechowywał

niczego wartościowego. Joel pchnął ciężkie drewniane drzwi i wszedł do środka, wiedząc, co niebawem nastąpi; stało się to nieuniknione w chwili, kiedy konduktor minął Akwitańczyka, idąc na ein Whisky.

W wagonie stało kilka zamkniętych skrzyń i około dziesięciu klatek ze zwierzętami - głównie psami i kotami. Psy warczały i szcekały chrapliwie, koty prychały w rogach klatek, wystawiając pazury. Jedyne źródłem światła była naga żarówka kołysząca się na grubym kablu na suficie dużego drucianego boksu na końcu wagonu. Converse schował się za skrzynią koło drzwi.

Podciągnął kostium księdza i wyciągnął pistolet z dziurkowanym tłumikiem.

Drzwi uchylły się milimetr za milimetrem i pojawiła się dłoń trzymająca rewolwer. Wreszcie ukazał się mężczyzna, żołdak Akwitanii.

Joel nacisnął dwukrotnie spust, nie chcąc ryzykować niecelnego strzału.

Ręka uderzyła o krawędź uchylonych drzwi, morderca wypuścił z dłoni broń, z jego nadgarstka trysnęła krew. Converse wyskoczył zza skrzyni.

Zwiadowca zginął i Joel miał przed sobą tylko ogrodzenie z drutu kolczastego!

Mógł się przez nie przeczołgać! Stłukł kamieniem okno koszar! Serie karmy maszynowej trafiły w niewłaściwe miejsce! Za kilka sekund będzie wolny!

Przygniótł mężczyznę do podłogi, wbijając kolano w jego pierś i chwytając go za gardło - wystarczyłby jeden silny ucisk i Akwitańczyk byłby martwy. Przyłożył

lufę pistoletu do jego skroni.

-

Znasz angielski?

-

Ja! - wycharczał Niemiec. - Ich spreche englisch!

-Co?!

-Znam... angielski!

-

Jaki dostałeś rozkaz?

-

Miałem pana śledzić! Tylko śledzić! Niech pan nie strzela! Jestem An -

gestellte! Nic nie wiem!

-Jaki jesteś?!

-Wynajęto mnie!

-

Akwitania!

-

Was...

Mężczyzna nie kłamał; był zbyt przerażony. Converse uniósł pistolet i wsadził dziurkowany tłumik głęboko w lewe oko Niemca.

-

Mów, co miałeś zrobić! Natychmiast! Zorientuję się, czy mówisz prawdę! Jeśli mnie okłamiesz, twój mózg zaleje ścianę! Mów!

- Miałem pana śledzić!

-I co dalej?

- Gdyby wysiadł pan z pociągu, powinniśmy zatelefonować na policję. Na jakiegokolwiek stacji. Później... później mieliśmy pana zastrzelić, nim ktoś zdążyłby przyjechać. Ale ja bym tego nie zrobił! Przysięgam na rany Chrystusa!

Nie zrobiłbym tego! Jestem dobrym chrześcijaninem! Kocham nawet Żydów! Jestem bezrobotny, mein Herr!

Joel uderzył Niemca kolbą w czaszkę. Strażnik został wyeliminowany!

Można teraz przejść przez ogrodzenie! Wciągnął mężczyznę za skrzynię i czekał.

Trudno

było określić, jak długo, gdyż serce biło mu tak szybko, że nie zastanawiał się 433

nad upływem czasu. Do bagażówki wrócił kolejarz, bardziej pijany niż trzeźwy i usiadł spokojnie za biurkiem w drucianym boksie z nagą żarówką.

W innych klatkach nie panował spokój. Zwierzęta nie były w stanie znieść zapachu ludzkiej krwi i potu; zaczęły wpadać w szał, a lęk powiększał tylko ich złość.

Po kilku minutach wagon bagażowy z napisem FRACHT upodobił

się do domu wariatów. Psy, doprowadzone do wściekłości, wyły, szczekały i rzucały się na kraty, a koty, sprowokowane przez psy, prychały i syczały z wyprężonymi grzbietami i nastroszoną sierścią. Zaniepokojony kolejarz siedział

kamieniem w fotelu w swoim sanktuarium, popijając whisky z butelki. Spoglądał

rozszerzonymi, spuchniętymi oczyma na klatki; dwukrotnie zerknął na osłoniętą szkłem dźwignię na ścianie kilkanaście centymetrów nad biurkiem tuż nad swoją ręką. Wystarczyłoby, by zdjął osłonę i pociągnął dźwignię.

- Rheine! Nchste Station, Rheine!

Ostatnia stacja przed Osnabriick. Akwitańczyk przyjdzie niebawem do siebie i jeśli Joel spuści go z oczu, zacznie natychmiast wrzeszczeć, po czym strażnik pociągnie hamulec bezpieczeństwa. Kilka wagonów dalej znajduje się drugi mężczyzna, którego wynajęto, by śledził Joela i zabił go. Nie wolno pozostawać dłużej w tym samym miejscu. Trzeba natychmiast wysiąść.

Pociąg zatrzymał się, a Converse rzucił się w stronę drzwi. Nagły ruch spowodował, że zdezorientowane zwierzęta zaczęły ujadać jeszcze głośniej. Joel odsunął zasuwę, otworzył ciężkie drzwi i wbiegł do wagonu. Popędził między ławkami i przepchnął się przez tłumek pasażerów, chcąc wysiąść, nim nieprzytomny mężczyzna zostanie odnaleziony, nim kolejarz pociągnie za dźwignię, nim zacznie się alarm. Dotarł do wyjścia, zeskoczył ze stopnia na peron, rozejrzał się i pobiegł ku mrocznej stacji. Musiał biec jeszcze przez pewien czas.

Był wolny. Żył. Ale dzieliło go wiele kilometrów od starej kobiety czekającej na księdza.

Rozdział 31

Biegająca Valerie bała się patrzeć za siebie, ale nie straciła zimnej krwi.

Zerknęła do tyłu i zobaczyła, że oficer sprzecza się z szoferem wojskowe go auta. Po kilku sekundach, dotarłszy do rogu Madison Avenue, znów spoj rzała przez ramię, starając się nie wpadać w panikę. Oficer pędził za nią, z każdym krokiem zmniejszając dzielący ich dystans. Przebiegł przez ulicę na czerwonym świetle, aż rozległo się kilka gniewnych klaksonów. . •

Przy krawężniku zatrzymała się taksówka jadąca na północ. Siedział w niej siwowłosy mężczyzna, który grzebał apatycznie w portfelu, zmęczony korkiem. Val wbiegła między auta i popędziła do drzwi taksówki; otworzyła drzwi i wsiadła do środka, gdy zdumiony pasażer odbierał resztę.

- zwariowała pani?! - wrzasnął Murzyn siedzący za kierownicą. - Nie wolno wsiadać od ulicy! Przejechałby panią autobus!

- przepraszam! - zawołała Val, nie mogąc nad sobą zapanować i schylając się na siedzeniu. - Goni mnie mąż, który chce mnie zbić! Nie pozwolę na to po raz

drugi! Bardzo mnie boli! To... to wojskowy!... to...

siwowłosy mężczyzna wyskoczył z taksówki niczym młoda kózka i zatrzasnął

drzwiczki. Taksówkarz obrócił głowę i spojrzał na Val, a na jego wielkiej czarnej twarzy malowała się podejrziwość i ciekawość.

- Nie buja pani?

- Wczoraj wieczorem tak mnie skatował, że całe rano rzygałam.

- Wojskowy? Oficer?

-

Tak! Czy mógłby pan stąd odjechać? - Val schyliła się jeszcze niżej. -

jest już na rogu. Przejdzie przez ulicę i zauważy mnie!

-Niech się pani nie boi! - oświadczył kierowca, spokojnie unosząc rękę nad siedzeniem i blokując zamki tylnych drzwi. - O, racja! Biegnie jak wariat!

Proszę, ile baretek! Gówno prawda, że taki bohater. Chudzielec z niego, co?

Prawdziwi dranie są chudzi jak szczapa. Kompensacja, tak to nazywają psychiatrzy, wie pani.

-Niech pan jedzie!

-

Prawo mówi wyraźnie, że każdy taksówkarz ma obowiązek bronić pasażera przed napadem... A ja służyłem kiedyś w piechocie i cholernie długo czekałem na taką okazję. Przecież nie wyprze się pani tego, co powiedziała.

Kierowca wysiadł z taksówki; okazał się rzeczywiście bardzo wielki. Val obserwowała z przerażeniem i zdumieniem, jak Murzyn okrążył auto, staje na chodniku i woła:

-

Hej, kapitanie, tutaj! Szuka pan ładnej kobiety?! Może swojej żony?!

-

Co takiego?!

Wojskowy biegł chodnikiem w stronę Murzyna.

-

Cóż, panie kapitanie, chyba panu nie zaszaluję, bo trzymam mundur na strychu. Ale chcę, żeby pan wiedział, że zadanie bojowe zostało wykonane!

Czy zechciałby się pan zatrzymać koło mojego jeepa?

Oficer pobiegł w stronę taksówki, ale kierowca chwycił go za ubranie i obrócił

ku sobie. Uderzył go pięścią w brzuch, kopnął kolanem w podbrzusze i zakończył

zadanie bojowe ciosem olbrzymiej pięści w usta. Val krzyknęła cicho; kapitan runął na chodnik z twarzą zalaną krwią. Taksówkarz pobiegł z powrotem do auta, wsiadł, zamknął drzwi, zmienił bieg i włączył się w potoki aut.

-

O rety! - zawołał teatralnie. - To było naprawdę wspaniałe. Dokąd jeziemy, proszę pani? Licznik bije.

-Nie... nie jestem pewna.

- Zaczniemy od początku. Gdzie panią zawieźć?

- Szukam telefonu... Dlaczego pan to zrobił?

- To moja prywatna sprawa.

- Zwariował pan! Mógł pan trafić do więzienia!

-

Za co? Za to, że broniłem pasażerki przed napadem? Ten drań biegł w stronę mojej taksówki z groźną miną, a wokół nie było żadnych glin.

-

Podejrzewam, że był pan w Wietnamie - odezwała się Val po chwili milczenia, spoglądając na wielką głowę porośniętą czarnymi włosami. '

-

O tak, spotkał mnie ten zaszczyt. Piękne krajobrazy.

-

Co pan sądzi o generale Delavane? George'u Marcusie Delavane?

Taksówkarz skręcił gwałtownie, wcisnął olbrzymią stopą pedał hamulca i zatrzymał auto z piskiem opon, aż Val wpadła na przednie siedzenie. Spojrzał

na nią wzrokiem pełnym wściekłości, wstrętu i głęboko ukrytego lęku, który widywała tak często w oczach Joela. Po chwili przełknął ślinę, a jego przenikliwe spojrzenie straciło nieco na intensywności, jakby strach wziął górę. Odwrócił się z powrotem w stronę kierowicy.

-

Nie myślałem wiele o generale - odparł. - Dokąd jedziemy?

-

Nie wiem... Muszę znaleźć budkę telefoniczną. Zaczeka pan na mnie?

-

Ma pani pieniądze? A może wszystkie zabrał kapitan? Mój altruizm ma swoje granice, paniusiu. Nie zarobię na życie dobrymi uczynkami.

-

Mam pieniądze. Dobrze panu zapłacę.

-

Niech pani pokaże jakiś banknot.

Valerie sięgnęła do torebki i wyjęła studolarówkę.

-

Wystarczy? - spytała.

-

W porządku, ale proszę nie robić tego w pośpiechu w byle jakiej tak sówce, bo inaczej skończy pani na dnie rzeki.

-

Nie wierzę.

-

O rany! Tacy jak pani nawet nie wiedzą, co tu jest grane, ale my tak. Wy widzicie tylko obrazki z boku, kapuje pani? Parę gwałtów w eleganckich wil lach (niektóre można by zresztą zakwestionować), kilka skoków na srebra i bi żuterię, ale, do licha, są przecież ubezpieczone! Tam, skąd pochodzę, trzeba cały czas trzymać pistolet pod poduszką i niech Bóg ma w swojej opiece skur wysyna, który spróbuje mi go odebrać!

-

Muszę zatelefonować.

-

Pani płaci.

Zatrzymali się przy budce telefonicznej na rogu Madison i Siedemdziesiątej Ósmej. Valerie wysiadła, otworzyła torebkę i wyjęła arkusz papieru listowego hotelu St Regis z telefonem Sił Powietrznych. Wrzuciła monetę i wy kręciła numer.

-

Siły Powietrzne, Główna Komenda Uzuppełnień, Denver - rozległ się głos telefonistki.

-

Czy mogłaby mi pani pomóc? - spytała Valerie, rozglądając się po ulicy.

szukając wzrokiem zielonego auta z napisami US Army na drzwiach. - Usiłuję odszukać oficera, krewnego...

-

Chwileczkę, już łączę.

-

Departament Kadr, Denver - odezwał się drugi głos, tym razem męski.

- Sierżant Porter.

436

-

Usiłuję odszukać pewnego oficera, sierżancie - powtórzyła Valerie. -

Krewnego,

który zawiadomił moją ciotkę, że chciałby się ze mną skontaktować.

- w jakiej jednostce w stanie Kolorado służy?

- Nie jestem pewna.

- W Springs? W Akademii? Na poligonie Lowrey? A może to góra Chevenne?

- Nie wiem, czy służy w Kolorado, sierżancie.

-

Czemu wobec tego zatelefonowała pani do Denver?

-

Znalazłam wasz numer w książce.

-

Rozumiem. - Wojskowy umilkł na chwilę i spytał: - Pani krewny zostawił wiadomość, że chciałby się z panią skontaktować?

- Tak.

- Ale nie podał adresu ani telefonu?

-

Jeśli to zrobił, moja ciotka zgubiła go. To staruszka.

-Obowiązuje następująca procedura. Powinna pani złożyć podanie w Szefostwie Kadr w Bazie Sił Powietrznych w Randolph w San Antonio w Teksasie, podając nazwisko oraz stopień poszukiwanego oficera, po czym otrzyma pani odpowiedź drogą służbową - wyrecytował wojskowy.

-Nie mam czasu, sierzancie! Wiele podróżuję... Nawiasem mówiąc, dzwonię z lotniska.

-

Przykro mi, takie są przepisy.

-

Mój kuzyn to generał i naprawdę chce ze mną porozmawiać! Chcę się po prostu dowiedzieć, gdzie stacjonuje, a jeśli to tajemnica wojskowa, proszę do niego zadzwonić i podać mu moje nazwisko! Zatelefonuję do pana za chwilę i podam numer, pod którym można mnie złapać! To chyba rozsądne, prawda, sierzancie? Szczerze mówiąc, sprawa jest bardzo pilna.

-

Generał, proszę pani?

-

Tak, sierzancie Potter. Generał Abbott.

-

Sam Abbott?! To znaczy generał brygady Samuel Abbott?

-

Właśnie o niego chodzi, sierzancie Potter.

-

Porter, proszę pani.

-

Zapamiętam to sobie.

-

No cóż, jeśli powiem pani, gdzie służy, nie zdradzę chyba żadnej tajem -

nicy wojskowej. Miejsce stacjonowania generała Abbotta jest powszechnie znane. To popularna postać i często piszą o nim w gazetach.

-

Gdzie służy, sierzancie? Osobiście poinformuję go, że okazał się pan bardzo pomocny.

-W Bazie Sił Powietrznych w Nellis w Nevadzie, na przedmieściach Las Vegas.

Dowodzi dywizjonem taktyczno-manewrowym. Wszyscy dowódcy przechodzą tam ostateczne szkolenie. Jest człowiekiem... Przepraszam, Jak się pani nazywa? .

- Wielki Boże! Wzywają pasażerów mojego samolotu! Dziękuję panu, Sierzancie!

437

Valerie odłożyła słuchawkę, nadal obserwując ulicę i zastanawiając się czy zatelefonować do Sama natychmiast, czy czekać. Nagle zdała sobie sprawę, że nie może dzwonić, bo musiałaby się posłużyć kartą kredytową, a wówczas rozmowa zostałaby zanotowana. Val wyszła z budki i wsiadła z powrotem do taksówki.

-

Musimy się stąd wynosić, proszę pani, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu - odezwał się zaniepokojonym tonem kierowca.

-

Co się stało?

-

Mam w wozie podsłuch radia policyjnego na wypadek jakichś kłopotów w sąsiedztwie i coś przed chwilą mówili. Na rogu Pięćdziesiątej Piątej i Madison pobito wojskowego, kapitana. Dokonał tego Murzyn, kierowca taksówki która odjechała na północ. Na moje szczęście te gady nie znają numeru rejestracyjnego ani nazwy firmy taksówkowej, ale podali całkiem niezły rysopis'

"Wielki czarny skurwysyn z pięściami jak bochny".

-

Jedźmy - powiedziała Val. - Mierzi mnie to, ale nie chcę mieć do czy nienia z policją. - Taksówka śmignęła do przodu, a kierowca skręcił na wschód w Osiemdziesiątą Ósmą. - Czy... czy mój mąż złożył oskarżenie?

-

Nie, mam fart. Musiał panią cholernie stłuc. Po prostu uciekł i niczego nie powiedział, niechaj go Bóg błogosławi. Dokąd jedziemy?

-

Proszę pozwolić mi pomyśleć.

-

Pani płaci.

Val musiała się dostać do Las Vegas, ale przerażała ją myśl o powrocie na lotnisko Kennedy'ego albo LaGuardię. Było to zbyt logiczne, zbyt przewidywalne.

Nagle przypomniała sobie. Pięć czy sześć lat temu spędzała z Joelem weekend u przyjaciół w Short Hills w New Jersey, gdy nagle zatelefonował Nathan Simon i kazał Joelowi polecieć w niedzielę do Los Angeles na konferencję w poniedziałek rano. Potrzebne mu dokumenty przesłano do hotelu Beverly Hills ekspresem lotniczym. Joel złapał samolot na lotnisku Newark.

-

Nie zawiózłby mnie pan do Newark?

-

Mogę jechać nawet na Alaskę, ale do Newark?

-

Na lotnisko.

-

To już lepiej. To niezłe lotnisko. Zdaje się, że samo Newark też jest w porządku. Mam tam brata i, do licha, jeszcze żyje. Skręcę przy Sześćdziesiątej Szóstej i pojedę tunelem Lincolna. Nie ma pani nic przeciwko temu, żebym włączył podsłuch?

-

Nie, skądże.

Głosy pojawiały się i znikaly, aż taksówkarz nacisnął guzik i rozległy się wyraźne słowa: "Incydent na rogu Pięćdziesiątej Piątej i Madison jest zamknięty-Komisariat Dziesiąty odwołał pościg, bo ofiara odmówiła współpracy i nie wylegitymowała się. Naprzód, chłopcy! Pomagamy tylko tym, co sami chcą sobie pomóc. Naprzód, bracia!"

-

O, to brat! - zawołał z ulgą taksówkarz, wyłączając radio. - "Incydent jest zamknięty", słyszała pani? Mogliby tak powiedzieć w Wietnamie podczas 438

któreś z tych idiotycznych konferencji prasowych o tysiącach poległych żołnierzy... Skoro już o tym mowa, ten gliniarz pewnie tam był, nie z prasą, ale jako jeden z żołnierzy. Nigdy nie udawało im się policzyć zabitych. Valerie pochyliła się do przodu na siedzeniu.

- Pytałam pana o Wietnam, o generała Delavane'a. Czy mógłby mi pan coś o nim powiedzieć?

Murzyn odpowiedział dopiero po minucie, miękkim, wręcz miodowym głosem, choć gdzieś w głębi kryło się poczucie haniebnej klęski:

-

Ma pani przed oczyma moją legitymację. Wiozę panią na lotnisko Newark. Płaci mi pani za to, więc to robię.

Reszta podróży upłynęła w milczeniu, a w taksówce czuło się przytłaczającą atmosferę strachu. Po tylu latach! -pomyślała Val. O Boże!

Włączyli się w potoki aut w tunelu i na rondzie. Zaczynał się weekend i mieszkańcy miasta zmierzali w stronę plaż Jersey. W okolicy lotniska pojawiły się kłopoty. Utknęli w korku. W końcu wjechali na parking i Valerie wysiadła.

Zapłaciła taksówkarzowi sto dolarów ponad stan licznika i podziękowała mu.

-

Bardzo mi pan pomógł, wie pan o tym. Przemyślę to wszystko.

-

To mój obowiązek, już pani mówiłem. Miałem swoje powody.

-

Szkoda, że nie mogę powiedzieć czegoś, co by pomogło.

-Niech pani nie próbuje. Wystarczą zielone.

-

Nie, nie wystarczą.

-

Muszą, póki nie nadejdzie coś lepszego, ale to już nie za mojego życia.

Proszę na siebie uważać. Zdaje mi się, że ma pani poważniejsze kłopoty niż więk szość ludzi. Powiedziała pani za wiele, ale ja oczywiście niczego nie pamiętam.

Valerie odwróciła się i weszła do hali dworcowej. Przed kasami widać było przerażające kolejki i Val musiała się dowiedzieć, gdzie stanąć. Po dwudziestu minutach ustawiła się przed właściwą kasą, a po kolejnej godzinie kupiła bilet na samolot American Airlines do Las Vegas o dwunastej trzydzieści pięć.

Pozostała godzina czekania. Przyszła pora, by sprawdzić, czy to wszystko ma jakikolwiek sens. Czy ma sens kontakt z Samem Abbottem, czy też Valerie czepia się rozpaczliwie dawnej znajomości z człowiekiem, który całkowicie się zmienił.

Wymieniła dwadzieścia dolarów na dwa rulony dwudziestopięciocentówek. Miała nadzieję, że to wystarczy. Pojechała schodami ruchomymi na pierwsze piętro i poszła do telefonu na końcu szerokiego korytarza Za centrum handlowym. Biuro numerów stanu Nevada podało jej telefon centrali Bazy Sił Powietrznych w Nellis.

Val wykręciła numer i poprosiła o połączenie z generałem brygady Samuelem Abbottem.

-

Nie wiem, czy jest jeszcze w bazie - odpowiedziała telefonistka w centrali.

-

Ach, tak?

Valerie zapomniała o trzygodzinnej różnicy czasu.

- Chwileczkę, jest. Ma dziś loty poranne.

-

Sekretariat generała Abbotta, słucham?

439

-

Czy mogłabym rozmawiać z generałem? Nazywam się Parquette, Virginia Parquette.

-

Czy wolno mi spytać, w jakiej sprawie? - spytała sekretarka. - pan generał jest bardzo zajęty i za chwilę udaje się na pas startowy.

-

Jestem krewną, której nie widział od wielu lat. W rodzinie zdarzył się tragiczny wypadek.

-

Och, strasznie mi przykro.

-

Proszę mu przekazać, że czekam na linii. Może nie pamiętać mojego nazwiska, minęło tyle lat. Proszę mu przypomnieć, że w dawnych czasach zjedliśmy kilka wspaniałych kolacji w Nowym Jorku. Sprawa jest naprawdę bardzo pilna. Wolałabym, żeby zamiast mnie telefonował ktoś inny, ale, nie stety, mnie wybrano.

-Tak... tak, oczywiście.

Oczekiwanie wydawało się Valerie ostatnim kręgiem piekła. W końcu rozległo się pstryknięcie i odezwał się znajomy głos:

-

Virginia... Parquette?

-Tak.

-

Ginny z Nowego Jorku? Kolacja w Nowym Jorku?

-Tak.

-

Jesteś żoną, nie siostrą.

-Tak!

-

Podaj mi swój numer. Zadzwoń za dziesięć minut.

-

To automat telefoniczny.

-

Stój przy nim. Podaj mi numer.

Valerie podyktowała go i odłożyła słuchawkę, zastanawiając się z lękiem, co zrobiła, choć zdawała sobie sprawę, że nie ma wyboru. Usiadła na plastikowym krzeselku koło telefonu, obserwując ruchome schody, spoglądając na ludzi wchodzących i wychodzących z najrozmaitszych sklepów, z restauracji, z baru szybkiej obsługi. Usiłowała nie patrzeć na zegarek; minęło dwadzieścia minut.

Rozległ się dzwonek telefonu.

-

Tak, słucham?

-

Valerie...

-

Tak!

-

Chciałem wyjść z biura, bo nie mam tam ani chwili spokoju. Gdzie jesteś? Wiem, że to numer kierunkowy New Jersey.

-

Na lotnisku Newark. Mam bilet na samolot do Las Vegas o dwunastej trzydzieści. Muszę się z tobą zobaczyć.

-

Usiłowałem się do ciebie dodzwonić. Sekretarka Talbota podała mi twój telefon...

-

Kiedy?!

-

Dwa dni temu. Byłem na ćwiczeniach na pustyni Mohave i nie chciało mi się włączać radia, a nie

mieliśmy gazet. Słuchawkę podniósł mężczyzna, ale rozłączyłem się, gdy powiedział, że cię nie ma.

440

- Rozmawiałeś z Rogerem, ojcem Joela. Nie żyje.

- Wiem. Twierdzą, że to prawdopodobnie samobójstwo.

- Nie!... Widziałam się z nim, Sam. Widziałam się z Joelem! To stek kłamstw.

- Właśnie o tym musimy porozmawiać - stwierdził generał. - Zadzwoń do mnie, jak przylecisz. Przedstaw się tak samo. Nie chcę wychodzić po ciebie na lotnisko, bo zna mnie tu zbyt wielu ludzi. Znajdę jakieś miejsce, gdzie możemy się spotkać.

-

Dzięki, Sam! - odparła Valerie. - Tylko ty nam zostałeś.

-Nam?

-

Tak. A Joel nie ma nikogo oprócz mnie.

Converse, ukryty w ciemnym zakamarku stacji, obserwował pociąg odjeżdżający do Osnabriick, patrząc na olbrzymie koła, które toczyły się coraz prędzej po szynach. Spodziewał się, że ciszę wieczoru zmaćlada chwila przenikliwe gwizdki, że pociąg zatrzyma się i z wagonu bagażowego wybiegnie podpity konduktor drący się na całe gardło. Nic takiego się nie stało. Dlaczego? Czyżby szczekanie rozwścieczonych psów skłoniło go do pozostania w bezpiecznym drucianym boksie i zajęcia się butelką? Czyżby spostrzegł tylko niewyraźną sylwetkę pędzącą w półmroku do drzwi, a może nawet niczego nie zauważył i nie odkrył nieprzytomnego człowieka? Joel zrozumiał nagle, że jest także inna, groźniejsza możliwość.

Przedostatnim wagonem biegł mężczyzna, który zmierzał na koniec pociągu; dwukrotnie wyjrzał przez okno, przyciskając twarz do szyby. Po chwili wychylił

się przez ostatnie drzwi, zablokowane u dołu solidną żelazną barierką. Przyłożył

do czoła rękę z pistoletem i wpatrywał się w mrok, mrużąc oczy przed światłami stacji.

Morderca nagle się zdecydował. Chwycił metalową krawędź, przesadził barierkę i zeskoczył na

ziemię, koziółkując na żwirze za nabierającym prędkości pociągiem.

Akwitańczyk wpadł w panikę, bał się zgubić tropionego i nie wykonać zadania.

Converse czmychnął za róg dworca i popędził pod ciemnym murem na parking.

Pasażerowie, którzy wysiedli z pociągu, uruchamiali samochody lub wsiadali do nich; nieopodal na peronie gawędziło dwóch mężczyzn czekających niewątpliwie na transport. Na drodze prowadzącej na stację pojawił się samochód; mężczyźni pomachali rękami, weszli ze śmiechem do wozu i odjechali. Parking opustoszał, a stację zamknięto na noc. Pustą przestrzeń oświetlał tylko pojedynczy reflektor na dachu, a wysokie drzewa za szerokim żwirowym parkingiem sprawiały wrażenie nieprzebytego muru.

Joel popędził wzdłuż muru, kryjąc się w cieniu, aż zatrzymał się w szeroko-

kiej łukowatej niszy na końcu dworca, przywierając plecami do cegieł. Czekał, ściskając w dłoni pistolet, zastanawiając się, czy będzie musiał się nim posłużyć, czy ma w ogóle szansę się nim posłużyć. Zdawał sobie sprawę, że 441

w pociągu dopisało mu szczęście. Nie mógł się równać z zawodowymi mordercami. I chociaż usiłował wmawiać sobie coś przeciwnego, nie znajdował

się w dżungli i nie był już młody jak przed wielu laty. Ale kiedy się nad tym zastanawiał - jak właśnie teraz - wiedział, że wspomnienia z Wietnamu są dlań jedyną wskazówką postępowania. Wybiegł z łukowatej niszy i skręcił

za róg.

Rozległ się strzał, który odłupał kawałek muru po lewej stronie jego głowy! Joel skręcił w prawo, potoczył się po żwirze, wstał i pognął byle dalej od poświaty reflektora. Kolejne trzy ogłuszające eksplozje trafiły w kamienie i Ziemię wokół

jego stóp. Dotarł do ciemnej ściany liści, dał nura w krzaki i natychmiast zrozumiał instynktownie, co powinien zrobić!

- Au! Auuu...! - krzyknął rozdzierająco i umilkł.

Poczłogał się jak najszybciej między gęstymi, splątanymi gałęziami. Zatrzymał

się przynajmniej trzy metry od miejsca, gdzie wydał z siebie śmiertelny okrzyk, po czym wstał na kolana, obrócił się i zamarł w bezruchu z twarzą zwróconą ku oświetlonemu parkingowi za ścianą liści.

Powtórzyła się sytuacja z przeszłości, gdy trójka dzieciaków w strojach obozowych zabiła brutalnie w dżungli innego dzieciaka. Zaniepokojeni ludzie e podążają w stronę źródła ostatnio słyszanego

dźwięku - i właśnie tak postąpił

Akwitańczyk. Zszedł z mrocznego peronu, trzymając oburącz pistolet, i jął

skradać się prosto do miejsca wśród drzew, skąd dobiegły dwa okrzyki.

Converse pomacał wokół rękoma, aż znalazł kamień większy od swojej pięści.

Chwycił go i czekał, wyteżając wzrok. Czuł, jak podchodzi mu do gardła walące serce. Morderca znalazł się dwa metry od granicy drzew. Joel rzucił kamień wysokim łukiem w prawo.

Kiedy kamień uderzył w ziemię, Akwitańczyk skulił się odruchowo i zaczął raz po raz strzelać, oddając w sumie cztery strzały. Converse uniósł broń i nacisnął

dwukrotnie spust. Trafiony mężczyzna, w którego ustach zamarł krzyk, obrócił się w lewo, chwycił się za brzuch i padł na ziemię.

Nie było czasu na zastanawianie się nad tym, co się stało. Joel wyczołgał się na żwir, podbiegł do swojego niedoszłego zabójcy, chwycił go za ramiona i wciągnął

w krzaki. Musiał mieć pewność. Ukląkł i przyłożył palce do jego tętnicy szyjnej.

Zwiadowca nie żył. Stał się kolejną ofiarą wojny toczonej przez Akwitanię, wojskową konfederację państw pod wodzą George'a Marcusa Delavane'a.

Wokół nie było nikogo - w przeciwnym wypadku na dźwięk strzała^

rozległyby się krzyki i tupot biegnących stóp, a ktoś wezwałby policję, ta już by się pojawiła. Jak daleko leży Osnabriick? Joel studiował w pociągu rozkład jazdy, usiłując go zrozumieć, ale wszystko potoczyło się tak błyska wicznie, tak gwałtownie, że niczego nie zapamiętał. Musiał przekazać wiadomość na dworzec w Osnabriick. Boże, jak?!

Wszedł na peron i spojrzał na tablicę z napisem RHEINE. Nie przypominał sobie nazw poszczególnych stacji. Później zobaczył coś, co wyglądało jak gruby komin.

442

W dali. nad ziemią, znajdowała się jedna z kolejowych wież kontrolnych, jakich tysiące Pokrywały całą Europę, nadzorując ruch pociągów. Joel pobiegł wzdłuż torów i zaczął się nagle zastanawiać, jak wygląda. Zgubił kapelusz, miał brudne ubranie, ale nadal nosił koloratkę. Pozostał księdzem i musiał grać rolę księdza.

Dotarł do podstawy wieży, otrzepał się z kurzu i przygładził włosy. Uspokoiwszy się, jął wchodzić po metalowych stopniach. Znalazłszy się na szczycie zauważył, że do wieży prowadzą zamknięte od

wewnątrz stalowe drzwi z judaszem z grubego na dwa centymetry kuloodpornego szkła; niezbędne zabezpieczenie w epoce terroryzmu, gdyż pędzące pociągi stanowią świetny cel ataków.

Zbliżył się i zapukał w metalową framugę. W środku, przy elektronicznych konsolach, pracowało trzech kolejarzy; od niezliczonych zielonych ekranów odwrócił się starszy mężczyzna i podszedł do drzwi. Wyrzwał przez szklany judasz i przeżegnał się, nie okazał się jednak na tyle religijny, by otworzyć drzwi.

Zamiast tego uruchomił buczący głośnik i spytał:

-

Was ist, Hochwurden?

-

Nie znam niemieckiego. Mówi pan po angielsku?

-

Engländer?

-Takja.

Starszy mężczyzna odwrócił się w stronę kolegów i zawołał coś. Obaj pokręcili przecząco głowami, lecz jeden uniósł rękę i podszedł do drzwi.

-

Ich spreche... trochę, Mister Engländer. Tu nie móc wejść, verstehen?

-

Muszę zatelefonować do Osnabruck! Czeka tam na mnie kobieta... Frau!

-

Och? Hochwurden! Eine Frau?!

-Nie, nie! Źle mnie pan zrozumiał! Żaden z panów nie zna angielskiego?

-

Sie sprechen deutsch?

-Nie!

-

Warten Sie - odezwał się trzeci kolejarz, stojący przy konsolocie. Dwaj mężczyźni wymienili prędko kilka zdań. Ten, który znał rzekomo angielski, odwrócił się z powrotem w stronę drzwi.

-

Eine Kirche - odezwał się niepewnie, szukając słów. - Kościół! Ein Pfarrer, ksiądz! Er spricht nur englisch. Drie... t'ee strattes... trzy!

Niemiec kiwnął ręką w lewą stronę i Joel obejrzał się przez ramię. W pewnej odległości widać było ulicę. Zrozumiał: trzy ulice dalej znajdował się kościół i ksiądz, który mówił po angielsku i prawdopodobnie miał telefon.

-

Pociąg do Osnabruck. Kiedy? Kiedy przyjeżdża? - Converse wskazał swój zegarek. - Kiedy? Osnabruck?

Kolejarz zerknął na konsolotę, choć Converse nie miał zielonego pojęcia, na Co właściwie patrzy. Odwrócił głowę w stronę Joela i uśmiechnął się z sobie tylko znanych przyczyn.

- Zwölf Minuten, Hochwurden!

- Co takiego?!

- Dwa... dwanaście.

443

-

Dwanaście?

-Ja!

Converse odwrócił się i zbiegł po dudniących schodkach. Znalazszy się na dole, popędził ku lampom świecącym w oddali. Dotarłszy do nich, pobiegł

środkiem jezdnii, po raz pięćsetny przyrzekając sobie w duchu, że rzuci palenie. Namówił do tego Val, więc czemu sam tego nie zrobił? Był zbyt pewien siebie, to dlatego. A może po prostu troszczył się o nią bardziej niż o siebie?

Dosyć! Gdzie ten cholerny kościół?!

Ukazał się po prawej stronie. Był to malutki śmieszny budynek z imitacją wieżyczki i plebanią

przypominającą tandetnie upiększony barak. Joel pobiegł

krótką ścieżką i zapukał do drzwi, na których wisiał ohydnie pretensjonalny krucyfiks z Jezusem ze sztucznych brylantów. Po chwili drzwi uchyliły się i ukazał się tęgi stary ksiądz z resztką siwych włosów na ciemieniu.

-

Ah, Guten Tag, Herr Kollege.

-

Przepraszam - wyrzucił z siebie Converse, łapiąc oddech. - Nie znam niemieckiego. Powiedziano mi, że mówi ksiądz po angielsku.

-

A owszem, mówię. Odbyłem nowicjat w Ameryce. Proszę wejść, pro szę! Wizytę kolegi kapłana trzeba uczcić! Napijemy się sznapsa! "Kielisze czek wina" brzmi nieco lepiej, prawda? O, widzę, że jest pan jeszcze młodym przystojnym człowiekiem!

-

Wcale nie takim młodym, ojciec - odparł Joel, wchodząc do przedpokoju.

-

To pojęcie względne, nieprawdaż? - Niemiecki ksiądz, zataczając się, przeszedł do bawialni. Tu także na ścianach wisiały figury wysadzane fałszy wymi klejnotami oraz podobizny świętych o cukierkowych, kobiecych twarzach. - Czego się ksiądz napije? Mam sherry i muszkatel, a także buteleczkę porto na specjalne okazje... Kto księdza przysłał? Ten nikczemny młodzik z Lengerich?

-

Potrzebuję pomocy, ojciec.

-

Wielki Boże, któż jej nie potrzebuje?! Czyżby chciał się ksiądz wyspo wiadać? Jeśli tak, proszę poczekać do rana! Kocham Pana Boga z całej duszy.

ale ciało mam grzeszne z winy szatana. Winien jestem nie ja, tylko Księżę Ciemności!

Duchowny był pijany; zaplątał się w poły sutanny i upadł na podłogę-Converse podbiegł, podniósł go i posadził na jedynym fotelu w pokoju.

-

Proszę mnie źle nie zrozumieć, ojczy. Muszę się skontaktować z kobie tą, która czeka na mnie w Osnabriick. To ważne!

-

Kobietą?! Szatan! Lucyfer z ognistymi ślepiami! Uważa się ksiądz za lepszego ode mnie?!

-

Bynajmniej. Potrzebuję pomocy. Proszę...!

Błagania zajęły dziesięć minut, lecz kapłan uspokoił się w końcu.

Podniósł słuchawkę telefonu. Przedstawił się jako sługa boży i po chwili Joel usłyszał słowa, które pozwoliły mu odetchnąć.

-

Frau Geyner? Es tut mir leid...

444

Stary ksiądz i stara kobieta rozmawiali ze sobą kilka minut. Przez ostatnie dziesięć sekund duchowny kiwał głową. Odłożył słuchawkę i zwrócił się do converse'a.

- Czekala na pana na stacji - stwierdził, marszcząc ze zdumieniem czoło. -

Powiedziałem, że wysiadł pan koło magazynów...

- Jakich magazynów? Rozumiem.

- A ja nie, Ale frau Geyner wie, Jak Się tu dostać, i przyjedzie po pana za jakieś pół godziny...

Otrzeźwił mnie ksiądz trochę. Czy zachowywałem się niegodnie?

-

Bynajmniej - odparł Joel. - Przyjął ksiądz do swojego domu człowieka, który wpadł w tarapaty, a to dobry uczynek.

-

Napijmy się czegoś. Niech ksiądz zapomni o sznapsie i kieliszeczku wina, to nudne, nieprawdaż? Mam w lodówce trochę amerykańskiej whisky.

Ksiądz jest Amerykaninem, prawda?

-

Tak, a szklaneczka whisky dobrze by mi zrobiła.

-

Świetnie! Proszę podążać za mną do mojej skromnej kuchenki. To tu, za kotarą, drogi chłopcze. Chyba wypilem kapkę za dużo... Ale cóż, mimo to jestem dobrym sługą bożym. Dodaję ludziom otuchy.

-Nie mam co do tego wątpliwości.

-

Gdzie pobierał ksiądz nauki? - spytał stary duchowny.

-

Na Katolickim Uniwersytecie w Waszyngtonie - odparł Converse, zaadowolony, że pamięta nazwę i potrafi tak szybko odpowiedzieć.

-

Wielki Boże, sam tam studiowałem! - zawołał Niemiec. - Przerzucali mnie z miejsca na miejsce, rozumie ksiądz. Pamięta ojciec tego, no, jak mu tam...

O Boże! - pomyślał Converse.

Wreszcie pojawiła się Frau Geyner i zabrała go z plebanii. Zachowywała się szorstko i rozkazująco. Była drobną kobietą, znacznie starszą, niż sobie wyobrażał, i w dziwny sposób kojarzyła się z żebraczką z pociągu do Amsterdamu.

W jej pomarszczonej twarzy również płonęły duże, przenikliwe oczy, które miały pioruny. Wsiadł do auta, a Frau Geyner zamknęła drzwi i zablokowała je. Zajęła miejsce za kierownicą i śmignęła do przodu, w ciągu paru sekund osiągając prędkość stu kilometrów na godzinę.

-

Jestem pani ogromnie wdzięczny za pomoc - odezwał się Converse, zapierając się stopami o podłogę.

. - To drobnostka! - wykrzyknęła stara kobieta. - Własnymi rękoma nosiłam lotników, którzy wyskoczyli z płonących samolotów w Bremerhaven, Stuttgartie i Mannheim! Płułam w twarz żołnierzom i zdobywałam barykady! Nikt mnie nigdy nie pokonał! Zawsze wymykałam im się z rąk!

- Chodzi mi tylko o to, że ratuje mi pani życie, i chcę wyrazić swoją wdzięczność. Wiem, że Valerie (pani siostrzenica, a moja... moja była żona) powiedziała pani, że nie zrobiłem tego, o co się mnie oskarża. Mówiła prawdę.

Rzeczywiście tego nie zrobiłem.

445

-

Ach, Valerie! Słodkie dziecko, lecz niezbyt godne zaufania, jakoś pozbył
jej się pan, ja?

-

Określiłbym to nieco inaczej.

-

Jakże mogłaby być godna zaufania? - ciągnęła Hermione Geyner.

Joel w ogóle się nie odezwał. - To artystka, a wiadomo, jacy kapryśni są artyści. A na dodatek jej ojciec to Francuz. Czyż może być coś gorszego niż Herr Franzose! Robactwo Europy! Są tak samo zdradliwi jak ich wino. To pijacy, wie pan. Mają to we krwi. ' °

-

Ale uwierzyła jej pani. Pomaga mi pani, ratuje mi życie.

-

Leżało to w naszej mocy, mein Herr. Wiedzieliśmy o tym!

Zdumiony Joel spoglądał prosto przed siebie na szosę, na błyskawicznie zbliżające się zakręty, które staruszka ścinała z piskiem opon. Hermione Geyner okazała się zupełnie inna, niż się spodziewał, lecz w końcu wszystko było inne.

Podeszły wiek, późna pora i przeżycia ostatnich dwóch dni musiały się odbić na jej równowadze. Zmęczeni starzy ludzie łatwo ulegają głęboko zakorzenionym uprzedzeniom. Może rano da się z nią porozumieć. Rano zaczyna się nowy dzień i Valerie obiecała zatelefonować do Joela w Osnabruck z wiadomościami o Samie Abbotcie. Val musi zadzwonić do Sama! Abbotta trzeba koniecznie poinformować o dziwnym znaczeniu słowa "kompromitacja", jakim posłużył się starzec z Amsterdamu, zupełnie innym niż w języku potocznym. Zamach! Zadzwoń do mnie, Val!

Zadzwoń do mnie, na miłość boską...!

Converse spoglądał przez okno. Mijały minuty, a za oknami przesuwały się sielskie krajobrazy. Panowało niezręczne milczenie.

-

Jesteśmy na miejscu, mein Herr! - zawołała Hermione Geyner, skręcając po wariacku w podjazd prowadzący do starej dwupiętrowej willi wśród drzew. O ile Converse mógł się zorientować, odznaczała się ona niegdyś pewnym majestatem, już choćby dzięki niezliczonym wykuszom i przybudówkom.

Teraz, w świetle księżyca, majestat zniknął i dom wydawał się stary i zniszczony przez czas, podobnie jak jego właścicielka.

Wspięli się wytartymi drewnianymi schodami na ogromny ganek i podeszli do drzwi.

Frau Geyner zapukała szybko i natarczywie; po kilku sekundach otworzyła im inna staruszka, która wpuściła ich do środka.

-

Śliczny dom - odezwał się Joel. - Chcę, żeby pani wiedziała...

-

Tss! - Hermione Geyner wrzuciła kluczyki do czarki z czerwonej luminy i uniosła rękę. - Diese Richtung!

Converse podążył za nią do dwuskrzydłowych drzwi; ciotka otworzyła i weszli razem do pokoju. Joel stanął jak wryty, zdumiony i oszołomiony - wprost niego w dużej wiktoriańskiej bawialni stał w półmroku rząd wyso krzesel, a na każdym siedziała stara kobieta. Było ich razem dziewięć! Patrzył na nie jak zahipnotyzowany. Niektóre uśmiechały się słabo, inne trzęsły się ze starości, parę miało surowe, napięte miny, a jedna mruczała coś pod nosem.

Rozległy się ciche oklaski. Chude, pokryte drobnymi żyłkami dłonie kobiet uderzały o siebie z wyraźnym wysiłkiem. Przed rzędem staruszek znajdowały 446

się dwa wolne krzesła; ciotka Valerie skinęła ręką na znak, że są przeznaczone dla niej i dla Joela. Oklaski powoli ucichły.

- Schwestem Soldaten! - zawołała wstając Hermione Geyner.

Staruszka przemawiała niespełna dziesięć minut. Od czasu do czasu prze -

rywały jej fale oklasków lub głośne okrzyki wyrażające zdumienie i szacunek. W

końcu usiadła przy akompaniamencie kolejnej owacji.

- Nun, Fragen!

Jakby w odpowiedzi, staruszki zaczęły po kolei przemawiać - w większości słabymi, niepewnymi głosami, choć niektóre mówiły z emfazą, wręcz z godnością.

Converse zorientował się nagle, że patrzą na niego. Zadawały mu pytania, a kilka przeżegnało się w trakcie swoich wystąpień, jakby zbieg, którego ocaliły, był

naprawdę księdzem.

-

Proszę odpowiedzieć, mein Herr! - zawołała Hermione Geyner. - Panie czekają na pańską odpowiedź.

-

Nie mogę odpowiedzieć na pytania, których nie rozumiem - zaprotestował cicho Joel.

Nagle, bez ostrzeżenia, ciotka Valerie zerwała się z krzesła, zwróciła się w jego stronę i wymierzyła mu policzek.

-

Wykręty na nic się nie zdadzą! - wrzasnęła, uderzając go ponownie i kalecząc mu skórę pierścieniem na palcu. - Wiemy, że rozumiesz każde słowo! Dlaczego wy, Czesi i Polacy, zawsze myślicie, że wystrychniecie nas na dudka! Byliście kolaborantami! Mamy na to dowody!

Stare kobiety zaczęły krzyżeć jedna przez drugą, a ich pomarszczone twarze wykrzywił grymas nienawiści. Converse wstał; zrozumiał. Hermione Geyner i jej towarzyszkę zwariowały ze starości. Żyły nadal w krwawej epoce, która skończyła się czterdzieści lat temu.

Nagle, jakby na znak dany przez szaleńca, otworzyły się drzwi po przeciwnej stronie i do pokoju weszło dwóch mężczyzn; jeden trzymał prawą rękę w kieszeni płaszcza od deszczu i niósł w lewej jakąś paczkę. Drugi przewiesił przez ramię prochowiec, niewątpliwie skrywając pod spodem pistolet. Wreszcie pojawił się trzeci i Joel zacisnął mocno powieki, czując w piersi nieznośny ból. Miał on zabandażowane czoło i rękę na temblaku. To Converse zadał mu te rany; widział go po raz ostatni w wagonie bagażowym wypełnionym rozwścieczonymi zwierzętami.

Pierwszy mężczyzna zbliżył się do niego i podniósł paczkę. Była to gruba szara koperta zawierająca memorandum przeznaczone dla Nathana Simona w Nowym Jorku.

- Generał Leifhelm przesyła panu pozdrowienia, a nawet wyrazy szacunku - odezwał się, wymawiając słowo "generał" z twardym niemieckim akcentem.

447

Rozdział 32

Peter Stone obserwował lekarza zatrudnionego w CIA, zakładającego nici i ostatni szew w kąciu ust kapitana wojsk lądowych, który siedział spięty w fotelu.

-

Trzeba naprawić mostek - odezwał się lekarz. - Technik z laboratorium załatwi to w kilka godzin, a resztą zajmie się dentysta na Siedemdziesiątej Siódmej ulicy'

-

Skurwysyn! - wrzasnął kapitan, któremu w osiągnięciu pełnej siły głosu przeszkadzała nowokaina w ustach. - Wielkie czarne, pierdolone bydlę! Nie mógł dla niej pracować, to po prostu jakiś cholerny taksówkarz! Co mu, u licha, odbiło?!

-

Może go sprowokowałeś? - spytał cywil, odszedł kilka kroków i zajrzał do notatek. - To się zdarza.

-

Co się zdarza?! - ryknął kapitan. Lekarz uniósł groźnie strzykawkę.

-

Ciszej, kapitanie. Pozrywa pan szwy.

-

Dobrze już, dobrze - rzekł spokojniej kapitan. - Co właściwie oznacza słowo "sprowokować" w pańskim ezoterycznym języku?

-

To, co w normalnej literackiej angielszczyźnie. - Stone odwrócił się do lekarza. - Wiesz, że nie jestem już na etacie, więc wystaw lepiej rachunek.

-

Wystarczy kolacja, jak przyjedziesz do miasta. Ale technik i dentysta to inna sprawa. Sugeruję gotówkę. I zdejmij z niego mundur.

-

Nie trzeba.

-

O co... - kapitan urwał, widząc rękę lekarza tuż koło swojej piersi.

Doktor schował narzędzia do czarnej torby i podszedł do drzwi.

-

Ale, ale, Stone, dziękuję za tego Albańczyka - zwrócił się do byłego agenta CIA. - Jego żona wydaje moskiewskie ruble jak szalona, żebym leczył

ją z każdej dolegliwości, jaką zdołam wymyślić.

-

Jej największa dolegliwość to mąż. Ma w Waszyngtonie tajną garsonierę, gdzie zaspokaja swoje bardzo dziwne zachcianki seksualne.

-No proszę, nigdy bym się nie spodziewał...

Lekarz wyszedł, a Stone odwrócił się z powrotem w stronę kapitana.

-

Kiedy styka się pan z takimi ludźmi, niech pan nie mówi więcej, niż potrzeba, ani nie zadaje żadnych pytań. Oni wolą niczego nie wiedzieć.

-

Przepraszam. Co pan miał na myśli, mówiąc, że sprowokowałem tego Murzyna?

-

Nie rozumie pan? Oficer z kilkoma rzędami baretek goni ulicą przystojną kobietę. Nie sądzi pan, że

wywołało to u niego kilka czarnych wspomnień?

Tacy jak on niezbyt przepadają za ludźmi pańskiego pokroju, prawda?

-

Pokroju? Nigdy nie myślałem o sobie jako o człowieku pewnego pokroju, ale rozumiem, o co panu chodzi... Kiedy tu przyjechałem, rozmawiał pan przez telefon, a później dzwoniło dwa razy. Co się dzieje? Sajakieś wiadomości o żonie Converse'a?

448

- Nie. - Stone znów zerknął do notatek, przekładając kartki. - Możemy myśleć, że przyleciała z powrotem do Stanów, żeby skontaktować się z kimś, komu Converse ufał.

- converse ma przetarte ścieżki w Waszyngtonie. Może to ktoś na Kapitolu, a nawet w administracji albo Departamencie Stanu?

- Nie sądzę. Gdyby znał kogoś takiego i uważał, że zdąży opowiedzieć prawdę, nim dostanie kulę w głowę, już dawno by się ujawnił. Proszę nie zapominać, że został

już zaocznie osądzony i skazany. Wyobraża pan sobie, że ktokolwiek w Waszyngtonie mógłby potraktować go niezgodnie z przepisami? Converse jest trędowaty, nietykalny. Potwierdziło to zbyt wiele oficjalnych źródeł, które dokonały nawet diagnozy jego stanu psychicznego.

- A teraz zrozumiał to, co odkryliśmy wiele miesięcy temu. Nie wiemy, kto współpracuje z Akwitańczykami.

-Nie wiemy, kogo wynajęto, a kogo zmuszono szantażem, żeby wykonał zadanie, nie zdradzając sekretów zawodowych - dodał Stone, siadając naprzeciwko kapitana. -

Ale ułożyły się inne fragmenty łamigłówki. Zaczął wyłaniać się obraz całości i zdobyliśmy kilka dodatkowych nazwisk. Gdybyśmy zdołali wyciągnąć Converse'a i połączyć jego informacje z naszymi, mogłoby to wystarczyć.

-

Co takiego?! - zawołał kapitan, pochylając się gwałtownie do przodu.

-

Proszę się uspokoić. Powiedziałem to tylko hipotetycznie. Udało mi się wykorzystać pewien stary dług wdzięczności, a jest jeszcze paru ludzi, którym mogę ufać.

-

Właśnie dlatego pana zaangażowaliśmy - rzekł cicho kapitan. - Wie pan, co robić, a my nie... Co pan zdobył?

-

Na początek: czy słyszał pan kiedykolwiek o aktorze nazwiskiem Caleb Dowling? Nawiasem mówiąc, jego prawdziwe imię brzmi Calvin, ale to waż ne tylko dla komputerów.

-

Wiem, kto to. Gra rolę ojca w serialu Santa Fe. Niech pan tego nikomu nie powtarza, ale czasami oglądam go z żoną. I co z Dowlingiem?

Stone spojrzał na zegarek.

-

Będzie tutaj za kilka minut.

-

Nie buja pan? Jestem pod wrażeniem.

-

Będzie pan pod jeszcze większym wrażeniem, gdy pan z nim porozma wia.

- Boże, niech pan wreszcie coś powie!

- To jeden z tych zupełnie niespodziewanych przypadków, które wydają Się później najzupełniej logiczne... Dowling kręci film w Bonn i przyjaźnił się z Peregrine'em. Sławny aktor amerykański i tak dalej. Spotkał Converse'a w samolocie i załatwił mu pokój w hotelu, bo nigdzie nie było wolnych miejsc. A co ważniejsze, że to właśnie Dowling usiłował skontaktować Converse'a z Peregrinne'em, co się nie udało, bo w sprawę wmieszał się Fitzpatrick.

-Noi...?

449

-

Kiedy Peregrine'a zamordowano, Dowling telefonował kilkakrotnie do ambasady, usiłując uzyskać audiencję u tymczasowego szefa, ale za każdym razem go spławiano. W końcu wysłał list do sekretarki Peregrine'a, prosząc o spotkanie w ważnej sprawie. Spotkała się z nim i spadł na nią grom zjasnego nieba. Peregrine obiecał jakoby Dowlingowi, że gdyby Converse skontakt tował się z

ambasadą i umówił się na spotkanie, ambasador weźmie Dowlinga ze sobą. Dowling uważa, że Peregrine nie złamałby słowa. Po drugie, Peregrine powiedział Dowlingowi, że wśród personelu ambasady jest czarna owca, która zachowuje się bardzo dziwnie. Sam Dowling był świadkiem pewnego incydentu. Aktor stwierdził, że nic tu się nie trzyma kupy. Przede wszystkim Converse mówił do rzeczy i wydawał się najzupełniej normalny, a poza tym jego, Dowlinga, w ogóle oficjalnie nie przesłuchano, choć widział Converse'a jako jeden z ostatnich. Uważał, że Converse nie miał nic wspólnego ze śmiercią ambasadora. Sekretarka mało nie zemdląca, ale obiecała z kimś go skontaktować. Znała rezydenta firmy w Bonn i zatelefonowała do niego... Ja także to zrobiłem dwa dni temu. Powiedziałem, że zaangażował mnie w tajemnicy Departament Stanu.

-

Rezydent potwierdził to wszystko?

-

Tak. Wezwał Dowlinga, wysłuchał go i zaczął węszyć. Udało mu się wygrzebać kilka nazwisk; jedno już znamy, ale będą następne. Kiedy pan przy szedł, rozmawiałem z nim przez telefon. Dowling przyleciał wczoraj; jest te raz w Pierre i zjawi się tu o jedenastej trzydzieści.

-

Zaczynamy się posuwać do przodu - stwierdził kapitan, kiwając głową.

- Coś jeszcze?

-

Dwie rzeczy. Pamięta pan, jacy byliśmy wściekli, gdy zabito sędziego Anstetta i tak znakomicie upozorowano wszystko na zemstę mafii? Do licha, nawet nie wiedzieliśmy, dlaczego Halliday w ogóle posłużył się Anstettem.

Cóż, odpowiedź znaleźli spece od komputerów z wojskowego banku danych.

Wszystko zaczęło się we wrześniu 1944, Anstett był prawnikiem w Pierwszej Armii Bradleya, gdzie Delavane dowodził batalionem. Delavane postawił przed sądem wojskowym sierżanta, który załamał się podczas walki. Oskarżono go o dezercję w obliczu wroga i Delavane chciał uczynić z niego przykład zarówno dla swoich żołnierzy, jak i dla Niemców. Pierwsi mieli wiedzieć, że dowodzą nimi twardziel, a drudzy, że walczą z twardzielem. Sierżanta uznano za winnego i skazano na rozstrzelanie.

-

O mój Boże! - wykrzyknął kapitan. - Znowu to samo! Sprawa Slovica.

-

Zgadza się. Tyle że dowiedział się o tym porucznik z nazwiskiem Anstett i zabrał się z furją do dzieła. Zebrał opinie psychiatrów i nie tylko doprowadził do tego, że sierżanta odesłano do kraju na leczenie, ale odwrócił

kota ogonem i postawił przed sądem samego Delavane'a. Posługując się Podobnymi argumentami psychologicznymi (chodziło głównie o brak odporno-

ści na stesy), zakwestionował przydatność Delavane'a do sprawowania dowództwa. Mało brakowało, a zrujnowałby wspinałą karierę w wojsku, gdy 450

przyjaciele pułkownika w Departamencie Wojny, którzy umieścili raport w aktach pod innym nazwiskiem, tak że sprawa wyszła na jaw dopiero w latach sześćdziesiątych, po skomputeryzowaniu wszystkich archiwów wojskowych.

- Dobra robota, Stone.

- To nie wszystko - stwierdził cywil, kręcąc głową. - Jeszcze nie wyjaśniłem zabójstwa Anstetta. Rzeczywiście, to sprawa mafii. - Stone umilkł i przewrócił

stronę. - Wobec tego musi istnieć jakiś związek między Delavane'em mafią, prawdopodobnie sprzed wielu lat. Chłopcy od komputerów sięgnęli jeszcze głębiej i zdaje się, że znaleźli. Wie pan, kto był adiutantem pułkownika Delavane'a w Pierwszej Armii? Nie, nigdy pan nie zgadnie. Kapitan Parelli, Mario Alberto Parelli.

-

Wielkie nieba, senator?!

- Wybierany pięciokrotnie na to stanowisko, zasiadający w czcigodnym zgromadzeniu od trzydziestu lat. Zaczął uprawiać politykę zaraz po wojnie, przy pomocy kilku dobrych wujków, którzy go finansowali.

-

No, no! - mruknął bez entuzjazmu kapitan i odchylił się do tyłu na krześle. - To trochę szyte grubymi nićmi, nie sądzi pan?

-

Tak to niestety wygląda. Wszystko się zgadza. Powiniennem też dodać, że w sześćdziesiątym drugim i trzecim, w okresie hysterii anty kubańskiej, Pa relli był częstym gościem w Białym Domu jako przyjaciel Kennedych.

-

Mają swoje wtyczki nawet w senacie. Parelli to jeden z najbardziej wpływowych ludzi na Kapitolu.

-Czeka pana jeszcze jedna niespodzianka. Odnaleźliśmy komandora Fitzpatricka.

-

Co takiego?!

-

Przynajmniej wiemy, gdzie jest - poprawił Stone. - Oczywiście to, czy możemy albo chcemy go uwolnić, to zupełnie inna sprawa.

Valerie wsiadła do taksówki na lotnisku McCarran w Las Vegas i podała kierowcy adres restauracji przy autostradzie numer dziewięćdziesiąt trzy, powtórzony dwukrotnie przez Sama Abbotta przez telefon. Szofer zmarszczył brwi i spojrzał

na nią w lusterku wstecznym. Val przyzwyczaiła się już do taksujących spojrzeń mężczyzn; nie pochlebiało jej to ani nie irytowało. Szczerze mówiąc, nudziła ją po prostu ta cała dziecinada, fantazje dorosłych dzieci, które onanizują się oczyma.

-

Jest pani pewna? - spytał taksówkarz.

-

Słucham?

- To nie normalna restauracja, tylko bar przy drodze, gdzie stołują się kierowcy ciężarówek.

- Właśnie tam chcę pojechać - odparła chłodno Val.

-

W porządku, świetnie, nie ma sprawy.

Taksówka włączyła się w potoki aut.

451

Kierowca miał rację. Restaurację, mieszczącą się w długim niskim budynku w kształcie litery L,

otaczał wielki asfaltowy parking, gdzie stało kilkanaście monstrualnych ciężarówek, które przytłaczały ogromem samochody Osobowe, stojące w bezpiecznej odległości od swoich mamucich kuzynów. Valerie zapłaciła i weszła do środka; rozejrzała się, przeszła koło kasy i ruszyła w stronę części w kształcie litery L, gdzie miał czekać Sam.

Zauważyła go w głębi sali. Zbliżając się do niego, uzmysłowiła sobie, że nie widziała go od przeszło siedmiu lat. Niewiele się zmienił. Kasztanowe włosy przyprószone były na skroniach lekką siwizną, ale mocna, otwarta twarz pozostała w istocie taka sama. Może tylko oczy nabrały pewnej głębi, pojawiło się kilka nowych zmarszczek wokół ust, a kości policzkowe stały się nieco wydatniejsze.

Twarc Abbotta nadaje się teraz lepiej do portretowania, pomyślała Valerie. Widać na niej charakter. Ich oczy spotkały się i generał brygady wstał od stolika, by ją powitać. Nic w jego ubraniu nie świadczyło o jego randze i zawodzie. Miał na sobie sportową koszulę rozpiętą pod szyją, brązowe letnie spodnie i ciemne buty.

Wydawał się trochę niższy od Joela, ale niewiele. Valerie ucieszyła się na jego widok. Dostrzegła coś ciepłego w jego szarych oczach.

Abbott uścisnął ją krótko, najwyraźniej nie chcąc zwracać na nich uwagi.

-

Val!

-

Dobrze wyglądasz, Sam - powiedziała, zajmując miejsce naprzeciwko niego i kładąc torbę obok siebie.

-

Ty wyglądasz po prostu wzorowo, co w języku wojskowym zastępuje wszystkie inne superlatywy. - Abbott uśmiechnął się. - To zabawne, ale czę sto tu przychodzę, bo nikt nie zwraca na mnie uwagi, więc pomyślałem sobie, że to najlepsze miejsce. Pamiętałem, że musisz się opędzać od dziennikarzy.

-

Dzięki. Przydałoby mi się więcej pewności siebie.

-

Mnie przydałoby się dobre alibi. Jeśli ktoś mnie rozpozna, rozejdzie się plotka, że pan generał miewa skoki w bok.

-

Ożeniłeś się, Sam?!

-

Pięć lat temu. Późno, ale mam wszystko, co można sobie wymarzyć.

Śliczną młodą żonę i dwie urocze córeczki.

-Cieszę się, że jesteś szczęśliwy. Mam nadzieję poznać kiedyś ją i dzieci, ale nie podczas tej wizyty. Na pewno nie podczas tej wizyty.

Abbott milczał przez chwilę, patrząc na Valerie nieco smutnym wzrokiem.

-

Dziękuję, że to rozumiesz.

-

Nie ma tu niczego do rozumienia, a może raczej wszystko. I tak prawie nie liczyliśmy na to, że zgodzisz się ze mną spotkać po tym, co się stało. Ja i Joel świetnie zdajemy sobie sprawę, jakie ryzyko bierzesz na siebie jako ge'

nerał, i nie wciągalibyśmy cię w to, gdyby istniał inny sposób. Po prostu nie wiemy, co robić. Kiedy mnie wysłuchasz, zrozumiesz, dlaczego nie wolno dłużej czekać, dlaczego Joel zgodził się, bym spróbowała cię odszukać... To ja wPa dłam na ten pomysł, Sam, a Joel nie chciał o nim słyszeć, dopóki nie zrozumiał, 452

że nie ma wyjścia. Nie ze względu na siebie, bo nie spodziewa się, że przeżyje.

Właśnie to mi powiedział. Wierzy w to.

Kelnerka przyniosła kawę i Abbott podziękował jej.

- później zamówimy coś do jedzenia - powiedział, patrząc na Valerie. -Musisz zaufać mojemu sądowi, wiesz o tym, prawda?

-Tak, ufam ci.

-

Kiedy nie mogłem się z tobą skontaktować, telefonowałem do ludzi z Waszyngtonu, z którymi pracowałem kilka lat temu. To spece od tego rodzaju ju spraw; najczęściej znają odpowiedzi na długo przed pojawieniem się pytań.

-Joel twierdzi, że właśnie z nimi powinieneś porozmawiać! - przerwała Val. -

Parę lat temu widziałeś się z nim, spędziłeś noc w jego pokoju hotelowym, pamiętasz? Podobno za dużo wypiliście.

-

Zgadza się - potwierdził Sam. - I gadaliśmy za dużo.

-

Oceniałeś samoloty (Joel nazwał to "sprzętem") przy współpracy specjalistów z różnych jednostek wywiadu.

-

To prawda.

-

Właśnie z nimi musi się skontaktować! Musi się z nimi zobaczyć, porozmawiać, powiedzieć wszystko, co wie! Wybiegłam trochę do przodu, Sam, ale Joel uważa, że ci ludzie powinni włączyć się w to na samym początku, kiedy go zwerbowano. Rozumie, dlaczego go wybrano, i (to wręcz niewiarygodne) nie kwestionuje nawet tej decyzji, ale w sprawę należy włączyć ludzi z wywiadu!

-

Rzeczywiście wybiegłaś trochę do przodu.

-

Cofnę się.

-Najpierw pozwól mi skończyć. Rozmawiałem z nimi i stwierdziłem, że nie wierzę w to, co pisze prasa i mówi telewizja: to nie Converse, którego znam. Wszyscy co do jednego radzili mi się do tego nie mieszać. Sprawa jest beznadziejna i mogę tylko paskudnie zaszargać sobie opinię. To rzeczywiście nie Converse, którego znam. To inny człowiek, wariat. Przemawia za tym zbyt wiele dowodów.

-

Ale odebrałeś mój telefon. Dlaczego?

-

Z dwóch przyczyn. Pierwsza jest oczywista: znam Joela, wiele razem przeżyliśmy i nic w tym wszystkim nie pasuje mi do niego, a może nie chcę, aby pasowało. Druga przyczyna jest znacznie

mniej subiektywna. Kiedy mam do czynienia z kłamstwem, potrafię się na nim poznać, a mnie i moich roz mówców świadomie wprowadzono w błąd na temat Joela. - Abbott wypił łyk kawy, jakby chciał sobie przypomnieć, że powinien zwolnić i zachować jasność umysłu. Dowódca eskadry panował nad sobą i musiał. - Zwracałem się Osobno do trzech ludzi, którym ufam, a oni z kolei zasiękali informacji dalej.

W końcu przekazali mi to, czego się dowiedzieli. Każdy podał mi w sumie to samo, choć innym językiem, patrząc na sprawę z innego punktu widzenia, niezależnie od własnej hierarchii wartości. Ale we wszystkich relacjach pojawiał

Się Pewien szczegół, który jest kłamstwem. Narkotyki, Val.

- Joel i narkotyki?!

453

-

Sformułowania były w zasadzie identyczne: "Z Nowego Jorku, Genewy i Paryża napływają dowody, że Converse kupował znaczne ilości środków odurzających". To pierwsze zdanie. Drugie brzmiało: "Lekarze uważają, że ciągłe zastrzyki spowodowały, iż zwariował i zaczął żyć przeszłością".

-

To szaleństwo! Potworność! - zawołała Valerie, a Abbott chwycił ją za rękę, by ją uciszyć. - Przepraszam, ale to takie okropne kłamstwo - wyszeptała. - Nawet nie wiesz...

-

Wiem, Val. W obozach pięć czy sześć razy wstrzykiwano Joelowi substancje przysłane z Hanoi i nikt nie walczył z tym bardziej niż on ani tak tego nie nienawidził. Później pozwalał sobie tylko na nikotynę i alkohol. Mieliśmy raz obaj potwornego kaca i choć przewróciłem apteczkę do góry nogami w poszukiwaniu aspiryny, Joel nawet nie chciał słyszeć o żadnych lekach.

-

Kiedy miał iść na szczepienie potrzebne do wyjazdu za granicę, wypijał

przedtem cztery martini - odezwała się Valerie. - Wielki Boże, kto rozpuszcza takie kłamstwa?!

-

Gdy zacząłem się o to dopytywać, usłyszałem, że nawet ja nie mam prawa tego wiedzieć.

Była pani Converse popatrzyła generałowi prosto w oczy.

-

Musisz to sprawdzić, zdajesz sobie z tego sprawę, Sam?

-

Powiedz mi dlaczego, Val. Pozwól mi coś zrozumieć.

-

Wszystko zaczęło się w Genewie. Najważniejszą postacią jest George Marcus Delavane...

Abbott zacisnął mocno powieki, a jego twarz nagle się postarzała.

Mężczyzna na wózku inwalidzkim upadł na podłogę, a pisk kota nad zamrożonym jeziorem zmienił się w krzyk. Dwa kikuty będące niegdyś nogami poruszały się jak szalone, a mocne ramiona ciągnęły tors po dywanie. Na próżno.

-

Adiutant! Adiutant! - ryknął generał George Marcus Delavane, gdy tym czasem na biurku pod dziwną mapą polityczną świata dzwonił ciemnoczerwony telefon.

Do gabinetu wpadł wysoki, muskularny oficer w średnim wieku, który podbiegł do swojego zwierzchnika.

-

Pomogę panu, panie generale - stwierdził, popychając wózek w stronę Delavane'a.

-

Zostaw mnie! - wrzasnął generał. - Telefon! Odbierz telefon! Powiedz, że zaraz podejdem!

Stary żołnierz zaczął czołgać się żałośnie w stronę biurka.

-

Chwileczkę - rzekł adiutant do słuchawki. - Pan generał za chwile, podejdzie. - Podpułkownik położył słuchawkę na blacie i popchnął wózek w stronę Delavane'a. - Pomogę panu, panie generale!

Kaleka skrzywił się ze wstrętem, pozwolił posadzić się na wózku i Podjechał do przodu.

- Podaj słuchawkę! - zakomenderował. - Pało Alto International, słucham? Jesteś na czerwonym! Jak brzmi dzisiejsze hasło? _ Charing Cross - odparł dzwoniący, który mówił z typowo brytyjskim akcentem.

- Co się dzieje, Angliku?

- Radiowa wiadomość z Osnabriick. Mamy go.

- Zlikwidować!

Chaim Abrahms siedział w swojej kuchni, pukając w blat stołu, usiłując oderwać wzrok od telefonu i zegara na ścianie. Już po raz czwarty czekał na próżno na telefon z Nowego Jorku. Instrukcje były jasne; należało dzwonić w ciągu trzydziestu minut po upływie każdych kolejnych sześciu godzin od przybliżonego lądowania samolotu z Amsterdamu. Dwadzieścia cztery godziny i nic! Za pierwszym razem Abrahms nie czuł niepokoju; samoloty latające przez Atlantyk często się spóźniały. Za drugim razem tłumaczył sobie, że jeśli kobieta jedzie samochodem albo leci samolotem, śledzący mogą mieć trudności z uzyskaniem połączenia telefonicznego z Izraelem. Za trzecim razem było to nie do przyjęcia, za czwartym nie do zniesienia! Zbliżał się koniec kolejnego półgodzinnego okresu oczekiwania; zostało jeszcze sześć minut. Kiedyż, w imię Boże, rozlegnie się dzwonek?!

Telefon zadzwonił. Abrahms zerwał się z krzesła i podniósł słuchawkę.

-Tak?

-

Zgubiliśmy ją- stwierdzono beznamiętnym tonem.

-

Co takiego?!

-

Pojechała taksówką na lotnisko LaGuardia i kupiła bilet na poranny samolot do Bostonu. Później wprowadziła się do motelu, skąd musiała odje chać po kilku minutach.

-

Gdzie byli nasi ludzie?!

-

Jeden w wozie zaparkowanym przed motelem, drugi w pokoju w tym samym korytarzu. Nie było powodu przypuszczać, że się wyprowadzi. Miała bilet do Bostonu.

-

Idioci! Gówniarze!

-

Zostaną ukarani... Nasi ludzie w Bostonie sprawdzają każdy samolot, każdy pociąg. Jak dotąd się nie pokazała.

-

Dlaczego myślisz, że to zrobi?!

-

Bilet. Nie mamy innego punktu zaczepienia.

-Kretyni!

Valerie skończyła; nie było nic więcej do powiedzenia. Spojrzała na Sama Abotta, który wydawał się znacznie starszy niż przed godziną.

- Nasuwa się tyle wątpliwości - odezwał się. - Chciałbym spytać Joela o tyle rzeczy... Najgorsze jest to, że nie czuję się kompetentny, ale znam kogoś 455

takiego. Porozmawiam z nim dziś wieczorem i rano polecimy we trójkę do Waszyngtonu. Jutro mam loty ćwiczebne, podobnie jak dzisiaj, ale skończę przed dziesiątą. Zwolnię się na resztę dnia, powiem, że zachorowała córka, lecz nic poważnego, nic niezwykłego. Alan będzie wiedział, do kogo powin niśmy się zwrócić, komu możemy zaufać.

-

Ufasz mu?

-

Metcalfowi? Całym sercem.

-

Joel uważa, że powinieneś być ostrożny. Akwitańczycy mogą być wszę dzie, nawet tam, gdzie się ich

najmniej spodziewasz.

-

Ale gdzieś musi istnieć ich lista.

-

U Delavane'a? W San Francisco?

-

Chyba nie. To zbyt proste, zbyt niebezpieczne. Gdyby ktoś chciał jej szukać

pomyślałby właśnie o tym. Delavane na pewno wziął to pod uwagę... Joel uważa że zamierzają wywołać krwawe zamieszki w wielu miastach jednocześnie?

-

Na ogromną skalę, większą, niż możemy sobie wyobrazić. Totalna de stabilizacja, rozruchy wybuchające po kolei w różnych miejscach, podsycane przez tych samych ludzi, którzy przywrócą porządek.

Abbott pokręcił głową.

-

Coś w tym nie gra. To zbyt skomplikowane i istnieje zbyt wiele mecha nizmów kontrolnych. Policja i Gwardia Narodowa mają odrębne dowództwa.

Łańcuch musi pęknąć w którymś miejscu.

-

Joel obstaje przy swoim. Twierdzi, że są w stanie tego dokonać. Jest przekonany, że wszędzie mają magazyny pełne broni i materiałów wybucho wych, nawet wozy pancerne i samoloty na lotniskach na odludziu.

-

To szaleństwo, Val. Przepraszam, użyłem niewłaściwego słowa. Proble my logistyczne są nie do pokonania.

-

Newark, Watts, Miami. To także było nie do pokonania.

-

To inna sprawa. Chodziło o rozruchy na tle rasowym i ekonomicznym.

-

Płonęły miasta, Sam. Ginęli ludzie i porządek zaprowadziło wojsko.

Przypuśćmy, że po obydwu stronach byłoby więcej broni, niż możemy sobie wyobrazić. Tak jak w tej chwili w Irlandii Północnej.

-

W Irlandii? Rozruchy w Belfaście? To wojna, której nikt nie może zatrzymać.

-

Oni ją wywołali! Joel nazwał to testem, próbą generalną!

-

To szaleństwo... - stwierdził pilot.

-

"Kumulacja, nagłe przyspieszenie". To słowa Abrahamsa wypowiedziane w Bonn. Joel usiłował je zrozumieć. Nie wierzył w sugestię Leifhelma, że odnoszą się do szantażu. Twierdził, że to się nie uda.

-

Szantażu? - Abbott zmarszczył brwi. - Nie przypominam sobie, żebyś o tym wspominała.

-

Chyba tego nie zrobiłam, bo Joel wykluczył taką możliwość. Leifhelm spytał go, co myśli o kompromitacji ważnych osobistości państwowych, a Joel powiedział, że to do niczego nie prowadzi. Zbyt szybko następuje wymiana urzędników i zostaje przywrócona równowaga.

456

- kompromitacji...? - Abbott pochylił się do przodu. - Kompromitacji, Val?

- Tak.

- O mój Boże...

- Co się stało?

-

Stało..? Słowo "kompromitacja" ma w żargonie wywiadowczym kilka specyficznych znaczeń. Jedno z nich to neutralizacja albo likwidacja.

- Nie rozumiem, Sam.

-

Słowo "kompromitacja" może w pewnym kontekście oznaczać zabójstwo. Morderstwo, Val. Zamach.

Valerie wprowadziła się do hotelu MGM-Grand, płacąc zdumionemu recepcjonście gotówką za trzy dni z góry, by nie posługiwać się kartą kredytową. -Trzymając w ręku klucz, pojechała windą na dziewiąte piętro i znalazła się w małym, bogato zdobionym pokoju, jakie spotyka się tylko w Las Vegas. Stała chwilę na balkonie, patrząc na pomarańczowy zachód słońca i myśląc o szaleńczym planie Akwitańczyków. Nazajutrz z samego rana zatelefonuje do Joela. W Osnabriick w Niemczech Zachodnich będzie wtedy dwunasta w południe.

Zamówiła kolację, zjadła ją, patrzyła przez godzinę na ogłupiający program telewizyjny, a w końcu położyła się na łóżku. Nie pomyliła się co do Sama Abbotta. Kochany Sam, uczciwy, dumny, bezpośredni i nieskomplikowany. Tylko Sam będzie wiedzieć, co robić, a nawet jeśli nie wie, dowie się. Pierwszy raz od wielu dni Val poczuła ulgę. Zapadła w sen i tym razem nie dręczyły jej koszmary.

Zbudziły ją promienie porannego słońca powlekające ogniem góry w oddali, za drzwiami balkonu. Przez chwilę, nim się ocknęła, myślała, że jest z powrotem w Cape Ann, a do jej sypialni wpada słońce po koszmarnej nocy, gdy koło Willi zakotwiczył tajemniczy jacht. Później zobaczyła krzykliwe kwacia-ste zasłony oraz odległe góry, poczuła stęchły zapach grubych dywanów hotelowych i przypomniała sobie obecny koszmar.

Wstała z wielkiego łóżka i poszła do łazienki. Po drodze włączyła radio, dotarła do drzwi i nagle stanęła jak wryta, chwytając framugę, by utrzymać równowagę. W

jej głowie wybuchło tysiąc pocisków, a w oczach i gardle zapłonął ogień.

Mogła tylko krzyczeć. Krzyknęła kilkakrotnie i upadła na podłogę.

Peter Stone włączył radio w swoim nowojorskim mieszkaniu i podszedł do stołu, gdzie leżała książka telefoniczna otwarta na niebieskich stronach, zabrana z pokoju pani DePinna w hotelu St Regis. Słuchał dziennika, oglądając adresy i telefony instytucji państwowych.

457

...wcześniejsze doniesienia o katastrofie myśliwca F-18 w bazie lotniczej w Nellis w stanie Nevada

okazały się zgodne z prawdą. Wypadek wydarzył się dziś rano o siódmej czterdzieści dwie czasu miejscowego, podczas porannych lotów ćwiczebnych nad pustynią w odległości sześćdziesięciu kilometrów na północny zachód od bazy. Pilot, generał brygady Samuel Abbott, szef sztabu do spraw operacyjno-taktycznych, uchodził za jednego z najlepszych lotników Sił

Powietrznych i wybitnego stratega. Rzecznik prasowy bazy w Mellis zapowiedział

dokładne śledztwo, lecz stwierdził, że wedle pozostałych pilotów czołowy myśliwiec eskadry runął nagle na ziemię po wykonaniu manewru na niskiej wysokości. Odgłosy wybuchu słychać było nawet w Las Vegas. Rzecznik prasowy mówił ze wzruszeniem o zabitym pilocie: "Śmierć generała Abbotta to tragiczna strata dla całego lotnictwa wojskowego i kraju". Kilka minut temu prezydent...

-

O to właśnie chodzi - rzekł Stone, zwracając się do kapitana po przeciwnej stronie pokoju. - Niedawno tam pojechała... Niech pan wyłączy to cholerstwo, dobrze? Znałem Abbotta; współpracowałem z nim kilka lat temu w Langley.

Oficer wyłączył radio i popatrzył na cywila.

-

Zdaje pan sobie sprawę z tego, co pan sugeruje? - spytał.

-

To tutaj - odparł Stone, wskazując palcem lewy dolny róg strony grubej książki telefonicznej. - Niebieska partia na końcu. "Instytucje państwowe Stanów Zjednoczonych". "Siły Powietrzne, Departament..."

-

Są tu tuziny innych instytucji, włączając w to pańskich byłych pracodawców. "CIA. Biuro Operacyjne w Nowym Jorku". Dlaczego nie oni? To bardziej prawdopodobne.

-

Converse wie, że nie może się do nich zwrócić.

-

Nie zwrócił się do nich bezpośrednio - sprostował kapitan. - Wysłał żonę.

-

To nie pasuje do tego, co o nim wiemy. Nie, przyjechała tutaj, by pójść do konkretnej osoby, a nie do anonimowego wydziału, biura albo agencji.

Zwróciła się do człowieka, którego oboje znają i któremu ufają. Abbotta. Odnalazła go, przekazała mu wszystko, co powiedział Converse, a Abbott skon taktował się z niewłaściwymi ludźmi. Cholera jasna!

-

Skąd pan ma tę pewność? - nalegał kapitan.

-

Mój Boże, czego pan właściwie chce, diagramu?! Sama Abbotta ze strzelono na wybrzeżu Zatoki Tonkińskiej. Był jeńcem wojennym, tak samo jak Converse. Wydaje mi się, że gdybyśmy pogrzebali w komputerach, okaza-

łoby się, że się znają. Jestem tego na tyle pewien, że nie zamierzam wykorzy stywać kolejnego starego długu wdzięczności. Pieprzę to!

-

Wie pan, jeszcze nigdy nie widziałem, żeby stracił pan panowanie nad sobą - stwierdził oficer wojsk lądowych. - Nawet lód zmienia się w ogień, prawda, Stone? Wierzę panu.

458

Były pracownik wywiadu spojrział twardo na kapitana. Kiedy się odezwał, głos był beznamiętny i zimny.

- Abbott był porządnym gościem, wyjątkiem, jak na kogoś noszącego mundur, ale proszę mnie źle nie zrozumieć, kapitanie. Zamordowano go (a nie mam co do tego wątpliwości), bo to, co powiedziała żona Converse'a, było tak przekonujące, że w ciągu kilku godzin należało dokonać kompromitacji Abbotta.

- Kompromitacji?

- Niech pan sam zgadnie, co to znaczy... Tak, ma pan cholerną rację, wściekłem się z powodu śmierci Sama. Ale jeszcze bardziej wścieka mnie to, że nie wiemy, gdzie jest żona Converse'a. Uważam, że z nami ma pewne szanse a bez nas prawie żadnych, i nie chcę mieć jej na sumieniu, choćby została mi tylko jego nędzna resztką. Poza tym musimy ją odnaleźć, jeśli chcemy wyciągnąć Converse'a. Nie ma innego sposobu.

- Jeśli się pan nie myli, jest gdzieś w pobliżu Nellis, prawdopodobnie w Las Vegas.

-Nie ulega wątpliwości, że w Las Vegas, ale nim zdołamy się skontaktować z kimś, kto może nam pomóc, pani Converse przypadnie jak kamień w wodę... Wie pan, nie chciałbym być w tej chwili w jej skórze. Odebrano jej jedyną nadzieję ratunku.

Do kogo ma się zwrócić, gdzie się udać? To samo powiedział wczoraj Dowling o Converse'em, choć nie wspomniał o tym sekretarce Peregrine'a. Converse'a systematycznie izolowano, aż zaczął śmiertelnie bać się personelu ambasady amerykańskiej. Nie zgodziłby się nigdy na spotkanie z Peregrine'em, bo wiedziałby, że to pułapka, więc nie mógł zabić ambasadora. Wzięto go w kleszcze, zastawiając na niego kolejne pułapki, by musiał się ukrywać. - Cywil umilkł i dodał twardo: - Ta kobieta jest skończona, kapitanie. Jest w sytuacji bez wyjścia, podobnie jak Converse. Ale mamy dzięki temu szansę. Jeśli wpadnie w panikę, odnajdziemy ją. Musimy jednak podjąć pewne ryzyko. Jak się pan czuje?

Czy sporządził już pan testament...?

Valerie płakała cicho koło szklanych drzwi, za którymi widać było feerię świateł

Las Vegas. Opłakiwała nie tylko Sama Abbotta, jego żonę i dzieci, lecz także siebie i Joela. Nie wiedziała, co dalej robić. Niezależnie od tego, do kogo się zwróci, odpowiedź będzie zawsze taka sama. Proszę mu przekazać, żeby się ujawnił, a wtedy go wysłuchamy. A jeśli Joel to zrobi, zostanie natychmiast zabity, wypełniając własne proroctwo. Nawet gdyby dzięki jakimś biurokratycznemu cudowi Valerie uzyskała audiencję u kogoś wpływowego, czy potrafiłaby go przekonać? Co mogłaby powiedzieć? Byłam jego żoną cztery lata i rozwiodłam się z nim, bo nie pasowaliśmy do siebie, ale go znam! Wiem, że nie mógł zrobić tego, o co się go oskarża, że nie zabił tych ludzi... Jakie mam dowody? Przed chwilą panu mówiłam, znam go! Co to znaczy, że do siebie nie pasowaliśmy? Nie jestem pewna, ale coś

459

się między nami nie układało. Był daleki, odległy. Co to za różnica? co właściwie sugeruje? Boże, myli się pan! Nie interesuje mnie to. Owszem robił

kariere, ale nie potrzebuję jego pieniędzy. Nie chcę ich...! Opowiedziałam o

niewiarygodnym spisku mającym spowodować, że wojsko przejmie władzę w Stanach Zjednoczonych i Europie Zachodniej. Przedtem dojdzie do maso wych rozruchów w najważniejszych miastach, nastąpią ataki terrorystyczne, zapanuje powszechna anarchia. Rozmawiał z nimi osobiście. Zaczęli już reali zować swój plan! Twierdzą, że działają dla dobra ludzkości. Stworzyli potrzeb ną organizację, która ma zastąpić słabe rządy państw zachodnich, niepotrafi cie się przeciwstawić blokowi sowieckiemu. Ale to fanatycy, mordercy, którym marzy się totalitarne imperium... Mój były mąż opisał to wszystko w liście do mnie, lecz przesyłkę skradziono. Jego ojciec przeczytał list i został zabity.

Nie

to nie samobójstwo...! To spisek generałów, kierowany przez człowieka mają.

cego opinię szaleńca. Generała George'a Delavane'a, Zwariowanego Marcusa... Tak, wiem, co twierdzi policja w Paryżu, Bonn i Brukseli; wiem, co utrzymuje Interpol; wiem, co podawała nasza własna ambasada. Tak, wiem, analiza balistyczna, odciski palców, widziano go w tym lub tamtym miejscu, narkotyki, spotkanie z Peregrine'em. Nie rozumie pan, że to wszystko kłamstwo?!

Tak, wiem, przez co przeszedł jako jeńiec wojenny; wiem, co mówił po zwolnieniu z wojska. To nie ma żadnego związku z tą sprawą! Jego emocje nie mają żadnego znaczenia! Powiedział mi to! Powiedział... Wygląda tak okropnie... Tyle wycierpiał...

Któż jej uwierzy?

Proszę mu przekazać, żeby się oddał w ręce władz. Wysłuchamy go.

Nie może tego zrobić! Zostanie zabity...! To wy go zabijecie...!

Rozległ się dzwonek telefonu, a Valerie zastygła w bezruchu jak sparaliżowana.

Wpatrywała się z trwogą w aparat, usiłując zapanować nad sobą. Sam Abbott nie żył, a mógł do niej dzwonić tylko on, nikt inny. Mój Boże, znaleźli mnie, pomyślała. Powtarza się sytuacja z Nowego Jorku! Musiała zachować spokój i zastanowić się. Dzwonek umilkł, a Valerie podeszła do telefonu, podniosła słuchawkę i wcisnęła guzik oznaczony literą C.

- Centrala? Dzwonię z pokoju dziewięćset cztery. Proszę przysłać do mnie natychmiast funkcjonariuszy ochrony. To bardzo pilne.

Należało postępować szybko. Valerie musiała być gotowa do opuszczenia hotelu, gdy tylko pojawią się pracownicy ochrony. Powinna znaleźć telefon, który jest...

jest unberuhrt. Słyszała w życiu wiele różnych wiesi

wiedziała, co robić. Musiała zadzwonić do Joela w Osnabriick.

Pułkownik Alan Metcalf, oficer wywiadowczy bazy lotniczej w Ne • wyszedł z budki telefonicznej i rozejrzał się po pasażu handlowym, ścisnął niewielki rewolwer w kieszeni sportowej marynarki. Popatrzył na zegarek; Jego żona i troje dzieci znajdują się niebawem w Los Angeles, a późnym Popołudniem 460

dotrą do Cleveland. Zamieszkają u rodziców żony, dopóki Metcalfe nie wezwie ich z powrotem. Tak będzie lepiej, gdyż pułkownik nie miał pojęcia czego się spodziewać.

Wiedział tylko, że Sam Abbott przeprowadził w swoim życiu tysiące manewrów na niskiej wysokości; znał dokładnie parametry wytrzymałościowe i nigdy nie latał

maszynami, których przedtem nie sprawdzono elektro nicznie. Śmiechu warte są spekulacje na temat błędu w pilotażu; ktoś okłamał

Abbotta i wywołał krótkie spięcie w jakimś obwodzie. Sam zginął, bo przyjaciel, Metcalf, popełnił straszliwy błąd. Po prawie pięciogodzinnej znowie z Abbottem pułkownik zatelefonował do pewnej osoby w Waszyngtonie i poprosił o zorganizowanie nazajutrz po południu konferencji z udziałem dwóch wysokich funkcjonariuszy Rady Bezpieczeństwa Narodowego, kontrwywiadu i wywiadu marynarki wojennej. Przyczyna narady: rewelacyjne informacje generała brygady Samuela Abbotta na temat poszukiwanego Joela Converse'a.

Skoro Akwitańczycy potrafią tak szybko i skutecznie wyeliminować posiadacza owych informacji, mogą także zlikwidować oficera wywiadu, który o

nim zameldował. Lepiej, by Doris i dzieci wyjechały do Cleveland. Metcalfa czekało mnóstwo pracy i musiał spłacić straszliwy dług.

Żona Converse'a! Chryste Panie, dlaczego to zrobiła, dlaczego uciekła tak szybko?! Metcalf oczywiście się tego spodziewał, lecz mimo to miał cichą nadzieję, że zdąży się z nią skontaktować. Okazało się to jednak niemożliwe.

Najpierw należało zająć się Doris i dziećmi, kupić bilet na samolot i zadzwonić do teściów. Musiał wysłać rodzinę w bezpieczne miejsce, gdyż mógł być następną ofiarą. Wreszcie popędził samochodem do bazy, położywszy swój rewolwer na siedzeniu obok; przewrócił do góry nogami gabinet Sama (jeden ze szczególnie nieprzyjemnych obowiązków oficera wywiadowczego) i wypytał przygnębioną sekretarkę. Pojawiło się jedno nazwisko: Parquette.

- Pojadę po nią- rzekł zeszłego wieczoru Sam. - Mieszka w Grandzie i

obiecałem do niej zatelefonować. Potrafi zachować zimną krew, ale miała Przykrą przygodę w Nowym Jorku. Chce usłyszeć znajomy głos i nie mogę jej za to winić.

Kobietę potrafiącą zachować zimnąkrew, popełniłaś największy błąd w swoim krótkim życiu, pomyślał Alan Metcalf, wsiadając do auta. Ze mną miałaś szansę przeżyć, a teraz przestała ci iść karta, jak mówią w tej części Nevady.

Mimo to Metcalf, pędząc ku autostradzie numer piętnaście prowadzącej na Południe, czuł wyrzuty sumienia na myśl o Valerie Charpentier.

Sumienie. Zastanawiał się, czy te milczące skurwysyny z Waszyngtonu czują wyrzuty sumienia z powodu Joela Converse'a. Zwerbowali go i pozostawili samemu Sobie. nie mając dlań nawet tyle litości, by pozwolić mu szybko umrzeć.

Gdzie wysyłający kamikadze na śmierć wydają się przy nich świętymi.

Rozdział 33

Joel stał w milczeniu, a tymczasem podwładny Leifhelma odebrał mu pistolet i zaczął przemawiać do starszerek siedzących rzędem na krzesłach.

Mówił niespełna minutę, po czym chwycił Converse'a za ramię i zmusił do stanięcia na wprost Hermione Geyner, która wzięła go do niewoli. Joel miał

wrażenie, że uczestniczy w jakimś mistycznym rytuale tryumfu z odległej przeszłości.

-

Przed chwilą powiedziałem tym dzielnym bojowniczkom ruchu oporu, że zdemaskowały zdrajcę naszej sprawy - rzekł, spoglądając na Converse'a Frau Geyner potwierdza to, ja, meine Dame!

-

Ja! - bryzgnęła śliną stara kobieta, na której twarzy malowała się arogancja i poczucie zwycięstwa. - Zdrajca! - wrzasnęła.

-Zatelefonowaliśmy w umówione miejsce i otrzymaliśmy rozkazy - ciągnął podwładny Leifhelma. - Teraz pana zabierzemy, Amerikaner. Nie może pan nic zrobić, więc proszę nie stawiać oporu.

-

Skoro wszystko było ukartowane, po co śledzili mnie w pociągu wasi ludzie, na przykład on? - spytał Converse, kiwając głową stroną mężczyzny z ręką na temblaku, instynktownie usiłując zyskać na czasie i pochlebić prze ciwnikowi, by przestał mieć się na baczności.

-

Obserwowaliśmy pana-odparł Niemiec. - Musieliśmy mieć pewność, że postępuje pan zgodnie ze wskazówkami. Wszyscy obecni zgadzają się z tym, slimmt das, Frau Geyner?

-

Ja! - wrzasnęła ciotka Valerie.

-

Drugi nie żyje - stwierdził Joel.

-

To wielka strata dla naszej organizacji. Szczerze nad nią bolejemy.

Idziemy!

Niemiec skłonił się damom i wyprowadził Converse'a z bawialni przez wielkie dwuskrzydłowe drzwi do holu. Przed domem, na ogromnym zniszczonym ganku, wręczył grubą kopertę mężczyźnie z ręką na temblaku i wydał rozkazy. Dwaj podwładni Leifhelma skinęli głowami i prędko zeszli po schodach; ranny oparł

przy tym dłoń na rozklekotanej barierce. Znalazłszy się na dole, pośpieszyli w prawo, idąc podjazdem w stronę bramy, gdzie na wiejskiej drodze widać było w mroku sylwetkę masywnego samochodu.

Trzej strażnicy wyprowadzili Joela z obozu. Działo się to w środku nocy i albo przenoszono go gdzieś indziej, albo czekała go egzekucja, którą zamierzano przeprowadzić w gęstej dżungli, by nikt nie usłyszał jego krzyków, dowódca wydał

szczekliwym głosem komendę, a dwaj podwładni skłonili się i pobiegli w stronę zdobycznego amerykańskiego jeepa stojącego w cieniu kilkaset metrów dalej.

Converse został sam na sam ze strażnikiem i wiedział, że taka okazja nigdy więcej się nie powtórzy. Skoro ma zginąć, równie dobrze może zginąć teraz.

Poruszył leciutko głową zerkając na ciemny kontur pistoletu w ręku Wietnamczyka...

462

Dłoń Niemca nie drżała i celowała prosto w pierś Joela. W zrujnowanym domu rozległ się nagle chóralny śpiew starych kobiet, które zaintonowały jakiś hymn tryumfu. Ich słabe głosy, dobiegające przez otwarte okna, stawały się stopniowo coraz donośniejsze. Converse poruszył lekko prawą nogą, stawiając ją na najslabszej desce w podłodze ganku. Stał na niej całym ciężarem ciała. rozległ się głośny, ostry trzask, a Niemiec zachnął się i rozejrzał. Teraz! Joel chwycił lufę pistoletu, wykręcił ją i pchnął mężczyznę pod ścianę domu, ciągnąc z całej siły, kierując broń ku brzuchowi Niemca...

Wystrzał został częściowo przytłumiony przez ubranie i zagłuszony przez warkot zapalającego

silnika oraz podniecone głosy staruszek, które coraz donośniej intonowały tryumfalną pieśń dobiegającą przez otwarte okna. Niemiec zwiotczał i wytrzeszczył oczy, a jego głowa opadła na prawo. Wokół rozszedł się swąd spalonego ubrania i odór jelit wypływających z ciała. Akwitańczyk był martwy.

Converse przykucnął i spoglądał na długi podjazd, spodziewając się ujrzeć dwóch mężczyzn biegnących ku niemu z wyciągniętymi pistoletami. Zamiast tego zobaczył

wdali reflektory samochodu, który jechał wiejską drogą i skręcił w lewo w bramę posiadłości. Za kilka minut znajdzie się koło ganku!

Joel wyrwał Niemcowi broń i wciągnął bezwładne ciało do mrocznego kąta po prawej stronie schodów. Zostało tylko kilka sekund!

Zdobądź jeepa! Wykorzystaj jeepa! Najbliższy posterunek znajduje się osiem kilometrów dalej; mijales go w drodze na roboty. Zdobądź jeepa! Kryj się!

Nadjeżdża!

Długi czterodrzwiowy samochód zatrzymał się przed gankiem. Wysiadł z niego mężczyzna z ręką na temblaku, siedzący z przodu po prawej stronie. Converse obserwował zza grubego narożnego filaru, jak Niemiec staje przed domem i wpatruje się w mroczny ganek.

- Koenig? - spytał cicho. - Wo ist Koenig?

Jał się wspinać na górę, niezgrabnie sięgając lewą ręką pod marynarkę.

Joel wypadł zza filaru, popędził w dół po wiekowych schodach i chwycił mężczyznę za temblak. Uderzył go pistoletem w szyję, obrócił i pchnął w stronę auta, aż głowa Niemca grzmotnęła w dach. Skulił się i wycelował lufę pistoletu w otwarte przednie okno.

Zdumiony kierowca miał szybszy refleks od swojego towarzysza, wyciągał już pistolet z niewidzialnej kabury. Strzelił na oślep i roztrzaskał przednią Szybę.

Converse dał ognia i trafił go prosto w głowę, aż mózg zachlapał wewnątrz samochodu.

Ukryj ciała w dżungli! Nie zostawiaj ich w pobliżu domu! Liczy się każda sekunda, każda minuta!

Joel zerwał się, odciągnął ранego Niemca od auta i otworzył przednie drzwiczki.

- Teraz mi pomożesz, ty dobry chrześcijanie! - szepnął, przypominając płaczliwe błagania mordercy w wagonie bagażowym. - Będziesz robił, Co każe, albo dołączysz do kolegów! Capisco, a może verstehen Sie?! Rób, 463

co mówię, do cholery! Jestem przerażony, bliski paniki, i dowiodę tego nawet przed Sądem Najwyższym! Rozumiesz mnie?! Mam pistolet i zabijanie nieźle mi dziś idzie! To coraz łatwiejsze! Ruszaj się! Przynies z ganku tego cholernego gestapowca! Przyciągnij go tutaj, na dół!

Po jakiejś minucie (Joel nie potrafiłby dokładnie określić czasu) ranny siedział

za kierownicą, prowadząc niezręcznie samochód. Z tyłu leżały dwa trupy. Scena jak z horroru, pomyślał Converse, któremu zbierało się na wymioty. Walcząc z mdłościami, co nie było wcale łatwe, obserwował krajobraz, by zapamiętać główne punkty orientacyjne, i mówił kierowcy, gdzie powinien skręcić. Usiłował utrwalić w pamięci mapę terenu, aby wrócić do punktu wyjścia bez radia i kompasu. Dotarli do ciągu kamienistych pastwisk u stóp wzgórza i Converse kazał Niemcowi skręcić w bok. Jechali kilkaset metrów, podskakując na wybojach, i znaleźli się wreszcie pod stromym stokiem zwieńczonym rzędem wysokich drzew. Joel kazał Niemcowi wysiąść.

W Wietnamie dał ostatniemu strażnikowi szansę. Był on zaledwie dzieciuchem w workowatym mundurze, z przenikliwym wzrokiem i niepokojącą twarzą. Może padł

tylko ofiarą propagandy? Poddał chłopca prostemu egzaminowi, a żołnierz oblał.

-

Posłuchaj - rzekł. - Powiedziałeś mi w pociągu, że cię wynajęto (nie znałem tego słowa po niemiecku) i że nie zamierzałeś nikogo zabić. Potrzebo wałeś pracy, bo jesteś bezrobotny, tak?

-

Tak, mein Herr! Nie chciałem pana zabić! Ja tylko obserwowałem, śle dziłem...!

-

W porządku. Schowam pistolet i pójdę sobie, a ty możesz iść, dokąd chcesz, jasne?

-

Ich verstehe! Tak, oczywiście!

Converse wsunął pistolet za pasek, odwrócił się i ruszył pod górę, nadal ściskając palcami kolbę. Trzask! Grzechot potrącanych kamieni! Odwrócił się i upadł na kolana, widząc nad sobą sylwetkę atakującego Niemca.

Oddał jeden strzał do zbliżającej się postaci. Akwitanczyk krzyknął, upadł na ziemię i zsunął się w ciszy ze stoku. Żołnierz oblał egzamin.

Joel wspiął się na wzgórze, trzymając w ręku kopertę zaadresowaną do Nathana Simona, i ruszył kamienistym polem do drogi. Pamiętał najważniejsze punkty orientacyjne; instynkt pilota nie mógł go zawieść. Wiedział, co powinien zrobić.

Siedział ukryty w krzakach na tyłach posiadłości Hermione Geyner, trzy' dzieści metrów od spróchniałego domu i dwadzieścia od podjazdu w kształcie litery U, pokrytego koleinami i otoczonego pożółkłą, przerośniętą trawą, która uschła od spiekoty. Nie mógł pozwolić sobie na sen, bo czekał na coś, co musiało niebawem nastąpić. Człowiek ma ograniczoną odporność na stres. Joel wielokrotnie wykorzystywał ów banał w swojej praktyce adwokackiej 464

zaniepokojeni, ogarnięci paniką, szukają odpowiedzi na dręczące ich pytania.

Słońce stało wysoko na niebie, w porannym świetle baraszkowały zwierzęta i ciszę nocy zastąpiły tysiące dźwięków. Jednakże w domu panował spokój, a duże okna z popękkanymi szybami, skąd zaledwie kilka godzin temu dobiegały śpiewy sklerotycznych staruszek, pozostawały zamknięte. Pomimo całego szaleństwa ostatnich wydarzeń, pomimo krwi i śmierci, Joel wciąż nosił koloratkę, wciąż miał przy sobie paszport księdza i list z opisem pielgrzymki. Za parę godzin przekona się, czy mają one jakąkolwiek wartość.

Najpierw rozległ się ryk silnika, a później pojawił się czarny mercedes, skręcający w podjazd z wiejskiej drogi. Zatrzymał się przed ganek. Wysiadło z niego dwóch mężczyzn, z których jeden, kierowca, obiegł wóz, by dołączyć do swojego towarzysza. Stali przez chwilę bez ruchu, spoglądając na wznoszący się nad nimi ganek i okna domu, po czym odwrócili się i popatrzyli dokoła. Podeszli do samochodu Hermione Geyner i zajrzeli do środka. Kierowca skinął głową, sięgnął pod marynarkę i wyjął pistolet, po czym dwaj Akwitańczycy wspięli się szybko na ganek i podeszli do drzwi frontowych. Ponieważ nie było dzwonka, mężczyzna bez pistoletu kilkakrotnie zapukał ostro do drzwi, a w końcu uderzył w nie pięścią i szarpnął na próżno kłamkę.

Ze środka dobiegły chrapliwe krzyki, drzwi otworzyły się i ukazała się Frau Geyner, ubrana w obszarpany szlafrok. Mówiła tonem złośliwej nauczycielki, która karcą dwóch niewinnych uczniów za rzekome ściąganie na klasówce. Gdy tylko jeden z Akwitańczyków próbował coś powiedzieć, jeszcze bardziej podnosiła pisk liwy głos, aż mężczyzna trzymający pistolet schował go w końcu. Jednakże jego towarzysz, który najwyraźniej czegoś się lękał, chwycił nagle ciotkę Valerie za ramiona i krzyknął coś do niej, zmuszając ją do milczenia.

Zachowanie Hermione Geyner prawie się nie zmieniło. Wysłuchiwała tego, co mówiono, lecz jej odpowiedź była równie szorstka jak poprzednio. Wskazała zachwaszczony podjazd i najwyraźniej opisała to, co zdarzyło się nad ranem. Mężczyźni spojrzeli z lękiem po sobie, choć nie obawiali się tego, co usłyszeli, tylko tego, czego nie usłyszeli. Zbiegli z ganku i popędzili do samochodu. Kierowca zapalił silnik z taką wściekłością, że rozległ się głośny, piskliwy zgrzyt.

Mercedes pomknął do przodu koło auta Frau Geyner. Kierowca skręcił w prawo i w lewo, wymijając dziurę na drodze, a wóz wpadł w poślizg na płożących się pędach dzikiego wina i uderzył w zrujnowaną kamienną bramę; Ciszę letniego poranka zmąciły głośne przekleństwa. Akwitańczycy cofnęli auto i śmignęli do przodu.

Skręcili w lewo i popędzili wiejską drogą, a Hermione Geyner zatrzasnęła głośno drzwi.

Nie ma już niczego, co nie wiązałoby się z ryzykiem, pomyślał Joel, wyczołgując się spomiędzy listowia, choć ryzyko, jakie zamierzał podjąć, wydawało się stosunkowo niewielkie. Akwitańczycy wykorzystali już Frau Geyner: nie mogą się od niej dowiedzieć niczego więcej. Ponowny kontakt z szaloną kobietą był dla nich zbyt niebezpieczny. Joel przeszedł przez zapuszczony podjazd, trzymając kopertę w ręku, wspiął się po skrzypiących schodach i zapukał do 465

drzwi. Po dziesięciu sekundach otworzyła je jazgocząca Hermione Geyner. później pod wpływem nagłego impulsu zrobił coś, czego zupełnie się po sobie nie spodziewał, co tak nie leżało w jego naturze, że nie poznał samego siebie.

Rąbnął staruszkę pięścią w dolną szczękę. Był to początek najdłuższych ośmiu godzin jego życia.

Zdumieni funkcjonariusze ochrony hotelu MGM-Grand odmówili z wahaniem przyjęcia napiwku zaproponowanego przez Valerie, zwłaszcza gdy podniosła stawkę z pięćdziesięciu do stu dolarów, doszedłszy do wniosku, że w Las Vegas obowiązują inne ceny niż w Nowym Jorku, a już na pewno w Cape Ann. Blisko trzy kwadranse krążyli samochodem ulicami starego i nowego miasta aż wreszcie mogli zapewnić Valerie, że nikt ich nie śledzi. Obiecali także posłać kogoś na korytarz na dziewiątym piętrze, by spróbował schwycić mężczyznę który napastował Valerie i usiłował się wedrzeć do jej pokoju. Przyjęli z zawodowym smutkiem wiadomość, że Valerie zamierza przeprowadzić się do konkurencyjnego hotelu Ceasar's Pałace p o przeciwnej stronie bulwaru.

Valerie wręczyła portierowi napiwek, wzięła od niego niewielką torbę i zamknęła drzwi. Pobieгла do telefonu na stoliku przy łóżku.

-

Muszę iść do toalety! - wrzasnęła Hermione Geyner, która przyciskała do podbródka woreczek z lodem.

-

Znowu? - spytał Converse, który siedział ze zmrużonymi oczyma na przeciwko staruszki, trzymając na kolanach kopertę oraz pistolet.

-

Jestem zdenerwowana. Uderzyłeś mnie.

-Zeszłej nocy pani też mnie uderzyła i chciała mi zrobić coś jeszcze gorszego o -

odparł Joel, wstając z krzesła; wsunął pistolet za pasek i wziął do ręki kopertę.

-

Zawiśniesz na suchej gałęzi! Zdrajca! Ile godzin już tu siedzisz? My ślisz, że nasi ludzie w Untergrundbewegung nie będą mnie szukać?!

-

Podejrzewam, że karmią w tej chwili gołębie w parku i gruchają razem z nimi. Proszę iść przodem.

Zadzwonił telefon. Minione godziny straciły nagle znaczenie. Converse chwycił

staruszkę za kark i popchnął ją w stronę antycznego biurka, gdzie stał aparat'

-

Rób dokładnie to, co przewidzieliśmy! - szepnął. - No już!

-Ja? - spytała Hermione Geyner, gdy tymczasem Joel trzymał ucho przy słuchawce.

-

Tantel Ich bin 's, Valerie! ,

-

Val! - zawołał Converse, odpychając starą kobietę. - To ja! Nie wiem, czy ten telefon jest czysty! Twoją ciotkę podstawiono! Mało mnie nie zabiła.

Szybko! Powiedz Samowi, że się pomyliłem! Chyba się pomyliłem!

Chodzi o zamachy, falę zamachów na przywódców państwowych!

466

- Domyślił się tego! - krzyknęła Valerie w odpowiedzi. - Sam nie żyje... Nie żyje! Zabili go!

- O Boże! Nie ma czasu! Nie ma czasu, Val! Telefon!

- Spotkajmy się! - zawołała była pani Converse.

- Gdzie?! Powiedz, gdzie?! Kilkusekundowa cisza wydawała się wiecznością.

- Tam gdzie wszystko się zaczęło, kochany! - krzyknęła Valerie. - Zaczęło i nie zaczęło...! Obłoki, kochany! Obłoki i naszywka! Naszywka...! -Tak, wiem!

-Jutro! Będę czekać!

-Muszę się stąd wydostać... Val... Strasznie cię kocham! Kocham cię!...

- Obłoki, kochany, najukochańszy, jedyny... Boże, przeżyj!...

Joel wyrwał ze ściany sznur od telefonu, a Hermione Geyner rzuciła się w jego kierunku, trzymając w ręku ciężki pogrzebacz z mosiężną rączką. Żelazny hak przeleciał tuż koło policzka Joela, który chwycił staruszkę za ramię.

-

Nie mam dla ciebie czasu, ty wściekła suko! Mój klient nie ma czasu! -

Obrócił ciotkę Valerie i popchnął ją, podnosząc kopertę ze stołu. - Wybierałaś się do łazienki, pamiętasz?!

Znalazłszy się w holu, Converse sięgnął do czarki z czerwonej laki po kluczyki do samochodu, które wrzuciła tam zeszłej nocy stara kobieta. Drzwi do łazienki otwierały się na zewnątrz; było to jakieś rozwiązanie. Kiedy ciotka weszła do środka, Joel chwycił ciężkie krzesło stojące pod ścianą, przyciągnął do drzwi łazienki i wsunął grube oparcie pod klamkę, klinując jednocześnie jego nogi w futrynie. Hermione Geyner, usłyszawszy hałas, usiłowała otworzyć drzwi.

Trzymały. Im mocniej je pchała, tym głębiej klinowały się nogi krzesła.

-

Dziś wieczór znów się spotkamy! - wrzasnęła. - Wyślemy za tobą na szczyh najlepszych ludzi! Najlepszych!...

-

Niechaj Bóg ma Eisenhowera w swojej opiece, kiedy się spotkacie -

wymamrotał z ulgą Converse. Jeśli Akwitańczycy nie mają telefonu na pod słuchu, stara kobieta zostanie odnaleziona dopiero za kilka godzin. Włożył

kopertę pod pachę, wyciągnął pistolet zza paska, podbiegł do drzwi frontowych i uchylił je ostrożnie. Na zachwaszczonym podjeździe widać było tylko samochód Hermione Geyner. Wyszedł na ganek, zatrzasnął drzwi i zbiegł po schodkach do zaparkowanego wozu. Zapalił silnik; bak był napełniony do Połowy, co powinno wystarczyć na oddalenie się od Osnabriick przed koniec -

nością ponownego tankowania. Dopóki nie zdobędzie mapy, będzie jechał pod słońce, na południe.

Valerie załatwiła wszystko w biurze podróży w hotelu Caesar's Palace. Zapłaciła gotówką i podała panięskie nazwisko swojej matki w skrytej nadziei, że w tajemniczy sposób odziedziczyła po niej wojenne umiejętności. Z Los Angeles o szóstej wieczór odlatywał samolot Air France do Paryża. Valerie kupiła bilet; do Los Angeles zamierzała się dostać samolotem czarterowym, do którego miał odwieźć ją kierowca, co pozwalało uniknąć pokazywania się na lotnisku McCarrana.

Z ekskluzywnych usług tego typu korzystały znane osobistości oraz gracze, którym powiodło się w kasynie. Rezerwując miejsce w samolocie Air France, Valerie nie zawahała się podać fałszywego nazwiska - w najgorszym wypadku mogła najeść się wstydu, lecz incognito dawało się łatwo wytłumaczyć: jej eksmaż, z którym nic ją nie łączyło, był poszukiwany przez policję, toteż wolała zachować anonimowość.

Najbliższa kontrola paszportowa czekała ją dopiero na lotnisku w Paryżu, a później mogła się udać, dokąd chciała, posługując się dowolnym pseudonimem, gdyż nie zamierzała opuszczać Francji. Właśnie dlatego pomyślała o Chamonix.

Usiadła w fotelu i wyjrzała przez okno, wspominając wycieczkę do Chamonix przed laty. Poleciała do Genewy z Joelem, gdzie czekały go trzy dni rokowań i perspektywa pięciodniowego wypadu na narty dzięki uprzejmości Johna Brooksa, błyskotliwego negocjatora z ramienia kancelarii Talbota Brooksa i Simona, który nie chciał wyrzec się udziału w jakimś zjeździe absolwentów z powodu "ględzenia bandy idiotów", jak się wyraził. "Nasz chłopak świetnie sobie poradzi. Będzie ich czarować, jednocześnie ograbiając ich firmy". Joel poczuł wówczas pierwszy raz, że jest na dobrej drodze do sukcesu, ale co dziwne, równie mocno ekscytowała go perspektywa wypadu w Alpy. On i Valerie przepadali za narciarstwem. Może dlatego, że oboje byli w tym niezłi.

Jednakże podczas owej wycieczki do Chamonix Joel nie cieszył się długo nartami.

Drugiego dnia doznał groźnego upadku i zwichnął nogę w kostce. Valerie naśmiewała się z jego dziecinnej zrzędlivosti: zażądał rano egzemplarza

"International Herald Tribune" i odmówił zjedzenia śniadania przed otrzymaniem gazety, a później, gdy Valerie szła w góry, robił zbolale miny i zgrywał

męczennika. Kiedy stwierdziła, że chętnie wyrzeknie się nart, bo jazda bez niego nie sprawia jej większej przyjemności, pogorszyła tylko sytuację. Joel oskarżył

ją o świętoszkowate pozy. Czuł się świetnie i miał ponadto wiele pilnych lektur, których nie pojęłaby swoim ptasim mózgiem żadna malarka.

Zachowywał się jak mały chłopczyk, pomyślała z rozrzewnieniem Valerie. Ale nocą wszystko stawało się zupełnie inne. Joel zmieniał się z powrotem w mężczyznę, czułego i kochającego, w dumnego lwa i tkliwe jagnię zarazem. Kochali się godzinami przy świetle księżycy, które zalewało śnieżne pola za oknem, aż wreszcie nad górami wstawał pierwszy brzask i zapadali wyczerpani w sen.

W przeddzień powrotu do Genewy, skąd mieli polecieć nocą do Nowego Jorku, Valerie zrobiła Joelowi niespodziankę. Zamiast pojechać ostatni raz na 468

nartach, zeszła na parter hotelu i kupiła dres, do którego rękawa przyszyła dużą plakietkę z napisem: "Narciarz zjazdowy - Chamonix". Wręczyła go Joelowi, gdy tymczasem przed drzwiami pokoju czekał portier z wózkiem inwalidzkim zamówionym przez Valerie przy pomocy wpływowego dyrektora hotelu. Zawieziono ich do centrum Chamonix, do stacji kolejki linowej, która wspinała się cztery tysiące metrów na wierzchołek Mont Blanc, wioząc pasażerów przez chmury na sam szczyt świata.

Kiedy dotarli wreszcie do celu, skąd rozciągał się widok zapierający dech w piersiach, Joel spojrzał na Valerie z ukosa z tym niemądrym wyrazem oczu, który zadawał kłam wszystkiemu, czym był i przez co przeszedł, i podziękował jej na swój pokrętny sposób.

- Dość tych głupawych widoczków - powiedział. - Rozbieraj się. Nie jest wcale tak zimno.

Wypili gorącą kawę na ławce, otoczeni przez majestatyczne góry. Trzymali się za ręce i - Boże! - Val powstrzymywała łzy miłości.

W tej chwili także czuła je pod powiekami i wstała z fotela, by się nie rozplakać. Nie pora na takie refleksje. Musi zachować jasność umysłu i polecieć na drugą stronę globu, wymykając się ludziom, którzy ją tropią.

Stwierdził, że strasznie jąkocha. Czy to miłość, czy potrzeba oparcia na kimś?

Val nazwała go najukochańszym; nie, powiedziała coś więcej, wyraziła się dokładniej. Zawołała: "Najukochańszy, jedyny". Czy tylko z powodu paniki?

Najgorsza jest niewiedza, myślał Converse, obserwując znaki drogowe w świetle reflektorów. Jechał od blisko siedmiu godzin, kupiwszy mapę na stacji benzynowej w miasteczku Hagen, gdzie napełnił bak. Siedem godzin za kierownicą, a przejście graniczne, które sobie upatrył, znajdowało się wciąż bardzo daleko. Winna była niewiedza Joela, który nie miał pojęcia, kiedy zgłoszono na policji kradzież samochodu Hermione Geyner. Niewątpliwie już się to stało i policja poszukuje auta, lecz w ciągu pierwszych kilku godzin mógł przebyć większą odległość, jadąc autostradami, z których nie śmiał korzystać w obawie, że Akwitańczycy popędzili do domu Hermione Geyner tuż po telefonie Valerie. Jechał bocznymi szosami wiejskimi, kierując się słońcem i podążając na południe, aż dotarł do Hagen.

Boczne drogi stały się teraz koniecznością. Hermione Geyner i jej banda wariatów z pewnością zgłosili już kradzież samochodu. Joel nawet nie próbował zgadywać, w jaki sposób przekonali policję, że ciotka Valerie jest poszkodowana, lecz z skradziony wóz to skradziony wóz, czy kieruje nim święty Franciszek z Asyżu, czy Kuba Rozpruwacz. Nie wolno opuszczać bocznych dróg.

Lennestadt, Krentzel, most na Renie w Bendorf, jazda wzdłuż zachodniego brzegu rzeki przez Koblenz, Oberwessel i Bingen, skręt na południe do Lauda, na wschód do Speyer i znów most na Renie. Kolejny skręt na południe i jazda przez Alzację-Lotaryngię aż do Kehl. Joel zamierzał przekroczyć tam granicę francuską, gdyż przed kilku laty John Brooks wysłał go na negocjacje 469

do Strasburga, leżącego nad Renem dokładnie naprzeciwko Kehl. Rokowania okazały się potwornie nudne, gdyż sprowadzały się w istocie do tego, że ośmiu prawników toczyło najzupełniej jałowe spory na temat ostatecznej wersji pewnego paragrafu umowy, który nie miał żadnego znaczenia. W rezultacie Joel zwiedził dokładnie miasto i okolicę, zafascynowany pięknem krajobrazu. Wybrał się na kilka przejażdżek statkiem wycieczkowym po Renie i zapamiętał promy łączące brzeg francuski i niemiecki. A przede wszystkim utkwiły mu w pamięci tłumy turystów na ulicach Strasburga, szczególnie liczne w lecie.

Dotarcie do Kehl powinno zająć jeszcze trzy, cztery godziny jazdy, ale po drodze musiał się zatrzymać i zdrzemnąć. Był śmiertelnie wyczerpany, nie pamiętał już, kiedy ostatnio spał. Niebawem znalazł się w Chamonix i spotkał Val. Powiedział, że ją kocha. Zdobył się na to po tylu latach i poczuł ogromną ulgę, a odpowiedź

okazała się jeszcze bardziej niewiarygodna. "Najukochańszy, jedyny". Czy Val naprawdę tak myśli? A może po prostu próbuje dodać mu otuchy, a emocje malarki biorą górę nad rozsądkiem i doświadczeniem?

Akwitania! Zapomnij o wszystkim i jedź do Francji!

Lot z Los Angeles do Paryża okazał się ubogi w wydarzenia, a księżycowe krajobrazy pól lodowych nad biegunem północnym miały w sobie coś hipnotycznie spokojnego. Niezmierzone białe płaszczyzny tłumiły wszelkie myśli; spoglądając na ziemię ze stratosfery, Val zapadła w przyjemne odrętwienie. Jednakże spokój zakończył się w Paryżu.

-

Czy przybyła pani do Francji w interesach, czy na wakacje? - spytał

urzędnik imigracyjny, biorąc paszport Valerie i wystukując jej nazwisko na klawiaturze komputera.

-

Les deux.

-

Vous parlez français?

-

Je le prefere. Mes parents etaient de Paris - wyjaśniła Valerie i ciągnęła po francusku: - Jestem malarką i spotkam się z kilkoma właścicielami galerii.

Oczywiście, zamierzam także podróżować... - Urwała, widząc, że urzędnik przygląda jej się bacznie nad monitorem. - Coś się stało? - spytała.

-

Nic ważnego, madame - odparł mężczyzna, podnosząc słuchawkę tele fonu i mówiąc coś półgłosem, tak że słowa utonęły w gwarze olbrzymiej ko mory celnej. - Jest tu ktoś, kto chciałby z panią porozmawiać.

-

Nie zgadzam się na to! - sprzeciwiła się Valerie, nagle przestraszona. -

Podróżuję pod przybranym nazwiskiem z ważnych powodów, które zapewne zna pan już dzięki swojej maszynie. Nie wyrażam zgody na przesłuchanie ani nie pozwolę, żeby znęcała się nade mną prasa! Nie mam panu nic więcej do powiedzenia. Proszę mnie natychmiast skontaktować z ambasadą amerykańską.

-

Nie ma potrzeby, madame - odparł urzędnik, odkładając słuchawkę-'

Nikt nie będzie pani przesłuchiwać i żaden przedstawiciel prasy nie dowie się 470

wbrew pani woli, że przebywa pani w Paryżu. W pamięci komputera znajduje się tylko Pan' n^wisko oraz Prośba.

Z pobliskiego gabinetu wyszedł umundurowany funkcjonariusz, który zbliżył się spieszenie do odgrozonego linkami pulpitu i skłonił się uprzejmie.

- Byłbym niezmiernie wdzięczny, gdyby zechciała pani pójść ze mną,

- rzekł cicho po angielsku, najwyraźniej zauważywszy lęk w oczach Valerie i przewidując jej obiekcje. - Zwracam się do pani nieoficjalnie i może pani oczywiście odmówić, lecz mam nadzieję, że tak się nie stanie. To po prostu przysługa, o którą prosił mnie stary przyjaciel.

-Kim pan jest?

-Naczelnikiem urzędu imigracyjnego, madame.

-

A kto chce się ze mną zobaczyć?

-

Przedstawi się pani osobiście, prosił mnie jednak, bym podał pani na zwisko Mattilon. Mój przyjaciel twierdzi, że byliście państwo starymi znajomymi i że darzyła go pani wielkim szacunkiem.

-

Mattilon?

-

Gdyby zechciała pani poczekać w moim gabinecie, osobiście dokonał

bym odprawy pani bagażu.

-

Mam tylko tę torbę - odpowiedziała z roztargnieniem Val, zastanawiając się, kto mógł powołać się na Renę. - Chcę, żeby przed drzwiami stał policjant obserwujący rozmowę przez szybę.

-

Pourquoi... Dlaczego, madame?

-

Securite - odparła Valerie.

-

Oui, hien sur, mais ce n'est pas necessaire.

- Jainsiste, ou je pars tout de suite.

-

D'accord.

Valerie wytłumaczono, że osoba, która chce z nią rozmawiać, jedzie na lotnisko de Gaulle'a z centrum Paryża, co zajmie około trzydziestu pięciu minut. Val wypijała w tym czasie filiżankę kawy i niewielki kieliszek calvadosu. Wreszcie do gabinetu wszedł mężczyzna po pięćdziesiątce, ubrany w pogniecioną odzież, jakby nie troszczył się już o własny wygląd. Zmarszczki na jego twarzy świadczyły nie tylko o wieku, lecz także znużeniu, a kiedy się odezwał, mówił zmęczonym, choć dobitnym tonem.

-

Zajmę pani tylko kilka minut, madame. Z pewnością ma pani bardzo bogaty plan pobytu w Paryżu.

-

Wyjaśniłam już, że przyleciałam do Paryża, by spotkać się z kilkoma właścicielami galerii - odparła Val, spoglądając twardo na Francuza.

-

Nie interesuje mnie to - przerwał nieznajomy, unosząc dłonie. - Proszę mi Wybaczyć, ale najpierw musi pani wysłuchać tego, co mam do powiedzenia.

- Dlaczego posłużył się pan nazwiskiem Mattilona?

- Byliście państwo przyjaciółmi. Czy mogę zacząć od początku?

- Bardzo proszę.

471

-

Nazywam się Prudhomme i jestem funkcjonariuszem Surete. kilka tygodni temu w paryskim szpitalu zmarł pewien mężczyzna. Odpowiedzialność ponosi jakoby pani były mąż, monsieur Converse.

-

Zdaję sobie z tego sprawę.

-

To niemożliwe - stwierdził spokojnie Francuz, siadając i wyjmując papierosa. - Proszę się nie obawiać, w tym gabinecie nie ma podsłuchu. Naczelnik i ja walczyliśmy razem w Resistance.

-

Mężczyzna ze szpitala zmarł po brutalnej bójce z moim byłym mężem -

rzekła ostrożnie Val. - Czytałam o tym w prasie, słyszałam w radiu. Mimo to twierdzi pan, że Converse nie ponosi odpowiedzialności za jego śmierć? Skąd pan to wie?

-

Ofiara nie zmarła śmiercią naturalną, tylko została zamordowana w szpitalu między drugą piętnaście

a drugą czterdzieści pięć w nocy. Udowodniono że pani mąż leciał w tym czasie samolotem z Kopenhagi do Hamburga.

-

Wie pan, że go zamordowano?

-

Nieoficjalnie, madame. Odsunięto mnie od sprawy. Przejął ją mój pod władny, niezbyt doświadczony jako policjant, lecz mający długi staż służby w woj sku (ostatnio w Legii Cudzoziemskiej). Ja zostałem odkomenderowany do "waż niejszych zadań". Starałem się dowiedzieć czegoś na własną rękę. Nie będę pani zanudzać szczegółami, ale mężczyznę ze szpitala uduszono, przygniatając mu klatkę piersiową. Informację tę świadomie usunięto z protokołu sekcji zwłok.

Valerie zapanowała nad swoim lękiem, usiłując mówić chłodno i beznamiętnie.

-

A co z moim przyjacielem Mattilonem? - spytała.

-

Odciski palców - odparł ze znużeniem Francuz. - Jak to możliwe, że odkryto je dopiero dwanaście godzin po przeszukaniu gabinetu przez miejscową policję, która jest niesłychanie rzetelna? Tego samego dnia zabito kogoś w Wesel w Niemczech Zachodnich i świadkowie rozpoznali mordercę jako pani byłego męża. Później na tej samej trasie zabito pewną staruszkę, którą znaleziono z pistoletem w ręku, i znów pojawił się jego rysopis. Czy pan Converse jest ptakiem? Czy potrafi fruwać nad granicami? To niemożliwe.

-

Co pan właściwie sugeruje, monsieur Prudhomme?

Funkcjonariusz Surete zaciągnął się dymem, wyrwał kartkę z notatnika i coś na niej napisał.

-

Nie jestem pewien, madame, gdyż oficjalnie nie prowadzę już tej sprawy, ale skoro pani eksmąż nie zabił mężczyzny w szpitalu i nie zastrzelił pani starego przyjaciela monsieur Mattilona, być może nie zamordował także ambasadora amerykańskiego w Bonn i głównodowodzącego NATO. Kim są ludzie, którzy sterują urzędnikami państwowymi, by potwierdzali to lub tamto, odsuwają od śledztwa inspektorów policji, zmieniają protokoły sekcji zwłok zatajając dowody przestępstwa...? Nie rozumiem wielu rzeczy, madame, jestem pewien, że ktoś chce, bym ich nie rozumiał. Właśnie dlatego daję Pani swój telefon. To nie numer służbowy, tylko prywatny. Moja żona wie, jak się 472

ze mną skontaktować. Gdyby zdarzyło się coś niezwykłego, proszę po prostu przedstawić się jako krewna Tatiany...

Stone siedział przy biurku z nieodłączną słuchawką telefonu w ręku. Był

podobnie jak w chwili, gdy z Charlotte w Karolinie Północnej zadzwoniła do niego kobieta, którą pokochał podczas pracy w wywiadzie. Wycofała się w końcu z "przeraźliwej gry", jak ją nazywała, a Stone uprawiał ją dalej. Ich miłość nie okazała się wystarczająco silna.

połączył się wreszcie z Cuxhaven w Niemczech Zachodnich, z telefonem, co do którego miał pewność, że jest stuprocentowo czysty. Był to niewątpliwie jeden z przyjemniejszych aspektów współpracy z Johnnym Rebem.

-

Tu Bobbie-Jo. Kto mówi? - rozległ się głos w słuchawce.

-

Stone.

-

Mój Boże, znowu ta tajemnicza Tatiana! - wykrzyknął południowiec. -

Musisz mi kiedyś opowiedzieć o tej swojej fascynującej rodzinie!

-

Zrobię to któregoś dnia.

-

Zdaje mi się, że słyszałem to imię pod koniec lat sześćdziesiątych, ale nie wiem, co oznacza.

-

Możesz ufać każdemu, kto go używa.

-

Niby dlaczego?

-

Bo zaufali mu najbardziej podejrzliwi ludzie świata.

-

A któż to taki?

-

Wróg, braciszku.

-

Nie chwytam twoich metafor, Jankesie.

-Nie teraz, Johnny, innym razem. Masz coś dla mnie?

-

Już ci mówię. Rzuciłem okiem na kurewsko małą wysepkę, która leży trzydzieści kilometrów od ujścia Łaby w Zatoce Helgolandzkiej na Morzu Pół

nocnym.

-

Znalazłeś wyspę Scharhorn - odezwał się cywil, stwierdzając fakt.

-

Nietrudno ją znaleźć, bo wszyscy o niej słyszeli, ale nikt nie zbliża się do pewnego obszaru w części południowo-zachodniej. Podczas drugiej wojny światowej znajdowała się tam baza paliwowa U-Bootów, otoczona taką tajemnicą, że o jej istnieniu nie miała pojęcia zarówno większość niemieckiego na czołowego dowództwa, jak i wywiad państw sprzymierzonych. Wciąż stoją tam stare konstrukcje z betonu i stali. W bazie mieszka rzekomo tylko kilku strażników, którzy podobno nawet nie kiwnęliby palcem, żeby wyłowić z wody rozbitka. - Johnny Reb umilkł i ciągnął miękko: - Wybrałem się tam zeszłej nocy na ryby i widziałem światła, zbyt wiele światła w zbyt wielu miejscach.

W bazie roi się od ludzi i założę się, że jest tam też twój komandor. Około drugiej w nocy, kiedy światła wygaszono, na dachu jednego z budynków wyrosła najwyższa antena satelitarna stąd do Houston i rozłożyła się jak kwiatusek...

Chcesz, żebym zebrał grupę szturmową? To żaden problem, bo wszędzie panuje 473

straszne bezrobocie. Poza tym koszty będą minimalne, bo im dłużej się nad tym zastanawiam, tym

bardziej jestem ci wdzięczny za to, że wyciągnąłeś mnie z Dardaneli, nim zaczęły się jatki. Uważam to za ważniejsze od tej afery w Bahrajnie, gdy umorzyłeś śledztwo w sprawie funduszu operacyjnego.

-

Dzięki, ale jeszcze nie teraz. Jeśli spróbujesz go odbić, odkryjemy swoje karty przed czasem.

-

Jak długo możemy czekać? Nie zapominaj, że rozpracowałem tego chultaja Washburna.

-

Dużo się domyśliłeś?

-

Więcej, niż jest w stanie znieść moja stara mózgownica, jeśli cię to inte resuje. Od dawna się na to zanosi, nie? Orły myślą, że uda im się jednak złapać te cholerne wróble, co? Chcą zmienić wszystkich we wróble... Wiesz, Stone nie powinienem ci tego mówić, bo zmiękłeś na starość bardziej niż ja, ale jeśli im się uda, mnóstwo frajerów na całym świecie położy się w hamaku i powie-Do licha, niech chłopcy w mundurach zaprowadzą wreszcie porządek! Niech oczyszczą ulice i parki z bandziorów z pistoletami i sprzęzynowcami. Niech pokażą Ruskim i Arabusom, że nie damy sobie więcej grać na nosie. Pokaże my wszystkim, że jesteśmy twardzi. Wojskowi mają w ręku broń i koncerny, więc co mnie to wszystko obchodzi? Jeśli nawet coś się zmieni, to tylko na lepsze, pomyśli nasz frajer w hamaku.

-

Nie, nie na lepsze - odparł Stone lodowatym tonem. - Twój frajer stanie się robotem. Wszyscy staniemy się robotami, jeśli przeżyjemy, nie rozumiesz?

-

Ależ rozumiem, rozumiem - odparł Johnny Reb. - Chyba zawsze to rozumiałem. Żyję sobie w Bernie jak król, gdy ty klepiesz biedę w Waszyngto nie. Tak, stary, rozumiem. Może nawet lepiej niż ty... Nieważne, jestem z wa mi. Ale co, do cholery, zamierzasz zrobić z tym Converse'em? Chyba się z te go nie wypłacze.

-

Musi. Uważamy, że posiada informacje z pierwszej ręki, które okażą się wystarczającymi dowodami.

-

Moim zdaniem to już trup - stwierdził południowiec. - Może jeszcze nie w tej chwili, ale wkrótce. Niedługo go dopadną.

-

Musimy odnaleźć go pierwsi. Pomożesz nam?

-

Zacząłem wam pomagać tej nocy, gdy naszprycowałem majora Normana Anthony'ego Washburna. Ty masz dostęp do kilku komputerów, aja do ulic, gdzie handluje się rzeczami, którymi nie wolno handlować. Jak dotąd nic.

-

Postaraj się coś wygrzebać, bo naprawdę mamy niewiele czasu. Po wiedz mi, Johnny, czy wyspa Scharhorn wywołuje w tobie takie samo uczucie, jak we mnie?

-

Takie samusieńkie, braciszku. Mdli mnie na myśl, co się tam wyrabia.

dlatego przyczaję się tutaj na kilka dni. Znaleźliśmy ul pełen pszczoł, a one szykują się do lotu, czuję to.

474

Rozdział 34

Joel położył na trawie mapę i grubą kopertę, po czym jął odłamywać gałęzie dzikiej jabłoni rosnącej na polu i przykrywać nimi samochód Hermione Geyner.

Każdemu trzaskowi pękającego drewna i każdemu szarpnięciu towarzyszył ból w całym ciele. W końcu zerwał kilkanaście garści zielska oraz wysokiej trawy i cisnął je na karoserię. W świetle księżycy widać było ogromny stos chwastów pod niewinnie wyglądającym drzewkiem owocowym. Podniósł mapę i kopertę, po czym ruszył ku szosie leżącej dwieście metrów dalej. Wedle mapy znajdował się nieopodal miasteczka lub wioski o nazwie Appenweier, szesnaście kilometrów od przejścia granicznego w Kehl nad Renem, dokładnie naprzeciwko Strasburga.

Szedł wzdłuż drogi, kryjąc się w trawie, gdy na szosie pojawiały się reflektory aut jadących w obydwu kierunkach. Przebył około dziesięciu kilometrów, gdy poczuł nagle, że nie ma już sił.

Odpoczywał w dżungli, gdyż wiedział, że wypoczęte ciało to taka sama broń jak pistolet, a ostry wzrok i jasny umysł są bardziej śmiertelne niż tuzin stalowych noży.

Odnalazł krótki wąwóz ze strumykiem na dnie i zapadł w sen za zasłoną z kamieni.

Valerie opuściła lotnisko Charles'a de Gaulle'a oparta na ramieniu inspektora Prudhomme'a z Surete, przyjąwszy skrawek papieru z numerem jego telefonu, lecz niczego mu nie powiedziawszy. Podeszli do postoju taksówek przed dworcem.

-

Postawię sprawę jasno, madame - odezwał się Prudhomme. - Istnieją dwie możliwości: albo wsiądzie pani do taksówki i powiem pani adieu, albo zawiozę panią tam, gdzie pani sobie życzy, może na inny postój taksówek w mieście, a po drodze upewnię się, czy nikt nas nie śledzi.

-

Potrafi pan to zrobić?

-Przez trzydzieści dwa lata nawet głupiec zdąży się czegoś nauczyć. Moja żona powtarza, że nie ma kochanków tylko dlatego, iż znam podstawy swojego fachu.

. - Dobrze, przyjmuję pańską propozycję - przerwała z uśmiechem Valerie. -

Jestem okropnie zmęczona. Może jakiś mały hotelik? Le Pont Royal: znam go.

- Świetny wybór, choć muszę powiedzieć, że moja żona byłaby szczęśliwa gdyby mogła panią gościć, i nie naprzykrzałyby się pani pytaniami.

-

Muszę mieć całkowitą swobodę ruchów, monsieur - odparła Valerie, wchodząc do samochodu.

- T'accord.

475

-

Czemu pan to wszystko robi? - spytała Valerie, gdy Prudhomme usiadł

za kierownicą. - Mój mąż był, a właściwie jest adwokatem. Prawo jest wszędzie takie samo. Czy nie staje się pan współwinnym przestępstwa?

-

Chcę tylko, żeby pani do mnie zadzwoniła, przedstawiając się jako krewna Tatiany. Biorę na siebie

pewne ryzyko, ale liczę na nagrodę.

Converse spojrzął na zegarek - zdjęty z martwego ciała tak dawno, że prawie już tego nie pamiętał - i zobaczył, że jest piąta czterdzieści pięć. Kamienisty wąwóz zalewały promienie słońca. W dole szemrał strumień. Joel załatwił potrzeby fizjologiczne w dolnym biegu i obmył twarz w górnym. Musiał ruszać w drogę; pamiętał, że do granicy zostało jeszcze około sześciu kilometrów marszu.

Pamięć go nie zawiodła. Dotarłszy do Kehl, kupił maszynkę do golenia, gdyż doszedł do wniosku, że ksiądz dbałby o swój wygląd w każdych warunkach. Ogolił

się na przystani nad Renem i popłynął promem do Strasburga, podziwiając przepiękne krajobrazy. Koloratka, paszport i nieco obdarta odzież, której stan tłumaczono niewątpliwie ślubem ubóstwa, wzbudziły taki respekt celników, że przechodząc przez komorę celną, musiał pobłogosławić kilku z nich, a pośrednio także ich rodziny.

Znalazłszy się na gwarnych ulicach, postanowił przede wszystkim wynająć pokój w hotelu, zmyć z siebie brud dwu dni strachu i przemocy, oczyścić ubranie lub kupić nowe. Biednie odziany ksiądz nie pasował do kosztownych wspaniałości Chamonix, byłby tam nie na miejscu. Jednakże duchowny w przyzwoitym stroju świetnie zlałby się z tłumem zamożnych turystów. Joel postanowił pozostać księdzem, opierając swoją decyzję na doświadczeniu prawniczym. Należy przewidzieć, czego spodziewa się przeciwnik, a później postępować zupełnie odwrotnie, chyba że ma się przewagę. Akwitańczycy sądzą, że Joel zrzuci swój kostium księdza, gdyż jest to jego ostatnie znane przebranie, lecz on tego nie zrobi. We Francji roi się od duchownych, a stanie się jednym z nich niesie zbyt wiele korzyści.

Wynajął pokój w hotelu na placu St Pierre-le-Jeune i bez niepotrzebnych wstępów wytłumaczył recepcjoniście, że podróżuje od trzech dni w okropnych warunkach i potrzebuje kilku drobnych przysług. Pochodzi z bogatej parafii w Los Angeles -

resztę załatwiła studolarówka. W ciągu godziny oczyszczono i wyprasowano mu garnitur, zapastowano ubłocone buty oraz zakupiono dwie koszule i koloratki w sklepie, który leżał "niestety dość daleko. Quai Kellermann", co pociągnęło za sobą konieczność dodatkowej opłaty. Rachunki, napiwki i zwroty kosztów były marzeniem każdego hotelarza, a młody ksiądz z podrapaną twarzą, składający w pośpiechu dziwaczne Prośby, musiał z pewnością pochodzić z "bogatej parafii".

Warto było mu pomóc - wprowadził się do hotelu o ósmej trzydzieści rano, a za pięć dziesiąta był gotów do odjazdu do Chamonix.

Nie mógł ryzykować podróży samolotem lub koleją; na lotniskach i w pociągach spotkało go już zbyt wiele przygód, publiczne środki komunikacji znajdowały się pod obserwacją. Wcześniej czy później

policja odnajdzie auto Hermione Geyner i Akwitańczycy domyślą się, dokąd się udał, po czym ogłoszą alarm u zbiegu granic Niemiec, Francji i Szwajcarii. Najbezpieczniejsza jest jazda samochodem. Joel ponownie wezwał usłużnego recepcjonistę, który wynajął mu za niewielką opłatą ładne auto i doradził, jak dotrzeć do Genewy, leżącej prawie czterysta kilometrów na południe.

Oczywiście Joel nie zamierzał przekraczać granicy szwajcarskiej i jechać do Genewy, tylko podążyć wzdłuż granicy w stronę Chamonix, leżącego przeszło godzinę drogi dalej. Cała podróż powinna zająć pięć do sześciu godzin; około czwartej trzydzieści po południu, co najwyżej o piątej, Joel znajdzie się u podnóża majestatycznego Mont Blanc. Nie tracąc ani chwili, wyjechał ze Strasburga i ruszył Autostradą Alpejską, noszącą na mapie numer osiemdziesiąt trzy.

Kiedy pierwsze promienie słońca padły na nieforemne kamienice paryskie za oknami hoteliku na bulwarze Raspail, Valerie ubrała się. Nie spała i nawet nie próbowała zasnąć; spędziła bezsenność noc, zastanawiając się nad słowami dziwnego Francuza z Surete, który nie mógł powiedzieć niczego oficjalnie. Czuła pokusę wyznania mu prawdy, lecz wiedziała, że nie wolno tego robić, bo zbyt łatwo mógłby to wykorzystać, by osaczyć Joela. Mimo to wyczuwała w jego słowach prawdę, jego własną, a nie cudzą...

"Proszę zadzwonić, przedstawiając się jako krewna Tatiany. Biorę na siebie pewne ryzyko, ale liczę na nagrodę".

Joel powie jej, co o tym myśli. Jeśli inspektor nie jest po prostu przynętą zarzuconą przez Akwitańczyków, w planach generałów pojawiła się rysa, o której nie mają oni pojęcia. Valerie liczyła na to w duchu, lecz szaleństwem byłoby ufać w tej chwili Prudhomme'owi bez zastrzeżeń.

Przeczytała rozkład lotów krajowych, który otrzymała w samolocie Air France z Los Angeles, i obmyśliła trasę podróży do Chamonix. Najbliżej Chamonix i Mont Blanc znajdowało się lotnisko w Annecy, dokąd latały codziennie Cztery samoloty Touraine Air. Początkowo zamierzała dokonać rezerwacji na siódmą rano, lecz wykluczyła to wytrącająca z równowagi rozmowa z Prudhomme'em, bo gdy zadzwoniła do Touraine z Le Pont Royal, okazało się, że nie ma już wolnych miejsc - Mont Blanc stanowił latem wielką atrakcję turystyczną. Valerie postanowiła czekać na lotnisku na ewentualne zwolnienie się

miejsca w samolocie o jedenastej. Lepiej znaleźć się na Orły, lepiej zgubić się w tłumie, jak radził Joel.

. Zjechała mosiężną klatką windy do foyer, uregulowała rachunek i poprosiła o wezwanie taksówki.

- d quelle heure, madame?

- Maintenant, s 'U vous plait.

-

Dam quelques minutes.

-

Merci.

Taksówka pojawiła się wreszcie i Val wyszła przed hotel. W samochodzie siedział ponury, zaspany kierowca, który nie miał zamiaru wysiąść i przyglądał się bez większego entuzjazmu swojej pasażerce.

-

Orły, s'il vous plait.

Kierowca ruszył, dojechał do rogu, zakręcił kierownicą w lewo i zawrócił w stronę bulwaru Raspail, by dotrzeć do trasy szybkiego ruchu prowadząc na lotnisko. Skrzyżowanie wydawało się puste. Było jednak inaczej.

Tuż za nimi rozległ się ostry trzask metalu uderzającego o metal, brzęk tłuczonego szkła i pisk opon. Taksówkarz nacisnął hamulec, krzycząc ze strachu, i zjechał w stronę krawężnika. Val, rzucona do przodu, spadła z siedzenia i podrapała sobie kolana o podłogę. Kiedy zaczęła się niezgrabnie podnosić szofer wyskakiwał już z taksówki, wrzeszcząc na sprawcę wypadku.

Nagle otworzyły się tylne drzwi i nad Valerie pojawiło się pobrużdżone, zmęczone oblicze Prudhomme'a, z którego rozciętego czoła spływała strużka krwi.

-

Proszę szybko odejść, madame - rzekł cicho. - Teraz nikt nie będzie pani śledził.

-

To pan?!... Obserwował pan hotel przez całą noc! To pan spowodował zderzenie!

-

Nie mamy czasu. Muszę wrócić do kierowcy i sporządzić nudny raport, a pani powinna odejść. Natychmiast, nim ktoś się zorientuje.

-

Jak brzmiało to imię? - spytała Valerie. - Tatiana, prawda?

-Tak.

-

Dziękuję panu!

-

Bonjour. Bonne chance.

Funkcjonariusz Surete zamknął drzwi i pobiegł ku dwóm Francuzom krzyczącym na siebie za taksówką.

O trzeciej dwadzieścia po południu Converse ujrzał tablicę z napisem: St Julien en Genevois - 15 km. Zatoczył łuk wzdłuż granicy szwajcarskiej; bezpośrednio z przodu, na wschód od Genewy i tuż na południe od Annemasse. znajdowała się autostrada do Chamonix. Za jakąś godzinę powinien dotrzeć do Mont Blanc. Udało się! Jeszcze nigdy nie prowadził auta w ten sposób. Potężny citroen stał się przedłużeniem jego ciała, a Joel pamiętał tylko o drodze rozciągającej się przed nim i o swoim pojeździe, czując pod kołami twardy asfalt, gdy pokonywał

alpejskie serpentyny. Zatrzymał się tylko w Pontaiier by zatankować paliwo i wypić kubek wrzącej herbaty z automatu. Później zjechał z autostrady i popędził

na skróty górkami drogami, gdzie szybkość zależała wyłącznie od natychmiastowych, bezbłędnych reakcji. Jeszcze tylko godzina.

Czekaj na mnie, Val! Czekaj na mnie, ukochana!

478

Rozwścieczona Valerie spojrzała na zegarek, mając ochotę krzyknąć, pojawiła się nie później jak o wpół do siódmej rano na Orły. Było dziesięć po czwartej po południu.

• Cały dzień okazał się nieprzerwanym pasmem denerwujących przygód, od zderzenia na bulwarze Raspail, gdy Prudhomme oznajmił jej, że jest śledzona, aż do przybycia do Annency samolotem odlatującym z Paryża o pierwszej, opóźnionym z powodu awarii luku bagażowego. Valerie miała nerwy napięte do ostateczności, lecz wiedziała, że nie może stracić panowania nad sobą. Zwróciłaby tylko na siebie uwagę, co zresztą już raz się stało.

W samolocie o siódmej nie było wolnych miejsc. To samo powtórzyło się o jedenastej i przez bramkę przepuszczano tylko pasażerów z biletami w rękę.

Zdenerwowana Valerie podniosła głos, aż wszyscy zaczęli się jej przyglądać.

później usiłowała przekupić po cichu urzędnika i wywołała tylko jego irytację

-nie poczuł się bynajmniej dotknięty na honorze: nie mógł po prostu spełnić prośby i przyjąć pieniędzy. Upomniał ją z prawdziwym galijskim hauteur, a wszyscy wokół spojrzeli na Valerie z dezaprobatą. W ten sposób nie dotrę do Chamonix żywa, pomyślała, kupując bilet na samolot o pierwszej.

Samolot wylądował w Annency z półgodzinnym opóźnieniem, kilka minut po trzeciej, a późniejszy tłok na postoju taksówek spowodował, że Valerie zaczęła zachowywać się w sposób, którego zwykle unikała. Jako stosunkowo wysoka kobieta zdawała sobie świetnie sprawę z wrażenia, jakie robi, gdy spogląda pogardliwie z góry na otaczających ludzi - miała wówczas wypisane na twarzy wrodzone poczucie własnej wyższości. Zbyt wiele osób przyjmowało to za dobrą monetę. Kobiety były zdeprymowane, a mężczyźni zdeprymowani i podnieceni. Val przesunęła się dzięki temu kilka miejsc do przodu, lecz kolejka była ciągle długa. Później zerknęła w prawo. Na końcu podjazdu czekały ekskluzywne limuzyny, których kierowcy opierali się o lśniące karoserie, dłubiąc w zębach i gawędząc.

Co ja, na Boga, robię?! Valerie popędziła w ich stronę, otwierając w biegu torebkę.

Przyczyną ostatniej frustracji okazało się coś, o czym powinna pamiętać. W

Chamonix, miasteczku kojarzącym się z sielskimi dekoracjami teatralnymi, istniał

całkowity zakaz ruchu samochodów, mogły się tam poruszać tylko niewielkie pojazdy służbowe i minibusy turystyczne. Val wysiadła z limuzyny i spieszenie ruszyła szerokim, zatłoczonym bulwarem. Widziała w dali dużą czerwoną stację kolejki linowej. Gdzieś wysoko, nad chmurami, czekał Joel. JeJ Joel. Nie mogła się już dłużej powstrzymać i nie próbowała nawet tego robić. Puściła się biegiem

- prędeej, prędeej! Czekaj na górze, ukochany! Przeżyj, najukochańszy, jedyny!...

Za pięć piąta Converse skręcił z piskiem na parking, zahamował gwałtownie i wypadł z samochodu. Utknął w korku na autostradzie prowadzącej do MONT Blanc, gdyż na moście nad ogromnym skalistym wąwozem prowadzono 479

akurat roboty drogowe. Drżał z niecierpliwości i czuł, jak jego prawą stopę chwytają skurcze, gdy naciskał pedał gazu, wykorzystując każdą spOSobność, by posunąć się do przodu wśród letargicznie jadących aut. Dotarł do celu! Znalazł się w Chamonix. Miał przed sobą majestatyczne Alpy i wioskę leżącą w dole. Puścił się biegiem, bez tchu, wciągając w płuca czyste alpejskie powietrze, zapominając o bólu, a nawet ciesząc się nim, bo miał spotkać się z Val! °

Proszę, czekaj na mnie! Tak strasznie cię kocham... do licha, tak strasznie cię potrzebuję! Czekaj na mnie...

Valerie czekała przed stacją kolejki linowej. Sąsiednie szczyty były zasłonięte ławicami obłoków, oddzielającymi Mont Blanc od niespokojnej ziemi w dole.

Valerie stała przy kamiennej barierce, koło grubego teleskopu, przez który turyści mogli za kilka franków podziwiać cuda Alp. Czowała śmiertelną trwogę na myśl, że Joel nie przybędzie, że nie może przybyć. Śmierć.

Zbliżał się ostatni wagonik; po zachodzie słońca kolejka przestawała kursować, gdyż w mroku liny pokrywały się natychmiast lodem. Valerie była jedyną osobą stojącą na tarasie widokowym, a w pobliżu widać było tylko barmana i kilku gości za szklanymi drzwiami restauracji.

Kazałam ci przeżyć, Joel! Nie zawieź mnie, najukochańszy, jedyny! Kocham tylko ciebie!...

Wagonik zatrzymał się na stacji z przeciągłym zgrzytem. W środku nie było nikogo! Był pusty, nie wiozł ani jednego pasażera! Śmierć.

I nagle wyszedł z niego Joel, wysoki mężczyzna z koloratką pod szyją, a wierzchołek świata odzyskał sens. Oboje popędzili do przodu i padli sobie w objęcia, tuląc się jak nigdy przedtem.

-

Kocham cię! - wyszeptał Joel. - O Boże, kocham cię!...

Valerie przyjrzała mu się z pewnej odległości, trzymając go za ramiona i czując łyzy napływające do oczu.

-

Przeżyłeś, jesteś tutaj! Nie zawiodłeś mnie!

-

Musiałem przeżyć - odparł. - Dla ciebie.

Rozdział 35

Spali nago, przytuleni, obejmując się ramionami, zapomniawszy na pewien czas o realnym świecie,

któremu należało stawić czoło rankiem. Przyszła pora, by mieć coś tylko dla siebie, by brać i dawać, by spędzać razem cenne godziny, usiłując zrozumieć, dlaczego się rozstali, i zapewniać się szeptem, że nigdy więcej tego nie zrobią.

480

Kiedy wstał rano, oboje buntowali się przeciwko jego nadejściu, choć nie całkiem. Wokół istniał nie tylko postrzegany przez nich świat, lecz także świat generałów Akwitanii. Zamówili śniadanie i jeszcze jeden imbryk kawy.

Kiedy Val się czesała, Joel podszedł do okna i spojrzał w dół na barwną feerię Chamonix. Myto ulice i wszędzie widać było gumowe szlauchy, z których tryskała woda. Spryskiwano chodniki przed sklepami, aż lśniły czystością. Chamonix szykowało się do najazdu turystów, a Converse'owi przyszło do głowy, że mieli szczęście, znalazłszy wolny pokój. Już w pierwszym hotelu o mało nie doszło do skandalu. "Zdejmij tę koloratkę, na litość boską!" - szepnęła Valerie, ady zbliżali się do recepcji. W trzech pierwszych zajazdach nie było wolnych miejsc, ale w czwartym, La Croix Blanche, ktoś odwołał rezerwację.

-

Później wyjdę i kupię ci jakieś ubrania - odezwała się Val, podchodząc od tyłu do Joela i opierając mu głowę na ramieniu.

-

Tak bardzo mi ciebie brakowało - odparł, otaczając ją ramionami. - Tak bardzo.

-

Odnaleźliśmy się, kochany. To najważniejsze. - Rozległo się pukanie do drzwi, dyskretne pukanie kelnera. - To kawa. Możesz wymyć zęby moją szczoteczką.

Usiedli twarzą w twarz przy małym marmurowym stoliku naprzeciwko okna. Oboje wiedzieli, że przyszła pora na poważną rozmowę. Joel położył koło swojej filiżanki arkusz hotelowego papieru listowego z piórem na wierzchu.

-

Ciągle nie mogę zapomnieć o swojej ciotce! - odezwała się nagle Val. -

Dlaczego byłam taka łatwowierna? Jak mogłam się nie domyślić?!

-

Sam zadawałem sobie kilkakrotnie to pytanie. - Converse uśmiechnął

się łagodnie. - Tyle że w odniesieniu do ciebie.

-

Dziwię się, że nie wyrzuciłeś mnie z wagonika przez okno.

-

Przyszło mi to do głowy tylko dwukrotnie.

-

Boże, ależ ze mnie idiotka!

-

Nie, byłaś po prostu zdesperowana - sprostował Joel. - Podobnie jak ona. Czepiałaś się każdej szansy. Ona rozpaczliwie usiłowała wrócić do jedynej ważnej epoki swojego życia. Tacy ludzie bywają niesamowicie przekonujący. Użyła właściwych słów, tych wszystkich tajemniczych zwrotów, których słuchałaś w dzieciństwie. Uwierzyłaś jej. Ja też bym uwierzył.

-

Jesteś straszny, kiedy mówisz tak łagodnie. Litości, jest dopiero rano!

-

Opowiedz mi o Samie Abbotcie - poprosił Joel.

-

Tak, oczywiście, ale najpierw chcę ci powiedzieć, że mamy sojusznika.

Rozmawiałam w Paryżu z inspektorem Surete, który wie, że nie zastrzeliłeś Renę i że nie zabiłeś tego rzekomego szofera w Jerzym V.

Zdumiony Joel pochylił się do przodu nad filiżanką.

-

Ależ zabiłem go! Bóg jeden wie, że nie zamierzałem (z początku myśla-

łem, że sięga po pistolet, a nie krótkofalówkę), lecz wdałem się z nim w bójkę i grzmotnąłem jego głową o ścianę. Przyczyną śmierci było złamanie podstawy czaszki czy coś takiego.

-

Nie, to nieprawda. Zamordowano go w szpitalu. Uduszono go, unieruchamiając klatkę piersiową. Nie miało to żadnego związku z poprzednimi obrażeniami. Prudhomme powiedział, że skoro nie zabiłeś szofera ani Renę, nie zamordowałeś także pozostałych ofiar. Uważa, że cię wrobiono, choć nie ma pojęcia, dlaczego, podobnie jak nie rozumie, czemu niszczone dowody rzeczowe lub nagle znajdowano inne, które powinny wyjść na jaw wcześniej, jak twoje odciski palców w biurze Mattilona. Chce nam pomóc; podał mi numer swojego telefonu.

-

Możemy mu ufać? - spytał Joel, notując coś na arkuszu papieru.

-

Myślę, że tak. Zrobił dziś rano coś niezwykłego, ale opowiem ci o tym później.

-

Wszystko zaczęło się od mężczyzny z Jerzego V, od adiutanta Bertholdiera - stwierdził w zadumie Joel. - Wygląda na to, że ktoś wpadł nagle na pewien pomysł i nie chciał tracić nadarzającej się okazji. "Powinniśmy uczyć się z niego zabójcę; może uda się to wykorzystać? Koszta są niewielkie, życie jednego człowieka". Boże! - Joel zapalił papierosa. - Mów dalej - poprosił. -

Zacznij od samego początku. Co z Samem?

Valerie opowiedziała o alarmującym telefonie w hotelu St Regis w Nowym Jorku, o groźnie wyglądającym młodym człowieku, który wbiegł po schodach, i oficerze ścigającym ją ulicami.

-

Co najdziwniejsze, to naprawdę mogli być pracownicy administracji -

przerwał Converse.

-Co takiego?! Niemożliwe! Pierwszy wyglądał jak członek Hitlerjugend, a drugi nosił mundur!

-

Większość wojskowych życzy generałom Akwitanii nagłej śmierci. Pa miętaj, Fitzpatrick uważał, że dossier pochodzą z tajnych archiwów wywia dowczych i że są tam fragmenty ze źródeł wojskowych. Może moi cisi współnicy z Waszyngtonu postanowili wyjść z ukrycia? Przepraszam, mów dalej.

Valerie opowiedziała o spotkaniu z Samem w przydrożnej restauracji w Las Vegas.

Okazał się człowiekiem żonatym, ojcem dwóch córeczek. Joel zachnął się i słuchał z najwyższą uwagą, łowiąc najdrobniejsze niuanse, szukając możliwych dwuznaczności, rozpaczliwie próbując znaleźć jakąś wskazówkę, którą można by wykorzystać. W końcu uniósł dłoń nad stołem, prosząc Valerie, aby umilkła.

-

Wybieraliście się do Waszyngtonu we trójkę?!

-

Tak.

-

Ty, Sam i ten trzeci mężczyzna, z którym zamierzał się spotkać i który miał jakoby wiedzieć, co robić.

-

Tak. To on kazał go zabić. Sam z nikim innym nie rozmawiał.

-

Ale podobno mu ufał. Całym sercem, tak to określiłaś, prawda?

-

Przytoczyłam tylko jego słowa - sprostowała Valerie. - Mylił się.

-

Niekoniecznie. Sam nie był człowiekiem łatwowiernym. Starannie dobierał przyjaciół; nie miał ich zbyt wielu, bo wiedział, że jako generał

znalazł

się na cenzurowanym stanowisku.

482

- Ale z nikim innym nie rozmawiał...

- Na pewno nie, ale musiał to zrobić tamten mężczyzna. Wiem coś na temat narad kryzysowych w Waszyngtonie, a Sam chciał cię zabrać właśnie na jedną z nich.

Takich konferencji nie organizuje się codziennie; trzeba użyć naprawdę mocnych słów, żeby się przedrzeć przez biurokratyczne zapory. Na początku wymieniono niewątpliwie nazwisko Sama, który miał odpowiedni stopień. później może moje, twoje, a nawet Delavane'a. Wystarczyłoby zresztą jedno z nich. - Converse podniósł pióro. - Jak się nazywał?

- Boże... - Val zamknęła oczy i potarła palcami czoło. - Pozwól mi się zastanowić... Alan, na imię miał Alan... Alan Metzger? Metland?...

-

Miał jakiś stopień, stanowisko służbowe?

-

Nie. Metcalf! Nazywał się Alan Metcalf. Joel zapisał nazwisko.

-

W porządku. Teraz opowiedz mi o Paryżu i o inspektorze Surete.

Val opisała dziwne zachowanie urzędników służby imigracyjnej, które doprowadziło do niezwyklej rozmowy z pomarszczonym, znużonym, wymiętym Prudhomme'em.

Przytoczyła rewelacje Francuza, powtarzając się, lecz dodając szczegóły, które poprzednio pominęła. Kiedy skończyła, Converse uniósł ponownie dłoń i otworzył

usta ze zdumienia; miał rozszerzone, błyszczące oczy.

-

Krewna Tatiany? - spytał z niedowierzaniem. - Jesteś pewna?!

-

Najzupełniej. Pytałam go o to wczoraj po raz drugi.

-

Wczoraj? Prawda, podobno zrobił wczoraj coś niezwykłego. Co się stało?

-

Całą noc siedział przed hotelem w swoim samochodzie, a kiedy po wscho dzie słońca wsiadłam do taksówki, zderzył się z autem jadącym za nami. Śle dzono mnie. Kazał mi odejść jak najszybciej z miejsca wypadku. Właśnie wte dy poprosiłam go o powtórzenie imienia. To na pewno Tatiana.

-

Renę polecił mi przedstawić się tym imieniem Cortowi Thorbecke w Amsterdampie. "Powiedz, że jesteś krewnym Tatiany", tak się wyraził.

-

Co to znaczy?

-

Renę nie wnikał w to zbyt głęboko, ale dał mi ogólne pojęcie. Zdaje się, że przynależność do rodziny Tatiany to swego rodzaju gwarancja, że komuś można powierzyć najpilniej strzeżone tajemnice.

-

Dlaczego?

- Brzmi to wariacko, ale Mattilon twierdził, że krewnym Tatiany ufają najbardziej podejrzliwi ludzie na świecie, którzy nie mogą sobie pozwolić na popełnienie błędu.

- Kto taki, na Boga?!

- Rosjanie. Moskiewscy komisarze przekazujący pieniądze zachodnim maklerom w celach inwestycyjnych.

- Masz rację, to czyste wariactwo - stwierdziła Val.

- Ale funkcjonuje w praktyce, nie rozumiesz? To hasło uczciwych ludzi, którzy z jakiegoś powodu znaleźli się wśród wrogów i nie wiedzą, komu można zaufać. Jeśli ktoś podaje się za krewnego Tatiany, oznacza to, że jest czysty, 483

niezależnie od tego, co robi. Założę się, że to cholernie mały krąg ludzi. Rene i Prudhomme pasują do niego. Tatiana to dla nas pewien klucz, któremu możemy zaufać.

-

Rozumiesz jak przed rozprawą, prawda? - spytała była i obecna Converse, ujmując nad stołem wolną rękę Joela.

-

Nie znam innego sposobu. Trzeba wziąć pod uwagę fakty, nazwiska i taktykę; musi istnieć droga, którą powinniśmy podążać, i to szybko.

-

Ja zaczęłabym od Prudhomme'a - stwierdziła Val.

-

Posłużymy się nim, lecz może nie od razu. Wszystko po kolei. Czy są tu dwa telefony? Wczoraj byłem zbyt zajęty swoją ekszoną, żeby to zauważyć

-

Twoja ekszona jest zapewne w ciąży.

-

Czyż to nie cudowne?!

-

Uspokój się, żartowałam. Tak, mamy drugi telefon. Jest w łazience.

-

Chcę, żebyś zadzwoniła do tego Alana Metcalfa z Las Vegas. Numer poda nam informacja. Posłucham waszej rozmowy.

-

Co mam powiedzieć?

-

Jakim nazwiskiem posługiwaliście się z Samem?

-

Virginia Parquette.

-

Powiedz, że dzwoni Virginia Parquette, nic więcej. Niech wykona pierw szy ruch. Jeśli okaże się fałszywy, poznam się na tym i odłożę słuchawkę.

Usłyszysz to i przerwiesz połączenie.

-

A jeśli go nie zastanę? Jeśli telefon odbierze żona, przyjaciółka albo dziecko?

-

Podaj nazwisko i powiedz, że zadzwonisz za godzinę.

Stone siedział na kanapie, oparłszy stopy na stoliku do kawy. Naprzeciwko niego zajęli fotele kapitan wojsk lądowych oraz młody porucznik marynarki, obaj po cywilnemu.

-

Wobec tego zgadzamy się - stwierdził Stone. - Wypróbujemy tego Met calfa; miejmy nadzieję, że jest czysty. Jeśli się pomyliliśmy, jeśli ja się pomyli

łem, ryzykujemy, że nas wytropią. Nie oszukujcie się, widziano was tutaj, mo żecie zostać zidentyfikowani. Jak już wspomniałem, wcześniej czy później trzeba podjąć ryzyko, na które nie ma się ochoty. Wkraczacie na niebezpieczny teren, panowie. Może wszystko dobrze się skończy, ale nie mogę tego obie cać. Ten telefon jest podłączony do aparatu w hotelu po przeciwnej stronie miasta, więc zanim tu dotrą, muszą sprawdzić wszystkich gości i każdy pokój.

Później jednak pierwszy lepszy doświadczony monter może z łatwością usta -

lić w piwnicach numer naszego telefonu.

-

Ile mamy czasu? - spytał kapitan.

-

To jeden z największych hoteli Nowego Jorku. Dobę, może nawet półtorej, jeśli dopisze nam szczęście.

-

Do dzieła! - odezwał się porucznik.

484

- Tak, oczywiście, niech go pan wypróbuje - rzekł kapitan, przesuając Po włosach palcami. - Chociaż ciągle nie wiem, dlaczego chce pan to zrobić, przestudiowałem rozkład dnia Abbotta. Dokładnie planował swoje zadania. a ja łatwo zdobyłem jego notatki. Najczęściej jadał lunch właśnie z Metcalfem, a poza tym spotykali się często na gruncie towarzyskim razem z rodzinami. Net calf to doświadczony oficer wywiadowczy i Abbott na pewno zwrócił się właśnie do niego.

Jest jeszcze coś. Abbott, Metcalf i Converse byli wszyscy jeńcami wojennymi w Wietnamie.

- Do dzieła! - zawołał porucznik.

- Niech pan wymyśli inne określenie, na litość boską! - rzekł kapitan.

-

To automatyczna sekretarka! - krzyknęła Valerie, zakrywając dłonią słuchawkę.

Joel wyszedł z łazienki.

-

Za godzinę - szepnął.

-

Tu Virginia Parquette - odezwała się Valerie. - Zadzwoń za godzinę.

Rozłączyła się.

-

Będziemy telefonować w godzinnych odstępach - rzekł Converse, wpa trując się w aparat. - Nie podoba mi się to. W Las Vegas jest teraz pierwsza w nocy, a jeśli Metcalf ma żonę i dzieci, ktoś powinien być w domu.

-

Sam nie wspominał o rodzinie Metcalfa.

-Nie było potrzeby.

-

Jego nieobecność może wynikać z najrozmaitszych powodów, Joel.

-

Miejmy nadzieję, że nie z tego, o którym myślę.

-

Pozwól mi zadzwonić do Prudhomme'a-poprosiła Valerie. - Posłuż my się rodziną Tatiany.

-

Jeszcze nie.

-

Dlaczego?

-

Myślę o czymś innym.

Wzrok Converse'a spoczął nagle na grubej kopercie zaadresowanej do Nathana Simona. Leżała na biurku, a na wierzchu znajdował się fałszywy paszport.

-

Mój Boże, może jest pewien sposób - odezwał się cicho. - Ta koperta jest tutaj cały czas, a ja nie zwróciłem na nią uwagi.

Val podążyła za wzrokiem Joela.

-

Masz na myśli memorandum dla Nathana?

-

Nazwałem je najlepszym memorandum w całej swojej karierze, choć oczywiście to coś zupełnie innego. Nie ma nic wspólnego z prawem, chyba że w najszerszym, najbardziej abstrakcyjnym sensie, bez dowodów wspierają cych oskarżenie. To po prostu opis wybujałych ambicji potężnych ludzi, któ

-

rzy chcieliby zmienić prawo i zastąpić rządy cywilne wojskowymi w imię ładu i Praworządności. Oni naprawdę są w stanie doprowadzić do fali zamachów terrorystycznych.

485

-

Do czego zmierzasz, Joel?

-

Jeśli chcę wysunąć oskarżenie, powinienem zacząć w zwykły sposób, od zaprzysiężonych zeznań świadków, ze mną włącznie.

-

O czym ty, do licha, mówisz?!

-

O prawie, pani Converse - odparł Joel, biorąc kopertę. - Właśnie do tego potrzebne mi jest to memorandum. Możemy je wykorzystać w zmienionej formie. Będę naturalnie potrzebował zeznań innych świadków, którzy potwierdzą moje zarzuty. Właśnie dlatego zadzwonisz do Prudhomme'a jako krewna Tatiany. Później skontaktujemy się z przyjacielem Sama, Metcalfem do licha, musi przecież coś nam powiedzieć! W końcu zamierzam osobiście przesłuchać przynajmniej dwóch podejrzanych, Leifhelma i Abrahamsa, a może nawet Delavane'a.

-

Jesteś szalony! - zawołała Valerie.

-

Wcale nie. Będę potrzebował pomocy, ale stać mnie na wynajęcie kilku pomocników. Kiedy Prudhomme to zrozumie, będzie wiedział, gdzie ich zna leżć. Czeka nas mnóstwo roboty, Val. Sądy lubią nieskazitelne maszynopisy.

-

Mów po ludzku, Joel, na miłość boską!

-

Jesteś romantyczką, moja droga - rzekł, zbliżając się do żony. - To właśnie te szczegóły techniczne, których nie ma w pejzażach marynistycznych.

-

Przedtem trzeba wykonać szkice, kochany, dobrać kolory... O czym ty właściwie mówisz?

-

Potrzebujemy stenotypistki, a najlepiej sekretarki obeznannej z prawem, jeśli uda się taką znaleźć. Kogoś, kto w razie potrzeby zgodzi się siedzieć tu cały dzień i pół nocy. Musisz zaproponować stawkę trzykrotnie wyższą od normalnej.

-

A jeśli znajdę taką osobę i zapyta mnie, co robimy?

Joel zmarszczył brwi, podchodząc bez celu do okna.

-

Piszemy powieść - stwierdził. - Pierwsze dwadzieścia czy trzydzieści stron to opis przygotowań do procesu sądowego.

-

Z udziałem postaci rzeczywistych, powszechnie znanych?

-

To nowy rodzaj literatury, ale to tylko powieść, nic więcej.

Zaświtał nowojorski poranek, a Stone został znowu sam. Porucznik i kapitan siedzieli już za swoimi biurkami w Waszyngtonie. Tak było bezpieczniej. Nie mogli w niczym pomóc, a im rzadziej pojawiali się koło apartamentu, tym mniejsza szansa, że ktoś ich rozpozna, jeśli zaciśnie się pętla. A pętla mogła się zacisnąć w każdej chwili. Było to równie oczywiste jak to, że pułkownik Alan Metcalf jest absolutnie niezbędny. Bez niego -jak powiedziałaby w dawnych czasach Johnny Reb - nie da się zatańczyć polki. Ale czy Metcalf może się odnaleźć? -

zastanawiał się były oficer operacyjny Centralnej Agencji Wywiadowczej.

Wszystkie znaki na ziemi i niebie wskazywały, że zniknął.

486

komisja śledcza z Nellis nie rozumiała jego nieobecności ani nie była nią zahwycona. Padło na ten temat kilka ostrych słów. jednakże Stone rozumiał.

Metcalf dowiedział się prawdy i nie zamierzał zginąć strzegąc regulaminów. Oczywiście pod warunkiem, że zna się na swoim fachu i żyje-Były agent CIA potrafił posługiwać się automatycznymi sekretarkami, w jakie wyposażono instytucje związane z wywiadem i kontrwywiadem: aparaty te były jedną z lepszych inwestycji podatników amerykańskich, biorąc pod uwagę przeraźliwe marnotrawstwo w innych dziedzinach. Metcalf mógł Wykorzystać swoją sekretarkę - oczywiście pod warunkiem, że żyje i zna się na swoim fachu.

Powinien programować ją na odległość z innego telefonu, nagrywając i ścierając pewne informacje, najlepiej fałszywe. Aby uzyskać dostęp do taśm, musiał podawać hasło, prawdopodobnie zmieniane codziennie; w wypadku błędu kasetę z nagraniami stopiłaby dziesięciosekundowa emisja mikrofalowa. Były to standardowe praktyki.

Oczywiście pod warunkiem, że Metcalf zna się na swoim fachu i żyje.

Stone liczył na jedno i drugie: że pułkownik zna się na swoim fachu i żyje.

Rozważanie innych możliwości nie miało sensu, prowadziło do biernego oczekiwania na tryumf Akwitanii i przemianę wszystkich w roboty. Właśnie dlatego godzinę temu, o szóstej trzydziści pięć, nagrał na automatycznej sekretarce Metcalfa pewną wiadomość. Przedstawił się imieniem, które była żona Converse'a musiała podać martwemu Samuelowi Abbottowi. "Mówi Marek Aureliusz. Proszę o kontakt".

Później podyktował numer telefonu w wynajętym mieszkaniu, który doprowadziłby ewentualnych tropicieli do hotelu Hil-ton na Pięćdziesiątej Drugiej ulicy.

Stone marzył o kontakcie z kimś jeszcze, ale poinformowano go, że "przebywa on na urlopie i nie można się z nim porozumieć". Było to wierutne łgarstw o, jednak zdemaskowanie go wymagało powiedzenia więcej, niż Stone gotów był zrobić.

Chodziło o Dereka Bellamy'ego, szefa wywiadu brytyjskiego i jednego z nielicznych prawdziwych przyjaciół Stone'a z długich lat pracy w Centralnej Agencji Wywiadowczej. Byli tak bliskimi przyjaciółmi, że kiedy Peter był

rezydentem w Londynie, Bellamy powiedział mu bez ogródek, że Powinien się wycofać na pewien czas, zanim kompletnie się rozpije.

"Znam lekarza, który może wystawić ci zaświadczenie, że przeszedłeś niegroźne załamanie nerwowe, Peter. Na terenie mojej posiadłości w hrabstwie Kent stoi niewielki domek gościnny. Zamieszkał tam i przyjdź do siebie, stary".

Stone odmówił i okazało się to najbardziej destruktywną decyzją w całym Jego życiu. Nastąpił alkoholowy koszmar przewidywany przez Anglika.

Ale Peter nie chciał skontaktować się z Bellamym z powodu dawnej przyjaźni.

Przyczyną była błyskotliwość Bellamy'ego, jego głęboka inteligencja skryta pod miłą, prozaiczną maską. I to, że Derek Bellamy posiadał fenomenalną intuicję, która przy odrobinie szczęścia mogła pozwolić mu się domyślić, jakie są plany Delavane'a. Stone miał nadzieję, że Derek wyczuwa już

487

rękę Akwitańczyków w Irlandii, gdzie z pewnością przebywa. Wcześniej później (oby wcześniej) Bellamy odpowie na telefon. Kiedy to zrobi, dowie się o transporcie broni z Beloit w stanie Wisconsin. Szef wywiadu brytyjskiego nienawidził ludzi pokroju Delavane'a. Stary przyjaciel stanie się sprzymierzeńcem w walce przeciwko generałom.

Zadzwonił telefon. Były agent CIA pozwolił mu zadzwonić jeszcze raz. Metcalf?

Stone podniósł słuchawkę.

-Tak?

-

Aureliusz?

-

Przeczuwałem, że pan zadzwoni, pułkowniku.

-Kim pan właściwie jest, do jasnej cholery?!

-

Nazywam się Stone i stoimy po tej samej stronie, przynajmniej tak są dżę. Ale pan nosi mundur, a ja nie, więc to, że z panem rozmawiam, świadczy o ogromnym zaufaniu.

-

To pan jest jednym z tych drani z Waszyngtonu, którzy go wysłali'

-

Jest pan bardzo uprzejmy, pułkowniku. Włączyłem się w to stosunkowo późno, ale owszem, jestem jednym z tych drani. Co się stało z generałem Abbottem?

-

Zginął, ty sukinsynu... Mam nadzieję, że ten telefon jest czysty?

-

Co najmniej na dobrę. Później wszyscy znikniemy jak kamfora, podobnie jak pan.

-

Nie gryzie was sumienie?! Wiecie, co zrobiliście?!

-Nie mamy czasu na wyrzuty sumienia, pułkowniku. Może później, jeśli przeżyjemy... Niech pan da spokój, dostałem już za swoje. Wróćmy do rzeczy.

Gdzie możemy się spotkać? Gdzie pan jest?

-

Dobrze już, dobrze - odparł najwyraźniej wyczerpany pułkownik lotnic twa. - Latałem cały dzień

samolotami z miejsca na miejsce. Jestem teraz w Knox -

ville w stanie Tennessee. Za dwadzieścia minut odlatuję do Waszyngtonu.

-

Po co?

-

Żeby ujawnić tę cholerną historię!

-

Tak? No to już pan nie żyje. Myślałem, że zdążył pan to zrozumieć. Przekazał pan komuś informacje uzyskane od Abbotta?

-Tak.

- I generała zestrzelono, nie?

-

Niech pan się zamknie, do cholery!

-

Powinien pan już rozumieć. Są świetnie zakonspirowani. Ale znajdą pana, jeśli powie pan słowo niewłaściwej osobie.

-

Wiem! - krzyknął Metcalf. - Tylko, że pracuję w tym fachu od dwudzie stu lat! Musi być ktoś, komu mogę zaufać!

-

Porozmawiajmy o tym, pułkowniku. Niech pan da spokój z Waszyngtonem i przyleci do Nowego Jorku. Zarezerwuję panu pokój w hotelu Algon'

quin. Właściwie już to zrobiłem.

-

Na jakie nazwisko?

, Marcus, oczywiście.

- Zgoda, ale skoro zabrnęliśmy tak daleko, muszę panu coś powiedzieć, od pierwszej w nocy usiłuje się ze mną skontaktować pewna kobieta.

- Żona Converse'a?!

- Tak.

- Potrzebujemy jej. Potrzebujemy Converse'a!

- Przeprogramuję automatyczną sekretarkę. Algonquin?

- Tak.

- Converse pochodzi z Nowego Jorku, prawda?

-

Owszem. Mieszka tam od wielu lat.

-

Mam nadzieję, że oboje są inteligentni.

-

Gdyby było inaczej, dawno by już nie żyli, pułkownika.

-

Zobaczymy się za parę godzin, Stone.

Cywil odłożył drżącymi dłońmi słuchawkę i spojrzał na butelkę whisky po drugiej stronie pokoju. Nie! Żadnego alkoholu, obiecał to sobie! Wstał z fotela i podszedł do łóżka, gdzie leżała otwarta mała walizka. Spakował się, wyszedł z pokoju i ruszył ku windom w korytarzu, pozostawiwszy whisky na stole.

Ja, Joel Harnson Corverse, wpisany na listę adwokacką w stanie Nowy Jork i zatrudniony w kancelarii Talbota, Brooksa i Simona przy Piątej Alei 666 w Nowym Jorku, dziewiątego sierpnia bieżącego roku przybyłem do Genewy w celu prowadzenia rokowań w imieniu naszego klienta, koncernu Comtech, dla sfinalizowania planowanej fuzji z grupą przemysłową Bem Dziesiątego

sierpnia około godziny ósmej rano skontaktował się ze mną główny negocjator strony szwajcarskiej, mecenas Avery Preston Halliday z San Francisco w Kalifornii Ponieważ reprezentował interesy firmy szwajcarskiej od niedawna, zgodziłem się z nim spotkać, aby wyjaśnić punkty sporne i nasze stanowisko na ten temat. Kiedy przybyłem do kawiarni na Quai du Mont Blanc, mecenas Halliday okazał się moim bliskim przyjacielem z okresu nauki w Liceum Tafta w Watertown w stanie Connecticut. przed wielu laty Nazywał się wówczas Avery Preston Fowler Mecenas Halliday potwierdził ów fakt, tłumacząc, że zmienił nazwisko po śmierci ojca i ponownym małżeństwie matki z niejakim Johnem Hallidayem z San Francisco.

Wyjaśnienie było wiarygodne, jednakże złożono je w bardzo dziwnych okolicznościach. Mecenas Halliday miał przedtem wiele okazji, by poinformować mnie o swojej tożsamości, lecz tego nie zrobił. Miał po temu powody. Rankiem dziesiątego sierpnia chciał spotkać się ze mną w tajemnicy w sprawie zupełnie niezwiązanej z fuzją Comtechu i grupy Bern. W istocie rzeczy przybył do Genewy właśnie po to, aby ze mną Porozmawiać. Było to pierwsze niepokojące zwierzenie z jego strony...

489

Bardzo dobrze wychowana i pełna rezerwy Brytyjka przepisująca na maszynie stenogram podyktowany przez Converse'a nie okazywała najmniejszego zainteresowania opracowywanym tekstem. Miała zaciśnięte wargi, odpychający siwy kok na czubku głowy i pracowała jak automat obojętny na wszystko. Kiedy Valerie wyjaśniła ostrożnie, iż jej mąż jest powieściopisarzem amerykańskim zainteresowanym ostatnimi wydarzeniami w Europie, sekretarka spojrzała na nią lodowato i stwierdziła, że nigdy nie ogląda telewizji i bardzo rzadko czyta gazety. Jest członkinią Francusko-Włoskiego Towarzystwa Przyjaciół Alp i cały jej czas wolny od obowiązków zawodowych pochłania obrona skarbów przyrody przed niszczącą działalnością człowieka. Kojarzyła się nieodparcie z robotem i Val wątpiła, czy wiedziałaby, co piSze gdyby dyktowano jej Księgę Rodzaju.

Minęło siedem godzin, a w telefonie Alana Metcalfa w Las Vegas wciąż odzywała się tylko automatyczna sekretarka. Nadeszła pora ósmej próby.

-

Jeśli teraz też go nie zastaniemy - rzekł ponuro Joel wśród cichych dźwięków maszyny do pisania po przeciwnej stronie pokoju - będziesz musiała zadzwonić do Prudhomme'a. Chciałem najpierw porozmawiać z Metcalfem, ale to chyba niemożliwe.

-

Co to właściwie za różnica? Potrzebujemy natychmiastowej pomocy, a Prudhomme gotów jest jej udzielić.

-

Różnica polega na tym, że wiem, kim jest Prudhomme, bo sama mi to powiedziałaś. Orientuję się, co może, a czego nie może, natomiast Metcalf to ciągle zagadka, choć Sam przypisywał mu ogromne znaczenie. Z kimkolwiek się skontaktuję, muszę wygłosić serię ciężkich oskarżeń pod adresem wpływowych ludzi. To zobowiązujące, Val, i wolałbym trafić do właściwej osoby... Spróbuj zadzwonić do Metcalfa jeszcze raz.

Joel odwrócił się i ruszył do telefonu w łazience, gdy tymczasem Valerie wykręcała numery kierunkowe Las Vegas w stanie Nevada.

-

Dzwoniący C, wiadomość przyjęta. Proszę powtórzyć dwukrotnie swoje nazwisko, a następnie policzyć powoli do dziesięciu. Proszę się nie rozłączać.

Joel położył słuchawkę na umywalce i popędził do pokoju. Podszedł do Val, uniósł rękę, nakazując milczenie, i sięgnął po ołówek leżący na biurku.

"Zrób to, o co prosi. Zachowaj spokój. ANE" - napisał na arkuszu papieru listowego.

-

Mówi Virginia Parquette - odezwała się Valerie, marszcząc ze zdziwieniem brwi. - Mówi Virginia Parquette. Jeden, dwa, trzy, cztery...

Converse wrócił do łazienki i podniósł słuchawkę.

-

...osiem, dziewięć, dziesięć.

Cisza. W końcu rozległy się dwa ostre pstryknięcia i popłynął metaliczny głos:

-

Tożsamość potwierdzona, dziękuję. W tej chwili odtwarzana jest druga taśma, która następnie ulegnie zniszczeniu. Proszę słuchać uważnie. Wódz plemienia indiańskiego przebywa na wyspie. Koniec przekazu. Czekamy z niecierpliwością.

490

Joel odłożył słuchawkę i przyjrzał się ledwo czytelnym wyrazom, które gryzmolił

pośpiesznie mydłem na lustrze nad umywalką. Otworzyły się drzwi i weszła Valerie z arkuszem hotelowego papieru listowego w rękę.

- Zapisałam to słowo w słowo - rzekła, wręczając Joelowi arkusz.

-

Ja nabazgrałam to bokiem: tak jest lepiej. Boże, to jakiś szyfr!

-Nie gorszy niż ten, który mi zadałeś. Co, u licha, znaczy ANE?

-

Analizator napięcia emocjonalnego - odpowiedział Converse, opierając się o ścianę i czytając wiadomość przekazaną przez Metcalfa. Spojrzał na Val - To urządzenie rozkładające na czynniki pierwsze ludzki głos. Podłącza się je do telefonu lub magnetofonu, żeby sprawdzić, czy rozmówca kłamie.

Larry Talbot bawił się tym przez jakiś czas, ale podobno wszyscy łgali jak naję ci łącznie z jego dziewięćdziesięciodwuletnią matką. Wyrzucił tę maszynkę.

-

Czy to działa?

-

Jest jakoby znacznie lepsze od wykrywacza kłamstwa, jeśli się umie z tego korzystać. Zadziałało w twoim przypadku. Twój głos porównano z po przednimi nagraniami, a to znaczy, że Metcalf dysponuje bardzo skomplikowaną aparaturą. ANE uruchomiło drugą taśmę, czyli Metcalf musiał zaprogramować maszynę z innego telefonu, bo inaczej sam odpowiedziałby po zdaniu przez ciebie egzaminu.

-

Ale skoro zdałam, po co szyfr? Po co wódz plemienia przebywający na wyspie?

-

Bo taką maszynę zawsze można przechytrzyć. Właśnie dlatego rezulta ty testów tego typu nie mogą służyć jako dowody w sądzie. Przed wielu laty zbadano wykrywaczem kłamstwa Williiego Suttona i okazało się, że nie włączył się nawet do niczyjej skarbonki, a cóż dopiero do Chase Manhattan Banku. Metcalf był gotów podjąć pewne ryzyko, ale nie przesadnie wielkie. On także się ukrywa.

Converse znów wbił wzrok w arkusz papieru.

-

Wódz plemienia przebywa na wyspie - przeczytała cicho Valerie słowa napisane mydłem na lustrze.
- O jaką wyspę może chodzić? O Antyle, gdzie żyły plemiona Karib, a może o Haiti lub Jamajkę? W

grę wchodzą nawet Wyspy Bahama, zamieszkane przez Indian z plemienia Luc Lucayan.

-

Zdumiewasz mnie - odezwał się Converse znad arkusza papieru. - Skąd znasz się tak dobrze na Indianach?

-

Z zajęć z historii sztuki - odparła. - Symbolika kultur prymitywnych to ważny element przygotowania malarza... Ale nic tu nie pasuje.

-

Dlaczego? Może to jakiś modny kurort na Morzu Karaibskim? Wódz Plemienia to oczywiście Delavane, który nosi imię Marcus na pamiątkę Marka Aureliusza, cesarza rzymskiego. O którą wyspę karaibską może chodzić, jak Myślisz?

- To zbyt luźne skojarzenia, zbyt abstrakcyjne. Same bryły i figury geometryczne bez wyraźnej faktury.

- A o czym ty, u licha, mówisz? - spytał Converse.

491

-

Mamy do wyboru zbyt wiele miejsc, o których mogliśmy nawet słyszeć. To na pewno coś bliższego, konkretniejszego, co potrafimy znać. Jak obrazy Bruegla albo Vermeera pełne realistycznych szczegółów

-

Mówisz niesłuchanie metaforycznie.

Valerie wzięła od Joela arkusz papieru.

-

Wyspajesz na przykład Manhattan - rzekła cicho, marszcząc brwi.

-

Nigdy nie słyszałem, żeby mieszkały tam jakiegokolwiek plemiona indiańskie.

-

Poczekaj. Szyfr wskazuje wyraźnie na Delavane'a. Czyjego nazwisko nie kojarzy ci się z jakimś plemieniem indiańskim?

-

Delavane? Pomyślmy chwilę: Apacze, Komańcze, Hopi... Mam: Delawarowie!

-

Delawarowie. To na pewno to!

-

Może wobec tego chodzi o stan Delavare?

-

Nie, to nie byłaby żadna wskazówka. Zastanówmy się, do jakiej grupy Indian należeli Delawarowie?

-

Do Algonkwinów!

-

Hotel Algonquin na Manhattanie! - zawołała Valerie. - Wszystko się zgadza!

-

Przekonamy się za kilka minut - stwierdził Joel. - Idź do pokoju i za dzwoń.

Niekończące się oczekiwanie było nie do zniesienia. Converse spojrział na siebie w lustrze. Twarz pokryła mu się kroplistym potem, od którego piekły zadrapania i oczy. Miał drżące ręce i przyspieszony oddech. Valerie połączyła się z recepcją hotelu Algonquin i poprosiła o pana Marcusa. Dłuższą chwilę panowała cisza, a kiedy telefonistka znów się odezwała, Joel miał ochotę cisnąć telefonem w lustro.

-

Mieszka u nas dwóch panów Marcusów, proszę pani. Z którym z nich chciałaby pani rozmawiać?

-

Co za pechowy dzień! - rozległ się nagle w słuchawce głos Valerie, zdumiewając Converse'a. - Ten idiota, mój szef, kazał mi zadzwonić natychmiast do pana Marcusa w hotelu Algonquin i umówić go na lunch. Teraz po szedł na jakieś zebranie, a ja nie wiem, co robić. Przepraszam, moja droga, nie

chcę zanudzać pani swoimi kłopotami.

-

Nic nie szkodzi, też mamy kilku takich szefów.

-

Może mogłaby mi pani pomóc? Gdyby powiedziała mi pani coś o tych Marcusach, pewnie rozpoznałabym imię albo nazwę firmy.

-

Oczywiście. Zaraz sprawdzę w komputerze. Trzeba sobie wzajemnie pomagać, prawda?... O, już mam. Myron Marcus, Oryginalne Kopie Sugarmana'

i Peter Marcus z Georgetown w Waszyngtonie. Niestety, to bardzo niewiele.

-

To ten drugi, jestem pewna. Dziękuję, kochanie.

-

Cieszę się, że pani pomogłam. Już łączę.

492

Stone wpisał piórem dwa ostatnie słowa do krzyżówki w "New York Timesie" leżącym na kolanach i spojrzął na zegarek. Rozwiązanie zabrało mi dziewięć minut.

Dziewięć minut ulgi, szkoda, że nie dłużej. Jedną z przyjemności na stanowisku szefa ekspozytury CIA w Londynie była codzienna krzyżówka w londyńskim

"Timesie". Mógł zawsze liczyć na to, że poszukując słów i znaczeń, zapomni o dręczących go problemach przynajmniej na pół godziny. ' Rozległ się dzwonek telefonu. Stone obrócił gwałtownie głowę, wpatrując się w aparat. Serce waliło mu jak oszalałe i zaschło mu nagle w ustach. Nikt nie wiedział, że wprowadził

się do hotelu Algonquin pod nazwiskiem Marcus. Nikt! . • Owszem, był ktoś taki, ale leciał akurat samolotem z Knoxville w stanie Tennessee. Co się stało? Czyżby Stone pomylił się co do Metcalfa? Czyżby rzekomo zdesperowany oficer lotnictwa był jednym z Akwitańczyków?! Czy intuicja Stone'a, wyostrzona w ciągu długich lat pracy w ryszotku, opuściła go, bo rozpaczliwie poszukiwał drogi wyjścia, ucieczki ze stalowej sieci, która zaczynała się wokół niego zaciskać?! Wstał z łękiem z fotela i podszedł powoli do stolika przy łóżku. Podniósł słuchawkę uparcie dzwoniącego telefonu. -

Tak?

-

Alan Metcalf? - spytał cichy, mocny kobiecy głos.

Zdumiony Stone nie mógł się skoncentrować. Nie był w stanie myśleć! -Kto?!

-

Przepraszam, to pomyłka.

-

Proszę zaczekać! Niech pani nie odkłada słuchawki! Metcalf już tu jedzie!

-

Przepraszam.

-

Proszę! Chryste Panie, proszę! Byłem zmęczony, spałem! Czuwaliśmy całą dobę na okrągło...! Dwie godziny temu Metcalf powiedział mi, że prze programuje swoją automatyczną sekretarkę, bo ktoś usiłuje się z nim skontaktować od pierwszej w nocy! Musiał uciekać! Zginął pewien pilot! To nie wy padek! Rozumie mnie pani?!

-

Dlaczego mam z panem rozmawiać? - spytała kobieta. - Żeby mógł pan ustalić, skąd dzwonię?

-

Proszę posłuchać - odezwał się Stone, zapanowawszy całkowicie nad swoim głosem. - Nawet gdybym chciał to zrobić (a nie mam najmniejszego zamiaru), znajduję się w hotelu, a nie w prywatnym mieszkaniu, więc potrzebowaliby trzech ludzi przy kablach i jednego w recepcji. Odnalezienie wła-

ściwego przewodu zajęłoby im nie mniej niż cztery minuty i dopiero wówczas mogliby wysłać sygnał tropiący, który zresztą pozwoliłby ustalić tylko przybliżyony obszar, a nie konkretny telefon. A jeśli dzwoni pani z zagranicy, na miej -

Scu musiałby się znajdować kolejny monter, mogący ograniczyć pole poszukiwań do koła o promieniu trzydziestu kilometrów, ale tylko wtedy, gdyby pozostawała pani przy telefonie przez co najmniej osiem minut... Proszę mi dać choćby dwie, na litość boską...!

- Niech pan mówi, byle szybko!

- Domyśliłem się, do kogo się pani zwróciła, pani DePinna.

493

-

DePinna?!

-

Tak. Książka telefoniczna w pani pokoju była otwarta na niebieskich stronicach z numerami instytucji rządowych. Skojarzyłem to z wypadkiem w Newadzie i dwie godziny temu moje przypuszczenia się potwierdziły. Z budki telefonicznej na lotnisku zadzwonił do mnie Metcalf. Generał długo z nim '

rozmawiał. Metcalf przyłącza się do nas... Uciekła pani przed niewłaściwymi ludźmi, pani DePinna. Poza tym uważam, że człowiek, którego poszukujemy słucha właśnie naszej rozmowy.

-

Nikogo tu nie ma!

-

Proszę mi nie przerywać! Muszę wykorzystać każdą sekundę! - głos Stone'a nabrał nagle mocy. - Leifhelm, Bertholdier, van Headmer, Abrahms!

I piąty człowiek, którego nie potrafimy zidentyfikować, Anglik zakonspiro wany tak dobrze, że Burgess, Maclean i Blunt wydają się przy nim amatorami!

Wiemy tylko, że posługuje się magazynami w Irlandii, frachtowcami i zapożyczonymi lotniskami, by przesyłać nielegalnie broń! Dossier pochodzą od nas, Converse! To myśmy je opracowali! Jako adwokat zdajesz sobie sprawę, że wypowiadając twoje nazwisko, stajesz się współwinny albo popełniasz samo bójstwo, jeśli ktoś słucha naszej rozmowy! Powiem coś więcej. To my zwerbowałeś cię w Genewie przy pomocy Prestona Hallidaya. Miałeś zebrać dowody przestępstwa, żebyśmy mogli położyć temu kres bez większych szkód, ściągając tych cholernych idiotów z powrotem na ziemię! Ale pomyliliśmy się. Posunęli się dalej, niż przypuszczaliśmy. Podejrzał to tylko Beale z Mi -

konos i dlatego zginął. Nawiasem mówiąc, to właśnie on był "człowiekiem z San Francisco". Pół miliona dolarów należało do niego; pochodził z bogatej rodziny, po której odziedziczył nie tylko pieniądze, lecz także sumienie. Przy pomnij sobie Mikonos! Beale opowiedział ci dzieje swojego życia... Najpierw był bohaterem wojennym, później uczonym, a wreszcie stał się zabójcą, co musiało go drogo kosztować... Podobno prawie go przyłapałeś na kilku szcze gółach, które nieopatrznie zdradził. Twierdził, że jesteś dobrym prawnikiem i że trafnie cię wybrano. Preston Halliday był jego studentem w Berkeley, a pół

tora roku temu, kiedy wszystko się zaczęło i zdał sobie sprawę, do czego wy korzystał go Delavane, poszedł do Beale'a, który wybierał się właśnie na emeryturę. Reszty możesz się domyślić.

-

Niech pan powie to, co chcę usłyszeć - przerwał kobiecy głos. -

pan powie!

-

Oczywiście, że to zrobię. Converse nie zabił Peregrine'a ani głównodowodzącego NATO. Skazał ich na śmierć George Marcus Delavane, bo obaj nienawidzili takich jak on! Byli bardzo wygodnymi celami! Nie wiem, kim są inni; nie wiem, co cię spotkało, ale rozpracowaliśmy łgarza z Bad Godesberg, majora z ambasady, który widział cię rzekomo na moście Adenauera! Nie ma o tym pojęcia, lecz coś z niego wydobyliśmy. Wydaje nam się, że wiemy, gdzie jest Connal Fitzpatrick. Uważamy, że żyje!

-

Skurwysyny! - rozległ się głos Joela Converse'a.

494

- Bogu niech będą dzięki! - westchnął cywil, siadając na hotelowym łóżku. -

Nareszcie możemy porozmawiać. Powiedz mi wszystko, co wiesz. Ten telefon jest czysty.

po dwudziestu minutach Peter Stone odłożył słuchawkę na widełki. Drżały mu ręce.

Rozdział 36

Generał Jacques Louis Bertholdier przestał poruszać gwałtownie lędźwiami, odsunął się od jęczącej ciemnowłosej kobiety, położył się na boku i chwycił

słuchawkę telefonu.

-

Tak?! - krzyknął gniewnie i zaczął słuchać. Jego twarz stawała się stop niowo popielata, a organ płciowy zaczął się kurczyć. - Gdzie to się stało? -

wyszeptał niepewnie, pełen nagłego lęku. - Na bulwarze Raspail? Jak brzmią zarzuty?... Narkotyki?! Niemożliwe!...

Słuchał uważnie, wpatrując się w skupieniu w ścianę. Naga kobieta uklęknęła i zaczęła ocierać się pierściami o jego plecy. Całowała rozchylonymi wargami ucho generała, gryząc delikatnie małżowinę.

Rozgniewany Bertholdier machnął nagle ręką do tyłu, uderzając słuchawką w twarz kobiety, aż poleciała na drugą stronę łóżka, a z jej pękniętej wargi pociekła krew.

-

Proszę powtórzyć rozkaz - rzekł do słuchawki. - Jasne, prawda? Nie można pozwolić, żeby go przesłuchano. Zawsze należy pamiętać o celu nad rzędnym, a podczas walki straty są nieuniknione. Obawiam się, że znów trze ba będzie to załatwić tak jak w szpitalu. Proszę się tym zająć. Jest pan znako mitym oficerem. Legia wiele straciła a my wiele zyskaliśmy... Doprawdy?

Oco chodzi? Aresztowania dokonał Prudhomme?! - Bertholdier umilkł, od dychając miarowo, po czym rzekł rozkazująco: - Ten uparty urzędas z Surete nie chce się odczepić, co...? To pańskie drugie specjalne zadanie, które musi Pan wykonać jeszcze dzisiaj. Później proszę zameldować się telefonicznie i uważać się za adiutanta generała Jacques'a Louisa Bertholdiera.

Dygnitarz odłożył słuchawkę i odwrócił się do ciemnowłosej kobiety, która Przyciskała prześcieradło do dolnej wargi. W jej oczach malował się gniew, ból i strach.

- Przykro mi, moja droga - odezwał się uprzejmie - ale muszę cię, niestety'

Pożegnać. Czeka mnie kilka ważnych telefonów.

-

Więcej nie przyjdę! - zawołała buntowniczo.

- Przyjdiesz, przyjdiesz - odezwał się legendarny francuski bojownik ruchu oporu, prostując swoje nagie ciało. - Pod warunkiem, że raczę cię wezwać.

495

Erich Leifhelm wszedł prędko do swojego gabinetu i skierował się w stronę masywnego biurka. Wziął słuchawkę telefonu z ręki służącego w białej liberii po czym odprawił go skinieniem głowy.

-

O co chodzi? - spytał, gdy zamknęły się drzwi.

-

Odnaleziono samochód Hermione Geyner, Herr General.

-

Gdzie?

-

W Appenweier.

-

A cóż to takiego, u licha?

-

Miasteczko w odległości szesnastu kilometrów od Kehl w Alzacji.

-

Strasburg! Przedostał się do Francji jako ksiądz!

-

Nie rozumiem, Herr...

-

Nie przyszło nam to do głowy...! Nieważne! Kogo macie w tym sektorze?

-

Tylko jednego człowieka, mein Herr. Pracuje w policji.

-Niech wynajmie innych. Wyślijcie go do Strasburga! Szukajcie księdza!

-

Wynoś się stąd! - wrzasnął Chaim Abrahms do żony, która stanęła w drzwiach kuchni. - To nie miejsce dla ciebie!

-

Tora mówi coś innego, mój zdradziecki mąż - odparła krucha kobieta w czarnej sukni. Jej łagodną twarz okalały miękkie siwe włosy, a brązowe oczy przypominały ślepe zwierciadła. - Czyżbyś zadawał kłam Biblii, z której tak chętnie korzystasz, gdy potwierdza twoje poglądy? Pięcioksiąg to nie tyl ko pioruny i zemsta. Mam ci przeczytać?

-

Nie, milcz! To męskie sprawy!

-

Zabijanie? Wykorzystywanie prymitywnego barbarzyństwa Tory, żeby uzasadnić przelewanie dziecięcej krwi? Zastanawiam się, co powiedziałyby matki Masady, gdyby wolno im było otworzyć serce... Teraz ja otwieram ser ce, generale. Już nigdy nikogo nie zabijesz. Nie będziesz wykorzystywał tego domu, żeby dowodzić armiami śmierci, żeby opracowywać taktyki śmierci w imię swojej świętej zemsty, Chaimie.

Abrahms wstał powoli z krzesła.

-

O czym ty mówisz?

-

Myślisz, że nic nie słyszałam? Telefony w środku nocy, telefony mąż czyzn, którzy mówią takim samym językiem jak ty, którzy tak łatwo mówią o zabijaniu...

-

Podśuchiwałaś!...

-

Kilkanaście razy. Oddychałeś tak głośno, że słyszałeś tylko własny głoS, własne rozkazy, żeby zabijać. To, czym się w tej chwili zajmujesz, obejdzie się odtąd bez twojego udziału, mój fałszywy mąż. Już nigdy nikogo nie zabiją •

Zabijanie straciło sens przed wielu laty, ale ty nie umiałeś się go wyrzec. wy myślałeś coraz to nowe przyczyny, aż postradałeś rozum!...

Żona Sabry wyjęła prawą rękę z fałd czarnej sukni. Trzymała służbowy pistolet automatyczny Abrahmsa. Generał pomacał z niedowierzaniem 496

po czym obrócił się gwałtownie w prawo i rzucił się w stronę kobiety, z którą przeżył trzydzieści osiem lat. Chwycił ją za nadgarstek i wykręcił go. Nie chciała puścić! Stawiała opór, usiłując wczepić się paznokciami w jego twarz.

Abrahms pchnął ją gwałtownie na ścianę, wykręcając jej rękę i usiłując wyrwać pistolet.

W kuchni rozległ się ogłuszający wystrzał i kobieta, która urodziła Abrahmsowi cztery córki i syna, upadła na podłogę. Chaim Abrahms spojrział z przerażeniem pod nogi; Brązowe oczy żony były szeroko otwarte, pozbawione wyrazu, a czarną suknię zalewały potoki krwi. Strzał wybił w jej piersi wielką dziurę. Zadzwoił

telefon. Abrahms podbiegł do ściany i chwycił słuchawkę wrzeszcząc:

-

Izrael należy do synów Abrahama! Zdobędziemy go po krwawej łaźni!

Judea i Samaria są nasze!

-

Przestań! - krzyknięto w słuchawce. - Milcz, Żydzie!

-

Kto nazywa mnie Żydem, zwie mnie sprawiedliwym! - wrzasnął Chaim Abrahms, po którego policzkach ciekły łzy, gdy patrzył na martwą kobietę z szeroko otwartymi brązowymi oczyma. - Złożyłem ofiarę Abrahama! Nikt nie może żądać więcej!

-

Ja żądam więcej! - rozległ się pisk kota. - Ja zawsze żądam więcej!

-

Marcus? - wyszeptał Sabra, opierając się bezwładnie o ścianę i odwracając się od trupa na podłodze. - Czy to ty, wodzu? Czy to ty, moje sumie nie...?

-

Tak, to ja, Chaimie, przyjacielu. Musimy działać szybko. Czy grupy egzekucyjne są gotowe?

-

Tak. Scharhörn. Dwanaście grup, wszystkie wyszkolone, przygotowane. Śmierć nie ma znaczenia.

-

Właśnie to musiałem wiedzieć - rzekł Delavane.

-

Czekają na hasło, generale.

Abrahms jęknął i wybuchnął niepowstrzymanym płaczem.

-

Co się z tobą dzieje, Chaimie? Uspokój się!

-

Ona nie żyje! Moja żona leży martwa u moich stóp!

-

Mój Boże, co się stało?!

-

Podśluchiwała... próbowała mnie zabić. Zaczęliśmy się szarpać i za strzeliłem ją.

-

To straszliwa strata, drogi przyjacielu. Przyjmij moje najszczerze kondolencje.

- Dziękuję, Marcusie.

- Wiesz, co masz robić, prawda, Chaimie?

- Tak, Marcusie, wiem.

Rozległo się pukanie do drzwi. Stone wstał z fotela i niezgrabnie wziął pistolet ze stołu. Podczas długich lat pracy wśród szumowin tylko raz nacisnął

spust. Odstrzelił w Stambule stopę zdemaskowanemu informatorowi, który rzucił się nań po pijanemu z nożem. Ten jeden incydent wystarczył

Stone'owi.

nie lubił posługiwać się bronią.

-

Kto tam? - spytał, trzymając pistolet w dłoni opuszczonej wzdłuż ciała.

-

Aureliusz - odparł głos na korytarzu.

Stone otworzył drzwi i powitał gościa.

-

Metcalf?

-

Tak. Stone?

-

Proszę wejść. Chyba powinniśmy zmienić hasło.

-

Mogłem powiedzieć "Akwitania" - rzekł oficer wywiadu, wkraczając do pokoju.

-

Wolałbym, żeby pan tego nie robił.

-

Nie zamierzam. Ma pan kawę?

-

Zaraz zamówię. Wygląda pan na wyczerpanego.

-Na plaży na Hawajach czułem się lepiej - odparł szczupły, sprężysty oficer lotnictwa. Był w

średnim wieku, miał na sobie letnie spodnie i białą marynarkę, a jego krótkie, rzadzące kasztanowe włosy pasowały do wąskiej twarzy. Pod czystymi, stanowczymi oczyma widać było ciemne kręgi. - Wczoraj o dziewiątej rano pojechałem z Las Vegas na południe do Halloran i zacząłem latać samolotami po całym kraju. Sam już nie pamiętam, ile razy zmieniałem nazwiska.

-

Boi się pan - stwierdził cywil.

-

Jeśli pan się nie boi, rozmawiam z niewłaściwą osobą.

-Nie tylko się boję, pułkowniku. Jestem wprost przerażony. - Stone podszedł do telefonu, zamówił kawę i odwrócił się w stronę Metcalfa. - Napije się pan czegoś?

-

Chętnie. Kanadyjskiej whisky z lodem.

-

Zazdroszczę panu.

Cywil złożył zamówienie i dwaj mężczyźni usiedli. Przez chwilę ciszę rozpraszał jedynie warkot aut na ulicy. Stone i Metcalf patrzyli na siebie, bez żenady taksując się wzrokiem.

-

Wie pan, kim jestem i czym się zajmuję - odezwał się pułkownik, prze rywając milczenie. - Czy mógłby pan powiedzieć mi coś o sobie?

-

Pracowałem dwadzieścia dziewięć lat w CIA. Byłem szefem rezydentury w Londynie, Atenach, Stambule i kilku innych miastach w Azji i Europie.

Terminowałem u Angletona i nadzorowałem tajne operacje wywiadowcze, dopóki mnie nie wylano. Coś jeszcze?

-

Wystarczy.

-

Dobrze zaprogramował pan swoją sekretarkę. Dzwoniła żona Converse'a.

Metcalf pochylił się gwałtownie do przodu.

-

No i co?!

-

Mało się nie rozłączyła. Byłem w nie najlepszej formie, ale w końcu udało mi się porozmawiać z Converse'em. A właściwie skłonić go do odezwania się, bo i tak cały czas słuchał.

498

- Całkiem nieźle jak na człowieka w nie najlepszej formie.

- Chciał poznać prawdę. Powiedziałem mu ją.

- Gdzie jest? Gdzie się znajduje?

- W Alpach. Nie chciał powiedzieć niczego więcej.

-

Cholera!

- To jeszcze nie wszystko - dokończył cywil. - Zażądał czegoś ode mnie.

-

Czego?

-

Zaprzysiężonych zeznań, a właściwie oświadczeń.

-

Czego?

-Tego, co pan słyszy. Zaprzysiężonych zeznań ludzi, dla których pracuję, stwierdzających, co wiemy i czego dokonaliśmy.

-

Chce się wam dobrać do skóry i wcale mu się nie dziwię.

-

Ja także, ale Converse twierdzi, że to sprawa drugorzędna. Wierzę mu.

Przede wszystkim chce się dobrać do skóry Akwitańczykom: przyszpilić Delavane'a i jego bandę maniaków, zanim zaczną mordować.

-

Abbott spodziewał się fali zamachów terrorystycznych w Stanach i w Europie. To najszybszy i najpewniejszy sposób na wywołanie chaosu.

-

Powiedziała mu to żona Converse'a?

-Nie, domyślił się tego po tym, co od niej usłyszał. Converse niczego nie rozumiał.

-

Teraz już rozumie - stwierdził Stone. - Mówiłem, że jestem przerażony, prawda? Cóż jeszcze można dodać?

-

Ja czuję to samo, bo obaj wiemy, jakie to cholernie proste. Tym razem to nie grupka maniaków ani nawet terrorystów; inwigilujemy ich od trzydziestu lat i mamy większość w kartotekach. Kiedy coś się szykuje, wiemy, gdzie się znajdują, i zwykle potrafimy ich zneutralizować. Ale teraz walczymy z najbar dziej bezwzględny mi zawodowcami w całym wolnym świecie, którzy także mają wieloletnie doświadczenie. Są w Pentagonie, w bazach wojsk lądowych, w bazach morskich i w bazie lotniczej w Nellis w stanie Nevada. Boże, gdzie ich nie ma?! Człowiek otwiera usta i nie wie, czy nie mówi do osoby, która może go zastrzelić albo spowodować katastrofę myśliwca! Jak możemy po wstrzymać coś, czego nie znamy?

-

Może sposobem Converse'a.

- Zeznaniami?!

- Może. Nawiasem mówiąc, prosił także o pańskie. Niech pan opisz e swoją rozmowę z Abbottem i oceni jego kompetencje oraz charakter. Musi pan przenocować w hotelu. Pół godziny temu zarezerwowałem w recepcji trzy inne Pokoje. Nazwiska gości mam podać później.

- Czy mógłby mi pan odpowiedzieć na pewne pytanie? Jak mogą nam pomóc jakieś cholerne

zeznania?! Walczymy z tajną armią, choć nie znamy jej, i ani zasięgu działania. Ale to cała armia! Co najmniej kilka batalionów w Stanach i w Europie. Oficerowie zawodowi przyzwyczajeni słuchać rozkazów i ślepo ufający generałom, którzy je wydają! Zeznania, oświadczenia, na 499

miłość boską?! To jakaś podejrzana sztuczka prawnicza, która nic nie da! czy mamy na to czas?

-

Z początku myślałem to samo, pułkowniku. Ale w przeciwieństwie do Converse'a nie jesteśmy adwokatami. Długo z nim rozmawiałem.

Wykorzystuje jedyną drogę, jaką zna. Chce działać zgodnie z prawem. Co dziwne, właśnie dlatego go zwerbowałem.

-

Niech pan mi odpowie, Stone - rzekł chłodno Metcalf.

-

Zamierza złożyć wniosek o ochronę - odparł były agent CIA. -

Converse chce, żeby traktowano nas poważnie. Niejako psychopatów, fantastów chorych psychicznie albo ograniczonych umysłowo. Właśnie takich określeń użył.

-

Brzmiały bardzo przyjemnie, ale o co właściwie chodzi? Co zamierza zrobić?

-

Zebrać oficjalną dokumentację. Wiarygodni świadkowie powinni spisać wszystko, co wiedzą, i przedstawić swoje zeznania sądowi. Wystarczy je -

den sędzia, pułkowniku. Na tej podstawie należy złożyć wniosek o ochronę pod pieczęcią.

-

Pod czym?!

-

Pod pieczęcią. Wszystko odbywa się w całkowitej tajemnicy. Żadnej prasy, żadnych przecieków, po prostu nakaz sądowy wysłany do instytucji państwowych powołanych do wykonania zadania. W tym przypadku wszystkie rodzaje służb specjalnych otrzymałyby nakaz zapewnienia pewnym osobom

nadzwyczajnej ochrony.

-

Nadzwyczajnej ochrony...? Komu?

-

Prezydentowi Stanów Zjednoczonych, wiceprezydentowi, przewodni czącym Izby Reprezentantów i Senatu, sekretarzowi obrony, sekretarzowi sta nu i tak dalej. Prawo, pułkownik. Prawo posiada taką moc. To także słowa Converse'a.

-

Boże!

Rozległo się pukanie. Stone przykrył pistolet złożonym egzemplarzem "New York Timesa". Wstał, podszedł do drzwi, wpuścił kelnera toczącego przed sobą wózek z imbrykiem do kawy, dwiema filiżankami, butelką kanadyjskiej whisky, lodem i szklaneczkami. Podpisał rachunek i kelner wyszedł z pokoju.

-Najpierw kawa czy whisky? - spytał Stone.

-

Whisky, na Boga! Koniecznie!

-

Zazdroszczę panu.

-

Nie napije się pan ze mną?

-

Przykro mi, nie mogę. Pozwalam sobie wieczorem na jeden kieliszek i wtedy się z panem napiję. Mieszka pan w Las Vegas, więc powinien pan rozumieć. Próbuję walczyć ze swoimi słabostkami, pułkownik. Zamierzam je pokonać. Wylano mnie z pracy, pamięta pan? - Stone podał oficerowi drinka i usiadł.

500

- Nie można pokonać własnych słabostek, nie wie pan? Zdarzyło mi się to kilka razy. Właśnie

dlatego ciągle żyję.

-

Sąd. • • - rzekł Metcalf, kręcąc głową. - Sąd! To rozpaczliwy gest. Converse chce posłużyć się prawem, aby oskrzydlić funkcjonariuszy państwowych, z którymi powinien się skontaktować, ale którym nie może ufać. Czy to się uda?

-

Zyskamy przez to na czasie. Może kilka dni, trudno powiedzieć. Tyle da "ochrona pod pieczęcią". Później zgodnie z prawem należy ujawnić całą dokumentację. Ale co najważniejsze, legalną drogą wzmocnimy ochronę po -

tenCjalnych obiektów zamachów; miejmy nadzieję, że pokrzyżuje to plany akwitacji i zmusi generałów do przegrupowania sił, przemyślenia wszystkie go na nowo. Znow zyskamy trochę czasu.

-

Ale dotyczy to tylko terenu Stanów?

-

Tak. Właśnie dlatego Converse potrzebuje parę dni.

-

Co zamierza?

-Nie chciał mi powiedzieć, a ja nie mogłem nalegać.

-

Rozumiem - rzekł pułkownik, podniósł szklaneczkę do ust i spytał: -

Wspomniał pan o trzech pokojach. Dla kogo są pozostałe?

-

Pozna ich pan i polubi. To dwaj młodzi ludzie, którzy wpadli przypadkiem na trop tej afery. Mają jeszcze kilku wspólników, ale nie chcą za żadne skarby powiedzieć, kto to jest. Kiedy skontaktował się z nimi Halliday, dostar czyli Converse'owi dossier. Są młodzi, lecz w porządku, pułkowniku. Sam chciałbym mieć takich synów.

-

Mam syna i spodziewam się, że będzie taki jak oni - stwierdził Metcalf.

- Inaczej pieprzę to wszystko. Co mamy robić?

Stone wyprostował się sztywno w fotelu. Napiętym, monotonnym głosem jął recytować instrukcje, które otrzymał od kogoś i które wyraźnie mu się nie podobały.

-

Dziś o trzeciej po południu mam zadzwonić do Nathana Simona, adwoka ta, współwłaściciela kancelarii Converse' a w Nowym Jorku. Zdaje się, że przed tem skontaktuje się z nim żona Converse'a i uprzedzi go, że powinien się spo dziewać mojego telefonu. Chyba oboje liczą, że Simon zrobi, o co go poproszę.

Krótko mówiąc, Simon ma przyjechać do hotelu w towarzystwie stenotypistki i odebrać od nas zaprzysiężone zeznania, które powinny zawierać nasze stopnie służbowe i piastowane stanowiska. Zostanie tu, dopóki nie skończy.

-

Miał pan rację, kiedy rozmawialiśmy przez telefon - przerwał wojsko wy. - Jesteśmy już martwi.

-

To samo powiedziałem Converse'owi. Spytał mnie, jakie to uczucie.

Był ciekaw, bo ma w tej dziedzinie doświadczenia z pierwszej ręki.

-

Żąda zeznań was wszystkich?

-

Ale nie pańskiego - odparł Stone. - Przydałoby mu się świadectwo na temat Abbotta, lecz nie nalega. Wie, że nie może kazać panu się w to wpląty wać.

501

-

Wplątałem się w to w chwili katastrofy samolotu. Jest coś jeszcze, co nas czeka, jeśli nie powstrzymamy Delavane'a i jego generałów? Converse nie chciał powiedzieć, co zamierza?

-

Nie mówił, jak ich powstrzyma, tylko co zrobi jutro. Przyśle nam własne zaprzysiężone zeznanie i oświadczenie funkcjonariusza Surete, który ma dowody, że sfałszowano wyniki śledztwa w Paryżu... Nie jesteśmy jeszcze martwi, pułkowniku. Converse twierdzi, że Nathan Simon to dla nas najlepszy adwokat, dopóki nam wierzy.

-

Cóż może działać adwokat...?

-

O to samo spytałem Converse'a, który udzielił mi dziwnej odpowiedzi:

"Adwokat może posłużyć się prawem, bo prawo to bezlitosne przepisy".

-

Nic z tego wszystkiego nie rozumiem - odparł zirytowany Metcalf. - To oczywiście jasne w sensie filozoficznym, ale jak to się ma do obecnej sytuacji...? Do licha, przecież prawo nie ma tu żadnego znaczenia! My nie mamy żadnego znaczenia! Kiedy w Waszyngtonie, Londynie, Paryżu i Bonn zaczną ginąć politycy, generałowie przejmą władzę i nigdy jej im nie odbierzemy.

Jestem tego pewien, bo wiem, od jak dawna mnóstwo ludzi marzy o tym, żeby ktoś silny przejął wreszcie władzę. Żeby położył kres masakrom, przywrócił

spokój na ulicach, pokazać Sowietom żelazną pięść. Sam tak czasem myślałem, niechaj Bóg się nade mną zlituje.

-

Ja także - odparł cicho cywil.

-

Myliliśmy się.

-

Wiem o tym. Właśnie dlatego tu jestem.

Metcalf wypił łyk whisky i przyłożył chłodną szklaneczkę do swojego rozpalonego policzka.

-

Ciągle się zastanawiam nad tym, co powiedział Sam. Twierdził, że musi istnieć lista, dokładny wykaz wszystkich Akwitańczyków. Na pewno nie w żadnym skarbcu ani na papierze, tylko w pamięci komputera, gdzieś z dala od instytucji państwowych i baz wojskowych. Podejrzewam, że

podpowiedziało mu to doświadczenie pilota, który często modeluje swoją taktykę na ekranie komputera. "Musi istnieć lista Akwitańczyków!" - powtarzał. Miał ogromną wyobraźnię. Chyba właśnie dlatego był takim świetnym znawcą walki na wysokości dwunastu tysięcy metrów. Wczesnym rankiem należy wylecieć nie spodziewanie ze słońca albo z cienia, omijając wiązki radarów. Miał to wszystko w małym palcu. Był geniuszem taktyki.

Stone pochylił się w fotelu, wpatrując się w twarz oficera lotnictwa i wsłuchując się w każde jego słowo.

-

Wiem, gdzie jest lista - wyszeptał. - Na wyspie Scharhörn...!

Dwusilnikowy samolot typu Riems 406 kołował nad prywatnym lotniskiem w St Gervais, dwadzieścia cztery kilometry na wschód od Chamonix. Światła latarni wzdłuż dwóch pasów startowych tworzyły pomarańczową lunę na nocnym 502

niebie. Prudhomme sprawdził klamry pasów bezpieczeństwa, a pilot siedzący po jego lewej stronie poprosił o pozwolenie na podejście do lądowania. Mon Dieu, co za nieprawdopodobny dzień! - pomyślał funkcjonariusz Surete, patrząc na swoją prawą dłoń w świetle zegarów pokładowych. Ciemne sińce na palcach były na szczęście mniej widoczne niż krew, która zalała ręce prudhomme'a zaledwie kilka godzin temu. Formidable! Jego niedoszły kat

nawet nie próbował ukryć swojego zadania, nauczywszy się arogancji w Legii Cudzoziemskiej! Spotkał się z nim na odludnym parkingu w Lasku Bulońskim przekazał mu wyrok śmierci! Zatelefonował do Prudhomme'a, który zresztą spodziewał się tego w głębi duszy, toteż nie poczuł zdziwienia i miał czas się przygotować. Legionista zaprosił swojego byłego przełożonego na spotkanie na parkingu w Lasku; zdobył jakoby zdumiewające informacje. Miał przyjechać służbowym peugeotem, bo nie mógł odejść od radiotelefonu. Czy inspektor zechciałby się z nim zobaczyć? Oczywiście, że tak.

Jednakże zamiast zdumiewających informacji były tylko pytania zadawane aroganckim tonem.

-

Dlaczego pan to zrobił dziś rano?

-

Co zrobiłem? Dlaczego się ogoliłem? Dlaczego poszedłem do toalety?

Dlaczego zjadłem śniadanie? Dlaczego pocałowałem żonę? O czym pan mówi?

-

Dobrze pan wie! Wcześniej! Mam na myśli człowieka z bulwaru Raspail! Zderzył się pan z jego samochodem i zatrzymał go. Podrzucił mu pan narkotyki! Aresztował go pan pod fałszywym pretekstem.

-

Nie podobało mi się to, co robi. Tak samo jak nie podoba mi się ta rozmowa.

Prudhomme wyciągnął niezgrabnie lewą rękę w stronę klamki; prawą miał zajęętą czymś innym.

-

Stój! - zawołał dawny podwładny, chwytając Prudhomme'a za bark. -

Chroniłeś tę kobietę!

-

Proszę przeczytać mój raport i puścić mnie.

-Nigdy! Zabiję cię, ty wścibski urzędasie!...

Wyszarpnął pistolet z kabury pod pachą, ale Prudhomme okazał się szybszy.

Nacisnął dwukrotnie spust niewielkiego pistoletu trzymanego prawą ręką pod marynarką. Na nieszczęście, kaliber był mały i pułkownik Legii Cudzoziemskiej, potężnie zbudowany mężczyzna, resztkami sił rzucił się na Prudhomme'a. Jednakże weteran francuskiego Resistance powrócił na wszelki wypadek do starego wojennego zwyczaju. Pod kłapami marynarki umieścił Długi stalowy drut z dwiema pętlami na końcu. Wyszarpnął go teraz, zarzucił na szyję dawnego podwładnego i skrzyżował

nadgarstki, gwałtownie zaciskając pętlę, aż drut przeciął skórę na szyi mordercy i dłonie Prudhomme'a zalała krew. Ocalił w ten sposób swoje życie.

-

Mamy pozwolenie na lądowanie, panie inspektorze - rzekł pilot, uśmiechając się szeroko. - Przysięgam na Boga, nikt w to nie uwierzy! Niczego nie wyPaplam, klnę się na kości swojej matki!

-

Twoja matka pije w tej chwili brandy na Montmartre - wtrącił

Prudhomme. - Trzymaj język za zębami, a przez następne pół roku będziesz mógł spokojnie szmuglować z Malty te swoje idiotyczne papierosy.

-

Tylko papierosy! Nic więcej, panie inspektorze! Mam dzieci!

-

Gratuluję. Pół roku, a później wynocha stąd, jasne?

-

Klnę się na grób swojego ojca!...

-

Twój ojciec żyje i siedzi w więzieniu; wyjdzie za dwa miesiące. namów go, żeby przestał fałszować bony na darmowe zupki.

Joel i Valerie słuchali w milczeniu opowieści funkcjonariusza Surete. Skończył

już i nie miał nic więcej do dodania. Manipulowano Interpolem, policją, a nawet Surete, po czym wydano kłamliwy oficjalny komunikat. Dlaczego?

-

Wy tłumaczę to panu, bo potrzebuję pańskiej pomocy - rzekł Converse wstając z fotela i podchodząc do biurka, gdzie na zielonej bibule leżał maszynowy napis oświadczenia. - A jeszcze lepiej niech pan sam przeczyta, choć oba wiam się, że musi pan to zrobić tutaj. Rano postaram się o kserokopie, ale do tego czasu nie chcę się z tym rozstawać. Nawiasem mówiąc, Val zarezerwowała panu pokój. Proszę nie pytać, jak to załatwiła, ale recepcjonista kupi sobie jutro nowy garnitur, jeśli nie wille.

-

Merci, madame.

-

Nazywa się pan French - dodał Joel.

-

HmmM?

-

Pardon, mon vieia - przerwała Valerie. - Le nom sur le registre est

" monsieur French ", c 'est un nom anglais, pasfrancis. French. Arthur French.

-

Muszę się przecież podpisać, coś powiedzieć. Recepcjonista się zorien tuje.

-

Niczego pan nie musi - stwierdziła Val, biorąc klucz ze stolika przy łóżku i wręczając go Prudhomme'owi. - Pokój opłacono na trzy dni z góry.

Później (a nawet wcześniej, jeśli zgodzi się pan nam pomóc) wszyscy troje będziemy już daleko stąd.

-

Formidable. Muszę to przeczytać.

-

Mon ami, mon epowc, est un avoue brilliant.

-

Je comprends.

-

Jest tu około czterdziestu stron - powiedział Converse, podając maszyny napis Prudhomme'owi. - Przystudiowanie ich zajmie panu co najmniej godzi nę. Zostawimy pana samego i zjemy coś na dole.

-

Bien. Muszę się dowiedzieć wielu rzeczy.

-

Jakie ma pan plany? - spytał Joel, stojąc koło Francuza. - Co pan zamierza? Policja znajdzie zwłoki w samochodzie.

-

Z pewnością- odparł Prudhomme. - Zostawiłem je tam. Ale nikt ich ze mną nie powiąże.

-

A odciski palców i to, że nie ma pana w biurze?

504

- Mam jeszcze jeden stary zwyczaj z czasów okupacji - odparł funkcjonariusz Surete, sięgając do kieszeni i wyjmując parę cieniutkich gumowych rękawiczek. -

Umyłem je w Lasku Bulońskim. Gestapo miało w kartotekach odciski palców całego podziemia. Nie było sensu dopraszać się o egzekucję. A co do mojej nieobecności, sprawa jest bardzo prosta. Uprzedziłem swojego asystenta, że jadę na kilka dni do Calais prowadzić śledztwo w sprawie przemytu. Moja ranga i staż dają mi pewną swobodę.

- To dlatego, że służy pan w Surete, a nie gdzie indziej. Nie tam, gdzie legionista.

-Zdaję sobie z tego sprawę, monsieur. Dlatego muszę być ostrożny. Mam w tym doświadczenie.

-

Życzę przyjemnej lektury - rzekł Converse, wzywając Valerie skinie niem głowy. - Gdyby czegoś pan potrzebował, proszę wezwać pokojówkę.

-

Bon appetit - odezwał się Prudhomme.

Chaim Abrahms uniósł sztywniejącą dłoń swojej martwej żony, zacisnął zbieleńnięte palce na kolbie pistoletu i skierował lufę ku krwawej jamie między piersiami.

Wytrzeszczone brązowe oczy nie dawały się zamknąć. Spoglądały oskarżycielsko na Abrahmsa.

-

Czego ode mnie chcesz?! - krzyknął. - Widziałem umarłych, żyłem z nimi! Zostaw mnie w spokoju, kobieto! Niczego nie rozumiesz...!

A jednak przez wiele lat rozumiała. Gotowała na ogniu pustynne kurczęta i owce, by karmić bojowników organizacji Irgun oraz Haganah. Wówczas nigdy nie kwestionowała śmierci. Walczyli w imię nieskomplikowanej nadziei i marzeń.

Palestyna należała do nich, wedle prawa, logiki i Biblii! Walczyli o nią zwyciężali! Byli dwa tysiące lat wyrzutkami, a wszechpotężni goje gardzili nimi, pluli im w twarz, palili ich na stosach i

gazowali, aż w końcu kazali zniknąć z powierzchni ziemi. A mimo to przeżyli. Plemiona Izraela urosły w siłę! Były zwycięzcami, nie pokonanymi!

-

Właśnie o to walczyliśmy i modliliśmy się! Dlaczego znieważasz mnie swoim wzrokiem?! - ryczał Chaim Abrahms, przyciskając czoło do twarzy martwej żony.

Ebude Atzmo, samobójstwo wbrew woli Boga Wszechmogącego, który stworzył człowieka na swój obraz i podobieństwo, to wedle Talmudu hitabdut, Jeden z najcięższych grzechów. Żyd dopuszczający się hitabdut nie ma prawa do pogrzebu na cmentarzu żydowskim. Taki los czekał żonę Chaima Abrahmsa, najpobożniejszą kobietę, jaką generał spotkał w całym swoim życiu.

-

Muszę to zrobić! - krzyknął, wznosząc błagalnie oczy. - Dla dobra nas Wszystkich, nie rozumiesz?!

505

Prudhomme nalał sobie filiżankę kawy i wrócił na fotel. Valerie siedziała naprzeciwko niego, a Converse stał koło okna, słuchając funkcjonariusza Surete.

-

Nie przychodzi mi do głowy żadne inne pytania - rzekł Francuz, zerkając z troską znad filiżanki. Jego pobrużdżona twarz wydawała się jeszcze bardziej znużona niż poprzednio. - Może ciągle nie jestem w stanie myśleć z powodu szoku. Nie ma sensu mówić, że to niewiarygodne. Byłoby to zresztą nieprawdą.

To aż nazbyt wiarygodne. Przerażeni ludzie marzą o stabilizacji, bezpieczeństwie, ochronie przed wojną, bandytami, samymi sobą. Uważam, że mógłbym zgodzić się z czystą, niczym niezamaskowaną siłą, niezależnie od kosztów.

-

Gra toczy się o władzę absolutną- odezwał się Joel. - Akwitańczycy zamierzają stworzyć wojskową konfederację państw, które będą wspierać się nawzajem, prowadzić własną politykę i zmieniać prawa w imię powszechnej stabilizacji. Każdy, kto ośmieli się im sprzeciwić, zostanie okrzyknięty wariatem i uciszony. A jeśli sprzeciwi się zbyt wielu ludzi, zapanuje anarchia i Akwitania znów zwycięży, bo jedynie ona zdoła przywrócić porządek. Generałowie potrzebują tylko początkowej fali terroru, fali mordów i przemocy. Abrahms wspominał o "czołowych osobistościach życia

politycznego". Kumulacja, na głę przyśpieszenie, chaos. W kilkunastu stolicach zginą ważni politycy, wybuchną krwawe zamieszki i generałowie dokonają wojskowego zamachu stanu. Tak właśnie wygląda ich scenariusz.

-

Jest pewien problem, monsieur. Jeśli zwróci się pan z tym do jakiejś instytucji rządowej, może się pan natknąć na niewłaściwą osobę. Istnieje groźba, że pan sam przyśpieszy kryzys, skłoni Akwitańczyków do rozpoczęcia puczu.

-

Niech pan nie zapomina, że kryzys i tak się zbliża. Ale mogę działać za pomocą prawa. Oczywiście nie wolno mi się jeszcze ujawnić. Żaden sąd, żadna agenda rządowa ani policja nie zapewni mi ochrony, która powstrzymałaby Akwitańczyków przed zabiciem mnie i okrzyknięciem psychopata.

Proszę mnie dobrze zrozumieć: nie chcę uniknąć śmierci; moja śmierć nie ma po prostu żadnego znaczenia. Najważniejsze jest to, że jeśli zginę, prawdę nie wyjdzie nigdy na jaw, bo jestem jedynym człowiekiem, który rozmawiał osobiście z czterema Cezarami Delavane'a, a prawdopodobnie także z piątym, Anglikiem.

-

A co zmieniają zeznania, o których pan mówi?

-

Mogą odwrócić sytuację.

-

Dlaczego?

-

Bo mamy do czynienia z rzeczywistym, skomplikowanym światem i musimy dotrzeć do godnych zaufania ludzi, którzy są w stanie coś zrobić. Dwa tygodnie temu zabrałem się do tego w niewłaściwy sposób. Chciałem przekazać wszystko Nathanowi Simonowi, najlepszemu adwokatowi, jakiego znam.

Dwukrotnie spisałem na jego użytek to, co wiem, nie zdając sobie sprawy, że więzę mu ręce i prawdopodobnie skazuję go na śmierć. - Joel oddalił się od okna i podjął: - Do kogo miał się zwrócić, skoro mógł się powołać tylko na słowa nieuchwytnego zbiega uchodzącego za wariata? A gdybym, jak należało, 506

rzeczywiście oddał się w ręce policji, podpisałbym na nas obu wyrok śmierci.

Później dowiedziałem się od Val o dziwnym telefonie w Nowym Jorku i o wojskowym, który gonił ją ulicą. Zgadłem, kim są ci ludzie. Zabójcy tak nie postępują. nie zapowiadają się przez telefon. To moi tajemniczy mocodawcy z Waszyngtonu, którzy najpierw mnie zwerbowali, a teraz usiłują się ze mną skontaktować. Później Valerie opisała swoją rozmowę z Samem Abbottem. Sam wspomniał o Metcalfie, ważnej osobistości, której ufał i której zamierzał

opowiedzieć całą historię... W końcu w Paryżu pojawił się pan. Pomógł pan Valerie, powołując się na Tatianę, podobnie jak Renę Mattilon. Domyślam się, że pokrewieństwo z Tatianą to symbol zaufania, nawet między rekinami.

- To prawda, monsieur.

- Właśnie wtedy wpadłem na pewien pomysł. Gdybym zdołał się z wami wszystkimi skontaktować, mógłbym zacząć skutecznie działać. Zналиście prawdę; niektórzy w całości, inni, jak pan, tylko fragmentarycznie, lecz rozumieliście wagę całej sprawy, wiedzieliście, że generałowie Akwitani istnieją naprawdę i że mają ogromne możliwości. Nawet pan, Prudhomme. Jak pan to określił? Manipulowano Interpolem, policją oraz Surete. Wydawano kłamliwe komunikaty. A na dodatek zamordowano Anstetta, Peregrine'a, głównodowodzącego NATO, Mattilona, Beale'a, Sama Abbotta, Connala Fitzpatricka (tu pojawia się jedyny znak zapytania) i Bóg wie kogo jeszcze. Wszyscy nie żyją. Generałowie ruszyli do ataku i sieją śmierć!... Gdybym zdołał was namówić do złożenia zeznań, a później przekazał je Nathanowi, dostarczyłbym mu potrzebnej broni. Namąciłem Stone'owi w głowie prawniczym bełkotem, częściowo prawdziwym, częściowo nie, ale robi, co do niego należy, i zmusi innych, żeby mi pomogli. Nie ma wyboru. Najważniejszy problem polega na tym, jak dostarczyć Simonowi dokumenty. Kiedy znajdzie się w posiadaniu zaprzysiężonych zeznań wielu różnych ludzi, może się zwrócić do sądu.

Niech pan mi wierzy, potraktuje te oświadczenia jak plany bomby neutronowej. Gdy znajdą się jutro w jego rękach, dotrze do właściwych ludzi, choćby miał

odwiedzić prezydenta w Białym Domu. Mógłby zresztą to zrobić, choć pewnie się na to nie zdecyduje. - Joel umilkł, spojrział twardo na funkcjonariusza Surete i skinął głową w stronę swojego zeznania leżącego na stole koło Francuza. - Jutro wyślę to przez kuriera do Nowego Jorku. Chciałbym dołączyć także pańskie świadectwo.

-

Może pan na mnie liczyć. Czy ufa pan kurierowi?

-

Interesuje się tylko górami; poza tym nic go nie obchodzi. Dobrze zna Pan angielski?

-

Wystarczająco. Rozmawiamy od kilku godzin.

-

Mam na myśli pisanie. Gdyby opisał pan wszystko dziś wieczorem, za-o°szczędzilibyśmy mnóstwo czasu.

-

Robię tyle błędów ortograficznych, ile pan we francuszczyźnie.

- A także angielszczyźnie - dorzuciła Valerie. - Poprawię tekst, a jeśli nie jest pan czegoś pewien, ecrivez enfrancis.

507

-

Merci. Dziś wieczorem?

-

Jutro z samego rana przyjdzie sekretarka-wyjaśnił Converse. -

Przepisze oświadczenie na maszynie. To właśnie ona leci jutro z Genewy do Nowego Jorku.

-

Zgodziła się?

-

Zgodziła się przyjąć znaczną darowiznę na rzecz stowarzyszenia ochrony przyrody, które kieruje całym jej życiem.

-

Bardzo wygodne rozwiązanie.

-

To niestety nie wszystko - stwierdził Joel, siadając na oparciu fotela Valerie i pochylając się do przodu. - Zna pan teraz całą prawdę. Muszę wysłać dokumenty do Simona, ale powinienem zrobić coś jeszcze. Mam przy sobie mnóstwo pieniędzy, a pewien bankier z Mikonos może potwierdzić, że dysponuję znacznie większymi sumami. Czytał pan o tym. Gdybym miał dość czasu, mógłbym wynająć odpowiednich ludzi i zakupić wyposażenie, ale niestety nie mam. Potrzebuję pańskiej pomocy i środków, które stoją do pańskiej dyspozycji.

-

W jakim celu, monsieur?

-

W celu zdobycia ostatniej części dokumentacji. Chcę porwać trzech ludzi.

Rozdział 37

Ja, Peter Charles Stone, lat pięćdziesiąt osiem, zamieszkały w Waszyngtonie, pracowałem dwadzieścia dziewięć lat w Centralnej Agencji Wywiadowczej, dochodząc do stanowiska szefa rezydentury w kilku stolicach europejskich, a na koniec drugiego zastępcy dyrektora do spraw operacyjnych w Langley w stanie Wirginia.

Moje akta personalne znajdują się w archiwach Centralnej Agencji Wywiadowczej i mogą zostać sprowadzone drogą służbową. Od chwili zwolnienia z CIA pracuję jako konsultant i ekspert dla licznych instytucji wywiadowczych, jednakże moje obowiązki mają charakter ściśle tajny i mogą zostać ujawnione wyłącznie za zgodą odpowiednich władz, gdyby uznano, iż pozostają w związku z niniejszym oświadczeniem.

Około piętnastego marca zeszłego roku zatelefonował do mnie kapitan Howard Packard, oficer armii Stanów Zjednoczonych, który spytał, czy mógłby odwiedzić mnie w moim mieszkaniu w pewnej poufnej sprawie. Natychmiast po przybyciu oświadczył, że przemawia w imieniu niewielkiej grupy wojskowych oraz funkcjonariuszy Departamentu Stanu, których liczebność ani nazwisk nie może ujawnić. Stwierdził, iż grupa ta potrzebuje fachowej konsultacji doświadczonego oficera wywiadowczego niezatrudnionego na stałe w jakiegokolwiek instytucji państwowej związanej z tajną służbą. Oświadczył, że 508

dysponuje pewnymi funduszami, które wydają mu się wystarczające, i spytał, czy Jestem zainteresowany współpracą. Warto dodać, że kapitan Packard i jego towarzysze zebrali dokładne dane na temat mojego życiorysu z uwzględnieniem epizodu alkoholowego.

ja, kapitan Howard Packard, oficer armii Stanów Zjednoczonych, służbowy numer ewidencyjny 507538, lat trzydzieści jeden, zamieszkały w Oxon w stanie Maryland i odkomenderowany do Sekcji Numer Dwadzieścia Siedem Wydziału Kontroli Technicznej Pentagonu w Arlington w stanie Wirginia, stwierdzam, że w grudniu zeszłego roku zwrócił się do mnie mecenas Avery Preston

Halliday, adwokat z San Francisco, z którym zawarłem przyjaźń, gdy kontaktował się z naszą sekcją w imieniu swoich klientów, osób nieskazitelnych i poza wszelkimi podejrzeniami.

Pan Halliday zaprosił mnie na kolację do niewielkiej restauracji w Clinton, piętnaście kilometrów od mojego domu. Ubolewał, iż nie zaprasza żony, lecz stwierdził, że to, co ma mi do powiedzenia, tylko niepotrzebnie by ją wzburzyło, podobnie jak wzburzy mnie, lecz ja mam służbowy obowiązek go wysłuchać. Dodał, iż nasze spotkanie nie dotyczy żadnych spraw prowadzonych przez niego w naszej sekcji i że chodzi mu wyłącznie o przeprowadzenie śledztwa w sprawie pewnych nielegalnych praktyk i o położenie im kresu.

Ja, podporucznik Wilham Michael Landis, oficer Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych, lat dwadzieścia osiem, zamieszkały obecnie w Somerset Garden Apartments w Vienna w stanie Wirginia, pracuję jako programista w Wydziale Zbrojeń Morskich Departamentu Marynarki, urzędującym w Pentagonie w Arlington w stanie Wirginia. Pomimo swojego stosunkowo niskiego stopnia (spodziewam się awansu za dwa miesiące) sprawuję nadzór nad większością czynności związanych z programowaniem komputerowym w Departamencie Marynarki Wojennej Pentagonu, gdyż doktoryzowałem się z informatyki na Wydziale Politechnicznym Uniwersytetu Michigan. Chyba nie wychodzi mi to najlepiej, proszę pana (Niech pan mówi dalej, młody człowieku)

Stwierdzam to dlatego, że mam dostęp do bardzo skomplikowanych urządzeń i ściśle tajnych haseł konwersyjnych, toteż bez trudu zdejmuję blokady nałożone na informacje o najwyższej klauzuli poufności, przechowywane w zastrzeżonych bankach danych.

W lutym zeszłego roku zwrócił się do mnie kapitan Howard Packard, oficer armii Stanów Zjednoczonych, oraz trzech inni ludzie: dwaj funkcjonariusze biUra Kontroli Zbrojeń Departamentu Stanu i jeden oficer piechoty morskiej, znany mi jako pracownik Sekcji Desantowej Wydziału Zbrojeń Marynarki Wojennej.

Stwierdzili, iż zaniepokoiło ich kilka przypadków spedycji 509

broni i urządzeń technicznych najwyższej klasy. wbrew sankcjom Departamentu Obrony i Departamentu Stanu Podali mi dane dotyczące dziedzin, gdzie zaobserwowali kilka takich przypadków, zobowiązując mnie do zachowania śledztwa w tajemnicy.

Nazajutrz po południu uzyskałem dostęp do zastrzeżonego komputerowego banku danych. Posługując się kodami konwersyjnymi, sprawdziłem informacje na temat dziewięciu transportów. Istniały one w rzeczywistości, nawet bank zawierał ich tajne kody adresowe, których nie można zniszczyć ani po wilić. Jednakże w każdym przypadku pozostałe informacje starto z dysków pamięciowych komputera.

Sześć spośród dziewięciu wymienionych transpor tów zafakturowała prywatna spółka o nazwie Pało Alto International, należą ca do generała w stanie spoczynku Delavane'a. W ten sposób zetknąłem się po raz pierwszy ze sprawą.

(Kim byli pozostali trzej mężczyźni, poruczniku?) Nie ma sensu podawać ich nazwisk, proszę pana. Mogłoby to tylko przy sporzyć cierpień ich rodzinom.

(Nie rozumiem pana)

Nie żyją. Zwrócili się w tej sprawie do przełożonych i niebawem zginęli w tragicznych okolicznościach. Dwaj rzekomo wskutek zderzeń z wielkimi ciężarówkami na bocznych drogach, którymi nie wracali nigdy do domu, trzeci zastrzelony z dużej odległości przez snajpera, gdy biegał dla zdrowia w parku Rock Creek. Było tam mnóstwo biegaczy, lecz kula trafiła akurat jego.

Jako kapitan wojsk lądowych angażowany często w prace o najwyższym stopniu poufności, miałem możliwość zainstalowania mecenasowi Hallidayowi absolutnie bezpiecznego telefonu, ażeby mógł kontaktować się ze mną o każdej porze dnia i nocy bez obawy podsłuchu. Przy pomocy pana Stone'a oraz pod porucznika Landisa.

udało nam się także uzyskać ściśle zastrzeżone raporty wywiadowcze na temat powszechnie znanych osobistości, na których nazwiska mecenas Halliday natrafił

wśród notatek Delavane'a. Chodziło w szczególności o generałów Bertholdiera, Leifhelma, Abrahamsa oraz van Headmera. Posługując się funduszami dostarczonymi przez doktora Edwarda Beale'a wynajęliśmy prywatne firmy w Paryżu, Bonn, Tel Awiwie i Johannesburgu. aby uaktualniły dossier o najświeższe dostępne informacje.

Do owej chwili udało nam się odkryć dziewięćdziesiąt siedem przypadków nielegalnej spedycji broni o szacunkowej wartości czterdziestu pięciu milionów dolarów. Szczegółowe dane na ten temat starannie wykasowano z dysków pamięciowych komputera. Wiele z owych transportów miało związek z Pało Alto International, lecz wobec braku pozostałych informacji spraw nie można było dokładnie zbadać. Przypominało to świetliste punkciki znikające z ekranu radaru

510

Lata pracy w charakterze koordynatora tajnych operacji szpiegowskich nauczyły mnie, że najostrzejsze i najbardziej drakońskie środki bezpieczeństwa stosuje się zazwyczaj w rejonach o szczególnym znaczeniu strategicznym. Twierdzenie to, samo w sobie banalne, ma jednak ciekawe konsekwencje, które łatwo przeoczyć. Ponieważ nielegalne transakcje eksportowe wartości wielu milionów dolarów koncentrowały się w Waszyngtonie, wydawało się logiczne, że w Waszyngtonie znajduje się wielu tajnych informatorów Delavane'a, świadomych bądź

nieświadomych tego, co robią. Niektórzy współdziałali z nim zapewne z przyczyn ideologicznych, inni mogli zostać przekupieni lub zmuszeni do współpracy groźbą lub szantażem. Pracowali prawdopodobnie w agendach rządowych związanych z działalnością Pało Alto International. Moje podejrzenia potwierdził kapitan Packard, donosząc mi, iż trzy osoby próbujące prowadzić śledztwo

w sprawie kasowania danych komputerowych zginęły niedawno w tragicznych okolicznościach.

Sprawa nie dotyczyła wtedy zwykłych ekstremistów politycznych, tylko fanatyków i morderców. Doszedłem w związku z tym do przekonania (przyjmuję niniejszym pełną odpowiedzialność za ową decyzję), iż nasze śledztwo będzie bezpieczniejsze i szybsze, jeśli przeniesiemy je poza Waszyngton, wysyłając za granicę człowieka dysponującego informacjami, które pozwolą mi wytropić powiązania zagubionych transportów broni z Pało Alto International. Z samej natury nielegalnych koncesji eksportowych wynika, że łatwiej rozpracować odbiorcę przesyłki niż jej nadawcę. Należało oczywiście zacząć od czterech generałów, których nazwiska odnaleziono w notatkach Delavane'a. Nie znałem żadnego kandydata o kwalifikacjach niezbędnych do wykonania owego zadania.

Około dziesiątego lipca, posługując się zainstalowanym przeze mnie bezpiecznym telefonem, zadzwonił do mnie mecenas Halliday, który stwierdził, iż znalazł

właściwego kandydata do wykonania zadania nakreślonego przez pana Stone'a. Był

to adwokat specjalizujący się w międzynarodowym prawie handlowym, znany mecenasowi Hallidayowi we wczesnej młodości, dawny jeńiec wojenny z okresu konfliktu wietnamskiego. Wydawało się prawdopodobne, że posiada on silną motywację, by chcieć zniszczyć generała Delavane'a. Nazywał się Joel Converse.

Ja, pułkownik Alan Bruce Metcalf, lat czterdzieści osiem, oficer Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych, służę obecnie jako szef kontrwywiadu w bazie lotniczej w Nellis w stanie Nevada. Trzydzieści sześć godzin przed sporządzeniem niniejszego oświadczenia, dwudziestego piątego sierpnia o godzinie czwartej po południu, odebrałem telefon generała brygady Samuela Abbotta, zastępcy dowódcy bazy do spraw taktyczno-operacyjnych. Generał

twierdził, że musimy spotkać się natychmiast poza terenem bazy w bardzo 511

pilnej sprawie. Uzyskał nowe, niezwykle informacje na temat niedawnego zabójstwa głównodowodzącego NATO oraz ambasadora amerykańskiego w Bonn w Niemczech Zachodnich. Nalegał, byśmy spotkali się po cywilnemu i zaproponował bibliotekę Uniwersytetu Nevada w Las Vegas. Spotkaliśmy się około piątej trzydzieści po południu i nasza rozmowa trwała pięć godzin. Postaram się przytoczyć ją jak najdokładniej, co nie sprawi mi trudności, która wryła mi się głęboko w pamięć, zwłaszcza po tragicznej śmierci generała i mojego bliskiego przyjaciela, którego darzyłem wielkim podziwem...

Tak oto przedstawiają się wypadki, opowiedziane generałowi Abbottowi przez byłą żonę mecenasa Converse'a, oraz moje późniejsze działania w celu zwołania w Waszyngtonie kryzysowej narady wysokich funkcjonariuszy tajnych służb. Generał

Abbott, znający dobrze uczestników afery, uwierzył w opowieść pani Converse. Był

człowiekiem błyskotliwym i zrównoważonym, a jego sądy nie miały nigdy charakteru emocjonalnego.

Uważam, że zamordowano go z premedytacją, ponieważ miał nowe, niezwykle informacje o Joelu Converse, z którym przebywał w obozie jenieckim.

Nathan Simon, wysoki, tęgi, rozparty wygodnie w fotelu, zdjął ze znużonej twarzy okulary w szklanej oprawce i pogładził się po niewielkiej bródce maskującej blizny po odłamkach szrapnela, które utkwiły pod skórą podczas desantu pod Anzio przed wielu laty. Jego gęste rudawe brwi wygięły się w łuk ponad orzechowymi oczyma i prostym, ostrym nosem. W pokoju znajdował się ponadto tylko Peter Stone. Simon zwolnił stenotypistkę, wyczerpany Metcalf udał się do siebie, a dwaj młodzi oficerowie, Packard i Landis, woleli wrócić osobnymi samolotami do Waszyngtonu. Simon starannie ułożył maszynopisy zeznań na stoliku koło swojego fotela.

-

To już wszyscy, panie Stone? - spytał głębokim głosem, znacznie ła godniejszym niż spojrzenie.

-

Wszyscy, o których wiem, panie mecenasie - odparł były funkcyjona riusz CIA. - Poza tym posługiwałem się tylko niższym personelem, który nie miał o niczym pojęcia, choć posiadał dostęp do nowoczesnych urządzeń technicznych. Wykorzystywałem stare długi wdzięczności. Proszę nie zapominać, że już na samym początku zginęło trzech ludzi.

-

Tak, wiem.

-

Czy zrobi pan to, o czym wspominał Converse? Mam na myśli tę ochronę pod pieczęcią i zaalarmowanie instytucji państwowych?

-

Mówił panu o tym?

-

Tak. Właśnie dlatego zgodziłem się na to wszystko.

-

Converse działa we własnym imieniu. Aleja muszę się spokojnie zas tanowić.

-

Nie ma na to czasu! Musimy działać! Każda chwila jest na wagę złota.

-

Niewątpliwie, ale nie wolno zrobić fałszywego kroku, czyż nie?

512

- Converse twierdził, że ma pan dojścia do wpływowych ludzi w Waszyngtonie i skontaktuje się z nimi.

- przecież sam pan przed chwilą powiedział, że nie wiadomo, komu można ufać, prawda?

- O Jezu!...

- Tak, to niewątpliwie wielki i natchniony prorok chrześcijański. - Simon spojrział na zegarek, zebrał dokumenty i wstał z fotela. - Jest wpół do trzeciej nad ranem, panie Stone, i moje znużone ciało znajduje się u kresu wytrzymałości.

Skontaktuję się z panem jutro. Proszę do mnie nie dzwonić. Sam to zrobię.

-

Ale przecież przesyłka od Converse'a już tu leci. Mam ją odebrać jutro o drugiej czterdzieści pięć po południu, po wylądowaniu samolotu z Genewy.

Converse chce, żebym natychmiast ją panu przekazał!

-

Pojedzie pan na lotnisko? - spytał prawnik.

-

Tak, spotkam się z kurierem. Wrócę tu o czwartej albo czwartej trzydzieści, chyba że samolot się spóźni albo utknę w korku.

-

Niech pan nie wraca, panie Stone. Proszę czekać na mnie na lotnisku.

Chcę jak najszybciej dostać dokumenty przesłane przez Joela. Skoro ktoś jest kurierem z Genewy, pan może być kurierem z Nowego Jorku.

-

Dokąd chce pan polecieć? Do Waszyngtonu?

Może tak, a może nie. W tej chwili zamierzam wrócić do swojego mieszkania i pomyśleć. Mam także nadzieję się przespać, choć to wątpliwe. Proszę podać mi nazwisko, którym mogę się posłużyć, wywołując pana na lotnisku przez megafon.

Johnny Reb siedział skulony w niewielkiej motorówce. Silnik nie pracował, a o niskie burty pluskały w mroku fale. Johnny miał na sobie czarne spodnie, czarny golf i czarną wełnianą czapkę. Dryfował koło południowo-zachodniego brzegu wyspy Scharhorn. Nie ośmielił się podpłynąć bliżej, gdyż już pierwszej nocy dostrzegł

sznur zielono fosforyzujących boi tańczących na falach. Znajdowały się w nich fotokomórki, które tworzyły niewidzialny pierścień obronny wokół starej bazy U -

Bootów i groziły wszczeniem alarmu. Mijała trzecia noc i Johnny czuł, że tym razem nie wypłynął w morze na próżno.

Wierzył swojej intuicji, gorzkiemu smakowi żółci w ustach. Zaprawieni w bojach najemnicy wywiadu wyczuwali w ten sposób, że coś się szykuje - Częściowo wskutek lęku, a częściowo dlatego, że zbliżała się chwila przelewu S^otówki do banku w Bernie. Tym razem nie wchodził oczywiście w grę żaden Przelew, tylko kolejne wydatki, by spłacić dawny dług wdzięczności, lecz dla Johnny'ego liczyła się także możliwość wyrównania swoich starych rachunków z ludźmi pokroju Delavane'a i Washburna, z niemieckimi, francuskimi i żydowskimi generałami zamierzającymi pożreć wszystkich żywcem i uniemożliwić mu wygodne życie. Nie wiedział zbyt wiele o Afrykanerze, lecz

513

uważał, że burscy rasiści powinni nabrać wreszcie trochę rozumu. Czarni nazywali się dobrymi kumplami, a Johnny nie żądał niczego więcej i jego obecna dziewczyna była śliczną murzyńską piosenkarką z Tallahassee, która przybyła do Szwajcarii w jakichś idiotycznych sprawach związanych z kokainą i pokaznym rachunkiem bankowym w Bernie.

Tym razem miał naprawdę do czynienia z czarnymi charakterami. Johnny głęboko nienawidził ludzi, którzy chętnie wsadzaliby innych do więzień za to, że myślą, co im się podoba. Nie, trzeba ich zniszczyć!'

Johnny Reb zaangażował się poważnie w tę sprawę.

Zaczęło się! Nastawił ostrość noktowizora i wbił wzrok w betonowe na brzeże dawnej bazy łodzi podwodnych. Działy się tam zupełnie fantastyczne rzeczy! Przy nabrzeżu zacumowała potężna łódź motorowa długości dwudziestu metrów, do której zbliżała się dwójkami długa kolejka mężczyzn - czterdziestu, sześćdziesięciu, osiemdziesięciu... prawie stu. Szykowali się do wejścia na pokład.

Najdziwniejsze były jednak ich ubrania. Mieli na sobie czarne garnitury lub konserwatywne letnie marynarki z krawatami; kilku nosiło kapelusze, a wszyscy trzymali w rękach walizki oraz teczki. Wyglądali jak bankierzy uczestniczący w jakimś kongresie albo dyplomaci idący na przyjęcie. Albo jak zwykli biznesmeni, dyrektorzy średniego i wyższego szczebla, którzy czekają codziennie na stacjach metra, wysiadają z taksówek lub latają samolotami. Johnny'ego niepokoiła właśnie typowość ich wyglądu, kontrastująca z tajemniczymi, ciemnymi konturami starej bazy paliwowej U-Bootów. Mogli pojechać prawie wszędzie, nie zwracając na siebie uwagi, a jednak przybyli znikąd, z wyspy Scharhorn, z centrum międzynarodowego spisku, który miał doprowadzić do wojskowego zamachu stanu. Wyglądali jak przeciętni ludzie w podróży służbowej, którzy jechali tam, gdzie ich wysłano; podobni do innych, zachowujący się jak inni, otwierający teczki w samolotach i pociągach, studiujący sprawozdania finansowe, popijający ostrożnie whisky, niekiedy czytający tanią powieść, by zapomnieć o interesach.

Więc o to chodzi, pomyślał Johnny Reb, opuszczając noktowizor. Właśnie o to chodzi! Miał przed sobą grupy zamachowców! Intuicja nigdy go nie zawodziła, a gorzkawy, mdlący smak żółci, znany tylko szczęśliwcom, którym udało się przeżyć, pojawił się w ustach nieprzypadkowo. Johnny odwrócił się, uruchomił silnik i ostrożnie przesunął ster w lewo. Niewielka motorówka zatoczyła krąg i były oficer wywiadu popędził z powrotem do swojego portu macierzystego w Cuxhaven, dodając gazu co piętnaście metrów.

Po dwudziestu pięciu minutach dotarł do celu, okręcił cumy wokół pachołków, chwycił niewielką nieprzemakalną torbę i wgramolił się z wysiłkiem na molo.

Musiał działać szybko, lecz bardzo, bardzo ostrożnie. Wiedział mniej więcej, do której części portu w Cuxhaven zawinie niebawem duża łódź motorowa. gdyż obserwował jej światła, kiedy płynęła przez zatokę ku wyspie. Znalazłszy się na miejscu, zamierzał określić dokładnie, o które nabrzeże chodzi, a później rozejrzeć się i znaleźć sobie dobrą kryjówkę. Niosąc wodoszczelną 514

torbę bez napisów, pośpieszył do nasady mola i skręcił w lewo, w stronę miejsca.

skąd, jak się wydawało, wypłynęła łódź. Minął ogromny magazyn i poszedł na otwartą przestrzeń. Nieopodal znajdowało się pięć krótkich pomostów sięgających sześćdziesiąt metrów w wodę. Była to przystań dla małych i średnich łodzi; do pomostów przycumowano kilka trawlerów i starych, zniszczonych jachtów, jednakże jedno molo było puste. Czwarte. Johnny wiedział, że tam zawinie łódź: poczuł w ustach gorzki smak żółci. Ruszył do przodu; zamierzał znaleźć miejsce, gdzie mógłby się ukryć.

-

Haiti Stehenbleiben! - krzyknięto gardłowo w ciemności i spod burty trawlera przy trzecim molo wyszedł mężczyzna. - Was machen Sie hier? Wer sind Sie?

Johnny Reb zgarbił się i opuścił głowę.

-

Passen Sie auf diese alten Kasten auf? - spytał i ciągnął po niemiecku:

- Jestem rybakiem na jednej z tych łajb i dziś po południu zgubiłem portfel.

Czy mogę go poszukać?

-

Przyjdźcie później, staruszk. Teraz nie wolno.

-

Eh? Słucham? - Johnny uniósł prawą rękę do ucha, przekręcając sygnet na środkowym palcu i wciskając guziczek na obrączce. - Jestem już trochę przygłuchy, panie strażniku. Co pan mówi?

Mężczyzna zrobił krok naprzód, spoglądając na morze, gdzie w dali rozległ się warkot potężnych motorów.

-

Wynoś się stąd, ale już! - krzyknął prosto do ucha Johnny'ego.

-

Wielkie nieba, to ty, Hans?!

-

Kto?!

-

Hans! Tak się cieszę, że cię widzę!

Johnny objął Niemca ręką za szyję, jakby zamierzał go uściskać, i wbił mu głęboko w skórę igłę sterczącą z sygnetu.

-

Zabierz te brudne łapska, ty śmierdzący staruchu! Nie nazywam się Hans i nigdy w życiu cię nie widziałem! Zjeżdżaj stąd albo wpakuję ci... kulę... w łeb...

Niemiec włożył rękę do kieszeni marynarki, lecz nie zdążył jej wyjąć. Zemdlął.

-

Młode rekiny powinny mieć więcej szacunku dla starszych! - mruknął

Johnny, włokąc nieprzytomnego strażnika ku mrocznym zakamarkom koło burty trawlera przy trzecim molo. - Nie macie pojęcia, jakie mamy żądełka!

Wasi ojczulkowie wiedzieli, ale wy nie! A ja chcę się dobrać właśnie do waszych pieprzonych ojczulków!

Johnny wdrapał się na pokład trawlera i popędził ku relingowi. Do czwartego mola zbliżała się prędko łódź motorowa. Otworzył nieprzemakalną torbę, gdzie schował

przedtem noktowizor, i przyjrzał się w mroku narzędziom swojego fachu. Wyjął

aparat fotograficzny i teleobiektyw firmy Zeiss Icon, zaprojektowany przez sumiennych Niemców podczas drugiej wojny światowej do nocnych Zdjęćfortyfikacji państw sprzymierzonych; był najlepszy. Umocował 2° w zatrzasku i uruchomił

silniczek aparatu, spostrzegłszy z satysfakcją, że 515

akumulator jest całkowicie naładowany. Zadbał o to wcześniej, gdyż zbyt dłu go brał udział w śmiertelnej grze, by robić amatorskie błędy.

Potężna łódź motorowa podpłynęła do mola niczym gigantyczna z orka, wieloryb morderca. Rzucono cumy, a Johnny Reb jął fotografować wysiadających pasażerów.

-

Kotku, mówi Tatiana. Muszę się skontaktować ze swoim przyjacielem

-

Hotel Algonquin w Nowym Jorku - odparł spokojny kobiecy głos.

- Numer kierunkowy dwieście dwa, osiemset czterdzieści, sześćdziesiąt osiem zero zero. Należy prosić Petera Marcusa.

-

Ależ perfidny z niego skurwysyn, nie? - spytał Johnny Reb. - Przepraszam za swój niewyparzony język.

-

Dużo się go nasłuchiłam, Johnny. Tu Anne.

-

Do licha, mała, dlaczego od razu nie powiedziałaś?! Jak się masz, kotku?

-

Czuję się świetnie, Johnny. Wycofałam się na starość, jak wiesz. To tylko przysługa dla starego przyjaciela.

-

Starego przyjaciela?! Gdyby nie chodziło o Petera, ślicznotko, sam bym się z tobą zabawiał.

-

Szkoda, że tego nie zrobiłeś, Johnny. Peter miał na głowie ważniejsze sprawy niż ja. A ty byłeś miłym facetem, może bardziej tajemniczym niż reszta, lecz bardzo fajnym. Nazywano cię dżentelmenem, prawda?

-

Zawsze starałem się zachować pozory, Annie. Czy nie miałabyś nic przeciwko temu, żebym zadzwonił do ciebie któregoś dnia, jeśli oczywiście wyjdziemy cało z tej afery?

-

Nie wiem, co to za afera, ale wiem, że masz mój numer telefonu.

-

Uwielbiam cię, ślicznotko!

-

Postarzeliliśmy się trochę, Johnny, ale zdaje się, że to do ciebie nie dotarło.

-

Nigdy, kotku. Nigdy.

-

Trzymaj się, Johnny. Jesteś za dobry, żeby przegrać.

Telefonistka w hotelu Algonquin była nieubłagana.

-

Przykro mi, proszę pana, pana Marcusa nie ma w pokoju. Nie odbiera telefonu ani nie odpowiada na pukanie do drzwi.

-

Zadzwonię jeszcze raz - stwierdził Johnny.

-

Przykro mi, proszę pana. Pana Marcusa wciąż nie ma.

-

Zdaje mi się, że rozmawialiśmy przed kilkoma godzinami, proszę pana.

Pan Marcus w dalszym ciągu nie odpowiada, więc pozwoliłam sobie zadzwonić 516

do recepcji. Nie wyprowadził się ani nie podał innego numeru telefonu. Czy nie chciałby pan zostawić wiadomości?

- chyba to zrobię. Proszę zanotować. "Siedź w hotelu, dopóki się z tobą nie skontaktuję. Albo ty ze mną. Bardzo ważne. Podpisano: Z. Tatiana".

- Tak, proszę pana, dziękuję. Zet?

- Jak w słowie "zebra", panienczko.

Johnny Reb odłożył słuchawkę w swoim mieszkaniu w Cuxhaven. Czuł w ustach gorzki smak żółci.

Erich Leifhelm zabawiał swoich gości przy ulubionym stoliku w restauracji Ambassador na osiemnastym piętrze hotelu Steigenberger w Bonn. Z ogromnej, eleganckiej jadalni rozciągał się przepiękny widok na miasto, rzekę i odległe góry, a stolik znajdował się w miejscu pozwalającym podziwiać panoramę okolicy.

Było słoneczne, bezchmurne popołudnie i szczęśliwcy mogli bez przeszkód sycić wzrok cudownymi krajobrazami Nadrenii, wywołującymi podziw i wzruszenie.

-

Nie nużę się nigdy tym widokiem - rzekł były feldmarszałek do trzech mężczyzn siedzących przy

stoliku, wskazując z gracją o brzoimie okno za swoimi plecami. - Chciałem spojrzeć na niego jeszcze raz przed powrotem do Buenos Aires, zresztą jednego z najpiękniejszych miast świata.

Zbliżył się maitre d'hotel, który skłonił się z szacunkiem i rzekł cicho do Leifhelma:

-

Telefon do pana, Herr General.

-

Przy stoliku numer pięćdziesiąt pięć siedzi mój adiutant - odparł nie dbale Leifhelm pomimo przyśpieszonego bicia serca. Czyżby to jakaś wiadomość o księdzu ze Strasburga? - Jestem pewien, że może odebrać telefon w moim imieniu.

-

Dzientelmen czekający na linii prosił o osobistą rozmowę z panem generałem. Kazał przekazać, że dzwoni z Kalifornii.

-

Rozumiem. Dobrze. - Leifhelm wstał z krzesła i przeprosił swoich gości: - Interesy nie dając człowiekowi ani chwili spokoju, prawda? Proszę wybaczyć, wrócę za kilka minut. Napijcie się jeszcze wina, panowie.

-

Kazałem przełączyć rozmowę do swojego gabinetu, Herr General -

dodał maitre d'hotel, kiwając głową. - Wchodzi się do niego z foyer.

-

To miło z pańskiej strony. Dziękuję.

Mijając stół numer pięćdziesiąt pięć koło wejścia, Erich Leifhelm potrząsnął

niedbale głową. Samotny mężczyzna jedzący posiłek odwzajemnił ów gest, przyjmując do wiadomości, że nie będzie potrzebny. W ciągu wszystkich lat poświęconych strategiom politycznym i wojskowym feldmarszałek nie popełnił nigdy równie wielkiego błędu.

W foyer stało dwóch mężczyzn; jeden zerkał stale na zegarek, drugi był wyraźnie zirytowany. Sądząc po eleganckich garniturach, przyszli do restauracji 517

i czekali na spóźnionych gości, prawdopodobnie żony. W korytarzu, za przeszklonymi drzwiami, stał trzeci mężczyzna w hotelowym kombinezonie roboczym spoglądając na dwóch mężczyzn w foyer.

Leifhelm podziękował maitre d 'hotel, który wpuścił go do swojego skromnego gabinetu. Restaurator zamknął drzwi i wrócił do sali jadalnej. Gdy tylko zniknął

z pola widzenia, do gabinetu wpadło dwóch mężczyzn, którzy rzucili się ku generałowi podnoszącemu słuchawkę.

-

Wasgeht hier vor? Wer ist...?!

Pierwszy mężczyzna przeskoczył biurko, chwycił Leifhelma oburącz za głowę i zatkał mu mocno usta. Drugi wyciągnął z kieszeni strzykawkę, zdjął gumową osłonkę i rozpiął gwałtownie kołnierzyk koszuli generała. Wbił mu igłę w dolną część gardła, nacisnął tłoczek, po czym wyciągnął strzykawkę i zaczął masować skórę, zapinając jednocześnie kołnierzyk.

-

Przez około pięć minut będzie mógł chodzić - odezwał się po nie miecku lekarz - ale nie będzie w stanie mówić ani myśleć. Trzeba go prowa dzić.

-

A później?- spytał pierwszy mężczyzna.

-

Zemdleje i prawdopodobnie zwymiotuje.

-

Ładne rzeczy! Pośpieszmy się! Proszę postawić go na nogi i zaprowa dzić do drzwi! Wyjrzę na korytarz i zapukam, jeśli wszystko będzie w porządku.

Po kilku sekundach rozległo się puknięcie, a lekarz wypchnął generała z gabinetu i wyszedł z nim przez szklane drzwi na korytarz hotelowy.

-

Tędy! - rozkazał mężczyzna w kombinezonie, skręcając w prawo.

-

Szybko! - przynaglił lekarz.

Wielu gości spacerujących po obitym aksamitem korytarzu oraz zmierzających do restauracji rozpoznało legendarnego weterana, kilku zaś zauważyło jego bladą, nieprzytomną twarz i drżące usta, gdy próbował się odezwać, a może krzyknąć.

-

Pan generał otrzymał przed chwilą straszliwą wiadomość! - powtarzał z szacunkiem lekarz. - Jest w szoku!

Dotarli do zablokowanej windy towarowej i weszli do środka. Koło wyściełanej tylnej ściany stał wózek operacyjny. Trzeci mężczyzna wyjął z kieszeni klucz, przekręcił go w zamku, by odblokować windę, i nacisnął guzik sprowadzający ją do sutereny bez zatrzymywania się. Dwaj pozostali ułożyli Leifhelma na wózku i przykryli prześcieradłem, zasłaniając mu głowę.

-

Na górze zaczną się niepokoić - odezwał się pierwszy mężczyzna. - Zaraz przybiegną jego goryle. Są zawsze w pobliżu.

-

Przed drzwiami windy stoi już karetka pogotowia - odparł mężczyzna w kombinezonie. - A na lotnisku czeka samolot.

Ostatni feldmarszałek Trzeciej Rzeszy zwymiotował pod prześcieradłem!

518

jacques Louis Bertholdier wszedł do apartamentu na bulwarze Montaigne, zdjął jedwabną marynarkę i cisnął ją na fotel. Zbliżył się do lustrzanego barku pod ścianą, nalał sobie kieliszek wódki, wrzucił do niej dwie kostki lodu z ku -

bełka z czystego srebra i podszedł do okna za sofą obitą wykwinną materią.

Nieskazitelnie czysty bulwar Montaigne, porośnięty drzewami, wydawał się późnym popołudniem częścią spokojnej wsi, choć znajdował się przecież Pośrodku miasta. Bertholdier uważał go za kwintesencję swojego ukochanego paryża, Paryża bogactwa i władzy, którego mieszkańcy nigdy nie kalają rąk pracą. Właśnie dlatego zakupił ów ekstrawagancki apartament i umieścił w nim swoją najbardziej ekstrawagancką i podniecającą kochankę. Potrzebował jej w tej chwili. Boże, jakże potrzebował zaspokojenia!

Legionista zastrzelony i uduszony we własnym samochodzie! Na parkingu w Lasku Bulońskim! A Prudhomme, nędzny biurokrata, rzekomo w Calais! Żadnych odcisków palców! Nic! Jeden z bohaterów narodowych Francji potrzebował godziny spokoju i odprężenia.

-

Gdzie jesteś, Elise? Wyjdź, kusicielko! Mam nadzieję, że włożyłaś to, co kazałem? Na wszelki wypadek, przypominam: krótka czarna koszulka bez niczego pod spodem, rozumiesz? Niczego!

-

Naturalnie, mon generał - zza drzwi sypialni dobiegła dziwnie niepewna odpowiedź.

Bertholdier zaśmiał się cicho, odwrócił się i usiadł na sofie. Z Le Grand Timon muszą się liczyć nawet dwudziestopięcioletnie nimfomanki, które uwielbiają pieniądze, samochody sportowe, eleganckie apartamenty i seks. Cóż, jest zbyt wytracony z równowagi, by się rozbierać; nie ma ochoty na żadne idiotyczne zabawy, które będą się ciągnąć godzinami. Dziś zależy mu tylko na szybkim zaspokojeniu.

Tok jego myśli przerwał dźwięk przekręcanej klamki. Otworzyły się drzwi i stanęła w nich dziewczyna o kruczoczarnych włosach. Jej smukła, prześliczna twarz wyrażała oczekiwanie, a orzechowe oczy były nieobecne i zdziwione. Może paliła marihuanę, pomyślał Bertholdier. Miała na sobie krótką koszulkę z czarnej koronki, przez którą przezierały piersi. Zbliżyła się do sofy, kręcąc kusząco biodrami.

-

Znakomicie, ty egipska dziwko! Usiądź. Miałem straszliwy, okropny dzień, który jeszcze się nie skończył. Za dwie godziny przyjedzie po mnie szofer; potrzebuję odpoczynku i zaspokojenia. Zajmij się tym, Egipcjanko. -

Bertholdier rozpiął rozporek i wyciągnął rękę w stronę dziewczyny. - Całuj mnie, gdy będę cię pieścił, a później zrób to, co tylko ty potrafisz. - Chwyć

ją

za piersi i przygiął jej głowę ku swoim lędzwiom. - No już, prędko!

W pokoju błysnął nagle oślepiający flesz i z sypialni wyszło dwóch mężczyzn.

Dziewczyna odskoczyła od generała, który spojrzał z przerażeniem na intruzów.

Człowiek stojący przed nim schował aparat fotograficzny do kieszeni, a jego towarzysz, przysadzisty, niedźwiedziowaty mężczyzna w średnim wieku, Podszedł z pistoletem w ręku do legendarnego bojownika francuskiego ruchu oporu.

-

Podziwiam pański gust, generale - odezwał się szorstko. - Ale przecież zawsze pana podziwiałem, nawet gdy nie podzielałem pańskiego zdania.

Nie pamięta mnie pan, ale postawił mnie pan w Algierze przed sądem wojennym za uderzenie oficera i skazano mnie na trzy lata kolonii karnej. Byłem starszym sierżantem, a oficer brutalnie znęcał się nad moimi żołnierzami, karał

ich surowo za drobne wykroczenia. Trzy lata za uderzenie paryskiego elegancika!

Trzy lata w brudnych barakach za to, że troszczyłem się o swoich żołnierzy!

-

Starszy sierżant LeFevre - rzekł butnie Bertholdier, podciągając spodnie i zapinając rozporek. - Pamiętam pana. Nigdy niczego nie zapominam. Dopu-

ścił się pan ciężkiej zbrodni, podniósł pan rękę na oficera. Powinienem kazać pana rozstrzelać.

-

W ciągu tych trzech lat często żałowałem, że tak się nie stało, monsieur Ale nie przyszedłem tutaj na wspominki o Algierii (właśnie wtedy zrozumiałem, że postradaliście rozum). Zamierzam zabrać pana ze sobą. Nie zrobimy panu krzywdy; za kilka dni wróci pan cały i zdrowy do Paryża.

-

Niesłychane! - wykrzyknął generał. - Myśli pan, że boję się pańskiego pistoletu?!

-

Nie. To tylko środek ostrożności na wypadek, gdyby sławny weteran zdobył się na ostatni gest odwagi. Znam pana na tyle dobrze, że wiem, iż ni czego nie wskóram, grożąc panu przemocą, a nawet śmiercią. Mam jednak inny argument, jak mi się zdaje, nieodparty. - Były sierżant wyjął z kieszeni drugi pistolet o dziwacznym kształcie. - Ta broń nie strzela kulami, tylko kapsułkami zawierającymi substancję chemiczną, która powoduje przyśpieszenie tętna i pęknięcie serca. Początkowo zamierzałem zagrozić panu opu blikowaniem fotografii po pańskiej śmierci, aby wszyscy się dowiedzieli, że wielki generał umarł haniebnie w trakcie czynności, na której znał się najle piej. W tej chwili wpadłem jednak na inny pomysł. Udało nam się sfotografować pana pod właściwym kątem i po kilku drobnych retuszach (oczywiście nie zmienimy wyrazu pańskiej twarzy) pańska partnerka może stać się chłopcem, a nie dziewczyną... Wiele lat temu słyszałem pogłoski o pańskich perwersjach i o przyczynach dziwnie pośpiesznego małżeństwa. Czy to właśnie przed tą tajemnicą ucieka przez całe życie Le Grand Timon? Czy to w ten sposób de Gaulle trzymał w szachu swojego popularnego, choć zbyt ambitnego i buntowniczego pułkownika? Czyżby nienasycone apetyty

pretendentka do tronu obejmowały wszystkich, niezależnie od płci? Małych chłop ców, gdy brakowało kobiet? W koszarach krążyły plotki o młodych porucznikach i kapitanach zdeprawowanych pod pozorem przesłuchań w pańskiej kwaterze...

-

Dosyć! - zawołał Bertholdier, zrywając się z sofy. - Dalsza rozmowa nie ma sensu. Te absurdalne zarzuty nie są niczym poparte, ale nie pozwolę szargać swojego nazwiska! Proszę oddać mi kliszę!

-

Na Boga, to prawda! - rzekł były sierżant. - Wszystko co do joty!

520

- proszę oddać kliszę! - powtórzył generał.

- Dam ją panu w samolocie - odparł LeFevre.

Chaim Jakób Abrahms wyszedł ze zwieszoną głową z synagogi Ihud Shi-at Zion przy Ben Yehuda w Tel Awiwie. Przed świątynią zebrały się tłumy wiernych stronników, które wylewały otwarcie łzy na znak współczucia dla wielkiego Żyda, generała i patrioty, cierpiącego straszliwe męki z winy własnej żony. Hitahdut - szeptano.

Ebude Atzmo - powtarzano sobie na ucho, aby Abrahms nie usłyszał. Rabini okazali się nieubłagani nawet dla walecznego Sabry, dzikiego syna Abrahama, biblijnego wojownika, który z jednakową żarliwością kochał swój kraj i Talmud. Nikczemnej kobiecie odmówiono pogrzebu w świętym miejscu; musiała pozostać poza bramą beht Hakvahroht, by zmagać się samotnie z gniewem Wszechmogącego. Świadomość tego faktu przejmowała jej żyjącego męża nieznośnym bólem.

Podobno popełniła samobójstwo z zemsty i wskutek choroby psychicznej. Pozostały jej przecież córki. Syn, który zginął na polu bitwy, należał do ojca-syn zawsze należy do ojca. Któż płacze bardziej, któż cierpi bardziej niż ojciec? A teraz kobieta, której poświęcił swoje życie, powiększyła tylko jego mękę, popełniając straszliwy grzech przeciw prawom Talmudu. Co za wstyd! Co za hańba! O Chaimie, bracie, ojcie, synu i wodzu, płaczemy razem z tobą! Płaczemy nad tobą! Zrobimy wszystko, co każesz! Jesteś naszym królem! Królem Eretz Israel, Judei, Samarii i innych krain, które chcesz podbić! Wskaż nam drogę, a my pójdziemy za tobą, królu!

-

Po śmierci zrobiła dla niego więcej niż za życia - rzekł mężczyzna, który stał na uboczu i nie mieszał się z tłumem.

-

Co się naprawdę stało, jak myślisz? - spytał jego towarzysz.

-

Wypadek. Albo coś znacznie, znacznie gorszego. Często odwiedzała naszą świątynię i mogę cię zapewnić, że nigdy nie popełniłaby Hitabdut...

Musimy bacznie go obserwować, nim ci głupcy i tysiące im podobnych nie okrzykną go cesarzem, by powiódł nas na zatracenie...

Ulicą nadjechał samochód wojskowy z biało-niebieskimi proporczykami. Po obu stronach maski i zaparkował przy krawężniku naprzeciwko synagogi. Abrahms, przytłoczony rozpaczą, przeszedł z pochyloną głową przez tłum, mrugając oczyma i ściskając ręce współczującym ludziom.

-

Pański samochód, panie generale - rzekł do niego młody żołnierz.

-

Dziękuję, synu.

Legendarny bojownik o suwerenność Izraela wgramolił się do limuzyny i usiadł

na tylnym siedzeniu, zacisnąwszy z bólu powieki. Do szyb przywarły twarze płaczących ludzi. Zamknięto drzwi i Abrahms przemówił, wciąż nie otwierając oczu, ale jego ostry głos nie wyrażał już cierpienia.

-

Jedźmy stąd, byle szybko! Zawieźcie mnie do mojej willi za miastem.

Napijemy się whisky i zapomnimy o tym gównie. Świątoszkowate skurwysyny!

521

Mieli czelność mnie pouczać! Kiedy zaczniemy następną wojnę, wyślę tych pieprzonych rabinów na pierwszą linię! Będą wygłaszać kazania, wyciągając sobie odłamki z dup!

Samochód nabierał prędkości i tłumy zostały z tyłu. Panowało milczenie. Po chwili Chaim Abrahms otworzył oczy i usadowił się wygodniej. Wydawało się, że zapomniał o bólu po śmierci żony. Nagle poczuł na sobie wzrok dwóch żołnierzy obok i popatrzył na nich, obracając głowę w obydwie strony.

-

Kim jesteście?! - krzyknął. - Na pewno nie moimi adiutantami!

-

Obudzą się za jakąś godzinę - rzekł mężczyzna na przednim siedzeniu obok kierowcy. Odwrócił się ku Abrahmsowi. - Dzień dobry, generale!

-

To ty?!

-

Tak, to ja, Chaimie. Twoi goryle nie powstrzymali mnie przed złożeniem zeznań przed Trybunałem Libańskim i nic nie mogło mnie powstrzymać przed wykonaniem dzisiejszego zadania. Opowiedziałem o rzezi kobiet, dzie ci i drżących starców, którzy błagali o darowanie życia, gdy ty się śmiałeś. I ty

masz czelność nazywać się Żydem?! Niczego nie rozumiesz. Jesteś przeżarty nienawiścią i nie mamy ze sobą nic wspólnego. Jesteś gównem, Abrahms. Ale za kilka dni wrócisz bezpiecznie do Tel Awiwu.

Samoloty przybywały zgodnie z planem. Awionetki z Bonn i Paryża przyleciały na niskiej wysokości, a odrzutowiec z Izraela, Dassault-Bruguet Mystere 10/100, zszedł błyskawicznie z pułapu ponad ośmiu tysięcy metrów. Wszystkie maszyny wylądowały na prywatnym lotnisku w St Gervais. Kiedy zatrzymywały się na końcu pasa startowego, podjeżdżał do nich ten sam granatowy samochód, który zabierał

gości wraz z obstawą do alpejskiego zamku dwadzieścia kilometrów na wschód.

Wynajęto go na dwa tygodnie przy pomocy pośrednika z Chamonix.

Opracowano dokładny harmonogram przylotów, gdyż żaden z trzech przybyłych nie miał prawa wiedzieć, że w zamku są również pozostali. Samoloty z Bonn i Paryża wylądowały o czwartej trzydziści i piątej czterdziści pięć, a odrzutowiec z Izraela prawie trzy godziny później, o ósmej dwadzieścia siedem. Każdego zdumionego gościa witał tymi samymi słowami Joel Converse:

- Miło mi, że znów się widzimy. Będzie pan mieszkać w lepszych warunkach niż ja w Bonn, choć wątpię, czy jedzenie okaże się równie dobre. Ale wiem jedno: pański odjazd będzie znacznie mniej dramatyczny niż mój.

Lecz nie pobyt, myślał Converse, przemawiając do każdego z gości. Nie pobyt.

Stanowiło to część jego planu.

Rozdział 38

Na ciemnym niebie nad Central Parkiem zaświtał pierwszy promień słońca. Na than Simon siedział naprzeciwko olbrzymiego okna w swoim gabinecie, obserwując narodziny nowego dnia z wielkiego skórzanego fotela, który nazywał fotelem rozmyślań, choć ostatnio służył on równie często do drzemki. Jednakże tej nocy, tego ranka, Simon nie zmrużył ani na chwilę oka. Gorączkowo rozważał różne możliwości, przewidując związane z nimi niebezpieczeństwa. Jeśli Uczynj fałszywy krok, może zaalarmować Akwitańczyków i skłonić ich do natychmiastowego działania; później wypadki błyskawicznie wymkną się spod kontroli, a raczej zyskają nad nimi kontrolę generałowie. Na całym świecie. Oczywiście i tak mogą zacząć operację za kilka godzin, lecz Nathan nie spodziewał się tego. Nie uważał

ich za głupców. Chaos musi mieć jakiś widoczny początek, który usprawiedliwiłby eskalację przemocy. Należało stworzyć przynajmniej pozory anarchii, by uczestnicy gry mieli czas zająć w tajemnicy wyznaczone pozycje. Było to oczywiście abstrakcyjne rozumowanie, lecz każda abstrakcyjna idea ma swoje realne podłoże. Koncepcja rządów wojska jest równie stara jak świat i sięga epoki faraonów. W różnych formach wcielali ją w życie Spartanie w starożytnej Grecji, cesarze rzymscy i niemieccy, renesansowi książęta, a w dwudziestym wieku Sowietci i Niemcy, twórcy totalitaryzmu. Scenariusz jest zawsze taki sam: zamieszki, rozlew krwi i przejęcie władzy, czy chodzi o rewolucję z udziałem setek tysięcy ciemniejących Rosjan, czy o wybory parlamentarne pod hasłem uwolnienia się od niesprawiedliwych postanowień traktatu wersalskiego.

Słaby punkt strategii generałów polegał właśnie na tym, że przed wybuchem anarchii musiało dojść do zamieszek. Należało doprowadzić do szaleństwa tłumu zwykłych ludzi, ale do tego potrzebne są przede wszystkim same tłumy. Zamieszki są koniecznym preludium, lecz gdzie i kiedy do nich dojdzie? I co powinien zrobić Simon, by nie zwrócić na siebie uwagi informatorów Delavane'a? Jest pracodawcą i przyjacielem Joela Converse'a, psychopatycznego mordercy stworzonego przez Akwitańczyków. Musi przyjąć, że jest śledzony i że jeśli wykona jakikolwiek podejrzany krok, generałowie postarają się pokrzyżować jego plany. Życie Simona nie ma tu żadnego znaczenia. Znalazł się w pewnym sensie w pułapce, podobnie jak niegdyś, gdy wraz z tłumami przerażonych, wściekłych żołnierzy amerykańskich brał udział w delcie na plażach Anzio we Włoszech. Jego towarzysze również zdawali sobie sprawę, że jamy wygrzebane w wydmach zapewniają im chwilowe bezpieczeństwo i że gdyby ruszyli do ataku, dostaliby się pod morderczy ogień karabinów maszynowych. Ale rozumieli także, że jeśli pozostaną na miejscu, niczego nie osiągną i będą ginąć jeden po drugim pod ostrzałem moździerzy. , Nathan okłamał Petera Stone'a, gdyż dobrze wiedział, do kogo się zwróci. Nie chodziło o jedną osobę, lecz o trzy. Prezydenta, przewodniczącego 523

Izby Reprezentantów i prokuratora generalnego. Byli oni najwyższymi Organami władzy wykonawczej, ustawodawczej i sądowniczej. Simon nie chce kontaktować się z nikim innym i najchętniej spotkałby się ze wszystkimi naraz, a nie osobno. Tak czy owak, musi się z nimi zobaczyć i tu właśnie kryje się dylemat, pułapka. Z

takimi ludźmi nie można się umówić na spotkanie, podnosząc słuchawkę telefonu.

Istnieją stosowne procedury, formalności w Celu ustalenia, czy prośba o audiencję jest usprawiedliwiona. Ludzie na tak odpowiedzialnych stanowiskach nie mogą sobie pozwolić na stratę czasu. Pułapka! Sekret wyjdzie na jaw, gdy tylko Simon wypowie swoje nazwisko. Za kilka godzin, jeśli nie minut, dowie się o wszystkim sam Delavane.

Wbrew optymistycznym i mętnym stwierdzeniom Joela w rozmowie z Peterem Stone'em, nie jest łatwo nawiązać kontakt z najważniejszymi osobistościami państwa. Trudno też skłonić sędziego, by bez konsultacji z aparatem bezpieczeństwa wydał pod pieczęcią nakaz ich nadzwyczajnej ochrony. To śmiechu warte! Takie nakazy mają sens w wypadku zastraszonych świadków przed rozprawą sądową albo później, lecz są absurdem w odniesieniu do Białego Domu, Kongresu i Departamentu Sprawiedliwości. Joel uczeplił się pewnego terminu prawniczego i rozdał go do nieprawdopodobnych rozmiarów - oczywiście w konkretnym celu. Skłonił Stone'a i jego współpracowników do złożenia zeznań.

A mimo to absurdalne dywagacje Converse'a mają w sobie jakąś paradoksalną logikę, myślał Simon. Może podsunął on mimo woli sposób na dotarcie do czołowych polityków kraju? "Sąd, jeden sędzia..." - rzekł do Stone'a. Tu właśnie kryje się klucz; reszta to prawniczy bełkot. Sąd Najwyższy, sędzia Sądu Najwyższego. Nie prośba Nathana Simona, którego należy najpierw sprawdzić, ale czcigodny sędzia Sądu Najwyższego zwracający się do prezydenta o pilną audiencję. Jeśli stwierdzi, że to sprawa poufna, nikt nie ośmieli się go wypytywać. Prezydenci zabiegają o względy Sądu Najwyższego znacznie usilniej niż o względy Kongresu, i nie bez powodu. Kongres to arena walki politycznej, Sąd Najwyższy zaś jest monopolistą w sferze moralności, a moralność dotyczy każdego, nawet (a może zwłaszcza) prezydentów. Nathan Simon znał właściwego człowieka. Mógł w każdej chwili spotkać się z pewnym sędzią Sądu Najwyższego zbliżającym się do osiemdziesiątki. Sąd Najwyższy nie obradował; do października pozostał jeszcze miesiąc. Sędzia zaszył się gdzieś w Nowej Anglii, a Simon miał w biurze numer jego prywatnego telefonu.

Nathan zamrugął i przysłonił dłonią oczy. Promienie porannego słońca, przypominającego ognistą kulę, załamały się na moment w labiryncie brył

geometrycznych ze stali i szkła po drugiej stronie parku i wpadły do gabinetu, nim zasłonił je odległy wieżowiec. W tejże chwili oślepiiony słońcem prawnik domyślił się odpowiedzi na straszliwe pytanie, gdzie i kiedy zaczną się rozruchy stanowiące preludium do wojskowego zamachu stanu. W Europie Zachodniej' Wielkiej Brytanii, Kanadzie i Stanach Zjednoczonych organizowano międzynarodowy tydzień protestów przeciwko broni jądrowej. Tysiące zatroskanych i przerażonych ludzi zamierzało tworzyć żywe łańcuchy na ulicach stolic i większych 524

miast, blokując ruch pojazdów, by zwrócić na siebie uwagę. W parkach, placach i przed gmachami rządowymi miały odbywać się wiece. Wszędzie, w Paryżu, Bonn, Rzymie, Madrycie, Brukseli i Londynie, do olbrzymich tłumów będą przemawiać politycy i mężowie stanu, zdający sobie świetnie sprawę z możliwości taniej reklamy. Manipulatorzy, demagodzy i rzekomi dobroczyńcy ludzkości strojący się w togi bojowników o pokój. winą za brak postępów wV rozbrojeniu obarczająk zawsze krwiożerczych wrogów, zapominając o własnych błędach. Na mównicach wielu krajów spotkają się prawdziwi i fałszywi pacyfiści, których nikt nie zdoła od siebie odróżnić.

Na ulicach pojawią się rzesze przeciwników broni jądrowej, lecz można spodziewać się także wystąpień nielicznych, choć krzykliwych grupek tych, co wierzą tylko w nagą, niezamaskowaną siłę. Nikt nie spodziewa się, że demonstracje obejdą się bez incydentów... Lecz jak daleko może się posunąć eskalacja przemocy, jeśli incydenty przybiorą krwawy obrót? Wystarczy seria ataków anonimowych terrorystów, by uczestnicy demonstracji stali się zupełnie nieobliczalni...

Tłumy, tłumy ludzi na całym świecie... Właśnie te tłumy miała doprowadzić do szaleństwa nagła fala zamachów! Tak wygląda scenariusz Akwitańczyków. Wszędzie.

Demonstracje rozpoczęły się za trzy dni.

Peter Stone szedł szeroką piaszczystą ścieżką w stronę jeziora za domem letniskowym gdzieś w stanie New Hampshire. Nie znał dokładnie jego położenia; wiedział tylko, że znajduje się dwadzieścia minut jazdy od lotniska. Zbliżała się noc i kończył się dzień pełen niespodzianek, choć same niespodzianki najwyraźniej jeszcze się nie skończyły. Przed dziesięcioma godzinami Stone zadzwonił ze swojego pokoju w hotelu Algonquin do biura linii lotniczych Swissair, by sprawdzić, czy samolot z Genewy nie jest opóźniony, po czym usłyszał, że prawdopodobnie wyląduje pół godziny przed czasem. Była to pierwsza niespodzianka, pozbawiona jakiegokolwiek znaczenia, jednakże druga okazała się ogromnie ważna. Przybył na lotnisko Kennedy'ego tuż przed drugą i po kilku minutach wywołano go przez megafon pod nazwiskiem Lackland, które podał

Nathanowi Simonowi.

-

Poleci pan samolotem Pilgrim Airlines do Manchesteru w stanie New Hampshire - powiedział prawnik. - Zarezerwowałem panu miejsce na nazwi sko Lackland na kwadrans po trzeciej. Zdąży pan?

-

Z łatwością. Samolot z Genewy ma wylądować przed czasem. Domy ślam się, że odlatuję z LaGuardii, tak?

-

Owszem. Na lotnisku w Manchesterze spotka pana rudy mężczyzna.

Opisałem mu pana. Zobaczymy się około piątej trzydzieści.

Manchester? New Hampshire? Stone był do tego stopnia pewien, że Simon wysłał go do Waszyngtonu, iż nie wziął nawet szczoteczki do zębów. Niespodzianka numer dwa.

Niespodzianką numer trzy okazał się kurier z Genewy. Była nim schi na, koścista Angielka z kredowobiałą twarzą; Stone wyobrażał sobie, że tak lodowaty wzrok mają tylko funkcjonariusze KGB z Łubianki. Zgodnie z umową, czekała na niego przed poczekalniadla pasażerów Swissair, trzymając w prawej ręce tygodnik

"Economist". Zerknąwszy na niewłaściwą stronę przeterminowanej legitymacji służbowej Stone'a, wręczyła mu teczkę i rzekła z wyraźnym brytyjskim akcentem:

-

Nienawidzę Nowego Jorku. Nigdy go nie lubiłam. Nie znoszę też latania samolotami, choć stewardesy są bardzo uprzejme. Lepiej mieć to od razu z głowy, prawda? Wracam następnym samolotem do Genewy. Tęsknię za Alpami.

Potrzebują mnie, a ja daję im z siebie wszystko, co najlepsze.

Wygłosiwszy ów idiotyczny tekst, uśmiechnęła się blado, odwróciła się bez słowa i poszła niepewnym krokiem w stronę ruchomych schodów. Stone zaczął się wszystkiego domyślać. Oczy kobiety nie były lodowate, tylko nieobecne. Była pijana, a przynajmniej lekko wstawiona, przewyciężywszy lęk przed samolotami za pomocą alkoholu. Converse ma dziwne wyobrażenia na temat kurierów, pomyślał

Stone i natychmiast zmienił zdanie. Któż mógłby być mniej podejrzany?

Czwarta niespodzianka miała miejsce na lotnisku w Manchesterze. Wszedł po niego wesoły rudy mężczyzna w średnim wieku, który powitał go z taką serdecznością, jakby studiowali razem na uniwersytecie na środkowym zachodzie pod koniec lat trzydziestych, gdy koleżeństwo z sali wykładowej miało większe znaczenie niż węzły krwi. Stone poczuł się wręcz zażenowany jego ostentacyjną wylewnością, a na dodatek zaniepokoił się, że zwrócą na siebie niepotrzebnie uwagę. Ale kiedy znaleźli się na parkingu, rudzielec pchnął nagle Stone'a na drzwiczki samochodu, przyłożył mu do szyi lufę pistoletu i obmacał go wolną ręką w poszukiwaniu broni.

-

Nie ryzykowałbym przenoszenia pistoletu przez bramkę, do cholery! -

zaprotestował były agent CIA.

-

Tylko się upewniam, szpiegu. Miałem już z wami do czynienia, uważa cie się za wielkich

cwaniaków. Pracowałem w FBI.

-

To wiele wyjaśnia - stwierdził poważnie Stone.

-

Ty prowadzisz.

-

To prośba czy rozkaz?

-

Rozkaz. Szpiegzy powinni zawsze prowadzić - odparł rudzielec.

Piąta niespodzianka spotkała Stone'a w samochodzie, gdy skręcał w prawo i w lewo zgodnie ze wskazówkami rudzielca, który wsunął niedbale pistolet do kabury pod pachą.

-

Przepraszam za te idiotyzmy - rzucił tonem znacznie mniej wrogim niż na parkingu, choć już bez fałszywej serdeczności z lotniska. - Musiałem być ostrożny, zdeprimować pana, sprawdzić, jasne? Nie pracowałem w FBI.

Nie znoszę tych baranów. Zawsze zadzierają nosa dlatego, że są z Waszyngtonu.

Byłem gliniarzem w Cleveland; nazywam się Gary Frazier. Jak się pan czuje?

526

- Trochę lepiej - odparł Stone. - Dokąd jedziemy?

- Przykro mi, kolego. Dowie się pan w swoim czasie.

Niespodzianka numer sześć spotkała Stone'a, gdy samochód wspiął się na wzgórze New Hampshire i dotarł do samotnego piętrowego domku letniskowego z drewna i szkła w głębi lasu. W drzwiach pojawił się Nathan Simon. Zszedł kamiennymi schodkami na drogę.

- Ma pan wszystko? - spytał.

- Proszę - rzekł Stone, wręczając prawnikowi teczkę przez otwarte okno samochodu. - Gdzie jesteśmy? Z kim się pan skontaktował?

- O istnieniu tej posiadłości wie bardzo niewielu ludzi, ale wezwiemy pana, jeśli wszystko będzie w porządku. Nad jeziorem jest domek gościnny połączony z szopą na łodzie. Nie ma pan ochoty odetchnąć świeżym powietrzem po podróży?

Drogę wskaże panu kierowca. W razie czego zatelefonujemy do pana. Przystań ma osobne połączenie z domem.

A teraz Peter Stone kroczył szeroką piaszczystą ścieżką prowadzącą nad jezioro, czując na plecach śledzące go oczy. Niespodzianka numer siedem: nie miał

pojęcia, gdzie się znajduje, a Simon zamierzał mu to powiedzieć dopiero upewniwszy się, że wszystko w porządku.

Domek gościnny wspomniany przez prawnika składał się z trzech pokoi i miał

osobne przejście do szopy na łodzie, gdzie znajdowała się smukła motorówka oraz skromny katamaran przypominający tratwę z dwoma płóciennymi siedzeniami i sprzętem rybackim. Stone krążył po szopie, usiłując odnaleźć jakąś wskazówkę co do tożsamości właściciela, lecz niczego takiego nie było. Nawet nazwy łodzi, choć niepozbawione humoru, nie miały żadnego znaczenia. Niezgrabny katamaran kojarzący się z tratwą nazywał się "Jastrząb", a groźnie wyglądający niewielki ścigacz - "Gołębica".

Były agent wywiadu siedział na ganku, patrzył na spokojną toń jeziora i faliste wzgórza New Hampshire pogrążające się w ciemności. Wszędzie panował spokój.

Skrzeczenie wodnych ptaków podkreślało tylko wieczystą harmonię owego niezwykłego miejsca. Jednakże w żołądku Stone'a nie panował spokój. Czuł mdłości i przypomniał sobie słowa Johnny'ego Reba wypowiedziane dawno temu podczas jakiejś operacji: "Ufaj tylko swoim flakom, braciszku, flakom i zółci. One nigdy nie kłamią". Zaczął się zastanawiać, co robi Johnny i czego się dowiedział.

Na ganku rozległ się ostry, ogłuszający dzwonek, któremu towarzyszyły cichsze popiskiwanie w domku. Stone zerwał się z fotela jak rażony prądem, otworzył

gwałtownie drzwi i podszedł spiesźnie do telefonu.

- Proszę przyjść do domu - odezwał się Nathan Simon i dodał: - Jeśli siedział

pan na ganku, przepraszam za ten cholerny dzwonek. Powinienem Pana uprzedzić.

- Rzeczywiście, siedziałem. Nic się nie stało.

- To dla gości, którzy spodziewają się telefonu i pływają łodzią po jeziorze.

- Ptaki już się uciszyły. Zaraz przyjdę.

Stone ruszył piaszczystą ścieżką i ujrzał prawnika stojącego przy drzwiach z drucianej siatki naprzeciwko drogi nad jeziorem. Dalej znajdował się taras z kilkoma ceglanymi schodkami. Jął się po nich wspinać, szykując się na niespodziankę numer osiem.

Za wielkim biurkiem w bibliotece siedział sędzia Sądu Najwyższego A drew Wellfleet z kosmykami rzednących siwych włosów opadającymi niesfornie na wysokie czoło. Leżało przed nim zeznanie Converse'a, oświetlone wysoką lampą stojącą na podłodze po lewej. Po dłuższej chwili sędzia spojrział na Stone'a i zdjął okulary w stalowej oprawce. Jego oczy nie miały miłego wyrażenia. Surowe i pełne dezaprobaty, pasowały do przydomka nadanego mu dwadzieścia lat wcześniej, gdy powołano go do Sądu Najwyższego. Przydzieleni mu urzędnicy nazwali go Wściekłym Andym, lecz choć odznaczał się gniewnym temperamentem, nikt nie kwestionował

jego błyskotliwej inteligencji poczucia sprawiedliwości ani umiłowania prawa.

Wziąwszy wszystko pod uwagę, niespodzianka numer osiem okazała się całkiem przyjemna.

-

Czytał pan to? - zwrócił się Wellfleet do Stone'a, nie podając mu ręki ani nie zapraszając go do zajęcia miejsca.

-

Tak jest, panie sędzio - odparł były agent CIA. - W samolocie. Converse powiedział mi przez telefon właściwie to samo, choć, rzecz jasna, podał

znacznie więcej szczegółów. Za to oświadczenie Francuza, Prudhomme'a, to coś nowego. Ilustruje ich metody działania i możliwości.

-

I co, do licha, zamierzał pan z tym wszystkim zrobić?! - Stary sędzia skinął ręką w stronę zeznań zaścielających biurko. - Chciał pan zwrócić się do sądów w Stanach i Europie, żeby zawiesiły w służbie wszystkich wojskowych powyżej pewnego stopnia, bo mogą należeć do spisku?!

-

Nie jestem prawnikiem, panie sędzio. Nigdy nie przyszło mi do głowy zwracać się do wymiaru sprawiedliwości. Ale spodziewam się, że zeznanie Converse'a w połączeniu z naszą wiedzą może wystarczyć, by dotrzeć do wy sokich urzędników państwowych, którzy sąw stanie coś zrobić. Converse uważa chyba to samo, bo wciągnął w sprawę mecenasa Simona i, proszę wybaczyć, pana sędziego.

-

To nie wystarczy - odparł sędzia Sądu Najwyższego. - Pracował pan w CIA, więc nie muszę panu, do licha, tłumaczyć, że sądy nie mają tu nic do roboty. Potrzeba znacznie więcej nazwisk, a nie tylko pięciu generałów, w tym trzech w stanie spoczynku. Nawiasem mówiąc, ich tak zwanemu przywódcy amputowano kilka miesięcy temu obie nogi.

-

Delavane'owi?! - spytał Simon, odchodząc od okna.

-

Tak - odparł Wellfleet. - Żałosne, prawda? Niezbyt pasuje to do groźne go przywódcy międzynarodowego spisku.

-

Mogło to uczynić go niezwykle groźnym.

-

Nie przeczę, Nate. Przyglądam się po prostu uczestnikom tej afery.

Abrahams? Każdy koszerny Żyd powie ci, że to krzykacz, znakomity żołnierz, któremu brakuje piątej klepki. Poza tym tak naprawdę obchodzi go tylko Izrael.

528

Van Headmer? To dziewiętnastowieczny relikwiarz, który lubi wieszać i rozstrzeliwać, lecz nie ma nic do powiedzenia poza RPA.

- Panie sędzio - odezwał się Stone - czy sugeruje pan, że się mylimy? Jeśli tak, proszę wziąć pod uwagę inne osoby. Nie mam na myśli kilku attache z Bonn, tylko ludzi, których zamordowano, bo usiłowali zdemaskować spisek.

- Nie słucha mnie pan! - krzyknął Wellfleet. - Powiedziałem przed chwilą Mate'owi, że niczemu nie zaprzeczam! Jak mógłbym, do cholery?! Nielegalne transakcje eksportowe wartości czterdziestu pięciu milionów dolarów!

Organizacja, która potrafi wpływać na środki masowego przekazu w Stanach i w Europie, korumpować instytucje państwowe i, jak określa to Nate, "stworzyć psychopatycznego mordercę", aby pokrzyżować plany swoich przeciwników! Nie, panie Stone, nie twierdzę, że pan się myli. Mówię po prostu, że powinien pan zrobić to, w czym jest pan podobno dobry, i to cholernie szybko. Trzeba ściągnąć do Stanów Washburna i innych z Bonn, aresztować kilku pracowników Pentagonu i

Departamentu Stanu, naszprycować ich i wyciągnąć od nich właściwe nazwiska! Ale jeśli wspomni pan komukolwiek, że sugerowałem takie nielegalne metody, sprzeczne z uświęconymi prawami człowieka, wyprę się tego i nazwę pana gówniarzem. Proszę porozmawiać z Nate'em, panie Stone. Nie pora na gładkie słówka.

-

Nie mamy na to środków, panie sędzio - odparł były agent CIA. - Wy jaśniłem już mecenasowi Simonowi, że mam kilku przyjaciół, których mogę prosić o informacje, ale nie o to, co pan sugeruje albo raczej nie sugeruje. Nie mam po prostu takiej siły przebicia, ludzi ani sprzętu. Nawet nie pracuję już dla rządu.

-

Załatwię to. - Wellfleet zanotował coś na kartce papieru. - Dostanie pan wszystko, co potrzeba.

-

Jest jeszcze jeden problem - ciągnął Stone. - Niezależnie od tego, jak ostrożni będziemy, możemy ich zaalarmować. To armia fanatyków, a nie po prostu luźna grupka ekstremistów. Pracują zespołowo, mają zastępców, którzy przejmą obowiązki zdemaskowanych. Chcą wymusić na nas zgodę na przejęcie władzy przez wojsko albo doprowadzić do masowej rzezi.

-

Ślicznie. I co wobec tego zamierza pan zrobić? Nic?!

-

Skądże znowu. Słusznie czy nie, uwierzyłem Converse'owi, gdy powie dział, że nasze zeznania i dostarczone przez nas dowody pozwolą mecenasowi Simonowi dotrzeć do wysokich urzędników państwowych. Dlaczego miałbym mu nie wierzyć? To tylko rozwinięcie mojej własnej koncepcji, która nie prze widywała udziału Nathana Simona. Tyle że mój sposób byłby dłuższy, a środki Ostrożności znacznie bardziej skomplikowane. Mimo to można tego dokonać.

Dotarliśmy do właściwych ludzi i przeszli do kontraktu.

- Kogo mieliście na myśli? - spytał ostro Wellfleet.

- Przede wszystkim, oczywiście, prezydenta. Dalej sekretarza stanu, bo mamy do czynienia z obywatelami kilku krajów. Natychmiast powinno się zacząć sprawdzać w tajemnicy personel (niewątpliwie za pomocą owych środków 529

chemicznych, o których pan sędzia nie wspomniał), aż mielibyśmy do dyspozycji grupę zupełnie

czystych ludzi, bez żadnych związków z Akwitanią. stworzylibyśmy z nich siatkę ośrodków dowodzenia w Stanach i za granicą. Nawiasem mówiąc, mógłby nam w tym niezmiernie pomóc pewien człowiek, Derek Bellamy z brytyjskiego wywiadu wojskowego, MI-6. Współpracowałem z nim. Jest najlepszy w swoim fachu i robił już takie rzeczy. Kiedy stworzylibyśmy ściśle zakonspirowaną siatkę, zwinęlibyśmy Washburna i conajmniej dwu innych ludzi z Bonn, których rysopisy znamy. Prudhomme może podać nam nazwiska funkcjonariuszy Surete, którzy odpowiadają za przeniesienia służbowe i dostarczyli fałszywych dowodów przeciwko Converse'owi. Z mojego własnego zeznania wynika, że mamy w tej chwili pod obserwacją wyspę Scharhorn; uważamy ją za centrum dowodzenia lub stację przekaźnikową. Posiadając właściwy sprzęt, moglibyśmy rozpocząć podsłuch ich transmisji radiowych. Najważniejsze to uzyskać nowe informacje. Jeśli zna się strategię wroga, można jej przeciwdziałać, nie wszczynając alarmu. - Stone umilkł i spojrzał na obydwu mężczyzn. - Panie sędzio, panie mecenasie, byłem szefem pięciu kluczowych rezydentur wywiadu w Europie. Wiem, że można tego dokonać.

-

Nie wątpię - stwierdził Nathan Simon. - Ile czasu by to zajęło?

-

Jeśli pan sędzia zapewni mi współpracę właściwych instytucji oraz nie zbędny sprzęt, Derek Bellamy i ja możemy przygotować taką operację z udziałem ludzi zwerbowanych przeze mnie w Stanach i za granicą. Będziemy gotowi za osiem do dziesięciu dni.

Simon spojrzał na sędziego, a później z powrotem na Stone'a.

-

Nie mamy ośmiu ani dziesięciu dni - rzekł. - Mamy trzy, nawet mniej.

Peter Stone spojrzał smutnym, przenikliwym wzrokiem na wysokiego.

tęgiego prawnika. Poczul, że krew odpływa mu z twarzy.

W pisku kota zabrzmiała przytłumiona wściekłość. Generał George Marcus Delavane odłożył powoli słuchawkę na widełki. Jego beznogi korpus przymocowany był

skórzanymi pasami do stalowych uchwytów wózka inwalidzkiego. Ręce ciążyły mu jak ołów, dyszał chrapliwie i miał nabrzmiałe żyły na karku. Splótł mocno dłonie, przyciskając do siebie knykcie, aż zbieleły. Uniósł wielką głowę, a jego chłodny, gniewny wzrok spoczął na umundurowanym adiutancie stojącym przed biurkiem.

- Zniknęli - rzekł lodowato, panując nad swoim piskliwym głosem. - Leifhelma porwano z restauracji w Bonn. Podobno zaniecono go do ambulansu, który odjechał

pośpiesznie nie wiadomo dokąd. Ochroniarzy Abrahamsa uspio, a ich miejsca zajęli inni ludzie. Zabrali go jego własnym samochodem służbowym sprzed synagogi. Bertholdier nie wychodził ze swojego apartamentu na bulwarze Montaigne, więc na górę udał się szofer, żeby przypomnieć dyskretnie, która godzina. Do łóżka przywiązano nagą kobietę ze słowem 530

"akwitania" wypisanym szminką na piersiach. Powiedziała, że Bertholdiera zabrało dwóch uzbrojonych mężczyzn. Podobno mówili coś o samolocie.

- A co z van Headmerem? - spytał adiutant.

- Nic. Nasz uroczy Afrykaner je sobie spokojnie kolację w kasynie oficerskim w Johannesburgu. Obiecał postarać się o kilku dodatkowych ochroniarzy, lecz on nie liczy się; jest zbyt daleko od Europy, żeby coś znaczyć.

-Co pan ma na myśli, panie generale? Co się właściwie stało?

-

Co się stało?! To ten Converse! Sami stworzyliśmy swojego najgroź-

niejszego przeciwnika, pułkownika, choć nas przecież ostrzegano. Mówił to Chaim i nasz człowiek w Mosadzie. Wietnamczycy stworzyli wściekłego psa, my potwora. Powinien zostać zabity w Paryżu, a już na pewno w Bonn.

-

Pan generał nie mógł wydać wówczas takiego rozkazu - stwierdził adiutant, kręcąc głową. - Należało ustalić, kto go wysłał, a gdyby okazało się to niemożliwe, izolować go, uczynić pariasem, człowiekiem, którego nikt nie ośmieli się bronić. To rozsądna strategia, panie generale. Wciąż pozostaje rozsądna. Nikt nie wystąpił w jego obronie, a teraz nie ma to już większego znaczenia, bo jest za późno.

Delavane przyjrzał się pułkownikowi szeroko otwartymi oczyma.

-

Jest pan jak zawsze znakomitym adiutantem, Paul. Taktownie przypomniał pan swojemu przełożonemu, że chociaż spotkało go tymczasowe niepowodzenie, jego decyzja była oparta na zdrowych podstawach, toteż okaże się w końcu słuszna.

-

Nie zgadzam się z panem generałem tylko wtedy, kiedy uważam to za konieczne. Jestem pańskim

uczniem, więc pan generał przegląda się we mnie jak w zwierciadle. W tej chwili także mam rację. Nie pomylił się pan.

-

Tak, to prawda. W tej chwili to bez znaczenia. Wszystko zostało wprawione w ruch i nic nie może nas powstrzymać. Converse, odważny, przedsię biorczy przeciwnik, nie miał swobody działania, bo musiał uciekać. I teraz on także się spóźnił. Porwani przez niego ludzie to tylko symbole, magnesy przyciągające innych. Na tym właśnie polega piękno czystej strategii, pułkowniku.

Kiedy wcieli się ją w życie, wypadki zaczynają przypominać toczącą się falę oceaniczną, którą bezwzględnie popycha naprzód niewidzialna siła. To właśnie wypadki będą dyktować szczegółowe rozwiązania taktyczne. Oto mój te stament, pułkowniku.

Nathan Simon prawie zakończył swoje wyjaśnienie. Zajął mu ono niespełna trzy minuty, a w tym czasie Peter Stone stał bez ruchu. Miał popielatą twarz i czuł nieznośną gorycz w ustach.

- Dostrzega pan w tym pewną prawidłowość, prawda? - spytał na zakończenie prawnik. - Protesty zaczną się na Bliskim Wschodzie, a potem, podążą wraz ze wschodem słońca, obejmą kraje basenu Morza Śródziemnego, Europę, Kanadę i Stany Zjednoczone. Najpierw demonstracja ruchu "Pokój 531

teraz" w Jerozolimie, później Bejrut, Rzym, Paryż, Bonn, Londyn, Waszyngton, Nowy Jork i Chicago. Olbrzymie wiece w dużych miastach i stolicach wszystkich państw, do których instytucji państwowych przeniknęli ludzie Delavane'a. Na początku kilka drobnych incydentów, a następnie będą ataki grup terrorystycznych. Eksplozje samochodów pułapek, wybuchy w studzienkach kanalizacyjnych, granaty ciskane prosto w tłum. Doprowadzi to do fali krwawych zamieszek potrzebnych Akwitańczykom do tego, by ich ludzie przejęli w odpowiednim momencie władzę.

-

Ostatnia faza - wtrącił cicho Stone. - Zamachy na wybranych polityków.

-

Anarchia - zgodził się Simon. - Nagła śmierć ludzi na najwyższych stanowiskach państwowych, chaos kompetencyjny, wybuch walk frakcyjnych w centrach władzy. Kompletna anarchia.

-

Scharhörn! - zawołał były oficer wywiadu. - Nie mamy w tej chwili wybo ru! Musimy zaatakować

Scharhorn! Czy mógłbym zatelefonować, panie sędzio?

Nie czekając na odpowiedź, Stone podszedł do biurka Wellfleeta, wyciągnął z kieszeni portfel i wyjął skrawek papieru z zanotowanym numerem telefonu w Cuxhaven w Niemczech Zachodnich. Obserwowany surowo przez sędziego, obrócił

aparat klawiaturą ku sobie, podniósł słuchawkę i wystukał odpowiednią kombinację cyfr. Oczekiwanie na połączenie przez Atlantyk trwało nieznośnie długo. Wreszcie w słuchawce rozległ się właściwy sygnał.

-

Reb? - W bibliotece dało się słyszeć dosadne przekleństwo wykrzyzcza ne po drugiej stronie globu. - Daj spokój, Johnny! Nie byłem w hotelu od kilku godzin i nie mam na to czasu!... Co zrobiłeś?!... - Były agent CIA słuchał w milczeniu z rozszerzonymi oczyma; przestał prawie oddychać. Za krył dłonią słuchawkę, odwrócił się do Nathana Simona i szepnął: - Boże, to przełom! Johnny zrobił wczoraj w nocy serię fotografii w podczerwieni i wy wołał je dziś rano. Wszystkie wypadły dobrze. Przedstawiają dziewięćdziesiąt siedmiu ludzi, którzy przyплыли łodzią z Scharhorn, po czym skierowali się w stronę lotniska i stacji kolejowej. Uważa, że to grupy terrorystyczne.

-

Niech pan każe przysłać te zdjęcia do Brukseli, a później do Waszyng tonu najszybszym wojskowym samolotem, jaki można znaleźć! - rozkazał czci godny sędzia Sądu Najwyższego.

Rozdział 39

Niesłychane! - zawołał generał Jacques Louis Bertholdier z obitego brokatem wysokiego fotela w przestronnym gabinecie na zamku w Alpach. - Nie wierzę panu!

- To pańskie ulubione słowo, prawda? - spytał Converse, stojąc po drugiej stronie komnaty przy otwartym gotyckim oknie, z którego rozciągał się 532

widok na hale. Miał na sobie ciemny garnitur, białą koszulę i krawat zakupiony w Chamonix. - Kiedy rozmawialiśmy ze sobą w Paryżu, posłużył się pan słowem

"niesłychane" przynajmniej dwukrotnie. Odnoszę wrażenie, że każda nieprzyjemna informacja jest dla pana niesłychana, absurdalna, nieusprawiedliwiona. Czy zawsze traktuje pan w ten sposób ludzi, którzy mówią coś nie po pańskiej myśli?

- Skądże znowu! Traktuję w ten sposób kłamców! - Legendarny bojownik francuskiego ruchu oporu jął podnosić się z fotela. - I nie widzę żadnego powodu...

- Niech pan siedzi! - rozkazał ostro Joel. - Inaczej do Paryża wrócą tylko pańskie zwłoki - dodał z prostotą, bez złości, precyzując znaczenie swoich słów.

- powiedziałem już, że chcę tylko z panem porozmawiać. Nie zajmie to wiele czasu, a później odjedzie pan stąd wolny. Wy okazaliście mi mniej miłosierdzia.

-

Był pan dla nas bez wartości. Proszę mi wybaczyć, że wyrażam się tak brutalnie, ale to prawda.

-

Skoro byłem bez wartości, czemu mnie po prostu nie zabiliście? Po co te skomplikowane przygotowania, po co tyle zachodu, żeby zrobić ze mnie mordercę, zamachowca, zbiega ściganego w całej Europie?

-

To Żyd podsunął nam ten pomysł.

-

Żyd? Chaim Abrahms?

-

W tej chwili nie ma to już żadnego znaczenia - odparł Bertholdier. -

Nasz człowiek w Mosadzie (nawiasem mówiąc, błyskotliwy analityk) dora dził nam, że jeśli nie zdołamy ustalić, kto pana wysłał, bo sam pan tego nie wie, powinniśmy umieścić pana w "strefie śmierci". Chyba tak się właśnie wyraził. Była to rozsądna taktyka. Nikt nie wystąpi w pańskiej obronie. Jest pan jak zadzumiony.

-

Dlatego to, że mówi mi pan coś, o czym i tak zapewne wiem, nie ma już żadnego znaczenia?

-

Przegrał pan, monsieur Converse.

-

Doprawdy?

-

Tak, a jeśli ludzi się pan, że wydobędzie coś ze mnie za pomocą narko tyków, tak jak my z pana, mogę panu oszczędzić niepotrzebnego trudu. Nie mam interesujących pana informacji. W istocie nikt ich nie ma, oprócz maszyny puśczonej już w ruch i wydającej rozkazy.

-

Innym maszynom?

-

Skądże. Ludziom, którzy wykonują swoje zadania i ślepo w nie wierzą.

Nie mam pojęcia, kto to.

-

Mówi pan o mordercach, prawda? Ci ludzie to zabójcy.

-

Wojna sprowadza się przecież do zabijania, młody człowieku! Proszę nie zapominać, że to wojna. Świat ma już dosyć. Naprawimy zło i nikt się nam nie sprzeciwi; sam pan jeszcze zobaczy. Jesteśmy potrzebni, ludzie tęsknią za nami

- "Kumulacja", "nagle przyśpieszenie". To wasze własne słowa, prawda?

533

-

Żyda trochę poniosło. Nie umie trzymać języka za zębami.

-

Twierdzi, że jest pan najbardziej pompatycznym durniem na świecie.

Podobno on i van Headmer zamierzają zamknąć pana w szklanym pokoju pełnym małych chłopców i dziewczynek, a potem patrzeć, jak gwałci ich na akord i dostaje zawału.

-

Miał zawsze niesmaczne dowcipy... Nie, nie wierzę panu.

-

To samo powiedział pan chwilę temu, gdy zapoznałem pana z sytuacją

- Joel odszedł od okna i usiadł na fotelu na ukos od Bertholdiera. - Czemu tak trudno panu w to uwierzyć? Bo nie przyszło to panu do głowy?

-

Nie, monsieur. Bo to nie do pomyślenia.

Converse wskazał telefon stojący na biurku.

-

Zna pan ich prywatne numery - rzekł. - Proszę do nich zadzwonić Niech pan zatelefonuje do Leifhelma w Bonn i Abrahmsa w Tel Awiwie. A także do van Headmera, jeśli pan chce, choć słyszałem, że przebywa w Stanach podobno w Kalifornii.

-

W Kalifornii?

-

Proszę zapytać każdego z nich, czy widział się ze mną w małym kamiennym domku w posiadłości Leifhelma. Niech panu powiedzą, o czym mówiliśmy. Proszę, oto telefon.

Joel wstrzymał oddech w piersiach, a Bertholdier spojrzał ostro na aparat.

Wreszcie zwrócił się z powrotem w stronę Converse'a, jakby nagle się rozmyślił.

-

O co panu właściwie chodzi? Co to za sztuczki?

-

Sztuczki? To zwykły aparat telefoniczny. Nie mam wpływu na jego działanie ani nie mogę wynająć ludzi kilka tysięcy kilometrów stąd, żeby naśladowali głosy pańskich przyjaciół.

Francuz znów obrzucił wzrokiem telefon.

-

Co mógłbym im powiedzieć? - rzekł cicho, bardziej do siebie niż do Converse'a.

-

Prawdę. Jest pan specjalistą od wielkich prawd z zakresu polityki światowej, a tutaj chodzi jedynie o kilka drobnych przemilczeń. Pańscy przyjaciele zapomnieli pana poinformować, że każdy z nich spotkał się ze mną w cztery oczy. A może nie jest to tylko drobne przemilczenie?

-

Skąd miałbym wiedzieć o tych spotkaniach?

-

Nie słucha mnie pan. Doradziłem panu mówić prawdę. To ja kazałem pana porwać, nikt inny. Zrobiłem to, bo chcę ocalić swoje życie, gdy zaczniecie wreszcie działać. Świat jest bardzo wielki, panie generale. Jego znaczna część pozostanie nietknięta i mógłbym tam żyć bardzo wygodnie, gdybym nie musiał

się ciągle martwić, że lada chwila ktoś przestąpi próg i wpakuje mi kulę w łeb.

-

Nie jest pan tym, za kogo pana uważaliśmy.

-

O tym, kim jesteśmy, decydują okoliczności. Nacierpiałem się dosyć.

Nie pociągają mnie już święte wojny, zbawianie świata, czy jak tam to nazywacie. Chce pan wiedzieć dlaczego?

534

- Owszem - odparł Bertholdier, wpatrując się z ciekawością w Joela.

-

Bo słuchałem was uważnie w Bonn. Może macie rację, a może po prostu nic mnie już nie obchodzi, bo zostałem na lodzie? Może świat rzeczywiście was potrzebuje, choć jesteście bezczelnymi skurwysynami?

-

To prawda! Nie ma innej drogi!

- Nadszedł więc rok generałów, tak?

-Nie, nie tylko generałów! Ludzi, którzy umocnią państwo, staną się symbolami siły, dyscypliny,

prawa i porządku. Oczywiście nasze przywództwo znajdzie swoje odzwierciedlenie na międzynarodowych rynkach finansowych, w polityce zagranicznej, a także, owszem, w prawodawstwie, i w rezultacie świat otrzyma to, czego mu najbardziej potrzeba. Stabilizację, monsieur Converse! Nigdy więcej nie pojawią się tacy szaleńcy, jak ten sklerotyk Chomeini, nędzny pyszałek Kadafi albo ci zwariowani Palestyńczycy. Takich maniaków, takie narody i pseudonarody zetrze z powierzchni ziemi przytłaczająca siła światowej federacji państw kierujących się jedną ideologią. Zemsta będzie natychmiastowa i całkowita.

Jestem dość znany jako strateg, więc mogę pana zapewnić, że przerażeni Rosjanie nie ośmielą się wtrącać do naszych ekspedycji karnych, bo zrozumieją wreszcie, że nigdy więcej nie damy się podzielić. Skończą się czasy, gdy mogli pobrzękiwać szabelką, grożąc jednym, a zarazem mydląc oczy drugim. Wolny świat stanie się jednością.

-

Akwitanią- dodał cicho Joel.

-

Tak, to właściwa nazwa - zgodził się Bertholdier.

-

Jest pan równie przekonujący jak w Bonn - rzekł Converse. - Wasz plan mógłby się nawet udać, ale nie przy udziale pańskich przyjaciół.

-

Słucham?

-Nikt nie musi was dzielić. Tak jesteście podzieleni.

-

Nie rozumiem.

-

Proszę zatelefonować, panie generale. Niech pan zaspokoi swoją ciekawość. Najpierw Leifhelm. Niech pan mu powie, że przed chwilą dzwonił do pana z Tel Awiwu Abrahms i że jest pan przerażony. Proszę stwierdzić, że Abrahms chciałby się z panem zobaczyć, bo ma jakieś informacje na mój temat, i że przyznał, iż on oraz van Headmer widzieli się z mną w Bonn w cztery oczy. Mógłby pan dodać, że poinformowałem Abrahmsa, iż on i jego burski Przyjaciół nie byli moimi pierwszymi gośćmi. Pierwszy pojawił się Leifhelm.

-

Czemu miałbym mu to powiedzieć?

-

Bo jest pan cholernie wściekły. Nikt nie wspomniał panu o tych rozmowach w cztery oczy i uważa je pan za skandal, co zresztą jest chyba oczywiste.

Wspomniał pan niedawno, że uważaliście mnie za kogoś bezwartościowego.

czeka pana niespodzianka, panie generale.

-

Niech pan to wyjaśni!

-

Nie. Proszę zatelefonować. Niech pan się wsłucha w ton głosu Leifhelma, obserwuje jego reakcje, reakcje wszystkich swoich przyjaciół. Sam pan się przekona, czy mówię prawdę.

535

Bertholdier położył dłonie na poręczach obitego brokatem fotela i jął wstawać ze wzrokiem wbitym w aparat telefoniczny. Converse siedział bez ruchu, obserwując bacznie Francuza, ledwo oddychając, czując prędkie bicie własnego serca. Nagle generał opadł z powrotem na fotel, wciskając kręgosłup w oparcie i chwytając mocno poręcze.

-

Dobrze! - krzyknął. - O czym rozmawialiście?! Co mówili?!

-

Chyba najpierw powinien pan zatelefonować.

-

To bezcelowe! - odparł ostro Bertholdier. - Twierdzi pan, że to autentyczny telefon. Cóż, wydaje mi się, że mógł pan jednak przy nim manipulować, tylko po co? Żeby zaczął rozmawiać z kimś podszywającym się pod Abrahamsa i Leifhelma? To śmiechu warte. Wystarczyłoby jedno drobne pytanie i przekonałbym się, że to aktorzy.

-

Tym bardziej powinien pan do nich zadzwonić - odparł spokojnie Joel.

-

Przekona się pan, że mówię prawdę.

-

W ten sposób tylko dałbym panu przewagę.

Oddech Converse'a znów się uspokoił.

-

Wszystko zależy od pana, generale. Ja szukam po prostu bezpiecznego wyjścia z sytuacji.

-

Wobec tego niech pan mi powie, o czym rozmawialiście.

-

Każdy zadał mi oczywiście pewne pytanie, jakby nie wierzył narkoty kom ani temu, kto je wstrzykiwał. Kogo naprawdę reprezentuję? - Joel zawie sił głos; miał zamiar wymienić czyjeś nazwisko, lecz w razie pomyłki powi nien natychmiast się wycofać. - Zdaje się, że wspomniałem Beale'a z Mikonos

-

dodał z wahaniem.

-

Zrobił pan to - potwierdził generał. - Skontaktowano się z nim kilka miesięcy wcześniej, lecz emisariusz nigdy nie powrócił. To także pan wyja śnił.

-

Sądziłście, że się do was przyłączy, prawda?

-

Uważaliśmy, że nieopatrznie zrezygnował z błyskotliwej kariery woj skowej. Najwyraźniej popchnęła go do tego obrzydliwa słabość. Ale nie o tym chcę z panem rozmawiać. Wspomniał pan o pewnym aspekcie bezwartościowości. O tym chcę usłyszeć. Teraz.

-

Prosto z mostu? Bez owijania w bawełnę?

-

Bez owijania w bawełnę, monsieur.

-

Leifhelm twierdził, że za kilka miesięcy, jeśli nie wcześniej, zostanie pan wyeliminowany. Narzuca pan swoją wolę innym, którzy mają już tego powyżej uszu, a ponadto żąda pan zbyt wiele dla Francji.

-

Leifhelm?! Ten hipokryta, ta glista, która zaprzedała własną duszę i wy'

parła się wszystkiego, w co wierzyła?! Ten nikczemnik zdradził swoich przy -

wódców! Zeznając jako świadek w Norymberdze, podał sądowi mnóstwo obciążających dowodów, byle tylko wleźć w dupę aliantom! Zawsze wszystkim się podlizywał! Okrył hańbą najszlachetniejsze rzemiosło na świecie! To nieja zostanie wyeliminowany, tylko on, monsieur!

536

- Abrahms nazwał pana kompromitującym zboczeńcem - ciągnął Converse jakby odpowiedź Bertholdiera nie miała żadnego znaczenia. - Właśnie takiego określenia użył: "kompromitujący zboczeniec". Wspomniał także, iż istnieje lista (uzyskał ją zresztą) kobiet i mężczyzn zgwałconych przez pana podczas służby w wojsku. Afery te zostały zatuszowane przez władze francuskie gdyż był Pan cholernie dobrym oficerem. Później Abrahms zadał mi pewne pytanie. Czy biseksualny oportunist, gwałcący dla kaprysu kobiety, uprawiający pederastię z młodymi mężczyznami i chłopcami, hańbiący licznych członków korpusu oficerskiego pod pozorem tak zwanych przesłuchań, może zostać prawdziwym przywódcą Akwitanii we Francji? Stwierdził również, że domaga się pan zbyt wielu prerogatyw dla swojego rządu. Ale nim zostaną one przyznane, należy pana zlikwidować.

-

Zlikwidować?! - zawołał Francuz, w którego oczach zapłonął taki sam ogień jak kilka tygodni wcześniej w Paryżu. Trząśł się z wściekłości. - Tak powiedział ten barbarzyńca, ten śmierdzący, niewykształcony parch?!

-

Van Headmer nie posunął się tak daleko. Stwierdził po prostu, że jest pan zbyt skompromitowany...

-

Proszę zapomnieć o van Headmerze! - ryknął Bertholdier. - To strupieszła kukła! Zjedналиśmy go sobie tylko po to, żeby dostarczał nam surowców.

Van Headmer się nie liczy!

-

Zawsze tak sądziłem - odparł Joel zgodnie z prawdą.

-

Co za bezczelny gudłaj! Ten nędzny gad ośmiela się występować prze ciwko mnie?! Proszę posłuchać, monsieur, już raz groził mi pewien wielki czło wiek, ale wszystko skończyło się na niczym, bo, jak sam pan powiedział, jestem cholernie dobrym oficerem! To prawda! Świadczy o tym moja wspaniała karie ra wojskowa, na którą nie rzucą cienia żadne plugawe plotki koszarowe! Żaden z przywódców Akwitanii nie może się poszczycić takimi sukcesami jak ja, nie wyłączając tego beznogiego psychopaty z San Francisco! Wierzy, że Akwitania to jego pomysł! Niesłychane! To ja opracowałem całą koncepcję, a on po prostu nadał jej nazwę, opierając się na absurdalnej interpretacji historii...!

-

Ale to on zaczął działać, eksportując ze Stanów broń - przerwał Converse.

-

Tylko dlatego, że miał ją pod ręką! Mógł na tym zarobić! - Bertholdier umilkł, jeszcze nie skończywszy, pochylając się do przodu w fotelu. - Będę z pa nem szczery, Converse. W każdym elitarnym korpusie generalskim istnieje za -

Wsze naturalny przywódca, który wyrasta ponad innych dzięki sile swojego cha rakteru i głębi umysłu! Reszta to nędzne miernoty! Delavane, kaleki histeryk i karykatura człowieka! Leifhelm jest nazistą, a z kolei Abrahms to nadęty py szalek, nie nadaje się zupełnie na przywódcę, bo mógłby wywołać falę antysemityzmu! Kiedy po okresie anarchii zaczną przy wracać spokój trybunały woj - sKowe, zwrócą się do mnie! Ja zostanę prawdziwym wodzem Akwitanii!

Joel wstał z fotela, podszedł z powrotem do gotyckiego okna i spojrział na alpy czując na twarzy powiewy łagodnego wiatru.

537

- Przesłuchanie skończone, panie generale - powiedział.

Jakby na dany znak, otworzyły się drzwi i na progu stanął były gwardzista, sierżant francuskiego

garnizonu w Algierze, by wyprowadzić z pokoju legendarnego bojownika francuskiego ruchu oporu.

Chaim Abrahms zerwał się z obitego brokatem fotela; wydawało się iż jego czarny strój safari pęknie w szwach rozsadzony beczkowatą piersią.'

-

Powiedział to o mnie?! Chce zostać przywódcą?!

-

Już na samym początku radziłem panu zatelefonować - przerwał Converse, który siedział naprzeciwko Izraelczyka z pistoletem na stoliku koło fotela.

- Nie musi mi pan wierzyć na słowo. Ma pan ponoć znakomitą intuicję. Proszę zadzwonić do Bertholdiera. Nie musi pan mówić, gdzie się pan znajduje; gdyby pan zresztą próbował, wpakuję panu kulę w łeb. Niech pan po prostu powie, że z powodu pewnej wrodzonej nieufności do Niemców przekupił pan jednego ze strażników Leifhelma, który doniósł panu, że Bertholdier dwukrotnie

widział się ze mną w cztery oczy. Ponieważ w dalszym ciągu pozostaję nieuchwytny, chce się pan dowiedzieć, o czym z nim rozmawiałem. To poskutkuje. Usłyszysz pan wystarczająco dużo, żeby się zorientować, czy mówię prawdę.

Abrahms wbił wzrok w Joela.

-

Ale dlaczego mówi mi pan prawdę, jeśli to rzeczywiście prawda? Dla czego porwał mnie pan, żeby mi to powiedzieć? Dlaczego?!

-

Wydawało mi się, że już to wyjaśniłem. Kończą mi się pieniądze i cho cież nie przepadam za kawiozem i łososiem, wolę żyć wygodnie pod ochroną w Izraelu, niż uciekać po całej Europie i dać się w końcu zabić. Wiem, że może mi pan zapewnić bezpieczeństwo, ale najpierw muszę ofiarować panu coś w zamian. Właśnie to robię. Bertholdier zamierza przejąć kontrolę nad Akwitanią. Nazwał pana nędznym gadem, nadętym Żydem, którego należy wyeliminować, bo mógłby wywołać falę antysemityzmu. To samo powiedział

Leifhelimie; nie wolno tolerować upiórów faszyzmu. Van Headmera nazwał

"strupieszalą kukłą"; tak się właśnie wyraził.

-

Jakbym go słyszał - rzekł cicho Abrahms, idąc w stronę okna z rękoma założonymi do tyłu. - Jest pan pewien, że nasz wojskowy boulevardier ze stalowym chujem nie użył określenia "śmierdzący parch"? Słyszałem to już, choć oczywiście zawsze przeproszał i dodawał, że nie odnosi się to do mnie.

-

Użył tego określenia.

-

Ale dlaczego?! Dlaczego mówił panu takie rzeczy? Nie przeczę, w jego słowach jest pewna logika. Hitlerowiec na czele niemieckiego rządu?! Nonsens.

Rozumie to nawet Delavane. Kiedy odzyskamy panowanie nad sytuacją, Leifhelim zostanie rozstrzelany. Biedny van Headmer to po prostu relikw z innej epoki i

wszyscy o tym wiedzą. Mimo to RPA ma pokłady złota, a van Headmer może je dostarczać. Ale dlaczego pan?! Dlaczego Bertholdier przyszedł do pana.

-

Niech pan sam go spyta. Oto telefon. Proszę zadzwonić.

538

Izraelczyk stał bez ruchu, świdrując Converse'a małymi opuchniętymi oczkami.

-

Zrobię to - rzekł cicho i dobitnie. - Jest pan stanowczo za cwany, panie prawniku. Ma pan ogień tylko w głowie; nie dotarł do pańskiego żołądka. Za dużo Pan kombinuje. Twierdzi pan, że panem manipulowano? Czuję, że to pan jest manipulatorem.

Abrahms odwrócił się i podszedł do telefonu. Wyglądał niczym tęgi, przysadzisty Koriolan. Stał chwilę przy aparacie, mrużąc oczy i usiłując coś sobie przypomnieć, po czym podniósł słuchawkę i wystukał na klawiaturze zapamiętaną dawno temu kombinację cyfr.

Joel nie ruszył się z miejsca. Siedział z napiętymi do ostateczności mięśniami, czując suchość w gardle i słysząc w skroniach walenie swojego serca, przesunął

powoli dłoń po poręcz bliżej pistoletu. Za kilka sekund, gdy jego jedyną strategię pokrzyżuje telefon, którego w ogóle się nie spodziewał, może nadejść chwila, kiedy będzie musiał posłużyć się bronią. Czyżby się pomylił? Czyżby zawiodła go sławna umiejętność przesłuchiwania świadków? Czyżby zapomniał, z kim ma do czynienia?

-

Hasło "Izajasz" - rzekł do słuchawki Abrahms, spoglądając gniewnym wzrokiem na Converse'a po drugiej stronie pokoju. - Połączcie mnie z Verdun-sur-Meuse. Prędko! - Potężna pierś Izraelczyka falowała przy każdym oddechu, lecz reszta jego wielkiego ciała zastygła w kompletnym bezruchu. - Tak, hasło "Izajasz"! Śpieszę się! Połączcie mnie z Verdun-sur-Meuse, ale już! -

Oczy słuchającego Abrahmsa zaczęły się powoli rozszerzać. Patrzył przez chwilę obok Converse'a, po czym znów spojrzął na niego wzrokiem, w którym mało wało się zrozumienie i odraza. - Proszę powtórzyć! - krzyknął i grzmotnął

słuchawką o widelki, aż zatrzęsło się biurko. - Nędzny łgarz! - wrzasnął.

-

Ma pan na myśli mnie? - spytał Joel, trzymając koniuszki palców tuż przy kolbie.

-

Podobno zniknął i nie można go znaleźć!

Converse czuł w ustach suchość i pustkę. Przegrał.

-

No i co?

-

Kłamie! Ten stalowy chuj to nikczemny tchórz! Ukrywa się przede mną!

Nie ośmiela się spojrzeć mi w oczy!

Joel przełknął kilkakrotnie ślinę, odsuwając dłoń od pistoletu.

-

Niech pan go przycisnie! - rzekł, ukrywając z całych sił drżenie głosu. -

Proszę go wytropić, zatelefonować do Leifhelma, van Headmera. Niech pan powie, że musi pan się skontaktować z Bertholdierem.

-

Daj pan spokój! Miałbym zdradzić, że wszystko wiem?! Na pewno sam Podał panu przyczynę!
Dlaczego chciał się z panem zobaczyć!

-

Wolałem z tym poczekać do pańskiej rozmowy z Bertholdierem - rzekł

Joel zakładając nogę na nogę i biorąc paczkę papierosów leżącą koło pistoletu. - Może sam by panu powiedział. Uważa, że wysłał mnie Delavane, żeby was sprawdzić. Żeby się przekonać, który mógłby go zdradzić.

539

-

Zdradzić Delavane'a! Zdradzić beznogiego?! Jak?! Dlaczego?!

nawet nasz francuski paw tak sądzi, dlaczego powiedział o tym panu?! '

-

Sprowokowałem go, stosując sztuczki adwokackie. Kiedy zrozumiał

jak nienawidzę tego skurwysyna Delavane'a, przez którego znalazłem się w nie woli, zorientował się, że nie mam z nim nic wspólnego. Przestał się pilnować'

reszta okazała się dziecinnie łatwa. A kiedy zaczął mówić otwarcie, dostrze głębi sposób na ocalenie własnej skóry. - Joel zapalił papierosa. - Postanowi łem porozmawiać z panem - dorzucił.

-

I w końcu liczy pan na uczciwość Żyda? Na jego wdzięczność?

-

Częściowo tak, lecz nie tylko, panie generale. Znam życiorys Leifhelma i kręte ścieżki jego kariery. Kazałby mnie zastrzelić, a później wysłał swoich ludzi za wami, żeby samemu zostać przywódcą.

-

Właśnie to by zrobił - zgodził się Izraelczyk.

-

Oprócz tego nigdy nie sądziłem, że van Headmer ma naprawdę coś do powiedzenia poza granicami RPA.

-

To znowu prawda - rzekł Abrahms, zbliżając się z powrotem do Converse'a. - Więc wściekły pies stworzony w Wietnamie chce ocalić swoją skórę?

-

Można wyrazić to precyzyjniej - odparował Joel. - Wysłali mnie anoni mowi ludzie, którzy pozostawili mnie na pastwę losu, choć nigdy ich nie za wiodłem. Obecnie przyłączyli się nawet do pościgu za mną i chcą mnie zabić.

W tej sytuacji rzeczywiście zamierzam ocalić swoje życie.

-

A co z pańską żoną?

-

Pojedzie ze mną. - Converse odłożył papierosa i podniósł pistolet. - Jak brzmi pańska odpowiedź? Mogę zaraz pana zastrzelić albo pozostawić to Bertholdierowi lub Leifhelmowi, jeśli uda mu się najpierw zabić Francuza... Mogę także liczyć na pańską uczciwość i poczucie wdzięczności. Co pan wybiera?

-

Proszę odłożyć broń. Ma pan moje słowo, słowo Sabry.

-

Co pan zamierza? - spytał Joel, odkładając pistolet na stolik.

-

Zamierza?! - krzyknął Izraelczyk w nagłym przypiływie wściekłości. -

To, co zawsze! Nie wie pan, że pierdolę tę abstrakcyjną ideę, tę całą cholerną Akwitanię?! Mam w dupie tytuły, stanowiska i te ich pieprzone hierarchie służ bowe! Niech się nawet mianują generalissimusami, proszę bardzo! Zależy mi tylko na władzy, ale żeby władza była skuteczna, z chaosu musi wyłonić się nie tylko siła, lecz także szacunek! Bertholdier ma rację. Jestem zbyt kontro

wersyjną postacią i jako Żyd nie mogę odgrywać widocznej roli na amerykańskiej i europejskiej scenie politycznej! Toteż pozostanę w ukryciu, z wyjątkiem Eretz Israel, gdzie moje słowo stanie się prawem! Zaprowadzę tam nowy porządek i sam pomogę temu francuskiemu ogierowi zdobyć wszystkie wy marzone zaszczyty! Nie zamierzam z nim walczyć, tylko nad nim panować

-Jak?

-

Mogę pozbawić go szacunku innych.

Converse pochylił się do przodu, ukrywając zdumienie.

-

Ma pan na myśli jego perwersje seksualne? Zatuszowane skandale?

540

-Na Boga, nie, ty durniu! Jeśli publicznie kopie się kogoś w jaja, ma się tylko same kłopoty! Połowa ludzi uważa to za świństwo i drży z lęku, że mogłoby go spotkać to samo, a druga połowa podziwia odwagę tego, kto sobie tak pięknie dogadzał, bo też skrycie tego pragnie.

- Wobec tego co pan właściwie zamierza, generale? Jak może pan pozbawić go szacunku?

Abrahms rozparł się z powrotem w obitym brokatem fotelu; jego tęgie cielsko wcisnęło się niebezpiecznie między delikatnie rzeźbione mahoniowe poręcze.

-

Mogę zdemaskować rolę, jaką odegrał w powstaniu Akwitanii, w tej niesłychanej przygodzie, która doprowadzi do tego, że cały cywilizowany świat wezwie nas na pomoc, byśmy uratowali go siłą swojego przywództwa. Cał

kiem możliwe, że Bertholdier zostanie prezydentem przyszłej zjednoczonej Europy, podobnie jak o mało nie został prezydentem Francji po odejściu de Gaulle'a. Ale ludzie pokroju Bertholdiera nie dążą po prostu do władzy; wy starcza im splendor związany z władzą, pompa, hołdy, zaszczyty. Woleliby podzielić się władzą, niż wyrzec się choć części splendoru. A ja? Mnie nie zależy na splendorze. Chcę tylko władzy, by osiągnąć to, czego pragnę, by stworzyć królestwo Izraela obejmujące cały Bliski i Środkowy Wschód!

-

Demaskując Bertholdiera, zdemaskuje pan siebie. Co pan na tym zyska?

-

Bertholdier musi się ugiąć. Pomyśli o splendorze i ulegnie. Zrobi, co każe; da mi to, czego zażądam.

-

Myślę, że każe pana zastrzelić.

-Nie, kiedy mu powiem, że po mojej śmierci zostanie opublikowane kilkaset stenogramów wszystkich naszych narad, podczas których podejmowaliśmy kluczowe decyzje. Dokładnie je zaprotokołowano, zapewniam pana.

-

Planuje pan to od samego początku?

-

Od samego początku.

-

Twardo pan gra.

-

Jestem Sabrą. Gramy, żeby wygrać, bo inaczej dawno temu wyrznięto by nas do nogi.

-

Czy wśród tych stenogramów jest lista wszystkich członków Akwitanii?

-

Nie. Nigdy nie zamierzałem narażać organizacji. Szczerze wierzę w naszą ideę, jakkolwiek się ją nazywa. Międzynarodowy kompleks wojskowo-przemysłowy musi się zjednoczyć; w przeciwnym razie świat pogrąży się w szaleństwie.

- Ale istnieje taka lista.

-

W maszynie, komputerze, trzeba jednak umieć go zaprogramować, wpro wadzić do niego prawidłowe hasła.

-

Potrafiłby pan to zrobić?

-Nie sam.

-

A Delavane?

-

Ciekawe, co pan o nim sądzi? - spytał Izraelczyk, kiwając głową. - Co z nim?

541

Joel znów musiał zapanować nad swoim zdumieniem. Delavane po hasła komputerowe dające dostęp do pełnej listy Akwitańczyków. ?' Przynajmniej podstawowe, bo pozostałymi dysponowali jego podwładni, czterej przywódcy regionalni z Europy i Izraela. Converse wzruszył ramionami.

-

Tak naprawdę jeszcze nic pan o nim nie powiedział. Mówił pan o Bel tholdierze, o eliminacji Leifhelma i o niewielkim znaczeniu van Headmera który może jednak dostarczyć surowców.

-

Wspomniałem o złocie - sprostował Abrahms.

-

Bertholdier mówił o surowcach... Ale co z George'em Marcusem Dela.

vane'em?

-

Marcus jest skończony - odparł beznamiętnie Żyd. - Służyliśmy mu, bo to on opracował koncepcję Akwitanii i kierował nią na terenie Stanów. Mamy w całej Europie składy broni i amunicji, nie licząc tego, co dostarczyliśmy terrorystom, żeby dać im jakieś zajęcie.

-

Proszę wyrażać się ściślej - przerwał Joel. - Ma pan na myśli zabijanie?

-

Wszystko sprowadza się do zabijania. Wbrew obłudnym twierdzeniom filozofów cele naprawdę uświęcają środki. Proszę spytać człowieka ściganego przez zabójców, czy zanurzy się po szyję w gównie, żeby się ukryć.

-

Już pytałem - odparł Converse. - To ja jestem tym człowiekiem, nie wie pan? Co z Delavane'em?

-

To szaleniec, maniak. Słyszał pan kiedykolwiek jego głos? Mówi, jakby ściskano mu jaja w imadle. Kilka miesięcy temu z powodu cukrzycy amputowano mu obie nogi. Wielki generał pokonany przez nadmiar cukru we krwi!

Usiłuje to ukryć; z nikim się nie widuje i nie przyjmuje już gości w swoim wspaniałym gabinecie pełnym fotografii, flag i tysięcy odznaczeń. Kieruje Akwitanią ze swojego domu, chowając się w ciemnej sypialni nawet przed służącymi. Tak pragnął zginąć od pocisku z moździerza albo podczas ataku na bagnety, a tu nic, tylko nędzny cukier we krwi... Zwariował do reszty, zaczął snuć różne kretyńskie plany, ale nawet szaleńcy miewają przebłyśki geniuszu.

Akwitania to jeden z nich.

- I co z nim?

-

Umieściliśmy przy nim swojego człowieka, adiutanta w randze pułkownika. Kiedy ruszymy do akcji, a nasi ludzie zajmą wyznaczone pozycje, pułkownik wykona rozkaz. Marcus zginie dla dobra własnej idei.

Joel znów podszedł do gotyckiego okna po drugiej stronie pokoju i Poczł na twarzy chłodny powiew górskiego wiatru.

-

Przesłuchanie skończone, panie generale - rzekł.

-

Co takiego?! - ryknął Abrahms. - Pan chce ocalić swoje życie. a Ja żądam gwarancji!

-

Przesłuchanie skończone - powtórzył Converse. Jednocześnie otworzyły się drzwi i do pokoju wkroczył kapitan armii izraelskiej z pistoletem wycelowanym w Chaima Abrahmsa.

- Nie zamierzam z panem dyskutować, Herr Converse - stwierdził Erich Leifhelm, stojący koło drzwi gabinetu, które zamknął za sobą przed chwilą lekarz z Bonn. - Pojmał pan jeńca. Proszę go rozstrzelać. Wiele lat czekałem w różnych okolicznościach na ten moment. Szczerze mówiąc, życie już mnie nuży.

- Twierdzi pan, że życzy sobie śmierci? - spytał Joel, siedząc koło stolika z pistoletem na blacie.

- Nikt nie życzy sobie śmierci, a zwłaszcza żołnierz, który ma umrzeć po cichu w obcym pokoju. Wolałbym ostre słowa komendy wydawane plutonowi egzekucyjnemu przy warkocie werbli. Jest w tym pewna wzniosłość. Ale zbyt często obcowałem ze śmiercią, żeby popaść w histerię. Proszę wziąć pistolet i szybko mnie zastrzelić. Na pana miejscu zrobiłbym to samo.

Converse przyglądał się twarzy Niemca, dziwnym, bezbarwnym oczom, w których malowała się pogarda dla czekającego go losu.

-

Mówi pan szczerze, prawda?

-

Mam sam wydać rozkaz? Przed wielu laty widziałem raz na kronice filmowej Murzyna komenderującego własnym plutonem egzekucyjnym spod zakrwawionego muru na komunistycznej Kubie. Zawsze podziwiałem tego żołnierza. Achtung, Soldaten! - zawołał nagle Leifhelm. - Das Gewehr prassen-tieren! Vorbereiten...

- Na miłość boską, dlaczego nie mielibyśmy porozmawiać?! - ryknął Joel, przekrzykując fanatyka.

-

Bo nie mam nic do powiedzenia. Przemawiają za mnie moje czyny, całe moje życie! Cóż to, Herr Converse?! Nie ma pan odwagi mnie zastrzelić?! Nie potrafi pan wydać sobie rozkazu? Przeszkadza panu sumienie? Jest pan małym, nic nieznaczącym człowieczkiem! To śmiechu warte!

-

Przypominam panu, generale, że w ciągu ostatnich tygodni zabiłem wielu ludzi i przyszło mi to łatwiej, niż się spodziewałem.

-

Nawet nędzny tchórz może zabić ze strachu, żeby ocalić swoją skórę.

To żaden honor, tylko walka o byt. Nie, Herr Converse, jest pan nikim, gardzą panem nawet pańscy sojusznicy. Świat roi się od takich kreatur. Nasz przyja ciel z Ameryki nazywa takich jak pan gówniarzami. Jest pan gówniarzem, Herr Converse, nic więcej, a prawdopodobnie mniej.

-

Co pan powiedział? Jak mnie pan nazwał?

-

Mówię wyraźnie. Jest pan gówniarzem, małym człowieczkiem, który siedzi po szyję w gównie!
Gówniarzem, Herr Converse, gówniarzem!

Joel przeniósł się nagle wiele lat wstecz, na mostek lotniskowca. Widział Przed sobą wykrzywioną, wstrętną twarz i słyszał piskliwy głos! Gówniarz! Gówniarz!

Gówniarz! A później rozległ się odgłos eksplozji i Joel katapultował się w ciemne chmury. Spadochronem targał wiatr i zacinający deszcz, a on leciał, zbliżając się, ku ziemi. Ku ziemi, ku czterem latom szaleństwa, śmierci i płaczu Umierających dzieci. Ten maniacki głos! Gówniarz! Gówniarz! Gówniarz...! . .

Sięgnął po pistolet leżący na stoliku. Podniósł go, wycelował w Ericha Leifhelma, położył palec na cynglu i zaczął go powoli naciskać.

543

Wtem przebiegł go dreszcz.

Co ja robię?! Potrzebuję trzech Akwitańczyków. Niejednego ani dwóch, tylko trzech! Na tym opiera się cała moja strategia! Ale to nie wszystko, z radością zabiłbym, zmiażdżyłbym tego krwiożerczego gada, który patrzy się we mnie, pragnąc śmierci! O Boże, czyżby Akwitania mimo wszystko zwyciężyła?! Czy stałem się taki jak oni?! Jeśli tak, przegrałem.

-

To dość tani rodzaj odwagi, Leifhelm - rzekł cicho, opuszczając broń Lepsza szybka śmierć niż powolne konanie.

-

Żyję zgodnie ze swoimi zasadami. Chętnie dla nich umrę.

-

Czysto i bezboleśnie. Żadnego Dachau, żadnego Oświęcimia.

-

To pan ma pistolet.

-

Myślałem, że pan także ma coś do zaoferowania.

-

Mojego następcę dobrano bardzo starannie. Wykona mój testament co do joty, ze wszystkimi szczegółami.

Leifhelm zdradził nagle swoje plany i pojawiła się nowa możliwość. Joel natychmiast z niej skorzystał.

-

Pańskiego następcę?

-Ja.

-

Nie ma pan żadnego następcy, panie feldmarszałku.

-

Co takiego?!

-

Nie ma pan również żadnego testamentu. Beze mnie nie ma pan nic.

Właśnie dlatego kazałem pana porwać. Właśnie pana.

-

O czym pan mówi?

-

Proszę zająć miejsce w fotelu, generale. Mam panu coś do powiedzenia i radzę usiąść dla pańskiego własnego dobra. Śmierć może okazać się przyjemniejsza od tego, co pan usłyszy.

-

Kłamstwo! - wrzasnął Erich Leifhelm w cztery minuty później, ściska jąc kurczowo poręczce fotela obitego brokatem. - Kłamstwo! Kłamstwo!! Kłamstwo!!! - ryczał z oczyma płonącymi z wściekłości.

-

Nie spodziewałem się, że pan mi uwierzy - odparł cicho Joel, stojąc na środku obszernego gabinetu wypełnionego książkami. - Proszę zadzwonić do Bertholdiera w Paryżu i powiedzieć, że zdobył pan pewne niepokojące informacje i żąda wyjaśnień. Radzę mówić prosto z mostu: doniesiono panu, że podczas pańskiej podróży do Essen Bertholdier i Abrahms widzieli się ze mną w Bonn w cztery oczy.

-

Skąd miałbym to wiedzieć?

-

Odkrył pan prawdę. Przekupili strażnika żeby otworzył drzwi. Rzeczywiście wpuścił ich jeden ze strażników, choć nie wiem który, bo go nie widziałem.

-

Bo uważali pana za prowokatora wysłanego przez samego Delavane'a.

-

Właśnie to mi powiedzieli.

-

Nafaszerowaliśmy pana narkotykami! Nic na to nie wskazywało!

544

-

Mieli jakieś podejrzenia. Nie byli pewni lekarza i nie ufali Anglikowi, sam Pan najlepiej wie, jak ufają panu. Sądzieli, że wszystko mogło zostać zain-scenizowane. woleli się zabezpieczyć.

- Nie do wiary!

- Nie, kiedy głębiej się nad tym zastanowić - odparł Converse, siadając naprzeciwko Niemca. - Jakie jest prawdziwe źródło posiadanych przeze mnie informacji? Kto prócz Delavane'a mógł wskazać mi tak dokładnie ludzi, do których należy się zwrócić? Oto jak przebiegało ich rozumowanie.

-

Podejrzewali Delavane'a... - wyjąkał wstrząśnięty Leifhelm.

-

Wiem już, jak wygląda sytuacja - przerwał Joel, wykorzystując nową możliwość poprowadzenia rozmowy. - Delavane jest skończony; obaj przyznali to w rozmowie ze mną, gdy zrozumieli, że jest ostatnią osobą na świecie, dla której mógłbym pracować. Może chcieli rzucić mi kilka ochłapów przed egzekucją?

-

Musieliśmy to zrobić! - zawołał najmłodszy feldmarszałek Trzeciej Rzeszy. - Na pewno pan to rozumie. Kim pan jest? Kto pana wysłał? Sam pan tego nie wie! Wymieniał pan nazwiska bez znaczenia, mówił o listach jakichś osób i poważnych sumach pieniędzy, ale to nie miało żadnego sensu. Komu udało się nas rozpracować? Ponieważ nie zdołaliśmy tego ustalić, należało zrobić z pana ein fauliger Abfall.

-

Słucham?

-

Coś śmierdzącego, zgniłego, czego nikt nie dotknie, żeby nie powalać sobie rąk.

-

Udało wam się to znakomicie.

-

To moja zasługa - odparł Leifhelm, kiwając głową. - Działalem na swo im terenie. Wszystkim zajmowałem się ja.

-

Nie kazałem tu pana przywieźć, żeby rozmawiać o pańskich sukcesach.

Porwałem pana, bo chcę ocalić swoje życie. Ludzie, którzy mnie wysłali, nie chcą lub nie mogą tego zrobić, ale pan tak. Muszę tylko podsunąć panu odpo wiedni powód.

-

Sugeruje pan, że Abrahms i Bertholdier spiskują przeciwko mnie?

-

Niczego nie sugeruję. Po prostu przytoczę panu ich słowa. Proszę pa-miętać, obaj nie spodziewali się, że opuszczę kiedykolwiek pańską posiadłość, chyba że jako trup podłożony w miejscu jakiegoś wyjątkowo krwawego zama chu. - Converse zerwał się nagle z fotela i pokręcił głową. - Nie! - zawołał. -

Niech pan sam zadzwoni do swoich przyjaciół we Francji i w Izraelu! Jeśli pan chce, może pan nie mówić; proszę po prostu słuchać głosów swoich kole gów Akwitańczyków i przekonać się samemu. Wytrawny kłamca potrafi zawsze rozpoznać kłamcę, a pan doszedł w tym do mistrzostwa.

-

Obraża mnie pan.

-

Może to dziwne, ale uważam to za komplement. Właśnie dlatego postanowiłem się z panem spotkać. Spodziewam się, że to pan zdobędzie władzę na terenie Europy, a po tym, co przeszedłem, wolę być po stronie zwycięzcy.

- Dlaczego mi pan to mówi?

545

-

Och, niech pan da spokój, bądźmy szczerzy. Abrahams jest powszechnie znienawidzony w Europie i w Ameryce, bo poobrażał wszystkich, którzy nie zgadzają się z ekspansjonistyczną polityką Izraela. Nawet Żydzi nie potrafią go uciszyć. Krytykują go tylko, a on wrzeszczy swoje. Nie będzie go tolerować żadna międzynarodowa federacja.

Hitlerowiec pokręcił szybko głową.

-

Nigdy! - zawołał. - To najwstrętniejsza, najbardziej odrażająca kreatura, jaka pojawiła się kiedykolwiek na Bliskim Wschodzie! I do tego Żyd! Ale dlaczego równa pan z nim Bertholdiera?

Joel umilkł na chwilę, jakby zastanawiał się nad doborem słów.

-

Z powodu jego sposobu bycia - odparł z namysłem. - Nie oszukuje pana; naprawdę tak sędzę. Bertholdier jest wyniosły, arogancki. Uważa się nie tylko za wielkiego wodza i polityka kształtującego historię, lecz wręcz za bóstwo stojące ponad innymi ludźmi. Na jego Olimpie nie ma miejsca dla śmieciaków. Jest na dodatek Francuzem. Anglicy i Amerykanie nie ścierpieliby go; wystarczy im jeden de Gaulle.

-

Wyraża się pan nadzwyczaj klarownie. Tylko Francuzi są w stanie tole rować takich wstrętnych

egoistów. Bertholdier to wyolbrzymiona karykatura ich charakteru narodowego.

-

Van Headmer się nie liczy, choć może dostarczać surowców.

-

Zgadza się - przytaknął Niemiec.

-

Jednakże pan współpracował z Amerykanami i Brytyjczykami w Berli nie i Wiedniu - ciągnął szybko Converse. - Pomagał pan wcielić w życie poli tykę denazyfikacyjną, a ponadto zeznawał szczerze przed Trybunałem No rymberskim. W końcu został pan rzecznikiem Bonn w NATO. Jakakolwiek jest pańska przeszłość, zdobył pan zaufanie aliantów. - Joel znów umilkł, a gdy się odezwał, w jego głosie zabrzmiała nuta szacunku: - Wynika z tego, że to pan zwycięży, panie generale, i to pan może ocalić moje życie. Potrzebny jest panu tylko powód.

-

Więc proszę mi go podać.

-

Najpierw niech pan zatelefonuje.

-

Niech mnie pan nie traktuje jak idiotę! Nie nalegałby pan, żebym za dzwonił, gdyby nie był pan pewny swego, a to znaczy, że mówi pan prawdę.

Skoro ci Schweinhunde spiskują przeciwko mnie, nie zamierzam się zdradzać, że o tym wiem! Co panu powiedzieli?

-

Zamierzają pana zabić. Nie chcą ryzykować oskarżenia, że w Niem czech Zachodnich zdobył władzę członek starej gwardii NSDAP. Nawet po zwycięstwie Akwitania nie obejdzie się bez nieuniknionych sprzeciwów, któ rych nie wolno podsycać. Pańskie miejsce zajmie ktoś młodszy, kto wyznaje poglądy Bertholdiera i Abrahmsa, lecz nie ma żadnych związków z faszy-zmem. Ale nie człowiek wyznaczony przez pana.

Leifhelm siedział sztywno w obitym brokatem fotelu. Jego starcze, choć wciąż sprężyste ciało pozostawało w bezruchu, a na bladej twarzy przypominającej 546

alabastrową maskę pośmiertną błyszcząły przenikliwie jasnoblękitne oczy.

- Podjęli taką decyzję, świętoszki? - spytał lodowato, prawie nie poruszając wargami. - Obrzydliwy Żyd i zdeprawowany francuski książę pedałów ośmiela Cię występować przeciwko mnie?!

- Delavane zgadza się z nimi, choć to bez znaczenia.

- Delavane! Ten infantylny pokurcz, psychopata żyjący fantazjami! Człowiek, którego poznaliśmy dwa lata temu, stał się przez ten czas szalejącym ugrotykiem!

Nie zdaje sobie oczywiście z tego sprawy, ale to my nim kierujemy, podsuwając mu pomysły lub szczęśliwe rozwiązania. Jest szaleńcem jak Hitler w ostatnich latach życia!

-Niewiele wiem o Delavanie - rzekł Converse. - Abrahms i Bertholdier twierdzili tylko, że jest skończony. Mówili głównie o panu.

-

Doprawdy? Więc teraz to ja opowiem o sobie! Jak pan myśli, kto stworzył

Akwitanię w Europie i krajach basenu Morza Śródziemnego?! Kto dostarczył

terrorystom tysięcy ton broni i materiałów wybuchowych?! Kto przygotował

grupę Baader-Meinhof, Czerwone Brygady i Palestyńczyków do ostatniego apo geum ich działalności?! No, kto?! Ja, mein Herr! Dlaczego spotykamy się za wsze w Bonn?! Dlaczego to ja przekazuję, a w istocie wydaję rozkazy?! To proste! Stworzyłem sprawną organizację! Mam ślepo oddanych ludzi gotowych wykonać każdy rozkaz! Dysponuję ogromnymi funduszami! Zbudowałem od podstaw supernowoczesną stację łączności, czego nie zdołałby zrobić nikt inny w Europie... Od początku wiem, że zostanę zwycięzcą! Bertholdier nie ma w Pa ryżu prawie nikogo; posiada tylko iluzoryczne wpływy i opinię bohatera naro dowego. Na prawdziwym polu bitwy nie mato żadnego znaczenia! Kiedy zapa nuje anarchia, to ja stanę się głosem Akwitanii w Europie. Wiem o tym od samego początku! Moi ludzie utopią Bertholdiera i Abrahmsa w wychodkach!

-

Pańska stacja łączności znajduje się na wyspie Scharhörn, prawda? -

spytał beznamiętnie Joel.

-

Powiedzieli to panu?

-

Wspomnieli o wyspie mimochodem. Na Scharhörn mieści się kompute rowy bank danych z wykazem

wszystkich członków Akwitanii, tak?

-

O tym też mówili?!

-

To nieważne. Już mnie to nie interesuje. Pozostawiono mnie na pastwę losu, nie wie pan? Na pewno rozgryźł pan także zabezpieczenia komputero we, co? Nikt inny nie zdołałby tego dokonać.

-

Tak, to moje wybitne osiągnięcie - przyznał Leifhelm, na którego wo skowym obliczu odmalowało się chwalebne poczucie skromności. - Zabezpieczyłem się nawet na najgorsze. Każdy z nas czterech zna hasło złożone z czteroelementowej kombinacji cyfr i liter; pozostałymi dwunastoma symbolami dysponuje tylko ten beznogi psychopata z San Francisco. Uważa, że nie można zdjąć blokady bez jego klucza, ale ja odkryłem, że wystarcza wstępne kodowanie podwojonej sekwencji dwóch haseł czteroelementowych!

547

-

Niezwykle przemyślne - stwierdził Converse. - Czy wiedzą o tym Do zostali?

-

Tylko mój zaufany towarzysz z Francji - odparł z przekąsem Niemiec Bertholdier, księżę zdrajców. Lecz oczywiście nie podałem mu nigdy swojego prawdziwego hasła, a jeśli ktoś wprowadzi do maszyny błędny kod, wszystkie dane ulegną automatycznemu skasowaniu.

-

Tak właśnie rozumuje zwycięzca. - Joel pokiwał z aprobatą głową, po czyn.

zmarszczył z niepokojem brwi. - Ale co by się stało, gdyby stację zaatakowano?

-

To samo, co planował zrobić Hitler ze swoim bunkrem. Wszystko wyleci w powietrze. Wszędzie rozmieszczono ładunki wybuchowe.

-

Rozumiem.

-

Skoro mówimy o zwycięzcach (a uważam ich za swego rodzaju proroków), muszę opowiedzieć panu o wyspie Scharhörn - ciągnął Leifhelm ze wzrokiem pełnym entuzjazmu, pochylając się do przodu w obitym brokatem fotelu. - Przed wielu laty, w 1945 roku, z popiołów klęski miała się tam odrodzić wielka idea. Na ów niewiarygodny pomysł wpadli ludzie oddani całym sercem sprawie, a zrezygnowali z niego tchórze i zdrajcy. Chodzi o tak zwaną Operation Sonnenkinder, czyli dzieci słońca. Były to czyste rasowo niemowlęta, które zamierzano rozesłać po całym świecie do specjalnie przygotowanych ludzi, mających wychować je tak, by zdobyły bogactwo i władzę. Jako dorośli, Sonnenkinder powinny wykonać tylko jedno zadanie: stworzyć Czwartą Rzeszę! Rozumie pan teraz symboliczne znaczenie wyspy Scharhörn? Tajna baza Akwitanii stanie się kolebką nowego ładu! To my zrealizujemy wspaniały plan!

-

Możesz się już nie wysilać - odezwał się Converse, wstając z fotela i oddalając się od Ericha Leifhelma. - Przesłuchanie skończone.

-

Was?

-

Słyszałeś. Wynoś się stąd. Rzygać mi się chce, jak ciebie słucham.

Otworzyły się drzwi i do gabinetu wkroczył młody boński lekarz, wpatrując się w sławnego feldmarszałka.

-

Rozbierz go i zrewiduj - rozkazał Converse.

Joel wszedł do mrocznego pokoiku, gdzie znajdował się statyw z kamerą wideo z obiektywem umieszczonym w ścianie. Po obydwu stronach kamerzysty stali Valerie i Prudhomme, a obok widać było telewizor, który pokazywał pusty gabinet z wysokim fotelem w środku ekranu.

-

Nie mieliście problemów? - spytał Joel.

-

Absolutnie żadnych - odparła Valerie. - Kamerzysta nie rozumiał ani słowa, ale podobno oświetlenie było znakomite. Może skopiować każdą kase tę dowolną liczbę razy; mają po około trzydziestu

pięciu minut.

-

Wystarczy oryginał i dziesięć kopii - rzekł Converse, spojrzawszy na zegarek i uniósł wzrok na Prudhomme'a, gdy tymczasem Val rozmawiała cicho po 548

francusku z kamerzystą.

- Zdaży pan zabrać pierwszy zestaw kopii do Waszyngtonu samolotem o piątej.

- Z największą przyjemnością, drogi przyjacielu. Domyślam się, że jeden poleci do Paryża, prawda?

- I do szefów wszystkich pozostałych rządów wraz z naszymi zeznaniami. Odbierze pan kopie oświadczeń zebranych przez Simona w Nowym Jorku?

-

Załatwię to po przylocie - odparł Francuz. - Moje nazwisko nie powinno figurować na liście pasażerów.

Odwrócił się i wyszedł z gabinetu. Podążył za nim kamerzysta, który skierował się do kopiarki na korytarzu.

Valerie zbliżyła się do Joela, ujęła dłońmi jego twarz i pocałowała lekko w usta.

-

Przeżywałam przez chwilę katusze. Myślałam, że ci się nie uda.

-

Ja też.

-

A jednak wygrałeś. To było naprawdę wspaniałe, mecenasie. Jestem z ciebie bardzo dumna, kochany.

-

Potępi mnie wielu prawników. Złapałem ich w bardzo nieuczciwą pułapkę. Mój stary, chaotyczny, ale wyjątkowo błyskotliwy profesor prawa po wiedziałby, że skłoniłem ich podstępnie do przyznania

się do winy, po czym omotałem siecią ich własnych zeznań.

-

Przestań już o tym myśleć, Converse. Chodźmy na spacer. Kiedyś czę sto to robiliśmy i chciałabym wskrzesić ten zwyczaj. Samotne spacery nie są zbyt przyjemne.

Objęli się i pocałowali, z początku lekko, czując odzyskane ciepło i poczucie bezpieczeństwa. Wreszcie Joel odsunął głowę, położył dłonie na ramionach Val i spojrzał w jej wielkie, błyszczące oczy, które tak kochał.

-

Czy zostanie pani moją żoną, pani Converse? - spytał.

-

Wielki Boże, znowu?! Cóż, czemu nie? Nie musiałabym nawet zmie niać monogramów na bieliźnie, jak mi kiedyś powiedziałaś.

-

Nie nosiłaś nigdy monogramów na bieliźnie.

-

Spostrzegłeś to na długo przed poproszeniem mnie o rękę.

-

Owszem, ale wolałem się do tego nie przyznawać.

-

Dobrze, kochany, wyjdę za ciebie. Ale najpierw musimy coś załatwić,

' to jeszcze przed spacerem.

-

Tak. Zadzwonimy do Petera Stone'a za pośrednictwem krewnych Tatiany w Charlotte w Karolinie Północnej. Strasznie się przez niego nacierpiałem, ale, co dziwne, chyba go lubię.

-

Ja nie - odparła zdecydowanie Valerie. - Najchętniej bym go zabiła.

Rozdział 40

Zbliżał się koniec drugiego dnia przed nadchodzącym finałem. Ogólno światowe demonstracje przeciwko wojnie jądrowej miały się rozpocząć za niespełna dziesięć godzin, tuż po wschodzie słońca po przeciwnej stronie globu. Zginą pierwsi ludzie i wybuchnie chaos.

W ciemnej sali projekcyjnej w podziemnym kompleksie strategicznym Białego Domu siedziało osiemnastu mężczyzn i piętnaście kobiet. Wszyscy mieli przed sobą żółty blok oświetlony punktową lampką, leżący na niewielkim pulpicie przymocowanym do fotela. Na ekranie wyświetlano w półminutowych odstępach twarze kolejnych mężczyzn z numerem w prawym górnym rogu klatki. Peter Stone, odpowiedzialny za dobór widowni, wydał przedtem zebranym zwięzłe instrukcje w języku, jaki najlepiej rozumieli:

-

Przyglądajcie się w absolutnej ciszy mężczyznom na fotografiach i za notujcie numery tych, których rozpoznajecie. Pamiętajcie, że chodzi o mor derców. Po zakończeniu projekcji zapali się światło i wymienimy uwagi. W razie potrzeby będziemy mogli powtarzać pokaz aż do skutku. Pamiętajcie, że uważamy tych ludzi za zabójców. To bardzo ważne.

Zebranym nie powiedziano niczego więcej. Wyjątkiem był Derek Bellamy z brytyjskiego MI-6, który przybył pół godziny po rozpoczęciu niezwyklej projekcji, śmiertelnie znużony po wyczerpującej podróży. Kiedy przestąpił próg, Peter odprowadził go na bok i mocno uściskał. Stone jeszcze nigdy w życiu nie ucieszył się tak na czyjkolwiek widok. Jeśli sam coś przeoczył, jeśli coś umknęło jego uwagi, Bellamy to zauważy. Stone miał co prawda szósty zmysł, lecz szef wywiadu brytyjskiego posiadał wręcz dziesiąty, czemu zresztą skromnie zaprzeczał.

-

Potrzebuję cię, przyjacielu - rzekł Peter, obejmując Bellamy'ego. - Po trzebuję cię jak nigdy dotąd.

-

Właśnie dlatego tu jestem, stary - odparł Bellamy, spoglądając ciepło na Stone'a. - Możesz mi coś powiedzieć?

-

Nie mamy w tej chwili czasu, ale podam ci jedno nazwisko. Delavane.

-

Zwariowany Marcus?

-

Tak. To poważna sprawa.

-

A to sukinsyn! - wyszeptał Anglik. - Najchętniej zobaczyłbym go dyn dającego na szubienicy! Porozmawiamy później, Peter. Masz dużo gości. Na wiasem mówiąc, z tego, co widzę, zaprosiłeś tu dzisiaj samą śmietankę.

-

Wyłącznie najlepszych, Derek. Nie możemy sobie pozwolić na gorszych.

Poza oficerami amerykańskimi, którzy zwrócili się na początku do Stone'a, oraz pułkownikiem Allanem Metcalfem, Nathanem Simonem, sędzią Andrew Wellfleetem i sekretarzem stanu, na widowni siedzieli najbardziej doświadczeni i zaufani oficerowie wywiadu, jakich Peter Stone poznał podczas długich lat pracy w wydziale operacyjnym CIA. Przywieziono ich

550

z Francji, Wielkiej Brytanii, Niemiec Zachodnich, Izraela, Hiszpanii i Holandii.

Znajdowali się wśród nich: fenomenalny Derek Bellamy; Francois Villard, szef ściśle tajnej Organisation Etrangere z Francji; Yosef Behrens, czołowy ekspert Mosadu od terroryzmu; Pablo Amandariatz z Maskatu specjalista od tropienia agentów KGB w krajach basenu Morza Śródziemnego, oraz Hans Vonmeer z Tajnej Policji Państwowej Królestwa Holandii. pozostali, nie wyłączając kobiet, cieszyli się równie dobrą opinią w świetnie zakonspirowanej krainie wywiadu i kontrwywiadu. Zнали nazwiska, twarze i teczki personalne hord zawodowych morderców, którzy zabijali za pieniądze, na rozkaz albo z pobudek ideologicznych. A przede wszystkim zdobyli zaufanie Stone'a, który niegdyś z nimi współpracował; tworzyli razem elitę świata cieni.

Twarz! Stone znał tę twarz! Kiedy wyświetlono ją na ekranie, nabazgrał na kartce papieru: "Dobbins, numer dwadzieścia siedem. Cecil albo Cyril Dobbins, oficer armii brytyjskiej. Odkomenderowany do wywiadu wojskowego... Osobisty adiutant...

Dereka Bellamy'ego!"

Stone spojrział w bok, na przyjaciela stojącego za przejściem pośrodku widowni, spodziewając się, że zobaczy go piszącego, jednakże Anglik trwał nieruchomo ze zmarszczonym czołem, trzymając pióro w pogotowiu nad żółtą kartką. Na ekranie pojawiła się kolejna twarz. I następne, aż do zakończenia projekcji. Zapalono światła. Pierwszy odezwał się Yosef Behrens z Mosadu.

-

Numer siedemnasty to izraelski oficer artylerii odkomenderowany nie dawno do kontrwywiadu w Jerozolimie. Nazywa się Arnold.

-

Numer trzydziesty ósmy - rzekł Francois Villard - to pułkownik armii francuskiej przydzielony do ochrony pałacu prezydenckiego. Poznaje go, ale nie pamiętam nazwiska,

-

Numer dwudziesty szósty - stwierdził oficer z Bonn - to Oberleutnant Ernst Miiller z Luftwaffe. Jest znakomitym pilotem i wozi często członków rządu na konferencje na terenie Niemiec lub za granicą.

-

Numer czterdziesty czwarty - powiedziała śniada kobieta z wyraźnym hiszpańskim akcentem - nie ma takiej dobrej opinii. To handlarz narkotykami podejrzany o wiele zabójstw. Pochodzi z Ibizy. Był kiedyś spadochroniarzem.

Nazywa się Orejo.

-

O kurczę, to się w głowie nie mieści! - zawołał młody porucznik, William Landis, informatyk z Pentagonu. - Znam pięćdziesiątego pierwszego, je stem prawie pewien! To jeden z adiutantów w dziale zaopatrzenia, Sekcja Bli skiego Wschodu. Często go widuję, ale nie wiem, jak się nazywa.

Sześciu innych mężczyzn i dwie kobiety podało dalsze dwanaście nazwisk i stanowisk, a osoby zebrane w sali projekcyjnej zaczęły dostrzegać pewne prawidłowości. Fotografie przedstawiały wojskowych, choć nie tylko, pozostali parali się najdziwniejszymi zajęciami. Byli to głównie zdemobilizowani żołnierze z oddziałów rozwiązanych po odniesieniu ciężkich strat. Ludzie, którzy stoczyli się na dno i skończyli jako najemnicy lub przestępcy. Peter Stone Wiedział, że generałowie Akwitanii uważają ich za najniebezpieczniejszy motłoch.

551

W końcu odezwał się Derek Bellamy.

-

Widziałem cztery czy pięć twarzy w kartotece, ale nie kojarzę nazwisk

- Spojrzał na Stone'a. - Wyświetlisz te zdjęcia raz jeszcze, stary?

-

Naturalnie, Derek - odparł były szef CIA w Londynie, po czym wstał

i zwrócił się do zebranych: - Natychmiast wprowadzimy do komputera podane przez was nazwiska i zobaczymy, czy nie pojawią się jakieś' prawidłowości. Jeszcze raz chciałbym wam wszystkim serdecznie podziękować i przeprosić, że nie udzieliłem wyjaśnień, na jakie zasługujecie. Przepraszam także za kłopoty, które wam przysporzyliśmy. Szczerze mówiąc, pocieszam się tylko myślą, że jako fachowcy na pewno mnie rozumiecie. Zrobimy kwadrans przerwy i za czniemy wszystko od początku. W sąsiedniej sali można dostać kawę i kanapki.

Stone skinął ponownie głową na znak wdzięczności i ruszył ku drzwiom. W

przejściu między fotelami podszedł do niego Derek Bellamy.

-

Okropnie mi przykro, Peter, że tak późno przyjechałem. Prawdę mówiąc, moi ludzie stawali na głowie, żeby się ze mną skontaktować. Byłem z wizytą u przyjaciół w Szkocji.

-

Myślałem, że pojechałeś do Irlandii Północnej. Ale rzeźnia, co?

-

Nigdy siebie nie doceniałeś. Jasne, byłem w Belfaście. Ale teraz obiecuję ci pomoc, choć jestem zupełnie wykończony; miałem straszliwą podróż i oczywiście w ogóle nie spałem. Ich twarze zwały mi się nagle w jedno. Chwili lami wydawało mi się, że znam wszystkich, a chwilami, że żadnego!

-

Przyjrzyj im się znowu podczas drugiej projekcji.

-

Dobrze - zgodził się Bellamy. - Cokolwiek wykombinował ten wariat Delavane, strasznie się cieszę, że znów pracujesz w branży, Peter. Wszyscy mówili, że jesteś skończony.

-

Wróciłem. Na stałe.

-

Widzę, stary. W ostatnim rządzie siedzi twój kumpel sekretarz stanu, co?

-

Tak.

-

Moje gratulacje. Cóż, idę się napić gorącej kawy. Zobaczymy się za parę minut.

-

Będę siedział po drugiej stronie.

Stone wyszedł z sali, skręcił w prawo i ruszył białym korytarzem. Czuł coraz szybsze walenie własnego serca, stanowiące odpowiednik gorzkiego smaku żółci w ustach, o którym wspominał często Johnny Reb. Musiał jak najszybciej znaleźć telefon. Za godzinę miał przylecieć kurier Converse'a, Prudhomme z Surete; na lotnisku Dullesa czekała nań eskorta służby bezpieczeństwa z rozkazem przywiezienia go bezpośrednio do Białego Domu. Jednakże Stone nie niepokoił się w tej chwili o Francuza, tylko o samego Converse'a. Musiał zadzwonić do niego przed rozpoczęciem drugiej projekcji. Musiał!

Kiedy adwokat skontaktował się ze Stone'em za pośrednictwem rodziny Tatiany, byłego agenta wywiadu wprost zatkało ze zdumienia. Co za niewiarygodna brawura!

Converse ośmielił się porwać trzech generałów i sfilmować z ukrycia rozmowy z nimi, które nazywał w swoim prawniczym żargonie "przesłuchaniami"!

552

Czyste szaleństwo! Jeszcze bardziej zwariowane było tylko to, że mu się powiodło, niewątpliwie dzięki pomocy upartego, rozwścieczonego funkcjonariusza Surete. Kompletna lista członków Akwitania znajduje się w komputerowym banku danych na wyspie Scharhörn, lecz zostanie skasowana jeśli ktoś zastosuje błędne hasło. Baza jest nafaszerowana ładunkami wybuchowymi. Chryste Panie...!

A teraz ostateczne szaleństwo. Tajemniczy przywódca Akwitania w Wielkiej Brytanii, tak dobrze zakonspirowany, że Stone i jego przyjaciele powątpiewali w jego istnienie, choć logika wskazywała na coś przeciwnego. Musiał istnieć przywódca Akwitania w Wielkiej Brytanii, bo Akwitania nie mogła się obejść bez Brytyjczyków. Stone wiedział ponadto, iż jest on skrzynką kontaktową między Pało Alto a pozostałymi generałami w różnych częściach świata, gdyż stała obserwacja rozmów telefonicznych Delavane'a wykazała, że dzwoni on często na Hebrydy, a były agent wywiadu znał aż nazbyt dobrze stacje przekaźnikowe tego typu. Na wyspach u wybrzeży Szkocji trop urywał się i nie można było ustalić ostatecznego adresata rozmowy; taką samą technikę stosowało KGB, mające stację przekaźnikową na kanadyjskiej Wyspie Księcia Edwarda, oraz CIA, dysponujące łączami w

Key West na Florydzie.

Bellamy! Człowiek, którego zdjęcia nie opublikowała nigdy żadna gazeta, bo jeśli pojawił się bodaj w tle jakiegokolwiek fotografii, jego goryle niszczyli natychmiast film. Najbardziej chroniony oficer wywiadu w Anglii, mający dostęp do tajemnic gromadzonych przez dziesięciolecia i setek wymyślnych urządzeń technicznych zaprojektowanych przez najlepsze umysły MI-6. Czyż to możliwe?!

Derek Bellamy, spokojny i dobroduszny miłośnik szachów, który cierpliwie słuchał

przy szklaneczce whisky swojego amerykańskiego kolegi, mającego coraz poważniejsze wątpliwości co do słuszności wyboru drogi życiowej. Przyjaciel, posiadający dość mądrości i odwagi, by ostrzec Stone'a, że pije za dużo, i doradzić mu wzięcie urlopu oraz zaproponować synekurę tajnego konsultanta w razie jakichś kłopotów finansowych. Czyż to możliwe?! Czyż można podejrzewać przyjaciela, porządnego gościa?!

Stone doszedł korytarzem do drzwi numer czternaście, na których wisiała tabliczka z napisem ZAJĘTE. Znalazłszy się w niewielkiej salce, podążył do biurka, gdzie stał telefon. Niecierpliwość nie pozwoliła mu usiąść. Podniósł

słuchawkę i połączył się z centralą Białego Domu, wyjmując z kieszeni świstek papieru z numerem Converse'a gdzieś we Francji. Podyktował go telefonistce i dodał:

-

Rozmowa szyfrowana. Mówię z czternastki w kompleksie strategicznym, proszę potwierdzić impulsem zwrotnym.

-

Potwierdzone, proszę pana. Przygotujemy szyfrator. Czy mam do pana zadzwonić?

-

Nie, dziękuję, poczekam przy aparacie.

Stał przy biurku, słuchając głuchego echa wciskanych klawiszy i delikatnego buczenia szyfratora. I nagle nałożył się na nie dźwięk otwieranych drzwi. Stone odwrócił się.

553

-

Odłóż słuchawkę, Peter - rzekł cicho Derek Bellamy, zamykając sobą drzwi. - To nie ma sensu.

-

To ty, prawda?

Stone niezgrabnym ruchem odłożył powoli słuchawkę na widełki.

-

Tak, ja. I dążę do tego samego, co ty, przyjacielu. Żaden z nas nie może się powstrzymać od aluzji, prawda? Powiedziałem, że byłem u przyjaciół

w Szkocji, a ty, że pewnie w Irlandii... Lata pracy czegoś nas nauczyły.

Spojrzenia nie kłamią. Szkocja, telefony na Hebrydy, i łuski spadły ci z oczu. A wcześniej, kiedy na ekranie pokazała się tamta twarz, trochę zbyt ostentacyjnie po-

patrzyłeś na mnie z drugiej strony sali.

-

Dobbins. Pracował dla ciebie.

-

Notowałeś jak wariat, ale nie puściłeś pary z gęby.

-

Czekałem, aż ty coś powiesz.

-

Tak, jasne, ale przecież nie mogłem, nie?

-

Dlaczego, Derek? Na miłość boską, dlaczego?!

-

Bo to słuszne i sam dobrze o tym wiesz.

-

Nie wiem! Jesteś normalnym, rozsądnym człowiekiem, a to przecież wariaci!

-

Oczywiście, trzeba będzie się ich pozbyć. Jak często posługiwaliśmy się figurantami, których nie mogliśmy znieść, ale byli nam potrzebni do osiągnięcia celu?

-

Jakiego celu? Stworzenia międzynarodowego sojuszu państw totalitarnych?! Wojskowego imperium bez granic?! Chcecie, żeby ludzie maszerowali jak roboty w takt werbli?!

-

Dajże spokój, Peter. Oszczędź nam tych ekliwicznych kazań. Już raz wycofałeś się z roboty i prawie zapiliś się na śmierć, bo widziałeś, jak marnujemy czas, pieniądze, ludzi, żeby utrzymać to śmiechu warte status quo. Jakie status quo, stary?! Po co?! Żeby na całym świecie dogryzały nam różne kreatury?!

Żeby nasi ludzie zostawali zakładnikami fanatycznych ajatollahów, historyków i durniów, którzy żyją ciągle w średniowieczu i chętnie poderżnęliby nam gardło podczas targów o cenę baryłki ropy?! Żeby przy byle okazji manipulowali nami Sowieci?! Nie, Peter, naprawdę istnieje lepsza droga. Środki mogą się wydawać odrażające, ale cel ostateczny jest nie tylko pożądanym, lecz także godnym szacunku.

-

Kto tak twierdzi? George Marcus Delavane? Erich Leifhelm? Chaim Abrahms?

-

Pozbędziemy się ich! - przerwał gniewnie Bellamy.

-

To niemożliwe! - krzyknął Stone. - Kiedy puścicie wszystko w ruch, nikt nie zdoła ich powstrzymać! Twoi generałowie staną się zbawcami świata.

Będą podziwiani, uwielbiani! Ktokolwiek ośmieli się im sprzeciwić, zostanie uznany za parszywą owcę! Wszyscy zmienią się w roboty i dobrze o tym wiesz.

do cholery!

Zadzwonił telefon.

-

Nie podnoś słuchawki - rozkazał szef MI-6.

- Już nie potrzebuję. To ty byłeś Anglikiem w rezydencji Leifhelma Bonn.

Potwierdziłby to nawet pobieżny opis.

Telefon zadzwonił znowu.

- To Converse?!

- Chciałbyś z nim porozmawiać? Jest wyśmienitym prawnikiem, choć złamał

podstawową zasadę: reprezentuje samego siebie jako adwokat. Ujawnił się, Derek, i chce was zniszczyć. Niedługo to zrobimy.

- Nie uda wam się! - zawołał Bellamy. - To niemożliwe! Sam przed chwilą przyznałeś, że kiedy wszystko się zacznie, nic nas już nie powstrzyma!

Anglik rzucił się zniechęca na Stone'a, wysunawszy do przodu trzy wyprostowane palce prawej ręki. Były agent CIA, trafiony prosto w gardło niby trzema stalowymi trzpieniami, poczuł straszliwy ból i rozpaczliwie usiłował chwycić ustami powietrze; pokój zawirował mu nagle przed oczyma i rozplątał się w oślepiającym fajerwerku tysiąca świetlistych igieł. Na natarczywy dzwonek telefonu nałożył się odgłos otwieranych i zamykanych drzwi. Jednakże Peter niczego nie widział; fajerwerk białych świateł pochłonęła ciemność. Zaczął tłuc się po omacku na wszystkie strony w poszukiwaniu aparatu, który tymczasem umilkł; kilka minut odbijał się szaleńczo od ścian, a w pewnej chwili przeokołkował przez biurko. Wreszcie rozległ się trzask wyważanych drzwi i do pokoju wpadł pułkownik Alan Metcalf.

-

Co się stało, Stone?! - krzyknął, podbiegł do Petera i natychmiast zorientował się, że byłego agenta CIA uderzono ciosem karate. Zaczął masować mu gardło i ugniatać kolanem brzuch, aby zmusić go do zaczerpnięcia powietrza. - Dzwoniono z centrali, że zamówiłeś szyfrówkę z czternastki, ale nie podnosisz słuchawki! Kto to zrobił, na Boga?!

Przed oczyma Stone'a znów pojawiły się mgliste obrazy, lecz w dalszym ciągu nie był w stanie wydobyć z siebie głosu i tylko kasłał spazmatycznie. Wijąc się pod mocnymi dłońmi Metcalfa, wskazał notatnik, który spadł z biurka na podłogę.

Pułkownik zrozumiał: sięgnął po niego i wyjął z kieszeni długopis. Przewrócił

Stone'a na bok, włożył mu pióro do ręki i przesunął ją ku kartce.

Belmy to Akwita... - nagryzmołił z trudem Peter.

-

O Boże...! - wyszeptał Metcalf, podniósł słuchawkę i wcisnął klawisz z cyfrą zero.

-

Centrala? Alarm! Połączcie mnie z ochroną...! Ochrona? Tu pułkownik Alan Metcalf z czternastki w kompleksie strategicznym. Ogłaszam alarm! Z Białego Domu może próbować wyjść Brytyjczyk o nazwisku Bellamy. Proszę go zatrzymać i osadzić w areszcie! Jest niebezpieczny! A poza tym skontaktujcie się ze szpitalem! Niech przyślą do czternastki lekarza. Szybko!

Etatowy lekarz Białego Domu zdjął z twarzy Stone'a maskę tlenową i położył ją na biurku koło butli. Odchylił łagodnie głowę Petera, włożył mu do ust szpatułkę i obejrzał gardło w świetle punktowej latarki.

555

-

Bardzo niebezpieczny cios, ale za kilka godzin poczuje się pan lepiej -
zawyrokował. - Dam panu tabletki przeciwbólowe.

-

Co zawierają? - spytał ochryple Stone.

-

To łagodny środek. Kodeina z niewielkimi dodatkami.

-

Nie, dziękuję, panie doktorze - odparł Peter i spojrzał przez ramię na Metcalfa. - Coś mi się zdaje, że nie przynosisz dobrych wiadomości.

-

To prawda. Bellamy uciekł. Miał specjalną przepustkę i powiedział strażnikom przy Wschodniej Bramie, że wezwano go w pilnej sprawie do ambasady brytyjskiej.

-

Kurwa mać!

-

Niech pan nie podnosi głosu - odezwał się lekarz.

-

Tak, oczywiście - odparł Stone. - Serdecznie panu dziękuję. Czy mógł-

by pan zostawić nas samych? - Wstał z fotela, a doktor skinął głową, wziął

swoją lekarską torbę i ruszył w stronę drzwi. - Jestem panu naprawdę wdzięczny, panie doktorze. Jeszcze raz dziękuję.

-

Drobnostka. Przyślę kogoś po butlę.

Kiedy lekarz zamknął za sobą drzwi, rozległ się dzwonek telefonu. Słuchawkę podniósł Metcalf.

-

Tak? Owszem, jest tutaj. - Pułkownik słuchał przez chwilę i zwrócił się do Stone'a: - To prawdziwy przełom! Wszyscy zidentyfikowani oficerowie mają pewną wspólną cechę. Przebywają co najmniej na miesięcznych wakacjach i złożyli wnioski urlopowe dokładnie pięć miesięcy temu; różnica wynosi zaledwie kilka dni.

-Zagwarantowali sobie w ten sposób otrzymanie urlopu jako pierwsi w kolejce -

dodał z wysiłkiem agent CIA. - A plan demonstracji przeciwko wojnie jądrowej ogłoszono w Szwecji pół roku wcześniej.

-

Wszystko jak w zegarku - stwierdził Metcalf. - Aby unieszkodliwić pozostałych, musimy zawiadomić instytucje wojskowe. Wszyscy oficerowie kilkunastu różnych armii wracający z urlopów powinni się znaleźć w areszcie koszarowym. Spotka to wielu Bogu ducha winnych ludzi, ale nie ma rady.

Zwolnią ich po rozesłaniu fotografii.

-

Pora na wyspę Scharhorn. - Stone wstał z fotela, rozcierając sobie gar dło. - I nie wstydzę się przyznać, że śmiertelnie się jej boję. Wystarczy drobna pomyłka i zniszczymy listę Akwitańczyków. Co gorsza, jeden fałszywy krok i baza wyleci w powietrze. Podszedł do telefonu.

-

Chcesz zadzwonić do Johnny'ego? - spytał pułkownik.

-

Najpierw do Converse'a. Usiłuje zdobyć hasła.

Trzej wstrząśnięci generałowie Akwitanii, którzy siedzieli na krzesłach, wpatrywali się prosto przed siebie, unikając swojego wzroku. Zapalono światło i wyłączono wielki telewizor. Za każdym generałem stał uzbrojony mężczyzna, któremu wydano zwięzły rozkaz: "Jeśli wstanie, masz go zastrzelić 556

-

Zapewne domyślacie się już, panowie, czego chcę się od was dowiedzieć

- rzekł Converse, spacerując tam i z powrotem przed generałami. - Wyświetliłem przede mną filmy dowiodły wam także, iż nie ma sensu dłużej cokolwiek przede mną ukrywać. Chodzi o zapamiętane przez was czteroelementowe kombinacje cyfr i liter. W razie gdybyście jednak odmówili, mój lekarz jest podobno takim samym czarodziejem jak ten, który zajmował się mną w Bonn. Co wybieracie, panowie?

Milczenie.

-

Cztery, trzy, L, jeden - odezwał się Chaim Abrahms ze wzrokiem wbitym w podłogę. - To gówniarze - dodał cicho.

-

Dziękuję panu, generale. - Joel zapisał hasło w małym notesiku. - Jest pan wolny. Może pan już iść.

-

Iść? - spytał Izraelczyk wstając. - Dokąd?

-

Dokąd pan chce - odparł Converse. - Na pewno poradzi pan sobie na lotnisku w Annency. Rozpoznają pana.

Generał Chaim Abrahms opuścił pokój, eskortowany przez kapitana armii izraelskiej.

-

Dwa, M, zero, sześć - rzekł Erich Leifhelm. - W razie potrzeby chętnie poddam się weryfikacji w stanie uśpienia. Nie chcę mieć nic wspólnego z tymi zdradzieckimi świniami.

-

Potrzebuję jeszcze pańskiego sposobu na przełamanie blokady - nale gał Joel, pisząc. - I nie zawaham się zafundować panu rajskiej przejażdżki, żeby go zdobyć.

-

Wystarczy dokonać przestawienia - stwierdził Niemiec. - Proszę od wrócić kolejność symboli w drugiej kombinacji.

-

Oddaję go w pańskie ręce, doktorze. - Converse skinął głową do męż czyzny za krzesłem Leifhelma. - Z tym gagatkiem nie możemy pozwolić sobie na ryzyko.

Generał Erich Leifhelm, ongiś najmłodszy feldmarszałek Trzeciej Rzeszy, wstał i wyszedł powoli z pokoju wraz z lekarzem z Bonn.

-

Jesteście zaślepionymi nikczemnikami - odezwał się z królewskim spo kojem generał Jacques Louis Bertholdier. - Wolę zostać rozstrzelany.

-

Nie wątpię, lecz nie spotka pana ten zaszczyt - odparł Joel. - Nie po trzebuję już pana i chcę, żeby znalazł się pan z powrotem w Paryżu, na oczach wszystkich. Zaprowadzić go do jego pokoju.

-

Pokoju? Myślałem, że mogę odejść. Czyżby znów pan skłamał?

-

Bynajmniej. Mamy po prostu drobny problem logistyczny, niewątpliwie zrozumiały dla tak wybitnego stratega jak pan generał. Dysponujemy niewiele-ma środkami transportu i szoferami, toteż kiedy lekarz już skończy, pożyczę trzem panom samochód. Możecie ciągnąć losy o to, kto usiądzie za kierownicą.

-

Co takiego?!

-

Proszę go wyprowadzić - rzekł Converse do byłego sierżanta francuskiego korpusu ekspedycyjnego w Algierii.

557

-

Ruszaj się, vache!

Kiedy Bertholdier zmierzał do wyjścia, przypadkiem otworzyły się nim drzwi. W progu stanęła Valerie i spojrzała na Joela.

-

Dzwoni Stone. Mówi, że to pilne.

Pięć po drugiej nad ranem odrzutowiec typu Mystere zszedł z pułapu kur-sowego i wylądował na lotnisku dwanaście kilometrów od Cuxhaven w Niemczech Zachodnich.

Zatrzymał się na północnym krańcu pasa, gdzie koło czarnego mercedesa widać było majestatyczną sylwetkę Johnny'ego Reba z szopą siwych włosów na głowie.

Przez otwarte drzwiczki w kadłubie samolotu wysunięto składane schodki i z kabiny wyszedł Converse, trzymając za rękę Valerie. Podążał za nim były sierżant z Algierii oraz czwarty pasażer, szczupły, około czterdziestoletni blondyn w grubych brązowych okularach. Oddalili się od samolotu, a tymczasem pilot wciągnął automatycznie schodki i zamknął drzwi; przy narastającym ryku podwójnych silników odrzutowiec obrócił się w miejscu i potoczył się ku hangarom. Johnny ruszył w stronę przybyłych, wyciągając rękę do Joela.

-

Widziałem tu i ówdzie kilka pańskich fotografii i miło mi pana poznać.

Szczerze mówiąc, nie podejrzewałem, że się kiedykolwiek spotkamy, przynajmniej na tym świecie.

-

Sam się często zastanawiałem, jak długo jeszcze pożyję. Oto moja żona, Valerie.

-

Czuję się wielce zaszczycony - rzekł południowiec, podnosząc do ust dłoń Val i kłaniając się

szarmancko. - Pani osiągnięcia wzbudziły podziw kil ku najwybitniejszych specjalistów w mojej byłej profesji.

-

Mam nadzieję, że również obecnej - wtrącił Converse.

-Nie w tej chwili, synu.

-

Oto monsieur LeFevre i doktor Geoffrey Larson, informatyk. Słysza łem, że Stone wspominał panu o nich.

-

Cała przyjemność po mojej stronie, monsieur! - wykrzyknął Johnny, ściskając dłoń Francuza. - Jestem pełen podziwu dla waszych wyczynów z trze ma generałami. Coś nadzwyczajnego!

-

Tacy ludzie mają wrogów - odparł z prostotą LeFevre. - Inspektor Prudhomme łatwo ich odszukał. Żyjaw wielu miejscach i mają dobrą pamięć. Oby spali tej nocy spokojnie.

-

Oby - zawtórował Johnny i zwrócił się w stronę czwartego pasażera. -

Niezmiernie się cieszę, że mogę pana poznać, doktorze Larson. Jak rozumiem, jest pan jednym z najwybitniejszych specjalistów od komputerów, prawda.

-

To z pewnością przesada, choć rzeczywiście trochę się na nich znam -

odparł nieśmiało Anglik. - Spędzałem po prostu wakacje w Genewie.

Johnny, wytrącony z równowagi nagłą zmianą tematu, spojrział na Joela i wy bąkał: 558

- Przykro mi, że zepsuliśmy panu urlop, doktorze.

W ciągu długich lat podejmowania trudnych decyzji Peter Stone nie stał nigdy przed tak niebezpiecznym wyborem. Wystarczyło jedno fałszywe posunięcie, by Akwitańczycy dowiedzieli się, że planuje szturm na kompleks na wyspie ScharhOrn, po czym niewątpliwie wysadziliby go w

powietrze i kompletnie zniszczyli. Ze starej bazy paliwowej U-Bootów pozostałyby tylko poszarpane bloki betonu i stopy powyginanego żelastwa. Stone posłuchał swojej intuicji, wyostrzonej w ciągu długich lat pracy w świecie cieni. Do wykonania nadzwyczajnego zadania nie nadawały się żadne elitarne brygady komandosów ani oddziały specjalne, ponieważ każdy oficer sił zbrojnych kilku państw mógł okazać się członkiem Akwitanii.

Gdyby zatelefonował do swoich przełożonych, baza wyleciałaby natychmiast w powietrze. Ataku musieli dokonać wobec tego najemnicy, wynajęte szumowiny lojalne jedynie wobec aktualnie płacących mocodawców. Zdobycie listy członków Akwitanii było ostatnią szansą na sukces. Prezydent Stanów Zjednoczonych dał

Stone'owi dwanaście godzin, a później zamierzał zwołać nadzwyczajne posiedzenie Rady Bezpieczeństwa ONZ. Peter Stone prawie nie wierzył, że wypowiada takie słowa do najpotężniejszego męża stanu w wolnym świecie:

- To bezcelowe. Będzie już za późno.

Johnny skończył odprawę, nadal oświetlając latarką mapę rozłożoną na masce mercedesa.

-

Jak już wspomniałem, to oryginalne plany pochodzące z archiwum ko misji państw sprzymierzonych w Cuxhaven. Hitlerowcy byli nieprawdopodobnie pedantami. Domyślam się, że różni urzędnicy chcieli dowieść, że zasłu gują na swoje pensje i stanowiska. Przelecimy bez silników nad radarem morskim i wylądujemy na starym lotnisku, gdzie dostarczano niegdyś zapasy.

Później wykonamy zadanie. Ale pamiętajcie, ciągle pali się tam mnóstwo re flektorów i kręci sporo ludzi, choć znacznie mniej niż dwa dni temu. Mamy do pokonania kilka wysokich ścian, ale zabieramy paru chłopaków, którzy potra fią się posługiwać kotwiczkami.

-

Kto to taki? - spytał Converse.

-

Nie wpuściłby ich pan do swojej bawialni, przyjacielu. Pięciu najgor szych skurwysynów, jakich znam. Nie mają absolutnie żadnych zalet towarzy skich, ale są najlepsi.

-

Czym lecimy?

-Najlepszą maszyną do takich operacji. Szybowcem zwiadowczym marki Fairchild.

Zabiera dziewięciu pasażerów.

- I ma współczynnik doskonałości ślizgowej dziewięć do jednego na wysokości tysiąca dwustu metrów - stwierdził Joel. - Dobra, siadam za sterami.

559

Rozdział 41

Converse popchnął łagodnie ster, wyłączył silniki i skręcił w lewo nad niewielkim lotniskiem osiemset metrów stóp w dole. Pojawiało się ono od czasu do czasu między niskimi ławicami chmur nad Morzem Północnym, lecz Joel domyślał

się, że z wysokości stu pięćdziesięciu metrów ujrzy je wreszcie w całej okazałości. Zamierzał zatoczyć wówczas ostatni krąg i usiąść na pasie startowym, oddalając się od starej bazy U-Bootów, by ograniczyć do minimum hałas wywoływany przez potężne opony w trakcie hamowania. Trudno było wyobrazić sobie coś bardziej podobnego do lądowania na lotniskowcu, lecz Joel spostrzegł z satysfakcją, że ma absolutnie pewne ręce i jest całkowicie skoncentrowany.

Przewidywany lęk nie chciał się zmaterializować; był dziwnie nieobecny. Niepokój i gniew to oczywiście inna sprawa.

Valerie i LeFevre - pomimo gwałtownych sprzeciwów Francuza - pozostali na opuszczonym moło w Cuxhaven, gdzie Reb zainstalował prymitywną, lecz sprawną stację przekaźnikową. Valerie porozumiewała się przez krótkofalówkę z Johnnym albo Converse'em, a były sierżant z Algierii stał na straży, nie wpuszczając nikogo na moło. O pięciu najemnikach wynajętych przez Johnny'ego Reba za znaczne sumy pieniędzy trudno było cokolwiek powiedzieć, bo prawie się nie odzywali i nosili czarne wełniane czapki nasunięte głęboko na oczy oraz wysokie czarne golfy pod samą brodę. Joel i brytyjski specjalista od komputerów, Geoffrey Larson, otrzymali takie same ubiory; Johnny przywiózł swój w bagażniku mercedesa. Wszyscy z wyjątkiem Larsona uzbrojeni byli w pistolety z tłumikami w długich kaburach. Na czarnych skórzanych pasach wisiał po lewej stronie długi nóż myśliwski, a obok pętla cienkiego drutu. Na plecach, powyżej nerek, przymocowano klamerkami po dwa zbiorniczki gazu paraliżującego, który czynił

ofiary bezsilnymi i niemymi. To, że wszyscy, nie wyłączając niemłodego już Johnny'ego Reba, noszą swój ekwipunek z taką niedbałą pewnością siebie, sprawiło, że Converse poczuł się trochę nie na miejscu, choć skupienie najemników przy studiowaniu planów bazy oraz ich treściwe sugestie na temat sposobu dostania się do środka i dalszych działań przekonały go także, iż Johnny wynajął właściwych ludzi.

Joel zatoczył powoli ostatni krąg nad zaciemnioną bazą U-Bootów, podchodząc łagodnie do lądowania. Wpatrywał się jednocześnie w pas startowy majaczący w oknie kabiny oraz w

wysokościomierz. Otworzył klapy i wysunął podwozie. Balonowe opony złagodziły gwałtowny wstrząs przy zetknięciu kół z betonem. Lądowanie.

-

Jesteśmy na dole - powiedział do mikrofonu Johnny Reb. - I przy pewnej dozie szczęścia staniemy, prawda, synu?

-

Staniemy - odparł Converse.

Szybowiec zatrzymał się zaledwie dwanaście metrów od końca pasa. Zdyszany Joel zdjął wełnianą czapkę; czoło i włosy pokrywał mu kroplisty Pot.

560

-

Wysiadamy. - Johnny wyłączył krótkofalówkę i przycisnął ją do swojej piersi; przywarła do niej w tajemniczy sposób. - Prawda, zapomniałem - do dał na widok pytającego spojrzenia Converse'a. - Swetry są pokryte specjalną substancją.

-

Jesteś specem od niespodzianek.

-

Ty też masz ich wiele na swoim koncie. No dobra, idziemy na rekiny, synu.

Johnny Reb i Joel otworzyli drzwiczki po obydwu stronach kabiny, po czym wygramolili się z szybowca wraz z Larsonem i pięcioma najemnikami; trzej nieśli nagumowane kotwiczki ze zwojami liny. Drugi mężczyzna, który milczał jak grób podczas całej odprawy, stanął na wprost Converse'a i ku jego zdziwieniu rzekł

doń z amerykańskim akcentem:

-

Jestem lotnikiem i miałem pilotować samolot. Cieszę się, że mam to z głowy. Jest pan naprawdę dobry.

-

Gdzie pan latał? W jakiej firmie?

-

Powiedzmy, że w mało znanej linii peruwiańskiej. Piękne krajobrazy w drodze na Florydę.

-

Idziemy! - rozkazał Johnny, ruszając ku krzakom rosnącym wokół lotniska.

Czołgali się po trawie ku wysokim murom starej bazy U-Bootów, spoglądając na jej mroczną sylwetkę. Converse'a uderzył przeraźliwy ogrom betonowej konstrukcji.

Baza, otoczona nieprzebytymi murami, przypominała średniowieczną fortecę bez baszt. Jedyna przerwa w murze znajdowała się po lewej stronie, naprzeciwko lotniska. W świetle księżyca widać tam było dwie złowieszcze dwuskrzydłowe bramy pokryte grubymi płytami pancernymi. One także wydawały się nie do przebycia.

-

To historyczna baza - szepnął Johnny Reb. - O jej istnieniu nie miała pojęcia połowa niemieckiego naczelnego dowództwa, nie wspominając nawet o

aliantach. To prywatna forteca Doenitza. Podobno zamierzał ją wykorzystać jako argument przetargowy, gdyby Hitler nie przekazał mu władzy.

-

Chciano użyć jej także w innym celu - odrzekł Converse, przypominając sobie niewiarygodną opowieść Leifhelma o stworzeniu Czwartej Rzeszy pokolenie po wojnie. Operation Sonnenkinder.

Jeden z najemników niosących kotwiczki podczołgał się do Johnny'ego i

odezwał się doń po niemiecku. Południowiec zrobił kwaśną minę i odpowie dział gniewnym tonem, lecz w końcu skinął potakująco głową i mężczyzna oddalił się. Johnny zwrócił się w stronę Joela.

-

A to pierdolony sukinsyn! - szepnął z wściekłością. - Ale mnie wykiwał! Powiedział, że pójdzie przodem na wschodniej flance (nie ma tego w kontr akcji, ale z góry się do tego szykował), jeśli zapłacę mu dodatkowo pięć tysięcy cy dolarów!

- I oczywiście zapłacisz.

-

Jasne. Mamy swój honor. Jeśli zginie, jego żona i dzieci dostaną wszyst ko co do grosza. Znam tego

przez grupę Meinhof. Wspiął się po elewacji na ósme piętro, spuścił szybem windy, wywalił kopniakiem drzwi i spokojnie wystrzelał tych skurwysynów ze swojego uzi.

-

Nie wierzę - szepnął Converse.

-

A powinieneś - odparł cicho Johnny, spoglądając na Joela. - Robimy to, bo nikt inny nie chce, a ktoś przecież musi. Może jesteśmy draniami, synu ale pracujemy też dla aniołów, oczywiście za odpowiednie honorarium.

Rozległ się cichy świst rzuconej nagumowanej kotwiczki, która zaczepiła o

szczyt muru. Lina się naprężyła. Po chwili jeden z czarno ubranych najemni ków zaczął wspinać się po niej, opierając się nogami o ciemną ścianę. Dotarł

do szczytu, przerzucił na drugą stronę lewą rękę i prawą nogę, wgramolił się na betonową półeczkę i położył się na niej na brzuchu. Nagle kiwnął dwukrotnie lewym ramieniem, dając jakiś znak. Uniósł się nieco, sięgnął dłonią po pistolet i wyciągnął go powoli z kabury.

Rozległo się ciche pyknięcie i znów zapadła cisza. Najemnik uniósł ponownie lewe ramię. Drugi sygnał.

Dwaj mężczyźni zerwali się na równe nogi, podbiegli po trawie do muru, zatrzymali się pod nim, zakręcili kotwiczkami i wyrzucili je do góry, aż zaczepiły o krawędź po obu stronach pierwszej, po czym wspięli się błyskawicznie śladem kolegi. Joel wiedział, że teraz kolej na niego; ustalono, że wdrapie się po linie, jeśli będzie w stanie, a solennie to sobie przyrzekł. Wstał i dołączył

do pozostałych dwóch mężczyzn wynajętych przez Johnny'ego Reba; amerykański pilot, z którym rozmawiał, wskazał mu środkową linę. Joel chwycił ją i

zaczął z mozołem wspinać się na mur.

Podstarzały Johnny Reb i szczupły naukowiec Geoffrey Larson mieli posłużyć się linami tylko w ostateczności. Południowiec sam przyznał, że może nie umieć tego zrobić, a specjaliści od komputerów nie wolno było narażać na zranienie.

Ostatnie kilkanaście centymetrów pomógł pokonać obolałemu Converse'owi jego niemiecki towarzysz.

-

Wciągnij linę! - szepnął rozkazująco z wyraźnym obcym akcentem. -

Spuść ją powoli na drugą stronę i zaczep kotwiczkę.

Joel wykonał polecenie i zobaczył po raz pierwszy wewnątrz dziwnej twierdzy oraz leżącego pod murem martwego strażnika w mundurze, z krwią ciekącą ze środka czoła po niewiarygodnie celnym strzale. W świetle księżyca widać było w dali ogromne doki oraz betonowe nabrzeża z gigantycznymi dźwigami i czarnymi pompami, dawno nieużywanymi relikami wojennej przeszłości. Na wprost doków i oceanu stało półkolem pięć parterowych betonowych budynków o małych okienkach. W

pierwszych dwóch paliły się słabe światła. Budynki połączono cementowymi ścieżkami, a do środkowych, wzniesionych nieco nad powierzchnią ziemi, prowadziły szerokie schody: były to niewątpliwie kwatery oficerów, dowódców stalowych kolosów grasujących w głębinach Atlantyku, morderców w imię zbrodniczej ideologii.

562

U podnóża muru, z którego zwisały w tej chwili trzy liny, znajdowały się jeszcze szersze stopnie prowadzące w górę na betonową platformę. Rozciągał się przed nią plac o szerokości około sześćdziesięciu metrów, kończący się na tyłach budynków naprzeciwko doków. Plac apelowy, pomyślał Converse, wyobrażając sobie rzędy marynarzy łodzi podwodnych, którzy słuchali na baczność rozkazów i upamięń swoich oficerów, przygotowując się do ponownego zejścia w głębinę i do krwawych łowów na statki.

-

Za mną! - powiedział cicho Niemiec, trącił Joela w ramię, chwycił linę i zjechał na betonową platformę w dół. Jeden po drugim podążyli za nim czterej pozostali najemnicy. Converse przewrócił się na bok na szczycie muru, ujął dłońmi linę i również zsunął się na dół, choć nie tak zręcznie jak zawo dowcy.

Dwaj najemnicy po lewej stronie Joela popędzili w ciszy przez platformę i zbiegli po schodkach ku olbrzymiej stalowej bramie. Dwaj po prawej, jakby podążając za głosem instynktu, ruszyli w przeciwnym kierunku, zeszli na dół i przyczaili się pod platformą z wyciągniętymi pistoletami. Converse, idący za Niemcem, dołączył szybko do dwóch mężczyzn koło bramy. Obaj przyglądali się bacznie zasuwom, płytom pancernym i skomplikowanemu zamkowi, przyświecając sobie małą latarkami.

-

Możecie go rozpruć - rzekł Amerykanin. - Jest czysty.

-

Na pewno? - spytał Joel. - Podobno wszędzie są instalacje alarmowe.

-

Fotki są tam - wyjaśnił drugi pilot, wskazując niskie betonowe murki po obydwu stronach placu apelowego.

-

Fotki?

-

Fotokomórki. Przecinające się promienie.

-

Czyli nie ma psów - rzekł Niemiec, kiwając głową. - Keine Hunde.

Sehr gut!

Czwarty najemnik wpychał do środka zamka kawałki miękkiej substancji podobnej do kitu; na koniec rozsmarował ją nożem. Później wyjął z kieszeni niewielki krążek wielkości co najwyżej pięćdziesięciocentówki, przylepił nad zamkiem kolejną warstwę substancji i wbił w nią monetę.

-

Odsuńcie się - rozkazał.

Converse patrzył jak zahipnotyzowany. Nie rozległa się żadna eksplozja, wszystko odbyło się w zupełnej ciszy. Na obudowie zamka załśnił błękitnobiały płomień, którego straszliwy żar zaczął topić stal. Wreszcie coś szczęknęło kilkakrotnie, a Amerykanin odsunął szybko potrójne zasuwę. Otworzył prawe skrzydło bramy i mrugnął latarką na zewnątrz. Po chwili do tajemniczego kompleksu wkroczyli Johnny Reb i Geoffrey Larson.

-

Fotki - rzekł do Johnny'ego Amerykanin. - Są wzdłuż tych dwóch murków, widzisz? - dodał, pokazując ręką.

-

Tak - odparł południowiec. - A to znaczy, że czeka nas później trochę strzelaniny. W porządku, chłopcy, czołgamy się. Trzeba kręcić dupą, szorując brzuchem po betonie.

Sześciu mężczyzn przy bramie dołączyło do dwóch najemników skulonych przed platformą. Johnny szepnął coś po niemiecku i zwrócił się do Larsona:

-

Mój drogi angielski przyjacielu, chcę, żeby pozostał pan w tym miejscu aż my, zawodowcy, damy panu znak, że droga wolna. - Spojrzał na Joela. -

napewno chcesz iść?

-

Nawet nie zamierzam ci odpowiadać. Chodźmy.

Czterej mężczyźni, prowadzeni przez Niemca, który wzbogacił się niedawno o pięć tysięcy dolarów, zaczęli się czołgać przez dawny plac apelowy Tamując dech w piersiach, drąc spodnie, kalecząc kolana i ręce o szorstki spękany beton, posuwali się powoli do przodu. Niemiec skierował się w stronę przerwy między drugim a trzecim budynkiem licząc od prawej. Znajdowała się tam betonowa ścieżka z kilkoma niskimi stopniami po lewej. Najemnik doczołgał się do otwartej przestrzeni i wstał.

Wtem strzelił palcami, dość cicho, lecz wystarczająco głośno. Cała grupa szturmowa zastygła natychmiast w bezruchu pod krzyżującymi się promieniami fotokomórek. Converse przekręcił głowę, usiłując coś zobaczyć. Niemiec przykucnął w cieniu, gdy nagle pojawił się mężczyzna, strażnik z karabinem zarzuconym na ramię. Wyczuwając czyjąś obecność, rozejrzał się szybko dokoła; w tejże chwili Niemiec rzucił się nań z mroku i jego długi nóż zatoczył w powietrzu szeroki łuk. Joel zamknął oczy, a gwałtowny świst wydychanego powietrza powiedział mu więcej, niż chciał wiedzieć.

Najemnicy znów ruszyli do przodu i dotarli do cementowej ścieżki. Converse był

złany potem. Spojrzał na morze rozciągające się za dokami U-Bootów i ogarnęło go straszliwe pragnienie zanurzenia się w wodzie. Z krótkiej zadumy wyrwał go Johnny, który trącił go w łokieć i dał znak, że Joel również powinien wyjąć z kabury pistolet. Południowiec przejął tymczasem prowadzenie. Podczołgał się do drugiego budynku i skręcił w prawo, ku oświetlonym oknom. Nagle strzelił

palcami; wszelki ruch ustał i mężczyźni przywarli do ziemi. Po lewej, na skraju ogromnego nabrzeża, żarzyły się płomyki papierosów i słychać było cichą rozmowę trzech mężczyzn, strażników z karabinami.

Jakby wypełniając czyjś niemy rozkaz, od grupy odłączyło się trzech spośród pięciu najemników zwerbowanych przez Johnny'ego (Converse nie zdołał ich rozpoznać), którzy poczołgali się szerokim łukiem ku przeciwnej stronie nabrzeża. Około półtorej minuty później (było to najdłuższe półtorej minuty w życiu Joela) szum morskiej bryzy rozproszyła przytłumiona salwa wystrzałów.

Późniejsze dźwięki były minimalne: odgłos rąk chwytających się za głowy i ciała

padających na beton. Najemnicy wrócili i Johnny skinął na nich, by ruszyli do przodu; przepchnęli się koło Converse'a, zmuszając go do pozostania na końcu.

Doczłgali się do jednego oświetlonego okienka w drugim budynku. Johnny wstał i zajrzał ostrożnie do środka. Odwrócił się i pokręcił głową, a grupa ruszyła dalej.

564

Dotarłszy do otwartej przestrzeni między pierwszym a drugim budynkiem, najemnicy zaczęli przebiegać ją po kolei, kucając przy narożniku i znów pędząc do przodu.

Przyszła kolej na Joela, który ukląkł, a później wstał.

-

Horst? Bist das du? - spytał szorstko mężczyzna, który wyszedł przez drzwi i ruszył cementową ścieżką.

Converse stał bez ruchu. Reszta grupy znajdowała się już za narożnikiem, a głos intruza zagłuszyły fale rozbijające się z hukiem o dalekie skały. Joel usiłował

nie wpadać w panikę. Został sam i mógł doprowadzić do fiaska operacji, wysadzenia bazy w powietrze, śmierci wszystkich łącznie z Connalem Fitzpatrickiem, jeśli młody komandor znajduje się rzeczywiście na wyspie.

-

Ja - usłyszał swój własny głos, odwrócił się, kryjąc twarz w mroku, i sięgnął prawą ręką po ostry jak brzytwa nóż myśliwski. Było zbyt ciemno, by posłużyć się pistoletem.

-

Warten Sie einen Augenblick! Sie sind nicht Horst!

Joel wzruszył ramionami i czekał. Usłyszał zbliżające się kroki i ktoś szarpnął

go za ramię. Obrócił się, ściskając rękojeść noża z taką siłą, że prawie uniemożliwiło mu to wykonanie swego strasznego planu. Chwycił mężczyznę za włosy i jednym zamaszystym cięciem poderznął mu gardło od ucha do ucha.

Zbierało mu się na wymioty, lecz odciągnął strażnika w mroczny kąt; prawie odciął mu głowę od korpusu. Przebiegł otwartą przestrzeń i dołączył do grupy.

Nikt nie zauważył jego nieobecności. Najemnicy zaglądali po kolei do czterech oświetlonych okien. Koło pierwszego stał Johnny, wskazując prędko w różnych kierunkach, co oni przyjmowali krótkimi skinieniami głowy. Wydawano rozkazy, przygotowując błyskawiczny atak. Converse zajrzał do ostatniego okna i zrozumiał, dlaczego Johnny musi się śpieszyć. W pokoju znajdowało się dziesięciu strażników w wojskowych mundurach, jakich nie nosiła żadna armia świata.

Przypinali do pasów broń, spoglądali na zegarki i rozgniatali papierosy w popielniczkach. Później zaczęli sprawdzać magazynki w groźnie wyglądających pistoletach maszynowych. Kilku roześmiało się głośno, jakby pokpiwali sobie z innych. Joel nie rozumiał ani słowa. Odsunął się ukradkiem od okna i podszedł do Johnny'ego.

-

Idą na patrol, tak? - spytał szeptem Converse.

-

Nie, synu - odparł południowiec. - To pluton egzekucyjny. Otrzymali przed chwilą rozkazy.

-

Mój Boże!

-

Pójdziemy za nimi, kryjąc się w ciemności. Może mimo wszystko odnajdziesz jeszcze swojego kumpla Fitzpatricka.

Następne minuty miały w sobie coś obłądnie kafkowskiego. Dziesięciu strażników wyszło gęsiego przez drzwi od strony drugiego budynku. Nagle Plac apelowy zalało światło reflektorów, gdyż na czas przemarszu wyłączono fotokomórki. Ku czwartemu budynkowi pobiegło dwóch mężczyzn z pistoletami maszynowymi w rękach; otworzyli ciężkie drzwi zamknięte na zamek i zasuwę, po czym wpadli do środka, zapalając światło i wykrzykując rozkazy.

565

-

Aufwachen! Aufstehen! Raus antreten! Macht schnell! Eilt euch!

Po chwili na plac zaczęli wychodzić wychudzeni jak szkielety więźniowie w kajdanach i podartej odzieży, zataczając się i mrużąc oczy przed oślepiającym światłem. Niektórych, prawie niezdolnych utrzymać się na nogach wspierali silniejsi towarzysze. Dziesięciu, dwudziestu, dwudziestu pięciu, trzydziestu dwóch, czterdziestu, czterdziestu trzech. Zamierzano rozstrzelać czterdziestu trzech więźniów Akwitanii! Prowadzono ich ku betonowej ścianie naprzeciwko platformy na krańcu placu.

Joel miał wrażenie, że oszalały tłum więźniów ogarnęła histeria. Skazańcy stojący najbliżej dwóch strażników z pistoletami maszynowymi uderzyli ich nagle kajdanami w zdumione twarze, pozostali zaś rozpierzchli się we wszystkie strony.

Rozległy się strzały, trzech więźniowie upadli i zaczęli się wić na betonie.

Pluton egzekucyjny podniósł broń.

-

Naprzód, pierdoleni łowcy rekinów! - krzyknął Johnny, a najemnicy włączyli się jak jeden mąż do walki, strzelając w biegu z pistoletów, których przytłumione pyknięcia mieszały się z ogłuszającym hałasem normalnej broni. Po niespełna dwudziestu sekundach było po wszystkim. Dziesięciu Akwi-fańczyków leżało na ziemi. Sześciu nie żyło, trzech było rannych, a jeden jęczał, dygocząc ze strachu. Dwóch członków grupy szturmowej odniosło lekkie draśnięcia -

amerykański pilot i jeszcze jeden najemnik.

-

Connal! - ryczał Joel, biegnąc w kółko wśród więźniów, spostrzegłszy z ulgą, że większość się rusza. - Fitzpatrick! Gdzie jesteś, do cholery?!

-

Tutaj, poruczniku - rozległ się słaby głos po prawej stronie. Joel przecisnął się między leżącymi i uklęknął koło wychudzonego, brodatego prawnika wojskowego. - Nie śpieszyłeś się z przybyciem tutaj - ciągnął komandor - ale cóż, młodszy oficerowie to często fajtłapy.

-

Co tu się działo?- spytał Converse. - Zamierzali was wszystkich rozstrzelać!

-

Właśnie po to nas wyprowadzili, nie? Wczoraj wieczorem powiedzieli nam to bez ogródek, więc pomyśleliśmy sobie: co to, do licha, za różnica?!

-

Ale dlaczego chcieli zabić właśnie was?!

-

Zastanawialiśmy się nad tym i do niczego nie doszliśmy. Wiemy tylko jedno: wszyscy jesteśmy starszymi oficerami na trzydziesto-i czterdziesto dniowych urlopach, większość na wakacjach. Co to może znaczyć?

-

Chcieli utrudnić śledztwo, gdyby ktoś zaczął coś podejrzewać. Grupy terrorystyczne liczą dziewięćdziesięciu siedmiu ludzi i wszyscy przebywają na wakacjach. Stanowicie około pięćdziesięciu procent tej liczby i prawdopodobnie jesteście zupełnie czysti. Byłeś dla nich darem niebios i ocaliło ci to życie.

Nagle Connal obrócił gwałtownie głowę w lewo. Z piątego budynku wybiegł mężczyzna i popędził betonową ścieżką.

-

To strażnik! - krzyknął Fitzpatrick na cały głos. - Zatrzymajcie go! Jeśli wejdzie do drugiego baraku, wysadzi wszystko w powietrze!...

566

Joel zerwał się z miejsca i pognął z pistoletem w ręku za biegnącym strażnikiem, nie zważając na ból w nogach. Mężczyzna dotarł już do środkowej części trzeciego budynku i od drzwi drugiego dzieliło go niespełna trzydzieści kroków. Converse strzelił, lecz spudłował i kula odbiła się rykoszetem od stalowej framugi okna.

Strażnik dobiegł do drzwi, otworzył je gwałtownie i zatrzęsął za sobą. Joel popędził ku nim i grzmotnął całym ciężarem ciała w grube drewno. Drzwi puściły, uderzając z trzaskiem o mur. Strażnik biegł ku metalowej szafce w ścianie; Converse zaczął strzelać do niego jak szalony. Mężczyzna, ranny w nogę, odwrócił

się i otworzył szafkę, odsłaniając tablicę rozdzielczą. Wyciągnął rękę ku rzędowi dźwigni. Joel rzucił się na niego, chwycił go za ramię i rąbnął jego głowę o kamienną posadzkę.

Dysząc ciężko, odczołgał się od strażnika; ręce lepiły mu się od ciepłej krwi, a na podłodze leżał pistolet z opróżnionym magazynkiem. Przez drzwi wpadł jeden z najemników.

-

Dobrze się pan czuje? - spytał po angielsku z cudzoziemskim akcentem, którego Joel nie potrafił rozpoznać.

-

Znakomicie - odparł słabo Converse, walcząc z mdłościami.

Najemnik przeszedł koło Joela i ruszył ku tablicy rozdzielczej, zerkając na nieruchomą postać na podłodze. Przyjrzał się przełącznikom i wyciągnął z kieszeni niewielkie wieloczynnościowe narzędzie. Odkręcił śruby mocujące metalową obudowę tablicy, po czym, posługując się inną częścią instrumentu, jął

przecinać miedziane kable prowadzące do dźwigni.

-

Niech się pan nie martwi - oznajmił po zakończeniu pracy. - Jestem najlepszym saperem w Norwegii. Nie ma obawy, żadna świnia nie narobi nam już kłopotów. Chodźmy, zostało jeszcze dużo pracy. - Zatrzymał się nad Converse'em. - Uratował nam pan życie. Zapłacimy.

-

Nie potrzeba - odparł Joel wstając.

-

Taki mamy zwyczaj - rzekł saper i ruszył w stronę drzwi.

Na placu apelowym siedzieli pod ścianą więźniowie Akwitanii, z wyjątkiem pięciu, których ciała przykryto prześcieradłami, pochodzącymi zapewne z jednego z budynków. Converse podszedł do Fitzpatricka.

-

Zginęli - odezwał się smutno komandor.

-

Pomyśl o rzeczach, w które wierzysz, Connal - rzekł Joel. - Może brzmi to banalnie, ale po prostu nie przychodzi mi do głowy nic innego.

-To wystarczy. - Fitzpatrick spojrział na Converse'a, uśmiechając się blado. -

Dzięki, żeś mi przypomniał. Idź do nich. Jesteś tam potrzebny.

-

Larson! - zawołał Johnny Reb, stając nad przerażonym strażnikiem, który nie odniósł ran. - Może pan już przyjść!

Anglik o wyglądzie naukowca przekroczył z wahaniem stalową bramę prowadzącą na lotnisko i wszedł w światła reflektorów. Zbliżył się do Johnny'ego, rozglądając się z przerażoną i skonsternowaną miną po placu apelowym.

-

Wielki Boże! - zawołał.

567

-

Trafnie pan to określił - odparł południowiec, gdy tymczasem z piątego budynku wypadło dwóch członków grupy szturmowej - Coście znaleźli?! -

krzyknął.

-

Siedmiu innych! - zawołał jeden z mężczyzn. - Zamknęli się w wy.

chodku, czyli tam, gdzie ich miejsce!

-

Słuchajcie! - krzyknął do nich Larson. - A nie było wśród nich kompu terowca?

-

Nie pytaliśmy, mein Herr.

-

To wróćcie i spytajcie! - rozkazał Johnny. - Nie mamy już czasu! - Zwrócił się do Converse'a. - Rozmawiałem przez radio z pańską żoną. Podobno w Izraelu i w Rzymie dzieją się koszarne rzeczy; niektóre grupy terrorystów wyknęły się ludziom Stone'a. Demonstracje zaczęły się godzinę temu i już zamordowano dwunastu urzędników państwowych. W Jerozolimie i Tel Awiwie tłumy domagają się przekazania władzy Abrahamsowi. W Rzymie policja nie potrafiła opanować zamieszek i paniki; do akcji wprowadzono wojsko.

Joel poczuł ostry, pusty ból w piersi i spostrzegł nagle pierwszy brzask wstający za murami. Nadszedł dzień Akwitania i zaczęło się zabijanie. Na całym świecie.

-

O Boże! - szepnął bezsilnie.

-

Gdzie komputer, chłopcze?! - ryknął Johnny, przykładając lufę pistole tu do skroni strażnika

siedzącego na ziemi. - Nie masz wyboru, rekinie!

-

Baracke vier!

-

Danke! To w czwartym budynku. Chodźmy, panie doktorze! Szybko!

Ogromne, supernowoczesne urządzenie znajdowało się w klimatyzowanej sali, zajmując całą długość pięciometrowej ściany. Zapoznanie się z nim zajęło Larsonowi dziewięć długich minut; położywszy przed sobą na pulpicie notatnik Joela. kręcił pokrętłami, naciskał klawisze i przerzucał przełączniki.

-

Szpule wewnętrzne są zablokowane - oznajmił w końcu. - Można je zwolnić tylko znając hasło.

-

O czym pan, do cholery, gada?! - wrzasnął Johnny.

-

Istnieje tajne hasło, które należy wprowadzić do komputera, żeby zwolnić sprężyny blokujące szpule. Właśnie dlatego pytałem, czy nie ma tu gdzieś programisty.

Zahuczała krótkofalówka Johnny'ego, a Converse zerwał mu ją z piersi.

-

Val?!

-

Wszystko w porządku, kochanie?!

-

Tak. Co się dzieje?!

-

Słuchałam radia francuskiego. W Pałacu Elizejskim eksplodowały bomby. Zastrzelono dwóch deputowanych jadących na poranne wiece. Rząd wezwał wojsko.

-

Boże! Bądź z nami w kontakcie!

Do pokoju weszli dwaj członkowie grupy szturmowej, prowadząc między sobą mężczyznę.

568

-

Nie chciał się przyznać, czym się zajmuje - rzekł najemnik po lewej. -

Ale jak postawiliśmy ich pod ścianą, pozostali okazali się mniej tajemniczy.

Johnny podszedł do technika i chwycił go za gardło, lecz Joel rzucił się do przodu z nożem myśliwskim w ręku i odepchnął południowca na bok.

-

Wiele przeszedłem przez was, skurwysynów! - rzekł, podnosząc za krwawione ostrze. - Ale teraz to już koniec! - wbił czubek noża w nozdrze mężczyzny; programista wrzasnął, z twarzy trysnęła mu krew, spływając na brodę. Converse znów uniósł nóż i przytknął czubek do spojówki prawego oka Akwitańczyka. - Hasło albo wbiję!

-

Zwei, eins, null, funf! - znów wrzasnął technik.

-

Niech pan koduje! - zawołał Joel.

-

Szpule są wolne! - rzekł Anglik.

-

Teraz czteroelementowe kombinacje! - krzyknął Converse, popychając Niemca z powrotem w ręce najemników.

Wszyscy spojrzeli ze zdumieniem na zielone litery na czarnym monitorze. Ukazała się na nim długa lista nazwisk wraz ze stopniami wojskowymi i stanowiskami.

Larson wcisnął klawisz drukarki, z której zaczął wypływać niekończący się wąż papieru z setkami nazwisk.

-

To nic nie da! - zawołał Joel. - Nie możemy przekazać niczego na zewnątrz!

-

Niech pan nie będzie takim mamutem, przyjacielu - powiedział Anglik, wskazując dziwny aparat telefoniczny na pulpicie. - To znakomite urządzenie. Po niebie krążą satelity telekomunikacyjne i mogę przesłać te dane każdemu, kto dysponuje kompatybilnym sprzętem. Żyjemy w epoce techniki, a nie żaglowców.

Zdumiony świat obserwował nagłą falę zamachów i krwawych ataków terrorystycznych. Ludzie domagali się głośno wprowadzenia rządów silnej ręki i położenia kresu barbarzyństwu, które przemieniło miasta w pola chaotycznych bitew. Przerażeni, podzieleni mieszkańcy razili się kamieniami, gazem, a na koniec kulami, gdyż sami zaczęli padać od kul. Niewielu potrafiło powiedzieć, kim są wrogowie, toteż wrogiem stawał się każdy atakujący, a tacy pojawiali się wszędzie, otrzymując rozkazy z zakonspirowanych punktów dowodzenia. Policja okazała się bezsilna; wprowadzono do akcji oddziały paramilitarne, lecz wnet stało się jasne, że ich dowódcy są całkowicie nieudolni. Sytuacja wymknęła się spod kontroli; anarchię należało zwalczać skuteczniejszymi środkami. Ogłoszono stan wyjątkowy. Na całym świecie. Władzę przejęło wojsko. Na całym świecie.

Generał armii w stanie spoczynku George Marcus Delavane, przypięty skórzanymi pasami do wózka inwalidzkiego w swoim domu w Pało Alto 569

w Kalifornii, obserwował wybuchy masowej hysterii na trzech telewizorach jednocześnie. Ekran po lewej zgasł nagle; przedtem rozległy się krzyki ekipy wozu transmisyjnego, która zginęła obrzucona granatami. Na środkowym ekranie płakała spikerka dziennika; prawie nie panując nad głosem, czytała tragiczne doniesienia o krwawych incydentach i setkach ofiar. Odbiornik po prawej pokazywał pułkownika piechoty morskiej, z którym przeprowadzano wywiad na barykadach ulicznych w rejonie Wall Street w Nowym Jorku. Trzymając w ręku służbowego colta kaliber 45, usiłował odpowiadać na pytania i wydawał krzykiem rozkazy podwładnym. Ekran po lewej ożył nagle; pojawił się na nim znany komentator telewizyjny, który spoglądał szklistym wzrokiem w kamerę. Starał się coś mówić drętym głosem, lecz nie mógł; obrócił się w fotelu i wymiotował pod stół, a tymczasem na wizji ukazał się niczego niepodejrzewający depešowiec, który wrzeszczał do telefonu: "A to pierdolone skurwysyny! Co się dzieje, kurwa mać?!" Po jego twarzy również ciekły łzy; później uderzył kilkakrotnie pięścią w biurko, objął głowę rękoma i zaczął łkać spazmatycznie. Wreszcie ekran znów ściemniał.

Na wargach Delavane'a pojawił się lekki uśmiech. Generał sięgnął zniechęcony po dwa piloty, wyłączył oba skrajne odbiorniki i skupił uwagę na środkowym. Na ekranie widać było generała brygady w hełmie, wkraczającego do sali pełnej dziennikarzy gdzieś w Waszyngtonie. Wojskowy zdjął hełm, wszedł na mównicę i rzekł chrapliwie do mikrofonu:

-

Zamknęliśmy wszystkie drogi prowadzące do Waszyngtonu i chciał

bym w tej chwili ostrzec osoby nieupoważnione, iż każda próba przekroczenia naszych posterunków spotka się z natychmiastową ripostą. Moje rozkazy są krótkie i jasne. Strzelać bez uprzedzenia. Działam na mocy specjalnych pełno mocnictw udzielonych mi przez przewodniczącego Izby Reprezentantów pod nieobecność prezydenta i wiceprezydenta, którzy odlecieli ze stolicy ze względów bezpieczeństwa. W związku z proklamowaniem bezterminowego stanu wojennego cała władza znajduje się obecnie w rękach armii.

Delavane wyłączył telewizor i uniósł dłoń w geście tryumfu.

-

Udało się, Paul! - rzekł do umundurowanego adiutanta stojącego koło dziwnej mapy politycznej świata na ścianie. - Nawet nędzni pacyfiści nie protestują przeciwko stanowi wojennemu! A jeśli się ośmielą...

Przywódca Akwitanii uniósł prawą dłoń z wysuniętym palcem wskazującym i sterczącym kciukiem, po czym ją naśladować strzały z pistoletu.

-

Tak, udało się - przytaknął adiutant, otwierając szufladę biurka Delavane'a.

-

Co pan robi?

-

Przykro mi, panie generale. To niestety konieczne - odparł adiutant, wyjmując magnum kaliber 357.

Jednakże nim zdołał je unieść, Delavane wyszarpnął lewą rękę spod poduszki wózka inwalidzkiego. Trzymał w niej pistolet automatyczny z krótką, lufą. Strzelił

szybko cztery razy, krzyząc:

570

- Myślałeś, że się tego nie spodziewam?! Świnia! Tchórz! Zdrajca! Sądziłeś, że wam ufam?! Te wasze spojrzenia, te szeptki w korytarzach! Nie jesteście w stanie znieść myśli, że nawet bez nóg jestem od was lepsi! Teraz już się o tym przekonałeś, ty świnio! A wkrótce przekonają się również inni, bo kazałem ich zabić! Rozstrzelać za zdradę twórcy Akwitanii!... Uważasz się za godnego

zaufania?! Wszyscy próbowaliście osiągnąć to co ja, i nie byliście w stanie!

Adiutant upadł na ścianę i osunął się po dziwacznej mapie. Dysząc ciężko, z krwią ciekącą z szyi, patrzył rozszerzonymi oczyma na szalejącego generała.

Zebrał ostatnie resztki sił, uniósł ogromne magnum, nacisnął spust i skonał.

Strzał odrzucił George'a Marcusa Delavane'a na drugą stronę pokoju. W jego piersi ziała wielka krwawa dziura, a wózek inwalidzki zawirował i przewrócił się na bok z martwym pasażerem przypiętym pasami.

Nikt nie wiedział, jak to się stało, lecz jakimś cudem strzelanina zaczęła stopniowo przycichać. W miastach pojawili się żołnierze w mundurach; pędzili ulicami, wpadali do budynków i występowali przeciwko swoim dowódcom. Spoglądali z gniewem i odrazą na pyszne, aroganckie twarze przełożonych. Akwitańczycy byli nieubłagani. Słuszność stoi po naszej stronie! Czy niczego nie rozumiecie?! W

wielu wypadkach konfrontacje kończyły się śmiercią, gdy aresztowani odmawiali poddania się lub przegryzali kapsułki z cyjankiem.

W Pało Alto w Kalifornii odnaleziono zwłoki legendarnego generała. Delavane zginął od kuli, lecz zdołał wcześniej zabić mordercę, mało znanego pułkownika wojsk lądowych. Nikt nie widział, co zaszło. W południowej Francji odnaleziono w wąwozie górskim ciała dwóch sławnych bohaterów wojennych; przed opuszczeniem zamku w Alpach każdy z nich otrzymał wraz z ubraniem pistolet. Generałowie Bertholdier i Leifhelm przegrali. Generał Chaim Abrahms zniknął. W bazach wojskowych na Bliskim Wschodzie, w Europie, Wielkiej Brytanii, Kanadzie i Stanach Zjednoczonych podwładni przesłuchiwali swoich przełożonych, mierząc do nich z pistoletów. Czy jest pan członkiem organizacji o nazwie Akwitania?

Pańskie nazwisko znajduje się na liście! Proszę odpowiedzieć! W Norfolk w stanie Wirginia admirał Scanlon wyskoczył z okna na szóstym piętrze, a w San Diego w Kalifornii inny admirał, Hickman, otrzymał rozkaz aresztowania kapitana marynarki wojennej zamieszkałego w La Jolla; zarzut - zamordowanie prawnika wojskowego w górach otaczających ową elegancką miejscowość. Pułkownik Alan Metcalf zadzwonił osobiście do szefa sztabu bazy lotniczej w Nellis i brutalnie nakazał osadzić w areszcie majora odpowiedzialnego za przeglądy techniczne samolotów. W Waszyngtonie kapitan Guardino z wywiadu wojskowego aresztował w szatni czcigodnego senatora włoskiego pochodzenia; jednocześnie zatrzymano także jedenastu pracowników Departamentu Stanu oraz Pentagonu zatrudnionych w działach zaopatrzenia i kontroli zbrojeń.

571

W Tel Awiwie izraelski kontrwywiad wojskowy zgarnął dwudziestu trzech adiutantów oraz

towarzyszy broni generała Chaima Abrahmsa, a ponadto szefa Mosadu. W Paryżu aresztowano trzydziestu jeden współpracowników generała Jacques'a Louisa Bertholdiera, w tym zastępców dyrektorów Surete oraz Interpolu, w Bonn zaś zatrzymano ni mniej, ni więcej, tylko pięćdziesięciu siedmiu kolegów generała Ericha Leifhelma, zarówno byłych dowódców Wehrmachtu, jak również oficerów Bundeswehry. W Bonn piechota morska chroniąca ambasadę amerykańską aresztowała na polecenie Departamentu Stanu czterech attache, w tym charge d'affaires do spraw wojskowych, majora Normana Anthony'ego Washburna.

Wszędzie powtarzało się to samo. Szaleństwo o nazwie Akwitania pokonali ci sami wojskowi, którzy mieli wynieść generałów na szczyty władzy.

O

zmroku strzały umilkły i spomiędzy barykad, z piwnic, tuneli metra, za mkniętych budynków, warsztatów kolejowych i innych przypadkowych kryjówek zaczęli wychodzić ludzie. Błąkali się ulicami, odrętwiali, oszołomieni, zastanawiając się, co się stało, gdy tymczasem po miastach na całym świecie jeździły ciężarówki z megafonami, które obwieszczały, że kryzys minął. W Tel Awiwie, Rzymie, Paryżu, Bonn, Londynie oraz w Toronto, Nowym Jorku i Waszyngtonie po drugiej stronie Atlantyku włączono światło, choć życie nie powróciło do normy. Ogólnoswiatowe demonstracje o pokój przerwało nagle uderzenie gromu. Co to było?! Co się właściwie stało?!

Ciężarówki z megafonami ryczały w dziesiątkach różnych języków, iż obywatele otrzymają odpowiedź nazajutrz, i prosiły o cierpliwość. Wybrano trzecią po południu czasu Greenwich, czyli dziesiątą rano w Waszyngtonie i

siódmą rano w Los Angeles. Całą noc i rano trwały konsultacje telefoniczne

głów państw, aż uzgodniono jednakowe teksty oświadczeń. Trzy po dziesiątej rano na ekranach telewizyjnych pojawił się prezydent Stanów Zjednoczonych.

W dniu wczorajszym cały wolny świat stał się świadkiem wydarzeń bez precedensu.

Doszło do fali krwawych zamieszek, które pochłonęły setki ofiar, sparaliżowały władze państwowe i stworzyły atmosferę terroru. Niewiele brakowało, by społeczności wielu krajów utraciły wolność i sięgnęły po rozwiązania niedające się pogodzić z ideałami demokracji. Planowano ustanowienie federacji państw policyjnych i przekazanie władzy ludziom, którzy zamierzali stworzyć totalitarny reżim na skalę międzynarodową. Spisek ów zorganizowali szaleńcy i psychopaci dążący za wszelką cenę do władzy i gotowi poświęcać dla jej zdobycia nawet swoich sojuszników. Wielu omamionych ludzi uwierzyło, iż jest to jedyna słuszna droga, jedyne lekarstwo na poważne choroby świata. Nie jest to lekarstwo i nigdy nim nie będzie.

Wraz z upływem dni i tygodni, gdy owe straszliwe wypadki zaczęły odchodzić w przeszłość, zapoznaliśmy opinię publiczną z faktami. Niechaj stanie się to dla nas ostrzeżeniem, krwawą daniną na ołtarzu demokracji, którą 572

usiłowano zniszczyć. Jednakże demokracja zwyciężyła, gdyż jest niezwyciężona.

Za godzinę rozpocznie się seria spotkań z udziałem przedstawicieli Białego Domu, Departamentu Stanu, Departamentu Obrony, przywódców większości i mniejszości obu izb Kongresu oraz członków Narodowej Rady Bezpieczeństwa. Począwszy od jutra, zaczną się ukazywać codzienne biuletyny informacyjne opracowane przy współudziale zainteresowanych rządów, aż wszystkie fakty staną się znane opinii publicznej.

Koszmar minął. Niechaj prowadzi nas światło prawdy, które rozprasza ciemność i.

Następnego dnia do gabinetu prezydenta w Białym Domu zaproszono na prywatną uroczystość Petera Stone'a, zastępcę dyrektora Centralnej Agencji Wywiadowczej, oraz kapitana Howarda Packarda i porucznika Williama Landisa. Nikt się nigdy nie dowiedział, jakie zaszczyty miały przypaść im w udziale, gdyż wszyscy trzej zgodnie odmówili ich przyjęcia, stwierdzając z szacunkiem i bez żalu, iż należą się one wyłącznie człowiekowi przebywającemu obecnie poza terenem Stanów Zjednoczonych.

Tydzień później w Los Angeles w Kalifornii aktor Caleb Dowling zdumiał

producentów serialu telewizyjnego Santa Fe, składając prośbę o zwolnienie przed rozpoczęciem nowego sezonu teatralnego. Odrzucił propozycję podwyżki gaży, którą go kuszono, i stwierdził po prostu, że musi poświęcić więcej czasu żonie.

Zamierzali wyruszyć razem w długą podróż. A gdyby wyczerpały im się kiedykolwiek zasoby finansowe, to, do diabła, ona może zawsze przepisywać na maszynie, a on uczyć. Ciao!

Epilog

Genewa. Miasto słonecznych refleksów i niestałości. Joel i Valerie Converse'owie siedzieli przy stoliku koło lśniącej mosiężnej barierki kawiarni La Chat Botte, gdzie wszystko się zaczęło. Zdyscyplinowany, niespieszny ruch uliczny na Quai du Mont Blanc nad brzegiem jeziora miał w sobie coś z atmosfery miasta: połączenie celowości i kurtuazji. Przechodnie idący ulicą spoglądali na Joela. To on, mówiły ich oczy. To ten człowiek. Krążyły pogłoski, że zamieszkał w Genewie, przynajmniej na jakiś czas.

Drugi biuletyn informacyjny opublikowany we wszystkich krajach wolnego świata zawierał zgodnie z umową krótką wzmiankę o roli Converse'a w tragicznych dziejach spisku Akwitanii. Oczyszczono go z wszelkich zarzutów. Zdjęto zeń podium, a służby bezpieczeństwa państw NATO przyznały się oficjalnie do długu wdzięczności wobec niego. Joel odmawiał udzielania wywiadów, choć środki masowego przekazu odgrzebały historię jego ucieczki z niewoli w Wietnamie, spekulując na temat jej związku z dramatem generałów. Pocięczał się tylko myślą, że ponieważ przed laty wkrótce o nim zapomniano, przeto w Genewie, mieście skupionego wysiłku, nastąpi to jeszcze szybciej.

Joel i Valerie wynajęli dom nad jeziorem z osobną pracownią malarską na spadzistym brzegu, dokąd od wczesnego ranka aż do zmroku wpadało przez oszklony sufit słońce. Willę nadmorskąw Cape Ann zamknięto na głucho, klucz zaś zwrócono pośrednikowi wynajmu nieruchomości w Bostonie. Zaprzyjaźniona sąsiadka Val spakowała jej ubrania, farby, pędzle i ulubione sztalugi, po czym wysłała wszystko samolotem do Genewy. Valerie spędzała codziennie rano kilka godzin na malowaniu, szczęśliwsza niż kiedykolwiek, pozwalając mężowi oceniać postępy pracy. Rozpływał się w pochwałach i zastanawiał się głośno, czy widoki jezior będą sprzedawać się równie dobrze jak pejzaże marynistyczne. Usunięcie z włosów ostatnich plam farby zajęło mu dwa dni.

Joel również nie siedział beczynn timer; stał się jednoosobową europejską, filią Talbota, Brooksa i Simona. Jednakże uzyskiwane dzięki temu pobory nie 574

odgrywały większej roli, albowiem Converse'owi nie przyszłoby nigdy do głowy naśladować adwokatów z kina lub telewizji, którzy prawie nigdy nie pobierają honorariów. Ponieważ ostateczne dowody przestępstwa uzyskano dzięki jego talentom prawniczym, wystawił zainteresowanym rządowi rachunki: większe państwa musiały zapłacić po czterysta tysięcy dolarów, mniejsze zaś po dwieście pięćdziesiąt tysięcy. Nikt się nie targował. Dało to w sumie przeszło dwa i pół

miliona dolarów, które złożono bezpiecznie na procent w banku szwajcarskim.

-

O czym myślisz? - spytała Valerie, dotykając dłoni Joela.

-

O Chaimie Abrahamsie i Dereku Bellamym. Nie odnaleziono ich; prze bywają w dalszym ciągu na wolności i zastanawiam się, czy zostaną kiedykolwiek schwytni. Mam nadzieję, że tak, bo inaczej to jeszcze nie koniec.

-

Wszystko minęło, Joel, musisz w to uwierzyć. Ale nie o to mi chodzi.

Jak ty się czujesz?

-

Nie jestem pewien. Wiedziałem tylko, że muszę tu przyjechać i przeko nać się. - Spojrzał Valerie w oczy i obrzucił wzrokiem kaskadę ciemnych włosów okalających ukochaną twarz. - Chyba czuję się pusty. Jesteś tylko ty.

-

Nie masz w sobie gniewu? Złości?

-

Nie do Avery'ego, Stone'a ani pozostałych. To już przeszłość. Zrobili to, co musieli; nie było innego sposobu.

-

Jesteś znacznie bardziej wspaniałomyślny ode mnie, kochany.

-

Jestem po prostu realistą. Dowody musiał zebrać nikomu nieznanym czło wiek, który działałby gdzieś z dala od centrum decyzyjnego. Wewnętrzny krąg był zbyt twardy, zbyt śmiertcionośny.

-

Uważam ich za drani i tchórzy.

-

Ja nie. Myślę, że powinno się ich kanonizować, unieśmiertelnić w brązie i w poematach.

-

Co to za idiotyzmy?! Jak możesz wygadywać takie rzeczy?!

Joel znów spojrzał żonie w oczy.

-

Bo jesteś ze mną, a ja z tobą. I malujesz jezioro, nie morze. Ja nie mieszkam w Nowym Jorku, a ty w Cape Ann, Nie martwię się o ciebie i nie muszę mieć nadziei, że ty też się nie martwisz.

-

Gdyby tylko w grę wchodziła inna kobieta albo inny mężczyzna, wszystko byłoby znacznie prostsze i logiczniejsze, kochany.

-

Nigdy nie było nikogo prócz ciebie.

-

Spróbuj tylko znów dać ode mnie drapak, pani Converse!

-

Nigdy, pani Converse.

Spletli dłonie, nie wstydząc się łez. Koszmar minął.